

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**LEW TOLSTOJ**

# **WOJNA I POKÓJ**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

**TOM PIERWSZY**

**CZEŚĆ PIERWSZA**

## I

*Eh bien, mon prince, Gênes et Lucgues ne sont plus que des apanages, des dobra, de la famille Buonaparte<sup>1</sup>. Non, je vous prévient, que si vous ne me dites pas, que nous avons la guerre, si vous vous permettez encore de pallier toutes les infamies, toutes les atrocités de cet Antichrist (ma parole, j'y crois) – je ne vous connais plus, vous n'êtes plus mon ami, vous n'êtes plus mój wierny niewolnik, comme vous dites. No, witam księcia, witam. Je vois que je vous fais peur,<sup>2</sup> proszę się i opowiadać.*

Mówiła tak w lipcu 1805 r. znana powszechnie Anna Pawłowna Scherer, dama dworu i zaufana cesarzowej Marii Fiodorowny, witając znacznego dygnitarza księcia Wasilia, który pierwszy przybył na jej wieczór. Anna Pawłowna kaszlała od kilku dni, miała grypę, jak poviadała (grypa była wówczas nowym słowem, rzadko używanym). W bilecikach wysłanych rano przez lokaja w czerwieni było napisane do wszystkich bez różnicy:

*„Si vous n'avez rien de mieux à faire, M. le comte (lub mon prince), et si la perspective de passer la soirée chez une pauvre malade ne vous effraie pas trop, je serai charmée de vous voir chez moi entre 7 et 10 heures. Annette Scherer.”<sup>3</sup>*

– *Dieu, quelle virulente sortie!*<sup>4</sup> – odpowiedział bynajmniej nie zmieszany takim powitaniem książę, wchodzący w dworskim haftowanym mundurze, w pończochach, trzewikach, przy gwiazdach, i rozjaśnił płaskie oblicze.

Mówił tą wytworną francuszczyzną, którą nie tylko mówili, ale i myśleli nasi dziadowie, z ową spokojną protekcyjną intonacją, właściwą dygnitarzowi, który życie strawił w wielkim świecie i przy dworze cesarskim. Podszedł do Anny Pawłowny, pocałował ją w rękę, podstawiając jej swą błyszczącą, perfumowaną łysinę, i rozsiadł się wygodnie na kanapce.

– *Avant tout dites-moi, comment vous allez, chère amie?*<sup>5</sup> Proszę mnie uspokoić – rzekł nie zmieniając głosu, tonem, w którym poprzez uprzejmość i współczucie przeświecała obojętność, a nawet kpina.

---

<sup>1</sup> Akcentowanie włoskiego brzmienia nazwiska Napoleona (Buonaparte) w odróżnieniu od oficjalnego brzmienia francuskiego: Bonaparte, świadczyło o wrogim czy niechętnym stosunku do Napoleona (np. ostry antynapoleoński pamflet Chateaubrianda *De Buonaparte et des Bourbons*, 1814). W r. 1805 Napoleon ustanowił dla swojej siostry, Elizy, księstwo Lukki i Piombino.

<sup>2</sup> A więc, książę, Genua i Lukka to tylko apanaże... rodziny Buonaparte. Nie, uprzedzam, jeśli pan nie powie mi, że mamy wojnę, jeśli jeszcze raz pozwolisz sobie tuszować wszystkie bezeceństwa, wszystkie okrucieństwa owego Antychrysta (wierzę naprawdę, że to Antychryst) – ja księcia więcej nie znam. Nie jesteś mym przyjacielem... jak to mówisz... Widzę, że pana przestraszyła.

<sup>3</sup> Jeśli pan, hrabio (albo książę) nie masz na widoku nic lepszego i jeśli perspektywa spędzenia wieczoru u biednej chorej niezbyt pana przestrasza, to będę bardzo rada widząc pana dziś u siebie między siódmą a dziesiątą. Anna Scherer.

<sup>4</sup> Boże, co za gwałtowny atak!

<sup>5</sup> Przede wszystkim proszę powiedzieć, droga przyjaciółko, jak pani zdrowie?

– Jakże można być zdrową... gdy się cierpi moralnie? Czyż istota czuła może być spokojna w naszych czasach? – rzekła Anna Pawłowna. – Mam nadzieję, że spędzisz u mnie, księżę, cały wieczór?

– A bal u posła angielskiego? Mamy dziś środę. Muszę się tam pokazać – rzekł księżę. – Córka przyjedzie po mnie i zawiezie tam.

– Myślałam, że dzisiejszy bal został odwołany. *Je vous avoue que toutes ces fêtes et tous ces feux d'artifice commencent à devenir insipides.*<sup>6</sup>

– Gdyby wiedziano, że pani sobie tego życzy, odwołano by bal – rzekł księżę, z nawyku, niby nakręcony zegar, mówiąc rzeczy, w które sam nie chciał, aby wierzono.

– *Ne me tourmentez pas. Eh bien qu'a-t-on décidé par rapport à la dépêche de Novosilzoff? Vous savez tout.*<sup>7</sup>

– Jak by tu rzec – rzekł księżę chłodnym, znudzonym tonem. – *Qu'a-t-on décidé? On a décidé que Buonaparte a brûlé ses vaisseaux et je crois que nous sommes en train de brûler les nôtres.*<sup>8</sup>

Księżę Wasilij mówił zawsze leniwie, niby aktor wygłaszający rolę ze starej sztuki. Anna Pawłowna Scherer, przeciwnie, mimo swej czterdziestki była pełna żywości i porywów.

Być entuzjastką stało się jej pozycją społeczną i niekiedy, nawet wcale tego nie chcąc, robiła z siebie entuzjastkę, aby nie zawieść oczekiwań ludzi, którzy ją znali. Powściągliwy uśmiech, igrający stale na twarzy Anny Pawłowny, mimo iż nie pasował do jej zużytych rysów, wyrażał, jak to bywa u rozpieszczonych dzieci, stałą świadomość własnej miłej wady, z której nie chcemy, nie możemy i nie uważamy za stosowne poprawić się.

Wśród rozmowy o wypadkach politycznych Anna Pawłowna wpadła w zapał.

– Ach, proszę mi nie mówić o Austrii! Ja nic nie rozumiem, być może, lecz Austria nigdy nie chciała i nie chce wojny. Zdradza nas. Rosja jedynie powinna być zbawczynią Europy. Nasz dobroczynny monarcha zna swą wysoką misję i pozostanie jej wierny. To jedno, w co wierzę. Naszemu dobrotliwemu, cudownemu monarsze przypadnie największa rola w świecie, a on jest tak cnotliwy i dobry, że Bóg go nie opuści, i on spełni misję zdławienia hydry rewolucji, która teraz jest jeszcze okropniejsza w postaci tego mordercy i łotra. My jedynie winniśmy okupić krew Sprawiedliwego. Pytam, na kim mamy polegać? Anglia ze swym kupieckim duchem nie pojmie i nie może pojąć całej wzniosłości duszy cesarza Aleksandra. Odmówiła opuszczenia Malty. Chciałaby poznać, szuka ukrytego sensu naszych działań. Cóż powiedzieli Nowosilcowowi? Nic. Oni nie zrozumieli, oni nie mogą zrozumieć poświęcenia naszego cesarza, który niczego nie chce dla siebie i chce tylko szczęścia świata. I cóż oni obiecali? Nic. A i tego nie spełnią, co obiecali! Prusy już obwieściły, że Bonaparte jest niewzyciężony i że cała Europa nic nie zdziała przeciw niemu... I ja nie wierzę ani jednemu słowu Hardenberga czy Haugwitza. *Cette fameuse neutralité prussienne, ce n'est qu'un piège.*<sup>9</sup> Wierzę w Boga jedyne i w wielkie przeznaczenie naszego umiłowanego cesarza. On zbawi Europę!... – zatrzymała się nagle z uśmiechem drwiny nad własnym uniesieniem.

– Myślę – rzekł księżę z uśmiechem – iż gdyby posłano panią zamiast naszego kochanego Wintzingerode, zdobyłabyś szturmem zgodę króla pruskiego. Pani jest tak wymowna! Czy dostanę herbaty?

– Zaraz. *À propos* – dodała uspokajając się – mam dziś u siebie dwóch interesujących ludzi: *le vicomte de Mortemart, il est allié aux Montmorency par les Rohans,*<sup>10</sup> jedna z najlep-

<sup>6</sup> Przyznam się, że wszystkie te bale i fajerwerki stają się nudne.

<sup>7</sup> Proszę mnie nie dręczyć. No, co postanowiono w związku z depeszą Nowosilcowa? Księżę wiesz wszystko.

<sup>8</sup> Co postanowiono? Postanowiono, że Buonaparte spalił za sobą mosty, a my, zdaje się, gotowiśmy spalić i nasze.

<sup>9</sup> Ta osławiona neutralność Prus to tylko pułapka.

<sup>10</sup> *À propos*... wicehrabia de Mortemart jest spowinowacony z rodziną Montmorency przez Rohanów...

szych rodzin Francji. On należy do tych porządných prawdziwych emigrantów. A poza tym *l'abbe*,<sup>11</sup> Morio. Zna ksiązę ten głęboki umysł. Został przyjęty przez cesarza, wie ksiązę?

– A! Będę się bardzo cieszył – rzekł ksiązę. – Proszę powiedzieć – dodał w sposób osobliwie niedbały, jak gdyby dopiero co przypominając sobie, a przecie to, o co pytał, stanowiło główny cel jego odwiedzin – czy to prawda, że *l'impératrice-mere* pragnie nominacji barona Funke na pierwszego sekretarza do Wiednia? *C'est un pauvre sire, ce baron, à ce qu'il paraît*.<sup>12</sup> – Ksiązę Wasilij pragnął umieścić syna na tym stanowisku, które poprzez cesarzową Marię Fiodorownę starano się powierzyć baronowi.

Anna Pawłowna niemal przymknęła oczy na znak, że ani ona, ani ktokolwiek inny nie może sądzić o tym, czego cesarzowa sobie życzy lub co się jej podoba.

– *Monsieur le baron de Funke a été recommandé à l'impératrice-mère par sa soeur* – rzekła tylko smętnym, oschłym tonem. W chwili gdy wspomniała o cesarzowej, twarz Anny Pawłowny nagle przejawiała głęboki, szczery wyraz oddania i czci połączonej ze smutkiem, co się u niej zdarzało zawsze, gdy w rozmowie wspomniała swą wysoką protektorkę. Powiedziała, że jej cesarska mość raczyła okazać baronowi Funke *beaucoup d'estime*,<sup>13</sup> i znowu wzrok jej powlókł się smutkiem.

Ksiązę zamilkł obojętnie. Anna Pawłowna w właściwy sobie sposób ze zręczością nabytą przy dworze i z kobiecym bystrym taktem pragnęła zarazem i dotknąć księcia za to, że ośmielił się wspomnieć w ten sposób o osobie, która cieszyła się protekcją cesarzowej, i pocieszyć księcia.

– *Mais à propos de votre famille* – rzekła – ksiązę wie, że jego córka, od czasu gdy udziela się w towarzystwie, *fait les délices de tout le monde? On la trouve belle, comme le jour*.<sup>14</sup>

Ksiązę skłonił się na znak szacunku i wdzięczności.

– Myślę często – ciągnęła Anna Pawłowna po chwili milczenia, przysuwając się do księcia mile uśmiechnięta, jakby wykazując przez to, że dyskusje na tematy polityczne i światowe zostały ukończone i teraz zaczyna się rozmowa od serca – często myślę, jak szczęście w życiu bywa niesprawiedliwie rozdzielone. Za co los dał księciu dwoje tak wspaniałych dzieci (wyjąwszy Anatola, młodszego syna, nie lubię go – wtrąciła bezapelacyjnie, uniósłszy brwi) – tak zachwycających dzieci? A ksiązę, doprawdy, ceni je mniej niż inni i dlatego nie jest ich wart.

I Anna Pawłowna uśmiechnęła się swym entuzjastycznym uśmiechem.

– *Que voulez-vous? Lavater aurait dit que je n'ai pas la bosse de la paternité*.<sup>15</sup> – powiedział ksiązę.<sup>16</sup>

– Proszę nie żartować. Chciałam poważnie z księciem pomówić. Wie ksiązę, jestem niezadowolona z pańskiego młodszego syna. Niech to pozostanie między nami (twarz jej przybrała smutny wyraz): mówiono o nim u jej cesarskiej mości, współczując księciu...

Ksiązę nie odpowiadał, lecz ona w milczeniu, patrząc na niego znacząco, czekała na odpowiedź. Ksiązę Wasilij skrzywił się.

– Cóż mam począć? – rzekł wreszcie. – Pani wiesz, zrobiłem dla ich wychowania wszystko, co może zrobić ojciec. I obaj wyrosli na *des imbéciles*.<sup>17</sup> Hipolit to przynajmniej głupiec spokojny. Anatol zaś niepohamowany. To cała różnica – rzekł uśmiechając się w sposób bardziej ożywiony i nienaturalny niż zwykle, przy czym szczególnie ostro uwydatniało się w zmarszczkach, które powstały koło jego ust, coś niespodzianie brutalnego i nieprzyjemnego.

<sup>11</sup> Ksiądz.

<sup>12</sup> Cesarzowa matka... Baron to miernota, jak się wydaje.

<sup>13</sup> Baron Funke został zarekomendowany cesarzowej matce przez jej siostrę... wiele szacunku.

<sup>14</sup> A propos pańskiej rodziny..., jest przedmiotem zachwytu całego towarzystwa. Mówią o niej, że jest piękna jak marzenie.

<sup>15</sup> Cóż robić? Lavater powiedziałby, że brak mi guza rodzicielskiego.

<sup>16</sup> Lavater nie zajmował się frenologią, lecz fizjognomią. Błąd ów w ustach księcia Wasilia ma zapewne charakteryzować powierzchowność jego wykształcenia.

<sup>17</sup> Durniów.

– I po co tacy ludzie jak pan mają dzieci. Gdyby ksiązę nie był ojcem, nic bym mu nie mogła zarzucić – rzekła Anna Pawłowna wznosząc oczy w zamyśleniu.

– *Je suis votre* wiemy niewolnik *et à vous seule je puis l'avouer*. Moje dzieci – *ce sont les entraves de mon existence*. To mój krzyż. Tak to sobie tłumaczę. *Que voulez-vous?*<sup>18</sup>

– zamilkł wyrażając gestem poddanie się okrutnemu losowi.

Anna Pawłowna zamyśliła się.

– Czy ksiązę nigdy nie pomyślał o tym, aby ożenić swego marnotrawnego syna Anatola? Powiadają – rzekła – iż stare panny *ont la manie de mariage*. Ja jeszcze nie czuję u siebie tej słabostki, ale mam pewną *petite personne*, która jest bardzo nieszczęśliwa z ojcem, *une parente à nous, une princesse*<sup>19</sup> Bołkońska.

Ksiązę Wasilij nie odpowiedział, choć z szybkością orientacji i zapamiętywania, właściwą ludziom światowym, dał poznać ruchem głowy, że przyjmuje te dane do wiadomości.

– Czy pani wie, że Anatol kosztuje mnie czterdzieści tysięcy rocznie – rzekł nie mogąc, widać, powstrzymać smutnego biegu własnych myśli. Umilkł. – Co będzie za pięć lat, jeśli tak dalej pójdzie? *Voilà l'avantage d'être père*<sup>20</sup> Czy ta pani księżniczka jest bogata?

– Ojciec jest bardzo bogaty i skąpy. Mieszka na wsi. Wie ksiązę, to ten słynny ksiązę Bołkoński, dymisjonowany jeszcze za nieboszczyka cesarza i przezwany „królem pruskim”. To człowiek bardzo rozumny, ale zdziwaczały i ciężki w pożyciu. *La pauvre petite est malheureuse, comme les pierres.*<sup>21</sup> Ma brata, to ten, co niedawno ożenił się z Lizą Meinen – adiutant Kutuzowa. Będzie dziś u mnie.

– *Écoutez chère Annette* – rzekł ksiązę ujmując nagle swą rozmówczynię za rękę i przyginając ją nie wiadomo czemu ku dołowi. – *Arrangez-moi cette affaire et je suis votre* najwierniejszym rabem *à tout jamais* (rapem przez p, *comme mon* starosta *m'écrit des doniesienia*).<sup>22</sup> Jest z dobrej rodziny i bogata. To wszystko, czego mi trzeba.

Swobodnymi i poufale wdzięcznymi ruchami, które go cechowały, ujął dłoń damy dworu, ucałował, a ucałowawszy pomachał ręką frejliny, rozwalając się w fotelu i patrząc w bok.

– *Attendez* – rzekła Anna Pawłowna z namysłem. – Dziś jeszcze powiem Lizie (*lafemme du jeune* Bołkoński). I może to się ułoży. *Ce sera dans votre famille, que je ferai mon apprentissage de vieille filie.*<sup>23</sup>

---

<sup>18</sup> Jestem pani... pani jednej mogę to wyznać... są utrapieniem mego życia... Cóż pani chce?

<sup>19</sup> Mają manię swatania... panienkę... nasza krewna księżniczka...

<sup>20</sup> Oto awantażę ojcostwa.

<sup>21</sup> Biedaczka, jest bardzo nieszczęśliwa.

<sup>22</sup> Proszę posłuchać, droga Anetko... Niech pani mi to załatwi, a pozostanę na zawsze... jak pisze mi mój...

<sup>23</sup> Czekaj pan... żonie młodego– Przy pańskiej rodzinie zacznę moje rzemiosło starej panny.



## II

Salon Anny Pawłowny zaczął się po trochu zapelniać. Przybyła noblesa petersburska, ludzie najrozmaitszego wieku i charakteru, lecz zrównani przez towarzystwo, w którym żyli, przyjechała córka księcia Wasilia, piękna Hélène, która wstąpiła po ojca, by razem z nim pojechać na bal do posła. Była w balowej sukni, z cyfrą dworską. Przyjechała również młoda, malutka księżna Bołkońska, znana jako *la femme la plus séduisante de Pétersbourg*.<sup>24</sup>

Ubiegłej zimy wyszła za mąż i obecnie nie pokazywała się w wielkim świecie z powodu brzemienności, ale na mniejszych przyjęciach jeszcze bywała. Przyjechał książę Hipolit, syn księcia Wasilia. Przywiózł ze sobą Mortemarta, którego przedstawił, przyjechał również ksiądz Mono oraz wiele innych osób.

– Pan jeszcze nie widział – albo – pan jeszcze nie zna *ma tante* – mówiła Anna Pawłowna do przybywających gości i z wielką powagą prowadziła ich do malutkiej staruszki z wysoką koafiurą, która wypłynęła z sąsiedniego pokoju, jak tylko goście zaczęli się zjeżdzać. Anna Pawłowna wymieniała ich nazwiska, powoli przenosząc wzrok z gościa na *ma tante*<sup>25</sup>, a potem odchodziła.

Wszyscy goście dopełniali obrzędu witania się z nikomu nie znaną, nieinteresującą i nikomu niepotrzebną cicią. Anna Pawłowna ze smutnym, uroczystym współczuciem przyglądała się tym powitaniom i milcząco je pochwałała. *Ma tante* jednymi i tymi samymi zwrotami rozmawiała z każdym o jego zdrowiu, o swoim zdrowiu i o zdrowiu jego cesarskiej mości, które teraz, dzięki Bogu, jakoś się poprawiło. Wszyscy, którzy do niej podchodzili, przez grzeczność nie okazując pośpiechu, z uczuciem ulgi po spełnieniu ciężkiego obowiązku opuszczali staruszkę, aby przez cały wieczór już ani razu nie zbliżyć się do niej.

Młoda księżna Bołkońska przybyła z robótką w aksamitnym woreczku haftowanym złotem. Jej ładniutka górna warga z lekko czerniejącymi wąsikami odsłaniała zęby, ale tym wdzięczniej się podnosiła i jeszcze wdzięczniej niekiedy wydłużała się i opadała na dolną. Jak to bywa u wszystkich skończenie powabnych kobiet, wada urody – przykrótka warga i półuchylone usta – wydawała się osobliwym, właściwym jej wdziękiem. Każdy patrzył wesoło na tę przyszlą matkę, śliczną, pełną zdrowia i rzeźkości, tak lekko znoszącą swój stan. Starcom i znudzonym, ponurym młodym ludziom, kiedy z nią przebyli czas pewien i porozmawiali, wydawało się, że sami stają się podobni do niej. Kto tylko z nią rozmawiał i przy każdym słowie widział jej jasny uśmiezek i lśniące, białe odsłaniające się wciąż zęby, myślał, że i on teraz jest szczególnie miły. A tak myślał każdy.

Mała księżna, z *ridicule* w rękę, kołysząc się, drobnymi szybkimi kroczkami okrążyła stół i szybkim ruchem poprawiwszy suknię usiadła na kanapie, w pobliżu srebrnego samowara, jakby wszystko, cokolwiek robiła, było *partie de plaisir*<sup>26</sup> dla niej i dla wszystkich, którzy ją otaczali.

<sup>24</sup> Najbardziej powabna kobieta w Petersburgu.

<sup>25</sup> Cioci... cicię.

<sup>26</sup> Woreczkiem... rozrywka.

– *J'ai apporté mon ouvrage*<sup>27</sup> – rzekła otwierając swój *ridicule* i zwracając się do wszystkich.

– Proszę, Annette, *ne me jouez pas un mauvais tour* – zwróciła się do gospodyni. – *Vous m'avez écrit, que c'était une toute petite soirée; voyez comme je suis attifée.*<sup>28</sup>

I rozłożyła ręce, by pokazać swą szarą wytworną suknię, z koronkami, nieco niżej piersi przepasaną szeroką wstęgą.

– *Soyez tranquille, Lise, vous serez toujours la plus jolie*<sup>29</sup>

– odpowiedziała Anna Pawłowna.

– *Vous savez, mon mari m'abandonne* – ciągnęła tym samym tonem Liza zwracając się do generała. – *Il va se faire tuer. Dites-moi, pourquoi cette vilaine guerre*<sup>30</sup> – rzekła do księcia Wasilia i nie czekając na odpowiedź zwróciła się do córki księcia Wasilia pięknej Héléne.

– *Quelle délicieuse personne que cette petite princesse!*<sup>31</sup>

– rzekł cicho książę Wasilij do Anny Pawłowny.

Wkrótce po małej księżnie wszedł tęgi, masywny młody człowiek z krótko ostrzyżoną głową, w okularach, w jasnych pantalonach wedle ówczesnej mody, w wysokim żabocie i brązowym fraku. Ów tęgi młody człowiek był nieprawym synem znamienitego magnata z czasów cesarzowej Katarzyny, hrabiego Bezuchowa, który teraz dogorywał w Moskwie. Dopiero co powrócił z zagranicy, gdzie się kształcił, jeszcze nie pełnił żadnej służby i pierwszy raz znalazł się w towarzystwie. Anna Pawłowna powitała go ukłonem przeznaczonym dla ludzi najniższej hierarchii w jej salonie. Przecie, mimo to najgorszego gatunku powitanie, na widok wchodzącego Pierre'a twarz Anny Pawłowny wyraziła niepokój i strach, podobny do tego, który się ujawnia na widok czegoś nad miarę wielkiego i niewłaściwego w danym miejscu. Jednak, choć Pierre istotnie był nieco większy niż inni mężczyźni w pokoju, ów strach mógł dotyczyć jedynie rozumnego, a zarazem nieśmiałego, uważnego, a pełnego naturalności spojrzenia, jakie wyróżniało go spośród wszystkich w tym salonie.

– *C'est bien aimable à vous, monsieur Pierre, d'être venu voir une pauvre malade*<sup>32</sup> – rzekła do niego Anna Pawłowna zamieniając wystraszone spojrzenie z ciocią, do której go prowadziła. Pierre wymamrotał coś niezrozumiałego i wciąż szukał czegoś wzrokiem. Uśmiechnął się radośnie i wesoło kłaniając się małej księżnie jak bliskiej znajomej, podszedł do cioci. Strach Anny Pawłowny był nie bez podstaw, gdyż Pierre, nie dosłuchawszy, co ciocia mówiła o zdrowiu jej cesarskiej mości, oddalił się. Przestraszona Anna Pawłowna zatrzymała go słowami:

– Nie zna pan księdza Morio? To bardzo interesujący człowiek... – powiedziała.

– Tak, słyszałem o jego projekcie wieczystego pokoju, to bardzo ciekawe, ale bodaj czy możliwe...

– Tak pan sądzi?... – odrzekła Anna Pawłowna, byleby coś powiedzieć i móc znowu wrócić do swych obowiązków pani domu. Ale Pierre popełnił nietakt odwrotny. Przedtem opuścił rozmówczynię nie wysłuchawszy jej słów, teraz zaś zatrzymał swą rozmowę interlokutorkę, która powinna była od niego odejść.

Pochyliwszy głowę i rozstawiwszy długie nogi zaczął dowodzić Annie Pawłownie, dlaczego sądzi, że projekt *l'abbe* jest chimera.

– Porozmawiamy później – oświadczyła Anna Pawłowna z uśmiechem.

I pozbywszy się młodego człowieka, nie znającego życia, powróciła do swych zajęć pani domu, nadal się przysłuchując i dając baczenie, gotowa ruszyć z sukursem tam, gdzie rozmo-

<sup>27</sup> Przyniosłam robótkę.

<sup>28</sup> Proszę nie splatać mi figla... Napisała roi pani, że to będzie małe przyjęcie, widzi pani, jak jestem wystrojona.

<sup>29</sup> Proszę być spokojną, Lizo, zawsze będzie pani najładniejsza.

<sup>30</sup> Wie pan, mąż mnie opuszcza... Idzie na śmierć. Proszę mi powiedzieć, po co ta szkaradna wojna.

<sup>31</sup> Jakaż to miła osoba, ta malutka księżna!

<sup>32</sup> Bardzo to miło z pańskiej strony... ze przyszedł pan odwiedzić biedną chorą.

wa słabła. Niby właściciel przedzalni, gdy porozsadza ludzi na ich stanowiska robocze, przechadza się po zakładzie, a zauważywszy, że któreś wrzeciono stanęło lub wydaje dźwięk niezwykły, skrzypiący lub nazbyt hałaśliwy, zmierza szybko, by zatrzymać wrzeciono albo mu nadać właściwy bieg – Anna Pawłowna, przechadzając się po swym salonie, zbliżała się do kółka, które milkło lub rozprawiało zbyt wiele, i jednym słowem lub przesunięciem nadawała prawidłowy, właściwy tok maszynie do mówienia. Przecie wśród tych zabiegów ciągle widać było jej obawę z powodu Pierre'a. Spoglądała na niego z troską, gdy zbliżał się, by posłuchać, co mówiono w kółku Mortemarta, a potem odszedł do drugiego kółka, gdzie mówił *l'abbe*. Dla Pierre'a wychowanego za granicą, ów wieczór u Anny Pawłowny był pierwszym, jaki widział w Rosji. Wiedział, że tutaj zebrała się wszystka inteligencja petersburska, więc oczy mu się rozbiegały jak dziecku w sklepie z zabawkami. Obawiał się wciąż, by nie stracić mądrych rozmów, które mógłby usłyszeć. Patrząc na pewne siebie i dystyngowane twarze zebranych, spodziewał się wciąż czegoś osobliwie mądrego. Wreszcie podszedł do Morio. Rozmowa wydała mu się interesująca, zatrzymał się więc czekając na okazję, gdy będzie mógł wypowiedzieć swoje myśli, co tak bardzo lubią młodzi ludzie.

### III

Wieczór u Anny Pawłowny został wprawiony w ruch. Wrzeczona furkotały – równomier- nie i bez przerwy – w różnych stronach. Prócz *ma tante*, przy której siedziała tylko pewna starsza dama z wyplakaną chudą twarzą, nieco obca w tym świetnym towarzystwie, towarzy- stwo rozdzieliło się na trzy kółka. Centrum jednego z nich, bardziej męskiego, stanowił *l'abbe*, drugiego – młodego – piękna księżniczka Hélène córka księcia Wasilia, oraz ładniut- ka, rumiana, zbyt pełna jak na swój młody wiek, mała księżna Bołkońska; trzeciego – Morte- mart i Anna Pawłowna.

Wicehrabia był to młody człowiek o miłym wyglądzie, miękkich rysach i ujmujących ma- nierach; w sposób widoczny uważał się za znakomitość, lecz jako człowiek dobrze wychowa- ny, skromnie zezwalał, by towarzystwo, w którym przebywa, cieszyło się nim. Anna Paw- łowna w sposób oczywisty raczyła nim swoich gości. Jak dobry *maître d'hôtel* podaje, niby coś nadzwyczaj wspaniałego, kawałek wołowiny, której by się nie chciało jeść widząc ją w brudnej kuchni, Anna Pawłowna owego wieczoru podawała swym gościom – jako nadnatu- ralny wykwint – najpierw wicehrabiego, potem *l'abbe*. W kółku Mortemarta od razu zaczęto mówić o zamordowaniu księcia d'Enghien<sup>33</sup> *Vicom-te*<sup>34</sup> oświadczył, że księżę d'Enghien zgi- nął przez swą wspaniałomyślność i że Bonaparte miał specjalne powody do zawziętości.

– *Ah! voyons. Contez-nous cela, vicomte* – rzekła Anna Pawłowna czując z radością, że to zdanie pobrzmiwa jakby czymś *à la Louis XV* – *contez-nous cela, vicomte*.<sup>35</sup>

Wicehrabia skłonił się na znak posłuszeństwa i uśmiechnął się uprzejmie. Anna Pawłowna utworzyła krąg wokół wicehrabiego, zapraszając wszystkich, by posłuchali jego opowiadania.

– *Le vicomte a été personnellement connu de monseigneur* – szepnęła Anna Pawłowna do jednego z gości. – *Le vicomte est un parfait conteur* – rzekła do drugiego. – *Comme on voit l'homme de la bonne compagnie*<sup>36</sup> – poinformowała trzeciego; i wicehrabia został podany towarzystwu wytwornie i w jak najlepszym dla siebie świetle – niczym rostbef na gorącym półmisku, posypany zieleniną.

Wicehrabia już chciał rozpocząć swe opowiadanie i uśmiechnął się subtelnie.

– Proszę tutaj, *chère Hélène*<sup>37</sup> – rzekła Anna Pawłowna do pięknej księżniczki, która sie- działa opodal, stanowiąc centrum drugiego kółka.

Księżniczka Hélène uśmiechała się; wstała z tym samym niezmiennym uśmiechem skoń- czenie pięknej kobiety, z jakim weszła do salonu. Szeleszcząc lekko swą białą balową toaletą, przybraną bluszczem i mchem, olśniewając białością ramion, połyskiem włosów i brylantów, szła wśród rozstępujących się mężczyzn prosto przed siebie, nie patrząc na nikogo, lecz

<sup>33</sup>Księżę d'Enghien (ur. 1772) od r. 1801 przebywał w Badenii, w Ettenheim. W r. 1804 Napoleon rozkazał po- rwać księcia, którego, jako należącego do rodziny królewskiej, podejrzewał o udział w konspiracji antynapole- ońskiej; z wyroku sądu doraźnego księżę został rozstrzelany w Vincennes.

<sup>34</sup>Wicehrabia.

<sup>35</sup>Ach tak! Proszę nam to opowiedzieć, wicehrabio... *à la* Ludwik XV... proszę nam to opowiedzieć, wicehrabio.

<sup>36</sup>Wicehrabia osobiście znał jego wysokość. Wicehrabia wspaniale opowiada... Od razu widać, że to człowiek z dobrego towarzystwa.

<sup>37</sup>droga Heleno

uśmiechając się do wszystkich, jak gdyby dając łaskawie każdemu prawo, by się napawał pięknnością jej talii, pełnych ramion, bardzo odsłoniętych wedle ówczesnej mody piersi i pleców, i jakby wnosząc ze sobą blask balu, zbliżyła się do Anny Pawłowny. Hélène była tak ładna, że nie tylko nie dostrzegało się w niej ani cienia kokieterii, lecz przeciwnie, widać było jak gdyby zażenowanie swą zdumiewającą, zbyt gwałtownie i zwycięsko działającą urodą. Jak gdyby pragnęła, lecz nie mogła zmniejszyć wpływu swej urody.

– *Quelle belle personne!*<sup>38</sup> – mówił każdy, kto ją zobaczył.

Wicehrabia, jakby zaskoczony czymś nadzwyczajnym, wzruszył ramionami i spuścił oczy w chwili, kiedy Hélène siadała przed nim opromieniając również i jego tym samym niezmiennym uśmiechem.

– *Madame, je crains pour mes moyens devant un pareil auditoire*<sup>39</sup> – rzekł z uśmiechem pochylając głowę.

Księżniczka oparła na stoliku swą obnażoną pełną rękę i nie uważała za stosowne cokolwiek odpowiedzieć. Czekwała z uśmiechem. Przez cały czas opowiadania siedziała wyprostowana, spoglądając z rzadka to na swą pełną piękną rękę, spoczywającą lekko na stoliku, to na jeszcze piękniejszą pierś, na której poprawiała brylantowy naszyjnik; poprawiała też kilka razy fałdy swej sukni, a gdy opowiadanie wywierało wrażenie, oglądała się na Annę Pawłowną i natychmiast przybierała taki sam wyraz twarzy, jaki miała frejlina, a potem znów się uspokajała w promiennym uśmiechu. Śladem Hélène również i mała księżna wstała od stołu, na którym zastawiono herbatę.

– *Attendez-moi, je vais prendre mcm oumage* – oświadczyła. – *Voyons, a quoi pensez-vous?* – zwróciła się do księcia Hipolita. – *Apportez-moi mon ridicule*<sup>40</sup>

Księżna rozmawiając z uśmiechem ze wszystkimi naraz przerwała nagle, a usiadłszy, żywo poprawiała suknię.

– Teraz mi dobrze – powtarzała i zabrała się do robótki, prosząc, aby zaczynać.

Książę Hipolit przyniósł jej *ridicule*., cofnął się za nią i przysunąwszy sobie blisko fotel, usiadł przy niej.

*Le charmant Hippolyte*<sup>41</sup> zdumiewał nadzwyczajnym podobieństwem do pięknej siostry i jeszcze bardziej tym, że – mimo tego podobieństwa – był uderzająco brzydki. Rysy twarzy miał takie same jak siostra, lecz u niej wszystko rozświeślał uśmiech pełen radości życia, zadowolenia z siebie, młody, niezmienny, i nadzwyczajne, posągowe piękno ciała; u brata przeciwnie, ta sama twarz omglona idiotyzmem wyrażała niezmiennie pewną siebie opryskliwość; ciało zaś miał wątłe i słabe. Oczy, nos, usta – wszystko ściągało się jak gdyby w jeden niewyraźny grymas znudzenia, ręce zaś i nogi przybierały zawsze nienaturalną pozycję.

– *Ce n'est pas wie histoire de reyenants?*<sup>42</sup> – powiedział usiadłszy blisko księżny, spieszenie przykładając do oczu lorgnon, jakby bez tego instrumentu nie mógł zacząć rozmowy.

– *Mais non, mon cher*<sup>43</sup> – odparł zdumiony narrator wzruszając ramionami.

– *C'est que je déteste les histaires de revenants*<sup>44</sup> – oświadczył książę Hipolit takim tonem, iż widać było, że wyrzekłszy te słowa, dopiero potem zrozumiał, co one znaczą.

Mówił z taką pewnością siebie, że nikt nie mógł zrozumieć, czy to, co powiedział, jest bardzo mądre czy też bardzo głupie. Książę Hipolit był w ciemnozielonym fraku, w pantalonach koloru *cuisse de nymphe effrayée*<sup>45</sup> jak sam mówił – oraz w pończochach i trzewikach.

<sup>38</sup> Jakaż ona piękna!

<sup>39</sup> Pani, wobec takiego audytorium lękam się o swe umiejętności.

<sup>40</sup> Proszę poczekać, wezmę tylko robótkę... O czymże pan myśli?... Proszę mi przynieść mój woreczek.

<sup>41</sup> Czarujący Hipolit.

<sup>42</sup> Czy to nie historia o upiorach?

<sup>43</sup> Ależ nie, mój drogi.

<sup>44</sup> Bo ja nie znoszę historii o upiorach.

<sup>45</sup> Uda przestraszonej nimfy.

Wicehrabia nader przyjemnie opowiedział obiegającą podówczas anegdotę o tym, jakoby książę d'Enghien jeździł sekretnie do Paryża, by widywać się z m-lle George<sup>46</sup>, i że tam spotkał się z Bonapartem, który również cieszył się łaskami słynnej aktorki. Napoleon, spotkawszy się tam z księciem, przypadkowo wpadł w jedno z omdleń, którym często podlegał, i znalazł się w mocy księcia, czego książę nie wykorzystał, Bonaparte jednak w przyszłości odplacił księciu śmiercią za tę jego wspaniałomyślność.

Opowiadanie było bardzo przyjemne i zajmujące, szczególnie w tym miejscu, gdy rywale nagle poznają się nawzajem, zdaje się, że damy były poruszone.

– *Charmant*<sup>47</sup> rzekła Anna Pawłowna spoglądając pytająco na małą księżnę.

– *Charmant* – szepnęła malutka księżna wtykając igielkę w robótkę, jakby na znak, że ciekawy wątek i powab opowiadania przeszkadza jej pracować.

Wicehrabia ocenił tę milczącą pochwałę i, uśmiechnąwszy się z wdzięcznością, jął opowiadać dalej, lecz wówczas Anna Pawłowna, ciągle spoglądając na strasznego dla siebie młodego człowieka, spostrzegła, że ten jakoś nazbyt zapalczywie i głośno rozmawia z *l'abbe*, więc pośpieszyła z pomocą na ten niebezpieczny punkt. Istotnie, Pierre'owi udało się nawiązać z księdzem rozmowę o równowadze politycznej; ksiądz zaś, widząc zainteresowany naiwnym zapałem młodego człowieka, rozwijał przed nim swą ulubioną ideę. Obaj słuchali i mówili z nadmiernym ożywieniem i naturalnością, i to właśnie nie podobało się Annie Pawłownie.

– Jedyny sposób to równowaga europejska i *droit des gens*<sup>48</sup> – mówił ksiądz. – Wystarczy, by jedno tak potężne państwo jak Rosja, osławione jako barbarzyńskie, stanęło bezinteresownie na czele przymierza mającego na celu równowagę europejską – i ona zbawi świat.

– Jak pan odnajdzie taką równowagę? – zaczął już Pierre, lecz w tejże chwili zbliżyła się Anna Pawłowna i spojrzawszy surowo na Pierre'a zapytała Włocha, jak znosi tutejszy klimat. Twarz Włocha zmieniła się nagle i przybrała obrażająco obłudny i cikliwy wyraz, który widząc ksiądz przybierał z nawyku w rozmowach z kobietami.

– Jestem tak oczarowany powabami umysłu i wykształceniem towarzystwa, zwłaszcza kobiecego, do którego miałem szczęście być przyjętym, że jeszcze nie zdażyłem pomyśleć o klimacie – odrzekł.

Anna Pawłowna już nie wypuściła księdza i Pierre'a. Aby ułatwić sobie obserwację, przyłączyła ich do ogólnego kółka.

Tymczasem do salonu weszła nowa osobistość. Nową osobistością był młody książę Andrzej Bołkoński, mąż małej księżny. Książę Bołkoński był młodym człowiekiem niewielkiego wzrostu, wcale urodziwym, o wyrazistych suchych rysach twarzy. Wszystko w jego postaci, poczynając od zmęczonego i znudzonego spojrzenia aż do powolnego, miarowego kroku, stanowiło ostre przeciwieństwo do jego malutkiej ruchliwej żony. Widocznie wszyscy w salonie byli mu nie tylko znani, ale i sprzykrzyli mu się tak, iż nudziło go zarówno patrzeć na nich, jak i słuchanie ich. Ze wszystkich zaś twarzy, które mu się znudziły, najbardziej chyba uprzykrzyła mu się twarz jego ładniutkiej żony. Odwrócił się od niej z grymasem, który oszpecił jego piękną twarz. Pocałował w rękę Annę Pawłównę i mrużąc oczy przyjrzał się całemu towarzystwu.

– *Vous vous entrôlez pour la guerre, mon prince?*<sup>49</sup> – spytała Anna Pawłowna.

– *Le général Koutouloff* – powiedział Bołkoński akcentując jak Francuz ostatnią sylabę *zoff* – *a bien voulu de moi pour aide-de-camp...*<sup>50</sup>

– *Et Lise, votre femme?*<sup>51</sup>

<sup>46</sup> Panna George, znakomita aktorka francuska (1787–1867).

<sup>47</sup> Czarujące.

<sup>48</sup> Prawo narodów.

<sup>49</sup> Książę wybiera się na wojnę?

<sup>50</sup> Generał Kutuzow... zechciał mnie przyjąć na adiutanta...

- Pojedzie na wieś.
- Czy to nie grzech pozbawiać nas towarzystwa czarującej małżonki księcia?
- Andre – powiedziała do niego żona tym samym kokieteryjnym tonem, jakim się zwracała do obcych – co za historię opowiedział nam wicehrabia o m-lle George i Bonapartem!
- Książę Andrzej zmrużył oczy i odwrócił się, Pierre, który od chwili, gdy książę Andrzej wszedł do salonu, nie spuszczał z niego rozradowanych, przyjaznych oczu, podszedł do niego i ujął za rękę. Książę Andrzej, nie oglądając się skrzywił twarz w grymasie, wyrażającym gniew na tego, kto dotyka jego ręki, lecz zobaczywszy uśmiechniętą twarz Pierre<sup>1</sup> sam uśmiechnął się niespodziewanie dobrym i miłym uśmiechem.
- A, tak!... Więc i ty przebywałeś w wielkim świecie! – rzekł do Pierre'a.
- Wiedziałem, że książę będzie – odpowiedział Pierre. – Przyjadę do was na kolację – dodał cicho, by nie przeszkadzać wicehrabiemu, który ciągnął dalej swe opowiadanie. – Można?
- Nie, nie można – odrzekł książę Andrzej śmiejąc się i jednocześnie uściskiem ręki dając Pierre'owi do poznania, że nie trzeba o to pytać. Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz właśnie książę Wasilij i jego córka wstali; mężczyźni również podnieśli się, by ustąpić im z drogi.
- Proszę mi wybaczyć, drogi wicehrabio – rzekł książę Wasilij do Francuza, poufale ciągnąc go za rękaw ku krzesłu i dając tym do zrozumienia, aby nie wstawał.
- Ten niefortunny bal u posła pozbawia mnie przyjemności, a panu przeszkadza. Z przykrością opuszczam pani zachwycający wieczór – oświadczył Annie Pawłownie.
- Córka jego, księżniczka Hélène, przeszła między krzesłami, przytrzymując z lekka fałdy sukni; uśmiech na jej ślicznej twarzy jaśniał jeszcze promienniej. Kiedy przechodziła obok niego, Pierre patrzył na tę piękność zachwyconymi, omal przerażonymi oczyma.
- Bardzo ładna – rzekł książę Andrzej.
- Bardzo – rzekł Pierre.
- Przechodząc obok, książę ujął Pierre'a za rękę i zwrócił się do Anny Pawłowny.
- Proszę mi okrzesać tego niedźwiedzia – rzekł.
- Przebywa u mnie już miesiąc, a po raz pierwszy widzę go w świecie. Niczego bardziej nie trzeba młodemu człowiekowi niż towarzystwa rozumnych kobiet.

---

<sup>51</sup> A Liza, pańska żona?

## IV

Anna Pawłowna uśmiechnęła się i przyrzekła zająć się Pierre'em, który, jak wiedziała, był ze strony ojca krewnym księcia Wasilia. Niemłoda pani, która przedtem siedziała z *ma tante*, wstała pośpiesznie i dogoniła księcia w przedpokoju. Z twarzy jej zniknęło poprzednie sztuczne zaciekawienie. Jej dobra, stroskana twarz wyrażała tylko niepokój i obawę.

– Cóż mi książę powie o moim Borysie? – powiedziała doganiając księcia w przedpokoju. (Imię Borys wymawiała z osobliwym akcentem na o.) – Nie mogę pozostawać dłużej w Petersburgu. Proszę mi powiedzieć, jaką wiadomość mam zawieźć memu biednemu chłopcu.

Choć książę Wasilij słuchał niechętnie i niemal niegrzecznie, a nawet okazywał zniecierpliwienie, starsza dama uśmiechała się doń poufale i wzruszająco, a żeby nie odszedł, wzięła go za rękę.

– Cóż to szkodzi księciu rzec słówko monarsze, a Borys od razu zostanie przeniesiony do gwardii – prosiła.

– Proszę mi wierzyć, księżno, że zrobię wszystko, co będę mógł – odpowiedział książę Wasilij – ale trudno mi prosić monarchę; radziłbym udać się do Rumiancewa za pośrednictwem księcia Golicyna; tak byłoby rozsądniej.

Niemłoda pani nazywała się księżna Drubecka – jedno z najlepszych nazwisk Rosji – lecz była biedna, dawno przestała bywać w wielkim świecie i straciła dawne stosunki. Przyjechała teraz, by dla swego jedynaka wyjednać przyjęcie do gwardii. Po to tylko, by się zobaczyć z księciem Wasilem, wprosiła się i przybyła na wieczór do Anny Pawłowny, i po to tylko słuchała opowiadania wicehrabiego. Przestraszyły ją słowa księcia Wasilia; jej piękna ongi twarz wyraziła zawziętość, ale trwało to tylko chwilę. Znowu się uśmiechnęła i silniej przytrzymała księcia Wasilia za rękę.

– Proszę posłuchać – rzekła. – Nigdy księcia o nic nie prosiłam, nigdy nie będę prosić, nigdy nie przypominałam księciu o przyjaźni mego ojca dla niego. Teraz jednak zaklinam księcia na Boga, proszę to zrobić dla mojego syna, a będę uważać księcia za dobroczyńcę – dodała pospiesznie. – Nie, proszę się nie gniewać, lecz przyobiecać mi. Prosiłam Golicyna, odmówił. *Soyez le bon enfant que vous avez été*<sup>52</sup> – mówiła starając się uśmiechać, ale w oczach miała łzy.

– Papo, spóźnimy się – rzekła czekająca przy drzwiach księżniczka Hélène zwracając swą ładną głowę na posagowych ramionach.

Lecz wpływy w wielkim świecie to kapitał, którego należy strzec, by nie stopniał. Książę Wasilij wiedział o tym i raz zrozumiawszy, że gdyby zaczął wstawiać się za wszystkimi, którzy go proszą, wkrótce nie mógłby prosić o nic dla siebie, rzadko używał swego wpływu. Co się tyczy księżny Drubeckiej, to jednak poczuł po jej nowym wezwaniu coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Przypominała mu prawdę: swe pierwsze kroki na służbie państwowej zawdzięczał jej ojcu. Poza tym widział ze sposobu jej zachowania, że to jedna z tych kobiet, szczególnie matek, które wbiwszy sobie coś do głowy nie odczepią się dopóty, dopóki nie

---

<sup>52</sup> Proszę być dobrym jak dawniej.



spełni się ich żądania, w przeciwnym zaś razie gotowe są narzucać się co dzień, co chwila, a nawet robić sceny. Ten ostatni wzgląd zachwiał nim.

– *Chère Anna Michajlowna* – rzekł z właściwą sobie familiarnością i znudzeniem w głosie. – Zrobić to, o co mnie pani prosisz, jest dla mnie prawie niemożliwe; jednak by dowieść, jak panią lubię i jak czczę pamięć nieboszczyka jej ojca, zrobię rzecz niemożliwą: syn księżny zostanie przeniesiony do gwardii – oto moja ręka. Jest pani zadowolona?

– Kochany książę, jesteś mym dobrodziejem! Właśnie tego spodziewałam się po księciu; wiedziałam, jak jesteś dobry.

Książę chciał odejść.

– Proszę poczekać, jeszcze słówko. *Une fois passe aux gardes...*<sup>53</sup> zacięła się. – Książę jest dobrze z Michałem Iłarionowiczem Kutuzowem, proszę zarekomendować mu Borysa na adiutanta. Wtedy byłabym spokojna i wtedy bym już...

Książę Wasilij uśmiechnął się.

– Tego nie obiecuję. Księżna nie wie, jak Kutuzow jest oblegany od czasu, kiedy mianowano go naczelnym wodzem. Sam mi opowiadał, że chyba wszystkie moskiewskie panie zmówiły się, by mu oddać na adiutantów swych synów.

– Nie, kochany dobroczyńco, proszę mi przyobiecować, inaczej pana nie puszcze.

– Papo – powtórzyła tym samym tonem piękna panna – spóźnimy się.

– No, *au revoir*,<sup>54</sup> żegnam. Widzi księżna?

– Więc jutro książę zamelduje miłościwemu panu?

– Z całą pewnością, a co do Kutuzowa, to nie obiecuję.

– Nie, Basile, proszę mi obiecać, proszę obiecać – zawołała za nim Anna Michajlowna z uśmiechem młodej kokietki; kiedyś był jej prawdopodobnie właściwy, lecz teraz tak nie pasował do jej wymizerowanej twarzy.

Najwidoczniej księżna zapomniała o swych latach i z nawyku puszczała w ruch wszystkie dawne niewieście sposoby. Jednak gdy tylko książę wyszedł, twarz jej na nowo przybrała ów chłodny wyraz sztuczności, który miała przedtem. Wróciła do kółka, gdzie wicehrabia ciągnął dalej opowiadanie, i na nowo przybrała wygląd zasłuchanej, czekając na porę odjazdu, ponieważ załatwiła już swoją sprawę.

– A jak państwo znajdujecie tę ostatnią komedię *du sacre de Milan*<sup>55</sup> – rzekła Anna Pawłowna. – *Et la nouvelle comédie des peuples de Gênes et de Lucques, qui viennent présenter leurs vœux à M. Buonaparte. M. Buonaparte assis sur un trône et exauçant les vœux des nations! Adorable! Non, mais c'est à en devenir folle! On dirait, que le monde entier a perdu la tête.*<sup>56</sup>

Książę Andrzej uśmiechnął się patrząc prosto w oczy Anny Pawłowny.

– „*Dieu me la donne, gare à qui la touche*” – rzekł (słowa Bonapartego wypowiedziane przy wkładaniu korony).

– *On dit qu'il a été très beau en prononçant ces paroles* – dodał i jeszcze raz powtórzył te słowa po włosku: „*Dio mi la dona, guai a chi la tocca.*”<sup>57</sup>

– *J'espère enfin* – ciągnęła Anna Pawłowna – *que ça a été la goutte d'eau qui fera déborder la verre. Les souverains ne peuvent plus supporter cet homme, qui menace tout*<sup>58</sup>

<sup>53</sup> Kiedy już zostanie przeniesiony do gwardii...

<sup>54</sup> Do widzenia.

<sup>55</sup> Napoleon koronował się w r.1805 w Mediolanie koroną królów lombardzkich.

<sup>56</sup> koronacji w Mediolanie... I nowa komedia: lud Genui i Lukki składa życzenia panu Bonaparte. A pan Bonaparte siedzi na tronie i spełnia życzenia ludu. Wspaniale! Można od tego oszaleć. Chciałoby się rzec, że cały świat stracił głowę.

<sup>57</sup> Bóg mi dał ją. Biada temu, kto się jej tknie... Powiadają, że był bardzo piękny wygłaszając te słowa.

<sup>58</sup> Mam nadzieję... że to była wreszcie owa kropla wody, która przepelni szklanke. Władcy nie mogą dłużej cierpieć tego człowieka, który wszystkiemu zagraża.

– *Les souverains? Je ne parle pas de la Russie* – rzekł wicehrabia uprzejmie a beznadziejnie. – *Les souverains, madame! Qu'ont-ils fait pour Louis XVII, pour la reine, pour Madame Elisabeth? Rien* – ciągnął ożywiając się. – *Et croyez-moi, ils subissent la punition pour leur trahison de la cause des Bourbons. Les souverains? Ils envoient des ambassadeurs complimenter l'usurpateur.*<sup>59</sup>

I westchnąwszy pogardliwie, znowu zmienił pozycję. Książę Hipolit, który długo patrzył przez lorgnon na wicehrabiego, nagle przy tych słowach odwrócił się całym ciałem do małej księżny i poprosiwszy ją o igielkę, jął pokazywać jej, rysując na stole igielką, herb książąt Conde. Objaśniał jej ten herb z tak znaczącą miną, jakby księżna go o to prosiła.

– *Bâton de gueules, engrêlé de gueules d'azur – maison Condé*<sup>60</sup> – mówił.

Księżna słuchała z uśmiechem.

– Jeśli Bonaparte jeszcze rok przetrwa na tronie Francji – ciągnął wicehrabia rozpoczętą rozmowę, z miną człowieka, który innych nie słucha, lecz w sprawie, którą zna lepiej niż wszyscy, śledzi tylko bieg swych myśli – to sprawy zajdą zbyt daleko. Intrygą, gwałtem, wygnaniem, egzekucjami towarzystwo francuskie – mam na myśli wyższe sfery – zostanie unicestwione na zawsze, a wtedy...

Wzruszył ramionami i rozłożył ręce. Pierre już chciał coś powiedzieć (rozmowa interesowała go), lecz pilnująca go Anna Pawłowna przerwała mu.

– Cesarz Aleksander – odezwała się z melancholią, która stale towarzyszyła jej słowom, gdy mówiła o rodzinie cesarskiej – oznajmił, że samym Francuzom pozostawi wybór formy rządu. I myślę, że bez wątpienia cały naród, uwolniwszy się od uzurpatora, rzuci się w ramiona prawowitego króla – oświadczyła Anna Pawłowna starając się być uprzejmą dla emigranta-rojalisty.

– To wątpliwe – oświadczył książę Andrzej. – *Monsieur le vicomte* utrzymuje zupełnie słusznie, że sprawy posunęły się już za daleko. Myślę, iż trudno będzie powrócić do przeszłości.

– O ile słyszałem – Pierre, czerwieniejąc, znowu się wmieszał do rozmowy – cała prawie szlachta przeszła już na stronę Bonapartego.

– Tak powiadają bonapartyści – rzekł wicehrabia nie patrząc na Pierre'a. – Teraz trudno poznać opinię publiczną we Francji.

– *Bonaparte l'a dit*<sup>61</sup> – rzekł z uśmiechem książę Andrzej. Widać było, że wicehrabia mu się nie podoba, a choć nie patrzył na niego, przeciw niemu kierował swe słowa.

– „*Je leur ai montré le chemin de la gloire* – dodał po krótkim milczeniu, znowu powtarzając słowa Napoleona. – *Ils n'en ont pas voulu; je leur ai ouvert mes antichambres, ils se sont précipités en foule...*” *Je ne sais pas à quel point il a eu le droit de le dire.*<sup>62</sup>

– *Aucun* – zaoponował wicehrabia. – Po zabójstwie księcia najwięksi zapaleńcy przestali w nim widzieć bohatera. *Si même ça a été un héros pour certains gens* – oświadczył wicehrabia zwracając się do Anny Pawłowny – *depuis l'assassinat du duc il y a un martyr de plus dans le ciel, un héros de moins sur la terre.*<sup>63</sup>

Anna Pawłowna oraz inni nie zdążyli jeszcze ocenić uśmiechem tych słów wicehrabiego, a już Pierre znowu wdarł się do rozmowy. A choć Anna Pawłowna przeczuwała, że powie coś niewłaściwego, nie mogła go powstrzymać.

<sup>59</sup> Władcy? Nie mówię o Rosji... Władcy! Cóż oni zrobili dla Ludwika XVII, dla królowej, dla królowny Elżbiety? Nic... I proszę mi wierzyć, ponoszą karę za zdradę sprawy Burbonów. Władcy? Ślą posłów z gratulacjami dla uzurpatora.

<sup>60</sup> Belecza czerwona, żąbkowana czerwono na niebieskim – dom Kondeuszów.

<sup>61</sup> To powiedział Bonaparte.

<sup>62</sup> Pokazałem im drogę sławy... Nie chcieli jej; otworzyłem im swe przedpokoje, rzucili się tłumnie... Nie wiem, do jakiego stopnia miał on prawo tak mówić.

<sup>63</sup> Żadnego... Jeśli nawet dla pewnych ludzi był on bohaterem... to po zamordowaniu księcia jest o jednego męczennika w niebie więcej, a o jednego bohatera mniej na ziemi.

– Egzekucja księcia d'Enghien – rzekł Pierre – była koniecznością państwową, i ja właśnie w tym, że Napoleon nie uląkł się wziąć na siebie odpowiedzialności za ten postępek, widzę wielkość jego duszy.

– *Dieu! Mon Dieu!*<sup>64</sup> – wyrzekła Anna Pawłowna strasznym szeptem.

– *Comment, monsieur Pierre, vous trouvez que l'assassinat est grandeur d'âme?*<sup>65</sup> – rzekła mała księżna uśmiechając się i przysuwając do siebie robótkę.

– Ach! Och! – odezwały się różne głosy.

– *Capital!*<sup>66</sup> – rzekł po angielsku książę Hipolit i jął uderzać się dłonią po kolanie. Wicehrabia tylko wzruszył ramionami.

Pierre spojrział tryumfalnie sponad okularów na słuchaczy.

– Dlatego tak mówię – ciągnął desperacko – że Burbonowie uciekli przed rewolucją i pozostawili naród na łup anarchii, jeden Napoleon potrafił zrozumieć rewolucję i ujarzmił ją, toteż dla dobra powszechnego nie mógł się zawahać przed poświęceniem życia jednego człowieka.

– Nie zechciałby pan przejść do tamtego stołu? – rzekła Anna Pawłowna, lecz Pierre nie odpowiadając ciągnął dalej.

– Nie – mówił zapalając się coraz bardziej – Napoleon jest wielki, ponieważ stanął ponad rewolucją; zdławił jej nadużycia, a zachował wszystko, co dobre – równość obywateli, wolność słowa i druku – i tylko dlatego osiągnął władzę.

– Tak, gdyby objąwszy władzę nie używał jej dla mordów, ale oddał ją prawowitemu królowi – powiedział wicehrabia – wówczas i ja bym go nazwał człowiekiem wielkim.

– Nie mógłby tego zrobić. Lud dał mu władzę tylko po to, by go uwolnił od Burbonów, i dlatego, że widział w nim człowieka wielkiego. Rewolucja była wielką sprawą – ciągnął monsieur Pierre dając tym wyzywająco wtrąconym zdaniem wyraz swej wielkiej młodości i pragnieniu, by jak najrychlej wszystko wypowiedzieć.

– Rewolucja i królobójstwo – to wielkie dzieła?... Ale... czy nie zechciałby pan przejść do tamtego stołu? – powtórzyła Anna Pawłowna.

– *Contrat social*<sup>67</sup> – rzekł wicehrabia uśmiechając się łagodnie.

– Ja nie mówię o królobójstwie. Ja mówię o ideach.

– Tak, idee grabieży, zabójstw i królobójstwa – znów przerwał ironiczny głos.

– To były krańcowości, rozumie się, i nie one mają znaczenie; całe znaczenie polega na prawach człowieka, emancypacji od przesądów i równości obywateli. A te wszystkie idee Napoleon utrzymał w całej mocy.

– Wolność i równość – rzekł lekceważąco wicehrabia, jak gdyby wreszcie zdecydował udowodnić poważnie temu młodzieńcowi całą niedorzeczność jego wywodów – to są tylko szumne słowa, które już dawno zostały skompromitowane. Któż nie kocha wolności i równości? Już Zbawiciel nasz głosił wolność i równość. Czyż po rewolucji ludzie stali się szczęśliwsi? Przeciwnie. Myśmy chcieli wolności, a Bonaparte ją zniszczył.

Książę Andrzej spoglądał z uśmiechem to na Pierre'a, to na wicehrabiego, to na panią domu. W pierwszej chwili wybryk Pierre'a przeraził Annę Pawłowną – pomimo całego jej obyczaju, lecz kiedy zobaczyła, że wicehrabia nie traci zimnej krwi z powodu bluźnierstw wygłaszanych przez Pierre'a, i gdy się przekonała, że tych słów już nie można zatrzeć, zebrała siły i przyłączając się do wicehrabiego wpadła na mowę.

– *Mais, mon cher monsieur Pierre*<sup>68</sup> – rzekła Anna Pawłowna – jakże można nazywać wielkim człowieka, który mógł skazać księcia, nawet po prostu człowieka, bez sądu i bez winy?

---

<sup>64</sup> Boże! Mój Boże!

<sup>65</sup> Jak to... w morderstwie widzi pan wielkość duszy?

<sup>66</sup> Świetnie!

<sup>67</sup> Umowa społeczna.

– Zapytałbym – odezwał się wicehrabia – jak monsieur tłumaczy 18 Brumaire'a<sup>69</sup> Czyż to nie oszustwo? *C'est un escamotage, qui ne ressemble nullement à la manière d'agir d'un grand homme.*<sup>70</sup>

– A jeńcy w Afryce, których pozabijał? – wtrąciła mała księżna. – To straszne! – I wzruszyła ramionami.

– *C'est un roturier, vous aurez beau dire*<sup>71</sup> – powiedział książę Hipolit.

Monsieur Pierre nie wiedział, komu odpowiedzieć: spojrzał po wszystkich i uśmiechnął się. Uśmiech jego nie był podobny do uśmiechu innych ludzi, u których przechodzi on w nie-uśmiech. Przeciwnie, kiedy Pierre się uśmiechał, to nagle, w jednym mgnieniu, znikala twarz poważna, a nawet nieco posepna, a zjawiała się inna – dziecięca, dobra, nawet głupkowata i jakby prosząca o przebaczenie.

Wicehrabia, który go widział po raz pierwszy, od razu pojął, że ten jakobin nie jest taki straszny jak jego słowa. Wszyscy umilkli.

– Czy państwo chcą, by odpowiadał wszystkim naraz? – rzekł książę Andrzej. – Poza tym w postępowaniu męża stanu trzeba odróżniać postępowanie osoby prywatnej od postępowania wodza czy władcy. Tak mi się zdaje.

– Ma się rozumieć – podchwycił Pierre, ucieszony z pomocy.

– Trzeba przyznać – ciągnął książę Andrzej – że Napoleon jako człowiek jest wielki na moście d'Arcole, w szpitalu w Jaffie, gdzie zadżumionym podaje rękę, ale... ale przecież są inne postęпки, które trudno usprawiedliwić.

Książę Andrzej pragnął widać złagodzić niezręczność słów Pierre'a; wstał zabierając się do odejścia i dał znak żonie.

Nagle podniósł się książę Hipolit gestykulując i prosząc gości, aby się zatrzymali i usiedli, zaczął mówić:

– *Ah! aujourd'hui on m'a raconté une anecdote moscovi-te, charmante; il faut que je vous en régale. Vous m'excusez, vicomte, il faut que je raconte en russe. Autrement on ne sen-tira pas le sel de l'histoire.*<sup>72</sup>

I książę Hipolit zaczął mówić po rosyjsku z takim akcentem, jak mówią Francuzi, którzy z rok przebyli w Rosji. Wszyscy się zatrzymali: z takim ożywieniem i z takim naciskiem książę Hipolit żądał uwagi dla swej anegdoty.

– W Moscou jest jedna pani, *une dame*. I ona jest bardzo skąpa. Musiała mieć dwa *valets de pied* za kareta... I bardzo duży wzrostem. To było w jej gust. I ona miała *une femme de chambre*<sup>73</sup> jeszcze większy wzrostem. Ona powiedziała...

Tutaj książę Hipolit zamyślił się kombinując widać z trudem.

– Ona powiedziała... tak, ona powiedziała: „Dziewczyna (*à la femme de chambre*), wdziejawaj *livrée* i pojedziem ze mną, za kareta, *faire des visites.*”<sup>74</sup>

Tu książę Hipolit parsknął i zaśmiał się znacznie wcześniej niż jego słuchacze, co wywołało niekorzystne dla narratora wrażenie. Jednak wiele osób, a wśród nich starsza dama oraz Anna Pawłowna, uśmiechnęło się.

– Ona pojechała. Nagle się zrobiła mocna wiatr. Dziewczyna zgubiła kapelusz i długi włosy rozsypali się...

Tu już nie mógł się dłużej powstrzymać i jął śmiać się urywanie i przez śmiech wyrzekł:

---

<sup>68</sup> Ależ, drogi monsieur Pierre.

<sup>69</sup> 18 Brumaire'a według kalendarza republikańskiego (9 października) 1799 r. Napoleon po powrocie z wyprawy egipskiej obalił Dyrektoriat i utworzył Konsulat, przybierając tytuł pierwszego konsula.

<sup>70</sup> To oszustwo, które niczym nie przypomina postępowania wielkiego człowieka.

<sup>71</sup> To parweniusz, nie ma co mówić.

<sup>72</sup> Ach, opowiedziano mi dzisiaj wspaniałą anegdotę moskiewską, muszę nią państwa uraczyć. Proszę wybaczyć, wicehrabio, ale muszę opowiadać po rosyjsku; inaczej zginie cały dowcip.

<sup>73</sup> Lokajów... pokojówkę.

<sup>74</sup> Liberię... składać wizyty.

– I cały świat się dowiedział...

Na tym anegdota się skończyła. A choć nie można było pojąć, dlaczego księżę ją opowiada i dlaczego trzeba było koniecznie opowiadać po rosyjsku, Anna Pawłowna oraz inni ocenili światową uprzejmość księcia Hipolita, który tak przyjemnie zakończył nieprzyjemne i nieuprzejme wystąpienie monsieur Pierre'a. Po anegdocie rozmowa się rozpadła na drobne, mało znaczące uwagi o przyszłym i o minionym balu, o spektaklu, o tym, kto gdzie się z kim spotka.

## V

Podziękowawszy Annie Pawłownie za jej *charmante soirée*<sup>75</sup> goście zaczęli się rozchodzić.

Pierre był niezgrabny. Tęgi i wzrostu wyższego niż przeciętny, barczysty, z ogromnymi czerwonymi rękami, nie potrafił – jak to się mówi – wejść do salonu, a tym bardziej wyjść, to znaczy powiedzieć przed wyjściem coś osobliwie przyjemnego. Poza tym był roztargniony. Wstając, zamiast swego kapelusza chwycił stosowany kapelusz z generalskim pióropuszem i dopóty go trzymał skubiąc kitę, dopóki generał nie poprosił o zwrot. Lecz całe to roztargnienie oraz nieumiejętność wejścia do salonu i prowadzenia rozmowy były okupione wyrazem dobroduszości, prostoty i skromności. Anna Pawłowna zwróciła się do niego i, z chrześcijańską dobrocią dając do zrozumienia, że wybacza mu jego wybryk, skinęła głową i rzekła:

– Mam nadzieję, że pana jeszcze tu zobaczę, lecz mam również nadzieję, że zmienisz swe opinie, drogi monsieur Pierre.

Kiedy mu to oświadczyła, on nic nie odpowiedział, tylko się skłonił i jeszcze raz okazał wszystkim swój uśmiech, który nic nie mówił, chyba jedno: „Opinie opiniami, a przecie widzicie, jaki ze mnie dobry, wspaniały chłopiec.” I wszyscy, również i Anna Pawłowna, mimowolnie to odczuli.

Książę Andrzej wszedł do przedpokoju i podstawiając ramiona lokajowi, wkładającemu mu płaszcz, obojętnie przysłuchiwał się paplaninie swej żony z księciem Hipolitem, który również wszedł do przedpokoju. Książę Hipolit stał obok ładniutkiej brzemiennej księżny i uparcie przyglądał się jej przez lorgnon.

– Proszę już iść, Annette, przeiębi się pani – mówiła mała księżna żegnając się z Anną Pawłowną. – *C'est arrêté*<sup>76</sup> – dodała cicho.

Anna Pawłowna już zdążyła pomówić z Lizą o zamierzonych swatach między Anatolem a szwagierką małej księżnej.

– Liczę na panią, droga przyjaciółko – rzekła Anna Pawłowna również cicho – że napisze pani do niej i opowie mi, *comment le père envisagera la chose. Au revoir.*<sup>77</sup>

– I wyszła z przedpokoju.

Książę Hipolit zbliżył się do małej księżny i pochyliwszy ku niej blisko swą twarz jął coś mówić półszepem.

Dwaj lokaje – jeden księżny, drugi księcia Hipolita – czekając, aż skończą rozmowę, stali z szalem i paltotem i przysłuchiwali się niezrozumiałej dla nich francuszczyźnie, ale z takimi minami, jak gdyby rozumieli, o czym się mówi, lecz nie chcieli tego okazać. Księżna, jak zawsze, mówiła z uśmiechem i słuchała śmiejąc się.

– Bardzo się cieszę, że nie pojechałem do posła – mówił książę Hipolit. – Nudy... Piękny wieczór, prawda, piękny?

– Powiadają, że bal będzie bardzo ładny – odpowiedziała księżna unosząc wargę z wąsikami. – Będą tam wszystkie ładne kobiety z towarzystwa.

<sup>75</sup> Czarujący wieczór.

<sup>76</sup> To postanowione.

<sup>77</sup> Jak ojciec będzie się zapatrywał na te sprawę. Do widzenia.

– Nie wszystkie, bo pani tam nie będzie; nie wszystkie – powiedział książę Hipolit śmiejąc się radośnie, a wyrwawszy szal lokajowi, że aż go popchnął, zaczął okrywać księżną. Czy to przez niezręczność, czy też umyślnie (nikt by nie mógł tego rozpoznać), długo nie opuszczał rąk, chociaż szal był już narzucony. Zdawał się jak gdyby obejmować młodą kobietę.

Ona, wciąż uśmiechnięta, z wdziękiem usunęła się, odwróciła i spojrzała na męża. Książę Andrzej oczy miał przymknięte: wydawał się zmęczony i senny.

– Jesteś gotowa? – zapytał żonę omijając ją wzrokiem. Książę Hipolit pospiesznie wdział swój paltot, który mu wedle nowej mody opadał poniżej pięt, i płacząc się w nim, wybiegł na ganek za księżną, którą lokaj podsadzał do karety.

– *Princesse, au revoir!*<sup>78</sup> – wołał, a język mu się plątał, zarówno jak nogi.

Księżna, zbierając suknię, sadowiła się w ciemnościach karety, jej mąż poprawiał szablę, książę Hipolit pod pretekstem pomagania przeszkadzał wszystkim.

– Przepraszam, łaskawco – sucho, niecierpliwie zwrócił się po rosyjsku książę Andrzej do księcia Hipolita, który przeszkadzał mu przejść.

– Czekam na ciebie, Pierre – rzekł i głos jego zabrzmiał tkliwie i delikatnie.

Stangret ruszył i koła karety zagrzmiały. Książę Hipolit śmiał się urywanie stojąc na ganku i czekając na wicehrabiego, którego obiecał odwiedzić do domu.

– *Eh bien, mon cher, votre petite princesse est très bien, très bien* – oświadczył wicehrabia wsiadłszy do karety z Hipolitem. – *Mais très bien.* – Pocałował sobie koniuszki palców. – *Et tout-à-fait Française.*<sup>79</sup>

Hipolit prychnął i zaśmiał się.

– *Et savez-vous que vous êtes terrible avec votre petit air innocent* – ciągnął wicehrabia. – *Je plains le pauvre mari, ce petit officier, qui se donne des airs de prince régnant.*<sup>80</sup>

Hipolit prychnął jeszcze raz i rzekł poprzez śmiech:

– *Et vous disiez que les dames russes ne valaient pas les dames françaises. Il faut savoir s'y prendre.*<sup>81</sup>

Pierre przyjechał wcześniej, jako domownik wszedł do gabinetu księcia Andrzeja, zaraz wedle zwyczaju położył się na kanapie i wziąwszy z półki pierwszą z brzegu książkę (były to *Pamiętniki Cezara*), wsparty na łokciu, zaczął ją czytać od środka.

– Coś ty narobił m-lle Scherer? Całkiem się teraz rozchoruje – rzekł książę Andrzej wchodząc do gabinetu i zacierając małe białe dłonie.

Pierre okręcił się całym ciałem, aż zaskrzyphiała kanapa, zwrócił do księcia Andrzeja ożywioną twarz, uśmiechnął się i machnął ręką.

– Tak, ten *l'abbé* jest bardzo interesujący, ale pojmuje sprawę nie tak, jak trzeba... Według mnie, wieczysty pokój jest możliwy, ale nie potrafię tego wypowiedzieć... Tylko że nie przez równowagę polityczną...

Książę Andrzej, widać, nie interesował się tymi abstrakcyjnymi rozmowami.

– *Mon cher,*<sup>82</sup> nie można wszędzie i wszystkim mówić tego, co tylko myślisz. No cóż, zdecydowałeś się wreszcie na coś? Czym zostaniesz – kawalergardem czy dyplomatą? – zapytał książę Andrzej po chwili milczenia.

Pierre usiadł na kanapie podwinąwszy nogi.

– Proszę sobie wyobrazić, że ciągle jeszcze nie wiem. Nie podoba mi się ani to, ani tamto.

– Ale trzeba się przecie na coś zdecydować. Ojciec twój czeka.

---

<sup>78</sup>Księżno, do widzenia!

<sup>79</sup>No, mój drogi, pańska malutka księżna jest bardzo ładna, bardzo... Ale to bardzo ładna... I zupełnie jak Francuzka.

<sup>80</sup> I wiesz, książę, jesteś straszny z tą swoją niewinną minką... Żal mi biednego męża, tego oficerka, który przybiera miny księcia krwi.

<sup>81</sup> A pan mówił, że damy rosyjskie niewarte są Francuzek... Trzeba umieć się zabrać.

<sup>82</sup> Mój drogi.

Pierre, mając lat dziesięć, został wysłany za granicę z guwernerem-księdzem, przebywał tam do dwudziestego roku życia. Kiedy powrócił do Moskwy, ojciec zwolnił *l'abbé* i rzekł do młodego człowieka: „Teraz jedź do Petersburga, rozejrzyj się i wybieraj. Zgadzam się na wszystko. Masz tu list do księcia Wasilia, a tu – pieniądze. Pisz o wszystkim, we wszystkim ci pomogę.” Pierre już od trzech miesięcy wybierał karierę i nic nie robił. Właśnie o tym wyborze mówił z nim książę Andrzej. Pierre tarł czoło.

– On chyba musi być masonem – rzekł mając na myśli *l'abbé*, którego widział na przyjęciu.

– To wszystko banialuki – przerwał mu znowu książę Andrzej. – Pomówmy lepiej o rzeczy. Byłeś w gwardii konnej?...

– Nie, nie byłem, ale przyszło mi coś do głowy, co chciałem księciu powiedzieć. Teraz jest wojna przeciw Napoleonowi. Gdyby to była wojna o wolność – zrozumiałbym, pierwszy bym wstąpił do wojska, ale pomagać Anglii i Austrii przeciw największemu człowiekowi świata – to niedobrze...

Książę Andrzej tylko wzruszył ramionami słuchając dziecinnych słów Pierre'a. Dał do poznania, że na takie głupstwa nie można odpowiadać, istotnie, na to naiwne pytanie trudno było odpowiedzieć inaczej, niż odpowiedział książę Andrzej.

– Gdyby wszyscy wojowali tylko zgodnie z przekonaniem, toby wojen nie było – rzekł.

– I to byłoby pięknie – odpowiedział Pierre. Książę Andrzej uśmiechnął się.

– Bardzo możliwe, że byłoby pięknie, ale tak nigdy nie będzie...

– No, a dlaczego książę idzie na wojnę? – zapytał Pierre.

– Dlaczego? Nie wiem. Tak trzeba. Poza tym idę... – przerwał. – Idę dlatego, że to życie, które tutaj prowadzę, to życie nie dla mnie!



## VI

W sąsiednim pokoju zaszeleściła suknia kobieca. Książę Andrzej, jakby się ocknąwszy, otrząsnął się, a twarz jego przybrała ten sam wyraz, jaki miała w salonie Anny Pawłowny.

Pierre spuścił nogi z kanapy. Weszła księżna. Była już w innej sukni, domowej, ale równie eleganckiej i świeżej. Książę Andrzej wstał i grzecznie przysunął jej fotel.

– Myślę często, dlaczego – zaczęła księżna jak zawsze po francusku, pospiesznie i skrętnie sadowiąc się w fotelu – dlaczego Annette nie wyszła za męża? Jacyście wy wszyscy głupi, *messieurs*<sup>83</sup>, żeście się z nią nie ożenili. Wybaczcie mi, ale całkiem nie rozumiecie się na kobietach. Ale z pana dysputant, monsieur Pierre.

– Z małżonkiem pani też ciągle dysputuję, nie rozumiem, dlaczego chce iść na wojnę – powiedział Pierre, bez żadnego skrępowania (tak zwykłego u młodego mężczyzny względem młodej kobiety) zwracając się do księżny.

Księżna wzdrygnęła się. Widocznie słowa Pierre'a przejęły ją do głębi.

– Ach, ja mówię to samo! – rzekła. – Nie rozumiem, stanowczo nie rozumiem, czemu mężczyźni nie mogą żyć bez wojny? Dlaczego my, kobiety, niczego nie chcemy, dlaczego nic nam nie potrzeba! No, bądźże pan sędzią. Ciągłe mu powtarzam: tutaj jest adiutantem wujaszka, nader świetna pozycja. Wszyscy go znają, cenią. Niedawno słyszałam u Apraksinów, jak pewna dama pytała: „*C'est ça le fameux prince André?*” *Ma parole d'honneur!*<sup>84</sup> – zaśmiała się.

– Wszędzie jest tak przyjmowany. Bardzo łatwo mógłby zostać fligiel-adiutantem. Wie pan, monarcha nader łaskawie z nim rozmawiał. Mówiliśmy z Annette, że to bardzo łatwo można by urządzić. Jak pan myślisz?

Pierre spojrzął na księcia Andrzeja, a zauważywszy, że rozmowa nie podoba się przyjacielowi, nic nie odpowiedział.

– Kiedy książę jedzie? – zapytał.

– *Ah! ne me parlez pas de ce départ, ne m'en parlez pas. Je ne veux pas en entendre parler* – zaczęła mówić księżna tym samym kapryśnie-filuternym tonem, jakim rozmawiała w salonie z Hipolitem, ale który wyraźnie mało pasował do domowego kółka, gdzie Pierre był jakby członkiem rodziny.

– Dzisiaj, kiedy pomyślałam, że trzeba zerwać te wszystkie cenne stosunki... A zresztą, ty wiesz, Andre? – znacząco mrugnęła na męża. – *J'ai peur, j'ai peur!*<sup>85</sup> – wyszeptwała, a plecy jej drgnęły.

Mąż patrzył na nią z takim wyrazem, jakby się zdziwił zauważywszy, że oprócz niego i Pierre'a jeszcze ktoś znajduje się w pokoju, jednak z chłodną grzecznością zwrócił się pytająco do żony:

– Czegóż się boisz Lizo? Nie mogę zrozumieć – oświadczył.

– Otóż to, wszyscy mężczyźni są egoistami. Wszyscy, wszyscy są egoistami! Dla swoich kaprysów. Bóg wie czemu, rzuca mnie, zamyka samą na wsi.

---

<sup>83</sup> Panowie.

<sup>84</sup> To ten słynny książę Andrzej? Słowo honoru!

<sup>85</sup> Ach, proszę; mi nie mówić o tym wyjeździe, proszę; nie mówić. Nic chcę o tym słyszeć... Boję się, boję!

- Z ojcem i siostrą, nie zapominaj – rzekł spokojnie książę Andrzej.
- Wszystko jedno: samą, bez mych przyjaciół... I chce, żebym się nie bała.

Ton jej był już zrzędcący, maleńka warga uniosła się nadając jej twarzy nie radosny, ale zwierzęcy, wiewiórczy wyraz. Umilkła, jakby uważając za niestosowne mówić wobec Pierre'a o ciąży, gdyż w tym właśnie tkwiła istota sprawy.

– A przecież nie zrozumiałem, *de quoi vous avez peur*<sup>86</sup> – powiedział wolno książę Andrzej nie spuszczać oczu z żony.

Księżna poczerwieniała i rozpaczliwie zatrzepotała rękami.

– *Non, André, je dis que vous avez tellement, tellement changé...*<sup>87</sup>

– Twój lekarz każe ci wcześniej kłaść się spać – oświadczył książę Andrzej. – Położyłabyś się.

Księżna nic nie odpowiedziała, ale nagle jej krótka warga z wąsikami zadrgała; książę Andrzej wstał i wzruszywszy ramionami przeszedł się po pokoju.

Pierre, zdumiony, patrzył naiwnie przez okulary to na niego, to na księżnę i poruszył się, jakby również chciał wstać, ale się rozmyślił.

– Co mnie to obchodzi, że jest tutaj monsieur Pierre – rzekła nagle mała księżna i jej ładniutka twarz rozplynęła się nagle w płaczliwym grymasie. – André, już dawno ci chciałam powiedzieć: dlaczegoś się tak zmienił dla mnie? Co ci zrobiłam? Odjeżdżasz do wojska, nie żal ci mnie. Za co?

– Lise! – powiedział tylko Andrzej, lecz w tym słowie była i prośba, i pogrożka, a co najważniejsze – pewność, że żona sama pożałuje tych słów, ale ona ciągnęła spieszenie:

– Traktujesz mnie jak chorą albo jak dziecko. Ja wszystko widzę. Czyś taki był pół roku temu?

– Lise, proszę cię, przestań – powiedział książę jeszcze dobitniej.

Pierre, którego ta rozmowa coraz bardziej poruszała, wstał i zbliżył się do księżny. Widać nie mógł znieść widoku łez i sam gotów był się rozplakać.

– Księżno, proszę się uspokoić. Wszystko to się pani wydaje, upewniam panią, że sam doświadczyłem... dlaczego... dlatego że... Przepraszam, obcy tu jest zbędny... Nie, proszę się uspokoić... Żegnam...

Książę Andrzej przytrzymał go za rękę.

– Nie, Pierre, poczekaj. Księżna jest tak dobra, że nie zechce mnie pozbawić przyjemności spędzenia wieczoru z tobą.

– Tak, on myśli tylko o sobie – rzekła księżna nie wstrzymując łez gniewu.

– Lise – rzekł oschle książę Andrzej tonem podniesionym do tego stopnia, który wskazuje, że cierpliwość została wyczerpana.

Gniewny, wiewiórczy wyraz pięknej twarzyczki księżny zmienił się nagle w pociągający i wzbudzający współczucie wyraz lęku, spod rzęs spojrzęła na męża swymi ślicznymi oczkami, a na jej twarzy ukazał się ów wyraz bojaźliwej skruchy, jaki miewa pies, szybko, ale słabo merdający spuszczone ogonem.

– *Mon Dieu, mon Dieu!*<sup>88</sup> – rzekła księżna i zebrawszy ręką fałdy sukni podeszła do męża i pocałowała go w czoło.

– *Bonsoir, Lise*<sup>89</sup> – powiedział książę wstając i uprzejmie, niby obcą, całując ją w rękę.

Przyjaciele milczeli. Ani jeden, ani drugi nie zaczynał rozmowy. Pierre spoglądał na księcia Andrzeja, książę Andrzej pocierał czoło swą drobną ręką.

– Chodźmy na kolację – rzekł z westchnieniem i wstając skierował się ku drzwiom.

---

<sup>86</sup> Czego się boisz.

<sup>87</sup> Och, Andrzeju, jakieś ty się zmienił, jakieś się zmienił...

<sup>88</sup> Mój Boże, mój Boże!

<sup>89</sup> Dobranoc, Lizo.

Weszli do wytwornej jadalni, świeżo i bogato urządzonej. Wszystko, od serwet do srebra, porcelany i kryształów, miało na sobie owo osobliwe piętno nowości, jakie bywa w gospodarstwie młodego małżeństwa. W połowie kolacji książę Andrzej wsparł się na łokciach i, jak człowiek, któremu już dawno coś leży na sercu i który nagle postanowił wywnętrzyć się, zaczął mówić z wyrazem nerwowego rozdrażnienia, jakiego Pierre jeszcze nie widział u swego przyjaciela.

– Nigdy, nigdy nie żeń się, mój drogi, radzę ci, nie żeń się dopóty, dopóki sobie nie powiesz, żeś zrobił wszystko, coś mógł, i dopóty aż nie przestaniesz kochać kobiety, którą wybrał, dopóki jej nie przejrzyś, inaczej – popelnisz błąd okrutny i nie do naprawienia. Żeń się, kiedy już będziesz stary, niezdatny do niczego... Inaczej wszystko, co jest w tobie dobrego i wzniosłego, przepadnie. Wszystko rozproszy się w drobiazgach. Tak, tak, tak! Nie patrz na mnie z takim zdziwieniem. Jeśli spodziewasz się czegoś po sobie w przyszłości, to na każdym kroku będziesz czuł, że wszystko dla ciebie się skończyło, wszystko jest zamknięte z wyjątkiem salonu, gdzie może znajdziesz się na jednej stopie z nadwornym lokajem oraz idiotą... Co tam!

Machnął ręką energicznie.

Pierre zdjął okulary, wskutek czego twarz jego zmieniła się i w jeszcze większym stopniu wyrażała dobroć, i zdziwiony patrzył na przyjaciela.

– Moja żona – ciągnął dalej książę Andrzej – to wspaniała kobieta. To jedna z tych rzadkich kobiet, z którymi można być spokojnym o swój honor, lecz Boże drogi, cóż dałbym teraz za to, żeby nie być żonatym! Mówię to tobie jedynemu i pierwszemu, ponieważ cię kocham.

Mówiąc to książę Andrzej był jeszcze mniej niż przedtem podobny do tego Bołkońskiego, który, rozparty w fotelu u Anny Pawłowny, mrużąc oczy cedził przez zęby francuskie zdania. Jego pociągła twarz wciąż drgała nerwowym ożywieniem każdego mięśnia, oczy, w których przedtem ogień życia wydawał się zgaszony, teraz jaśniały promiennym, jasnym blaskiem. Widać było, że im bardziej zdawał się zazwyczaj apatyczny, tym energiczniejszy bywał w chwilach rozdrażnienia.

– Nie rozumiesz, dlaczego to mówię – ciągnął. – Przecież to cała historia życia. Ty powiadasz, Bonaparte i jego kariera – rzekł, choć Pierre nie mówił wcale o Bonapartem. – Ty powiadasz, Bonaparte, ale kiedy Bonaparte pracował, kiedy krok za krokiem zmierzał do swego celu, był wolny, nie miał nic prócz swego celu i – osiągnął go. Lecz zwiąż się z kobietą, a stracisz wszelką swobodę – niczym skutki więzień. I wszystkie twoje nadzieje, siły, wszystko już tylko ciąży i udręcza cię żalem. Salony, plotki, bale, próżność, nicość – oto zaczarowane koło, z którego nie mogę się wydostać. Teraz idę na wojnę, wojnę największą ze wszystkich, które były, i nic nie umiem, do niczego się nie nadaję. *Je suis très aimable et très caustique* – ciągnął dalej książę Andrzej – i u Anny Pawłowny chętnie mnie słuchają. I to głupie towarzystwo, bez którego moja żona nie potrafi żyć, i te kobiety... Gdybyś mógł wiedzieć, jakie są *toutes les femmes distinguées*<sup>90</sup>, i w ogóle kobiety! Ojciec mój ma rację. Egoizm, próżność, tępota, nicość pod każdym względem – oto kobiety, kiedy się ukazują takimi, jakimi są naprawdę. Kiedy patrzysz na nie w towarzystwie, wydaje się, że to jest coś, a to nic, nic, nic! Tak, moje serce, nie żeń się, nie żeń – zakończył książę Andrzej.

– Śmiesz mnie – rzekł Pierre – że książę s i e b i e, s i e b i e uważa za niezdatnego, a swoje życie – za życie zmarnowane. Przecie masz wszystko przed sobą, wszystko.

A tymczasem...

Nie powiedział, co t y m c z a s e m, lecz jego ton wskazywał, jak wysoko ocenia swego przyjaciela i jak wiele się po nim spodziewa w przyszłości.

„Jak on może tak mówić?” – myślał Pierre. Pierre uważał księcia za wzór wszystkich doskonałości dlatego właśnie, iż książę Andrzej w najwyższym stopniu skupiał w sobie te wszystkie cechy, których brakowało Pierre'owi, a które można by najlepiej wyrazić pojęciem

<sup>90</sup> Jestem bardzo miły i bardzo uszczypliwy... wszystkie dystygowane kobiety.

– siła woli. Pierre zawsze podziwiał umiejętność, z jaką książę Andrzej spokojnie traktował różnego rodzaju ludzi, jego niezwykłą pamięć, czytanie (książę wszystko czytał, wszystko wiedział, o wszystkim miał pojęcie), a przede wszystkim jego zdolność do pracy i uczenia się. Jeśli Pierre'a często uderzał w Andrzeju brak zdolności do marzycielskiego filozofowania (do czego Pierre był szczególnie skłonny), to nie widział w tym słabości, ale siłę.

W najlepszych nawet przyjacielskich, niewymuszonych stosunkach pochlebstwo czy pochwała są niezbędne, jak smar niezbędny jest dla kół, aby się toczyły.

– *Je suis un homme fini*<sup>91</sup> – oświadczył książę Andrzej. – Po co mówić o mnie? Mówmy raczej o tobie – rzekł po chwili milczenia i uśmiechnął się do swych myśli, które go pocieszyły.

Uśmiech ten momentalnie odbił się na twarzy Pierre'a.

– A cóż o mnie mówić? – powiedział Pierre rozciągając usta w beztróskim, wesołym uśmiechu. – Cóżem to ja takiego? *Je suis un bâtard!* – i spurpurowiał nagle. Widać było, że zrobił wielki wysiłek, by to powiedzieć. – *Sans nom, sans fortune...*<sup>92</sup> Cóż, doprawdy... Ale nie powiedział, co doprawdy. – Na razie jestem wolny i jest mi dobrze. Tylko żadną miarą nie wiem, do czego się zabrać. Chciałem poważnie naradzić się z księciem.

Książę Andrzej patrzył na niego dobrymi oczyma. Lecz w jego spojrzeniu przyjaznym i tkliwym widniała przecie świadomość własnej wyższości.

– Jesteś mi drogi dlatego zwłaszcza, że w tym naszym świecie ty jeden jesteś żywym człowiekiem. Dobrze ci. Wybieraj, co chcesz, wszystko jedno. Wszędzie będziesz na swoim miejscu, pamiętaj tylko: przestań bywać u tych Kuraginów i prowadzić takie życie. To do ciebie nie pasuje: wszystkie owe hulanki, całe to huzarstwo i to wszystko...

– *Que voulez-vous, mon cher* – rzekł Pierre wzruszając ramionami – *les femmes, mon cher, les femmes!*<sup>93</sup>

– Nie rozumiem – odrzekł Andrzej. – *Les femmes comme il faut* to co innego; ale *les femmes* Kuragina, *les femmes et le vin*<sup>94</sup> – tego nie rozumiem!

Pierre mieszkał u księcia Wasilia Kuragina i brał udział w hulawczym życiu jego syna Anatola, tego właśnie, którego zamierzano dla poprawy ożenić z siostrą księcia Andrzeja.

– Wiesz co, książę – oświadczył Pierre, jakby mu nieoczekiwanie przyszła do głowy szczęśliwa myśl – serio, już dawno o tym myślałem. Prowadząc takie życie, na nic się nie mogę zdecydować, nad niczym się zastanowić. Głowa boli, pieniędzy brak. Zapraszał mnie dzisiaj, nie pojedę.

– Daj mi słowo honoru, że przestaniesz tam bywać!

– Słowo honoru!

Dochodziła już druga w nocy, kiedy Pierre wyszedł od swego przyjaciela. Była czerwcową noc petersburską, noc bez ciemności. Pierre wszedł do wynajętego powozu z zamiarem udania się do domu; lecz im był bliżej, tym bardziej czuł, że nie potrafi zasnąć tej nocy, przypominającej chyba wieczór albo ranek. Wzrok sięgał daleko w puste ulice. W drodze Pierre przypomniał sobie, że tego wieczora u Anatola miało się zebrać zwykłe towarzystwo graczy; po czym zwykle następowała pijatyka, kończąca się jedną z ulubionych rozrywek Pierre'a.

„Dobrze by pojechać do Kuragina” – pomyślał. Lecz natychmiast przypomniał sobie słowo honoru, dane księciu Andrzejowi, że nie będzie bywał u Kuragina.

Lecz natychmiast, co zawsze bywa z tymi, których nazywamy ludźmi bez charakteru, tak namiętnie zapragnął jeszcze raz zaznać tego dobrze mu znanego hulawczego życia, że postanowił jechać. I zaraz przyszła mu do głowy myśl, że dane słowo nic nie znaczy, gdyż zanim

<sup>91</sup> Jestem człowiekiem skończonym.

<sup>92</sup> Jestem bękartem!... Bez nazwiska, bez majątku...

<sup>93</sup> Cóż chcesz, mój drogi... kobiety, kobiety!

<sup>94</sup> Przyzwolte kobiety... kobiety... kobiety i wino.

dał słowo księciu Andrzejowi, dał je także księciu Anatolowi, że będzie u niego, wreszcie pomyślał, że te wszystkie słowa honoru to rzecz umowna, nie mająca żadnego określonego znaczenia, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że być może jutro umrze albo stanie się z nim coś tak niezwykłego, że wszystko honorowe i niehonorowe przestanie istnieć. Tego rodzaju rozważania, niweczące jego decyzje i projekty, często nachodziły Pierre'a. Pojechał do Kuragina.

Zajechawszy przed ganek dużego domu przy koszarach gwardii konnej, w którym mieszkał Anatol, wszedł na oświetlony ganek, na schody, potem w otwarte drzwi. W przedpokoju nie było nikogo; poniewierały się puste butelki, płaszcze, kalosze; pachniało winem, dobiegała oddalona rozmowa i krzyki.

Gra i kolacja już się skończyły, ale goście jeszcze się nie rozjeżdżali. Pierre zrzucił płaszcz i wszedł do pierwszego pokoju, gdzie stały resztki kolacji, a jeden z lokajów, sądząc, że nikt go nie widzi, dopijał ukradkiem ze szklanek. Z trzeciego pokoju słychać było harmider, śmiechy, krzyki znajomych głosów i ryk niedźwiedzia. Ośmiu młodych ludzi skupiło się z przejęciem koło otwartego okna. Trzech szamotało się z młodym niedźwiedziem, którego jeden z nich ciągnął na łańcuchu strasząc nim drugiego.

– Stawiam sto na Stevensa! – krzyczał jeden.

– Uważaj, nie podtrzymuj! – krzyczał drugi.

– Ja na Dołochowa! – krzyczał trzeci. – Kuragin, przecinaj!

– No, zostawcie Miszkę<sup>95</sup> tu chodzi o zakład!

– Duszkciem, inaczej przegrana! – krzyczał czwarty.

– Jakub! Dawaj butelkę, Jakub! – wołał sam gospodarz, wysoki, piękny mężczyzna, stojący w środku ciżby, tylko w cienkiej koszuli, rozpiętej na piersiach. Poczekajcie, panowie! Oto i Pietrusza, drogi przyjaciel – zwrócił się do Pierre'a.

Głos inny, człowieka niewielkiego wzrostu, z jasnoniebieskimi oczyma, szczególnie zdumiewający trzeźwym brzmieniem wśród tych wszystkich pijackich głosów, zawołał od okna: – Chodź tutaj, przetnij zakład! – Był to Dołochow, oficer Siemionowskiego pułku, zawołany gracz i pojedynekowicz, mieszkający razem z Anatolem. Pierre uśmiechał się, wesoło spoglądając dokoła.

– Nic nie rozumiem. O co chodzi? – zapytał.

– Czekajcie, on nie jest pijany. Daj butelkę – powiedział Anatol i podszedł do Pierre'a wzięwszy ze stołu szklankę.

– Przede wszystkim – pij.

Pierre zaczął pić szklankę za szklanką i patrząc na pijanych gości, którzy znowu stłoczyli się przy oknie, przysłuchiwał się ich rozmowie. Anatol nalewał mu wino i opowiadał, że Dołochow założył się z obecnym tutaj marynarzem Stevensem, Anglikiem, że on, Dołochow, wypije butelkę rumu siedząc na oknie drugiego piętra, z nogami spuszczoneymi na zewnątrz.

– No, wypij że do dna! – rzekł Anatol podając Pierre'owi ostatnią szklankę. – Bo nie puszczyć!

– Nie, nie chcę – odrzekł Pierre i odsunawszy Anatola podszedł do okna.

Dołochow trzymał Anglika za rękę i jasno, dobitnie wymieniał warunki zakładu, zwracając się przeważnie do Anatola i do Pierre'a.

Dołochow był średniego wzrostu, kędzierzawy, z jasnymi niebieskimi oczyma. Miał dwadzieścia pięć lat. Nie nosił wąsów, podobnie jak wszyscy oficerowie piechoty, toteż usta, najbardziej uderzający rys jego twarzy, były całe widoczne. Linia tych ust była nadzwyczaj delikatnie wygięta. Środek górnej wargi ostrym klinem energicznie opadał na silną wargę dolną, a w kątach ust formowało się ustawicznie coś w rodzaju dwóch uśmiechów, po jednym z każdej strony, wszystko to razem, szczególnie w połączeniu z twardym, czelnym a rozumnym spojrzeniem, sprawiało takie wrażenie, że twarzy tej niepodobna było nie zauważyć. Dołochow

<sup>95</sup> Chodzi tu o niedźwiedzia, o którym mowa poprzednio. Miszka – popularna w Rosji nazwa niedźwiedzia.

nie był człowiekiem mającym, nie miał żadnych stosunków, a choć Anatol tracił dziesiątki tysięcy, Dołochow mieszkając z nim potrafił przyjąć taką postawę, że zarówno Anatol, jak i wszyscy znajomi bardziej szanowali Dołochowa niż Anatola. Dołochow grał we wszystkie gry i prawie zawsze wygrywał. Choćby najwięcej wypił, nigdy nie tracił jasności umysłu. W owych czasach zarówno Kuragin, jak i Dołochow byli znakomitościami w petersburskim świecie wisusów i hulaków.

Przyniesiono butelkę rumu, dwaj lokaje z widocznym pośpiechem, wystraszeni radami i krzykami otaczających ich panów, wyłamywali ramę, która nie pozwalała usiąść na zewnętrznym spadzistym parapecie.

Anatol ze zwycięską miną podszedł do okna. Miał ochotę coś połamać. Odepchnął lokajów i szarpnął za ramę, ale rama się nie poddawała. Wybił szybę.

– Nuże, siłaczu – zwrócił się do Pierre'a. Pierre ujął za poprzeczkę, szarpnął dębową ramę łamiąc ją i wrywając z trzaskiem.

– Wywalcie wszystko, bo jeszcze pomyślą, że się trzymam – rzekł Dołochow.

– Anglik przechwala się... co?... Dobrze?... – mówił Anatol.

– Dobrze – oświadczył Pierre patrząc na Dołochowa, który wziął butelkę rumu do ręki i zbliżył się do okna, przez które widać było jaśniejsze niebo i odbłask zorzy porannej, zlewającej się z zorzą wieczorną.

Dołochow z butelką rumu w ręku wskoczył na okno.

– Słuchać! – krzyknął stojąc na parapecie i zwracając się w stronę pokoju. Wszyscy umilkli.

– Idę o zakład (mówił po francusku, żeby go Anglik zrozumiał, ale mówił tym językiem nie bardzo dobrze). – Zakładam się o pięćdziesiąt imperialów – a może pan chce o sto? – dodał zwracając się do Anglika.

– Nie, pięćdziesiąt – odrzekł Anglik.

– Dobrze, o pięćdziesiąt imperialów, że wypiję całą butelkę rumu nie odejmując jej od ust, wypiję siedząc za oknem na tym miejscu (nachylił się i pokazał pochyły występ ściany za oknem) i nie trzymając się niczego... Tak?...

– Bardzo dobrze – rzekł Anglik.

Anatol zwrócił się do Anglika, ujął go za guzik fraka i patrząc na niego z góry (Anglik był niskiego wzrostu) zaczął po angielsku powtarzać mu warunki zakładu.

– Poczekaj! – krzyknął Dołochow stukając butelką po oknie, by zwrócić na siebie uwagę. – Poczekaj, Kuragin, słuchajcie. Jeśli ktoś zrobi to samo, to ja płacę sto imperialów. Rozumiecie?

Anglik kiwnął głową, nie dając jednak do zrozumienia, czy zamierza przyjąć ten nowy zakład. Anatol nie puszczał Anglika, a mimo że ten kiwaniem dawał poznać, iż wszystko rozumiał. Anatol tłumaczył mu na angielski słowa Dołochowa. Młody szczupły chłopak, lej-bhuzar, który zgrał się tego wieczora, wszedł na okno, wychylił się i popatrzył w dół.

– U!... u!... u!... – wyrzekł patrząc za okno na kamienny chodnik.

– Bacność! – krzyknął Dołochow i ściągnął z okna oficera, który zaczepiając się ostrogami niezręcznie zeskoczył do pokoju.

Dołochow postawiwszy butelkę na parapecie, żeby wygodniej było po nią sięgnąć, ostrożnie i powoli wszedł na okno. Spuściwszy nogi i wparłszy się obiema rękami w krawędzie okna, upatrzył miejsce, usiadł, opuścił ręce, przesunął się na prawo, na lewo i sięgnął po butelkę. Anatol przyniósł dwie świece i postawił je na parapecie, choć było już całkiem widno. Plecy Dołochowa w białej koszuli i jego kędzierzawa głowa były oświetlone z obu stron. Wszyscy stłoczyli się przy oknie. Anglik stał na przedzie. Pierre uśmiechał się i nic nie mówił. Jeden z obecnych, starszy niż inni z twarzą przestraszoną i gniewną wysunął się nagle do przodu i chciał schwycić Dołochowa za koszulę.

– Panowie, to głupota, zabije się na miejscu – rzekł ów rozsądniejszy człowiek. Anatol powstrzymał go.

– Nie ruszaj, przestraszysz go i zabije się. No?... A wtedy co?... No?...

Dołochow odwrócił się, poprawiając swą pozycję, i znowu wparł się rękami.

– Jeśli jeszcze kto będzie się tu do mnie pchał – oznajmił cedząc słowa przez zaciśnięte cienkie wargi – to go zaraz spuszczać tam. No!...

Powiedziawszy „no!” znowu się obrócił, zwolnił ręce, wziął butelkę, podniósł ją do ust, odchylił głowę do tyłu i dla równowagi wyrzucił do góry wolną rękę. Jeden z lokajów, który zaczął sprzątać zastawę zatrzymał się zgięty i nie spuszczał oczu z okna i pleców Dołochowa. Anatol stał wyprostowany z wytrzeszczonymi oczyma. Anglik wydawszy wargi spoglądał z boku. Ten, który powstrzymywał Dołochowa, uciekł w kąt pokoju i położył się na kanapie twarzą do ściany. Pierre zasłonił oczy, słaby uśmiech pozostał na jego twarzy, która teraz wyrażała zgrozę i przerażenie. Wszyscy milczeli. Pierre odjął ręce od oczu. Dołochow siedział ciągle w tej samej pozycji, tylko głowa była bardziej odchylona do tyłu, tak iż kędzierzawe włosy na karku dotykały kołnierza koszuli, a ręka z butelką wznosiła się coraz wyżej, drżąc z wysiłku. Butelka widocznie opróżniała się, unosząc się jednocześnie i przeginając głowę Dołochowa w tył. „Dlaczego tak długo?” – pomyślał Pierre. Wydało mu się, że minęło więcej niż pół godziny. Nagle Dołochow zrobił ruch plecami i ręka jego zdrząła nerwowo, drgnienie to wystarczyło, by poruszyć całe ciało, siedzące na spadzistym występie. Zwarł się cały, a jego ręce i głowa zdrząły z wysiłku jeszcze bardziej. Jedną ręką podniosła się, by uchwycić za parapet, ale znowu opadła. Pierre znowu zamknął oczy i powiedział sobie, że już nigdy ich nie otworzy. Nagle poczuł, że wszystko dokoła się poruszyło. Spojrzał. Dołochow stał na parapecie, twarz miał bladą i wesołą.

– Pusta!

Rzucił butelkę Anglikowi, który zręcznie ją pochwycił. Dołochow zeskoczył z okna. Mocno pachniało od niego rumem.

– Wspaniale! Zuch! To mi zakład. Bodaj was wszyscy diabli! – krzyczano z różnych stron.

Anglik wyjął sakiewkę i zaczął odliczać pieniądze. Dołochow był chmurny i milczący. Pierre wskoczył na okno.

– Panowie! Kto chce się ze mną założyć? Zrobię to samo! – krzyknął nagle. – Ot co, nawet zakład jest niepotrzebny. Każ dać butelkę. Ja zrobię... każ dać.

– A niechże, a niechże! – powiedział Dołochow uśmiechając się.

– Czyś ty zwariował? Kto cię puści? Nawet na schodach kręci ci się w głowie – zaczęto mówić z różnych stron.

– A ja wypiję, dawaj butelkę rumu! – wrzasnął Pierre, zdecydowanym pijackim gestem uderzając w krzesło i zaczął wlażyć na okno.

Pochwycono go za ręce, lecz był tak silny, że daleko odrzucał każdego, kto się do niego zbliżył.

– Nie, w ten sposób z nim się nie da rady – mówił Anatol. – Poczekajcie, oszukam go. Słuchaj, załóżę się z tobą, ale jutro, a teraz jedziemy do \*\*\*.

– Jedziemy – wrzasnął Pierre – jedziemy!... I Miskę bierzemy ze sobą.

Złapał niedźwiedzia, objął go i podniósłszy zaczął kręcić się z nim po pokoju.

## VII

Książę Wasilij dotrzymał obietnicy danej na wieczorze u Anny Pawłowny księżnie Drubeckiej, która go prosiła o wstawiennictwo za swym jedynakiem, Borysem. Przedstawiono sprawę monarsze i w drodze wyjątku Borys został przeniesiony do Siemionowskiego pułku gwardii w randze chorążego. Jednak nie otrzymał nominacji na adiutanta ani nie został odkomenderowany do Kutuzowa – pomimo wszystkich starań i podchodów Anny Michajłowny. Wkrótce po wieczorze u Anny Pawłowny Anna Michajłowna powróciła do Moskwy, prosto do swych bogatych krewnych Rostowów, u których zatrzymywała się będąc w Moskwie i u których wychowywał się od dziecka i spędzał tam całe lata jej ubóstwiany Boriienka, teraz właśnie z armii przeniesiony do gwardii jako chorąży. Gwardia już wyszła z Petersburga 10 sierpnia, a syn księżny, który pozostał w Moskwie, by się wyekwipować, miał ją dogonić w drodze do Radziwiłłowa.

Rostowowie mieli dwie solenizantki Natalie: matkę i młodszą córkę. Bez przerwy od samego rana przyjeżdżały i odjeżdżały pojazdy, które przywoziły gratulujących na Powarską, do dużego, znanego w całej Moskwie domu hrabiny Rostow. Hrabina wraz ze starszą piękną córką siedziała w salonie w towarzystwie gości, którzy zmieniali się bezustannie.

Hrabina była kobietą czterdziestopięcioletnią, o szczupłej twarzy typu wschodniego, najwidoczniej wycieńczoną macierzyństwem, gdyż miała dwanaścioro dzieci. Powolność jej ruchów i mowy, spowodowana brakiem sił, nadawała jej wygląd solidny i wzbudzający szacunek. Księżna Anna Michajłowna Drubecka, na prawach domownika, siedziała obok pomagając w przyjmowaniu gości i zabawianiu ich rozmową. Młodzież przebywała w dalszych pokojach, gdyż nie uważała za konieczne uczestniczyć w przyjmowaniu wizyt. Hrabia witał i odprowadzał gości, zapraszając wszystkich na obiad.

– *Ma chère* czy *mon cher*<sup>96</sup> – *ma chère* czy *mon cher* mówił do wszystkich bez wyjątku, bez najmniejszych odcieni, zarówno do ludzi stojących od niego wyżej, jak i niżej – bardzo, bardzo dziękuję w imieniu własnym oraz mych drogich solenizantek. Proszę nie zapominać i przybyć na obiad. Zrobisz mi przykrość, *mon cher*. Z całego serca proszę panią w imieniu całej rodziny, *ma chère*. – Słowa te powtarzał wszystkim bez wyjątku i z niezmiennym wyrazem pełnej, wesołej i czysto wygolonej twarzy, z jednaką krzepkim uściskiem ręki i krótkimi ukłonami. Odprowadziwszy jednego gościa, hrabia wracał do tego czy do tej, którzy jeszcze byli w salonie; przysuwał fotel i z miną człowieka lubiącego i umiejącego używać życia, zuchowato rozstawiając nogi, z rękoma na kolanach, przechylając się znacząco, robił przypuszczenia co do pogody, dowiadywał się o zdrowie, czasami po rosyjsku, czasami kiepską, lecz bardzo pewną siebie francuszczyzną, i znowu z miną człowieka zmęczonego, lecz niezachwianego w wypełnianiu obowiązków gospodarza, odprowadzał gości, poprawiając rzadkie siwe włosy na łysinie, i znowu zapraszał ich na obiad. Czasami, wracając z przedpokoju, wchodził przez ogród zimowy i pokój kredensowy do dużej marmurowej sali, gdzie nakrywano stół na osiemdziesiąt osób, i patrząc na lokajów, roznoszących srebro i porcelanę, rozsta-

---

<sup>96</sup> Moja droga... mój drogi.



wiąjących stoły i rozścielających wzorzyste lniane obrusy, przyzywał Dymitra Wasiliewicza, szlachcica, który prowadził wszystkie jego sprawy, i mówił:

– Ano, Mitinka, pilnuj, żeby wszystko było dobrze. Tak, tak – mówił, z zadowoleniem patrząc na ogromny rozsunięty stół. – Najważniejsze to odpowiednia zastawa. Właśnie, właśnie... i wzdychając, zadowolony z siebie, znowu wracał do salonu.

– Maria Lwowna Karagin z córką! – zameldował basem w drzwiach salonu olbrzymi lokaj hrabiny, towarzyszący jej w wyjazdach kareta. Hrabina pomyślała chwilę i zażyła tabaki ze złotej tabakierki z portretem męża.

– Zadręczają mnie te wizyty – rzekła. – No, już ją ostatnią przyjmę... Bardzo napuszona... Proś – rzekła do lokaja smutnym głosem, jakby mówiła: „No, więc dobijajcie mnie!”

Do salonu weszły, szeleszcząc sukniami, wysoka, otyła z dumnym wyrazem twarzy dama i jej okrągłolica, uśmiechnięta córeczka.

– *Chère comtesse, Il y a si longtemps... elle a été alitée, la pauvre enfant... au bal des Razoumovsky... et la comtesse Apraksine... j'ai été si hereuse...* – rozlegały się ożywione głosy kobiece, wzajem sobie przerywając i zlewając się z szelestem sukien i hałasem przesuwanych krzeseł. Rozpoczęła się owa rozmowa, którą się wszczyna po to jedynie, aby przy pierwszej sposobności wstać, zaszeleścić sukniami, powiedzieć: „*Je suis bien charmée, la santé de maman... et la comtesse Apraksine*”<sup>97</sup>, i znowu zaszeleściwszy sukniami, przejść do przedpokoju, włożyć futro lub płaszcz i odjechać. Rozmowa zesłała na najważniejszą nowość miasta w owym czasie – chorobę znanego bogacza i pięknia z czasów Katarzyny, starego hrabiego Bezuchowa, i na jego naturalnego syna Pierre'a, który tak niewłaściwie się zachował na wieczorze u Anny Pawłowny Scherer.

– Bardzo mi żal biednego hrabiego – oświadczyła dama – zdrowie jego jest w tak złym stanie, a teraz to zmartwienie z powodu syna może go zabić!

– A co takiego? – zapytała hrabina, jak gdyby nie wiedziała, o czym mówi dama, choć już z piętnaście razy słyszała o przyczynie zmartwienia hrabiego Bezuchowa.

– Oto dzisiejsze wychowanie! – ciągnęła dalej dama. – Jeszcze za granicą ten młody człowiek pozostawiony był sam sobie, a teraz, powiadają, narobił w Petersburgu takich okropności, aż go policja stamtąd wydalila.

– Co pani mówi! – rzekła hrabina.

– Źle dobierał sobie znajomości – wtrąciła księżna Anna Michajłowna. – Podobno syn księcia Wasilia, on i niejaki Dołochow wyrabiali Bóg wie co. I obaj na tym ucierpieli. Dołochow został zdegradowany na prostego żołnierza, a syn Bezuchowa – odesłany do Moskwy. Co do Anatola Kuragina – ojciec jakoś zatuszował. Ale i jego wydalono z Petersburga.

– Ale co takiego oni mogli zrobić? – spytała hrabina.

– To prawdziwi zbóje, osobliwie Dołochow – mówiła pani Karagin. – I to syn Marii Iwanowny Dołochow, godnej szacunku damy! Proszę sobie wyobrazić: wszyscy trzej wydostali skądś niedźwiedzia, wsadzili ze sobą do karety i powieźli do aktorek. Przybiegła policja, by ich uspokoić. A oni złapali rewirowego, przywiązali go plecami do grzbietu niedźwiedzia i wrzucili niedźwiedzia do Mojki; niedźwiedź płynie, a rewirowy na nim.

– Ładną musiał mieć minę ten rewirowy, *ma chère!* – zawołał hrabia pękając ze śmiechu.

– Ach, to straszne, hrabio! Z czego tu się śmiać? Lecz damy również śmiały się mimo woli.

– Z trudem uratowano nieszczęśliwego – ciągnęła dama. – I to właśnie tak mądrze się zabawia syn hrabiego Kirilla Władimirowicza Bezuchowa! – dodała. – A mówiono, że jest tak dobrze wychowany i rozsądny. Oto do czego w końcu doprowadziło to zagraniczne wychowanie! Mam nadzieję, że mimo jego bogactwa tu nikt go nie będzie przyjmował. Chciano mi go przedstawić. Odmówiłam stanowczo: mam córki.

<sup>97</sup> Już tak dawno, droga hrabino... była chora, biedactwo... na balu u Razumowskich... hrabina Apraksin... byłam taka szczęśliwa... Jestem zachwycona; zdrowie mamy... hrabina Apraksin.

– Dlaczego pani mówi, że ten młody człowiek jest tak bogaty? – zapytała hrabina odsuwając się od panien, które natychmiast udały, że nie słuchają. – Przecie hrabia ma tylko nieślubne dzieci. Zdaje się, że... i Pierre jest nieślubny.

Przybyła dama machnęła ręką.

– Myślę, że ma tych nieślubnych ze dwadzieścioro. Do rozmowy wmieszała się księżna Anna Michajłowna, widocznie pragnąc okazać swe stosunki i znajomość tego, co się dzieje w wielkim świecie.

– Chodzi o to – rzekła znacząco i również półgłosem.

– Reputacja hrabiego Kirila Władimirowicza jest znana... Stracił rachubę swych dzieci, ale Pierre był jego ulubieńcom.

– Jakiż to był piękny starzec – rzekła hrabina – jeszcze w zeszłym roku! Nigdy nie widziałam piękniejszego mężczyzny.

– Teraz bardzo się zmienił – powiedziała Anna Michajłowna.

– Więc co to chciałam powiedzieć? – ciągnęła.

– Przez żonę bezpośrednim spadkobiercą całego majątku jest książę Wasilij, ale ojciec bardzo kocha Pierre'a, zajmował się jego wychowaniem i napisał do monarchy... toteż, gdy umrze (a jest z nim tak źle, że spodziewają się tego lada chwila, nawet Lorrain przyjechał z Petersburga), nie wiadomo, komu dostanie się jego ogromny majątek: Pierre'owi czy księciu Wasiliewi. Czterdzieści tysięcy dusz i miliony! Wiem to bardzo dobrze, bo mówił mi o tym sam książę Wasilij. No i Kiril Władimirowicz wypada mi po matce cioteczno-ciotecznym wujkiem. Nawet podawał do chrztu Borię – dodała, jakby nie przypisując tej okoliczności żadnego znaczenia.

– Wczoraj przybył do Moskwy książę Wasilij. Mówiono mi, że jedzie na rewizję – oznajmiła dama.

– Tak, ale *entre nous*<sup>98</sup> – rzekła księżna – to pretekst. Przyjechał właśnie do hrabiego Kirila Władimirowicza, bo się dowiedział, że z nim tak źle.

– A przecie, *ma chère*, to wspaniały figiel – odezwał się hrabia, a zauważywszy, że starsza z przybyłych pań go nie słucha, zwrócił się do panien. – Wyobrażam sobie, jak pyszną minę miał rewirowy.

I pokazawszy, jak rewirowy machał rękami, znowu się zaśmiał, jak śmieją się ludzie, co zawsze dobrze jedli, a zwłaszcza pili, dźwięcznym basowym śmiechem, od którego trzęsło się jego tegie ciało. – Więc prosimy do nas na obiad – oświadczył.

---

<sup>98</sup> Między nami.

## VIII

Nastało milczenie. Hrabina patrzyła na gości uśmiechając się przyjemnie i zresztą nie ukrywając, że bynajmniej nie będzie miała żalu, jeśli goście wstaną i odjadą. Córka przybyłej damy już poprawiała suknię i pytająco spoglądała na matkę, gdy nagle z sąsiedniego pokoju rozległa się ode drzwi bieganina, kroki męskie i kobiece, łomot potrąconego i przewróconego krzesła i do pokoju wbiegła trzynastoletnia dziewczynka trzymając coś w fałdach krótkiej muślinowej sukienki; zatrzymała się na środku pokoju. Widać było, że zapędziła się tak daleko znienacka, z rozmachu. W tej samej chwili ukazał się w drzwiach student w mundurze z malinowym kołnierzem, oficer gwardii, piętnastoletnia dziewczynka i tusty, rumiany chłopiec w dziecinnej kurteczce.

Hrabia zerwał się i kołysząc się rozłożył ręce, okalając dziewczynkę, która wbiegła

– A tuś mi! – zawołał śmiejąc się – Solenizantka! *Ma chère* solenizantka!

– *Ma chère, il y a un temps pour tout*<sup>99</sup> – odezwała się hrabina udając surowość. – Rozpieszczasz ją, Elie – zwróciła się do męża.

– *Bonjour, ma chère, je vous félicite* – rzekła dama. – *Quelle délicieuse enfant*<sup>100</sup> – dodała zwracając się do matki.

Czarnooka dziewczynka, z dużymi ustami, nieładna, lecz żywa, z odsłoniętymi dziecięcymi ramionkami, które od szybkiego biegu wysunęły się ze stanika, z czarnymi kędziorami odrzuconymi do tyłu, z obnażonymi cieniutkimi rączkami i malutkimi nóżkami w koronkowych pantalonikach i płytkich pantofelkach, była w tym miłym wieku, kiedy dziewczynka już nie jest dzieckiem, lecz dziecko jeszcze nie jest panienką. Wywinąwszy się ojcu podbiegła do matki i nie zwracając uwagi na jej surową reprimendę ukryła zaczerwioną twarz w koronkach matczynej mantyli i zaśmiała się. Śmiała się z czegoś i tłumaczyła coś urywanie o lalce, którą wyjęła spod sukienki.

– Widzi mama?... Lalka... Mimi... Widzi mama? I Natasza już więcej nie mogła mówić (wszystko wydawało się jej śmieszne). Upadła na matkę i roześmiała się tak głośno i dźwięcznie, że wszyscy, nawet afektowana dama, roześmieli się mimo woli.

– No już idź, idź z tym swoim potworem! – powiedziała matka odpychając córkę z udanym gniewem. – To moja młodsza córka – zwróciła się do przybyłej.

Natasza, odrywając na chwilę twarz od koronkowej mantylki matki, spojrzała na damę z dołu poprzez łzy śmiechu i znowu ukryła twarz.

Dama, zmuszona do napawania się sceną rodzinną, uznała za właściwe wziąć w niej jakiś udział.

– Powiedz, kochanie – rzekła zwracając się do Nataszy – kim jest dla ciebie ta Mimi? Pewno córka?

Nataszy nie przypadł do gustu ton pobłażliwego zniżania się do dziecinnej rozmowy, z jakim dama zwróciła się do niej. Nic nie odpowiedziała, tylko poważnie popatrzyła na damę.

<sup>99</sup> Moja droga, na wszystko jest czas.

<sup>100</sup> Dzień dobry, moja droga, winszuję ci... Jakie rozkoszne dziecko.

Tymczasem całe to młode pokolenie: Borys – oficer, syn księżny Anny Michajłowny, Mikołaj – student, starszy syn hrabiego, Sonia – piętnastoletnia krewniaczka hrabiego, i mały Pietrusza – najmłodszy syn, wszyscy ulokowali się w salonie i najwidoczniej starali się utrzymać w granicach przyzwoitości swe ożywienie i wesołość, jakimi jeszcze tchnął każdy rys ich twarzy. Widać było, że tam, w dalszych pokojach, z których przybiegli tak gwałtownie, prowadzono weselsze i przyjemniejsze rozmowy niż te w salonie, o miejskich ploteczkach, o pogodzie i hrabinie Apraksin.

Od czasu do czasu spoglądali na siebie i z trudem powstrzymywali się od śmiechu.

Obaj młodzi ludzie, i student, i oficer, przyjaciele z lat dziecińczych, byli rówieśnikami, obaj byli przystojni, ale niepodobni do siebie. Borys był wysokim, jasnowłosym młodzieńcem o regularnych i delikatnych rysach łagodnej, pięknej twarzy – Mikołaj był niewysoki, kędzierzawy, z otwartym wyrazem twarzy. Na jego górnej wardze ukazywał się czarny meszek, a w całym wyrazie twarzy malowała się porywczność i entuzjazm. Wchodząc do salonu Mikołaj poczerwieniał. Widać było, że szuka w myśli, co by powiedzieć, ale nie wie co, Borys, przeciwnie, od razu znalazł się właściwie i opowiedział spokojnie, żartobliwie, że lalkę Mimi znał już jako młodą dziewczynę z nie uszkodzonym jeszcze noskiem, ale w ciągu pięciu lat, za jego pamięci, postarzała się i głowa jej pękła w poprzek czaszki. Opowiedziawszy to, spojrzął na Nataszę. Natasza odwróciła się, popatrzyła na młodszego brata, który ze zmrużonymi oczyma trząsł się od tłumionego śmiechu, i nie mogąc się dłużej powstrzymać, podskoczyła i wybiegła z pokoju tak szybko, jak tylko mogły ją unieść chyże nóżki. Borys nie roześmiał się.

– Maman, zdaje mi się, że chciałaś również jechać. Czy karetka już potrzebna? – rzekł zwracając się z uśmiechem do matki.

– Tak, idź, idź, każ zaprzęgać – odpowiedziała uśmiechając się.

Borys cicho podszedł do drzwi i udał się za Nataszą, a gruby chłopczyk pobiegł za nimi, jakby zagniewany, że mu przeszkadzono w jego zajęciach.

## IX

Z młodzieży, nie licząc starszej córki hrabiny (która była o cztery lata starsza od siostry i zachowywała się jak dorosła panna) oraz przybyłej damy i panienki, w salonie pozostał Mikołaj i Sonia, krewniaczka hrabiego. Sonia była szczuplutką, miniaturową bruneteczką, o miękkim spojrzeniu, ocienionym długimi rzęsami, gruby czarny warkocz dwukrotnie oplatał jej głowę; na twarzy, a szczególnie na obnażonych, szczupłych, lecz powabnych, muskularnych rękach i szyi, skóra miała żółtawy odcień. Płynnością ruchów, miękkością i elastycznością drobnych członków i nieco przebiegłym i powściągliwym sposobem bycia przypominała ładne, lecz jeszcze nie uformowane kociątko, które będzie kiedyś czarującą koteczką. Uważała widocznie za stosowne uśmiechem brać udział w ogólnej rozmowie; lecz jej oczy spoglądały mimo woli spod długich gęstych rzęs na udającego się do armii *cousin*<sup>101</sup>, spoglądały z takim dziewczęcym namiętym uwielbieniem, że jej uśmiech ani przez chwilę nie mógł nikogo zwieść. Widać było, że koteczką przyczała się tylko po to, by jeszcze energiczniej skoczyć i poigrać ze swym *cousin*, gdy tylko, podobnie jak Borys i Natasza, wydostaną się z tego salonu.

– Tak, *ma chère* – rzekł stary hrabia zwracając się do damy i wskazując na Mikołaja. – A więc jego przyjaciel Borys został mianowany oficerem, a on przez przyjaźń chce dotrzymać mu kroku: rzuca uniwersytet i mnie, starego; wstępuje do wojska, *ma chère*. A już miał przygotowaną posadę w archiwum. To mi przyjaźń, co? – rzekł hrabia pytająco.

– Tak, mówią przecie, że wojna została wypowiedziana – oświadczyła dama.

– Dawno już mówią – odpowiedział hrabia. – Znowu pogadają, pogadają i dadzą spokój. *Ma chère*, to mi przyjaźń! – powtórzył. – Idzie do huzarów.

Dama, nie wiedząc, co odpowiedzieć, pokiwała głową.

– Wcale nie z przyjaźni – odpowiedział poczerwieniały Mikołaj, opędzając się jakby przed hańbiącym oszczerstwem. – Wcale nie z przyjaźni, po prostu czuję powołanie do służby wojskowej.

Obejrzał się na kuzynkę i na przybyłą pannę: obie patrzyły na niego z uśmiechem aprobaty.

– Dziś będzie u nas na obiedzie Schubert, pułkownik Pawłogradzkiego pułku huzarów. Był tu na urlopie i zabiera Mikołaja ze sobą. Cóż robić? – rzekł hrabia wzruszając ramionami; mówił żartobliwie o sprawie, która najwidoczniej bardzo go trapiła.

– Jużem papusiowi mówił, że jeśli papa nie chce mnie puścić, to zostanę – oświadczył syn. – Ale ja wiem, że prócz służby w wojsku do niczego jestem niezdatny; nie jestem dyplomata ani urzędnikiem, bo nie potrafię ukrywać tego, co czuję – mówił spoglądając ciągle z kokieteryą pięknego młodzieńca na Sonię i na przybyłą pannę.

Koteczka wpijała się w niego oczami, jak gdyby każdej chwili gotowa była poigrać i ukazać całą swą kocią naturę.

---

<sup>101</sup> Ciotecznego brata.

– No, dobrze, dobrze! – powiedział stary hrabia. – Ciągłe się gorączkuje... To Bonaparte wszystkim głowę zawrócił, wszyscy o tym myślą, jak to on z porucznika skoczył na cesarza. No cóż, daj Boże – dodał nie dostrzegając drwiącego uśmiechu damy.

Dorośli zaczęli rozmawiać o Bonapartem. Julie, córka pani Karagin, zwróciła się do młodego Rostowa:

– Jaka szkoda, że w czwartek nie był pan u Archarówów.

Nudziło mi się bez pana – oznajmiła uśmiechając się do niego tkliwie.

Młody człowiek, któremu to pochlebiło, z kokieteryjnym uśmiechem młodości przysiadł się bliżej do uśmiechniętej Julie i zaczął z nią osobną rozmowę, nie dostrzegając zupełnie, iż ten jego mimowolny uśmiech nożem zazdrości kraje serce zaczerwienionej i sztucznie uśmiechającej się Soni. W czasie rozmowy spojrzął na nią. Sonia popatrzyła na niego namiętnie, gniewnie i, z trudem powstrzymując łzy w oczach, ze sztucznym uśmiechem na ustach wstała i wyszła z pokoju. Ożywienie Mikołaja zniknęło zupełnie. Doczekał pierwszej przerwy w rozmowie i zmieszany wyszedł z pokoju, by szukać Soni.

– Jak to wszystkie sekrety tej młodzieży są szyte białymi nićmi! – odezwała się Anna Michajłowna wskazując na wychodzącego Mikołaja. – *Cousinage – dangereux voisinage*<sup>102</sup> – dodała.

– Tak – odrzekła hrabina, gdy znikł ów promień słońca, który przedostał się do salonu wraz z młodym pokoleniem, i jakby odpowiadając na pytanie, którego jej nikt nie zadał, a które stale ją nurtowało. – Ile przeniosło się cierpień, ile niepokoju się przeżyło, by móc teraz cieszyć się nimi! Ale i teraz, doprawdy, więcej obaw niż radości. Wciąż się człowiek boi, wciąż się boi! Jest to właśnie wiek tak niebezpieczny, zarówno dla dziewcząt, jak i dla chłopców.

– Wszystko zależy od wychowania – oświadczyła dama.

– Tak, ma pani rację – ciągnęła hrabina. – Dotychczas, dzięki Bogu, byłam przyjaciółką własnych dzieci i cieszę się ich całkowitym zaufaniem – mówiła hrabina powtarzając błąd wielu rodziców, mniemających, że dzieci ich nie mają przed nimi tajemnic. – Wiem, iż zawsze będę pierwszą *confidente*<sup>103</sup> swych córek, że jeśli Nikoleńka z powodu żywości charakteru pozbytkuje (chłopiec nie może się obejść bez tego), to w każdym razie nie tak jak ci petersburscy panowie.

– Tak, wspaniałe dzieciaki, wspaniałe – przytaknął hrabia, który wszelkie skomplikowane dla siebie kwestie rozstrzygał w ten sposób, że uznawał wszystko za wspaniałe. – Widzi pani! Zachciało mu się być huzarem! No i cóż pani chce, *ma chère*.

– Co za miła istotka ta młodsza córeczka państwa – rzekła dama. – Iskra!

– Tak, iskra – powiedział hrabia. – We mnie się wrodziła! A co za głos! Choć to moja córka, ale powiem szczerze, będzie z niej śpiewaczka, druga Salomoni. Przyjeliśmy dla niej nauczyciela Włocha.

– Czy nie za wcześnie? Powiadają, że w tym okresie nauka jest szkodliwa dla głosu.

– O nie, skądże za wcześnie! – odrzekł hrabia. – Czy to nasze matki nie wychodziły za mąż mając dwanaście, trzynaście lat?

– Przecie ona już teraz jest zakochana w Borysie! Taka już jest – odezwała się hrabina; uśmiechała się powściągliwie, patrząc na matkę Borysa, i jakby odpowiadając na myśl, co ją zawsze absorbowała, ciągnęła dalej:

– Widzicie państwo, gdybym ją trzymała surowo, zabraniała jej... Bóg wie, co by robili ukradkiem – hrabina miała na myśli, że całowałiby się – a tak, to znam każde jej słowo. Wieczorem sama do mnie przybiegnie i wszystko mi opowie. Może ją rozpieszczę, ale, doprawdy, to wydaje mi się lepsze. Starszą trzymałam krótko.

– Tak, mnie zupełnie inaczej wychowywano – rzekła z uśmiechem ładna hrabianka Wiera.

<sup>102</sup> Pokrewieństwo – niebezpieczeństwo.

<sup>103</sup> Powiernicą.

Lecz uśmiech nie upiększył, jak to zwykle bywa, twarzy Wiery; przeciwnie, twarz jej zrobiła się nienaturalna i dlatego nieprzyjemna. Starsza córka, Wiera, była ładna, niegłupia, uczyła się doskonale, była dobrze wychowana, miała przyjemny głos, wszystko, co powiedziała, było słuszne i na miejscu, a jednak – dziwna rzecz – wszyscy, i matka, i przybyła dama, spojrzeli na nią, jak gdyby się dziwić, dlaczego to powiedziała, i poczuli się niezręcznie.

– Z pierwszymi dziećmi zawsze człowiek przesadza, chce zrobić z nich coś nadzwyczajnego – rzekła dama.

– Nie ma co ukrywać, *ma chère!* Hrabianeczka przesadzała z Wierą – oświadczył hrabia. – No i cóż! A przecie udała nam się wspaniale – dodał, aprobująco mrugając na Wierę.

Przybyłe panie wstały i odjechały obiecując przyjechać na obiad.

– Cóż to za maniery! Siedziały i siedziały! – rzekła hrabina odprowadzwszy gości.

## X

Natasza, opuściwszy salon, zaczęła biec, ale dobiegła tylko do ogrodu zimowego. Zatrzymała się w tym pokoju i, przysłuchując się rozmowie w salonie, czekała na wyjście Borysa. Już zaczynała tracić cierpliwość, tupnęła nóżką i zbierało jej się na płacz, że on nie przychodzi, gdy rozległy się nie za ciche, nie za szybkie – ale jak należy, kroki młodego człowieka. Natasza szybko wpadła między donice z kwiatami i schowała się.

Borys zatrzymał się na środku pokoju, rozejrzał się, strzepnął ręką pyłek z rękawa munduru, podszedł do lustra i przyglądał się swej ładnej twarzy. Natasza przyczaiła się i wyglądając ze swej kryjówki czekała, co on będzie robił. Stał pewien czas przed lustrem, uśmiechnął się i zwrócił do wyjścia. Natasza chciała na niego zawołać, ale się rozmyśliła.

„A niech szuka” – powiedziała do siebie. Zaledwie Borys wyszedł, gdy przez inne drzwi weszła Sonia, zaczerwieniona i przez łzy szepcząca coś gniewnie. Natasza powstrzymała pierwszy odruch, by podbiec do niej, i pozostała w swej kryjówce, i jak spod czapki-niewidki patrzyła, co się dzieje na świetle. Doznawała nowej, osobliwej rozkoszy. Sonia szeptała coś i spoglądała na drzwi do salonu. Wszedł Mikołaj.

– Sonia! Co ci? Jakże można?... – mówił Mikołaj podbiegając do niej.

– Nic, nic, proszę mnie zostawić. – Sonia załkała.

– Nie, ale ja wiem, co!

– Jeśli pan wiesz, to bardzo ładnie, idź sobie do niej.

– Soonia! Słoweczko! Jak można dla fantazji tak dręczyć mnie i siebie – mówił Mikołaj biorąc ją za rękę. Sonia nie wyrwała ręki i przestała płakać. Natasza wstrzymała oddech i bez ruchu, błyszczącymi oczyma spoglądała ze swej kryjówki. „Co teraz będzie?” – myślała.

– Soniu! Świat mi niepotrzebny! Tyś jedna dla mnie wszystkim – mówił Mikołaj. – Dowiodę ci.

– Nie lubię, kiedy tak mówisz.

– No, już nie będę, przebacz mi, Soniu! – Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

„Ach, jak to ładnie” – pomyślała Natasza, a kiedy Sonia i Mikołaj wyszli z pokoju, poszła za nimi i zawołała do siebie Borysa.

– Borys, proszę tu przyjść – powiedziała z miną znaczącą i przebiegłą. – Muszę panu powiedzieć pewną rzecz. Tutaj, tutaj – powiedziała i zaprowadziła go do ogrodu zimowego, na to samo miejsce, gdzie była ukryta między donicami. Borys szedł za nią uśmiechając się.

– Co to za pewna rzecz? – zapytał. Zmieszana, rozejrzała się dokoła i spostrzegłszy porzuconą na donicy lalkę, wzięła ją na rękę.

– Pocałuj lalkę – rzekła.

Borys uważnym, pieśczośliwym wzrokiem patrzył na jej ożywioną twarz i nic nie odpowiadał.

– Nie chcesz? No to chodź tutaj – powiedziała i weszła głębiej między kwiaty, i rzuciła lalkę. – Bliżej, bliżej! – szeptała. Chwyliła oficera za wyłogi, a na jej zarumienionej twarzy widać było uroczystą powagę i strach.

– A mnie chcesz pocałować? – wyszeptala ledwo dosłyszalnie i patrzyła na niego spod oka, uśmiechając się i nieomal płacząc ze wzruszenia.



Borys poczerwieniał.

– Jakaś ty śmieszna! – rzekł nachylając się ku niej i jeszcze bardziej się czerwieniąc, ale nic nie przedsiębrał i wyczekiwał.

A ona wskoczyła nagle na donicę, tak iż była teraz wyższa od niego, objęła go obiema rękami, aż jej cienkie gołe rączki zwały się powyżej jego szyi, i odrzuciwszy ruchem głowy włosy, pocałowała go w same usta.

Prześliznęła się między doniczkami na drugą stronę i zatrzymała się ze spuszczoną głową.

– Natasza – rzekł Borys – wiesz, że cię kocham, ale...

– Jesteś we mnie zakochany? – przerwała mu Natasza.

– Tak, zakochany, ale, proszę, nie róbmy tego, co teraz... Jeszcze cztery lata... Wtedy poproszę o twoją rękę.

Natasza zastanowiła się.

– Trzyście, czterysta, pięćset, sześćset... – oświadczyła rachując na cieniutkich paluszkach. – Dobrze? Więc stało się?

I uśmiech radości i spokoju rozjaśnił jej ożywioną twarz.

– Stało się! – rzekł Borys.

– Na zawsze? – spytała dziewczynka. – Do samej śmierci?

I wzięwszy go pod rękę, powoli, z wyrazem szczęścia poszła z nim do bawialni.

## XI

Hrabinę tak zmęczyły wizyty, że zabroniła przyjmować kogokolwiek; szwajcarowi nakazano, by wszystkich, którzy będą jeszcze przyjeżdżać z życzeniami, zapraszał koniecznie na obiad. Hrabina chciała pomówić w cztery oczy z przyjaciółką lat dziecinnych, księżną Anną Michajłowną, której od jej powrotu z Petersburga jeszcze na dobrą sprawę nie widziała. Anna Michajłowna ze swą zatroskaną a miłą twarzą przysunęła się bliżej do fotela hrabiny.

– Będę z tobą zupełnie szczerą – rzekła Anna Michajłowna. – Już mało nas, starych przyjaciół, pozostało! Dlatego tak bardzo cenię twoją przyjaźń.

Anna Michajłowna popatrzyła na Wierę i zamilkła. Hrabina uścisnęła rękę przyjaciółki.

– Wiero – rzekła hrabina zwracając się do starszej córki, nie kochanej widać. – Jakaś ty mało pojętna! Czy nie czujesz się tu zbyt uczona? Idź do sióstr czy też...

Piękna Wiera uśmiechnęła się wzgardliwie, nie odczuwając widocznie najmniejszej urazy.

– Gdyby mi mameczka wcześniej to powiedziała, wyszłabym zaraz – oświadczyła i poszła do swego pokoju.

Jednak, przechodząc koło bawialni, zauważyła, że tam przy dwóch okienkach siedziały symetrycznie dwie pary. Przystanęła i uśmiechnęła się pogardliwie. Sonia siedziała blisko Mikołaja, przepisyującego dla niej własne wiersze, pierwsze w jego życiu. Borys i Natasza, siedzący przy drugim oknie, zamilkli, kiedy weszła Wiera. Sonia i Natasza spojrzały na Wierę z twarzami skruszonymi i uszczęśliwionymi.

Widok tych zakochanych dziewczynek był wesoły i wzruszający, lecz, widać, nie wzbudził w Wierze przyjemnego uczucia.

– Ile razy prosiłam cię, byś nie ruszał moich rzeczy – powiedziała. – Przecie masz swój pokój. – Zabrała Mikołajowi kałamarz.

– Zaraz, zaraz – odpowiedział maczając pióro.

– Wszystko musicie robić nie w porę – mówiła Wiera. – Wpadliście do salonu, aż się wszystkim wstyd za was zrobiło.

Mimo że to, co mówiła Wiera, było całkowicie słuszne, a może właśnie dlatego, nikt jej nie odpowiadał, tylko cała czwórka wymieniła spojrzenia. Wiera, z kałamarzem w ręku, marnudziła w pokoju.

– Jakie wy możecie mieć sekrety w waszym wieku? Sekrety między Nataszą a Borysem i między wami – wszystko to głupstwa!

– No a cóż cię to obchodzi, Wiero? – powiedziała Natasza cieniutkim głosem.

Owego dnia była, jak widać, jeszcze lepsza i miłsza dla wszystkich niż zazwyczaj.

– Bo to głupie – odparła Wiera. – Wstyd mi za was. Cóż to za sekrety?...

– Każdy ma swoje sekrety. My się nie wtrącamy do ciebie i do Berga – powiedziała Natasza unosząc się.

– Myślę, że się nie wtrącacie dlatego – rzekła Wiera – że w moim postępowaniu nigdy nie może być nic złego. Ale powiem mameczce, jak ty traktujesz Borysa.

– Natalia Iliniczna traktuje mnie bardzo dobrze – rzekł Borys. – Nie mogę narzekać – dodał.

– Daj spokój, Borysie, jesteś takim dyplomatą (słowo *d y p l o m a t a* było u dzieci w obiegu w pewnym specjalnym znaczeniu) aż nudne – powiedziała Natasza głosem obrażonym i drżącym. – Czemu się ona mnie czepia? Ty nigdy tego nie zrozumiesz – zwróciła się do Wiery – dlatego żeś nigdy nikogo nie kochała: ty nie masz serca, jesteś tylko madame de Genlis<sup>104</sup> (to przezwisko, nadane Wierze przez Mikołaja, uważano za bardzo obraźliwe), dla ciebie największa przyjemność to robienie innym przykrości. Możesz kokietować Berga, ile ci się tylko podoba – rzekła szybko.

– Ale chyba nie będę przy gościach biegać za młodym człowiekiem...

– No, dopięła swego – wtrącił się Mikołaj. – Nagadała wszystkim nieprzyjemności i wszystkich rozstroiła. Chodźmy do dziecinnego pokoju.

Wszyscy czworo, niczym stadko spłoszonych ptaków, wstali i wyszli z pokoju.

– To mnie nagadano nieprzyjemności, a ja nikomu – powiedziała Wiera.

– Madame de Genlis! Madame de Genlis! – odezwały się zza drzwi roześmiane głosy.

Piękna Wiera, działająca na wszystkich tak drażniąco i nieprzyjemnie, uśmiechnęła się i, widać, wcale nie dotknięta tym, co jej powiedziano, podeszła do lustra, poprawiła szarfę i uczesanie. Patrząc na swą piękną twarz, stawała się, widać, jeszcze chłodniejsza i spokojniejsza.

W salonie dalej ciągnęła się rozmowa.

– Ach, *chère* – mówiła hrabina – i w moim życiu *tout n'est pas rose*. Alboż to nie widzę, że *du train, que nous allons*,<sup>105</sup> nie na długo starczy nam majątku! A wszystkiemu winien ten jego klub i jego dobroć. A mieszkając na wsi, czy odpoczywamy? Teatry, polowania, Bóg wie co. Co tam jednak mówić o mnie! Jakżeś to wszystko urządziła? Często podziwiam cię, Annette, jak możesz, w twoim wieku, sama jedna pędzić pojazdem do Moskwy, do Petersburga, do wszystkich ministrów, do całej noblesy, i wiesz, jak z każdym postępować. Podziwiam cię. No i jak to urządziłaś? A ja tak nie potrafię.

– Ach, serce – odpowiedziała Anna Michajłowna.

– Nie daj Boże, byś miała poznać, jak ciężko jest być wdową, bez żadnego oparcia, i z synem, którego się kocha aż do szaleństwa. Wszystkiego się wtedy człowiek nauczy – ciągnęła z pewną dumą. – Mój proces mnie wiele nauczył. Jeśli muszę się widzieć z którymś z tych asów, piszę bilecik: „*Princesse une telle*”<sup>106</sup> pragnie się widzieć z takim to a takim”, i jadę. Sama, dorożką, choćby po dwa, trzy, nawet i cztery razy – dopóty, dopóki nie osiągnę tego, co chcę. Wszystko mi jedno, co o mnie pomyślą.

– A kogoś prosiła o Borieńkę? – zapytała hrabina. – Przecież twój Borieńka jest już oficerem gwardii, gdy Nikołuszka dopiero junkrem. Nie ma kto o niego zabiegać. Kogożeś prosiła?

– Księcia Wasilia. Był bardzo miły. Od razu się na wszystko zgodził, raportował monarsze – mówiła księżna

Anna Michajłowna z zachwytem, całkiem zapomniawszy o tym poniżeniu, które zniosła, by osiągnąć cel.

– Cóż, księżę Wasilij postarzał się chyba? – zapytała hrabina. – Nie widziałam go od czasu naszych spektakli u Rumiancewów. Przypuszczam, że już o mnie zapomniał. Il *me faisait la cour*<sup>107</sup> – przypomniała sobie hrabina z uśmiechem.

– Zawsze taki sam – odpowiedziała Anna Michajłowna – uprzejmy, nadskakujący. *Les grandeurs ne lui on pas tourné la tête du tout...*<sup>108</sup> „Żałuję, iż tak mało mogę zrobić dla pani,

<sup>104</sup> Stefania Felicyna de Genlis (1746–1830), autorka dydaktycznych i moralnych powieści.

<sup>105</sup> Nie same są róże... przy naszym trybie życia.

<sup>106</sup> Księżna taka to a taka.

<sup>107</sup> Zalecał się do mnie.

<sup>108</sup> Zaszczyty nie przewróciły mu w głowie...

droga księżno – powiada do mnie – proszę mi rozkazywać.” Tak, to wspaniały człowiek i dobry familiant. Wiesz przecie, Natalie, jak kocham syna. Nie wiem, czego bym nie zrobiła dla jego szczęścia. Lecz interesy moje są w tak kiepskim stanie – ciągnęła dalej Anna Michajłowna ze smutkiem i zniżając głos – w tak kiepskim stanie, że znalazłam się teraz w okropnej sytuacji. Mój nieszczęsny proces zjada wszystko, co mam, i nie posuwa się naprzód. Wyobraź sobie, że *à la lettre*<sup>109</sup> jestem bez grosza, i nie wiem, za co wyekwipuję Borysa. – Wyjęła chusteczkę i rozplakała się. – Potrzebuję pięciuset rubli, a mam jedynie dwudziestopięciorublową asygnatę. Znalazłam się w takiej sytuacji... Teraz cała moja nadzieja w hrabim Kirile Władimirowiczu Bezuchowie. Jeśli nie zechce wesprzeć swego chrześniaka – przecież trzymał Borię do chrztu – i nie zabezpieczy go jakoś, to wszystkie moje starania na nic: nie będę miała za co go wyekwipować.

Hrabina wzruszyła się do łez i coś w milczeniu rozważała.

– Może to i grzech – rzekła księżna – ale często tak myślę: oto hrabia Kirył Władimirowicz Bezuchow żyje samotnie... taki olbrzymi majątek... i po co on żyje? Życie jest dla niego ciężarem, a Boria dopiero zaczyna żyć.

– Chyba zostawi coś Borysowi – rzekła hrabina.

– Bóg wie, *chère amie!*<sup>110</sup> Ci bogacze i magnaci to tacy egoiści. Ale ja mimo wszystko pojedę z Borysem do niego i powiem mu wprost, o co mi chodzi. Niech sobie ludzie o mnie myślą, co chcą, mnie naprawdę jest wszystko jedno, gdy od tego zależy los mego syna. – Księżna wstała. – Teraz jest druga, a do obiadu siadacie o czwartej. – Zdążę pojechać.

Z manierami petersburskiej damy, umiejącej korzystać z okazji, Anna Michajłowna posłała po syna i razem z nim wyszła do przedpokoju.

– Żegnaj, moje serce – rzekła do hrabiny, która odprowadzała ją do drzwi. – Życz mi powodzenia – dodała szeptem, żeby syn nie słyszał.

– Księżna do hrabiego Kiryła Władimirowicza, *ma chère?* – zapytał hrabia wchodząc z jadalni do przedpokoju. – Jeśli mu lepiej, to proszę zaprosić Pierre'a do mnie na obiad. Przecie bywał u mnie i tańczył z moimi dziećmi. Koniecznie proszę go zaprosić, *ma chère*. Ano zobaczymy, jak się dziś popisie Taras. Mówi, że nawet hrabia Orłow nie dawał takich obiadów, jaki będzie u nas!

---

<sup>109</sup> Dosłownie.

<sup>110</sup> Droga przyjaciółko!

## XII

*Mon cher Boris*<sup>111</sup> – powiedziała księżna Anna Michajłowna do syna, kiedy karetą hrabiny Rostow, w której siedzieli, przejechała ulicę wyścieloną słomą i wjechała na rozległy dziedzi-  
niec domu hrabiego Kirila Władimirowicza Bezuchowa.

– *Mon cher Boris* – rzekła matka wysuwając rękę spod starej salopy i nieśmiałym, piesz-  
czotliwym ruchem kładąc ją na rękę syna – bądź miły, bądź uprzejmy. Hrabia Kiril Władimi-  
rowicz jest przecież twoim chrzestnym ojcem i od niego zależy twój dalszy los. Pamiętaj o  
tym, *mon cher*, i bądź tak miły jak ty to potrafisz...

– Gdybym wiedział, że z tego wyniknie coś poza upokorzeniem... – odpowiedział syn  
zimno. – Ale obiecałem mamie i robię to dla mamy.

Mimo że czyjaś karetą stała u podjazdu, szwajcar przyjrawszy się matce i synowi (którzy,  
nie każąc się meldować, weszli prosto do oszklonej sieni między dwoma szeregami posągów  
w niszach), popatrzył znacząco na zniszczoną salopkę i zapytał, kogo sobie życzą widzieć:  
księżniczki czy hrabiego. A kiedy się dowiedział, że hrabiego, oznajmił, iż jaśnie oświecony  
pan dziś ma się gorzej i że jaśnie oświecony pan nikogo nie przyjmuje.

– Możemy odjechać – rzekł syn po francusku.

– *Mon ami!*<sup>112</sup> – powiedziała matka błagalnym głosem i znów dotknęła ręki syna, jakby to  
dotknięcie mogło go uspokajać lub pobudzać.

Borys umilkł i, nie zdejmując płaszcza, pytająco spojrzął na matkę.

– Kochaneczku – tkliwym głosikiem rzekła Anna Michajłowna do szwajcara – ja wiem, że  
hrabia Kiril Władimirowicz jest bardzo chory... właśnie dlatego przyjechałam... jestem jego  
krewną... Nie będę go niepokoić, kochaneczku... Chciałabym się tylko zobaczyć z księciem  
Wasilem Siergiejewiczem: przecie on tu się zatrzymał. Bądź tak dobry, zamelduj mnie.

Szwajcar ponuro pociągnął sznur od dzwonka na piętro i odwrócił się.

– Księżna Drubecka do księcia Wasilia Siergiejewicza – krzyknął do lokaja, który w poń-  
czochach, pantoflach i fraku zbiegł z piętra i wyglądał spoza poręczy podestu.

Matka poprawiła fałdy swej farbowanej jedwabnej sukni, przejrzała się w dużym wene-  
kim zwierciadle w ścianie i w swych przydeptanych trzewikach śmiało ruszyła na górę po  
wyścielonych dywanem schodach.

– *Mon cher, vous m'avez promis*<sup>113</sup> – znowu zwróciła się do syna pobudzając go dotknię-  
ciem ręki.

Syn, spuściwszy oczy, szedł spokojnie za nią.

Weszli do sali, z której jedne drzwi prowadziły do pokojów przeznaczonych dla księcia  
Wasilia.

Akurat wtedy, kiedy matka i syn znaleźli się na środku pokoju zamierzali spytać o drogę  
starego służącego, który zerwał się na ich widok, w jednych drzwiach poruszyła się brązowa  
klamka i wyszedł książę Wasilij – w futerku krytym aksamitem, z jedną gwiazdą orderową,

---

<sup>111</sup> Borieńka.

<sup>112</sup> Mój kochany!

<sup>113</sup> Mój drogi, przyrzekłeś mi.

po domowemu – odprowadzając pięknego czarnowłosego mężczyznę. Tym mężczyzną był znakomity petersburski doktor Lorrain.

– *C'est donc positif?*<sup>114</sup> – pytał książę.

– *Mon prince, „errare humanum est”, mais...*<sup>115</sup> – odpowiedział doktor grasejąc i z francuska wymawiając łacińskie słowa.

– *C'est bien, c'est bien...*<sup>116</sup>

Zauważywszy Annę Michajłownę z synem, książę Wasilij pożegnał doktora ukłonem i w milczeniu, lecz z pytającą miną zbliżył się do nich. Syn dostrzegł, że w oczach matki odbił się nagle głęboki smutek, i uśmiechnął się lekko.

– Tak, książę, w jakich to smutnych okolicznościach się spotykamy... Jakże nasz drogi chory? – zapytała, jakby nie dostrzegając chłodnego, znieważającego spojrzenia, które na nią skierował.

Książę Wasilij popatrzył na nią, a potem na Borysa pytająco-zdumionym wzrokiem. Borys skłonił się grzecznie. Książę Wasilij, nie odpowiedziałwszy na ukłon, zwrócił się do Anny Michajłowny i na jej pytanie odpowiedział ruchem głowy i warg, który oznaczał mało nadziei dla chorego.

– Czyżby? – zawołała Anna Michajłowna. – Ach, to straszne! Straszne, gdy się pomyśli... To mój syn – dodała wskazując Borysa. – Chciał sam podziękować księciu.

Borys jeszcze raz ukłonił się z szacunkiem.

– Wierzej mi, książę, że serce matki nigdy nie zapomni, co książę dla nas zrobiłeś.

– Jestem rad, że mogłem pani zrobić przyjemność, droga Anno Michajłowno – rzekł książę Wasilij poprawiając żabot. Tu, w Moskwie, gestem i głosem okazywał swej protegowanej Annie Michajłownie znacznie większą wyniosłość niż w Petersburgu, na wieczorze u Annette Scherer.

– Staraj się pan dobrze służyć i okazać się godnym – dodał surowo, zwracając się do Borysa. – Jestem rad... Czy jesteś tu na urlopie? – wybijał swym beznamiętnym tonem.

– Czekam na rozkaz, jaśnie oświecony książę, by udać się na nowe stanowisko – odpowiedział Borys nie okazując ani urazy z powodu ostrego tonu, ani chęci wdania się w rozmowę, lecz z tak spokojnym szacunkiem, iż książę popatrzył na niego uważnie.

– Mieszka pan z mamą?

– Mieszkam u hrabiny Rostow – odrzekł Borys i znowu dodał: – jaśnie oświecony książę.

– To ten Ilia Rostow, który ożenił się z Natalie Szynszyn – oznajmiła Anna Michajłowna.

– Wiem, wiem – rzekł książę Wasilij swym monotonnym głosem. – *Je n'ai jamais pu concevoir, comment Natalie s'est décidée à épouser cet ours malléché! Un personnage complètement stupide et ridicule. Et joueur à ce qu'on dit.*<sup>117</sup>

– *Mais très brave homme, mon prince*<sup>118</sup> – zauważyła Anna Michajłowna uśmiechając się tklawie, jak gdyby i ona wiedziała, że hrabia Rostow zasługuje na taką opinię, ale prosiła o litość dla biednego starca.

– Co mówią doktorzy? – zapytała księżna po chwili milczenia. Na jej wyplakany obliczu znowu pojawił się ogromny smutek.

– Słaba nadzieja – oświadczył książę.

– A ja tak pragnęłam raz jeszcze podziękować wujkowi za jego dobrodziejstwa dla mnie i dla Bori. *C'est son filleul*<sup>119</sup> – dodała takim tonem, jakby ta wiadomość mogła niezmiernie ucieszyć księcia Wasilia.

<sup>114</sup> Więc to pewne?

<sup>115</sup> Mój książę, „błądzić jest rzeczą ludzką”, ale...

<sup>116</sup> Dobrze, dobrze...

<sup>117</sup> Nigdy nie mogłem pojąć, jak Natalie zdecydowała się wyjść za mąż za tego nieokrzesanego niedźwiedzia. Człowiek zupełnie głupi i śmieszny. W dodatku, jak mówią, gracz.

<sup>118</sup> Ale to zacy człowiek, mój książę.

<sup>119</sup> To jego chrześniak.

Książę Wasilij zamyślił się i nachmurzył. Anna Michajłowna zrozumiała, że obawia się znaleźć w niej rywalkę do spadku po hrabim Bezuchowie. Pospieszyła więc go uspokoić.

– Gdyby nie moje szczerze przywiązanie i oddanie dla wuja... – rzekła wymawiając to słowo ze szczególną pewnością siebie i niedbale. – Znam jego charakter – szlachetny, otwarty, ale przy nim są tylko księżniczki... A one jeszcze takie młode... – Pochyliła głowę i dodała szeptem: – Książę, czy on spełnił ostatni obowiązek? Jakże bezcenne są te ostatnie chwile! Przecie już gorzej być nie może, koniecznie należy go przygotować, skoro już tak źle z nim. Książę, my, kobiety – uśmiechnęła się subtelnie – zawsze wiemy, jak to należy powiedzieć. Koniecznie muszę go zobaczyć. Jakkolwiek będzie mi ciężko, lecz nawykłam już do cierpień.

Książę widać zrozumiał; zrozumiał też podobnie jak na wieczorze u Anny Scherer, że trudno będzie odprawić Annę Michajłownę.

– Oby ta wizyta nie okazała się dlań zbyt ciężka, *chère* Anna Michajłowna – rzekł. – Poczekamy do wieczora, doktorzy zapowiadają kryzys.

– Ależ książę, w takiej chwili nie można czekać. *Pen-sez, il y va du salut de son âme... Ah! c'est terrible, les devoirs d'un chrétien...*<sup>120</sup>

Otworzyły się drzwi prowadzące do dalszych pokoi i weszła jedna z księżniczek – siostrzenic hrabiego. Twarz miała posępną i zimną, talię uderzająco długą, nieproporcjonalnie w stosunku do nóg.

Książę Wasilij zwrócił się do niej.

– No, jakże?

– Ciągłe tak samo. Cóż książę chce, ten gwar... – oświadczyła księżniczka spoglądając na Annę Michajłownę jak na nieznaną.

– Ach, *chère, je ne vous reconnaisais pas* – rzekła Anna Michajłowna z radosnym uśmiechem podchodząc do siostrzenicy hrabiego. – *Je viens d'arriver et je suis à vous pour vous aider à soigner m o n o n c l e. J'imagine, combien vous avez souffert*<sup>121</sup> – dodała ze współczuciem przewracając oczami.

Księżniczka nic nie odpowiedziała, nawet się nie uśmiechnęła i zaraz wyszła. Anna Michajłowna zdjęła rękawiczki, rozsiadła się w fotelu, niczym na zdobytej pozycji, i zaprosiła księcia Wasilia, by siadł obok.

– Borysie! – rzekła do syna i uśmiechnęła się. – Ja pójdę do hrabiego, do wuja, a ty, *mon ami*, idź póki co do Pierre'a i nie zapomnij przekazać mu zaproszenia Rostowów. Proszę go na obiad. Myślę, że chyba nie pojedzie – zwróciła się do księcia.

– Przeciwnie – odrzekł książę, który widocznie stracił humor. – *Je serais très content si vous me débarrassez de ce jeune homme...*<sup>122</sup> Siedzi tu. Hrabia ani razu nie zapytał o niego.

Wzruszył ramionami. Sługa zaprowadził młodego człowieka na dół, a potem w górę innymi schodami, do Piotra.

---

<sup>120</sup> Proszę pomyśleć, że przecie to chodzi o zbawienie jego duszy... Ach, to straszne, obowiązek chrześcijański...

<sup>121</sup> Ach, droga, nie poznałam cię... Przyjechałam, by wam pomóc pielęgnować mego wuja. Wyobrażam sobie, ileście wycierpiały.

<sup>122</sup> Byłbym bardzo rad, gdyby pani uwolniła mnie od tego młodego człowieka...

### XIII

Tak więc Pierre nie zdążył wybrać sobie kariery w Petersburgu i naprawdę został wydalony do Moskwy za awanturę. Historia, którą opowiadano u hrabiego Rostowa, była prawdziwa. Pierre brał udział w przywiązywaniu rewirowego do niedźwiedzia. Przyjechał kilka dni temu i jak zwykle zatrzymał się w domu ojca. Choć przypuszczał, że ta historia jest już znana w Moskwie i że panie, które otaczają jego ojca, zawsze mu nieżyczliwe, skorzystają z okazji, by wzbudzić gniew hrabiego, w dniu przyjazdu udał się do ojca. Wszedłszy do salonu, gdzie księżniczki przebywały zazwyczaj, przywitał panny siedzące przy krosienkach; jedna z nich czytała głośno książkę. Było ich trzy. Czytała najstarsza, z długą talią, schludna, surowa panna, ta sama, która wyszła do Anny Michajłowny; dwie młodsze, obie rumiane i ładniutkie, różniące się od siebie tylko tym, że jedna miała nad wargą pieprzyk, z którym jej było bardzo do twarzy, wyszywały na krosnach. Powitano Pierre'a niby nieboszczyka lub zadżumionego. Najstarsza księżniczka przerwała czytanie i w milczeniu patrzyła na niego przestraszonymi oczyma, młodsza, ta bez pieprzyka, przybrała dokładnie taką samą minę, najmłodsza, z pieprzykiem, o usposobieniu wesołym i skłonnym do śmiechu, pochyliła się nad krosienkami, aby ukryć uśmiech, wywołany zapewne mającą nastąpić sceną, której pociesność przewidywała. Przeciągnęła w dół włóczkę, nachyliła się, jak gdyby wpatrując się we wzór, i z trudem powstrzymywała się od uśmiechu.

– *Bonjour, ma cousine* – odezwał się Pierre. – *Vous ne me reconnaissez pas?*<sup>123</sup>

– Zbyt dobrze poznaję kuzyna, zbyt dobrze.

– Jak zdrowie hrabiego? Czy mógłbym go zobaczyć? – zapytał Pierre niezręcznie, jak zawsze, ale bez zmieszania.

– Hrabia cierpi i fizycznie, i moralnie. Zdaje się, żeś postarał się o to, kuzynie, by mu przyczynić cierpienie moralnych.

– Czy mogę zobaczyć hrabiego? – powtórzył Pierre.

– Hm!... Jeśli chcesz go zabić, kuzynie, naprawdę zabić, to możesz się z nim widzieć. Olga, idź zobacz, czy bulion dla wujcia już gotów, wkrótce będzie pora – dodała, dając w ten sposób Pierre'owi do zrozumienia, że są zajęte, i zajęte właśnie uspokajaniem jego ojca, gdy tymczasem on najwidoczniej jest zajęty rozdrażnianiem go.

Olga wyszła. Pierre postać chwilę, popatrzył na siostry i skłoniwszy się rzekł:

– Pójdę do siebie. Kiedy będzie można, proszę mi powiedzieć.

Wyszedł, a za nim rozległ się dźwięczny, lecz niezbyt głośny śmiech siostry z pieprzykiem.

Nazajutrz przyjechał książę Wasilij i rozlokował się w domu hrabiego. Wezwał do siebie Pierre'a i powiedział:

– *Mon cher, si vous conduisez ici, comme à Petersbourg, vous finirez très mal; c'est tout ce que je vous dis.*<sup>124</sup> Hrabia jest bardzo, bardzo chory: nie powinieneś go wcale widywać.

<sup>123</sup> Dzień dobry... Czy kuzynka mnie nie poznaje?

<sup>124</sup> Mój drogi, jeśli tutaj będziesz się tak prowadził jak w Petersburgu, to skończysz bardzo źle; to wszystko, co ci mam do powiedzenia.



Od tego czasu nikt Pierre'a nie niepokoił, a on cały dzień spędzał na górze sam, w swoim pokoju.

W chwili gdy Borys wszedł do niego, Pierre spacerował po pokoju, od czasu do czasu zatrzymywał się w którymś kącie, robił groźne gesty w kierunku ściany, jak gdyby przebijając szpadą niewidzialnego wroga, i spoglądał surowo sponad okularów, po czym znowu rozpoczął wędrówkę, mrużąc przy tym jakieś niezrozumiałe słowa i rozkładając ręce.

– *L'Angleterre a vécu* – wyrzekł chmurząc się i wskazując na kogoś palcem. – *M. Pitt comme traître à la nation et au droit des gens est condamné à...*<sup>125</sup> – Nie zdążył dokończyć wyroku na Pitta, wyobrażając sobie, że jest w tej chwili Napoleonem we własnej osobie i wraz ze swym bohaterem już odbył niebezpieczną przeprawę przez Pas-de-Calais i zdobył Londyn – gdy ujrzał wchodzącego młodego, zgrabnego i przystojnego oficera. Zatrzymał się. Pierre znał Borysa jako czternastoletniego chłopca i zupełnie go nie pamiętał, lecz nie bacząc na to, z właściwą sobie skwapliwą życzliwością ujął go za rękę i uśmiechnął się przyjacielsko.

– Pan sobie mnie nie przypomina? – spokojnie, z miłym uśmiechem rzekł Borys. – Przyjechałem z mamą do hrabiego, ale zdaje się, że jest niezupełnie zdrow.

– Tak, zdaje się, niezdrow. Wszystko go niepokoi – odparł Pierre usiłując przypomnieć sobie, kim jest ów młody człowiek.

Borys czuł, że Pierre go nie poznaje, ale nie uważał za stosowne przedstawić się, i bez żadnego zmieszania patrzył mu prosto w oczy.

– Hrabia Rostow prosił, by pan przyjechał dziś do niego na obiad – rzekł po chwili dość długiego i kłopotliwego dla Pierre'a milczenia.

– A! Hrabia Rostow! – zaczął Pierre z radością. – To pan jest jego synem, Ilią? Proszę sobie wyobrazić, zem pana w pierwszej chwili nie poznał. Pamięta pan, jakeśmy z madame Jacquot jeździli na Worobiowe Góry?... Już dawno.

– Pan się myli – odparł Borys bez pośpiechu, ze śmiałym i nieco drwiącym uśmiechem. – Jestem Borys, syn księżny Anny Michajłowny Drubeckiej. Rostow-ojciec ma na imię Ilią, a jego syn – Mikołaj. I żadnej madame Jacquot nie znałem.

Pierre zatrzepotał rękami i potrzęsnał głową, jakby opadły go komary albo pszczoły.

– Ach, doprawdy, wszystko mi się poplątało. W Moskwie mam tylu krewnych! Pan jest Borys... tak. Tośmy się dogadali. Co pan myśli o ekspedycji bulońskiej?<sup>126</sup> Źle będzie z Anglikami, jeśli Napoleon przeprawi się przez Kanał? Myślę, że ekspedycja jest bardzo możliwa. Byle Villeneuve nie pokpił sprawę!

Borys nic nie wiedział o ekspedycji bulońskiej, nie czytał gazet i o admirale Villeneuve słyszał po raz pierwszy.

– Tu w Moskwie jesteśmy bardziej zajęci proszonymi obiadami i plotkami niż polityką – odparł swym spokojnym, drwiącym tonem. – Nic o tym nie wiem i nic nie myślę. Moskwa przede wszystkim zajęta jest plotkami – ciągnął. – Teraz mówią o panu i o hrabi.

Pierre uśmiechnął się swym pocziwym uśmiechem, jakby w obawie, że jego rozmówca powie coś takiego, czego by sam musiał żałować. Lecz Borys mówił dobitnie, jasno, oschle i patrzył mu prosto w oczy.

– Moskwa nie ma nic innego do roboty, jak tylko plotkować – ciągnął. – Wszystkich zaprzęta to, komu hrabia zostawi swój majątek, choć możliwe, iż przeżyje nas wszystkich, czego mu życzę z całego serca...

---

<sup>125</sup> Koniec z Anglią... Pitt, jako zdrajca narodu i prawa narodów, zostaje skazany na... Mowa tu o Williamie Pitt młodszy (1759–1806), przeciwniku rewolucji francuskiej i nieubłaganym wrogu Napoleona, przeciw któremu utworzył trzy koalicje. Wskutek zwycięstw Napoleona handel brytyjski znajdował się w ruinie, i do tego właśnie, jak również i do antyrewolucyjnej działalności Pitta odnoszą się słowa Pierre'a.

<sup>126</sup> Napoleon w r. 1805 zebrał w Boulogne Wielką Armię i planował wkroczenie do Anglii.

– Tak, to wszystko jest bardzo ciężkie – podjął Pierre – bardzo ciężkie. – Pierre ciągle się obawiał, że ten oficer wda się niebacznie w rozmowę dla niego samego kłopotliwą.

– A panu się chyba wydaje – mówił Borys, lekko się rumieniając, lecz nie zmieniając głosu i pozy – panu się chyba wydaje, że wszystkich zaprzęta tylko to, by załapać coś od bogacza.

„Tak to jest” – pomyślał Pierre.

– A ja właśnie chciałem panu powiedzieć, żeby uniknąć nieporozumień, że pan się bardzo myli, jeśli zalicza mnie i moją matkę do tych ludzi. Jesteśmy bardzo biedni, lecz – mówię przynajmniej za siebie – właśnie dlatego, że pański ojciec jest bogaty, nie uważam się za jego krewniaka, i ani ja, ani moja matka o nic go nie będziemy prosić i nic od niego nie przyjmemy.

Pierre długo nie mógł zrozumieć, ale kiedy zrozumiał, zerwał się z kanapy, chwycił Borysa za rękę z właściwą sobie porywcznością i niezręcznością i zaczerwieniony bardziej jeszcze niż Borys, zaczął mówić ze zmieszonym uczuciem wstydu i przykrości:

– A to dziwne! Czyż ja... kto by to mógł pomyśleć?... Ja dobrze wiem...

Lecz Borys znowu mu przerwał:

– Ciesz się, że wszystko powiedziałem. Być może, panu jest nieprzyjemnie, proszę mi wybaczyć – rzekł uspokajając Pierre'a, zamiast być przez niego uspokojonym.

– Mam jednak nadzieję, że pana nie uraził. Mam zasadę, by wszystko mówić otwarcie... Co mam odpowiedzieć? Przyjedzie pan na obiad do Rostowów?

Borys, jak widać, zrzuciwszy z siebie ciężki obowiązek, wybrnąwszy z kłopotliwej sytuacji i postawiwszy w niej kogo innego, znowu stał się całkiem miły.

– Proszę posłuchać – odezwał się Pierre uspokajając się. – Zdumiewający z pana człowiek. To, co pan powiedział, to dobrze, to bardzo dobrze. Oczywiście, nie znasz mnie. Dawnośmy się nie widzieli... jeszcze jako dzieci... Możesz przypuszczać, że ja... Rozumiem pana, dobrze rozumiem. Ja bym tego nie zrobił, zabrakłoby mi na to odwagi, ale to bardzo piękne. Bardzo mi rad, żeśmy się poznali.

– Dziwne – dodał po chwili milczenia – żeś pan żywił takie przypuszczenia! – Roześmiał się. – No, cóż! Poznamy się bliżej. Bardzo proszę – uściśnął Borysowi rękę.

– Wiesz, jeszcze ani razu nie był u hrabiego. Nie wzywał mnie... Żał mi go jako człowieka... Ale co począć.

– Sądzi pan, że Napoleon zdoła przeprowadzić armię? – zapytał Borys uśmiechając się.

Pierre zrozumiał, że Borys pragnie zmienić temat, więc zgodnie z tym, zaczął rozważać plusy i minusy bułońskiego przedsięwzięcia.

Wszedł lokaj wzywając Borysa do księżny. Księżna odjeżdżała. Pierre obiecał przyjechać na obiad, by bliżej poznać się z Borysem, mocno uściśnął mu rękę, serdecznie patrząc mu w oczy przez okulary... Po jego wyjściu Pierre długo jeszcze spacerował po pokoju, już nie godził szpadą w niewidzialnego wroga, lecz uśmiechał się na wspomnienie tego miłego, rozumnego i stanowczego młodzieńca.

Jak to często się zdarza w początkach młodości, zwłaszcza gdy się jest osamotnionym, poczuł nieuzasadnioną tkliwość dla tego młodego człowieka i obiecał sobie, że musi się z nim zaprzyjaźnić.

Księżę Wasilij odprowadzał księżną. Księżna trzymała przy oczach chusteczkę, a na jej twarzy widać było ślady łez.

– To straszne! straszne! – mówiła. – Ale cokolwiek by to mnie miało kosztować, spełnię swój obowiązek. Przyjadę na noc. Nie można go tak zostawić. Każda chwila jest droga. Nie rozumiem, czemu księżniczki zwlekają. Może Bóg mi pozwoli znaleźć jakiś sposób, by go przygotować!... *Adieu, mon prince, que le bon Dieu vous soutienne...*<sup>127</sup>

– *Adieu, ma bonne*<sup>128</sup> – odpowiedział księżę Wasilij odwracając się od niej.

<sup>127</sup> Żegnam, niech Bóg ma księcia w swej opiece...

<sup>128</sup> Żegnam, moja droga.

- Ach, jego stan jest okropny – rzekła matka do syna, kiedy znowu wsiadali do karety. – Prawie nikogo nie poznaje.
- Nie rozumiem, mamó, jaki jest jego stosunek do Pierre'a – zapytał syn.
  - Wszystko wyjaśni testament, mój drogi, od niego i nasz los zależy...
  - Dlaczego mama myśli, że i nam coś zapisze?
  - Ach, mój kochany! On jest taki bogaty, a my tacy biedni!
  - No, mamó, to jeszcze nie jest dostatecznym powodem.
  - Ach, mój Boże, mój Boże, jak z nim źle! – wołała matka.

## XIV

Kiedy Anna Michajłowna pojechała z synem do hrabiego Kirila Władimirowicza Bezuchowa, hrabina Rostow długo siedziała sama, przykładając do oczu chusteczkę. Wreszcie zadzwoniła.

– Cóż to, moja droga – powiedziała gniewnie do dziewczyny, która pozwoliła czekać na siebie kilka minut. – Nie chcecie służyć czy co? Więc znajdę wam inne miejsce.

Hrabina była rozstrojona nieszczęściem i upokarzającym ubóstwem swej przyjaciółki i dlatego była nie w humorze, co u niej zawsze objawiało się mówieniem pokojówce „moja droga” i „wy”.

– Przepraszam – rzekła pokojówka.

– Poprosić do mnie pana hrabiego. Hrabia podszedł, kołyszając się, do żony z trochę niepewną miną, jak zawsze.

– Ach, hrabianeczko. Co to będzie za *sauté au madère* z jarząbków! Próbowałem; nie na próżno dałem za Taraskę tysiąc rubli. Wart tyle!

Siadł obok żony, opierając junacko łokcie na kolanach i burząc siwe włosy.

– Co hrabianeczka rozkaże?

– Widzisz, mój drogi... a czymes się tak tu pobrudził? – rzekła wskazując na jego kamizelkę.

– To chyba *sauté* – dodała uśmiechając się. – Więc tak, hrabio: potrzebuję pieniędzy.

Twarz jej posmutniała.

– Ach, hrabianeczko!... – I hrabia zaczął szybko wydobywać pugilares.

– Potrzebuję dużo, trzeba mi pięćset rubli, hrabio. – I wydobywszy batystową chusteczkę, wycierała nią mężowi kamizelkę.

– Zaraz, zaraz. Hej, jest tam kto? – zawołał głosem takim, jakim wołają ludzie mający pewność, że ci, których wołają, rzucą się na ich wezwanie na złamanie karku.

– Przysłać do mnie Mitińkę!

Do pokoju wszedł wolnym krokiem Mitińka, ów szlachecki syn wychowany u hrabiego, a obecnie zawiadujący wszystkimi jego interesami.

– Więc, kochasiu – rzekł hrabia do młodego człowieka, który wszedł pełen uszanowania. – Przynieś mi... – zastanowił się. – Tak, siedemset rubli, tak. Tylko uważaj, nie przynoś takich podartych i brudnych jak zeszłym razem, ale nowe, dla pani hrabiny.

– Tak, Mitińka, proszę, żeby były czyściutkie – rzekła hrabina wzdychając smutnie.

– Kiedy jaśnie oświecony pan każe przynieść? – powiedział Mitińka. – Pan hrabia zechce wziąć pod uwagę, że... Zresztą, raczy się pan hrabia nie niepokoić – dodał, kiedy zauważył, że hrabia już zaczął oddychać ciężko i szybko, co zawsze było oznaką zbliżającego się gniewu. – Zapomniałem już... czy mam przynieść w tej chwili?

– Tak, tak, właśnie zaraz. I oddaj pani hrabinie.

– Prawdziwy skarb ten Mitińka – dodał hrabia z uśmiechem, kiedy młody człowiek wszedł. – Nigdy nie powie: to niemożliwe. Nie zniósłbym tego. Wszystko jest możliwe.

– Ach, pieniądze, hrabio, pieniądze, ile to przez nie zmartwień na świecie! – rzekła hrabina. – A te pieniądze bardzo mi są potrzebne.

– Hrabianeczka jest znaną rozrzutnicą – rzekł hrabia, pocałował żonę w rękę i poszedł do gabinetu.

Kiedy Anna Michajłowna wróciła od Bezuchowa, u hrabiny na stoliku leżały już pieniądze – same nowiutkie asygnaty – nakryte chusteczką, zaś Anna Michajłowna zauważyła, że hrabina jest czymś rozstrojona.

– I cóż, moja droga? – zapytała hrabina.

– Ach, stan jego jest okropny! Nie można go poznać, jest tak kiepski, tak kiepski. Byłam tam chwilę, ale nawet dwóch słów nie powiedziałam...

– Annette, nie odmawiaj mi, na miłość boską – rzekła nagle hrabina rumieniąc się, co było bardzo dziwne przy jej niemłodej, wychudłej, poważnej twarzy, i wyjęła pieniądze spod chusteczki.

Anna Michajłowna w lot zrozumiała, o co chodzi, i już się nachyliła, by w odpowiedniej chwili uścisnąć hrabinę.

– To ode mnie dla Borysa, na uszycie munduru... Anna Michajłowna już ją obejmowała i płakała. Hrabina również płakała. Płakały dlatego, że łączy je przyjaźń, i dlatego, że są dobre; i dlatego, że one, przyjaciółki od młodości, zajmują się tak przyziemnymi sprawami jak pieniądze; i dlatego, że młodość ich minęła... Ale dla obu łązy te były przyjemne...

## XV

Hrabina Rostow siedziała w salonie z córkami i już dość licznymi gośćmi. Hrabia zaprowadził mężczyzn do gabinetu, proponując im swą doborową kolekcję tureckich fajek. Od czasu do czasu wychodził i pytał, czy nie przyjechała. Czekano na Marię Dmitriewnę Achrosimow, przezwaną w towarzystwie „*le terrible dragon*”<sup>129</sup>, damę słynną nie z bogactw ani zaszczytów, lecz z charakteru i szczerzej prostoty obejścia. Marię Dmitriewnę знаła rodzina cesarska, znała ją cała Moskwa i cały Petersburg, i oba miasta podziwiała ją, pokpiwając sobie po cichu z jej szorstkości i opowiadały o niej anegdoty, niemniej jednak wszyscy bez wyjątku szanowali ją i bali się jej.

W gabinecie, pełnym dymu, toczyła się rozmowa o wojnie, którą proklamował manifest, i o zaciągu do wojska. Manifestu nikt jeszcze nie czytał, ale wszyscy wiedzieli, że się ukazał. Hrabia siedział na sofie między dwoma sąsiadami, którzy palili i rozmawiali. Hrabia sam nie palił i nie rozmawiał, lecz pochylając głowę to w jedną, to w drugą stronę, spoglądał na palących z widoczną satysfakcją i słuchał rozmowy swych dwóch sąsiadów, których poszczuła na siebie wzajemnie.

Jeden z rozmawiających, ubrany po cywilnemu, miał twarz pomarszczoną, chudą, zgryźliwą i wygoloną, był to człowiek zbliżający się już do starości, mimo że ubrany jak młody modniś; z miną człowieka zadomowionego siedział z nogami na kanapce i wepchnąwszy z boku bursztynowy cybuch głęboko w usta, gwałtownie wciągał dym i mrużył oczy. Był to Szynszyn, stary kawaler, stryjeczny brat hrabiny; w moskiewskich salonach mówiono o nim: „zły język”. Zdawał się zniżać do swego rozmówcy. Drugi świeży, różowy oficer gwardii, nieposzlakowanie schludny, zapięty i ufryzowany, trzymał cybuch pośrodku ust i różowymi wargami wciągał lekko dymek, który wypuszczał kóleczkami z ładnych ust. Był to właśnie ów porucznik Berg, oficer Siemionowskiego pułku, z którym Borys miał razem jechać do pułku i którym Natasza dokuczała Wierze, starszej hrabiance, nazywając Berga jej narzeczonym. Hrabia siedział między nimi i słuchał uważnie. Wyjąwszy grę w bostona, którą hrabia bardzo lubił, najmilszym dla niego zajęciem było znaleźć się w sytuacji słuchacza, osobliwie, kiedy mu się udało podjuzdzić na siebie dwóch gadatliwych interlokutorów.

– Więc jakże, serdeńko, *mon très honorable* Alfonsie Karłyczu – kpiąco mówił Szynszyn łącząc najpospolitsze ludowe zwroty rosyjskie (na tym właśnie polegała osobliwość jego mowy) z wyszukаныmi zdanyami francuskimi. – *Vous comptez vous faire des rentes sur l'état*,<sup>130</sup> chcesz mieć dochodzik z rotty?

– Wcale nie. Piotrze Nikołaiczu, pragnę tylko dowieść, że służba w kawalerii jest mniej intratna niż w piechocie. Proszę teraz wziąć pod uwagę moją sytuację.

Berg mówił zawsze nader dokładnie, spokojnie i uprzejmie. Mówił zawsze tylko o sobie, stale milczał, kiedy mówiono o czymś, co nie miało bezpośredniego związku z nim, a potrafił milczeć w ten sposób przez kilka godzin, ani sam nie odczuwając choćby najmniejszego za-

---

<sup>129</sup> Straszny dragonem.

<sup>130</sup> Mój wielce szanowny... Pan liczy na państwowy dochód.

kłopotania, ani innych nie wprawiając w zakłopotanie. Ale gdy tylko rozmowa dotyczyła jego osobiście, zaczynał się rozwodzić obszernie i z widocznym zadowoleniem.

– Proszę sobie wyobrazić moją sytuację. Piotrze Nikołaiczu: będąc w kawalerii otrzymywałamby nie więcej niż dwieście rubli na tercjał, nawet w randze porucznika, a teraz otrzymuję dwieście trzydzieści – mówił z przyjemnym, . radosnym uśmiechem, spoglądając na Szynszyna i na hrabiego, jakby to dlań było rzeczą oczywistą, że jego sukces zawsze będzie głównym celem pragnień wszystkich innych ludzi.

– Poza tym. Piotrze Nikołaiczu, przechodząc do gwardii, jestem na widoku – ciągnął Berg – a w piechocie gwardii wakans zdarza się znacznie częściej. Następnie możesz pan sobie wyobrazić, jakem się urządził za dwieście trzydzieści rubli! Ja i odkładam, i jeszcze ojcu posyłam – ciągnął wypuszczając kóleczeko.

– *La balance y est...* Niemiec i z piasku bicz ukręci, *comme dit le proverbe*<sup>131</sup> – rzekł Szynszyn przekładając cybuch w drugi kąt warg i mrugnął na hrabiego.

Hrabia roześmiał się. Inni goście, widząc, że Szynszyn prowadzi rozmowę, zbliżyli się, chcąc posłuchać. Berg, nie dostrzegając ani drwiny, ani obojętności, dalej opowiadał, że dzięki przeniesieniu do gwardii wyprzedził o stopień swych kolegów z korpusu; że podczas wojny dowódca rotty może być zabity, a on, jako najstarszy w rocie, łatwo może zostać dowódcą kompanii; że w pułku wszyscy go lubią i że papa jest z niego kontent. Berg widocznie rozkoszował się opowiadaniem tego wszystkiego; jak gdyby nawet nie podejrzewał, że inni ludzie również mogą mieć swoje zainteresowania. Lecz wszystko, co opowiadał, było w miarę miłe, a naiwność młodzieńczego egoizmu tak widoczna, że to rozbierało słuchaczy.

– No, serdeńko, pan zarówno w piechocie, jak i w kawalerii – wszędzie da sobie radę, przepowiadam to panu – oświadczył Szynszyn klepiąc go po ramieniu i spuszczać nogi z sofy.

Berg uśmiechnął się radośnie. Hrabia, a za nim goście wyszli do salonu.

Była to pora przed proszonym obiadem, kiedy zebrani goście nie wszczynają dłuższych rozmów, oczekując, że zaraz zaproszą ich do zakąsek, a jednocześnie uważają za konieczne poruszać się i nie milczeć, by pokazać, że bynajmniej im nie pilno zasiąść do stołu. Gospodarze spoglądają na drzwi, z rzadka porozumiewając się spojrzeniami. Goście starają się z tych spojrzeń odgadnąć, na kogo albo na co jeszcze czekają: czy na jakiegoś znacznego a spóźniającego się krewniaka, czy też na danie, które jeszcze nie jest gotowe.

Pierre przyjechał przed samym obiadem i siedział niezręcznie pośrodku salonu w pierwszym z brzegu fotelu, tarasując wszystkim drogę. Hrabina chciała zmusić go do rozmowy, lecz on naiwnie spoglądał dokoła przez okulary, jakby kogoś szukał, a na wszystkie pytania hrabiny odpowiadał monosylabami. Był po prostu zenujący, i tylko sam tego nie dostrzegał. Większość gości znała jego historię z niedźwiedziem, toteż z ciekawością patrzyli na tego dużego, otyłego i potulnego człowieka, dziwiąc się, jak taki potulny dryblas mógł spłatać takiego figla z rewirowym.

– Pan niedawno przyjechał? – zapytała go hrabina.

– *Oui, madame*<sup>132</sup> – odpowiedział rozglądając się.

– Nie widział pan mego męża?

– *Non, madame.*<sup>133</sup> – Uśmiechnął się całkiem nie à propos.

– Zdaje się, że był pan niedawno w Paryżu? Sądzę, że to bardzo ciekawe.

– Bardzo ciekawe.

Hrabina wymieniła spojrzenie z Anną Michajłówną. Anna Michajłówna zrozumiała, że to prośba, by zająć się tym młodym człowiekiem. Przysiadła się więc do niego i zaczęła rozma-

<sup>131</sup> To prawda... jak mówi przysłowie.

<sup>132</sup> Tak, proszę pani.

<sup>133</sup> Nie, proszę pani.

wiać o ojcu, lecz podobnie jak hrabinie, odpowiadał jej monosylabami. Wszyscy goście byli zajęci sobą.

– *Les Razoumovsky... Ça a été charmant... Vous êtes bien bonne... La comtesse Apraksine...*<sup>134</sup> – słyszało się ze wszystkich stron. Hrabina wstała i poszła do sali.

– Maria Dmitriewna? – rozległ się jej głos w sali.

– We własnej osobie – dobiegł w odpowiedzi gruby głos kobiety i po chwili weszła do pokoju Maria Dmitriewna.

Wszystkie panienki, a nawet panie prócz najstarszych wstały. Maria Dmitriewna zatrzymała się w drzwiach i z wysokości otylego ciała, wysoko trzymając swą pięćdziesięcioletnią głowę z siwymi lokami, obejrzała gości i bez pośpiechu poprawiła szerokie rękawy sukni, jak gdyby je zakasywała. Maria Dmitriewna zawsze mówiła po rosyjsku.

– Wszystkiego najlepszego drogiej solenizantce i jej dziatwie – rzekła donośnym, niskim głosem, przytłaczającym wszystkie inne dźwięki. – A ty co, stary grzeszniku – zwróciła się do hrabiego, który całował ją w rękę – przykrzy ci się w Moskwie? Nie ma gdzie z psami się uganiać? Co robić, kochasiu, jak tylko te pisklęta – wskazała na panny – podrosną, to chcesz czy nie chcesz – musisz szukać narzeczonych.

– No co, mój kozaku? (Maria Dmitriewna nazywała kozakiem Nataszę) – mówiła głaszcząc Nataszę, która pochyliła się do jej ręki bez obawy i wesoło. – Wiem, że to ziółko dziewucha, ale ją kocham.

Wyjęła z ogromnego *ridicule* rubinowe kolczyki w kształcie gruszek i wręczywszy je Nataszy, rozpromienionej i zarumienionej, jak przystało na solenizantkę, natychmiast odwróciła się od niej i zwróciła się do Pierre'a.

– He, he, kochaneczku! Chodź no tutaj – rzekła obłudnie spokojnym i ciekim głosem. – Chodź no tu, kochasiu...

I groźnie zakasała rękawy jeszcze wyżej.

Pierre zbliżył się, naiwnie patrząc na nią przez okulary.

– Chodź no, kochasiu! Ja i twojemu ojcu prawdę mówiłam, kiedy tak wypadło, a tobie to i sam Pan Bóg każe.

Umilkła. Wszyscy milczeli, czekając co będzie i czując, że to tylko wstęp.

– Dobry chłopyś, nie ma co mówić, dobry sobie!..., Ojciec na łożu śmierci, a ten się zabawia, rewirowego sadza wierzchem na niedźwiedzia. Wstydz się, serdeńko, wstydz! Lepiej byś na wojnę poszedł.

Odwróciła się i podała rękę hrabiemu, który z trudem powstrzymywał się od śmiechu...

– No, chyba już pora siadać do stołu? – rzekła Maria Dmitriewna.

Na przedzie szedł hrabia z Marią Dmitriewną; potem hrabina, którą prowadził pułkownik huzarów, człowiek w tej chwili przydatny, z którym Mikołaj miał doganiać pułk. Anna Michajłowna – z Szynszynem. Berg podał ramię Wierze. Uśmiechająca się Julie Karagin szła do stołu z Mikołajem. Za nimi szły inne pary przez całą salę, a za wszystkimi szły pojedynczo dzieci, guwernerzy i guwernantki. Służba zaczęła się krzątać, rozległ się stuk krzesel, muzyka na galerii zagrała, goście zajęli miejsca. Dźwięki domowej kapeli hrabiego zagłuszył szczepek noży i widelców, gwar gości i szmer cichego stąpania służby. Na jednym końcu stołu, na honorowym miejscu, siedziała hrabina, z prawej jej strony Maria Dmitriewna, z lewej Anna Michajłowna oraz inni goście. Na przeciwnym końcu siedział hrabia, z lewej strony pułkownik huzarów, z prawej strony Szynszyn oraz inni goście płci męskiej. Po dłuższej stronie stołu mieściła się starsza młodzież: Wiera obok Berga, Pierre obok Borysa; z drugiej strony – dzieci, guwernerzy i guwernantki. Spoza kryształów, butelek i pater z owocami hrabia spoglądał na żonę i na jej wysoki czepiec z błękitnymi wstążkami i gorliwie dolewał wina swym sąsiadom, nie zapominając jednak i o sobie. Hrabina również – spoza ananasów – nie zapomniała o obowiązkach pani domu i rzucała na męża znaczące spojrzenia, łysina jego i twarz – jak się

<sup>134</sup> Razumowscy... To było czarujące... Pani jest bardzo łaskawa... Hrabina Apraksin...



jej wydawało – swą czerwonością ostrzej kontrastują z siwymi włosami. Po stronie pań płynął równomiernie szczebiot, od strony męskiej dobiegały słowa coraz donośniejsze, zwłaszcza głośno mówił pułkownik huzarów, który tak dużo jadł i pił, robiąc się przy tym coraz czerwieńszy, że hrabia już stawiał go za wzór innym gościom. Berg z tkliwym uśmiechem rozmawiał z Wierą o tym, że miłość nie jest uczuciem ziemskim, lecz niebiańskim. Borys wylizował swemu nowemu przyjacielowi Pierre'owi nazwiska gości znajdujących się przy stole i wymieniał spojrzenia z Nataszą, która siedziała naprzeciwko niego. Pierre mało mówił, przyglądał się nowym twarzom i dużo jadł. Począwszy od dwóch zup, z których wybrał *à la tortue*<sup>135</sup>, i kulebiaki, aż do jarząbków, nie pomijał ani jednego dania i ani jednego z win, które – w butelce owiniętej serwetką – sługa wysuwał tajemniczo zza pleców sąsiada mówiąc: „drymadera” albo „węgierskie”, albo „reńskie”. Pierre podstawił pierwszy lepszy z czterech kryształowych kieliszków z monogramem hrabiego stojących przed każdym nakryciem, wypijał z satysfakcją i coraz milej spoglądał na gości. Siedząca naprzeciw niego Nataszą patrzyła na Borysa, jak trzynastoletnia dziewczynka patrzy na chłopca, z którym się właśnie po raz pierwszy pocałowała i w którym jest zakochana. Takie samo spojrzenie zwracała niekiedy i na Pierre'a, a jemu na widok tej zabawnej i ożywionej dziewczynki chciało się śmiać nie wiadomo dlaczego.

Mikołaj siedział daleko od Soni, obok Julie Karagin, i znowu rozmawiał z nią uśmiechając się bezwiednie. Sonia uśmiechała się na pokaz, lecz dręczyła ją zazdrość: to bladła, to czerwieniła, usiłując dosłyszeć, o czym rozmawia Mikołaj z Julie. Guwernantka oglądała się niespokojnie, jakby się przygotowywała do dania odprawy każdemu, kto by zechciał skrzywdzić dzieci. Guwerner-Niemiec starał się zapamiętać wszystkie potrawy, desery i wina, by wszystko szczegółowo opisać w liście do rodziny w Niemczech, i bardzo czuł się dotknięty, że sługa z butelką owiniętą w serwetkę pomijał go. Niemiec posepniał i usiłował okazać, że wcale nie pragnie dostać tego wina, a czuł się dotknięty, że nikt nie chciał pojąć, iż wino było mu potrzebne nie po to, by ugasić pragnienie lub zaspokoić łakomstwo, lecz z chwalebego pragnienia wiedzy.

---

<sup>135</sup> Żółwiową.

## XVI

Rozmowa mężczyzny stawała się coraz bardziej ożywiona. Pułkownik stwierdził, że manifest o wypowiedzeniu wojny już się ukazał w Petersburgu i że egzemplarz, który widział, dziś dostarczono przez kuriera naczelnego wodza.

– Kie lichu nas pcha do wojny z Bonapartem? – odezwał się Szynszyn. – *Il a déjà rabattu le caguet à l'Aut-riche. Je crains, que cette fois ce ne soit notre tour.*<sup>136</sup>

Pułkownik był tęgim, wysokim, sangwicznym Niemcem, najwidoczniej służbistą i patriotą. Słowa Szynszyna obraziły go.

– A wenc, pane toprocieju – oświadczył wymawiając z charakterystyczną twardą wymową – imperator topsze to we. Powiedział w manifestach, że nie może patrzycz obojętne na nebespeczenstwa, które grożą Rosji, że bespeczenstwo cesarstwa – godnoszcz jego i szwentoszcz przymierzy – rzekł kładąc nie wiadomo czemu nacisk na słowo „przymierzy”, jakby się w tym zawierała istota sprawy.

I z właściwą sobie niezawodną, urzędową pamięcią powtórzył wstępne słowa manifestu: „... i pragnienie, jedyny i niezmienny cel monarchy stanowiące: przywrócić w Europie pokój na trwałych zasadach – skłoniły go teraz do skierowania części wojska za granicę i poczynienia nowych wysiłków dla osiągnięcia swych zamierzeń”.

– Oto po co, pane toprocieju – zakończył pouczająco, wypił szklankę piwa i spojrzał na hrabiego oczekując aprobaty.

– *Connaissez-vous le proverbe:* „Masz dostatek, miej i statek” – rzekł Szynszyn krzywiąc się w uśmiechu.

– *Cela nous convient à merveille.* Skoro nawet Suworowa rozbili à *plate couture*, a gdzie teraz szukać Suworowów? *Je vous demande un peu*<sup>137</sup> – mówił przerzucając się bez przerwy z języka rosyjskiego na francuski.

– Muszyny szę bicz do ostatnia kropla kref – rzekł pułkownik uderzając w stół. – I umieracz za sfój cesarz, i wtedy wszystko bycz topsze. A filozofowacz jak tylko mo-o-ożna najmniej (szczególnie przeciągnął głos na słowie „można”), jak tylko mo-o-ożna najmniej – dokończył i znowu zwrócił się do hrabiego. – To nasze znane, stare huzary. A pan, co myszlisz, młody huzar? – dodał zwracając się do Mikołaja, który usłyszawszy, że mowa o wojnie, zapomniiał o swojej sąsiadce i wzrokiem i słuchem pochłaniał pułkownika i jego słowa.

– Zupełnie się z panem zgadzam – odpowiedział Mikołaj, cały zarumieniony, obracał talerz i przestawiał szklanki z miną tak stanowczą i zdeterminowaną, jakby w tej właśnie chwili groziło mu wielkie niebezpieczeństwo. – Jestem przeświadczony, że Rosjanie muszą umrzeć albo zwyciężyć – powiedział, czując sam, podobnie jak inni, że jego wypowiedź jest zbyt entuzjastyczna i zbyt pompatyczna w obecnych okolicznościach i dlatego niezręczna.

– *C'est bien beau ce que vous venez de dire*<sup>138</sup> – rzekła z westchnieniem siedząca obok niego Julie. Kiedy Mikołaj mówił, Sonia zadrżała i zaczerwieniła się aż po uszy, tak że rumie-

<sup>136</sup> Utarł już Austrii nosa. Boję się, żeby to nie była teraz nasza kolej.

<sup>137</sup> Zna pan przysłowie... To do nas bardzo pasuje... doszczętnie... Pytam pana.

<sup>138</sup> To bardzo piękne, co pan powiedział.

niec okrył jej szyję i ramiona. Pierre przysłuchiwał się słowom pułkownika i z aprobatą kiwał głową.

– To wspaniałe – oświadczył.

– Z młody człofiek – prafdzwy huzar – wykrzyknął pułkownik i znowu uderzył w stół.

– Co wy tam tak hałasujecie? – rozległ się nagle przez stół bas Marii Dmitriewny. – A ty czego walisz w stół? – zwróciła się do huzara. – Na kogo się tak rozsierdziłeś? Pewno myślisz, że masz przed sobą Francuzów?

– Mówię prawdę – rzekł huzar uśmiechając się.

– Wciąż o wojnie – krzyknął hrabia przez stół. – Przecie mój syn idzie, Mario Dmitriewno, syn idzie.

– A ja mam czterech synów w wojsku i się nie trapię. Wszystko zależy od woli Bożej: można umrzeć leżąc na przypiecku, a na polu walki Pan Bóg się zmiłuje – niski głos Marii Dmitriewny dotarł z jednego końca stołu w drugi bez żadnego wysiłku.

– To prawda.

I rozmowa na nowo się ześrodkowała: panie na jednym końcu stołu, panowie – na drugim.

– A właśnie, że nie spytasz! – mówił do Nataszy mały braciszek. – Właśnie, że nie spytasz!

– Spytam – odpowiedziała Natasza. Jej twarz zapłonęła nagle, wyrażając zuchwałę a wesołe postanowienie. Uniosła się na krześle, prosząc spojrzeniem siedzącego naprzeciwko siebie Pierre'a, aby słuchał, i zwróciła się do matki.

– Mamo! – rozległ się na cały stół jej dziecinnie głęboki głos.

– Co ci jest? – zapytała hrabina z przestachem, ale poznawszy po wyrazie twarzy córki, że chodzi o psotę, surowo machnęła na nią ręką, czyniąc groźny i odmowny ruch głową.

Rozmowy ucichły.

– Mamo, jaka będzie legumina? – głosik Nataszy zadźwięczał jeszcze pewniej, bez załamania.

Hrabina chciała się nachmurzyć, ale nie mogła. Maria Dmitriewna pogroziła grubym palcem.

– Ty kozaku! – rzekła groźnie.

Większość gości spoglądała na starszych, nie wiedząc, jak przyjąć ten wybryk.

– Poczekaj, ja ci dam! – rzekła hrabina.

– Mamo, ale jaka będzie legumina? – zawołała Natasza już zupełnie śmiało, z kapryśną wesołością, z góry przekonana, że jej wybryk będzie dobrze przyjęty.

Sonia i tłusty Pietia chowali się pod stół ze śmiechu.

– Widzisz, że spytałam – szepnęła Natasza do małego braciszka i do Pierre'a, na którego znów spojrziała.

– Będą lody, ale ty nie dostaniesz – oświadczyła Maria Dmitriewna.

Natasza, widząc, że nie ma się czego bać, nie ulękła się również Marii Dmitriewny.

– Mario Dmitriewno, a jakie lody? Śmietankowych nie lubię.

– Marchewkowe.

– Nie, naprawdę, jakie? Mario Dmitriewno, jakie? – omal krzyczała. – Chcę wiedzieć.

Maria Dmitriewna i hrabina roześmiały się, a za nimi wszyscy goście. Wszyscy się śmieli nie z odpowiedzi Marii Dmitriewny, ale z niesłychanej śmiałości i zręczności tej dziewczynki, która potrafiła i odważyła się tak zachować wobec Marii Dmitriewny.

Natasza dała za wygraną dopiero wtedy, kiedy jej powiedziano, że będą lody ananasowe. Przed lodami podano szampana. Znowu zagrała muzyka, hrabia wyczałował się ze swoją „hrabianeczką”, a goście wstając składali życzenia hrabinie, przez stół trącali się kielichami z hrabią, z dziećmi i między sobą. Znowu służba zaczęła się krzątać, odsunięto z hałasem krzesła i w tym samym porządku, lecz z twarzami bardziej zaczerwienionymi, goście wrócili do salonu i do gabinetu hrabiego.

## XVII

Rozstawiono stoliki do bostona, potworzyły się partie i goście hrabiego umieścili się w dwóch salonach, bawialni i bibliotece.

Hrabia, ułożywszy karty w wachlarz, z trudem powstrzymywał się od nawyku poobiedniej drzemki i śmiał się ze wszystkiego. Młodzież, zachęcana przez hrabinę, skupiła się przy klawikordzie i harfie. Na prośbę wszystkich Julie pierwsza zagrała na harfie melodię z wariacjami, a potem wraz z innymi pannami zaczęła prosić Nataszę i Mikołaja, znanych z muzykalności, by coś zaśpiewali. Natasza, którą potraktowano jak dorosłą, była z tego bardzo dumna, ale jednocześnie miała tremę.

– Co będziemy śpiewać? – zapytała.

– *Źródło* – odpowiedział Mikołaj.

– No, to prędzej! Borys, proszę tutaj – rzekła Natasza. – A Sonia gdzie?

Obejrzała się i spostrzegłszy, że przyjaciółki nie ma w pokoju, wybiegła po nią.

Wpadła do pokoju Soni, ale tam nie znalazła przyjaciółki, pobiegła do pokoju dziecinnego, ale i tam Soni nie było. Natasza domyśliła się, że Sonia jest w sieni na kufrze. Kufer w sieni był miejscem smutków żeńskiej części młodego pokolenia domu Rostowów. Rzeczywiście, Sonia, gniotąc swą powiewną różową sukienkę, leżała twarzą na brudnej pasiastej pierzynie niani na kufrze i zakrywszy twarz paluszkami gwałtownie szlochała, a jej obnażone ramionka dygotały. Ożywiona twarz Nataszy, przez cały dzień rozpromienionej z powodu imienin, zmieniła się nagle: znieruchomiały jej oczy, potem drgnęła jej szeroka szyja, kąty warg opały.

– Sonia! Co to?... Co ci jest? U-u-u!...

I Natasza, rozciągnąwszy swe duże usta, przez co stała się całkiem brzydka, rozbeczała się jak dziecko, bez powodu, dlatego tylko, że Sonia płacze. Sonia chciała podnieść głowę, chciała odpowiedzieć, ale nie mogła i schowała twarz jeszcze bardziej. Natasza, przysiadłszy na niebieskiej pierzynie, płakała i obejmowała przyjaciółkę. Sonia zebrała siły, usiadła, zaczęła ocierać łzy i opowiadać.

– Nikoleńka wyjeżdża za tydzień, dostał... już... papier... sam mi mówił... Ale ja bym nie płakała... (pokazała kartkę, którą trzymała w ręku: były to wiersze napisane przez Mikołaja), ja bym nie płakała, ale ty nie możesz... nikt nie może zrozumieć... jaką on ma piękną duszę.

I znowu zaczęła płakać z tego powodu, że Nikoleńka ma tak piękną duszę.

– Tobie jest dobrze... ja nie zazdroszczę... kocham ciebie i Borysa również... – mówiła opanowawszy się nieco. – Jest miły, nie macie żadnych przeszkód. A Mikołaj to mój *cousin*... musiałby... sam metropolita... ale i tak nie można. Poza tym jeśli mama... (Sonia uważała hrabinę za matkę i nazywała ją matką), jeśli mama powie, że ja psuję karierę Mikołajowi, że nie mam serca, że jestem niewdzięczna, to ja... Boże... (przeżegnała się), ja tak kocham ją i was wszystkich... tylko Wiera... Dlaczego? Cóżem jej zrobiła? Jestem wam tak wdzięczna, że rada bym wszystko oddać, ale nic nie mam...

Sonia nie mogła dłużej mówić i znowu ukryła głowę w dłoniach i w pierzynie. Natasza począła ją uspokajać, ale z wyrazu jej twarzy widać było, że rozumie całą wagę strapienia przyjaciółki.

– Soniu! – rzekła nagle, jakby domyślając się prawdziwej przyczyny rozżalenia kuzynki – na pewno Wiera rozmawiała z tobą po obiedzie? Co?

– Tak, te wiersze Mikołaj napisał sam, a ja przepisałam jeszcze inne, znalazła je u mnie na stole i powiedziała, że pokaże mamie, a jeszcze mówiła, że mam niewdzięczna, że mama nigdy nie pozwoli, żeby on się ze mną ożenił, że on ożeni się z Julie. Widzisz, jak on z nią przez cały dzień... Natasza! Dlaczego?...

I znowu się rozpląkała, jeszcze żałośniej niż przedtem. Natasza podniosła ją, objęła i uśmiechając się przez łzy, zaczęła uspokajać.

– Soniu, nie wierz jej, moja duszko, nie wierz. Pamiętasz, jakeśmy w bawialni we troje rozmawiali z Nikoleńką; pamiętasz, po kolacji? Przecie wszystko postanowiliśmy, jak będzie. Już nie pamiętam jak, ale przypomnij sobie, że wszystko było dobrze i wszystko się ułożyło. A choćby brat wujcia Szynszyna, ożenił się z cioteczną siostrą, a przecie nasze pokrewieństwo jest trzeciego stopnia. I Borys mówił, że to jest możliwe. Wiesz, że wszystko mu opowiedziałam. A on jest taki rozumny i taki dobry... – mówiła Natasza.

– Więc nie płacz, Soniu, kochanie moje, moja droga.

– I całowała ją śmiejąc się. – Wiera jest zła. Bóg z nią! Wszystko będzie dobrze i mamie ona nic nie powie. Nikoleńka sam powie, a o Julie to on wcale nie myślał.

I całowała ją w głowę. Sonia wstała i koteczek ożywił się: oczki błysnęły i zdawało się, że tylko patrzeć, jak machnie ogonkiem, skoczy na miękkie łapki i znowu będzie bawił się kłębkami, jak mu przystało.

– Tak myślisz? Naprawdę? Przysięgnij! – rzekła, szybko poprawiając suknię i fryzurę.

– Naprawdę, jak Boga kocham! – odpowiedziała Natasza poprawiając przyjaciółce kosmyk twardych włosów, który wymknął się spod warkocza.

Obie się roześmiały.

– No, chodźmy zaśpiewać *Źródło*.

– Chodźmy.

– A wiesz, ten tłusty Pierre, co siedział naprzeciwko mnie, jest taki śmieszny! – oświadczyła nagle Natasza przystając. – Bardzo mi wesoło!

Natasza pobiegła przez korytarz.

Sonia strzepnęła z sukni puch i schowała wiersze za dekolcik

Z wystającymi obojczykami, lekkim, radosnym krokiem, z zarumienioną twarzą pobiegła za Nataszą – przez korytarz do bawialni. Na prośbę gości młodzież zaśpiewała na cztery głosy *Źródło*, które się wszystkim bardzo podobało, po czym Mikołaj zaśpiewał znowu pieśń, której się był świeżo nauczył:

Gdy księżycowa noc rozbłyska,  
Przyjemnie wyobrazić sobie,  
Że jest na świecie dusza bliska,  
Że ktoś oddany śni o tobie.  
Że także ona, dłonią piękną  
Błądząc po harfie – urodziwa,  
Melodią smętną i namiętną  
Wzywa do siebie – ciebie wzywa!  
Jeszcze dzień-dwa i raj nastanie,  
Lecz – ach! – twój miły nie dożyje!<sup>139</sup>

Nie dośpiewał jeszcze ostatnich słów, gdy młodzież już zaczęła przygotowywać się w sali do tańców, a muzykanci na galerii zaszurgali nogami i zakaszlali.

---

<sup>139</sup> Tłumaczenie Leopolda Lewina.

Pierre siedział w salonie, a Szynszyn wszczał z nim, jako ze świeżo przybyłym z zagranicy, nudną dlań rozmowę o polityce. Do rozmowy przyłączyli się również inni. Kiedy zagrała muzyka, do salonu weszła Natasza, a zbliżywszy się do Pierre'a, zarumieniona i uśmiechnięta rzekła:

– Mama kazała zaprosić pana do tańca.

– Boję się poplątać figury – odrzekł Pierre – ale jeśli zechcesz być moją nauczycielką...

I opuszczając nisko swą tłustą rękę podał ją szczuplutkiej panience.

Pary dopiero się ustawiały, a muzykanci stroili instrumenty, więc Pierre usiadł ze swą malutką damą. Natasza była w pełni szczęścia: tańczyła z d o r o s ł y m, z przybyłym z z a g r a n i c y. Na oczach wszystkich siedziała i rozmawiała z nim jak dorosła. Miała w rękę wachlarz, który jej dała do potrzymania jedna z pańien. W pozie bardzo światowej (Bóg wie, gdzie i kiedy się tego nauczyła), wachlując się i uśmiechając spoza wachlarza, rozmawiała ze swym kawalerem.

– No, no! Proszę, proszę – rzekła stara hrabina przechodząc przez salę i wskazując Nataszę. Natasza poczerwieniała i roześmiała się.

– No i co? Że też się mamie chce! Co w tym dziwnego?

W środku trzeciego *écossaise'a* poruszyły się krzesła w salonie, gdzie grali hrabia i Maria Dmitriewna, i większość bardziej godnych gości tudzież osoby starsze, przeciągając się po długim siedzeniu oraz wkładając do kieszeni pugilaresy i sakiewki, ukazały się w drzwiach sali. Na przedzie szła Maria Dmitriewna z hrabią, oboje z twarzami poweselałymi. Z żartobliwą uprzejmością, jakimś baletowym ruchem hrabia podał Marii Dmitriewnie zgięte ramię. Wyprostował się, twarz jego opromienił szczególny, junacki, a zarazem przebiegły uśmiech, a gdy tylko skończyła się ostatnia figura *écossaise'a*, klasnął w dłonie na muzykantów i krzyknął na galerię zwracając się do pierwszego skrzypka:

– Siemion! A znasz *Daniłę Kupora*?

Był to ulubiony taniec hrabiego, tańczył go jeszcze w młodości (*Daniło Kupor* był właściwie jedną figurą *anglaise'a*).

– Proszę patrzeć na papę – zawołała Natasza na całą salę (zupełnie zapomniała, że tańczy z dorosłym) pochylając do kolan swą kędzierzawą główkę i zanosząc się na całą salę dźwięcznym śmiechem.

Istotnie, każdy z obecnych w sali z uśmiechem radości patrzył na wesołego staruszka, który obok swej dostojnej a przewyższającej go wzrostem damy, Marii Dmitriewny, wyciągał ramiona, potrzasał nimi do taktu, prostował plecy, wywijał nogami, przytupywał z lekka i z coraz szerszym uśmiechem na okrągłej twarzy przygotowywał widzów do tego, co nastąpi. Gdy tylko rozległy się wesołe zawiadackie dźwięki *Daniły Kupora*, przypominające arcychoczego trepaczka, wszystkie drzwi sali zostały nagle obstawione: z jednej strony przez męską, z drugiej przez niewieściami uśmiechniętą służbę, która wyszła popatrzeć na rozbawionego pana.

– Dobroczyńca nasz! Orzeł! – odezwała się głośno spod jednych drzwi niania.

Hrabia tańczył dobrze i wiedział o tym, lecz jego dama w ogóle ani umiała, ani chciała dobrze tańczyć. Jej ogromne ciało stało wyprostowane, z opuszczonymi potężnymi rękoma (torbę oddała hrabinie), tańczyła tylko jej surowa, ale piękna twarz. To wszystko, co wyrażała całość zaokrąglonej postaci hrabiego, u Marii Dmitriewny wypowiadało się jedynie w coraz bardziej uśmiechniętym obliczu i w drgającym nosie. Ale za to, jeśli hrabia coraz bardziej rozochocony czarował widzów nieoczekiwanymi zręcznymi wywijasami i lekkimi podskokami swych sprężystych nóg, Maria Dmitriewna każdym najmniejszym nawet wysiłkiem widocznym przy ruchu ramion czy zaokrągleniu rąk w zwrotach i przytupywaniach wywoływała nie mniejsze wrażenie: zasługa tym cenniejsza przy tej tuszy i zwykłej surowości. Taniec stawał się coraz bardziej ożywiony. Partnerzy nie mogli ani na chwilę wzajemnie zwrócić na

siebie uwagi i nawet się o to nie starali. Wszyscy byli zajęci hrabią i Marią Dmitriewną. Natasza ciągnęła za rękawy i suknie wszystkich obecnych, którzy i bez tego nie spuszczaali oczu z tańczących, i domagała się, by patrzono na papę. Podczas przerw w tańcu hrabia, dysząc ciężko, machał na muzykantów i wołał, by szybciej grali. Coraz prędzej, prędzej, prędzej, coraz żwawiej, żwawiej, żwawiej wywijał hrabia, to na palcach, to na obcasach krążył dokoła Marii Dmitriewny i wreszcie, odprowadziwszy swą damę na miejsce, zrobił ostatnie *pas* unosząc do tyłu sprężystą stopę, pochylił spotniałą uśmiechniętą twarz i wśród grzmotu oklasków i śmiechu, zwłaszcza Nataszy, zatoczył krąg prawą ręką. Oboje tańczący przystanęli dysząc ciężko, ocierali się batystowymi chusteczkami.

– Tak to za naszych czasów tańczono, *ma chère* – rzekł hrabia.

– To ci *Daniło Kupor* – powiedziała Maria Dmitriewna ciężko sapiąc i zakasując rękawy.

## XVIII

Kiedy u Rostowów tańczono w sali szóstego *anglaise'a* przy dźwiękach muzyki fałszowanej przez zmęczoną kapelę, kiedy znużona służba i kucharze przygotowywali kolację, hrabia Bezuchow miał szósty z rzędu atak. Doktorzy oświadczyli, że nie ma nadziei na wyzdrowienie; chory odbył cichą spowiedź i przyjął komunię; robiono przygotowania do ostatniego namaszczenia, w domu zaś panował zamęt i trwoga oczekiwania – zwykle w takich chwilach. Za bramą domu, kryjąc się przed nadjeżdżającymi powozami, tłoczyli się trumniarze w oczekiwaniu bogatych zamówień z okazji pogrzebu hrabiego. Gubernator wojskowy Moskwy, który bezustannie przysyłał adiutantów po wiadomości o stanie zdrowia hrabiego, tego wieczora przybył osobiście, by pożegnać znamienitego magnata z czasów Katarzyny, hrabiego Bezuchowa.

Wspaniała sala przyjęć była pełna.

Wszyscy wstali z uszanowaniem, kiedy gubernator, spędziwszy z chorym sam na sam około pół godziny, wyszedł stamtąd, odpowiadając z lekka na ukłony i starając się jak najszybciej przejść obok skierowanych nań spojrzeń doktorów, duchownych i krewnych. Księżę Wasilij, który w ciągu tych dni wychudł i przybladł, odprowadzał go i coś mu kilka razy cicho powtórzył.

Odprowadziwszy gubernatora księżę Wasilij siadł sam na krześle w sali, zakładając wysoko nogę na nogę, wsparł na kolanie łokieć i zasłonił dłonią oczy. Po pewnym czasie wstał i krokiem niezwykle spiesznym, oglądając się dokoła wystraszonymi oczami, poszedł przez długi korytarz do tylnej części domu, do starszej księżniczki.

Osoby przebywające w słabo oświetlonym pokoju rozmawiały z sobą nierównym szeptem, co chwila milkły i pytającym wzrokiem z wyczekiwaniem spoglądały na drzwi, które prowadziły do pokojów umierającego; drzwi wydawały słaby szmer, gdy ktoś przez nie wychodził albo wchodził.

– Zakreślona jest człowiekowi granica – mówił starzec, osoba duchowna, do damy, która się doń przysiadła i słuchała go naiwnie – zakreślona granica, której nie można przekroczyć.

– Myślę, czy nie za późno na ostatnie namaszczenie? – pytała dodając tytuł duchowny dama, jakby nie miała w tej kwestii własnego zdania.

– To wielki sakrament, dobrodziejko! – odpowiedziała osoba duchowna, przesuając ręką po łysinie, na której widniało kilka pasemek przyczesanych, na pół siwych włosów.

– Któż to był? Sam gubernator? – pytano w drugim końcu pokoju. – Jak młodo wygląda!...

– A ma już siódmy krzyżyk! I co, mówią, że hrabia już nikogo nie poznaje?! Chciano dać ostatnie namaszczenie?

– Znałem jednego, co siedem razy otrzymywał ostatnie namaszczenie.

Z pokoju chorego wyszła druga księżniczka. Oczy miała zapłakane. Usiadła obok doktora Lorraina, który oparłszy się o stół siedział we wdzięcznej pozie pod portretem Katarzyny.

– *Très beau* – mówił doktor odpowiadając na pytania o pogodę – *très beau, princesse, et puis à Moscou on se croit à la campagne.*<sup>140</sup>

---

<sup>140</sup> Wspaniała... pogoda jest wspaniała, księżniczko, a przy tym Moskwa tak przypomina wieś.



– *N'est-ce pas?*<sup>141</sup> – rzekła księżniczka wzdychając. – Więc wolno mu pić? Lorrain zamyslił się.

– Zażył lekarstwo?

– Tak.

Doktor popatrzył na *brégueta*<sup>142</sup>.

– Proszę wziąć szklanekę przegotowanej wody i dodać *une pincée* (cienkimi palcami pokazał, co to znaczy *une pincée*) *de cremortartari*...<sup>143</sup>

– Nie pyło fypatek – mówił do adiutanta doktor Niemiec – szepcy po trzeci udar szlowik żył.

– A jaki to był jeszcze rzeński mężczyzna! – mówił adiutant. – Komu przypadną te bogactwa? – dodał szepcem.

– Chentnych nie prak – odpowiedział Niemiec uśmiechając się.

Znowu wszyscy obejrżeli się na drzwi: skrzypnęły, i druga księżniczka przygotowawszy napój polecony przez Lorraina zaniósła go choremu. Doktor Niemiec zbliżył się do Lorraina.

– Może jeszcze pociągnie do jutra rana? – zapytał Niemiec kiepską francuszczyzną.

Lorrain zacisnął wargi i przecząco a surowo powiódł palcem przed swym nosem.

– Najpóźniej dzisiejszej nocy – odrzekł cicho z uśmiechem godnego zadowolenia z siebie, że potrafi tak dokładnie pojąć i określić stan chorego, po czym wyszedł.

Tymczasem książę Wasilij otworzył drzwi do pokoju księżniczki.

W pokoju panował półmrok, tylko dwie lampki płonęły przed obrazem, przyjemnie pachniało kadzidłem i kwiatami. W pokoju było pełno małych mebli: szyfonierek, szafeczek, stoliczków. Zza parawanu widniały białe kapy wysokiego puchowego łoża. Zaszczekał piesek.

– Ach, to ty, *mon cousin*?

Wstała i poprawiła włosy, które zawsze, nawet i teraz, były tak niezwykle gładkie, jakby zrobiono je wraz z głową z jednego kawałka i pokryto lakierem.

– Czy coś się stało? – zapytała. – Jużem się przestraszyła.

– Nic, wciąż tak samo, przyszedłem, Catiche, porozmawiać z tobą – rzekł książę siadając ze znużeniem w fotelu, z którego Katia wstała. – Aleś go wygrzała – rzekł.

– Siadaj tu, *causons*.<sup>144</sup>

– A ja myślałam, że się coś stało – rzekła księżniczka. Ze swym niezmiennym, kamiennie surowym wyrazem twarzy usiadła naprzeciwko księcia, gotowa słuchać.

– Chciałam zasnąć, *mon cousin*, ale nie mogę.

– No cóż, moja kochana? – rzekł książę. Ujął rękę księżniczki, swoim zwyczajem przegijnając ją ku dołowi.

Widać było, że to „no cóż” odnosiło się do wielu spraw, które – nie nazywając ich po imieniu – rozumieli oboje.

Księżniczka ze swą nieproporcjonalnie długą w stosunku do nóg, szczupłą i prostą talią patrzyła na księcia wypukłymi szarymi oczyma prosto i beznamiętnie. Pokiwała głową i z westchnieniem spojrziała na obrazy. Jej gest można było tłumaczyć i jako wyraz smutku i oddania, i jako wyraz znużenia i nadziei na bliski odpoczynek. Książę Wasilij tłumaczył sobie ten gest jako wyraz zmęczenia.

– Myślisz, że mnie jest lżej? *Je suis éreinté, comme un cheval de poste*,<sup>145</sup> przecie, Catiche, muszę z tobą pomówić, i to bardzo poważnie.

---

<sup>141</sup> Prawda?

<sup>142</sup> Utworzone od nazwiska francuskiego zegarmistrza Brégueta. Por. Słownik Języka Polskiego, Karłowicz–Kryński–Niedźwiedzki, t. I, s. 204.

<sup>143</sup> Szczyptę;... cremortartari...

<sup>144</sup> Porozmawiajmy.

<sup>145</sup> Jestem zmordowany jak koń pocztowy.

Książę Wasilij umilkł, jego policzki zaczęły nerwowo drgać – to z jednej, to z drugiej strony, co nadawało jego twarzy niemły wyraz, jakiego książę Wasilij nie miał nigdy, gdy był w salonach. A jego oczy też były inne niż zawsze: to patrzyły z beczelną filuterią, to znów spoglądały z przestraczeniem.

Księżniczka, szczupłymi rękoma przytrzymując na kolanach pieska, uważnie patrzyła w oczy księciu Wasiliewi, ale było widać, że nie przerwie milczenia pytaniem, choćby jej wypadło milczeć aż do rana.

– Widzisz, moja droga księżniczko i kuzynko, Katarzyno Siemionowno – ciągnął książę Wasilij, widać nie bez wewnętrznej walki zabierając się do dalszego ciągu rozmowy – w takiej chwili jak obecna należy pomyśleć o wszystkim. Trzeba pomyśleć o przyszłości, o was... Kocham was wszystkie jak własne dzieci, ty to wiesz.

Księżniczka wciąż patrzyła na niego matowym, nieruchomym wzrokiem.

– Należy też wreszcie pomyśleć i o mojej rodzinie – ciągnął książę Wasilij gniewnie odsuwając od siebie stolik i nie patrząc na rozmówczynię. – Ty wiesz, Catiche, że wy, trzy siostry Mamontow, oraz moja żona, jesteśmy jedynymi bezpośrednimi spadkobiercami hrabiego. Wiem, wiem, jak ciężko ci mówić i myśleć o takich rzeczach. I mnie nie jest łatwo, ale, moja droga, mam już szósty krzyżyk, na wszystko muszę być przygotowany. Czy wiesz, że posłałem po Pierre'a i że hrabia, wskazując wyraźnie na jego portret, wzywał go do siebie?

Książę Wasilij spojrzawszy pytająco na księżniczkę, ale nie mógł dociec, czy ona zdaje sobie sprawę z tego, co jej powiedział, czy po prostu patrzy na niego...

– *Mon cousin* – odpowiedziała – nie przestaję prosić Boga o jedno: o to, by mu okazał miłosierdzie i pozwolił jego pięknej duszy opuścić w spokoju ten...

– Tak, tak – ciągnął niecierpliwie książę Wasilij. Pocierał łysinę i znowu ze złością przysuwał do siebie odepchnięty stolik. – Lecz koniec końców chodzi o to, sama wiesz, iż zeszedł zimy hrabia napisał testament, w którym cały majątek, z pominięciem bezpośrednich spadkobierców i nas, oddawał Pierre'owi.

– Albo to mało testamentów pisał! – odrzekła spokojnie księżniczka. – A Pierre'owi nic nie mógł zapisać. Pierre jest nieślubny.

– *Ma chère* – rzekł nagle książę Wasilij przyciskając do siebie stolik i ożywiając się jął mówić szybciej – a jeśli hrabia napisał do monarchy list i prosił o zezwolenie na adopcję Pierre'a? Wiem, że ze względu na zasługi hrabiego prośba ta zostanie spełniona...

Księżniczka uśmiechnęła się, jak uśmiechają się ludzie, którzy myślą, że lepiej znają sprawę niż ich rozmówca.

– Powiem ci więcej – ciągnął książę Wasilij chwytając ją za rękę. – List został napisany, choć nie został wysłany, a monarcha dowiedział się o tym. Sprawa polega na tym, czy list został zniszczony, czy też nie. Jeśli nie, to gdy tylko w s z y s t k o s i ę s k o Ń c z y – książę westchnął, dając tym do zrozumienia, co rozumiał pod słowami w s z y s t k o s i ę s k o Ń c z y – i papiery hrabiego zostaną ujawnione, testament i list będą przekazane monarsze i prośba z pewnością zostanie uwzględniona. Pierre, jako prawy syn, dostanie wszystko.

– A nasza część? – zapytała księżniczka uśmiechając się ironicznie, jak gdyby mogło się zdarzyć wszystko, tylko nie to.

– *Mais, ma pauvre Catiche, c'est clair comme le jour.*<sup>146</sup> Wówczas on będzie jedynym legalnym spadkobiercą, a wy absolutnie nic nie dostaniecie. Ty, moja droga, powinnaś wiedzieć, czy testament i prośba były napisane i czy zostały zniszczone. A jeśli z jakichś powodów o tym zapomniano, toś powinna wiedzieć, gdzie się znajdują, i znaleźć je, dlatego że...

– Tego tylko brakowało! – przerwała mu księżniczka uśmiechając się serdecznie, lecz nie zmieniając wyrazu oczu. – Jestem kobietą. Wy uważacie, żeśmy głupie, ale wiem tyle, że

---

<sup>146</sup> Ależ, droga Catiche, to jasne jak dzień.

nieprawy syn nie może dziedziczyć... *Un bâtard*<sup>147</sup> – dodała. Sądziła, widać, że to słowo w przekładzie ostatecznie udowodni księciu bezpodstawność jego sądu.

– A wreszcie, jak możesz tego nie rozumieć, Catiche! ty, taka mądra, jak możesz tego nie rozumieć: skoro hrabia napisał do monarchy list z prośbą o uznanie jego syna za syna legalnego, to Pierre już nie będzie Pierre'em, lecz hrabią Bezuchowem, a wtedy wszystko zostanie na podstawie testamentu! I jeśli testament i list nie zostały zniszczone, to tobie nic nie zostanie oprócz pociechy, żeś była uczciwa, *et tout ce qui s'en suit*.<sup>148</sup> Na pewno.

– Wiem, że testament został napisany, ale i to wiem, że jest nieważny, a zdaje się, że ty, *mon cousin*, uważasz mnie za skończenie głupią – oświadczyła księżniczka z miną, z jaką mówią kobiety, którym się wydaje, że powiedziały coś dowcipnego a obraźliwego.

– Kochana Katarzyno Siemionowno! – niecierpliwie zaczął ksiązę Wasilij. – Przyszedłem do ciebie nie po to, żeby sobie wzajemnie docinać, ale po to, by z tobą jak z krewną, dobrą, pocziwą, rzeczywistą krewną, porozmawiać o twoich własnych sprawach. Powtarzam ci po raz dziesiąty, że jeśli w papierach hrabiego jest list do monarchy i testament na korzyść Pierre'a, to ty, kochanie, wraz z twymi siostrami nie jesteście spadkobierczyniami. Jeśli mi nie wierzysz, dajże wiarę ludziom, którzy się na tym znają: dopiero co rozmawiałem z Dymitrem Onufriczem (był to adwokat domu) i on to samo powiedział.

Widocznie coś odmieniło się nagle w myślach księżniczki, cienkie jej wargi pobladły (oczy pozostały ciągle te same), a głos, kiedy przemówiła, był przerywany tak głośnymi wybuchami, że się sama tego nie spodziewała.

– To byłoby doskonale – oświadczyła. – Niczemom nie chciała i nie chcę.

Zepchnęła z kolan pieska i poprawiła fałdy sukni.

– Oto wdzięczność, oto uznanie dla ludzi, którzy wszystko dla niego poświęcili – rzekła. – Pięknie! Bardzo dobrze! Ja nic nie potrzebuję, ksiązę.

– Ależ nie jesteś przecież sama, masz siostry – odrzekł ksiązę Wasilij.

Lecz księżniczka nie słuchała go.

– Tak, wiedziałam o tym dawno, ale zapomniała, że prócz nikczemności, oszustwa, zawiści, intryg, prócz niewdzięczności, najczarniejszej niewdzięczności, nie ma się czego spodziewać w tym domu...

– Wiesz wreszcie czy nie wiesz, gdzie jest testament? – dopytywał się ksiązę Wasilij, a policzki mu drgały jeszcze silniej niż przedtem.

– Tak, byłam głupia, wierzyłam jeszcze ludziom, kochałam ich i poświęcałam się dla nich. A powodzi się tylko tym, co są podli i wstrętnei. Wiem, czyje to są intrygi.

Księżniczka chciała wstać, ale ksiązę przytrzymał ją za rękę. Księżniczka wyglądała jak ktoś, kto się nagle rozczarował do całego rodu ludzkiego; patrzyła na swego rozmówcę gniewnie.

– Jeszcze mamy czas, moja droga. Pamiętaj, Catiche, że to wszystko stało się mimo woli, w chwili gniewu, choroby, a potem zostało zapomniane. Jest naszym obowiązkiem, moja kochana, naprawić jego błąd, ulżyć mu w ostatnich chwilach przez to, że nie dopuścimy do wyrażenia niesprawiedliwości, nie pozwolimy mu umrzeć z myślą, że unieszczęśliwił tych ludzi...

– Tych ludzi, którzy wszystko dla niego poświęcili – podjęła księżniczka i znowu zerwała się, chcąc wstać, lecz ksiązę jej nie puszczał – czego on nigdy nie umiał ocenić! Nie, *mon cousin* – dodała z westchnieniem – zawsze będę pamiętała, że na tym świecie nie należy oczekiwać nagrody, że na tym świecie nie ma ani honoru, ani sprawiedliwości. Na tym świecie trzeba być przebiegłym i złym.

– *Voyons*<sup>149</sup>, uspokój się, znam twoje dobre serce.

---

<sup>147</sup> Bękart.

<sup>148</sup> I wszystkiego, co z tego wynika.

<sup>149</sup> No, no.

– Nie, mam złe serce.

– Znam twe serce – powtórzył książę – cenię twą przyjaźń i pragnąłbym, żebyś była tego samego zdania o mnie. Uspokój się i *parlons raison*<sup>150</sup>, póki jeszcze czas – może doba, może godzina; opowiedz mi wszystko, co wiesz o testamencie, i najważniejsze, gdzie on jest: powinnaś o tym wiedzieć. Zaraz go weźmiemy i pokażemy hrabiemu. Z pewnością zapomniał o nim, a teraz zechce go unieważnić. Rozumiesz, że jedynym moim pragnieniem jest święcie wypełnić jego wolę; tylko po to tu przyjechałem. Po to tu jestem, żeby pomóc jemu i wam.

– Teraz już wszystko zrozumiałam. Wiem, czyje to intrygi. Wiem – powtórzyła księżniczka.

– Nie o to chodzi, kochanie.

– To *protégée*<sup>151</sup> księcia, kochana Anna Michajłowna, której nie chciałabym mieć za pokojówkę, szkaradna, wstrętne kobieta.

– *Ne perdons point de temps*.<sup>152</sup>

– Proszę tego nie mówić! Zeszłej zimy wkręciła się tutaj i naopowiadała hrabiemu takich obrzydliwości, takich paskudztw na nas wszystkich, szczególnie na Sophie – nawet powtórzyć tego nie mogę – że hrabia się rozchorował i przez dwa tygodnie nie chciał nas widzieć. Przypuszczam, że właśnie wtedy napisał ten wstrętny, szkaradny papier; ale myślałam, że ten papier nie ma żadnego znaczenia.

– *Nous y voilà!*<sup>153</sup> Czemużeś przedtem nic mi nie powiedziała?

– W wytłaczanym pugilaresie, który trzyma pod poduszką. Teraz już wiem – rzekła księżniczka nie odpowiadając. – Tak, jeśli mam na sumieniu grzech, wielki grzech, to tylko nienawiść do tej łajdaczki – księżniczka niemal krzyczała, zmieniona na twarzy. – I czemu ona się tutaj wkręca? Ale ja jej wszystko powiem, wszystko. Przyjdzie czas!

---

<sup>150</sup> Porozmawiajmy rozsądnie.

<sup>151</sup> Protegowana.

<sup>152</sup> Nie traćmy czasu.

<sup>153</sup> O to chodzi!

## XIX

Kiedy takie rozmowy toczyły się w sali przyjęć i w pokoju księżniczki, karetą z Pierre'em (po którego posłano) i z Anną Michajłówną (która uznała za konieczne przyjechać razem z nim) wjeżdżała na dziedziniec domu hrabiego Bezuchowa.

Gdy koła karety zaturkotały miękko po słomie, rozesłanej pod oknami, Anna Michajłówna zwróciła się do swego towarzysza ze słowami pociechy, a przekonawszy się, że śpi w kącie karety, obudziła go. Pierre ocknął się i dopiero wysiadając z karety za Anną Michajłówną pomyślał o widzeniu się z umierającym ojcem, które go czekało. Zauważył, że zajechali nie od frontu, lecz od tylnego podjazdu. Kiedy schodził ze stopnia, dwaj ludzie odziani po miejsku spiesznie odbiegli od podjazdu w cień ściany. Pierre zatrzymał się i z obu stron w cieniu domu dojrzał jeszcze kilku podobnych ludzi. Jednak ani Anna Michajłówna, ani lokaj,

ani stangret, którzy nie mogli nie widzieć tych ludzi, nie zwrócili na nich uwagi. „A więc tak być musi” – zdecydował Pierre i poszedł za Anną Michajłówną. Anna Michajłówna szła na górę szybkim krokiem – słabo oświetlonymi, wąskimi, kamiennymi schodami – i przyzywała Pierre'a, który zostawał w tyle. Pierre nie rozumiał wprawdzie, dlaczego w ogóle powinien iść do hrabiego, a jeszcze mniej, dlaczego musi iść kuchennymi schodami, ale wywnioskował z pewności siebie Anny Michajłówny i jej pośpiechu, że tak trzeba. W połowie schodów omal ich nie przewrócili jacyś ludzie z wiadrami, którzy stukając butami, zbiegali na przeciw nich. Ludzie ci przywarli do ściany, aby przepuścić Pierre'a i Annę Michajłównę i bynajmniej nie okazali zdziwienia na ich widok.

– Czy tędy do pokojów księżniczek? – zapytała Anna Michajłówna jednego z nich.

– Tędy – odpowiedział lokaj śmiało i głośno, jak gdyby teraz wszystko już było wolno. – Drzwi na lewo, dobrodziejko.

– Być może, hrabia mnie wcale nie wzywał – rzekł Pierre, kiedy się znalazł na podeście. – Pójdę raczej do siebie.

Anna Michajłówna przystanąła, by zrównać się z Pierre'em.

– *Ah, mon ami!* – rzekła i podobnym gestem, jak rano dotknęła ręki syna, dotknęła jego ręki – *croyez, que je souffre, autant que vous, mais soyez homme.*<sup>154</sup>

– Doprawdy, może jednak pójdę sobie? – zapytał Pierre, łagodnie patrząc przez okulary na Annę Michajłównę.

– *Ah, mon ami, oubliez les torts qu'on a pu avoir en-vers vous, pensez, que c'est votre père... peut-être à l'agonie.* – Westchnęła. – *Je vous ai tout de suite aimé comme mon fils. Fiez-vous à moi, Pierre. Je n'oublierai pas vos intérêts.*<sup>155</sup>

Pierre nic nie rozumiał; znowu mu się wydawało, w jeszcze silniejszym stopniu, że tak być powinno, więc szedł pokornie za Anną Michajłówną, która już otwierała drzwi.

Drzwi prowadziły do przedpokoju i służbowego wejścia. W kącie siedział stary sługa księżniczek i robił pończochę. Pierre nigdy nie był w tej części domu, nawet nie podejrzewał, że takie pokoje istnieją. Mijającą ich dziewczynę z karafką na tacy Anna Michajłówna zapy-

<sup>154</sup> Ach, mój przyjacielu... proszę; mi wierzyć, że cierpię nie mniej niż pan, ale bądź mężczyzną.

<sup>155</sup> Mój drogi, proszę zapomnieć o krzywdach, które panu wyrządzono; proszę pomyśleć, że to pański ojciec... może już w agonii... Ja cię od razu pokochałam jak syna... Zaufaj mi... Nie zapomnę o twoich interesach.

tała (nazywając ją „miłą” i „kochaneczką”) o zdrowie księżniczek i pociągnęła Pierre'a dalej po kamiennej posadzce korytarza. W korytarzu pierwsze drzwi na lewo prowadziły do mieszkalnych pokoi księżniczek. Z pośpiechu (w tej chwili wszystko w tym domu robiło się z pośpiechem) pokojówka z karafką nie domknęła drzwi, więc Pierre i Anna Michajłowna, przechodząc obok, mimowolnie zajrzeli do tego pokoju, gdzie starsza księżniczka i książę Wasilij rozmawiali siedząc blisko siebie. Kiedy książę Wasilij zobaczył przechodzących, zachnął się niecierpliwie i opadł na fotel; księżniczka porwała się i desperackim ruchem z całej siły trzasnęła drzwiami zamykając je.

Ow ruch tak był niepodobny do zwykłego spokoju księżniczki, a strach, jaki pojawił się na twarzy księcia Wasilia, tak nie licował z jego wyniosłością, że Pierre, przystając, spojrział pytająco przez okulary na swą przewodniczkę. Anna Michajłowna nie okazała zdziwienia, tylko uśmiechnęła się z lekka i westchnęła, jakby okazując, że spodziewała się tego.

– *Soyez homme, mon ami, c'est moi qui veillerai à vos intérêts*<sup>156</sup> – rzekła w odpowiedzi na jego spojrzenie i jeszcze szybciej poszła przez korytarz.

Pierre nie rozumiał, o co chodzi, a jeszcze mniej – co znaczyło „*veiller à vos intérêts*”, rozumiał jednak, że wszystko tak być powinno. Doszli korytarzem do na pół oświetlonego salonu przylegającego do sali przyjęć hrabiego. Była to jedna z tych chłodnych a wspaniałych komnat, które Pierre znał od strony wejścia frontowego. Jednak nawet w tym pokoju stała na środku pusta wanna, a na dywanie była rozlana woda. Z przeciwka wyszli na palcach, nie zwracając na nich uwagi, lokaj i służka cerkiewny z kadzidłem. Weszli do znajomej Pierre'owi sali przyjęć z dwoma weneckimi oknami i wyjściem do ogrodu zimowego oraz z dużym popiersiem Katarzyny i jej portretem naturalnej wielkości. W sali przyjęć siedzieli wciąż ci sami ludzie, niemal że w tych samych pozach, i rozmawiali szeptem. Zamilkli spojrzawszy na stroskaną, bladą twarz wchodzącej Anny Michajłowny i na tęgiego, wysokiego Pierre'a, który ze spuszczoną głową szedł ulegle za nią.

Twarz Anny Michajłowny wyrażała świadomość, że decydująca chwila nadeszła; z manierami zaaferowanej damy petersburskiej, jeszcze śmielej niż rano, weszła do pokoju, nie puszczając od siebie Pierre'a ani na chwilę. Czowała, że przyjęcie ma zapewnione, ponieważ prowadzi ze sobą tego, kogo chciał widzieć umierający. Szybkim spojrzeniem obrzuciła wszystkich znajdujących się w pokoju, a gdy zauważyła spowiednika hrabiego, nie to żeby się zgięła, ale jakby zmalęła, i drobniutkim kłusikiem podpłynęła do spowiednika i z uszanowaniem przyjęła błogosławieństwo najpierw jednego duchownego, a potem drugiego.

– Chwała Bogu, żeśmy zdążyli – rzekła do jednego z nich. – My, krewni, takeśmy się wszyscy obawiali. A ten młody człowiek to syn hrabiego – dodała ciszej. – Straszna chwila!

Wyrzekłszy te słowa zbliżyła się do doktora.

– *Cher docteur* – rzekła – *ce jeune homme est le fils du comte... Y-a-t-il de l'espoir?*<sup>157</sup>

Doktor w milczeniu szybkim ruchem wzniosł w górę oczy i ramiona. Anna Michajłowna dokładnie takim samym ruchem wzniosła ramiona i oczy, omal je zamykając; westchnęła, odeszła od doktora i wróciła do Pierre'a, mówiąc doń ze szczególnym szacunkiem, tkliwie a smutno;

– *Ayez confiance en sa miséricorde!*<sup>158</sup> – rzekła i wskazała mu sofkę, żeby usiadł i poczekał na nią, a sama bezszelestnie ruszyła ku drzwiom, na które wszyscy patrzyli; drzwi leciutko skrzypnęły i Anna Michajłowna zniknęła za nimi.

Pierre, postanowiwszy we wszystkim słuchać swej przewodniczki, podszedł do sofki, którą mu wskazała. Gdy tylko Anna Michajłowna zniknęła, zauważył, że w spojrzeniach wszystkich obecnych w pokoju, które skierowały się na niego, było coś więcej niż ciekawość i współczucie. Zauważył, że wszyscy szepczą ze sobą, wskazują na niego oczami, jak gdyby z

<sup>156</sup> Proszę być mężczyzną, mój przyjacielu, ja będę czuwać nad twoimi interesami

<sup>157</sup> Drogi doktorze... ten młody człowiek to syn hrabiego... Czy jest nadzieja?

<sup>158</sup> Ufaj pan Jego miłosierdziu!

obawą, a nawet unizonością. Okazywano mu szacunek, jak nigdy przedtem: nie znana mu dama, która rozmawiała z duchownymi, wstała ze swego miejsca i zaproponowała, by usiadł; adiutant podniósł rękawiczkę upuszczoną przez Pierre'a i podał mu; lekarze zamilkli z szacunkiem, kiedy przechodził obok nich, i usunęli się, by zrobić mu miejsce. Pierre chciał z początku usiąść gdzie indziej, żeby nie krępować damy, chciał sam podnieść rękawiczkę i wyminąć doktorów, którzy w ogóle nie stali mu na drodze, lecz nagle poczuł, że byłoby to nieprzyzwoite, poczuł, że tej właśnie nocy został osobą, która zobowiązana jest dokonać jakiegoś strasznego i przez wszystkich oczekiwanego obrzędu, i dlatego powinien od wszystkich przyjmować usługi. W milczeniu wziął od adiutanta rękawiczkę, usiadł na miejscu damy, kładąc swe duże ręce na symetrycznie wysuniętych kolanach – w naiwnej pozie posągu egipskiego; w duszy rozstrzygnął, że tak właśnie wszystko powinno być, że tego właśnie wieczoru – by nie stracić głowy i nie narobić głupstw – nie należy działać wedle własnych pojęć, ale trzeba się całkowicie zdać na wolę tych, którzy nim kierowali.

Nie upłynęły nawet dwie minuty, kiedy książe Wasilij w mundurze z trzema gwiazdami, majestatycznie, z wysoko podniesioną głową wszedł do pokoju. Zdawało się, że schudł od rana; oczy miał większe niż zwykle, kiedy rozejrzał się po pokoju i zobaczył Pierre'a. Podszedł do niego, wziął go za rękę (czego przedtem nigdy nie robił) i pociągnął ją w dół, jak gdyby chcąc wypróbować, czy mocno się trzyma.

– *Courage, courage, mon ami. Il a demandé à vous voir. C'est bien...*<sup>159</sup> – i chciał odejść.

Lecz Pierre uznał za konieczne zapytać:

– Jak zdrowie... – Zająknął się, nie wiedział bowiem, czy wypada nazywać umierającego hrabią; a nazwać go ojcem krępował się.

– *Il a eu encore un coup, il y a une demi-heure.* Był jeszcze jeden udar. *Courage, mon ami...*<sup>160</sup>

Myśli Pierre'a znajdowały się w stanie takiego pogmatwania, że słysząc słowa „udar” przedstawił sobie uderzenie jakiegoś ciała. Popatrzył więc w zdumieniu na księcia Wasilia

i dopiero później zrozumiał, że udar to nazwa choroby. Książe Wasilij w przejściu powiedział kilka słów Lorrainowi i na palcach wszedł do pokoju chorego. Nie umiał chodzić na palcach i niezręcznie podskakiwał całym ciałem. Za nim weszła starsza księżniczka, potem duchowni i asysta cerkiewna, służba weszła również. Za tamtymi drzwiami dał się słyszeć ruch; wreszcie wybiegła Anna Michajłowna, a jej pobladła twarz wyrażała niezłomną wolę wypełnienia obowiązku; Anna Michajłowna dotknęła ręki Pierre'a i rzekła:

– *La bonté divine est inépuisable. C'est la cérémonie de l'extrême onction qui va commencer. Venez.*<sup>161</sup>

Pierre wszedł stąpając po miękkim dywanie i zauważył, że i adiutant, i nieznajoma dama, i jeszcze ktoś ze służby – wszyscy weszli za nim, jakby teraz już nie trzeba było pytać o pozwolenie wejścia do tego pokoju.

<sup>159</sup> Odwagi, odwagi, przyjacielu. Kazał cię wezwać. To dobrze...

<sup>160</sup> Miał jeszcze jeden udar pół godziny temu... Odwagi, przyjacielu...

<sup>161</sup> Niewyczerpane jest miłosierdzie Boże. Zaraz zacznie się obrzęd ostatniego namaszczenia. Chodźmy.

## XX

Pierre dobrze znał ten duży pokój, przedzielony kolumnami i łukiem, jasny, cały obity perskimi dywanami. Część pokoju za kolumnami, gdzie z jednej strony stało wysokie mahoniowe łóżko z jedwabnymi firankami, a z drugiej – duża szafka z ikonami za szkłem, była jasno oświetlona, jak bywają oświetlone cerkwie podczas wieczornego nabożeństwa. Pod oświetlonymi ryzami obrazów stał długi wolterowski fotel, a na fotelu, wyłożonym śnieżnobiałymi, nie zmiętymi, widać dopiero co obleczonymi poduszkami, leżała – przykryta do pasa jaskrawozieloną kołdrą – znana Pierre'owi majestatyczna postać jego ojca, hrabiego Bezuchowa z siwą grzywą włosów nad szerokim czołem, w której było coś lwiego, i z tymi charakterystycznymi szlachetnymi fałdami zmarszczek na pięknej czerwonożółtej twarzy. Leżał tuż pod obrazami, obie grube, duże ręce wyjęte spod kołdry leżały na niej. Między wielki a wskazujący palec jego prawej ręki, odwróconej dłonią do dołu, wstawiono świecę woskową, przytrzymywał ją stary sługa, przechylony zza fotela. Pochyleni nad fotelem duchowni w swych wspaniałych lśniących szatach, z opadającymi na nie długimi włosami, trzymali w rękach zapalone świece i powoli odprawiali modły. Nieco za nimi stały dwie młodsze księżniczki z chusteczkami przy oczach, przed nimi – najstarsza, Catiche, z wyrazem gniewu i zdecydowania, ani na chwilę nie spuszczała oczu z ikon, jakby w ten sposób oświadczała wszystkim, że nie odpowiada za siebie, jeśli się obejrzy. Anna Michajłowna, której twarz wyrażała wszystko przebaczący, łagodny smutek, oraz nieznaną damą stały przy drzwiach. Księżę Wasilij stał z drugiej strony, blisko fotela, za rzeźbionym krzesłem krytym aksamitem; odwrócił je ku sobie grzbietem, na którym wsparł łokieć lewej ręki ze świecą, prawą ręką żegnał się, a za każdym razem, kiedy dotykał palcami czoła, wznosił oczy do góry. Jego twarz wyrażała spokojną pobożność i poddanie się woli Bożej. „A jeśli nie rozumiecie tych uczuć, tym gorzej dla was” – zdawała się mówić jego twarz.

Za nim stał adiutant, doktorzy i służba męska, kobiety i mężczyźni rozdzielili się – jak w cerkwi. Wszyscy milczeli, robili znak krzyża; słyhać było tylko słowa modlitwy, dyskretnie niski śpiew basowy, a w chwilach milczenia przestępowanie z nogi na nogę i westchnienia. Anna Michajłowna, z tym znaczącym wyrazem, który wskazywał, że ona wie, co robi, przeszła przez cały pokój i podała Pierre'owi świecę. Zapalił ją, lecz zajęty przyglądaniem się wszystkiemu, co go otaczało, jął żegnać się tą właśnie ręką, w której trzymał świecę.

Księżniczka Sophie, najmłodsza, rumiana, owa śmieszka z pieprzykiem, patrzyła na niego. Z uśmiechem ukryła twarz w chusteczce i długo jej nie odsłaniała; ale gdy spojrzała na Pierre'a, znowu się roześmiała. Czuła, widać, iż nie jest w stanie patrzeć na niego bez śmiechu, ale nie mogła się powstrzymać, by nie patrzeć, więc by uniknąć pokusy, przeszła wolno za kolumnę. W połowie ceremonii głosy duchownych zamilkły nagle; kapłani powiedzieli coś sobie szeptem; stary sługa trzymający rękę hrabiego wstał i odwrócił się do dam. Anna Michajłowna wysunęła się naprzód i pochylona nad chorym, nie odwracając się, palcem wezwała do siebie Lorraina. Francuz-doktor – który stał bez zapalanej świecy, wsparty o kolumnę w pełnej uszanowania pozycji cudzoziemca, wskazującej, że mimo różnic wiary rozumie powagę odbywającego się obrzędu, a nawet pochwała go – bezszelestnymi krokami człowieka w pełni sił zbliżył się do chorego, białymi, cienkimi palcami wziął z zielonej kołdry jego wolną rękę,



odwrócony jał badać puls i zamyślił się. Choremu dano czegoś się napić, zrobił się koło niego ruch, potem wszyscy znowu powrócili na swoje miejsca i modły rozpoczęły się na nowo. Podczas tej przerwy Pierre zauważył, że księżę Wasilij wyszedł spoza oparcia swego krzesła i z tym samym wyrazem świadczącym, iż on wie, co robi, i tym gorzej dla tych, co go nie rozumieją, nie zbliżył się do chorego, lecz przeszedłszy obok przyłączył się do starszej księżniczki i wraz z nią skierował się w głąb sypialni, do wysokiego łoża pod jedwabnymi firankami. Odszedłszy od łoża oboje zniknęli za tylnymi drzwiami, ale nim się modły zakończyły, na nowo wrócili, jedno za drugim, na swe miejsce. Na tę okoliczność Pierre zwrócił nie więcej uwagi niż na cokolwiek innego, ponieważ rozstrzygnął w myśli raz na zawsze, że to, co się działo tego wieczora, jest niezbędne i konieczne.

Dźwięk śpiewów cerkiewnych ustał: rozległ się głos duchownego, który z uszanowaniem winszował choremu przyjęcia sakramentu.<sup>162</sup> Chory leżał, wciąż tak samo bez życia, nieruchomo. Wszyscy dokoła niego się poruszyli, rozległy się kroki i szepty, wśród których szept *Ann*y Michajłowny był najprzenikliwszy.

Pierre słyszał, jak powiedziała:

– Koniecznie trzeba przenieść go na łóżko, tu w żaden sposób nie można...

Chorego tak obstąpili doktorzy, księżniczki i służba, że Pierre już nie widział tej czerwono-żółtej głowy z siwą grzywą, której – pomimo że dostrzegał również inne twarze – ani na chwilę nie tracił z oczu przez cały czas nabożeństwa. Z ostrożnych ruchów ludzi, którzy obstąpili fotel, Pierre domyślił się, że umierającego podnosili i przenosili.

– Trzymaj się mojej ręki, bo upuścisz – usłyszał przestraszony szept jednego ze sług – od dołu... jeszcze jeden – mówiły głosy, a ciężkie oddechy i stapania ludzi stały się jeszcze śpieszniejsze, jak gdyby ciężar, który nieśli, był ponad ich siły.

Niosący, wśród których była również *Anna Michajłowna*, zrównali się z młodym człowiekiem, spoza pleców i karków ludzi przez jedną chwilę ukazała mu się wysoka, tłusta, odsłonięta pierś i masywne ramiona chorego, uniesione do góry przez ludzi trzymających go pod pachy, i siwa, kędzierzawa lwia głowa. Głowy tej z niepospolicie szerokim czołem i kośćmi policzkowymi, pięknymi zmysłowymi ustami i majestatycznym chłodnym wejrzeniem nie oszpeciła bliskość śmierci. Była taka, jaką znał Pierre trzy miesiące temu, kiedy hrabia wyprawiał go do Petersburga. Ale teraz głowa ta chwiała się bezsilnie od nierównych kroków niosących, a chłodne, apatyczne spojrzenie nie wiedziało, na czym się zatrzymać.

Minęło kilka minut krzątaniny przy wysokim łożu, ludzie, którzy nieśli chorego, odeszli. *Anna Michajłowna* dotknęła ręki *Pierre'a* i rzekła do niego: „*Venez*”. Pierre wraz z nią podszedł do łoża, na którym położono chorego – w pozycji niezwykłej, najwidoczniej mającej związek z dopiero co dokonanym obrzędem. Leżał trzymając głowę wysoko na poduszkach. Ręce spoczywały symetrycznie na wierzchu zielonej jedwabnej kołdry; dłonie były zwrócone ku dołowi. Kiedy Pierre zbliżył się, hrabia patrzył prosto na niego, ale patrzył spojrzeniem, którego sensu i znaczenia człowiek pojąć nie może. Albo to spojrzenie nic nie mówiło – ot, póki są oczy, przecie trzeba na coś patrzeć – albo też mówiło zbyt wiele. Pierre zatrzymał się, nie wiedząc, co robić, i spojrzał pytająco na swą przewodniczkę *Annę Michajłownę*. *Anna Michajłowna* dała mu pośpieszny znak oczami, wskazując na rękę chorego i wargami posyłając w powietrzu pocałunek. Pierre, ostrożnie wyciągając szyję, by nie zaczepić o kołdrę, zastosował się do jej rady i ucałował szeroką, mięsistą dłoń. Ani ręka, ani żaden mięsień na twarzy hrabiego nie drgnął. Pierre znowu spojrzał pytająco na *Annę Michajłownę* – zapytując, co teraz ma robić. *Anna Michajłowna* wskazała mu oczyma fotel, który stał przy łóżku. Pierre z uległością jał sadzić się na fotelu, lecz ciągle zapytywał oczyma, czy robi to, co trzeba. *Anna Michajłowna* aprobująco kiwnęła głową. Pierre znowu przyjął symetrycznie naiwną pozę egipskiego posągu, najwidoczniej ubolewając nad tym, że jego niezgrabne, otyłe ciało zajmuje tak dużo miejsca, i wyteżając wszystkie siły ducha, by się wydać możliwie jak

<sup>162</sup> Wg obyczaju rosyjskiego.

najmniejszym. Patrzył na hrabiego. Hrabia patrzył w to miejsce, gdzie się znajdowała twarz Pierre'a, kiedy ten stał. Z twarzy Anny Michajłowny widać było, że ocenia wzruszającą wagę tej ostatniej chwili, gdy ojciec widzi się z synem. Trwało to ze dwie minuty, które Pierre'owi wydały się godziną. Nagle grube mięśnie i fałdy twarzy hrabiego zaczęły drgać. Drganie potęgowało się, piękne usta wykrzywiły się (dopiero wtedy Pierre pojął, jak ojciec był bliski śmierci), z wykrzywionych ust rozległ się niewyraźny, chrapliwy dźwięk. Anna Michajłowna bacznie patrzyła w oczy choremu i usiłowała odgadnąć, czego mu trzeba: wskazywała to Pierre'a, to napój, pytającym szeptem wymieniała imię księcia Wasilia, pokazywała na koldrę. Oczy i twarz chorego wyrażały zniecierpliwienie. Zrobił wysiłek, by spojrzeć na sługę, który nie odstępując go stał u wezłowania.

– Jaśnie pan chce się przewrócić na drugi boczek – szepnął sługa i podszedł, by ciężkie ciało hrabiego odwrócić twarzą do ściany. Pierre wstał, by pomóc słudze.

W tym momencie, kiedy hrabiego odwracano, jedna jego ręka bezwładnie opadła w tył, zrobił daremny wysiłek, by ją przesunąć. Nie wiadomo, czy zauważył owo przerażone spojrzenie, jakim Pierre patrzył na tę obumarłą rękę, czy też jakaś inna myśl przemknęła w tej chwili w jego umierającej głowie, dość, że popatrzył na nieposłuszną rękę, na wyraz strachu w twarzy Pierre'a, znowu na rękę i na jego twarzy zjawił się tak nie pasujący do jego rysów słaby, męczeński uśmiech, wyrażający jakby drwinę z własnej niemocy. Na widok tego uśmiechu Pierre poczuł zniecka drzenie w piersi, szczypanie w nosie i lży zaćmiły mu wzrok. Chorego odwrócono na bok twarzą do ściany. Westchnął.

– *Il est assoupi* – oświadczyła Anna Michajłowna, gdy zauważyła księżniczkę, która przyszła, by ją zastąpić. – *Allons.*<sup>163</sup>

Pierre wyszedł.

---

<sup>163</sup> Zasnął... Chodźmy.

## XXI

W sali przyjęć już nie było nikogo z wyjątkiem księcia Wasilia i starszej księżniczki, którzy siedząc pod portretem Katarzyny rozmawiali o czymś z ożywieniem. Gdy tylko zobaczyli Pierre'a i jego przewodniczkę, zamilkli. Księżniczka coś schowała, jak wydało się Pierre'owi, i szepnęła:

– Nie mogę patrzeć na tę kobietę.

– *Catiche a fait donner du thé dans le petit salon* – rzekł książę Wasilij do Anny Michajłowny. – *Allez, ma pauvre Anna Michajłowna, prenez quelque chose, autrement vous ne suffrez pas.*<sup>164</sup>

Do Pierre'a nic nie powiedział, tylko serdecznie uścisnął mu rękę poniżej ramienia. Pierre i Anna Michajłowna weszli do *petit salon*.<sup>165</sup>

– *Il n'y a rien qui restaure, comme une tasse de cet excellent thé russe après une nuit blanche*<sup>166</sup> – mówił Lorrain z wyrazem powściąganego ożywienia, popijając z cienkiej chińskiej filiżanki bez uszka. Stał w małym, okrągłym salonie przed stołem z przyborem do herbaty i zimną kolacją. Wszyscy obecni tej nocy w domu hrabiego Bezuchowa zebrali się przy stole, by pokrzepić siły. Pierre dobrze pamiętał ten mały, okrągły salonik z lustrami i małymi stoliczkami. Podczas balów u hrabiego Pierre, nie umiejący tańczyć, lubił siedzieć w tym niewielkim zwierciadlanym pokoju i obserwować, jak damy w balowych toaletach, brylantach i perłach na obnażonych ramionach, przechodząc przez salonik, przeglądały się w jasno oświetlonych lustrach, które kilkakrotnie powtarzały ich odbicia. Teraz ten sam pokój oświetlały zaledwie dwie świece i wśród nocy na jednym małym stoliku stały rozstawione nieporządnie półmiski i przybór do herbaty; różni powszednio odziani ludzie, co tu siedzieli, rozmawiali szeptem, każdym ruchem, każdym słowem dając dowód, że nikt nie zapomina o tym, co się dzieje teraz w sypialni, i o tym, co się tam jeszcze stanie. Pierre nie zabrał się do jadła, choć mu się bardzo chciało jeść. Obejrzał się pytająco na swą przewodniczkę i spostrzegł, że wychodzi na palcach do sali przyjęć, gdzie został książę Wasilij ze starszą księżniczką. Pierre sądził, że to również było konieczne i, pomarudziwszy nieco, poszedł za nią. Anna Michajłowna stała obok księżniczki, obie mówiły jednocześnie wzburzonym szeptem:

– Pozwoli księżna, że i ja wiem, co można, a czego nie można – mówiła księżniczka, będąc widocznie w tym samym stanie wzburzenia, w jakim była w owej chwili, kiedy zatrzaśniwała drzwi swego pokoju.

– Ależ, droga księżniczko – mówiła Anna Michajłowna łagodnie i przekonywająco, zastępując drogę do sypialni i nie puszczając księżniczki – czy to nie będzie zbyt ciężkie dla biednego wujaszka w chwili, kiedy potrzebuje odpoczynku? Rozmowa o sprawach tego świata w takiej chwili, kiedy jego dusza już została przygotowana...

---

<sup>164</sup> Catiche kazała podać herbatę w saloniku... Moja biedna Anno Michajłowno, proszę tam iść i pokrzepić się, inaczej pani nie podole.

<sup>165</sup> Saloniku.

<sup>166</sup> Po nieprzespanej nocy nic tak nie odświeża jak filiżanka tej doskonałej herbaty rosyjskiej.

Książę Wasilij siedział w fotelu w swej familiarnej pozie, założywszy wysoko nogę na nogę. Policzki mu drgały, a gdy drgania ustały, wydawały się grubsze ku dołowi; miał minę człowieka mało zainteresowanego rozmową obu dam.

– *Voyons, ma bonne Anna Michajłowna, laissez faire Catiche.*<sup>167</sup> Pani wie, jak hrabia ją kocha.

– Nawet nie wiem, co zawiera ten dokument – mówiła księżniczka zwracając się do księcia Wasilia i wskazując wytłaczany pugilares, który trzymała w rękach. – Wiem tylko, że prawdziwy testament jest w biurku, a to jakiś zapomniany papier...

Chciała wyminąć Annę Michajłownę, lecz Anna Michajłowna podskoczyła i znowu zagroziła jej drogę.

– Ja wiem, moja dobra, kochana księżniczko – rzekła Anna Michajłowna chwytając pugilares, i to tak mocno, że widać było, iż nieprędko go wypuści. – Kochana księżniczko, proszę mieć nad nim litość. *Je vous en conjure...*<sup>168</sup>

Księżniczka milczała. Słysząc tylko było odgłosy walki o pugilares. Widać było, że jeśli się odezwie, to w sposób niezbyt pochlebny dla Anny Michajłowny. Anna Michajłowna trzymała pugilares mocno, mimo iż głos jej zachowywał całą słodką miękkość i przylepność.

– Pierre, przyjacielu, proszę się tu zbliżyć. Myślę, że on nie jest zbędny podczas narady rodzinnej, prawda, książę?

– Czegóż milczysz, *mon cousin?* – wykrzyknęła nagle księżniczka tak głośno, że zebrani w salonie usłyszeli i przerazili się jej głosu. – Dlaczego milczysz, gdy tu Bóg wie kto pozwala sobie wtrącać się i robić sceny na progu pokoju umierającego? Intrygantka! – wyszeptła zjadle i z całej siły szarpnęła pugilares, jednak Anna Michajłowna zrobiła kilka kroków, żeby nie puścić pugilaresu, i chwyciła księżniczkę za rękę.

– O! – rzekł książę Wasilij z wyrzutem i zdziwieniem. Wstał. – *C'est ridicule! Voyons*<sup>169</sup>, proszę, puście. Ja pani mówię.

Księżniczka puściła.

– I pani!

Anna Michajłowna nie posłuchała go.

– Mówię, niech pani puści. Biorę wszystko na siebie. Pójdę i zapytam go. Ja... to pani wystarczy.

– *Mais, mon prince*<sup>170</sup> – mówiła Anna Michajłowna – po tak ważnym sakramencie, należy mu dać chwilę spokoju. Pierre, powiedz pan swoje zdanie – zwróciła się do młodego człowieka, który, podszedłszy do nich blisko, patrzył ze zdziwieniem na rozjuszoną, wyzbytą wszelkiej godności twarz księżniczki i na drgające policzki księcia Wasilia.

– Proszę pamiętać, że odpowiesz pani za wszelkie następstwa – oświadczył surowo książę Wasilij. – Nie wiesz, co robisz.

– Wstrętna kobieta! – krzyknęła księżniczka, rzucając się zniecka na Annę Michajłownę i wyrывая jej pugilares.

Książę Wasilij spuścił głowę i rozłożył ręce. W tej chwili drzwi, owe straszne drzwi, na które Pierre patrzył tak długo i które otwierały się tak cicho, rozwarły się gwałtownie, uderzając o ścianę. Wybiegła z nich średnia księżniczka i klasnęła w dłonie.

– Co wy tu wyprawiacie! – mówiła z rozpaczą. – *Il s'en va et vous me laissez seule.*<sup>171</sup>

Starsza księżniczka upuściła pugilares. Anna Michajłowna nachyliła się szybko, schwyciła przedmiot sporu i wbiegła do sypialni. Starsza księżniczka i książę Wasilij, opamiętawszy się, poszli za nią. Po kilku minutach pierwsza wyszła stamtąd starsza księżniczka z bladą, suchą

<sup>167</sup> Ależ, droga Anno Michajłowno, proszę pozwolić Catiche.

<sup>168</sup> Zaklinam cię...

<sup>169</sup> To śmieszne! No więc...

<sup>170</sup> Ależ, książę...

<sup>171</sup> On umiera, a wy zostawiacie mnie samą.

twarzą i z zagryzioną dolną wargą. Na widok Pierre'a jej twarz wyraziła niepohamowaną zajądlność.

– No, teraz ciesz się pan – rzekła. – Na to czekałeś. Łkając zasłoniła twarz chusteczką i wybiegła z pokoju. Za księżniczką wyszedł książę Wasilij. Chwiejąc się doszedł do kanapy, na której siedział Pierre, i upadł na nią, zasłaniając ręką oczy. Pierre zauważył, że książę był blady, a szczęka dolna drgała mu i trzęsła się jak w febrze.

– Ach, przyjacielu! – rzekł wzięwszy Pierre'a za łokieć; w głosie jego była szczerść i słabość, czego nigdy przedtem Pierre w nim nie dostrzegł. – Jakże my grzeszymy, jakże oszukujemy, a na co to wszystko? Idzie mi szósty krzyżyk, mój drogi... Przecie ja... Wszystko kończy śmierć, wszystko. Śmierć jest okropna. – Rozplakał się.

Anna Michajłowna wyszła ostatnia. Zbliżyła się do Pierre'a cichymi, powolnymi krokami.

– Pierre!... – powiedziała.

Pierre patrzył na nią pytająco. Pocałowała młodego człowieka w czoło, zwilżając je łzami. Milczała chwilę.

– *Il n'est plus.*<sup>172</sup>

Pierre patrzył na nią przez okulary.

– *Allons, je vous reconduirai. Tâchez de pleurer. Rien ne soulage, comme les larmes.*<sup>173</sup>

Wprowadziła go do ciemnego salonu. Pierre był rad, że nikt tu nie widzi jego twarzy. Anna Michajłowna odeszła, a kiedy wróciła, spał mocnym snem podłożywszy rękę pod głowę.

Nazajutrz rano Anna Michajłowna mówiła do Pierre'a:

– *Oui, mon cher, c'est une grande perte pour nous tous. Je ne parle pas de vous. Mais Dieu vous soutiendra, vous êtes jeune et vous voilà à la tête d'une immense fortune, je l'espère. Le testament n'a pas été encore ouvert. Je vous connais assez pour savoir que cela ne vous tournera pas la tête, mais cela vous impose des devoirs, et il faut être homme.*<sup>174</sup>

Pierre milczał.

– *Peut-être plus tard je vous dirai, mon cher, que si je n'avais pas été là, Dieu sait ce qui serait arrivé. Vous savez, mon oncle avant-hier encore me promettait de ne pas oublier Boris. Mais il n'a pas eu le temps. J'espère, mon cher ami, que vous remplirez le désir de votre père.*<sup>175</sup>

Pierre nic nie rozumiał; milczał, zaczerwieniony wstydliwie, i patrzył na księżnę Annę Michajłownę. Pomówiwszy z Pierre'em, Anna Michajłowna odjechała do Rostowów i położyła się spać. Rankiem po przebudzeniu opowiadała Rostowom i wszystkim znajomym szczegóły śmierci hrabiego Bezuchowa. Mówiła, że i ona pragnęłaby umrzeć tak, jak umarł hrabia, że jego zgon był nie tylko wzruszający, ale i budujący; ostatnie spotkanie ojca z synem było tak wzruszające, że nie mogła wspominać o tym bez łez i nie wie, kto z nich zachowywał się godniej w tych strasznych chwilach: czy ojciec, który o wszystkich i o wszystkim pamiętał i wyrzekł do syna tak wzruszające słowa, czy też Pierre, na którego aż żal było patrzeć, tak był przybity nieszczęściem, ale pomimo to starał się ukryć swój żal, by nie zasmucać umierającego ojca. „*C'est pénible, mais cela fait du bien, ça élève l'âme de voir des hommes, comme le vieux comte et son digne fils*”<sup>176</sup> – mówiła. O postępkach księżniczki i księcia Wasilija, nie pochwalając ich, mówiła również, ale w wielkiej tajemnicy i szeptem.

<sup>172</sup> Już odszedł...

<sup>173</sup> Chodźmy, odprowadzę pana. Proszę starać się płakać. Nic tak nie przynosi ulgi jak łzy.

<sup>174</sup> Tak, mój przyjacielu, to wielka strata dla nas wszystkich, nie mówiąc już o panu. Ale Bóg doda panu sił, jest pan młody i, jak się spodziewam, posiadasz olbrzymią fortunę. Testamentu jeszcze nie otworzono. Znam pana do tego stopnia, iż jestem przeświadczona, że to nie zawróci panu w głowie, ale to nakłada na pana obowiązki; trzeba być mężczyzną.

<sup>175</sup> Mój drogi, może później opowiem panu, że gdyby mnie tam nie było, to Bóg wie, co mogłoby się zdarzyć. Wie pan, onegdaj wujaszek obiecywał mi, że będzie pamiętał o Borysie, ale już nie zdążył. Spodziewam się, drogi przyjacielu, że spełni pan wolę ojca.

<sup>176</sup> To ciężkie, ale dobrze robi; serce rośnie, kiedy się widzi takich ludzi, jak stary hrabia i jego zacny syn.

## XXII

W Łysych Górach, majątku księcia Mikołaja Andrejewicza Bołkońskiego, z dnia na dzień spodziewano się przybycia młodego księcia Andrzeja i księżny, lecz oczekiwanie to nie naruszyło ścisłego ładu, wedle którego płynęło życie w domu starego księcia. *Général en chef* książę Mikołaj Andrejewicz, przewany w towarzystwie *le roi de Prusse*<sup>177</sup>, od czasu kiedy za Pawła został zesłany na wieś, nie opuszczał swych Łysych Gór, mieszkając wraz z córką, księżniczką Marią, i jej damą do towarzystwa, m-lle Bourienne. A choć za nowego panowania zezwolono mu na pobyt w stolicach, nadal mieszkał na wsi i nigdy nie wyjeżdżał, mawiając, że jeśli kto go potrzebuje, ten przejedzie sto pięćdziesiąt wiorst z Moskwy do Łysych Gór, on sam zaś nie potrzebuje nic i nikogo. Powiadał, że są tylko dwa źródła ludzkich wad: próżniactwo i zabobon, a istnieją tylko dwie cnoty: działanie i rozum. Zajmował się osobiście wychowaniem swej córki i by rozwinąć w niej obie główne cnoty, dawał jej lekcje algebry i geometrii i ułożył jej życie wśród nieustannych zajęć. Sam był zajęty stale to pisaniem pamiętników, to obliczeniami z wyższej matematyki, to znów wyrabianiem tabakierek na tokarni bądź pracą w ogrodzie i nadzorowaniem robót budowlanych, które w jego majątku trwały bez przerwy. Ponieważ główny warunek działania stanowi porządek, więc i porządek w jego trybie życia był doprowadzony do najwyższego stopnia dokładności. Przychodził do stołu punktualnie nie tylko w tych samych, niezmiennych okolicznościach, nie tylko o tej samej godzinie – ale i o tej samej minucie. W stosunku do otaczających go ludzi – od córki aż do służby – książę był ostry i niezmiennie wymagający, toteż, nie będąc okrutny, wzbudzał taki lęk i szacunek, jaki niełatwo osiągnąłby człowiek bardzo okrutny. Mimo że był zdymisjonowany i nie miał żadnego stanowiska w państwie, każdy wyższy urzędnik guberni, w której się znajdował majątek księcia, uważał za swój obowiązek stawić się u niego i, podobnie jak architekt, ogrodnik czy księżniczka Maria, czekać wyznaczonej godziny ukazania się księcia w pokoju przyjęć. A każdy w tym pokoju doznawał uczucia podobnego szacunku i lęku, kiedy się rozwierały ogromne wysokie drzwi gabinetu i ukazywała się nieduża postać staruszka w napudrowanej peruce, z malutkimi, suchymi rączkami i siwymi, nawisłymi brwiami, które czasem, kiedy książę się zasepiał, aż przesłaniały blask rozumnych i młodych, błyszczących oczu.

Rankiem w dniu przyjazdu młodych księżniczka Maria jak zwykle weszła do pokoju na powitanie ojca, z lękiem czyniąc znak krzyża i w myśli odmawiając modlitwę. Codziennie tu wchodziła, i codziennie się modliła, aby to powszednie powitanie wypadło pomyślnie.

Siedzący tu staruszek-służący w pudrowanej peruce cicho wstał i zameldował szeptem: „Księżniczka pozwoli.”

Spoza drzwi było słychać miarowy stukot warsztatu. Księżniczka nieśmiało pociągnęła drzwi, otwierające się lekko i bez szmeru, i zatrzymała się u progu. Książę był zajęty przy tokarni; obejrzał się i pracował dalej...

Olbrzymi gabinet był wypełniony rzeczami, będącymi widocznie w ciągłym użyciu. Duże biurko, na którym leżały książki i plany, wysokie oszklone szafy biblioteczne z kluczami we

---

<sup>177</sup> Królem pruskim.

drzwiach, wysoki pulpit do pisania w pozycji stojącej, na którym leżał otwarty zeszyt, warsztat tokarski, a przy nim porozkładane narzędzia, wióry rozsypane dokoła – wszystko to wskazywało na ciągłe, różnorodne, systematyczne zajęcia. W ruchach niedużej nogi, obutej w tatarski bucik haftowany srebrem, w twardym uścisku żylastej, szczupłej ręki widać było, że książę posiada jeszcze tę upartą, mogącą wiele wytrzymać siłę, jaką daje czerstwa starość. Zrobiwszy kilka obrotów, zdjął nogę z pedału tokarki, wytarł dłuto, wrzucił je do skórzanej torby przy warsztacie i podchodząc do stołu przywołał córkę. Nigdy nie błogosławił swych dzieci; jedynie nadstawił jej nie golony jeszcze dzisiaj szczeciniasty policzek, a spojrzawszy na córkę surowo, a jednocześnie z tkliwą uwagą, rzekł:

– Zdrowaś?... no to siadaj!

Wziął zeszyt geometryczny, zapisany przezeń własnoręcznie, i nogą przysunął sobie fotel.

– Na jutro! – rzekł odszukawszy szybko stronicę i twardym paznokciem naznaczył od paragrafu do paragrafu.

Księżniczka pochyliła się nad zeszytem.

– Poczekaj no, masz list – rzekł nagle starzec, wydostając z torby przymocowanej nad biurkiem kopertę, zaadresowaną kobiecą ręką i rzucając list na biurko.

Na widok listu twarz księżniczki pokryły wypieki. Wzięła spieszenie list i pochyliła się nad nim.

– Od Heloizy? – zapytał książę odsłaniając w zimnym uśmiechu mocne jeszcze, żółtawe zęby.

– Tak, od Julie – odpowiedziała księżniczka lekliwie spoglądając i lekliwie uśmiechając się.

– Jeszcze dwa listy przepuszczę, ale trzeci przeczytam – oświadczył książę surowo. – Obawiam się, że za dużo bzdur wypisujecie. Trzeci przeczytam.

– *Mon père*,<sup>178</sup> proszę nawet i ten przeczytać – odrzekła księżniczka i jeszcze bardziej się zarumieniła podając mu list.

– Trzeci, powiedziałem, że trzeci! – rzucił książę krótko, odpychając list, i wsparty łokciami o biurko przysunął sobie zeszyt z wykresami geometrycznymi.

– Więc, moja panno – zaczął starzec pochylając się nad zeszytem, blisko córki i kładąc jedną rękę na oparciu fotela, na którym siedziała, tak iż księżniczka czuła się ze wszystkich stron otoczona owym tytoniowym, gryząco-starczym zapachem ojca, który już tak dawno znała. – Więc, moja panno, te trójkąty są podobne: zauważ łaskawie, że kąt ABC...

Księżniczka spoglądała z lękiem na błyszczące blisko niej oczy ojca; wypieki okrywały jej twarz, widać było, że nic nie rozumie i tak się boi, że strach przeszkodzi jej pojąć wszystkie dalsze wywody ojca mimo całą ich przejrzystość. Nie wiadomo, kto był winien – nauczyciel czy uczennica, ale codziennie powtarzało się to samo: księżniczce ćmiło się w oczach, nic nie widziała, nic nie słyszała, czuła tylko blisko siebie suchą twarz surowego ojca, czuła jego oddech i zapach i o tym tylko myślała, by jak najprędzej wyjść z gabinetu i u siebie, na wolności, zrozumieć zadanie. Stary nie posiadał się z gniewu: z łoskotem odsuwał i przysuwał fotel, na którym siedział, starał się panować nad irytacją, lecz prawie za każdym razem wpadał w podniecenie, burczał, a czasami rzucał zeszytem.

Księżniczka omyliła się w odpowiedzi.

– Ach, czyż nie głupia! – krzyknął książę odpychając zeszyt i szybko się odwrócił, ale zaraz wstał, przeszedł się po gabinecie, dotknął rękami włosów księżniczki i znowu usiadł.

Przysunął się i tłumaczył dalej.

– Tak nie można, księżniczko, nie można – rzekł, kiedy księżniczka wzięła zeszyt z zadanymi lekcjami, zamknęła go i szykowała się do odejścia. – Matematyka to wielka rzecz, moja panno. A nie chcę, byś była podobna do naszych głupich dam. Pocierpisz, ale i polubisz. – Poklepał ją po policzku. – Głupstwa ci z głowy wywietrzeją.

Chciała już wyjść, ale zatrzymał ją gestem i z wysokiego stołu wziął nową nie rozciętą książkę.

---

<sup>178</sup> Mój ojciec.

– Twoja Heloiza przysłała ci jeszcze jakiś tam *Zdrój tajemnicy*. Religijna. Ja do niczyjej wiary się nie wtrącam... Przejrzałem. Weź. No, idź, idź!

Poklepał ją po ramieniu i sam zamknął drzwi za nią.

Księżniczka Maria wróciła do swego pokoju, ze smutnym, zalęknionym wyrazem, który rzadko ją opuszczał, czyniąc jej nieładną i chorowitą twarz jeszcze brzydszą. Usiadła przy biurku zastawionym miniaturowymi portretami i zawalonym zeszytami i książkami. Księżniczka była równie nieporządna, jak jej ojciec był porządny. Położyła zeszyt z geometrią i niecierpliwie rozpieczętowała list. List pochodził od najbliższej, jeszcze z dzieciństwa, przyjaciółki księżniczki, przyjaciółką tą była owa Julie Karagin, która była na imieninach u Rostowów.

Julie pisała:

*Chère et excellente amie, quelle chose terrible et effrayante que l'absence! J'ai beau me dire que la moitié de mon existence et de mon bonheur est en vous, que malgré la distance qui nous sépare, nos coeurs sont unis par des liens indissolubles; le mien se révolte contre la destinée et je ne puis, malgré les plaisirs et les distractions qui m'entourent, vaincre une certaine tristesse cachée que je ressens au fond du coeur depuis notre séparation. Pourquoi ne sommes-nous pas réunies, comme cet été dans votre grand cabinet sur le canapé bleu, le canapé à confidences? Pourquoi ne puis-je, comme il y a trois mois, puiser des nouvelles forces morales dans votre regard si doux, si calme et si pénétrant, regard que j'aimais tant et que je crois voir devant moi, quand je vous écris?*<sup>179</sup>

Doczytawszy do tego miejsca księżniczka Maria westchnęła i przejrzała się w tremo, które stało na prawo od niej. Zwierciadło odbiło nieładną, wątłą postać i chudą twarz. Oczy, zawsze smutne, teraz szczególnie beznadziejnie spoglądały na siebie w lustrze. „Ona mi pochlebia” – pomyślała księżniczka, odwróciła się i czytała dalej. Jednak Julie nie pochlebiała przyjaciółce: istotnie, oczy księżniczki, duże, głębokie i promienne (jakby niekiedy wydobywały się z nich całe snopy promieni ciepłego światła), były tak piękne, że nader często, pomimo brzydoty twarzy, pociągały bardziej od urody. Księżniczka jednak nigdy nie widziała pięknego wyrazu swych oczu, tego wyrazu, jakiego nabierały, kiedy nie myślała o sobie. Bo kiedy patrzyła w lustro, jej twarz, podobnie jak twarze innych ludzi, nabierała wówczas brzydkiego wyrazu nienaturalności. Czytała dalej:

*Tout Moscou ne parle que guerre.*<sup>180</sup> *L'un de mes deux frères est déjà à l'étranger, l'autre est avec la garde, qui se met en marche vers la frontière. Notre cher empereur a quitté Péters-*

<sup>179</sup> Moja droga i nieoceniona przyjaciółko, rozłąka jest rzeczą straszną, okropną! Daremnie sobie mówię, że połowa mej egzystencji i mego szczęścia jest w Tobie, że pomimo odległości, która nas dzieli, serca nasze łączą nierozzerwalne więzy, moje serce buntuje się przeciw losowi, pomimo przyjemności i rozrywek, które mnie otaczają, nie mogę przezwyciężyć pewnego ukrytego smutku, jakiego po naszej rozłące doznaję w głębi serca. Czemuż nie jesteśmy razem, jak zeszłego lata, w Twym dużym gabinecie, na niebieskiej sofie, na sofie zwierzzeń? Czemu nie mogę, jak trzy miesiące temu, zacerpnąć sił moralnych w Twym spojrzeniu łagodnym, spokojnym i przenikliwym, które tak kochałam i które widzę w chwili, kiedy do Ciebie piszę.

<sup>180</sup> Cała Moskwa mówi tylko o wojnie. Jeden z moich dwóch braci jest już za granicą, drugi z gwardią, która rusza w pochód ku granicy. Nasz drogi cesarz opuścił Petersburg i, jak wszyscy przypuszczają, zamierza narażać swój cenny żywot na niebezpieczeństwa wojenne. Daj Boże, aby potwór korsykański, który burzy spokój Europy, został obalony przez anioła, którego Wszechmocny dał nam w swej łaskawości za władcę. Nie mówiąc już o mych braciach, ta wojna pozbawiła mnie znajomości nader bliskiej memu sercu. Mówię o młodym Mikołaju Rostowie, który, przy swym entuzjazmie, nie mógł znieść bezczynności, porzucił więc uniwersytet, ażeby wstąpić do armii. Przyznaję, moja droga Marie, iż nie bacząc na to, iż jest on tak młody, jego odjazd do armii stanowi dla mnie wielką przykrość. W tym młodym człowieku, o którym Ci opowiadałam latem minionego roku, jest tyle szlachetności, tyle szczerzej młodości, jak rzadko się spotyka w naszych czasach pomiędzy naszymi dwudziestoletnimi starcami! A on ma tyle szczerości i serca. Jest tak czysty i pełen poezji, że moje z nim stosunki, mimo całej ich przelotności, stanowiły jedną z najśłodszych radości mojego biednego serca, które już tyle cierpiało. Opowiem Ci kiedyś o naszym pożegnaniu i o wszystkim, co się przy odjeździe mówiło. Wszystko to jeszcze zbyt świeże... Ach, moja droga przyjaciółko, jakie szczęśliwa, że nie znasz tych przejmujących rozkoszy i smutków. Jesteś szczęśliwa, ponieważ te ostatnie są zwykle silniejsze niż pierwsze. Bardzo dobrze wiem, że



*bourg et, à ce qu'on prétend, compte lui-même exposer sa précieuse existence aux chances de la guerre. Dieu veuille que le monstre corsicain, qui détruit le repos de l'Europe, soit terrassé par l'ange que le Tout-Puissant, dans Sa miséricorde, nous a donné pour sowerain. Sans parler de mes frères, cette guerre m'a privée d'une relation des plus chères à mon coeur. Je parle du jeune Nicolas Rostoff, qui avec son enthousiasme n'a pu supporter l'inaction et a quitté l'université pour aller s'envôler dans l'armée. Eh bien, chère Marie, je vous avouerai que, malgré son extrême jeunesse, son départ pour l'armée a été un grand chagrin pour moi. Le jeune homme, dont je vous parlais cet été, a tant de noblesse, de véritable jeunesse qu'on rencontre si rarement dans le siècle où nous vivons parmi nos vieillards de vingt ans. Il a surtout tant de franchise et de coeur. Il est tellement pur et poétique, que mes relations avec lui, quelque passagères qu'elles fussent, ont été l'une des plus douces jouissances de mon pauvre coeur, qui a déjà tant souffert. Je vous raconterai un jour nos adieux et tout ce qui s'est dit en partant. Tout cela est encore trop frais. Ah! chère amie, vous êtes heureuse de ne pas connaître ces jouissances et ces peines si poignantes. Vous êtes heureuse, puisque les dernières sont ordinairement les plus fortes! Je sais fort bien, que le comte Nicolas est trop jeune pour pouvoir jamais devenir pour moi quelque chose de plus qu'un ami, mais cette douce amitié, ces relations si poétiques et si pures ont été un besoin pour mon coeur. Mais n'en parlons plus. La grande nouvelle du jour, qui occupe tout Moscou, est la mort du vieux comte Bezuchow et son héritage. Figurez-vous, que les trois princesses n'ont reçu que très peu de chose, le prince Basile rien, et que c'est M. Pierre qui a tout hérité et qui par-dessus le marché a été reconnu pour fils légitime, par conséquent comte Bezuchow et possesseur de la plus belle fortune de la Russie. On prétend que le prince Basile a joué un très vilain rôle dans toute cette histoire et qu'il est reparti tout penaud pour Pétersbourg.*

*Je vous avoue, que je comprends très peu toutes ces affaires de legs et de testament; ce que je sais, c'est que depuis que le jeune homme que nous connaissions tous sous le nom de M. Pierre tout court est devenu comte Bezuchow et possesseur de l'une des plus grandes fortunes de la Russie, je m'amuse fort à observer les changements de ton et des manières des mamans accablées de filles à marier et des demoiselles elles-mêmes à l'égard de cet individu, qui, par*

---

hrabia Mikołaj jest zbyt młody, by stał się dla mnie kiedykolwiek czymś więcej niż przyjacielem. Ale ta słodka przyjaźń i te tak czyste i poetyczne stosunki były potrzebą mojego serca. Ale dość o tym. Sensacją dnia, która zajmuje całą Moskwę, jest śmierć starego hrabiego Bezuchowa i spadek po nim. Wyobraź sobie, księżniczki dostały bardzo niewiele, księżę Wasilij nic, a spadkobiercą wszystkiego – Pierre, który ponadto został uznany za legalnego syna, a zatem został hrabią Bezuchowem i posiadaczem największej w Rosji fortuny. Powiadają, że księżę Wasilij odegrał bardzo brzydką rolę w tej całej historii i wyjechał do Petersburga bardzo zaambarasowany.

Przyznam Ci się, że nie bardzo rozumiem się na sprawach zapisów i testamentów, wiem tylko, że od czasu jak młody człowiek, któregośmy wszyscy znali jako po prostu Pierre'a, stał się hrabią Bezuchowem i posiadaczem jednego z większych majątków w Rosji, zabawiam się obserwowaniem zmiany tonu i postępowania mamusi obarczonych córkami na wydaniu, a i samych pańienek wobec jegomości, który, nawiasem mówiąc, zawsze wydawał mi się miernotą. Ponieważ od dwóch lat wszyscy się zabawiają wyszukiwaniem dla mnie narzeczonych, których przeważnie nie znam, więc obecnie matrymonialna kronika Moskwy czyni ze mnie hrabinę Bezuchow. Rozumiesz przecie, że ja bynajmniej tego nie pragnę. A propos małżeństw. Czy wiesz, że ciocia całego świata, Anna Michajłowna, powierzyła mi w wielkim sekrecie pomysł mariażu dla Ciebie. I to ni mniej, ni więcej, ale syn księcia Wasilia, Anatol, którego zamierzają ustatkować żeniąc go z panną bogatą i dystygowaną; wybór rodziców padł właśnie na Ciebie. Nie wiem, jak się będziesz zapatrywała na całą sprawę, ale uważam za swój obowiązek uprzedzić Cię. Powiadają, że Anatol jest bardzo przystojny, ale wielki nicpoń. To wszystko, czego się mogłam o nim dowiedzieć.

Dość jednak paplania. Kończę już drugi arkusik, a mateczka przysyła po mnie, by jechać ze mną na obiad do Apraksinów. Przeczytaj książkę mistyczną, którą Ci posyłam: cieszy się u nas ogromnym powodzeniem. Mimo iż zawiera rzeczy, które trudno jest objąć słabym rozumem ludzkim, ale to wspinała książka; czytanie jej uspokaja i uwzniośla duszę.

Żegnaj. Wyrazy szacunku dla Twego ojczulka i pozdrowienia dla m-lle Bourienoe.

Ściskam Cię tak mocno, jak Cię Kocham.

P.S. Przyślij mi wiadomości o swym bracie i o jego uroczej żonie.

*parenthèse, m'a paru toujours être un pauvre sire. Comme on s'amuse depuis deux ans à me donner des promesses que je ne connais pas le plus souvent, la chronique matrimoniale de Moscou me fait comtesse Bezuchow. Mais vous sentez bien que je ne me soucie nullement de le devenir. À propos de mariage, savez-vous que tout dernièrement la tante en général Anna Michajłowna m'a confié sous le sceau du plus grand secret un projet de mariage pour vous. Ce n'est ni plus ni moins que le fils du prince Basile, Anatole, qu'on voudrait ranger en le mariant à une personne riche et distinguée, et c'est sur vous qu'est tombé le choix des parents. Je ne sais comment vous envisagerez la chose, mais j'ai cru de mon devoir de vous en avertir. On le dit très beau et très mauvais sujet; c'est tout ce que j'ai pu savoir sur son compte.*

*Mais assez de bavardage comme cela. Je finis mon second feuillet, et maman me fait chercher pour aller dîner chez les Apraksines. Lisez le livre mystique que je vous envoie et qui fait fureur chez nous. Quoiqu'il y ait des choses dans ce livre difficiles à attendre avec la faible conception humaine, c'est un livre admirable dont la lecture calme et élève l'âme...*

*Adieu. Mes respects à monsieur votre père et mes compliments à m-lle Bourienne. Je vous embrasse comme je vous aime.*

*Julie*

*P. S. Donnez-moi des nouvelles de votre frère et de sa charmante petite femme.*

Księżniczka zastanowiła się, uśmiechając się w zamyśleniu (przy czym jej twarz, rozjaśniona promiennymi oczami, zupełnie się odmieniła), wstała nagle i podeszła, ciężko stąpając, do biurka. Wyjęła papier i ręka jej szybko jęła się po nim posuwać. Pisała w odpowiedzi tak:

*Chère et excellente amie<sup>181</sup> Votre lettre du 13 ma'a cause une grande joie. Vous m'aimez donc toujours, ma poétique Julie. L'absence, dont vous dites tant de mal, n'a donc pas eu son*

---

<sup>181</sup>Moja droga i nieoceniona przyjaciółko. Twój list z 13 sprawił mi wielką radość. Więc jeszcze mnie kochasz, moja poetyczna Julie. Widać rozłąka, o której tak źle się wyrażasz, nie wywarła na Ciebie zwykłego wpływu. Skarżysz się na rozłąkę, a co ja powinna bym powiedzieć, gdybym śmiała, ja, pozbawiona tych, których kocham? Ach, gdybyśmy nie mieli pociechy w religii, życie byłoby bardzo smutne. Dlaczego przypisujesz mi surowe poglądy mówiąc o swej skłonności do młodego człowieka. Pod tym względem jestem surowa tylko dla siebie. Rozumiemy te uczucia u innych, a jeśli nie mogą ich pochwalać nie zaznawszy ich nigdy, to jednak ich nie potępiam. Wydaje się jeno, że chrześcijańska miłość bliźniego, miłość do wrogów, jest godniejsza, dająca więcej pociechy i lepsza niż te uczucia, które w tak poetycznej i kochającej, jaką Ty jesteś, mogą wzbudzić piękne oczy młodego człowieka.

Wiadomość o śmierci hrabiego Bezuchowa doszła do nas wcześniej niż Twój list. Mój ojciec bardzo był nią dotknięty. Powiada, że to był przedostatni przedstawiciel wielkiej epoki i że teraz jest kolej na niego, ale – powiada – zrobi wszystko, co może, by ta kolej przyszła jak najpóźniej. Boże, broń nas od tego straszego nieszczęścia! Nie mogę podzielać Twego mniemania co do Pierre'a, którego znałam dzieckiem. Zdawało mi się zawsze, że ma bardzo dobre serce, a to jest cecha, którą najbardziej cenię w ludziach. Co się tyczy jego spadku i roli, jaką w tym odegrał książę Wasilij, jest to bardzo smutne dla nich obu. Ach, moja droga, słowa naszego boskiego Zbawiciela, że łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne niżli bogaczowi wniknąć do Królestwa Niebieskiego, są straszliwie prawdziwe! Żałuję księcia Wasilia, a jeszcze bardziej Pierre'a. Tak młody człowiek, obarczony tak wielkim majątkiem – na ileż pokus będzie wystawiony! Gdyby mnie spytano, czego pragnę najbardziej, odpowiedziałabym, że pragnę być biedniejsza niż najbiedniejszy z żebraków. Stokrotne dzięki, moja droga, za książkę, którą mi przysyłaś i która zrobiła u was taką furorę. Zresztą jeśli mi powiadasz, że wśród wielu rzeczy dobrych zawiera ona i takie, których słaby rozum człowieczy nie jest w stanie pojąć, wydaje mi się zbędne zajmować się niezrozumiałą lekturą, ponieważ nie przyniesie ona żadnego pożytku. Nigdy nie mogłam pojąć namiętności, z jaką niektóre osoby mącą sobie w głowach, czytając z zamiłowaniem książki mistyczne: budzą one jedynie wątpliwości w ich umysłach, rozpalają wyobraźnię, skłaniają do przesady najzupełniej sprzecznej z chrześcijańską prostotą. Czytajmy Apostołów i Ewangelię. Nie usiłujmy przemknąć tego, co w owych księgach jest tajemne, albowiem jakże my, nędzni grzesznicy, śmielibyśmy dążyć do poznania strasznych, a zarazem świętych tajemnic Opatrzności, dopóki więzi nas ta powłoka cielesna, która między nami a wiecznością wznosi mur nie do przebycia? Ograniczmy się raczej do studiowania wzniosłych zasad, które nasz boski Zbawiciel pozostawił nam, byśmy tu, na ziemi, kierowali się nimi; starajmy się do nich stosować i kierować się nimi, bądźmy przekonani, że im mniej dajemy swobody naszemu słabemu ludzkiemu umysłowi, tym bliżej stajemy się Bogu, który odrzuca wszelką wiedzę, nie pochodzącą od Niego. Im mniej będziemy się zagłę-

*influence habituelle sur vous. Vous vous plaignez de l'absence – que devrai-je dire moi, si j'osais me plaindre, privée de tous ceux qui me sont chers? Ah! si nous n'avions pas la religion pour nous consoler, la vie serait bien triste. Pourquoi me supposez vous un regard sévère, quand vous me parlez de votre affection pour le jeune homme? Sous ce rapport je ne suis rigide que pour moi. Je comprends ces sentiments chez les autres et si je ne puis approuver ne les ayant jamais ressentis, je ne les condamne pas. Il me paraît seulement que l'amour chrétien, l'amour du prochain, l'amour pour ses ennemis est plus méritoire, plus doux et plus beau, que ne le sont les sentiments que peuvent inspirer les beaux yeux d'un jeune homme à une jeune fille poétique et aimante comme vous.*

*La nouvelle de la mort du comte Bezuchow nous est parvenue avant votre lettre, et mon père en a été très affecté. Il dit que c'était l'avant-dernier représentant du grand siècle, et qu'a présent c'est son tour; mais qu'il fera son possible pour que son tour vienne le plus tard possible. Que Dieu nous garde de ce terrible malheur! Je ne puis partager votre opinion sur Pierre que j'ai connu enfant. Il me paraissait toujours avoir un cœur excellent, et s'est la qualité que j'estime le plus dans les gens. Quant à son héritage et au rôle qu'y a joué le prince Basile, c'est bien triste pour tous les deux. Ah! Chère amie, la parole de notre divin Sauveur qu'il est plus aisé à un chameau de passer par le trou d'une aiguille, qu'il ne l'est à un riche d'entrer dans le royaume de Dieu, cette parole est terriblement vraie; je plains le prince Basile et je regrette encore davantage Pierre. Si jeune et accablé de cette richesse, que de tentations n'aurait-il pas à subir; Si on me demandait ce que je désirerais le plus au monde, ce serait d'être plus pauvre que le plus pauvre des mendiants. Mille grâces, chère amie, pour l'ouvrage que vous m'envoyez, et qui fait si grande fureur chez vous. Cependant, puisque vous me dites qu'au milieu de plusieurs bonnes choses il y en a d'autres que la faible conception humaine ne peut atteindre, il me paraît assez inutile de s'occuper d'une lecture inintelligible; qui par là même ne pourrait être d'aucun fruit. Je n'ai jamais pu comprendre la passion qu'ont certaines personnes de s'embrouiller, l'entendement, en s'attachant à des livres mystiques, qui n'élèvent que des doutes dans leurs esprits, exaltant leur imagination et leur donnent un caractère d'exagération tout-à-fait contraire à la simplicité chrétienne. Lisons les Apôtres et l'Évangile. Ne cherchons pas à pénétrer ce que ceux-là renferment de mystérieux, car, comment oserions nous, misérables pécheurs que nous sommes, prétendre à nous initier dans les secrets terribles et sacrés de la Providence, tant que nous portons cette dépouille charnelle, qui élève entre nous et l'Éternel un voile impénétrable? Bornons-nous donc à étudier les principes sublimes que notre divin Sauveur nous a laissés pour notre conduite ici-bas; cherchons à nous y conformer et*

---

biać w to, co Mu się podobało ukryć przed naszym poznaniem, tym bardziej odkryje On nam to za sprawą Ducha Świętego.

Ojciec nic mi nie mówi! o starającym się, powiedział tylko, że otrzymał list od księcia Wasilia i oczekuje jego odwiedzin, co się tyczy planu mego zamażpójścia,

to powiem Ci, najdroższa przyjaciółko, że małżeństwo uważam za instytucję ustanowioną przez Boga i że trzeba się do niej przystosować. Jakkolwiek miałoby to być dla mnie ciężkie, jeśli Wszemocnemu spodoba się kiedykolwiek obarczyć mnie obowiązkami żony i matki, będę się starała wypełniać je tak wiernie, jak będę mogła, nie troszcząc się o zgłębianie mych uczuć dla tego, kogo mi On ześle na małżonka. Dostałam list od brata: oznajmił mi swe przybycie wraz z żoną do Łysych Gór. Radość ta będzie krótkotrwała, ponieważ brat nas opuści, by wziąć udział w tej nieszczęsnej wojnie, w którąśmy zostali wciągnięci. Bóg wie jak i po co. Nie tylko u was, w ośrodku wszystkich spraw i życia światowego, ale i tutaj wśród robót polnych i spokoju natury, które dla mieszkańców miast składają się zazwyczaj na obraz wsi, dają się słyszeć i odczuć przykre odgłosy wojny. Ojciec mój nie mówi o niczym innym, jak tylko o marszach i kontrmarszach, a ja nic z tego nie rozumiem; onegdaj, kiedy odbywałam zwykły spacer po ulicy wiejskiej, widziałam scenę rozdzierającą serce... Była to partia rekrutów pobranych z naszej wsi i wysyłanych do armii. Trzeba było słyszeć szlochy jednych i drugich! Można by pomyśleć, że ludzkość zapomniała o przykazaniach swego boskiego Zbawiciela, który uczył nas miłości i przebaczenia krzywd – i że swą dumę pokładała w sztuce wzajemnego mordowania się.

Żegnaj mi, najdroższa, najlepsza przyjaciółko. Niech nasz boski Zbawiciel i Jego Najświętsza Matka mają Cię w swej świętej i wszechmocnej opiece.

à les suivre, persuadons-nous que moins nous donnons d'essor à notre faible esprit humain et plus il est agréable à Dieu, qui rejette toute science ne venant pas de Lui. Que moins nous cherchons à approfondir ce qu'il Lui a plu de dérober à notre connaissance, et plutôt Il nous en accordera la découverte par Son divin esprit.

Mon père ne m'a pas parlé du prétendant, mais il m'a dit seulement qu'il a reçu une lettre et attendait une visite du prince Basile. Pour ce qui est du projet de mariage qui me regarde, je vous dirai, chère et excellente amie, que le mariage, selon moi, est une institution divine à laquelle il faut se conformer. Quelque pénible que cela soit pour moi, si le Tout-Puissant m'impose jamais les devoirs d'épouse et de mère, je tâcherai de les remplir aussi fidèlement que je le pourrai, sans m'inquiéter de l'examen de mes sentiments à l'égard de celui qu'Il me donnera pour époux. J'ai reçu une lettre de mon frère, qui m'annonce son arrivée à Lyse Góry avec sa femme. Ce sera une joie de courte durée, puisqu'il nous quitte pour prendre part à cette malheureuse guerre, à laquelle nous sommes entraînés Dieu sait comment et pourquoi. Non seulement chez vous au centre des affaires et du monde – de on ne parle que de guerre, mais ici, au milieu de ces travaux champêtres et de ce calme de la nature que les citadins se représentent ordinairement à la campagne, les bruits de la guerre se font entendre et sentir péniblement. Mon père ne parle que marche et contremarche, choses auxquelles je ne comprends rien; et avant-hier en faisant ma promenade habituelle dans la rue du village, je fus témoin d'une scène déchirante... C'était un convoi des recrues enrôlés chez nous et expédiés pour l'armée... Il fallait voir l'état dans lequel se trouvaient les mères, les femmes, les enfants des hommes qui partaient et entendre les sanglots des uns et des autres! On dirait que l'humanité a oublié les lois de son divin Sauveur, qui prêchait l'amour et le pardon des offenses, et qu'elle fait consister son plus grand mérite dans l'art de s'entre-tuer.

Adieu, chère et bonne amie, que notre divin Sauveur et Sa très Sainte Mère vous aient en Leur sainte et puis saine garde.

Marie

– Ah, vous expédiez le courrier, princesse, moi, j'ai déjà expédié le mien. J'ai écrit à ma pauvre mère<sup>182</sup> – mówiała szybko miłym, soczystym głosem uśmiechnięta m-lle Bourienne, gardłowo wymawiając „r” i wnosząc w skupiony, smętny i chmurny świat księżniczki Marii całkiem inny świat – lekkomyślności, wesołości i zadowolenia z siebie.

– Princesse, il faut que je vous prévienne – dodała zniżonym głosem. – Le prince a eu une altercation (altercation powiedziała grasejując specjalnie i z ukontentowaniem przysłuchując się sobie) – une altercation avec Michel Ivanoff.

Il est de très mauvaise humeur, très morose. Soyez prévenue vous savez...<sup>183</sup>

– Ah! chère amie – odrzekła księżniczka Maria – je vous ai priée de ne jamais me prévenir de l'humeur dans laquelle se trouve mon père. Je ne me permets pas de le juger et je ne voudrais pas que les autres le fassent<sup>184</sup>

Księżniczka spojrzała na zegar, a gdy spostrzegła, że straciła już pięć minut z czasu przeznaczonego na grę na klawikordzie, z przestraszoną miną weszła do bawialni. Zgodnie z ustanowionym porządkiem dnia, między godziną dwunastą a drugą książkę odpoczywał, a księżniczka grała na klawikordzie.

<sup>182</sup> Ach, księżniczka wysłała list, a ja swój już wysłałam. Pisałam do mej biednej matki.

<sup>183</sup> Muszę uprzedzić księżniczkę... książkę zwymyślał Michała Iwanowicza. Jest w bardzo złym humorze, bardzo ponury. Uprzedzam, bo wie pani...

<sup>184</sup> Ach, moja droga przyjaciółko... jużem panią prosiła nigdy nie uprzedzać mnie, w jakim humorze jest mój ojciec. Nie pozwałam sobie sądzić go i nie chciałyby, by inni to robili.

## XXIII

Siwy kamerdyner drzemiąc przysłuchiwał się chrapaniu księcia w ogromnym gabinecie. Z dalszej części domu, spoza zamkniętych drzwi, słychać było po raz dwudziesty powtarzane trudne pasaże sonaty Dusseka.

Wtem przed ganek zajęchała kareta i bryczka. Z karety wysiadł książę Andrzej, zсадził swą malutką żonę i puścił ją przed sobą. Siwy Tichon, w peruce, wychylił się zza drzwi pokoju przyjąć, zameldował szeptem, iż książę odpoczywa, i z pośpiechem zamknął drzwi. Tichon wiedział, że ani przyjazd syna, ani żadne inne niezwykle zdarzenia nie powinny narużyć porządku dnia. Książę Andrzej wiedział o tym równie dobrze jak Tichon; spojrzął na zegarek, jak gdyby chcąc się przekonać, czy przez ten czas, gdy nie widział ojca, nie zmienił on swych przyzwyczajzeń, a gdy się przekonał, że przyzwyczajenia nie uległy zmianie, zwrócił się do żony:

– Za dwadzieścia minut wstanie. Chodźmy do księżniczki Marii.

Mała księżna przytyła przez ten czas, ale oczy i krótka warga z wąsikami i uśmiechem wznosiły się równie wesoło i miło, kiedy księżna zaczynała mówić.

– *Mais c'est un palais!* – rzekła do męża rozglądając się wokół z wyrazem twarzy takim, jakby chwaliła gospodarza balu. – *Allons, vite, vite!*...<sup>185</sup> – Rozglądając się, uśmiechała się do Tichona, do męża i do służącego, który ich prowadził.

– *C'est Marie qui s'exerce? Allons doucement, il faut la surprendre.*<sup>186</sup>

Książę Andrzej szedł za nią – z wyrazem smętnej uprzejmości.

– Postarzałeś się, Tichonie – rzekł przechodząc obok starego, który całował go w rękę.

Z bocznych drzwi, obok pokoju, z którego dochodziły dźwięki klawikordu, wypadła Francuzka – ładniutka blondyneczka.

M-lle Bourienne nie posiadała się z zachwyty.

– *Ah, quel bonheur pour la princesse!* – zaczęła mówić.

– *Enfin! Faut que je la prévienne.*<sup>187</sup>

– *Non, non, de grâce... Vous êtes m-lle Bourienne, jej vous connais déjà par l'amitié que vous porte ma belle soeur*

– mówiła księżna całując się z nią. – *Elle ne nous attend pas!*<sup>188</sup>

Zbliżyli się do drzwi bawialni, z której słychać było raz po raz powtarzany pasaż. Książę Andrzej przystanął i skrzywił się, jakby w oczekiwaniu czegoś niemiłego.

Księżna weszła. Pasaż urwał się w połowie; rozległ się okrzyk, ciężkie stąpanie księżniczki Marii i odgłosy pocałunków. Kiedy wszedł książę Andrzej, księżniczka i księżna, które się widziały raz tylko i krótko – w czasie wesela księcia Andrzeja, obejmowały się i mocno przyciskały usta do tych miejsc, na które trafiły w pierwszej chwili. M-lle Bourienne stała przy nich z dłońmi przyciśniętymi do serca i nabożnym uśmiechem, widać było, że równie jest

<sup>185</sup> Ależ to pałac!... No, prędzej, prędzej!...

<sup>186</sup> To Maria ćwiczy? Chodźmy cichutko, trzeba ją zaskoczyć.

<sup>187</sup> Ach, co za szczęście dla księżniczki!... Nareszcie! Muszę ją uprzedzić.

<sup>188</sup> Nie, bardzo proszę, nie... Pani jest m-lle Bourienne, już znam panią dzięki przyjaźni, jaką żywi dla niej moja szwagierka... Ona się nas nie spodziewa!

gotowa zaraz się rozplakać czy roześmiać. Książę Andrzej wzruszył ramionami i skrzywił się, jak krzywią się miłośnicy muzyki, kiedy usłyszą fałszywą nutę. Kobiety odstały od siebie, potem znowu, jakby w obawie, że się spóźnią, pochwyciły się za ręce, zaczęły się całować, puściły ręce, potem znowu zaczęły całować się po twarzach, i wreszcie, całkiem dla księcia niespodzianie, obie się popłakały i znowu się zaczęły całować. M-lle Bourienne też się rozplakała. Książę Andrzej najwidoczniej czuł się nieswojo; lecz obu kobietom wydawało się to całkiem naturalne, że płaczą; zdawało się, że nawet nie przypuszczały, by ich spotkanie mogło się odbyć inaczej.

– *Ah! chère!... Ah! Marie!...* – zawołały obie kobiety naraz i roześmiały się. – *J'ai rêvé cette nuit... – Vous ne nous attendiez donc pas?... Ah! Marie, vous avez maigri...*

– *Et vous avez repris...*<sup>189</sup>

– *J'ai tout de suite reconnu madame la princesse*<sup>190</sup>

– wtrąciła m-lle Bourienne.

– *Et moi, qui ne me doutais pas!...* – mówiła księżniczka Maria. – *Ah! André, je ne vous voyais pas.*<sup>191</sup>

Książę Andrzej i siostra ucałowali się ująwszy się za ręce. Książę powiedział siostrze, że jest taka sama *pleurnicheuse*<sup>192</sup> jak zawsze. Księżniczka Maria zwróciła się do brata: kochające, ciepłe, łagodne poprzez łzy spojrzenie jej pięknych w tej chwili, wielkich promiennych oczu spoczęło na jego twarzy.

Księżna mówiła bez przerwy. Krótka górna warga z wąsikami ciągle opadała na moment w dół, dotykała, gdzie należało, rumianej wargi dolnej i znowu odsłaniał się uśmiech lśniący zębami i oczyma. Księżna opowiadała o wypadku, który im się przytrafił na Górze Spaskiej, bardzo niebezpiecznym w jej stanie, i zaraz potem oznajmiła, że wszystkie suknie zostawiła w Petersburgu i Bóg wie, w czym tutaj będzie chodzić, że Andrzej całkiem się odmienił, że Kitty Odyncow wyszła za mąż za starca i że dla księżniczki Marii znaleziono narzeczonego *pour tout de bon*<sup>193</sup>, ale o tym porozmawia się później. Księżniczka Maria wciąż jeszcze milcząc patrzyła na brata, a w jej pięknych oczach była miłość i smutek. Widać było, że myśli jej toczyły się swoją koleją, niezależnie od słów bratowej. Wśród opowiadania księżny o ostatniej zabawie w Petersburgu księżniczka zwróciła się do brata:

– Więc stanowczo idziesz na wojnę, André? – rzekła z westchnieniem.

Liza również westchnęła.

– Nawet jutro – odpowiedział brat.

– *Il m'abandonne ici, et Dieu sait pourquoi, quand il aurait pu avoir de l'avancement...*<sup>194</sup>

Księżniczka Maria nie dosłuchała, snując nic swych myśli, zwróciła się do bratowej i tkliwym spojrzeniem wskazała na jej brzuch:

– Na pewno? – zapytała.

Twarz księżny zmieniła się. Westchnęła.

– Tak, na pewno – odrzekła. – Ach, jakie to straszne... Warga Lizy opadła. Zbliżyła twarz do twarzy szwagierki i całkiem niespodzianie znowu się rozplakała.

– Powinna odpocząć – oświadczył książę Andrzej krzywiąc się. – Prawda, Lizo? Zaprowadź ją do siebie, a ja pójdę do papy. Ciągle taki sam?

– Taki sam, taki sam; nie wiem, jaki tobie się wyda – odrzekła księżniczka radośnie.

<sup>189</sup> Ach! moja droga!... Ach! Mario!... Śniło mi się dzisiaj... – Więc się nas nic spodziewałaś?... Aleś schudła, Mario... – A ty przytyłaś.

<sup>190</sup> Od razu poznałam księżnę.

<sup>191</sup> A ja się nawet nie domyślałam!... Ach, Andrzeju, nie widziałam cię.

<sup>192</sup> płaksa

<sup>193</sup> na poważnie

<sup>194</sup> Porzucą mnie tutaj, Bóg wie dlaczego, a tymczasem mógłby dostać awans...

– I zawsze te same godziny i spacery po alejkach? Tokarka? – wypytywał ksiązę Andrzej z ledwie dostrzegalnym uśmiechem, oznaczającym, że mimo całej miłości i uszanowania dla ojca zdawał sobie sprawę z jego słabostek.

– Te same godziny i tokarka, i jeszcze matematyka, i lekcje geometrii ze mną – odpowiadała wesoło księżniczka Maria, jak gdyby lekcje geometrii należały do najmilszych wrażeń w jej życiu.

Kiedy minęło te dwadzieścia minut, które pozostawały do chwili przebudzenia się starego księcia, przyszedł Tichon prosząc młodego księcia do ojca. Chcąc uczcić przyjazd syna starzec zrobił wyjątek w swym trybie życia: kazał wpuścić młodego księcia do siebie w czasie przedobiedniej toalety. Ksiązę nosił się wedle starej mody – chodził w mundurze, w pudrowanej peruce. Gdy ksiązę Andrzej wchodził do ojca (nie z tym mrukliwym wyrazem twarzy i manierami, jakie przybierał w salonach, ale z twarzą ożywioną, jaką miewał rozmawiając z Pierre'em), starzec siedział przy gotowalni, w szerokim fotelu obitym safianem, w puderman-tlu, powierzywszy swą głowę rękóm Tichona.

– O, wojak! Bonaparta chcesz zwojować? – rzekł starzec i potrząsnął głową, o ile mu na to pozwalał harcap, który Tichon spletał trzymając w rękach. – Weź choć ty się do niego ostro, bo niedługo i nas przypisze do swych poddanych... Jak się masz! – I nadstawił policzek.

Po przedobiednim śnie stary był w dobrym usposobieniu. (Mawiał, że sen po obiedzie to srebro, a przed obiadem – złoto.) Zerkał na syna radośnie spod gęstych, nawisłych brwi. Ksiązę Andrzej zbliżył się i pocałował ojca we wskazane mu miejsce. Nie podjął ulubionego tematu rozmów ojcowskich – kpiny ze współczesnych wojskowych, a szczególnie z Bonapartego.

– Ano, przyjechałem, papo, i w dodatku z żoną przy nadziei – rzekł ksiązę Andrzej, oczyma pełnymi ożywienia i szacunku obserwował każdy ruch twarzy ojca. – Jak zdrowie papy?

– Tylko głupcom i rozpustnikom braknie zdrowia, a ty mnie znasz: od rana do wieczora zajęty, żyję w umiarkowaniu, więc i zdrów.

– Dzięki Bogu – rzekł syn uśmiechając się.

– Bóg nie ma nic do tego. No, opowiadaj – ciągnął dosiadając swego ulubionego konika – jak was Niemcy nauczyli walczyć z Bonapartem, wedle tej nowej waszej nauki, co ją zwą strategią.

Ksiązę Andrzej uśmiechnął się.

– Pozwól mi, ojcze, oprzytomnieć – rzekł z uśmiechem, który świadczył, że słabostki ojca nie przeszkadzają mu szanować go i kochać. – Przecie się jeszcze nie zadomowiłem.

– Łzesz, łzesz! – krzyknął stary wstrząsając harcapem, żeby się przekonać, czy mocno zapleciony, i chwycił syna za rękę. – Dom dla twojej żony gotów. Księżniczka Maria oprowadzi ją i nagada całą furę. Ich babska sprawa. Rad ją widzę. Siadaj i opowiadaj. Armię Michelsona rozumiem, Tołstoja również... jednoczesne lądowanie... Ale co będzie robić armia południowa? Prusy neutralne... to wiem. A co Austria? – mówił wstawszy z fotela i chodząc po gotowalni, a za nim biegał Tichon podając różne części ubrania. – A co Szwecja? Jak przejdą Pomo-  
morze?

Widząc nieustępliwość ojca, z początku niechętnie, lecz potem z wzrastającym ożywieniem ksiązę Andrzej jął wykladać plan operacyjny przewidywanej kampanii, podczas rozmowy przechodząc mimo woli z języka rosyjskiego na francuski. Opowiadał, że dziewięćdziesięcioletnia armia ma zagrozić Prusom, by wyrwać je ze stanu neutralności i wciągnąć do wojny, że część tych wojsk ma połączyć się w Stralsundzie z wojskami szwedzkimi, że dwieście dwadzieścia tysięcy Austriaków wraz ze stu tysiącami Rosjan ma działać we Włoszech i nad Renem i że pięćdziesiąt tysięcy Rosjan i pięćdziesiąt tysięcy Anglików wyląduje w Neapolu, tak iż w rezultacie pięćsettyśięcna armia powinna zaatakować Francuzów z różnych stron. Podczas tej opowieści stary ksiązę nie okazał najmniejszego zainteresowania, jakby nie

śluchał: nadal ubierał się chodząc, po trzykroć przerywał niespodzianie. Raz przerwał i krzyknął:

– Białą, białą!

To znaczyło, że Tichon podał mu nie tę kamizelkę, którą książę sobie życzył. Za drugim razem przerwał mu zapytaniem:

– A prędko ona rodzi? – Pokiwał głową z wyrzutem i oświadczył: – Niedobrze! Mów dalej, mów.

Za trzecim razem, gdy książę Andrzej skończył opis kampanii, starzec zaśpiewał, fałszując, starczym głosem: „*Malbrough s'en va-t-en guerre. Dieu sait quand reviendra.*”<sup>195</sup>

Syn tylko się uśmiechnął.

– Nie mówię, że to jest plan, który pochwalam – rzekł. – Opowiedziałem tylko ojcu, co i jak. Napoleon już opracował swój plan, i bynajmniej nie gorszy.

– Ano, nie powiedziałeś mi nic nowego. – I stary w zamyśleniu powtórzył sobie szybko: – *Dieu sait quand reviendra.* Idź do jadalni.

---

<sup>195</sup> Malbrough idzie na wojnę, Bóg wie, kiedy powróci. Cytat z francuskiej piosenki o Malboroughu (diuk de Malborough, generał angielski), która, jak chcą jedni, powstała w r. 1772, w roku śmierci generała, czy też w r. 1709, gdy sądzono, że Malborough zginął w bitwie pod Malplaquet. Treścią piosenki jest m. in., że wielki generał wyruszył na wojnę, ale już z niej nie wróci.



## XXIV

W oznaczonej godzinie książę, w pudrowanej peruce i ogolony, wszedł do jadalni, gdzie czekała na niego synowa, księżniczka Maria, m-lle Bourienne i architekt księcia, dziwnym jego kaprysem dopuszczany do stołu, choć człowiek tak niskiej kondycji żadną miarą nie mógł liczyć na taki honor. Książę, który w życiu przestrzegał stanowczo różnicy stanów i rzadko dopuszczał do stołu nawet wyższych urzędników z guberni, nagle na przykładzie architekta Michała Iwanowicza, który w kącie siąkał nosem w kraciatą chustkę, demonstrował, że wszyscy ludzie są sobie równi, i nieraz przekonywał swą córkę, że Michał Iwanowicz niczym nie jest gorszy niż ty i ja. Przy stole książę najczęściej zwracał się do milczącego Michała Iwanowicza.

W jadalni, olbrzymiej i wysokiej jak wszystkie pokoje w tym domu, czekali na księcia domownicy i lokaje, stojący za każdym krzesłem, ochmistrz, z serwetką w rękę, spoglądał na zastawę, mrugał na lokajów i ciągle rzucał niespokojne spojrzenie to na zegar ścienny, to na drzwi, w których miał się ukazać książę. Książę Andrzej patrzył na nową dla niego, ogromną, złotą ramę, w której znajdowało się drzewo genealogiczne książąt Bołkońskich, wiszące naprzeciwko równie wielkiej ramy z kiepsko zrobionym (prawdopodobnie ręką domowego malarza) wizerunkiem udzielnego księcia w koronie, który ponoć pochodził od Ruryka i był założycielem rodu Bołkońskich. Patrząc na to drzewo genealogiczne książę Andrzej pokiwał głową i uśmiechał się z taką miną, z jaką oglądamy portret podobny aż do śmieszności.

– Jakże go w tym całego poznaję! – rzekł do księżniczki Marii, która do niego podeszła.

Księżniczka Maria spojrzała na brata ze zdziwieniem. Nie rozumiała, czemu się uśmiecha. Wszystko, co czynił jej ojciec, wzbudzało w niej nabożne poszanowanie, nie podlegające dyskusji.

– Każdy ma swą piętę Achillesową – ciągnął książę Andrzej. – Z jego ogromnym rozumem *donner dans ce ridicule!*<sup>196</sup>

Księżniczka Maria nie mogła pojąć śmiałości sądów brata i już gotowała się, by mu zaprzeczyć, kiedy z gabinetu rozległy się oczekiwane kroki: książę wszedł szybko i żwawo – tak chodził zawsze, jak gdyby rozmyślnie chciał swym ruchliwym zachowaniem stworzyć przeciwieństwo do surowego ceremoniału domu. W tej samej chwili duży zegar wybił drugą, zegar w salonie również odezwał się ciekawym głosikiem. Książę przystanął, ożywione, błyszczące surowe oczy spojrzały na wszystkich spod gęstych nawisłych brwi i zatrzymały się na młodej księżnie. Młoda księżna doznawała w tej chwili uczucia, jakiego doznają dworacy przy wejściu monarchy: to samo uczucie lęku i szacunku, jaki wzbudzał ów starzec w swych bliskich. Poglaskał księżnę po głowie, po czym niezręcznym ruchem poklepał po karku.

– Cieszę się, cieszę się – oświadczył, a zajrzawszy jeszcze badawczo jej w oczy, odszedł prędko i siadł na swym miejscu. – Siadajcie, siadajcie! Michale Iwanowiczu, proszę siadać!

Synowej wskazał miejsce obok siebie. Lokaj podsunął dla niej krzesło.

– Ho, ho! – rzekł starzec przyglądając się jej zaokrąglonej postaci. – Pośpieszyłaś się, pani, to niedobrze!

---

<sup>196</sup> Brać na serio te głupstwa!

Zaśmiał się oschle, zimno, nieprzyjemnie, zawsze tak się śmiał, samymi tylko ustami, a nie oczami.

– Trzeba chodzić, jak najwięcej chodzić, ile się da – powiedział.

Mała księżna nie słyszała czy też nie chciała słyszeć jego słów. Milczała i wydawała się zmieszana. Książę zapytał ją o ojca, księżna zaczęła mówić i uśmiechnęła się. Zapytał ją o wspólnych znajomych: księżna jeszcze bardziej się ożywiła i zaczęła opowiadać, przekazując księciu ukłony i plotki stołeczne.

– *La comtesse Apraksine, la pauvre, a perdu son mari et elle a pleuré les larmes de ses yeux*<sup>197</sup> – mówiła coraz bardziej się ożywiając.

W miarę jak księżna się ożywiła, książę coraz ostrzej patrzył na nią. I nagle – jakby już ją dość wybadał i stworzył sobie o niej jasny sąd – odwrócił się od niej do Michała Iwanowicza.

– No cóż, Michale Iwanowiczu, nasz Bonaparte znalazł się w opałach. Opowiadał mi książę Andrzej (zawsze mówił o synu w trzeciej osobie), jakie wielkie siły ruszają na niego! A myśmy zawsze go uważali za człeka mialkiego.

Michał Iwanowicz stanowczo nie wiedział, kiedy to „myśmy” mówili w ten sposób o Bonapartem, ale rozumiejąc, że jest potrzebny do rozpoczęcia ulubionej rozmowy, spojrzał na młodego księcia ze zdziwieniem, nie wiedząc, co z tego wyniknie.

– To mój wielki taktyk! – rzekł książę do syna, wskazując na architekta.

I rozmowa znowu zesłała na wojnę, na Bonapartego i na terażniejszych generałów i mężów stanu. Zdawało się, że stary książę był nie tylko przekonany, że działacze współcześni są młokosami, absolutnie nie znającymi się na sprawach wojny i państwa, ale że i Bonaparte był nic nie znaczącym Francuzikiem, który tylko dlatego odnosi sukcesy, że już nie stało Potiomkinów i Suworowów, by mu ich przeciwstawić, książę był nawet przekonany, że w Europie nie ma żadnych komplikacji politycznych, nawet nie ma wojny, ale jakaś tam marionetkowa komedia, którą odgrywają ludzie współcześni udając, że robią poważne rzeczy. Książę Andrzej wesoło znosił naigrawanie się ojca z nowych ludzi i z wyraźną uciechą wyciągał ojca na rozmowę i przysłuchiwał mu się.

– Wszystko, co było przedtem, zdaje się dobre – oświadczył – ale czy tenże Suworow nie wpadł w sidła, które na niego zastawił Moreau, i nie mógł się z nich wyplątać?

– Kto ci to powiedział? Kto powiedział? – krzyknął książę. – Suworow! – i rzucił talerz, który Tichon szybko pochwyił. – Suworow! Pomyślmy, książę Andrzeju. Dwaj: Fryderyk i Suworow... Moreau! Moreau znalazłby się w niewoli, gdyby Suworow miał wolne ręce; ale trzymali go za ręce hofs-kriegs-wurstschnapsraty. Diabła zje, kto da rady. Sam teraz ich zobaczysz! Suworow nie mógł dać sobie z nimi rady, a cóż dopiero mówić o Michale Kutuzowie! Nie, kochasiu – ciągnął – ze swoimi generałami nie dacie rady Bonapartemu; należy tak Francuzów zażyć, niech się zabawią w ślepą babkę i swoi swoich pobiją. Niemca Pahlana posyłali do Nowego Jorku, do Ameryki, po Francuza Moreau – rzekł robiąc aluzję do propozycji, jaką w tym roku zrobiono Moreau, by wstąpił do wojska rosyjskiego. – Cudeńka!!! A czy to Potiomkinowie, Suworowowie, Orłowowie byli Niemcami? Nie, bracie, alboście wy tam wszyscy powariowali, albowm ja zbzikował. Daj wam Boże, a my zobaczymy. Bonaparte jest dla nich wielkim wodzem! Hm!

– Ja przecież nie mówię, aby wszystkie dyspozycje były dobre – odezwał się książę Andrzej. – Tylko nie mogę pojąć, jak ojciec może tak sądzić o Bonapartem. Śmieję się, ojcze, jeśli wola, ale Bonaparte jest mimo wszystko wielkim wodzem!

– Michajło Iwanowiczu! – krzyknął stary książę do architekta, który, zajęty pieczystym, miał nadzieję, że o nim zapomniano. – Mówiłem ci przecie, że Bonaparte to wielki taktyk? On też tak powiada.

– A jakże, jasnie oświecony panie – odparł architekt. Książę znowu się zaśmiał swym zimnym śmiechem.

---

<sup>197</sup> Biedna hrabina Apraksin straciła męża, oczy wypląkała.

– Bonaparte w czepku się urodził. Ma wspaniałych żołnierzy. No i trafił najpierw na Niemców. A Niemców nie bił tylko ten, kto się lenił. Jak świat światem wszyscy Niemców biją. A oni nikogo, tylko między sobą. Bonaparte na Niemcach zdobył sławę.

I księżę jął roztrząsać wszystkie błędy, jakie wedle jego pojęć popełniał Bonaparte we wszystkich swych wojnach, a nawet w sprawach państwowych. Syn nie oponował, ale było widoczne, że jakiegokolwiek dowody by mu przedstawiano, jest on równie jak stary księżę mało skłonny do zmiany swych poglądów. Księżę Andrzej słuchał, wstrzymywał się od wyrażania sprzeciwu, mimo woli dziwiąc się, jak ów stary człowiek – sam siedzący na wsi kamieniem tyle lat, mógł tak dokładnie i szczegółowo znać i oceniać wojenne i polityczne sprawy Europy w ostatnich latach.

– Sądziysz, że ja, stary, nie rozumiem rzeczywistej sytuacji? – zakończył. – A ja mam tego potąd! Po nocach nie sypiam. A gdzie ten twój wielki wódz, czym się on wykazał?

– Dużo by o tym mówić – odpowiedział syn.

– Idź więc do tego swojego Buonaparta. *M-Ile Bourienne voilà encore un admirateur de votre goujat d'empereur!*<sup>198</sup> – zawołał doskonałą francuszczyzną.

– *Vous savez, que je ne suis pas bonapartiste, mon prince.*<sup>199</sup>

– „*Dieu sait quand reviendra!*...”<sup>200</sup> zaśpiewał księżę fałszywie, zaśmiał się jeszcze fałszywiej i wstał od stołu.

Mała księżna przez cały czas sporu i aż do końca obiadu milczała i z lękiem spoglądała to na księżniczkę Marię, to na teścia. Kiedy wstano od stołu, wzięła szwagierkę za rękę i wyszła z nią do drugiego pokoju.

– *Comme c'est un homme d'esprit, votre père* – oświadczyła – *c'est à cause de cela peut-être qu'il me fait peur.*<sup>201</sup>

– Ach, on jest taki dobry – odrzekła księżniczka.

---

<sup>198</sup> M-Ile Bourienne, oto jeszcze jeden wielbiciel waszego gbura cesarza!

<sup>199</sup> Księżę przecie wie, że nie jestem bonapartystką.

<sup>200</sup> Bóg wie, kiedy powróci...

<sup>201</sup> Jaki to mądry człowiek, twój ojciec... pewno dlatego tak się go boję.

## XXV

Książę Andrzej wyjeżdżał nazajutrz wieczorem. Stary książę – nie odstępując od ustalonego trybu – po obiedzie udał się do siebie. Mała księżna była u szwagierki. Książę Andrzej włożył podróżny surdut bez epoletów i – przy pomocy swego kamerdynera – pakował się w pokojach, które zostały dla niego przeznaczone. Sam zlustrował bryczkę i dojrzał ułożenia kufków, po czym kazał zaprzęgać. W pokoju pozostały tylko te rzeczy, które książę Andrzej zawsze zabierał ze sobą: puzdro, duża srebrna kantynka, dwa pistolety tureckie i szabla, podarunek ojca, przywieziony spod Oczakowa.<sup>202</sup>

Te wszystkie przybory podróżne książę Andrzej utrzymywał w wielkim porządku: wszystko było nowe, czyste, w sukienkach pokrowcach, starannie związane tasiemkami.

W chwilach wyjazdu i zmian życiowych ludzi zdolnych do przemyślenia swych postępów opadają zazwyczaj poważne myśli. Zazwyczaj w takich chwilach sporządza się obrachunek przeszłości i snuje plany na przyszłość. Twarz księcia miała wyraz zamyślenia i tklivosti. Założywszy ręce do tyłu, szybko chodził po pokoju z kąta w kąt, patrzył przed siebie i w zamyśleniu kiwał głową. Czy to zdejmował go lęk przed pójściem na wojnę, czy to żal mu było opuszczać żonę – może jedno i drugie, ale najwidoczniej nie życzył sobie, by go widziano w takim stanie, bo kiedy usłyszał kroki w korytarzu, pośpiesznie zwolnił ręce, zatrzymał się przy stole, jak gdyby naciągając pokrowiec na puzdro, i przybrał swój zwykły wyraz – spokojny i nieprzenikniony. Były to ciężkie kroki księżniczki Marii.

– Powiedziano mi, żeś kazał zaprzęgać – rzekła zdyszana (najwidoczniej biegła). A tak bym pragnęła porozmawiać z tobą na osobności. Bóg wie, na jak długo znowu się rozstajemy. Nie gniewasz się, że przysłała? Bardzo się zmienił, Andriusza – dodała, jak gdyby tłumacząc to pytanie.

Uśmiechnęła się mówiąc „Andriusza”. Widać jej samej dziwno było myśleć, iż ten surowy, piękny mężczyzna to właśnie Andriusza – chudy, psotny chłopiec, towarzysz jej dzieciństwa.

– A gdzie Lise? – zapytał, tylko uśmiechem odpowiadając na jej pytanie.

– Tak się zmęczyła, że usnęła w moim pokoju na sofie. Ach, André/ *Quel trésor de femme vous avez*<sup>203</sup> – rzekła i usiadła na sofie naprzeciwko brata. – To jeszcze zupełne dziecko, takie miłe, wesołe dziecko. Takem ją pokochała.

Książę Andrzej milczał, jednak księżniczka zauważyła wyraz ironiczny i wzgardliwy, jaki się zjawiał na jego twarzy.

– Ale trzeba być pobłażliwym dla słabostek, któż ich nie ma, André! Nie zapominaj, że ona została wychowana i wyrosła w wielkim świecie. A poza tym jej obecna sytuacja nie przedstawia się różowo. Trzeba wchodzić w położenie każdego. *Tout comprendre, c'est tout pardonner.*<sup>204</sup> Pomyśl tylko, jak ona, niebożę, czuje się opuściwszy życie, do którego przywykła, zmuszona do rozstania się z mężem i do pobytu na wsi, w dodatku będąc w takim stanie? To bardzo ciężko.

<sup>202</sup> Twierdza ta była zdobyta przez wojska rosyjskie w wojnie z Turcją w r. 1788.

<sup>203</sup> Twoja żona to prawdziwy skarb.

<sup>204</sup> Wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć.

Patrząc na siostrę księżę Andrzej uśmiechał się, tak się uśmiechamy, kiedy słuchamy ludzi, których, jak nam się zdaje, widzimy na wskroś.

– Ty mieszkasz na wsi i nie uważasz tego życia za straszne – oświadczył.

– Ja to co innego. Cóż tu o mnie mówić! Nie pragnę innego życia, zresztą, nie mogę pragnąć, bo nie znam innego życia. Pomyśl, André, co to znaczy dla młodej, światowej kobiety zagrzebać się na wsi w najlepszych latach życia, samej, bo ojczulek jest zawsze zajęty, a ja... znasz mnie... wiesz, ja jestem nie dość bogata *en ressources*<sup>205</sup> dla kogoś, kto nawykł do najlepszego towarzystwa. Tylko m-lle Bourienne...

– Ta wasza Bourienne bardzo mi się nie podoba – rzekł księżę Andrzej.

– Nie mów tak! To bardzo miła i dobra dziewczyna, a najważniejsze – godna litości. Nikogo nie ma, nikogo. Prawdę mówiąc, nie tylko że nie jest mi potrzebna, ale mnie krępuje. Wiesz, zawsze byłam dzikuska, a teraz jeszcze bardziej! Lubię być sama... *Mon père* bardzo ją lubi. Ona i Michał Iwanycz – to dwie osoby, dla których zawsze jest uprzejmy i dobry, dlatego że jest dobrodziejem obojga. Jak Sterne<sup>206</sup> powiada: „Nie tyle kochamy ludzi za dobrodziejstwa, które oni nam wyświadczyli, ile za dobrodziejstwa, któreśmy im wyświadczyli.” *Mon père* wziął ją *sur le pavé*<sup>207</sup>, jako sierotę, ona jest bardzo dobra. *Mon père* bardzo lubi jej sposób czytania. Wieczorami czytuje mu głośno. Bardzo pięknie czyta.

– No, Marie, prawdę mówiąc, myślę, że czasem bywa ci ciężko z powodu charakteru ojca, co? – zapytał nagle księżę Andrzej.

Księżniczka Maria najpierw zdziwiła się tym pytaniem, a potem się przeraziła.

– Mnie?... Mnie?... Mnie ciężko?! – rzekła.

– Zawsze był ostry, a sądzę, że teraz staje się coraz przykrzejszy – rzekł księżę Andrzej widocznie z rozmysłem, żeby tak niedbałym odezwaniem się o ojcu zaskoczyć siostrę bądź ją wybadać.

– Wszystko jest w tobie dobre, Andrzej, lecz masz jakąś pychę myśli – rzekła księżniczka idąc raczej za tokiem swych myśli niż za tokiem rozmowy – to wielki grzech. Czy tak można ojca sądzić? A gdyby nawet i można było, to czyż taki człowiek jak *mon père* może budzić inne uczucie niż *véneration*<sup>208</sup>? Jestem przy nim tak zadowolona i szczęśliwa. Pragnę jedynie, żeby wszyscy byli tak szczęśliwi jak ja.

Brat niedowierzająco pokiwał głową.

– Powiem ci prawdę, André, że tylko jedno mi ciąży – to sposób myślenia ojca w sprawach religii. Nie rozumiem, jak człowiek takiego umysłu może nie widzieć tego, co jest jasne jak dzień, i jak może tak błędzić? To jedno stanowi moje nieszczęście. Ale w ostatnich czasach i tu widzę cię poprawy. W ostatnich czasach jego drwiny są nie tak zjadliwe i jest pewien mnich, z którym się spotykał i długo z nim rozmawiał.

– Cóż, moja kochana, obawiam się, że ty i ten mnich daremnie tracicie czas – rzekł księżę Andrzej żartobliwie, lecz czule.

– *Ah, mon ami.*<sup>209</sup> Modlę się i mam nadzieję, że Bóg mnie wysłucha. André – rzekła nieśmiało po chwili milczenia – mam do ciebie wielką prośbę.

– Jaką, moja droga?

– Przyrzeknij mi, że nie odmówisz. Nie będzie cię to kosztowało żadnego wysiłku, nie będzie to coś niegodnego ciebie. A bardzo mnie ucieszysz. Przyrzeknij – powiedziała wsuwając rękę do torebki i trzymając w niej coś, ale jeszcze nie pokazując, jak gdyby to, co trzymała,

---

<sup>205</sup> W zalety.

<sup>206</sup> Mowa o Wawrzyńcu Sterne (1713–1786), pisarzu angielskim, autorze słynnej *Podróży sentymentalnej*, skąd zapewne cytat.

<sup>207</sup> Z ulicy.

<sup>208</sup> Uwielbienie.

<sup>209</sup> Ach, mój przyjacielu.

stanowiło przedmiot prośby i jak gdyby przed otrzymaniem przyrzeczenia, że on spełni prośbę, nie mogła wyjąć z torebki tego czegoś.

Patrzyła na brata nieśmiało, błagalnie.

– Nawet gdyby mnie to kosztowało wiele wysiłku... – odpowiedział książę Andrzej, jakby domyślając się, o co chodzi.

– Myśl sobie, co chcesz! Wiem, żeś taki sam jak *mon père*. Myśl, co chcesz, ale zrób to dla mnie. Zrób, proszę! To jeszcze ojciec mego ojca, nasz dziadunio, nosił na wszystkich wojnach... – Wciąż jeszcze nie wyjmowała z *ridicule* tego, co trzymała. – Więc przyrzekasz mi?

– Oczywiście, o co chodzi?

– Andre, pobłogosławię cię obrazkiem, a ty przyrzeknij mi, że nigdy go nie zdejmiesz... Przyrzekasz?

– Jeśli nie waży ze dwa pudy i nie obciąży mi szyi... Żeby ci sprawić satysfakcję... – rzekł książę Andrzej, lecz ujrawszy wyraz strapienia na twarzy siostry po jego żarcie, natychmiast poczuł skruchę. – Cieszę się, moja droga, naprawdę bardzo się cieszę – dodał.

– On cię ocali wbrew twojej woli, ulituje się nad tobą i przywiedzie cię do siebie, bo w Nim jedynym jest prawda i ukojenie – rzekła głosem drżącym ze wzruszenia, uroczyście trzymając przed bratem w obu dłoniach owalny staroświecki wizerunek Zbawiciela z czarnym obliczem, w srebrnej szacie, na srebrnym łańcuszku misternej roboty.

Przeżegnała się, pocałowała obrazek i podała go Andrzejowi.

– Bądź tak dobry, André, dla mnie...

W jej dużych oczach lśniły promienie dobrotliwego i nieśmiałego światła. Oczy te rozjaśniały chorowitą, mizerną twarz i czyniły ją piękną. Brat chciał wziąć obrazek, ale go powstrzymała. Andrzej zrozumiał – przeżegnał się i ucałował obrazek. Jego twarz była tkliwa (był wzruszony), a jednocześnie drwiąca.

– *Merci, mon ami.*<sup>210</sup>

Pocałowała go w czoło i znowu siadła na sofie. Milczeli.

– Jak ci już mówiłam, André bądź dobry i wspaniałomyślny, jak byłeś zawsze. Nie sądź Lise surowo – zaczęła. – Ona jest dobra i miła, a teraz znajduje się w ciężkiej sytuacji.

– Zdaje się, Maszo, że ci nic nie mówiłem, abym wyrzucił cokolwiek swej żonie czy był z niej niezadowolony. Po co mi to wszystko mówisz?

Księżniczka Maria poczerwieniała i umilkła, jakby poczuła się winna.

– Ja ci nic nie mówiłem, ale tobie już mówiono. I to jest dla mnie smutne.

Na czole, szyi i policzkach księżniczki Marii jeszcze silniej wystąpiły wypieki. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Brat odgadł: po obiedzie mała księżna płakała, mówiła, że przeczuwa nieszczęśliwy poród, że boi się, skarżyła się na los, na teścia, na męża. Wypłakawszy się zasnęła. Księżciu Andrzejowi zrobiło się żal siostry.

– Wiedz jedno, Maszo, że nic nie mogę zarzucić, nic nie zarzucałem i nic nie będę zarzucał swej żonie, a i sobie nie mam nic do wyrzucenia względem niej; zawsze tak będzie, w jakichkolwiek bym się znalazł okolicznościach. Lecz skoro chcesz wiedzieć prawdę... chcesz wiedzieć, czy jestem szczęśliwy? Nie. Czy ona jest szczęśliwa? Nie. Dlaczego? Nie wiem...

Mówiąc to wstał, zbliżył się do siostry, schylając się pocałował ją w czoło. Jego piękne oczy jaśniały rozumnym i dobrym, niezwykłym u niego blaskiem; patrzył jednak nie na siostrę, ale w ciemność otwartych drzwi, ponad jej głową.

– Chodźmy do niej, trzeba się pożegnać. Albo idź sama, obudź ją, a ja zaraz przyjdę. Pie-trusza! – zawołał na kamerdynera. – Chodź, zabieraj to. To pod siedzenie, a tamto z prawej strony.

Księżniczka Maria wstała i skierowała się ku drzwiom. Przystanąła.

– *André, si vous aviez la foi, vous vous seriez adressé à Dieu, pour qu'il vous donne l'amour, que vous ne sentez pas, et votre prière aurait été exaucée...*<sup>211</sup>

---

<sup>210</sup> Dzięki, przyjacielu.

– Tak, chyba tak! – rzekł książę Andrzej. – Idź, Masza, ja zaraz przyjdę.

Idąc do pokoju siostry, w galerii, łączącej jeden dom z drugim, książę Andrzej spotkał mile uśmiechniętą m-lle Bourienne, którą już po raz trzeci tego dnia spotykał w ustronnych przejściach, z zachwyconym i naiwnym uśmiechem.

– *Ah! je vous croyais chez vous*<sup>212</sup> – oświadczyła poczerwieniawszy nie wiadomo czemu i spuściła oczy.

Książę Andrzej popatrzył na nią surowo. Na jego twarzy zjawiała się nagle zawziętość. Nic jej nie odpowiedział, ale spojrzął na jej czoło i włosy, nie patrząc w oczy, tak wzgardliwie, że Francuzeczka zarumieniła się i poszła nie rzekłszy ani słowa. Kiedy zbliżył się do pokoju siostry, księżna już nie spała, z otwartych drzwi dobiegał jej wesoły głosik, a słowa gonily jedno za drugim. Mówiła, jak gdyby po długiej wstrzemięźliwości chciała sobie wynagrodzić stracony czas.

– *Non, mais figurez-vous la vieille comtesse Zouboff avec de fausses boucles et la bouche pleine de fausses dents, comme si elle voulait défier les années...*<sup>213</sup> Cha! Cha! Cha! Marie!

Akurat to samo zdanie o hrabinie Zubow i taki sam śmiech żony książę Andrzej słyszał już z pięć razy przy osobach obcych. Wszedł cicho do pokoju. Księżna, grubiotka, rumiana, z robótką w rękach, siedziała w fotelu i mówiła bezustannie, nicując wspomnienia petersburskie, a nawet pojedyncze frazesy. Książę Andrzej zbliżył się, pogłaskał ją po głowie i zapytał, czy już wypoczęła po podróży. Odpowiedziawszy mu, ciągnęła dalej rozmowę.

Poszóstna kolaska stała przed gankiem. Na dworze była ciemna noc jesienna. Stangret nie widział dyszla kolaski. Na ganku krzatali się ludzie z latarniami. Wielki dom płonął światłami poprzez swe duże okna. W sieniach tłoczyła się służba dworska, by pożegnać młodego księcia, w salonie zebrali się wszyscy domownicy: Michał Iwanowicz, m-lle Bourienne, księżniczka Maria i księżna. Książę Andrzej został wezwany do ojca, który chciał się z nim pożegnać w cztery oczy. Wszyscy czekali na ich wyjście.

Kiedy książę Andrzej wszedł do gabinetu, stary książę siedział przy biurku i pisał w swych starczych okularach, w białym szlafroku, w którym nikogo nie przyjmował prócz syna. Obejrzał się.

– Wyjeżdżasz? – i znowu zaczął pisać.

– Przyszedłem się pożegnać.

– Pocałuj tutaj – pokazał na policzek. – Dziękuję ci, dziękuję!

– Za co mi, ojczu, dziękujesz?

– Za to, że nie zwlekasz, że się nie trzymasz babskiej kiecki. Służba przede wszystkim. Dziękuję ci, dziękuję!

– I dalej pisał, aż pryskał atrament ze skrzypiącego pióra.

– Jeśli masz coś do powiedzenia, mów. Te dwie rzeczy mogę robić razem – dodał.

– O żonie... I tak mi przykro, że ojca nią obarczam...

– Czemu bajesz? Mów, co trzeba.

– Kiedy żona będzie miała rodzić, pošlij, ojczu, do Moskwy po akuszera... Żeby tutaj był.

Stary książę zatrzymał się i spojrzął na syna surowymi oczyma, jakby nie rozumiał.

– Wiem, że nikt pomóc nie może, jeśli natura nie pomoże – mówił książę Andrzej, wyraźnie zmieszany.

– Zgadzam się, że na milion wypadków jeden bywa nieszczęśliwy, ale to jej i moje urojenie. Naopowiadano jej, miała sen, więc boi się.

– Hm... hm... – wymamrotał do siebie stary książę i dalej pisał. – Zrobię to.

---

<sup>211</sup> Gdybyś miał wiarę, André, modliłbyś się, aby Bóg zesłał ci miłość, której nie czujesz, i modlitwa twoja została wysłuchana...

<sup>212</sup> Myślałam, że książę jest u siebie.

<sup>213</sup> Nie, wyobraź sobie, stara hrabina Zubow ze sztucznymi lokami, z ustami pełnymi sztucznych zębów, jakby kpila sobie z lat...

Skreślił podpis, nagle odwrócił się szybko do syna i zaśmiał się.

– Marnie, co?

– Z czym marnie, ojczy?

– Żona! – krótko i znacząco odpowiedział stary książę.

– Nie rozumiem – oświadczył książę Andrzej.

– Ale nie ma rady, kochasiu – powiedział książę. – One wszystkie takie, nie odzenisz się. Nie obawiaj się, nikomu nic nie powiem, a ty sam wiesz.

Ujął go za rękę swą kościstą malutką dłonią, potrząsnął nią, spojrzął prosto w twarz synowi bystrzymi oczyma, które jak gdyby na wskroś widziały człowieka, i znowu zaśmiał się swym zimnym śmiechem.

Syn westchnął, tym westchnieniem przyznając, że ojciec go rozumiał. Stary w dalszym ciągu składał i pieczętował listy, ze zwykłą sobie szybkością chwytając i odrzucając lak, pieczęć i papier.

– Cóż począć? Ładna! Wszystko zrobię. Bądź spokojny – mówił urywanie, pieczętując listy.

Andrzej milczał: było mu zarazem przyjemnie i nieprzyjemnie, że ojciec go rozumiał. Stary wstał i podał synowi list.

– Słuchaj – rzekł. – O żonę się nie kłopot, co będzie możliwe do zrobienia, zostanie zrobione. Teraz słuchaj: oddaj ten list Michałowi Ilarionowiczowi. Piszę, żeby cię używał w dobrych okazjach i żeby cię nie trzymał długo jako adiutanta: paskudna służba! Powiedz mu, że go pamiętam i kocham, a napisz, jak cię przyjął. Służ mu, jeśli będzie dobry. Syn Mikołaja Andreicza Bołkońskiego nie będzie służył z czyjejś łaski. A teraz chodź no tutaj.

Mówił tak prędko, że połowy słów nie kończył, ale syn nawykł rozumieć go. Zaprowadził syna do kantorka, podniósł blat, wysunął szufladę i wydobyl zeszyt zapisany swym dużym, wydłużonym i zwartym pismem.

– Chyba sążone mi umrzeć wcześniej niż tobie. Wiedz, to są moje zapiski; pamiętaj po mojej śmierci przekazać je monarsze. A teraz tu list zastawny i pismo: nagroda dla tego, kto napisze historię wojen Suworowa. Wysłać do Akademii. A tu moje zapiski, czytaj, a będzie to z korzyścią dla ciebie.

Andrzej nie powiedział, że ojciec będzie z pewnością jeszcze długo żył. Rozumiał, że tego mówić nie należy.

– Wszystko spełnię, ojczy – oświadczył.

– A teraz, żegnaj! – Dał synowi rękę do pocałowania i uściskał go. – Pamiętaj o jednym, książę Andrzej: jeśli cię zabiją, dla mnie, starego, będzie to ból... – Niespodziewanie zamilkł, a nagle głosem krzykliwym dodał: – A jeśli się dowiem, żeś się zachował, nie jak przystało na syna Mikołaja Bołkońskiego, będzie mi... wstyd! – zapiszczał.

– Tego mógłbyś mi, ojczy, nie mówić – odparł syn uśmiechając się.

Stary milczał.

– Chciałem jeszcze ojczulka prosić – ciągnął książę Andrzej – jeśli polegnę i jeśli będę miał syna, niech go ojciec nie puszcza od siebie, jakem już wczoraj mówił, niech się tutaj wychowa... bardzo proszę.

– Nie oddawać żonie? – rzekł starzec i zaśmiał się. Stali naprzeciw siebie w milczeniu. Bystre oczy starca wbijały się prosto w oczy syna. W dolnej części twarzy starego księcia coś drgnęło.

– Pożegnaliśmy się... Ruszaj! – rzekł nagle. – Ruszaj! – krzyknął gniewnie podniesionym głosem i otworzył drzwi gabinetu.

– Co? Co się stało? – pytały księżna i księżniczka, ujrzawszy księcia Andrzeja i widoczną przez chwilę postać krzyczącego gniewnie staruszka w białym szlafroku, bez peruki, w starczych okularach.

Książę Andrzej westchnął i nic nie odpowiedział.



– Ano – rzekł zwróciwszy się do żony i to „ano” zadźwięczało chłodną drwiną, jak gdyby mówił: „Teraz kolej na wasze sztuczki.”

– *André, déjà*<sup>214</sup> – rzekła mała księżna. Zbladła i z lękiem spoglądała na męża.

Objął ją. Krzyknęła i bez zmysłów opadła mu na ramię. Ostrożnie wysunął ramię, na którym leżała, zajrzał jej w twarz i troskliwie posadził w fotelu.

– *Adieu, Marie*<sup>215</sup> – rzekł cicho do siostry, pocałowali się, trzymając się za ręce, i książę Andrzej wyszedł z pokoju szybkim krokiem.

Księżna leżała w fotelu, m-lle Bourienne nacierała jej skronie. Księżniczka Maria podtrzymywała bratową, a zapłakanymi pięknymi oczami ciągle jeszcze patrzyła na drzwi, przez które odszedł książę Andrzej, i kreśliła, za nim znaki krzyża. Z gabinetu dochodziło głośnie jak wystrzał, często powtarzane starcze siąkanie w chusteczkę. Gdy tylko książę Andrzej wyszedł, drzwi gabinetu otwarły się szybko i wyjrzała z nich surowa postać starca w białym szlafroku.

– Pojechał? No, to dobrze – powiedział, surowo spojrzawszy na nieprzytomną małą księżnę, z naganą pokiwał głową i zatrzasnął drzwi.

---

<sup>214</sup> Już, André?

<sup>215</sup> Żegnaj, Mario.

## CZEŚĆ DRUGA

## I

W październiku 1805 roku wojska rosyjskie zajmowały wsie i miasta arcyksięstwa austriackiego; coraz to nowe pułki przybywały z Rosji i, obciążając postojem mieszkańców, stawały obozem pod twierdzą Braunau. W Braunau znajdowała się główna kwatera naczelnego wodza, Kutuzowa.

11 października 1805 roku jeden z dopiero co przybyłych do Braunau pułków piechoty, w oczekiwaniu na przegląd, którego miał dokonać wódz naczelny, stał o pół mili od miasta. Pomimo że miejscowość i otoczenie było nierosyjskie (sady, murowane ogrodzenia, dachówki, widniejące w dali góry, nierosyjska ludność z ciekawością przyglądała się żołnierzom), pułk wyglądał zupełnie tak samo jak każdy pułk rosyjski przygotowujący się do przeglądu gdzieś w głębi Rosji.

Nad wieczorem, na ostatnim etapie marszu, otrzymano rozkaz, że naczelnny wódz dokona przeglądu pułku w marszu. Mimo iż słowa rozkazu wydały się dowódcy pułku niejasne, bo wyłoniło się pytanie, jak należy rozumieć słowa rozkazu: w mundurach polowych czy nie? – na naradzie dowódców batalionów postanowiono zaprezentować pułk w pełnej gali, a to na tej podstawie, że zawsze lepsza jest nadgorliwość niż brak gorliwości. Więc żołnierze po trzydziestu wiorstach marszu przez całą noc nie zmrużyli oka: obreperowywali się, czyścili mundury, adiutanci i dowódcy rot liczyli, odliczali, rankiem pułk, zamiast bezładnie rozwleczonego tłumu, jakim był w przeddzień na ostatnim przemarszu, stanowił składną masę dwu tysięcy ludzi, z których każdy znał swoje miejsce, wiedział, co do niego należy, każdy miał guziki i rzemienie w porządku, lśniące czystością. Nie tylko na zewnątrz wszystko było składne: gdyby naczelnemu wodzowi spodobało się zajrzeć pod mundury, na każdym żołnierzu zobaczyłby jednakowo czystą koszulę, w każdym tornistrze znalazłby przepisową ilość rzeczy, „szydło i mydło”, jak powiadają żołnierze. Tylko jedna okoliczność dawała powód do niepokoju, mianowicie – obuwie. Więcej niż połowa ludzi miała buty podarte. Lecz ten brak nie wynikał z winy dowódcy pułku, pomimo kilkakrotnych żądań urząd austriacki nie wydał zaopatrzenia, a pułk przeszedł tysiąc wiorst.

Dowódcą pułku był niemłody generał, sangwiniczny, z siwiejącymi brwiami i bokobrodami, otyły, szerszy od piersi do pleców niż od ramienia do ramienia. Miał na sobie nowy jak z igły mundur z zagniecionymi fałdami i sute złote epolety, które jak gdyby nie w dół, lecz w górę podciągały jego otyłe bary. Dowódca pułku miał minę człowieka, który szczęśliwie dokonał jednej z najuroczystszych spraw życia. Przechadzał się przed frontem, a przechodząc podrygiwał przy każdym kroku i lekko garbił plecy. Widać było, że dowódca pułku cieszy się swym pułkiem, że jest zeń zadowolony, że wszystkie jego siły duchowe zaprzęta pułk, lecz mimo to jego podrygujący chód jakby mówił, że – oprócz zainteresowań wojskowych – w jego duszy sporo miejsca zajmują zainteresowania towarzyskie oraz płeć piękna.

– No, Michale Mitriczu, serdeńko – zwrócił się do jednego z dowódców batalionu (tamten z uśmiechem podał się nieco w przód, widać było, że są uszczęśliwieni) – dostało nam się za swoje tej nocy. Ale zdaje się, że pułk nie należy do najgorszych?... Co?

Dowódca batalionu zrozumiał wesołą ironię i roześmiał się.

- Nawet na Carycynym Polu<sup>216</sup> nie przepędzono by nas.
- A co! – rzekł dowódca.

Tymczasem na drodze do miasta, na której rozstawiono sygnalistów, ukazali się dwaj jeźdźcy. Był to adiutant i Kozak jadący za nim.

Adiutanta wysłano ze sztabu generalnego, by potwierdził dowódcy pułku to, co było niejasno powiedziane we wczorajszym rozkazie, a mianowicie, że naczelny wódz pragnie widzieć pułk dokładnie w takim stanie, w jakim maszerował – w płaszczach, w pokrowcach, bez żadnych specjalnych przygotowań.

W przeddzień przybył do Kutuzowa z Wiednia człowiek hofkriegsratu – z propozycją i żądaniem, by jak najprędzej wyruszyć na spotkanie z armią arcyksięcia Ferdynanda i Macka, Kutuzow zaś, ponieważ nie uważał takiego połączenia za wskazane, zamierzał – wśród innych dowodów na potwierdzenie swego zdania – pokazać generałowi austriackiemu ów smutny stan, w jakim się znajdowały wojska przychodzące z Rosji. W tym celu więc chciał wyjechać na spotkanie pułku; toteż im gorszy byłby stan pułku, tym większe byłoby zadowolenie naczelnego wodza. Chociaż adiutant nie znał tych szczegółów, jednak przekazał dowódcy pułku bezwzględne żądanie wodza naczelnego, żeby ludzie wystąpili w płaszczach i pokrowcach, i że w przeciwnym wypadku naczelny wódz będzie niezadowolony.

Wysłuchawszy tych słów dowódca pułku spuścił głowę, w milczeniu wzruszył ramionami i rozłożył ręce gestem sangwinika.

– A tośmy narobili! – wyrzekł. – A mówiłem panu, Michale Mitriczu, że w marszu, to znaczy w płaszczach – zwrócił się z wyrzutem do dowódcy batalionu. – Ach, mój Boże! – dodał i wysunął się naprzód stanowczym krokiem. – Panowie dowódcy rot! – zawołał głosem nawykłym do komendy. – Feldfeble!... Czy prędko raczą zawitać? – zwrócił się do przybyłego adiutanta z wyrazem pełnej szacunku uprzejmości, która się, widać, odnosiła do osobistości, o której mówił.

- Sądzę, że za godzinę.
- Zdamy się przebrać?
- Nie wiem, generale...

Dowódca pułku osobiście podszedł do szeregów i wydał rozkaz przebrania się znowu w płaszcze. Dowódcy pobiegli do rot, feldfeble zakrzętnęli się (płaszcze były niezupełnie w porządku), w jednej chwili milczące, regularne przedtem czworoboki zakołysały się, rozciągnęły i zahuczały gwarem rozmów. Wszędzie uwijali się żołnierze, podrzucali ramionami, przez głowę ściągali tornistry, wydobywali płaszcze, wysoko unosząc ręce wsuwali je w rękawy.

Po upływie pół godziny znowu wszystko wróciło do dawnego porządku, tyle że czworoboki z czarnych zrobiły się szare. Dowódca znowu podrygującym krokiem wyszedł na czoło pułku i obejrzał go z daleka.

- A to co takiego, co takiego?! – wykrzyknął zatrzymując się. – Dowódca trzeciej roty!...
- Dowódca trzeciej roty do generała! Dowódca do generała, trzeciej roty do dowódcy!... – rozległy się głosy wśród szeregów, adiutant zaś pobiegł szukać zwlekającego oficera

Kiedy gorliwe nawoływania przekraczając już rozkaz, wołając „generała do trzeciej roty”, dotarły do kogo należy, wezwany oficer wysunął się spoza roty i, choć był to już człowiek niemłody i nie nawykły do biegania, kłusem skierował się do generała, zawadzając niezręcznie czubkami butów. Oblicze kapitana wyrażało niepokój uczniaka, gdy każą mu recytować lekcję, której się nie nauczył. Na czerwonej (prawdopodobnie z niewstrzeźliwości) twarzy wystąpiły plamy, wargi zaś nie mogły sobie znaleźć miejsca. Kiedy zadyszany kapitan zbliżał się, a w miarę zbliżania zwalniał kroku, dowódca pułku mierzył go wzrokiem od stóp do głów.

---

<sup>216</sup> Carycynie Pole – miejsce przeglądu wojsk w Petersburgu.

– Niedługo poubierasz pan ludzi w kaftany! Co to znaczy? – krzyknął dowódca pułku wy-suwając dolną szczękę i wskazując na żołnierza w szeregach trzeciej roty, który miał płaszcz barwy sukna kupnego, odmiennego od innych.

– Gdzieś pan się podziewał? Oczekujemy naczelnego wodza, a pan opuszczasz stanowisko? Co?... Ja pana nauczę, co to znaczy ubierać ludzi na przegląd w kabaty!... Co?...

Dowódca roty, nie spuszczać oczu ze zwierzchnika, coraz mocniej przyciskał do daszka dwa palce, jak gdyby w tym przyciskaniu widział teraz swe zbawienie.

– No, czemu pan milczysz? Kto tam przebrał się za Węgra? – zażartował srogo dowódca pułku.

– Ekscelencjo...

– No, co: „Ekscelencjo”? Ekscelencjo! Ekscelencjo! A co „ekscelencjo” – nikomu nie wiadomo.

– Ekscelencjo, to Dołochow, ten zdegradowany... – rzekł cicho kapitan.

– Cóż to, na feldmarszałka został zdegradowany czy na szeregowca? A jeśli na szeregowca, to musi być ubrany przepisowo, jak wszyscy żołnierze.

– Ekscelencja sam mu zezwolił w czasie marszu.

– Zezwoliłem? Zezwoliłem? Młodzi ludzie, z wami to zawsze tak – rzekł dowódca pułku ochłonawszy nieco.

– Zezwoliłem? Powiedzieć wam coś, a wy już... – Dowódca umilkł. – Powiedzieć wam coś, a wy już... Co? – rzekł, znowu wpadając w gniew. – Proszę odziać ludzi przyzwoicie...

I dowódca, oglądając się na adiutanta, swym podrygującym krokiem skierował się ku pułkowi. Widać było, że napawał się własnym rozdrażnieniem i że przechodząc przed frontem chciał jeszcze znaleźć pretekst do gniewu. Jednego oficera ofuknął za nie wyczyszczone odznakę, drugiego za niewyrównanie szeregu i zbliżył się do trzeciej roty.

– J-a-ak stoisz? Gdzie noga? Noga gdzie? – krzyknął dowódca pułku z nutą cierpienia w głosie, jeszcze o pięciu ludzi przed Dołochowem, który był w niebieskawym płaszczu.

Dołochow z wolna wyprostował zgiętą nogę i swym jasnym, bezczelnym wzrokiem popatrzył prosto w twarz generała.

– Dlaczego niebieski płaszcz? Precz!... Feldfebel! Przebrać tego... łaj... – nie zdążył domówić.

– Generale, jestem obowiązany spełniać rozkazy, ale nie jestem obowiązany znosić... – rzekł spiesźnie Dołochow.

– Nie gadać w linii!... Nie gadać, nie gadać!...

– Nie jestem obowiązany znosić obelg – dokończył głośno i dźwięcznie Dołochow.

Oczy generała i żołnierza spotkały się. Generał umilkł, gniewnie obciągając ciasną wstęgę.

– Zechciej pan przebrać się, proszę – rzekł odchodząc.

## II

– Jedzie! – krzyknął tymczasem sygnalista.

Dowódca pułku, czerwieniejąc, podbiegł do konia, ujął strzemię drżącymi rękami, przrzucał ciało, poprawił się w siodle, dobył szpady i z twarzą szczęśliwą i stanowczą rozwarł skośne usta, szykując się do okrzyku. Pułk zatrzepotał jak otrząsający się ptak i zamarł.

– Ba-a-czność! – krzyknął dowódca głosem wstrząsającym duszę, dla siebie radosnym, dla pułku surowym, a dla zbliżającego się wodza powitalnym.

Szerokim, wysadzonym drzewami gościńcem jechał szybkim kłusem, lekko stukając resorami, wysoki, niebieski powóz wiedeński zaprzężony w szóstkę koni. Za powozem galopowała świta i eskorta Kroatów. Obok Kutuzowa siedział generał austriacki w białym mundurze, dziwnie wyglądającym wśród czarnych mundurów rosyjskich. Powóz zatrzymał się przed pułkiem. Kutuzow i generał austriacki rozmawiali o czymś z cicha. Kutuzow uśmiechnął się z lekka, gdy ciężko stąpając spuszczał nogę ze stopnia – zupełnie jakby nie było tych dwu tysięcy ludzi, którzy z zapartym tchem patrzyli na niego i na dowódcę pułku.

Rozległ się okrzyk komendy, znowu pułk drgnął prezentując broń ze szczękiem żelaza. W martwej ciszy odezwał się słaby głos naczelnego wodza. Pułk wrzasnął: „Życzymy zdrowia waszej e...e...lencji!” I znowu wszystko zamarło. Z początku Kutuzow stał na miejscu, a pułk się poruszał; potem pieszo, w towarzystwie świty, jął z białym generałem obchodzić szeregi.

Po sposobie, w jaki dowódca pułku salutował naczelnemu wodzowi, wpijając się w niego oczyma, prostując się i prężąc, i jak pochylony ku przodowi chodził za generałami, z trudem wstrzymując ruch podrygiwania, jak podskakiwał przy każdym słowie i ruchu naczelnego wodza, było widać, że swe obowiązki podwładnego wypełnia z jeszcze większą rozkoszą niż obowiązki zwierzchnika. Dzięki surowości i staraniu dowódcy pułk znajdował się we wspaniałym stanie w porównaniu z innymi pułkami, które w tym samym czasie przychodziły do Braunau. Chorych i pozostałych w drodze było tylko dwustu siedemnastu. I wszystko było w porządku prócz obuwia.

Kutuzow przeszedł wzdłuż szeregów, niekiedy zatrzymał się, by powiedzieć kilka miłych słów oficerom, których znał z wojny tureckiej, a czasami również i żołnierzom. Spoglądając na buty, kilka razy pokręcił smutno głową i wskazywał je generałowi austriackiemu z taką miną, jakby nikogo o to nie winił, ale nie mógł nie dostrzec, że jest tak źle. Za każdym razem dowódca pułku zabiegał z przodu, w obawie, by nie uronić ani słowa z tego, co naczelną wódz mówi o pułku. Za Kutuzowem, w takiej odległości, że każde słowo wypowiedziane słabym głosem mogło być słyszane, kroczyła świta złożona z dwudziestu osób. Panowie ze świty rozmawiali ze sobą, a czasem śmieli się. Najbliżej naczelnego wodza szedł piękny adiutant. Był to książę Bołkoński. Obok niego szedł jego kolega Nieswicki, wysoki sztabowiec, nader otyły, z dobrotliwą, ładną, uśmiechniętą twarzą i wilgotnymi oczami. Nieswicki z trudem powstrzymywał śmiech, do którego pobudzał go czarniawy oficer huzarów idący w pobliżu niego. Oficer huzarów – bez uśmiechu, nie zmieniając wyrazu znieruchomiałych oczu, z poważną miną wpatrzony w plecy dowódcy pułku, przedrzeźniał każdy jego ruch. Za każdym razem, gdy dowódca pułku podrygiwał i pochylał się do przodu, oficer huzarów tak samo,

jota w jotę, podrygiwał i pochylał się naprzód. Nieswicki śmiał się i szturchał innych, by patrzyli na figlarza.

Kutuzow powoli, apatycznie przechodził obok tysięcy oczu, które patrząc na dowódcę wyskakiwały z orbit. Zrównawszy się z trzecią rotą przystanął nagle. Świta, nie przewidując tego postoju, mimo woli podeszła bliżej.

– A, Timochin! – rzekł naczelny wódz poznając kapitana z czerwonym nosem, który ucierpiał z powodu niebieskiego płaszcza.

Zdawało się, że już nie sposób chyba było bardziej się wyprężyć, niż wyprężył się Timochin, kiedy dowódca pułku robił mu wymówki. Ale w tej chwili, kiedy zwrócił się do niego naczelny wódz, kapitan tak się wyprężył, iż gdyby wódz naczelny patrzył na niego jeszcze czas pewien, kapitan by nie wytrzymał; wchodząc widocznie w jego sytuację, a życząc mu jak najlepiej, Kutuzow odwrócił się pospiesznie. Przez pulchną, zeszeconą blizną twarz Kutuzowa przemknął ledwie dostrzegalny uśmiech.

– Kamrat jeszcze spod Izmaïła<sup>217</sup> – oświadczył. – Mężny oficer! Jesteś z niego zadowolony? – zapytał Kutuzow dowódcę pułku.

A dowódca pułku, nie widząc, że oficer huzarów odbija go niczym zwierciadło, drgnął, wysunął się naprzód i odpowiedział:

– Bardzo zadowolony, wasza ekscelencjo!

– Wszyscy mamy jakieś słabostki – rzekł Kutuzow z uśmiechem, odchodząc. – A on był czcicielem Bachusa.

Dowódca pułku zląkł się, czy to aby nie jego wina, i nic nie odpowiedział. Oficer huzarów zauważył w tej chwili kapitana z czerwonym nosem i z wciągniętym brzuchem i z takim podobieństwem odtworzył jego twarz i postawę, iż Nieswicki nie mógł wstrzymać śmiechu. Kutuzow obejrzał się. Widać było, że oficer mógł zmieniać wyraz twarzy, jak chciał: w chwili kiedy Kutuzow się odwrócił, oficer zdążył zrobić minę i zaraz potem przybrać wyraz twarzy poważny, niewinny i pełen uszanowania.

Trzecia rota stała ostatnia i Kutuzow zamyślił się, jakby sobie coś przypominając. Książę Andrzej wysunął się ze świty i rzekł cicho po francusku:

– Miałem rozkaz przypomnieć o zdegradowanym Dołochowie w tym pułku.

– Gdzie ten Dołochow? – zapytał Kutuzow. Dołochow już przebrany w szary płaszcz żołnierski, nie czekał, by go wywołano. Z szeregu wysunęła się zgrabna postać jasnowłosego żołnierza z jasnoblękitnymi oczyma. Zbliżył się do naczelnego wodza i stanął na baczność.

– Skarga? – zapytał Kutuzow z lekka się zachmurzywszy.

– To właśnie Dołochow – rzekł książę Andrzej.

– A! – rzekł Kutuzow. – Mam nadzieję, że ta nauczka cię poprawi. Służ dobrze. Monarcha jest miłościwy. I ja nie zapomnę o tobie, jeśli zasłużysz.

Błękitne jasne oczy spoglądały na naczelnego wodza równie zuchwale jak i na dowódcę pułku, swym wyrazem jakby rozdzierając umowną zasłonę oddzielającą tak szczerze szeregowca od wodza naczelnego

– O jedno proszę, wasza ekscelencjo – rzekł Dołochow dźwięcznym, twardym, nieśpiesznym głosem. – Proszę o danie mi sposobności, abym mógł okupić winę i okazać dowód mego poświęcenia dla najjaśniejszego pana i dla Rosji.

Kutuzow odwrócił się. Po jego twarzy przemknął ten sam uśmiech, co i wtedy, kiedy się odwracał od kapitana Timochina. Odwrócił się z lekkim grymasem, jakby w ten sposób chciał wyrazić, że wszystko, co mu powiedział, i wszystko, co mógł mu powiedzieć Dołochow, było mu już dawno, dawno znane, że wszystko już mu się uprzykrzyło i że to wszystko nie jest tym, czym być powinno. Odwrócił się i ruszył do powozu.

Pułk podzielił się na rotę i udał się do wyznaczonych kwater w pobliżu Braunau, gdzie miał nadzieję obuć się, przyodziać i odpocząć po trudnych przemarszach.

---

<sup>217</sup> Mowa tu o oblężeniu Izmaïła w czasie wojny rosyjsko-tureckiej 1787–1791 r.

– Nie masz do mnie urazy, Prochorze Ignaticzu? – spytał dowódca pułku dogoniwszy trzecią rotę, podążającą na kwaterę, i podjechawszy do idącego na czele kapitana Timochina. Oblicze dowódcy pułku wyrażało niepohamowaną radość po odbytym pomyślnie przeglądzie. – Służba cesarska... nie sposób... czasami to się przed frontem oberwie...

Pierwszy przeproszę, znasz mnie pan... Bardzo dziękował! – I wyciągnął do kapitana rękę.

– Ależ, jakżebym śmiał, panie generale! – odrzekł kapitan. Nos mu się zaczerwienił, a uśmiech odsłonił brak dwóch zębów na przedzie, wybitych kolbą pod Izmailem.

– A panu Dołochowowi proszę oznajmić, że o nim nie zapomnę, niech będzie spokojny. Powiedz mi, proszę, bo już dawno chciałem zapytać, jak on się sprawuje?

I w ogóle...

– Co się tyczy służby, to wszystko jak się patrzy, ekscelencjo... ale charakter... – rzekł Timochin.

– A co charakter, co? – zapytał dowódca pułku.

– Zdarzają się dni, ekscelencjo – mówił kapitan – że jest roztropny i rozumny, i dobry. A czasami – bestia. Proszę przyjąć do wiadomości, że w Polsce zabił Żyda...

– No tak, no tak – rzekł dowódca pułku. – Trzeba jednak współczuć młodemu człowiekowi w nieszczęściu. Przecie ogromne stosunki... Więc proszę tego...

– Wedle rozkazu, ekscelencjo – rzekł Timochin, uśmiechem dając do poznania, że rozumie życzenie zwierzchnika.

– No tak, no tak.

Dowódca pułku odszukał w szeregach Dołochowa i wstrzymał konia.

– Przy pierwszej sprawie – szlify – rzekł do niego. Dołochow obejrzał się, nic nie powiedział i nie zmienił wyrazu swych drwiąco uśmiechniętych ust.

– No, to pięknie – ciągnął dowódca pułku. – Ludziom po czarce wódki ode mnie – dodał, żeby żołnierze słyszeli. – Dziękuję wszystkim! Chwała Bogu! – Minał rotę i zbliżył się do drugiej.

– Dobry człowiek, jako żywo, można z nim służyć – rzekł Timochin do młodszego oficera idącego obok.

– Nie ma co, czerwienno!... (dowódcę pułku przezywano królem czerwienno) – rzekł oficer ze śmiechem.

Radosny nastrój zwierzchników po przeglądzie udzielił się żołnierzom. Rota szła żwawo. Ze wszystkich stron odzywały się żołnierskie pogwarki.

– A toż gadali, że Kutuzow ślepy na jedno oko!

– A bo nie! W rzeczy samej ślepy.

– Nie, bratku... lepsze oko ma od ciebie. Buty, onuce – wszystko obejrzał...

– Jak ci, bratku, spojrz na nogi... No! pomyślałem sobie.

– A ten drugi, co z nim był, ten Austriak, jakby kredą wysmarowany. Biały jak mąka. Pewno go czyszczą jak lederwerki.

– A co, Fiedieszou!..<sup>218</sup> czy mówił, kiedy zaczną się boje? Bliżej stałeś! Powiadali przecie, że w Brunowie stoi sam Bunaparte.

– A juści, Bunaparte stoi! Plecie, głupi, sam nie wie co! Teraz Prusak się buntuje. Zasię Austriak go uśmierza. Kiedy go uspokoją, wtedy zacznie się wojna z Bunapartem. A ten powiada, że w Brunowie stoi Bunaparte! Od razu widać głupiego. Nadstawiaj uszy!

– Kwatermistrze, plemię diabelskie! Patrzcie, piąta rota już do wsi skręca! Zdążą kaszy uwarzyć, nim my dojdziemy.

– Daj suchara, diable!

– A dałeś mi wczoraj tytoniu? Tak to, bracie. Na, Bóg z tobą.

– Żeby choć postój zrobili, bo jeszcze z pięć wiorst będziemy się wlekli bez jadła.

---

<sup>218</sup> Tak w oryginale. Naśladownictwo wymowy ludowej.



– Tak, tak, błogo było, jak Niemcy dawali nam podwody. Jedziesz, od razu widać, żeś znaczny!

– A tu, bracie, naród jakiś zbaraniały. Tam to jakby Polak był, jeszcze wszystko należące do rosyjskiej korony; a teraz, bracie, rdzenne Niemce.

– Pieśniarze, naprzód! – rozległ się okrzyk kapitana. Z różnych szeregów na czoło roty wybiegło dwudziestu ludzi.

Dobosz-zapiewała zwrócił się twarzą do śpiewaków i machnąwszy ręką zaintonował przeciągłą pieśń żołnierską, która się zaczynała: „To nie zorza, nie słoneczko wschodzi...”, a kończyła słowami: „Będziem, bracia, sławni z Kamieńskim pospołu.” Pieśń ta została ułożona w Turcji<sup>219</sup>, a teraz śpiewano ją w Austrii, z tą tylko zmianą, że zamiast z „Kamieńskim” wstawiono słowa: z „Kutuzowem”.

Ściąwszy po żołniersku ostatnie słowa i machnąwszy rękoma, jakby rzucał coś na ziemię, dobosz, szczupły i piękny żołnierz lat czterdziestu, spojrzawszy surowo na pieśniarzy i zmrużył oczy. Potem, przekonawszy się, że wszystkie spojrzenia są zwrócone na niego, ostrożnie, obu rękami, jak gdyby unosił nad głową jakiś niewidzialny drogocenny przedmiot, potrzymał go tak przez kilka sekund i nagle rzucił desperacko:

Ach, wy sieni, moje sieni!

„Sieni moje nowe...” podchwyciło dwadzieścia głosów, a łyżkowy<sup>220</sup> nie zważając na obciążenie ekwipunkiem, rzeško wyskoczył naprzód i szedł tyłem przed rotą poruszając ramionami, jak gdyby komuś wygrażał łyżkami. Żołnierze wymachiwali rękoma w takt pieśni, szli szerokim krokiem, mimo woli utrafiając noga w nogę. Za rotą rozległ się odgłos kół, szczykanie resorów i tętent koni. Kutuzow ze świtą wracał do miasta. Naczelną wódz dał znak, by ludzie nadal szli swobodnie, przy dźwiękach pieśni, a na widok tańczącego żołnierza i wesoło i rzeško maszerującej rotę – jego twarz i twarze całej świty wyraziły zadowolenie. W drugim szeregu na prawym skrzydle, gdzie powóz przeganiał rotę, mimo woli rzucał się w oczy błękitnooki żołnierz Dołochow, który szczególnie rzeško i wdzięcznie szedł w takt pieśni, a w twarze przejeżdżających patrzył tak, jakby żałował wszystkich, co nie szli razem z rotą.

Podporucznik huzarów ze świty Kutuzowa, ten sam co przedrzeźniał dowódcę pułku, został w tyle i podjechał do Dołochowa. W swoim czasie podporucznik huzarów Żerkow należał w Petersburgu do tej szalonej kompanii, której przewodził Dołochow. Za granicą Żerkow spotkał Dołochowa już jako szeregowca, ale uważał za stosowne nie poznać go. Teraz, po rozmowie Kutuzowa ze zdegradowanym, zwrócił się do niego z radością, jak stary przyjaciel.

– Jak się masz, druhu serdeczny? – rzekł przy dźwiękach pieśni równając chód swego konia z krokiem rotę.

– Niby ja? – odpowiedział zimno Dołochow. – Jak widzisz.

Dziarska pieśń nadawała osobliwe znaczenie tonowi nonszalanckiej wesołości, z jaką mówił Żerkow, i rozmyślnie oziębłej odpowiedzi Dołochowa.

– Cóż, radzisz sobie z dowództwem? – zapytał Żerkow.

– Owszem, to dobrzy ludzie. Jakaś się wcisnął do sztabu?

– Zostałem odkomenderowany. Dyżuruję.

Umilkli.

„Wypuszczę sokoła i z prawego rękawa” – mówiła pieśń wzbudzając mimo woli uczucie rzeńskie i wesołe. Prawdopodobnie rozmowa ich byłaby zupełnie inna, gdyby nie mówili przy dźwiękach pieśni.

– Czy to prawda, że Austriacy zostali pobici? – zapytał Dołochow.

<sup>219</sup> Pieśń żołnierska z czasów II wojny rosyjsko-tureckiej, w której hr. Michał Kamieński odniósł zwycięstwo.

<sup>220</sup> W oryg. *łyżecznik*. łyżkami nazywano ludowy instrument muzyczny o dźwięku podobnym do kastanietów. Były to zwyczajne drewniane łyżki z nieco wydłużonym trzonkiem, do którego przyczepiano kilka brząkałek.

- Tak mówią, diabli ich wiedzą.
- Cieszę się – odpowiedział Dołochow krótko i wyraziście, jak tego wymagała pieśń.
- Cóż, przyjdź do nas kiedy wieczorkiem, zagramy w faraona – rzekł Żerkow.
- Może macie za dużo pieniędzy?
- Przyjdź.
- Nie. Dałem słowo. Nie piję, nie gram, dopóki nie dostanę nominacji.
- No cóż, do pierwszej sprawy...
- Wtedy się zobaczy. Znowu umilkli.
- Przyjdź, jeśli będziesz czego potrzebował, wszyscy w sztabie pomogą... – powiedział Żerkow.
- Dołochow uśmiechnął się.
- Już ty się lepiej nie troszcz. Jeśli mi czego trzeba, nikogo nie proszę, sam biorę.
- No cóż, ja tak sobie...
- I ja tak sobie...
- Żegnaj.
- Bądź zdrów...

... I wysoko, i daleko  
Do rodzinnych stron...

Żerkow spiał ostrogami konia, który, podniecony, po trzykroć przebierał nogami, nie wiedząc, od której zacząć, wreszcie utrafił, po czym ruszył galopem mijając rotę i doganiając powóz, również w takt pieśni.

### III

Wróciwszy z przeglądu Kutuzow w towarzystwie austriackiego generała udał się do swego gabinetu, zawołał adiutanta i kazał sobie podać niektóre pisma dotyczące stanu nadchodzących wojsk oraz listy, które otrzymał od arcyksięcia Ferdynanda, sprawującego dowództwo nad idącą w awangardzie armią. Książę Andrzej Bołkoński wszedł do gabinetu z żądanymi papierami. Przed rozłożonym na stole planem siedział Kutuzow i austriacki członek hofkriegsratu.

– A!... – rzekł Kutuzow obejrzawszy się na Bołkońskiego, jakby tym słowem prosił adiutanta, by poczekał, i po francusku ciągnął rozpoczętą rozmowę.

– Ja, generale, powiem tylko jedno – mówił Kutuzow z miłą wytwornością zwrotów i intonacji, która zmuszała do wsłuchiwania się w każde niespiesznie powiedziane słowo. Widać było, że i sam Kutuzow słucha siebie z przyjemnością. – Ja, generale, powiem tylko jedno, że gdyby sprawa zależała wyłącznie od mego osobistego pragnienia, to wola jego cesarskiej mości, cesarza Franciszka, byłaby dawno spełniona. Już dawno połączyłbym się z arcyksięciem. Ręczę honorem, że dla mnie osobiście zdanie naczelnego dowództwa nad armią generałowi bardziej niż ja doświadczonemu i biegłszemu, w których Austria tak obfituje, i uwolnienie się od tej ciężkiej odpowiedzialności dla mnie osobiście byłoby radością. Lecz okoliczności bywają silniejsze niż my, generale.

I Kutuzow uśmiechnął się z taką miną, jakby mówił: „Masz pan całkowite prawo nie wierzyć mi, a nawet wszystko mi jedno, czy mi wierzysz, czy nie, ale nie masz powodu, by mi to powiedzieć. I na tym polega istota rzeczy.”

Generał austriacki miał minę niezadowoloną, ale nie mógł nie odpowiedzieć Kutuzowowi w tym samym tonie.

– Przeciwnie – rzekł tonem mrukliwym i gniewnym, zaprzeczającym pochlebnemu sensowi wypowiedzanych słów. – Przeciwnie, jego cesarska mość bardzo ceni udział waszej ekscelencji we wspólnej sprawie, sądzymy jednak, że obecna zwłoka pozbawia sławne wojska rosyjskie oraz ich naczelnych dowódców tych laurów, które zwykli byli zbierać w bitwach – zakończył przygotowanym widać z góry frazesem.

Kutuzow skłonił się, wciąż z tym samym uśmiechem.

– Ja zaś jestem przekonany i opierając się na ostatnim liście, którym zaszczyił mnie jego wysokość arcyksiążę Ferdynand, sędzę, że wojska austriackie pod dowództwem tak wytrawnego pomocnika, jakim jest generał Mack, już teraz odniosły zwycięstwo i nasza pomoc jest im niepotrzebna – rzekł Kutuzow.

Generał zasepił się. Mimo iż nie było zupełnie pewnych wiadomości o porażce Austriaków, zbyt wiele okoliczności potwierdzało ogólne niepomyślne pogłoski, toteż supozycja Kutuzowa o zwycięstwie przypominała drwiny. Ale Kutuzow uśmiechał się dobrotliwie, ciągle z tą samą miną, która mówiła, że ma prawo tak mniemać. W samej rzeczy, ostatni list, jaki otrzymał z armii Macka, wieścił zwycięstwo i bardzo pomyślną sytuację strategiczną armii.

– Daj no tu ten list – rzekł Kutuzow zwracając się do księcia Andrzeja. – Zechciej pan przekonać się – i Kutuzow z drwiącym uśmiechem w kącikach warg przeczytał po niemiecku generałowi austriackiemu następujący wyimek z listu arcyksięcia Ferdynanda:

*Wir haben vollkommen zusammengehaltene Kräfte, nahe an 70 000 Mann, um den Feind, wenn er den Lech passierte, angreifen und schlagen zu können. Wir können, da wir Meister von Ulm sind, den Vorteil, auch von beiden Ufern der Donau Meister zu bleiben, nicht verlieren, mithin auch jeden Augenblick, wenn der Feind den Lech nicht passierte, die Donau übersetzen, uns auf seine Kommunikationslinie werfen, die Donau unterhalb repassieren und dem Feinde, wenn er sich gegen unsere treue Alliierte mit ganzer Macht wenden wollte, seine Absicht alsbald vereiteln. Wir werden auf solche Weise dem Zeitpunkt, wo die Kaiserlich-Russische Armee ausgerüstet sein wird, mutig entgegenharren und sodann leicht gemeinschaftlich die Möglichkeit finden, dem Feinde das Schicksal zuzubereiten, so er verdient.<sup>221</sup>*

Skończywszy ten urywek, Kutuzow westchnął ciężko i popatrzył na członka hofkriegsratu uważnie i łagodnie.

– Jednak wasza ekscelencja zna mądrą maksymę, która zaleca spodziewać się najgorszego – rzekł generał austriacki pragnąc widocznie skończyć z żartami i przystąpić do rzeczy.

Z niechęcią obejrzał się na adiutanta.

– Wybacz pan, generale – przerwał mu Kutuzow i również zwrócił się do księcia Andrzeja: – Więc tak, mój kochany, weź od Kozłowskiego wszystkie raporty naszych wywiadców. Oto dwa listy od hrabiego Nostitza, oto list do jego wysokości arcyksięcia Ferdynanda i jeszcze to – rzekł podając mu kilka pism. – Z tego wszystkiego zrób czyściutko memorandum po francusku, zapiskę uwidoczniającą te wszystkie wiadomości, jakieśmy mieli o działaniach armii austriackiej. No tak, i przedłóż to jego ekscelencji.

Księżę Andrzej skłonił głowę na znak, że zrozumiał od pierwszych słów nie tylko to, co zostało wypowiedziane, ale i to, co Kutuzow pragnąłby mu powiedzieć. Zabrał papiery, złożył ogólny ukłon i cicho stąpając po dywanie wyszedł do pokoju przyjąć.

Mimo że jeszcze niewiele czasu upłynęło, jak opuścił Rosję, księżę Andrzej zmienił się bardzo przez ten czas. W wyrazie jego twarzy, w ruchach, w chodzie nie zauważało się prawie dawnej pozy, znużenia i rozleniwienia, wyglądał jak człowiek, który nie ma czasu myśleć o tym, jakie wrażenie wywiera na innych, jak człowiek zajęty pracą przyjemną i zajmującą. Jego twarz wyrażała więcej zadowolenia z siebie i z otoczenia, uśmiech i spojrzenie miał welsze i bardziej ujmujące.

Kutuzow, którego dogonił jeszcze w Polsce, przyjął go bardzo uprzejmie, obiecał, że nie zapomni o nim, wyróżniał spośród innych adiutantów, brał ze sobą do Wiednia i dawał mu poważniejsze zlecenia. Z Wiednia Kutuzow napisał do swego dawnego towarzysza broni, do ojca księcia Andrzeja:

*Pański syn – pisał – dzięki pracy, wytrwałości i sprawności zapowiada się na wybitnego oficera. Jestem szczęśliwy, mając takiego podkomendnego.*

W sztabie Kutuzowa, wśród kompanów ze sztabu i w ogóle w armii księżę Andrzej miał – podobnie jak w świecie petersburskim – dwie całkiem przeciwne reputacje. Jedni, i tych była mniejszość, uważali go za człowieka osobliwego w porównaniu ze sobą i wszystkimi innymi

---

<sup>221</sup> Mamy całkowicie skoncentrowane siły, około 70 000 ludzi, możemy więc atakować i rozbić nieprzyjaciela, jeśli będzie próbował przeprawy przez rzekę Lech. Ponieważ Ulm jest już w naszych rękach, przeto możemy zachować przewagę, jaką daje nam opanowanie obu brzegów Dunaju; gdyby więc nieprzyjaciel nie przeszedł rzeki Lech, możemy w każdej chwili przeprawić się przez Dunaj, zaatakować linie komunikacyjne wroga, przejść niżej Dunaj z powrotem i gdyby nieprzyjaciel zamierzał zwrócić swe siły na naszych wiernych sprzymierzeńców, nie pozwolić mu wykonać tego zamiaru. W ten sposób będziemy z otuchą czekać na moment, gdy armia cesarza rosyjskiego będzie całkowicie gotowa, a potem łatwo już nam będzie zgotować nieprzyjacielowi los, na jaki zasługuje.

ludźmi, spodziewali się po nim wielkich sukcesów, słuchali go, zachwycali się nim i naśladowali go, i z tymi ludźmi książę Andrzej był prosty i miły. Drudzy, większość, nie lubili księcia Andrzeja, uważali go za człowieka napuszonego, zimnego i nieprzyjemnego. Lecz w stosunku do tych ludzi umiał się tak zachować, że szanowali go, a nawet go się bali.

Wszedłszy z gabinetu Kutuzowa do pokoju przyjęć, książę Andrzej podszedł z papierami do kolegi, dyżurnego adiutanta Kozłowskiego, który siedział z książką przy oknie.

– No i cóż, książę?

– Kazano mi ułożyć notatkę, czemu nie idziemy naprzód.

– A po co?

Książę Andrzej wzruszył ramionami.

– Nie ma wieści od Macka? – zapytał Kozłowski.

– Nie.

– Gdyby było prawdą, że został rozbity, przyszłaby wiadomość.

– Prawdopodobnie – oświadczył książę Andrzej i skierował się do drzwi wejściowych, w tej chwili, trzasnąwszy drzwiami, z przeciwnej strony wszedł szybko do pokoju wysoki, najwidoczniej świeżo przybyły generał austriacki w surducie, z głową owiązaną czarną chustką, z orderem Marii Teresy na szyi. Książę Andrzej zatrzymał się.

– Generał en chef Kutuzow? – wyrzekł szybko przyjezdny generał ostrą wymową niemiecką, obejrzawszy się na obie strony, i nie zatrzymując się zmierzał ku drzwiom gabinetu.

– Generał en chef jest zajęty – rzekł Kozłowski zbliżając się spieszenie do nieznanego generała i zagradzając mu drogę do drzwi. – Jak mam zameldować?

Nieznamy generał zmierzył pogardliwie od stóp do głów niepokąźnego Kozłowskiego, jak gdyby się dziwił, że można go nie znać.

– Generał en chef jest zajęty – powtórzył spokojnie Kozłowski.

Twarz generała spochmurniała, wargi jego wykrzywiły się i zadrżały. Wydobył notes, szybko skreślił coś ołówkiem, wyrwał kartkę, podał, szybkimi krokami podszedł do okna, rzucił się całym ciałem na krzesło i obejrzał obecnych w pokoju, jak gdyby zapytując, czemu na niego patrzą. Potem generał podniósł głowę, wyciągnął szyję, niby zamierzając coś powiedzieć, ale zaraz, jakby niedbale nucąc coś pod nosem, wydał dziwny dźwięk, który się natychmiast urwał. Drzwi gabinetu rozwarły się i na progu zjawił się Kutuzow. Generał z owiązaną głową, przygarbiony, wielkimi, szybkimi krokami chudych nóg – jakby uciekał przed niebezpieczeństwem – podszedł do Kutuzowa.

– *Vous voyez le malheureux Mack* <sup>222</sup> – wyrzekł zrywającym się głosem.

Twarz Kutuzowa, stojącego w drzwiach gabinetu, przez kilka chwil pozostała zupełnie nieruchoma. Potem niby fala przebiegła mu przez twarz zmarszczka, czoło się wygładziło; z szacunkiem pochylił głowę, przymknął oczy, w milczeniu przepuścił Macka obok siebie i sam zamknął za sobą drzwi.

Wieść, która już przedtem się była rozeszła o rozbiciu Austriaków i o poddaniu się całej armii pod Ulm, okazała się prawdziwa. W ciągu pół godziny rozesłano w różnych kierunkach adiutantów z rozkazami świadczącymi, że wkrótce i wojska rosyjskie, dotąd pozostające w bezczynności, muszą zmierzyć się z nieprzyjacielem.

Książę Andrzej był jednym z tych nielicznych oficerów w sztabie, którzy swe główne zainteresowania skupiali na ogólnym biegu spraw wojennych. Zobaczywszy Macka i dowiedziawszy się szczegółów jego klęski, zrozumiał, że połowa kampanii została przegrana, zrozumiał, jak bardzo trudna jest sytuacja wojsk rosyjskich, i żywo wyobraził sobie, co czeka armię, i rolę, jaką on sam będzie musiał w niej odegrać. Mimo woli doznawał uczucia radoznego podniecenia na myśl, że zarozumiała Austria zhańbiła się i że może za tydzień wypadnie mu zobaczyć starcie się Rosjan z Francuzami, pierwsze od czasu Suworowa, i wziąć w nim udział. Ale obawiał się geniuszu Bonapartego, który mógł się okazać silniejszy niż całe

<sup>222</sup> Widzi pan nieszczęśliwego Macka.

męstwo wojsk rosyjskich, a przy tym nie mógł się pogodzić z myślą, by jego bohater się zhańbił.

Książę Andrzej, wzburzony i rozdrażniony tymi myślami, udał się do swego pokoju, by napisać do ojca, do którego pisywał codziennie. W korytarzu spotkał swojego towarzysza z kwatery, Nieswickiego, i żartownisia Żerkowa, śmiali się z czegoś – jak zawsze.

– Coś ty taki ponury? – zapytał Nieswicki zauważywszy bladą twarz księcia Andrzeja i jego błyszczące oczy.

– Nie ma z czego się cieszyć – odpowiedział Bołkoński.

Właśnie kiedy książę Andrzej spotkał się z Nieswickim i z Żerkowem, z drugiej strony korytarza szli naprzeciwko nich generał austriacki Strauch, przydzielony do sztabu Kutuzowa, by dozorować zaopatrzenia armii rosyjskiej, i członek hofkriegratu, którzy przyjechali wczoraj. W szerokim korytarzu było dosyć miejsca, by generałowie mogli swobodnie wyminąć trzech oficerów, lecz Żerkow, odpychając ręką Nieswickiego, zaczął mówić zdyszczanym głosem:

– Idą!... idą!... usuńcie się, proszę, z przejścia!

Generałowie przechodzili z minami wyrażającymi chęć uwolnienia się od uciążliwych honorów. Na twarzy kpiarza Żerkowa ukazał się nagle głupi uśmiech radości, którego jakby nie mógł powstrzymać.

– Wasza ekscelencjo – odezwał się po niemiecku wysuwając się naprzód i zwracając się do austriackiego generała – mam honor pogratulować.

Pochylił głowę i niezgrabnie, jak dzieci uczące się tańczyć, zaczął szastać to jedną nogą, to drugą.

Generał, członek hofkriegratu, surowo spojrzał na niego, lecz zauważywszy powagę głupiego uśmiechu, nie mógł odmówić chwili uwagi. Zmrużył oczy, dając poznać, że słucha.

– Mam honor pogratulować, przybył generał Mack całkiem zdrow, tylko troszkę tutaj mała kontuzja – dodał promieniejąc uśmiechem i wskazując na swoją głowę.

Generał odwrócił się zachmurzony i poszedł dalej.

– *Gott, wie naiv!*<sup>223</sup> – rzekł gniewnie, odszedłszy kilka kroków.

Nieswicki śmiejąc się objął księcia Andrzeja, lecz Bołkoński, zbladłszy jeszcze bardziej, ze złowrogim wyrazem twarzy odepchnął go i zwrócił się do Żerkowa. Nerwowe rozdrażnienie wywołane widokiem Macka, wieści o jego klęsce i myśl o tym, co czeka armię rosyjską, znalazło ujście w złości na niestosowny koncept Żerkowa.

– Jeśli pan – zaczął przeszywająco, a dolna szczęka lekko mu drżała – chcesz być błaznem, to ja nie mogę w tym przeszkadzać, ale oświadczam, że skoro jeszcze raz ośmielisz się błaznować w mojej obecności, to nauczę pana, jak się należy zachowywać.

Nieswicki i Żerkow tak byli zdziwieni tym wybuchem, że patrzyli na Bołkońskiego w milczeniu, z szeroko otwartymi oczyma.

– Cóż, ja mu tylko gratulowałem – rzekł Żerkow.

– Ja z panem nie żartuję, proszę milczeć! – krzyknął Bołkoński; ujawszy Nieswickiego za rękę, odszedł od Żerkowa, który nie znalazł odpowiedzi.

– Ależ co tobie, braciszku! – rzekł Nieswicki uspokajająco.

– Jak to: co? – zaczął książę Andrzej i aż przystanął ze wzburzenia. – Zrozumże: albo jesteśmy oficerami, którzy służąc swemu monarsze i ojczyźnie, cieszą się ze wspólnego sukcesu i trapią wspólnym niepowodzeniem, albośmy lokaje, którym nic do pańskich interesów. *Quarante mille hommes massacrés et l'armée de nos alliés détruite et vous trouvez là le mot pour rire* – oświadczył, jak gdyby tym francuskim zdaniem przypieczętował swą opinię. – *C'est bien pour un garçon de rien, comme cet individu, dont vous avez fait un ami, mais pas pour vous, pas pour vous.*<sup>224</sup> Smarkacze tylko mogą się tak zabawiać – dodał książę Andrzej

<sup>223</sup> Boże, jaki naiwny!

<sup>224</sup> Czterdzieści tysięcy ludzi zginęło, sojusznicza armia została rozbita, a pan wykorzystuje to dla dowcipu...

po rosyjsku, wymawiając to słowo akcentem francuskim, zauważywszy, iż Żerkow mógł jeszcze go słyszeć.

Począł, czy podporucznik mu co odpowie. Ale podporucznik odwrócił się i wyszedł z korytarza.

---

Można to wybaczyć smarkaczowi, jakim jest ów jegomość, z którego pan zrobił swego przyjaciela, ale nie panu, nie panu.

## IV

Pawłogradzki pułk huzarów stacjonował o dwie mile od Braunau. Szwadron, w którym służył jako junkier Mikołaj Rostow, kwaterował w niemieckiej wsi Salzeneck. Najlepszą kwaterę we wsi zajmował dowódca szwadronu, rotmistrz Denisow, znany całej dywizji kawaleryjskiej jako Waśka Denisow. Junkier Rostow, od czasu kiedy dogonił pułk w Polsce, mieszkał razem z dowódcą szwadronu.

11 października, tego samego dnia, kiedy całą kwaterę główną zaalarmowała wieść o klęsce Macka, w sztabie szwadronu życie obozowe płynęło spokojnie, zwykłym trybem. Denisow przez całą noc grał w karty i jeszcze nie było go w domu, gdy Rostow wczesnym rankiem wrócił konno z furazowania. Rostow, w mundurze junkierskim, zajechał przed ganek, zatrzymał konia, sprężystym, młodym ruchem przerzucił nogę, stał chwilę w strzemieniu, jakby nie chciał rozstać się z koniem, wreszcie zeskoczył i zawołał luzaka.

– A, Bondarenko, przyjacielu drogi – rzekł do huzara, który na złamanie karku podbiegł do konia. – Oprowadź go, kochasiu – powiedział z ową braterską, wesołą serdecznością, z jaką dobrzy młodzi ludzie zwracają się do wszystkich, kiedy czują się szczęśliwi.

– Rozkaz, jaśnie panie – odpowiedział Chochoł, wesoło potrząsając głową.

– Uważaj, dobrze oprowadź!

Drugi huzar również popędził do konia, ale Bondarenko już przerzucił wodze. Widać było, że junkier daje dobre napiwki i że warto mu usłużyć. Rostow pogłaskał konia po szyi, potem po zadzie i zatrzymał się na ganku.

„Doskonale! To mi będzie koń” – rzekł do siebie z uśmiechem i przytrzymując szablę wbiegł na ganek dzwoniąc ostrogami. Gospodarz-Niemiec, w ciepłym kaftanie i w szlafmocy, z widłami, którymi wyrzucał nawóz, wyjrzał z obory. Jak tylko Niemiec zobaczył Rostowa, twarz mu się rozpromieniła. Uśmiechnął się wesoło i mrugnął. – *Schön gut Morgen; schön gut Morgen!*<sup>225</sup> – powtarzał znajdując widać zadowolenie w powitaniu młodego człowieka.

– *Schon fleissig* – rzekł Rostow z tym samym radosnym braterskim uśmiechem, który nie schodził mu z twarzy. – *Hoch Österreicher! Hoch Russen! Kaiser Alexander hoch!*<sup>226</sup> Zwrócił się do Niemca, powtarzając słowa, które gospodarz-Niemiec często mówił.

Niemiec roześmiał się, wyszedł zupełnie z drzwi obory, zerwał szlafmocę i machając nią nad głową zawołał:

– *Und die ganze Welt hoch!*<sup>227</sup>

Rostow tak samo jak Niemiec machnął czapką nad głową i zawołał śmiejąc się: „*Und vivat die ganze Welt!*” Choć ani Niemiec, który sprzątał oborę, ani Rostow, który z plutonem jeździł po siano, nie mieli żadnego powodu do specjalnej radości, obaj ci ludzie w radosnym zachwycie i miłości braterskiej popatrzyli na siebie, potrząsnęli głowami na znak wzajemnej miłości i rozeszli się uśmiechnięci – Niemiec do obory, a Rostow do izby, którą zajmował z Denisowem.

– A pan? – zapytał Ławruszkę, ordynansa Denisowa, znanego w całym pułku szachraja.

<sup>225</sup> Dzień dobry, dzień dobry!

<sup>226</sup> Już przy robocie... Niech żyją Austriacy! Niech żyją Rosjanie! Niech żyje cesarz Aleksander!

<sup>227</sup> I cały świat niech żyje!



– Od wieczora jeszcze nie było. Pewno się mój pan zgrał – odpowiedział Ławruszka. – Już ja wiem: jak wygra, przychodzi wcześniej, żeby się pochwalić, a kiedy go do rana nie ma, to znaczy, że się zgrał i przyjdzie zły. Kawę pan rozkaże?

– Dawaj, dawaj.

Po dziesięciu minutach Ławruszka przyniósł kawę.

– Idzie! – oznajmił. – Teraz się zacznie. Rostow wyjrzał oknem i zobaczył wracającego do domu Denisowa. Denisow był to drobny człowieczek z czerwoną twarzą, błyszczącymi czarnymi oczyma, czarnymi zmierzwionymi wąsami i włosami. Miał na sobie rozpięty dolman, opadające w fałdach szerokie spodnie, zsuniętą na tył głowy czapkę. Zbliżał się do ganku, posepnie, ze spuszczoną głową.

– Ławruszka! – krzyknął głośno i z gniewem, wymawiając „r” gardłowo. – No, zdejmuj, bałwanie!

– Przecie i tak zdejmuję – rozległ się głos Ławruszki.

– A, już się wstał – rzekł Denisow wchodząc do pokoju.

– Już dawno – odpowiedział Rostow. – Już w sprawie siana byłem i Fräulein Matyldę widziałem.

– Aha! A ja, bracie, zgrałem się wczoraj jak psubrat ostatni – krzyknął Denisow. – Co za pech! Co za pech!... Jaksz tylko wyjechał, od razu poszło. Ej, herbaty!

Denisow, skrzywiony niby w uśmiechu, pokazał krótkie, mocne zęby; obiema rękami o krótkich palcach jął mierzwić sterczące niby las, czarne gęste włosy.

– Diabeł mnie podkusił iść do tego szczura (przezwiseko oficera) – mówił Denisow rozcierając sobie rękami czoło i twarz. – Wyobraź sobie, że nie dał ani jednej karty, ani jednej, ani jednej.

Denisow wziął zapaloną fajkę, którą mu podano, ścisnął w garści i rozsypując ogień uderzył nią o podłogę. Dalej krzyczał:

– Sympel daje, a parol bije, sympel daje, a parol bije.

Rozsypał ogień, stłukł fajkę i rzucił ją. Milczał przez chwilę, a potem nagle spojrzał wesoło na Rostowa swymi błyszczącymi czarnymi oczyma.

– Żeby choć kobiety były. Bo to nie ma co robić poza pić. Żeby już zacząć walczyć jak najprędzej.

– Hej, kto tam? – zwrócił się do drzwi usłyszawszy zatrzymujące się kroki ciężkich butów z brzękającymi ostrogami i pełne szacunku pokasywanie.

– Wachmistrz! – oznajmił Ławruszka. Denisow skrzywił się jeszcze bardziej.

– Paskudnie – rzekł i rzucił sakiewkę z kilku złotymi monetami. – Rostow, kochasiu, policz, ile tam zostało, i wetknij sakiewkę pod poduszkę – rzekł i wyszedł do wachmistrza.

Rostow wziął pieniądze i machinalnie układając osobno monety stare i nowe, i wyrównując je, zaczął liczyć.

– A! Tielanin! Jak się masz! Dali mi wczoraj łupnia – doleciał z drugiego pokoju głos Denisowa.

– U kogo? U Bykowa? U szczura... Wiedziałem – rzekł inny, cieniutki głos i zaraz potem wszedł do pokoju porucznik Tielanin, niziutki oficer z tego samego szwadronu.

Rostow rzucił sakiewkę pod poduszkę i uściskał wyciągniętą małą, wilgotną rękę. Przed wymarszem Tielanin został za coś przeniesiony z gwardii. W pułku sprawował się bardzo dobrze, ale go nie lubiano, szczególnie zaś Rostow nie mógł ani przewyciężyć, ani ukryć swego bezpodstawnego wstrętu do tego oficera.

– No cóż, młody kawalerzysto, jak panu służy mój Graczyk? – zapytał. (Graczyk był to wierzchowiec, podjezdek, którego Tielanin sprzedał Rostowowi.)

Porucznik nigdy nie patrzył w oczy temu, z kim rozmawiał; jego oczy przebiegały ciągle z jednego przedmiotu na drugi.

– Widziałem, jak dziś przejeżdżałeś...

– Niczego sobie, dobry koń – odpowiedział Rostow, pomimo że koń, którego kupił za siedemset rubli, nie był wart nawet połowy tej ceny. – Zaczął utykać na lewą przednią... – dodał.  
– Pęknięcie kopyta. Ale to nic. Nauczę pana, pokażę, jak się to zaklepuje.  
– Tak, proszę mi pokazać – rzekł Rostow.  
– Pokażę, pokażę, to nie sekret. Będzie mi pan za konia dziękował.  
– No to każę przyprowadzić konia – powiedział Rostow pragnąc się uwolnić od Tielanina i wyszedł, by kazać przyprowadzić konia.

W sieni na progu siedział skulony Denisow z fajką, słuchając raportującego mu coś wachmistrza. Zobaczywszy Rostowa skrzywił się, a wskazując dużym palcem przez ramię na pokój, w którym siedział Tielanin, zmarszczył brwi i otrząsnął się ze wstrętem.

– Och, nie lubię tego chwata – rzekł nie krępując się obecnością wachmistrza.

Rostow wzruszył ramionami, jakby mówił: „I ja również, ale nie ma rady!”, wydał rozkaz i wrócił do Tielanina.

Tielanin siedział ciągle w tej samej rozleniwionej pozie, w jakiej go był zostawił Rostow, i zacierał małe, białe ręce.

„Że też są takie obmierzłe twarze” – pomyślał Rostow wchodząc do pokoju.

– Cóż, kazałeś, hrabio, przyprowadzić konia? – rzekł Tielanin wstając i rozglądając się niedbale.

– Kazałem.

– No to chodźmy. Wstąpiłem, żeby tylko zapytać Denisowa o wczorajszy rozkaz. Denisow, otrzymał go pan?

– Jeszcze nie. A pan dokąd?

– Chcę młodego człowieka pouczyć, jak się kuje konia – oświadczył Tielanin.

Wyszli na ganek i do stajni. Porucznik powiedział, jak robić zaklepkę, i poszedł do domu.

Kiedy Rostow wrócił, na stole stała butelka z wódką i leżała kielbasa. Denisow siedział przy stole i skrzypiał piórem po papierze. Ponuro spojrział Rostowowi w oczy.

– Do niej piszę – oświadczył.

Wsparł się łokciami na stole i trzymając pióro w ręku, najwidoczniej ucieszony z okazji, że ustnie będzie mógł prędzej wypowiedzieć wszystko to, co chciał napisać, jął wyklądać Rostowowi treść swego listu.

– Widzisz, przyjacielu – rzekł. – Póki nie kochamy – śpimy. Jesteśmy nędznym prochem... a pokochawszy – jesteśmy, niby Bóg, czyści jak w pierwszym dniu stworzenia... A to jeszcze kto? Wypędź do diabła. Nie mam czasu! – krzyknął na Ławruszkę, który podszedł do niego bez najmniejszej obawy.

– Kto ma być? Sam pan rotmistrz kazał. Wachmistrz przyszedł po pieniądze.

Denisow skrzywił się, chciał coś krzyknąć i zamilkł.

– Paskudna sprawa – mruknął do siebie. – Ile zostało w sakiewce? – zapytał Rostowa.

– Siedem nowych i trzy stare.

– Uf, paskudnie! Czego stoisz, pokrako, wołaj tu wachmistrza! – krzyknął Denisow na Ławruszkę.

– Denisow, proszę cię, weź ode mnie, przecie mam – rzekł Rostow rumieniąc się.

– Nie lubię pożyczać od swoich, nie lubię – mruknął Denisow.

– Jeśli po koleżeńsku nie przyjmiesz ode mnie pieniędzy, to mnie obrazisz. Naprawdę mam – powtarzał Rostow.

– Nie wezmę.

I Denisow podszedł do łóżka, by spod poduszki wyjąć sakiewkę.

– Rostow, gdzieś położył?

– Pod spodnią poduszkę.

– Nie ma.

Denisow zrzucił na podłogę obie poduszki. Sakiewki nie było.

– A to dziw!

– Poczekaj no, czyś czasem nie upuścił? – rzekł Rostow.

Podnosił każdą poduszkę z osobna i wytrząsał. Zrzucił i strząsnął kołdrę. Sakiewki nie było.

– Czyżbym zapomniał? Ale nie, jeszcze sobie pomyślał, że kładę pod głowę niby jaki skarb – rzekł Rostow. – Tutaj położyłem sakiewkę. Gdzie ona jest? – zwrócił się do Ławruszki.

– Ja tu nie wchodziłem. Gdzie położona, tam powinna być.

– Ale nie ma.

– Bo panowie zawsze tak: rzucą gdzieś i zapomną. Jaśnie pan zobaczy w kieszeniach.

– Tak, gdybym nie był pomyślał o skarbie... – oświadczył Rostow. – Ale pamiętam, że położyłem.

Ławruszka obszukał całe łóżko, zajrzał pod nie, pod stół, przeszukał cały pokój i zatrzymał się na środku. Denisow w milczeniu przyglądał się ruchom Ławruszki, a kiedy Ławruszka, zdziwiony, rozłożył ręce mówiąc, że nigdzie nie ma, spojrzał na Rostowa.

– Rostow, czy ty sobie nie figl...

Rostow, poczuwszy na sobie spojrzenie Denisowa, podniósł oczy i natychmiast je spuścił. Wszystka krew, która była gdzieś poniżej gardła, spłynęła falą do twarzy i oczu.

Nie mógł złapać tchu.

– I w pokoju nie było nikogo prócz porucznika i jaśnie pana. Chyba tu gdzieś musi być – rzekł Ławruszka.

– No, ty kukło diabelska, ruszaj się, szukaj – krzyknął nagle Denisow purpurowiejac i z gestem groźby rzucając się na ordynansa. – Sakiewka ma się znaleźć, inaczej zaćwiczę!

Wszystkich zaćwiczę!

Rostow, wymijając spojrzeniem Denisowa, zaczął zapinać kurtkę, podciągnął szablę i włożył czapkę.

– Powiadam ci, że sakiewka ma się znaleźć! – krzyczał Denisow potrząsając ordynansa za ramiona i uderzając nim o ścianę.

– Denisow, daj mu spokój, ja wiem, kto wziął – rzekł Rostow idąc do drzwi i nie podnosząc oczu.

Denisow zatrzymał się, zastanowił, a widocznie zrozumiał aluzję Rostowa, chwycił go za rękę.

– Bzdura! – krzyknął tak, aż żyły na czole i szyi nabrzmiały mu jak postronki. – Powiadam ci, żeś zwariował, ja na to nie pozwolę. Sakiewka jest tutaj, skórę złupię z tego łajdaka, ale się znajdzie.

– Ja wiem, kto wziął – powtórzył Rostow drżącym głosem i wyszedł.

– A ja ci mówię, nie waź się tego robić – krzyknął Denisow podbiegając do junkra, żeby go zatrzymać.

Ale Rostow wydarł rękę z taką złością, jakby Denisow był jego największym wrogiem, i skierował nań proste i twarde spojrzenie.

– Czy ty rozumiesz, co mówisz? – rzekł drżącym głosem. – Prócz mnie nikogo nie było w pokoju. Więc jeśli nie on, to...

Nie mógł dokończyć i wybiegł z pokoju.

– Ach, pał was wszystkich diabli! – to były ostatnie słowa, jakie usłyszał Rostow.

Rostow przyszedł na kwaterę Tielanina.

– Nie ma pana w domu, pojechał do sztabu – oznajmił mu ordynans Tielanina. – Czy coś się stało? – dodał dziwiąc się zmienionej twarzy junkra.

– Nie, nic.

– Omal jaśnie pan nie zdążył – rzekł ordynans. Sztab znajdował się o trzy wiorsty od Salzeneck. Rostow, nie wstępując do siebie, wziął konia i pojechał do sztabu. We wsi, którą zaj-

mował sztab, znajdowała się traktiernia, odwiedzana przez oficerów. Rostow przyjechał do traktierni, przed gankiem zobaczył konia Tielanina.

W drugim pokoju traktierni siedział porucznik przy talerzu kielbasek i butelce wina.

– A, młodzieńcze, i pan tu wstąpił – rzekł uśmiechając się i wysoko unosząc brwi.

– Tak – powiedział Rostow, jakby wypowiedzenie tego słowa wiele go kosztowało. Usiadł przy sąsiednim stole.

Obaj milczeli; w pokoju siedzieli dwaj Niemcy i jakiś oficer rosyjski. Wszyscy milczeli, słyhać było tylko szczęknięcie noży o talerze i mlaskanie porucznika. Kiedy Tielanin skończył śniadanie, wydobyl z kieszeni podwójną sakiewkę, małymi, białymi palcami, wygiętymi w górę, rozsunął kółeczka, wyjął pieniądz i uniósłszy brwi podał go służącemu.

– Proszę się pośpieszyć – powiedział.

Pieniądz był nowy. Rostow wstał i podszedł do Tielanina.

– Pozwól pan, iż obejrzę sakiewkę – rzekł cicho, ledwie dosłyszalnie.

Z rozbieganymi oczyma, ale z wciąż uniesionymi brwiami Tielanin podał sakiewkę.

– Tak, doskonała sakiewka... Tak... tak... – rzekł i nagle zbladł. – Popatrz, młodzieńcze – dodał.

Rostow wziął w ręce sakiewkę, popatrzył na nią, na pieniądze, które w niej były, i na Tielanina. Swoim zwyczajem porucznik rozglądał się wokół i jak gdyby nagle bardzo poweselał.

– Jak będziemy w Wiedniu, wszystko tam zostawię, a teraz nie ma co robić z pieniędzmi w tych marnych miasteczkach – oświadczył. – No, daj pan, młodzieńcze, idę.

Rostow milczał.

– A pan co? Też na śniadanie? Tu dają dobrze jeść – ciągnął Tielanin. – Dajże pan.

Wyciągnął rękę i ujął sakiewkę. Rostow puścił ją. Tielanin wziął sakiewkę i zaczął ją wpuszczać w kieszeń rajtuzów, uniósł brwi niedbale, a usta lekko rozchylił, jakby mówił: „Tak, tak, kładę do kieszeni swoją sakiewkę, to całkiem proste, a nikomu nic do tego.”

– No co, młodzieńcze? – rzekł z westchnieniem i spod uniesionych brwi spojrzął Rostowowi w oczy. Jakiś błysk przebiegł z oczu Tielanina w oczy Rostowa i z powrotem, tam i z powrotem – z szybkością iskry elektrycznej, w jedno mgnienie.

– Proszę tutaj – wyrzekł Rostow chwytając Tielanina za rękaw. Prawie przyciągnął go do okna. – To pieniądze Denisowa, pan je wziął... – wyszeptał mu nad uchem.

– Co?... Co?... Jak pan śmie? Co?... – powiedział Tielanin.

Ale te słowa brzmiały żałośnie, krzykiem rozpaczony i błaganiem o przebaczenie. Jak tylko Rostow usłyszał to brzmienie głosu, spadł mu z serca ogromny kamień niepewności. Poczul radość, a jednocześnie zrobiło mu się żal tego nieszczęsnego człowieka, stojącego przed nim, należało jednak rozpocząć sprawę prowadzić do końca.

– Tu ludzie mogą Bóg wie co pomyśleć – mamrotał Tielanin chwytając czapkę i kierując się do niewielkiego, pustego pokoju... – Trzeba się rozmówić...

– Ja to wiem i ja to udowodnię – oświadczył Rostow.

– Ja...

W przestraszony bladej twarzy Tielanina jeły drzeć wszystkie mięśnie: oczy mu ciągle biegały, lecz gdzieś nisko, nie podnosząc się ku twarzy Rostowa; rozległo się pochlipywanie.

– Hrabio!... proszę nie gubić młodego człowieka... oto te nieszczęsne pieniądze, proszę je wziąć... – Rzucił je na stół. – Mam ojca staruszka, matkę!...

Rostow wziął pieniądze i unikając spojrzenia Tielanina, nie mówiąc ani słowa, wyszedł z pokoju. Jednak zatrzymał się przy drzwiach i zawrócił.

– Mój Boże – rzekł ze łzami w oczach – jak pan mógł to zrobić?

– Hrabio – rzekł Tielanin zbliżając się do junkra.

– Proszę mnie nie dotykać – rzekł Rostow i odsunął się. – Jeśli pan jest w potrzebie, to proszę wziąć te pieniądze. – Rzucił mu sakiewkę i wybiegł z traktierni.

## V

Wieczorem tego samego dnia oficerowie szwadronu prowadzili ożywioną rozmowę w kwaterze Denisowa.

– Panie Rostow, powiadam, żeś powinien przeprosić dowódcę pułku – mówił do sąsiedniego, wzburzonego Rostowa wysoki sztabrotmistrz o siwiejących włosach, wielkim wąsie i grubych rysach pomarszczonej twarzy.

Rotmistrz Kirsten był dwukrotnie degradowany na prostego żołnierza za sprawy honorowe i dwukrotnie dosługiwał się stopnia.

– Nikomu nie pozwolę powiedzieć sobie, że kłamię! – wykrzyknął Rostow. – Powiedział mi, że kłamię, a ja mu powiedziałem, że on kłamie. Więc tak ma zostać. Może mi wyznaczać dyżury choćby co dzień i sadzać do aresztu, ale nikt nie zmusi mnie, bym go przeproszał – o ile on, jako dowódca pułku, uważa za niegodne siebie dać mi satysfakcję, więc...

– Poczekaj, serdeńko; posłuchaj mnie pan – przerwał mu sztabrotmistrz swym basowym głosem i spokojnie gładził długie wąsy. – Pan wobec innych oficerów powiada dowódcy pułku, że oficer ukradł...

– Ja nie jestem winien temu, że przyszło do rozmowy przy innych oficerach. Może i nie należało mówić przy nich, ale ja nie jestem dyplomata. Po to zaciągnąłem się do huzarów, bom myślał, że tu nie potrzeba tych subtelnosci, a on mi powiada, że ja kłamię... więc niech mi da satysfakcję...

– To wszystko pięknie, nikt nie myśli, żeś tchórz, ale nie o to chodzi. Proszę zapytać Denisowa, do czego to podobne, żeby junkier żądał satysfakcji od dowódcy pułku!

Denisow, przygryzając wąsa, z ponurą miną przysłuchiwał się rozmowie, najwidoczniej nie chciał się do niej mieszać. Na pytanie sztabrotmistrza pokręcił głową przecząco.

– Przy oficerach mówisz pan dowódcy o tym paskudztwie – ciągnął sztabrotmistrz. – Bogdanycz (Bogdanyczem nazywano dowódcę pułku) osadził pana.

– Nie osadził, ale powiedział, że mówię nieprawdę.

– No tak, a pan nagadałeś mu głupstw, więc trzeba go przeprosić.

– Za nic! – krzyknął Rostow.

– Nie spodziewałem się tego po panu – rzekł sztabrotmistrz poważnie i surowo. – Nie chcesz przeprosić, serdeńko, choć nie tylko wobec niego, ale wobec całego pułku, wobec nas wszystkich, bardzo zawiniłeś. Bo tak: zamiast się zastanowić i naradzić, jakie w tej sprawie znaleźć wyjście, toś pan wygarnął z miejsca, i w dodatku przy oficerach. I co teraz dowódca ma zrobić? Oddać oficera pod sąd i splamić cały pułk? Z powodu jednego łajdaka cały pułk zhańbić? Wedle pana to tak. Ale wedle naszego mniemania inaczej. Zuch Bogdanycz powiedział, że mówisz nieprawdę. Przykre to, serdeńko, ale cóż robić, sameś się nadział. A teraz, kiedy chcą całą sprawę zatuszować, pan przez jakieś fanaberie nie chcesz go przeprosić, tylko wszystko rozgadać. Czujesz się urażony, że trzeba podyżurować, ale cóż to dla pana przeprosić starego, uczciwego oficera! Bogdanycz, jaki on tam jest, to zacny i mężny oficer, stary pułkownik; to panu krzywda, a splamić pułk to nic! – Głos sztabrotmistrza zaczynał drżeć. – Serdeńko, pan jesteś w pułku trzy dni i dziś tu, jutro pójdziesz gdzieś za adiutancika, gwizdziesz sobie na to, że będą mówić:

„Wśród oficerów pawłogradzkich są złodzieje!” A nam nie wszystko jedno. Denisow, tak czy nie? Prawda, że nie wszystko jedno?

Denisow wciąż milczał i nie ruszał się, z rzadka spoglądając na Rostowa swymi błyszczącymi czarnymi oczyma.

– Panu drogie są własne fanaberie i nie chcesz przeprosić – ciągnął sztabrotmistrz – ale nam, starym, którzyśmy w pułku wyrosli i, daj Boże, tutaj umrzemy, honor pułku jest drogi i Bogdanycz to wie. I jak jeszcze drogi, serdeńko! Niedobrze, bardzo niedobrze! Możesz się pan obrazić albo nie, a ja zawsze szczerą prawdę w oczy powiem. Nieładnie!

I sztabrotmistrz wstał, i odwrócił się od Rostowa.

– Prawda, pal diabli! – krzyknął Denisow zrywając się. – No, Rostow, no!

Rostow czerwienił się i bladł, spoglądając to na jednego, to na drugiego oficera.

– Nie, panowie, nie... wy nie myślcie... ja dobrze rozumiem, niesłusznie o mnie tak sądzicie... ja... dla mnie... ja za honor pułku... cóż? Udowodnię, że i dla mnie honor sztandaru... cóż, wszystko jedno, prawda, moja wina... – Miał łzy w oczach. – Zawiniłem, moja wina!... Więc czegoż jeszcze wam trzeba?...

– Tak właśnie należy, hrabio – zawołał rotmistrz odwracając się i klepiąc go dużą ręką po ramieniu.

– Ja ci mówię, chwyt z chłopaka – krzyknął Denisow.

– Tak będzie lepiej, hrabio – powtórzył sztabrotmistrz, zaczynając go tytułować, jakby w zamian za przyznanie się do winy. – Niech pan hrabia idzie i przeprosi.

– Panowie, zrobię wszystko, nikt ode mnie słowa nie usłyszy – powiedział Rostow błagalnym głosem. – Ale przeproszać nie mogę, jak Boga kocham, nie mogę, jak chcecie! Jak ja mam przeproszać? Nie mogę, dalibóg, nie mogę, róbcie, co chcecie! Cóż, będę się tłumaczył jak mały chłopczyk, będę prosił o przebaczenie. Denisow roześmiał się.

– Tym gorzej dla pana. Bogdanycz jest pamiętliwy, zapłacisz za swój upór – rzekł Kirsten.

– Dalibóg, to nie upór! Nie potrafię wam opisać, jakie to uczucie, nie potrafię...

– No, pańska wola – rzekł rotmistrz. – A gdzie się podział ten łajdak? – zapytał Denisowa.

– Podał się za chorego. W jutrzejszym rozkazie dziennym kazano go skreślić z listy – oświadczył Denisow.

– Inaczej nie można tego wytłumaczyć, jak tylko chorobą – rzekł sztabrotmistrz.

– Choroba czy nie choroba, ale niech mi nie włązi w oczy... zabiję! – wykrzyknął krwiożerczo Denisow. Do pokoju wszedł Żerkow.

– A ty skąd? – oficerowie zwrócili się nagle do niego.

– Wymarsz, panowie. Mack poddał się wraz z całą armią.

– Łżesz!

– Sam widziałem.

– Jak to? Żywego Macka widział! Z rękami, z nogami?

– Wymarsz! Wymarsz! Postawić mu butelkę za taką wiadomość. Jakeś tu trafił?

– Znów mnie odesłali do pułku za tego diabła Macka. Austriacki generał naskarżył. Pogratulowałem mu przybycia Macka... Co ci jest, Rostow, jakbyś z łaźni wyskoczył?

– U nas bracie, już drugi dzień taki bigos.

Wszedł adiutant pułkowy i potwierdził wiadomość przywieziona przez Żerkowa. Był rozkaz, żeby wymaszerować rano.

– Wymarsz, panowie!

– No, chwalić Boga, bo jużemy się zasiedzieli.

## VI

Kutuzow cofnął się w kierunku Wiednia niszcząc za sobą mosty na Innie (w Braunau) i na Traunie (w Linzu). 29 października wojska rosyjskie przeprowały się przez rzekę Enns. W biały dzień tabory rosyjskie, artyleria i kolumny wojsk ciągnęły przez miasto po obu stronach mostu.

Dzień był ciepły, jesienny i dżdżysty. Rozległa perspektywa, otwierająca się z wyniosłości, gdzie stały baterie rosyjskie strzegące mostu, to przesłaniała się nagle muślinową firanką ukośnego deszczu, to znów rozsuwała się, a wtedy w blasku słońca daleko i wyraziście widać było wszystkie przedmioty, jak gdyby pociągnięte lakierem. U stóp widniało miasteczko z białymi domami i czerwonymi dachami, katedrą i mostem, po którego obu stronach przelewały się stłoczone masy rosyjskich wojsk. Na zakręcie Dunaju widniały statki, wyspa i zamek z parkiem, otoczony wodami rzeki Enns, wpadającej do Dunaju, widniał lewy brzeg Dunaju, skalisty, pokryty sosnowym borem, z tajemniczą dałą zielonych wierzchołków i błękitniejących wąwozów. Widniały wieże klasztoru, wysuwającego się spoza sosnowego boru, wydającego się dziewiczym, a daleko, na górze, po przeciwległej stronie Enns, widniały rekonesanse nieprzyjaciela.

Wśród dział na wzgórzu stał na przedzie generał, dowódca ariergardy, i oficer ze świty; spoglądając przez lunetę, badał miejscowość. Nieco z tyłu siedział na lufie armaty Nieswicki, przysłany do ariergardy przez naczelnego wodza. Kozak, towarzyszący Nieswickiemu, podał mu manierkę oraz torbę i Nieswicki częstował oficerów ciasteczkami oraz prawdziwą dubel-tową kminkówką. Oficerowie otoczyli go z uciechą, ten klęcząc, ów siedząc po turecku na mokrej trawie.

– Tak, niegłupi był ten książę austriacki, co tu zbudował zamek. Wspaniała okolica. Ale czemu nie jecie, panowie? – mówił Nieswicki.

– Pokorne dzięki, książę – odpowiedział jeden z oficerów, z zadowoleniem rozmawiając z tak znamienitym sztabowcem. – Wspaniały zakątek. Przechodziliśmy obok parku, widzieliśmy dwa jelenie, a jaki dom wspaniały!

– Niech książę spojrzy – powiedział drugi, który miał wielką chęć wziąć jeszcze jedno ciasteczko, ale się wstydził, więc udawał, że przygląda się okolicy. – Niech książę spojrzy, dokąd już dotarła nasza piechota. O, tam, na polance, za wsią, trzech coś ciągnie. Już oni przetrząsną ten pałac – rzekł z widoczną aprobatą.

– A tak, a tak – powiedział Nieswicki. – Ba, ale ja bym pragnął – dodał żując ciasteczko w swych ładnych, wilgotnych ustach – tam się przedostać.

Wskazał na klasztor z wieżami, widniejący na górze. Uśmiechnął się, oczy mu się zwały i zabłyśły.

– Dobre by to było, panowie!

Oficerowie się roześmieli.

– Żeby tak postraszyć owe mniszeczki. Powiadają, że są tam Włoszki młodziutkie. Doprawdy, oddałbym pięć lat życia!

– Przecie im się też przykrzy – rzekł śmiejąc się jeden z oficerów, śmielszy.

Tymczasem oficer ze świty, który stał na przedzie, wskazywał coś generałowi: generał patrzył przez lunetę.

– No, tak, właśnie – rzekł gniewnie generał odejmując lunetę od oczu i wzruszając ramionami. – Tak jest, zaczął walić po przeprawiających się. Dlaczego ci tam marudzą?

Po przeciwnej stronie widać było gołym okiem nieprzyjaciela i jego baterię, z której pokażał się mlecznobiały dymek. Tuż za dymkiem rozległ się daleki wystrzał i widać było, jak nasze wojska przyspieszyły swe ruchy.

Nieswicki wstał, odsapnął i podszedł do generała z uśmiechem.

– Może wasza ekscelencja przekąsi – powiedział.

– Kiepska sprawa – rzekł generał nie odpowiadając mu. – Nasi się spóźnili.

– Może by tak pojechać, ekscelencjo? i – rzekł Nieswicki.

– Tak, proszę pojechać – rzekł generał i powtórzył rozkaz, który już raz dany był ze szczegółami. – I powiedz pan huzarom, żeby przeszli na ostatku i podpalili most, jakem kazał, a trzeba jeszcze raz zlustrować materiały palne na moście.

– Doskonale – odpowiedział Nieswicki. Przywołał Kozaka z koniem, kazał zabrać torbę i manierkę i lekko przerzucił na siodło swe ciężkie ciało.

– Doprawdy, pojedę do mniszeczki – oświadczył oficerom patrzącym na niego z uśmiechem i ruszył w górę wijącą się ścieżką.

– Ano, wygarnijcie, kapitanie, zobaczymy, jak daleko doniesie! – rzekł generał zwracając się do artylerzysty. – Rozerwijcie się w tej nudzie.

– Do dzia! – zakomenderował oficer; po chwili artylerzyści wesoło przybiegli do ognisk i załadowali działa.

– Pierwsze! – rozległa się komenda.

Numer pierwszy odskoczył dziarsko. Działo zadzwoniło metalicznie, ogłuszająco i ponad głowami naszych, będących u podnóża, ze świstem przeleciał granat, daleko od stanowisk nieprzyjaciela dymkiem wskazał miejsce swego upadku i rozpętał się.

Na ten dźwięk twarze żołnierzy i oficerów poweselały; wszyscy powstali i zajęli się obserwowaniem widocznych jak na dłoni ruchów naszych wojsk i dalej – ruchów zbliżającego się nieprzyjaciela. W tej chwili słońce całkiem wyszło spoza chmur i ten piękny dźwięk pojedynczego wystrzału oraz jaskrawy blask słońca zlały się w jedno rześkie i wesołe wrażenie.



## VII

Nad mostem już przeleciały dwa pociski nieprzyjacielskie; na moście panował ścisk. Na środku mostu, zsiadłszy z konia, stał książę Nieswicki, przyciśnięty tęgim ciałem do poręczy, ze śmiechem oglądał się za siebie, na swego Kozaka, który trzymając oba konie stał o kilka kroków za nim. Gdy książę Nieswicki chciał posunąć się naprzód, żołnierze i wozy znowu napierali na niego, znowu przycisnęli go do poręczy, nic więc mu innego nie pozostawało jak uśmiechać się.

– Takiś ty, bratku! – mówił Kozak do żołnierza taborowego, który nacierał wozem na piechotę, tłoczącą się przy samych kołach i koniach. – Takiś ty! Zamiast poczekać, żeby generał najpierw przejechał.

Ale żołnierz nie zwracał uwagi na tytuł generała i krzyczał na tarasujących mu drogę:

– Hej, ziomkowie, skróćcie w lewo, poczekajcie!

Ale ziomkowie zwierając się ramionami, szepiając bagnety i nie rozstępując się spływali przez most jedną zbitą masą. Książę Nieswicki popatrzył w dół poza poręcz: widział bystre, szumiące, niewysokie fale Ennsu, które, zlewając się, mieniły się łuską, załamywały przy palach mostu i prześcigały nawzajem. Gdy spojrział na most, widział podobne, jednostajne, żywe fale żołnierzy, chwasty, kiwiory w pokrowcach, tornistry, bagnety, długie karabiny, a spod kaszkietów twarze o wystających kościach policzkowych z zapadniętymi policzkami, z wyrazem niefrasobliwie zmęczonym, widział nogi, posuwające się po lepkich od naniesionego błota deskach mostu. Czasami wśród monottonnych fal żołnierzy przeciskał się – niby bryzg białej piany w wodach Ennsu – oficer w płaszczu, z fizjonomią tak różną od twarzy żołnierskich; czasami fale piechoty unosiły na moście – niby wiór wijący się na rzece – pieszego huzara, ordynansa lub tutejszego mieszkańca; czasami, niby płynące rzeką drewno – przepływał przez most otoczony ze wszystkich stron wóz kompanijny lub oficerski, wypełniony aż po brzegi i przykryty skórą.

– Patrzcie, jakby się tama zerwała – mówił Kozak, zatrzymując się zrezygowany. – Dużo was tam jeszcze?

– Milion przez jednego! – rzekł mrugnawszy okiem przechodzący w pobliżu wesóły żołnierz w podartym płaszczu i zniknął. Za tym żołnierzem szedł inny, stary.

– Jak on (on – nieprzyjaciel) zacznie tera grzać w most – mówił ponuro stary żołnierz zwracając się do towarzysza – to zapomnisz się podrapać.

I żołnierz przeszedł. Za nim inny żołnierz jechał na wozie.

– Gdzie, do diabła, wpakowałem onuce? – mówił ordynans biegnąc za wozem i szukając w nim. I ten za wozem przeszedł. Potem szli żołnierze weseli, widocznie podchmieleni.

– Jak ci on go, człeczko kochany, gwizdnie kolbą w same zęby... – mówił z uciechą pewien żołnierz w wysoko podkasanym płaszczu, szeroko wymachując ręką.

– A właśnie, to ci przysmak – odpowiadał drugi śmiejąc się.

I przeszli, więc Nieswicki nie dowiedział się, kto dostał w zęby i co miał oznaczać ów przysmak.

– Jak to się spieszą. Trzepnął tamten raz, to już myślą, że wszystkich pozabija – mówił podoficer gniewnie i z wyrzutem.

– Jak toto, niby ten pocisk, przeleciało koło mnie, to ja, wujaszku, ażem zmartwiał – mówił młody żołnierz z wielkimi ustami, z trudem wstrzymując się od śmiechu.

– Prawda, jak Boga Kocham, takem się przestraszył – mówił ów żołnierz, jak gdyby chwalać się swym strachem.

I ten przeszedł. Za nim jechał wóz całkiem niepodobny do tych, które przejeżdżały dotychczas. Była to fura niemiecka, zaprzężona w parę koni, na którą załadowano chyba cały dom; z tyłu fury, powożonej przez Niemca, była uwiązana piękna łaciata krowa z ogromnym wymieniem. Na pierzynach siedziała kobieta z niemowlęciem, starszka i młoda, o żywym rumieńcu, hoża niemiecka dziewczyna. Ci wysiedleni mieszkańcy zostali widać przepuszczeni za specjalnym pozwoleniem. Oczy wszystkich żołnierzy zwróciły się na kobiety i dopóki wóz przejeżdżał, posuwając się krok za krokiem, dopóty wszystkie uwagi żołnierzy odnosiły się do dwóch kobiet. Wszystkie twarze miały niemal ten sam uśmiech nieprzystojnych myśli o tej kobiecie.

– Widzicie, kielbaśnik też ucieka!

– Sprzedaj tę mamkę – mówił do Niemca inny żołnierz, akcentując ostatnią sylabę, a tamten, spuściwszy oczy, gniewnie a lekko przechodził szerokim krokiem.

– A jak się wystroiła! Niech to diabli!

– Fiedotow, u nich powinienesz kwaterować!

– Nie nowina, bracie!

– A wy dokąd? – pytał oficer piechoty jedzący jabłko, również patrząc z półuśmiechem na ładną dziewczynę.

Niemiec przymknął oczy dając do poznania, że nie rozumie.

– Chcesz, to weź sobie – mówił oficer podając dziewczynie jabłko.

Dziewczyna wzięła z uśmiechem. Nieswicki, jak i wszyscy znajdujący się na moście, nie spuszczał oczu z kobiet, dopóki nie przejechały. Kiedy zaś przejechały, znowu szli tacy sami żołnierze wśród takich samych rozmów i wreszcie wszyscy się zatrzymali. Jak to często się zdarza, zjeżdżając z mostu konie wozu kompanijnego zaplątały się i cały tłum musiał czekać.

– A dlaczego przystają? Porządku nie ma! – mówili żołnierze. – Gdzie się pchasz? Do diabła! Nie może poczekać. Gorzej będzie, jak tamten most podpali. Widzicie, i oficera też przyparli – mówiono w różnych stronach zatrzymanego tłumu, ludzie spoglądali po sobie i ciągle się cisnęli naprzód, ku zjazdowi.

Spoglądając pod most na wody Ennsu Nieswicki usłyszał nagle dźwięk dla siebie nowy: coś przybliżało się szybko... coś dużego chlapnęło w wodę.

– Patrzcie, gdzie załazł! – rzekł surowo stojący w pobliżu żołnierz, który się obejrzał na ten dźwięk.

– Dodaje ochoty, żeby prędzej przechodzić – odpowiedział inny.

Tłum znowu ruszył. Nieswicki zrozumiał, że to był pocisk.

– Hej, Kozak, konia! – powiedział. – No, wy tam, na bok, z drogi!

Z wielkim trudem przedostał się do konia. Ruszył naprzód nie przestając krzyczeć. Żołnierze ścisnęli się, by go przepuścić, ale znów tak na niego napparli, aż przygnietli mu nogę, lecz najbliżsi nie byli winni, bo ich pchano jeszcze mocniej.

– Nieswicki, Nieswicki! Mordo jedna! – usłyszał z tyłu ochrypły głos.

Nieswicki obejrzał się i o jakie piętnaście kroków zobaczył oddzielonego żywą masą poruszającej się piechoty czerwonego, czarnego, rozkudłanego Waśkę Denisowa, w czapce zsuniętej na kark, w dolmanie zarzuconym chwacko na ramię.

– Każ tym szatanom, tym diabłom, żeby przepuścili! – krzyczał Denisow, znajdujący się widać w napadzie zapalczywości, toczył i błyskał swymi czarnymi jak węgiel oczyma o rozpalonych białkach, wywijał nie wydobytą z pochwy szablą, którą trzymał w gołej, małej ręce, równie czerwonej jak i twarz.

– O, Wasia! – odpowiedział ucieszony Nieswicki.

– Co z tobą?

– Szwadron nie może przejść – krzyczał Waśka Denisow ukazując w złości białe zęby i dodając ostrogi swemu pięknemu karemu Beduinowi, który strzygł uszami na widok bagnów, które go trącały, parskał i rozbryzgiwał wokół siebie pianę z munsztuka, bił z brzękiem kopytami po deskach mostu i niemal gotów był skoczyć przez poręcz, gdyby mu jeździec pozwolił.

– Cóż to? Jak te barany! Jota w jotę barany! Precz... z drogi!... Stój! Ty z wozem, diable! Szablą porąbię! – krzyczał i naprawdę wyjął szablę i zaczął nią wywijać.

Żołnierze z przestraszonymi twarzami zaczęli napierać jedni na drugich i Denisow przyłączył się do Nieswickiego.

– Czyś ty aby dziś nie pijany? – zapytał Nieswicki, kiedy Denisow podjechał do niego.

– Nie dadzą nawet pić! – odpowiedział Waśka Denisow. – Cały dzień ciągną pułk to tu, to tam. Jeśli się bić – to bić. A to diabli wiedzą co!

– Ale z ciebie dziś elegant! – rzekł Nieswicki oglądając jego nowy dolman i czaprak

Denisow uśmiechnął się, wyjął z szabeltasu chusteczkę, od której bił zapach perfum, i potknął ją pod nos Nieswickiemu.

– A jakże, idę w bój! Ogoliłem się, wyczyściłem zęby i naperfumowałem się.

Okazała postać Nieswickiego w asyście Kozaka, stanowczość Denisowa, wywijającego szablą i krzyczącego przeraźliwie, poskutkowało o tyle, że przecisnęli się na drugą stronę mostu i zatrzymali piechotę. U przyczółka mostu Nieswicki znalazł pułkownika, któremu miał oddać rozkaz, i – spełniwszy swe zadanie – zawrócił.

Oczyściwszy drogę Denisow zatrzymał się przy wjeździe na most. Niedbale ściągnając ogiera, rwącego się ku swoim i grzebiącego nogą, patrzył na posuwający się szwadron. Na deskach mostu rozległy się wyraźne odgłosy kopyt, jakby galopowało tylko kilka koni, szwadron, z oficerami na przedzie, rozciągnął się czwórkami na moście i jął przechodzić na drugą stronę.

Zatrzymani piechurzy tłocząc się przy moście w rozdeptanym błocie z tym szczególnym, nieżyczliwym uczuciem obcości i drwiny, z jakim zazwyczaj spotykają się wojska różnej broni, patrzyli na czystych, strojnych huzarów, którzy mijali ich w ordynku.

– Strojne chłopaki! Tylko na paradę!

– Jaki tam z nich pożytek! Wodzą ich jeno na pokaz – mówił inny.

– Piechota, nie kurzyć! – zażartował huzar, pod którym koń zatańczył i ochlapał błotem piechura.

– Przepędziłbym cię tak z tornistrem ze dwa przemarsze, to dopiero by ci się akselbanty przetarły – mówił piechur ścierając rękawem błoto z twarzy. – Bo to siedzi sobie niby ptaszek!

– Właśnie, Zikin, ciebie jeno na konia posadzić, zgrabnie byś wyglądał – żartował gefreiter z chudego żołnierzyka, zgiętego pod ciężarem tornistra.

– A weź między nogi kłonicę i będziesz miał konia – odezwał się huzar.

## VIII

Reszta piechoty spiesznie przechodziła most tworząc lej u wejścia. Nareszcie wszystkie wozy przejechały, ścisk stał się mniejszy i ostatni batalion wszedł na most. Po tamtej stronie mostu, naprzeciw nieprzyjaciela, pozostali tylko huzarzy Denisowa. Nieprzyjaciel, widoczny z daleka z przeciwległej góry, tu, w dole, z mostu nie był jeszcze widoczny, ponieważ w dolinie, przez którą płynęła rzeka, horyzont kończył się przeciwległym wzniesieniem nie dalej niż o pół wiorsty. Przed nimi była pustka, po której tu i ówdzie poruszały się grupki – nasze rekonesanse kozackie. Wtem na przeciwległym wzniesieniu drogi ukazały się wojska w niebieskich płaszczach oraz artyleria. To byli Francuzi. Podjazd kozacki klusem cofnął się pod górę. Wszyscy oficerowie i żołnierze ze szwadronu Denisowa, mimo iż usiłowali mówić o czym innym i patrzeć gdzie indziej, bez przerwy myśleli tylko o tym, co się dzieje na górze, i nieustannie wpatrywali się w ukazujące się na horyzoncie plamy, w których rozpoznawali wojska nieprzyjacielskie. Po południu znowu się wypogodziło, nad Dunajem i nad otaczającymi go ciemnymi górami słońce zachodziło jaskrawo. Było cicho, tylko z tamtej góry z rzadka dobiegały dźwięki trąbek i krzyki nieprzyjaciela. Między szwadronem a nieprzyjacielem nie było już nikogo prócz drobnych patroli. Jakieś trzysta sążni pustej przestrzeni dzieliło szwadron od wroga. Nieprzyjaciel przestał strzelać i tym wyraźniej czuło się tę surową, groźną, niedostępną i nieuchwytną linię, która dzieli dwa wojska nieprzyjacielskie.

„Jeden krok poza tę linię, przypominającą linię, która oddziela żywych od umarłych, i – niepewność, cierpienie, śmierć. A co tam jest, kto? Tam, za tym polem i drzewem, i dachem, oświetlonym słońcem. Nikt nie wie, a chciałoby się wiedzieć, i strach przekroczyć tę linię, i pragnie się ją przekroczyć, wiadomo, że wcześniej czy później trzeba będzie ją przejść i dowiedzieć się, co tam jest po drugiej stronie linii, tak jak nie sposób nie dowiedzieć się, co jest po drugiej stronie śmierci. Samemu jest się silnym, zdrowym, wesołym i podnieconym w otoczeniu równie zdrowych i podnieconych, ożywionych ludzi.” Jeśli nawet tak nie myśli, to tak czuje każdy człowiek znalazłszy się w obliczu nieprzyjaciela, uczucie to nadaje szczególnego blasku i radosnej ostrości w odczuwaniu wszystkiego, co się w tych chwilach dzieje.

Na wzgórzu nieprzyjaciela ukazał się dymek wystrzału i nad głowami szwadronu huzarów przeleciał świszcząc pocisk. Oficerowie, stojący razem, porozjeżdżali się na swoje miejsca. Huzarzy jęli starannie wyrównywać szeregi. W szwadronie wszystko umilkło. Wszyscy spoglądali przed siebie na nieprzyjaciela i na dowódcę szwadronu, czekając na komendę. Przeleciał drugi pocisk, trzeci. Strzelano oczywiście do huzarów, jednak pocisk, świszcząc miarowo a szybko, przelatywał nad głowami huzarów i padał gdzieś z tyłu. Huzarzy nie oglądali się, ale cały szwadron, ze swymi rozmaitymi w swej jednostajności twarzami, przy każdym dźwięku przelatującego pocisku wstrzymywał oddech, i podczas gdy pocisk leciał, ludzie unosili się w strzemionach i – jak na komendę – znowu opadali. Nie odwracając głowy żołnierze z ukosa spoglądali jeden na drugiego, ciekawie badając wrażenie towarzysza. Na twarzach wszystkich, od Denisowa do trębacza, koło warg i podbródka wystąpił wspólny rys walki, rozdrażnienia i wzburzenia. Wachmistrz chmurzył się spoglądając po żołnierzach, jakby im groził karą. Junkier Mironow pochylał się przy każdym przelocie pocisku. Rostow, stojąc na lewym skrzydle, na swym utykającym, ale okazałym Graczyku miał szczęśliwą mi-

nę ucznia wezwanego do egzaminu przed licznym zgromadzeniem, głęboko przekonanego, że się wyróżni. Patrzył na wszystkich pogodnie i promiennie, jakby prosił, by zwrócono uwagę, jak spokojnie stoi pod kulami. Lecz i na jego twarzy, wbrew woli, ukazał się koło warg rys czegoś nowego i surowego.

– Kto tam się kłania? Junkier Mironow! Nieładnie, proszę patrzeć na mnie – krzyknął Denisow, który nie mógł ustać na miejscu i kręcił się na koniu przed szwadronem.

Twarz Waśki Denisowa, czarno owłosiona, o zadartym nosie, jego cała zwiędła, mała figurka i żyłasta (z krótkimi palcami pokrytymi włosami) dłoń, w której trzymał rękojeść obnażonej szabli – wszystko było dokładnie takie samo jak zawsze, szczególnie pod wieczór, po dwóch wypitych butelkach. Był tylko czerwieńszy niż zwykle, gdy zadzierając wysoko kudłatą głowę – jak ptak, co pije – małymi stopami nielitościwie wbił ostrogi w boki poczciwego Beduina i jakby padając do tyłu pocwałował na drugie skrzydło szwadronu, i krzyknął ochryplym głosem, by opatrzyć pistolety. Podjechał do Kirstena. Sztabrotmistrz jechał naprzeciwko Denisowa stępą – na szerokiej, statecznej klaczy. Ze swymi długimi wąsami sztabrotmistrz był poważny jak zawsze, tylko oczy mu błyszczały bardziej niż zazwyczaj.

– No i co? – rzekł do Denisowa. – Nie dojdzie do bitki. Zobaczysz, że się wycofamy.

– Diabli wiedzą, co robią! – warknął Denisow. – O! Rostow! – zawołał do junkra zauważwszy jego wesołą twarz. – Doczekałeś się.

Uśmiechnął się z aprobatą, widocznie rad z junkra. Rostow poczuł się zupełnie szczęśliwy. W tej chwili dowódca ukazał się na moście. Denisow pocwałował do niego.

– Ekscelencjo! Proszę pozwolić na atak! Ja ich zwałę.

– Jaki tam atak – powiedział dowódca znudzonym głosem, skrzywiony, jakby odpędzał dokuczliwą muchę. – Po co pan tu stoi? Przecie widzisz, że flankierzy się cofają. Proszę odprowadzić swój szwadron.

Szwadron przeszedł most i wyszedł spod ognia nie straciwszy ani jednego człowieka. Za nimi przeszedł i drugi szwadron, który był w tyralierze, a ostatni Kozacy oczyścili przeciwległy brzeg.

Dwa szwadrony pułku Pawłogradzkiego kolejno przeszły most i z powrotem weszły na górę. Dowódca pułku Karol Bogdanowicz Schubert podjechał do szwadronu Denisowa i jechał stępą niedaleko Rostowa. Nie zwracał na niego uwagi, mimo że od czasu starcia z powodu Tielanina widzieli się teraz po raz pierwszy. W szyku Rostow był we władzy człowieka, wobec którego czuł się winny, więc nie spuszczał oczu z atletycznego karku, jasnych włosów i czerwonej szyi dowódcy pułku. Rostowowi zdawało się, że Bogdanycz tylko udaje obojętność, że obecnie jego jedyny cel polega na tym, by wypróbować męstwo junkra, toteż prostował się i rozglądał wesoło, to znowu zdawało mu się, że Bogdanycz umyślnie jedzie tak blisko, żeby mu pokazać swoje męstwo. To znowu marzyło mu się, że jego wróg rozmyślnie rzuci teraz szwadron w desperacki atak, by jego, Rostowa, ukarać. To znowu myślał, że po ataku podejdzie do niego, rannego, i wspaniałomyślnie wyciągnie rękę na zgodę.

Do dowódcy pułku podjechał znany pawłogradcom Żerkow z wysoko podniesionymi ramionami (Żerkow niedawno opuścił pułk). Po wydaleniu ze sztabu głównego nie popasał w pułku długo, mówił, że nie jest głupi, by klepać biedę na froncie, kiedy w sztabie, nic nie robiąc, dostanie więcej nagród. Potrafił się więc urządzać jako oficer ordynansowy u księcia Bagrationa. Przyjechał do swego byłego dowódcy z rozkazem dowódcy ariergardy.

– Pułkowniku – rzekł ze swą ponurą powagą, zwracając się do wroga Rostowa i spoglądając na kolegów. – Rozkazano zatrzymać się i podpalić most.

– Kto „rozkazano”? – spytał pułkownik chmurnie.

– Tego już nie wiem, pułkowniku, k t o r o z k a z a n o – odpowiedział podporucznik poważnie. – Książę tylko mi kazał: „Jedź i powiedz pułkownikowi, żeby huzarzy wrócili czym prędzej i spalili most.”

Zaraz po Żerkowie do pułkownika huzarów przyjechał oficer ze świty z tym samym rozkazem. A za oficerem ze świty podjechał gruby Nieswicki, na kozackim koniu, który ledwie galopował pod nim.

– Jakże, pułkowniku? – krzyczał już z daleka. – Przecie panu mówiłem, żeby most podpalić, a teraz ktoś tam przekreślił; tam wszyscy szaleją, nie sposób tego zrozumieć.

Pułkownik zatrzymał niespiesznie pułk i zwrócił się do Nieswickiego.

– Pan mówił mi o materiałach palnych – oświadczył – a o tym, by podpalić, nic mi pan nie powiedział.

– Jakże serdeńko – zaczął Nieswicki zatrzymując się, zdjął czapkę i pulchną ręką rozgarniał włosy mokre od potu.

– Jakżem tego nie mówił, by most spalić, skoro podłożono materiały palne?

– Nie jestem dla pana „serdeńko”, panie oficer sztabowy, a pan mi nie mówił, żeby most podpalacz! Ja służba znam, dla mnie zwyczaj – szczyśle rozkaz wypełniaj. Pan powiedział: most podpalaj, a kto podpalaj, toś nie powiedział, a ja przez Duch Święty wiedział nie mógł..

– Zawsze tak – rzekł Nieswicki machnąwszy ręką.

– A ty tu po co? – zwrócił się do Żerkowa.

– Po to samo. Aleś mokry, daj, otrę cię.

– Powiedział pan, panie oficer sztabowy... – ciągnął pułkownik obrażonym tonem.

– Pułkowniku – przerwał mu oficer ze świty – trzeba się pospieszyć, bo nieprzyjaciel podsunie działa na odległość ognia kartaczowego.

Pułkownik popatrzył w milczeniu na oficera ze świty, na grubego oficera sztabowego, na Żerkowa i zasepił się.

– Ja bende most podpalić – rzekł uroczystym tonem, jakby w ten sposób chciał wyrazić, że mimo wszystkich nieprzyjemności, jakie mu robią, wykona jednak, co należy.

Długimi, muskularnymi nogami pułkownik uderzył konia, jakby właśnie koń wszystkiemu był winien, i skierowawszy się ku drugiemu szwadronowi, temu, w którym służył Rostow pod dowództwem Denisowa, zakomenderował, by wrócili do mostu.

„No właśnie – myślał Rostow – chce mnie doświadczyć. – Serce mu się ścisnęło, do twarzy napłynęła krew. – Niech zobaczy, czylim tchórz” – pomyślał.

Na wesołych twarzach huzarów znowu ukazał się ów poważny wyraz, jaki mieli wtenczas, kiedy stali pod ostrzałem. Rostow nie spuszczał oczu ze swego wroga, dowódcy pułku, pragnąc znaleźć w jego twarzy potwierdzenie swych domysłów; pułkownik jednak ani razu nie spojrzął na Rostowa i spoglądał, jak zawsze przed frontem, surowo a uroczyście. Rozległa się komenda.

– Prędko! Prędko! – zawołało obok niego kilka głosów.

Zaczeplając szablami o wodze, brzęcząc ostrogami w pośpiechu, huzarzy zsiadali z koni, sami nie wiedząc, co będą robić. Żegnali się znakiem krzyża. Rostow już nie patrzył na dowódcę pułku – nie miał czasu. Bał się, aż mu serce zamierało z obawy, by nie pozostać w tyle za huzarami. Ręka mu drżała, gdy oddawał konia luzakowi, i czuł, jak krew uderza mu do głowy. Denisow, podając się w tył i coś krzycząc, przejechał obok niego. Rostow nic nie widział prócz biegających wokół niego huzarów, którzy zawadzali się szablami i brzęczeli ostrogami.

– Nosze! – krzyknął ktoś z tyłu.

Rostow nie myślał, co ten krzyk oznacza; biegł starając się wyprzedzić wszystkich; lecz przy samym moście, ponieważ nie patrzył pod nogi, wpadł w śliskie, rozdeptane błoto, potknął się i upadł na ręce. Inni go przegonili.

– Po oboje strona, rotmistrzu – słyszał głos pułkownika, który zajechawszy od przodu, stał na koniu w pobliżu mostu, z twarzą uroczystą i wesołą.

Rostow, obcierając ręce o rajtuzy, obejrzał się na swojego wroga i chciał biec dalej, mniemając, że im dalej wysunie się naprzód, tym będzie lepiej. Ale Bogdanycz, mimo że na Rostowa nie patrzył i że go nie poznał, zawołał:

– A kto tam biega w środek mosta? Na prawa strona! Junkier, wróć! – krzyknął gniewnie i zwrócił się do Denisowa, który z chępliwą odwagą wjechał konno na deski mostu.

– Rotmistrz, po co ryzykowacz! Zlazaj pan – rzekł pułkownik.

– Ech! co komu sądzone – odpowiedział Waśka Denisow obracając się w siodle.

Tymczasem Nieswicki, Żerkow i oficer ze świty stali razem poza zasięgiem ognia i patrzyli to na niewielką gromadkę ludzi w żółtych kiwiorach, ciemnozielonych kurtkach wyszywanych galonami i granatowych rajtuzach, którzy krzżeli się przy moście, to na drugą stronę, na zbliżające się z daleka niebieskie płaszcze i grupy konne, w których łatwo można było rozeznać artylerię.

„Podpalą most czy nie podpalą? Kto będzie pierwszy? Dobiegną i podpalą most czy też Francuzi podejną na odległość ognia kartaczowego i wysieką ich?” W tej wielkiej liczbie wojsk, które stały koło mostu i w jaskrawym świetle wieczornym patrzyły na most, na huzarów i na drugą stronę, na zbliżające się granatowe płaszcze z bagnetami i z działami, każdy z zamierającym sercem zadawał sobie mimo woli te pytania.

– Och! huzarzy będą mieli za swoje! – mówił Nieswicki.

– Już teraz są najwyżej na odległość ognia kartaczowego.

– Niepotrzebnie poprowadzili tam tylu ludzi – rzekł oficer świty.

– Rzeczywiście – odparł Nieswicki. – Wystarczyłoby posłać dwóch zuchów, byłoby wszystko jedno.

– Ach, wasza książęca mość – wtrącił Żerkow, nie spuszczać oczu z huzarów, ale we właściwy sobie naiwny sposób, z którego nie można było rozpoznać, czy mówi serio, czy nie. – Jak książę sądzi! Posłać dwóch ludzi, a kto nam da Włodzimierza ze wstęgą? A w ten sposób może trochę pobiją, ale można szwadron pokazać i samemu dostać wstążeczkę. Nasz Bogdanycz zna się na rzeczy.

– No! – odezwał się oficer ze świty – to kartaczownice.

Wskazał na działa francuskie, które pospiesznie zajeżdżały i odprzodkowały się.

Po stronie francuskiej, w tych grupach, gdzie były działa, ukazał się dymek, drugi, trzeci, prawie jednocześnie, a w momencie kiedy dobiegł odgłos pierwszego wystrzału, ukazał się czwarty. Dwa odgłosy, jeden po drugim, i trzeci.

– O, och! – jęknął Nieswicki jak w dojmującym bólu i chwycił za rękę oficera świty. – Patrz pan, upadł jeden, upadł, upadł!

– Zdaje się, dwóch?

– Gdybym był cesarzem, nigdy bym nie wojował – rzekł Nieswicki i odwrócił się.

Francuzi znowu pospiesznie ładowali działa. Piechota w granatowych mundurach biegiem puściła się do mostu. Znowu, ale w różnych odstępach czasu, ukazały się dymki, po moście załomotał i zatrzeszczał kartacz. Tym razem Nieswicki nie mógł widzieć tego, co się działo na moście. Z mostu wznosił się gęsty dym. Huzarzy zdążyli podpalić most, a francuskie działa strzelały do nich już nie po to, by im przeszkodzić, lecz że działa były wycelowane i miały do kogo strzelać.

Francuzi zdążyli oddać trzy salwy kartaczami, nim huzarzy wrócili do koni. Dwie salwy puścili niecelnie i kartacze przeniosły, ale za to ostatni trafił w środek gromadki huzarów i trzech powalił.

Rostow, zaprzątnięty swoim stosunkiem względem Bogdanycza, zatrzymał się na moście, nie wiedząc, co robić. Rąbać (a tak zawsze wyobrażał sobie bój) nie było kogo, pomagać w podpalaniu mostu też nie mógł, gdyż nie wziął ze sobą, jak inni żołnierze, wiechcia słomy. Stał i rozglądał się, a tu nagle zatrzeszczało na moście, jakby ktoś rozsypał orzechy, a jeden z huzarów, który stał najbliżej niego, z jękiem osunął się na poręcz. Rostow wraz z innymi

podbiegł do niego. Znowu ktoś krzyknął: „Nosze!” Huzara pochwyciło i zaczęło podnosić czterech ludzi.

– Oooo!... Na miłość boską, zostawcie! – krzyknął ranny, ale go mimo to podnieśli i położyli na nosze.

Mikołaj Rostow odwrócił się i jakby coś chciał odszukać, jął patrzeć w dal, na wody Dunaju, na niebo, na słońce. Jak piękne wydało mu się niebo, jakie błękitne, spokojne i głębokie! Jak jasno i uroczyście zachodzi słońce! Jak pieszczotliwym połyskiem lśniła woda w dalekim Dunaju! A jeszcze piękniejsze były dalekie góry, błękitniejące za Dunajem, klasztor, tajemnicze wąwozy, aż po wierzchołki zalane mgłą bory sosnowe... Tam jest cicho, szczęśliwie. „Nic, nic bym nie pragnął, gdybym tylko tam był – myślał Rostow. – We mnie samym i w tym słońcu jest tyle szczęścia, a tu... jęki, cierpienia, strach... i to coś niepojętego, i ten pośpiech... Oto znowu czyjś krzyk i znowu wszyscy pobiegli z powrotem, a ja pobiegnę z nimi, a oto ona, śmierć, nade mną, wokół mnie... Moment – i nigdy już nie ujrzę tego słońca, tej wody, tego wąwozu...”

W tej chwili słońce jęło skrywać się za chmurami, przed Rostowem ukazały się drugie nosze. I lęk przed śmiercią, przed noszami, i ukochanie życia i słońca – wszystko to zlało się w jedno boleśnie trwożne uczucie.

„Panie Boże, któryś tam jest w tym niebie, ocal mnie, odpuść mi i broń mnie” – wyszeptał do siebie Rostow.

Huzarzy podbiegli do luzaków, głosy stały się donośniejsze i spokojniejsze, nosze zniknęły z oczu.

– Co, bracie, powąchałeś prochu?... – zabrzmiał mu nad uchem głos Waśki Denisowa.

„Wszystko się skończyło, ale ja jestem tchórz, tak, jestem tchórz” – pomyślał Rostow. Westchnął ciężko, wziął z rąk luzaka uzdę swego Graczyka, który stał wysunąwszy nogę, i jął wsiadać.

– Co to było, kartacze? – zapytał Denisowa.

– I jakie jeszcze! – krzyknął Denisow. – Chwacko pracowaliście! Ale robota paskudna! Atak – wspaniała rzecz! Rąbiesz na sztuki, a tu diabli wiedzą co, walą jak w tarczę.

I Denisow podjechał do grupy, która przystanęła w pobliżu Rostowa, składającej się z dowódcy pułku, Nieswickiego, Żerkowa i oficera ze świty.

„Jednak zdaje się, że nikt nie zauważył” – pomyślał Rostow. Istotnie, nikt nie zauważył, dlatego że każdy znał to uczucie, jakiego doświadczał po raz pierwszy nie oswojony ze strzałami junkier.

– To mi będzie relacja – rzekł Żerkow. – Patrzeć, a jeszcze mnie zamianują podporucznikiem.

– Proszę meldowacz kszenczu, że ja most podpalacz – rzekł pułkownik uroczyście i wesoło.

A jeśli zapyta o straty? - Bagatelka!- wyrzekł pułkownik basem – Dwa huzary ranne a jeden n a m i e j s c u – rzekł z widoczną radością, nie będąc w stanie pohamować uśmiechu szczęścia, gdy rąbał dobitnie słowa n a m i e j s c u.



## IX

Ścigana przez stutysięczną armię francuską pod dowództwem Bonapartego, spotykając się z wrogością mieszkańców, nie ufając już swym sojusznikom i cierpiąc z powodu braku żywności, zmuszona do działania w nieprzewidzianych warunkach wojny, trzydziestopięciotysięczna armia rosyjska pod dowództwem Kutuzowa pospiesznie cofała się z biegiem Dunaju, zatrzymując się tylko tam, gdzie dopadał ją nieprzyjaciel, broniła się wypadami ariergardy o tyle, o ile zachodziła potrzeba, żeby wycofać się nie tracąc bagaży. Były starcia pod Lambach, Amstetten i pod Melk; lecz, pomimo że Rosjanie walczyli mężnie i wytrwale, co przyznawał sam nieprzyjaciel, w następstwie tych starć jeszcze szybciej się cofano. Wojska austriackie, które uniknęły niewoli pod Ulm i przyłączyły się do Kutuzowa pod Braunau, odzieliły się obecnie od armii rosyjskiej, a Kutuzow był zdany tylko na swe słabe, wyczerpane siły. Nie było co myśleć o obronie Wiednia. Zamiast przemyślanej głęboko, wedle reguł nowej nauki, strategii, wojny zaczepnej, której plan podczas swej bytności w Wiedniu otrzymał Kutuzow od austriackiego hofkriegsratu, Kutuzowowi pozostawało jedynie, jako cel niedościgniony omal, nie zmarnować armii, jak to zrobił Mack pod Ulm, lecz połączyć się z wojskami idącymi z Rosji.

28 października Kutuzow przeprowadził się z armią na lewy brzeg Dunaju i po raz pierwszy zatrzymał się – mając Dunaj między sobą a głównymi siłami Francuzów. Trzydziestego zaatakował dywizję Mortiera, znajdującą się na lewym brzegu Dunaju, i rozbił ją. W tej bitwie po raz pierwszy zdobyto trofea: sztandar, działa i dwóch generałów nieprzyjacielskich. Pierwszy raz po dwutygodniowym odwrocie wojska rosyjskie zatrzymały się i stoczywszy bitwę, nie tylko że utrzymały pole walki, ale i przepędziły Francuzów. Mimo iż wojska były obdarte, wyczerpane, o jedną trzecią osłabione przez maruderów, rannych, poległych i chorych, mimo że na tamtym brzegu Dunaju pozostali ranni i chorzy – z pismem Kutuzowa, który polecał ich miłosierdziu nieprzyjaciela, mimo że w Krems duże szpitale i domy przekształcone na lazarety nie mogły już pomieścić chorych i rannych – mimo to wszystko zatrzymanie się pod Krems i zwycięstwo nad Mortierem znacznie poprawiło nastrój wojska. W całej armii i w kwaterze głównej rozeszły się najradośniejsze wieści, bynajmniej nie usprawiedliwione, o domniemanym zbliżaniu się wojsk z Rosji, o jakimś zwycięstwie odniesionym przez Austriaków i o cofaniu się przerażonego Bonapartego.

Książę Andrzej znajdował się podczas bitwy u boku generała austriackiego Schmidta, który poległ w tym starciu. Koń pod księciem został ranny, a jego samego kula lekko drasnęła w rękę. W dowód szczególnych względów naczelnego wodza został wysłany z wiadomością o tym zwycięstwie do dworu austriackiego, znajdującego się już nie w Wiedniu, któremu zagrożąły wojska francuskie, lecz w Brnie. W nocy po bitwie, wzburzony, ale niezłomny (mimo niezbyt silnej z pozoru budowy książę Andrzej mógł przecie znieść fizyczne zmęczenie o wiele lepiej niż najsilniejsi ludzie), książę Andrzej przybył konno do Kutuzowa do Krems z meldunkiem od Dochturowa i zaraz tej samej nocy został wyprawiony jako kurier do Brna. Wysłanie w charakterze kuriera stanowiło ważny krok do awansu, nie licząc odznaczeń.

Noc była ciemna, gwiazdzista, droga czerniała na bielejącym śniegu, który spadł wczoraj, w dniu bitwy. Książę Andrzej pędził pocztową bryką. Roztrząsając wrażenia minionej bitwy,

to znowu z radością wyobrażając sobie, jakie wrażenie wywoła wieść o zwycięstwie, wspominał, jak go żegnali naczelny wódz i koledzy, miał uczucie człowieka, który po długim czekaniu osiągnął wreszcie początek upragnionego szczęścia. Gdy tylko zamykał oczy, w uszach rozlegała się strzelanina karabinowa i armatnia, która zlewała się z turkotem kół i z poczuciem zwycięstwa. To znowu zaczynało mu się majaczyć, że Rosjanie uciekają, a on sam poległ, lecz budził się spieszenie, szczęśliwy, jakby na nowo się dowiadywał, że nic podobnego się nie zdarzyło, że, przeciwnie, Francuzi uciekli. Znowu sobie przypominał wszystkie szczegóły zwycięstwa, swe spokojne męstwo podczas bitwy i zasypiał uspokojony... Po ciemnej, gwiazdziej nocy nastał jasny, wesoły ranek. Śnieg tajał w słońcu, konie biegły rączo, na prawo i na lewo mijał obojętnie coraz nowe lasy, pola, wsie.

Na jednej stacji dogonił tabor rannych Rosjan. Rosyjski oficer prowadzący transport, rozparty na wozie jadącym z przodu, coś wykrzykiwał wymyślając ordynarnie żołnierzowi. Na długich niemieckich furgonach trzęsło się po kamienistej drodze po sześciu i więcej bladych, obandażowanych i brudnych rannych. Niektórzy z nich rozmawiali (słyszał mowę rosyjską), inni jedli chleb, ciężiej ranni w milczeniu, z łagodnym, bolesnym, dziecięcym zainteresowaniem patrzyli na pędzącego kuriera.

Książę Andrzej kazał stanąć i zapytał żołnierza, w jakiej bitwie zostali ranni.

– Onegdaj nad Dunajem – odpowiedział żołnierz. Książę Andrzej wyjął sakiewkę i dał żołnierzowi trzy złote monety.

– Dla wszystkich – dodał zwracając się do oficera, który podchodził. – Wydobrzejcie, chłopcy – zwrócił się do żołnierzy. – Mamy przed sobą dużo do zrobienia.

– Jakie nowiny, panie adiutancie? – zapytał oficer, widać pragnąc się rozgadać.

– Dobrze! Naprzód! – krzyknął do pocztyliona i pocwałował dalej.

Już było zupełnie ciemno, kiedy książę Andrzej wjechał do Brna i ujrzał, że otaczają go wysokie domy, światła sklepów, okien domów i latarni, grzmiące po jezdni piękne powozy i cała ta atmosfera dużego, ruchliwego miasta zawsze tak pociągająca dla wojskowego, który przybył z obozu. Pomimo szybkiej jazdy i bezsennej nocy książę Andrzej, zbliżając się do pałacu, czuł się jeszcze bardziej rześki niż wczoraj. Tylko oczy błyszczały gorączkowym blaskiem, a myśli następowały po sobie z niezwykłą szybkością i wyrazistością. Znowu przedstawił sobie żywo wszystkie szczegóły bitwy, już nie w beładzie, lecz uporządkowane, w zwartym skrócie, jak w wyobraźni już je przedstawiał cesarzowi Franciszkowi. Żywo sobie wyimaginował okolicznościowe pytania, jakie mogą mu zadać, i odpowiedzi, jakich na nie udzieli. Mniemał, że natychmiast zostanie przedstawiony cesarzowi. Ale przed główny podjazd pałacu wybiegł doń urzędnik, a gdy poznał w nim kuriera, odprowadził go do innego podjazdu.

– Z korytarza na prawo, tam *Euer Hochgeboren*<sup>228</sup> znajdzie dyżurnego fligiel-adiutanta – oświadczył mu urzędnik. – On zaprowadzi do ministra wojny.

Dyżurny fligiel-adiutant, który przyjął księcia Andrzeja, poprosił go, by poczekał, a sam poszedł do ministra wojny. Po pięciu minutach fligiel-adiutant powrócił i, ze szczególnymi względami pochylając się i puszczając przodem księcia Andrzeja, wprowadził go przez korytarz do gabinetu, w którym pracował minister wojny. Swą wyszukaną uprzejmością fligiel-adiutant, jak się zdawało, chciał się odgrodzić od prób poufałości ze strony rosyjskiego adiutanta. Uczucie radości znacznie w księciu Andrzeju osłabło, kiedy się zbliżał do drzwi gabinetu ministra wojny. Poczul się znieważony, a to uczucie zniewagi przeszło natychmiast, nie dostrzegalnie dla niego samego, w uczucie wzgardy na niczym nie oparte. Jednak wynalazczy umysł natychmiast mu podpowiedział, z jakiego punktu widzenia ma on prawo gardzić zarówno adiutantem, jak i ministrem. „Na pewno im się wydaje, że łatwo jest odnosić zwycięstwa nie wachając prochu!” – pomyślał. Oczy jego zmrużyły się wzgardliwie, ostentacyjnie wolno wszedł do gabinetu ministra wojny. Uczucie to jeszcze bardziej się spotęgowało, kiedy

---

<sup>228</sup> Wasza wielmożność.

zobaczył ministra wojny siedzącego przy dużym biurku i przez dwie pierwsze minuty nie zwracającego uwagi na przybysza. Minister wojny opuścił swą łysą głowę z posiwiałymi skroniami między dwie woskowe świece i czytał papiery robiąc uwagi ołówkiem. Kończył czytać nie unosząc głowy, gdy się otworzyły drzwi i rozległy się kroki.

– Proszę to wziąć i przekazać – rzekł minister wojny do swego adiutanta podając mu papiery i jeszcze nie zwracając uwagi na kuriera.

Książę Andrzej uczuł, że albo ze wszystkich spraw, które zaprzętały ministra wojny, działania armii Kutuzowa najmniej mogły go zainteresować, albo że należało to dać odczuć rosyjskiemu kurierowi. „Ale mnie to jest wszystko jedno” – pomyślał. Minister wojny zsunął pozostałe papiery, wyrównał je i podniósł głowę. Miał rozumną, pełną wyrazu twarz, lecz w tej sekundzie, kiedy zwracał się do księcia Andrzeja, rozumny i stanowczy wyraz jego twarzy zmienił się, najwidoczniej z nawyku i świadomie: na jego twarzy ustalił się uśmiech głupi, udany i nie ukrywający udania, uśmiech człowieka, który przyjmuje wielu petentów – jednego po drugim.

– Od generała-feldmarszałka Kutuzowa? – zapytał. – Spodziewam się, że dobre wieści? Było starcie z Mortierem? Zwycięstwo! Czas już!

Wziął depezę, która była do niego adresowana, i jął czytać z wyrazem smutku.

– Ach, mój Boże, mój Boże! Schmidt! – rzekł po niemiecku. – Co za nieszczęście, co za nieszczęście!

Przebiegłszy oczyma depezę, położył ją na biurku i spojrzął na księcia Andrzeja rozważając coś widocznie.

– Ach, co za nieszczęście! Powiada pan, że zwycięstwo zdecydowane. A przecie Mortier nie został wzięty. (Zastanowił się.) Bardzom rad, żeś pan przywiózł dobre wieści, choć śmierć Schmidta jest wysoką ceną zwycięstwa. Jego cesarska mość na pewno zechce pana widzieć, ale nie teraz. Dziękuję panu, proszę odpocząć. Jutro po przeglądzie bądź pan gotów. Zresztą, dam panu znać.

Głupi uśmiech, który znikł podczas rozmowy, znowu się ukazał na obliczu ministra wojny.

– Do widzenia, bardzo panu dziękuję. Najjaśniejszy pan z pewnością zechce pana widzieć – powtórzył i pochylił głowę.

Kiedy książę Andrzej wyszedł z pałacu, poczuł, że opuszcza go to całe przejęcie i uszczęśliwienie, jakie mu dało zwycięstwo; przekazał je i pozostawił w obojętnych rękach ministra wojny i grzecznego adiutanta. Układ jego myśli zmienił się w jednej chwili: bitwa wydała mu się dawnym, dalekim wspomnieniem.

## X

W Brnie ksiązę Andrzej zatrzymał się u swego znajomego, dyplomaty rosyjskiego Bilibina.

– Ach, drogi ksiązę, nie ma milszego dla mnie gościa – oświadczył Bilibin wychodząc na powitanie księcia Andrzeja. – Franz, rzeczy księcia do mojej sypialni! – zwrócił się do służącego, który szedł za Bołkońskim. – No co, jako zwiastun zwycięstwa? Wspaniale. A ja siedzę chory, jak pan widzi.

Ksiązę Andrzej, umyty i przebrany, wszedł do wspaniałego gabinetu dyplomaty i zasiadł do przygotowanego obiadu. Bilibin rozsiadł się spokojnie przy kominku.

Wśród tych wspaniałych warunków życia, do których przywykł od dzieciństwa, ksiązę Andrzej doznawał przyjemnego uczucia wypoczynku nie tylko po podróży, ale i po całym pochodzie, podczas którego był pozbawiony wszystkich wygod, czystości i komfortu. Poza tym po przyjęciu doznany od Austriaków przyjemnie mu było porozmawiać, choć nie po rosyjsku (mówili po francusku), ale z Rosjaninem, który, jak przypuszczał, podzielał ogólnorosyjski wstręt (szczególnie teraz żywo odczuwany) do Austriaków.

Bilibin, człowiek lat trzydziestu pięciu, nieżonaty, należał do tego samego towarzystwa co i ksiązę Andrzej. Znali się jeszcze w Petersburgu, ale bliższą znajomość zawarli podczas ostatniego przyjazdu księcia Andrzeja z Kutuzowem do Wiednia. Podobnie jak ksiązę Andrzej był młodym człowiekiem, rokującym, że zajdzie daleko na drodze kariery wojskowej, Bilibin rokował jeszcze większe nadzieje w karierze dyplomatycznej. Człowiek jeszcze młody, ale jako dyplomata już dojrzały, ponieważ rozpoczął służbę mając lat szesnaście, przebywał w Paryżu, Kopenhadze, a teraz w Wiedniu zajmował stanowisko dość znaczne. I kanclerz, i nasz poseł w Wiedniu znali go i cenili. Bilibin nie należał do tych licznych dyplomatów, którzy, aby być bardzo dobrymi dyplomatami – mają obowiązek posiadać tylko negatywne zalety, nie robić pewnych rzeczy i mówić po francusku; był jednym z tych dyplomatów, którzy lubią i potrafią pracować, mimo lenistwa spędzał czasami noce przy biurku. Pracował jednakowo dobrze, niezależnie od tego, na czym polegała istota sprawy. Nie interesowało go pytanie „dlaczego?”, ale pytanie „jak?”. Na czym polegały sprawy dyplomatyczne, było mu wszystko jedno, znajdował duże zadowolenie w tym, by misternie, celnie i wytwornie zredagować okólnik, memorandum czy raport. Ceniono Bilibina nie tylko za zdolności do prac koncepcyjnych, ale i za umiejętność bycia i prowadzenia rozmów w wyższych sferach.

Bilibin lubił rozmowę, podobnie jak lubił pracę, ale tylko wtedy, jeśli rozmowa mogła być wytwornie dowcipna. W towarzystwie ciągle wyczekiwał na sposobność, by powiedzieć coś niepospolitego i tylko pod tym warunkiem mieszał się do rozmowy. Bilibin nieustannie przeplatał rozmowę oryginalnie dowcipnymi, wykończonymi zdaniami, które budziły powszechne zainteresowanie. Zdania te powstawały w wewnętrznym laboratorium Bilibina, miały obmyśloną cechę przenośności, po to, by światowe marnoty mogły je swobodnie zapamiętać i obnosić po salonach. Istotnie, *les mots de Bilibine se colportaient dans les salons de Vienne*<sup>229</sup>, jak mówiono, i często miały wpływ na tak zwane ważne sprawy.

---

<sup>229</sup> Powiedzenia Bilibina rozchodziły się po salonach wiedeńskich.

Chuda, wyczerpana, żółtawa twarz Bilibina cała była pokryta grubymi fałdami, które zawsze się zdawały tak czysto i starannie wymyte, jak końce palców po łaźni. Ruchy tych fałd stanowiły główną grę jego fizjonomii. To fałdowało mu się czoło, a brwi podnosiły się do góry, to znowu brwi opadały w dół, a na policzkach tworzyły się grube fałdy. Głęboko osadzone, nieduże oczy zawsze patrzyły prosto i wesoło.

– No, proszę teraz opowiedzieć o pańskich bohaterskich czynach.

Jak najskromniej, ani razu nie wspomniawszy o sobie, Bołkoński opowiedział o bitwie i o przyjęciu go przez ministra wojny.

– *Ils m'ont reçu avec ma nouvelle comme un chien dans un jeu de guilles*<sup>230</sup> – zakończył.

Bilibin uśmiechnął się i rozluźnił fałdy skóry.

– *Cependant, mon cher* – rzekł przyglądając się z daleka swemu paznokciowi i marszcząc skórę nad lewym okiem – *malgré la haute estime que je professe pour le православне рыцарство rosyjskie j'avoue que votre victoire n'est pas des plus victorieuses.*<sup>231</sup>

Mówił ciągle po francusku, po rosyjsku zaś wypowiadał te słowa tylko, które chciał podkreślić wzgardliwie.

– Jak to? Całą masą zwaliliście się na nieszczęsnego Mortiera, który miał jedną dywizję, i ów Mortier wymyka wam się z rąk? Gdzież tu zwycięstwo?

– Przecie, mówiąc poważnie – odpowiedział książę Andrzej – możemy rzec bez chępliwości, że to trochę lepsze niż Ulm...

– Dlaczegoście dla nas nie wzięli choć jednego marszałka?

– Dlatego, że nie wszystko tak się układa, jak się zamierza, i nie tak regularnie jak na paradzie. Zamierzaliśmy, jakem już wspomniał, zejść tyły o godzinie siódmej rano, a nie zdążyliśmy nawet na piątą wieczór.

– Dlaczegoście nie przyszli o siódmej rano? Powinniście byli przyjść o siódmej rano – uśmiechając się rzekł Bilibin.

– Trzeba było przyjść o siódmej rano.

– Dlaczego nie przekonali Bonapartego w drodze dyplomatycznej, żeby lepiej opuścił Genuę? – odrzekł książę Andrzej tym samym tonem.

– Wiem – przerwał Bilibin. – Pan sobie myśli, że to bardzo łatwo brać marszałków do niewoli, siedząc na sofie przy kominku. To prawda, a jednak czemuście go nie wzięli? Więc proszę się nie dziwić, że nie tylko minister wojny, ale i najjaśniejszy cesarz, i król Franciszek nie bardzo będzie uszczęśliwiony waszym zwycięstwem, a nawet i ja, nieszczęsny sekretarz poselstwa rosyjskiego, nie czuję żadnej szczególnej radości.

Spojrzał wprost na księcia Andrzeja i nagle opadły mu z czoła zebrane fałdy skóry.

– Teraz na mnie kolej, drogi panie, zapytać „dlaczego”? – rzekł Bołkoński. – Wyznam, że nie rozumiem; może w tym są jakieś dyplomatyczne subtelności ponad mój słaby umysł, ale nie rozumiem: Mack traci całą armię, arcyksiążę Ferdynand i arcyksiążę Karol nie dają żadnego znaku życia i popełniają błąd za błędem, nareszcie jeden tylko Kutuzow odnosi prawdziwe zwycięstwo, niweczy *charme*<sup>232</sup> Francuzów, a minister wojny nie interesuje się nawet szczegółami!

– Właśnie dlatego, mój drogi. *Voyez-vous, mon cher*: hura! za cesarza, za Ruś, za wiarę! *Tout ça est bel et bon*, ale co nam – to znaczy dworowi austriackiemu – do waszych zwycięstw? Proszę nam tu przywieźć dobrą wieść o zwycięstwie arcyksięcia Karola czy Ferdynanda (*un archiduc vaut l'autre*, jak panu wiadomo), choćby nad kompanią straży ogniowej Bonapartego – to inna sprawa: wówczas zagrzmimy z dział. Arcyksiążę Karol nic nie robi, arcyksiążę Ferdynand okrywa się wstydem. Wy porzucacie Wiedeń, już go nie bronicie,

<sup>230</sup> Przyjęli mnie z tą wiadomością jak psa w kręgielni.

<sup>231</sup> Jednak, mój drogi... pomimo całego szacunku dla... uważam, że wasze zwycięstwo nie należy do najbardziej zwycięskich.

<sup>232</sup> Urok.

*comme si vous nous disiez*<sup>233</sup>: „Z nami Bóg, a Bóg z wami i z waszą stolicą.” Jedyne generał, któregośmy kochali, to Schmidt: wyprowadziliście go pod kule i oznajmiacie nam o zwycięstwie!... Przyznaj, książę, iż trudno wymyślić bardziej denerwującą wiadomość niż ta, którą przywiozłeś. *C'est comme un fait exprès, comme un fait exprès.*<sup>234</sup> Poza tym, niechbyście nawet odnieśli naprawdę wspaniałe zwycięstwo, niechby nawet zwyciężył arcyksiążę Karol, czy to by zmieniło bieg rzeczy? Teraz już za późno, kiedy Wiedeń zajęty przez wojska francuskie.

– Jak to Wiedeń zajęty?

– Nie tylko zajęty, ale Bonaparte jest w Schönbrunn, a hrabia, nasz kochany hrabia Vrba, udaje się do niego po rozkazy.

Po zmęczeniu i wrażeniach podróży i przyjęcia, a zwłaszcza po obiedzie, Bołkoński czuł, że nie rozumie całego znaczenia słów, które słyszał.

– Dziś rano był tutaj hrabia Lichtenfels – ciągnął Bilibin – i pokazywał mi list, w którym była szczegółowo opisana defilada Francuzów w Wiedniu. *Le prince Murat et tout le tremblement...*<sup>235</sup> Więc widzisz, książę, że wasze zwycięstwo nie bardzo jest radosne i że nie możesz być przyjęty jak zbawca.

– Po prawdzie jest mi wszystko jedno, absolutnie wszystko jedno! – oświadczył książę Andrzej zaczynając rozumieć, że istotnie jego wiadomość o bitwie pod Krems miała niewiele znaczenia wobec takich zdarzeń, jak zajęcie stolicy Austrii. – Jakże to, Wiedeń został wzięty? A most i sławetne *tête de pont*<sup>236</sup>, i książę Auersperg? U nas chodziły słuchy, że książę Auersperg broni Wiednia – rzekł.

– Książę Auersperg stoi po tej stronie, po naszej, i broni nas, broni bardzo źle, ale mimo wszystko broni. A Wiedeń jest po tamtej stronie. Nie, most jeszcze nie został wzięty i, mam nadzieję, że nie zostanie wzięty, gdyż jest podminowany i kazano go wysadzić. W przeciwnym razie już dawno byśmy byli w górach czeskich, a wy ze swą armią – wzięci w dwa ognie – spędzilibyście nieprzyjemny kwadrans.

– Ale mimo wszystko nie znaczy to, że kampania już jest zakończona – powiedział książę Andrzej.

– A ja myślę, że zakończona. I tak samo myślą wielkie szlafmyce tutejsze – ale nie mają odwagi tego powiedzieć. Będzie tak, jakem mówił na początku kampanii, że nie wasza *échauffourée de Dürenstein* i w ogóle nie proch zdecyduje, ale ci, co go wymyślili – oświadczył Bilibin powtarzając jedno ze swych *mots*. Zamilkł, skóra na czole mu się wygładziła. – Cała kwestia polega na tym, co nam powie spotkanie berlińskie cesarza Aleksandra z królem pruskim. Jeśli Prusy przystąpią do przymierza, *on forcera la main à l'Autriche*<sup>237</sup> i będzie wojna. A jeśli nie, to sprawa polega na tym, żeby się umówić, gdzie zostaną ułożone preliminaria nowego Campo Formio.<sup>238</sup>

– Co za geniusz! – wykrzyknął nagle książę Andrzej zaciskając drobną rękę w pięść i uderzając nią w stół. – I jak temu człowiekowi się wiedzie!

– Buonapartemu? – rzekł pytając Bilibin, zmarszczył czoło dając tym do poznania, że natychmiast powstanie *un mot*. – Buonapartemu? – powtórzył akcentując specjalnie „u”. – A jednak sądzę, że teraz, kiedy z Schönbrunn dyktuje Austrii prawa, *il faut lui faire grâce de l',u*”. Wprowadzam stanowczo innowację, nazywam go Bonaparte *tout court*<sup>239</sup>.

<sup>233</sup> Widzi pan, mój drogi... Wszystko to bardzo piękne... jeden arcyksiążę wart jest drugiego... to tak, jakbyście nam powiedzieli...

<sup>234</sup> Jak naumyślnie, jak naumyślnie.

<sup>235</sup> Książę Murat z całą kompanią...

<sup>236</sup> Przyczółek mostowy.

<sup>237</sup> Potyczka pod Dürenstein... powiedzeń... Austria zostanie zmuszona.

<sup>238</sup> W Campo Formio został zawarty w r. 1797 pokój między Francją i Austrią. W zamian za ustąpienie Lombardii i Niderlandów oraz uznanie Republiki Cis-alpińskiej Franciszek II otrzymywał prowincję Wenecję. W tajnej klauzuli cesarz godził się na podtrzymanie roszczeń francuskich do terytoriów na lewym brzegu Renu.

<sup>239</sup> Powiedzenie... trzeba mu darować to „u”... po prostu...

– Ale bez żartów – rzekł książę Andrzej – czy naprawdę myśli pan, że kampania jest skończona?

– Myślę tak: Austria została wystrychnięta na dudka, do czego nie nawykła. I odwzajemni się. A została wystrychnięta na dudka dlatego, że – po pierwsze – prowincje są zdewastowane (on *dit*, *le* prawosławne *est terrible pour le pillage*), armia rozbita, stolica wzięta, a wszystko to *pour les beaux yeux* sardyńskiej wysokości<sup>240</sup>. I dlatego – *entre nous, mon cher*<sup>241</sup> – czuję nosem, że nas oszukują, czuję nosem pertraktacje z Francją i projekty pokoju, pokoju tajnego, zawartego separatystycznie.

– To niemożliwe! – rzekł książę Andrzej. – To by było już zbyt wstrętne!

– *Qui vivra verra*<sup>242</sup> – oświadczył Bilibin rozluźniając skórę na twarzy na znak, że rozmowa skończona.

Kiedy książę Andrzej wszedł do przygotowanego dlań pokoju i w czystej bieliźnie ułożył się na piernatach i wygrzanych pachnących poduszkach – poczuł, że owa bitwa, o której przywiózł wiadomość, była od niego daleko, bardzo daleko. Zajmowało go już przymierze pruskie, zdrada Austrii, nowy triumf Bonapartego, wyjście cesarza, przegląd i jutrzejsza audyencja u Franciszka II.

Zamknął oczy, lecz w tej samej chwili zatrzeszczała mu w uszach kanonada, salwy, turkot kół powozu, i oto znowu schodzą z góry wyciągnięci jak nitka muszkietery, i Francuzi strzelają, a on czuje, jak serce mu się wzdryga: i znowu jedzie przodem obok Schmidta, a wokół niego świszczą wesoło kule, i odczuwa zwielokrotnioną radość życia, jakiej nigdy, od samego dzieciństwa, nie doznawał.

Ocknął się...

– Tak, to wszystko było!... – rzekł uśmiechając się do siebie szczęśliwie, dziecięco i zasnął mocnym, młodym snem.

---

<sup>240</sup> Mowa o królu Karolu Emanuelu IV.

<sup>241</sup> Powiadają, że... okrutnie grabi... dla pięknych oczu... między nami, mój drogi.

<sup>242</sup> Kto dożyje, zobaczy.

## XI

Nazajutrz obudził się późno. Odświeżając wrażenia dnia poprzedniego przypomniał sobie przede wszystkim, że dziś ma zostać przedstawiony cesarzowi Franciszkowi, przypomniał sobie ministra wojny, grzecznego austriackiego fligiel-adiutanta, Bilibina i wczorajszą rozmowę wieczorem. Z okazji audiencji w pałacu ubrał się w pełny mundur galowy, którego już dawno nie wkładał, i świeży, rzeński i piękny, z ręką na temblaku wszedł do gabinetu Bilibina. W gabinecie znajdowali się czterej panowie z korpusu dyplomatycznego. Bołkoński znał księcia Hipolita Kuragina, który był sekretarzem poselstwa, z pozostałymi poznał go Bilibin.

Panowie bywający u Bilibina, światowi, młodzi, bogaci, weseli ludzie, tworzyli i w Wiedniu, i tutaj oddzielne kółko, o którym Bilibin, będący głową tego kółka, mówił *n a s i, les nôtres*. Kółko to, składające się niemal wyłącznie z dyplomatów, miało najwidoczniej swe własne wielkoświatowe – nie mające nic wspólnego z wojną i polityką – zainteresowania pewnymi kobietami i kancelaryjną stroną służby. Panowie ci chętnie, jako *s w e g o*, przyjęli księcia Andrzeja do swego kółka (honor, który robili nielicznym). Z grzeczności i jako wstęp do rozmowy zadali mu kilka pytań o armię i bitwę, a potem rozmowa znowu się rozsypała na luźne, wesołe żarciki oraz ploteczki.

– Co najlepsze – mówił jeden z nich opowiadając o niepowodzeniu kolegi-dyplomaty – co najlepsze, że kanclerz powiedział mu otwarcie, iż jego skierowanie do Londynu stanowi awans i żeby tak to rozumiał. Wyobrażacie sobie, jaką miał przy tym minę?...

– Ale co najgorsze, panowie, że zdemaskuję przed wami Kuragina: człowieka spotkało nieszczęście, a ten donżuan, ten straszny człowiek wykorzystuje to!

Książę Hipolit leżał w fotelu wolterowskim, z nogami na poręczy. Zaśmiał się.

– *Parlez-moi de ça* <sup>243</sup> – rzekł.

– Ach, donżuanie, ach, zmij! – odezwały się głosy.

– Książę nic nie wie – zwrócił się Bilibin do Bołkońskiego – że wszystkie okropności wyrażone przez armię francuską (o małym nie powiedział: rosyjską armię) są niczym w porównaniu z tym, co ten człowiek nabroił wśród kobiet.

– *La femme est la compagne de l'homme* <sup>244</sup> – rzekł książę Hipolit i jął patrzeć przez lorgnon na swe wzniesione nogi.

Bilibin oraz nasi zaśmiewali się patrząc w oczy Hipolitowi. Książę Andrzej widział, że ów Hipolit, z powodu którego (trzeba się przyznać) był niemal zazdrosny o żonę, w tym towarzystwie grał rolę błazna.

– Tak, muszę księcia uraczyć Kuraginem – rzekł Bilibin po cichu do Bołkońskiego. – Jest rozkoszny, kiedy wygłasza sądy o polityce, trzeba widzieć tę godność.

Przysiadł się do Hipolita i, zebrawszy fałdy na czole, wszczął z nim rozmowę o polityce. Książę Andrzej i pozostali obstarpi oba.

– *Le cabinet de Berlin ne peut pas exprimer un sentiment d'alliance* – zaczął Hipolit spoglądając znacząco na wszystkich – *sans exprimer... comme dans sa dernière note... vous com-*

---

<sup>243</sup> Opowiedz mi o tym.

<sup>244</sup> Kobieta jest towarzyszką mężczyzny.



*prenez... vous comprenez... et puis si Sa Majesté l'Empereur ne déroge pas au principe de notre alliance...*

– *Attendez, je n'ai pas fini...* – rzekł do księcia Andrzeja chwytając go za rękę. – *Je suppose que l'intervention sera plus forte que la non-intervention. Et...* – Milczał przez chwilę. – *On ne pourra pas imputer à la fin de non-recevoir notre dépêche du 28 novembre. Voilà comment tout cela finira.*<sup>245</sup>

I puścił rękę Bołkońskiego, okazując, że teraz już zupełnie skończył.

– *Démosthène, je te reconnais au caillou que tu as caché dans ta bouche d'or!*<sup>246</sup> – rzekł Bilibin poruszywszy z ukontentowania czapą włosów na głowie.

Wszyscy się zaśmieli. Hipolit śmiał się głośniejsz niż wszyscy. Widoczne było, że cierpiał, nie mógł złapać tchu, ale i nie mógł pohamować dzikiego śmiechu, który mu rozciągał zaw sze nieruchomą twarz.

– Bo to, panowie – rzekł Bilibin – Bołkoński jest mym gościem zarówno w domu, jak i tutaj, w Brnie; pragnę go uraczyć, o ile można, wszystkimi uciechami tutejszego życia. W Wiedniu byłoby to łatwe, ale tutaj, *dans ce vilain trou morave*, to trudniejsza sprawa, więc wszystkich was proszę o pomoc. *Il faut lui faire les honneurs de Bruenn.*<sup>247</sup> Wy weźcie na siebie teatr, ja – towarzystwo, a Hipolit, oczywiście, kobiety.

– Należy mu pokazać Amelie, delicje! – rzekł jeden z n a s z y c h całując końce palców.

– W ogóle trzeba tego krwiożerczego żołnierza nawrócić na zasady bliższe człowieczeństwu – oświadczył Bilibin.

– Bodaj czy skorzystam z waszej gościnności, panowie, właśnie muszę już jechać – odrzekł Bołkoński spoglądając na zegarek.

– Dokąd?

– Do cesarza.

– Ooo!

– Więc do widzenia, Bołkoński! – Do widzenia, książe; proszę wcześniej przyjechać na obiad – rozległy się głosy. – Zabieramy się do księcia!

– Rozmawiając z cesarzem, staraj się, książe, jak najbardziej chwalić porządek w dostarczaniu prowiantów i podwód – rzekł Bilibin odprowadzając Bołkońskiego do przedpokoju.

– Pragnąłbym chwalić, ale nie mogę, z tego, co wiem – odrzekł Bołkoński uśmiechając się.

– W ogóle mów, książe, jak najwięcej. Audiencje to jego namiętność, on sam nie lubi mówić i nie umie, jak to, książe, zresztą zobaczysz.

---

<sup>245</sup> Gabinet berliński nie może wyrazić swego zdania o przymierzu... nie wyrażając... jak w swej ostatniej nocie... rozumiecie... rozumiecie zresztą, jeśli jego cesarska mość nie obali podstaw naszego przymierza... Proszę pocze kać, jeszcze nie skończyłem... Sądzę, że interwencja będzie silniejsza niż nieinterwencja. I... nie można uważać sprawy za skończoną przez nieprzyjęcie naszej depeszy z 28 listopada. Tym właśnie wszystko się skończy.

<sup>246</sup> Demostenesie, poznaję cię po kamyku, któryś ukrył w swych złotych ustach!

<sup>247</sup> W tej podłej dziurze morawskiej... Trzeba go podejmować w tym Brnie.

## XII

Przy ceremonialnym wyjściu cesarz Franciszek tylko badawczo spojrzął na księcia Andrzeja stojącego na wyznaczonym miejscu wśród oficerów i kiwnął mu swą długą głową. Ale po ceremonii wczorajszy fligiel-adiutant powiadomił dwornie Bołkońskiego, że cesarz pragnie mu udzielić audiencji. Cesarz Franciszek przyjął go stojąc na środku pokoju. Księcia Andrzeja zdumiało to, że przed zaczęciem rozmowy cesarz jakby się zmieszał, nie wiedząc, co powiedzieć, i poczerwieniał.

– Proszę powiedzieć, kiedy zaczęła się bitwa – zapytał z pośpiechem.

Księżę Andrzej odpowiedział. Po tym pytaniu nastąpiły inne pytania, równie proste: „Czy Kutuzow jest zdrów? jak dawno Bołkoński wyjechał z Krems?” itp. Cesarz mówił z takim wyrazem, jakby jedyny jego cel polegał na tym, by zadać pewną ilość pytań. Było aż nazbyt oczywiste, że odpowiedzi na te pytania nie mogły go interesować.

– O której godzinie zaczęła się bitwa? – zapytał cesarz.

– Nie mogę podać waszej cesarskiej mości, o której godzinie zaczęła się bitwa frontalna, ale w Dürenstein, gdzie się znajdował, wojsko zaczęło atak o godzinie szóstej wieczorem – rzekł Bołkoński ożywiając się, sądził bowiem, że w tym wypadku uda mu się przedstawić gotowy już w głowie i prawdziwy obraz tego, co wiedział i widział.

Lecz cesarz uśmiechnął się i przerwał mu:

– Ile mil?

– Skąd i dokąd, najjaśniejszy panie?

– Z Dürenstein do Krems.

– Trzy i pół mili, najjaśniejszy panie.

– Francuzi opuścili lewy brzeg?

– Zwiadowcy donieśli, że w nocy ostatni przeprawili się na tratwach.

– Czy furażu w Krems jest dosyć?

– Furażu nie dostarczono w takiej ilości... Cesarz przerwał mu:

– O której został zabity generał Schmidt?

– O siódmej, zdaje się.

– O siódmej? Bardzo to smutne, bardzo smutne! Cesarz powiedział, że dziękuje, i uklonił się. Księżę Andrzej wyszedł, a natychmiast ze wszystkich stron otoczyli go dworacy. Ze wszystkich stron patrzyły na niego życzliwe oczy i rozlegały się uprzejme słowa. Wczorajszy fligiel-adiutant wyrzucał mu, dlaczego nie zatrzymał się w pałacu, i proponował mu swój dom. Podszedł minister wojny gratulując mu orderu Marii Teresy trzeciego stopnia, którym odznaczył go cesarz. Szambelan cesarzowej zapraszał go do jej cesarskiej mości. Arcyksiężniczka również pragnęła go widzieć. Nie wiedział, komu odpowiadać, i przez kilka sekund zbierał myśli. Poseł rosyjski ujął go pod ramię, odprowadził do okna i zaczął z nim rozmawiać.

Wbrew zdaniu Bilibina wieść, którą przywiózł, przyjęto z radością. Postanowiono odprawić nabożeństwo dziękczynne. Kutuzow został odznaczony wielkim krzyżem Marii Teresy i cała armia otrzymała odznaczenia. Bołkońskiego zapraszano na wszystkie strony, więc przez całe rano musiał składać wizyty najwyższym dygnitarzom austriackim. O piątej wieczorem,

skończywszy wizyty, książe Andrzej wracał do domu do Bilibina, w myśli układając list do ojca o bitwie i o swej podróży do Brna. Przed gankiem domu, który zajmował Bilibin, stała bryczka załadowana do połowy rzeczami. Franz, służący Bilibina, wyszedł z drzwi, dźwigając z trudem kufer. (Książę Andrzej przed powrotem do Bilibina wstąpił do księgarni, by zaopatrzyć się w książki na czas kampanii, i zasiedział się w sklepie.)

– Co to znaczy? – zapytał Bołkoński.

– *Ach, Erlaucht!* – odpowiedział Franz, z trudem ładując kufer na brykę. – *Wir ziehen noch weiter. Der Böse-wicht ist schon wieder hinter uns her!*<sup>248</sup>

– Co takiego? Co? – dopytywał się książę Andrzej. Bilibin wyszedł na spotkanie Bołkońskiego. Jego zwykle spokojna twarz była wzburzona.

– *Non, non, avouez que c'est charmant* – mówił – *cette histoire du Pont de Thabor* (most w Wiedniu). *Ils l'ont passé sans coup férir.*<sup>249</sup>

Książę Andrzej nic nie rozumiał.

– Skąd książę przybywa, że nie wie tego, o czym już wiedzą wszyscy stangreci w mieście?

– Od arcyksiężny. Tam nicem nie słyszał.

– I książę nie widział, że wszędzie się pakują?

– Nie widziałem... O co chodzi? – spytał niecierpliwie książę Andrzej.

– O co chodzi? O to, że Francuzi przeszli przez most, którego broni Auersperg, że most nie został wysadzony, toteż Murat zdąży teraz drogą na Brno i lada dzień już będą tutaj.

– Jak to tutaj? Jakże mogli nie wysadzić mostu, skoro był podminowany?

– A właśnie o to ja pytam pana! Tego nikt nie wie, nawet sam Bonaparte.

Bołkoński wzruszył ramionami.

– Ale skoro przeszli przez most, to znaczy, że armia jest zgubiona: zostanie odcięta – rzekł.

– Na tym polega cała sztuka – odpowiedział Bilibin. – Proszę posłuchać. Francuzi wkraczają do Wiednia, jakem już księciu mówił. Wszystko bardzo pięknie. Nazajutrz, to znaczy wczoraj, panowie marszałkowie: Murat, Lannes i Belliard, dosiadają koni i jadą na most. (Proszę zauważyć: wszyscy trzej Gaskończycy.) „Panowie – powiada jeden z nich – wiecie, że most Taborski jest podminowany i kontrminowany i że mamy przed sobą groźne *tête de pont* i piętnaście tysięcy wojska, które ma rozkaz wysadzić most i nas nie przepuścić. Ale nasz cesarz Napoleon będzie rad, jeśli zdobędziemy ten most. Jedźmy we trzech i weźmy ten most.” „Jedźmy” – powiadają inni, jadą i biorą most, przechodzą przez niego i teraz są z całą armią po tej stronie Dunaju i kierują się na nas, na was i na wasze połączenia.

– Wolne żarty – rzekł smutno i poważnie książę Andrzej.

Wiadomość ta była dla księcia Andrzeja przykra i zarazem przyjemna. Kiedy się dowiedział, że armia rosyjska znajduje się w tak beznadziejnej sytuacji, przyszło mu do głowy, że jemu przeznaczono wyprowadzić armię rosyjską z opałów – oto jest ów Tulon, który go wysunie z szeregów nieznanymi oficerów i otworzy mu drogę do sławy!<sup>250</sup> Słuchając Bilibina już sobie układał w głowie, że przybywszy do armii, na radzie wojennej wystąpi z projektem, który jedynie ocali armię, i że jemu jednemu zostanie zlecone wykonanie tego planu.

– Wolne żarty – powiedział.

– Nie żartuję – ciągnął Bilibin – nie ma nic prawdziwszego i smutniejszego. Panowie ci przyjeżdżają na most sami i podnoszą białe chusteczki, zapewniają, że jest rozejm i że oni, marszałkowie, przybywają, by rokować z księciem Auerspergiem. Dyżurny oficer wpuszcza ich na *tête de pont*. Opowiadają mu moc gaskońskich bzdur: powiadają, że wojna jest zakończona, że cesarz Franciszek wyznaczył spotkanie Bonapartemu, że pragną widzieć się z księciem Auerspergiem itd. Oficer posyła po Auersperga, panowie ci ściskają oficerów, żartują,

<sup>248</sup> Ach, wasza dostojność!... Znowu ciągniemy dalej. Łotr znowu następuje nam na pięty!

<sup>249</sup> Ależ musi pan przyznać, że ta historia z mostem Taborskim jest wspaniała... Przeszli go bez oporu.

<sup>250</sup> Napoleon został mianowany generałem brygady po zdobyciu Tulonu, który był zajęty przez Anglików i przez wojska wierne królowi. Był to początek jego kariery wojskowej.

siadają na działach, a tymczasem batalion Francuzów, nie zauważony, wchodzi na most, wrzuca do wody worki z materiałami palnymi i zbliża się do *tête de pont*. Wreszcie zjawia się sam generał-porucznik, nasz drogi książę Auersperg von Mautern. „Drogi nieprzyjacielu! Kwiecie austriackiego rycerstwa, bohaterze wojen tureckich! Koniec nienawiściom, możemy podać sobie ręce... Cesarz Napoleon płonie żądzą poznania księcia Auersperga.” Słowem, panowie ci – nie na próżno Gaskończycy – tak zarzucili Auersperga pięknymi słówkami, że on, olśniony szybkim spoufaleniem się z marszałkami Francji, oślepiiony widokiem płaszcza i strusich piór Murata, *qu'il n'y voit que due feu et oublie celui qu'il devait faire, faire sur l'ennemi*.<sup>251</sup> – (Bilibin, pomimo iż mówił prędko, nie omieszkiał spauzować po tym *mot*, żeby dać czas na ocenienie go.) – Batalion francuski wpada na *tête de pont*, zagważdza działa i most zostaje zdobyty. Ale najlepsze jest to – ciągnął uspokajając swe podniecenie wspaniałością własnego opowiadania – najlepsze jest to, że sierżant odkomenderowany do armaty, która miała dać sygnał podpalenia min i wysadzenia mostu, że ów sierżant, ujrzawszy, iż wojska francuskie wbiegają na most, chciał już strzelać, lecz Lannes odsunął mu rękę. Sierżant, który najwidoczniej był mądrzejszy od swego generała, zbliża się do Auersperga i powiada: „Książę, pana oszukano, oto Francuzi!” Murat widzi, że przegra sprawę, jeśli da sierżantowi się wygadać. Zwraca się więc do Auersperga z udanym zdziwieniem (prawdziwy Gaskończyk): „Nie poznaję tak sławionej w całym świecie dyscypliny austriackiej – powiada.

– Pozwalasz, książę, żołnierzowi tak do siebie mówić!” *C'est genial. Le prince d'Auersperg se pique d'honneur et fait mettre le sergent aux arrêts. Non, mais avouez que c'est charmant, toute cette histoire du Pont de Thabor. Ce n'est ni bêtise, ni lâcheté...*<sup>252</sup>

– *C'est trahison peut-être*<sup>253</sup> – rzekł książę Andrzej, żywo wyobrażając sobie szare płaszcze, rany, dym prochowy, odgłosy salw i sławę, która go czeka.

– *Non plus. Cela met la cour dans de trop mauvais draps* – ciągnął dalej Bilibin. – *Ce n'est ni trahison, ni lâcheté, ni bêtise; c'est comme à Ulm...* – jak gdyby się zamyślił szukając określenia: – *C'est... c'est du Mack. Nous sommes mackés*<sup>254</sup> – zakończył, czując, że powiedział *un mot*, nowe *un mot*, takie *un mot*, które będzie powtarzane.

Czoło ściśnięte w fałdy szybko się wygładziło na znak zadowolenia i Bilibin z lekkim uśmiechem jał przyglądać się swym paznokciom.

– A książę dokąd? – zapytał nagle, zwracając się do Bołkońskiego, który wstał i skierował się do swego pokoju.

– Jadę.

– Dokąd?

– Do armii.

– Przecie książę zamierzał zostać jeszcze dwa dni.

– A teraz jadę zaraz.

I książę Andrzej, wydawszy rozporządzenie co do wyjazdu, poszedł do swego pokoju.

– Kochany książę – rzekł Bilibin wchodząc do niego do pokoju. – Myślałem o panu. Po co tam jechać?

I na znak niezbitości tego dowodu wszystkie fałdki uciekły mu z twarzy.

Książę Andrzej popatrzył pytająco na swego rozmówcę i nic nie odpowiedział.

– Po co tam jechać? Wiem, książę myślisz, że to jego obowiązek – gnać do armii teraz, kiedy jest w niebezpieczeństwie. Rozumiem to, *mon cher, c'est de l'héroïsme*.<sup>255</sup>

– Bynajmniej – odrzekł książę Andrzej.

<sup>251</sup> ...że widzi tylko ich ogień, a zapomina o własnym, o tym, który powinien był otworzyć na nieprzyjaciela.

<sup>252</sup> To genialne. Książę Auersperg obraża się i skazuje sierżanta na areszt. Przyznaj pan, że ta cała historia z mostem jest wspaniała. To nie jest ani głupota, ani tchórzostwo...

<sup>253</sup> Może to zdrada.

<sup>254</sup> Też nie. To stawia dwór w nader brzydkiej sytuacji... To ani zdrada, ani podłość, ani głupota; to tak jak pod Ulm... to... mackizm. Jesteśmy zmackizowani.

<sup>255</sup> Mój drogi, to bohaterstwo.

– Przecie, książę, jesteś *un philosophe*<sup>256</sup>, bądźże nim całkowicie, spojrzysz na rzeczy z drugiej strony i, książę, zobaczysz, że obowiązkiem twoim jest nie narażać się. Proszę to pozostawić tym, którzy do niczego więcej się nie nadają... Nie miałeś, książę, rozkazu, by wracać, i stąd pana nie zwolniono; to znaczy, że możesz zostać i jechać z nami tam, gdzie nas zapędzi nasze nieszczęsne przeznaczenie. Powiadają, że jedziemy do Ołomuńca. A Ołomuniec to bardzo miłe miasto. Pojedziemy sobie razem, spokojnie, moim powozem.

– Bilibin, przestańże pan żartować – rzekł Bołkoński.

– Mówię to księciu szczerze i z przyjaźni. Proszę się zastanowić. Dokąd i po co jedziesz, książę, teraz, jeśli możesz tu pozostać? Czekają pana jedno z dwojga (zebrał skórę nad lewą skronią): nim dotrzesz do armii, albo pokój będzie zawarty, albo klęska i hańba całej armii Kutuzowa.

I Bilibin wygładził skórę, czując, że jego dylemat jest nie do obalenia.

– Tego nie mogę rozstrzygnąć – rzekł zimno książę Andrzej i pomyślał: „Jadę po to, by ocalić armię.”

– *Mon cher, vous êtes un héros*<sup>257</sup> – rzekł Bilibin.

---

<sup>256</sup> Filozofem.

<sup>257</sup> Mój drogi, jest pan bohaterem.

### XIII

Pozegnawszy ministra wojny, Bołkoński tej samej nocy wyjechał do armii, nie wiedząc sam, gdzie ją znajdzie, i obawiając się, by w drodze do Krems nie schwytali go Francuzi.

W Brnie cały dwór pakował się i już odsyłano bagaże do Ołomuńca. W pobliżu Etzelsdorf księżę Andrzej wjechał na drogę, którą – z wielkim pośpiechem i w wielkim nieładzie – ciągnęła armia rosyjska. Droga tak była zapchana wozami, że nie sposób było jechać. Toteż księżę Andrzej wzięwszy konie i Kozaka od kozackiego dowódcy, głodny i zmęczony, wymijając tabor, szukał naczelnego wodza i swego wozu. W drodze dochodziły go jak najbardziej złowrogie wieści o sytuacji, a widok uciekającej w nieładzie armii potwierdzał te wieści.

„*Cette armée russe que l'or de l'Angleterre a transport'e dex extrémités de l'univers, nous allons lui faire éprouver le même sort (le sort de l'armée d'Ulm)*<sup>258</sup> – przypominał sobie słowa rozkazu Bonapartego do armii przed rozpoczęciem kampanii. Słowa te wzbudzały w nim zarówno podziw dla genialnego bohatera, jak uczucie obrażonej dumy i nadzieję sławy. „A jeśli nie pozostanie nic innego, tylko umrzeć? – myślał. – Cóż, skoro tak trzeba! Zrobię to nie gorzej niż inni.”

Księżę Andrzej z pogardą patrzył na te nie kończące się, a zmieszane oddziały, wozy, parki, artylerię i znowu wozy, wozy i wozy wszelkiego rodzaju usiłujące się prześcignąć i trzema lub czterema rzędami tarasujące błotnistą drogę. Ze wszystkich stron, z przodu i z tyłu, jak daleko sięgał słuch, rozlegał się turkot kół, szcęk nadwozi, bryk i lawet, tętent koni, uderzenia batem, krzyki popędzających, przekleństwa żołnierzy, ordynansów i oficerów. Na skraju drogi widniały bez przerwy to padłe konie, obdarte lub nie obdarte ze skóry, to połamane wozy, przy których siedzieli, czekając na coś, samotni żołnierze, to znowu żołnierze, którzy, opuściwszy oddziały, tłumnie ciągnęli do sąsiednich wsi albo też wlekli stamtąd kury, barany, siano lub worki czymś napelnione. Przy spadkach drogi i wzniesieniach skupienia zagęszczały się, słyhać było nieprzerwany pojęk okrzyków. Żołnierze, grzęznąc po kolana w błocie, rękoma podpierali działa i wozy; świstały baty, kopyta się ślizgały, szleje pękały, a piersi zrywały się od krzyku. Między taborami tam i z powrotem jeździli oficerowie, którzy kierowali ruchem. Wśród ogólnego zgłębienia ich głosy brzmiały słabo, po ich twarzach było widać, że zwątpili w możliwość położenia kresu temu nieładowi.

„*Voild le cher*<sup>259</sup> rycerstwo prawosławne” – pomyślał Bołkoński przypominając sobie słowa Bilibina.

Zbliżył się do taboru chcąc zapytać kogoś z tych ludzi, gdzie znajduje się wódz naczelny. Na wprost niego jechał dziwny ekwipaż zaprzężony w jednego konia, najwidoczniej sklecony domowym żołnierskim sposobem, coś pośredniego między wozem, kabrioletem a bryczką. Powoził żołnierz, a pod skórzaną budą, okryta fartuchem, siedziała kobieta opatulona chustkami. Księżę Andrzej podjechał i już zwracał się do żołnierza z zapytaniem, gdy uwagę jego ściągnęły rozpaczliwe krzyki kobiety siedzącej w wehikule. Oficer, kierujący tabor, bił żołnierza, który powoził tym ekwipażem – za to, że chciał przegonić innych, nahajka trafiała

<sup>258</sup> Tej rosyjskiej armii, którą złoto angielskie przeniosło tutaj z końca świata, damy zakosztować tego samego losu (losu armii spod Ulm).

<sup>259</sup> Oto drogie...

na fartuch ekwipażu. Kobieta krzyczała przeraźliwie. Ujrawszy księcia Andrzeja, wychyliła się spod daszka i, machając chudymi rękoma spod wzorzystej chusty, wołała:

– Adiutancie! Panie adiutancie!... Na Boga... proszę mnie bronić... Co to będzie?... Jestem żoną lekarza z siódmego jegrów. Nie przepuszczają, zostaliśmy w tyle, zgubiliśmy swoich...

– Zbiję na miazgę, zawracaj! – krzyczał na żołnierza rozwścieczony oficer. – Zawracaj ze swoją lafiryndą.

– Panie adiutancie, proszę mnie obronić. Cóż to jest? – wołała doktorowa.

– Proszę przepuścić ten pojazd. Czy nie widzi pan, że to kobieta? – rzekł książę Andrzej podjeżdżając do oficera. Oficer spojrzął na niego i, nie odpowiadając, znowu się odwrócił do żołnierza:

– Ja ci dam objeżdżanie... Zawracaj!

– Mówię panu, proszę przepuścić – znowu powtórzył książę Andrzej zaciskając wargi.

– A tyś co za jeden? – zwrócił się nagle do niego oficer z pijacką wściekłością. – Tyś co za jeden? Tyś (specjalnie kładł nacisk na ty) naczelnik czy jak? Ja tu jestem naczelnik, a nie ty. Ty, nazad – powtórzył – bo rozbiję na miazgę.

Widać to wyrażenie podobało się oficerowi.

– A to ładnie utarł nosa adiutancikowi! – rozległo się z tyłu.

Książę Andrzej widział, że oficer ma napad pijackiej, bezpodstawnej wściekłości, kiedy ludzie nie wiedzą, co mówią. Widział, że jego ujęcie się za żoną lekarza w tym wehikule jest w pełni tym, czego się bał najbardziej w świecie, tego, co się nazywa *ridicule*<sup>260</sup>, lecz instynkt mówił mu co innego. Oficer jeszcze nie zdążył dopowiedzieć ostatnich słów, gdy książę Andrzej, z twarzą zeszepeconą wściekłością, podjechał do niego i podniósł nahajkę:

– Zechciej pan prze-puś-cić!

Oficer machnął ręką i odjechał spiesznie.

– Ten cały nieporządek przez nich, przez tych sztabowców – warknął. – Rób pan sobie, co chcesz.

Książę Andrzej spiesznie, nie podnosząc oczu, odjechał od żony lekarza, która go nazywała zbawcą, i ze wstrętem przypominając sobie najdrobniejsze szczegóły tej poniżającej sceny, popędził dalej ku tej wsi, gdzie – jak mu powiedziano – znajdował się naczelny wódz.

Wjechawszy do wsi zsiadł z konia i wszedł do pierwszego z brzegu domu. Miał zamiar odpocząć choć przez chwilę, coś zjeść i uporządkować wszystkie te ubliżające, dręczące go myśli. „To zgraja hultajska, a nie wojsko” – myślał zbliżając się do okna pierwszego domu, gdy wtem znajomy głos zawołał go po nazwisku.

Obejrzał się. Z małego okienka wysuwała się ładna twarz Nieswickiego. Nieswicki, żując coś pulchnymi ustami, machał rękoma i przywoływał go.

– Bołkoński, Bołkoński! Czy nie słyszysz? Chodź prędzej! – krzyczał.

Książę Andrzej, wszedłszy do domu, zobaczył Nieswickiego i jeszcze drugiego adiutanta przy zakąsce. Z pośpiechem zwrócili się do Bołkońskiego, pytając, czy nie wie czego nowego. Na ich tak dobrze znanych mu twarzach książę Andrzej wyczytał lęk i niepokój. Widać to było szczególnie na zwykle roześmianej twarzy Nieswickiego.

– Gdzie naczelny wódz? – zapytał Bołkoński.

– Tutaj, w tym domu – odpowiedział adiutant.

– No, czy to prawda, że będzie pokój i kapitulacja? – dopytywał się Nieswicki.

– To ja was o to pytam. Nie wiem nic prócz tego, że ledwie się tu do was przedostał.

– A u nas, bracie, straszne rzeczy! Przyznam, bracie, że śmiało się z Macka, a nam wypadło jeszcze gorzej – rzekł Nieswicki. – Ale siadaj, zjedz coś.

– Teraz książę nie znajdzie ani wozu, ani nic, a Piotr księcia Bóg wie gdzie – rzekł drugi adiutant.

– Gdzie kwatera główna?

---

<sup>260</sup> Śmieszność.

– Nocujemy w Znaim.

– A ja wszystko, co mi potrzebne, przeładowałem na dwa konie – rzekł Nieswicki. – Zrobiono mi bardzo dobre juki. Mogę uciekać choćby przez czeskie góry. Kiepsko, bracie! A tyś chyba chory, że się tak wzdrygasz? – zapytał Nieswicki zauważwszy, że księcia Andrzeja szarpnęło niby od dotknięcia butelki lejdejskiej.

– Nie – odpowiedział książę Andrzej. Przypomnił sobie w tej chwili żonę lekarza i oficera taborowego.

– Co tu robi naczelny wódz? – zapytał.

– Nic nie rozumiem – odpowiedział Nieswicki.

– Ja jedno rozumiem, że to wszystko jest ohydne, ohydne, ohydne – rzekł książę Andrzej i poszedł do domu, w którym zatrzymał się wódz naczelny.

Książę Andrzej wyminawszy powóz Kutuzowa, zmęczone konie wierzchowe świty i Kozaków, którzy głośno ze sobą rozmawiali, wszedł do sieni. Kutuzow, jak powiedziano księciu Andrzejowi, znajdował się w chałupie z księciem Bagrationem i Weihrotherem. Weihrother był to generał austriacki, który zastąpił poległego Schmidta. W sieni siedział mały Kozłowski – przykucnął przed pisarzem. Pisarz, zawiąawszy wyłogi munduru, pisał coś spieszenie na odwróconej do góry dnem beczulce. Kozłowski miał twarz zmęczoną – widocznie również nie spał w nocy. Spojrzał na księcia Andrzeja i nawet nie kiwnął mu głową.

– Druga linia... Napisałeś – ciągnął dyktując pisarzowi – Kijowski pułk grenadierów, podolski...

– Nie nadażam, wasza wielmożność – odpowiedział pisarz bez respektu, gniewnie zerkając na Kozłowskiego.

W tym czasie spoza drzwi dobiegał ożywiony, niezadowolony głos Kutuzowa, przerywał mu inny, nieznajomy. Z tonu tych głosów, z obojętności, z jaką Kozłowski spojrzał na niego, z braku respektu zmęczonego pisarza, z tego, że pisarz i Kozłowski siedzieli na podłodze przy beczulce – tak blisko naczelnego wodza, i z tego, że Kozacy przy koniach śmiali się głośno pod oknami domu – z tego wszystkiego książę Andrzej domyślił się, że stało się coś ważnego i niefortunnego.

Książę Andrzej natarczywie zwrócił się do Kozłowskiego z pytaniami.

– Zaraz, książę – odrzekł Kozłowski. – Dyspozycja dla Bagrationa.

– A kapitulacja?

– Nie ma: wydano zarządzenia co do bitwy. Książę Andrzej skierował się ku drzwiom, spoza których dochodziły głosy. Lecz w chwili, kiedy chciał otworzyć drzwi, głosy w pokoju umilkły, drzwi otworzyły się i na progu ukazał się Kutuzow ze swym orlim nosem na pulchnej twarzy. Książę Andrzej stał na wprost Kutuzowa, lecz z wyrazu jedyne go widzącego oka znać było, że Kutuzow pochłonięty myślami i troską jak gdyby nic nie widział. Patrzył wprost na swego adiutanta i nie poznawał go.

– No jak, skończyłeś? – zwrócił się do Kozłowskiego.

– W tej sekundzie, wasza ekscelencjo!

Bagration – człowiek jeszcze niestary, niewysoki, ze stanowczą, twardą i nieruchomą twarzą o wschodnim typie – wyszedł za naczelnym wodzem.

– Mam honor zameldować się – powtórzył książę Andrzej dość głośno i podał kopertę.

– A, z Wiednia? Dobrze. Potem, potem! Kutuzow wyszedł z Bagrationem na ganek.

– No, zegnaj, książę – rzekł do Bagrationa. – Chrystus z tobą! Błogosławię cię na wielkie dzieło.

Twarz Kutuzowa niespodziewanie zmiękła, w oczach ukazały się łzy. Lewą ręką przyciągnął do siebie Bagrationa, a prawą, na której miał pierścień, gestem przyzwyczajenia zrobił nad nim znak krzyża i podstawił mu pulchny policzek, ale zamiast w policzek Bagration pocałował go w szyję.



– Chrystus z tobą! – powtórzył Kutuzow i podszedł do powozu. – Siadaj ze mną – rzekł do Bołkońskiego.

– Wasza ekscelencjo, chciałbym tu być użyteczny. Proszę mi pozwolić zostać przy oddziale księcia Bagrationa.

– Siadaj – rzekł Kutuzow, a zauważywszy, że Bołkoński się ociąga, powiedział: – Mnie samemu potrzeba dobrych oficerów, mnie samemu.

Siedli do powozu i kilka minut jechali w milczeniu.

– Mam jeszcze wiele przed sobą, wiele – rzekł z wyrazem starczej przenikliwości, jak gdyby rozumiejąc wszystko, co się dzieje w duszy Bołkońskiego. – Jeśli z jego oddziału jutro powróci dziesiąta część, będę Bogu dziękował – dodał Kutuzow jak gdyby do siebie.

Księżę Andrzej spojrzał na Kutuzowa i mimo woli rzuciły mu się w oczy oddalone o łokieć niecały, czysto wymyte fałdki szramy na skroni Kutuzowa, tam gdzie kula izmailska przeszła mu głowę, i jego wypłynięte oko. „Tak, on ma prawo mówić tak spokojnie o śmierci tych ludzi!” – pomyślał Bołkoński.

– Dlatego właśnie proszę odesłać mnie do tego oddziału – powiedział.

Kutuzow nie odpowiedział. Zdawało się, już zapomniał o tym, co powiedział, i siedział zamyślony. Po pięciu minutach Kutuzow, kołysząc się rytmicznie na miękkich resorach powozu, zwrócił się do księcia Andrzeja. Na jego twarzy nie było ani śladu wzruszenia. Z subtelną drwiną rozpytywał księcia Andrzeja o szczegóły jego audiencji u cesarza, o to, jakie wypowiedzi usłyszał na dworze o bitwie pod Krems, o pewne kobiety, wspólne znajome.

## XIV

1 listopada Kutuzow dostał od swego wywiadowcy wiadomość, która dowodzoną przez niego armię postawiła w sytuacji niemal bez wyjścia. Wywiadowca donosił, że ogromne siły Francuzów, przeszedłszy przez wiedeński most, skierowały się na linie komunikacyjne łączące Kutuzowa z wojskami idącymi z Rosji. Gdyby Kutuzow zdecydował się pozostać w Krems, to stu pięćdziesiąt tysięcy armia Napoleona odcięłaby go od wszystkich jego połączeń, okrążyłaby jego czterdziestotysięczną wyczerpaną armię i generał znalazłby się w położeniu Macka pod Ulm. Gdyby Kutuzow zdecydował się opuścić drogę prowadzącą do wojsk idących z Rosji, to musiałby zejść na bezdroża, w nieznane okolice czeskich gór, broniąc się przed przeważającymi siłami nieprzyjaciela, i rozstać się z wszelką nadzieją na połączenie się z Buxhoevedenem. Gdyby zaś Kutuzow zdecydował się na odwrót drogą z Krems na Ołomuniec w celu połączenia się z wojskami z Rosji, naraziłby się na to, że na tej drodze zostanie wyprzedzony przez Francuzów, którzy przeszli przez most w Wiedniu, i w ten sposób byłby zmuszony przyjąć bitwę w marszu, ze wszystkimi bagażami i taborami, mając sprawę z nieprzyjacielem trzykrotnie liczniejszym i otaczającym go z dwóch stron.

Kutuzow wybrał to ostatnie wyjście.

Francuzi, jak donosił wywiadowca, przeszedłszy przez most w Wiedniu, spiesznym marszem szli na Znaim, który leżał na drodze cofającego się Kutuzowa, w odległości przeszło stu wiorst przed nim. Dotrzeć do Znaim wcześniej niż Francuzi znaczyło uzyskać dużą nadzieję na ocalenie armii, pozwolić Francuzom uprzedzić się w Znaim oznaczałoby skazać całą armię na hańbę, podobnie jak pod Ulm, lub na całkowitą zagładę. Droga Francuzów z Wiednia do Znaim była krótsza i lepsza niż droga Rosjan z Krems do Znaim.

Tej samej nocy, kiedy otrzymał wiadomość, Kutuzow wysłał czterotysięczną awangardę Bagrationa górami na prawo z drogi kremsko-znaimskiej na drogę wiedeńsko-znaimską.

Bagration miał przejść marszem bez odpoczynku, stanąć czołem do Wiednia, a tyłem do Znaim i gdyby się mu udało wyprzedzić Francuzów, miał ich zatrzymywać, ile się da. Kutuzow zaś ze wszystkimi taborami ruszył ku Znaim.

Przeszedłszy czterdzieści pięć wiorst z bosymi, głodnymi żołnierzami bezdrożem w górach, w burzliwą noc, straciwszy trzecią część ludzi w maruderach, Bagration wydostał się w Hollabrunn na drogę wiedeńsko-znaimską – o kilka godzin wcześniej niż Francuzi zdążający do Hollabrunn z Wiednia. Kutuzow ze swymi taborami miał iść jeszcze całą dobę, żeby dotrzeć do Znaim, by więc ocalić armię, Bagration musiał z czterema tysiącami głodnych i zmordowanych żołnierzy powstrzymać przez całą dobę armię nieprzyjacielską, z którą się spotkał w Hollabrunn, co było oczywiście niemożliwe. Lecz dziwny los sprawił, że to, co było niemożliwe, stało się możliwe. Sukces podstępny, który wiedeński most oddał w ręce Francuzów bez walki, zachęcił Murata do próby oszukania również Kutuzowa. Murat, spotkawszy na szosie znaimskiej słaby oddział Bagrationa, myślał, że to jest cała armia Kutuzowa. By zmiażdżyć w sposób niezawodny tę armię, czekał na pozostałe w tyle wojska, na drodze z Wiednia, i w tym celu zaproponował zawieszenie broni na trzy dni z warunkiem, by obie strony nie zmieniały swych pozycji i nie ruszały się z miejsca. Murat zapewniał, że już toczą się rokowania o pokój, i dlatego, by uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi, proponuje

zawieszenie broni. Generał austriacki, hrabia Nostitz, stojący na wysuniętych do przodu pozycjach, uwierzył słowom parlamentariusza wysłanego przez Murata i cofnął się odsłaniając oddział Bagrationa. Drugi parlamentariusz pojechał z tą samą wieścią o pertraktacjach pokojowych na linię rosyjską i zaproponował rozejm na trzy dni. Bagration odpowiedział, że nie może ani przyjąć, ani odrzucić rozejmu, a do Kutuzowa wysłał swego adiutanta z doniesieniem o uczynionej mu propozycji.

Rozejm stanowił dla Kutuzowa jedyny sposób zyskania na czasie, dania odpoczynku zmęczonemu oddziałowi Bagrationa i przeprowadzenia taborów i bagaży (których ruchy były ukryte przed Francuzami) przez zyskanie choć jednego przemarszu do Znaim. Propozycja rozejmu stwarzała jedyną i niespodziewaną możliwość ocalenia armii. Otrzymawszy tę wiadomość Kutuzow natychmiast wysłał przybocznego generała-adiutanta Wintzingerode do obozu nieprzyjacielskiego. Wintzingerode miał nie tylko przyjąć rozejm, ale zaproponować warunki kapitulacji, a tymczasem Kutuzow posłał swych adiutantów na tyły, by o ile możliwości przynaglać ruchy taborów całej armii, ciągnących szosą Krems-Znaim. Zmordowany, głodny oddział Bagrationa, sam jeden, osłaniając sobą ruchy taborów i całej armii, miał pozostać nieruchomo wobec nieprzyjaciela ośmiokrotnie silniejszego.

Oczekiwania Kutuzowa sprawdziły się zarówno w tym względzie, że propozycja kapitulacji, do niczego nie obowiązująca, może dać czas na przejście pewnej części taborów, jak i w tym, że pomyłka Murata musi wyjść na jaw bardzo prędko. Gdy tylko Bonaparte, przebywający w Schönbrunn, o dwadzieścia pięć wiorst od Hollabrunn, otrzymał wiadomość od Murata oraz projekt rozejmu i kapitulacji, dostrzegł podstęp i napisał do Murata następujący list:

*Au prince Murat, Schönbrunn, 25 Brumaire en 1805 à huit heures du matin.*<sup>261</sup>

*Il m'est impossible de trouver des termes pour vous exprimer mon mécontentement. Vous ne commandez que mon avant-garde et vous n'avez pas le droit de faire d'armistice sans mon ordre. Vous me faites perdre le fruit d'une campagne. Rompez l'armistice sur-le-champ et marchez à l'ennemi. Vous lui ferez déclarer, que général qui a signé cette capitulation, n'avait pas le droit de le faire, qu'il n'y a que l'Empereur de Russie qui ait ce droit.*

*Toutes les fois cependant que l'Empereur de Russie ratifierait la dite convention, je la ratifierai; mais ce n'est qu'une ruse. Marchez, détruisez l'armée russe... vous êtes en position de prendre son bagage et son artillerie.*

*L'aide-de-camp de l'Empereur de Russie est un... Les officiers ne sont rien quand ils n'ont pas de pouvoirs: celui-ci n'en avait point... Les Autrichiens se sont laissés jouer pour le passage du pont de Vienne, vous vous laissez jouer par un ai-de-de-camp de l'Empereur.*

Napoléon

Z tym groźnym pismem adiutant Napoleona gnał co koń wyskoczy do Murata. Bonaparte, nie dowierzając swym generałom, posuwał się wraz z całą gwardią ku polu bitwy, gdyż bał się wypuścić gotową ofiarę; a tymczasem czterotysięczny oddział Bagrationa wesoło rozpałał ogniska, suszył się, ogrzewał, warzył kaszę – pierwszy raz po trzech dniach – i nikt z oddziału nie wiedział i nie myślał o tym, co go czeka.

<sup>261</sup> Do księcia Murata, Schönbrunn, 25 Brumaire'a 1805 r., 8 rano. Nie mogę znaleźć słów, by wyrazić Panu me niezadowolenie. Dowodzi Pan tylko moją awangardą i nie ma prawa zawierać rozejmu bez mojego rozkazu. Przez Pana tracę owoc całej kampanii. Proszę natychmiast zerwać rozejm i ruszyć na nieprzyjaciela. Oznajmi mi Pan, że generał, który podpisał tę kapitulację, nie miał do tego prawa, i nikt go nie ma, wyjąwszy cesarza rosyjskiego. Zresztą, jeśli cesarz rosyjski zgodzi się na wspomnianą umowę, ja również się zgodzę, ale to jest tylko podstęp. Idź naprzód, zniszcz armię rosyjską. Ma Pan możliwość wzięcia jej taborów i artylerii. Generał-adiutant cesarza rosyjskiego to... Oficerowie nic nie znaczą, jeśli nie mają pełnomocnictwa; on również go nie miał... Austriacy dali się oszukać przy przejściu przez most w Wiedniu, a Pan pozwalasz się oszukać generałowi-adiutantowi cesarza.

## XV

O czwartej po południu książę Andrzej, przeparłszy u Kutuzowa swą prośbę, przybył do Grund i zameldował się u Bagrationa. Adiutant Bonapartego jeszcze nie przyjechał do oddziału Murata i bitwa jeszcze się nie zaczęła. W oddziale Bagrationa nic nie wiadano o sytuacji ogólnej, mówiono o pokoju, ale nie wierzano w jego możliwość. Mówiono o bitwie i również nie wierzano w bliskość bitwy.

Bagration, znając Bołkońskiego jako ulubionego i zaufanego adiutanta, przyjął go z owym szczególnym wyróżnieniem i łaskawością dowódcy, wyjaśnił, że prawdopodobnie zaraz albo nazajutrz odbędzie się bitwa, i zostawił mu całkowitą swobodę – może, jeśli zechce, przebywać podczas bitwy przy Bagrationie bądź w ariergardzie pilnować porządku przy cofaniu się, „co również będzie bardzo ważne”.

– Zresztą dziś prawdopodobnie do starcia nie dojdzie – rzekł Bagration, jak gdyby uspokajając księcia Andrzeja.

„Jeśli to jeden ze zwykłych fircyków sztabowych, których się przysyła po to, by dostali krzyżyk, to i w ariergardzie otrzyma odznaczenie, a jeśli chce być ze mną, niech tam... przyda się, jeśli dzielny oficer” – pomyślał Bagration. Książę Andrzej nic nie odpowiedziawszy poprosił o pozwolenie objechania pozycji i zapoznania się z rozlokowaniem wojsk, by w wypadku otrzymania rozkazu wiedział, dokąd ma jechać. Dyżurny oficer oddziału, piękny mężczyzna, w eleganckim mundurze, z brylantowym pierścieniem na wskazującym palcu, źle, lecz ochoczo mówiący po francusku, ofiarował się oprowadzić księcia Andrzeja.

Wszędzie widać było oficerów, zmokniętych, ze smutnymi twarzami, którzy jakby czegoś szukali, i żołnierzy znoszących ze wsi drzewa, ławy i płoty.

– Widzi książę – nie możemy się od nich uchronić – rzekł oficer sztabowy pokazując na tych ludzi. – Dowódcy tak ich rozpuścili. A choćby tu – wskazał na rozpięty namiot markietana – zbiją się w kupę i siedzą. Dziś rano wypędziłem wszystkich; proszę spojrzeć: znowu pełno. Trzeba podjechać, książę, i nastraszyć ich. To tylko chwila.

– Wstąpmy, wezmę od niego sera i bułkę – rzekł książę Andrzej, który jeszcze nie zdążył nic zjeść.

– Czemu książę nic nie powiedział? Zaprosiłbym na obozowy posiłek.

Zsiedli z koni i weszli do namiotu markietana. Kilku oficerów, o zaczerwienionych i znużonych twarzach, siedziało przy stołach pijąc i jedząc.

– Do czego to podobne, panowie! – rzekł oficer sztabowy tonem wymówki, jak człowiek, który już kilka razy powtarzał jedno i to samo. – Przecie nie wolno się tak oddalać. Książę nakazał, żeby tu nikogo nie było. A na przykład pan, panie sztabkapitanie – zwrócił się do małego, brudnego, chudego oficera artylerii, który bez butów (dał je markietanowi do wysuszenia), tylko w skarpetach stał przed przybyłymi uśmiechając się niezbyt naturalnie. – No i jak panu nie wstyd, kapitanie Tuszyn? – ciągnął oficer sztabowy. – Zdaje się, że pan, jako artylerzysta, powinienes dawać przykład, a jesteś bez butów. Zatrąbią na alarm, i ślicznie pan będzie wyglądał, bez butów. (Oficer sztabowy uśmiechnął się.) Panowie, proszę udać się na swoje miejsca, wszyscy, wszyscy! – dodał tonem zwierzchnika.

Książę Andrzej uśmiechnął się mimo woli, spojrzawszy na sztabskapitana Tuszyna. Tuszyn, milcząc i uśmiechając się, przestępował bosą z nogi na nogę, dużymi, rozumnymi, poczciwymi oczyma spoglądał pytająco to na księcia Andrzeja, to na oficera sztabowego.

– Żołnierze powiadają: na bosaka poręczniej – rzekł kapitan Tuszyn uśmiechając się bojaźliwie. Widocznie ze swej niezręcznej sytuacji chciał wyjść przybierając żartobliwy ton.

Ale nim dokończył, poczuł, że żart nie został przyjęty i nie udał się. Zmieszał się.

– Proszę się zabierać – rzekł oficer sztabowy usiłując zachować powagę.

Książę Andrzej raz jeszcze spojrzął na drobną postać artylerzysty.

Było w niej coś osobliwego, wyglądała całkiem nie po wojskowemu, nieco komicznie, ale nadzwyczaj pociągająco.

Oficer sztabowy i książę Andrzej dosiedli koni i pojechali dalej.

Przejechawszy wieś, ciągle to wymijali, to spotykali idących żołnierzy oraz oficerów różnych broni. Z lewej strony ujrzeli wznoszone umocnienia, czerwieniejące świeżą, dopiero co wykopaną gliną. Na tych umocnieniach roiło się, niby białe mrówki, kilka batalionów żołnierzy – tylko w koszulach, pomimo zimnego wiatru, spoza wału nie wiadomo kto wyrzucał ciągle łopaty czerwonej gliny. Zbliżali się do umocnień, obejrzel je i pojechali dalej. Tuż za wałem natknęli się na kilkudziesięciu żołnierzy, którzy nieustannie się zmieniając zbiegali z wału. Musieli zatkać nosy i ruszyć kłusem, by wyjechać z tej zatrutej atmosfery.

– *Voilà l'agrement des camps, monsieur le prince*<sup>262</sup> – rzekł dyżurny oficer sztabowy.

Wjechali na przeciwległą górę. Z tej góry już widać było Francuzów. Książę Andrzej przystanął i zaczął się rozglądać.

– Tam stoi nasza bateria – rzekł oficer sztabowy wskazując na najwyższy punkt, baterię tego właśnie dziwaka, co siedział bez butów. – Stamtąd wszystko widać: jedźmy, książę.

– Pięknie dziękuję, teraz już sam pojedę – odrzekł książę Andrzej pragnąc się uwolnić od oficera sztabowego. – Niech pan będzie spokojny.

Oficer sztabowy został i książę Andrzej pojechał sam. Im dalej posuwał się naprzód, im bliżej nieprzyjaciela, tym porządniej i weselej zaczynało wyglądać wojsko. Największy nieład i przygnębienie panowały w taborze pod Znaim, który książę Andrzej mijał rankiem, a który się znajdował o dziesięć wiorst od Francuzów. W Grund również się czuło niejaką trwogę i strach przed czymś. Im bliżej jednak książę Andrzej podjeżdżał do linii Francuzów, tym pewniej siebie wyglądały nasze wojska. Żołnierze, sformowani w szereg, stali w płaszczach, a feldfebel i dowódca rotę odliczali ludzi stukając palcem w pierś ostatniego żołnierza drużyny i każąc mu podnieść rękę, żołnierze, rozsypani na całej przestrzeni, ściągali drewno, chrust i budowali szałasiki; śmiali się przy tym wesoło i gawędzili; przy ogniskach siedzieli ubrani lub nadzy, suszyli koszule, onuce albo reperowali buty i płaszcze, tłoczyli się przy kotłach i kucharach. W jednej rocie obiad już był gotów i żołnierze chciwie patrzyli na dymiące kotły i czekali na próbę posiłku, prowiantowy podawał w drewnianej misce próbną porcję oficerowi, siedzącemu na pieńku naprzeciwko swojego szałasu.

W innej szczęśliwej kompanii – bo nie wszystkie miały wódkę – żołnierze tłoczyli się wokół dziobatego, barczystego feldfebla, który nachylając antałek nalewał do podstawianych kolejno pokrywek od manierek. Żołnierze z nabożeństwem podnosili do ust manierki, przechylali je, płukali usta i ocierali wargi rękawami płaszczy i z poweselałymi twarzami odchodzili. Wszyscy mieli twarze tak spokojne, jakby wszystko to działo się nie w obliczu nieprzyjaciela, nie przed bitwą, w której miała paść na miejscu przynajmniej połowa oddziału, lecz jak gdyby gdzieś w ojczyźnie, w oczekiwaniu spokojnego postoju.

Książę Andrzej, minawszy pułk jegrów i znalazłszy się w szeregach kijowskich grenadierów, ludzi o zuchowatym wyglądzie, zajętych tymi samymi pokojowymi sprawami, niedaleko od wyróżniającego się wśród innych wysokością szałasu dowódcy pułku natknął się na stojący w szyku pluton grenadierów, przed którym leżał obnażony człowiek. Dwaj żołnierze trzy-

<sup>262</sup> Oto przyjemności obozowe, książę.

mali go, a dwaj inni machali giętkimi prętami i miarowo uderzali w obnażony grzbiet. Karany krzyczał nienaturalnie. Otyły major chodził przed frontem i, nie zwracając uwagi na krzyk, mówił bez przerwy:

– Hańba, żeby żołnierz kradł, żołnierz winien być uczciwy, szlachetny i mężny, a jeśli okradł kolegę, to nie jest uczciwy: to łajdak. Jeszcze, jeszcze!

I wciąż słycać było giętkie ciosy i rozpaczliwy, ale sztuczny krzyk.

– Jeszcze, jeszcze – powtarzał major.

Młody oficer z wyrazem zdumienia i cierpienia na twarzy odsunął się od karanego, spoglądając pytająco na przejeżdżającego adiutanta.

Księżę Andrzej wjechawszy na przednią linię ruszył wzdłuż frontu. Linie, nasza i nieprzyjacielska, na lewym i na prawym skrzydle stały daleko od siebie, ale w samym środku, w tym miejscu, gdzie rankiem przejeżdżali parlamentariusze, tyraliery zeszyły się tak blisko, iż żołnierze mogli się widzieć twarzą w twarz i rozmawiać ze sobą. Oprócz żołnierzy, tworzących tyralierę w tym miejscu, po obu stronach stało mnóstwo ciekawych, którzy ze śmiechem przyglądali się dziwnym i obcym dla nich nieprzyjaciołom.

Od wczesnego ranka, pomimo zakazu zbliżania się do przednich pozycji, dowódcy nie mogli się opędzić od ciekawych. Żołnierze, którzy stali w linii, jak ludzie pokazujący coś osobliwego, już nie patrzyli na Francuzów, lecz robili uwagi o przychodzących, nudząc się w oczekiwaniu na zmianę. Księżę Andrzej zatrzymał się, by popatrzeć na Francuzów.

– Patrz no, patrz – mówił jeden z żołnierzy do kolegi i pokazywał rosyjskiego żołnierza, muszkietera, który wraz z oficerem zbliżył się do tyraliery i prędko, gwałtownie rozmawiał z francuskim grenadierem. – Widzisz, jak to gładko szwargocze! Aże Chrancuz nie może za nim nadążyć. Ano, Sidorow!

– Poczekaj, posłuchaj. Widzicie, jak sprawnie! – odpowiedział Sidorow, który uchodził za mistrza francuszczyzny.

Żołnierzem, którego wskazywali śmiejący się, był Dołochow. Księżę Andrzej poznał go i przysłuchiwał się jego rozmowie. Dołochow wraz ze swym dowódcą roty przyszedł do tyraliery z lewego skrzydła, gdzie stał jego pułk.

– Ano, jeszcze, jeszcze! – podniecał go dowódca roty pochylając się do przodu i starając się nie uronić ani jednego niezrozumiałego słówka. – No, proszę. Co ten tam?

Dołochow nie odpowiedział kapitanowi, był zaprzątnięty gorącym sporem z francuskim grenadierem. Rozmawiali, tak jak wypadało, o kampanii. Francuz, który mylił Austriaków z Rosjanami, dowodził, że Rosjanie poddali się i uciekali od samego Ulm, Dołochow zaś dowodził, iż Rosjanie nie poddawali się, ale bili Francuzów.

– Każą was stąd przepędzić, to i przepędzimy – mówił Dołochow.

– Jeno się starajcie, żeby was nie wzięto razem z wszystkimi waszymi Kozakami – rzekł grenadier francuski. Widzowie i słuchacze-Francuzi roześmiali się.

– Każemy wam jeszcze zatańczyć, jakeście za Suworowa tańczyli (on *vous fera danser*) – oświadczył Dołochow.

– *Qu'est-ce qu'il chante?*<sup>263</sup> – rzekł jeden z Francuzów.

– *De l'histoire ancienne* – rzekł inny, domyślając się, że mowa o poprzednich wojnach. – *L'Empereur va lui faire voir à votre Souvara, comme aux autres...*<sup>264</sup>

– Bonaparte... – zaczął już Dołochow, ale Francuz mu przerwał.

– Nie ma Bonapartego. Jest cesarz! *Sacré nom...*<sup>265</sup> – krzyknął gniewnie.

– A niech go diabli, tego waszego cesarza! I Dołochow, zakławszy po rosyjsku, ordynarnie, z żołnierską, zarzucił karabin i odszedł.

– Chodźmy, Iwanie Łukiczu – powiedział do kapitana.

<sup>263</sup> Co on tam śpiewa?

<sup>264</sup> Coś z historii starożytnej... Cesarz pokaże waszemu Suwarze tak jak innym...

<sup>265</sup> Psiakrew...

– Tak, to tak po chrancusku – zagadali szeregowi w tyralierze. – Teraz ty, Sidorow!

Sidorow mrugnął, zwrócił się do Francuzów i jał prędko, prędko terkotać niezrozumiałe słowa:

– Kari, mala, tafa, safi, muter, kaska – trzepał usiłując nadać swemu głosowi wymowną intonację.

– Ho, ho, ho! Cha, cha, cha! Uch! Uch! – rozległ się między żołnierzami grzmot tak zdrowego i wesołego śmiechu, że mimo woli udzielił się i Francuzom, zdawało się, że po tym należało rozładować karabiny, wysadzić amunicję i czym prędzej rozejść się do domów.

Lecz karabiny pozostały nabite, strzelnice w domach i umocnieniach spoglądały równie groźnie, jak przedtem, odprzodkowane działa pozostały zwrócone przeciwko sobie.

## XVI

Książę Andrzej, objechawszy całą linię wojsk od prawego skrzydła do lewego, podążył do tej baterii, z której – wedle słów oficera sztabowego – widać było całe pole. Tutaj zsiadł z konia i zatrzymał się przy ostatnim z czterech odprzodkowanych dział. Przed działami chodził pełniący wartę artylerzysta; wyprężył się był przed oficerem, lecz na dany znak rozpoczął znowu miarową, nudną wędrówkę. Za działami stały przodki, jeszcze dalej konowiaż, a za nimi paliły się ogniska artylerzystów. Na lewo, niedaleko od ostatniego dział, znajdował się świeżo spleciony szałasik, z którego dolatywały ożywione głosy oficerów.

Istotnie, z baterii odslaniał się widok niemal na wszystkie pozycje wojsk rosyjskich i na większą część pozycji nieprzyjacielskich. Na wprost baterii, na widnokręgu przeciwległego wzgórza, widniała wieś Schöngraben, bardziej na lewo i na prawo można było w trzech miejscach rozróżnić wśród dymu ognisk masy wojsk francuskich, których główna część znajdowała się widocznie w samej wsi i za górą. Bardziej na lewo od wsi, w dymie, rozróżniało się coś jak gdyby baterię, ale gołym okiem nie można było dobrze rozpoznać. Nasze prawe skrzydło rozpościerało się na dość stromym wzniesieniu, które dominowało nad pozycją Francuzów. Mieściła się tu nasza piechota, a na samym skraju widać było dragonów. W centrum, gdzie znajdowała się właśnie bateria Tuszyna, z której książę Andrzej rozpatrywał pozycję, było bardzo strome podejście do strumienia, oddzielającego nas od Schöngraben. Na lewo wojska nasze opierały się o las, dymiły tam ogniska naszej piechoty, która rąbała drzewa. Linia Francuzów była szersza niż nasza i było rzeczą widoczną, że Francuzi łatwo nas mogą obejść z obydwóch stron. Z tyłu za naszą pozycją znajdował się stromy i głęboki jar, który by utrudniał odwrót artylerii i konnicy. Książę Andrzej wsparł łokcie na dział, wyjął notes i nakreślił dla siebie plan sytuacyjny wojsk. W dwóch miejscach zrobił ołówkiem uwagi, mając zamiar zakomunikować je Bagrationowi. Przewidywał, po pierwsze, skupienie w centrum wszystkiej artylerii, po drugie zaś, przesunięcie kawalerii do tyłu, na przeciwną stronę jaru. Książę Andrzej, znajdując się ciągle przy naczelnym wodzu, śledząc ruchy wojsk i ogólne zarządzenia oraz studiując nieustannie historyczne opisy bitew, i teraz mimo woli tylko w ogólnych zarysach wyobrażał sobie bieg działań w mającej nastąpić bitwie. Wyobrażał sobie jedynie tego rodzaju poważne przypadki: „Jeśli nieprzyjaciel skieruje atak na prawe skrzydło – mówił sobie – pułki grenadierów kijowskich i jegrów podolskich będą musiały utrzymywać swą pozycję dopóty, dopóki nie zbliżą się do nich rezerwy z centrum. W takim razie dragoni mogą uderzyć na skrzydło i rozbić ich. W razie zaś ataku na centrum ustawiamy na tym wzniesieniu centralną baterię, pod jej osłoną ściągamy lewe skrzydło i cofamy się do jaru eszelonami” – rozważał książę Andrzej.

Przez cały czas, kiedy stał przy dział, słyszał, jak to często bywa, głosy oficerów rozmawiających w szałasie, ale nie rozumiał ani słowa z tego, co mówili. Nagle głosy z szałasu zaskoczyły go taką poufnością tonu, że mimo woli zaczął się przysłuchiwać.

– Nie, kochasiu – mówił przyjemny i jakby księciu Andrzejowi znany głos. – Powiadam, że gdyby można było wiedzieć, co będzie po śmierci, to i śmierci nikt z nas nie bałby się. Tak, tak, kochasiu.

Przerwał mu inny głos, młodszy:



– Boisz się czy nie boisz, wszystko jedno, i tak cię nie minie,  
– A przecie się boisz! Ech, wy, uczeni ludzie – odezwał się trzeci dziarski głos przerywając obydwóm. – Wy, artylerzyści, dlatego właśnie jesteście uczeni, że wszystko możecie ze sobą wozic – i wódeczkę, i przekąskę.

I posiadacz dziarskiego głosu, widocznie oficer piechoty, roześmiał się.

– A przecie się boisz – ciągnął pierwszy, znajomy głos. – Boisz się właśnie niewiadomego. Cokolwiek byś mówił, że dusza pójdzie do nieba... przecie wiemy, że nieba nie ma, jeno sama atmosfera.

Dziarski głos znowu przerwał artylerzyście:

– Tuszyn, poczęstujże mnie pan swym zieleniakiem – powiedział.

„A, to ten kapitan, który bez butów siedział u markietana”

– pomyślał księżę Andrzej, z zadowoleniem poznając miły, filozofujący głos.

– Można i zieleniaczka... – rzekł Tuszyn – a przecie gdyby tak życie przyszło pojąć... – i nie dokończył.

W tej chwili w powietrzu rozległ się świst coraz bliżej, coraz prędzej i głośniejszy, głośniejszy i prędzej – i pocisk, jakby nie dopowiedziawszy wszystkiego, co należało powiedzieć, z nadludzką siłą trzepnął opodal szalasu rozpryskując ziemię. Ziemia jak gdyby jęknęła od straszego uderzenia.

W tym samym mgnieniu pierwszy wyskoczył z szalasu mały Tuszyn z fajeczką w kącie ust; jego poczciwa, rozumna twarz nieco przybladła. Za nim wyszedł posiadacz dziarskiego głosu, chwacki oficer piechoty, i zapinając się w biegu popędził do swej rotty.

## XVII

Książę Andrzej zatrzymał konia przy baterii, patrząc na dym działa, z którego wyleciał pocisk. Oczy rozbiegły mu się po obszernej przestrzeni. Widział tylko, że przedtem nieruchome masy Francuzów zakolysały się i że na lewo istotnie była bateria. Jeszcze się nad nią nie rozszedł dymek. Górą pocwałowali dwaj jeźdźcy francuscy, prawdopodobnie adiutanci. Pod górą widniała wyraźnie nieduża kolumna nieprzyjacielska, posuwająca się prawdopodobnie w celu wzmocnienia przedniej linii. Jeszcze nie rozpląnął się dym pierwszego wystrzału, a już ukazał się drugi dymek i wystrzał. Bitwa zaczęła się. Książę Andrzej zawrócił konia i pocwałował z powrotem do Grund, by odszukać księcia Bagrationa. Słyszał za sobą kanonadę, która stawała się coraz częstsza i głośniejsza. Nasi zaczęli widocznie odpowiadać. W dole, w tym miejscu, któredy przejeżdżali parlamentariusze, słychać było strzały karabinowe.

Lemarrois z groźnym listem Bonapartego dopiero co przygalopował do Murata i zawstydzony Murat, pragnąc naprawić swój błąd, natychmiast rzucił swe wojska w centrum i na okrążenie obu skrzydeł; miał nadzieję, że do wieczora i do przybycia cesarza zdusi nędzny oddział, który miał przed sobą.

„Zaczęło się! Więc tak! – myślał książę Andrzej. Czuł, jak krew coraz szybciej uderza mu do głowy. – Lecz gdzie, w jaki sposób objawi się mój Tulon?” – myślał.

Kiedy przejeżdżał między rotami, które przed kwadransem jadły kaszę i piły wódkę, wszędzie widział te same szybkie ruchy żołnierzy ustawiających się w szeregi i biorących karabiny z kozłów. Na wszystkich twarzach poznawał to samo uczucie ożywienia, jakie miał w sercu. „Zaczęło się! Więc tak! Strasznie, ale i wesoło!” – mówiła twarz każdego żołnierza i oficera.

Zanim jeszcze dojechał do budujących się umocnień, w wieczornym świetle pochmurnego dnia jesiennego ujrzał jadących naprzeciw jeźdźców. Jadący na przedzie na siwym koniu był w burce i w barankowej czapce. Był to książę Bagration.

Książę Andrzej, zatrzymawszy się, czekał na niego. Książę Bagration ściągnął konia i poznawszy księcia Andrzeja kiwnął mu głową. Ciągle patrzył przed siebie, gdy książę Andrzej opowiadał mu, co widział.

Nawet i na twarzy Bagrationa – stanowczej, ciemnej, z oczami na pół przymkniętymi, zamglonymi, jak gdyby z niewyspania – był ten sam wyraz: „Zaczęło się! Więc tak!” Książę Andrzej przyglądał się tej nieruchomej twarzy z niespokojną ciekawością; pragnął wiedzieć, czy myśli i czuje ów człowiek, i co w tej chwili czuje. „Czy poza tą nieruchomą twarzą jest cośkolwiek?” – zadawał sobie pytanie książę Andrzej patrząc na generała. Książę Bagration pochylał głowę na znak zgody z tym, co mówił książę Andrzej, i rzeki „Dobrze” z takim wyrazem twarzy, jakby wszystko, co się działo i co mu oznajmiono, było właśnie tym, co już przewidywał. Książę Andrzej mówił prędko, zadyszany po szybkiej jeździe. Książę Bagration wymawiał słowa swym wschodnim akcentem osobliwie wolno, jakby w ten sposób sugerował, że nie ma po co się spieszyć. Przecie puścił konia kłusem w kierunku baterii Tuszyzna. Książę Andrzej wraz ze świtą pojechał za nim. Za księciem Bagrationem jechali oficer ze świty cesarskiej, osobisty adiutant księcia, Żerkow, oficer ordynansowy, dyżurny oficer sztabowy na ładnym kurtyzowanym koniu i urzędnik cywilny, audytor, który z ciekawości wprosił się do udziału w bitwie. Audytor, otyły mężczyzna, z pełną twarzą, rozglądał się wokół z

naiwnym uśmiechem radości, trzęsąc się na swym koniu, dziwnie wyglądał w kamlotowym płaszczu, na taborowym siodle, wśród huzarów. Kozaków i adiutantów.

– Zachciało mu się zobaczyć bitwę – powiedział Żerkow do Bołkońskiego wskazując na audytora. – Ale już go w dołku ćmi.

– Ale co też pan mówi! – rzekł audytor, promieniejąc uśmiechem naiwnym a zarazem przebiegłym, jakby mu to pochlebiało, że stanowi przedmiot żartów Żerkowa, i jakby rozmyślnie starał się wydać głępszym, niż był w istocie.

– *Très drôle, mon monsieur prince*<sup>266</sup> – odezwał się dyżurny oficer sztabowy. (Przypomniał sobie, że tytuł księżę mówi się po francusku jakoś osobliwie, ale żadną miarą nie mógł sobie z tym poradzić.)

W tym czasie wszyscy już się zbliżali do baterii Tuszyna. Przed nimi upadł pocisk.

– Co to upadło? – zapytał audytor uśmiechając się naiwnie.

– Placuszki francuskie – odpowiedział Żerkow.

– To znaczy, że tym biją? – zapytał audytor. – Co za dziwo.

Zdawał się rozpływać z zadowolenia. Zaledwie skończył mówić, a tu znowu rozległ się zniecka straszny świst, nagle przerwany uderzeniem w coś rzadkiego, i sz-sz-sz-szlap – Kozak jadący za audytorem, nieco z prawej strony, runął na ziemię wraz z koniem. Żerkow i dyżurny oficer sztabowy pochylił się w siodłach i zawrócili konie. Audytor zatrzymał się naprzeciwko Kozaka i przyglądał mu się z uważną ciekawością. Kozak był martwy, koń jeszcze dyszał.

Księżę Bagration obejrzał się, mrużąc oczy, a kiedy dostrzegł przyczynę zamieszania, odwrócił się obojętnie, jakby chciał powiedzieć: „Nie warto się zajmować głupstwami!” Zatrzymał konia i ruchem dobrego jeźdźca przegiął się nieco i poprawił szpadę, która się zaczęła o burkę. Szpada była staroświecka, nie taka, jak noszono obecnie. Księżę Andrzej przypomniał sobie opowiadanie, jak we Włoszech Suworow podarował Bagrationowi swą szpadę, i w tej chwili było mu osobliwie miłe to wspomnienie. Pojechali do tej samej baterii, przy której stał Bołkoński, gdy przyglądał się polu bitwy.

– Czyja rota? – zapytał księżę Bagration ogniomistrza stojącego przy jaszczach.

Pytał: „Czyja rota?”, a w istocie zapytywał: „Czy przypadkiem już was nie oblatuje strach?” – I ogniomistrz zrozumiał to.

– Kapitana Tuszyna, wasza ekscelencjo – krzyknął wesołym głosem rudy, piegowaty ogniomistrz stając na baczność.

– Tak, tak – rzekł Bagration i widocznie coś sobie miarkując przejechał obok przodków do ostatniego dział.

W chwili gdy podjeżdżał, z dział tego zadzwonił wystrzał ogłuszający i jego, i świtę, w dymie, który nagle otoczył dział, widać było artylerzystów, jak chwycili dział w pośpiechu, wyteżając się, i przetoczyli je na dawne miejsce. Żołnierz numer pierwszy, z wyciorem, barczysty, olbrzymi, rozstawiwszy szeroko nogi odskoczył do koła. Drugi numer trzęsąc się ręką kładł pocisk w lufę. Nieduży, pochylony człowiek, oficer Tuszyn, potknąwszy się o lawetę wybiegł naprzód nie widząc generała i patrzył spod małej dłoni.

– Dodaj jeszcze dwie linie, będzie w sam raz – krzyknął cienkim głosikiem, któremu się starał przydać zuchowatości, nie pasującej do jego postaci. – Drugie! – pisnął. – Rżnij, Miedwiediew!

Bagration przywołał go i Tuszyn, nieśmiałym i niezręcznym gestem, całkiem nie tak, jak salutują wojskowi, ale jak błogosławią duchowni, przykładając trzy palce do daszka, podszedł do generała. Mimo iż dział Tuszyna miały za zadanie ostrzeliwać parów, on jednak strzelał brandkugłami do widniejącej na przedzie wsi Schöngraben, przed którą wysuwały się duże masy Francuzów.

---

<sup>266</sup> Bardzo to zabawne, mój panie księżę.

Nikt nie dał rozkazu Tuszynowi, czym i do czego strzelać, ale Tuszyn, narodziwszy się ze swym feldfeblem Zacharczenką, którego bardzo poważał, postanowił, że dobrze będzie podpalić wieś. „Dobrze!” – odpowiedział Bagration na meldunek oficera i jął oglądać pole walki odsłaniające się przed nim, jakby coś sobie kalkulując. Najbliżej podeszli Francuzi z prawej strony. Poniżej wzniesienia, na którym stał pułk kijowski, w dolince rzeczki rozlegało się potoczyste, chwytające za serce trzaskanie karabinów; oficer ze świty wskazywał księciu – znacznie bardziej na prawo za dragonami – kolumnę Francuzów obchodzącą nasze skrzydło. Z lewej strony granicę horyzontu stanowił bliski las. Księżę Bagration rozkazał, by dwa bataliony ruszyły na pomoc w prawo. Oficer ze świty cesarskiej ośmielił się zwrócić księciu uwagę, że jeśli te dwa bataliony odejdą, to działa zostaną bez osłony. Księżę Bagration odwrócił się do oficera ze świty i w milczeniu popatrzył na niego zamglonymi oczami. Księciu Andrzejowi wydało się, że uwaga oficera była słuszna i że istotnie nie sposób coś na to powiedzieć. Lecz w tej chwili przygalopował adiutant od dowódcy pułku znajdującego się w parowie – z wiadomością, że dołem idą ogromne masy Francuzów, że pułk cofa się w nieładzie w kierunku kijowskich grenadierów. Księżę Bagration pochylił głowę na znak zgody i aprobaty. Przejechał stępą na prawo i posłał adiutanta do dragonów z rozkazem zaatakowania Francuzów. Lecz po upływie pół godziny posłany adiutant wrócił z wiadomością, że dowódca pułku dragonów cofnął się już za jar, ponieważ skierowany był na niego silny ogień, i tylko niepotrzebnie tracił ludzi, dlatego spieszył dragonów w lesie. – Dobrze! – powiedział Bagration. Gdy odjeżdżał od baterii, z lewej strony również rozległy się w lesie wystrzały. A ponieważ do lewego skrzydła było zbyt daleko i sam nie zdążyłby przybyć tam w porę, przeto posłał Żerkowa, żeby powiedział starszemu generałowi, temu, który w Braunau zaprezentował pułk Kutuzowowi, żeby jak najspieszniej wycofał się za jar, gdyż prawe skrzydło prawdopodobnie nie będzie w stanie długo powstrzymać nieprzyjaciela. O Tuszynie i batalionie, osłaniającym go, zapomniano. Księżę Andrzej przysłuchiwał się uważnie rozmowom księcia Bagrationa z dowódcami i dawanym im rozkazom, zauważył ze zdumieniem, że żadnych rozkazów nie było i że księżę Bagration starał się tylko okazywać, jakby wszystko, co się działo z konieczności, z przypadku i z woli poszczególnych dowódców, że wszystko to działo się, jeśli nie z jego rozkazu, to jednak zgodnie z jego zamierzeniami. Księżę Andrzej zauważył, iż dzięki taktowi, jaki wykazywał księżę Bagration – mimo przypadkowości zdarzeń, ich niezależności od woli dowódcy, jego obecność sprawiła bardzo wiele. Dowódcy, którzy się do księcia Bagrationa zbliżali z wyrazem wzburzenia, odzyskiwali spokój, żołnierze i oficerowie pozdrawiali go wesoło, ożywiali się w jego obecności i najwidoczniej chełpili się przed nim swym męstwem.

## XVIII

Książę Bagration, wjechawszy na najwyższy punkt naszego prawego skrzydła, jał zjeżdżać w dół, gdzie rozlegał się łoskot strzelaniny i wśród prochowego dymu nic nie było widać. Im bliżej byli parowu, tym mniej widzieli, lecz tym silniej odczuwali bliskość najprawdziwszego pola bitwy. Zaczęli spotykać rannych. Jednego, z głową okrwawioną, bez czapki, ciągnęli pod rękę dwaj żołnierze. Charczał i pluł. Widać kula trafiła go w usta albo w gardło. Drugi, którego spotkali, dziarsko szedł sam, bez karabinu, głośno stękając i ze świeżego bólu machając ręką, z której na płaszcz lała się krew jak ze szklanki. Twarz jego zdawała się raczej przestraszona niż cierpiąca. Został ranny przed chwilą. Przejechawszy drogę zaczęli zjeżdżać po stromym zboczku, ujrzeli tam kilku leżących ludzi, spotkali też cizbę żołnierzy, wśród których znajdowali się i nieranni. Żołnierze szli pod górę dysząc ciężko i nie zwracając uwagi na generała głośno rozmawiali i wymachiwali rękami. Z przodu, wśród dymu dojrzeliby przed sobą szeregi szarych płaszczy, a oficer, spostrzegłszy Bagrationa, z krzykiem pobiegł za żołnierzami, którzy szli tłumem, i żądał, żeby zawrócili. Bagration podjechał do szeregów, przez które – to tu, to tam – szybko trzaskały wystrzały zagłuszające rozmowy i okrzyki komendy. Powietrze było przesycone dymem prochowym. Żołnierze mieli twarze zakopcone dymem i ożywione. Jedni przybijali stemple, inni podsypywali panewki, wyjmowali z woreczków naboje, jeszcze inni strzelali. Ale do kogo strzelali, tego nie było widać spoza dymu, którego wiatr nie rozpraszał. Dość często dawało się słyszeć przyjemne brzęczenie i poświstywanie. „Co to takiego? – myślał książę Andrzej zbliżając się do tej cizby żołnierzy. – Przecie to nie może być tyraliera, bo stoją skupieni! Nie może to być atak, bo się nie posuwają, nie może być czworobok: stoją inaczej.”

Dowódca pułku, szczupły, wąły na pozór starzec, z miłym uśmiechem, z powiekami, które więcej niż do połowy przesłaniały jego starcze oczy, nadając mu w ten sposób potulny wygląd, podjechał do księcia Bagrationa i przyjął go jak gospodarz drogiego gościa. Zameldował księciu Bagrationowi, że konnica francuska atakowała jego pułk, że wprawdzie atak został odparty, ale pułk stracił przeszło połowę ludzi. Dowódca pułku powiedział, że atak został odparty, wymyśliwszy wojskową nazwę na to, co się działo w jego pułku; lecz w istocie nie wiedział, co w ciągu tej pół godziny działo się w powierzonym mu pułku, i nie mógł powiedzieć dokładnie, czy atak został odparty, czy też pułk został przez atak rozbity. Na początku działań wiedział tylko to, że po całym jego pułku zaczęły latać pociski i granaty i zabijać ludzi, że potem ktoś krzyknął: „Konnica”, i nasi zaczęli strzelać. I strzelali odtąd już nie do konnicy, która zniknęła, ale do piechurów francuskich, którzy się ukazali w wądole i strzelali do naszych. Książę Bagration skinął głową na znak, że wszystko działo się tak właśnie, jak on sobie życzył i przewidywał. Zwracając się do adiutanta, kazał mu sprowadzić z góry dwa bataliony szóstego pułku jegrów, obok którego przed chwilą przejeżdżał. Księcia Andrzeja zastanowiła zmiana, jaka w tej chwili zaszła w twarzy księcia Bagrationa. Jego twarz wyrażała skupioną i radosną stanowczość, jaką miewa człowiek gotów w upalny dzień rzucić się w wodę, gdy już bierze ostatni rozbieg. Nie miał już niewyspanych, mętnych oczu i udanego wyrazu głębokiej myśli: okrągłe, twarde, jastrzębie oczy patrzyły przed siebie ekstatycznie i

nieważ tu było zbyt niebezpiecznie. „Jaśnie oświecony książę, na miłość boską! – mówił oglądając się za poparciem na oficera ze świty, który odwracał się od niego. – Proszę spojrzeć z łaski swojej!” – i zwracał uwagę na kule, które bez przerwy gwizdały, śpiewały i świstały wokół nich. Mówił tonem prośby i wymówki, z jakim cieśla mówi do pana, który się jął siekiery:

„Myśmy do tego nawykli, ale pan rączki utrudzi.” Mówił tak, jakby jego te kule zabić nie mogły, a przymknięte oczy dodawały jego słowom jeszcze większego przekonania. Oficer sztabowy przyłączył się do perswazji dowódcy pułku, ale książę Bagration nie odpowiadał, tylko kazał przestać strzelać i stanąć w szyku, by dać miejsce dwóm zbliżającym się batalionom. Kiedy to mówił, zerwał się wiatr, który niby niewidzialną ręką przesunął z prawej strony na lewą zasłonę dymu zakrywającą wąwóz i odsłonił przed nimi przeciwnie leżące wzgórza i posuwających się po nim Francuzów. Oczy wszystkich mimo woli skierowały się na tę posuwającą się w ich kierunku kolumnę francuską, wijącą się po występach terenu. Już widać było biermyce żołnierzy, już można było rozróżnić oficerów od szeregowców; widać było nawet, jak sztandar łoपोce o drzewce.

– Wspaniale idą – rzekł ktoś w świetle Bagrationa. Czoło kolumny już znalazło się w wąwozie. Starcie powinno było nastąpić po tej stronie urwiska...

Resztki naszego pułku, będącego w akcji, pośpiesznie się formowały odchodząc na prawo; spoza nich, rozpędzając opieszale, zbliżały się składnie dwa bataliony szóstego pułku jeńców. Jeszcze się nie zrównały z Bagrationem, a już było słychać ciężki, wybijający takt krok całej masy ludzi. Z lewego skrzydła najbliższej Bagrationa szedł dowódca rot, okrągłolicy, postawny mężczyzna, z głupim, szczęśliwym wyrazem twarzy, ten sam, który wybiegł z szarą. W tej chwili najwidoczniej myślał tylko o tym, żeby zuchowato przemaszerować przed dowództwem.

Z zadowoleniem frontowca szedł lekko na muskularnych nogach, jak gdyby płynąc, wyprężony, bez najmniejszego wysiłku; ta lekkość wyodrębniała go wśród ciężkiego kroku żołnierzy idących za nim. U nogi miał cieniutką, wąziutką, zgiętą szpadkę niepodobną do broni, a oglądając się to na dowództwo, to za siebie, zwracał swą gibką postać nie gubiąc kroku. Jak gdyby wszystkie siły ducha skupił na tym, by jak najpiękniej przejść przed dowódcą, i czując, że dokonuje tego dzieła dobrze, był szczęśliwy. „Lewa... lewa... lewa...” – zdawał się powtarzać to wewnętrznie za każdym krokiem i zgodnie z tym taktem posuwał się mur postaci żołnierskich o różnorodnych a surowych twarzach; każdy z tych setek żołnierzy, obciążonych tornistrami i karabinami, co drugi krok powtarzał w myśli: „Lewa... lewa... lewa...” Otyły major, sapiąc i gubiąc krok, wymijał krzak na drodze; żołnierz, który pozostał w tyle, dysząc szybko, przestraszony swą niesprawnością, doganiał kłusem rotę; nagle pocisk, rozpierając powietrze, przeleciał nad głową księcia Bagrationa i świty i w takt: „Lewa-lewa!” uderzył w kolumnę. „Szlusuj” – rozległ się popisowo głos dowódcy rot. Żołnierze łukiem obchodzili coś w tym miejscu gdzie upadł pocisk, a stary weteran, podoficer flankowy, zatrzymawszy się przy zabitych, dogonił potem swój szereg, podskoczył, zmienił nogę, złapał krok i obejrzał się gniewnie. „Lewa... lewa... lewa...” – zdawało się rozlegać spoza groźnego milczenia i monotonnego odgłosu nóg uderzających jednocześnie o ziemię.

– Dzielnie, chłopcy! – rzekł książę Bagration.

– Wedle roz.. oho-ho-ho-ho-ho! – rozległo się wśród szeregow. Pośepny żołnierz, idący z lewej strony, krzycząc obejrzał się na Bagrationa z takim wyrazem, jakby mówił: „Sami wiemy”, inny wcale się nie oglądał i jakby bojąc się rozproszyć uwagę, rozdziawił usta, krzyczał i przechodził.

Kazano zatrzymać się i zdjąć tornistry.

Bagration objechał szeregi, które przemaszerowały przed nim, i zsiadł z konia. Podał Kozakowi wodze, zdjął i oddał burkę, rozprostował nogi i poprawił na głowie czapkę. Spod góry ukazało się czoło kolumny francuskiej z oficerami na przedzie.

– Z Bogiem! – rzekł Bagration głosem twardym, donośnym, na chwilę zwrócił się do linii i, wymachując z lekka rękami, niezgrabnym krokiem kawalerzysty, jakby z trudem ruszył po nierównym polu. Książę Andrzej czuł, że jakaś niepohamowana siła pcha go naprzód, i doznawał wielkiego szczęścia.<sup>267</sup>

Francuzi zbliżali się, książę Andrzej, który szedł obok Bagrationa, już wyraźnie odróżniał bandolety, czerwone naramienniki, nawet twarze Francuzów. (Widział dokładnie jakiegoś starszego oficera francuskiego, który wykrcając nogi w kamaszach, przytrzymując się krzaków, z trudem szedł pod górę.) Książę Bagration nie dawał nowego rozkazu i w milczeniu wciąż kroczył przed szeregami. Nagle wśród Francuzów trzasnął jeden wystrzał, drugi, trzeci... poprzez rozsypane szeregi nieprzyjaciela rozszedł się dym i zaterkotała strzelanina. Kilku naszych padło, a wśród nich i okrągłolicy oficer, który szedł tak wesoło i gorliwie. Lecz w momencie, gdy rozległ się pierwszy wystrzał, Bagration obejrzał się i krzyknął: „Hura!”

– Hura-a-a-a! – przebiegło przeciągłym krzykiem w naszej linii i nasi, prześcigając księcia Bagrationa i jedni drugich, nieskładną, ale wesołą i ożywioną gromadą pobiegli z góry za rozbitymi szeregami Francuzów.

---

<sup>267</sup> Tu nastąpił atak, o którym Thiers mówi: „*Les Russes se conduisirent vaillamment et, chose rare à la guerre, on vit deux masses d'infanterie marcher résolument, l'une contre l'autre sans qu'aucune des deux céda avant d'être abordecée*”. Napoleon zaś na Wyspie Świętej Heleny powiedział: „*Quelques bataillons russes montrèrent de l'intrépidité*”, – Rosjanie zachowywali się wspaniale – i rzecz rzadka na wojnie – dwie masy piechoty szły zdecydowanie jedna przeciwko drugiej i ani jedna z nich nie cofnęła się aż do samego starcia... Kilka batalionów rosyjskich wykazało nieustraszonosc.

## XIX

Atak 6 pułku jegrów osłonił odwrót prawego skrzydła. W centrum akcja zapomnianej baterii Tuszyńska, która zdołała podpalić Schöngraben, powstrzymywała posuwanie się Francuzów. Francuzi gasili pożar rozprzestrzeniany przez wiatr i zostawiali czas na wycofanie się. Odwrót centrum przez wąwóz odbywał się spiesźnie, wśród wrzawy, wszelako oddziały cofającego się wojska nie mieszały szyków. Jednakże szyk lewego skrzydła – atakowanego jednocześnie i otaczanego przez przeważające siły Francuzów pod dowództwem Lannes'a – składający się z Azowskiego i Podolskiego pułku piechoty oraz z Pawłogradzkiego pułku huzarów – uległ rozbiciu. Bagration posłał Żerkowa do generała, dowódcy lewego skrzydła – z rozkazem natychmiastowego wycofania się.

Żerkow, zuchowato, nie odejmując ręki od czapki, spał konia i popędził. Ale jak tylko odjechał od Bagrationa, siły odmówiły mu posłuszeństwa. Ogarnął go niepohamowany strach i nie mógł jechać tam, gdzie groziło niebezpieczeństwo.

Jadąc do wojska lewego skrzydła, pojechał nie do przodu, gdzie była strzelanina, ale zaczął szukać generała i dowódców tam, gdzie ich być nie mogło, i dlatego nie przekazał rozkazu.

Według starszeństwa dowództwo nad lewym skrzydłem sprawował dowódca tego pułku, który pod Braunau prezentował się Kutuzowowi i w którym Dołochow służył jako żołnierz. Zaś dowodzenie skrajnym lewym skrzydłem powierzono dowódcy pułku Pawłogradzkiego, w którym służył Rostow, wskutek czego wynikło nieporozumienie. Obaj dowódcy byli wzajemnie na siebie rozjątrzeni, toteż w tym czasie, kiedy na prawym skrzydle już dawno toczyła się akcja i Francuzi już zaczęli atak, obaj dowódcy byli zajęci rokowaniami, które miały na celu wzajemne ubliżanie sobie. Tymczasem zarówno pułk kawalerii, jak i pułk piechoty były niezbyt przygotowane do rozprawy, która miała nastąpić. Ludzie, od żołnierza do generała, nie oczekiwali bitwy i spokojnie zajmowali się swoimi zwykłymi sprawami: kawalerzyści karmili konie, piechurzy zbierali drwa.

– Przecie on starsi rangą ode mnie – mówił do przybyłego adiutanta zaczerwieniony Niemiec, pułkownik huzarów. – Niech sobie robi, jak chce. Ja nie mogę narażać moje huzary. Trębacz! Graj odwrót!

Ale sprawa była pilna. Kanonada i strzelanina zlewały się, grzmiąły z prawej strony i z centrum, a francuscy strzelcy Lannes'a przechodzili już groblę przy młynie i po przeciwnej stronie formowali się w odległości dwóch strzałów karabinowych. Dowódca piechoty podrygującym krokiem podszedł do konia, a gdy go dosiadł, wydał się bardzo prosty i wysoki. Pojechał do dowódcy pułku Pawłogradzkiego. Dowódcy pułków podjechali do siebie z grzecznymi ukłonami i zawziętością skrywaną w sercu.

– Pułkowniku – mówił generał – przecie nie mogę zostawić w lesie połowy ludzi. Ja pana p r o s z ę, ja pana p r o s z ę – powtórzył – zając p o z y c j ę i przygotować się do ataku.

– A ja pana proszę nie wtrącać się w nie swoje sprawy – odpowiedział zirytowany pułkownik. – Gdyby pan był kawalerysta...

– Nie jestem kawalerzystą, pułkowniku, ale jestem rosyjskim generałem, a jeśli to panu nie jest wiadome...



– Bardzo mi wiadome, ekscelencjo! – krzyknął nagle pułkownik robiąc się purpurowo-czerwony i spał konia.

– Proszę na linię, jeśli laska, generał zobaczy, że ten pozycja nic niewart. Ja nie chcę marnować pułk dla pańska satysfakcja.

– Pan się zapominasz, pułkowniku. Nie o moją satysfakcję dbam i nikomu nie pozwolę tak mówić.

Generał, przyjmując wezwanie pułkownika do turnieju męstwa, nachmurzył się wypiąwszy pierś i pojechał z nim w kierunku tyraliery, jak gdyby ich nieporozumienie miało się rozstrzygnąć tam, w tyralierze, pod kulami. Podjechali do tyraliery, kilka kul przeleciało nad nimi, zatrzymali się w milczeniu. Nie było potrzeby patrzeć z linii, bo i z tego miejsca, na którym przedtem stali, było jasne, że kawaleria nie może działać w krzakach i wądołach i że Francuzi obchodzą lewe skrzydło. Generał i pułkownik patrzyli na siebie surowo i znacząco, niby dwa koguty gotujące się do walki, i na próżno wyczekując oznak tchórzostwa. Obaj zdali egzamin. Ponieważ nie było o czym mówić, a żaden nie chciał dać powodu drugiemu do twierdzenia, że on pierwszy wyjechał spod kul, długo by tam stali i wzajemnie doświadczali swego męstwa, gdyby tymczasem w lesie, niemal tuż za nimi, nie rozległo się trzaskanie karabinów i głuchy, zlewający się krzyk. To Francuzi napadli na żołnierzy, którzy w lesie zbierali drwa. Huzarzy już nie mogli się cofać razem z piechotą. Byli odcięci z lewej strony od drogi odwrotu przez francuską tyralierę. Teraz jakiegokolwiek były niedogodności terenu, należało koniecznie atakować, by utorować sobie drogę.

Szwadron, w którym służył Rostow, zaledwie zdążył dosiąść koni, gdy znalazł się przed nieprzyjacielem. Znowu, podobnie jak na moście w Enns, między szwadronem a nieprzyjacielem nie było nikogo, ale między nimi, dzieląc ich, rozciągała się ta sama straszna linia nieświadomości i strachu – jak gdyby linia oddzielająca żywych od umarłych. Wszyscy czuli tę linię i nurtowało ich pytanie, czy przejdą i jak przejdą tę linię.

Podjechał do linii pułkownik, odpowiedział coś gniewnie na pytanie oficerów i jak człowiek, który obstaje przy swoim, desperacko wydał jakiś rozkaz. Nikt nie mówił nic określonego, lecz w szwadronie rozeszła się wieść o ataku. Padła komenda, potem zgrzytnęły szable wydobyte z pochew. Ale wciąż jeszcze nikt się nie ruszał. Wojsko lewego skrzydła: i piechota, i huzarzy, czuło, że dowódcy sami nie wiedzą, co robić, i to niezdecydowanie dowódców udzieliło się wojsku.

„Prędzej, byle prędzej” – myślał Rostow czując, że wreszcie nadszedł czas poznania rozkoszy szarży, o której tak dużo słyszał od kolegów-huzarów.

– Z Bogiem, chłopcy! – rozległ się głos Denisowa.

– Kłusem marsz!

W pierwszym szeregu zakołysały się zady koni. Graczyk naciągnął cugle i sam ruszył.

Z prawej strony Rostow widział pierwsze szeregi swych huzarów, a jeszcze dalej na przedzie dostrzegł ciemną smugę, której nie mógł rozpoznać, ale wziął za nieprzyjaciela. Słychać było strzały, lecz z oddali.

– Dodaj kłusa! – rozległa się komenda. Rostow czuł, jak jego Graczyk podrzuca zadem zrywając się chwilami do galopu.

Z góry odgadywał jego ruchy i robiło mu się coraz raźniej. Zauważył na przedzie samotne drzewo. To drzewo znajdowało się z początku pośrodku owej linii, która wydawała się tak straszna. A oto minęli tę linię i nie tylko, że nie zaszło nic strasznego, ale robiło się coraz weselej i raźniej. „Och, jak ja go rąbnę” – myślał Rostow ściskając w ręku gardę szabli.

– Hu-raaa!! – zahuczały głosy. „No, niech mi się ktokolwiek teraz nawinie” – myślał Rostow, bodąc ostrogami Graczyka, przegonił innych i puścił konia pełnym cwałem. Na przedzie już widać było nieprzyjaciela. Nagle jak gdyby szeroka miotła smagnęła po szwadronie. Rostow wznosił szablę gotując się do rąbania, lecz w tej chwili pędzący przed nim żołnierz Nikitienko oddalił się od niego. Rostow poczuł jak we śnie, że nadal mknie z niesamowitą

szybkością, a zarazem stoi w miejscu. Znajomy huzar Bandarczuk najechał na niego i popatrzył gniewnie. Koń Bandarczuka zachnął się i przegalopował obok.

„Cóż to? Dlaczego się nie posuwam? Upadłem, jestem zabity...” W jednej sekundzie Rostow zadał sobie to pytanie i sam na nie odpowiedział. Był już sam jeden pośród pola. Zamiast pędzących koni i poruszających się pleców huzarskich widział wokół siebie nieruchomą ziemię i ściernisko. Czuł pod sobą ciepłą krew. „Tak, jestem ranny, a koń padł”. Graczyk uniósł się na przednie nogi, ale upadł przygniatając nogę jeźdźcowi. Z głowy konia płynęła krew. Koń rzucał się i nie mógł wstać. Rostow chciał się podnieść, ale również upadł: szablas zaczeplił o siodło. Gdzie byli nasi, gdzie Francuzi – nie wiedział. Wokół nie było nikogo.

Uwolniwszy nogę wstał. „Gdzie, po której stronie była teraz ta linia, która tak wyraźnie dzieliła dwa wojska?” – zadawał sobie pytanie i nie mógł odpowiedzieć. „Czy nie przytrafiło mi się coś złego? Czy takie wypadki zdarzają się i co robić w takim wypadku?” – zapytywał sam siebie wstając, w tej chwili poczuł, że coś zbytecznego wisi na lewej zdrętwiałej ręce. Kiść była jak gdyby obca. Oglądał rękę, daremnie szukając na niej krwi. „Otóż i ludzie – pomyślał z radością, spostrzegłszy kilku ludzi biegnących ku niemu. – Pomogą mi!” Na czele tych ludzi biegł jeden w dziwnym kiwiorze i w granatowym płaszczu, czarny, ogorzały, z garbatym nosem. Jeszcze dwaj i jeszcze wielu biegło z tyłu za tamtym. Jeden z nich powiedział coś dziwnie, nie po rosyjsku. Dalej, między takimi samymi ludźmi, w takich samych kiwiorach, stał rosyjski huzar. Trzymali go za ręce, z tyłu trzymali jego konia.

„Z pewnością nasz jeńiec... Tak. Czy i mnie wezmą? Co to za ludzie? – wciąż zastanawiał się Rostow nie wierząc swoim oczom. – Czyżby to byli Francuzi?” Patrzył na zbliżających się Francuzów i – nie bacząc na to, że przed sekundą cwałował jedynie po to, by dogonić ich i rąbać – ich bliskość wydała mu się teraz tak straszliwa, że nie wierzył własnym oczom. „Co to za jedni? Dlaczego tak biegną? Czyżby do mnie? Czyżby do mnie tak biegli? I po co? Zabić mnie? M n i e, którego wszyscy tak kochają.” Przypomniawszy sobie miłość matki, rodziny, przyjaciół – zamiar wrogów, by go zabić, wydał mu się niemożliwy. „A może i zabijają!” Stał więcej niż dziesięć sekund nie ruszając się z miejsca i nie rozumiejąc swego położenia. Pierwszy Francuz z garbatym nosem podbiegł tak blisko, że już było widać wyraz jego twarzy. I rozpalona obca fizjonomia tego człowieka, który z nastawionym bagnetem, wstrzymując oddech, podbiegł doń lekko, przstraszyła Rostowa. Porwał pistolet i – zamiast strzelić z niego – rzucił nim we Francuza i pobiegł w krzaki ile sił. Biegł nie z tym uczuciem wątpliwości i walki, z jakim szedł na most w Enns, lecz z uczuciem zająca uciekającego przed psami. Całą jego istotę opanowało niepodzielne uczucie strachu o swe młode, szczęśliwe życie. Szybko przeskakiwał miedze, z tą szybkością, z jaką biegał bawiąc się w berka, pędził polem, z rzadka odwracając swą błądą, pocziwą, młodą twarz, a zimno strachu przebiegało mu przez plecy. „Nie, lepiej już nie patrzeć” – pomyślał, lecz dobiegłszy do krzaków, jeszcze się raz obejrzał. Francuzi zostali w tyle, a w chwili kiedy Rostow się obejrzał, Francuz na przedzie właśnie zwolnił bieg, odwrócił się do kamrata i coś głośno do niego krzyczał. Rostow przystanął. „Chyba to coś innego – pomyślał – niemożliwe, żeby chcieli mnie zabić.” A tymczasem lewa ręka tak mu ciążyła, jakby do niej przywiązano dwupudowy ciężar. Nie mógł już biec dalej. Francuz również się zatrzymał i wycelował. Rostow zmrużył oczy i pochylił się. Jedna, | druga kula przeleciała świszcząc obok niego. Zebrał ostatek sił, lewą rękę wziął w prawą dłoń i pobiegł w krzaki. W krzakach byli rosyjscy strzelcy.

## XX

Pułki piechoty, znieca zaskoczona w lesie, wybiegły z lasu, a rotę mieszały się ze sobą i uciekały bezładnym tłumem. Jeden żołnierz wyrzekł w przerażeniu straszne na wojnie i bezmyślne słowo: „Odcięci!”, i słowo to, wraz z uczuciem przerażenia, udzieliło się całej masie.

– Otoczyli nas! Odcięci! Zginęliśmy! – krzyczały głosy uciekających.

W tym momencie, kiedy dowódca pułku posłyszał strzelaninę i krzyk z tyłu, od razu zrozumiał, że z jego pułkiem stało się coś okropnego, a myśl, że on, przykładny oficer, który przesłużył wiele lat i nigdy nic nie zawinił, mógł być posądzony przez dowództwo o niedbalstwo albo o nieudolność, tak go poraziła, że w jednej chwili zapomniał i o niesubordynacji pułkownika kawalerii, i o swej generalskiej godności, a co ważniejsze – zapomniał zupełnie o niebezpieczeństwie i o instynkcie samozachowawczym. Uchwycił się łęku siodła i spinając konia pognął do pułku pod kulami, które sypnęły gradem, ale na szczęście go ominęły. Pragnął dowiedzieć się, o co chodzi, pomóc i za wszelką cenę naprawić błąd, jeśli go popełnił, aby on, przykładny oficer, który przez dwadzieścia dwa lata służył w sposób nienaganny, nie został uznany za winnego.

Szczęśliwie przecwałowawszy między Francuzami, dopadł pola za lasem, przez które biegli nasi i, nie słuchając rozkazów, wchodzili pod górę. Nastąpiła ta chwila moralnego wahania, która decyduje o losie bitwy: czy te rozprężone tłumy żołnierzy posłuchają głosu swego dowódcy, czy też obejrzawszy się na niego pobiegną dalej? Pomimo desperackiego krzyku dowódcy pułku, tak niegdyś groźnego dla żołnierzy, pomimo jego rozwścieczonej, purpurowej, zmienionej nie do poznania twarzy, pomimo wywijania szpadą – żołnierze wciąż uciekali, pogadywali do siebie, strzelali na wiatr i nie słuchali komendy. Wahanie moralne, decydujące o losie bitew, przechyliło się najwidoczniej na stronę strachu.

Generał zakaszłał się od krzyku i prochowego dymu i stanął zrozpaczony. Wszystko zdawało się stracone, lecz w tej chwili Francuzi, atakujący naszych, nagle, bez żadnej widocznej przyczyny zawrócili biegiem i zniknęli za lasem, a w lesie zjawili się strzelcy rosyjscy. Była to rota Timochina, jedyna, która zachowała w lesie porządek i przyczajona w rowie pod lasem, znieca zaatakowała Francuzów. Timochin z tak zajadłym krzykiem rzucił się na Francuzów, z tak szaloną i pijaną stanowczością, tylko ze swoją szpadką, wpadł na nieprzyjaciela, że Francuzi, nie zdoławszy oprzytomnieć, rzucali broń i uciekali. Dołochow, który biegł obok Timochina, strzałem z bliska zabił jednego Francuza i pierwszy ujął za kołnierz oficera, który się poddał. Uciekający zawrócili, bataliony sformowały się, a Francuzi, którzy wojska lewego skrzydła rozdzielili już na dwie części, zostali chwilowo odparci. Oddziały rezerwy zdołały dołączyć, a uciekinierzy zatrzymali się. Dowódca pułku wraz z majorem Ekonomowem stał przy moście i przepuszczał obok siebie cofające się rotę, kiedy podszedł doń żołnierz, ujął za strzemień i niemal wparł się w niego. Żołnierz miał na sobie niebieskawy płaszcz z fabrycznego sukna, był bez tornistra i bez kiwiora, głowę miał obwiązaną, przez ramię przewieszoną francuską ładownicę. Trzymał w rękach szpadę oficerską. Żołnierz był błydy, jego błękitne oczy patrzyły zuchwale w twarz dowódcy pułku, a wargi uśmiechały się. Mimo

że dowódca pułku był zajęty wydawaniem rozkazów majorowi Ekonomowowi, nie mógł nie zwrócić uwagi na tego żołnierza.

– Wasza ekscelencjo, oto dwa trofea – rzekł Dołochow ukazując francuską szpadę i ładownicę. – Wziąłem do niewoli oficera. Zatrzymałem rotę. – Dołochow dyszał ciężko ze zmęczenia i mówił z przerwami. – Cała rota może poświadczyć. Proszę nie zapomnieć, ekscelencjo!

– Dobrze, dobrze – odrzekł dowódca pułku i zwrócił się do majora Ekonomowa.

Jednak Dołochow nie odszedł: rozwiązał chustkę, zerwał ją i pokazał na włosach zapiekłą krew.

– Rana bagnetem, a ja zostałem w szeregu. Proszę zapamiętać, ekscelencjo.

O baterii Tuszyna zapomniano i dopiero pod koniec bitwy księżę Bagration, słysząc ciągle w centrum kanonadę, posłał tam dyżurnego oficera sztabowego, a potem księcia Andrzeja z rozkazem, żeby bateria wycofała się jak najprędzej. Osłona, która stała opodal dział Tuszyna, na czyjś rozkaz odeszła w środku bitwy, bateria zaś nadal strzelała i nie została wzięta przez Francuzów tylko dlatego, że nieprzyjaciel nie mógł nawet przypuścić takiego zuchwałstwa: cztery działa bez żadnej osłony. Przeciwnie, z energicznego działania tej baterii wnioskowano, że tutaj, w centrum, skupiły się główne siły Rosjan, dwukrotnie przeciwnik próbował atakować ów punkt i dwukrotnie został przepędzony kartaczami z tych czterech dział, które ciągle stały samotnie na wzniesieniu.

Wkrótce po odjeździe księcia Bagrationa Tuszynowi udało się podpalić Schöngraben.

– Widzicie, jaki tam rwetes! Pali się! Widzisz, jaki dym! Dobra! Ładnie! Pewnie! Ale dym, ale dym! – mówiła obsługa ożywiając się.

Wszystkie działa bez rozkazu biły w kierunku pożaru. Żołnierze pokrzykiwali za każdym wystrzałem, jakby popędzając pociski: „Dobra! O tak, tak! A masz... Ładnie!” Pożar, niesiony wiatrem, szybko się rozprzestrzeniał. Francuskie kolumny, które wyszły za wieś, cofnęły się, ale jakby mszcząc się za to niepowodzenie, nieprzyjaciel wystawił na prawo od wsi dziesięć dział i jął z nich bić do Tuszyna.

Z powodu dziecięcej radości, sprawionej pożarem, i podniecenia, wywołanego pomyślnym ostrzeliwaniem Francuzów, nasi artylerzyści zauważyli ową baterię dopiero wówczas, gdy dwa pociski, a zaraz potem jeszcze cztery wpadły między działa i jeden powalił dwa konie, a drugi urwał nogę jaszczowemu. Przecie ożywienie, które zapanowało, nie osłabło, tylko zmieniło charakter. Konie zastąpiono innymi z zapasowej lawety, rannych zabrano, a cztery armaty skierowano przeciw dziesięciodziałowej baterii. Oficer, zastępca Tuszyna, został zabity zaraz na początku bitwy, w ciągu godziny, z czterdziestu ludzi obsługi zabrakło siedemnastu, lecz artylerzyści ciągle byli weseli i ożywieni. Dwa razy spostrzegli, że na dole, niedaleko od nich, ukazywali się Francuzi, i wtedy bili w nich kartaczami.

Mały człowieczek, o słabych, niezręcznych ruchach, wciąż żądał od ordynansa jeszcze jednej fajeczki za to, jak powiadał, i sypiąc z fajki iskrami, wybiegał naprzód i spod małej rączki patrzył na Francuzów.

– Walić, chłopcy! – dogadywał i sam chwycił koła armat i wykręcał gwinty.

W dymie, ogłuszony nieustannymi wystrzałami, które za każdym razem zmuszały go do wzdrygnięcia się, Tuszyn nie wypuszczając swej fajeczki biegał od jednego dział do drugiego: celował, liczył ładunki, wydawał zarządzenia co do zmiany i przeprężania koni zabitych i rannych i pokrzykiwał swym słabym, cieniutkim i niepewnym głosem. Jego twarz ożywiała się coraz bardziej. Tylko kiedy zabijano albo raniono ludzi, skrzywiony odwracał się od zabitego, gniewnie krzyczał na ludzi, którzy jak zawsze marudzili z uprzątnięciem rannego czy zabitego. Żołnierze, przeważnie dorodne chwaty (jak zawsze w rocie baterijnej, o dwie głowy wyżsi od swego oficera i dwa razy tężsi), patrzyli na swego dowódcę jak dzieci w trudnej sytuacji, a wyraz jego twarzy niezmiennie odbijał się na ich twarzach.

Na skutek tego straszego zgiełku, wrzawy, konieczności skupienia uwagi i działania Tuszyń nie doznawał najmniejszego uczucia strachu, a myśl, że może zostać zabity albo dotkliwie zraniony, nie przychodziła mu do głowy. Przeciwnie, robiło mu się coraz weselej. Wydawało mu się, że już bardzo dawno, omal że wczoraj, była ta chwila, kiedy dostrzegł nieprzyjaciela i pierwszy raz wystrzelił, i że szmat pola, na którym stał, był miejscem od dawna znanym, ojczystym. Pomimo że wszystko pamiętał, że wszystko pojmował, że robił wszystko to, co mógł robić najlepszy oficer będący w jego położeniu, znajdował się w stanie podobnym do maligny albo do stanu człowieka pijanego.

Ogłuszające ze wszystkich stron odgłosy własnych dział, świsty i wybuchy pocisków nieprzyjacielskich, widok obsługi dział – spoconej, rozgorączkowanej, uwijającej się przy armatach, widok krwi ludzi i koni, widok dymków nieprzyjacielskich po tamtej stronie (po których za każdym razem przelatywał pocisk i uderzał w ziemię, w człowieka, w działo albo w konia) – widok tego wszystkiego sprawił, że Tuszyń stworzył sobie w wyobraźni własny fantastyczny świat, którym w tej chwili się rozkoszował. W jego wyobraźni działa nieprzyjacielskie nie były działami, lecz fajkami, z których niewidzialny palacz wypuszczał rzadkie kłęby dymu.

– Widzisz go, znowu dymi – szepnął do siebie Tuszyń, kiedy z góry wyskakiwał kłęb dymu, a wiatr unosił go w lewo. – Teraz czekaj na piłeczkę... żeby ją odbić.

– Co wasza wielmożność rozkaże? – zapytał ogniomistrz, który stał blisko i słyszał, że Tuszyń coś mruczy.

– Nic, granat... – odpowiedział.

– „Nuże, nasza Matwiewno” – mówił do siebie. W jego wyobraźni „Matwiewną” było działo z brzegu, duże, starodawnego odlewu. Francuzi przy swych działach wydawali mu się mrówkami. Urodziwy artylerzysta, zawołany pijak – numer pierwszy przy drugim działie, był w jego świetle wujaszkiem; Tuszyń częściej niż inni spoglądał na niego i cieszył się każdym jego ruchem. To zamierający, to znowu się wzmagający odgłos strzelaniny karabinowej wydawał mu się czymś oddechem. Przysłuchiwał się, jak cichną i wzmagają się te odgłosy.

„Widzisz, znowu dyszy, znowu” – mówił do siebie. A siebie wyobrażał sobie jako mężczyznę olbrzymiego wzrostu, potężnej siły, obiema rękami ciskającego pociski na Francuzów.

– Ano, mateczko Matwiewna, nie zawieź nas! – mówił odchodząc od dział, gdy nad jego głową rozległ się obcy, nieznajomy głos:

– Kapitanie Tuszyń! Kapitanie!

Tuszyń obejrzał się lękliwie. Był to ów oficer sztabowy, który go wypędził z Grund. Krzyczał do niego zdyszczanym głosem:

– Czyś pan zwariował! Już dwa razy kazano wycofać się a pan...

„Za co oni na mnie tak?...” – pomyślał Tuszyń, ze strachem patrząc na zwierzchnika.

– Ja... nic... – rzekł przykładając do daszka dwa palce.

- Ja...

Oficer jednak nie dopowiedział wszystkiego. Przelatujący blisko pocisk zmusił go, by pochylił się na koniu. Umilkł i znowu chciał coś powiedzieć, ale nowy pocisk go powstrzymał. Zawrócił konia i popędził.

– Cofać się! Cofać się! wszyscy! – krzyknął z daleka. Żołnierze roześmieli się. Po chwili przyjechał adiutant z tym samym rozkazem.

Był to książę Andrzej. Pierwsze, co zobaczył wjeżdżając na tę przestrzeń, którą zajmowały działa Tuszyń, był to wyprzężony koń ze strzaskaną nogą; rżał obok zaprzężonych koni. Z jego nogi, niby ze źródła, lała się krew. Między przodkami leżało kilku zabitych. Gdy książę Andrzej zbliżał się tu, jeden za drugim przeleciały nad nim dwa pociski; książę poczuł, jak nerwowy dreszcz przebiega mu po plecach. Lecz sama myśl, że się boi, podniosła go znowu na duchu. „Ja nie mogę się bać” – pomyślał i powoli zsiadł z konia między działami. Przekazał rozkaz i nie odjechał od baterii. Postanowił, że w jego obecności działa zostaną ściągnięte

ze stanowisk i odprowadzone. Razem z Tuszyńcem, krocząc poprzez ciała zabitych pod strasznym ogniem Francuzów, zajął się uprzątnięciem dział.

– Przyjeżdżała dopiero co zwierzchność, ale wiała czym prędzej – rzekł ogniomistrz do księcia Andrzeja. – Nie tak jak wasza wielmożność.

Księżę Andrzej nie rozmawiał z Tuszyńcem. Obaj byli tak zajęci, że mogło się wydawać, iż się nie widzą. Kiedy zaprzodkowali dwa ocalałe z czterech działa, ruszyli pod górę (jedno działo rozbite i jednoróg zostawili). Księżę Andrzej podjechał do Tuszyna.

– No, do widzenia – rzekł księżę Andrzej wyciągając rękę do Tuszyna.

– Do widzenia, kochasiu – odrzekł Tuszyn. – Żegnaj, serce, żegnaj, kochasiu – rzekł ze łzami, które nie wiadomo czemu zakręciły mu się w oczach.

## XXI

Wiatr ucichł, czarne chmury zwisły nisko nad polem bitwy, zlewając się na widnokregu z dymem prochowym. Robiło się coraz ciemniej, przeto tym jaśniej znaczyły się w dwóch miejscach łuny pożarów. Kanonada stała się słabsza, ale trzaskanie strzałów karabinowych – z tyłu i z prawej strony – słycać było coraz częściej i coraz bliżej. Jak tylko Tuszyn ze swymi działami, objeżdżając rannych i wjeżdżając na nich, wyszedł spod ognia i zjechał do wozu, spotkał dowództwo i adiutantów, a wśród nich byli oficer sztabowy i Żerkow, którego dwa razy posyłano, ale który ani razu nie dojechał do baterii Tuszyna. Wszyscy, jeden przez drugiego, rozkazywali mu i przekazywali rozkazy – jak i którądy iść, i robili mu wymówki i uwagi. Tuszyn nie dawał żadnych rozkazów i w milczeniu, bojąc się mówić, gdyż przy każdym słowie gotów był, sam nie wiedząc czemu, rozplakać się, jechał z tyłu na swej artyleryjskiej kłaczce. Choć rannych kazano porzucić, wielu z nich brnęło za wojskiem i prosiło, by wziąć ich na działa. Owego chwackiego oficera piechoty, który przed bitwą wyskoczył z szarżas Tuszyna, położono – z kulą w brzuchu – na lawecie Matwiewny. Pod górą blady junkier huzarów, dłonią podtrzymując drugą rękę, podszedł do Tuszyna i poprosił, by pozwolono mu przysiąc.

– Kapitanie na miłość boską, jestem kontuzjowany w rękę – rzekł nieśmiało. – Na miłość boską, nie mogę iść! Na miłość boską!

Widać było, że ów junkier już nieraz prosił, by mógł przysiąc i wszędzie napotykał odmowę. Prosił głosem niepewnym, żalonym:

– Na miłość boską, każ mnie pan zabrać.

– Zabierzcie, zabierzcie – rzekł Tuszyn. – Te, wujek – zwrócił się do żołnierza, swego ulubieńca – podłóż płaszcz. A gdzie ranny oficer?

– Skonał, złożyliśmy go na ziemi – ktoś odpowiedział.

– Zabierzcie. Siadaj, kochasiu, siadaj. Antonow, podściel płaszcz.

Junkrem tym był Rostow. Jedną ręką podtrzymywał drugą, był blady, a dolna szczęka trzęsła mu się w febrycznym dreszczu. Posadzono go na Matwiewnę, na to samo działło, z którego zdjęto martwego oficera. Na podesłanym płaszczu była krew, którą Rostow zabrudził sobie rajtuzy i ręce.

– Co to, serdeńko, jesteś ranny? – zapytał Tuszyn podchodząc do działła, na którym siedział Rostow.

– Nie, kontuzjowany.

– A dlaczego krew na kadłubie? – zapytał Tuszyn.

– Wasza wielmożność, to oficer zakrwawił – odpowiedział żołnierz-artyleryzysta ścierając krew rękawem płaszcza i jak gdyby się usprawiedliwiając z zanieczyszczenia działła.

Z trudem, przy pomocy piechoty, wciągnęli działła na górę, a gdy dobrnęli do wsi Gunthersdorf, zatrzymali się. Zrobiło się już tak ciemno, że o dziesięć kroków nie można było rozróżnić mundurów żołnierzy, i strzelanina zaczęła przycichać. Nagle tuż, z prawej strony, znowu rozległy się krzyki i strzelanina. W ciemności już błyskało od wystrzałów. Był to ostatni atak Francuzów, na który odpowiadali żołnierze, rozlokowani w domach we wsi. Na nowo wszystko rzuciło się ze wsi, lecz działła Tuszyna nie mogły się ruszyć, więc artylerzyści,

Tuszyn i junkier w milczeniu spoglądali na siebie i czekali swego losu. Strzelanina zaczęła cichnąć, z bocznej ulicy z ożywionym gwarem wysypali się żołnierze.

– No, Pietrow, całyś? – pytał jeden.

– Zadaliśmy im, bracie, bobu. Teraz się nie pokażą – mówił inny.

– Nic nie widać. Jak to oni w swoich zaczęli grzać! Nic nie widać, ciemnica, braciszku. Nie ma się czego napić?

Francuzów odparto po raz ostatni. I znowu wśród zupełnej ciemności, otoczone zgiełkową piechotą niby ramą, działa Tuszyńska ruszyły dokądś naprzód.

Jak gdyby rzeka jakaś płynęła w ciemności – wszyscy szli w jednym kierunku niewidoczni, posępni, wśród szeptów, gwaru, odgłosów kopyt i kół. W mroku nocy z ogólnego zgiełku wyodrębniały się spośród innych dźwięków jęki i głosy rannych. Jak gdyby ich jęki wypełniały ów mrok otaczający wojska. Ich jęki i mrok owej nocy – stanowiły jedno. Po pewnym czasie wśród posuwającego się tłumu nastąpiło poruszenie. Ktoś na siwym koniu przejechał ze świtą i mijając żołnierzy coś powiedział.

– Co powiedział? Dokąd teraz? Stać czy jak? Dziękował czy jak? – rozległy się zewsząd chciwe zapytania i posuwająca się masa jęła napierać na siebie (widocznie ci na przedzie przystanęli; rozeszła się wieść, że kazano się zatrzymać). Wszyscy stanęli, jak szli – na środku błotnistej drogi.

Zapłonęły ogniska, gwar stał się głośniejszy. Kapitan Tuszyn wydał rozkazy baterii, jednego z żołnierzy posłał na poszukiwania punktu opatrunkowego albo lekarza dla junkra i usiadł przy ognisku rozpalonym na drodze przez żołnierzy. Rostow również zwlókł się do ognia. Febryczne dreszcze, spowodowane bólem, zimnem i wilgocią, wstrząsały całym jego ciałem. Morzył go nieprzepartry sen, ale nie mógł usnąć, gdyż nękał go ból i ćmiła ręka, dla której nie mógł znaleźć dogodnej pozycji. Zamykał oczy, to znowu spoglądał na ogień, który mu się wydawał jaskrawoczerwony, to na pochyłą wątlą postać Tuszyńskiego, siedzącego po turecku przy ogniu. Wielkie, pocziwe, rozumne oczy Tuszyńskiego kierowały się ku niemu z litością i współczuciem. Rostow widział, że Tuszyn z całego serca chciałby mu pomóc, ale nie może.

Ze wszystkich stron słychać było kroki i głosy przechodzących, przejeżdżających i roztaśmawiających się wokół piechoty. Dźwięk głosów, kroków i kopyt koni, człapiących w błocie, bliski i dalszy trzask drzew – wszystko to zlewało się w jeden rozkołyszany zgiełk.

Już teraz nie płynęła jak przedtem niewidoczna w ciemności rzeka, ale jakby mroczne morze uspokajało się po burzy i drżało. Rostow patrzył bezmyślnie i słuchał, co się dzieje przed nim i wokół niego. Jakiś piechur zbliżył się do ogniska i przykucnął; ręce przysunął do ognia i odwrócił twarz.

– Można, wasza wielmożność? – powiedział i zwrócił się do Tuszyńskiego. – Odbiłem się od roty, wasza wielmożność, sam nie wiem gdzie. Bieda!

Wraz z żołnierzem zbliżył się do ogniska oficer piechoty z obwiązany policzkiem. Oficer prosił Tuszyńskiego, by kazał przesunąć cokolwiek armatę, żeby wóz mógł przejechać. Za dowódcą roty wpadli na ognisko dwaj żołnierze. Wymyślali sobie zajadle i bili się, wydzierając sobie z rąk jakiś but.

– A jakże, tyś podniósł! Widzicie go, jaki gracki! – krzyczał ochrypłym głosem jeden z nich.

Potem się zbliżył chudy, blady żołnierz z szyją obwiązaną zakrwawioną onucą; głosem gniewnym zażądał od artylerzystów wody.

– Cóż to, mam zdychać jak pies? – mówił.

Tuszyn kazał mu dać wody. Potem przybiegł wesoły żołnierz i poprosił ognia dla piechoty.

– Gorącego ogieńka dla piechoty! Wszystkiego dobrego, ziomkowie, dzięki za ogieńka, oddamy z procentem

– mówił unosząc gdzieś w ciemność czerwieniejącą głowienkę.



Potem przeszło koło ogniska czterech żołnierzy, niosąc na płaszczu coś ciężkiego. Jeden z nich potknął się.

– Widzicie diabłów, narozkładali na drodze drew – sarknął.

– Skonał, to po co go nosić? – odezwał się jeden z nich.

– A bodaj was!

I zniknęli w ciemności ze swym ciężarem.

– Cóż, boli? – zapytał Tuszyn szeptem Rostowa.

– Boli.

– Wasza wielmożność, do generała. Stanęli tutaj w chałupie – rzekł ogniomistrz podchodząc do Tuszyna.

– Zaraz, serdeńko.

Tuszyn wstał zapinając płaszcz i poprawiając fałdy odszedł od ogniska...

Niedaleko od ogniska artylerzystów, w chałupie przygotowanej dla niego, siedział przy obiedzie książę Bagration, rozmawiając z kilkoma dowódcami oddziałów, którzy się u niego zebrali. Był tu starzec z na wpół przymkniętymi oczyma, który chciwie ogryzał kość barania, i generał, od dwudziestu dwu lat bez nagany, poczerwieniały po obiedzie i kieliszku wódki, i oficer sztabowy z sygnetem, i Żerkow, niespokojnie oglądający się na wszystkich, i książę Andrzej, błądy, z zaciśniętymi wargami i gorączkowo błyszczącymi oczyma.

W kącie izby stał oparty zdobyczny sztandar francuski, zaś audytor z naiwnym wyrazem twarzy macał tkaninę sztandaru i ze zdziwieniem kiwał głową – może dlatego, że naprawdę interesował go wygląd sztandaru, a może i dlatego, że na głodnego przykro mu było patrzeć na obiad, przy którym nie starczyło dla niego nakrycia. W sąsiedniej izbie znajdował się pułkownik francuski, którego dragoni wzięli do niewoli. Nasi oficerowie tłoczyli się dokoła niego i przyglądali mu się. Książę Bagration dziękował dowódcom i rozpytywał o szczegóły bitwy i o straty. Dowódca pułku, który miał przegład pod Braunau, meldował księciu, że gdy tylko zaczęła się bitwa, wycofał się z lasu, zabrał żołnierzy rąbiących drwa, przepuścił wroga bokiem, a następnie z dwoma batalionami ruszył na bagnety i odparł Francuzów.

– Kiedym zobaczył, wasza ekscelencjo, iż pierwszy batalion jest w rozsypce, stanąłem na drodze i myślę sobie: „Tych przepuszczę i powitam salwami”, takem właśnie zrobił.

Dowódca pułku tak bardzo pragnął to zrobić, tak żałował, że mu się nie udało, iż wyobraził sobie, iż tak właśnie było. A może i naprawdę tak było? Albo w takim zamęcie można rozpoznać, co było, a czego nie było?

– Muszę przy tym podkreślić, wasza ekscelencjo – ciągnął przypominając sobie rozmowę Dołochowa z Kutuzowem i swe ostatnie spotkanie ze zdegradowanym oficerem – że szeregowiec, zdegradowany Dołochow, w moich oczach wziął do niewoli oficera francuskiego i odznaczył się szczególnie.

– Wasza ekscelencjo, widziałem tam atak pawłogradców – wtrącił Żerkow oglądając się niespokojnie: wcale tego dnia nie widział huzarów, a tylko słyszał o nich od oficera piechoty.

– Zgnietli dwa czworoboki, wasza ekscelencjo.

Przy słowach Żerkowa niektórzy się uśmiechnęli, jak zawsze spodziewając się po nim żartu; ale zauważywszy, że to, co mówił, skłaniało się ku sławie naszego oręża i dzisiejszego dnia, przybrali poważne miny, choć wielu z nich wiedziało bardzo dobrze, iż to, co mówił Żerkow, było kłamstwem na niczym nie opartym. Książę Bagration zwrócił się do starszaka-pułkownika.

– Wszystkim dziękuję, panowie, wszystkie oddziały spisały się po bohatersku: piechota, kawaleria i artyleria. W jaki sposób w centrum pozostawiono dwa działa? – zapytał szukając kogoś oczami. (Książę Bagration nie pytał o działa lewego skrzydła, już wiedział, że na samym początku bitwy porzucono tam wszystkie armaty.) – Zdaje się, że pana prosił... – zwrócił się do dyżurnego oficera sztabu.

– Jedno zostało zagwożdżone – odpowiedział dyżurny oficer sztabowy – co z drugim się stało, nie mogę zrozumieć, byłem tam sam przez cały czas, wydałem rozkazy, a jakim tylko odjechał... Gorąco było, to prawda – dodał skromnie.

Ktoś powiedział, że kapitan Tuszyn stoi tutaj pod samą wsią i że już po niego posłano.

– Pan przecież tam był – rzekł książę Bagration zwracając się do księcia Andrzeja.

– A jakże, ale minęliśmy się nieco – rzekł dyżurny oficer sztabowy, uśmiechając się przyjemnie do Bołkońskiego.

– Nie miałem przyjemności widzieć tam pana – odrzekł książę Andrzej zimno i porywczo. Wszyscy umilkli.

Na progu ukazał się Tuszyn, nieśmiało przeciskając się spoza generalskich pleców. Wymijając generałów w ciasnej izbie, skonfundowany jak zawsze na widok przełożonych, nie spostrzegł drzewca sztandaru i potknął się o nie. Kilka głosów roześmiało się.

– W jaki sposób porzucono działo? – zapytał Bagration, nachmurzywszy się nie tyle na kapitana, ile na śmiejących się, wśród których najdonośniej brzmiał głos Żerkowa.

Dopiero teraz, na widok groźnego dowódcy, Tuszyn przedstawił sobie całą okropność swej przewiny i hańby, że sam żyje, a stracił dwa działa. Był tak wzburzony, że do tej chwili nie zdążył o tym pomyśleć. Śmiech oficerów jeszcze bardziej zbił go z tropu. Stał przed Bagrationem z drżącą szczęką i ledwo wymówił:

– Nie wiem... wasza ekscelencjo... ludzi nie było, wasza ekscelencjo.

– Mogłeś pan wziąć z osłony.

Że osłony nie było, tego Tuszyn nie powiedział, choć to była szczerza prawda. Bał się pogrążyć w ten sposób innego dowódcę, więc w milczeniu, znieruchomiałymi oczyma patrzył prosto w oczy księciu Bagrationowi, jak uczeń, który się zaplątał, patrzy w oczy egzaminatorowi.

Milczenie trwało dość długo. Książę Bagration widać, nie chcąc być surowym, nie znajdował potrzebnych słów, inni nie śmieli wtrącić się do rozmowy. Książę Andrzej spoglądał na Tuszyzna spod oka, a palce jego rąk poruszały się nerwowo.

– Wasza ekscelencjo – książę Andrzej ostrym głosem przerwał milczenie – raczył mnie książę posłać do baterii kapitana Tuszyzna. Byłem tam i znalazłem dwie trzecie ludzi zabitych, konie zabite, dwa działa potrzaskane, a żadnej osłony.

Książę Bagration i Tuszyn jednakowo uparcie patrzyli teraz na Bołkońskiego, który mówił powściągając wzburzenie.

– Jeśli wasza ekscelencja pozwoli mi wyrazić swe zdanie – ciągnął – to sukces dzisiejszy zawdzięczamy przede wszystkim działaniu tej baterii oraz bohaterskiej postawie kapitana Tuszyzna i jego ludzi – rzekł książę Andrzej i, nie czekając na odpowiedź, wstał i odszedł od stołu.

Książę Bagration popatrzył na Tuszyzna i nie życząc sobie, widać, wyrazić braku zaufania do ostrego sądu Bołkońskiego, a zarazem nie będąc w stanie całkowicie uwierzyć mu, pochylił głowę i powiedział Tuszyznowi, że może odejść. Książę Andrzej wyszedł za nim.

– Dziękuję, serdecznie, wybawiłeś mnie – rzekł doń Tuszyn.

Książę Andrzej zmierzył okiem Tuszyzna, nic nie powiedziawszy, i odszedł. Księżciu Andrzejowi było smutno i ciężko. Wszystko to było takie dziwne, tak niepodobne do tego, czego się spodziewał.

„Co to za jedni? Po co to? Czego im trzeba? I kiedy się to wszystko skończy?” – myślał Rostow patrząc na zmieniające się przed nim cienie. Ból w ręce stawał się coraz dokuczliwszy. Sen go morzył nieodparcie, w oczach skakały czerwone kręgi, a wrażenia tych wszystkich głosów i twarzy oraz uczucie osamotnienia zlewały się z uczuciem bólu. To oni, to ci żołnierze, ranni i nieranni – to właśnie oni uciskali i przytłaczali, i skręcali żyły, i przypiekali mięśnie w jego rozbitej ręce i w ramieniu. Żeby się od nich uwolnić, zamknął oczy.

Zdrzemnął się na chwilę, lecz w tej krótkiej chwili zapomnienia widział we śnie niezliczone mnóstwo obrazów: widział matkę i jej dużą, białą rękę, widział szczuplutkie ramionka Soni, oczy i uśmiech Nataszy, i Denisowa, z jego głosem i wąsami, i Tielanina, i całą swą historię z Tielaninem i Bogdanyszem. Cała ta sprawa stanowiła jedno i to samo, co ten żołnierz z ostrym głosem i cała ta sprawa, i ów żołnierz tak nękające trzymali go bez przerwy za rękę, ściskali ją i ciągnęli wciąż w jedną stronę. Próbował się od nich odsunąć, ale nie popuszczali jego ramienia ani na włos, ani na sekundę. A ono nie bolałoby, byłoby zdrowe, gdyby go nie ciągnęli: ale nie sposób się było od nich uwolnić.

Otworzył oczy i spojrzał w górę. Czarna kotara nocy zwisała o łokieć nad żarem węgla. W tym świetle latały płatki śniegu. Tuszyn nie wracał, lekarz nie przybywał. Był sam, jakiś żołnierz siedział teraz nago po przeciwnej stronie ognia i grzał swe chude, żółte ciało.

„Nikomu nie jestem potrzebny! – rozmyślał Rostow.

– Nie ma kto mi pomóc, ulitować się. A przecież byłem kiedyś w domu, silny, wesoły, lubiany.” Westchnął i wraz z westchnieniem jęknął mimowolnie.

– Oj, coś boli – zapytał żołnierz wytrząsając nad ogniem koszulę, nie czekając na odpowiedź chrząknął i dodał: – Albo to mało napsuli dziś luda – okropność!

Rostow nie słuchał żołnierza. Patrzył na fruwające nad ogniem śnieżynki i wspominał rosyjską zimę, ciepły jasny dom, puszyste futro, szybkie sanie, zdrowe ciało, całą miłość i troskliwość rodziny. „I po co ja tu przyszedłem!” – myślał.

Nazajutrz Francuzi nie powtórzyli ataku i resztki oddziału Bagrationa połączyły się z armią Kutuzowa.

## **CZĘŚĆ TRZECIA**

## I

Książę Wasilij nie obmyślał swoich planów. Jeszcze mniej myślał o tym, by komuś wyrządzić zło dla swej korzyści. Był tylko człowiekiem światowym, który odnosił w świecie sukcesy i z sukcesów tych uczynił sobie nawyk. Zawsze – zależnie od okoliczności, stosunków z ludźmi – snuł jakieś plany i kombinacje, z których sam nie zdawał sobie dokładnie sprawy, ale które stanowiły jedyny sens jego życia. Miał na widoku nie jeden i nie dwa takie plany i zamiary, lecz całe dziesiątki, a jedno z nich dopiero zaczynał sobie wyobrażać, inne już osiągał, jeszcze inne były niweczone. Nie mówił sobie na przykład: „Ten człowiek jest teraz możny, winienem pozyskać jego zaufanie i przyjaźń i za jego pośrednictwem uzyskać jednorazową dotację”; nie mówił też sobie: „Pierre jest teraz bogaty, powinienem skłonić go do żeniaczki z moją córką i zdobyć potrzebne mi czterdzieści tysięcy”, a przecie spotykał człowieka wpływowego i instynkt od razu mu podpowiadał, że ów człowiek może być dla niego użyteczny, przeto książę Wasilij zbliżał się z nim i przy pierwszej sposobności, bez przygotowania, instynktownie pochlebiał mu, stawał się poufały, mówił o tym, co mu było potrzebne.

W Moskwie książę Wasilij miał Pierre'a pod ręką, wystarał się dla niego o nominację na kamerjunkra, co wówczas równało się randze radcy stanu, i nalegał na to, by młody człowiek pojechał razem z nim do Petersburga i zatrzymał się w jego domu. Niby w roztargnieniu, a jednocześnie z niewątpliwym przeświadczeniem, że tak być powinno, książę Wasilij robił wszystko, by Pierre'a ożenić ze swą córką. Gdyby książę Wasilij obmyślał naprzód swe plany, nie mógłby mieć w sposobie bycia takiej naturalności i takiej prostoty i poufałości w stosunkach ze wszystkimi ludźmi – stojącymi od niego wyżej i niżej. Coś go ciągnęło zawsze do ludzi mocniejszych od niego albo bogatszych, posiadał też rzadką sztukę chwytania właśnie tego momentu, kiedy trzeba i można było posłużyć się ludźmi.

Pierre, zostawszy nagle bogaczem i hrabią Bezuchowem, po niedawnym osamotnieniu i beztrascie poczuł się do tego stopnia otoczony ludźmi i zajęty, że tylko w łóżku udawało mu się być samym z sobą. Musiał podpisywać papiery, mieć do czynienia z urzędami, o których znaczeniu nie miał dotychczas dokładnego pojęcia, zapytywać o coś głównego administratora, jeździć do podmoskiewskiego majątku i przyjmować mnóstwo osób, które przedtem nie chciały nawet wiedzieć o jego istnieniu, a teraz byłyby urażone i zmartwione, gdyby nie zechciał ich widzieć. Wszystkie te różne osobistości – urzędowe, krewni, znajomi – wszyscy byli jednakowo dobrze i mile usposobieni dla młodego spadkobiercy; wszyscy oni – w sposób widoczny i niewątpliwy – byli przekonani o wielkich zaletach Pierre'a. Bezustannie słyszał słowa: „Przy pańskiej niezwyklej dobroci”, albo: „Przy pańskim złotym sercu”, albo: „Pan sam, hrabio, jesteś tak czysty...”, albo: „Gdyby on był tak rozumny jak pan” itd., toteż Pierre zaczynał wierzyć święcie w swą niezwyklej dobroć i swój niezwyklej rozum, tym bardziej że zawsze w głębi duszy zdawało mu się, że istotnie jest bardzo dobry i bardzo rozumny. Nawet ludzie, którzy przedtem byli dlań źli i najwyraźniej wrodoży, stali się teraz dla niego nader mili i kochający. Najstarsza księżniczka, z długą talią i z włosami ulizanymi jak u lalki, dotychczas tak zawzięta, przyszła po pogrzebie do pokoju Pierre'a. Spuszczając oczy i rumieniąc się wciąż, oświadczyła, że bardzo żałuje nieporozumień, jakie między nimi były, że teraz nie

czuje się w prawie prosić go o nic, chyba tylko, po ciosie, który ją dotknął, o pozwolenie pozostania na kilka tygodni w tym domu, który tak kochała i w którym tyle poniosła ofiar. Nie mogła się powstrzymać i rozplakała się przy tych słowach. Pierre, wzruszony tym, że do pośagu podobna księżniczka mogła się tak zmienić, wziął ją za rękę i prosił o wybaczenie, sam nie wiedząc czego. Od tego dnia księżniczka zaczęła robić pasiasty szal dla Pierre'a i całkiem się względem niego zmieniła.

– Zrób to dla niej, *mon cher*, ona dużo przecie wycierpiała od nieboszczyka – rzekł do niego książę Wasilij dając mu do podpisania jakiś papier na korzyść księżniczki.

Książę Wasilij postanowił, że tę kość – weksel na trzydzieści tysięcy – trzeba rzucić biednej księżniczce, by nie przyszło jej do głowy komentować udziału księcia Wasilia w aferze z wytłaczanym portfelem. Pierre podpisał weksel i od tej pory księżniczka stała się dla niego jeszcze lepsza. Młodsze siostry również były dla niego miłe, szczególnie najmłodsza, ładniutka z pieprzkiem, często swymi uśmiechami i zmieszaniem na jego widok przyprawiała Pierre'a o zakłopotanie.

Pierre'owi wydawało się tak naturalne, że wszyscy go kochają, a tak nienaturalne wydawałoby mu się, gdyby go ktoś nie pokochał, że nie mógł nie wierzyć w szczerość otaczających go ludzi. W dodatku nie miał czasu zadawać sobie pytania, czy ci ludzie są szczerzy, czy nieszczerzy. Wciąż nie miał czasu, wciąż był w stanie łagodnego i wesołego oszołomienia. Czuł, że stanowi ośrodek jakiegoś ważnego i powszechnego ruchu; czuł, że ciągle się po nim czegoś spodziewają, że jeśli tego nie uczyni, sprawi przykrość wielu osobom i pozbawi je tego, czego się spodziewały, a jeśli to i owo zrobi, wszystko będzie dobrze – przeto robił to, czego od niego żądano, ale to coś dobrego miał wciąż jeszcze przed sobą.

W tym pierwszym okresie książę Wasilij bardziej niż inni zawładnął sprawami Pierre'a i nim samym. Od śmierci hrabiego Bezuchowa nie wypuszczał Pierre'a z rąk. Książę Wasilij miał minę człowieka obciążonego interesami, znużonego, wyczerpanego, który jednak koniec końców przez litość nie mógł rzucić na pastwę losu i oszustów tego bezradnego młodziana, *apres tout*<sup>268</sup> syna przyjaciela, i w dodatku z tak olbrzymim majątkiem. W ciągu tych kilku dni, które spędził w Moskwie po śmierci hrabiego Bezuchowa, wzywał do siebie Pierre'a albo sam przychodził do niego i pouczał go, co trzeba robić, tonem takiego znużenia i przeświadczenia, jak gdyby za każdym razem wypominał:

„*Vous savez, que je suis accablé d'affaires et que ce n'est que par pure charité, que je m'occupe, de vous, et puis vous savez bien, que ce que je vous propose est la seule chose faisable.*”<sup>269</sup>

– No, przyjacielu, nareszcie jutro wyjeżdżamy – rzekł doń pewnego razu takim tonem, przebierając palcami po jego łokciu, jak gdyby wszystko, co oznajmiał, było już dawno między nimi postanowione i jak gdyby nie mogło być postanowione inaczej.

– Wyjeżdżamy jutro, daję ci miejsce w mej kolasce. Bardzo się cieszę. Tu wszystkie ważne sprawy mamy już załatwione. A ja już dawno powinienem wyjechać. Dostałem wiadomość od kanclerza, bom go prosił za tobą. Zaliczono cię do korpusu dyplomatycznego i zrobiono kamerjunkerem. Teraz droga dyplomacji stoi przed tobą otworem.

Mimo całej siły tonu znużenia w głosie oraz przekonania, z jakimi te słowa zostały wypowiedziane, Pierre, który od dawna rozmyślał o swej karierze, chciał być oponować. Ale książę Wasilij przerwał mu gruchającym, basowym głosem, który wyłączał nawet możliwość przerwania jego przemówienia, a którego używał, jeśli zachodziła konieczność ostatecznego przekonania kogoś.

– *Mais, mon cher,*<sup>270</sup> zrobiłem to dla siebie, dla spokoju własnego sumienia, i nie ma za co mi dziękować. Nikt nigdy nie narzekał, że go za bardzo kochano, a zresztą, jesteś wolny, mo-

<sup>268</sup> W końcu.

<sup>269</sup> Wiesz, że jestem zawalony interesami; tylko z litości zajmuję się tobą; zresztą dobrze wiesz, że to, co ci proponuję, jest jedynie możliwe do zrobienia.

żesz to rzucić choćby jutro. Ale w Petersburgu sam wszystko zobaczysz. I czas już oddalić się od tych okropnych wspomnień. – Książę Wasilij westchnął. – Tak, tak, kochanie. A mój kamerdynier niech jedzie w twoim powozie. Ach, tak, jeszcze zapomniałem – dodał książę Wasilij. – Wiesz, *mon cher*, mieliśmy z nieboszczykiem rozrachunki; co odebrałem z majątku riazańskiego, zostawię sobie: ty tego nie potrzebujesz. Później się rozliczymy.

To, co książę Wasilij nazywał z „majątku riazańskiego”, stanowiło kilka tysięcy czynszu, które książę Wasilij zostawił sobie.

W Petersburgu, podobnie jak w Moskwie, Pierre'a otoczyła atmosfera tkliwej miłości ludzkiej. Nie mógł wymówić się od stanowiska, a raczej godności (ponieważ nic nie robił), o które postarał się dlań książę Wasilij, znajomości zaś, zaproszeń i zajęć towarzyskich było tyle, że Pierre doznawał bardziej jeszcze niż w Moskwie uczucia oszołomienia, pośpiechu i ciągle się zbliżającego, lecz nieosiągalnego jakiegoś szczęścia.

Z jego dawnego kawalerskiego towarzystwa niewiele osób było w Petersburgu. Gwardia wyruszyła na wojnę. Dołochow był zdegradowany, Anatol znajdował się w armii na prowincji, książę Andrzej był za granicą, toteż Pierre nie mógł spędzać nocy tak, jak przedtem lubił je spędzać, czy od czasu do czasu wywnętrzyć się w przyjacielskiej rozmowie ze starszym, szanowanym przyjacielem. Cały czas schodził mu na obiadach, balach i przede wszystkim u księcia Wasilija – w towarzystwie grubej księżny, jego żony, i pięknej Héléne.

Anna Pawłowna Scherer, podobnie jak inni, okazała Pierre'owi, jaka zmiana zaszła w stosunku towarzystwa względem niego.

Przedtem w obecności Anny Pawłowny Pierre wciąż czuł, że to, co mówi, jest nieprzyzwoite, nietaktowne, nie takie, jak trzeba, że jego odezwania, które wydają mu się rozumne, kiedy je przygotowuje w wyobraźni, stają się głupie, gdy tylko je wypowie, a przeciwnie, najlepsze wypowiedzi Hipolita okazują się rozumne i przyjemne. A teraz cokolwiek powiedział, wszystko było *charmant*. Jeśli nawet Anna Pawłowna nie mówiła tego, widział, że pragnęła to powiedzieć, ale powstrzymywała się jedynie przez szacunek dla jego skromności.

Na początku zimy z 1805 na 1806 rok Pierre otrzymał od Anny Pawłowny taki jak zwykle różowy bilecik z zaproszeniem, do którego było dodane:

„*Vous trouverez chez moi la belle Héléne, qu'on ne se lasse jamais voir.*”<sup>271</sup>

Czytając te słowa Pierre poczuł po raz pierwszy, że między nim a Héléne wytworzył się jakiś związek, uznawany przez innych ludzi, a ta myśl przestraszyła go, jakby nakładano na niego jakieś zobowiązanie, którego nie mógł dotrzymać, a jednocześnie podobała mu się jako zabawne przypuszczenie.

Wieczór u Anny Pawłowny był taki sam jak pierwszy, tyle że nowalijką, którą Anna Pawłowna raczyła swych gości, był teraz nie Mortemart, ale dyplomata przybyły z Berlina, który przywiózł najświeższe szczegółowe wiadomości o pobycie cesarza Aleksandra w Poczdamie i o tym, jak dwaj monarszy przyjaciele zaprzysięgli sobie w nierozzerwalnym sojuszu bronić słusznej sprawy przeciw wrogowi rodu ludzkiego. Anna Pawłowna przyjęła Pierre'a z odcieniem smutku, który najwidoczniej odnosił się do świeżej straty, jaka dotknęła młodego człowieka, czyli do śmierci hrabiego Bezuchowa (wszyscy uważali ciągle za swój obowiązek zapewnić Pierre'a, że jest on bardzo zasmucony zgonem ojca, którego prawie nie znał) – z odcieniem takiego samego smutku, jak i ten najdostojniejszy smutek, wyrażony przy wspomnianiu najjaśniejszej cesarzowej Marii Teodorowny. Pierre czuł się tym pochlebiony. Anna Pawłowna ze zwykłą sobie umiejętnością tworzyła kółka w swym salonie. Duże kółko, w którym się znajdował książę Wasilij i generałowie, cieszyło się posiadaniem dyplomaty. Drugie kółko skupiło się przy stoliku z herbatą. Pierre chciał się przyłączyć do pierwszego kółka, wszakże Anna Pawłowna ogromnie podniecona, niby wódz na polu bitwy, gdy przychodzą

---

<sup>270</sup> Ależ, mój drogi.

<sup>271</sup> Będzie u mnie piękna Héléne, na którą nie można nigdy dość się napatrzeć.

mu do głowy tysiące nowych świetnych pomysłów, które ledwo nadaża wprowadzać w czyn, Anna Pawłowna ujrawszy Pierre'a dotknęła palcem jego rękawa:

– *Attendez, j'ai des vues sur vous pour ce soir.*<sup>272</sup> – Spojrzała na Hélène i uśmiechnęła się do niej.

– *Ma bonne Hélène, il faut que vous soyez charitable pour ma pauvre tante, qui a une adoration pour vous. Allez lui tenir compagnie pour dix minutes.*<sup>273</sup> A oto miły hrabia, który – żeby się pani niezbyt nudziło – nie odmówi towarzyszenia pani.

Piękność skierowała się do cioteczki, lecz Anna Pawłowna jeszcze zatrzymała Pierre'a przy sobie. Miała przy tym minę, jakby musiała jeszcze wydać ostatnie niezbędne zarządzenie.

– Zachwycająca, prawda? – rzekła do Pierre'a wskazując na odpływającą majestatycznie piękność. – *Et quelle tenue!*<sup>274</sup>

Taka młoda panna, a jaki takt, jaka mistrzowska umiejętność zachowania się! Wypływa to z serca! Szczęśliwy ten, do kogo będzie należała. Najmniej światowy mąż mimo woli zajmie najświetniejszą przy niej pozycję w świecie. Prawda? Chciałam tylko poznać pańskie zdanie – i Anna Pawłowna zwolniła Pierre'a.

Pierre szczerze przytaknął Annie Pawłownie na jej zapytanie o umiejętności zachowania się Héléne. Jeśli kiedykolwiek myślał o Héléne, to właśnie o jej urodzie i o tej jej niepospolitej, spokojnej umiejętności milcząco dostojnego zachowywania się w świecie.

Cioteczka przyjęła do swego kącika dwoje młodych ludzi, lecz jak gdyby ukrywała swe uwielbienie dla Héléne, a bardziej pragnęła wyrazić strach przed Anną Pawłowną. Spoglądała na siostrzenicę, jak gdyby zapytując, co ma robić z tymi ludźmi. Odchodząc od nich Anna Pawłowna znowu dotknęła paluszkami rękawa Pierre'a i rzekła:

– *J'espère que vous ne direz plus qu'on s'ennuie chez moi.*<sup>275</sup>

Hélène uśmiechnęła się z wyrazem, który mówił, że nie dopuszcza nawet możliwości, by ktoś na nią patrząc nie był zachwycony. Cioteczka zakasłała, przełknęła ślinę i oświadczyła po francusku, że bardzo jest rada widzieć Héléne, potem zwróciła się do Pierre'a z takim samym powitaniem i z taką samą miną. Wśród nudnej i kulejącej rozmowy Héléne obejrzała się na Pierre'a i uśmiechnęła się doń tym samym pogodnym, pięknym uśmiechem, jakim uśmiechała się do wszystkich. Pierre tak przywykł do tego uśmiechu i tak mało mu on mówił, że nie zwrócił na niego nawet uwagi. Tymczasem cioteczka mówiła o kolekcji tabakierki, którą posiadał nieboszczyk ojciec Pierre'a, hrabia Bezuchow, i pokazała swoją tabakierkę. Księżniczka Héléne wyraziła życzenie obejrzenia portretu męża cioteczki namalowanego na tabakierce.

– To prawdopodobnie robota Vinesa – rzekł Pierre wymieniając znanego miniaturzystę. Pochylił się nad stołem, by wziąć tabakierkę, a jednocześnie przysłuchiwał się rozmowie przy sąsiednim stole.

Wstawał już pragnąc obejść rozmówczynię, ale cioteczka podała mu tabakierkę wprost przez Héléne, poza nią. Héléne pochyliła się, żeby zrobić miejsce, i obejrzała się z uśmiechem. Miała suknię, jak zawsze na przyjęciach, bardzo wyciętą z przodu i z tyłu – wedle ówczesnej mody. Jej biust, który Pierre'owi wydawał się zawsze jak z marmuru, obecnie znajdował się tak blisko jego oczu, że swymi krótkowzrocznymi oczami mimo woli ogarniał żywy powab jej ramion i szyi, tak bliski jego warg, że wystarczyło nieco się pochylić, by ich dotknąć. Czuł ciepło jej ciała, zapach perfum i skrzywienie jej gorsetu przy każdym ruchu. Widział nie jej piękność posagową, tworzącą jedną całość z suknią, lecz widział i odczuwał

<sup>272</sup> Proszę poczekać, mam na pana widoki na dziś wieczór.

<sup>273</sup> Moja droga Héléne, proszę być litościwą dla mej biednej ciotki, która panią uwielbia. Proszę dotrzymać jej towarzystwa przez dziesięć minut.

<sup>274</sup> A jakie zachowanie!

<sup>275</sup> Spodziewam się, że już pan nie powie, że u mnie nudno.



cały powab jej ciała, osłoniętego jedynie suknią. A raz je ujrawszy nie mógł już widzieć inaczej – jak nie możemy powrócić do złudy, która się rozwiąła.

„Czyżbyś dotąd nie zauważył, iż jestem piękna? – jak gdyby mówiła Hélène. – Nie dostrzegałeś, że jestem kobietą? Tak, jestem kobietą, która może należeć do każdego i do pana również” – mówiło jej spojrzenie. I w tej chwili Pierre poczuł, że Hélène nie tylko mogła, ale powinna być jego żoną, że nie może być inaczej.

W tej chwili wiedział to z całą pewnością, jakby mógł to wiedzieć stojąc z nią przy ołtarzu. Jak to się stanie? i kiedy? nie wiedział; nie wiedział również, czy to będzie dobrze (nawet jakby wyczuwał, że z jakiegoś powodu nie będzie dobrze), ale wiedział, że tak będzie.

Pierre spuścił oczy, znowu je podniósł i na nowo pragnął ją widzieć jako daleką, obcą sobie piękność, którą widywał codziennie przedtem; ale już nie mógł tego uczynić. Nie mógł, jak człowiek, który raz zobaczywszy we mgle krzew burzanu wziął go za drzewo, ponownie ujrawszy krzew nie może brać go za drzewo. Była już mu strasznie bliska. Miała już nad nim władzę. I między nim a nią nie było już żadnych przegród prócz przegrody jego własnej woli.

– *Bon, je vous laisse dans votre petit coin. Je vois que vous y êtes très bien*<sup>276</sup> – odezwał się głos Anny Pawłowny.

A Pierre, zastanawiając się ze strachem, czy nie zrobił czegoś nagannego, poczerwieniał i rozejrzał się dokoła. Zdawało mu się, że wszyscy wiedzą, podobnie jak on, co mu się przydarzyło.

Po pewnym czasie, kiedy się zbliżył do dużego kółka, Anna Pawłowna rzekła do niego:

– *On dit que vous embellissez votre maison de Pétersbourg.*<sup>277</sup>

To była prawda: architekt powiedział, że to jest potrzebne, więc Pierre sam nie wiedząc dlaczego, odnawiał swój ogromny dom w Petersburgu.

– *C'est bien mais ne déménagez pas de chez le prince Basile.*

*Il est bon d'avoir un ami comme le prince* – oświadczyła uśmiechając się do księcia Wasilija. – *J'en sais quelque chose.*

*N'est-ce pas?*<sup>278</sup> A pan jesteś tak jeszcze młody. Potrzebujesz rady. Proszę się nie gniewać na mnie, ale korzystam z praw staruszki. – Zamilkła, jak zawsze milkną kobiety, spodziewając się czegoś po tym, kiedy wspomną o swym wieku.

– Jeśli się ożenisz, to inna sprawa – i zespoliła ich w jednym spojrzeniu. Pierre nie patrzył na Hélène i ona nie patrzyła na niego. Lecz była wciąż tak strasznie mu bliska. Wystękał coś i zaczerwienił się.

Pierre, wróciwszy do domu, długo nie mógł zasnąć, myśląc o tym, co mu się zdarzyło. Co właściwie mu się zdarzyło? Nic. Zrozumiał tylko, że kobieta, którą znał jako dziecko, o której mówił z roztargnieniem: „Tak, ładna”, kiedy mu powiadano, że Hélène jest piękna, zrozumiał, że ta kobieta może należeć do niego.

„Ale ona jest głupia, sam mówiłem, że jest głupia – rozmyślał. – Jest coś szpetnego w tym uczuciu, które we mnie wzbudziła, coś zakazanego. Mówiono mi, że jej brat Anatol był w niej zakochany i ona była w nim zakochana, że wynikała z tego cała historia i że z tego powodu wysłano Anatola. Jej brat – Hipolit... Jej ojciec – książę Wasilij...

Niedobrze” – myślał, a jednocześnie, kiedy tak rozważał (rozważania jeszcze nie zostały zakończone), przyłapywał się na uśmiechu i zdawał sobie sprawę, że spoza pierwszych wysuwa się wiele innych rozważań, bo jednocześnie myślał o jej mierności i marzył o tym, że kiedyś zostanie jego żoną, może go pokochać, może stać się zupełnie inna, i że wszystko, co o niej myślał i słyszał, może się okazać nieprawdą. I znowu ją widział, nie jakąś tam córkę księcia Wasilija, lecz widział całe jej ciało przysłonięte tylko szarą suknią. „Ależ nie, czemu

<sup>276</sup> Dobrze, pozostawiam was w waszym kąciku. Widzę, że wam tu dobrze.

<sup>277</sup> Mówią, że pan przyozdabia swój dom w Petersburgu.

<sup>278</sup> To dobrze, ale nie trzeba się wyprowadzać od księcia Wasilija. Dobrze jest mieć takiego przyjaciela jak książę... Już ja coś o tym wiem. Prawda?

przedtem nie przychodziła mi do głowy ta myśl?” I znowu mówił sobie, że to jest niemożliwe; wydawało mu się, że w tym małżeństwie byłoby coś obrzydliwego, przeciwnego naturze, nieuczciwego. Przypominał sobie jej dawne słowa, spojrzenia, słowa i spojrzenia tych, którzy ich razem widywali. Przypomnił sobie słowa i spojrzenia Anny Pawłowny, kiedy mu mówiła o domu, przypomniał sobie tysiące takich aluzji księcia Wasilia oraz innych i ogarnął go lęk, czy nie zobowiązał się w jakiś sposób do dokonania czegoś najwidoczniej niedobrego, czego nie powinien zrobić. Wszakże kiedy wypowiadał taką decyzję, jednocześnie w innym zakątku duszy wypływał obraz Héléne w całej krasie jej kobiecości.

## II

W listopadzie 1805 roku książe Wasilij musiał się udać na rewizję do czterech guberni. Postarał się dla siebie o tę misję, by przy okazji odwiedzić swe zrujnowane posiadłości oraz – zabrawszy ze sobą syna Anatola (z miejsca postoju jego pułku) – udać się razem z nim do księcia Mikołaja Andrejewicza Bołkońskiego – z myślą ożenienia syna z córką tego bogatego starca. Wszelako przed odjazdem i przed tymi nowymi interesami książe Wasilij musiał rozstrzygnąć rzecz z Pierre'em, który, co prawda, ostatnio spędzał całe dni w domu, czyli u księcia Wasilia, u którego mieszkał. Był w obecności Hélène śmieszny, wzburzony i głupi (jak przystoi zakochanym), ale ciągle jeszcze się nie oświadczał.

„*Tout ça est bel et bon, mais il faut que ça finisse*”<sup>279</sup> – rzekł do siebie pewnego ranka książe Wasilij z westchnieniem smutku, uświadamiając sobie, że Pierre, tak bardzo mu zobowiązany (no cóż, Bóg z nim), nie bardzo ładnie postępuje w tej sprawie. „Młodość... lekkomyślność... no cóż. Bóg z nim – pomyślał książe Wasilij z uczuciem zadowolenia ze swej dobroci. – *Mais il faut que ça finisse*.”<sup>280</sup> Pojutrze imieniny Loli, zaproszę tych i owych, a jeśli on nie zrozumie, co powinien uczynić, to już będzie moja sprawa. Tak, moja sprawa. Jestem ojcem!”

Przez półtora miesiąca od wieczoru u Anny Pawłowny i od bezsennej, burzliwej nocy, która po nim nastąpiła, kiedy Pierre doszedł do wniosku, że ożenek z Hélène byłby nieszczęściem, że powinien unikać jej i wyjechać, Pierre nie wyprowadził się od księcia Wasilia i z przerażeniem czuł, że w oczach ludzi każdy dzień coraz bardziej wiązuje go z Hélène, że nie może się od niej oderwać, że to będzie straszne, ale jednak musi związać z nią swój los. Może i mógłby się powstrzymać, lecz nie było dnia, by u księcia Wasilia (u którego rzadko bywały przyjęcia) nie urządzano wieczorku, na którym musiał być Pierre, jeśli nie chciał zepsuć ogólnej przyjemności i zawieść powszechnego oczekiwania. Książe Wasilij, w tych rzadkich chwilach, kiedy bywał w domu, przechodząc obok Pierre'a pociągał go za rękę w dół, w roz-targnieniu nadstawiał mu do pocałowania wygolony, pomarszczony policzek i mówił albo „do jutra”, albo „do obiadu, bo już się z tobą nie zobaczę”, albo „dla ciebie zostaję w domu” itp. Wszakże nie bacząc na to, iż książe Wasilij, pozostając dla Pierre'a (jak sam powiadał) w domu – nie zamieniał z nim nawet dwóch słów, Pierre nie miał siły zawieść jego oczekiwania. Codziennie powtarzał sobie jedno i to samo: „Przecie muszę wreszcie ją zrozumieć i zdać sobie sprawę: kim ona jest? Czy przedtem się myliłem, czy też obecnie się mylę? Nie, ona nie jest głupia; nie, to wspaniała dziewczyna! – mówił sobie czasami.

– Nigdy się nie myli, nigdy nie powiedziała nic głupiego. Mało mówi, ale to, co powie, jest zawsze proste i zrozumiałe. Tak, nie jest głupia. Nigdy się nie zdetonowała i nie detonuje się. Tak, to niezła kobieta!” Często mu się zdarzało, że zaczynał w jej obecności filozofować lub głośno myślał i za każdym razem odpowiadała mu na to albo krótką, lecz dorzeczną uwagą, która świadczyła, że to jej nie zajmuje, albo milczącym uśmiechem i spojrzeniem, które najwyraźniej wskazywało Pierre'owi jej wyższość. Miała rację, uważając, że wszelkie mędrkowanie to głupstwo w porównaniu z tym uśmiechem.

<sup>279</sup> To bardzo pięknie, ale trzeba już z tym skończyć.

<sup>280</sup> Jednak to musi się skończyć.

Zawsze zwracała się do Pierre'a z radosnym, ufnym uśmiechem, który się odnosił tylko do niego i miał w sobie coś bardziej znaczącego niż zwykły uśmiech zawsze zdobiący jej twarz. Pierre wiedział, że wszyscy tylko czekają na to, by wyrzekł wreszcie jedno słowo, przestąpił wiadomą linię – i wiedział, że wcześniej czy później przestąpi ją, wszelako jakieś niepojęte przerażenie ogarniało go na samą myśl o tym strasznym kroku. W ciągu tego półtora miesiąca, podczas którego czuł, że go coraz bardziej wciąga ta przerażająca przepaść, Pierre powtarzał sobie tysiąc razy: „Ależ co to? Trzeba być stanowczym! Czyżbym nie potrafił?”

Chciał się zdecydować, ale czuł z przerażeniem, że w tym wypadku nie potrafi okazać tej stanowczości, o której wiedział, że ją w sobie ma, i którą istotnie miał. Pierre należał do tych ludzi, którzy są silni tylko wtedy, kiedy czują się zupełnie czysti. A od tego dnia, kiedy go opanowało owo uczucie pożądania, którego doznał nad tabakierką u Anny Pawłowny, nieświadome uczucie karygodności tego pożądania paraliżowało jego stanowczość.

W dniu imienin Héléne było u księcia Wasilia na kolacji niewielkie grono osób najbliższych, jak mówiła księżna: „krewni i przyjaciele”. Wszystkim tym krewnym i przyjaciółom dano do zrozumienia, że tego dnia powinien się zdecydować los solenizantki. Goście siedzieli przy kolacji. Księżna Kuragin, masywna, niegdyś piękna, postawna kobieta, siedziała na miejscu gospodyni. Po obu jej stronach siedzieli pocześniejsi goście – stary generał, jego żona i Anna Pawłowna Scherer; przy końcu stołu siedzieli goście mniej wiekowi i mniej pocześni; siedzieli tam również domownicy, a Pierre i Héléne – obok siebie. Książę Wasilij nie jadł kolacji: przechadzał się dokoła stołu w dobrym humorze i przysiadł się to do jednego, to do drugiego gościa. Każdemu powiedział jakieś niedbałe i przyjemne słówko, wyjąwszy Pierre'a i Héléne, których obecności jak gdyby nie dostrzegał. Książę Wasilij ożywiał wszystkich. Jasno płonęły woskowe świece; srebra i kryształowe zastawy, stroje dam, złoto i srebro epoletów – wszystko to lśniło, dokoła stołu snuła się służba w czerwonych kubrakach; wokół stołu rozlegało się szczerkanie noży, brzęk szklanek, talerzy i ożywiony gwar kilku naraz rozmów. Było słyhać, jak w jednym końcu stary szambelan przekonywał staruszkę baronową o swej płomiennej do niej miłości i jak rozlega się jej śmiech; z drugiej strony – opowiadanie o niepowodzeniu jakiejś Marii Wiktorowny. W środku stołu książę Wasilij skupił słuchaczy wokół siebie. Z żartobliwym uśmiechem opowiadał damom o ostatnim – środowym – posiedzeniu Rady Stanu, na którym Sergiusz Kuźmicz Wiazmitinow, nowy wojskowy generał-gubernator Petersburga, otrzymał i odczytał słynny wówczas reskrypt cesarza Aleksandra Pawłowicza, w którym cesarz pisał z armii do Sergiusza Kuźmicza, że ze wszystkich stron otrzymuje adresy o wierności narodu, że adres Petersburga jest dla niego szczególnie przyjemny, że jest dumny z tego, iż ma honor być głową takiej nacji, i postara się być jej godnym. Ów reskrypt zaczynał się od słów:

„Sergiuszu Kuźmiczu! Ze wszystkich stron dochodzą mnie wieści...” itd.

– Więc nie doszło dalej niż do „Sergiuszu Kuźmiczu”? – pytała pewna dama.

– Tak, tak, ani o włos – odpowiedział śmiejąc się książę Wasilij. – „Sergiuszu Kuźmiczu... ze wszystkich stron. Ze wszystkich stron, Sergiuszu Kuźmiczu...” Biedny Wiazmitinow nie mógł w żaden sposób ruszyć dalej. Kilka razy zabierał się do reskryptu, ale zaledwie przeczytał:

„Sergiuszu...” pochlipywania... „Ku...źmi...czu”... łyzy... i „ze wszystkich stron...” zagłuszają szlochania, więc dalej nie mógł. I znowu chusteczka, i znowu: „Sergiuszu Kuźmiczu, ze wszystkich stron...” i łyzy... Więcśmy poprosili, by kto inny przeczytał.

– Kuźmiczu... ze wszystkich stron... i łyzy.. – powtórzył ktoś śmiejąc się.

– Proszę nie być złośliwym – odezwała się z drugiego końca stołu Anna Pawłowna i pogroziła palcem. – *C'est un si brave et excellent homme, notre bon Viasmitinoff...*<sup>281</sup>

Wszyscy bardzo się śmieli. W górnym honorowym końcu stołu wszyscy, jak się zdawało, byli weseli i pod wpływem różnorodnych nastrojów ożywieni; tylko Pierre i Héléne w mil-

<sup>281</sup> To dzielny, wspaniały człowiek, ten nasz zacny Wiazmitinow...

czeniu, obok siebie, siedzieli niemal na szarym końcu; oboje mieli na twarzy powściągnięty promienny uśmiech, niezależny od Sergiusza Kuźmicza – uśmiech zawstydzenia wobec własnych uczuć. Cokolwiek mówili inni, jakkolwiek śmiali się i żartowali, pili ze smakiem wino reńskie i zajadali *sauté* i lody, jakkolwiek omijali wzrokiem tę parę, zdając się wobec niej obojętni i nie zwracając na nią uwagi, jednak z jakiegoś powodu wyczuwało się ze spojrzeń z rzadka na nich rzucanych, że i anegdota o Sergiuszu Kuźmiczu, i śmiech, i jedzenie – wszystko to było udane, a cała siła uwagi wszystkich była zwrócona tylko na tych dwoje – na Pierre'a i Hélène. Książę Wasilij naśladował pochlipywania Sergiusza Kuźmicza, a jednocześnie obiegał córkę spojrzeniem; a gdy się śmiał, wyraz jego twarzy mówił: „Tak, tak, wszystko idzie dobrze: dziś wszystko się rozstrzygnie.” Anna Pawłowna groziła mu za „*notre bon Viasmitinoff*”, a w jej oczach, które mimochodem łysnęły w tym momencie ku Pierre'owi, książę Wasilij wyczytał, że gratuluje mu przysłego zięcia i szczęścia córki. Stara księżna ze smutnym westchnieniem częstowała sąsiadkę winem i zarazem gniewnie spojrzała na córkę i tym westchnieniem jakby mówiła: „Tak, moja droga, już nam nic innego nie pozostało, tylko pić słodkie wino, teraz przyszedł czas, aby ta młodzież mogła być tak wyzywająco szczęśliwa.” „Jakże to wszystko głupie, co opowiadam, jakby to mnie w ogóle interesowało – myślał dyplomata spoglądając na szczęśliwe oblicza kochanków – to jest dopiero szczęście!”

Wśród tych marnych, drobnych, sztucznych zainteresowań, łączących owo towarzystwo, znalazło się zwykle uczucie wzajemnego pociągu dwojga pięknych i zdrowych młodych ludzi – mężczyzny i kobiety. I to ludzkie uczucie przytłumiło wszystko, i szybowало nad całą ich sztuczną paplaniną. Żarty były niewesołe, nowe wiadomości nieinteresujące, ożywienie – wyraźnie sztuczne. Nie tylko oni, ale nawet lokaje usługujący przy stole jak gdyby czuli to samo i zapominali o przepisach służby – zapatrzeni w promienne oblicze pięknej Hélène i w czerwoną, otyłą, szczęśliwą i niespokojną twarz Pierre'a. Nawet płomienie świec jak gdyby skupiały swoje światło tylko na tych dwóch szczęśliwych obliczach.

Pierre czuł, że jest ośrodkiem zainteresowania, a ta sytuacja i cieszyła go, i żenowała. Był jak człowiek bardzo czymś zaabsorbowany. Nic nie widział jasno, nie rozumiał i nie słyszał. Tylko z rzadka, znienacka migały mu w duszy urywki myśli i wrażeń z rzeczywistości.

„Więc już wszystko skończone! – myślał. – I jak to się wszystko stało? Tak szybko! Teraz już wiem, że to nieuchronnie musiało się dokonać nie dla niej samej, nie dla mnie samego, ale dla wszystkich. Oni wszyscy tak na to czekają, tak są przekonani, że to się stanie, że nie mogę, nie mogę ich oszukać. Ale jak to będzie? Nie wiem, ale będzie, będzie niechybnie!” – myślał Pierre spoglądając na te ramiona lśniące tuż przy jego oczach.

Lecz nagle ogarniał go wstyd. Czuł się nieswojo, że on jeden zajmuje uwagę wszystkich, że w ich oczach uchodzi za szczęśliwca, że ze swą nieładną twarzą wygląda na jakiegoś Parysa zagarniającego Hélène. „Ale trudno, zawsze tak bywa i tak być musi – pocieszał się. – A zresztą, co ja zrobiłem, żeby tak było? Kiedy to się zaczęło? Z Moskwy wyjechałem razem z księciem Wasiliem. Wówczas jeszcze nic nie było. Później – dlaczego miałem u niego nie zamieszkać? Potem grałem z nią w karty i podniosłem jej *ridicule*, jeździłem z nią na spacer. Kiedy się to wszystko zaczęło, kiedy się to wszystko stało?” I oto siedzi obok niej jako narzeczony, słyszy, widzi, czuje jej bliskość, jej oddech, jej ruchy, jej urodę. Nagle wydaje mu się, że to nie ona, ale on sam jest tak niezwykle piękny, że dlatego właśnie wszyscy na niego patrzą, i – szczęśliwy z podziwu wszystkich – wypręża pierś, podnosi głowę i raduje się własnym szczęściem. Nagle słyszy czyjś głos, głos znajomy, który coś powtarza po raz drugi. Ale Pierre jest tak zaprzątnięty, że nie pojmuje tego, co się do niego mówi.

– Pytam cię, kiedyś dostał list od Bołkońskiego – książę Wasilij powtarza po raz trzeci. – Mój drogi, jakiś ty roztargniony.

Książę Wasilij uśmiecha się i Pierre widzi, że wszyscy się uśmiechają patrząc na niego i na Hélène. „No cóż, skoro już wszyscy wiecie – mówi Pierre do siebie. – No cóż? to prawda”, i on również się uśmiecha swym łagodnym, dziecięcym uśmiechem, i Hélène się uśmiecha.

– Kiedyżeś otrzymał? Z Ołomuńca? – powtarza ksiązę, jakby musiał to wiedzieć w celu rozstrzygnięcia sporu. „Jak można mówić i myśleć o takich bagatelach?” – myśli Pierre.

– Tak, z Ołomuńca – odpowiada z westchnieniem.

Po kolacji Pierre wraz z innymi poprowadził swą damę do salonu. Goście zaczęli się rozjeżdżać, a niektórzy wychodzili nie pożegnawszy się z Héléne, jakby nie chcąc odrywać jej od poważnego zajęcia, zbliżali się na chwilę, prędko odchodzili i nie pozwalali się odprowadzać. Dyplomata milczał smętnie, wychodząc z salonu. Stała przed nim cała marność dyplomatycznej kariery w porównaniu ze szczęściem Pierre'a. Stary generał gniewliwie odburknął swej żonie, gdy go zapytała, czy go nie boli noga. „Ach, ty głupia starucho – pomyślał sobie. – Ot, Helena Wasiliewna nawet mając pięćdziesiątkę będzie piękna.”

– Zdaje się, że mogę pani powinszować – szepnęła do księżny Anna Pawłowna i mocno ją pocałowała. – Zostałabym, gdyby nie migrena.

Księżna nic nie odpowiedziała, męczyła ją zazdrość z powodu szczęścia córki.

Gdy odprowadzono gości, Pierre długo pozostawał sam na sam z Héléne w malutkim saloniku, gdzie usiedli. I przedtem, w ciągu ostatnich kilku tygodni, często przebywał sam na sam z Héléne, ale nigdy nie mówił jej o miłości. Teraz czuł, że to jest konieczne, ale w żaden sposób nie mógł się zdecydować na ten ostateczny krok. Wstydził się, wydawało mu się, że tu, przy Héléne, zajmuje czyjeś, cudze miejsce. „Nie dla ciebie to szczęście – mówił mu jakiś wewnętrzny głos. – To szczęście jest dla tych, którym nie dostaje tego, co ty posiadasz.” Przecie należało coś powiedzieć, więc się odezwał. Zapytał, czy jest zadowolona z dzisiejszego wieczoru. Odpowiedziała mu ze zwykłą swą prostotą, że te imieniny należały dla niej do najmiłszych.

Pozostał jeszcze ten i ów z najbliższych krewnych. Siedzieli w dużym salonie. Ksiązę Wasilij leniwym krokiem podszedł do Pierre'a. Pierre wstał i oświadczył, że już późno. Ksiązę Wasilij spojrział na niego surowo, pytająco, jakby to, co powiedział, było tak dziwne, że nawet niewarte usłyszenia. Ale zaraz potem wyraz surowości ustąpił, ksiązę Wasilij pociągnął Pierre'a za rękę w dół, posadził go i uśmiechnął się życzliwie.

– No cóż, Lola? – zwrócił się zaraz do córki tym niedbałym tonem tkliwości z nawyku, którego nabywają rodzice pieszczący swe dzieci od małego, a na co ksiązę Wasilij wpadł naśladując innych rodziców.

I znowu zwrócił się do Pierre'a:

– „S e r g i u s z u K u ź m i c z u, z e w s z y s t k i c h s t r o n” – rzekł odpinając górny guzik przy kamizelce.

Pierre uśmiechnął się, ale po jego uśmiechu można było poznać, że rozumie, iż w owej chwili nie anegdota o Sergiuszu Kuźmiczu interesuje księcia Wasilia; i ksiązę Wasilij zrozumiał, że Pierre go pojął. Ksiązę Wasilij wymruczał coś i wyszedł.

Pierre'owi wydało się, że nawet ksiązę Wasilij jest zmieszany. Zmieszanie tego starego światowca wzruszyło Pierre'a, obejrzał się na Héléne – zdawało się, jak gdyby i ona była zmieszana – i mówiła spojrzeniem: „Cóż, sam sobie jesteś winien.”

„Trzeba natychmiast zrobić ten krok, ale ja nie mogę, nie mogę” – myślał Pierre i znowu zagadnął o czymś postronnym, o Sergiusza Kuźmicza, zapytywał, na czym polega anegdota, której nie dosłyszał.

Kiedy ksiązę Wasilij wszedł do salonu, księżna rozmawiała cicho z niemłodą damą o Bezuchowie.

– Oczywiście, *c'est un parti très brillant, mais le bonheur, ma chère...*<sup>282</sup>

– *Les mariages se font dans les cieux*<sup>283</sup> – odpowiedziała niemłoda dama.

Ksiązę Wasilij, jak gdyby nie słysząc dam, przeszedł do odległego kąta i usiadł na kanapie. Zamknął oczy i niby drzemał. Głowa mu opadła, ocknął się.

<sup>282</sup> Moja droga, to świetna partia, ale szczęście...

<sup>283</sup> Małżeństwa są związane w niebie.

– *Aline* – odezwał się do żony – *allez voir ce qu'ils font*.<sup>284</sup>

Księżna zbliżyła się do drzwi, minęła je z miną znaczącą i obojętną i zajrzała do saloniku. Pierre i Helene siedzieli jak przedtem i rozmawiali.

– Ciągle to samo – odpowiedziała mężowi. Książę Wasilij nachmurzył się, wykrzywił usta, policzki mu zadrgały, przez co nabierał zwykle nieprzyjemnego i ordynarnego wyrazu twarzy; otrząsnął się, wstał, odrzucił głowę w tył i zdecydowanymi krokami przeszedł obok dam – do saloniku. Podszedł do Pierre'a szybkim krokiem, radośnie. Twarz księcia była tak niezwykle uroczysta, że Pierre wstał przerażony, kiedy go zobaczył.

– Chwała Bogu! – rzekł. – Żona wszystko mi powiedziała! – jedną ręką objął Pierre'a, drugą – córkę. – Moja kochana Lolu! Jestem bardzo, bardzo szczęśliwy. – Głos mu zadbrał. – Kochałem twego ojca... ona będzie ci dobrą żoną... niechże was Bóg błogosławi!...

Uściskał córkę, potem znowu Pierre'a i pocałował go swymi starczymi ustami. Łzy naprawdę zwilżyły mu policzki.

– Księżno, chodźże tutaj! – zawołał.

Księżna przysła i również się rozpląkała. Niemłoda dama też ocierała twarz chusteczką. Całowano Pierre'a i on kilkakrotnie całował dłoń pięknej Héléne... Po pewnym czasie znowu pozostawiono ich samych.

„Tak właśnie wszystko to powinno być i nie mogło być inaczej – myślał Pierre – dlatego nie ma co pytać, czy to dobrze, czy źle. Dobrze, bo już się wyklarowało i nie ma dawnych dręczących wątpliwości.” Pierre trzymał w milczeniu rękę narzeczonej i patrzył na jej piękną pierś, która się wznosiła i opadała.

– Héléne! – rzekł nagle głośno i zamilkł.

„W takim wypadku mówi się coś osobliwego” – myślał, ale żadną miarą nie mógł sobie przypomnieć, co właściwie mówi się w takich wypadkach. Spojrzał jej w oczy. Przysunęła się doń bliżej. Twarz jej zarumieniła się.

– Ach, proszę zdjąć te... jak je tam... – i wskazywała okulary.

Pierre zdjął okulary i prócz owego dziwnego wyrazu, z jakim spoglądają oczy ludzi, którzy zdjęli okulary, w jego wzroku widniał pytający lęk. Chciał się pochylić do jej ręki i ucałować ją; lecz Héléne szybkim i brutalnym ruchem głowy zagarnęła jego usta i złączyła ze swoimi. Jej twarz zaskoczyła Pierre'a zmienionym wyrazem nieprzyjemnego zmieszania.

„Teraz już za późno, wszystko skończone; zresztą, kocham ją” – pomyślał Pierre.

– *Je vous aime!*<sup>285</sup> – rzekł przypomniawszy sobie, co trzeba mówić w takich wypadkach; lecz jego słowa zabrzmiały tak ubogo, że zrobiło mu się wstyd za siebie.

Po upływie półtora miesiąca był już żonaty i jako szczęśliwy, jak mówiono, właściciel pięknej żony i milionów – osiedlił się w Petersburgu w dużym, świeżo odnowionym domu hrabiów Bezuchowów.

---

<sup>284</sup> Alino... zobacz, co oni robią.

<sup>285</sup> Kocham panią!

### III

W grudniu 1805 roku stary książę Mikołaj Andreicz Bołkoński otrzymał list od księcia Wasilia, powiadamiający go, że książę przybędzie wraz z synem. („Udaję się na rewizję i oczywiście sto wiorst jest dla mnie niczym, by wielce szanownego księcia i mego dobrodzieja odwiedzić – pisał – a mój Anatol jedzie właśnie do armii i towarzyszy mi, mam nadzieję, że pozwoli książę, aby mógł osobiście wyrazić mu ten głęboki szacunek, który, podobnie jak jego ojciec, żywi dla księcia.”)

– A więc Marie nawet wozić nie trzeba: konkurenci sami do nas przyjeżdżają – rzekła ostrożnie mała księżna, usłyszawszy o tym.

Książę Mikołaj Andreicz skrzywił się i nic nie odpowiedział.

Po upływie dwóch tygodni od przyjścia listu przyjechała najpierw wieczorem służba księcia Wasilia, a nazajutrz zjechał i on sam z synem.

Stary Bołkoński zawsze był nieszczerzego zdania o charakterze księcia Wasilia, a tym bardziej w ostatnich czasach, kiedy książę Wasilij za nowych panów, za Pawła i Aleksandra, daleko zaszedł w urzędach i zaszczytach. Obecnie zaś z aluzji listu oraz małej księżny zrozumiał, o co chodzi, i nieszczerzególne mniemanie o księciu Wasiliu przeszło w duszy księcia Mikołaja Andreicza w uczucie niezycziwej wzgardy. Mówiąc o nim parskał nieustannie. Owego dnia, kiedy miał przyjechać książę Wasilij, książę Mikołaj Andreicz był szczególnie niezadowolony i nie w humorze. Czy dlatego był nie w humorze, iż przyjeżdżał książę Wasilij, czy też dlatego był szczególnie niezadowolony z przyjazdu księcia Wasilia, że był nie w humorze – trudno wiedzieć; był jednak nie w humorze i Tichon jeszcze rano odradzał architektowi iść z raportem do księcia.

– Słyszysz pan, jak chodzi – rzekł Tichon zwracając uwagę architekta na odgłosy kroków księcia. – Stawia całą stopę – już my wiemy...

Przecie o godzinie dziewiątej, jak zwykle, książę wyszedł na spacer w swej aksamitnej szubce z sobolowym kołnierzem i w takiej samej czapce. W przeddzień spadł śnieg. Dróżka, którą książę chadzał do oranżerii, została oczyszczona, na odgarniętym śniegu widniały ślady miotły, a łopata była wetknięta w pulchny wał śniegu, ciągnący się po obu stronach dróżki. Książę chmurny i milczący obszedł oranżerię, podwórzec i zabudowania.

– A saniami można przejechać? – zapytał odprowadzającego go do domu, pełnego uszanowania rządcę, który z twarzy i manier przypominał swojego pana.

– Śnieg kopny, jaśnie panie. Jużem kazał rozgarnąć na preszpekcie.

Książę pochylił głowę i zbliżył się do ganku. „Dzięki Ci, Panie – pomyślał rządcą – burza minęła!”

– Przejechać było ciężko, jaśnie panie – dodał rządcą. – Słysząc, jaśnie panie, że minister odwiedza jaśnie pana?

Książę odwrócił się do rządcy i wbił weń chmurne spojrzenie.

– Co? Minister? Jaki minister? Kto kazał? – zaczął swym przenikliwym, twardym głosem.

– Dla księżniczki, mojej córki, nie oczyścili, ale dla ministra! Nie ma dla mnie ministrów!

– Jaśnie panie, ja uważałem...



– Tyś uważał! – krzyknął książę jeszcze pośpieszniej i niewyraźniej wymawiając słowa. – Tyś uważał... Zbóje! hultaje!... Ja ciebie nauczę uważać – i podniósłszy kij zamierzył się nim na Ałpatycz, i uderzyłby, gdyby rządcą mimo woli nie był się uchylił od ciosu. – Uważał!... Łajdak!... – krzyczał spiesznie. Ale mimo że Ałpatycz, sam przerażony swym zuchwalstwem – iż uchylił się od uderzenia – podszedł do księcia i pokornie spuścił przed nim swą łysą głowę, czy może właśnie dlatego książę wciąż krzyząc: „Łajdaki!... zasypać drogę...”, nie podniósł kija po raz drugi i wpadł na pokoje.

Przed obiadem księżniczka i m-lle Bourienne, które wiedziały, że książę jest nie w humorze, czekały na niego stojąc: m-lle Bourienne z rozpromienioną twarzą, która mówiła: „Ja o niczym nie wiem, jestem taka sama jak zawsze”, a księżniczka Maria – blada, wystraszona, ze spuszczonej oczyma. Najprzykrzejsze dla księżniczki Marii było to, że wiedziała, iż w takich wypadkach należy postępować tak jak m-lle Bourienne, a przecie nie mogła tego zrobić. Wydawało się jej: „Zrobię tak, jakbym nic nie zauważyła, to pomyśli, że nie mam dla niego współczucia, zrobię tak, żem niby sama zmartwiona i nie w humorze, to powie (tak właśnie bywało), że nos spuściłam na kwintę” itd.

Książę spojrział na wystraszoną twarz córki i parsknął.

– Łaj... albo głupia!... – rzekł. „I tamtej nie ma! już jej naplotkowali” – pomyślał o małej księżniczce, której nie było w jadalni.

– A gdzie księżna? – zapytał – Chowa się?...

– Niezupełnie zdrowa – rzekła m-lle Bourienne uśmiechając się wesoło. – Nie zejdzie. To bardzo zrozumiałe w jej stanie.

– Hm! hm! kch! kch! – mruknął książę i siadł do stołu.

Talerz wydał mu się nieczysty, pokazał plamę i rzucił go. Tichon porwał w locie i przekazał kredensowemu. Mała księżna nie czuła się źle, lecz nie mogła przewyciężyć strachu wobec księcia, a dowiedziawszy się, iż jest nie w humorze, postanowiła nie schodzić do obiadu.

– Boję się o dziecko – mówiła do m-lle Bourienne. – Bóg wie, co może się stać ze strachu.

W ogóle mała księżna żyła w Łysych Górach pod uciskiem ciągłego strachu i antypatii do starego księcia, z której sobie nie zdawała sprawy, ponieważ strach górował nad antypatią tak, że nie mogła jej czuć. Ze strony księcia była również antypatia, ale zagłuszona pogardą. Księżna, zżywszy się z Łysymi Górami, szczególnie polubiła m-lle Bourienne, spędzała z nią całe dni, prosiła ją do siebie na noc, często z nią rozmawiała o teściu i potępiała go.

– *Il nous arive du monde, mon prince* – oświadczyła m-lle Bourienne rozwijając białą serwetkę różowitkami dłońmi. – *Son excellence le prince Couraguine avec son fils, à ce que j'ai entendu dire?*<sup>286</sup> – rzekła pytająco.

– Hm... ta smarkata ekscelencja... ja umieściłem go w kolegium – rzekł książę urażony. – A po co syn, nie pojmuję. Księżna Lizawieta Karłowna i księżniczka Maria może wiedzą, ja nie wiem, na co on tu wiezie tego syna.

Mnie on niepotrzebny. – I popatrzył na zarumienioną córkę. – Niezdrowaś czy co? Z bojaźni pani ministrowej, jak dziś powiedział ten bałwan Ałpatycz.

– Nie, *mon père*.

Jakkolwiek m-lle Bourienne niefortunnie wybrała przedmiot rozmowy, to jednak nie przestała paplać o oranżerii, o piękności nowego kwiatka, który się rozwinał, aż po zupie książę zmiękł.

Po obiedzie udał się do synowej. Mała księżna siedziała przy stoliczku i gawędziła z pokojówką Maszą. Ujrzawszy teścia zbladła.

Mała księżna bardzo się zmieniała. Teraz była raczej brzydka niż ładna. Policzki obwisły, warga podniosła się w górę, oczy zapadły się w głąb.

– Tak, jakiś ucisk – odpowiedziała na pytanie księcia, jak się czuje.

– Czy nie potrzebujesz czego?

<sup>286</sup> Jadą do nas goście, książę... Jego ekscelencja książę Kuragin wraz z synem, o ilem słyszała?

– Nie, *merci mon père*.<sup>287</sup>

– No to dobrze, dobrze.

Wyszedł i udał się do pokoju dla służby. Stał tam Ałpatycz z pochyłą głową.

– Droga zarzucona?

– Zarzucona, jasnie panie; na miłosierdzie boskie, proszę mi wybaczyć, toć z głupoty.

Książę przerwał mu i roześmiał się swym nienaturalnym śmiechem.

– No dobrze, dobrze.

Wyciągnął rękę, którą Ałpatycz pocałował, i poszedł do gabinetu.

Wieczorem przyjechał książę Wasilij. Stangreci i służba powitali go na preszpekcie i z krzykiem przeprowadzili jego karetę na płozach i sanie drogą rozmyślnie zasypaną śniegiem.

Dla księcia Wasilia i dla Anatola przeznaczono oddzielne pokoje.

Anatol, zdjawszy kamizelkę i ujawszy się rękami pod boki, siedział przy stole; uśmiechał się i pięknymi dużymi oczami patrzył uporczywie z roztargnieniem w jeden róg stołu. Całe swe życie traktował jako nieprzerwaną zabawę, którą ktoś nie wiadomo czemu zobowiązał się dla niego urządzić. Podobnie teraz traktował swą podróż do złego starca i bogatej a szpetnej spadkobierczynie. Przypuszczał, że to wszystko mogło się skończyć bardzo dobrze i zabawnie. „A czemuż by się nie ożenić, skoro jest bardzo bogata? To nigdy nie przeszkadza” – myślał Anatol.

Ogolił się, naperfumował starannie, z elegancją, która się stała jego nawykiem, i z wrodzonym sobie wyrazem prostodusznie zwycięskim, wysoko niosąc piękną głowę, wszedł do pokoju ojca. Koło księcia Wasilia krzatali się dwaj jego kamerdynerzy ubierając go; książę rozglądał się dokoła z ożywieniem i wesoło skinął wchodzącemu synowi, jakby mówił: „Dobrze, takim cię potrzebuję!”

– Więc, ojczulku, bez żartów, czy ona bardzo szpetna? Co? – zapytał po francusku, jakby ciągnąc dalej rozmowę, którą nieraz prowadzili podczas podróży.

– Daj pokój głupstwu! Najważniejsza rzecz – staraj się zachować wobec starego księcia z uszanowaniem i rozsądnie.

– Jeśli zaczniesz wymyślać, to wyjdę – oświadczył Anatol. – Nie cierpię tych staruchów. Ha?

– Pamiętaj, twoja przyszłość całkowicie zależy od tego. Tymczasem w pokoju przeznaczonym dla służby kobiecej nie tylko już wiadano o przybyciu ministra z synem, ale nawet opisano szczegółowo ich wygląd. Księżniczka Maria siedziała sama w swym pokoju i nadermnie usiłowała pokonać wewnętrzne wzburzenie.

„Czemu oni pisali, czemu Liza mówiła mi o tym? Przecie to być nie może! – mówiła sobie spoglądając w zwierciadło. – Jakże wejdę do salonu? Gdyby mi się nawet podobał, to teraz nie mogłabym wobec niego być sobą.” Sama myśl o spojrzeniu ojca przyprawiała ją o przerażenie.

Mała księżna i m-lle Bourienne już uzyskały od pokojówki Maszy wszelkie niezbędne wiadomości o tym, jak piękny jest rumiany, czarnobrewy syn ministra, o tym, jak tatuś z trudem ciągnął nogi po schodach, a on – śmigając po trzy stopnie, niby orzeł, biegł za nim. Otrzymawszy te wiadomości mała księżna i m-lle Bourienne – już w korytarzu słycać było ich ożywione głosy – weszły do pokoju księżniczki.

– *Ils sont arrivés, Marie*,<sup>288</sup> wiesz? – rzekła mała księżna kołysząc brzuchem i ciężko opadła na fotel.

Już nie miała na sobie owej bluzki, w której siedziała rankiem, lecz jedną ze swych najlepszych sukien; głowę miała starannie uczesaną, a twarz ożywioną, co jednak nie zatuszowało obwisłych i zmartwiałych rysów twarzy. W tym stroju, w którym zazwyczaj bywała w towarzystwie petersburskim, jeszcze było widoczniejsze, jak bardzo zbrzydła. M-lle Bourienne

<sup>287</sup> Dziękuję ojczu.

<sup>288</sup> Już przyjechali, Mario.

również przybyła w stroju udoskonalonym – acz niedostrzegalnie – co jej ładniutką, świeżą twarzyczkę czyniło jeszcze bardziej pociągającą.

– *Eh bien, et vous restez comme vous êtes, chère princesse?* – zaczęła. – *On va venir annoncer, que ces messieurs sont au salon, il faudra descendre et vous ne faites pas un petit brin de toilette!*<sup>289</sup>

Mała księżna wstała z fotela, zadzwoniła na pokojówkę i z pośpiechem a wesoło zabrała się do obmyślania stroju dla księżniczki Marii i urzeczywistnienia zamysłu. Księżniczka Maria czuła się dotknięta tym, że przybycie przyszłego jej narzeczonego tak ją wzburzyło, a jeszcze bardziej dotknęło ją to, że obydwie jej przyjaciółki nawet nie przypuszczały, by mogło być inaczej. Powiedzieć im, jak jej wstyd i za siebie, i za nie, znaczyłoby zdradzić się ze swym wzruszeniem; poza tym odmowa wystrojenia się, które jej proponowano, pociągnęłaby długie żarty i nalegania. Poczerwieniała, jej piękne oczy zgasły, twarz pokryła się wypiekami; z tym brzydkim wyrazem ofiary, który najczęściej gościł na jej twarzy, oddała się we władzę m-lle Bourienne i Lizy. Obie kobiety troszczyły się zupełnie szczerze o to, by uczynić ją ładną. Była tak brzydka, iż żadnej z nich nie mogło przyjść na myśl rywalizowanie z nią; dlatego całkiem szczerze, z owym naiwnym i niezachwianym przekonaniem kobiet, że strój może uczynić twarz ładną, zabrały się do ubierania księżniczki.

– Nie, doprawdy, *ma bonne amie*<sup>290</sup>, ta suknia jest nieładna – mówiła Liza odstąpiwszy o kilka kroków i z boku przyglądając się księżniczce – masz przecie ciemnoczerwoną, każ ją przynieść. Doprawdy! Przecie to może się rozstrzyga los całego życia. A ta jest za jasna, brzydko wygląda, brzydko!

Nie suknia była nieładna, ale twarz i cała figura księżniczki, ale tego nie czuła ani m-lle Bourienne, ani mała księżna; ciągle im się wydawało, że jeśli się przyszpili do włosów zaczesanych do góry niebieską wstążkę, a do brązowej sukni opadającą niebieską szarfę itp., to wszystko będzie dobrze. Zapomniały, że wystraszonej twarzy i figury nie można było zmienić, choć więc odmieniały wygląd ram, przybranie tej twarzy, sama twarz pozostawała żalonna i nieładna. Po dwóch czy trzech przemianach, którym księżniczka Maria poddawała się pokornie, w tej chwili, kiedy włosy już miała uczesane do góry (uczesanie to całkiem zmieniło jej twarz na gorsze), miała na sobie niebieską szarfę i strojną ciemnoczerwoną suknię, mała księżna dwukrotnie obeszła ją dokoła, tu poprawiła małą rączką fałdę sukni, tam obciągnęła szarfę i pochyliwszy głowę przyjrzała się to z tej, to z drugiej strony.

– Nie, tak nie można – rzekła stanowczo, klasnąwszy w rękę. – *Non, Marie, décidément ça ne vous va pas. Je vous aime mieux dans votre petite robe grise de tous les jours. Non, de grâce, faites cela pour moi!*<sup>291</sup> Katia – rzekła do pokojówki – przynieś księżniczce szarą sukienkę. – M-lle Bourienne, zobaczy pani, jak ja to zrobię – oświadczyła uśmiechając się w przedśmionku artystycznego zadowolenia.

Ale gdy Katia przyniosła żadaną suknię, księżniczka Maria siedziała nieruchomo przed lustrem i patrzyła na swoją twarz, w lustrze zobaczyła, że ma w oczach łzy, że wargi jej drżą, bliskie szlochu.

– *Voyons, chère princesse* – rzekła m-lle Bourienne – *encore un petit effort.*<sup>292</sup>

Mała księżna, wzięwszy suknię z rąk pokojówki, zbliżyła się do księżniczki Marii.

– Teraz zrobimy inaczej, po prostu i miło – mówiła. Głosy ich – księżny, m-lle Bourienne i Kati, która się roześmiała z jakiegoś powodu – zlewały się w wesołe gaworzenie, podobne do ptasiego ćwierkania.

<sup>289</sup> A pani, droga księżniczko, zostanie tak jak teraz?... Zaraz oznajmią, że ci panowie są w salonie. Trzeba będzie zejść, a pani się wcale nie ubiera!

<sup>290</sup> Moja droga przyjaciółko.

<sup>291</sup> Nie, Mario, stanowczo jest ci w tym nie do twarzy. Wolę cię w twej szarej codziennej sukience i proszę cię, zrób to dla mnie!

<sup>292</sup> Ależ, droga księżniczko... jeszcze jeden mały wysilek.

– *Non, laissez-moi* <sup>293</sup> – odezwała się księżniczka. I głos jej zadźwięczał taką powagą i cierpieniem, że szczebiot ptasi natychmiast umilkł. Spojrzały w jej duże, piękne oczy pełne łez i myśli, patrzące na nie jasno i błagalnie, i pojęły, że naleganie jest bezskuteczne, a nawet okrutne.

– *Au moins changez la coiffure* – odezwała się mała księżna. – *Je vous disais* – rzekła z wymówką zwracając się do m-lle Bourienne – *Marie a une de ces figures, auxquelles ce genre de coiffure ne va pas du tout. Mais du tout, du tout!*

*Changez de grâce.* <sup>294</sup>

– *Laissez-moi, laissez-moi, tout çà m'est parfaitement égal* <sup>295</sup> – odpowiedział głos ledwo powstrzymujący łzy.

M-lle Bourienne i mała księżna musiały przed sobą przyznać, że w tej postaci księżniczka Maria była bardzo brzydka, brzydsza niż zazwyczaj; ale już było późno. Patrzyła na nie z wyrazem, który dobrze znały, z wyrazem zamyślenia i smutku. Ten wyraz nie budził w nich strachu wobec księżniczki Marii (tego uczucia w nikim nie wzbudzała). Wiedziały przecie, że gdy na jej twarzy zjawi się ten wyraz, staje się milcząca i niezachwiana w swych postanowieniach.

– *Vous changerez, n'est-ce pas?* <sup>296</sup> – spytała Liza, a kiedy księżniczka Maria nic nie odpowiedziała, wyszła z pokoju.

Księżniczka Maria została sama. Nie spełniła życzenia Lizy i nie tylko nie zmieniła fryzury, ale nawet nie spojrzała na siebie w lustro. Siedziała w milczeniu i rozmyślała, bezsilnie spuściwszy oczy i ręce. Wyobrażała sobie męża, mężczyznę – istotę silną, górującą i niezrozumiale pociągającą, która przeniesie ją nagle w swój własny, całkiem inny, szczęśliwy świat. Wyobrażała sobie przy własnej piersi własne dziecko, takie, jakie widziała wczoraj u córki swej mamki. Mąż stoi i patrzy tkliwie na nią i na dziecko. „Nie, to niemożliwe, jestem zbyt brzydka” – myślała.

– Prosimy na herbatę. Księżę pan zaraz wyjdzie – odezwał się zza drzwi głos pokojówki.

Ocknęła się przerażona własnymi myślami. Nim zeszła na dół, udała się do kaplicy, kierując spojrzenie na oświetlone lampą czarne oblicze Zbawiciela na dużym obrazie i złożony ręce postać tak kilka chwil. W duszy księżniczki Marii trwała bolesna wątpliwość. Czy możliwa jest dla niej radość miłości, ziemskiej miłości do mężczyzny? Snując myśli o małżeństwie księżniczka Maria marzyła i o szczęściu rodzinnym, i o dzieciach, ale głównym, najsilniejszym i najszybszym jej marzeniem była miłość ziemską. Uczucie to było tym silniejsze, im bardziej starała się ukryć je przed innymi i nawet przed sobą. „Mój Boże – mówiła – jak mam zdławić w swym sercu te szatańskie myśli? W jaki sposób mogę się wyrzec na zawsze tych złych zamiarów i spokojnie wypełniać Twą wolę?” I zaledwie zadała sobie to pytanie, a Bóg już odpowiedział jej – we własnym jej sercu. „Nie pragnij niczego dla siebie, nie szukaj, nie wzruszaj się, nie zazdrość. Przyszłość ludzi i twój własny los winny pozostać ci nie znane; wszelako żyj tak, abyś była gotowa na wszystko. Jeśli Bogu spodoba się doświadczyć cię w obowiązkach małżeńskich, bądź gotowa spełnić Jego wolę.” Przy tej uspokajającej myśli (jednak z nadzieją spełnienia swych zakazanych ziemskich marzeń) księżniczka Maria westchnęła, przeżegnała się i zeszła na dół. Już nie myślała ani o swej sukni, ani o uczesaniu, ani o tym, jak wejdzie i co powie. Jakież to wszystko miało znaczenie w porównaniu z tym przeznaczeniem bożym, bez którego wół z głowy nie spadnie człowiekowi.

<sup>293</sup> Zostawcie mnie w spokoju,

<sup>294</sup> Zmień przynajmniej uczesanie... Mówiłam pani, że do twarzy Marii ten rodzaj uczesania wcale, ale to wcale nie pasuje! Zmień to, błagam.

<sup>295</sup> Zostawcie mnie w spokoju, jest mi absolutnie wszystko jedno.

<sup>296</sup> Zmienisz, prawda?

## IV

Kiedy księżniczka Maria weszła do pokoju, księżę Wasilij i jego syn już byli w salonie, rozmawiając z małą księżną i m-lle Bourienne. Kiedy weszła swym ciężkim krokiem, stąpając na pięty, mężczyźni oraz m-lle Bourienne wstali, a mała księżna wskazując ją mężczyznom oznajmiła: „*Voilà Marie!*”<sup>297</sup> Księżniczka Maria widziała wszystkich, widziała dokładnie. Widziała twarz księcia Wasilia, która na widok księżniczki znieruchomiała poważnie na chwilę i natychmiast się uśmiechnęła, i twarz małej księżny z ciekawością badającej na twarzach gości wrażenie, jakie wywarła na nich Marie. Widziała również m-lle Bourienne, z jej kokardą, z ładną twarzą i ożywionym jak nigdy spojrzeniem skierowanym na niego, lecz jego nie mogła widzieć: zobaczyła tylko coś wielkiego, jasnego i pięknego, co się do niej zbliżyło, kiedy weszła do pokoju. Najpierw podszedł do niej księżę Wasilij, pocałowała go w łusą głowę, która się pochyliła nad jej ręką, i odpowiedziała na jego słowa, że przeciwnie, doskonale go pamięta. Potem zbliżył się do niej Anatol. A ona ciągle jeszcze nie widziała go. Poczowała tylko delikatną dłoń, która stanowczo ujęła jej rękę, i zaledwie musnęła białe czoło, z wypomadowanymi pięknymi kasztanowatymi włosami. Gdy na niego spojrzała, zdumiała się jego urodą. Anatol, z głową lekko pochyloną, w milczeniu patrzył wesoło na księżniczkę, najwidoczniej wcale o niej nie myślał, założywszy duży palec prawej ręki za guzik zapiętego munduru, wyprężony – z wypiętą piersią i wyprostowanymi plecami, kołysał z lekka odstawioną nogą. Anatol nie był ani pomysłowy, ani bystry, ani też wymowny, ale za to miał arcycenną w wielkim świecie zdolność zachowania spokoju i niezachwianej pewności siebie. Niech człowiek mniej pewny siebie zamilknie przy pierwszym poznaniu i okaże, iż sobie uświadamia niestosowność tego milczenia i chęć znalezienia jakiegoś wyjścia, a będzie niedobrze, lecz Anatol milczał, kołysał nogą i wesoło obserwował uczesanie księżniczki. Było widoczne, że mógł tak spokojnie milczeć przez długi czas. „Jeśli komuś takie milczenie jest nie na rękę, proszę rozmawiać, a mnie się nie chce” – zdawała się mówić jego mina. Poza tym Anatol miał w obcowaniu z kobietami ów sposób, który najbardziej budzi w kobietach ciekawość, obawę, a nawet miłość – była to wzgardliwa świadomość swej przewagi. Jak gdyby mówił do nich swą postawą: „Znam was, znam, nie ma co się z wami cackać! Już byście rade!” Możliwe, iż nawet tak nie myślał stykając się z kobietami (najprawdopodobniej nie, bo w ogóle mało myślał), ale taką miał postawę i taki sposób bycia. Księżniczka odczuła to i jakby pragnąc mu okazać, że nawet nie śmie myśleć o tym, że go zainteresuje, zwróciła się do starego księcia. Rozmowa była ogólna i ożywiona, dzięki głosikowi małej księżny i jej wardze z wąsikami, która się unosiła nad białymi zębami. Powitała księcia Wasilia w sposób żartobliwy, jakiego często używają ludzie z wesołą gadatliwymi, co polega na tym, że zakłada się istnienie między człowiekiem, do którego się zwracają, a sobą jakichś dawnych facecyj i wesołych, zabawnych wspomnień, nie całkiem znanych obecnym – choć żadnych takich wspomnień nie ma, jak nie było ich między małą księżną a księciem Wasiliem. Księżę Wasilij chętnie wpadł w ten ton, mała księżna wciągnęła również i Anatola, którego prawie nie знаła, we wspomnianie tych śmiesznych zdarzeń, które nigdy nie miały miejsca. M-lle Bourienne również

---

<sup>297</sup> Oto Maria!

uczestniczyła w tych wspólnych wspomnieniach, a nawet księżniczka Maria poczuła z zadowoleniem, że i ona została wciągnięta w te wesołe wspomnienia.

– Drogi książę – mówiła do księcia Wasilia mała księżna (oczywiście po francusku) – przynajmniej teraz całkowicie będziemy mogli skorzystać z pańskiego towarzystwa, nie będzie tak jak na wieczorach u Annette, kiedy książę zawsze uciekał. Pamięta książę *cette chère Annette!*<sup>298</sup>

– Ach, przecie księżna nie pójdzie mi mówić o polityce jak Annette.

– A nasz stolik z herbatą?

– O, tak!

– Czemu pan nigdy nie był u Annette? – zapytała Anatola mała księżna. – Ach, wiem, wiem – dodała mrugnawszy – pański brat Hipolit opowiadał mi o sprawkach księcia! O! – pogroziła mu paluszkami. – Znam pańskie zbytki jeszcze z Paryża!

– A czy Hipolit ci nie mówił – rzekł książę Wasilij (zwracał się do syna, uchwyciwszy za rękę księżną, jakby chciała uciekać, a on ledwo zdążył ją zatrzymać) – nie mówił nic, jak usychał z powodu drogiej księżny i jak ona *le mettait à la parte?*<sup>299</sup>

– *Oh! c'est la perle des femmes, princesse!*<sup>300</sup> – zwrócił się do księżniczki.

M-lle Bourienne nie pominęła okazji, by przy słowie „Paryż” nie wdać się również w ogólną rozmowę wspomnień.

Pozwoliła sobie zapytać, jak dawno Anatol opuścił Paryż i jak mu się podobało to miasto. Anatol odpowiadał Francuzeczce nader ochoczo, uśmiechał się patrząc na nią i rozmawiając z nią o jej ojczyźnie. Anatol, ujrawszy ładniutką Bourienne, skonstatował, że i tu, w Łysych Górach, nie będzie nudno. „Wcale niebrzydka – myślał przyglądając się jej – wcale niebrzydka ta *demoiselle de compagnie*. Mam nadzieję, że ona weźmie ją ze sobą, gdy wyjdzie za mnie – pomyślał. *La petite est gentille.*<sup>301</sup>

Stary książę ubierał się w gabinecie bez pośpiechu i chmurnie obmyślał, co począć. Przybycie tych gości gniewało go. „Co mnie obchodzi książę Wasilij i jego synek? Książę Wasilij to pyszałek, pustak, i syn też pewno dobry sobie” – burczał do siebie. Gniewało go, że przybycie tych gości poruszyło w jego duszy kwestie nie rozstrzygnięte, ciągle przytłumione, sprawę, co do której stary książę sam siebie oszukiwał. Sprawa polegała na tym, czy kiedykolwiek zdecyduje się rozstać z księżniczką Marią i oddać ją mężowi. Książę nigdy nie mógł się zdecydować na zadanie sobie tego pytania wprost, gdyż wiedział z góry, że odpowiedziałby wedle słuszności, słuszność zaś przeczyła czemuś więcej niż uczucie, bo wszelkiej możliwości życia. Życie bez księżniczki Marii było dla księcia Mikołaja Andreicza, mimo że zdawał się niewiele ją cenić, nie do pomyślenia. „Po co ma wychodzić za mąż? – rozmyślał. – Na pewne nieszczęście. Oto Liza jest za Andrzejem (zdaje się, że teraz trudno o lepszego męża), a czy zadowolona ze swego losu? I kto ją weźmie z miłości? Brzydka, niezgrabna. Wezmą ze względu na stosunki, na majątek. A czy nie można żyć w panieństwie? Bywają jeszcze szczęśliwsze!” Tak rozmyślał książę Mikołaj Andreicz podczas ubierania się, a tymczasem sprawa, ciągle odkładana, domagała się natychmiastowej decyzji. Książę Wasilij przywiózł swego syna najwidoczniej z zamiarem oświadczenia i na pewno dziś lub jutro zażąda stanowczej odpowiedzi. Nazwisko, pozycja w świecie – bardzo przyzwoite. „Cóż, nie jestem od tego – mówił sobie książę – ale niechby on przynajmniej był jej wart. No, to się okaże.”

– A to się okaże – rzekł głośno. – A to się właśnie okaże.

I jak zawsze rześkim krokiem wszedł do salonu, szybko obrzucił wszystkich spojrzeniem, zauważył i zmianę sukni małej księżny, i wstążeczkę Bourienne, i potworne uczesanie księżniczki Marii, uśmiechy Bourienne i Anatola i osamotnienie swej księżniczki w ogólnej roz-

<sup>298</sup> Tę drogą Annette!

<sup>299</sup> Wyrzucała go za drzwi?

<sup>300</sup> Och, księżniczko, to perła wśród kobiet!

<sup>301</sup> Panna do towarzystwa... Ta mała jest milutka.

mowie. „Wysztafirowała się jak głupia! – pomyślał i gniewnie spojrzął na córkę. – Wstydu nie ma: a ten nawet znać jej nie chce!” Zbliżył się do księcia Wasilia.

– Ano, witaj, witaj, rad cię widzę.

– Nie ma złej drogi do swej niebogi – odezwał się książę Wasilij szybko, z pewnością siebie i familiarnie, jak zawsze. – Oto mój młodszy, proszę o serce i względy dla niego.

Książę Mikołaj Andreicz przyjrzał się Anatolowi.

– Zuch, zuch! – oświadczył. – Chodź, pocałuj – i nadstawił mu policzek.

Anatol pocałował starego i ciekawie, z całkowitym spokojem patrzył nań oczekując, czy prędko zdarzą się te dziwactwa, które mu zapowiadał ojciec.

Książę Mikołaj Andreicz usiadł na swym zwykłym miejscu, w kącie kanapy, przysunął do siebie fotel dla księcia Wasilia, wskazał mu miejsce i zaczął rozpytywać o sprawy polityczne i nowiny. Niby to z uwagą przysłuchiwał się opowiadaniu księcia Wasilia, lecz bez przerwy spoglądał na księżniczkę Marię.

– A więc już z Poczdamu piszą? – powtórzył ostatnie słowa księcia Wasilia. Wtem wstał i podszedł do córki.

– To dla gości tak się przybrałaś, co? – powiedział. – Ładnie, bardzo ładnie. Dla gości zmieniłaś uczesanie, a ja przy gościach ci powiadam, byś na przyszłość nie śmiała przebierać się bez mojego pozwolenia.

– To moja wina, *mon père* – ujęła się mała księżna, poczerwieniawszy.

– Pani wolno – rzekł książę Mikołaj Andreicz składając przed synową zamaszty ukłon. – Ale ona nie ma po co się oszpecać – i tak brzydka.

I znowu usiadł na swym miejscu nie zwracając już uwagi na córkę, doprowadzoną do łez.

– Przeciwnie, w tym uczesaniu jest księżniczce bardzo do twarzy – oświadczył książę Wasilij.

– Ano, młody książę – jak mu tam? – rzekł książę Mikołaj Andreicz zwracając się do Anatola. – Chodź no tutaj, serdeńko, porozmawiajmy, poznajmy się.

„Teraz się zacznie zabawa” – pomyślał Anatol i z uśmiechem przysiadł się do starego księcia.

– No więc tak, mój drogi, powiadają, żeś wychowany za granicą. To nie to, co ja i twój ojciec, co to nas diak uczył pisanego. Powiedz mi, mój kochany, służysz teraz w gwardii konnej? – zapytał stary patrząc na Anatola z bliska i badawczo.

– Nie, przeszedłem do armii – odpowiedział Anatol z trudem powstrzymując się od uśmiechu.

– A! To piękna rzecz. Chcesz, kochanku, służyć carowi i ojczyźnie? Czas wojenny. Taki zuch winien służyć, winien. Jesteś w służbie liniowej.

– Nie, książę. Nasz pułk wymaszerował. A ja zostałem zaliczony – papo, do czego zostałem zaliczony? – zwrócił się Anatol ze śmiechem do ojca.

– Dzielnie służy, dzielnie. „Do czego zostałem zaliczony?” Cha, cha, cha! – zaśmiał się Mikołaj Andreicz.

Zaś Anatol roześmiał się jeszcze głośniejsze. Nagle książę Mikołaj Andreicz zasepił się.

– No, idź sobie – rzekł do Anatola. Anatol, uśmiechnięty, znowu podszedł do pań.

– Przecie tyś ich wychowywał tam za granicą, książę Wasiliu, co? – zwrócił się do księcia Wasilia stary książę.

– Robiłem, com mógł, i powiem księciu, że tamtejsze wychowanie jest znacznie lepsze niż nasze.

– Tak, teraz wszystko inaczej, wszystko po nowemu. Zuch chłopak! Zuch! No, chodźmy do mnie.

Ujął księcia Wasilia pod ramię i poprowadził do gabinetu.

Książę Wasilij, zostawszy z księciem sam na sam, od razu mu wyjawiał swe pragnienia i nadzieje.

– Co ty sobie myślisz – rzekł gniewnie stary książę. – Czy ja ją trzymam, czy nie mogę się z nią rozstać? Też sobie wyobrażają – rzekł z gniewem. – Gotówem choćby jutro! Jedno ci powiem, że chcę lepiej poznać swego zięcia. Znasz moje zasady: gra otwarta! Jutro przy tobie zapytam ją: czy go chce, wtedy niech on tu pobędzie. Niech pobędzie, a ja zobaczę. – Książę parsknął. – Niech sobie wychodzi, mnie wszystko jedno – zawołał takim samym przesywanym głosem jak przy pożegnaniu z synem.

– Powiem księciu szczerze – oświadczył książę Wasilij tonem człowieka przebiegłego, który się przekonał, że nie ma co szukać wybiegów wobec przenikliwości rozmówcy. – Przecie książę widzisz ludzi na wylot. Anatol to nie geniusz, ale chłopak uczciwy, zacny, wzorowy syn i familiant.

– Dobrze, dobrze, zobaczymy.

Jak zawsze bywa z samotnymi kobietami, które przez dłuższy czas są pozbawione męskiego towarzystwa, wszystkie trzy kobiety w domu księcia Mikołaja Andreicza wraz ze zjawieniem się Anatola jednakowo czuły, że dotychczas ich życie nie było życiem. Siła myślenia, uczucia, spostrzegania w okamgnieniu udziiesięciokrotniła się we wszystkich trzech, a ich życie, które dotychczas upływało w mroku, jakby się nagle rozjaśniło światłem pełnym znaczenia.

Księżniczka Maria zupełnie nie myślała i nie pamiętała o swej twarzy i o uczesaniu. Całą jej uwagę pochłaniała piękna, otwarta twarz człowieka, który może zostanie jej mężem. Wydawał się jej dobry, dzielny, stanowczy, mężny i wspaniałomyślny. Była o tym przekonana. W jej wyobraźni nieustannie powstawało tysiące marzeń o przyszłym życiu rodzinnym. Odpędzała je i starała się je ukryć.

„Czy nie jestem dla niego zbyt oziębła? – zastanawiała się księżniczka Maria. – Staram się hamować, gdyż w głębi duszy czuję się już nazbyt mu bliska; ale on nie wie tego wszystkiego, co o nim myślę, i może sobie wyobrazić, że jest mi niemiły.”

Więc księżniczka Maria starała się, ale nie potrafiła być uprzedzająca dla nowego gościa.

„*La pauvre filie! Elle est diablement laide*”<sup>302</sup> – myślał o niej Anatol.

M-lle Bourienne, również niezwykle podniecona przyjazdem Anatola, miała myśli innego rodzaju. Oczywiście, że ładna, młoda dziewczyna, bez określonej pozycji w świecie, bez rodziny i przyjaciół, nawet bez ojczyzny, ani myślała poświęcić swego życia na usługi księcia Mikołaja Andreicza, na czytanie mu książek i na przyjaźń z księżniczką Marią. M-lle Bourienne już dawno czekała na rosyjskiego księcia, który od razu potrafi ocenić jej wyższość nad rosyjskimi księżniczkami – brzydkimi, brzydko ubranymi i niezgrabnymi – zakocha się w niej i zabierze ją; i oto wreszcie ten rosyjski książę przyjechał. M-lle Bourienne miała jedną taką swoją historyjkę, którą usłyszała od ciotki, a dokończyła sama i lubiła ją powtarzać w swej imaginacji. Była to opowieść o tym, jak przed uwiedzioną dziewczyną zjawia się jej biedna matka, *sa pauvre mère*, i robi jej wyrzuty, że bez ślubu oddała się mężczyźnie. M-lle Bourienne często wzruszała się do łez, w swej imaginacji opowiadając tę historię jemu, uwodzicielowi. Teraz oto zjawia się on, prawdziwy rosyjski książę. Wywiezie ją, potem zjawi się *ma pauvre mère*<sup>303</sup> i on się ożeni z uwiedzioną. Tak układała się w głowie m-lle Bourienne, kiedy rozmawiała z Anatolem o Paryżu, jej przyszła historia. Nie wyrachowanie kierowało m-lle Bourienne (ani przez chwilę nawet nie obmyślała tego, co ma robić), ale to wszystko już dawno było w niej gotowe, a teraz tylko się zgrupowało wokół przybyłego Anatola, któremu pragnęła i starała się jak najbardziej podobać.

Mała księżna, niby stary koń pułkowy, który usłyszał dźwięk trąbki, nieświadomie, zapominając o swym stanie, szykowała się do zwykłego galopu kokieterii, bez żadnej ubocznej myśli czy walki, lecz z naiwną, lekkomyślną wesołością.

Anatol odczuwał chępliwe zadowolenie, widząc swój wpływ na te trzy kobiety, mimo że w towarzystwie niewieścim zazwyczaj okazywał postawę człowieka, któremu dokuczyno, że

<sup>302</sup> Biedna dziewczyna! Jest diabelnie brzydka.

<sup>303</sup> Moja biedna matka.



kobiety uganiają się za nim. Poza tym zaczynał doznawać dla ładniutkiej i wyzywającej Bourienne tego zwierzęcego, namiętnego uczucia, które ogarniało go nadzwyczaj gwałtownie i podniecało do postępów jak najbardziej brutalnych i zuchwałych.

Po herbacie towarzystwo przeszło do bawialni i poproszono księżniczkę, by zagrała na klawikordzie. Anatol, wsparty łokciami o klawikord, stał przed księżniczką obok m-lle Bourienne, a oczy jego roześmiane i wesołe spoglądały na Marię. Księżniczka z męczącym i radosnym wzruszeniem czuła na sobie jego wzrok. Ulubiona sonata przenosiła ją w świat intymnej poetyczności, a spojrzenie, które na sobie czuła, jeszcze dodawało poetyczności temu światu. Wszakże spojrzenie Anatola, choć na nią skierowane, dotyczyło nie księżniczki, lecz ruchów nóżki m-lle Bourienne, nóżki, której właśnie dotykał swoją nogą pod fortepianem. M-lle Bourienne również patrzyła na księżniczkę Marię, a jej piękne oczy miały również nowy dla księżniczki Marii wyraz płochliwej radości i nadziei.

„Jak ona mnie kocha! – myślała księżniczka Maria. – Jaka jestem teraz szczęśliwa i jak mogę być szczęśliwa z taką przyjaciółką i z takim mężem! Czyżby mężem?” – myślała nie śmiejąc spojrzeć na niego, a czując, że jego spojrzenie skierowane jest na nią.

Wieczorem po kolacji, kiedy zebrani zaczęli się rozchodzić, Anatol pocałował księżniczkę w rękę. Sama nie wiedziała, jak jej starczyło śmiałości, ale spojrzała wprost w piękną twarz, która się zbliżyła do jej krótkowzrocznych oczu. Następnie pocałował w rękę m-lle Bourienne (to było nieprzyzwoite, ale robił wszystko tak po prostu i z taką pewnością siebie); m-lle Bourienne splonęła i popatrzyła lękliwie na księżniczkę.

„*Quelle délicatesse!*<sup>304</sup> – pomyślała księżniczka. – Czy Amelie (tak było na imię m-lle Bourienne) myśli, że mogę być o nią zazdrosna i nie cenić jej czystej tkliwości i jej oddania dla mnie?” Podeszła do m-lle Bourienne i mocno ją ucałowała. Anatol chciał pocałować w rękę małą księżniczkę.

- *Non, non, non! Quand votre père m'écrira, que vous vous conduisez bien, je vous donnerai ma main à baiser. Pas avant.*<sup>305</sup>

Podniosła paluszek, uśmiechnęła się i wyszła z pokoju.

---

<sup>304</sup> Jaka subtelność

<sup>305</sup> Nie, nie, nie! Kiedy pański ojciec napisze mi, że pan się dobrze prowadzi, wtedy dam panu rękę do pocałowania. Nie wcześniej.

## V

Wszyscy się rozeszli. Oprócz Anatola, który zasnął natychmiast, gdy się tylko położył, wszyscy długo nie mogli zasnąć.

„Czyż to mój mąż właśnie, ten obcy, piękny, dobry mężczyzna. Najważniejsze – dobry” – rozmyślała księżniczka Maria i ogarnął ją lęk, który prawie nigdy jej nie nawiedzał. Bała się obejrzeć: majaczyło się jej, że ktoś stoi tuż za parawanem, w ciemnym kącie. I ten ktoś to był on – szatan, i on – tamten mężczyzna z białym czołem, czarnymi brwiami i czerwonymi wargami.

Zadzwoiła i poprosiła pokojówkę, żeby się położyła w jej pokoju.

Owego wieczoru m-lle Bourienne długo spacerowała po ogrodzie zimowym, darmo na kogoś wyczekując, do kogoś się uśmiechając i wzruszając się do łez wyimaginowanymi słowami *pauvre mère*, czyniącej jej wyrzuty z powodu jej upadku.

Mała księżna burczała na pokojówkę za źle posłane łóżko. Nie mogła leżeć ani na boku, ani na piersiach. Wszystko było ciężkie, nieporęczne. Przeszkadzał jej brzuch. Przeszkadzał jej bardziej niż kiedykolwiek, właśnie teraz, gdy obecność Anatola przeniosła ją żywo w inne czasy, kiedy tego nie było, a ona czuła się zawsze lekko i wesoło. Siedziała w fotelu w kaftaniku i czepku. Katia, z potarganym warkoczem, senna, już po raz trzeci podbijała i przewracała ciężką pierzynę i coś mamrotała.

– Mówiłam ci, że same góry i doły – twierdziła mała księżna – sama rada bym usnąć, więc to nie moja wina! – I głos jej zadrżał jak dziecku, któremu się zbiera na płacz.

Stary książę również nie spał. Tichon słyszał przez sen jego gniewne kroki i pryhanie nosem. Staremu księciu wydawało się, że jest obrażony z powodu córki. Obraza była nader bolesna, albowiem dotyczyła nie jego, lecz kogoś innego – córki, którą kochał więcej niż siebie. Powiedział sobie, że tę całą sprawę przemyśli i znajdzie sposób postępowania, który będzie sprawiedliwy i słuszny, ale zamiast tego coraz bardziej się rozdrażniał.

„Zjawił się pierwszy lepszy – a już zapomniała o ojcu i o wszystkim, i leci, uczesana do góry, merda ogonem, sama do siebie niepodobna! Rada by porzucić ojca! I wiedziała, że ja zauważę... Fr... fr...-fr... A czy to ja nie widzę, że ten kiep patrzy jeno na Burienkę (trzeba ją przepędzić!). Żeby do tego stopnia nie mieć ambicji, by tego nie dostrzec! Jeśli już dla siebie brak jej ambicji, to przynajmniej dla mnie powinna by ją mieć. Trzeba jej pokazać, że ten cymbał o niej ani myśli, a jeno patrzy na Bourienne. Brak jej ambicji, ale ja jej pokażę to...”

Stary książę wiedział, że gdy powie córce, iż jest w błędzie, gdyż Anatol zamierza umizgać się do Bourienne, podrażni ambicję księżniczki Marii i że jego sprawa (nierozłączenie się z córką) zostanie wygrana, i to go uspokoiło. Przywołał Tichona i zaczął się rozbierać.

„Diabli ich przynieśli! – rozmyślał, kiedy Tichon okrywał nocną koszulą jego wyschłe starcze ciało, porośnięte na piersi siwym włosem. – Ja ich nie zapraszałem. Przyjechali rozbić moje życie. A już go niewiele pozostało.”

– Do diabła! – rzekł w tej właśnie chwili, kiedy głowę miał jeszcze zakrytą koszulą.

Tichon znał przyzwyczajenie księcia do głośnego niekiedy wyrażania swych myśli; dlatego z niezmiennym wyrazem przyjął pytająco-zagniewane spojrzenie oblicza, które się wyłoniło spod koszuli.

– Położyli się? – zapytał książę.

Tichon, jak wszyscy dobrzy lokaje, wędchem odgadywał kierunek myśli pana. Odgadł, że pytano o księcia Wasilia i jego syna.

– Raczyli spocząć i zgasili światła, jaśnie panie.

– Nie trzeba, nie trzeba... – rzekł książę szybko, wsunął nogi w pantofle, ręce w szlafrok i ruszył do kanapy, na której sypiał.

Mimo że między Anatolem i m-lle Bourienne nic nie zostało powiedziane, jednak oboje doskonale się zrozumieli co do pierwszej części romansu – przed ukazaniem się *pauvre mére*, zrozumieli, że muszą dużo sobie powiedzieć w tajemnicy, toteż od rana szukali okazji do widzenia się sam na sam. W tym czasie, kiedy księżniczka poszła o zwykłej porze do ojca, m-lle Bourienne spotkała Anatola w ogrodzie zimowym.

Owego dnia księżniczka Maria ze szczególnym drżeniem podchodziła do drzwi gabinetu. Wydawało się jej, że wszyscy wiedzą nie tylko to, że dziś ma się rozstrzygnąć jej los, ale i to również, co ona o tym myśli. Czytała to w wyrazie twarzy Tichona i w twarzy kamerdynera księcia Wasilia, którego spotkała w korytarzu niosącego gorącą wodę, i który nisko się jej uklonił.

Tego ranka stary książę był nadzwyczaj miły i uprzedzający dla córki. Księżniczka Maria dobrze знаła ten uprzedzający wyraz. Był to ten sam wyraz, jaki książę miewał na twarzy, kiedy jego suche ręce zaciskały się z gniewu, że księżniczka Maria nie rozumie zadania arytmetycznego, a on wstawał, odchodził od niej i cichym głosem powtarzał kilkakrotnie te same słowa.

Od razu przystąpił do rzeczy i rozpoczął rozmowę, zwracając się do księżniczki przez „pani”.

– Uczyniono mi co do pani propozycję – oświadczył nienaturalnie uśmiechnięty. – Myślę, iż pani się domyślasz – ciągnął – że książę Wasilij przyjechał tutaj i przywiózł ze sobą swego wychowanka (nie wiadomo czemu książę Mikołaj Andreicz nazywał Anatola wychowankiem) nie dla moich pięknych oczu. Wczoraj uczyniono mi propozycję co do pani. A ponieważ znasz moje zasady, zostawiłem to do twego uznania.

– Jak mam to rozumieć, *mon père*? – wyrzekła księżniczka blednąc i czerwieniąc się.

– Jak rozumieć? – krzyknął ojciec gniewnie. – Książę Wasilij znajduje, że przypadłaś mu do gustu jako synowa, i robi ci propozycję w imieniu swego wychowanka. Tak to trzeba rozumieć, tak rozumieć! A ja się ciebie pytam.

– Ja nie wiem, jak ojciec... – wyszeptała księżniczka.

– Ja? ja? a cóż ja? Mnie proszę pominąć. Nie ja wyjdę za mąż. A co pani? To właśnie pragnąłbym wiedzieć.

Księżniczka widziała, że ojciec niezycliwie patrzy na tę sprawę, ale w tej chwili nawiedziła ją myśl, że teraz albo nigdy rozstrzygnie się jej los. Spuściła oczy, by nie widzieć spojrzenia, gdyż czuła, że pod jego wpływem nie może myśleć, a jedynie z nawyku może być posłuszna, i rzekła:

– Pragnę tylko jednego: spełnić wolę ojca – oświadczyła – lecz jeśli trzeba, bym wyraziła swe pragnienie... Nie zdążyła dopowiedzieć. Książę przerwał jej:

– To pięknie! – krzyknął. – Weźmie cię dla posagu, a przy okazji zabierze m-lle Bourienne. Ona będzie żoną, a ty...

Książę przerwał. Zauważył wrażenie, jakie te słowa zrobiły na córce. Spuściła głowę, zbierało się jej na płacz.

– No, no, żartuję, żartuję – powiedział. – Pamiętaj o tym, księżniczko: ja trzymam się zasady, że panna ma całkowite prawo wyboru. I daję ci swobodę. Pamiętaj, że od twej decyzji zależy twoje szczęście. O mnie nie ma co mówić.

– Ależ ja nie wiem... *mon père*.

– Nie ma o czym mówić! Jemu każą, on ożeni się nie tylko z tobą, ale z każdą; a ty masz swobodę wyboru... Idź do siebie, zastanów się i za godzinę przyjdź do mnie i powiedz przy nim: tak lub nie. Wiem, będziesz się modlić. Ano, módl się. Lepiej jednak, byś się zastanowiła. Ruszaj.

– Tak lub nie, tak lub nie, tak lub nie! – krzyczał jeszcze, kiedy księżniczka – chwiejnie, jak w zamroczeniu – wyszła już z gabinetu.

Los jej rozstrzygnął się, i rozstrzygnął szczęśliwie. Ale co ojciec powiedział o m-lle Bourienne – ta aluzja była straszna. Dajmy na to, że to nieprawda, ale jednak to było straszne, nie mogła o tym nie myśleć. Szła wprost przed siebie przed ogród zimowy, nic nie widząc i nic nie słysząc, gdy nagle zbudził ją znajomy szept m-lle Bourienne. Podniosła oczy i o dwa kroki od siebie zobaczyła Anatola, który obejmował Francuzkę i coś jej szeptał. Anatol obejrzał się ze strasznym wyrazem na ładnej twarzy na księżniczkę Marię i w pierwszej chwili nie puścił talii m-lle Bourienne, która księżniczki nie widziała.

„Kto tu? Po co? Proszę zaczekać!” – jak gdyby mówiła twarz Anatola. Księżniczka Maria w milczeniu patrzyła na nich. Nie mogła tego zrozumieć. Wreszcie m-lle Bourienne krzyknęła i uciekła. Anatol z wesołym uśmiechem skłonił się księżniczce Marii, jakby zachęcał ją, aby się pośmiała z tego osobliwego wydarzenia. Wzruszył ramionami i wyszedł przez drzwi, które prowadziły do jego pokojów.

Po godzinie Tichon przyszedł wzywając księżniczkę Marię. Wzywał ją do księcia i dodał, że księżę Wasilij Siergieicz również tam jest. Gdy Tichon nadszedł, księżniczka siedziała na kanapie w swym pokoju i trzymała w ramionach płaczącą m-lle Bourienne. Księżniczka Maria spokojnie gładziła ją po głowie. Piękne oczy księżniczki, tak spokojne i promienne jak dawniej, patrzyły z tkliwą miłością i współczuciem na ładniutką twarzyczkę m-lle Bourienne.

– *Non, princesse, je suis perdue pour toujours dans votre coeur*<sup>306</sup> – mówiła m-lle Bourienne.

– *Pourquoi? Je vous aime plus que jamais* – mówiła księżniczka Maria – *et je tâcherai de faire tout ce qui est en mon pouvoir pour votre bonheur.*<sup>307</sup>

– *Mais vous me méprisez, vous si pure, vous ne comprendrez jamais cet égarement de la passion! Ah, ce n'est que ma pauvre mère...*<sup>308</sup>

– *Je comprends tous*<sup>309</sup> – odpowiedziała księżniczka Maria uśmiechając się smutno. – Uspokój się, moja droga. Pójdę do ojca – oświadczyła i wyszła.

Księżę Wasilij, z nogą założoną wysoko, z tabakierką w rękach, jakby w najwyższym stopniu rozczulenia, jakby sam się nad sobą litował i śmiał się ze swej uczciwości, siedział uśmiechając się tkliwie, kiedy weszła księżniczka Maria. Z pośpiechem podniósł do nosa szczyptę tabaki.

– *Ah, ma bonne, ma bonne* – rzekł wstając i ujmując ją za obie ręce. Westchnął i dodał: – *Le sort de mon fils est en vos mains. Décidez, ma bonne, ma chère, ma douce Marie, que j'ai toujours aimée comme ma fille.*<sup>310</sup>

Cofnął się. Prawdziwa Iza pojawiła się w jego oczach.

– Fr... fr... – parskał księżę Mikołaj Andreicz.

– Księżę prosi o twą rękę w imieniu swego wychowanka... syna. Chcesz czy nie chcesz być żoną księcia Anatola Kuragina? Mów: tak lub nie! – wykrzyknął. – A poza tym zastrzegam sobie prawo wypowiedzenia i swego zdania. Tak, mego, i tylko mego zdania – dodał

<sup>306</sup> Nie, księżniczko, na zawsze straciłam pani serce.

<sup>307</sup> Dlaczego? Kocham panią bardziej niż kiedykolwiek... i dla pani szczęścia zrobię wszystko, co jest w mej mocy.

<sup>308</sup> Ależ pani mną gardzi, pani, taka czysta, nigdy nie zrozumie tego uniesienia namiętności! Ach, to ta moja biedna matka...

<sup>309</sup> Wszystko rozumiem.

<sup>310</sup> Ach, moja droga, moja droga... los mego syna jest w pani ręku, moja miła, moja droga, moja słodka Mario, którą zawszem kochał jak córkę, proszę zdecydować.

książę Mikołaj Andreicz zwracając się do księcia Wasilia i odpowiadając na błagalny wyraz jego twarzy. – Tak lub nie?

– *Mon père*, moim pragnieniem jest nigdy cię nie opuszczać, nigdy nie rozłączać mego życia z twoim. Nie chcę iść za mąż – oświadczyła stanowczo, spojrzawszy swymi pięknymi oczami na księcia Wasilia i na ojca.

– Bzdury, głupstwa! Bzdury, bzdury, bzdury – wykrzyknął książę Mikołaj Andreicz chmurząc się. Ujął córkę za rękę, przygiął ku sobie, ale nie pocałował, tylko nachylił swe czoło do jej czoła i tak ścisnął dłoń, którą trzymał, że księżniczka skrzywiła się i krzyknęła.

Książę Wasilij wstał.

– *Ma chère, je vous dirai, que c'est un moment que je n'oublierai jamais, jamais, mais, ma bonne, est-ce que vous ne nous donnerez pas un peu d'espérance de toucher ce coeur si bon, si généreux. Dites, que peut-être... L'avenir est si grand. Dites: peut-être.*<sup>311</sup>

– Książę, to, co powiedziałam, to wszystko, co czuję. Dziękuję za zaszczyt, ale nigdy nie zostanę żoną pańskiego syna.

– No, to koniec, mój kochany. Bardzom rad, że cię widzę, bardzom rad. Idź do siebie, księżniczko, idź – mówił stary książę. – Bardzom rad, bardzo, że cię widzę – powtarzał obejmując księcia Wasilia.

„Moje przeznaczenie jest inne – myślała o sobie księżniczka Maria. – Moim przeznaczeniem jest być szczęśliwą szczęściem innych, szczęściem miłości i poświęcenia. I cokolwiek by mnie to kosztowało uczynię biedną Amelie szczęśliwą. Ona tak namiętnie go kocha! Czyni sobie tak gwałtowne wyrzuty! Wszystko zrobię, żeby ułatwić jej małżeństwo z nim. Jeśli on jest niebogaty, dostarczę jej środków, poproszę ojca, poproszę Andrzeja. Będę tak szczęśliwa, kiedy ona zostanie jego żoną. Ona jest taka nieszczęśliwa, obca, samotna, bez pomocy! Ach, Boże drogi, jak ona namiętnie go kocha, skoro mogła się tak zapomnieć. Może i ja bym zrobiła to samo!...” – myślała księżniczka Maria.

---

<sup>311</sup> Moja droga, powiem pani, że tej chwili nigdy nie zapomnę, nigdy, wszelako, dobra pani, daj nam choć odrobinę nadziei wzruszenia tego serca, tak dobrego i szlachetnego. Proszę powiedzieć: może... Przyszłość jest tak rozległa. Proszę powiedzieć: może.

## VI

Rostowowie długo nie mieli wieści o Nikoleńce, dopiero w połowie zimy wręczono hrabiemu list, na którego adresie poznał charakter pisma syna. Otrzymał list hrabia lęklawie, z pośpiechem, starając się, by go nikt nie zauważył, pobiegł na palcach do gabinetu, zamknął się i zaczął czytać. Anna Michajłowna dowiedziawszy się (bo ona zawsze wiedziała o wszystkim, co działo się w domu) o otrzymaniu listu, weszła do hrabiego cichym krokiem i zastała go z listem w ręku – szlochającego i śmiejącego się zarazem.

Anna Michajłowna, mimo że jej interesy poprawiły się, nadal przebywała u Rostowów.

– *Mon bon ami?*<sup>312</sup> – pytająco-smutnie wyrzekła Anna Michajłowna, gotowa do współczującego uczestnictwa we wszystkim.

Hrabia jeszcze mocniej zaszlochał.

– Nikoleńka... list... ranny... by... był... *ma chère*... ranny... mój kochaneczek... droga hrabianeczka... awansowany na oficera... dzięki Bogu... Jak tu powiedzieć hrabianeczce!

Anna Michajłowna przysiadła się do niego, własną chusteczką otarła łzy z jego oczu i z zakapanego listu oraz własne łzy, przeczytała list, uspokoiła hrabiego i zdecydowała, iż przed obiadem i przed herbatą przygotuje hrabinę, a po herbacie wszystko jej powie z pomocą boską.

Przez cały obiad Anna Michajłowna mówiła o wieściach z wojny, o Nikoleńce; dwa razy zapytała, kiedy był od niego ostatni list choć już przedtem to wiedziała, i zauważyła, iż bardzo łatwo może nawet dziś list nadejść. Za każdym razem, kiedy przy tych aluzjach hrabina zaczynała się niepokoić i spoglądać trwożnie to na hrabiego, to na Annę Michajłowną, Anna Michajłowna nieznacznie kierowała rozmowę na błahe przedmioty. Natasza, najbardziej z rodzeństwa obdarzona zdolnością odczuwania odcieni intonacji, spojrzeń i wyrazu twarzy, od początku obiadu nadstawiała uszu, gdyż wiedziała, że coś jest między jej ojcem a Anną Michajłowną, coś, co dotyczy brata, i że Anna Michajłowna przygotowuje mamę. Mimo całą swą śmiałość (Natasza wiedziała, jak matka jest wrażliwa na wszystko, co dotyczy wieści o Nikoleńce) nie zdecydowała się zadać przy obiedzie pytania, ale, zaniepokojona, nic nie jadła i wierciła się na krześle nie słuchając uwag guwernantki. Po obiedzie rzuciła się na osłep w pogoń za Anną Michajłowną i w bawialni rzuciła się jej z rozpędu na szyję.

– Ciociu kochana, proszę powiedzieć, co się stało?

– Nic, kochanie.

– Nie, moja droga, moja kochana, moja złota, ja cioci nie puszcze, ja wiem, że cioteczka coś wie. Anna Michajłowna pokiwała głową.

– *Vous êtes une fine mouche, mon enfant*<sup>313</sup> – oświadczyła.

– List od Nikoleńki? Na pewno! – zawołała Natasza, wyczytawszy z twarzy Anny Michajłowny twierdzącą odpowiedź.

– Ale, na miłość boską, bądź ostrożna: wiesz, jak to może podziałać na twoją mamę.

– Będę, będę, ale proszę opowiedzieć. Nie opowie cioteczka?

---

<sup>312</sup> Mój dobry przyjacielu?

<sup>313</sup> Filutka z ciebie, moje dziecko.

No to ja zaraz pójde i powiem.

Anna Michajłowna opowiedziała w skrócie treść listu – pod warunkiem, że Natasza nikomu nie powie.

– Uczciwe słowo honoru – mówiła Natasza przeżegnawszy się. – Nie powiem, nikomu! – i zaraz pobiegła do Soni.

– Nikoleńka... ranny... list... – oświadczyła z triumfem i radością.

– Nicolas! – wyrzekła tylko Sonia błędąc natychmiast.

Natasza dostrzegłszy wrażenie, jakie wywarła na Soni wiadomość o ranie brata, po raz pierwszy poczuła całą bolesną stronę tej wiadomości.

Podbiegła do Soni, objęła ją i rozplakała się.

– Troszkę ranny. Ale awansowany na oficera, teraz jest zdrow, sam pisze – mówiła przez łzy.

– Od razu widać, że wszystkie wy, kobiety, jesteście beksy – oświadczył Pietia spacerując po pokoju stanowczymi dużymi krokami. – A ja się cieszę, naprawdę bardzo się cieszę, że brat tak się odznaczył. A wy wszystkie jesteście płakusy! Nic nie rozumiecie!

Natasza uśmiechnęła się przez łzy.

– Nie czytałaś listu? – pytała Sonia.

– Nie czytałam, ale ona mówiła, że już wszystko minęło i że już jest oficerem...

– Dzięki Bogu – rzekła Sonia zegnając się. – Ale może ona cię oszukała? Chodźmy do mamy. Pietia w milczeniu chodził po pokoju.

– Żebym ja był na miejscu Nikoleńki, tobym jeszcze więcej zabił tych Francuzów – oświadczył. – Tacy obrzydliwi! Tyłu bym zabił, że zrobiłaby się z nich cała kupa – ciągnął Pietia.

– Cicho bądź, Pietia, głupiś!...

– Nie ja jestem głupi, te głupie, co płaczą o byle co – rzekł Pietia.

– Pamiętasz go? – zapytała nagle Natasza po chwili milczenia. Sonia uśmiechnęła się.

– Czy pamiętam Nicolas?

– Nie, Soniu, czy pamiętasz go tak, żebyś dobrze zapamiętała, wszystko zapamiętała – powiedziała Natasza ze znaczącym gestem, widać chcąc swym słowem nadać osobliwą powagę. – Ja również pamiętam Nikoleńkę, pamiętam – rzekła. – A Borysa nie pamiętam. Zupełnie nie pamiętam...

– Jak to? Nie pamiętasz Borysa? – zapytała Sonia ze zdziwieniem.

– Nie to, że nie pamiętam. Wiem, jaki jest, ale przecie nie tak pamiętam jak Nikoleńkę. Jęgo, gdy zamknę oczy, to przypominam sobie, a Borysa nie (zamknęła oczy), nie, wcale!

– Ach, Nataszo! – rzekła Sonia patrząc na przyjaciółkę z egzaltacją i poważnie, jakby ją uważała za niezbyt godną wysłuchania tego, co zamierzała powiedzieć, jakby mówiła to komuś innemu, z kim się nie żartuje. – Raz pokochałam twego brata i cokolwiek by się zdarzyło z nim czy ze mną, nigdy nie przestanę go kochać, przez całe życie.

Natasza patrzyła na Sonię zaciekawionymi oczyma i milczała. Czowała, że to, co mówi Sonia, jest prawdą, że istnieje taka miłość, o której mówi Sonia; ale Natasza jeszcze nic podobnego nie zaznała. Wierzyła, że tak mogło być, ale tego nie rozumiała.

– Napiszesz do niego? – zapytała.

Sonia zamyśliła się. Jak pisać do Nicolas i czy należy pisać – była to dla niej kwestia męcząca. Teraz, kiedy był już oficerem i rannym bohaterem, czy ładnie byłoby przypominać mu o sobie i jakby o tym, do czego się wobec niej zobowiązał?

– Nie wiem, sądzę, że skoro on pisze, to i ja napiszę – rzekła rumieniąc się.

– I nie będziesz się wstydzila pisać do niego? Sonia uśmiechnęła się.

– Nie.

– A ja się wstydzę pisać do Borysa, nie napiszę.

– Dlaczego?

– A tak, nie wiem. Jakoś niezręcznie, wstyd.

– A ja wiem, dlaczego jej będzie wstyd – oświadczył Pietia, obrażony pierwszą uwagą Nataszy. – Dlatego, że była zakochana w tym tłuściochu w okularach (tak Pietia nazywał swego imiennika, nowego hrabiego Bezuchowa), teraz jest zakochana w tym śpiewaku (Pietia mówił o Włochu, który uczył Nataszę śpiewać) – dlatego jej wstyd.

– Głupiś, Pietia – rzekła Natasza.

– Nie głupszy niż ty, serdeńko – rzekł dziewięcioletni Pietia, zupełnie jakby był starym brygadierem.

Hrabina została przygotowana aluzjami Anny Michajłowny podczas obiadu. Kiedy poszła do siebie, usiadła w fotelu i nie spuszczała oczu z miniatury syna, wprawionej w tabakierkę, do oczu napływały jej łzy. Anna Michajłowna z listem podeszła na palcach do pokoju hrabiny. Zatrzymała się.

– Proszę nie wchodzić – rzekła do starego hrabiego, idącego za nią. – Później – i zamknęła za sobą drzwi.

Hrabia przyłożył ucho do dziurki od klucza i jął nasłuchiwać.

Z początku słyszał głosy obojętnej rozmowy, potem tylko dźwięk głosu Anny Michajłowny, która długo coś mówiła, potem okrzyk, potem milczenie, potem oba głosy jednocześnie mówiły z radosną intonacją, potem kroki i Anna Michajłowna otworzyła drzwi. Twarz Anny Michajłowny wyrażała dumę chirurga, który dokonał trudnej amputacji i wprowadza publiczność, by mogła ocenić jego sztukę.

– *C'est fait!*<sup>314</sup> – rzekła do hrabiego, uroczystym gestem wskazując hrabinę, która w jednej ręce trzymała tabakierkę z portretem, w drugiej – list i przyciskała usta to do portretu, to do listu.

Ujrawszy hrabiego wyciągnęła do niego ręce, objęła jego łysą głowę i ponad tą łysą głowę znowu popatrzyła na list i portret, i znowu, by przycisnąć je do ust, z lekka odepchnęła łysą głowę. Wiera, Natasza, Sonia i Pietia weszli do pokoju i zaczęło się czytanie. W liście był krótki opis marszu i dwóch bitew, w których brał udział Nikoleńka, oraz awansu na oficera; było też powiedziane, iż Nikoleńka całuje ręce mamany i papy, prosi ich o błogosławieństwo i całuje Wierę, Nataszę, Pietię. Poza tym kłania się m-r Schellingowi i m-me Schoss oraz niani i prosi ucałować kochaną Sonię, którą wciąż tak samo kocha i o której zawsze pamięta. Usłyszawszy to Sonia zarumieniła się tak bardzo, że łzy zakręciły się jej w oczach. Nie mogąc wytrzymać spojrzeń, które się na nią skierowały, pobięła do sali balowej, rozpędzona, zakręciła się wzdymając suknię niby balon, po czym, uśmiechnięta i zarumieniona, usiadła na podłodze.

Hrabina płakała.

– Czemu mamana płacze? – rzekła Wiera. – Z tego wszystkiego, co on pisze, widać, że należy się cieszyć, a nie płakać.

Było to całkiem słuszne, a przecie i hrabia, i hrabina, i Natasza – wszyscy spojrzeli na nią z wyrzutem. „W kogo się ona wrodziła” – pomyślała hrabina.

List Nikoleńki odczytano setki razy, a wszyscy ci, których uważano za godnych słuchania, musieli przychodzić do hrabiny, nie wypuszczając listu z rąk. Przychodzili guwernerzy, nianie, Mitińka, niektórzy znajomi, a hrabina, odczytując list za każdym razem z nową rozkoszą odkrywała w swym Nikoleńce coraz to nowe zalety. Było jej dziwnie, niezwykle i radośnie, że jej syn – ów syn, który przed dwudziestu laty, ledwie wyczuwalnie poruszał się w niej drobnymi członeczkami, ów syn, o którego spierała się z rozpieszczającym go hrabią, ów syn, który najpierw nauczył się mówić „grusza”, a potem „baba”, że ów syn przebywa teraz na obcej ziemi, w obcym środowisku, jako dzielny żołnierz i sam, bez żadnej pomocy i kierunku, czyni tam jakoweś swe męskie sprawy. Dla hrabiny nie istniało wielowiekowe ogólnoludzkie doświadczenie, które wskazywało, że dzieci od kołyski odbywają niepostrzeżenie

---

<sup>314</sup> Załatwione!



drogę stając się mężczyznami. Mężnienie jej syna w każdym okresie mężnienia było dla niej tak niezwykle, jakby nigdy nie było milionów ludzi mężniejących tak samo. Jak przed dwudziestu laty trudno było jej uwierzyć, by ta malutka istota, która żyła gdzieś tam pod jej sercem, zaczęła krzyczeć, ssać pierś, a potem mówić, podobnie i teraz nie mogła uwierzyć, że ta istota mogła być owym silnym, dzielnym mężczyzną, wzorem syna i człowieka, jakim był obecnie, sądząc z tego listu.

– Co za s z ty l, jak on przyjemnie opisuje! – mówiła czytając opisową część listu. – I co za serce! O sobie nic... nic! O jakimś tam Denisowie, a sam na pewno dzielniejszy niż wszyscy. Nic nie pisze o swych cierpieniach. Cóż to za serce! Jak go po tym poznaję! I jak o wszystkich pamięta! O nikim nie zapomniał! Zawsze, zawsze to mówiłam, jeszcze kiedy był o, tyci, zawszem mówiła...

Tydzień przeszło pisano, układano bruliony i przepisywano na czysto listy od całego domu do Nikoleńki, pod nadzorem hrabiny, zapobiegliwością hrabiego zbierano różne rzeczy i pieniądze na umundurowanie i zaopatrzenie nowo mianowanego oficera. Anna Michajłowna, niewiasta praktyczna, potrafiła się wystarać dla siebie i swego syna o protekcję w armii, nawet w tym, co tyczyło korespondencji. Miała okazję wysłać swe listy do wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza<sup>315</sup>, który dowodził gwardią. Rostowowie sądzą, że gwardia rosyjska za granicą – to najzupełniej dokładny adres, a skoro list dojdzie do wielkiego księcia, dowodzącego gwardią, to nie ma powodu, żeby nie doszedł do Pawłogradzkiego pułku, który powinien się znajdować gdzieś w pobliżu; i dlatego postanowiono listy i pieniądze wyprawić przez kuriera wielkiego księcia do Borysa; a Borys już miał je dostarczyć Nikoleńce. Listy były od starego hrabiego, od hrabiny, od Pieti, od Wiery, od Nataszy, od Soni i wreszcie sześć tysięcy rubli na umundurowanie i różne rzeczy, które hrabia posyłał synowi.

---

<sup>315</sup> Brat cesarza Aleksandra i Mikołaja I, później naczelny wódz Wojska Polskiego.

## VII

12 listopada waleczna armia Kutuzowa, obozująca pod Ołomuńcem, szykowała się do przeglądu, którego nazajutrz mieli dokonać dwaj cesarze – rosyjski i austriacki. Gwardia dopiero co przybyła z Rosji i nocowała o piętnaście wiorst od Ołomuńca, a nazajutrz o dziesiątej rano wystąpiła na ołomunieckie błonie od razu na przegląd.

Owego dnia Mikołaj Rostow otrzymał od Borysa kartkę z zawiadomieniem, iż Izmailowski pułk nocuje w odległości 15 wiorst od Ołomuńca i że Borys czeka na niego, by mu wręczyć list i pieniądze. Teraz, kiedy wojska wróciwszy z pochodu zatrzymały się pod Ołomuńcem, a dobrze zaopatrzeni markietanowie i Żydzi austriaccy proponując różnego rodzaju pokusy zapełniali obóz, pieniądze były Rostowowi szczególnie potrzebne. Pawłogradczycy wyprawiali bankiet po bankiecie, urządzali przyjęcia z okazji otrzymanych podczas kampanii odznaczeń, jeździli do Ołomuńca do ponownie przybyłej Karoliny Węgierki, która otworzyła tam traktiernię z kobiecą usługą. Rostow oblewał niedawno swój awans na podporucznika, kupił Beduina, konia Denisowa, i był zadłużony po uszy u kolegów i markietanów. Otrzymawszy kartkę Borysa pojechał z kolegą do Ołomuńca, zjadł tam obiad, wypił butelkę wina i sam pojechał do obozu gwardii, by odszukać towarzysza dzieciństwa. Rostow jeszcze nie zdążył się umundurować. Miał na sobie wyszmelcowaną kurtkę junkierską z żołnierskim krzyżem, takie same rajtuzy, podbite wytartą skórą, i oficerską szablę z temblakiem; koń, na którym jechał, był to doniec nabyty w marszu od Kozaka; huzarską zmiętą czapkę Nikoleńka dziarsko przekrzywił i zsunął na tył głowy. Zbliżając się do obozowiska pułku Izmailowskiego, Rostow myślał o tym, że zaskoczy Borysa i wszystkich jego kompanów z gwardii swym bojowym wyglądem huzara, który już powąchał był prochu.

Gwardia odbyła cały pochód niby spacer w popisowej schludności i dyscyplinie. Przemarsze były krótkie, tornistry wieziono na wozach, zaś dla oficerów dowództwo austriackie na wszystkich etapach przygotowywało wspaniałe obiady. Pułki wkraczały do miast i opuszczały je z muzyką, w czasie pochodu (czym gwardziści się chlubili) na rozkaz wielkiego księcia żołnierze szli w nogę, zaś oficerowie pieszo na przepisowych miejscach. Podczas pochodu Borys maszerował i kwaterował wraz z Bergiem, obecnie już dowódcą rotę. Berg, otrzymawszy w pochodzie rotę, potrafił swą obowiązkowością i akuratnością zdobyć sobie zaufanie przełożonych i bardzo korzystnie załatwił swe sprawy gospodarcze; podczas marszu Borys zawarł znajomość z wieloma ludźmi, którzy mogli być dlań użyteczni, a dzięki listowi polecającemu, który przywiózł od Pierre'a, poznał księcia Andrzeja Bołkońskiego i miał nadzieję, iż przy jego pomocy dostanie się do sztabu naczelnego wodza. Berg i Borys, odziani czysto i starannie, wypoczęci po ostatnim całonocnym marszu, siedzieli w schludnej kwaterze przy okrągłym stole i grali w szachy. Berg trzymał między kolanami zapaloną fajeczkę. Borys z właściwą sobie dokładnością białymi, delikatnymi palcami ustawiał figury w piramidkę czekając na posunięcie Berga i patrzył na twarz swego partnera, najwidoczniej myśląc o grze, bo jak zawsze myślał tylko o tym, co miał właśnie zrobić.

– Ano, jak z tego wybrniesz, kapitanie? – odezwał się.

– Będziemy się starali – odrzekł Berg dotykając pionka i znowu opuszczając rękę. Wtem otworzyły się drzwi.

– Mam go wreszcie! – krzyknął Rostow. – To i Berg tutaj! Ach ty p e t i z a n f a n, a l e k u s z e d o r m i r!<sup>316</sup> – krzyknął powtarzając słowa niańki, z których niegdyś śmieli się razem z Borysem.

– Wszyscy święci, aleś się zmienił! – Borys wstał na powitanie Rostowa, przecie wstając nie zapomniał podtrzymać i ustawić na miejscu zsuwające się figury. Chciał uścisnąć przyjaciela, lecz Mikołaj odsunął się od niego z tym osobliwym poczuciem młodości, która się lęka utartych dróg, uczucia zaś swoje pragnie wyrażać inaczej, po swojemu, nie naśladowując innych, byleby nie tak, jak wyrażają je starsi, częstokroć obłudnie. Mikołaj chciał przy spotkaniu się z przyjacielem uczynić coś osobliwego: chciał w jakiś sposób uszczypnąć Borysa czy potrącić, byle się nie całować, jak to wszyscy robili. A Borys, przeciwnie, spokojnie i przyjaźnie objął Rostowa i ucałował trzykrotnie.

Nie widzieli się prawie pół roku, i w tym wieku, kiedy młodzi ludzie stawiają pierwsze kroki na drodze życia, obaj odnaleźli w sobie ogromne zmiany, całkowicie nowe odzwierciedlenie tych środowisk, w których stawali swe pierwsze kroki życiowe. Od czasu ostatniego spotkania obaj bardzo się zmienili i obaj wzajemnie chcieli czym prędzej wykazać zaszłe w nich zmiany.

– Ach, wy przekłete szlifibruki! Czyściutcy, wyświeżeni, jakby z przechadzki – nie to co my, grzeszne żołnierstwo – mówił Rostow z nowymi dla Borysa barytonowymi nutami w głosie i z żołnierskimi manierami, wskazując na swoje zabłocone rajtuzy.

Na donośny głos Rostowa gospodyni-Niemka wyrzała zza drzwi.

– Ładniutka, co? – rzekł mrugając okiem.

– Czemu tak krzyczysz? Nastraszysz je – powiedział Borys. – A ja się ciebie dziś nie spodziewałem – dodał.

– Dopiero wczoraj posłałem ci kartkę przez pewnego znajomego, adiutanta Kutuzowa – Bołkońskiego. Nie sądziłem, że tak prędko ci doręczy... No, jak tam? Już powąchał prochu? – zapytał Borys.

Rostow, nie odpowiadając, potrząsnął żołnierskim Krzyżem Św. Jerzego, wiszącym na mundurze, wskazał swą owiazaną rękę i z uśmiechem popatrzył na Berga.

– Jak widzisz – oświadczył.

– Ano tak, tak! – rzekł Borys uśmiechając się.

– A my również zrobiliśmy wspaniały marsz. Przecie wiesz, że cesarzewicz wciąż jechał przy naszym pułku, toteż korzystaliśmy ze wszelkich wygod. Nawet nie potrafię ci opowiedzieć, jakie w Polsce były przyjęcia, jakie obiady, bale. A cesarzewicz był nader miłościwy dla wszystkich naszych oficerów.

I obaj przyjaciele opowiadali sobie wzajemnie – jeden mówił o swych huzarskich hulankach i życiu wojskowym, drugi o przyjemności oraz o korzyściach służby pod komendą wysoko postawionych osobistości itd.

– Och, gwardia! – rzekł Rostow. – Wiesz co, poślij po wino.

Borys skrzywił się.

– Jeśli koniecznie chcesz – rzekł.

Podszedł do łóżka, spod czystych poduszek wyjął sakiewkę i kazał przynieść wina.

– Przecie mam ci oddać pieniądze i list – dodał. Rostow wziął list – pieniądze rzuciwszy na kanapę – łokciami wsparł się na stole i jął czytać. Przeczytał kilka wierszy i ze złością spojrzał na Berga. Spotkawszy jego spojrzenie Rostow zasłonił twarz listem.

– Ale sporo pieniędzy panu przysłano – rzekł Berg patrząc na ciężką sakiewkę, która się wcisnęła w kanapę.

– My, hrabio, poprzestajemy na żołdzie. Powiem panu o sobie...

– A więc, mój drogi Berg – odezwał się Rostow.

---

<sup>316</sup> Dzieci, idźcie kłaść się spać! (W oryg. pisownia fonetyczna.)

– Jeśli otrzymasz list z domu i spotkasz się z bliskim człowiekiem, którego będziesz chciał rozpytać o wszystko, a ja tu akurat będę – to zaraz wyjdę, żeby panu nie przeszkadzać. Słuchaj no pan, idź gdziekolwiek, choćby... do diabła! – krzyknął i natychmiast, ująwszy go za ramię, mile spojrzął mu w twarz, usiłując najwidoczniej złagodzić grubiaństwo własnych słów, i dodał: – Proszę się nie gniewać, kochany, mówię tak prosto z serca, jak do naszego starego znajomego.

– Ale, hrabio, rozumiem to bardzo dobrze – rzekł Berg swym gardłowym głosem i wstał.

– Idź, kapitanie, do gospodarzy, zapraszali pana – dodał Borys.

Berg włożył czyściutki surducik, bez plamki i pyłku, nastroszył przed lustrem włoski na skroniach, jak nosił Aleksander Pawłowicz, i po spojrzeniu Rostowa przekonawszy się, że surducik zasłużył na uwagę, z przyjemnym uśmiechem wyszedł z pokoju.

– Ach, jakież ze mnie bydlę! – rzekł Rostow czytając list.

– A bo co?

– Ach, jaka ze mnie świnia, żem ani razu nie napisał i takem ich nastraszył. Ach, jaka ze mnie świnia! – powtórzył, nagle czerwieniejąc. – No cóż, pošlij Gawryłę po wino! No, dobrze. Golniemy sobie! – rzekł.

Do listów rodziny dołączony był list polecający do księcia Bagrationa, o który stara hrabina, idąc za radą Anny Michajłowny, postarała się za pośrednictwem znajomych i posłała synowi prosząc, by go zaniósł do adresata i wykorzystał.

– Furda! Tylko mi tego potrzeba – rzekł Rostow rzucając list pod stół.

– Czemuś to rzucił? – zapytał Borys.

– Jakiś list polecający, na diabła mi listy!

– Jak to „na diabła”? – rzekł Borys podnosząc list i czytając adres. – Ten list będzie ci bardzo przydatny.

– Nie jest mi przydatny i do nikogo nie pójde na adiutanta.

– Dlaczegoż to? – zapytał Borys.

– Lokajska funkcja!

– Widzę, że wciąż z ciebie marzyciel! – rzekł Borys kiwając głową.

– A ty wciąż jesteś dyplomata. – Ale nie o to chodzi... Co u ciebie? – zapytał Rostow.

– Tak sobie, jak widzisz. Dotąd wszystko dobrze; przyznam się, że bardzo bym chciał zostać adiutantem, a nie być wciąż w linii.

– Dlaczego?

– Dlatego, że skoro już się wstąpiło do wojska, to trzeba się starać zrobić jak najświetniejszą karierę.

– Tak, tak! – rzekł Rostow myśląc najwidoczniej o czym innym.

Badawczo patrzył w oczy przyjacielowi, widać daremnie szukając odpowiedzi na jakieś pytanie.

Stary Gawryło przyniósł wino.

– Czy nie posłać teraz po Alfonsa Karłyca? – rzekł Borys. – Wypije z tobą, bo ja nie mogę.

– Poślij, pošlij! Co mi tam takie Niemczysko! – rzekł Rostow z pogardliwym uśmiechem.

– To bardzo, bardzo dobry, uczciwy i miły człowiek – odrzekł Borys.

Rostow raz jeszcze spojrzął badawczo Borysowi w oczy i westchnął. Berg wrócił, a przy butelce wina rozmowa między trzema oficerami ożywiła się. Gwardziści opowiadali Rostowowi o swej wyprawie, o tym jak ich fetowano w Rosji, w Polsce i za granicą. Opowiadali o słowach i postępkach swego wodza, wielkiego księcia, anegdoty o jego dobroci i porywczosci. Jak zwykle Berg milczał, kiedy rzecz nie dotyczyła go osobiście, a jednak a propos anegdoty o porywczosci wielkiego księcia opowiedział z rozkoszą, jak w Galicji udało mu się przemówić do wielkiego księcia, kiedy ten objeżdżał pułki i gniewał się z powodu nieregularności marszu. Z przyjemnym uśmiechem na twarzy opowiedział, jak wielki księżę, bardzo

rozniewany, podjechał do niego i wykrzyknął: „Arnauci!” (Arnauci – było to ulubione wyrażenie cesarzewicza, kiedy się gniewał), i wezwał dowódcę roty.

– Uwierzysz, hrabio, że wcale się nie przeląknę, gdyż wiedziałem, że jestem w porządku. Ja, hrabio, mogę bez przechwałek powiedzieć, że rozkazy dzienne pułku znam na pamięć i regulamin też umiem jak pacierz. Toteż, hrabio, w mojej rocie zaniedbań nie ma. Więc sumienie mam spokojne. Stawiłem się. (Berg wstał i pokazał, jak stawił się z dłonią przy daszku. Istotnie, trudno było wyrazić w twarzy więcej uszanowania i zadowolenia z siebie.) Już on mnie beształ, jak powiadają, beształ a beształ, suchej nitki na mnie nie zostawił: i „Arnauci”, i „szatany”, i „na Syberię” – mówił Berg uśmiechając się sardonicznie. – A ja wiem, że w porządku, i dlatego milczę, hrabio. „Czyżeś ty niemowa, czy co?” – krzyknął. A ja wciąż milczę. Co pan myśli, hrabio? Nazajutrz nie było nawet nic w rozkazie: co to znaczy nie stracić głowy. Tak, hrabio – mówił Berg zapalając fajkę i puszczając kólecza dymu.

– Tak, to wspaniałe – powiedział Rostow uśmiechając się.

Lecz Borys zauważywszy, że Rostow zamierza zakpić sobie z Berga, zręcznie przesunął bieg rozmowy. Poprosił Rostowa, żeby opowiedział, gdzie i kiedy go raniono. Było to dla Rostowa przyjemne, zaczął więc opowiadać, a w toku opowiadania coraz bardziej się ożywia. Opowiadał im sprawę pod Schöngraben zupełnie tak samo, jak zazwyczaj opowiadają uczestnicy bitew, to znaczy, jak by chcieli, żeby było, jak to słyszeli od innych opowiadających, żeby się ładniej opowiadało, ale całkiem nie tak, jak było. Rostow był prawdziwym młodym człowiekiem i za nic rozmyślnie nie powiedziałby nieprawdy. Jął mówić z zamiarem dokładnego opowiedzenia wszystkiego, co się zdarzyło, lecz niepostrzeżenie, mimo woli i w sposób nieunikniony przeszedł do nieprawdy. Gdyby opowiedział prawdę tym słuchaczom, którzy, podobnie jak i on sam, już wiele razy słyszeli opowiadania o szarży, wyrobili sobie określone pojęcie o tym, co to takiego, i oczekiwali takiego właśnie opowiadania – to albo by mu uwierzyli, albo, co gorsza, pomyśleliby, że Rostow sam sobie winien, iż nie przydarzyło mu się to, co się zazwyczaj zdarza opowiadającym o szarżach kawalerii. Przecie nie mógł opowiedzieć im tak po prostu, że wszyscy pojechali klusem, że spadł z konia, zwichnął rękę i co sił uciekał przed Francuzem do lasu. Poza tym, aby opowiedzieć wszystko, jak było, należałoby przemóc się, aby opowiedzieć tylko to, co było. Bardzo to trudno opowiedzieć prawdę, i młodzi ludzie rzadko są do tego zdolni. Oni spodziewali się opowiadania o tym, jak cały płonął w ogniu, jak bez pamięci wpadał niby burza na czworobok, jak się weń wrzynał, rąbał na prawo i na lewo, jak jego szabla zakosztowała mięsa i jak upadł wyczerpany, i temu podobne. I Rostow opowiedział im to wszystko.

W środku opowiadania, gdy mówił: „Nie wyobrażasz sobie, jak dziwnego uczucia wściekłości doznaje się podczas szarży”, do pokoju wszedł książę Andrzej Bołkoński, którego Borys się nie spodziewał. Książę Andrzej lubił opiekować się młodymi ludźmi, czuł się pochlebiony, że zwracano się do niego o protekcję, dobrze odnosił się do Borysa, który wczoraj potrafił mu się przypodobać, pragnął więc spełnić jego życzenie. Przysłany przez Kutuzowa z papierami do cesarzewicza, wstąpił do młodego człowieka, spodziewając się zastać go samego. Wszedłszy do pokoju i ujrzawszy huzara z armii, opowiadającego swe przygody wojenne (książę Andrzej nie cierpiał ludzi tego pokroju), grzecznie uśmiechnął się do Borysa, skrzywił się, przymrużonymi oczyma popatrzył na Rostowa i, skłoniwszy się lekko, usiadł na kanapie z leniwym znużeniem. Było mu nieprzyjemnie, że trafił w złe towarzystwo. Rostow, zrozumiałwszy to, poczerwieniał. Ale było mu wszystko jedno: to był człowiek obcy. Lecz gdy spojrzał na Borysa, zobaczył, że on jakby się wstydził za liniowego huzara. Pomimo niemiłego, drwiącego tonu księcia Andrzeja, pomimo ogólnej pogardy, jaką ze swego punktu widzenia, przedstawiciela armii, Rostow żywił dla tych wszystkich adiutantów sztabowych, do których najwidoczniej zaliczał się i nowo przybyły, Rostow skonfundował się, poczerwieniał i umilkł. Borys zapytał, co nowego w sztabie i co słychać – bez niedyskrecji – o naszych zamierzeniach.

– Prawdopodobnie pójdziemy naprzód – odrzekł Bołkoński, najwidoczniej nie chcąc przy postronnych powiedzieć nic więcej.

Berg skorzystał z okazji, by zapytać z osobliwym ugrzecznieniem, czy dowódcy rot – jak mówiono – otrzymają podwójne stawne, na co książę Andrzej odpowiedział z uśmiechem, że nie może mieć własnego zdania o tak ważnych zarządzeniach państwowych, i Berg zaśmiał się radośnie.

– O pańskiej sprawie – książę Andrzej znowu zwrócił się do Borysa – porozmawiamy później. – I obejrzał się na Rostowa. – Proszę przyjść do mnie po przeglądzie, zrobimy wszystko, co będzie możliwe.

A rozejrzawszy się po izbie zwrócił się do Rostowa, którego niepokonanej dziecinnej kontuzji, przechodzącej we wściekłość, nie raczył nawet zauważyć, i rzekł:

– Zdaje się, że opowiadałeś pan o starciu pod Schöngraben?

Byłeś pan tam?

– Byłem tam – odrzekł Rostow z pasją, jakby chciał tym obrazić adiutanta.

Bołkoński zauważył stan huzara, i to wydało mu się zabawne.

Uśmiechnął się z lekka, pogardliwie.

– Tak! Dużo teraz opowiadań o tej bitwie.

– Tak, opowiadań! – głośno zaczął Rostow i oczyma, które nagle wyraziły wściekłość, jął spoglądać to na Borysa, to na Bołkońskiego. – Tak, opowiadań dużo, lecz nasze opowiadania to opowiadania tych, którzy byli w ogniu nieprzyjaciela; nasze opowiadania mają wagę, a nie opowiadania tych zuchów sztabowych, którzy dostają odznaczenia, a nic nie robią.

– Do których, jak pan przypuszczasz, i ja należę? – odezwał się książę Andrzej spokojnie i uśmiechnął się ze szczególną uprzejmością.

W duszy Rostowa zespoliło się dziwne uczucie złości, a zarazem szacunku wobec spokoju tej postaci.

– Nie mówię o panu – oświadczył. – Nie znam pana i, wyznam, że nie pragnę poznać. Mówiłem w ogóle o sztabowcach.

– A ja panu ot co powiem – przerwał mu książę Andrzej z władcym spokojem w głosie. – Pan chcesz mnie obrazić; gotów bym się z panem zgodzić, że to bardzo łatwo zrobić, jeśli sam nie będziesz miał dość szacunku dla siebie; lecz musisz przyznać, że i czas, i miejsce zostały nader źle wybrane. W tych dniach wypadnie nam odbyć pojedynek większy, o wiele poważniejszy, a poza tym Drubecki, który powiada, że jest pańskim starym przyjacielem, wcale nie jest winien temu, iż moja fizjonomia miała nieszczęście nie podobać się panu. Zresztą – rzekł wstając – znasz moje nazwisko i wiesz, gdzie można mnie znaleźć, ale nie zapominaj, proszę – dodał – iż ja bynajmniej nie uważam się za obrażonego i nie uważam, abys pan był obrażony, toteż radzę, jako człowiek starszy od pana, zostawić to bez konsekwencji. A więc, Drubecki, czekam na pana w piątek po przeglądzie. Do widzenia – zakończył książę Andrzej i wyszedł skłoniwszy się obu.

Dopiero kiedy książę wyszedł, Rostow przypomniał sobie, co należało odpowiedzieć. I był zły, że zapomniał to powiedzieć, i jeszcze bardziej go to zgniewało. Zaraz kazał podać konia i, pożegnawszy się oschle z Borysem, pojechał do siebie. Czy jechać nazajutrz do kwatery głównej i wyzwąć tego krygującego się adiutanta, czy w rzeczy samej poniechać tej sprawy? – oto pytanie, które go męczyło przez całą drogę. Ze złością rozmyślał, z jakim zadowoleniem ujrzałby przestרח tego małego, słabego, a dumnego człowieka – pod lufą, to znowu czuł, ze zdziwieniem, że ze wszystkich ludzi, których znał, nikogo by tak nie pragnął mieć za przyjaciela jak tego znenawidzonego przez siebie adiutancika.

## VIII

Następnego dnia po spotkaniu Borysa z Rostowem odbył się przegląd wojsk austriackich i rosyjskich, zarówno świeżo przybyłych z Rosji, jak i tych, które z Kutuzowem wróciły z pochodu. Obaj cesarze, rosyjski z cesarzewiczem, następcą tronu, i austriacki z arcyksięciem, odbywali ów przegląd osiemdziesiątysięcznej sprzymierzonej armii.

Od wczesnego rana szły wyświeżone i galowo odziane wojska, ustawiając się na błoniach pod twierdzą. To posuwało się tysiące nóg i bagnetów pod rozwiniętymi sztandarami i na rozkaz oficerów zatrzymywało się, zawracało i stawało w interwałach, okrążając inne masy piechoty w innych mundurach; to znowu z miarowym tupotem i brzękiem jechała strojna kawaleria, w szamerowanych mundurach granatowych, czerwonych, zielonych – z bogato ugalonowanymi muzykantami na przedzie, na koniach karych, kasztanowatych, siwych; to znów między piechotą i kawalerią pełzła artyleria, ciągnęła wśród miedzanego dzwonienia, wyczyszczonych, lśniących, podrygujących na lawetach dział i zapachu lontów i ustawiała się na wyznaczonych miejscach. Nie tylko generałowie w pełnej gali, ze ściśniętymi do ostateczności grubymi i cienkimi taliami, z czerwonymi szyjami podpartymi kołnierzami, przy szarfach i wszystkich orderach; nie tylko wypomadowani i wyelegantowani oficerowie, lecz i każdy żołnierz z twarzą świeżą, wymytą i wygoloną, z ekwipunkiem wyczyszczonym do ostatecznych granic możliwości, i każdy koń, wypielegnowany tak, iż sierść lśniła na nim jak atlas, a zwilżona grzywa leżała gładziutko włoski przy włosku – wszyscy czuli że to, co się dzieje, jest poważne, doniosłe i uroczyste. Każdy generał i żołnierz czuł swą nicość, uświadamiając sobie, iż jest ziarnkiem piasku w tym morzu ludzkim, a jednocześnie odczuwał swą potęgę, świadomy, że stanowi część tej olbrzymiej całości.

Od wczesnego ranka zaczęły się wyczerpane zabiegi i wysiłki, a o dziesiątej wszystko zostało doprowadzone do należytego porządku. Na olbrzymim błoniach stały szeregi. Cała armia wyciągnęła się w trzy linie: na przedzie kawaleria, z tyłu artyleria, jeszcze dalej piechota.

Między szeregami wojsk była jak gdyby ulica. Trzy części tej armii ostro wyróżniały się między sobą; wyszła z boju armia Kutuzowa (w której na prawym skrzydle w pierwszej linii stali pawłogradczycy), przybyłe z Rosji pułki liniowe i gwardyjskie oraz wojsko austriackie. Lecz wszystkie stały w jednym froncie, w jednakim ładu, pod jednym dowództwem. Niby wiatr po liściach, przeleciał wzbudzony szept: „Jadą! jadą!” Rozległy się wystraszone głosy, przez wszystkie wojska przebiegła fala krzątania ostatnich przygotowań.

Z przodu, od Ołomuńca, ukazała się grupa. I jednocześnie, choć dzień był bezwietrzny, przez armię przebiegł lekki strumień wiatru, zakolebał leciutko proporczykami na lancach i rozwiniętymi sztandarami, które zatrzepotały o drzewca. Tym lekkim ruchem armia jak gdyby wyrażała swą radość przy zbliżeniu się monarchów. Rozległ się głos: „Bacność!” Potem, niby koguty o świcie, zawtórowały głosy z różnych stron. I wszystko przycichło.

W martwej ciszy słychać tylko było tętent koni. To była świta cesarzy. Monarchowie podjechali do skrzydła, odezwali się trębacze pierwszego pułku kawalerii grając marsza generalskiego. Zdawało się, że to trębacze grali, lecz armia w naturalny sposób wydawała te okrzyki, rada ze zbliżania się monarchów. Poprzez te dźwięki wyraził się samotny, młody, życzliwy głos cesarza Aleksandra. Wypowiedział pozdrowienie i pierwszy pułk wrzasnął:

„Hura!”, tak ogłuszająco, przeciągle, radośnie, aż samych żołnierzy przeraziła liczebność i siła tej masy, którą tworzyli.

Rostow stojąc w pierwszych szeregach armii Kutuzowa, do której najpierw podjechał monarcha, doznawał tego samego uczucia, jakiego doznawał każdy człowiek w tej armii – uczucia zapamiętania, dumnej świadomości potęgi i gorącego porywu ku temu, kto był powodem tej uroczystości.

Czuł, że od jednego słowa tego człowieka zależało, żeby ta cała masa (i on, związany z nią – nic nie znaczące ziarenko piasku) poszła w ogień i w wodę, gotowa na zbrodnie, na śmierć czy najwyższe bohaterstwo, i dlatego nie mógł nie drżeć i nie zamierać na widok tego zbliżającego się słowa.

– Hura! Hura! Hura! – grzmiało ze wszystkich stron i pułki jeden za drugim witały monarchę dźwiękami marsza generalskiego; potem „hura!”... marsz generalski i znowu „hura!” i „hura!”, które – ciągle potężniejąc i nabrzmiewając – zlewało się w ogłuszającą wrzawę.

Nim monarcha podjechał, każdy pułk, milczący i nieruchomy, wydawał się ciałem bez życia, skoro monarcha się z nim równał, pułk ożywał i grzmiał włączając się w ryk całego frontu, wzdłuż którego monarcha już przejechał. Wśród strasznego, ogłuszającego zgielku tych głosów, wśród nieruchomych jakby skamieniałych w swych czworobokach wojsk, nie dbałe, lecz symetrycznie i, co ważniejsze, swobodnie posuwały się setki jeźdźców świty, a na ich czele dwaj ludzie – cesarze. Na nich to skupiała się wyłącznie opanowana, lecz napięta uwaga tej całej masy ludzi.

Piękny, młody cesarz Aleksander, w mundurze gwardii konnej, w stosowanym kapeluszu włożonym na ukos, skupiał powszechną uwagę swą miłą twarzą i niezbyt donośnym, dźwięcznym głosem.

Rostow stał niedaleko trębaczy i swymi bystrymi oczami już z daleka poznał monarchę i obserwował jego zbliżanie się. Kiedy monarcha podjechał na odległość dwudziestu kroków, Mikołaj dokładnie, ze wszystkimi szczegółami, przyjrząwszy się młodej i szczęśliwej twarzy cesarza, doznał uczucia tkliwości i zachwytu, któremu równego jeszcze nigdy nie doznawał. Każdy rys, każdy ruch – wszystko w cesarzu wydawało mu się czarujące.

Cesarz, zatrzymawszy się przed Pawłogradzkim, powiedział coś po francusku do cesarza austriackiego i uśmiechnął się.

Ujrząwszy ten uśmiech Rostow mimo woli sam zaczął się uśmiechać i poczuł jeszcze silniejszy przypływ miłości do swego cesarza. Pragnął w jakiś sposób wyrazić swą miłość do monarchy. Wiedział, że to niemożliwe, i chciało mu się płakać. Cesarz wywołał dowódcę pułku i powiedział doń kilka słów.

„Mój Boże! co by się ze mną działo, gdyby cesarz do mnie się zwrócił! – myślał Rostow. – Umarłbym ze szczęścia.”

Monarcha zwrócił się do oficerów:

– Panowie, wszystkim (każde słowo wydawało się Rostowowi niczym głos z nieba) dziękuję z całego serca.

Jakże Rostow byłby szczęśliwy, gdyby teraz mógł umrzeć za swego cesarza!

– Zasłużyliście na odznaki Świętego Jerzego i będziecie ich godni.

„Byle tylko umrzeć za niego, umrzeć za niego!” – myślał Rostow.

Cesarz powiedział jeszcze coś, czego Rostow nie dosłyszał, a żołnierze, nadwerężając pierś, krzyknęli: „Hura!”

Rostow, pochylony nad łękiem, zaczął też krzyżeć, ile miał siły, pragnąłby nadwerężyć się tym krzykiem, byle tylko w pełni wyrazić swój zachwyt dla cesarza.

Cesarz stał kilka sekund przed huzarami jakby niezdecydowany.

„Jakże cesarz może być niezdecydowany?” – pomyślał Rostow, ale potem i to niezdecydowanie wydało mu się majestatyczne i czarujące – jak wszystko, co robił monarcha.



Niezdecydowanie cesarza trwało jedno mgnienie. Noga cesarza w bucie z wąskim ostrym czubkiem, jakie podówczas noszono, dotknęła boku kurtyzowanej gniadej klaczy, na której jechał, ręka cesarza w białej rękawiczce zebrała wodze i monarcha ruszył w towarzystwie morza adiutantów, falującego bezładnie. Odjeżdżał coraz dalej, zatrzymując się przy innych pułkach. I wreszcie spoza świty otaczającej cesarza widział Rostow tylko biały pióropusz.

Wśród panów ze świty Rostow zauważył również Bołkońskiego, który siedział na koniu leniwo, z nonszalancją. Rostowowi przypomniał się wczorajszy zatarg i znów powstało pytanie: trzeba czy nie trzeba go wyzwąć. „Oczywista rzecz, nie trzeba – pomyślał teraz Rostow... – I czy warto myśleć i mówić o tym w takiej jak ta chwili? W chwili takiego uczucia miłości, zachwytu i poświęcenia cóż znaczą wszystkie nasze spory i urazy?! Wszystkich Kocham, wszystkim teraz przebaczam” – myślał Rostow.

Kiedy cesarz objechał prawie wszystkie pułki, wojska zaczęły defilować przed nim w ceremonialnym marszu, a Rostow na dopiero co kupionym od Denisowa Beduinie przejechał na końcu swego szwadronu, czyli zupełnie sam na oczach cesarza.

Nie dojeżdżając do monarchy Rostow, świetny jeździec, dwukrotnie dodał ostrogi swemu Beduinowi i szczęśliwie doprowadził go do tego szalonego klusa, jakim chadzał podniecony Beduin. Przegiąwszy spieniony pysk do piersi, odsadziwszy ogon, jakby nie dotykając ziemi i z gracją wysoko unosząc i przebierając nogami Beduin, który również czuł na sobie spojrzenie monarchy, przeszedł wspaniale.

Rostow zaś z nogami odrzuconymi do tyłu, wciągniętym brzuchem, czując się jakby zrosnięty z koniem, z twarzą zaszępiłą, lecz szczęśliwą, przejechał obok monarchy niby szatan, jak mówił Denisow.

– Zuchy pawłogradczycy! – rzekł monarcha.

„Mój Boże, jakież bym był szczęśliwy, gdyby mi kazał teraz skoczyć w ogień” – pomyślał Rostow.

Kiedy przegląd się skończył, oficerowie nowo przybyli oraz kutuzowscy zaczęli schodzić się grupami, rozmawiać o odznaczeniach, Austriakach i ich mundurach, o ich froncie, o Bonapartem i o tym, jak teraz będzie z nim kiepsko, zwłaszcza gdy przybędzie jeszcze korpus Essena i Prusy staną po naszej stronie.

Przeważnie jednak we wszystkich kółkach mówiono o cesarzu Aleksandrze, przypominano każde jego słowo, ruch i zachwycono się cesarzem.

Wszyscy pragnęli tylko jednego: pod przewodem monarchy iść jak najprędzej na wroga. „Pod wodzą samego monarchy nie sposób nie pokonać każdego, ktokolwiek by to był” – tak myśleli po przeglądzie Rostow i większość oficerów.

Po przeglądzie wszyscy byli bardziej pewni zwycięstwa, niżby mogli być po dwóch wygranych bitwach.

## IX

Nazajutrz po przeglądzie Borys, przebrawszy się w najlepszy mundur, żegnany życzeniami sukcesu przez swego kolegę Berga, pojechał do Ołomuńca do Bołkońskiego. Pragnął skorzystać z jego faworu i postarać się o jak najlepsze stanowisko, a zwłaszcza o stanowisko adiutanta jakiejś ważnej osobistości, co wydawało mu się szczególnie pożyteczne w armii. „Rostowowi, któremu ojciec przysyła po dziesięć tysięcy, dobrze rozprawiać o tym, że nikomu nie chce się kłaniać i do nikogo nie pójdzie na lokaja; ale ja, który nic nie mam prócz własnej głowy, muszę sam robić karierę i nie pomijać okazji, ale przeciwnie, korzystać z niej.”

Owego dnia nie zastał księcia Andrzeja w Ołomuńcu. Jednak widok Ołomuńca, gdzie mieściła się kwatera główna, korpus dyplomatyczny, gdzie przebywali obaj cesarze ze swymi świtami – dworzan i ludzi zaufanych, tym bardziej wzmógł jego pragnienie, by należeć do tego wyższego świata władzy.

Nikogo tu nie znał, toteż pomimo jego elegancki mundur gwardzisty cała ta noblesa snująca się po ulicach w eleganckich pojazdach, w pióropuszcach, wstęgach i orderach, ci dworscy i wojskowi – zdawali się stać o tyle wyżej nad nim, oficerkiem gwardii, iż nie tylko nie chcieli, ale nawet nie mogli uznać jego istnienia. W domu naczelnego wodza, Kutuzowa, gdzie zapytał o Bołkońskiego, wszyscy adiutanci, a nawet ordynansi, patrzyli na niego tak, jakby mu chcieli wpoić przekonanie, że takich jak on oficerów kręci się tutaj bardzo wielu, a wszyscy oni już bardzo dali się we znaki. Pomimo to, a raczej wskutek tego, nazajutrz, piętnastego listopada, po obiedzie znowu pojechał do Ołomuńca i wszedłszy do domu, zajmowanego przez Kutuzowa, zapytał o Bołkońskiego. Książę Andrzej był u siebie: Borysa wprowadzono do wielkiej sali, w której przedtem prawdopodobnie tańczono, ale teraz stało tam pięć łóżek i różne meble: stół, krzesła i klawikord. Jeden z adiutantów, w perskim szlafroku, siedział przy stole bliżej drzwi i pisał. Drugi, rumiany, otyły, Nieswicki, leżał na łóżku podłożywszy ręce pod głowę i śmiał się rozmawiając z oficerem, który przysiadł się do niego. Trzeci grał na klawikordzie wiedeńskiego walca, czwarty leżał na tymże klawikordzie i śpiewał do wtóru. Bołkońskiego nie było. Nikt z tych panów, zauważywszy Borysa, nie zmienił pozycji. Ten, który pisał i do którego Borys się zwrócił, obejrzał się z irytacją i powiedział, że Bołkoński ma dyżur, a jeśli Borys chce się z nim widzieć, niech idzie drzwiami na lewo, do poczekalni. Borys podziękował i poszedł do sali przyjęć. W sali przyjęć było z dziesięć osób – oficerów i generałów.

Kiedy Borys wszedł, książę Andrzej wzgardliwie mrużąc oczy (z tym szczególnym wyrazem uprzejmego znużenia, który wyraźnie mówi: „Gdyby nie obowiązek, ani chwili nie rozmawiałbym z panem”), słuchał starego rosyjskiego generała przy orderach, który niemal na palcach, wyprężony, z żołnierskim, pełnym oddania wyrazem purpurowej twarzy meldował coś księciu Andrzejowi.

– Bardzo dobrze, zechciej pan poczekać, generale – rzekł do generała po rosyjsku z tą francuską wymową, z jaką mówił, kiedy chciał mówić pogardliwie, a zauważywszy Borysa przestał dostrzegać generała (który biegał za nim błagalnie prosząc, by jeszcze czegoś wysłuchał), uśmiechnął się wesoło, skinął Borysowi głową i odwrócił się do niego.

Borys w tej chwili jasno zrozumiał to, co już przeczuwał dawniej, a mianowicie, że w wojsku – oprócz subordynacji i dyscypliny przepisanej regulaminem, którą znano w pułku, i Borys ją znał, istniała inna jeszcze, bardziej istotna subordynacja, ta właśnie, która zmuszała

tego zasznurowanego w gorset generała z purpurową twarzą, by czekał z uszanowaniem, podczas gdy kapitan książę Andrzej uważał za bardziej stosowne rozmawiać dla własnej przyjemności z chorążym Drubeckim. Więc Borys mocniej niż kiedykolwiek postanowił służyć odtąd nie według tej przepisanej regulaminem subordynacji, lecz według tamtej niepisanej. Czuł teraz, iż tylko na skutek zarekomendowania go księciu Andrzejowi od razu stanął wyżej od generała, który w innym wypadku, na froncie, mógłby jego, chorążego gwardii, unieścić. Książę Andrzej podszedł do niego i ujął za rękę.

– Bardzo mi przykro, że wczoraj mnie pan nie zastał. Cały dzień miałem korowody z Niemcami.<sup>317</sup> Jeździliśmy z Weihrotherem sprawdzać dyspozycję. Kiedy Niemcom zbierze się na akuratność – to nie ma końca!

Borys uśmiechnął się, jak gdyby rozumiał, jakie książę Andrzej robił aluzje, i traktował je jako coś powszechnie znanego. Ale po raz pierwszy słyszał i nazwisko Weihrothera, a nawet słowo „dyspozycja”.

– I cóż, mój drogi, wciąż chcesz być adiutantem? Jużem o panu pomyślał przez ten czas.

– Tak, myślałem – rzekł Borys mimo woli się rumieniąc – by prosić naczelnego wodza; przyszedł do niego list w mojej sprawie od księcia Kuragina; chciałem prosić tylko dlatego – dodał jak gdyby z usprawiedliwieniem – gdyż obawiam się, że gwardia nie będzie w akcji.

– Dobrze, dobrze! pogadamy o wszystkim – oświadczył książę Andrzej – proszę mi tylko pozwolić zameldować tego pana, zaraz będę do usług.

Kiedy książę Andrzej poszedł, by zameldować o purpurowym generale, generał ów, który najwidoczniej nie podzielał pojęć Borysa o zaletach niepisanej subordynacji, tak wpił się oczami w zuchwalca chorążego, co mu przeszkodził w dokończeniu rozmowy z adiutantem, aż Borys poczuł się niezręcznie. Odwrócił się i czekał z niecierpliwością na powrót księcia Andrzeja z gabinetu naczelnego wodza.

– Więc tak, mój drogi, myślałem o panu – rzekł książę Andrzej, kiedy weszli do dużej sali z klawikordem. – Nie ma co chodzić do naczelnego wodza – mówił książę Andrzej. – Będzie prawil mnóstwo grzeczności, powie, żebyś przyszedł do niego na obiad („to wcale nie byłoby takie złe w służbie według tamtej subordynacji” – pomyślał Borys), ale nic z tego na przyszłość nie wyjdzie, nas adiutantów i oficerów ordynansowych, niedługo będzie cały batalion. Zrobimy tak: mam dobrego przyjaciela, generała-adiutanta – wspaniały człowiek, to książę Dołgorukow: pan może tego nie wiesz, ale rzecz w tym, że teraz Kutuzow, jego sztab i my wszyscy znaczymy tyle co nic: teraz wszystko skupia się koło monarchy, więc pójdziemy do Dołgorukowa – zresztą i tak muszę być u niego – jużem mu o panu mówił, wtedy zobaczymy: może będzie mógł umieścić pana przy sobie albo gdzie indziej – bliżej słońca.

Książę Andrzej zawsze ożywiał się osobliwie, kiedy mu wypadło pokierować młodym człowiekiem i pomagać mu w zdobyciu sukcesu w świecie. Pod pretekstem pomocy dla innych, której sam by przez dumę nigdy nie przyjął dla siebie, mógł przebywać blisko tej sfery, która rozdawała sukcesy i która go do siebie przyciągała. Nader chętnie wziął się do sprawy Borysa i poszedł z nim do księcia Dołgorukowa.

Był późny wieczór, kiedy weszli do ołomunieckiego pałacu, zajmowanego przez cesarzy oraz ich zaufanych.

Tego dnia odbyła się rada wojenna, w której brali udział wszyscy członkowie hofkriegsratu i obaj cesarze. Na radzie, wbrew opini starych, czyli Kutuzowa i księcia Schwarzenberga, postanowiono natychmiast atakować i wydać Bonapartemu walną bitwę. Rada wojenna dopiero co się skończyła, kiedy książę Andrzej w towarzystwie Borysa przyszedł do zamku, by odszukać księcia Dołgorukowa. Wszystkie osobistości kwatery głównej były jeszcze pod urokiem dzisiejszej rady wojennej, zwycięskiej dla partii młodych. Głosy kunktatorów, radzących czekać jeszcze na coś i nie nacierać, zostały zagłuszone tak jednomyślnie, ich argumenty zaś zostały obalone tak niewątpliwymi dowodami korzyści z natarcia, że to, o

<sup>317</sup> Mowa o licznych wyższych oficerach, którzy służyli w armii rosyjskiej.

czym rozprawiano na radzie – przyszła bitwa i, bez wątpienia, zwycięstwo – wydawało się już nie przyszłością, lecz przeszłością. Wszystkie korzyści były po naszej stronie. Ogromne siły, przewyższające bez wątpienia siły Napoleona, zostały ściągnięte w jedno miejsce, wojska ożywione obecnością cesarzy rwały się do boju, austriacki generał Weihrother, dowodzący wojskami, znał aż do najdrobniejszych szczegółów punkt strategiczny, na którym wypadło działać (jakiś szczęśliwy przypadek sprawił, iż zeszłego roku wojska austriackie odbywały manewry właśnie na tych polach, gdzie teraz miano zmierzyć się z Francuzami), leżąca przed nimi miejscowość była znana w najdrobniejszych szczegółach i oznaczona na mapach, Bonaparte zaś, widocznie osłabiony, nie podejmował żadnych kroków.

Dołgorukow, jeden z najgorętszych zwolenników działań zaczepnych, dopiero co wrócił z rady, znużony, ale ożywiony i dumny z odniesionego zwycięstwa. Książę Andrzej przedstawił mu swego protegowanego. Książę Dołgorukow ucisnął Borysowi rękę grzecznie i mocno, ale nic do niego nie powiedział, widać nie mógł powstrzymać się od wypowiedzenia tych myśli, które w tej chwili zajmowały go najbardziej, przeto zwrócił się po francusku do księcia Andrzeja.

– Mój drogi, jakąż batalię stoczyliśmy! Daj Boże, aby bitwa, która będzie następstwem tej, była równie zwycięska. Przecie, mój drogi – mówił urywkowo, z ożywieniem – muszę się przyznać do winy wobec Austriaków, szczególnie wobec Weihrothera. Co za ścisłość, co za dokładność, jaka znajomość terenu, jakie przewidywanie wszystkich możliwości, wszystkich warunków, wszystkich najdrobniejszych szczegółów! Nie, mój drogi, korzystniejszych warunków niż te, w jakich się znajdujemy, nie można nawet wymarzyć. Połączenie austriackiej dokładności z rosyjskim męstwem – czegoż chcesz więcej?

– Więc natarcie ostatecznie zostało postanowione? – rzekł Bołkoński.

– Mój drogi, mnie się wydaje, że Bonaparte stanowczo zapomniał języka w gębie. Wie książę, dziś przyszło od niego pismo do cesarza. – Dołgorukow uśmiechnął się znacząco.

– Ach, tak! Cóż pisze? – zapytał Bołkoński.

– Cóż może pisać? Tradiridiradi itd., a to wszystko, aby zyskać na czasie. Powiadam wam, że mamy go w ręku; z całą pewnością! Ale co najzabawniejsze – rzekł zaśmiaawszy się dobrodusznie – że w żaden sposób nie mogli obmyślić, jak zaadresować do niego odpowiedź. Jeśli nie „do konsula” i, co zrozumiałe samo przez się, nie „do cesarza”, to „do generała Buona-  
parte”, jak mnie się zdawało.

– Ale między tym, że go się nie uzna za cesarza, a tym, żeby go nazwać generałem Buona-  
parte, jest różnica – oświadczył Bołkoński.

– W tym cała rzecz – przerywając mu ze śmiechem szybko zaczął Dołgorukow. – Książę zna Bilibina, to bardzo mądry człowiek. Proponował zaadresować: „Do uzurpatora i wroga rodzaju ludzkiego.”

Dołgorukow roześmiał się wesoło.

– Ni mniej, ni więcej? – zauważył Bołkoński.

– A przecież Bilibin znalazł tytuł serio. To człowiek, równie dowcipny, jak mądry...

– Jakież?

– Do „szefa rządu francuskiego”, *au chef du gouvernement français* – rzekł książę Dołgorukow poważnie i z zadowoleniem. – Dobrze, prawda?

– Dobrze! Ale jemu to się nie spodoba – zauważył Bołkoński.

– O, nawet bardzo! Mój brat go zna: nieraz bywał u niego na obiedzie, u obecnego cesarza, w Paryżu i mówił mi, że nie widział bardziej wyrafinowanego i przebiegłego dyplomaty, wie książę: zespolenie francuskiej zręczności z włoskim komedianctwem! Znasz jego historyjkę z hrabią Markowem? Tylko jeden hrabia Markow umiał się wobec niego zachować. Znać, panowie, historię chusteczki? Coś wspańskiego.

I rozmowny Dołgorukow, zwracając się to do Borysa, to do księcia Andrzeja, opowiedział, jak Bonaparte, pragnąc doświadczyć Markowa, naszego posła, rozmyślnie upuścił przed nim

chusteczkę i zatrzymał się patrząc na niego, oczekując prawdopodobnie, że mu Markow usłuży. Ale Markow natychmiast upuścił własną chusteczkę i podniósł ją nie podnosząc chusteczki Bonapartego.

– *Charmant* – rzekł Bołkoński. – Ale jest taka sprawa: przyszedłem do księcia jako suplikant w sprawie tego młodego człowieka. Ma coś księżę na widoku?...

Wszelako księżę Andrzej nie zdołał dokończyć, gdyż do pokoju wszedł adiutant wzywając księcia Dołgorukowa do cesarza.

– Ach, jakże mi przykro! – powiedział Dołgorukow wstając z pośpiechem i ściskając dłoń księciu Andrzejowi i Borysowi. – Wie księżę, z chęcią zrobię wszystko, co będzie ode mnie zależało, i dla pana, i dla tego miłego młodego człowieka. – Jeszcze raz uściśnął Borysowi rękę z wyrazem dobrodusznej, szczerzej i ożywionej lekkomyślności. – Ale widzicie panowie... następnym razem!

Borysa poruszyła myśl o tym zbliżeniu się do wyższej władzy, które odczuwał w tej chwili. Miał świadomość zetknięcia się ze sprężynami, które kierowały tymi wszystkimi ruchami olbrzymich mas, gdy on, w swym pułku, czuł się maleńką, pokorną i nic nie znaczącą ich częścią. Wyszli na korytarz za księciem Dołgorukowem i spotkali wychodzącego (z tych samych drzwi pokoju monarchy, w które wszedł Dołgorukow) niewysokiego człowieka w cywilnym ubraniu, z rozumną twarzą i ostro zarysowaną, wydatną szczęką, która – nie szpecąc twarzy – nadawała jej szczególną żywość i ruchliwą płynność wyrazu. Ów niewysoki człowiek skinął Dołgorukowowi jak swojakowi i badawczo zimnym spojrzeniem jał wpatrywać się w księcia Andrzeja, idąc prosto ku niemu, prawdopodobnie w oczekiwaniu, że księżę Andrzej ukłoni mu się albo ustąpi drogi. A gdy księżę Andrzej nie zrobił ani jednego, ani drugiego, na jego twarzy odbiła się złość. Młody człowiek odwrócił się i przeszedł skrajem korytarza.

– Kto to? – zapytał Borys.

– Jeden z najznakomitszych, lecz najnieprzyjemniejszych dla mnie ludzi. To minister spraw zagranicznych, księżę Adam Czartoryski.<sup>318</sup>

– Ci właśnie ludzie – z westchnieniem, którego nie mógł stłumić, powiedział Bołkoński, gdy wychodzili z pałacu – ci właśnie ludzie decydują o losach narodów.

Następnego dnia wojska ruszyły w pochód i aż do bitwy pod Austerlitz Borys nie zdążył być ani u Bołkońskiego, ani u Dołgorukowa i jeszcze przez pewien czas pozostał w pułku Izmailowskim.

---

<sup>318</sup> Księżę Adam Czartoryski, przyjaciel młodości cesarza Aleksandra, był ministrem spraw zagranicznych Cesarstwa w latach 1804–1806.

## X

O świcie 16 listopada szwadron Denisowa, w którym służył Rostow i który należał do oddziału księcia Bagrationa, ruszył z noclegu w bój, jak powiadano, a przeszedłszy około wiorsty w tyle za innymi kolumnami, został zatrzymany na trakcie. Rostow widział, jak obok nich przeszli Kozacy, pierwszy i drugi szwadron huzarów, bataliony piechoty z artylerią oraz przejechali generałowie – Bagration i Dołgorukow – z adiutantami. Cały strach, jakiego podobnie jak przedtem doznawał przed bitwą, cała walka wewnętrzna, za pomocą której przezwycięzył ów strach, wszystkie jego marzenia, że odznaczy się po huzarsku w tej bitwie – wszystko to poszło na marne. Szwadron pozostawiono w rezerwie, a Mikołaj Rostow spędził ów dzień w nudzie i melancholii. O dziewiątej rano usłyszał przed sobą strzelaninę, krzyki „hura!”, widział przewożonych na tyły rannych (było ich niewielu) i wreszcie widział, jak między sotnią Kozaków przeprowadzono cały oddział francuskich kawalerzystów. Widocznie bitwa była skończona, bitwa widać niewielka, lecz zwycięska. Wracający żołnierze i oficerowie opowiadali o świetnym zwycięstwie, o zajęciu miasta Wischau i wzięciu do niewoli całego szwadronu Francuzów. Po silnym przymrozku dzień był jasny, słoneczny; wesoły blask jesienno-go dnia godził się z wiadomością o zwycięstwie, którą obwieszczali nie tylko uczestnicy bitwy, ale i radosny wyraz twarzy, oficerów, generałów i adiutantów przejeżdżających obok Rostowa tam i sam. Tym bardziej ścisnęło się serce Mikołajowi, że nadaremnie przecierpiał strach poprzedzający bitwę i że ten wesoły dzień spędził bezczynnie.

– Chodź no tutaj, Rostow, wypijemy na frasunek – krzyknął Denisow, który rozsiadł się na skraju drogi z manierką i zakąską.

Oficerowie zebrali się dokoła kantynki Denisowa przegryzając i gawędząc.

– O, jeszcze jednego prowadzą! – rzekł jeden z oficerów, wskazując na jeńca, francuskiego dragona, którego prowadzili pieszo dwaj Kozacy. Jeden z nich wiódł luzem odebranego jeńcowi rosłego, pięknego konia francuskiego.

– Sprzedaj konia! – krzyknął Denisow do Kozaka.

– Proszę, wasza wielmożność!...

Oficerowie wstali i otoczyli Kozaków i jeńca Francuza. Dragon francuski był to młody chłopak, Alzacyjny, mówiący po francusku niemieckim akcentem. Brak mu było tchu ze zdenerwowania, twarz miał czerwoną, a usłyszawszy język francuski, jął szybko mówić do oficerów, zwracając się to do jednego, to do drugiego. Mówił, że nie wzięliby go, że on nie winien temu, że go wzięli; winien jest *le caporal*, który posłał go po czapraki, chociaż mu powiedział, że tam są już Rosjanie. I do każdego słowa dodawał: „*Mais qu'on ne fasse pas de mal à mon petit cheval*”<sup>319</sup> – i głąskał swego konia. Widać było, że niezbyt rozumie, gdzie się znajduje. To usprawiedliwiał się, że go wzięto, to znów mniemając, że ma przed sobą swych zwierzchników, dowodził swą żołnierską sprawnością i troski o dobro służby. Do naszej ariergardy wniósł ze sobą w całej świeżości atmosferę wojska francuskiego, tak nam obcą.

Kozacy oddali konia za dwa czerwonce, a kupił go Rostow, obecnie po otrzymaniu pieniędzy najbogatszy spośród oficerów.

---

<sup>319</sup> Ale proszę nie robić krzywdy memu konikowi.

– *Mais qu'on ne fasse pas de mal à mon petit cheval* – rzekł dobrodusznie Alzatzczyk do Rostowa, kiedy konia oddano huzarowi.

Rostow uśmiechając się uspokoił dragona i dał mu trochę pieniędzy.

– Alie, alie! – rzekł Kozak dotykając ręki jeńca, żeby szedł dalej.

– Cesarz! Cesarz! – rozległo się nagle wśród huzarów. Wszystko się poruszyło, pobiegło i Rostow ujrzał z tyłu na drodze kilku zbliżających się jeźdźców z białymi pióropuszcami na kapeluszach. W ciągu jednej minuty wszyscy byli na swych miejscach i czekali.

Rostow nie pamiętał i nie czuł, kiedy dobiegł do swego miejsca i dosiadł konia. Momentalnie przestał żałować, że nie brał udziału w bitwie, przestał odczuwać powszedniość tych twarzy, które mu się opatrzyły, w jednej chwili przestał myśleć o sobie: pochłonęło go całym uczucie szczęścia, płynące z bliskości monarchy. Ta bliskość była dla niego jak gdyby nagrodą za stratę dzisiejszego dnia. Był szczęśliwy niby kochanek, który się doczekał upragnionego spotkania. Nie śmiać oglądać się w szeregu i nie oglądając się czuł jego zbliżanie się przeczuciem zachwytu. Czuł to nie tylko po odgłosie kopyt zbliżającej się kawalkady, lecz czuł dlatego, że w miarę zbliżania się wszystko wokół niego stawało się jaśniejsze, radośniejsze, solenne i odświętne. Coraz bliżej przysuwało się słońce do Rostowa, rozsiewając wokół siebie promienie dobrotliwego, majestatycznego światła, oto już czuje się ogarnięty tymi promieniami, słyszy jego głos – ów uprzejmy, spokojny, majestatyczny i zarazem tak prosty głos. Jak należało się spodziewać, nastąpiła martwa cisza i w tej ciszy rozległ się głos monarchy.

– *Les hussards de Pavlograd?*<sup>320</sup> – odezwał się pytająco.

– *La réserve, Sire!*<sup>321</sup> – odpowiedział czyjś głos, tak bardzo ludzki po tym nadludzkiem głosie, który powiedział: „*Les hussards de Pavlograd?*”

Monarcha zrównał się z Rostowem i zatrzymał się. Oblicze Aleksandra było jeszcze piękniejsze niż trzy dni temu na przeglądzie. Promieniowało taką wesołością i młodością, taką niewinną młodością, że przypominało dziecięcą swawolę czternastolatka, a przecie było to majestatyczne oblicze imperatora. Przypadkowo, gdy cesarz lustrował szwadron, jego oczy spotkały się z oczyma Rostowa i nie dłużej niż dwie sekundy zatrzymały się na nich. Czy cesarz zrozumiał, co się działo w duszy Rostowa (Rostowowi zdawało się, że cesarz wszystko zrozumiał) – w każdym razie przez dwie sekundy patrzył swymi błękitnymi oczami w twarz Rostowa (światło płynęło z nich miękko i łagodnie). Potem uniósł nagle brwi, ostrym ruchem lewej nogi uderzył konia i ruszył galopem naprzód.

Młody cesarz nie mógł się powstrzymać od pragnienia, by uczestniczyć w bitwie, i mimo wszelkich perswazji dworaków opuścił o dwunastej 3. kolumnę, przy której przebywał, i pocwałował do awangardy. Zanim dojechał do huzarów, spotkał kilku adiutantów z wieścią o szczęśliwym zakończeniu sprawy.

Bitwa, która polegała jedynie na tym, że zagarnięto szwadron Francuzów, została przedstawiona jako świetne zwycięstwo nad Francuzami, toteż cesarz i cała armia, szczególnie póki się jeszcze nie rozplątał prochowy dym na polu bitwy – wszyscy wierzyli, że Francuzi zostali pokonani i cofają się wbrew swej woli. W kilka minut po przejeździe monarchy wysłano naprzód dywizjon pawłogradczyków.

W samym Wischau, małym miasteczku niemieckim, Rostow jeszcze raz zobaczył monarchę. Na rynku, gdzie przed przybyciem monarchy była dość silna strzelanina, leżało kilku zabitych i rannych, których nie zdążono zabrać. Monarcha otoczony świtą wojskowych i niewojskowych, dosiadał innej klaczy niż na przeglądzie: rudej, angliczowanej. Przechylony na bok, wdzięcznym gestem trzymał przy oczach złote lorgnon i patrzył przez nie na żołnierza, leżącego twarzą do ziemi, bez kiwiora, z zakrwawioną głową. Ranny żołnierz był tak niechlujny, ordynarny i odstręczający, że Rostow czuł się znieważony jego obecnością tak blisko

<sup>320</sup> Huzarzy pawłogradczycy?

<sup>321</sup> Rezerwa, najjaśniejszy panie!

monarchy. Rostow widział, że pochylone plecy cesarza drgnęły, jak gdyby przebiegał po nich mróz, że lewa noga jęła konwulsyjnie uderzać ostrogą bok klaczy, która już była do tego przyzwyczajona, więc rozglądała się obojętnie i nie ruszała z miejsca. Adiutant, zsiadłszy z konia, ujął żołnierza pod pachy i zaczął układać na noszach, które się zjawily. Żołnierz jęknął.

– Ostrożniej, ostrożniej, czy nie można ostrożniej? – wyrzekł monarcha, cierpiąc widać jeszcze bardziej niż umierający żołnierz, i odjechał.

Rostow widział, że łzy napęliły oczy monarchy, i słyszał, jak odjeżdżając rzekł po francusku do Czartoryskiego:

– Jakaż to straszna rzecz wojna, jaka straszna rzecz! *Quelle terrible chose que la guerre!*

Wojska awangardy rozłożyły się przed Wischau, na widoku tyralier nieprzyjaciela, które w ciągu całego dnia ustępowały nam pola, nawet słabo się ostrzeliwując. Awangardzie oznajmiono o podziękowaniu monarchy, przyobiecano nagrody i wydano ludziom podwójną porcję wódki. Jeszcze weselej niż ubiegłej nocy trzeszczały ogniska na biwakach i rozlegały się pieśni żołnierskie. Tej nocy Denisow świętował awans na majora: w końcu uczył Rostow, który już sporo wypił, wznosił toast za zdrowie cesarza, ale „nie miłościwie panującego monarchy, jak mówią na bankietach oficjalnych – oświadczył – lecz za zdrowie cesarza, dobrego, czarującego i wielkiego człowieka: pijmy za jego zdrowie i za pewne zwycięstwo nad Francuzami!”

– Jeśliśmy się przedtem bili – rzekł – i nie folgowaliśmy Francuzom, jak pod Schöngraben, cóż będzie teraz, gdy on jest na czele? Wszyscy umrzemy, z rozkoszą umrzemy za niego. Prawda, panowie? Może mówię nie tak, jak trzeba, bom dużo pił, ale tak czuję, i wy również. Zdrowie Aleksandra Pierwszego! Hura!

– Hura! – zabrzmiały rozentuzjzmowane głosy oficerów.

I stary rotmistrz Kirsten krzyczał z entuzjazmem nie mniej szczerym niż dwudziestoletni Rostow.

Kiedy oficerowie wypili i rozbili szklanki, Kirsten napełnił inne i tylko w koszuli i rajtuzach, ze szklanką w ręku podszedł do ognisk żołnierskich, stanął w świetle ogniska w majestatycznej pozie – z swoimi długimi, siwymi wąsami, białą piersią, widoczną spod rozchełstanej koszuli – i podniósł do góry rękę.

– Chłopcy, za zdrowie miłościwie panującego cesarza, za zwycięstwo nad wrogami, hura! – wykrzyknął zuchowato, starczym huzarskim barytonem.

Huzarzy skupili się i zgodnie odpowiedzieli donośnym okrzykiem.

Późną nocą, kiedy już wszyscy się rozeszli, Denisow swą króciutką ręką poklepał po ramieniu swego ulubieńca Rostowa.

– Cóż, w marszu nie ma się w kim zakochać, więc się zakochał w cesarzu – powiedział.

– Denisow, ty sobie z tego nie żartuj – krzyknął Rostow – to takie wzniosłe, takie piękne uczucie, takie...

– Wierzę, kochasiu, wierzę, podzielam je i pochwalam...

– Nie, nie rozumiesz!

I Rostow wstał i wyszedł powalać się między ogniskami, marząc o tym, jakie by to było szczęście umrzeć, nawet nie ratując życia cesarskiego (o tym i marzyć nie śmiał), lecz po prostu umrzeć w obecności monarchy. Istotnie był zakochany i w cesarzu, i w chwale rosyjskiego oręża, i w nadziei przyszłego triumfu. I nie tylko on jeden doznawał tego uczucia w owe pamiętne dni, które poprzedziły bitwę pod Austerlitz: dziewięć dziesiątych armii rosyjskiej było w owym czasie zakochanych, choć może w sposób mniej egzaltowany, w swym cesarzu i w chwale rosyjskiego oręża.



## XI

Nazajutrz monarcha zatrzymał się w Wischau. Wzywano do niego kilkakrotnie lejbmédyka Villiera. W kwaterze głównej i w bliżej stojących oddziałach rozeszła się wieść, że monarcha jest niezdrów. Nic nie jadł i źle spał tej nocy, jak mówili zaufani. Przyczyną tej niedyspozycji było silne wrażenie, jakie na uczuciowej duszy monarchy wywarł widok rannych i zabitych.

Siedemnastego o świcie forpoczty przeprowadziły do Wischau oficera francuskiego, który przybył pod flagą parlamentariusza, żądając widzenia się z cesarzem rosyjskim. Oficerem tym był Savary. Monarcha dopiero co zasnął, toteż Savary musiał czekać. W południe został dopuszczony do monarchy, a po godzinie odjechał wraz z księciem Dołgorukowem do forpoczty francuskich.

Jak mówiono, wysłanie Savary'ego miało na celu propozycję spotkania cesarza Aleksandra z Napoleonem. Ku radości i dumie całej armii odmówiono osobistego spotkania, a zamiast monarchy wyprawiono z Savarym księcia Dołgorukowa, zwycięzcę spod Wischau, w celu prowadzenia rokowań z Napoleonem, jeśli rokowania te, wbrew oczekiwaniu, miały za cel istotne pragnienie pokoju.

Dołgorukow wrócił pod wieczór, udał się prosto do monarchy i długo pozostał z nim sam na sam.

18 i 19 listopada wojska wykonały jeszcze dwa przemarsze, zaś forpoczty nieprzyjacielskie po krótkiej wymianie strzałów wycofały się. Od południa 19 listopada w wyższych sferach armii wszczął się intensywny ruch, krzątania i podniecenie, trwało to do rana następnego dnia, do 20 listopada, kiedy to wydana została pamiętna bitwa pod Austerlitz.

Do południa 19 listopada ruch, ożywione rozmowy, biegania, wysyłanie adiutantów ograniczało się jedynie do głównej kwatery cesarza, po południu tego samego dnia ruch przeczucił się do głównej kwatery Kutuzowa i do sztabów i dowódców kolumn. Wieczorem ruch ten przez adiutantów dotarł do wszystkich oddziałów armii, w nocy z 19 na 20 listopada powstała z noclegu, zahuczała gwarem, zakotyła się i wyruszyła olbrzymim dziewięciowiorstwowym pasmem osiemdziesięcioletnia masa wojsk sojuszników.

Ruch centralny, który się rozpoczął z rana w głównej kwaterze cesarza i dał początek całemu dalszemu ruchowi, przypominał pierwsze poruszenie się środkowego koła wielkiego zegara wieżowego. Poruszyło się powoli jedno koło, obróciło drugie, trzecie, zaczęły się obracać coraz szybciej koła, bloki, tryby, zaczęły grać kuranty, wyskakiwać figury, wskazówki jęły się posuwać miarowo, pokazując rezultat ruchu.

W mechanizmie działań wojennych, podobnie jak w mechanizmie zegara, rozpoczęty ruch trwa równie nieustannie aż do ostatecznego wyniku, części zaś mechanizmu, do którego ruch nie doszedł, jeszcze na moment przed włączeniem do ogólnego biegu pozostają obojętnie nieruchome. Skrzypią koła na osiach, zazębiają się trybami, zgrzytają w rozpędzie obrotu bloki, ale sąsiednie koło pozostaje tak spokojne i nieruchome, jakby gotowe było trwać w tym bezruchu setki lat, wszelako nadchodzi chwila – dźwignia zaczepia się i koło, poddając się ruchowi, skrzypi, obraca się i zlewa w jedno działanie, którego wynik i cel są dlań niezrozumiałe.

Podobnie jak w zegarze rezultatem złożonego ruchu niezliczonych różnych kółek i bloków jest tylko powolne i miarowe posuwanie się wskazówki, która pokazuje czas, rezultatem wszystkich złożonych ruchów ludzkich tych stu sześćdziesięciu tysięcy Rosjan i Francuzów – wszystkich namiętności, pragnień, żalów, poniżeń, cierpień, porywów, dumy, strachu, entuzjazmu tych ludzi – było tylko przegranie bitwy pod Austerlitz, tak zwanej bitwy trzech cesarzy, czyli powolne przesunięcie się światowej historycznej wskazówki na cyferblacie dziejów ludzkości.

Owego dnia książe Andrzej pełnił dyżur nie odstępując naczelnego wodza. O szóstej wieczorem Kutuzow przybył do kwatery głównej cesarza. Po krótkim pobycie u cesarza udał się do wielkiego marszałka dworu, hrabiego Tołstoja.

Bołkoński wykorzystał ten czas, aby wstąpić do Dołgorukowa i dowiedzieć się szczegółów batalii. Książę Andrzej czuł, że Kutuzow jest czymś rozstrojony i z czegoś niezadowolony, że z niego są niezadowoleni w kwaterze głównej i że wszyscy personaci głównej kwatery cesarskiej rozmawiają z nim tonem ludzi, którzy wiedzą to, czego inni nie wiedzą, i dlatego pragnął porozmawiać z Dołgorukowem.

– Witam, *mon cher* – rzekł Dołgorukow siedzący przy herbacie z Bilibinem. – Jutro mamy święto. A cóż wasz staruszek? Nie w humorze?

– Nie powiem, żeby nie był w humorze, ale zdaje się, iż życzyłby sobie, aby go wysłuchano.

– Przecie go słuchano na radzie wojennej i będą słuchać, skoro będzie mówił do rzeczy, ale zwlekać i czekać na coś teraz, kiedy Bonaparte jak najbardziej obawia się walnej bitwy – niepodobna.

– Więc go widziałeś, generale? – rzekł książę Andrzej.

– Jakże Bonaparte? Jakie wrażenie zrobił na panu?

– Tak, widziałem go i przekonałem się, że więcej niż czegokolwiek boi się walnej bitwy – powtórzył Dołgorukow, widocznie ceniąc sobie wielce ów wniosek ogólny, który wyciągnął ze spotkania z Napoleonem. – Gdyby się nie bał bitwy, po co by żądał spotkania, prowadzenia pertraktacji, a najważniejsze – po co miałby się cofać, kiedy odwrót jest tak sprzeczny z jego metodą prowadzenia wojny? Proszę mi wierzyć: on się boi, boi się walnej bitwy, godzina jego wybiła. Ja to księciu mówię.

– Proszę opowiedzieć, jaki on jest? – raz jeszcze zapytał książę Andrzej.

– To człowiek w szarym surducie, który bardzo pragnął, żebym do niego mówił „Najjaśniejszy Panie”, wszelako, ku swemu żalowi, nie otrzymał ode mnie żadnego tytułu. Taki sobie człowiek, i nic więcej – odpowiedział Dołgorukow spoglądając z uśmiechem na Bilibina.

– Mimo mój cały szacunek dla starego Kutuzowa – ciągnął – ładnie byśmy teraz wyglądali czekając nie wiadomo na co i dając mu okazję do wymknięcia się czy oszukania nas, właśnie teraz, kiedy mamy go w ręku. Nie, nie należy zapominać o Suworowie i jego regułach: nie stawać w sytuacji atakowanego, lecz samemu atakować. Wierzą mi, książę, na wojnie energia ludzi młodych często lepszą wskazuje drogę niż całe doświadczenie starych kunktatorów.

– Ale z jakiej pozycji atakujemy go? Byłem dzisiaj na forpocztach i niepodobna stwierdzić, gdzie on właściwie stoi z głównymi siłami – oświadczył książę Andrzej.

Pragnął przedstawić Dołgorukowowi opracowany przez siebie plan ataku.

– Ach, to zupełnie wszystko jedno – zaczął szybko Dołgorukow wstając i rozkładając na stole mapę. – Wszystkie ewentualności zostały przewidziane: jeśli stoi pod Bernem... I książę Dołgorukow prędko a niejasno przedstawił plan flankowego natarcia Weihrothera.

Książę Andrzej jął oponować i wywodzić swój plan, który mógłby być równie dobry jak plan Weihrothera, miał tylko tę wadę, iż plan Weihrothera już był zatwierdzony. Gdy tylko książę Andrzej zaczął wykazywać braki owego planu, a zalety własnego, książę Dołgorukow przestał słuchać i patrzył z roztargnieniem nie na mapę, ale na księcia Andrzeja.

– Dziś będzie u Kutuzowa rada wojenna: tam może książę to wszystko przedstawić – rzekł Dołgorukow.

– To właśnie zrobię – oświadczył książę Andrzej odsuwając się od mapy.

– I o co się troszczycie, panowie? – rzekł Bilibin, który do tej pory z wesołym uśmiechem przysłuchiwał się ich rozmowie, a teraz, widać, miał ochotę podowcipkować. – Czy jutro będzie zwycięstwo czy klęska, chwała oręza rosyjskiego jest zapewniona. Oprócz pańskiego Kutuzowa nie ma ani jednego rosyjskiego dowódcy kolumny. Dowódcami są: *Herr Général Wimpfen, le comte de Langeron, le prince de Lichtenstein, le prince de Hohenlohe et enfin Prsch... Prsch... et ainsi de suite, comme tous les noms polonais.*<sup>322</sup>

– *Taisez-vous, mauvaise langue!*<sup>323</sup> – rzekł Dołgorukow. – Nieprawda, teraz już są dwaj Rosjanie: Miłoradowicz i Dochturow, a byłby i trzeci, hrabia Arakcejew, ale ma słabe nerwy.

– Ale sądzę, że Michał Iłarionowicz już wyszedł – oświadczył książę Andrzej. – Życzę panom szczęścia i powodzenia – dodał i wyszedł uściskawszy rękę Dołgorukowowi i Bilibinowi.

Wracając do domu książę Andrzej nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapytać Kutuzowa, który siedział milcząco obok niego, co myśli o jutrzejszej bitwie.

Kutuzow popatrzył surowo na swego adiutanta i po chwili milczenia odpowiedział:

– Sądzę, że bitwa będzie przegrana; powiedziałem to hrabiemu Tołstojowi i prosiłem, żeby powtórzył monarsze. Jak myślisz, co mi odpowiedział? *Eh, mon cher gneéral, je me mêle de riz et des côtelettes, mêlez-vous des affaires de la guerre.*<sup>324</sup> Tak... tak to mi odpowiedziano!

---

<sup>322</sup> Pan generał Wimpfen, hrabia de Langeron, książę Lichtenstein, książę Hohenlohe i jeszcze Prsch... Prsch... i tak dalej, jak wszystkie polskie nazwiska.

<sup>323</sup> Zamilknij, zły języku!

<sup>324</sup> Ech, mój drogi generale, ja zajmuję się ryżem i kotletami, a pan się zajmuj sprawami wojennymi.

## XII

O dziesiątej wieczorem Weihrother przyjechał ze swymi planami do kwatery Kutuzowa, gdzie była wyznaczona rada wojenna. Do naczelnego wodza wezwano wszystkich dowódców kolumn i, wyjąwszy księcia Bagrationa, który odmówił przybycia, wszyscy się stawili na wyznaczoną godzinę.

Weihrother, główny dysponent oczekiwanej bitwy, przez swoje ożywienie i pośpiech stanowiął całkowite przeciwieństwo niezadowolonego i sennego Kutuzowa, który niechętnie grał rolę przewodniczącego i kierownika rady wojennej. Weihrother najwidoczniej czuł, iż pozostaje na czele ruchu, którego już nie można było powstrzymać. Był niby koń zaprzężony do wozu pędzącego z góry. Czy on ciągnął wóz, czy też jego gnało, nie wiedział, lecz pędził możliwie najszybciej, nie mając już czasu zastanawiać się, do czego doprowadzi ten ruch. Owego wieczora Weihrother po dwakroć osobiście lustrował linie nieprzyjaciela i dwakroć był u monarchów rosyjskiego i austriackiego z meldunkiem i wyjaśnieniami; był również w swej kancelarii, gdzie dyktował po niemiecku dyspozycję. Zmęczony, przybył teraz do Kutuzowa.

Widać tak był zaabsorbowany, że nawet zapomniał o szacunku, należnym naczelnemu wodzowi, przerywał mu, mówił prędko, niejasno, nie patrząc w oczy rozmówcy, nie odpowiadając na zadawane pytania, był utyłany błotem i miał wygląd godny pożałowania: zmęczony, skłopotany, a jednocześnie pewny siebie i dumny.

Kutuzow zajmował zameczek pod Ostralitiz. W dużym salonie, który stał się gabinetem naczelnego wodza, zebrali się: sam Kutuzow, Weihrother i członkowie rady wojennej. Pili herbatę. Czekali tylko na księcia Bagrationa, żeby przystąpić do rady wojennej. O godzinie ósmej przyjechał od Bagrationa oficer ordynansowy z wiadomością, iż księżę nie może przybyć. Księżę Andrzej wszedł, aby o tym zameldować naczelnemu wodzowi, i korzystając z uzyskanego już przedtem zezwolenia Kutuzowa, by mógł asystować przy naradzie, został w pokoju.

– Ponieważ księżę Bagration nie przybędzie, więc możemy zaczynać – powiedział Weihrother wstając pośpiesznie ze swego miejsca i zbliżając się do stołu, na którym rozłożono olbrzymią mapę okolic Berna. Kutuzow w rozpiętym mundurze, z którego – jak gdyby wyzwolona – wypłynęła na kołnierz tłusta szyja, siedział w wolterowskim fotelu, pulchne starcze ręce położył symetrycznie na poręczach i niemal spał. Na dźwięk głosu Weihrothera otworzył z wysiłkiem jedno oko.

– Tak, tak, bardzo proszę, bo już późno – powiedział, kiwnął głową, opuścił ją i znowu zamknął oczy.

Jeśli z początku członkowie rady myśleli, że Kutuzow udawał śpiącego, to dźwięki, które wydawał nosem podczas dalszego czytania, stanowiły dowód, że w tej chwili naczelnemu wodzowi chodziło o coś ważniejszego niż okazanie pogardy dla dyspozycji czy dla cokolwiek: sprawa polegała dlań na zaspokojeniu niepowstrzymanej potrzeby ludzkiej – potrzeby snu. Naprawdę spał. Weihrother, z gestem człowieka zbyt zajętego, żeby tracić choć minutę, spojrzął na Kutuzowa i przekonawszy się, że Kutuzow śpi, wziął papier i donośnym jednostajnym tonem jął czytać dyspozycję przyszłej bitwy – pod tytułem, który również prze-

czytał: „Dyspozycja ataku na pozycje nieprzyjacielskie na tyłach Kobelnitz i Sokolnitz, 20 listopada 1805 roku.”

Dyspozycja była bardzo skomplikowana i trudna.

W oryginale brzmiała:

*Da der Feind mit seinem linken Flügel an die mit Wald*

*bedeckten Berge lehnt wid sich mit seinem rechten Flügel längs Kobelnitz md Sokolnitz hinter die dort befindlichen Teiche zieht, wir im Gegenteil mit unserem linken Flügel seinen rechten sehr debordieren, so ist es vortheilhaft letzteren Flügel des Feindes zu attackieren, besonders wenn wir die Dörfer Sokolnitz und Kobelnitz im Besitze haben, wodurch wir dem Feind zugleich in die Flanke fallen wid ihn auf der Fläche zwischen Schlapanitz und dem Thuerassa-Walde verfolgen können, indem wir den Defileen von Schlapanitz und Bellowitz ausweichen, welche die feindliche Front decken. Zu diesem Endzwecke ist das nötig... Die erste Kolonne marschirt... die zweite Kolonne marschirt... die dritte Kolonne marschirt...<sup>325</sup> itd. – czytał Weihrother. Zdawało się, że generałowie niechętnie słuchali trudnej dyspozycji. Jasnowłosy, wysoki generał Buxhoevden stał oparty o ścianę, oczy skierował na płonąca świecę; zdawało się, że nie słuchał, a nawet nie chciał, żeby myślano, że słucha. Na wprost Weihrothera z uniesionymi i zadartymi ramionami i wąsami, utkwivszy weń szeroko rozwarte, błyszczące oczy, siedział rumiany Miłoradowicz w wojowniczej pozycji z wygiętymi na zewnątrz łokciami, wsparłszy ręce na kolanach. Milczał uparcie, patrząc na Weihrothera, i spuszczał zeń oczy jedynie wówczas, gdy austriacki szef sztabu milkł. Wówczas Miłoradowicz oglądał się znacząco na innych generałów. Ale nie sposób było z tego znaczącego spojrzenia zrozumieć, czy się zgadza, czy się nie zgadza, czy jest niezadowolony z dyspozycji, czy zadowolony. Bliżej niż inni siedział przy Weihrotherze hrabia Langeron i z subtelnym uśmiechem na południowej francuskiej twarzy, nie opuszczającym go przez cały czas czytania, patrzył na swe cienkie palce, którymi szybko obracał złotą tabakierkę z miniaturą. W środku jednego z dłuższych okresów zatrzymał wirujący ruch tabakierki, uniósł głowę i z przykrą uprzejmością w kącikach cienkich warg przerwał Weihrotherowi i chciał coś rzec, lecz austriacki generał, nie przerywając czytania, nachmurzył się gniewnie i zaczął machać łokciem, jakby mówił: „Później powiesz mi pan swoje myśli, teraz zechciej patrzeć na mapę i słuchać.” Langeron podniósł oczy do góry z wyrazem zdumienia, obejrzał się na Miłoradowicza, jakby szukając wyjaśnienia, lecz spotkawszy znaczące i nic nie oznaczające spojrzenie Miłoradowicza, opuścił smętnie oczy i znowu zaczął obracać tabakierkę.*

– *Une leçon de géographie*<sup>326</sup> – wypowiedział jakby do siebie, lecz dość głośno, aby go słyszano.

Przebyszewski z pełną szacunku, lecz godną grzecznością nadstawił ucha dłonią ku Weihrotherowi, mając wygląd człowieka pochłoniętego słuchaniem. Drobnym wzrostem Dochturow siedział na wprost Weihrothera z wyrazem pilności i skromności i, pochylony nad rozłożoną mapą, sumiennie studiował dyspozycje oraz nie znaną mu miejscowość. Kilkakrotnie prosił Weihrothera o powtórzenie nie dosłyszanych słów i trudnych nazw wsi. Weihrother spełniał jego życzenie, a Dochturow zapisywał.

Kiedy czytanie, trwające ponad godzinę, zostało ukończone, Langeron, znowu zatrzymawszy tabakierkę i nie patrząc na Weihrothera i na nikogo w szczególności zaczął mówić o tym, jak trudno będzie wykonać taką dyspozycję, gdy położenie przeciwnika traktuje się jako zna-

<sup>325</sup> Ponieważ nieprzyjaciel opiera się swym lewym skrzydłem o pokryte lasem góry, a prawe skrzydło ciągnie się wzdłuż Kobelnitz i Sokolnitz, poza znajdującymi się tam stawami, a my, przeciwnie, otaczamy naszym lewym skrzydłem jego prawe, to korzystniej jest dla nas atakować to ostatnie skrzydło nieprzyjaciela, osobiwie jeśli zajmujemy wieś Sokolnitz i wieś Kobelnitz, będąc w możności napaść na flankę nieprzyjaciela i ścigać go na równinie między Schlapanitz a lasem Thuerassa, unikając cieśniny między Schlapanitz a Bellowitz, którą jest osłonięty front nieprzyjacielski. W tym celu konieczne jest... Pierwsza kolumna maszeruje... druga kolumna maszeruje... trzecia kolumna maszeruje...

<sup>326</sup> Lekcja geografii

ne, podczas gdy położenie to może być nam nie znane, ponieważ nieprzyjaciel pozostaje w ruchu. Zarzuty Langerona miały uzasadnienie, ale było widoczne, iż cel tych zarzutów polegał głównie na pragnieniu, by dać odczuć generałowi Weihrotherowi, który odczytał swą dyspozycję z taką pewnością siebie, jakby miał przed sobą uczniaków, iż ma sprawę nie tylko z głupcami, ale z ludźmi, którzy w materii sztuki wojennej mogliby i jego pouczyć. Gdy zamilkł monotony dźwięk głosu Weihrothera, Kutuzow otworzył oczy. Niby młynarz, który budzi się z powodu przerwy w usypiającym stukaniu koła młyńskiego, wysłuchał tego, co mówił Langeron, i jakby mówiąc: „A wy wciąż jeszcze o tych głupstwach!” – spiesznie zamknął oczy i jeszcze niżej opuścił głowę.

Starając się jak można najdokuczliwiej obrazić Weihrothera w jego wojskowo-autorskiej ambicji, Langeron dowodził, iż Bonaparte miał być atakowany, łatwo może zaatakować i wskutek tego uczyni całą dyspozycję zupełnie bezużyteczną. Weihrother na wszystkie zarzuty odpowiadał stanowczym i wzdurliwym uśmiechem, oczywiście z góry przygotowany na wszelkie zarzuty, niezależnie od tego, co by do niego mówiono.

– Gdyby mógł nas zaatakować, to zrobiłby to teraz – rzekł.

– Myślisz więc, generale, że jest bezsilny? – spytał Langeron.

– Dobrze, jeśli ma czterdzieści tysięcy żołnierzy – odpowiedział Weihrother z uśmiechem doktora, któremu znachorka chce wskazać sposób leczenia.

– W takim razie dąży do swojej zguby, czekając na nasz atak – rzekł Langeron z subtelnie ironicznym uśmiechem, szukając wzrokiem potwierdzenia u najbliższej siedzącego Miłoradowicza.

Ale Miłoradowicz najwidoczniej w tej chwili myślał wcale nie o tym, o czym dyskutowali generałowie.

– *Ma foi!*<sup>327</sup> – powiedział – jutro wszystko zobaczymy na polu bitwy.

Weihrother uśmiechnął się znowu tym uśmiechem, który mówił, że dla niego jest rzeczą zabawną i dziwną napotykać zarzuty rosyjskich generałów i dowodzić tego, o czym nie tylko on sam był całkowicie przekonany, ale o czym zdołał przekonać cesarza.

– Przeciwnik wygasił ogniska, słychać nieustanny gwar w jego obozie – powiedział. – Cóż to znaczy? – albo oddala się, czego jedynie powinniśmy się obawiać, albo zmienia pozycje – uśmiechnął się. – Ale nawet gdyby zajął pozycję w Thuerassie, wybawi nas jedynie z większych kłopotów, wszystkie zaś zarządzenia pozostają te same aż do najdrobniejszych szczegółów.

– W jaki sposób? – powiedział książę Andrzej, dawno już oczekujący okazji, aby wyrazić swe wątpliwości.

Kutuzow zbudził się, zakasłał ciężko i popatrzył na generałów.

– Panowie, dyspozycja na jutro, a raczej na dzisiaj (bo to już pierwsza), nie może być zmieniona – powiedział. – Słyszeliście ją panowie i wszyscy spełnimy nasz obowiązek. Zaś przed bitwą nie ma nic ważniejszego... (milczał chwilę) jak wypaść się porządnie.

Zrobił ruch, że wstaje. Generałowie skłonili się i wyszli. Było już po północy. Książę Andrzeja wyszedł.

Rada wojenna, na której księciu Andrzejowi nie udało się wypowiedzieć swego zdania, jak się spodziewał, pozostawiła w nim wrażenie niejasne i niepokojące. Kto miał słuszność: Dołgorukow z Weihrotherem czy Kutuzow z Langeronem oraz innymi nie akceptującymi planu ataku – nie wiedział. „Ale czyżby Kutuzow nie mógł wprost wypowiedzieć swych myśli cesarzowi? Czyżby tego nie można robić inaczej? Czy należy z powodu osobistych i dworskich widoków wystawiać na niebezpieczeństwo życie dziesiątków tysięcy ludzi i moje, moje życie?” – myślał.

„Tak, bardzo możliwe, że jutro mnie zabiją” – pomyślał i nagle, przy tej myśli o śmierci, powstało w jego wyobraźni wiele wspomnień bardzo dalekich i bardzo intymnych, przypo-

---

<sup>327</sup> Dalibóg!

mniał sobie ostatnie pożegnanie z ojcem i z żoną, przypomniał sobie pierwsze czasy swej miłości do niej; przypomniał sobie jej ciążę i zrobiło mu się żal jej i siebie. W stanie nerwowego osłabienia i podniecenia wyszedł z pokoju, w którym kwaterował z Nieswickim, i zaczął przechadzać się przed domem.

Noc była mglista, a światło księżyca tajemniczo przebijało się przez mgłę. „Tak, jutro, jutro! – rozmyślał. – Jutro może wszystko będzie dla mnie skończone, nie będzie więcej wszystkich tych wspomnień. Wszystkie te wspomnienia nie będą już miały dla mnie żadnego sensu. Jutro też może, nawet z pewnością jutro, przeczuwam to, po raz pierwszy wypadnie mi pokazać wreszcie to, na co mnie stać.” I przedstawił sobie bitwę, porażkę, koncentrację walki w jednym punkcie, zamieszanie wśród wszystkich osobistości z dowództwa. I oto owa szczęśliwa chwila, ów Tulon, którego tak długo oczekiwał, staje wreszcie przed nim. W sposób stanowczy i jasny wypowiada swój pogląd w obecności Kutuzowa, Weihrothera i cesarza. Wszystkich uderza trafność jego spostrzeżeń, ale nikt nie podejmuje się tego wykonać, więc sam bierze pułk, dywizję, zastrzega sobie warunek, aby nikt nie mieszał się do jego zarządzeń, sam prowadzi swą dywizję na rozstrzygający punkt i sam uzyskuje zwycięstwo. „A śmierć i cierpienia?” – powiada drugi głos. Lecz książę Andrzej nie odpowiada owemu głosowi i kontynuuje swoje sukcesy. Dyspozycja następnej bitwy zostaje sporządzona tylko przez niego. Pełni funkcje do szczególnych poruczeń przy Kutuzowie, ale robi wszystko sam. Następną bitwę wygrywa sam. Kutuzowa usuwają, mianują jego... „No, a potem? – powiada znowu drugi głos. – A potem, jeśli z dziesięć razy wcześniej, nim to nastąpi, nie zostaniesz ranny, zabity lub oszukany – no, a cóż potem?” „No, a potem... – odpowiada sam sobie książę Andrzej – nie wiem, co będzie potem, nie chcę i nie mogę wiedzieć; ale skoro pragnę tego, pragnę sławy, pragnę być ludziom znany, pragnę być kochany przez nich, to przecież nie jestem winien, że tego chcę, że tego tylko chcę, po to tylko żyję. Tak, tylko po to! Nigdy nikomu tego nie powiem, ale mój Boże! cóż mam począć, skoro nie kocham nic poza sławą i miłością ludzi. Śmierć, rany, utrata rodziny – nic mnie nie przestrasza. Jakkolwiek wielu ludzi jest mi drogich – ojciec, siostra, żona – najdrożsi dla mnie ludzie, i jakkolwiek wydaje się to straszne i nienaturalne, wszystkich ich oddam teraz za chwilę sławy, triumfu nad ludźmi, za miłość ludzi do mnie, ludzi, których nie znam i nie będę znać, za miłość takich właśnie ludzi!” – pomyślał przysłuchując się gwarowi na podwórze Kutuzowa. Na podwórze Kutuzowa słychać było głosy kładących się spać ordynansów; jeden głos, prawdopodobnie był to stangret, drażnił się ze starym kucharzem Kutuzowa, Titem, którego książę Andrzej znał; głos mówił:

– Ticie, hej, Ticie?

– No – odpowiedział starzec.

– Ticie, kiedy młóćcie? – mówił żartowniś.

– Tfu, a idź do diabła! – rozległ się głos pokrywany śmiechem ordynansów i służby.

„A przecież kocham i cenię tylko triumf nad nimi wszystkimi, cenię nade wszystko tę tajemniczą siłę i sławę, która tu oto unosi się nade mną we mgle!”

## XIII

Tej nocy Rostow ze swym plutonem znajdował się na linii flankierów ubezpieczających oddział Bagrationa. Jego huzarzy byli rozstawieni dwójkami, on zaś jechał konno wzdłuż linii usiłując przewyciężyć sen, który go pochylał w siodle. Z tyłu widniała olbrzymia przestrzeń ognisk naszej armii, płonących niewyraźnie we mgle; przed sobą miał mglisty mrok. Rostow najusilniej wpatrując się w tę mglistą dal nie widział nic, coś niby szarzało, niby czerniało; oto znowu migotały niby ogniki tam, gdzie powinien się znajdować nieprzyjaciel; czasem myślał, że to tylko w oczach mu tak migoce. Oczy mu się przymykały, a w wyobraźni zjawiał się to cesarz, to Denisow, to moskiewskie wspomnienia, i znowu spiesznie otwierał oczy i widział blisko przed sobą łeb i uszy konia, na którym siedział, niekiedy czarne postaci huzarów, gdy podjeżdżał do nich na odległość sześciu kroków, a w dali wciąż mglisty mrok. „Czemu nie? Bardzo to być może – myślał Rostow – że cesarz spotkawszy mnie, da rozkaz podobnie jak każdemu innemu oficerowi; powie: «Jedź, dowiedz się, co tam jest.» Opowiadano przecie wiele, jak poznał przypadkowo jakiegoś tam oficera i zrobił swym zaufanym. Cóż, gdyby mnie zrobił swym zaufanym! Ach, jak bym go strzegł, jak bym mu całą prawdę mówił, jak bym wykrywał oszustów wprowadzających go w błąd!” I Rostow po to, aby żywiej wyobrazić sobie swą miłość i oddanie cesarzowi, wyobrażał sobie wroga albo Niemca-oszusta, którego z rozkoszą nie tylko zabijał, ale bił po twarzy w obecności cesarza. Nagle zbudził Rostowa daleki krzyk. Wzdrygnął się i otworzył oczy.

„Gdzie ja jestem! Aha, na forpocztach. Hasło: «dyszel» – odzew: «0łomuniec». Szkoda, że nasz szwadron jutro zostanie w rezerwie... – pomyślał. – Poproszę, by mnie wysłano do akcji. Może to jedyna okazja, by zobaczyć cesarza. Tak, wkrótce nas zlużują. Jeszcze jeden objazd i jak tylko wrócę, pójdę do generała i poproszę go.” Poprawił się w siodle i spał konia, aby jeszcze raz objechać swoich huzarów. Zdawało mu się, iż jest jaśniej. Z lewej strony widniała oświetlona skarpa i przeciwległe czarne wzgórze, które wydawało się strome jak ściana. Na wzgórzu znajdowała się biała plama, której Rostow nie mógł w żaden sposób rozeznaczyć, czy to polana w lesie, oświetlona księżycem, nie stopniały śnieg czy białe domy? Wydawało mu się nawet, że na tej białej plamie coś się poruszało. „Na pewno ta plama to śnieg; plama – *une tache* – myślał Rostow. – Masz tobie – nie *tache*...”

„Natasza, siostra, czarne oczy. Na.-taszka (A to się zdziwi, kiedy jej powiem, jak zobaczyłem cesarza!), Nataszkę... taszkę... zabierz...” „Trochę na prawo, wasza wielmożność, bo tu krzaki” – rzekł głos huzara, obok którego przejeżdżał zasypiający Rostow. Rostow podniósł głowę, która opadła aż do grzywy końskiej, i zatrzymał się obok huzara.

Młody, dziecinny sen chylił mu głowę w sposób nie do przewyciężenia. „Aha, o czym to ja myślałem? – byle nie zapomnieć. Jak będę mówił z cesarzem? Nie, to nie, to – jutro. Tak, tak. Na...taszkę, napaść... paść na – kogo? Huzarów. Huzarzy i wąsy... Ulicą Twerską jechał tamten huzar z wąsami, jeszcze sobie o nim pomyślał, naprzeciw domu Guriewa... Stary Guriew... Ech, Denisow, to wspaniały chłop! ale wszystko to głupstwo. Teraz najważniejsza rzecz – cesarz jest tutaj. Jak to on na mnie patrzył! I chciał coś powiedzieć, ale nie śmiał... Nie, to ja nie śmiałem. Ależ to głupstwo, a najważniejsze nie zapomnieć, iż myślałem o czymś niezbędnym, tak. Na-taszkę, napaść, tak, tak, tak to dobrze.” I znowu opadł głową na



kark konia. Nagle wydało mu się, że do niego strzelają. „Co? co? co!... Bij, rąb! Co?...” – wymówił Rostow, ocknąwszy się. W momencie gdy Rostow otworzył oczy, usłyszał przed sobą, tam gdzie znajdował się nieprzyjaciel, przeciągłe okrzyki tysięcy głosów. Konie jego i huzara, stojącego obok, strzygły uszami na te krzyki. Na miejscu, z którego dobiegały krzyki, zapłonął i zgasł jeden ognik, potem drugi i na całej linii wojsk francuskich na górze zapłonęły ognie, a krzyki były coraz donośniejsze. Rostow słyszał dźwięki francuskich słów, ale nie mógł ich rozróżnić. Zbyt wiele głosów naraz huczało. Teraz słyhać było: „A-a-a-a!” i „r-r-r-r!”

– Cóż to? Jak myślisz? – zwrócił się Rostow do huzara stojącego obok. – Przecież to u nieprzyjaciela? Huzar nic nie odpowiedział.

– Cóż to? Czy nie słyszysz? – zapytał Rostow poczekawszy dość długo na odpowiedź.

– A kto go tam wie, wasza wielmożność – odrzekł huzar niechętnie.

– Sądzę ze stanowiska, chyba nieprzyjaciel – powtórzył znowu Rostow.

– Może on, a może tak sobie – wymówił huzar. – Noc – wiadomo. No, będziesz mi tu brykał! – krzyknął na swego konia, który się pod nim poruszył.

Koń Rostowa również był niespokojny, bił kopytem w zmarzłą ziemię, przysłuchując się dźwiękom i przyglądając ogniom. Krzyczące głosy wciąż się wzmagaly, zlewając się w ogólną wrzawę, którą mogła wydawać tylko wielotysięczna armia. Ogniska rozprzestrzeniały się coraz dalej, prawdopodobnie wzdłuż linii francuskiego obozu. Rostowowi już się nie chciało spać. Wesołe, triumfalne okrzyki armii nieprzyjacielskiej działały nań pobudzająco. „Vive l'Empereur, l'Empereur!”<sup>328</sup> – słyszał już wyraźnie Rostow.

– A to niedaleko – chyba za strumieniem? – rzekł do stojącego opodal huzara.

Huzar tylko westchnął, nic nie odpowiedział i odkaszlnął gniewnie. Na linii huzarów rozległ się tętent jeźdźca, jadącego kłusem, i z nocnej mgły nagle wyrosła postać podoficera huzarów, ogromna niby słoń.

– Wasza wielmożność, generałowie! – rzekł podoficer podjeżdżając do Rostowa.

Rostow, wciąż oglądając się na ogniska i krzyki, pojechał z podoficerem na spotkanie kilku jeźdźców, jadących wzdłuż linii. Jeden był na siwym koniu. Księżę Bagration z księciem Dołgorukowem i adiutantami jechali popatrzeć na dziwaczne zjawisko ognia i okrzyków w armii nieprzyjacielskiej. Rostow podjechałszy do Bagrationa odraportował i przyłączył się do adiutantów, nasłuchując, co mówili generałowie.

– Wierzaj mi, księżę – mówił Dołgorukow zwracając się do Bagrationa – że to nic innego, jak podstęp: wycofał się, zaś ariergardzie kazał rozpać ogniska i robić wrzawę, aby nas oszukać.

– Chyba nie – rzekł Bagration – widziałem ich na tym wzgórzu pod wieczór; jeśli odeszli, to zabrali się i stamtąd. Panie oficerze – księżę Bagration zwrócił się do Rostowa – czy ich pikiety stoją tam jeszcze?

– Pod wieczór stały, ale teraz nie wiem, wasza ekscelencjo. Proszę rozkazać, to pojedę z huzarami – rzekł Rostow.

Bagration zatrzymał się, nie odpowiadając, i we mgle starał się przyjrzeć twarzy Rostowa.

– Ano cóż, proszę zobaczyć – rzekł po chwili milczenia.

– Wedle rozkazu.

Rostow spał konia ostrogą, przywołał podoficera Fiedczenkę i jeszcze dwóch huzarów kając im jechać za sobą, i kłusem ruszył z góry w kierunku trwających nadal krzyków. Rostowowi było straszno i wesoło jechać tak samoczwart z huzarami tam, w ową tajemniczą, niebezpieczną, mglistą dal, gdzie nikt przed nim nie był. Bagration krzyknął mu z góry, aby jechał nie dalej niż do strumienia, lecz Rostow udał, że nie dosłyszał jego słów, i jechał dalej i dalej, bez zatrzymania, nieustannie wprowadzany w błąd, biorąc krzaki za drzewa, wyrwy za ludzi i bez ustanku wyjaśniając sobie własne pomyłki. Zjechałszy kłusem z góry, nie widział

<sup>328</sup> Niech żyje cesarz, cesarz!

już ani naszych ognisk, ani nieprzyjacielskich, lecz słyszał krzyki Francuzów, coraz głośniejsze i wyraźniejsze. W parowie ujrzał przed sobą jakby rzekę, lecz gdy do niej dojechał, przekonał się, że to wyjeżdżona droga. Wyjechawszy na drogę, powstrzymał konia niezdecydowany: czy jechać nią, czy też przeciąć i jechać czarnym polem pod górę. Jechać po jaśniejszej we mgle drodze było bezpieczniej, bo prędzej można było rozeznac ludzi. „Ruszajcie za mną” – powiedział, przeciął drogę i jał pędzić galopem na wzgórze, na to miejsce, gdzie wieczorem stała francuska pikiet.

– Wasza wielmożność, otóż i on! – wymówił z tyłu jeden z huzarów.

Rostow nie zdołał jeszcze rozeznac, co to nagle zaczerniało we mgle, gdy błysnął ogień, trzasnął strzał i kula, jakby skarżąc się na coś, zajęczała wysoko we mgle i zginęła z zasięgu słuchu. Drugi karabin nie wystrzelił, lecz ogień błysnął na panewce. Rostow zawrócił konia i pogalopował z powrotem. Jeszcze cztery strzały rozległy się w różnych odstępach czasu i kule zaśpiewały różnymi tonami gdzieś we mgle. Rostow powstrzymał konia, który, podobnie jak on poweselał od strzałów i ruszył stępa. „Ano jeszcze, ano jeszcze!” – mówił w jego duszy jakiś wesóły głos. Ale strzałów więcej nie było.

Dopiero podjeżdżając do Bagrationa Rostow znowu puścił konia galopem i podjechał do generała z dłonią przy daszku.

Dołgorukow ciągle obstawał przy swojej opinii, że Francuzi cofnęli się, a tylko po to, by nas oszukać, rozniecili ogniska.

– Czegóż to dowodzi? – mówił, gdy Rostow ku nim podjechał. – Mogli wycofać się i pozostawić pikiety.

– Widać jeszcze nie wszyscy odeszli, księżę – powiedział Bagration. – Do jutra rana, jutro dowiemy się wszystkiego.

– Wasza ekscelencjo, na górze pikiety pozostaje wciąż tam, gdzie była wieczorem – zameldował Rostow, salutując pochylony ku przodowi i nie mogąc powstrzymać uśmiechu wesolości, wywołanego wycieczką, a co ważniejsze – świstem kul.

– Dobrze, dobrze – powiedział Bagration – dziękuję, panie oficerze.

– Wasza ekscelencjo – rzekł Rostow – czy wolno mi prosić...

– Co takiego?

– Na jutro nasz szwadron został wyznaczony do rezerwy. Pozwalam sobie prosić o odkomenderowanie mnie do pierwszego szwadronu.

– Jak nazwisko?

– Hrabia Rostow.

– A, dobrze! Zostaniesz przy mnie jako oficer ordynansowy.

– Czy syn Ilji Andreicza? – powiedział Dołgorukow. Lecz Rostow mu nie odpowiedział.

– Więc mogę mieć nadzieję, wasza ekscelencjo?

– Wydam rozkaz.

„Bardzo być może, iż jutro zostanę posłany z jakimś poleceniem do cesarza – pomyślał. – Chwała Bogu!”

Krzyki i ogniska w armii nieprzyjacielskiej pochodziły stąd, iż w owym czasie, gdy wojskom czytano rozkaz Napoleona, sam cesarz osobiście objeżdżał konno biwaki. Żołnierze, ujrawszy cesarza, zapalili pęki słomy i wśród okrzyków: „Vive l'Empereur!”, biegli za nim. Rozkaz Napoleona brzmiał następująco:

*Żołnierze! Armia rosyjska występuje przeciw nam, aby pomścić austriacką armię ulmską. Są to te same bataliony, któreście rozbili pod Hollabrunn i które od tego czasu ścigaliście wciąż aż do tego miejsca. Pozycje, które zajmujemy, są potężne i podczas gdy oni będą szli, aby obejść mnie z prawej strony, odłonią mi własne flanki! Żołnierze! Sam będę prowadził wasze bataliony. Zatrzymam się z dala od ognia, jeśli wy z waszą zwykłą odwagą wniesiecie*

*w nieprzyjacielskie szeregi nieład i zamieszanie, ale jeśli zwycięstwo będzie się wahać choćby przez chwilę, ujrzycie waszego cesarza narażającego się na bezpośrednie ciosy nieprzyjaciela, ponieważ nie może być chwiejności w zwycięstwie, zwłaszcza w takim dniu, w którym wchodzi w grę honor francuskiej piechoty, tak niezbędny dla honoru narodu.*

*Nie łamać szeregów pod pozorem wynoszenia rannych! Niech każdy całkowicie zostanie przeniknięty myślą, iż należy zwyciężyć tych najemników Anglii, ożywionych taką nienawiścią przeciwko naszemu narodowi. Zwycięstwo to zakończy naszą kampanię i będziemy mogli powrócić na kwatery zimowe, gdzie zastaną nas świeże wojska francuskie, formujące się we Francji; wówczas pokój, który zawrę będzie godny mego ludu, was i mnie.*

*Napoleon*

## XIV

O piątej nad ranem było jeszcze zupełnie ciemno. Wojska centrum, rezerwy oraz prawe skrzydło Bagrationa stały jeszcze nieruchomo, ale na lewym skrzydle kolumny piechoty, jazdy i artylerii, które pierwsze miały zejść ze wzgórz, by atakować francuskie prawe skrzydło i odrzucić je wedle dyspozycji w góry czeskie, już poruszyły się i zaczęły podnosić się ze swych biwaków. Dym ognisk, do których rzucono wszystkie niepotrzebne przedmioty, gryzł w oczy. Było zimno i ciemno. Oficerowie spieszenie pili herbatę i jedli śniadanie. Żołnierze żuli suchary, drobno tupiąc nogami dla rozgrzewki, i spływali naprzeciw ognisk, rzucając w nie resztki szafasów, krzesła, stoły, koła, beczułki, wszystko zbędne, czego nie można było zabrać ze sobą. Austriacy przewodnicy oddziałów snuli się między rosyjskimi wojskami jako zwiastuni działania. Gdy tylko austriacki oficer ukazywał się w miejscu postoju dowódcy, pułk zaczynał się poruszać: żołnierze odbiegali od ognisk, chowając fajeczki za cholewy, torby do podwód, chwyтали karabiny i stawali w szyku. Oficerowie dopinali mundury, przypasywali szpady i szabeltasy i obchodzili szeregi z pokrzykiwaniem; taborowcy i ordynansi zaprzęgali konie i ładowali, i przewiązywali furgony. Adiutanci, dowódcy batalionów i pułków dosiadali wierzchowców, żegnali się znakiem krzyża, wydając ostatnie rozkazy, pouczenia i zlecenia taborom, które pozostawały na miejscu, rozlegał się monotonny tupot tysięcy nóg. Kolumny ruszyły nie wiedząc dokąd, a z powodu otaczających ludzi, dymu i gęstniejącej mgły nie widząc ani miejsca, z którego wyruszali, ani tego, dokąd mieli iść.

Jak marynarza okręt, na którym przebywa, podobnie i żołnierza w marszu otacza, ogranicza i niesie jego pułk. Podobnie jak marynarz – w jakiegokolwiek dziwne, nieznane, niebezpieczne szerokości wstępuje – widzi zawsze i wszędzie te same pokłady, maszty, olinowania własnego okrętu, wokół żołnierza zawsze i wszędzie pozostają ci sami koledzy, te same szeregi, ten sam feldfelbel Iwan Mitricz, ten sam pies roty Żuczek, ci sami przełożeni. Żołnierz rzadko pragnie poznać te szerokości i długości, w których przebywa jego okręt, lecz w dniu bitwy, Bóg wie jak i skąd, w duchowym świecie wojska wybija się jeden dla wszystkich surowy ton, w którym dźwięczy coś, co niebawem się rozstrzygnie, coś uroczystego, co pobudza niezwykłą ciekawość. Żołnierze w dniu bitew starają się w podnieceniu wyjść poza krąg zainteresowań własnego pułku, nasłuchują, rozglądają się chciwie, rozpytują, co się wokół nich dzieje.

Mgła zgęstniała tak, iż choć zaczęło świtać, nie sposób było coś zobaczyć na dziesięć kroków przed sobą. Krzaki wydawały się olbrzymimi drzewami, równe miejsca – skarpami i zboczami. Wszędzie, ze wszystkich stron, można się było zetknąć z przeciwnikiem niewidzialnym o dziesięć kroków. Lecz kolumny szły długo, wciąż w tej samej mgle, schodząc i wchodząc na wzgórze, mijając sady i ogrodzenia w nowym, niełatwym do rozpoznania terenie, nigdzie nie stykając się z nieprzyjacielem. Przeciwnie, to z przodu, to z tyłu, ze wszystkich stron żołnierze poznawali, że nasze rosyjskie kolumny idą w tym samym kierunku. Każdemu żołnierzowi robiło się przyjemnie na sercu dlatego, iż wiedział, że tam, dokąd on idzie, czyli nie wiadomo dokąd, maszeruje wielu, jeszcze wielu naszych.

– Widzicie, i kurscy przeszli – mówiono w szeregach.

– Aż strach, bracie, ile tego naszego wojska się zebrało! Jakem popatrzył wieczorem, kiedy rozpalili ogniska, końca nie widać. Słowem – jakby Moskwa!

Mimo iż nikt z dowódców kolumn nie podjeżdżał do szeregów i nie rozmawiał z żołnierzami (dowódcy kolumn, jakiegoś widzieli na radzie wojennej, byli nie w humorze i niezadowoleni z całej imprezy, toteż wykonywali tylko rozkazy i nie troszczyli się, by żołnierzy podnieść na duchu), nie bacząc na to, żołnierze szli rażno jak zawsze, ruszając w bój, a zwłaszcza do ataku. Lecz przemaszerowawszy około godziny, wciąż w gęstej mgłę, duża część wojska zmuszona była zatrzymać się i szeregi przeniknęło przykre poczucie nieładu i bezhołowia. W jaki sposób to poczucie udziela się – nader trudno określić, ale rzecz niewątpliwa, iż udziela się ono w sposób niezwykle pewny i szybko rozlewa się niepostrzeżenie i niepowstrzymanie niby woda w parowie. Gdyby rosyjskie wojsko było samo, bez sojuszników, minęłoby może sporo czasu, nimby wszyscy ów nieład odczuli, lecz teraz w sposób szczególnie naturalny przerzucając powód nieporządku na niemieckie bezhołowie, wszyscy byli przekonani, że trwa szkodliwy zamęt, którego narobiły kielbaśniki.

– Czemu stanęli? Drogę zastawili? Może już nadziali się na Francuza?

– Nie, nie słyhać. Bo zaczęły walić.

– Tak naglili, żeby wyruszyć, a jakiegoś wyruszyli, tośmy stanęli jak głupi wśród pola – wszystko te Niemce przekłete nakręciły. Diabły opętane!

– Tak, tak, ja bym ich puścił pierwszych. A ci tam na pewno z tyłu się chowają. No i stój teraz o pustym brzuchu.

– A co, prędko tam? Powiadają, że kawaleria drogę zawałiła – mówił oficer.

– Ach, przekłeci Niemcy, własnej ziemi nie znają – powiedział inny.

– Z jakiej dywizji jesteście? – wołał podjeżdżający adiutant.

– Osiemnasta.

– To po co tu jesteście? Należało już dawno być na przedzie, teraz do wieczora nie przejdziecie.

– Bo rozkazy głupie, sami nie wiedzą, co robią – mówił odjeżdżający oficer.

Potem przejeżdżał generał i krzyczał coś gniewnie nie po rosyjsku.

– Tafa-lafa, mamrocze coś, nie sposób rozeznac – mówił żołnierz przedrzeźniając generała, który odjechał – rozstrzelałbym ich, łajdaków.

– O dziewiątej kazano nam być na miejscu, nie przeszliśmy nawet połowy drogi. To mi rozkazy! – powtarzano z różnych stron.

Poczucie wigoru, z którym wojska ruszyły w bój, jęło się przemieniać w gniew i złość na bezsensowne zarządzenia i na Niemców.

Zamęt spowodowany był tym, iż w czasie ruchu kawalerii austriackiej, maszerującej na lewym skrzydle, wyższe dowództwo uznało, że centrum nasze jest zbyt oddalone od prawego skrzydła, i całej kawalerii kazano przejść na prawą stronę. Kilka tysięcy jazdy presuwało się przed piechotą, a piechota musiała czekać.

Na przedzie miało miejsce starcie między austriackim przewodnikiem kolumny, a generałem rosyjskim. Rosyjski generał krzyczał żądając, by zatrzymano jazdę, Austriak dowodził, iż nie on winien, lecz wyższe dowództwo. Tymczasem wojska stały znudzone i przygnębione. Po godzinnym postoju wojska ruszyły wreszcie dalej i zaczęły schodzić z góry. Mgła, przeredzona w górze, słała się tym gęściej w dolinach, dokąd zeszły wojska. Z przodu, we mgłę, rozległ się strzał jeden, potem drugi, z początku nieskładnie, w różnych odstępach czasu trąta...tat, a potem coraz gęściej i składniej – to zawiązało się starcie nad rzeczką Goldbach.

Nie przewidując, że spotkają przeciwnika w dole nad rzeczką, i wpadłszy na niego nieoczekiwanie wśród mgły, nie słysząc ani słowa zachęty od wyższych dowódców, z poczuciem, które rozprzestrzeniło się w wojsku, że ruch został opóźniony, a co ważniejsze – w gęstej mgłę nic nie widząc przed sobą ni wokół siebie, Rosjanie powoli i leniwie wymieniali strzały z przeciwnikiem, posuwali się naprzód i znów się zatrzymywali, nie otrzymując w

porę rozkazów od dowódców i adiutantów, którzy błędzili we mgle w nieznannej okolicy, nie znajdując swych oddziałów. W ten sposób zaczęła się bitwa dla pierwszej, drugiej i trzeciej kolumny, które zeszły w dół. Czwarta kolumna, przy której znajdował się sam Kutuzow, stała na wzgórzach Pratzen.

W dole, gdzie zaczęła się bitwa, zalegała jeszcze gęsta mgła, w górze się przecierało, ale wciąż nie było widać, co działo się na przedzie. Czy główne siły nieprzyjaciela, wedle naszych przypuszczeń, znajdowały się o dziesięć wiorst stąd, czy tu, na miejscu, w obszarze mgły – nikt nie wiedział do godziny dziewiątej.

Była dziewiąta rano. Mgła niby morze słała się w dolinie, lecz pod wsią Schlapanitz, na wzgórzach, gdzie stał Napoleon w otoczeniu swych marszałków, było całkiem jasno. Mieli nad sobą jasne, modre niebo i olbrzymia kula słońca, niby olbrzymi, pusty, szkarłatny pływak, kołysała się na powierzchni mlecznego morza mgły. Nie tylko wszystkie wojska francuskie, lecz i sam Napoleon ze sztabem znajdowali się nie z tamtej strony strumieni i dolin wsi Sokolnitz i Schlapanitz, za którymi zamierzaliśmy zająć pozycje i wszcząć bitwę, lecz po tej stronie, tak blisko naszych wojsk, że Napoleon gołym okiem mógł w naszym wojsku odróżnić jeźdźca od piechura. Napoleon stał nieco przed swymi marszałkami na małym szpakowatym arabskim koniu, był w niebieskim płaszczu, tym samym, w którym odbył kampanię włoską. W milczeniu wpatrywał się we wzgórze, które jakby występowały z morza mgły i przez które w dali posuwały się wojska rosyjskie, i przysłuchiwał się odgłosom strzelaniny w wąwozie. Ani jeden mięsień nie drgnął na jego chudym wówczas jeszcze obliczu, błyszczące oczy były nieruchomo skierowane w jeden punkt. Jego przypuszczenia okazały się trafne. Rosyjskie wojska częściowo już zeszły w wąwóz ku stawom i jeziorom, częściowo ustępowały z owych pratzeńskich wzgórz, które zamierzał atakować, uważając je za kluczową pozycję. Widział wśród mgły, jak w kotlinie, utworzonej przez dwie góry około wsi Pratzen, wciąż w tym samym kierunku ku dolinom sunęły połyskując bagnetami kolumny rosyjskie i jedna za drugą skrywały się w morzu mgły. Z wiadomości, które otrzymał wieczorem, z odgłosów kół i stapań słyszanych w nocy na forpocztach, z nieporządnego ruchu kolumn rosyjskich mógł wedle wszelkich przypuszczeń widzieć jasno, że sprzymierzeni uważali, iż przebywa daleko przed nimi, iż kolumny sunące w pobliżu Pratzen stanowiły centrum armii rosyjskiej i że centrum zostało już osłabione dostatecznie, aby je atakować z powodzeniem. Lecz wciąż jeszcze nie zaczynał bitwy.

Dzisiejszy dzień był dla niego uroczysty – rocznica jego koronacji. Przed świtem zdrzemnął się kilka godzin i zdrowy, wesół, rześki, w tym szczęśliwym nastroju, w którym wszystko wydaje się możliwe i wszystko się udaje, dosiadł konia i wyjechał w pole. Stał nieruchomo, spoglądając na widniejące zza mgły wzniesienia, a jego zimne oblicze miało na sobie ów osobliwy odcień pewnego siebie, zasłużonego szczęścia, który miewa twarz szczęśliwie zakochanego chłopca. Marszałkowie stali za nim, nie śmiejąc rozpraszać jego skupienia. Patrzyli to na wzgórze Pratzen, to na słońce wypływające z mgły.

Gdy słońce zupełnie wyłoniło się z mgły i trysnęło na pola i mgły oślepiającym blaskiem (jakby tylko tego czekał dla rozpoczęcia), zdjął rękawiczkę z pięknej białej dłoni, dał nią znak marszałkom i wydał rozkaz, by zacząć bitwę. Marszałkowie w towarzystwie adiutantów popędzili w różne strony i po kilku minutach główne siły francuskiej armii szybko ruszyły na te pratzeńskie wzgórze, które wojska rosyjskie wciąż opróżniały, schodząc na lewo w dolinę.

## XV

O ósmej Kutuzow wyjechał konno do Prätzen na czele czwartej kolumny Miłoradowicza, tej, która miała zająć miejsce kolumn Przebyszewskiego i Langerona, schodzących już w dół. Pozdrowił ludzi przedniego pułku i wydał rozkaz do marszu, wskazując tym, iż sam zamierzał prowadzić tę kolumnę. Podjechawszy ku wsi Prätzen zatrzymał się. Książę Andrzej stał za nim wśród wielkiej liczby osób, stanowiących swiętę naczelnego wodza. Książę Andrzej czuł się poruszony, rozdrażniony, a zarazem opanowany i spokojny, jak bywa z człowiekiem, gdy nastanie dawno oczekiwana chwila. Był mocno przekonany, że dziś nastał dzień jego Tulonu czy mostu Arcole. Nie wiedział, jak się to odbędzie, ale był mocno przekonany, że tak się stanie. Okolica i położenie naszych wojsk były mu znane o tyle, o ile mogły być znane komukolwiek z naszej armii. Jego własny plan strategiczny, o którego urzeczywistnieniu nie było co myśleć, został przezeń zapomniany. Myśląc teraz o planie Weihrothera, książę Andrzej przewidywał, co może nastąpić, i tworzył nowe kombinacje, takie, w których mogła się przydać jego szybkość orientacji i zdecydowanie.

Na lewo w dole, we mgle, słychać było wymianę strzałów między niewidocznymi wojskami. Jak wydawało się księciu Andrzejowi, tam skoncentruje się bitwa, tam powstaną trudności i „tam właśnie zostaną wysłani – myślał – z brygadą lub dywizją, i tam właśnie pójdę naprzód ze sztandarem w rękę i złamię wszystko, co stanie przede mną”.

Książę Andrzej nie mógł patrzeć obojętnie na sztandary przechodzących batalionów. Patrząc na sztandar, wciąż myślał sobie: „może to ten właśnie sztandar, z którym wypadnie mi iść na czele wojsk.”

Nad ranem nocne mgły pozostawiły na wzgórzach tylko szron, zamieniający się tu i ówdzie w rosę, w dolinach zaś tuman siał się jeszcze mlecznobiałym morzem. W dolinie na lewo, dokąd zeszyły nasze wojska i skąd dobiegały odgłosy strzelaniny, nic nie było widać. Nad wzgórzami jaśniało mroczne niebo, a na prawo olbrzymia kula słońca. Na przedzie, daleko, na przeciwnym brzegu mglistego morza, widniały wysuwające się zalesione wzgórza, na których powinna była znajdować się armia nieprzyjacielska, i coś jeszcze tam widniało. Z prawej strony w krainę mgły wkraczała gwardia z odgłosem tupania, skrzypieniem kół, z rzadka polyskując bagnietami; na lewo za wsią także masy kawalerii podchodziły i skrywały się w morzu mgły. Z przodu i z tyłu posuwała się piechota. Naczelną wódz stał przy wjeździe do wsi, wojska przechodziły obok. Kutuzow tego ranka wydawał się znekany i rozdrażniony. Przechodząca obok niego piechota stanęła bez rozkazu, dlatego widocznie, że z przodu coś ją zatrzymało.

– Powiedzże wreszcie, generale, aby uszykowali się w kolumny batalionowe i maszerowali obchodząc wieś – rzekł gniewnie Kutuzow do podjeżdżającego generała.

– Ekscelencjo, panie kochany, trzeba zrozumieć, że nie wolno rozciągać się w tej ciasnocie ulicy wiejskiej, gdy wychodzimy naprzeciw wroga.

– Zamierzałem sformować się za wsią, wasza ekscelencjo – odpowiedział generał.

Kutuzow zaśmiał się zgrzyliwie.

– Ładnie pan będzie wyglądał rozwijając front na widoku nieprzyjaciela, bardzo ładnie.

– Nieprzyjaciel jeszcze daleko, wasza ekscelencjo. Wedle dyspozycji...

– Dyspozycja! – wykrzyknął zgryźliwie Kutuzow – kto to panu powiedział?... Zechciej robić, co panu każą.

– Wedle rozkazu.

– *Mon cher* – powiedział szeptem Nieswicki do księcia Andrzeja – *le vieux est d'une humeur de chien.*<sup>329</sup>

Do Kutuzowa podbiegł oficer austriacki w białym mundurze, z zielonym pióropuszem na kapeluszu i zapytał w imieniu cesarza, czy czwarta kolumna wkroczyła do bitwy.

Kutuzow odwrócił się nie odpowiadając i spojrzenie jego padło mimochodem na księcia Andrzeja stojącego obok. Ujrzawszy Bołkońskiego Kutuzow zmiękczył ostry, zjadliwy wyraz oczu, jakby uświadamiając sobie, że jego adiutant nie jest winien temu, co się tu dzieje. I nie odpowiadając austriackiemu adiutantowi zwrócił się do Bołkońskiego:

– *Allez voir, mon cher, si la troisième division a dépassé la village. Dites-lui de s'arrêter et d'attendre mes ordres.*<sup>330</sup>

Książę Andrzej już odjeżdżał, gdy naczelną wódz go zatrzymał:

– *Et demandez-lui, si les tirailleurs sont postés* – dodał. – *Ce qu'ils font, ce qu'ils font!*<sup>331</sup> – rzekł do siebie, wciąż nie odpowiadając Austriakowi.

Książę Andrzej pocwałował, by wykonać rozkaz. Wyminawszy wszystkie idące przed nim bataliony, zatrzymał trzecią dywizję i przekonał się, iż rzeczywiście przed naszą kolumną nie było tyralier. Dowódca pułku idącego na czele był bardzo zdziwiony przekazywanym mu rozkazem naczelnego wodza, by rozsypać strzelców w tyralierę. Dowódca pułku stał tu, przekonany całkowicie, że przed sobą ma jeszcze własne wojska, a przeciwnik nie może się znajdować bliżej niż o dziesięć wiorst. Rzeczywiście, na przedzie nic nie było widać prócz pustej okolicy, opadającej w dół i zasłanej gęstą mgłą. Rozkazawszy w imieniu naczelnego wodza naprawić zaniechanie księcia Andrzeja pogalopował z powrotem. Kutuzow stał wciąż na tym samym miejscu i opadłszy starczo swym otyłym ciałem w siodle, ziewał głośno, przymykając oczy. Wojska już nie posuwały się, lecz stały z bronią u nogi.

– Dobrze, dobrze – powiedział do księcia Andrzeja i zwrócił się do generała, który z zegarkiem w rękę mówił, że czas już ruszyć, ponieważ wszystkie kolumny lewego skrzydła już zeszyły.

– Zdamy jeszcze, ekscelencjo – wymówił Kutuzow poprzez ziewnięcie. – Zdamy! – powtórzył.

W tej chwili za Kutuzowem rozległy się z dala głosy pułków wykrzykujących powitania, głosy te jeły się szybko zbliżyć na całej długości rozciągniętej linii kolumn rosyjskich, przechodzących do natarcia. Widocznie ten, kogo witano, jechał szybko. Gdy zaczęli krzyżeć żołnierze pułku, przed którym stał Kutuzow, ów odjechał nieco w bok i obejrzał się, skrzywiony. Na drodze do Pratzen pędził jakby szwadron różnobarwnych jeźdźców. Dwaj z nich tęgim galopem pędzili obok siebie przed innymi. Jeden, mający na sobie czarny mundur, biały pióropusz, dosiadał kasztanowatego kurtyzowanego konia, drugi – w białym mundurze, na karym koniu. Byli to dwaj cesarze ze świtą. Kutuzow z afektacją liniowego służbisty zakomenderował „bacznosc!” stojącym wojskom i podjechał do cesarza salutując. Cała jego postać i sposób bycia zmieniły się nagle. Przybrał wygląd podwładnego, nie rozumującego człowieka. Z hołdowniczą afektacją, która w sposób widoczny uderzyła nieprzyjemnie cesarza, podjechał i salutował Aleksandrowi.

Przykre wrażenie przebiegło tylko po młodej, szczęśliwej twarzy cesarza, niby resztki mgły na jasnym niebie, i znikło. Dnia tego Aleksander po niedyspozycji był nieco szczuplejszy niż na polach Ołomuńca, gdzie go po raz pierwszy widział Bołkoński za granicą; ale jego

<sup>329</sup> Mój drogi... stary jest mocno nie w humorze.

<sup>330</sup> Ruszaj, mój kochany, popatrz, czy trzecia dywizja przeszła już wieś. Każ, by się zatrzymała i czekała na mój rozkaz.

<sup>331</sup> I zapytaj, czy rozwinęli tyralierę... Co oni wyrabiają, co oni wyrabiają!



piękne szare oczy miały wciąż to samo czarujące połączenie majestatu i łagodności, a w wąskich wargach, kryjących w sobie możliwości najróżniejszych wyrazów, przeważał odcień prostej, niewinnej młodości.

Na przeglądzie ołomunieckim był bardziej majestatyczny, tutaj – weselszy i energiczniejszy. Przegalopowawszy trzy wiorsty, nieco zarumienił się, zatrzymując konia odetchnął z ulgą i obejrzał się na równie młode, równie jak jego ożywione twarze świty. Czartoryski i Nowosilcow, i książę Wołkoński, i Stroganow oraz inni, wszyscy bogato odziani, weseli młodzi ludzie, na pięknych, wypielęgowanych, świeżych, jedynie lekko zgrzanych koniach zatrzymali się za cesarzem wśród rozmów i uśmiechów. Cesarz Franciszek, rumiany, długolicy młody człowiek, siedział nadzwyczaj prosto na pięknym karym ogierze i rozglądał się dokoła siebie niespiesznie, lecz z zakłopotaniem. Przywołał do siebie jednego ze swoich białych adiutantów i zapytał o coś. „Na pewno, o której godzinie wyjechali” – pomyślał książę Andrzej obserwując swego starego znajomego z uśmiechem, którego nie mógł powstrzymać wspominając swoją audiencję. W świetle cesarza znajdowali się chwaccy oficerowie ordynansowi, rosyjscy i austriaccy, wybrani z pułków gwardii i armii. Wśród nich berajterzy prowadzili piękne zapasowe cesarskie konie, w haftowanych czaprakach.

Niby świeże wolne powietrze napływające przez otwarte okno do dusznego pokoju, tak nagle wionęło na niewesoły sztab Kutuzowa młodością, energią, pewnością sukcesu od tej świetnej młodzieży, przybyłej galopem.

– Michale Łarionowiczu, czemu nie zaczynacie? – zwrócił się spiesznie cesarz Aleksander do Kutuzowa, spoglądając zarazem dwornie na cesarza Franciszka.

– Wyczekuję, najjaśniejszy panie – odrzekł Kutuzow pochylając się z szacunkiem.

Cesarz nastawił ucha, z lekka zachmurzony, okazując, że nie dosłyszał.

– Wyczekuję, najjaśniejszy panie – powtórzył Kutuzow (książę Andrzej zauważył, że górna warga Kutuzowa drgnęła nienaturalnie w chwili, gdy mówił owo „wyczekuję”). – Nie wszystkie kolumny jeszcze się zebrały, najjaśniejszy panie.

Cesarz dosłyszał, lecz odpowiedź ta widać mu się nie podobała, wzruszył zgarbionymi lekko ramionami, spojrział na Nowosilcowa stojącego opodal, jakby tym spojrzeniem skarżył się na Kutuzowa.

– Michale Łarionowiczu, wszak nie jesteśmy na Carycynym Polu, gdzie nie zaczyna się przeglądu, nim nie przybędą wszystkie pułki – rzekł cesarz, znowu spojrzawszy w oczy cesarzowi Franciszkowi, jakby zapraszając go, jeśli nie do wzięcia udziału w rozmowie, to choćby do przysłuchania się temu, co on mówił, lecz cesarz Franciszek dalej rozglądał się nie słuchając.

– Właśnie dlatego nie zaczynam, najjaśniejszy panie – rzekł dźwięcznym głosem Kutuzow, jakby uprzedzając możliwość, że go mogą nie dosłyszeć. W twarzy jego raz jeszcze coś drgnęło. – Dlatego właśnie nie zaczynam, najjaśniejszy panie, że nie jesteśmy na rewii i nie na Carycy -nym Polu – wymówił jasno i wyraziście.

W świetle cesarskiej na wszystkich twarzach, które momentalnie spojrzały po sobie, wyraziło się niezadowolenie i wyrzut. „Choćby nie wiem, jak stary, nie powinien, w żaden sposób nie powinien tak mówić” – wyraziły te twarze.

Cesarz badawczo, uważnie popatrzył Kutuzowowi w oczy czekając, czy jeszcze czegoś nie powie. Lecz Kutuzow ze swej strony, pochyliwszy głowę z szacunkiem, również jak gdyby wyczekiwał. Milczenie trwało około minuty.

– Zresztą, jeśli rozkażesz, najjaśniejszy panie – rzekł Kutuzow podnosząc głowę i znów odmieńając ton na poprzedni, nie rozumującego, tępego, lecz posłusznego generała.

Spiął konia i wezwawszy do siebie Miłoradowicza, dowódcę kolumny, wydał mu rozkaz natarcia.

Wojsko znowu poruszyło się i dwa bataliony pułku Nowogrodzkiego oraz batalion Apszerońskiego ruszyły naprzód przechodząc obok cesarzy.

W tym czasie, gdy ów batalion apszeroński przechodził, rumiany Miłoradowicz, bez płaszcza, w mundurze z orderami, w kapeluszu z olbrzymim pióropuszem, włożonym na bakier, pogalopował naprzód i salutując chwacko osadził konia przed cesarzem.

– Z Bogiem, generale – rzekł mu cesarz.

– *Ma foi, Sire, nous ferons ce que sera dans notre possibilité, Sire*<sup>332</sup> – odrzekł tamten wesoło, wywołując jednakże swą marną wymową francuską szydlerczy uśmiech panów z cesarskiej świty.

Miłoradowicz ostro zawrócił koniem i stanął nieco z tyłu za cesarzem. Batalion apszeroński, podniecony obecnością cesarza, dziarsko, żwawo odbijając krok, przechodził obok cesarza i ich świty.

– Chłopczy! – krzyknął gromkim, pewnym siebie i wesołym głosem Miłoradowicz, widać do tego stopnia podniecony odgłosem strzelaniny, oczekiwaniem bitwy oraz widokiem apszerońskich zuchów, dawnych swoich kamratów z czasów Suworowa, dziarsko przechodzących przed monarchami, że zapomniał o obecności cesarza. – Chłopczy! Nie pierwszozna wam zdobywać wieś – wykrzyknął.

– Wedle rozkazu! – wykrzyknęli żołnierze. Koń cesarza zachnął się od niespodziewanego krzyku. Koń ten, noszący cesarza jeszcze na przeglądach w Rosji, tu na polu pod Austerlitz niósł swego jeźdźca tolerując jego roztargnione uderzenia lewą nogą, strzygąc uszami na odgłosy strzałów, całkiem podobnie jak robił to na Polu Marsowym, nie rozumiejąc znaczenia ani tych dobiegających wystrzałów, ani sąsiedztwa karego ogiera cesarza Franciszka, ani tego wszystkiego, co mówił, myślał, czuł owego dnia ten, kto na nim jechał.

Cesarz z uśmiechem zwrócił się do jednego ze swych zaufanych, wskazując chwatów-apszerońców, i coś doń powiedział.

---

<sup>332</sup> Najjaśniejszy panie, na honor, zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy.

## XVI

Kutuzow w towarzystwie swych adiutantów pojechał stępa za karabinierami.

Przejechawszy jakie pół wiorsty w tyle kolumny zatrzymał się koło samotnego, opuszczonego domu (prawdopodobnie dawnej oberży) przy rozgałęzieniu dwóch dróg. Obie drogi szły z góry, obiema ciągnęły wojska.

Mgła zaczęła się rozpraszać i już widniały niewyraźnie wojska nieprzyjacielskie – odległe o jakie dwie wiorsty – na przeciwległych wzgórzach. Na lewo, w dole, słychać było coraz lepiej strzelaninę. Kutuzow przystanął, rozmawiając z generałem austriackim. Księżę Andrzej, stojąc nieco z tyłu, wpatrywał się w nich i zwrócił się do adiutanta chcąc poprosić go o lunetę.

– Patrzcie, patrzcie – mówił ów adiutant patrząc nie na dalekie wojska, lecz w dół przed siebie. – To Francuzi!

Dwaj generałowie i adiutanci chwycili za lunetę, wrywając ją jeden drugiemu. Wszystkie twarze nagle zmieniły się i na wszystkich pojawiło się przerażenie. Przypuszczano, że Francuzi znajdują się o dwie wiorsty od nas, a ci zjawili się nagle, niespodziewanie przed nami.

– To nieprzyjaciel?... – Nie!... Tak! Patrzcie, on... Z pewnością... Cóż to jest? – rozległy się głosy.

Księżę Andrzej gołym okiem ujrzał nie dalej niż pięćset kroków od tego miejsca, gdzie stał Kutuzow, idącą dołem, na prawo, pod górę, na spotkanie batalionu apszerońskiego, zwartą kolumnę Francuzów.

„Oto nastąpiła rozstrzygająca chwila! Bitwa dochodzi do mnie” – pomyślał księżę Andrzej i uderzywszy konia podjechał do Kutuzowa.

– Wasza ekscelencjo! – krzyknął – należy zatrzymać apszerońców.

Ale w tym właśnie momencie wszystko zasłało się dymem, rozległa się strzelanina i naiwnie przestraszony głos o dwa kroki od księcia Andrzeja wykrzyknął: „No, bracia, kryśka!” A głos ten był jakby komendą. Na ten głos wszystko rzuciło się do ucieczki.

Bezlądny, wciąż rosnący tłum biegł z powrotem na miejsce, gdzie pięć minut temu wojska defilowały przed cesarzami. Trudno było nie tylko zatrzymać ów tłum, ale i nie sposób było samemu nie uciekać wraz z tłumem. Bołkoński starał się tylko nie pozostawać w tyle i oglądał się w zdumieniu, nie mogąc zrozumieć tego, co się działo przed nim. Nieswicki, z wyrazem wściekłości, czerwony, niepodobny do siebie, krzyczał do Kutuzowa, że jeśli nie odjedzie natychmiast, zostanie z pewnością wzięty do niewoli. Kutuzow stał na tym samym miejscu i nie odpowiadając dobywał chusteczki. Z policzka jego płynęła krew. Bołkoński przedostał się do niego.

– Księżę ranny? – zapytał ledwie hamując drżenie szczęki.

– Rana nie tutaj, ale tam! – rzekł Kutuzow przyciskając chusteczkę do zranionego policzka i wskazując uciekających. – Zatrzymajcie ich! – krzyknął i w tej chwili przekonawszy się zapewne, że nie sposób ich zatrzymać, uderzył konia i pojechał w prawo.

Ponownie napływający tłum uciekających porwał go z sobą i pociągnął tam, gdzie stał przedtem.

Wojska uciekały tłumem tak gęstym, iż raz znalazłszy się w środku tłumy, trudno się było zeń wydostać. Ten krzyczał: „Ruszaj! Czego się ociągasz?” Tamten znów z miejsca odwracał się i strzelał w powietrze, ów bił konia, na którym jechał sam Kutuzow. Z największym wysiłkiem wydostawszy się z potoku uciekającego tłumy, Kutuzow ze świtą zmniejszoną prawie o połowę pojechał w lewo, skąd rozlegał się bliski huk dział. Książę Andrzej, starając się nie odłączać od Kutuzowa, wydostawszy się z tłumy uciekających ujrzał na stoku góry, wśród dymu, strzelającą jeszcze baterię rosyjską i podbiegających ku niej Francuzów. Wyżej stała piechota rosyjska nie posuwając się ani naprzód na pomoc baterii, ani w tył w kierunku uciekających. Od tej piechoty odłączył się konno generał i podjechał do Kutuzowa. Ze świty Kutuzowa pozostało jedynie czterech ludzi. Wszyscy byli bladzi i spoglądali na siebie w milczeniu.

– Zatrzymajcie tych hultajów! – rzekł Kutuzow bez tchu, wskazując dowódcy pułku uciekających, lecz w tym samym momencie, jakby za karę za te słowa, niby stado ptasząt ze świstem poleciały kule ponad pułkiem i świtą Kutuzowa.

Francuzi atakowali baterię, a ujrawszy Kutuzowa strzelili do niego. Po tej salwie dowódca pułku schwycił się za nogę, upadło kilku żołnierzy i chorąży stojący ze sztandarem wypuścił go z rąk; sztandar zachwiał się i opadł, zatrzymany na karabinach obok stojących żołnierzy. Żołnierze jęli strzelać bez komendy.

– Ooooch! – jęknął Kutuzow z wyrazem rozpaczony i obejrzał się. – Bołkoński – wyszeptał głosem drżącym z poczucia swej starczej bezsilności – Bołkoński – wyszeptał wskazując na stłoczony batalion i na nieprzyjaciela – cóż to jest?

Ale nim to domówił, książę Andrzej, czując łzy wstydu i gniewu podchodzącego do gardła, już zeskakiwał z konia i biegł do sztandaru.

– Chłopcy, naprzód! – krzyknął głosem dziecinnie przenikliwym.

„Otóż i on!” – pomyślał książę Andrzej porwawszy drzewce sztandaru i słysząc z rozkoszą świst kul, najwidoczniej skierowanych właśnie przeciw niemu. Kilku żołnierzy upadło.

– Hura! – krzyknął książę Andrzej z trudnością utrzymując w ręku ciężki sztandar i pobiegł naprzód z niezachwianą pewnością, że cały batalion pobiegnie za nim.

Rzeczywiście, przebiegł samotnie tylko kilka kroków. Jeden, drugi żołnierz ruszył i cały batalion z krzykiem „hura!” pobiegł naprzód i minął go. Podoficer batalionu podbiegł, wziął ciężki sztandar chwiejący się w rękach księcia Andrzeja, lecz od razu został zabity. Książę Andrzej znowu porwał sztandar i wlokąc go za drzewce biegł z batalionem. Przed sobą widział naszych artylerzystów, z których jedni walczyli, inni rzucali armaty i biegli ku niemu, widział też żołnierzy francuskiej piechoty, którzy chwyтали konie artyleryjskie i zawracali działa. Książę z batalionem był już o dwadzieścia kroków od nich. Słyszał nad sobą nieustający świst kul: bez ustanku po prawej i lewej stronie padali z jękiem żołnierze. Ale on na nich nie patrzył; wpatrywał się tylko w to, co działo się przed nim – w baterii. Widział już wyraźnie postać rudego artylerzysty, z kiwiorem zsuniętym na bok, ciągnącego z jednej strony wycior, podczas gdy żołnierz francuski ciągnął wycior do siebie z drugiej strony. Książę Andrzej widział już wyraźnie przerażony, a zarazem wściekły wyraz twarzy tych dwóch ludzi, nie rozumiejących widać tego, co robią.

„Cóż oni robią? – pomyślał książę Andrzej patrząc na nich. – Dlaczego rudy artylerzysta nie ucieka, skoro nie ma broni? Dlaczego Francuz go nie zakłuje? Nim zdąży dobiec, Francuz przypomni sobie o karabinie i zakłuje go.”

Rzeczywiście, inny Francuz z nastawionym bagnetem pobiegł do walczących i los rudego artylerzysty, który wciąż jeszcze nie rozumiał tego, co go czeka, i z triumfem wydarł przeciwnikowi wycior, miał się rozstrzygnąć. Lecz książę Andrzej nie widział, czym się to skończyło. Wydało mu się, jak gdyby ktoś z pobliskich żołnierzy tego uderzył go w głowę kijem. Było to trochę bolesne, a przede wszystkim nieprzyjemne, ponieważ ból odciągnął jego uwagę i przeszkadzał mu widzieć to, na co patrzył.

„Cóż to? Padam? Nogi się pode mną uginają” – pomyślał i upadł na wznak. Otworzył oczy mając nadzieję, iż zobaczy, jak skończyła się walka Francuzów z artylerzystami i pragnąc wiedzieć, czy rudy artylerzysta został zabity, czy nie, armaty zdobyte czy ocalone. Lecz nic nie widział. Nie było nad nim nic poza niebem – wysokim niebem, niezbyt jasnym, lecz mimo to niezmiernie wysokim, z powoli sunącymi siwymi obłokami. „Jak cicho, spokojnie, uroczyście, całkiem odmiennie, niż kiedyś biegł – pomyślał książę Andrzej – nie tak, jak myśmy biegli, krzyczeli i walczyli, całkiem nie tak, jak wtedy gdy Francuz i artylerzysta wrywali sobie wzajem wycior, z twarzami rozjuszonymi i przerażonymi – całkiem inaczej suną obłoki po tym wysokim, nieskończonym niebie. Jak mogłem nie widzieć przedtem tego wysokiego nieba? I jaki jestem szczęśliwy, że je wreszcie poznał. Tak! Wszystko próżność, wszystko kłamstwo poza tym nieskończonym niebem. Nic nie ma, nic – poza nim. Ale i tego nawet nie ma, nie ma nic – poza ciszą i uspokojeniem. I chwała Bogu!...”

## XVII

Na prawym skrzydle, u Bagrationa, o dziewiątej bitwa jeszcze się nie zaczęła. Nie chcąc się zgodzić na żądanie Dołgorukowa, by zaczynać bitwę, i pragnąc zdjąć z siebie odpowiedzialność, książę Bagration zaproponował Dołgorukowowi, by zapytać o zdanie naczelnego wodza. Bagration wiedział, że przy odległości bez mała dziesięciu wiorst oddzielającej jedno skrzydło od drugiego – jeśli wysłaniec nie zostanie zabity (co było nader prawdopodobne) i jeśli nawet znajdzie naczelnego wodza, co było nader trudne, wysłaniec nie zdoła wrócić przed wieczorem.

Bagration ogarnął swą świętą spojrzaniem wielkich, nic nie wyrażających, sennych oczu. Mimo woli pierwsza rzuciła mu się w oczy dziecinna twarz Rostowa, zamierzająca od wzruszenia i nadziei. Wysłał jego.

– A jeślibym spotkał najjaśniejszego pana wcześniej niż wodza naczelnego, wasza ekscelencjo? – rzekł Rostow z dłonią u daszka.

– Możesz pan przekazać najjaśniejszemu panu – rzekł Dołgorukow z pośpiechem, przerywając Bagrationowi.

Po przyjsciu zmiany na linię ubezpieczeń Rostow zdołał zdrzemnąć się kilka godzin nad ranem i czuł się wesoły, śmiały i stanowczy przy tej sprężystości ruchów, zaufaniu we własne szczęście i nastroju, w którym wszystko wydaje się lekkie, wesołe i dostępne.

Tego ranka spełniły się wszystkie jego pragnienia: została wydana walna bitwa, on w niej uczestniczył; mało tego – był oficerem ordynansowym przy najodważniejszym z generałów; mało tego – jechał z poleceniem do Kutuzowa, a może nawet do samego cesarza. Ranek był jasny. Miał pod sobą dobrego konia, w sercu radość i szczęście. Otrzymawszy rozkaz puścił konia i pogalopował wzdłuż frontu. Z początku jechał linią wojsk Bagrationa, które jeszcze nie wkroczyły do bitwy i stały nieruchomo; później wjechał na tereny zajęte przez kawalerię Uwarowa i tu zauważył już przesunięcia i oznaki przygotowań do ataku. Wjechał na teren zajęty przez kawalerię Uwarowa, już wyraźnie usłyszał przed sobą odgłos kanonady i salw karabinowych. Strzelanina wciąż się wzmagała.

W chłodnym rannym powietrzu rozlegały się już nie jak dawniej po dwa, po trzy strzały w nierównych odstępach, a potem jeden lub dwa strzały działowe, lecz przed Pratzen po zboczach gór przewalały się łaskoty strzelaniny karabinowej, przerywane tak gęstym ogniem z dział, iż niekiedy kilka wystrzałów działowych już się od siebie nie oddzielało, lecz zlewało w jeden ogólny huk.

Widać było, jak po stokach wzgórz dymki karabinów biegały, niby doganiając się nawzajem, i jak dymy działowe kłębiły się, rozpląwały i zlewały z sobą. Z błyskania bagnetów między dymami można było rozpoznać posuwające się masy piechoty i wąskie pasemka artylerii z zielonymi jaszczami.

Na wzgórzu Rostow zatrzymał na chwilę konia, aby rozejrzeć się w tym, co się działo, lecz jakkolwiek natężył uwagę, nic nie mógł ani zrozumieć, ani rozróżnić z tego, co się tu działo: przesuwali się tam w dymie jacyś ludzie, z przodu i z tyłu przesuwały się jakieś szeregi wojsk; ale dlaczego? kto? dokąd? – niepodobna było zrozumieć. Widok ten i te odgłosy nie

tylko nie budziły w nim przygnębienia i bojaźni, ale przeciwnie, dodawały mu energii i stanowczości.

„No, jeszcze, jeszcze, dokładaj!” – zwracał się w myśli do tych odgłosów i znowu ruszał, by pędzić przez linie wojsk, coraz głębiej wjeżdżając w strefę oddziałów już walczących.

„Jak tam będzie, nie wiem, ale wszystko będzie dobrze!” – myślał Rostow. Minąwszy jakieś oddziały austriackie, zauważył, że następna część frontu (była to gwardia) już weszła w bój.

„Tym lepiej! Zobaczę z bliska” – pomyślał. Jechał niemal w pierwszej linii. Pewna liczba jeźdźców pędziła w jego kierunku. Byli to nasi ułani gwardii cesarskiej, którzy wracali z ataku w rozsypce. Rostow minął ich, mimo woli zauważywszy, że jeden z nich jest zakrwawiony, i popędził dalej.

„Nic mi do tego!” – pomyślał. Nie zdołał ujechać kilkuset kroków, gdy na lewo od niego, przecinając mu drogę, ukazała się na całej przestrzeni pola olbrzymia masa kawalerzystów na karych koniach i w białych wspaniałych mundurach, którzy klusem szli prosto na niego. Rostow puścił się co koń wyskoczy, aby zjechać kawalerzystom z drogi, i byłby ich wyminał, gdyby pędzili wciąż tym samym klusem, lecz oni przyśpieszyli biegu, tak iż niektóre konie już galopowały. Rostow coraz bliżej słyszał tętent, szcęk broni, coraz wyraźniej widział konie, postacie i nawet twarze. Byli to nasi kawalergardzi idący do ataku na francuską jazdę, posuwającą się na ich spotkanie.

Kawalergardzi cwałowali, ale wciąż jeszcze powstrzymując konie. Rostow widział już ich twarze i dosłyszał komendę: „Marsz, marsz!”, wymawianą przez oficera, który całym pędem puścił swego konia pełnej krwi. Rostow w obawie, aby nie być stratowanym lub wciągniętym do ataku na Francuzów, pędził wzdłuż frontu co koń wyskoczy, a jednak nie zdołał ich minąć.

Kawalergard, jadący z brzegu, ospowaty mężczyzna ogromnego wzrostu ujrawszy przed sobą Rostowa, z którym nieuniknienie miał się zderzyć, nachmurzył się gniewnie. Kawalergardów z pewnością zwałiby z nóg Rostowa wraz z jego Beduinem (Rostow sam sobie wydał się tak mały i słabutki w porównaniu z tymi olbrzymimi ludźmi i końmi), gdyby Rostow nie wpadł na pomysł i nie machnął nahażem w oczy konia kawalergardzkiego. Ciężki kary koń rzucił się w bok stuliwszy uszy, lecz ospowaty kawalergard wpakował mu z rozmachu olbrzymie ostrogi w boki i koń, machnąwszy ogonem, popędził jeszcze szybciej wyciągając szyję. Zaledwie kawalergardzi minęli Rostowa, gdy usłyszał ich: „Hura!”, i obejrawszy się ujrzał, iż przednie ich szeregi zmieszały się z obcymi kawalerzystami w czerwonych epoletach, prawdopodobnie Francuzami. Dalej nic nie można było zobaczyć, ponieważ zaraz potem skądś zaczęły strzelać armaty i dym wszystko przysłonił.

W chwili gdy kawalergardzi, minąwszy go, skryli się w dymie, Rostow zawahał się, czy ma pędzić za nimi, czy jechać tam, gdzie powinien. Był to właśnie ów świetny atak kawalergardów, który podziwiali i Francuzi. Rostow z przerażeniem słyszał potem, że z całej tej ławy pięknych olbrzymów, z całej tej świetnej młodzieży, oficerów i junkrów, na bezcennych koniach, którzy pędzili obok niego, po ataku zostało tylko osiemnastu ludzi.

„Co mam im zazdrościć? Moje i tak mnie nie minie, a teraz może ujrzę cesarza!” – pomyślał Rostow i popędził dalej.

Zrównawszy się z piechotą gwardii zauważył, że przed nią i wokół niej przelatują pociski, stwierdził to nie dlatego, że słyszał odgłos pocisków, ale że na twarzach żołnierzy ujrzał niepokój, a na twarzach oficerów nienaturalny, marsowo uroczysty wyraz.

Przejeżdżając za linią jednego z gwardyjskich pułków piechoty dosłyszał głos wołający go po nazwisku:

– Rostow!

– Co? – odezwał się nie poznając Borysa.

– A jakże, znaleźliśmy się w pierwszej linii! Nasz pułk był w ataku! – rzekł Borys uśmiechając się tym radosnym uśmiechem, który miewają młodzi ludzie, wachający proch po raz pierwszy.

Rostow zatrzymał się.

– Ach, tak – rzekł. – No i co?

– Odparliśmy! – z ożywieniem rzekł Borys stając się gadatliwy. – Możesz to sobie wyobrazić?

I Borys jął opowiadać, w jaki sposób gwardia, zajmując stanowiska i ujrawszy przed sobą wojsko, wzięła je za Austriaków. I nagle z pocisków, które padały od tamtych wojsk, zrozumiała, że jest w pierwszej linii, i niespodziewanie zmuszona była wkroczyć do boju. Rostow, nie dosłuchawszy do końca, spiął konia.

– A ty dokąd? – zapytał Borys.

– Z poleceniem do jego cesarskiej mości.

– Oto i on! – rzekł Borys, który nie dosłyszawszy myślał, że Rostowowi potrzeba „jego cesarzewiczowskiej” zamiast „cesarskiej mości”.

I pokazał mu wielkiego księcia, który o sto kroków od nich, w kasku, w kolecie kawalergardzkim, z uniesionymi i nastroszonymi brwiami, coś krzyczał do białego i bladego oficera austriackiego.

– Ależ to wielki książę, a ja jadę do naczelnego wodza albo do cesarza – rzekł Rostow i już spiął konia.

– Hrabio, hrabio – wołał Berg, równie ożywiony jak Borys, podbiegając z drugiej strony – hrabio, zostałem ranny w prawą rękę (mówił ukazując dłoń okrwawioną, przewiazaną chusteczką do nosa), a zostałem w linii. Hrabio, trzymam szpadę w lewej ręce. W naszym rodzie von Bergów wszyscy byli rycerzami, hrabio.

Berg jeszcze coś tam mówił, lecz Rostow, nie dosłuchawszy do końca, już jechał dalej.

Minąwszy gwardię i wolną przestrzeń między oddziałami, Rostow, aby znowu jak wtedy, gdy trafił pod atak kawalergardów, nie znaleźć się w pierwszej linii, jechał linią rezerw objeżdżających daleko miejsca, skąd słychać było najgorętszy ogień i kanonadę. Nagle przed sobą, z tyłu za naszymi wojskami, w miejscu, gdzie w żadnym razie nie mógł przypuszczać obecności nieprzyjaciela, dosłyszał bliską strzelaninę karabinową.

„Cóż to może być? – pomyślał Rostow. – Przeciwnik na tyłach naszych oddziałów? To niemożliwe – pomyślał i nagle opadł go strach o siebie i o przebieg bitwy. – Jakkolwiek jest, jednak – pomyślał – teraz już nie ma co objeżdżać. Muszę poszukać naczelnego wodza tutaj i jeżeli wszystko stracone, to i ja powinienem zginąć tu razem ze wszystkimi.”

Złe przecucie, które nagle ogarnęło Rostowa, potwierdzało się tym dobitniej, im dalej wjeżdżał w przestrzeń zajętą przez skupiska różnorodnych oddziałów, znajdujących się za wsią Prätzen.

– Co to? Co to? Do kogo strzelają? Kto strzela? – zapytywał Rostow zrównawszy się z żołnierzami rosyjskimi i austriackimi, uciekającymi zmieszany kupami i przecinającymi mu drogę.

– A diabli ich wiedzą! Rozbił wszystkich! Wszystko ginie! – odpowiadały mu po rosyjsku, po niemiecku i po czesku tłumy uciekających, równie jak on nie rozumiejących, co się tu dzieje.

– Bij Niemców! – krzyczał jeden.

– Pał ich kat, zdrajców!

– *Zum Henker, diese Russen!*...<sup>333</sup> – burczał jakiś Niemiec.

Drogą szło kilku rannych. Przekleństwa, krzyki, jęki zlewały się w jedną ogólną wrzawę. Strzelanina przycichła, a jak Rostow dowiedział się później, strzelali do siebie wzajemnie żołnierze rosyjscy i austriaccy.

<sup>333</sup> Do kata z tymi Rosjanami!...



„Mój Boże! Cóż to jest! – myślał Rostow. – I to tutaj, gdzie w każdej chwili może ich ujrzeć cesarz. Ale nie, z pewnością to tylko pewna liczba łajdaków. To minie, będzie inaczej. To być nie może – myślał. – Byle prędzej, prędzej ich minąć!”

Myśl o przegranej i o ucieczce nie mogła Rostowowi pomieścić się w głowie. Mimo iż widział francuskie wojsko i działa właśnie na wzgórzu Pratzen, tam gdzie mu kazano szukać naczelnego wodza, nie mógł i nie chciał w to wierzyć.

## XVIII

Rostowowi kazano szukać Kutuzowa i cesarza w pobliżu wsi Pratzen. Ale tu nie było nie tylko ich, lecz nie było w ogóle żadnego dowódcy, tylko różne skupiska rozbitych oddziałów. Poganiał zmęczonego już konia, byle prędzej przez te tłumy przejechać, lecz im dalej się posuwał, tym bardziej zdezorientowane były tłumy. Karety, najrozmaitsze pojazdy, żołnierze rosyjscy i austriaccy wszystkich rodzajów broni, ranni i nieranni tłoczyli się na gościńcu, na który wjechał. Wszystko to wrzało i roilo się w zamęcie przy posepnym huku pocisków, lecących z baterii francuskich umieszczonych na wzgórzach Pratzen.

– Gdzie cesarz? Gdzie Kutuzow? – zapytywał Rostow każdego, kogo mógł zatrzymać, i od nikogo nie mógł otrzymać odpowiedzi.

Wreszcie porwawszy żołnierza za kołnierz zmusił go do odpowiedzi.

– He! bratku! Już dawno wszyscy tam zwiali przed siebie! – rzekł do Rostowa żołnierz wyrrywając się i z czegoś się śmiejąc.

Puściwszy tego żołnierza, który był widocznie pijany, Rostow zatrzymał konia luzaka czy berajtera jakiejś wysokiej osobistości i jął go wypytywać. Luzak objaśnił Rostowa, iż cesarza przed godziną wieziono całym pędem w karecie tą właśnie drogą i że cesarz jest niebezpiecznie ranny.

– Nie może być – powiedział Rostow – chyba ktoś inny.

– Sam widziałem – powiedział luzak z uśmiechem pewności siebie. – Pora by mi już znać cesarza: chyba nieraz widywałem go w Petersburgu, ot, tak z bliska. Błady, bładziutki siedzi w karecie. Jak się nie rozpędzi czwórka karych – wszyscy święci, aż zagrzmiało! Pora by mi chyba znać i carskie konie, i Ilię Iwanycza, chyba z nikiem innym stangret Ilia nie jeździ, tylko z carem.

Rostow puścił jego konia i chciał jechać dalej. Idący obok ranny oficer zwrócił się do niego.

– A kogo pan szuka? – zapytał oficer. – Naczelnego wodza? Ależ zabity pociskiem. Ugodzony w pierś, przy naszym pułku.

– Nie zabity, ranny – poprawił inny oficer.

– Ale kto? Kutuzow? – zapytał Rostow.

– Nie Kutuzow, a jak mu tam... ale to wszystko jedno, niewielu zostało przy życiu. Ruszaj pan tam, do tej wsi – rzekł oficer wskazując na wieś Hostiehradek i minął go.

Rostow jechał stępą, nie wiedząc, do kogo i po co teraz pojedzie. Cesarz raniony, bitwa przegrana. Teraz niepodobna już było temu nie wierzyć. Rostow jechał w tym kierunku, który mu wskazano, gdzie widniały z dala wieże i kościół. Dokąd miał się spieszyć? Co miał teraz do powiedzenia cesarzowi lub Kutuzowowi, gdyby nawet pozostali przy życiu i nie byli ranni.

– Wasza wielmożność, proszę jechać tamtą drogą, bo tu zabijają na miejscu – zawołał do niego żołnierz. – Tu zabijają!

– E, co ty gadasz! – powiedział inny. – Jakże on tam pojedzie? Tutaj bliżej.

Rostow po namyśle pojedzał w tym właśnie kierunku, gdzie mu powiadano, że go zabijają.

„Teraz mi wszystko jedno: skoro już cesarz ranny, a ja mam się chronić?” – myślał. Wjechał w ten obszar, gdzie najwięcej ginęło ludzi spośród uciekających z Pratzen. Francuzi jesz-

cze nie zajmowali tego miejsca, a Rosjanie, ci, którzy pozostali przy życiu lub ranni, dawno je opuścili. Niby kopy na dobrej niwie, na każdym zagonie leżało z dziesięciu, piętnastu zabitych, rannych. Ranni spęzali po dwóch, trzech razem, słychać było przykre i, jak zdawało się Rostowowi, niekiedy przesadne ich jęki i krzyki. Rostow puścił konia klusem, aby nie widzieć tych wszystkich cierpiących ludzi, i zrobiło mu się straszno. Bał się nie o własne życie, ale o to męstwo, które było mu niezbędne i które, jak wiedział, nie znieśie widoku tych nieszczęśliwych.

Francuzi, którzy przestali strzelać w to usiane trupami pole, bo już na nim nie było nic żywego, dostrzegłszy jadącego adiutanta skierowali na niego działo i wystrzelili kilka pocisków. Wrażenie tych świszających, strasznych odgłosów i leżące dokoła trupy – wszystko to złało się w Rostowie w jedno uczucie przerażenia i żalości nad sobą. Wspomniał ostatni list matki. „Cóż by ona czuła – pomyślał – gdyby mnie widziała teraz tutaj, na tym polu, ze skierowanymi na mnie armatami?”

We wsi Hostiehradek znajdowały się nieco pomieszane, lecz wszelako w większym już porządku wojska rosyjskie, uchodzące z pola bitwy. Tu francuskie pociski już nie sięgały, odgłosy zaś strzelaniny zdawały się dalekie. Tu już wszyscy jasno widzieli i mówili, iż bitwa została przegrana. Nikt, do kogokolwiek zwracał się Rostow, nie mógł powiedzieć mu, ani gdzie przebywa cesarz, ani gdzie przebywa Kutuzow. Jedni powiadali, że pogłoska o ranie cesarza jest prawdziwa, drudzy powiadali, że nie, i objaśniali rozpowszechnienie tej fałszywej pogłoski tym, iż rzeczywiście w karecie cesarza pędził z pola bitwy błady, wystraszony marszałek dworu, hrabia Tołstoj, który wraz z innymi wyjechał w świcie cesarza na pole bitwy. Pewien oficer powiedział Rostowowi, że za wsią na lewo widział kogoś z wyższego dowództwa, i Rostow pojechał tam, już nie spodziewając się znaleźć kogokolwiek, lecz jedynie dlatego, aby mieć czyste sumienie. Ujechawszy ze trzy wiorsty i minawszy ostatnie oddziały rosyjskie, Rostow ujrzał przy okopanym rowem ogrodzie dwóch jeźdźców stojących naprzeciw rowu. Jeden z nich, z białym pióropuszem na kapeluszu, wydał się Rostowowi nie wiadomo czemu znajomy, drugi, nieznanego jeźdźca na wspaniałym kasztanowatym koniu (koń ten wydał się Rostowowi znany) podjechał do rowu, uderzył konia ostrogami i puszczając wodze, lekko przeskoczył przez rów ogrodu. Tylko ziemia posypała się z nasypu spod tylnych kopyt końskich. Zawróciwszy ostro konia, znowu przeskoczył rów z powrotem i z szacunkiem zwrócił się do jeźdźcy z białym pióropuszem, proponując mu widocznie, by uczynił to samo. Jeździec, którego postać wydała się Rostowowi znana i nie wiadomo czemu mimo woli przykuwała do siebie jego uwagę, zrobił odmowny gest głową i ręką i z tego gestu Rostow poznał natychmiast swego opłakiwanego, ubóstwianego cara. „Ależ niemożliwe, aby to był on, sam jeden wśród tego pustego pola?” – pomyślał Rostow. W tej chwili Aleksander odwrócił głowę i Rostow ujrzał drogie rysy, tak mocno utrwalone w pamięci. Cesarz był błady, twarz miał ściągniętą, a oczy zapadłe, lecz tym więcej powabu i łagodności było w jego rysach. Rostow był szczęśliwy przekonawszy się, że wieść o ranie cesarza jest bezpodstawna. Był szczęśliwy, że go widzi. Wiedział, iż mógł, nawet powinien był zwrócić się bezpośrednio do niego i przekazać to, co Dołgorukow rozkazał przekazać.

Lecz jak zakochany młodzian drży, omdlewa nie śmiejąc wypowiedzieć tego, o czym marzy nocami, a gdy nastąpi upragniona chwila i znajdzie się sam na sam z nią, rozgląda się ze strachem, szukając pomocy, możliwości odroczenia i ucieczki – podobnie Rostow teraz osiągnawszy to, czego pragnął więcej niż wszystkiego na świecie, nie wiedział, jak podejść do cesarza, i napłynęło mu tysiące myśli, dlaczego mogło to być nieprzyzwoite, niestosowne i niemożliwe.

„Jakże to! Jak gdybym rad był z możliwości wykorzystania tego, że on jest samotny i zgębiony. W tej chwili smutku obca twarz może wydać mu się przykra i uciążliwa, poza tym coż ja mogę mu teraz powiedzieć, gdy przy jednym spojrzeniu na niego zamiera mi serce i zasycha w gardle?” Nie przychodziło mu do głowy ani jedno z tych niezliczonych przemó-

wień, które układał w swej wyobraźni zwracając je do cesarza. Przemówienia te wygłaszał w całkiem odmiennych okolicznościach, wypowiadał je przeważnie w chwilach zwycięstw i triumfów, a najczęściej na łożu śmierci z odniesionych ran, podczas gdy cesarz dziękował mu za bohaterskie czyny, a on umierając wyznawał mu swą miłość, stwierdzoną czynem.

„Poza tym na cóż będę zapytywał cesarza o rozkazy co do prawego skrzydła, gdy jest już teraz czwarta po południu, a bitwa przegrana? Nie, stanowczo nie powinienem podjeżdżać do niego, nie powinienem zakłócać jego zadumy. Lepiej tysiąc razy umrzeć, niż miałby źle na mnie spojrzeć, źle o mnie pomyśleć” – postanowił Rostow i ze smutkiem, z rozpaczą w sercu pojechał dalej, oglądając się bezustannie na cesarza, wciąż jeszcze stojącego w tej samej niezdecydowanej postawie.

W tym czasie gdy Rostowa nawiedzały te myśli i gdy z żalem odjeżdżał od cesarza, kapitan von Toll przypadkowo przybył na to miejsce i ujrawszy cesarza podjechał wprost do niego. Zaproponował swe usługi i pomógł pieszo przejść przez rów. Cesarz, pragnąc odpocząć i czując się źle, usiadł pod jabłonią. Toll zaś zatrzymał się opodal. Rostow z daleka z żalem i zawiścią widział, jak von Toll coś długo i gorąco wywodził cesarzowi, jak cesarz, płacząc najwidoczniej, zakrył oczy ręką i uściśnął Tollowi dłoń.

„I to ja mógłbym być na jego miejscu!” – pomyślał Rostow i, ledwie powstrzymując łzy współczucia z powodu losu cesarza, pojechał dalej w zupełnej rozpacz, nie wiedząc, gdzie i po co teraz jedzie.

Jego rozpacz była tym silniejsza, iż czuł, że przyczynę strapienia stanowi jego własna słabość.

Mógłby... nie tylko mógłby, ale powinien był podjechać do cesarza. I to była jedyna sposobność, by okazać cesarzowi swe poświęcenie. I on tej okazji nie wykorzystał... „Co ja najlepszego zrobiłem?” – pomyślał. Zawrócił konia i pogalopował z powrotem na to miejsce, gdzie widział cesarza, lecz za rowem nikogo już nie było. Jechały tylko furgony i powozy. Od jednego z woźniców Rostow dowiedział się, że sztab Kutuzowa znajduje się niedaleko, we wsi, dokąd zdążyły tabory. Rostow pojechał za nimi.

Przed nim szedł berajter Kutuzowa, prowadząc konie pod czaprakami. Za berajterem jechał furgon, a za furgonem szedł stary sługa z krzywymi nogami, w kaszkiecie i kozuszk.

– Ticie, hej, Ticie! – rzekł berajter.

– A bo co? – odpowiedział stary z roztargnieniem.

– Ticie! Kiedy młóćcie?

– Tfu, głupiec! – rzekł stary splunawszy gniewnie. Po jakimś czasie milczącej jazdy żart ten powtórzył się znowu.

O piątej wieczorem bitwa była przegrana na wszystkich punktach. W posiadaniu Francuzów znalazło się już ponad sto dział.

Przebyszewski ze swoim korpusem złożył broń. Inne kolumny straciwszy około połowy ludzi cofały się bezładnymi, nieporządnymi gromadami.

Niedobitki wojsk Langerona i Dochturowa tłoczyły się w zamęcie na groblach i przy stawach, i na skrajach wsi August.

O szóstej jedynie przy grobli augusteńskiej jeszcze rozlegała się gorąca kanonada ze strony Francuzów, którzy ustawili liczne baterie na stoku wzgórz Pratzen i bili w nasze cofające się wojska. W ariergardzie Dochturow oraz inni zbierając batalion ostrzeliwali się francuskiej kawalerii, ścigającej naszych. Zaczynało się zmierzchać. Na wysokiej grobli Augustu, na której tyle lat siadywał w spokoju staruszek-młynarz w dzianym kołpaku, z wędką w ręku, podczas gdy wnuk jego zakasawszy rękawy koszuli przebierał w konewce srebrzyste drgające ryby, na tej samej grobli, po której tyle lat przejeżdżali spokojnie Morawianie, w kosmatych czapkach i granatowych kurtkach, na swych wozach zaprzężonych w parę koni, załadowanych pszenicą, i wracali tą samą groblą umęczeni, na białych wozach – na tej właśnie wąskiej grobli teraz wśród wozów i dział, pod koźmi i między kołami tłoczyli się oszpecceni strachem

śmierci ludzie, trając się wzajemnie, umierając, przeskakując przez umierających i zabijając jeden drugiego po to jedynie, aby po przejściu kilku kroków zostać w ten sam sposób zabitym.

Co dziesięć sekund, prując powietrze, plaskał pocisk albo wybuchał granat wśród tego gęstego tłumu, zabijając, opryskując krwią tych, co stali w pobliżu. Dołochow, ranny w rękę, pieszko, z dziesiątkiem żołnierzy swej rotacji (był już oficerem) i jego dowódca pułku, konno, przedstawiali niedobitki całego pułku. Napierani przez tłum wcisnęli się na groblę i stanęli u wjazdu ściśnięci ze wszystkich stron, ponieważ przed nimi padł koń przy armacie i tłum go wyciągał. Pocisk zabił kogoś za nimi, drugi uderzył z przodu i obryzgał Dołochowa krwią. Tłum przesunął się w desperacji, zwarł się, ruszył kilka kroków i stanął ponownie.

„Przejdę te sto kroków i ocalenie pewne, postoję tu dwie minuty i zguba pewna” – myślał każdy.

Dołochow, stojący wśród tłumu, rzucił się na skraj grobli zwalwszy z nóg dwóch żołnierzy i zbiegł na śliski lód, który pokrywał staw.

– Skręcać! – wołał podskakując na lodzie, który pod nim trzeszczał. – Skręcać! – krzyczał w stronę działa. – Trzyma!

Lód go utrzymał, ale uginając się i trzeszcząc. Było rzeczą oczywistą, że załamał się nie tylko pod działem czy tłumem ludzkim, ale nawet pod nim samym. Patrzyli na niego i cisnęli się do brzegu nie decydując się jeszcze wejść na lód. Dowódca pułku stojący konno przy wjeździe podniósł rękę i otworzył usta zwracając się do Dołochowa. Nagle jeden z pocisków tak nisko zawarczał nad tłumem, że wszyscy się pochylili. Coś trzępnęło mokro i generał upadł wraz z koniem w kałużę krwi. Nikt nie spojrział na generała, nikt nie pomyślał, aby go podnieść.

– Ruszaj na lód! Ruszaj lodem! Ruszaj! Skręcaj! Czy nie słyszysz! Ruszaj! – rozległy się, gdy generał został trafiony, niezliczone głosy, same nie wiedzące, co krzyczą i po co.

Jedno z pozostających w tyle dział, które już wjeżdżało na groblę, zawróciło na lód. Z grobli zaczęły zbiegać na zamrożony staw kupy żołnierzy. Pod jednym z pierwszych lód pękł. Noga żołnierza wpadła do wody; chciał ją wydobyć i zapadł się po pas. Najbliżej stojący żołnierze zawahali się. Jezdny artyleryjski zatrzymał swego konia, ale z tyłu wciąż jeszcze rozlegały się krzyki: „Ruszać na lód, czego stoisz, ruszaj! Ruszaj!” w tłumie rozległy się okrzyki przerażenia. Żołnierze otaczający dział machali na konie i bili je, aby skręcały i posuwały się naprzód. Konie ruszyły z brzegu. Lód dotychczas trzymający pieszych, załamał się ogromnym kawałem i ze czterdziestu ludzi, będących na nim, rzuciło się, jedni naprzód, inni w tył, topiąc się wzajemnie.

Pociski wciąż tak samo równomiernie świstały i trzaskały w lód, w wodę, a najczęściej w tłum, który zalegał groblę, stawy i brzeg.

## XIX

Książę Andrzej Bołkoński brocząc krwią leżał na wzgórzu Pratzen w tym samym miejscu, gdzie padł z drzewcem sztandaru w rękach, i sam o tym nie wiedząc pojękiwał cicho, żałośnie, dziecinnie.

Pod wieczór przestał jęczeć i przycichł zupełnie. Nie wiedział, jak długo trwał ten stan zapomnienia. Nagle znowu poczuł się żywy, cierpiący od jakiegoś piekącego bólu, rozdzierającego mu głowę.

„Gdzież ono, to wysokie niebo, którego nie znałem dotychczas, a dziś ujrzałem?” To była jego pierwsza myśl. „I tego cierpienia nie znałem również – pomyślał. – Ba, nic nie wiedziałem dotychczas. Ale gdzie jestem?”

Jał nasłuchiwać i usłyszał zbliżający się tętent koni i głosy mówiące po francusku. Rozwarł oczy. Miał nad sobą znowu wciąż to samo wysokie niebo, z jeszcze wyżej wznoszącymi się, płynącymi obłokami, przez które widniała lazurowa nieskończoność. Nie odwracał głowy i nie widział tych, którzy, sądząc z odgłosu kopyt i mowy, podjechali ku niemu i zatrzymali się.

Jeźdźcem, który nadjechał, był Napoleon w towarzystwie dwóch adiutantów. Bonaparte, objeżdżając pole bitwy, wydawał ostatnie rozkazy co do wzmocnienia baterii ostrzeliwujących groblę w Augest i przyglądał się zabitym i rannym, którzy pozostawali na polu bitwy.

– *Des beaux hommes!*<sup>334</sup> rzekł Napoleon patrząc na zabitego grenadiera rosyjskiego, który, przywarłszy twarzą do ziemi, ze szerniałym karkiem leżał na brzuchu, odrzuciwszy daleko jedną rękę już stężałą.

– *Les munitions des pièces de position sont épuisées, Sire!*<sup>335</sup> – rzekł w tej chwili adiutant przybyły z baterii, które ostrzeliwały Augest.

– *Faites avancer celles de la réserve*<sup>336</sup> – rzekł Napoleon, a odjechawszy kilka kroków przystanął nad księciem Andrzejem, leżącym na wznak z porzuconym tuż drzewcem sztandaru (sztandar został już zabrany przez Francuzów jako trofeum).

– *Voilà une belle mort*<sup>337</sup> – rzekł Napoleon patrząc na Bołkońskiego.

Książę Andrzej zrozumiał, że to o nim i że to mówi Napoleon. Słyszał, jak tego, który wypowiedział te słowa, tytułowano *Sire*<sup>338</sup>. Ale słyszał te słowa, jakby słuchał brzęczenia muchy. Nie tylko nie interesował się nimi, ale ich nawet nie zauważył i zaraz zapomniał. Głowa go paliła, czuł, że spływa krwią, i widział nad sobą dalekie, wysokie, wiekiście niebo. Wiedział, że to jest Napoleon – jego bohater, lecz w tej chwili Napoleon wydawał mu się tak małym, mizernym człowiekiem w porównaniu z tym, co odbywało się teraz między jego duszą i tym wysokim, nieskończonym niebem z sunącymi po nim obłokami. W tej chwili było mu zupełnie wszystko jedno, kto tam stoi nad nim, co tam o nim mówił; rad był tylko z tego, że ludzie zatrzymali się przy nim, i pragnął tylko, aby owi ludzie dopomogli mu i przywrócili go życiu, które wydawało mu się tak piękne, ponieważ rozumiał je obecnie w tak odmienny

<sup>334</sup> Dzielni ludzie!

<sup>335</sup> Pociski w baterii wyszły, najjaśniejszy panie!

<sup>336</sup> Każ pan wydać z rezerw.

<sup>337</sup> Oto piękna śmierć.

<sup>338</sup> Najjaśniejszy panie.

sposób. Zebrał wszystkie swe siły, aby poruszyć się i wydać jakikolwiek dźwięk. Poruszył słabo nogą i wydał słaby, bolesny jęk, który go samego rozżalił.

– O! On żyje – rzekł Napoleon. – Podnieście tego młodego człowieka, *ce jeune homme*, i zabierzcie na punkt opatrunkowy.

Wyrzekłszy to, Napoleon pojechał dalej naprzeciw marszałka Lannesa, który zdjawszy kapelusz, z uśmiechem, gratulując zwycięstwa podjeżdżał do cesarza.

Książę Andrzej nic więcej nie pamiętał: stracił przytomność z powodu strasznego bólu, który sprawiło mu układanie na noszach, wstrząsy podczas ruchu i sondowanie rany na punkcie opatrunkowym. Ocknął się dopiero pod koniec dnia, gdy dołączywszy do innych rannych rosyjskich oraz wziętych do niewoli oficerów, przeniesiono go do lazaretu. Podczas tych przenosin czuł się nieco żwawszy, mógł rozglądać się, a nawet mówić.

Pierwsze słowa, które dosłyszał po ocknięciu się, były słowami francuskiego oficera z konwoju, który mówił spiesźnie:

– Należy zatrzymać się tutaj: cesarz zaraz będzie przejeżdżał. Widok tych wziętych do niewoli panów sprawi mu zadowolenie..

– Dziś mamy tak dużo jeńców,omal nie cała armia rosyjska, że prawdopodobnie już mu się to przejadło – rzekł drugi oficer.

— A jednak! Powiadają, że to dowódca całej gwardii cesarza Aleksandra – rzekł pierwszy wskazując na rannego oficera rosyjskiego w białym mundurze kawalergarda.

Bołkoński poznał księcia Repnina, którego widywał w petersburskim świecie. Obok niego stał inny, dwudziestoletni chłopiec, również ranny oficer kawalergard.

Bonaparte podjechawszy galopem zatrzymał konia.

– Który najstarszy? – rzekł ujrawszy rannych. Wymieniono pułkownika, księcia Repnina.

– Jesteś pan dowódcą kawalergardów cesarza Aleksandra? – zapytał Napoleon.

– Dowodziłem szwadronem – odrzekł Repnin.

– Wasz pułk rzetelnie wypełnił swój obowiązek – rzekł Napoleon.

– Pochwała wielkiego wodza to najlepsza nagroda dla żołnierza – rzekł Repnin.

– Udzielam jej wam z satysfakcją – rzekł Napoleon.

– Któż to jest ten młody człowiek koło pana?

Książę Repnin wymienił nazwisko porucznika Suchtelena.

Popatrzawszy na niego Napoleon rzekł z uśmiechem:

– *Il est venu bien jeune se froter à nous.*<sup>339</sup>

– Młodość nie przeszkadza być odważnym – rzekł Suchtelen załamującym się głosem.

– Piękna odpowiedź – powiedział Napoleon. – Młodzieńcze, zajdziesz daleko!

Książę Andrzej, również wysunięty przed oczy cesarskie dla uzupełnienia jenieckiego trofeum, nie mógł nie przyciągać jego uwagi. Napoleon widocznie przypomniał sobie, że widział go na polu bitwy, i zwracając się do niego użył tego samego określenia „młodzieńcze, *jeune homme*”, pod którym Bołkoński po raz pierwszy utrwalił się w jego pamięci!

– *Et vous, jeune homme?* No a pan, młodzieńcze? – zwrócił się do niego. – Jak się pan czuje, *mon brave?*<sup>340</sup>

Nie bacząc na to, że pięć minut temu książę Andrzej mógł wyrzec kilka słów do żołnierzy, którzy go przenosili, teraz milczał utkwivszy swoje oczy prosto w Napoleonie. Tak mizerne wydawały mu się w tej chwili wszystkie sprawy, które zaprzętały Napoleona, tak małostkowy wydał mu się sam jego bohater, z tą małostkową chępliwą radością ze zwycięstwa, w porównaniu z tym wysokim, sprawiedliwym i dobrym niebem, które on widział i zrozumiał – iż nie mógł mu odpowiedzieć.

Ale i wszystko zdawało mu się tak daremne i mizerne w porównaniu z tym surowym dostojnym układem myśli, który wywołało w nim osłabienie z powodu upływu krwi, cierpienie i

<sup>339</sup> Taki młody, a porwał się na walkę z nami.

<sup>340</sup> Mój zuchu.

oczekiwanie bliskiej śmierci. Patrząc w oczy Napoleona książe Andrzej myślał o nicości potęgi, nicości życia, którego znaczenia nikt nie może zrozumieć, i o jeszcze większej nicości śmierci, której sensu pojąć ani wyjaśnić nie może nikt z żyjących.

Cesarz nie doczekawszy się odpowiedzi odwrócił się i odjeżdżając rzekł do jednego z dowódców:

– Proszę zatroszczyć się o tych panów i przewieźć ich na mój biwak; niech mój chirurg, Larrey, zbada ich rany. Do widzenia, książe – zwrócił się do Repnina, spiął konia i pojechał dalej galopem.

Na twarzy miał blask szczęścia i zadowolenia z siebie. Żołnierze, którzy przynieśli byli księcia Andrzeja i zdjęli znaleziony na nim złoty obrazek, który bratu zawiesiła księżniczka Maria – dostrzegłszy łaskawość, z jaką cesarz zwracał się do jeńców, spieszenie zwrócili obrazek.

Książe Andrzej nie widział, kto i jak nałożył mu go z powrotem, lecz na piersi jego, na mundurze, nagle znalazł się obrazek na cieniutkim złotym łańcuszku.

„Dobrze by to było – pomyślał książe Andrzej spojrzawszy na ów obrazek, który z takim uczuciem i czcią zawiesiła mu siostra – dobrze by było, gdyby wszystko było takie jasne i proste, jak się to wydaje księżniczce Marii. Jak dobrze byłoby wiedzieć, gdzie szukać pomocy w tym życiu i czego oczekiwać po jego zakończeniu, później, tam, za grobem. Jakże byłbym szczęśliwy i spokojny, gdybym mógł teraz powiedzieć: «Panie, zmiłuj się nade mną!...» Ale komu ja to powiem? Albo to siła, nieokreślona, niezbadana, do której ja nie tylko nie mogę się zwracać, ale której nie mogę wyrazić słowami – wielkie wszystko lub wielkie nic – mówił sam do siebie – albo to jest ten Bóg, który został tu zaszyty, w tym szkaplerzu, przez księżniczkę Marię? Nic, nie ma nic pewnego, poza nicością wszystkiego tego, co rozumiem, i wielkością czegoś niepojętego, lecz najważniejszego!”

Nosze ruszyły. Przy każdym wstrząsie znowu czuł ból nie do zniesienia, stan gorączkowy wzmógł się, książe Andrzej wpadł w malignę. Owe rojenia o ojcu, żonie, siostrze i o przyszłym synu, tkliwość, której zaznał nocą w przeddzień bitwy, postać małego, marnego Napoleona, a nad tym wszystkim wysokie niebo – stanowiły główną ośnowę jego gorączkowych majaczeń.

Majaczyło mu się ciche życie, spokojne szczęście rodzinne w Łysych Górach. Już rozkoszował się tym szczęściem, gdy nagle zjawił się mały Napoleon ze swym spojrzeniem obojętnym, ograniczonym, szczęśliwym z nieszczęścia innych ludzi, i wszczynają się zwątpienia, udreki, i tylko niebo obiecywało ukojenie. Nad ranem wszystkie rojenia zmieszały się, zwały się w chaos, w mrok niepamięci, zapomnienia, które zdaniem samego Larreya, Napoleono-wego lekarza, miały się raczej skończyć śmiercią, niżli wyzdrowieniem.

– *C'est un sujet nerveux et bilieux* – rzekł Larrey. – *Il n'en réchappera pas.*<sup>341</sup>

Książe Andrzej wraz z innymi beznadziejnie rannymi został oddany pod opiekę ludności.

## KONIEC TOMU PIERWSZEGO

---

<sup>341</sup> To osobnik nerwowy i żółciowy... Nie wylize się z tego.



## **TOM DRUGI**

### **CZEŚĆ PIERWSZA**

## I

W początkach 1806 roku Mikołaj Rostow wrócił na urlop. Denisow również jechał do domu, do Woroneża, i Rostow namówił go, by pojechał z nim do Moskwy i zatrzymał się u nich w domu. Denisow na przedostatniej stacji spotkał kamrata, wypił z nim trzy butelki wina i dojeżdżając do Moskwy, mimo wybojów na drodze, spał bez przebudzenia, leżąc na dnie obszernych sań obok Rostowa, który w miarę zbliżania się do Moskwy wpadał w coraz większą niecierpliwość.

„Czy prędko? Czy prędko? O, te nieznośne ulice, sklepy, kołacze, latarnie, dorożkarze!” – myślał Rostow, gdy już wpisali swe dokumenty urlopowe na rogatce i wjechali do Moskwy.

– Denisow, przyjechaliśmy! Śpi – mówił podając się naprzód całym ciałem, jakby przez tę postawę spodziewał się przyśpieszyć ruch sań. Denisow nie odpowiadał.

– Oto róg na skrzyżowaniu, gdzie ma postój dorożkarz Zachar, otóż i sam Zachar, i koń wciąż ten sam. Oto i sklepik, gdzie kupowaliśmy pierniki. Czy prędko? No!

– A do jakiego to domu? – spytał woźnica.

– A tam, na końcu, do tego dużego, jak możesz nie wiedzieć! To nasz dom – mówił Rostow – przecie to nasz dom!

– Denisow! Denisow! Już dojeżdżamy. Denisow podniósł głowę, zakasłał i nic nie odpowiedział.

– Dymitr – zwrócił się Rostow do lokaja na koźle.

– Przecie to u nas się świeci?

– Tak, proszę wielmożnego pana, to świeci się u ojczulka w gabinecie.

– Jeszcze się nie położyli. Co? Jak myślisz?

– Pamiętaj! Nie zapomnij wyjąć mi nowej węgierki – dodał Rostow skubiąc sypiący się wąż.

– No, no, jazda – wołał do woźnicy. – Ależ zbudź się, Wasia – zwrócił się do Denisowa, któremu głowa znowu opadła.

– A nuże, jazda, trzy ruble na wódkę, jazda! – wykrzyknął Rostow, gdy sanie już były o trzy domy od podjazdu. Zdawało mu się, że konie stoją w miejscu. Wreszcie sanie skrzyły na prawo do podjazdu, nad głową Rostow dostrzegł znajomy gzyms z odbitą sztukaterią, ganek, słup na chodniku. W biegu wyskoczył z sań i pobiegł do sieni. Dom trwał wciąż nieruchomo, niezyczliwie, jakby nic go nie obchodził ten, co do niego przybył. W sieni nie było nikogo. „Mój Boże, czy aby wszystko w porządku?” – pomyślał Rostow przystanąwszy na chwilę z zamierającym sercem i znowu pędząc dalej przez sień i po znanych spaczonych stopniach. Wciąż ta sama kłamka u drzwi, o którą hrabina zawsze gniewała się, że jest źle czyszczona, otwierała się wciąż tak samo słabo. W przedpokoju paliła się jedna łożowa świeca.

Stary Michajło spał na skrzyni. Hajduk Prokofij, ten, co był taki mocny, że podnosił karetkę za tylne resory, siedział i plótl łapcie z krajki. Spojrzał na otwierające się drzwi i obojętna, senna jego twarz nagle przybrała wyraz przestraszonego zachwyty.

– Święci Pańscy! Młody hrabia! – zawołał poznawszy młodego pana. – Co też to? Serdeńko moje! – i Prokofij dygocąc ze wzruszenia popędził do drzwi bawialni, prawdopodobnie po

to, by meldować, ale znowu, rozmyśliwszy się widać, zawrócił i przypadł do ramienia młodego pana.

– Wszyscy zdrowi? – zapytał Rostow wrywając mu swą rękę.

– Chwała Bogu! Wszyscy, chwalić Boga! Dopiero co zjedli. Pozwólże popatrzeć na siebie, jaśnie panie!

– Wszystko w zupełnym porządku?

– Chwała Bogu, chwała Bogu!

Rostow, zapomniawszy zupełnie o Denisowie, nie chcąc, aby ktokolwiek uprzedził domowników, zrzucił futro i na palcach biegł przez ciemny, wielki salon. Wszystko to samo: te same stoły: te same stoliki do kart, ten sam żyrandol w pokrowcu, ale już ktoś ujrzał młodego pana, i Mikołaj nie zdołał dobiec do bawialni, gdy coś gwałtownie jak burza wypadło z bocznych drzwi, objęło go i zaczęło całować. Jeszcze druga, trzecia podobna istota wyskoczyła z drugich, trzecich drzwi, nowe uściski, nowe pocałunki, nowe okrzyki, łyzy radości. Nie mógł rozróżnić, gdzie, kto papa, kto Natasza, kto Pietia. Wszyscy krzyczeli i całowali go jednocześnie. Jedyne matki nie było – to zauważył.

– A ja, a ja nie wiedziałem... Nikołuszka... mój drogi!

– Otóż i on... nasz... Drogi Kola... Jakże się zmieniłeś! Dlaczego nie ma świec! Herbaty!

– A i mnie pocałuj!

– Duszko... a mnie?

Sonia, Natasza, Pietia, Anna Michajłowna, Wiera, stary hrabia ściskali go. Lokaje i pokojówki zapełniwszy pokój wzdychali dogadując.

Pietia zawisł na jego nogach.

– A mnie! – wołał.

Natasza, gdy przygiąwszy jego głowę ku sobie wycałowała mu całą twarz, odskoczyła od niego i trzymając za połę kurtki, skakała jak koza, wciąż na jednym miejscu i piszczała przenikliwie.

Ze wszystkich stron widać było błyszczące łzami radości kochające oczy, ze wszystkich stron wargi gotowe do pocałunków.

Sonia, cała w pąsach, również trzymała go za rękę jaśniejac uszczęśliwionym spojrzeniem, skierowanym na jego oczy, których tak wyczekiwała. Sonia skończyła już szesnaście lat, była bardzo ładna, zwłaszcza w tej chwili uszczęśliwionego ożywienia i zachwytu. Patrzyła na niego nie spuszczać oczu, uśmiechając się i wstrzymując oddech. Spojrzał na nią radośnie; ale wciąż jeszcze szukał kogoś oczyma i wyczekiwał. Stara hrabina jeszcze nie wychodziła. I oto rozległy się kroki w drzwiach, kroki tak szybkie, że to nie mogły być kroki jego matki.

Lecz to była ona, w nowej nie znanej mu sukni, uszytej w czasie jego nieobecności. Wszyscy usunęli się, a on podbiegł ku niej. Gdy podeszli ku sobie, łkając upadła mu na piersi. Nie mogła unieść twarzy i tylko przyciskała ją do zimnych szamerowań jego węgierek. Denisow, wszedłszy do pokoju, nie zauważony przez nikogo stał tuż i patrząc na nich tarł oczy.

– Wasilij Denisow, przyjaciel pańskiego syna – rzekł przedstawiając się hrabiemu, który patrzył na niego pytająco.

– Proszę bardzo. Znam, znam – rzekł hrabia obejmując i całując Denisowa. – Nikołuszka pisał... Natasza, Wiera – to Denisow.

Te same szczęśliwe, zachwycone twarze zwróciły się ku kosmatej postaci Denisowa i otoczyły go.

– Denisow, kochanie! – pisnęła Natasza i nie mogąc się opamiętać z zachwytu podbiegła ku niemu, objęła i ucałowała go. Wszystkich zmieszał postępek Nataszy. Denisow również poczerwieniał, uśmiechnął się, ujął rękę Nataszy i pocałował.

Denisowa zaprowadzono do przygotowanego dla niego pokoju, zaś Rostowowie zebrali się w bawialni dokoła Nikołuszki.

Stara hrabina nie wypuszczając jego dłoni, którą co chwila całowała, siedziała obok niego, reszta, skupiwszy się dokoła, łowiła każdy jego ruch, słowo, spojrzenie, nie spuszczać zeń rozkochanych, zachwyconych oczu. Brat i siostry walczyli o to, kto mu przyniesie herbatę, chustkę, fajkę, spierali się i odbierali sobie miejsce, byle być bliżej niego.

Rostow był bardzo szczęśliwy, że okazywali mu tyle miłości, lecz pierwsza chwila powitania była tak cudowna, iż obecne szczęście wydało mu się za małe i wciąż żądał czegoś jeszcze i jeszcze, i jeszcze.

Na drugi dzień przybysze spali po podróży do godziny dziesiątej.

W sąsiednim pokoju poniewierały się szable, szabeltasy, torby, otwarte kufry, brudne buty. Dwie pary z ostrogami, dopiero co wyczyszczone, stały pod ścianą. Służba niosła miednice, gorącą wodę do golenia i wyczyszczone ubrania. Pachniało tytoniem i mężczyznami.

– Hej, Griszka! Fajkę! – krzyknął ochryply głos Waśki Denisowa. – Rostow, wstawaj!

Rostow, przecierając sklezione powieki, podniósł zmierzwioną głowę z gorącej poduszki.

– A co, późno?

– Późno, już dziesiąta – odrzekł głos Nataszy, a w sąsiednim pokoju słychać było szelest nakrochmalonych spódnic, szepty i śmiechy panińskie, zaś w lekko uchylonych drzwiach mignęło coś niebieskiego, wstążki, ciemne włosy i wesołe twarze. Była to Natasza z Sonią i Pietią, którzy przyszli dowiedzieć się, czy Mikołaj wstał.

– Nikoleńka, wstawaj! – znowu rozległ się głos Nataszy przy drzwiach.

– Zaraz!

Tymczasem Pietia w pierwszym pokoju zoczywszy szable porwał je i w tym zachwyceniu, którego doznają chłopcy na widok starszego brata-wojaka, zapomniawszy, iż nie wypada, aby siostry widziały nie ubranych mężczyzn, otworzył drzwi.

– Czy to twoja szabla? – pytał. Dziewczęta uskokczyły. Denisow z przestraszonymi oczyma chował swe kosmate nogi pod kołdrę, szukając wzrokiem pomocy u kolegi. Drzwi przepuściły Pietię i przymknęły się znowu. Za drzwiami rozległ się śmiech.

– Nikoleńka, wyjdź w szlafroku – rzekł głos Nataszy.

– Czy to twoja szabla? – zapytał Pietia. – A może pańska? – zwrócił się z pokornym szacunkiem do czarnego, wąsatego Denisowa.

Rostow spiesznie obuł się, włożył szlafrok i wyszedł. Natasza włożyła jeden but z ostrogą i pakowała nogę do drugiego. Sonia obracała się chcąc właśnie rozłożyć fałdy sukni i dygnąć, gdy on wszedł. Miały na sobie jednakowe nowiutki, niebieskie suknie, były świeże, wesołe, zarumienione. Sonia uciekła, zaś Natasza ujawszy brata pod rękę zaprowadziła go do bawialni i wszczęła się między nimi rozmowa. Nie nadażali z wzajemnymi pytaniami i odpowiedziami o tysiącnych drobiazgach, które mogły zainteresować jedynie ich. Natasza śmiała się przy każdym słowie, które mówił brat i które sama mówiła, nie dlatego, żeby to, co mówili, było śmieszne, ale dlatego, że było jej wesoło i nie mogła powstrzymać swej radości wyrażającej się śmiechem.

– Ach, jak dobrze, jak wspaniale! – dodawała do każdego zdania.

Rostow poczuł, jak pod wpływem gorących promieni miłości po raz pierwszy od półtora roku na jego twarzy i w jego duszy rozkwita ten dziecinny uśmiech, którym nie uśmiechał się od czasu, gdy wyjechał z domu.

– Ależ słuchaj – rzekła Natasza. – Przecie ty teraz jesteś prawdziwy mężczyzna? Cieszę się strasznie, że jesteś moim bratem. – Dotknęła jego wąsów. – Chciałabym wiedzieć, jacy jesteście wy, mężczyźni? Czy tacy jak my? Co?

– Czemu Sonia uciekła? – dopytywał się Rostow.

– Tak. To jeszcze cała historia! A jak będziesz mówił do Soni? „Ty” czy „pani”?

– Jak się zdarzy – powiedział Rostow.

– Mów jej „pani”, proszę cię. Później ci powiem.

– Ależ co też ty?...

– No, to powiem ci teraz. Wiesz, Sonia jest moją przyjaciółką, taką przyjaciółką, że gotowam sobie rękę dla niej spalić. Popatrz no. – Zakasała muślinowy rękaw i ukazała na swej długiej, chudej, delikatnej rączce powyżej łokcia, pod ramieniem (w miejscu, które zakrywa suknia balowa) czerwoną plamę.

– Wypaliłam to, by dowieść jej mojej miłości. Po prostu rozpaliłam w ogniu linijkę i przycisnęłam.

Siedząc w dawnym pokoju szkolnym na kanapie z poduszczkami na oparciach, patrząc w zapamiętałe, ożywione oczy Nataszy, Rostow znowu wszedł w swój rodzinny dziecięcy świat, który dla nikogo poza nim nie miał żadnej treści, ale który dawał mu jedną z największych rozkoszy w życiu; nawet oparzenie ręki linijką, by okazać miłość, wcale nie wydało mu się zbyt uczucie: rozumiał to i nie dziwił się.

– No i cóż? Tylko to? – zapytał.

– Ależ my jesteśmy w takiej przyjaźni, w takiej przyjaźni! Z linijką to cóż, głupstwo, ale jesteśmy przyjaciółkami na zawsze. Jak ona kogo pokocha, to na zawsze; a ja tego nie rozumiem, ja od razu zapominam.

– No to cóż?

– Więc tak, ona kocha mnie i ciebie. – Natasza poczerwieniała nagle. – No, pamiętasz, przed wyjazdem... Ona mówi, żebyś ty o wszystkim zapomniał... Powiedziała: „Zawsze będę go kochała, ale on niech będzie wolny”. Prawda, że to wszystko jest wspaniałe, szlachetne! Prawda? Bardzo szlachetne? No nie? – pytała Natasza tak serio i z takim wzruszeniem, że widać było, iż to, co mówiła teraz, mówiła kiedyś przedtem wśród łez. Rostow zamyślił się.

– Nie cofam mego słowa w niczym – rzekł. – A poza tym Sonia to takie чудо, że tylko jakiś głupiec wyrzekłby się własnego szczęścia.

– Nie, nie! – wykrzyknęła Natasza. – Myśmy już o tym mówiły między sobą. Myśmy wiedziały, że to powiesz... Ale tak nie można, ponieważ sam rozumiesz, że skoro ty tak mówisz i uważasz się za związanego słowem, to wynika z tego, że ona jak gdyby to powiedziała umyślnie. Wynika z tego, że ty przecież żenisz się z nią pod przymusem, wynika coś całkiem odmiennego.

Rostow widział, że one wszystko to sobie dobrze obmyśliły. I wczoraj uderzyła go uroda Soni. Dziś, gdy ujrzał ją tylko na moment, wydała mu się jeszcze ładniejsza. Była to prześliczna szesnastoletnia dziewczuszka, najwidoczniej kochająca go namiętnie (nie wątpił w to ani na chwilę). Czemuż miałby jej nie kochać teraz i nawet nie ożenić się, myślał sobie Rostow. Ale... tyle teraz jeszcze innych radości i zainteresowań! „Tak, one to wspaniale obmyśliły – pomyślał. – Należy pozostać wolnym”.

– No to pięknie – powiedział. – Pomówimy później. Ach, jak się z ciebie cieszę! – dodał. – No, a cóż ty? Nie zdradziłaś Borysa? – zapytał.

– Co za głupstwa! – zawołała Natasza ze śmiechem. – Nawet o nim nie myślę, ani o kimkolwiek nawet słyszeć nie chcę.

– Więc to tak! A cóż u ciebie?

– U mnie? – zapytała Natasza i twarz jej rozjaśnił szczęśliwy uśmiech. – Widziałeś Duporta?<sup>342</sup>

– Nie.

– Nie widziałeś znamienitego Duporta, tancerza? No, to tego nie zrozumiesz. Ja teraz, ot, co. – Natasza ujęła suknię, zaokrągliwszy ręce w pozycji do tańca, odbiegła kilka kroków, obróciła się, zrobiła *entrechat*, uderzyła nóżką o nóżkę i stanawszy na samych koniuszkach trzewików przeszła kilka kroków.

– A przecie stoję? Chyba tak – mówiła: ale nie utrzymała się na paluszkach. – No, więc to tak! Nigdy nie pójdę za mąż za nikogo, pójdę na tancerkę. Tylko nie mów nikomu.

<sup>342</sup> Wg encyklopedycznych źródeł rosyjskich Duport wystąpił w Petersburgu w r. 1808, po swojej ucieczce z młodego George z Francji do Rosji.

Rostow zaśmiał się tak wesoło i donośnie, iż Denisowa w jego pokoju ogarnęła zazdrość, a i Natasza nie mogła się powstrzymać i roześmiała się razem z bratem. – Tak, ale to chyba dobrze? – mówiła wciąż.

– Dobrze. To nie chcesz już wyjść za mąż za Borysa?

Natasza zapłonila się.

– Nie chcę za nikogo wyjść za mąż. Jemu powiem to samo, gdy go zobaczę.

– Więc tak! – rzekł Rostow.

– No tak, to wszystko bagatele – paplała dalej Natasza. – A ten Denisow jest dobry? – zapytała.

– Dobry.

– No, to żegnaj. Idź się ubrać. Czy Denisow jest straszny?

– Czemu miałyby być straszny? – zapytał Nicolas.

– Nie, Waśka to wspaniały chłop.

– To ty go nazywasz Waśka?... Dziwne. A cóż on, bardzo dobry?

– Bardzo dobry.

– No, to przychodź czym prędzej na herbatę. Wypijemy wszyscy razem.

I Natasza na paluszkach wyszła z pokoju, jak to robią tancerki, ale uśmiechając się tak, jak uśmiechają się tylko szczęśliwe piętnastoletnie dziewczątka. Spotkawszy Sonię w jadalni Rostow poczerwieniał. Nie wiedział, jak ją traktować. Wczoraj ucałowali się w pierwszej chwili, lecz dziś czuli, że niepodobna tego zrobić; wiedział, iż wszyscy, i matka, i siostry, patrzyli na niego pytająco, wyczekując, jak się wobec niej zachowa. Pocałował ją w rękę i powiedział jej p a n i S o n i u. Lecz oczy ich spotkawszy się powiedziały sobie wzajemnie „ty” i ucałowały się tkliwie. Spojrzeniem swym prosiła o wybaczenie, że za pośrednictwem Nataszy ośmieliła się przypomnieć mu o jego obietnicy, i dziękowała mu za jego miłość. On swym spojrzeniem dziękował jej za ofiarowaną swobodę i mówił, że tak czy inaczej nigdy nie przestanie jej kochać, ponieważ niepodobna jej nie kochać.

– Jakie to dziwne jednak – rzekła Wiera wybrawszy chwilę ogólnego milczenia – że Sonia z Nikoleńką spotkali się teraz jak obcy. Na „pan”. – Uwaga Wiery była słuszna, podobnie jak wszystkie jej uwagi, ale, podobnie jak najczęściej po jej uwagach, wszystkim zrobiło się niezręcznie, nie tylko Soni, Mikołajowi i Nataszy. Zacerwieniła się dziewczęco również stara hrabina, obawiając się tej miłości syna do Soni, która mogła pozbawić go świetnej partii. Ku zdziwieniu Rostowa Denisow zjawił się w jadalni w nowym mundurze, napomadowany, uperfumowany, równie elegancki, jak bywał w bitwach, i tak ugrzeczniony wobec dam i kawalerów, iż Rostow nigdy by się tego po nim nie spodziewał.

## II

Wróciwszy z armii do Moskwy Mikołaj Rostow został przyjęty przez domowników jako najlepszy syn, bohater i najmilszy Nikoleńka; przez krewnych jako miły, przyjemny, pełen respektu młody człowiek; przez znajomych jako piękny porucznik huzarów, zgrabny tancerz i jedna z lepszych partii w Moskwie. Rostowowie zaliczali do swych znajomych całą Moskwę; w tym roku stary hrabia miał dość gotówki, ponieważ wszystkie jego dobra zostały zastawione, toteż Nikoleńka spędzał czas nader wesoło, trzymając własnego kłusaka, mając najmodniejsze rajtuzy, osobliwe takie, jakich nikt jeszcze w Moskwie nie miał, i najmodniejsze buty z najbardziej ostrymi noskami i maleńkimi srebrnymi ostrogami. Po pewnym okresie dopasowywania się do dawnych warunków życia Rostow wróciwszy do domu zaznał nader przyjemnego uczucia. Zdawało mu się, iż bardzo wyrósł i zmężniał. Rozpacz z powodu niezdanego egzaminu z religii, pożyczanie u Gawriły pieniędzy na dorożkarza, sekretne pocałunki z Sonią – wszystko to wspominał jako dzieciństwa, teraz niezmiernie od niego dalekie. Teraz jest porucznikiem huzarów w srebrnym dolmanie, posiadaczem żołnierskiego Krzyża Św. Jerzego, szykuje swego kłusaka do wyścigów wraz ze znanymi jeźdźcami, ludźmi starszymi i szanowanymi. Ma znajomą damę na bulwarach, u której bywa wieczorami. Prowadził mazura na balu u Archarowów, rozmawiał o wojnie z feldmarszałkiem Kamieńskim, bywał w Klubie Angielskim i był na ty z pewnym czterdziestoletnim pułkownikiem, z którym poznał go Denisow.

Jego namiętność do cesarza w Moskwie nieco osłabła, ponieważ nie widział go przez cały ten czas. Lecz mimo to często opowiadał o cesarzu, o swej miłości do niego, dając odczuć, że opowiada jeszcze nie wszystko, że w jego uczuciu do cesarza jest coś takiego, co nie każdy może zrozumieć, i całą duszą podzielał powszechne w owym czasie w Moskwie uczucie uwielbienia dla cesarza Aleksandra Pawłowicza, któremu w Moskwie podówczas nadano przydomek „anioła w ludzkiej postaci”.

Podczas tego krótkiego pobytu w Moskwie, przed wyjazdem do armii, Rostow nie zbliżył się do Soni, lecz przeciwnie, oddalił się od niej. Była bardzo ładna, miła, najoczywiściej namiętnie w nim zakochana, ale on był w tym okresie młodości, gdy człowiekowi zdaje się, że ma tyle spraw na głowie, że nie ma czasu zajmować się tamtym; młody człowiek boi się związać – ceni własną swobodę, która jest mu niezbędna do wielu innych rzeczy. Gdy myślał o Soni podczas tego nowego pobytu w Moskwie, mówił sobie: „E, jeszcze wiele, wiele takich będzie i jest gdzieś jeszcze, których nie znam. Jeszcze zdążę zająć się miłością, gdy zechcę, a teraz nie mam czasu”. Poza tym towarzystwo kobiece uważał za poniżające jakoś dla swej męskości. Bywał na balach i w towarzystwie kobiecym, udając, iż czyni to wbrew woli. Wyścigi, Klub Angielski, hulanka z Denisowem, wyjazdy tam – to co innego: tak wypadało chwatowi-huzarowi.

W początkach marca stary hrabia Ilia Andreicz Rostow był zaaferowany urządzaniem obiadu w Klubie Angielskim na cześć księcia Bagrationa.

Hrabia chodził po salonie w szlafroku, wydając rozkazy intendentowi klubu oraz słynnemu Feoktystowi, starszemu kuchmistrzowi Klubu Angielskiego, co do szparagów, świeżych ogórków, poziomek, cielęciny i ryb na obiad dla księcia Bagrationa. Od dnia założenia klubu

hrabia był jego członkiem i seniorem. Klub polecił mu urządzenie bankietu dla Bagrationa, ponieważ rzadko kto potrafił na tak pańskiej stopie, z taką gościnnością urządzić ucztę, a zwłaszcza dlatego, iż rzadko kto umiał i chciał dołożyć swych pieniędzy, gdy będzie ich trzeba na urządzenie uczy. Kucharz oraz intendent klubu słuchali rozkazów hrabiego z wesołymi twarzami, ponieważ wiedzieli, że przy nikim innym nie można lepiej pożywić się przy obiedzie, który kosztował kilka tysięcy, jak przy hrabim.

– Pamiętaj, do zupy żółtowej włożyć kogucie grzebień, wiesz!

– A więc trzy zakąski zimne? – zapytywał kucharz.

Hrabia zamyślił się.

– Niepodobna mniej. Trzy... Majonez raz – rzekł zaginając palec.

– Więc rozkaże pan hrabia kupić wielkie sterlety? – zapytał intendent.

– Cóż począć? Bierz, jeśli nic nie opuszczają. Ach, serdeńko, jużem był zapomniał. Przecież musi być jeszcze drugie *entrée* do stołu. Ach, święci Pańscy! – Chwycił się za głowę. – A któż mi przywiezie kwiaty? Mitińka, hej, Mitińka, jedźże na wieś – zwrócił się do rządcy, który wszedł na jego wezwanie – jedźże na wieś i każ natychmiast ogrodnikowi Maksymkowi, by zarządził tlokę. Powiedz, by ściągnął tu wszystko z oranżerii, opatuliwszy wołokiem. Żebym miał tu do piątku dwieście donic.

Wydając wciąż różne polecenia, wyszedł już był do swojej hrabianeczki odpocząć, ale przypomniał sobie jeszcze jakieś niezbędne szczegóły, wrócił sam, zawrócił kucharza z intendentem i znowu jął dysponować. W drzwiach rozległy się lekkie męskie kroki, brzęk ostróg i wszedł młody hrabia, piękny, rumiany, z czerniejącym wąsikiem, wypoczęty i wydelikatniały na spokojnym życiu w Moskwie.

– Ach, bratku! W głowie mi się kręci – rzekł stary hrabia uśmiechając się, jakby z zażenowaniem, do syna.

– Żebyś mi tak trochę pomógł, przecież trzeba jeszcze pieśniarzy. Kapelę mam, ale może by zawołać Cyganów? Wasza wojskowa brać lubi to.

– Doprawdy, papo, myślę, że ksiązę Bagration szykując się do bitwy pod Schöngraben mniej zabiegał niż ty teraz – rzekł syn z uśmiechem.

Stary hrabia udał, że się gniewa.

– Nie rezonowałbyś, spróbuj sam.

I hrabia zwrócił się do kucharza, który z wyrazem rozumnym i pełnym szacunku spoglądał na syna i ojca uważnie i życzliwie.

– Ot, młodzież, Feoktyście, co? – rzekł. – Śmieje się z nas, staruchów.

– No cóż, jaśnie oświecony panie, oni by tylko dobrze zjedli, ale jak to wszystko przygotować i serwować, to nie ich sprawa.

– Tak, tak! – zawołał hrabia i porwawszy wesoło syna za obie ręce krzyknął: – No cóż, wpadłeś! Bierz teraz parokonne sanie i ruszaj do Bezuchowa, i powiedz, że hrabia Ilia Andreicz, niby ja, przysyła z prośbą o poziomki i świeże ananasy. U nikogo więcej nie dostaniesz. Jego nie ma, więc zajedź i powiedz księżniczkom, a stamtąd, wiesz co, jedź na Rozgulaj. Stangret Ipatka wie, odnajdź tam Cygana Iliuszkę, tego, co wtedy tańczył u hrabiego Orłowa. Pamiętasz? W białym kazakinie. I ściągnij go tutaj do mnie.

– Może sprowadzić go tu razem z Cygankami? – zapytał ze śmiechem Mikołaj.

– No, no!...

W tej chwili weszła do pokoju niedosłyszalnym krokiem Anna Michajłowna z wyrazem zatroskania, zaafierowania, a zarazem chrześcijańskiej dobroci, który jej nigdy nie opuszczał. Mimo że Anna Michajłowna każdego dnia zastawała hrabiego w szlafroku, ten za każdym razem okazywał zażenowanie i prosił o wybaczenie za swój strój.

– No nic, hrabio – rzekła przymykając dobrotliwie oczy – a do Bezuchowa ja pojedę, serdeńko – powiedziała. – Młody Bezuchow przyjechał. Teraz, hrabio, dostaniemy wszystko



z jego oranżerii. Ja i tak muszę go zobaczyć. Przysłał mi list od Borysa. Chwalić Boga, Boria teraz przydzielony jest do sztabu.

Hrabia ucieszył się, że Anna Michajłowna bierze na siebie część jego poleceń, i kazał zaprząć dla niej małą karetę.

– Księżno, powiedz Bezuchowowi, aby przybył na obiad. Zapiszę go. Jak on tam z żoną? – zapytał.

Anna Michajłowna wzniosła oczy ku górze, twarz jej wyraziła głęboki smutek.

– Ach, przyjacielu, on jest bardzo nieszczęśliwy – rzekła. – Jeśli to prawda, cośmy słyszeli, to byłoby okropne. Czy myśleliśmy o tym, gdyśmy się tak radowali jego szczęściem! I ten młody Bezuchow, taka wzniosła, niebiańska dusza! Tak, współczuję mu z całego serca i będę się starała udzielić mu pociechy, o ile to będzie zależało ode mnie.

– Ale cóż się stało? – zapytali obaj Rostowowie, starszy i młodszy.

Anna Michajłowna głęboko westchnęła.

– Dołochow, syn Marii Iwanowny – rzekła tajemniczym szeptem – podobno skompromitował ją doszczętnie. Tamten go przyjął, zaprosił do swego domu w Petersburgu i otóż... Ona tu przyjechała, a tamten szalała za nią – rzekła Anna Michajłowna pragnąc wyrazić swe współczucie dla Pierre'a, lecz półuśmiechem i mimowolnymi intonacjami wyrażając współczucie szalawile, jak nazwała Dołochowa. – Powiadają, że Pierre jest wprost przybity cierpieniem.

– Ale mimo wszystko powiedz mu, księżno, aby przyjechał do klubu. Rozerwie się. Będzie bankiet jak się patrzy.

Nazajutrz, trzeciego marca, o drugiej po południu, dwieście pięćdziesiąt osób, członków Klubu Angielskiego, i pięćdziesiąt osób zaproszonych oczekiwało drogiego gościa i bohatera austriackiej kampanii, księcia Bagrationa, który miał przybyć na obiad. W pierwszej chwili po otrzymaniu wieści o bitwie pod Austerlitz Moskwa wpadła w zdumienie. Rosjanie podówczas tak przywykli do zwycięstw, iż otrzymawszy wiadomość o przegranej, jedni po prostu nie wierzyli, inni szukali wyjaśnień faktu tak dziwnego w jakichś niezwykłych przyczynach. W grudniu w Klubie Angielskim, gdzie zbierali się wszyscy, którzy coś znaczyli i posiadali dokładne informacje oraz autorytet, kiedy zaczęły przychodzić wiadomości, nie mówiono nic o wojnie ani o ostatniej bitwie, jakby wszyscy zmówili się, aby o tym milczeć. Ludzie nadający kierunek rozmowom, jak hrabia Rastopczyń, książę Jurij Władimirowicz Dołgoruki, Wałujew, hrabia Markow, książę Wiaziemski, nie pokazywali się w klubie, lecz zbierali się prywatnie w domu, w kółku zaufanych, zaś moskwianie powtarzający za innymi (do których należał również Ilia Andreicz Rostow) pozostali na krótki czas bez określonych opinii w sprawie wojny i bez przewodników. Moskwianie czuli, że dzieje się coś niedobrego, a że trudno roztrząsać te złe wieści, więc lepiej milczeć. Lecz jak sędziowie przysięgli wychodzą z pokoju narad, tak po pewnym czasie zjawiły się i tuzy, narzucające opinię klubowi, i wszyscy zaczęli mówić jasno i wyraźnie. Znalezione powody tego niesłychanego, niemożliwego i nie do wiary wydarzenia, że Rosjan pobito. Wszystko stało się jasne i we wszystkich zakątkach Moskwy zaczęli mówić jedno i to samo. Przyczynami tymi były: zdrada Austriaków, złe zaopatrzenie wojska, zdrada Polaka Przybyszewskiego i Francuza Langerona, nieudolność Kutuzowa i (dodawano po cichutku) młodość i niedoświadczenie monarchy, który zaufał ludziom złym i bez wartości. Lecz wojsko, wojsko rosyjskie, mówili wszyscy, było niezwykle i dokonywało cudów waleczności. Żołnierze, oficerowie, generałowie byli bohaterami. Lecz bohaterem nad bohaterami był książę Bagration, wsławiony ową bitwą pod Schöngraben i odwrotem spod Austerlitz, skąd on jedyny wyprowadził kolumnę nie rozproszoną i przez cały dzień odpierał ataki dwukrotnie silniejszego wroga. Temu, że w Moskwie Bagration został uznany za bohatera, sprzyjało to, że nie miał w Moskwie znajomości, był obcy. W jego osobie składano hołd prostemu, walecznemu żołnierzowi rosyjskiemu bez intryg i koneksji, związa-

nemu jeszcze przez wspomnienia kampanii włoskiej z nazwiskiem Suworowa. Poza tym w składaniu mu takich hołdów najlepiej wyrażała się niechęć i brak aprobaty wobec Kutuzowa.

– Jeśliby nie było Bagrationa, *il faudrait l'inventer*<sup>343</sup>

– powiedział żartowniś Szynszyn parodiując słowa Woltera<sup>344</sup>.

O Kutuzowie nikt nie mówił. Niektórzy szeptem przyganiali mu przezywając nadwornym intrygantem i starym satyrem.

W całej Moskwie powtarzano słowa księcia Dołgorukiego: „Lepisz, lepsz, to się i oblepsz”, we wspomnieniach poprzednich zwycięstw szukającego pociechy w naszej porażce, i powtarzano słowa Rastopczyna o tym, że żołnierzy francuskich należy podczas bitwy podniecać górnolotnymi frazesami, że z Niemcami należy logicznie rozumować, przekonywając ich, że bardziej niebezpiecznie będzie uciec niż iść naprzód, lecz że rosyjskich żołnierzy należy tylko hamować i prosić: „Wolniej!” Ze wszystkich stron słyszało się wciąż nowe opowiadania o poszczególnych przykładach męstwa, które okazali nasi żołnierze i oficerowie pod Austerlitz.

Ten ocalił sztandar, ów zabił pięciu Francuzów, tamten sam jeden nabijał pięć armat. Mówiono i o Bergu; ci, co go nie znali, opowiadali, iż ranny w prawą rękę, ujął szpadę lewą i ruszył naprzód. O Bołkońskim nic nie mówiono. Jedyne znający go bliżej żalowali, iż umarł tak przedwcześnie, pozostawiając żonę w ciąży i ojca dziwaka.

---

<sup>343</sup> Należałoby go wymyślić.

<sup>344</sup> Zdanie Woltera brzmi: „Jeśliby Boga nie było, należałoby go wymyślić” „*Si Dieu n'existait pas, il faudrait l'inventer*”, Voltaire, *Epitre à l'Auteur du livre des trois Imposteurs*, 22).

### III

Trzeciego marca we wszystkich pokojach Klubu Angielskiego rozbrzmiewał gwar perorujących głosów, a członkowie oraz goście klubu, niby pszczoły podczas wiosennego lotu, snuli się tu i tam, siadali, przystawali, schodzili się i rozchodzili, w mundurach, we frakach, a ten i ów jeszcze w staroświeckim kaftanie i pudrowanej peruce. Lokaje w liberiach i perukach, w pończochach i krótkich trzewikach, stali przy wszystkich drzwiach, starając się w napięciu łowić każdy ruch gości oraz członków klubu, by zaofiarować swe usługi. Większość obecnych byli to ludzie starsi, szanowani, z szerokimi, pewnymi siebie obliczami, grubymi palcami, o stanowczych ruchach i głosach. Goście i członkowie tego rodzaju siadywali na znanych, zwykłych miejscach i zbierali się w znanych zwykłych kółkach. Mniejsza część obecnych składała się z gości przypadkowych – przeważnie młodzieży, wśród której znajdowali się Denisow, Rostow i Dołochow, który znowu był oficerem Siemionowskiego pułku. Na twarzach młodzieży, zwłaszcza wojskowych, widniał wyraz tego poczucia wzgardliwego szacunku dla starszych, co jakby mówił o starszej generacji: „Gotowiśmy was szanować i czcić, lecz pamiętajcie, że mimo wszystko przyszłość do nas należy”.

Nieswicki, jako stary członek klubu, znajdował się tu również. Pierre, który na rozkaz żony zdjął okulary, zapuścił sobie włosy i ubierał się modnie, chodził po salonach smutny i posępny. Jak wszędzie, otaczała go atmosfera ludzi adorujących jego bogactwo, a on traktował ich z nawykami monarszymi i roztargnioną wzgardą.

Według lat powinien był przebywać z młodszymi, ale z bogactw i koneksyj należał do koła starszych, szanowanych gości, toteż przechodził od jednego kółka do drugiego. Najważniejsi ze starszych stanowili ośrodki kółek, do których z szacunkiem zbliżali się nawet nieznanymi, aby posłuchać znanych osobistości. Największe kółka tworzyły się wokół hrabiego Rastopczyna, Wałujewa i Naryszkin. Rastopczyn opowiadał, jak to Rosjanie zostali ściśnięci przez uciekających Austriaków i bagnetem musieli sobie torować drogę poprzez uciekinierów.

Wałujew opowiadał w zaufaniu, iż Uwarow został przysłany z Petersburga po to, by poznać opinie moskwiaków o Austerlitz.

W trzecim kółku Naryszkin opowiadał o posiedzeniu austriackiej rady wojennej, na którym Suworow w odpowiedzi na głupstwa generałów austriackich zaczął pisać jak kogut. Szynszyn, stojący opodal, chciał zażartować mówiąc, że Kutuzow, jak widać, nie mógł nauczyć się od Suworowa nawet tej niezbyt trudnej sztuki – pisać jak kogut, lecz starszankowie popatrzyli surowo na żartownisia, dając mu tym odczuć, że w taki dzień jak dziś nieprzystojnie byłoby mówić tu w ten sposób o Kutuzowie.

Hrabia Ilia Andreicz Rostow, zafrasowany, przechodził szybko w miękkich butach z jadalni do salonu, spieszenie, zawsze w jednaki sposób witał się z osobistościami ważnymi i mniej ważnymi – znając ich wszystkich – i szukał niekiedy oczyma swego zgrabnego chwata syna, zatrzymywał na nim radosne spojrzenie i mrugał doń. Młody Rostow stał przy oknie z Dołochowem, którego poznał niedawno i znajomość z nim bardzo sobie cenił. Stary hrabia podszedł do nich i uściskał Dołochowowi dłoń.

– Serdecznie proszę zejść do mnie, przecie tyś znajomek mego chwata, razem tam stawialiście czoło, razem... A! Wasilij Ignaticz... jak się masz, stary – zwrócił się do przechodzącego staruszka, lecz nie zdołał jeszcze dokończyć powitania, gdy wszystko poruszyło się i nadbiegły lokaj z wystraszoną twarzą zameldował: „Raczyli przybyć!”

Rozległy się dzwonki. Starszyczna klubowa rzuciła się naprzód, goście, rozproszeni w różnych pokojach, skupili się, niby żyto potrząśnięte w łopacie, w jedną gromadę i stanęli w wielkim salonie przy drzwiach sali.

W drzwiach przedsionka ukazał się Bagration, bez kapelusza i szpady, które wedle obyczaju klubowego pozostawił u szwajcara. Nie miał już czapki barankowej i nahaja przez ramię, jak widział go Rostow w noc przed bitwą pod Austerlitz, lecz był w nowym, obcisłym mundurze z rosyjskimi i cudzoziemskimi orderami i z gwiazdą Św. Jerzego po lewej stronie piersi. Dziś widocznie z okazji obiadu przystrzygł sobie włosy i faworyty, co zmieniało jego fizjonomię niezbyt korzystnie. W twarzy miał coś naiwnie odświeżonego, co w połączeniu z twardymi męskimi rysami nadawało mu wyraz nawet nieco komiczny. Bekleszow i Fiodor Pietrowicz Uwarow, którzy przybyli z nim razem, zatrzymali się przy drzwiach, pragnąc, aby jego główny gość szedł przed nimi. Bagration zmieszał się, nie życząc sobie korzystać z ich grzeczności, chwilę stali we drzwiach i wreszcie Bagration mimo wszystko przeszedł pierwszy. Szedł po parkiecie pokoju przyjęć, nie wiedząc gdzie ma podziąć ręce, zażenowany i niezręczny: było mu łatwiej i zwyczajniej kroczyć po zoranym polu, pod kulami, jak szedł przed pułkiem Kurskim pod Schönggraben. Starszyczna powitała go przy pierwszych drzwiach mówiąc mu w kilku słowach o radości ujrzenia tak drogiego gościa i nie doczekawszy się jego odpowiedzi okrążyła go, jakby obejmując we władanie, i poprowadziła do salonu. Przez drzwi salonu nie sposób było się przecisnąć z powodu ciżby członków klubu i gości, tłoczących się jeden przy drugim i wzajemnie przez ramię usiłujących przypatrzeć się Bagrationowi, jakby to było rzadkie zwierzę. Hrabia Ilia Andreicz, energiczniejszy od innych, dogadując ze śmiechem: „Przepuść, *mon cher*, przepuść, przepuść”, rozepchnął tłum, zaprowadził gości do salonu i posadził ich na środkowej kanapie. Tuży, najszanowniejsi członkowie klubu, otoczyli nowo przybyłych. Hrabia Ilia Andreicz przecisnąwszy się znowu przez tłum wyszedł z salonu i z drugim przedstawicielem starszyczny klubowej zjawił się po chwili, niosąc wielki srebrny talerz, który ofiarował księciu Bagrationowi. Na talerzu leżał wiersz napisany i wydrukowany na cześć bohatera. Ujrawszy talerz Bagration obejrzał się z przestachem, jakby szukając pomocy. Lecz wszystkie oczy wyraziły żądanie, by się poddał. Czując się w ich władzy Bagration ujął z wyrazem stanowczości talerz w obie dłonie i popatrzył na hrabiego, który mu go ofiarował, gniewnie i z wyrzutem. Ktoś usłużnie wyjął talerz z rąk Bagrationa (bo inaczej gotów byłby trzymać go do wieczora i iść z nim do stołu) i zwrócił jego uwagę na wiersz. „No to przeczytam” – zdawał się mówić Bagration i wpijając zmęczone oczy w papier zaczął czytać z miną poważną i skupioną. Sam autor odebrał wiersz i jął czytać. Księżę Bagration słuchał pochyliwszy głowę.

Wslawiony Aleksandra wiekiem,  
Tytusa ochraniaj na tronie.  
Bądź naraz groźnym wodzem i dobrym człowiekiem,  
Ryfeuszem w kraju. Cesarzem w zagonie.  
Już szczęśliwy Napoleon,  
Gdy poznał w boju, kim jest Bagration,  
Żądzą trwożenia ruskich Alcydów nie płońie.<sup>345</sup>

Lecz jeszcze tamten nie skończył wiersza, gdy majordom zagrzmiał stentorowym głosem: „Podano do stołu!” Drzwi rozwarły się, z jadalni zabrzmiał polonez: „Niech zwycięstwa za-

<sup>345</sup> Wiersze w tłumaczeniu Leopolda Lewina.

grzmi piorun, niech się cieszy mężny Rus...”, i hrabia Ilia Andreicz popatrzywszy gniewnie na autora, który dalej deklamował wiersz, skłonił się przed Bagrationem. Wszyscy wstali czując, iż obiad jest ważniejszy niż wiersz, i znowu Bagration ruszył do stołu przed innymi. Na pierwszym miejscu posadzono Bagrationa między dwoma Aleksandrami – Bakleszowem i Naryszkinem, co również odnosiło się do imienia cesarskiego, trzysta osób umieściło się w jadalni wedle godności i znaczenia, poważniejsi bliżej honorowego gościa, równie naturalnie, jak woda rozlewa się szerzej tam, gdzie okolica niższa. Przed samym obiadem hrabia Ilia Andreicz przedstawił księciu swego syna. Bagration poznawszy go wyrzekł kilka niezręcznych, nieskładnych słów, podobnie jak wszystkie słowa, które mówił tego dnia. Podczas gdy Bagration rozmawiał z jego synem, hrabia Ilia Andreicz spoglądał na wszystkich radośnie i dumnie.

Mikołaj Rostow z Denisowem i nowym znajomym, Dołochowem, usiedli razem niemal pośrodku stołu. Naprzeciwko nich usiadł Pierre obok księcia Nieswickiego. Hrabia Ilia Andreicz siedział naprzeciw Bagrationa ze starszyzną klubową i ugaszcział księcia, niby uosobienie moskiewskiej gościnności.

Fatygi jego nie poszły na marne. Jego obiady, tak postne jak i mięsne, były wspaniałe, ale nigdy nie mógł wytrwać w spokoju aż do końca obiadu. Mrugał na bufetowego, wydawał szeptem rozkazy lokajom, oczekując nie bez wzruszenia każdego znanego mu dania. Wszystko było wspaniałe. Przy drugim daniu, gdy wniesiono gigantycznego sterleta (ujrzawszy go Ilia spąsował z radości i zażenowania), lokaje zaczęli już strzelać korkami i nalewać szampana. Po rybie, która wywarła pewne wrażenie, hrabia Ilia Andreicz wymienił spojrzenia ze starszyzną. „Będzie dużo toastów, czas zacząć!” – szepnęła i wstał ująwszy kielich w dłonie. Wszyscy zamilkli i oczekiwali, co powie.

Zdrowie jego cesarskiej mości! – wykrzyknął, i w tej chwili łączyły go radości i entuzjazmu zwilżyły jego poczciwe oczy. W tej samej chwili kapela zagrała: „Niech zwycięstwa zagrzmi piorun”. Wszyscy wstali z miejsc i zawołali: „Hura!” Również Bagration zawołał „hura!” tym samym głosem, którym krzyczał na polach pod Schöngraben. Entuzjastyczny głos młodego Rostowa słyhać było pośród wszystkich trzystu głosów. Omal nie płakał. „Zdrowie najjaśniejszego pana! – wołał – hura!” Wypiwszy jednym haustem kielich rzucił go na podłogę. Wielu poszło za jego przykładem. Gromkie okrzyki rozlegały się długo. Gdy głosy umilkły, lokaje sprzątnęli rozbite naczynia, wszyscy zaczęli siadać i gawędzić uśmiechając się na myśl o własnym krzyku. Hrabia Ilia Andreicz wstał znowu, spojrzął na notatkę leżącą obok jego talerza i wygłosił toast za zdrowie bohatera naszej ostatniej kampanii, księcia Piotra Iwanowicza Bagrationa, i ponownie łączyły go zwilżyły niebieskie oczy hrabiego. „Hura!” – znowu wykrzyknęły głosy trzystu gości, a zamiast muzyki śpiewacy zaśpiewali kantatę, utwór Pawła Iwanowicza Kutuzowa.<sup>346</sup>

Czymże dla Rosjan wszelkie tamy?!  
Przed naszym męstwem pierzcha wróg.  
Gdy w armii Bagrationów mamy,  
Wrogi u naszych legną nóg... itd.

Gdy tylko śpiewacy skończyli, nastąpiły nowe toasty, podczas których hrabia Ilia Andreicz rozczulał się coraz bardziej, coraz więcej rozbijano kielichów i coraz więcej krzyczano. Pili za zdrowie Bakleszowa, Naryszkina, Uwarowa, Dołgorukiego, Apraksina, Walujewa, za zdrowie starszyny klubowej, za zdrowie gospodarza obiadu, za zdrowie wszystkich człon-

<sup>346</sup> Paweł Goleniszczew-Kutuzow (1767–1829) służył w kawalerii, był kuratorem, następnie opiekunem Uniwersytetu Moskiewskiego; poeta, tłumacz, autor utworów patriotycznych, związanych z wydarzeniami w początku stulecia (*Stichotworienija*, Moskwa 1803–1808, cz. 3).

ków klubu i wreszcie oddzielnie za zdrowie organizatora obiadu, hrabiego Ilii Andreicza. Podczas tego toastu hrabia dobył chusteczki i, zakrywając nią twarz, rozplakał się na dobre.

## IV

Pierre siedział naprzeciwko Dołochowa i Mikołaja Rostowa. Jadł dużo i chciwie, pił dużo, jak zawsze zresztą. Lecz ci, którzy go znali bliżej, widzieli, iż dzisiejszego dnia zaszła w nim jakaś wielka odmiana. Milczał przez cały czas obiadu, rozglądał się wokół siebie, mrużąc oczy i marszcząc się, lub z nieruchomym wzrokiem, z miną całkowitego roztargnienia rozcierał palcem nasadę nosa. Twarz miał mroczną i posepną. Zdawał się nie widzieć i nie słyszeć nic z tego, co się działo dokoła, rozmyślał o czymś ciężkim, nie do rozstrzygnięcia.

Tym dręczącym, nie do rozstrzygnięcia zagadnieniem były aluzje księżniczki w Moskwie na temat bliskich stosunków Dołochowa z jego żoną oraz list anonimowy, otrzymany dziś rano, w którym z ową nikczemną żartobliwością, właściwą wszystkim listom anonimowym, pisano, że Pierre źle widzi przez swoje okulary i że stosunek jego żony z Dołochowem stanowi tajemnicę tylko dla niego. Pierre nie uwierzył stanowczo ani aluzjom księżniczki, ani listowi, lecz było mu strasznie patrzeć teraz na Dołochowa, który siedział przed nim. Za każdym razem, gdy spojrzenie jego napotykało mimochodem piękne, bezczelne oczy Dołochowa, Pierre czuł, jak coś straszego, potwornego powstaje w jego duszy, i odwracał się czym prędzej. Wspominając mimo woli całą przeszłość swej żony i jej stosunki z Dołochowem, Pierre widział jasno, że to, co powiedziano w anonimie, mogło być prawdą, a przynajmniej mogło wydawać się prawdą, gdyby to dotyczyło nie jego żony. Pierre przypominał sobie mimo woli, jak Dołochow, któremu przywrócono stopień po kampanii, wrócił do Petersburga i przybył do niego. Korzystając z koleżeństwa w hulankach z Pierre'em Dołochow przybył wprost do niego, a Pierre umieścił go u siebie i pożyczył mu pieniędzy. Pierre wspominał, jak Hélène z uśmiechem wyrażała swe niezadowolenie z tego, że Dołochow mieszka w ich domu, i jak Dołochow cynicznie wychwalał przed nim urodę jego żony, i jak od tego czasu aż do przyjazdu do Moskwy nie rozłączał się z nimi ani na chwilę.

„Tak, on jest bardzo piękny – myślał Pierre – znam go. Dla niego miałoby specjalny powab to, by zhańbić moje nazwisko i ośmieszyć mnie właśnie dlatego, że robiłem o niego starania, zaopiekowałem się nim i pomogłem. Wiem, rozumiem, ile soli dodałoby to zdradzie w jego oczach – gdyby to była prawda. Tak, gdyby to była prawda; lecz ja nie wierzę, nie mogę wierzyć i nie mam prawa”. Przypominał sobie wyraz, jaki przybierała twarz Dołochowa, gdy nachodziły go chwile okrucieństwa, jak wówczas, gdy wiązał rewirowego do grzbietu niedźwiedzia i rzucał go do wody albo gdy wyzywał bez żadnego powodu człowieka na pojedynek bądź zabijał z pistoletu dorożkarskiego konia. Wyraz ten często bywał na twarzy Dołochowa, gdy Pierre na niego patrzył. „Tak, to zabijaka – myślał Pierre. – Zabić człowieka nic dlań nie znaczy, musi mu się wydawać, że wszyscy go się boją, i musi to mu być przyjemne. On pewnie myśli, że i ja się go boję. I rzeczywiście, boję się go” – myślał Pierre i znowu podczas tych myśli czuł, jak w duszy jego powstaje coś straszego i potwornego. Dołochow, Denisow i Rostow siedzieli teraz naprzeciwko Pierre'a i zdawali się bardzo rozbawieni. Rostow gawędził wesoło ze swymi dwoma przyjaciółmi, z których jeden był dzielnym huzarem, drugi znanym pojedyńkowiczem i wartogłowem, i z rzadka spoglądał drwiąco na Pierre'a, którego skupiona, roztargniona, masywna postać raziła na tym obiedzie. Rostow patrzył na Pierre'a niezyczliwie, po pierwsze dlatego, że Pierre w jego huzarskich oczach był cywilem, bogaczem,

mężem pięknej kobiety, w ogóle – babą, po wtóre dlatego, iż Pierre w swym nastroju skupienia i roztargnienia nie poznał Rostowa i nie odpowiedział na jego ukłon. Kiedy zaczęto pić za zdrowie cesarza, Pierre zamyślony nie wstał i nie wziął kieliszka.

– Cóż to? – krzyknął do niego Rostow patrząc nań wzrokiem złowrogo triumfalnym. – Czy pan nie słyszy? Zdrowie najjaśniejszego pana! – Pierre westchnął, pokornie wstał, wychylił swój kielich i wyczekawszy, aż wszyscy usiądą, zwrócił się do Rostowa ze swym poczciwym uśmiechem.

– A ja pana jakoś nie poznałem – powiedział. Lecz Rostow nie zwracał na niego uwagi. Krzyczał: „Hura!”

– Czemu nie odnawiasz znajomości? – rzekł do Rostowa Dołochow.

– Bóg z nim, to głupiec – rzekł Rostow.

– Mężów ładniutkich kobiet należy hołubić troskliwie – rzekł Denisow.

Pierre nie słyszał, co oni mówili, lecz wiedział, iż mówią o nim. Poczzerwieniał i odwrócił się.

– No, teraz zdrowie pięknych kobiet – rzekł Dołochow z poważnym wyrazem twarzy, lecz z uśmiechem w kącikach ust. Zwrócił się do Pierre'a z kieliszkiem.

– Zdrowie pięknych kobiet, Pietia, i ich kochanków – powiedział.

Pierre, spuściwszy oczy, popijał ze swego kielicha nie patrząc na Dołochowa i nie odpowiadając mu. Lokaj, rozdający kantatę Kutuzowa, położył arkusik koło Pierre'a, jako gościa bardziej honorowego. Pierre chciał go wziąć, lecz Dołochow przechylił się, wyrwał mu arkusik z ręki i zaczął czytać. Pierre spojrzał na Dołochowa, źrenice jego osunęły się: coś straszego i potwornego, miotającego nim przez cały czas obiadu, powstało i opanowało go. Przechylił się swym otyłym ciałem przez stół.

– Nie waż się pan brać! – krzyknął.

Usłyszawszy ten krzyk i ujrawszy, do kogo się odnosi, Nieswicki i sąsiad z prawej pośpiesznie i z przestachem zwrócili się do Bezuchowa.

– Ależ daj pan spokój – szeptały wystraszone głosy. Dołochow popatrzył na Pierre'a jasnymi, wesołymi, okrutnymi oczyma, z tym samym uśmiechem, jak gdyby mówił: „Tak, to lubię”.

– Nie dam – rzekł dobitnie.

Blady, z drżącymi wargami, Pierre porwał kartkę.

– Jesteś pan... jesteś łajdakiem!... Wyzywam pana – powiedział i wstał od stołu odsunawszy krzesło. W tej samej sekundzie, gdy to uczynił i wyrzekł te słowa, Pierre poczuł, iż zagadnienie winy jego żony, nękające go przez ostatnią dobę, zostało rozstrzygnięte twierdząco w sposób dostateczny i niewątpliwy. Nienawidził jej i na zawsze zrywał łączące ich więzy. Mimo próśb Denisowa, aby Rostow nie mieszał się w te sprawy, Rostow zgodził się być sekundantem Dołochowa i po obiedzie omówił z Nieswickim, sekundantem Bezuchowa, warunki pojedynku. Pierre odjechał do domu, zaś Rostow z Dołochowem i Denisowem przesiedzieli w klubie do późna wieczór słuchając Cyganów i pieśniarzy.

– A więc do jutra w Sokolnikach – rzekł Dołochow żegnając się z Rostowem na ganku klubu.

– I ty jesteś spokojny? – zapytał Rostow. Dołochow zatrzymał się.

– Widzisz, mogę ci w dwóch słowach odkryć sekret pojedynku. Jeśli idziesz na pojedynek i piszesz testament oraz tkliwe listy do rodziców, jeśli myślisz, że mogą cię zabić, toś głupiec i zginiesz na pewno, ale idź ze stanowczym zamiarem, by zabić tamtego, jak można najprędzej i najpewniej, wtedy wszystko w porządku. Mawiał do mnie tak nasz kostromski niedźwiedźnik. „Jakże się nie bać niedźwiedzia – powiada – ale jak go ujrzysz, to strach mija, byle jeno nie uciekł!” No, i ja tak samo. *A demain, mon cher!*<sup>347</sup>

---

<sup>347</sup> Do jutra, mój drogi!



Nazajutrz o ósmej rano Pierre z Nieswickim przybyli do lasu sokolnickiego i zastali tam już Dołochowa, Denisowa i Rostowa. Pierre miał wygląd człowieka zajętego jakimiś rozważaniami, zupełnie nie tyczącymi tego, co się działo. Jego zapadła twarz była żółta. Najwidoczniej nie spał tej nocy. Oglądał się dokoła z roztargnieniem i krzywił się jak gdyby od zbyt jaskrawego słońca. Zaprzątały go wyłącznie dwie koncepcje: wina żony, co do której po bezsennej nocy nie pozostawało nawet najmniejszej wątpliwości, i brak wina Dołochowa, który nie miał żadnego powodu, by oszczędzać honor obcego mu człowieka. „Być może, ja bym też tak samo zrobił na jego miejscu – myślał Pierre. – Nawet na pewno zrobiłbym tak samo, po cóż więc ten pojedynek, to zabójstwo. Albo ja go zabiję, albo on trafi mnie w głowę, w łokieć, w kolano. Odejść stąd, uciec, zaszyć się gdziekolwiek” – przychodziło mu do głowy. Lecz właśnie w tych chwilach, gdy nawiedzały go takie myśli, pytał z miną szczególnie spokojną i roztargnioną, co budziło szacunek patrzących na niego: „Czy prędko, czy już gotowe?”

Kiedy wszystko było gotowe – szable wetknięte w śnieg oznaczały barierę, do której należało dojść, a pistolety nabite – Nieswicki podszedł do Pierre'a.

– Hrabio, nie wypełniłbym swego obowiązku – rzekł nieśmiałym głosem – i zawiódłbym to zaufanie i honor, któreś mi pan uczynił wybierając na swego sekundanta, gdybym w tak ważnej chwili, nader ważnej chwili, nie powiedział panu całej prawdy. Sądzę, iż sprawa ta nie ma dostatecznych podstaw i niewarta jest, aby o nią przelewać krew. Nie miałeś racji, hrabio, wybuchnąłeś gniewem...

– Ach, tak, strasznie głupio... – rzekł Pierre.

– W takim razie pozwól pan, abym wyraził pańskie ubolewanie, i jestem pewny, że nasi przeciwnicy zgodzą się przyjąć pańskie wyjaśnienia – rzekł Nieswicki (podobnie jak inni uczestniczący w tej sprawie, jak zawsze w podobnych sprawach, nie wierzył jeszcze, aby doszło naprawdę do rzeczywistego pojedynku). – Wiesz, hrabio, iż o wiele szlachetniej wyznać swój błąd niż doprowadzić do rzeczy nie do naprawienia. Zniewagi nie było z żadnej strony. Pozwól mi pan przeprowadzić pertraktacje...

– Nie, o czym tu pertraktować! – rzekł Pierre. – Wszystko jedno... Więc gotowe? – dodał. – Proszę mi tylko powiedzieć, jak tu iść i gdzie strzelać? – powiedział uśmiechając się z nie-naturalną łagodnością. Wziął do ręki pistolet i jał rozpytywać o sposób spuszczenia kurka, ponieważ dotychczas nie miał w ręku pistoletu, do czego nie chciał się przyznać. – Ach, tak, ach, więc tak, przecież wiem, tylko zapomniałem – mówił.

– Żadnych przeprosin, stanowczo żadnych – rzekł Dołochow do Denisowa, który ze swej strony również uczynił próbę pojednania, i również podszedł do wyznaczonego stanowiska.

Miejsce spotkania wybrano o jakie osiemdziesiąt kroków od drogi, na której pozostały sarnie, na niedużej polance w sosnowym lesie pokrytym śniegiem, tającym z powodu odwilży trwającej od kilku dni. Przeciwnicy stali na skrajach polany o czterdzieści kroków jeden od drugiego. Sekundanci, odmierzając kroki, wydeptali ślady w mokrym, głębokim śniegu od miejsca, gdzie stali przeciwnicy, do szabel Nieswickiego i Denisowa, wetkniętych o dziesięć kroków od siebie i oznaczających barierę. Była odwilż i mgła; o czterdzieści kroków nie było nic widać. Po trzech minutach wszystko było już gotowe, a przecie zwlekano z rozpoczęciem. Wszyscy milczeli.

## V

No, zaczynamy! – rzekł Dołochow.

– No, cóż – rzekł Pierre uśmiechając się wciąż tak samo.

Robiło się straszno. Stało się oczywiste, iż sprawa, rozpoczęta tak błaho, nie mogła już być w żaden sposób powstrzymana, że biegła już sama przez się, niezależnie od woli ludzi, i musiała się dokonać. Denisow pierwszy wyszedł naprzód do bariery i oznajmił:

– Ponieważ przeciwnicy odmówili pojednania się, zechciejcie, panowie, zaczynać. Bierzcie pistolety i po słowie „trzy” zaczynajcie podchodzić.

– Rrr.-az! Dwa! Trzy!... – wykrzyknął gniewnie Denisow i odszedł na bok. Przeciwnicy ruszyli wydeptanymi ścieżkami i podchodzili coraz bliżej ku sobie rozpoznając się we mgle. Mieli prawo zbliżając się do bariery strzelać, kiedy kto zechce. Dołochow szedł powoli nie podnosząc pistoletu, wpatrując się swymi jasnymi, błyszczącymi niebieskimi oczyma w twarz swego przeciwnika. Wargi jego, jak zwykle, miały w sobie coś przypominającego uśmiech.

Przy słowie „t r z y” Pierre ruszył naprzód szybkimi krokami, gubiąc wydeptaną ścieżkę i krocząc po śnieżnej caliznie. Trzymał pistolet wyciągnawszy naprzód prawą rękę, widocznie bojąc się, aby z tego pistoletu nie zabić samego siebie. Lewą rękę starannie odstawił do tyłu, ponieważ chciał podtrzymać nią rękę prawą, a wiedział, że tego robić nie wolno. Uszedłszy ze sześć kroków i zboczywszy ze ścieżki w śnieg Pierre spojrzął pod nogi, znowu spojrzął szybko na Dołochowa i pociągnawszy palcem, jak go nauczono, strzelił. Wcale nie oczekując tak silnego odgłosu Pierre zdrygnął się od własnego strzału, potem uśmiechnął się ze swego wrażenia i przystanął. Dym, szczególnie zgęstniały we mgle, przez pierwszy moment zasłonił mu widok, lecz drugi wystrzał, którego oczekiwał, nie nastąpił. Słychać było tylko spieszne kroki Dołochowa i jego postać ukazała się spoza dymu. Jedną ręką trzymał się za lewy bok, w drugiej ścisnął opuszczony pistolet. Twarz jego była blada. Rostow podbiegł i coś mu powiedział.

– N...nie – wymówił Dołochow przez zęby – nie, nie skończone – i utykając, zapadając się, zrobił jeszcze kilka kroków aż do szabli i upadł opodal na śnieg. Lewą rękę miał we krwi. Otarł ją o mundur i wsparł się na niej. Jego twarz, blada, nachmurzona, drgała.

– Pro... – zaczął, lecz nie od razu mógł dokończyć słowa – proszę – domówił z wysiłkiem. Pierre ledwie hamując łkanie biegł do Dołochowa i chciał już przekroczyć rozdzielającą bariery przestrzeń, gdy Dołochow krzyknął: – Do bariery! – i Pierre zrozumiawszy, o co chodzi, zatrzymał się przy swojej szabli. Dzielilo ich tylko dziesięć kroków. Dołochow przypadł głową do śniegu, chciwie ugryzł trochę śniegu, znowu podniósł głowę, poprawił się, podciągnął nogi i usiadł szukając równowagi. Ssał zimny śnieg i połykał go; wargi mu drżały, ale wciąż w uśmiechu; oczy błyskały wysiłkiem i zajadłością skupionych resztek sił. Podniósł pistolet i jął celować.

– Bokiem, hrabio, zakryj się pistoletem – powiedział Nieswicki.

– Zakryj się pan! – krzyknął nawet Denisow przeciwnikowi, nie mogąc się opanować.

Pierre z dobrotliwym uśmiechem współczucia i żalu stał przed Dołochowem ze swą szeroką pierśią, rozstawiając bezradnie ręce i nogi, i patrzył smutno na niego. Denisow, Rostow i Nieswicki zmrużyli oczy. Jednocześnie usłyszeli strzał i gniewny okrzyk Dołochowa.

– Chybiłem – krzyknął Dołochow i padł bezsilnie na śnieg, twarzą do ziemi. Pierre chwyciwszy się za głowę zawrócił i ruszył w las, krocząc wprost po śniegu, wymawiając głośnie niezrozumiałe słowa.

– Głupio... głupio; śmierć... kłamstwo... – powtarzał krzywiąc się. Nieswicki zatrzymał go i odwiózł do domu. Rostow z Denisowem odwieźli rannego Dołochowa. Dołochow leżał w saniach, milcząc, z zamkniętymi oczyma i ani słowem nie odpowiadał na pytania, które mu stawiano; lecz gdy wjechali do Moskwy, ocknął się nagle i z trudem uniósłszy głowę ujął rękę Rostowa siedzącego obok niego. Rostowa uderzył nagle wyraz twarzy Dołochowa, odmiennej w nieoczekiwanie tkliwym zachwycie.

– No cóż? jakże się czujesz? – zapytał Rostow.

– Marnie! Lecz nie w tym rzecz. Przyjacielu – rzekł Dołochow urywanym głosem – gdzie jesteśmy? Jesteśmy w Moskwie, wiem. Ja to nic, ale ją zabiłem, zabiłem... Ona tego nie zniesie. Ona nie zniesie...

– Kto? – spytał Rostow.

– Moja matka. Matka moja, mój anioł, mój ubóstwiany anioł, matka – i Dołochow rozplakał się ściskając rękę Rostowa. Gdy się nieco uspokoił, wyjaśnił Rostowowi, że mieszka z matką i że jeśli matka zobaczy, że on umiera, nie zniesie tego. Błagał, aby Rostow pojechał do niej i przygotował ją.

Rostow pojechał przodem, by spełnić zlecenie, i dowiedział się ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że Dołochow, ten awanturnik, zabijaka Dołochow, mieszkał w Moskwie ze starszą matką i garbatą siostrą i był najtkliwszym synem i bratem.

## VI

W ostatnich czasach Pierre rzadko widywał żonę sam na sam. I w Petersburgu, i w Moskwie dom ich stale zapelniali goście. Następnego dnia po pojedynku nie poszedł, jak to często robił, do sypialni, lecz został w ogromnym gabinecie ojcowskim, tym samym, w którym umarł hrabia Bezuchow.

Ułożył się na kanapie i chciał zasnąć, aby zapomnieć wszystko, co się z nim działo, lecz nie mógł tego zrobić. Taka burza uczuć, myśli, wspomnień powstała nagle w jego duszy, iż nie tylko nie mógł spać, ale i nie mógł usiedzieć na miejscu: zerwał się z kanapy i chodził szybkimi krokami po pokoju. Wciąż wyobrażał ją sobie w pierwszym okresie po ślubie z obnażonymi ramionami i znużonym namiętnym spojrzeniem, ale natychmiast obok niej zjawiała się piękna, czelna, szydercza, bezwzględna twarz Dołochowa, taka jak na obiedzie, i ta sama twarz Dołochowa – blada, drżąca i zboląła, jak wówczas gdy odwrócił się i upadł w śnieg.

„Co to było? – pytał sam siebie. – Zabiłem kochankę, tak, zabiłem kochankę mojej żony. Tak, to się stało. Dlaczego? Jak do tego doszedłem?” „To dlatego, żeś się z nią ożenił” – odpowiedział wewnętrzny głos.

„Ależ czymże ja zawiniłem?” – zapytywał. – „Tym, żeś się ożenił nie kochając jej, tym, żeś oszukał ją i siebie”. – Tu żywo wyobraził sobie tę chwilę po kolacji u księcia Wasilia, gdy wypowiedział owe słowa, które nie chciały zeń wyjść: „*Je vous aime*”.<sup>348</sup> To wszystko stąd! „I wówczas czułem – myślał – czułem wówczas, że to było nie to, że nie miałem do tego prawa. Stąd wszystko wynikło”. Przypomniawszy sobie miodowy miesiąc i poczerwieniał na to wspomnienie. Szczególnie żywe, obrażająco haniebne było dlań wspomnienie, jak to pewnego razu, wkrótce po ślubie, wyszedł z sypialni do gabinetu o dwunastej w południe w jedwabnym szlafroku, a w gabinecie zastał głównego administratora, który, skłoniwszy się z szacunkiem, popatrzył na twarz Pierre'a i uśmiechnął się z lekka, uśmiechem tym jakby wyrażając pełne szacunku zrozumienie dla szczęścia swego pryncypała.

„A ileż razy pyszniłem się nią, pyszniłem się jej majestatyczną urodą, jej taktem światowym – myślał – pyszniłem się tym swoim domem, w którym przyjmowała cały Petersburg, pyszniłem się jej urodą i niedostępnością. Czymże więc się pyszniłem?! Myślałem wówczas, iż jej nie rozumiem. Jakże często, zastanawiając się nad jej charakterem, powiadałem sobie, że to ja jestem winien, iż jej nie rozumiem, nie rozumiem tego powszedniego spokoju, zadowolenia, braku wszelkiego rodzaju pasji i pragnień, a całe rozwiązanie było w tym strasznym słowie, że to jest kobieta rozpustna: powiedziałem sobie to straszne słowo i wszystko stało się jasne!

Anatol bywał u niej, by pożyczyć pieniędzy, i całował ją w obnażone ramiona. Pieniądzy mu nie dawała, ale pozwalała się całować. Ojciec żartem budził w niej zazdrość, odpowiadała ze spokojnym uśmiechem, że nie jest taka głupia, aby być zazdrosna. O mnie mówiła: «Niech sobie robi, co chce». Zapytałem ją pewnego razu, czy nie odczuwa oznak ciąży. Zaśmiała się wzgardliwie i powiedziała, że nie jest taka głupia, aby pragnąć mieć dzieci, i że ze mną dzieci nie będzie miała”.

---

<sup>348</sup> Kocham panią.

Potem przypomniał sobie brutalną jasność jej myśli, właściwą jej wulgarność wyrażen mimo wychowania w wyższych sferach arystokracji. „Nie jestem znów taka głupia... idź, spróbuj sam... *allez vous promener*<sup>349</sup> – mówiła. Często obserwując jej powodzenie w oczach starych i młodych mężczyzn i kobiet, Pierre nie mógł zrozumieć, czemu jej nie kocha. „Ależ ja nigdy jej nie kochałem – mówił sobie Pierre. – Wiedziałem, że to jest kobieta rozpustna – powtarzał sobie – ale nie śmiałem się do tego przyznać.

A teraz Dołochow siedzi na śniegu, uśmiecha się z przymusem i, być może, umiera odpowiadając na moją skruchę jakąś sztuczną fanfaronadą”.

Pierre należał do tych ludzi, którzy nie bacząc na swą zewnętrzną tak zwaną słabość charakteru nie szukają powierników dla swych zmartwień. Sam przetrwał w sobie własne troski.

„Ona wszystkiemu winna, wszystkiemu winna tylko ona – mówił do siebie – ale cóż z tego? Czemu się z nią związałem? czemu jej powiedziałem owo: *«Je vous aime»*, co było kłamstwem i czymś gorszym od kłamstwa – mówił do siebie. – Jestem winien i muszę to znieść... Co? Zhańbione nazwisko, nieszczęście całego życia? E, to wszystko bzdury – pomyślał – i zhańbione nazwisko, i honor, to wszystko jest względne, to wszystko nie zależy ode mnie.

Ludwika XVI stracono za to, że oni mówili, że jest bezecnikiem i przestępcą – przyszło do głowy Pierre'owi – i mieli słusność ze swego punktu widzenia, równie jak mieli słusność i ci, którzy za niego umierali śmiercią męczeńską i zaliczali go w poczet świętych. Później Robespierre'a stracono za to, że był despota. Kto ma słusność, kto jest winien? Nikt. Gdyś żywy – żyj, jutro umrzesz, jak ja mogłem umrzeć przed godziną. I warto tyle się męczyć, gdy pozostaje jedynie sekunda życia w porównaniu z wiecznością” – ale w momencie gdy uważał, że się uspokoił rozważaniami w tym rodzaju, nagle stawała przed nim ona w tych chwilach, gdy najmocniej okazywał jej swą nieszczerą miłość – odczuwał wtedy przyływ krwi do serca i musiał znowu wstawać, poruszać się, łamać i szarpać przedmioty, które wpadały mu pod rękę. „Czemu jej powiedziałem: *«Je vous aime»*” – wciąż sobie powtarzał. I gdy powtórzył to pytanie po raz dziesiąty, przyszło mu do głowy Molierowski: „*Mais que diable allait il faire dans cette galère?*”<sup>350</sup> – i sam z siebie się roześmiał.

W nocy zawezwał kamerdynera i kazał pakować rzeczy, aby jechać do Petersburga. Nie mógł zostawać z nią pod jednym dachem. Nie mógł wyobrazić sobie, jak będzie teraz z nią rozmawiał. Postanowił, iż jutro wyjedzie i zostawi jej list, w którym oznajmi jej swój zamiar rozstania się z nią na zawsze.

Rankiem, gdy kamerdyner wszedł z kawą do gabinetu, Pierre leżał na kanapce i spał z otwartą książką w ręku.

Zbudzony, długo rozglądał się ze strachem, nie będąc w stanie zrozumieć, gdzie się znajduje.

– Pani hrabina kazała zapytać, czy jaśnie pan jest w domu – zapytał kamerdyner.

Lecz Pierre nie zdołał jeszcze postanowić, jakiej udzieli odpowiedzi, gdy sama hrabina w białym atłasowym szlafrocuku, haftowanym srebrem, z gołą głową (dwa ogromne warkocze *en diadème*<sup>351</sup> po dwakroć owijały jej śliczną głowę), weszła do pokoju spokojnie i majestacyjnie; jedynie na marmurowym, nieco wypukłym czole była zmarszczka gniewu. Ze swym zwykłym, wszystko znoszącym spokojem nie zaczęła mówić przy kamerdynerze. Wiedziała już o pojedynku i przyszła pomówić o nim. Wyczekała, aż kamerdyner postawił kawę i wszedł. Pierre nieśmiało popatrzył na nią przez okulary, a jak zając, otoczony przez psy, dalej leży na widoku swych wrogów stuliwszy słuchy, tak i on próbował dalej czytać; lecz czuł, że to jest bezsensowne i niemożliwe, więc znów spojrzął na nią nieśmiało. Nie usiadła i patrzyła na niego ze wzgardliwym uśmiechem, czekając, aż kamerdyner wyjdzie.

<sup>349</sup> Wynosi się.

<sup>350</sup> Ki diabeł poniósł go na tę galere? Molier, *Szelmostwa Skapena*, 2, 11.

<sup>351</sup> Niby diadem.

– A to co znowu? Pytam się, coś ty narobił – rzekła surowo.

– Ja? Cóż ja? – powiedział Pierre.

– Też mi się znalazł rycerz! No, proszę odpowiedzieć, co to za pojedynek. Czego chciałeś przez to dowieść? Czego? Pytam cię. – Pierre odwrócił się ciężko na kanapie, otworzył usta, lecz nic nie mógł powiedzieć.

– Skoro ty nie odpowiadasz, to ja ci powiem – ciągnęła Héléne. – Wierzysz wszystkiemu, cokolwiek ci powiedzą. Powiedzieli ci... – zaśmiała się Héléne – że Dołochow to mój kochanek – rzekła po francusku, słowo „kochanek” ze zwykłą brutalną dokładnością wymawiając jak każde inne słowo – i tyś uwierzył; ale cóż ty tym dowiodłeś? Czego dowiodłeś tym pojedykiem? Tego, że jesteś głupcem, *que vous êtes un sot*, co przecie wszyscy wiedzieli. Do czego to prowadzi? Do tego, aby zrobić mnie pośmiewiskiem całej Moskwy; do tego, aby każdy wiedział, że po pijanemu, w zapamiętaniu wyzwałeś na pojedynek człowieka, o którego jesteś bezpodstawnie zazdrosny – Héléne ożywiła się i podnosiła głos coraz bardziej – a który przewyższa ciebie pod każdym względem...

– Hm... hm... – krzywiąc się pomrukiwał Pierre, nie patrząc na nią i nie poruszając się.

– I dlaczego uwierzyłeś, że on jest moim kochankiem?... Dlaczego? Dlatego, że lubię jego towarzystwo? Gdybyś ty był przyjemniejszy i mądrzejszy, wołałabym twoje.

– Nie mów do mnie... błagam – wyszeptał Pierre chrapliwie.

– A czemuż nie mam mówić? Mogę mówić i powiem śmiało, że rzadko która żona przy takim mężu jak ty nie wzięłaby sobie kochanków (*des amants*). Ale ja tego nie zrobiłam – rzekła. Pierre chciał coś powiedzieć, spojrzał na nią dziwnymi oczyma, których wyrazu nie zrozumiała, i położył się znowu. W tej chwili cierpiał fizycznie: w piersi czuł ucisk, tracił oddech. Wiedział, że musi coś uczynić by przerwać to cierpienie, lecz to, co chciał zrobić, było zbyt okropne.

– Najlepiej, gdy się rozstaniemy – rzekł urywanym głosem.

– Rozstać się? Proszę bardzo, jeśli tylko wydzielisz mi odpowiednie środki – rzekła Héléne. – Miał też czym przestraszyć – rozstaniem!

Pierre zerwał się i podbiegł do niej chwając się na nogach.

– Ja cię zabiję! – zawołał i porwawszy marmurowy blat stołu z siłą dotychczas jemu samemu nie znaną, zrobił krok naprzód i zamachnął się na nią.

Twarz Héléne zrobiła się straszna: zapiszczała, odskoczyła od niego. Krew ojca odezwała się w nim. Pierre odczuł poryw i powab wściekłości. Rzucił blat, roztrzaskał go i podchodząc do Héléne z rozwartymi rękoma zawołał: „Precz!”, głosem tak strasznym, że wszyscy w całym domu z przerażeniem usłyszeli ten krzyk. Bóg wie, co by Pierre zrobił w tej chwili, gdyby Héléne nie uciekła z pokoju.

Po tygodniu Pierre wydał żonie plenipotencję na zarządzanie wszystkimi dobrami wielkorsyjskimi, co stanowiło ponad połowę jego majątku, i samotnie wyjechał do Petersburga.

## VII

Dwa miesiące minęły od otrzymania w Łysych Górach wieści o bitwie austerlitzkiej i o zaginięciu księcia Andrzeja. Ale mimo wielu listów wysłanych za pośrednictwem poselstwa, mimo wszelkich poszukiwań ciała jego nie znaleziono, nie było go też wśród jeńców. Najgorsze dla rodziny było to, że mimo wszystko pozostawała nadzieja, iż został zabrany przez ludność z pola bitwy i może leży jako ozdrowieniec lub umiera gdzieś sam jeden wśród obcych, nie będąc w stanie udzielić o sobie wiadomości. W gazetach, z których stary książę po raz pierwszy dowiedział się o klęsce austerlitzkiej, podano jak zwykle nader krótko i w sposób nieokreślony, iż Rosjanie po świetnych bataliach musieli rejterować i rejteradę wykonali w doskonałym porządku. Stary książę z tej oficjalnej wiadomości zrozumiał, iż nasi zostali pobici. W tydzień po gazecie, która przyniosła wiadomość o bitwie austerlitzkiej, nadszedł list Kutuzowa, powiadamiający księcia o losie, który dosięgnął jego syna.

*Syn Księcia w mych oczach* – pisał Kutuzow – *padł jako bohater godny swego ojca i swej ojczyzny, ze sztandarem w rękę, na czele pułku. Ku wspólnemu ubolewaniu memu i całej armii dotychczas nie wiadomo, czy żyje, czy też nie. Siebie i Pana łudzę nadzieją, iż syn żyje, bowiem w przeciwnym wypadku byłby wymieniony w liczbie oficerów znalezionych na polu bitwy, których spis otrzymałem od parlamentariuszy.*

Otrzymałszy tę wiadomość późnym wieczorem, gdy przebywał sam jeden w swym gabinecie, stary książę nazajutrz, jak zwykle, udał się na swą ranną przechadzkę; lecz był milczący wobec rządcy, ogrodnika i architekta, a choć wyglądał gniewnie, nie rzekł nic nikomu.

Gdy księżniczka Maria weszła do niego o zwykłej porze, stał przy warsztacie tokarskim i pracował, lecz jak zwykle, nie obejrzał się na nią.

– A! Księżniczka Maria! – rzekł nagle sztucznym głosem i rzucił dłuto. (Koło jeszcze kręciło się siłą rozpędu. Księżniczka Maria długo pamiętała owo zamierające skrzywienie koła, które zespoliło się dla niej z tym, co miało nastąpić).

Księżniczka Maria przysunęła się do niego, ujrzała jego twarz i coś nagle zapadło się w niej. Oczy jej przestały jasno widzieć. W twarzy ojca nie zgnębionej, nie smutnej, lecz gniewnej i jakoś nienaturalnie opanowanej, ujrzała, że już zawisło nad nią i zgniecie ją straszliwe nieszczęście, najgorsze w życiu nieszczęście, jeszcze przez nią nie doznane, nieszczęście nie do naprawienia, niezrozumiałe: śmierć tego, kogo kochamy.

– *Mon père! André?*<sup>352</sup> – rzekła niezgrabna, pozbawiona gracji księżniczka z tak niewypowiedzianym powabem smutku i samozaparcia, iż ojciec nie wytrzymał jej spojrzenia i odwrócił się płacząc.

– Otrzymałem wiadomość. Nie ma go w liczbie jeńców, nie ma w liczbie zabitych. Kutuzow pisze – wykrzyknął przeraźliwie, jak gdyby chciał tym krzykiem wypędzić księżniczkę – że zabity!

Księżniczka nie upadła i nie omdlała. Była już przedtem blada, lecz gdy usłyszała te słowa, twarz jej się zmieniła i coś zajaśniało w jej pięknych, promiennych oczach. Jak gdyby rozlała się ponad tym głębokim smutkiem radość, niezależna od smutków i radości tego świata, ra-

---

<sup>352</sup> Ojczy! Andrzej?

dość wyższego rzędu. Zapomniała o całym strachu przed ojcem, podeszła do niego, ujęła go za rękę, przyciągnęła ku sobie i objęła jego suchą, żylastą szyję.

– *Mon père* – rzekła. – Nie odwracaj się ode mnie. Będziemy płakali razem.

– Łajdaki! Hultaje! – zawołał starzec odsuwając od niej twarz. – Zgubić armię, zgubić ludzi! Za co? Idź, idź, powiedz Lizie.

Księżniczka opadła bezsilna na fotel obok ojca i rozpląkała się. Widziała teraz brata w chwili, gdy zegnał się z nią i z Lizą z wyrazem tkliwości i wyższości jednocześnie. Widziała go w chwili, gdy tkliwie a drwiąco wkładał na siebie szkaplerz. „Czy wierzył? Czy żałował swej niewiary? Czy jest teraz tam? Tam, w przybytku wiecznego spokoju i szczęśliwości?” – myślała.

– *Mon père*, proszę mi powiedzieć, jak to się stało? – zapytała przez łzy.

– Idź, idź, zabity w bitwie, w której poprowadzono na rzeź najlepszych ludzi Rosji i jej chlubę. Księżniczko Mario, proszę iść. Idź i powiedz Lizie. Ja też przyjdę.

Gdy księżniczka Maria wróciła od ojca, mała księżna siedziała nad robótką z tym szczególnym wyrazem wewnętrznego, spokojnego szczęścia, właściwym jedynie brzemienym kobietom. Popatrzyła na księżniczkę Marię. Widać było, iż oczy jej nie widziały księżniczki Marii, ale patrzyły wewnątrz – w coś tajemniczego, szczęśliwego, co się w niej dokonywało.

– Marie – rzekła odsuwając się od krosien na oparcie fotela – daj no tu swoją rękę. – Ujęła rękę księżniczki i położyła ją sobie na brzuchu.

Oczy jej uśmiechały się wyczekująco, wargę z wąsikami uniosła się i pozostała tak uniesiona dziecinnie, szczęśliwie.

Księżniczka Maria przyklękła przy niej i ukryła twarz w fałdach jej sukni.

– Tu, tu, słyszysz? Jest mi tak dziwnie. I wiesz, Marie, będę go bardzo kochała – rzekła Li za spoglądając błyszczącymi, szczęśliwymi oczyma. Księżniczka Maria nie mogła unieść głowy: płakała.

– Co ci jest, Masza?

– Nic... zrobiło mi się tak smutno... smutno z powodu Andrzeja – rzekła ocierając łzy o kolana bratowej. W ciągu rana księżniczka Maria kilkakrotnie zaczynała przygotowywać bratową do wiadomości i za każdym razem zaczynała płakać. Jakkolwiek mała księżna nie była zbyt spostrzegawcza, łzy te, których przyczyny nie rozumiała, zaniepokoiły ją. Nic nie mówiła, lecz oglądała się niespokojnie, jakby czegoś szukając. Przed obiadem wszedł do jej pokoju stary książę, którego zawsze się bała, miał teraz twarz osobliwie niespokojną i złą i wyszedł nie rzekłszy słowa. Popatrzyła na księżniczkę Marię, po czym zamyśliła się z tymi oczyma wyrażającymi uwagę, skierowaną do wnętrza, jak to bywa u brzemienych kobiet, i nagle rozpląkała się.

– Czy przyszło coś od Andrzeja? – rzekła.

– Nie, wiesz, że na wiadomość jeszcze za wcześnie, lecz *mon père* niepokoi się i jest mi strasznie.

– A więc nic?

– Nic – rzekła księżniczka Maria spoglądając śmiało na bratową promienistymi oczyma. Postanowiła nie powiedzieć jej i namówiła ojca, aby ukrył otrzymaną straszną wiadomość przed synową aż do rozwiązania, które miało nastąpić w tych dniach. Księżniczka Maria i stary książę każde po swojemu znosili i skrywali swe strapienie. Stary książę nie chciał się ludzi: zdecydował, iż książę Andrzej został zabity, i nie bacząc na to, że posłał do Austrii swego oficjalistę, aby szukał śladów syna, zamówił w Moskwie pomnik, który miał zamiar postawić w parku, i mówił wszystkim, że jego syn został zabity. Usiłował prowadzić dawny tryb życia bez zmian, lecz siły odmawiały mu posłuszeństwa: mniej chodził, mniej jadł, mniej spał i z każdym dniem był słabszy. Księżniczka Maria nie traciła nadziei. Modliła się za brata jak za żywego i każdej chwili oczekiwała wieści o jego powrocie.



## VIII

– *Ma bonne amie*<sup>353</sup> – rzekła mała księżna rankiem 19 marca po śniadaniu. Jej warga z wąsikami uniosła się starym zwyczajem; ale ponieważ nie tylko wszystkie uśmiechy, lecz i dźwięki mowy, nawet chód w tym domu od dnia otrzymania strasznej wiadomości cechował smutek, więc i teraz uśmiech maleńkiej księżny, która poddawała się ogólnemu nastrojowi, mimo iż nie знаła jego przyczyny – był taki, że jeszcze bardziej przypominał o smutku ogólnym.

– *Ma bonne amie, je crains que le fruschtique (comme dit Foka – kucharz) de ce matin ne m'ait pas fait du mal.*<sup>354</sup>

– Co się z tobą dzieje, moje serce? Jesteś blada. Ach, ty jesteś bardzo blada – rzekła księżniczka Maria z przestachem podbiegając do bratowej swym ciężkim, miękkim krokiem.

– Jaśnie pani, czyby nie posłać po Marię Bogdanownę? – rzekła jedna z obecnych przy tym pokojówek. (Maria Bogdanowna była akuszerką z powiatowego miasta i mieszkała w Łysych Górach już drugi tydzień).

– Rzeczywiście – podjęła księżniczka Maria – być może, tak. Pójdę sama. *Courage, mon ange!*<sup>355</sup> – ucałowała Lizę i chciała wyjść z pokoju.

– Ach, nie, nie! – Poza bladością twarz maleńkiej księżny wyraziła dziecinny strach przed nieodwracalnym bólem fizycznym.

– *Non, c'est l'estomac... dites, que c'est l'estomac, dites, Marie, dites...*<sup>356</sup> – I księżna rozplakała się, jak dziecko cierpiące, kapryśnie, nawet odrobinę sztucznie, załamując swe drobne rączki. Księżniczka wybiegła z pokoju po Marię Bogdanownę.

– *Oh, mon Dieu! mon Dieu!*<sup>357</sup> – słyszała za sobą. Akuszerka szła już na jej spotkanie, rozcierając pełne, nieduże, białe ręce, z twarzą znacząco spokojną.

– Mario Bogdanowno! Zdaje się, że się zaczyna – rzekła księżniczka Maria patrząc na położną oczyma rozwartymi przestachem.

– No, to chwała Bogu, księżniczko – rzekła Maria Bogdanowna nie przyspieszając kroku.  
– Wy, panny, wiedzieć o tym nie powinnyście.

– Ale jakże to, z Moskwy jeszcze nie przyjechał doktor – rzekła księżniczka (na życzenie Lizy i księcia Andrzeja posłano w terminie do Moskwy po akuszerkę i oczekiwano go w każdej chwili).

– No nic, księżniczko, proszę się nie niepokoić – rzekła Maria Bogdanowna – i bez doktora wszystko pójdzie dobrze.

Po pięciu minutach księżniczka dosłyszała ze swego pokoju, że niosą coś ciężkiego. Spojrzała. Służba nie wiadomo czemu niosła do sypialni skórzaną kanapę stojącą w gabinecie księcia Andrzeja. Twarze niosących ludzi miały w sobie coś uroczystego.

---

<sup>353</sup> Moja droga.

<sup>354</sup> Moja droga boję się, że dzisiejszy fryszyk (jak powiada Foka...) zaszkodził mi

<sup>355</sup> Odwagi, mój aniele!

<sup>356</sup> Nie, to żołądek, powiedz, że to jest żołądek, powiedz, Mario, powiedz...

<sup>357</sup> Mój Boże! mój Boże!

Księżniczka Maria siedziała samotnie w swym pokoju nasłuchując odgłosów domowych, otwierając niekiedy drzwi, gdy ktoś przechodził obok, i przyglądając się temu, co się działo w korytarzu. Kilka kobiet przechodziło tu i tam, oglądając się na księżniczkę i odwracając się od niej. Nie śmiała rozpytywać, przysmykała drzwi, wracała do siebie, to siadała w swoim fotelu, to brała modlitewnik, to klękała przed ołtarzykiem. Na nieszczęście, ku swemu zdziwieniu i zmartwieniu czuła, iż modlitwa nie łagodzi jej udręki. Nagle drzwi jej pokoju rozwarły się cicho i na progu ukazała się opatulona w chustę stara niania, Praskowia Sawiszna, która prawie nigdy nie wchodziła do jej pokoju na skutek zakazu księcia.

– Maszeńka, mój aniele, przyszedłam posiedzieć z tobą – rzekła niania – i przyniosłam ślubne świece książęce, by je zapalić przed patronem – rzekła wzdychając.

– Ach, nianiu, jak się cieszę.

– Bóg łaskaw, gołąbko. – Niania zapaliła przed ołtarzykiem świece owinięte w pozłotę i siadła przy drzwiach z pończochą. Księżniczka Maria wzięła książkę i zaczęła czytać. Jedyne gdy słyhać było kroki lub głosy, patrzyły na siebie – księżniczka z przestachem, pytająco, a niania uspokajająco. We wszystkich zakątkach domu rozlane było, panowało nad wszystkimi to same uczucie, którego doznawała księżniczka Maria, siedząc w swoim pokoju. Według przesądu – im mniej ludzi wie o cierpieniach rodzącej, tym mniej ona cierpi, wszyscy więc starali się udawać nieświadomość; nikt o tym nie mówił, ale we wszystkich ludziach – poza zwykłą solennością i poszanowaniem dobrych obyczajów panujących w domu księcia – widniała jedna jakaś wspólna troska, wzruszenie i poczucie czegoś wielkiego, nieogarniętego, co dokonywało się w tej chwili.

W czeladnej dziewcząt nie słyhać było śmiechu. W służbowym męskim wszyscy siedzieli i milczeli, jakby przygotowani na coś. U służby folwarcznej palono łuczywa i świece i nie spano. Stary książę, stąpając całą stopą, chodził po gabinecie – posłał Tichona do Marii Bogdanowny z zapytaniem: „Co tam?”

– Tylko powiedz: książę rozkazał zapytać: „Co tam?”, i wracaj powiedzieć, co ona powiedziała.

– Zamelduj księciu, że poród się zaczął – rzekła Maria Bogdanowna, znacząco popatrując na wysłannika. Tichon wyszedł i zameldował księciu.

– Dobrze – powiedział książę zamykając drzwi za sobą i Tichon nie dosłyszał już w gabinecie najmniejszego odgłosu. Nieco później Tichon wszedł do gabinetu jakoby po to, aby objaśnić świece. Ujrzawszy, iż książę leży na kanapie, Tichon popatrzył na księcia, na jego zmienioną twarz, poruszył głową, zbliżył się doń w milczeniu i pocałował go w ramię wyszedł nie objaśniając świec i nie mówiąc, po co przyszedł. Dokonywała się dalej tajemnica najuroczystsza w świecie. Minał wieczór, nastąpiła noc, a uczucie oczekiwania, serdecznego ciepła wobec niepojętego nie upadało, lecz rosło. Nikt nie spał.

Była jedna z tych nocy marcowych, gdy zima, jakby chcąc wziąć odwet, sypie z desperacką zjadłością swymi ostatnimi śniegami i zamieciami. Na spotkanie Niemca, doktora z Moskwy, którego oczekiwano w każdej chwili i po którego wysłano zmianę koni na gościniec, w miejsce gdzie zaczynała się boczna droga do wsi, posłano teraz konnych z latarniami, aby przeprowadzili go przez wyboje i kałuże.

Księżniczka Maria już dawno odłożyła książkę; siedziała w milczeniu, skierowawszy promieniste oczy na zmarszczoną, znaną jej w najmniejszych szczegółach twarz niani; na pasmo siwych włosów, wysuwające się spod chusty, na zwisającą skórę pod podbródkiem.

Niania Sawiszna, z pończochą w rękę, opowiadała cichym głosem, sama nie słysząc i nie rozumiejąc własnych słów, setki razy powtarzaną opowieść, jak nieboszczka księżna w Kiszyniowie rodziła księżniczkę Marię, mając zamiast akuszerki babkę wiejską – Mołdawiankę.

– Jak Bóg łaskaw, to i dochcota wcale nie trzeba – mówiła niania.

Nagle poryw wiatru napał na jedną z wystawionych ram okiennych (na rozkaz księcia zawsze z pierwszymi skowronkami wystawiano jedną ramę w każdym pokoju), a zerwawszy

źle przymkniętą zasuwkę, zatrzepotał pluszową portierą i zionąwszy zimnem i śniegiem, zdmuchnął świecę. Księżniczka Maria wzdygnęła się, a niania odłożywszy pończochę podszła do okna i przechylona na zewnątrz jąła chwycić otwartą połowę okna. Zimny wiatr szarpał rogami jej chustki i siwymi, wymykającymi się pasmami włosów.

– Księżniczko, serce, preszpektem ktoś jedzie – powiedziała przytrzymując okno i nie zamykając go. – Z latarniami, chyba doktor...

– Ach, mój Boże! Chwała Bogu! – rzekła księżniczka Maria. – Trzeba wyjść na spotkanie: on nie zna rosyjskiego.

Księżniczka Maria narzuciła szal i pobiegła na spotkanie jadącym. Gdy przechodziła przez pokój przyjęć, ujrzała przez okno, że przy podjeździe stał jakiś pojazd i latarnie. Wyszła na schody. Na słupku przy poręczy stała świeczka łożowa, ociekająca z powodu wiatru. Lokaj Filip z wystraszoną twarzą stał niżej z drugą świeczką w ręku, na pierwszej kondygnacji schodów. Jeszcze niżej za zakrętem rozlegało się po schodach stapanie wchodzącego w wojsłokowych butach. Jakiś, zdało się księżniczce Marii, znajomy głos coś mówił.

– Chwała Bogu! – rzekł ów głos. – A ojciec?

– Jaśnie pan udał się na spoczynek – odpowiedział głos służącego Demiana, znajdującego się już na dole.

Potem głos jeszcze coś wyrzekł, Demian coś odpowiedział, a kroki w wojsłokowych butach jęły coraz szybciej zbliżać się za niewidocznym zakrętem schodów. „To Andrzej! – pomyślała księżniczka Maria. – Nie, to nie może być, to byłoby zbyt nadzwyczajne” – pomyślała i w tej chwili, gdy to myślała, na kondygnacji, na której stał lokaj ze świeczką, ukazała się twarz i postać księcia Andrzeja w futrze z kołnierzem osypanym śniegiem. Tak, to był on, lecz blady, chudy, ze zmienionym, dziwnie złagodniałym, niespokojnym wyrazem twarzy. Wszedł na schody i uściskał siostrę.

– Nie otrzymaliście mojego listu? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, której by i tak nie otrzymał, ponieważ księżniczka nie mogła mówić, zawrócił i wraz z akuszerem, idącym za nim (zjechali się na ostatniej stacji), szybkim krokiem wszedł znowu na schody i ponownie uściskał siostrę.

– Co za los – powiedział – Maszo droga! – i rzuciwszy szubę i buty poszedł na pokoje księżny.

## IX

Mała księżna leżała na poduszkach w białym czepeczku (bóle dopiero co sfolgowały). Pasma czarnych włosów wiły się koło jej rozpalonych, spoconych policzków; urocze, rumiane usteczka z wargą pokrytą czarnymi włoskami były otwarte: uśmiechała się radośnie. Książę Andrzej wszedł do pokoju i zatrzymał się przed nią w nogach kanapy, na której leżała. Błyszczące oczy, spoglądające z dziecinnym przestraczeniem i wzruszeniem, zatrzymały się na nim, nie zmieniając wyrazu. „Wszystkich was kocham, nikomu nie zrobiłam nic złego, za cóż cierpię? Pomóżcie mi” – mówiła jej twarz. Widziała męża, lecz nie rozumiała, co to znaczy, że się tu przed nią zjawił. Książę Andrzej obszedł kanapę i ucałował żonę w czoło.

– Moja duszko – rzekł: tak nigdy do niej nie mówił – Bóg łaskaw... – Popatrzyła na niego pytająco, z dziecinnym wyrzutem.

„Czekałam od ciebie pomocy, a ty również – nic, nic!” – powiedziały jej oczy. Nie zdziwiła się, że przyjechał; nie rozumiała, że przyjechał. Jego przyjazd nie pozostawał w żadnym stosunku do jej cierpienia czy do ulżenia im. Męczarnie zaczęły się znowu i Maria Bogdanowna poradziła księciu Andrzejowi, by wyszedł z pokoju.

Akuszer wszedł do pokoju. Książę Andrzej wyszedł i spotkawszy księżniczkę Marię znów podszedł do niej. Zaczęli mówić szeptem, lecz rozmowa co chwila milkła. Czekali, przysłuchiwali się.

– *Allez, mon ami*<sup>358</sup> – rzekła księżniczka Maria. Książę Andrzej znów poszedł do żony i usiadł w sąsiednim pokoju w oczekiwaniu. Z pokoju księżnej wyszła jakaś kobieta z zastraszoną twarzą i zmieszana się ujrzawszy księcia Andrzeja. Ukrył twarz w dłoniach i przesiadział tak kilka minut. Żałosne, zwierzęco-bezradne jęki dobiegały spoza drzwi. Książę Andrzej wstał, podszedł do drzwi i chciał je otworzyć. Drzwi ktoś przytrzymał.

– Nie wolno, nie wolno! – rozległ się stamtąd wystraszony głos. Książę jął chodzić po pokoju. Krzyki umilkły, minęło jeszcze kilka sekund. Nagle straszliwy krzyk – nie jej krzyk, ona nie mogła tak krzyczeć – rozległ się w sąsiednim pokoju. Książę Andrzej podbiegł do drzwi, krzyk zamilkł. Słyszeć było płacz dziecka.

„Po co przynieśli tam dziecko? – pomyślał książę Andrzej w pierwszej chwili. – Dziecko? Jakie?... Po co tam dziecko? A może to urodziło się dziecko?”

Gdy zrozumiał nagle całe radosne znaczenie tego krzyku, łzy zaczęły go dławić i wsparłszy się łokciami o parapet okna rozplakał się pochlipując, jak płaczą dzieci. Drzwi rozwarły się. Wszedł z pokoju doktor z zakasnymi rękawami koszuli, błydy, z trzęsącą się szczęką, bez surduta. Książę Andrzej zwrócił się ku niemu, lecz doktor spojrzawszy nań z pomieszaniem i przeszedł obok nie rzekłszy ani słowa. Wybiegła kobieta i ujrzawszy księcia Andrzeja utknęła na progu. Wszedł do pokoju żony. Leżała martwa w tej samej pozycji, w jakiej widział ją przed pięciu minutami, a mimo osłupiałych oczu i bledości policzków ten sam wyraz pozostał na jej ślicznej dziecinniej buzi z wargą pokrytą czarnymi włoskami.

---

<sup>358</sup> Idź, mój drogi.

„Kocham was wszystkich, nikomu nie zrobiłam nic złego – a coście wy ze mną zrobili?” – mówiła jej śliczna, żalosna, martwa twarz. W rogu pokoju pisnęło i zakwiczało coś drobniutkiego, czerwonego w białych trzęsących się rękach Marii Bogdanowny.

W dwie godziny potem książe Andrzej wszedł cichymi krokami do gabinetu ojca. Starzec już wszystko wiedział. Stał przy samych drzwiach, a gdy tylko się rozwarły, starzec w milczeniu szorstkimi starczymi rękoma, niby obcęgami, ogarnął szyję syna i załkał jak dziecko.

W trzy dni potem pochowano małą księżnę i żegnając się z nią książe Andrzej wszedł na stopnie katafalku. A w trumnie była ta sama twarz, mimo że z zamkniętymi oczyma. „Ach, coście wy ze mną zrobili!” – wciąż mówiła i książe Andrzej poczuł, że w duszy jego coś się zerwało, że jest winien winy, której nigdy nie naprawi i nie zapomni. Nie mógł płakać. Starzec wszedł również i pocałował jej woskową rączkę, spokojnie, wysoko spoczywającą na drugiej, i jemu twarz jej powiedziała również: „Ach, czemu zrobiliście to ze mną i za co?” I starzec ujrzawszy tę twarz odwrócił się gniewnie.

W pięć dni potem ochrzczono młodego księcia Mikołaja Andreicza. Mamka przytrzymała pieluszki podbródkiem, podczas gdy duchowny gęsim piórem maścił czerwone, zmarszczone rączki i stopki chłopczyka.

Chrzestny ojciec – dziadek, drżąc w obawie, aby dziecka nie upuścić, nosił niemowlę dookoła blaszanej pogiętej chrzcielnicy i oddawał je chrzestnej matce, księżniczce Marii. Książe Andrzej zamierając ze strachu, aby nie utopiono niemowlęcia, siedział w drugim pokoju czekając na zakończenie obrzędu. Spojrzał radośnie na dziecko, gdy mu je wyniosła niania, i kiwnął z aprobatą głową, gdy niania powiadomiła go, że wrzucony do chrzcielnicy воск z włoskami nie utonął, lecz płynął po chrzcielnicy.

## X

Uczestnictwo Rostowa w pojedynku Dołochowa z Bezuchowem zostało zatuszowane dzięki staremu hrabiemu, i Rostow zamiast degradacji, jak oczekiwał, został mianowany adiutantem moskiewskiego gubernatora wojskowego. Wskutek tego nie mógł jechać na wieś wraz z całą rodziną, nowa funkcja zatrzymała go przez całe lato w Moskwie. Dołochow wyzdrowiał i Rostow zaprzyjaźnił się z nim szczególnie w czasie jego rekonwalescencji. Chory Dołochow leżał u matki, kochającej go namiętnie i tkliwie. Stara Maria Iwanowna, polubiwszy Rostowa za jego przyjaźń dla Fiedii, często opowiadała mu o swym synu.

– Tak, hrabio, to zbyt szlachetna i czysta dusza – mówiła – dla naszego dzisiejszego rozpustnego świata. Cnoty nikt nie kocha, wszystkich kłuje w oczy. Ale powiedz, hrabio, czy to uczciwie, czy to sprawiedliwie ze strony Bezuchowa? A Fiedia w swej szlachetności kochał go a i teraz nic złego o nim nie powie. Te figle z rewirowym w Petersburgu, które tam wyprawiali – przecie to razem robili? i Cóż, Bezuchowowi nic, a Fiedia wszystko przyjął na swoje barki! Ileż on zniósł! Przypuśćmy, że mu przywrócili stopień, ale jakże mogli mu nie przywrócić? Myślę, że niewielu było tam takich jak on dzielnych synów ojczyzny. I znowuż teraz – ten pojedynek! i strzelać tak wprost wiedząc, że to jedynak! Dobrze, iż Bóg się nad nami zlitował. I za cóż to? Ależ kto w naszych czasach nie ma jakiejś intryżki? Cóż z tego, że on jest taki zazdrosny? Rozumiałabym przecie, gdyby dał to odczuć wcześniej, ale to trwało cały rok – i cóż, wyzwiał na pojedynek, sądząc, że Fiedia nie będzie się bił, bo jest dłużnikiem. Jakie to niskie! Jakie to paskudztwo. Wiem, że pan, kochany hrabio, zrozumiał Fiedię, toteż kocham pana z całej duszy, proszę mi wierzyć. Jego rzadko kto rozumie. To taka wzniosła, niebiańska dusza.

Sam Dołochow często podczas swej rekonwalescencji mówił Rostowowi takie rzeczy, których wcale nie można było po nim oczekiwać.

– Wiem, uważają mnie za złego człowieka – mówił – a niech tam! Nie chcę nikogo znać poza tymi, których kocham; ale kogo pokocham, to kocham tak, iż życie oddam za niego. A reszta? Zgniotę każdego, kto mi stanie na drodze. Mam ubóstwianą, nieocenioną matkę, dwóch, trzech przyjaciół – ty do nich należysz, a na resztę zwracam uwagę tylko o tyle, o ile mogą mi być pożyteczni lub szkodliwi. A prawie wszyscy są szkodliwi, zwłaszcza kobiety. Tak, moje serce – ciągnął – spotykałem mężczyzn kochających, szlachetnych, wzniosłych, ale kobiet poza sprzedajnymi kreaturami – wszystko jedno: hrabina czy kucharka – jeszcze nie spotkałem. Jeszcze nie spotkałem tej niebiańskiej czystości, poświęcenia, których szukam w kobiecie. Gdybym taką kobietę znalazł, oddałbym za nią życie. Ale te!... – zrobił wzgardliwy gest. – Nie wiem, czy uwierzysz, że jeśli jeszcze cenię życie, to cenię dlatego jedynie, że mam nadzieję spotkać jeszcze taką niebiańską istotę, która by mnie odrodziła, oczyściła i podniosła. Ale ty tego nie rozumiesz.

– Nie, ja to bardzo rozumiem – odpowiedział Rostow, pozostający pod wpływem nowego przyjaciela.

Na jesieni rodzina Rostowów wróciła do Moskwy. W początkach zimy wrócił również Denisow i zatrzymał się u Rostowa. Ten pierwszy okres zimy 1806 roku spędzony przez Mikołaja w Moskwie należał do najszcześniejszych i najweselszych dla niego i dla całej jego

rodziny. Mikołaj wprowadził do domu rodzicielskiego wielu młodych ludzi. Wiera była piękną panną lat dwudziestu, Sonia szesnastoletnią panią w całym powabie kwiatka, który tylko co się rozwinał, Natalia – pół panna, pół podlotek, raz dziecinnie śmieszna, to znów dziewczęco czarująca.

W domu Rostowów powstała w tym czasie jakaś szczególna atmosfera kochliwości, jak to bywa w domach, gdzie są bardzo miłe i bardzo młode dziewczęta. Każdy młody człowiek, który przybywał do domu Rostowów, spoglądając na młode, wrażliwe, uśmiechające się do czegoś (prawdopodobnie do własnego szczęścia) dziewczęce twarze, na te ożywioną bieganię, słuchając tego nielogicznego, ale miłego, dla wszystkich wciąż chętnego, pełnego nadziei szczebiotu młodej kobiecości, słuchając tych pomieszanych dźwięków, to śpiewu, to muzyki – doznawał wciąż tego samego uczucia gotowości do kochania i oczekiwania szczęścia, którego doznawała również młodzież domu Rostowów.

Wśród młodych ludzi, wprowadzonych przez Rostowa, jednym z pierwszych był Dołochow, który spodobał się wszystkim w domu z wyjątkiem Nataszy. Omal nie pokłóciła się z bratem o Dołochowa. Upierała się przy tym, że to zły człowiek, że w pojedynku z Bezuchowem Pierre miał słuszność, a Dołochow ponosił winę, że jest nieprzyjemny i nienaturalny.

– Nie ma tu co rozumieć! – wołała Natasza z uporem samowoli. – Jest zły, bez uczucia. Przecież lubię twój Denisow, choć to hulaka, i w ogóle, a mimo wszystko lubię go, a więc i rozumiem. Nie potrafię ci powiedzieć... Tamten ma wszystko z góry ułożone, a ja tego nie lubię... Denisow...

– No, Denisow to inna sprawa – odpowiadał Mikołaj dając odczuć, że w porównaniu z Dołochowem nawet Denisow jest niczym. – Trzeba zrozumieć, co za duszę ma Dołochow, trzeba go widzieć z matką, co to za serce!

– Tego już nie wiem, ale czuję się z nim niezręcznie. I czy ty wiesz, że on się zakochał w Soni?

– Co za bzdura...

– Jestem pewna, jeszcze zobaczysz.

Przewidywania Nataszy sprawdzały się. Dołochow, który nie lubił damskiego towarzystwa, zaczął często bywać w domu Rostowów, a pytanie, do kogo jeździ, wkrótce (mimo iż nikt o tym nie mówił) zostało rozstrzygnięte w tym sensie, że bywa dla Soni. Wiedziała to i Sonia, choć nigdy nie ośmieliłaby się tego powiedzieć, i za każdym razem piekła raka, gdy Dołochow się zjawiał.

Dołochow często bywał u Rostowów na obiedzie, nie opuszczał nigdy przedstawień, na których oni bywali, i odwiedzał bale *adolescentes*<sup>359</sup> u Johela, gdzie Rostowowie bywali zawsze. Soni okazywał szczególne względy i patrzył na nią takimi oczyma, że nie tylko ona nie mogła wytrzymać tego spojrzenia bez rumieńca, ale i stara hrabina, i Natasza rumieniły się zauważywszy to spojrzenie.

Widać było, że ten silny, dziwny mężczyzna pozostaje pod nieodpartym wpływem czar-  
niutkiej, zgrabniutkiej dziewczuszki, kochającej innego.

Rostow zauważył, że jest coś nowego między Dołochowem i Sonią, ale nie określał sobie, co w tym stosunku jest nowego. „One tam stale są w kimś zakochane” – myślał o Soni i Nataszy. Ale było mu jakoś mniej poręcznie niż dawniej z Sonią i Dołochowem, zaczął też rzadziej bywać w domu.

Na jesieni 1806 roku znowu wszyscy zaczęli mówić o wojnie z Napoleonem, i nawet z jeszcze większym zapałem niż w roku ubiegłym. Wyznaczono pobór nie tylko dziesiątego rekruta, lecz i dziewięciu pospolitaków od tysiąca. Bonapartego wyklinano wszędzie, a w Moskwie gadano tylko o mającej nastąpić wojnie. Dla rodziny Rostowów zainteresowania przygotowaniami wojennymi polegały tylko na tym, że Nikoleńka za nic nie zgadzał się zostać w Moskwie i czekał tylko, aż Denisowowi skończy się urlop, aby wraz z nim po świętach

---

<sup>359</sup> Podlotków.

udać się do pułku. Zbliżający się odjazd nie tylko nie przeszkadzał mu bawić się, ale jeszcze go do tego zachęcał. Większą część czasu spędzał poza domem na obiadach, wieczorach i balach.



## XI

W trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia Mikołaj był w domu na obiedzie, co w ostatnim czasie zdarzało mu się rzadko. Oficjalnie był to obiad pożegnalny, ponieważ Rostow z Denisowem odjeżdżali do pułku po Trzech Królach.

Do stołu zasiadło dwadzieścia osób. W ich liczbie Dołochow i Denisow.

Nigdy jeszcze w domu Rostowów nie dała się z taką siłą odczuć owa atmosfera rozkochania, aura miłosna, jak w te dni świąt. „Chwytaj chwile szczęścia, każ się kochać, Kochaj sam! To jedno jest na świecie prawdziwe – reszta to wszystko głupstwo. I tylko to jedno nas tu zajmuje” – mówiła ta atmosfera.

Mikołaj, jak zwykle, zmordował dwie pary koni, mimo to nie zdołał być wszędzie tam, gdzie być powinien i gdzie go zapraszano, i przybył do domu przed samym obiadem.

Gdy tylko wszedł, poczuł i zauważył napięcie owej miłosnej aury w domu, lecz poza tym zauważył dziwne zmieszanie, panujące między niektórymi z członków kółka. Szczególnie podnieceni byli Sonia, Dołochow, stara hrabina, a mniej Natasza. Mikołaj zrozumiał, że widocznie coś musiało zająć przed obiadem pomiędzy Sonią a Dołochowem, i z właściwą mu wrażliwością serca był nader tkliwy i uważny w zachowaniu się wobec nich obojga podczas obiadu. Tego właśnie wieczora, w trzeci dzień świąt, miał się odbyć jeden z owych balów, które Johel (nauczyciel tańców) wydawał w święta dla wszystkich swych uczniów i uczennic.

– Nikoleńka, pojedziesz do Johela? Jedź, proszę – rzekła do niego Natasza. – Specjalnie ciebie zapraszał. Jedzie również Wasilij Dmitricz (był to Denisow).

– Gdzieżbym nie pojechał na rozkaz hrabianki! – rzekł Denisow, który żartem objął w domu Rostowów rolę rycerza Nataszy. – Gotów jestem tańczyć nawet *pas de châte*.<sup>360</sup>

– Jeśli zdążę! Obiecałem być u Archarowów, dają wieczór – rzekł Mikołaj.

– A ty?... – zwrócił się do Dołochowa. I gdy tylko zapytał, spostrzegł, że pytać o to nie należało.

– Tak, być może... – chłodno i gniewnie odrzekł Dołochow spojrzawszy na Sonię i chmurnym wzrokiem, takim właśnie jak na obiedzie klubowym patrzył na Pierre'a, spojrzął znowu na Mikołaja.

„Coś w tym jest” – pomyślał Mikołaj, a jeszcze bardziej utwierdziło go w tych przypuszczeniach to, że Dołochow odjechał zaraz po obiedzie. Wywołał Nataszę i zapytał, co się stało.

– A ja ciebie szukałam – powiedziała Natasza wybiegłszy do niego. – Mówiłam, a wciąż nie chciałeś wierzyć – rzekła z triumfem. – Oświadczył się Soni.

Jakkolwiek w tym czasie Mikołaj mało zajmował się Sonią, lecz gdy to usłyszał, coś jakby zerwało się w nim. Dla Soni, sieroty bez posagu, Dołochow był partią odpowiednią, a pod pewnym względem świetną. Z punktu widzenia starej hrabiny i wielkiego świata nie można mu było odmówić. Toteż pierwszym uczuciem Mikołaja, gdy to usłyszał, była złość na Sonię. Przygotował się, aby powiedzieć: „No, pięknie! Ma się rozumieć, należy zapomnieć o dziecinnych obietnicach i przyjąć oświadczynę”. Lecz nie zdążył jeszcze tego powiedzieć...

---

<sup>360</sup> Taniec z szalem.

– Czy możesz sobie wyobrazić! Odmówiła, całkiem odmówiła! – rzekła Natasza. – Powiedziała, że kocha innego – dodała po chwili milczenia.

„Ależ inaczej moja Sonia nie mogła postąpić!” – pomyślał Mikołaj.

– Ileż się jej mama naprosiła, ale ona odmówiła. A wiem, że jeśli coś powiedziała, to już nie zmieni...

– A mama ją prosiła? – zapytał Mikołaj z wyrzutem.

– Tak – rzekła Natasza. – Wiesz, Nikoleńka, nie gniewaj się, ale ja wiem, że ty się z nią nie ożenisz. Bóg wie, skąd to wiem, ale wiem na pewno, że się nie ożenisz.

– No, tego to nie wiesz w żadnym razie – rzekł Mikołaj – ale muszę z nią pomówić. Cóż za cudo, ta Sonia! – dodał z uśmiechem.

– Taka czarująca! Przyślę ci ją – i Natasza pocałowawszy brata uciekła.

Po chwili weszła Sonia, zmieszana, przestraszona, pełna skruchy. Mikołaj podszedł do niej i ucałował jej dłoń. Pierwszy raz od czasu jego przyjazdu mówili sam na sam i o swej miłości.

– Sophie – rzekł z początku nieśmiało, lecz potem coraz śmielej – skoro pani chcesz odrzucić partię, nie tylko świetną, ale korzystną... Lecz to jest wspaniały, szlachetny człowiek... mój przyjaciel... Sonia przerwała mu.

– Już mu odmówiłam.

– Jeżeli pani odmówiła przeze mnie, to obawiam się, że ze mną...

Sonia przerwała mu znowu. Popatrzyła nań błagalnym, wystraszonego wzrokiem.

– Nicolas, proszę mi tego nie mówić – rzekła.

– Nie, powinienem. Może to z mej strony *suffisance*<sup>361</sup>, ale jednak lepiej wszystko powiedzieć. Jeśli odmawiasz dla mnie, to winienem powiedzieć całą prawdę. Kocham panią, myślę, iż bardziej niż wszyscy...

– Mnie to wystarczy – rzekła Sonia spłonawszy rumieńcem.

– Tak, ale ja kochałem się już tysiąc razy i będę się kochał, mimo iż dla nikogo nie mam takiego uczucia przyjaźni, zaufania, miłości jak dla pani. Poza tym jestem młody. Maman sobie tego nie życzy. Więc po prostu niczego nie przyrzekam. I proszę, byś pani pomyślała o propozycji Dołochowa – rzekł wymawiając z trudem nazwisko przyjaciela.

– Proszę mi tego nie mówić. Nie chcę nic. Kocham pana jak brata i zawsze będę kochała, i nie trzeba mi nic więcej.

– Jesteś aniołem, nie jestem pani wart, lecz boję się panią zawieść. – Mikołaj jeszcze raz ucałował jej rękę.

---

<sup>361</sup> Zarozumiałość.

## XII

U Johela były najweselsze bale w Moskwie. Tak mówiły mamusie spoglądając na swe *adolescentes*, tańczące dopiero co wyuczone *pas*; to mówiły również same *adolescentes* i *adolescents*<sup>362</sup> tańczący do upadłego, powiadały to dorosłe panny oraz młodzi ludzie, przybywający na te bale z myślą, że się do nich zniżają, a znajdujący tam najlepszą zabawę. Tego właśnie roku na tych balach skojarzyły się dwa małżeństwa. Dwie ładniutkie księżniczki Gorczakow znalazły tu narzeczonych i wyszły za mąż, co nadało jeszcze większą sławę tym balom. Osobliwość tych balów stanowił brak gospodarza i gospodyni: był tylko lotny niby puch, kłaniający się wedle reguł sztuki, dobroduszny Johel, który odbierał bileciki za lekcje od wszystkich swych gości; było i to, że na bale zjeżdżali się tylko ci, co chcieli tańczyć i weselić się, jak pragną tego trzynasto- i czternastoletnie dziewczęta, po raz pierwszy wkładające długie suknie. Wszystkie, z małymi wyjątkami, były lub wydawały się ładniutkie; uśmiechały się z takim zachwytem, tak im gorzały oczki. Niekiedy lepsze uczennice, z których najlepszą była Natasza, wyróżniająca się gracją, tańczyły nawet *pas de châte*; lecz na tym ostatnim balu tańczono tylko *écossaise*, angleza i mazura, który właśnie wchodził w modę. Johel zajął salę w domu Bezuchowa, a bal, jak mówili wszyscy, był nader udany. Było mnóstwo ładniutkich dziewcząt, a panny Rostow należały do najładniejszych. Obie były szczególnie szczęśliwe i wesołe. Tego wieczoru Sonia, dumna z oświadczyń Dołochowa, ze swej odmowy i wyjaśnienia z Mikołajem, już w domu zaczęła tańczyć, nie pozwalając pokojówce doczesać warkoczy, a teraz jaśniała na wskroś porywistą radością.

Natasza, nie mniej dumna z tego, że po raz pierwszy jest na prawdziwym balu, w długiej sukni, była jeszcze szczęśliwsza. Miały na sobie białe muślinowe suknie z różowymi szarfami.

Natasza poczuła się zakochana w tej samej chwili, gdy weszła na bal. Nie była zakochana w nikim szczególnie, była zakochana we wszystkich. W tym właśnie była zakochana, na którego patrzyła w tej chwili, i w ten sposób, jak patrzyła.

– Ach, jak dobrze! – mówiła wciąż podbiegając do Soni.

Mikołaj i Denisow chodzili po salach spoglądając na tańczących życzliwie i protekcyjnie.

– Jaka ona miła, będzie z niej piękność – rzekł Denisow.

– Kto?

– Hrabianka Natasza – odrzekł Denisow.

– Jak ona tańczy, co za gracja! – dodał po chwili milczenia.

– Ależ o kim ty mówisz?

– O twojej własnej siostrze – zawołał gniewnie Denisow.

Rostow uśmiechnął się.

– *Mon cher comte, vous êtes l'un de mes meilleurs écoliers, il faut que vous dansiez* – powiedział malutki Johel podchodząc do Mikołaja. – *Voyez, combien de jolies demoiselles.*<sup>363</sup>

---

<sup>362</sup> Podlotki... wyrostki.

<sup>363</sup> Kochany hrabio, należysz do najlepszych moich uczniów, powinieneś tańczyć... Proszę, ile ładnych panien.

– Z podobną prośbą zwrócił się do Denisowa, również swego byłego ucznia.  
– *Non, mon cher, je ferait tapisserie*<sup>364</sup> – rzekł Denisow. – Czy nie pamięta pan, jak źle wykorzystałem pańskie lekcje?

– O, nie – rzekł spiesznie Johel pocieszając go. – Pan tylko był mało pilny. Ale zdolności były, tak, były zdolności.

Znowu zagrano świeżo lansowanego mazura. Mikołaj nie mógł odmówić Johelowi i zaprosił Sonię. Denisow przysiadł się do starszych pań i, wsparty na szabli, przytupywał do taktu, opowiadał coś wesołego i śmieszył starsze damy, spoglądając na tańczącą młodzież. Johel tańczył w pierwszej parze z Nataszą, swą chlubą i najlepszą uczennicą. Przebierając miękko i delikatnie swymi nóżkami w trzewiczkach, Johel pierwszy przeleciał przez salę z onieśmieloną, lecz starannie odrabiającą *pas* Nataszą. Denisow nie spuszczał z niej oczu i wystukiwał szablą takt, z wyrazem takim, który jasno mówił, że on sam nie tańczy jedynie dlatego, że nie chce, a nie dlatego, że nie może. W środku figury przywołał do siebie Rostowa przechodzącego obok.

– Całkiem nie tak! – powiedział. – Czyż to polski mazur? Ale tańczy doskonale.

Wiedząc, iż Denisow nawet w Polsce słynął z mistrzostwa w tańczeniu mazura, Mikołaj podbiegł do Natalii.

– Idź, wybierz Denisowa. Ten tańczy! Cudo – powiedział.

Gdy znów przyszła kolej na Nataszę, wstała i przebierając szybko pantofelkami z kokardką przebiegła sama, onieśmielona, przez salę do kąta, gdzie siedział Denisow. Widziała, iż wszyscy patrzą na nią i czekają. Mikołaj spostrzegł, że Denisow i Natasza spierają się z uśmiechem i że Denisow odmawia, lecz uśmiecha się radośnie. Podbiegł.

– Wasilij Dmitricz, proszę – mówiła Natasza – chodźmy, proszę.

– Ależ, hrabianko, proszę mnie zwolnić – odrzekł Denisow.

– No, daj pokój, Wasia – powiedział Mikołaj.

– Namawiają jak kota do szperki – rzekł Denisow żartobliwie.

– Przez cały wieczór będę dla pana śpiewała – rzekła Natasza.

– Czarodziejka, zrobi ze mną wszystko! – powiedział Denisow i odpiął szablę. Wszedł zza krzesel, ujął krzepko rękę swej damy, uniósł głowę i odstawił nogę w oczekiwaniu taktu. Tylko w mazurze i na koniu nie widać było jego małego wzrostu i Denisow okazywał się takim właśnie chwatem, jakim się czuł. Wyczekawszy takt, zerknął na swą damę z boku, żartobliwie a zwycięsko, przytupnął nieoczekiwanie nogą, odskoczył sprężyste od parkietu niby piłka i poleciał przed siebie w kole tanecznym, pociągając za sobą damę. Leciał niedostłyszalnie przez pół sali na jednej nodze i jak gdyby nie widział krzesel, które stały przed nim, pędząc wprost na nie, lecz nagle zadzwoniwszy ostrogami i rozstawiając nogi, zatrzymał się na obcasach, stał tak przez chwilę, brzęcząc ostrogami przytupywał na jednym miejscu, szybko obracał się i wybijając hołubce, znowu leciał po kolisku. Natasza odgadywała, co zamierzał robić, i sama nie wiedząc jak, poddawała mu się naśladując go. Obracał nią to na prawej, to na lewej ręce, to znów przyklękając okręcał wokół siebie. Znowu zrywał się i pędził naprzód z takim impetem, jakby miał zamiar przebiec jednym tchem wszystkie pokoje; to znowu nagle zatrzymywał się, robiąc nowy a nieoczekiwany obrót. Gdy wreszcie, okręciwszy chwacko damę przed jej miejscem, brzęknął ostrogami w ukłonie, Natasza nawet nie drgnęła. Spojrzała na niego oczyma pełnymi zdumienia, uśmiechając się, jakby go nie poznawała.

– Cóż to jest? – wymówiła.

Nie bacząc na to, iż Johel nie uznawał autentyczności tego mazura, mistrzostwo Denisowa zachwycało wszystkich: panie wciąż go wybierały, a starzy uśmiechając się zaczęli rozmawiać o Polsce i dobrych, dawnych czasach. Denisow, zarumieniony od mazura, wycierając twarz chusteczką, przysiadł się do Nataszy i nie odstępował jej do końca balu.

---

<sup>364</sup> Nie, mój kochany, będę podpierał ścianę.

### XIII

Przez dwa dni następne Rostow nie widział Dołochowa w domu, a w jego mieszkaniu nie mógł go zastać, na trzeci dzień otrzymał od niego bilecik:

„Ponieważ nie mam zamiaru bywać u Was z powodów Ci znanych i wyjeżdżam do armii, wydaję dziś wieczorem dla mych przyjaciół pożegnalną kolacyjkę – przyjedź do Hotelu Angielskiego”. O dziesiątej wieczór Rostow z teatru, gdzie był razem z Denisowem i rodziną, przyjechał do Hotelu Angielskiego. Zaprowadzono go zaraz do najlepszego apartamentu w hotelu, wynajętego przez Dołochowa na tę noc.

Ze dwadzieścia osób tłoczyło się koło stołu, przy którym między dwiema świecami siedział Dołochow. Na stole leżało złoto i banknoty, a Dołochow trzymał bank. Od czasu oświadczeń i odmowy Soni Mikołaj jeszcze się z nim nie widział, czuł więc zmieszanie na myśl o tym, w jaki sposób się spotkają.

Już przy drzwiach Rostow napotkał jasne, zimne spojrzenie Dołochowa, jakby ten dawno nań czekał.

– Dawnośmy się nie widzieli – rzekł. – Dziękuję, żeś przyjechał. Skończę z bankiem i wnet przybędzie Iliuszka z chórem.

– Zajeżdżałem do ciebie – rzekł Rostow czerwieniąc się. Dołochow mu nie odpowiedział.

– Możesz postawić – rzekł.

Rostow przypomniał sobie w tej chwili dziwną rozmowę, jaką miał pewnego razu z Dołochowem. „Grać, zawierając szczęściu, mogą tylko durnie” – rzekł wówczas Dołochow.

– A może boisz się grać ze mną? – rzekł teraz Dołochow, jakby odgadując myśl Rostowa, i uśmiechnął się. Poprzez ten uśmiech Rostow dostrzegł w nim nastrój, w jakim był podczas obiadu w klubie i w ogóle w tych chwilach, gdy jakby znudzony życiem powszednim, Dołochow odczuwał konieczność wyrwania się zeń w jakimś dziwnym, przeważnie okrutnym postępku.

Rostowowi zrobiło się nieprzyjemnie. Szukał w głowie i nie znajdował żartu, którym mógłby odpowiedzieć na słowa Dołochowa. Lecz nim zdołał to uczynić, Dołochow, spoglądając Rostowowi prosto w twarz, powoli skandując, tak aby wszyscy mogli usłyszeć, rzekł.

– A pamiętasz, jakeśmy mówili z tobą o grze... Dureń – kto chce grać zawierając szczęściu, grać trzeba na pewniaka. Chcę spróbować.

„Spróbować szczęścia czy grać na pewniaka?” – pomyślał Rostow.

– Ale ty lepiej nie graj – dodał tamten i trzaskając odpieczętowaną talią dodał: – Panowie, bank!

Dołochow, przesunawszy ku środkowi stołu pieniądze, szykował się do rozdania kart. Rostow usiadł koło niego i z początku nie grał. Dołochow spoglądał na niego.

– Czemu nie grasz? – rzekł Dołochow. I dziwna rzecz: Mikołaj poczuł, że musi wziąć karty, postawić nieznaczną sumę i rozpocząć grę.

– Nie mam przy sobie pieniędzy – powiedział Rostow.

– Zaufam ci!

Rostow postawił pięć rubli i przegrał. Postawił jeszcze i znowu przegrał. Dołochow przebił jego dziesięć kart, to znaczy wygrał dziesięć razy z rzędu od Rostowa.

– Panowie – rzekł po kilku rozdaniach – proszę kłaść pieniądze na karty, bo mogę popłatać rachunki.

Jeden z graczy powiedział, iż ma nadzieję, że można mu zaufać.

– Zaufać można, ale boję się zapłatać, proszę kłaść pieniądze na karty – odrzekł Dołochow. – A ty się nie krępuj, policzymy się z tobą później – dodał zwracając się do Rostowa.

Gra trwała dalej, lokaj nieustannie roznosił szampana. Wszystkie karty Rostowa zostały przebite, obciążał go już zapis około ośmiuset rubli. Napisał już nad jedną kartą osiemset rubli, ale w chwili gdy dano mu kieliszek szampana, rozmyślił się i napisał znowu zwykłą stawkę: dwadzieścia rubli.

– Zostaw – rzekł Dołochow, choć, zdawało się, wcale nie patrzył na Rostowa. – Prędzej się odegrasz. Innym rozdaję, a ciebie przebijam. A może się mnie boisz? – powtórzył.

Rostow posłuchał, zostawił zapisane osiemset i postawił siódmkę kier z oderwanym rozkiem, którą podniósł z ziemi. Pamiętał ją później dobrze. Postawił siódmkę kier, napisał nad nią okruchem kredy 800 okrągłymi, prostymi cyframi; wypił podaną mu szklankę ciepłego szampana, uśmiechnął się do słów Dołochowa i z zamierającym sercem oczekując siódmki jał patrzeć na ręce Dołochowa, który trzymał talię. Wygrana lub przegrana owej siódmki kier oznaczała dla Rostowa wiele. Minionej niedzieli hrabia Ilia Andreicz dał synowi dwa tysiące rubli i choć nigdy nie lubił mówić o trudnościach pieniężnych, powiedział mu, iż pieniądze te będą ostatnie aż do maja, i dlatego prosił syna, aby tym razem był oszczędniejszy. Mikołaj powiedział, że dla niego i to za dużo i że daje słowo honoru nie brać więcej pieniędzy aż do wiosny. Teraz z tych pieniędzy pozostało mu tysiąc dwieście rubli, a więc siódmka kier oznaczała nie tylko przegraną tysiąca sześciuset rubli, lecz i konieczność złamania danego słowa. Z zamierającym sercem patrzył na ręce Dołochowa i myślał: „No, prędzej, dawaj mi tę kartę, a biorę czapkę, jadę do domu, by zjeść kolację z Denisowem, Nataszą i Sonią, i już z pewnością nigdy więcej nie wezmę kart do ręki”. W tej chwili domowe jego życie – żarciki z Pietią, rozmowy z Sonią, duety z Nataszą, gra w pikietę z ojcem i nawet spokojne łóżko w domu na Powarskiej – stało przed nim z taką mocą, jasnością i powabem, jak gdyby wszystko to było jakąś daleką przeszłością, bezcennym a zagubionym szczęściem. Nie mógł dopuścić do tego, aby głupi przypadek, który skłonił siódmkę, by padła wcześniej na prawą niż na lewą stronę, mógł go pozbawić ponownie zrozumianego, rozjaśnionego nowym światłem szczęścia i rzucić go w wir jeszcze nie znanego, nieokreślonego nieszczęścia. To stać się nie mogło, lecz mimo wszystko czekał, zamierając, na ruch rąk Dołochowa. Te ręce, czerwone, o grubej kości, z owłosieniem widniejącym spod rękawa, położyły talię kart i ujęły podawaną szklankę i fajkę.

– A więc nie boisz się grać ze mną? – powtórzył Dołochow i jakby po to, aby opowiedzieć wesołą dykteryjkę, położył karty, osunął się na oparcie krzesła i jał opowiadać, rozwlekając słowa, z uśmiechem.

– Tak, panowie, powiadano mi, jakoby w Moskwie krążą słuchy, iż jestem szulerem, toteż radzę wam być ze mną ostrożniejszym.

– No, ciągnij wreszcie! – rzekł Rostow.

– Och, te moskiewskie ciocie! – rzekł Dołochow i z uśmiechem zabrał się do kart.

– Aaach! – Rostow omal nie krzyknął podnosząc obie ręce do włosów. Siódmka, tak mu potrzebna, już leżała jako pierwsza na wierzchu talii. Przegrał więcej, niż mógł zapłacić.

– A ty się jednak nie zapędzaj – rzekł Dołochow spojrzawszy mimochodem na Rostowa i dalej ciągnął karty.

## XIV

Po upływie półtorej godziny większość graczy traktowała już własną grę jako żart.

Cała gra skupiała się wyłącznie na Rostowie. Zamiast tysiąca sześciuset rubli obciążał go już zapis z długiej kolumny cyfr, które obliczał na dziesięć tysięcy, ale która teraz, jak to mętnie przypuszczał, podniosła się już do piętnastu. W rzeczywistości zapis przewyższał już dwadzieścia tysięcy rubli. Dołochow już nie słuchał i nie opowiadał dykteryjek. Obserwował każdy ruch rąk Rostowa, z rzadka mimochodem spoglądając na zapis jego długu. Postanowił ciągnąć grę do tego czasu, póki zapis nie wzrośnie do czterdziestu trzech tysięcy. Liczbę tę wybrał dlatego, że suma dodanych lat jego i Soni stanowiła czterdzieści trzy. Rostow, wsparłszy głowę na dłoniach, siedział przy stole pokrytym cyframi, zalany winem, zarzuconym kartami. Nie opuszczało go jedno męczące uczucie, te ręce o grubej kości, czerwonawe, z włosami widniejącymi spod rękawa koszuli, ręce, które kochał i nienawidził, trzymały go w swej władzy.

„Sześćset rubli, as, róg, dziewiątka... odegrać się nie sposób!” A jak wesoło byłoby w domu... Walet na pe... to być nie może!... I czemu on to ze mną wyrabia?...” – myślał i wspominał Rostow. Niekiedy próbował wielkiej stawki, lecz Dołochow odmawiał przebiccia i sam oznaczał stawkę. Mikołaj podporządkowywał mu się i bądź modlił się do Boga, jak modlił się na polu bitwy, na moście Amstetten, bądź wróżył sobie, iż ocali go karta, która pierwsza wpadnie mu w ręce wśród stosu załamanych kart pod stołem; bądź też liczył, ile sznurków w szamerunku ma na kurtce, i próbował całą swą przegraną postawić na kartę o tyłuż oczkach; bądź oglądał się na innych grających, szukając pomocy; bądź wpatrywał się w zimną teraz twarz Dołochowa i starał się przeniknąć, co się w nim dzieje.

„Przecież on wie, co znaczy dla mnie ta przegrana. Nie może przecie pragnąć mej zguby? Przecie był moim przyjacielem. Przecie go kochałem... Ale i on nie jest winien; cóż ma zrobić, skoro mu dopisuje szczęście? I ja nie jestem winien – mówił sam do siebie. – Nie zrobiłem nic złego. Czym kogo zabił, znieważył, czy życzyłem źle komukolwiek? Za cóż takie okropne nieszczęście? I kiedy się ono zaczęło? Tak jeszcze niedawno podchodziłem do tego stołu z myślą, iż wygram sto rubli, kupię tę szkatułkę dla mamany na imieniny i pojedę do domu. Byłem taki szczęśliwy, swobodny, wesół! A nie rozumiałem wówczas, jaki byłem szczęśliwy! Kiedyż się tamto skończyło i zaczął się ten nowy, okropny stan? Co znamionowało tę przemianę? Wciąż tak samo siedziałem na tym miejscu, przy tym stole, tak samo wybierałem i kładłem kartę i patrzyłem na te szerokie, zręczne dłonie. Kiedyż się to wszystko dokonało i co się dokonało? Jestem zdrow, krzepki, wciąż ten sam i wciąż na tym samym miejscu. Nie, to być nie może! Na pewno to wszystko skończy się na niczym”.

Był czerwony, zlany potem, mimo iż w pokoju nie było gorąco. Twarz miał straszną i żalną, zwłaszcza że na próżno pragnął wydać się spokojny.

Zapis dobiegał do fatalnej sumy czterdziestu trzech tysięcy. Rostow przygotował kartę, która miała podwoić stawkę trzech tysięcy rubli dopiero co podaną, gdy Dołochow stuknął talią, odłożył ją i ujawszy kredę jał szybko swym mocnym, wyrazistym pismem, krusząc kredę, sumować zapis Rostowa.

– Kolacja, czas na kolację! Otóż i Cyganie! – Rzeczywiście, jacyś czarni mężczyźni i kobiety z cygańską wymową już wchodzili z mrozu i coś mówili. Mikołaj rozumiał, że wszystko jest skończone, mimo to rzekł głosem obojętnym:

– Co, już nie grasz? A ja tu mam wspaniałą kartę. – Jak gdyby radość samej gry interesowała go więcej niż wszystko.

„Wszystko skończone, jestem zgubiony! – myślał. – Jestem zgubiony! – myślał. – Jedno mi pozostaje teraz – kula w łeb”. A jednocześnie rzekł wesołym głosem:

– No, jeszcze jedna karta.

– Dobrze – odpowiedział Dołochow skończywszy sumowanie – dobrze, o dwadzieścia jeden rubli – rzekł wskazując na cyfrę dwadzieścia jeden psującą równy rachunek czterdziestu trzech tysięcy. I wzięwszy talię szykował się do rozdania. Rostow zagiął róg i zamiast sześciu tysięcy, jak zamierzał, napisał starannie dwadzieścia jeden.

– Dla mnie to wszystko jedno – powiedział. – Interesuje mnie tylko, czy przebijesz, czy oddasz mi tę dziesiątkę.

Dołochow poważnie dawał kartę. O, jakże nienawidził Rostow w tej chwili tych rąk czerwonych, z krótkimi palcami, z włosami widocznymi spod rękawa, rąk, które miały go w swej władzy. Padła dziesiątka.

– Hrabio, mam u ciebie czterdzieści trzy tysiące – rzekł Dołochow i wstał od stołu przeciągając się. – A jednak takie długie siedzenie męczy – powiedział.

– Tak, ja też jestem zmęczony – rzekł Rostow. Dołochow, jakby przypominając mu, że karty są nie na miejscu, przerwał:

– Hrabio, kiedy raczysz odesłać pieniądze? Rostow spłonął rumieńcem, odwołał Dołochowa do sąsiedniego pokoju.

– Nie mogę zapłacić wszystkiego tak nagle, przyjmij weksel – powiedział.

– Posłuchaj, Rostow – rzekł Dołochow z jasnym uśmiechem, patrząc Mikołajowi w oczy. – Znasz przysłowie: „Szczęście w miłości, nieszczęście w kartach”. Twoja kuzynka jest w tobie zakochana. Wiem o tym.

„Och, to straszne czuć się we władzy tego człowieka” – myślał Rostow. Rostow rozumiał, jaki cios zada ojcu, matce wieścią o swej przegranej; rozumiał, jakim byłoby szczęściem wybawienie od tego wszystkiego, rozumiał, iż Dołochow wie, co może wybawić go z tego wstydu i strapienia, i że teraz jeszcze chce igrać z nim jak kot z myszą.

– Twoja kuzynka... – chciał rzec Dołochow, lecz Mikołaj mu przerwał.

– Moja kuzynka nie ma nic do tego i nie ma co o niej mówić! – krzyknął z wściekłością.

– Więc kiedy? – zapytał Dołochow.

– Jutro – rzekł Rostow i wyszedł z pokoju.



## XV

Powiedzieć „jutro” i zachować godny ton – było nietrudno, ale samotny przyjazd do domu, widok sióstr, brata, matki, ojca, przyznanie się i prośba o pieniądze, do których się nie ma prawa, po danym słowie honoru – to było straszne.

W domu jeszcze nie spano. Młodzież, wróciwszy z teatru, siedziała po kolacji dokoła klawikordu. Gdy tylko Mikołaj wszedł do salonu, ogarnęła go ta miłosa, poetyczna aura, która panowała tej zimy w ich domu i która teraz, po oświadczeniach Dołochowa i balu u Johela, jak gdyby jeszcze bardziej zgęstniała nad Sonią i Nataszą, niby powietrze przed burzą. Sonia i Nataszą, w niebieskich sukienkach, w których były w teatrze, ładniutkie i świadome tego, uśmiechały się szczęśliwie, stojąc przy klawikordzie. Wiera grała w bawialni z Szynszynem w szachy. Stara hrabina, czekając na syna i męża, kładła pasjansę ze starą szlachcianką, mieszkającą w ich domu. Denisow z błyszczącymi oczyma i najeżonymi włosami, z nogą odrzuconą do tyłu, siedział przy klawikordzie, uderzając weń swymi krótkimi palcami, brał akordy, śpiewał, przewracając oczyma, swym niewielkim, ochrypłym, lecz pewnym głosem, ułożony przezeń wiersz *Czarodziejka*, do którego usiłował dobrać muzykę.

Powiedz mi, czarodziejko, jaka siła  
Do strun mnie wabi mocno i niezmiennie?  
Jakieś ty ognie w sercu zapaliła?  
Jakie przelałaś palcom upojenie?

Śpiewał głosem namiętym, jego czarne agatowe oczy rzucały błyski w stronę wystraszonej, lecz szczęśliwej Nataszy.

– Ślicznie! Wspaniale! – wołała Natasza. – Jeszcze jeden kuplet – mówiła nie zauważysz Mikołaja.

„U nich wciąż tak samo” – pomyślał Mikołaj zaglądając do bawialni, gdzie zobaczył Wierę i matkę ze staruszką.

– A otóż i Nikoleńka! – Natasza podbiegła do niego.

– Czy papa w domu? – zapytał.

– Jak się cieszę, żeś przyjechał – rzekła Natasza nie odpowiadając – tak nam wesoło. Wasilij Dmitricz pozostał dla mnie jeszcze przez dzień, wiesz?

– Nie, papa jeszcze nie przyjechał – rzekła Sonia.

– Koko, przyjechałeś, chodź do mnie, kochanie – rozległ się głos hrabiny z bawialni. Mikołaj podszedł do matki, pocałował ją w rękę i usiadłszy w milczeniu przy stole jął patrzeć na jej ręce układające karty. Z salonu wciąż słychać było śmiech i wesołe głosy namawiające Nataszę.

– No, dobrze, dobrze – zawołał Denisow – teraz już wymawiać się nie ma co. Błagam panią, należy się nam barkarola.

Hrabina spojrzała na milczącego syna.

– Co ci jest? – zapytała matka Mikołaja.

– Ach, nic – powiedział, jakby mu już dokuczyło powtarzanie tego samego pytania. – Czy papa prędko przyjedzie?

– Myślę, że tak.

– „U nich wszystko tak samo. Nie wiedzą o niczym. Gdzie ja się podzieję?” – pomyślał Mikołaj i znowu poszedł do salonu, gdzie stał klawikord.

Sonia siedziała przy klawikordzie i grała preludium do barkaroli, szczególnie ulubionej przez Denisowa. Natasza przygotowywała się do śpiewu. Denisow patrzył na nią zachwyconymi oczyma.

Mikołaj zaczął chodzić po pokoju.

„Że też im się chce zmuszać ją do śpiewu! Co ona może zaśpiewać? I nie ma w tym nic wesołego”.

Sonia wzięła pierwszy akord preludium.

„Mój Boże, jestem człowiekiem zgubionym, bez honoru. Kula w łeb – to jedno, co mi zostaje, a nie śpiew – pomyślał. – Odejść? Ale gdzie? Wszystko jedno, niech śpiewają!”

Mikołaj chodząc dalej po pokoju spoglądał posepnie na Denisowa i dziewczęta, unikając ich spojrzeń.

„Nikoleńka, co panu jest?” – pytało spojrzenie Soni, skierowane na niego. Od razu spostrzegła, że musiało mu się coś przytrafić.

Mikołaj odwrócił się od niej. Natasza, ze swą wrażliwością, również natychmiast zauważyła stan brata. Zauważyła to, ale w tej chwili było jej tak wesoło, tak daleka była od strapiień, smutku, wyrzutów, iż (jak to często bywa u młodych ludzi) umyślnie oszukiwała się. „Tak, jest mi teraz zbyt wesoło, aby psuć sobie wesołość współczując cudzemu zmartwieniu” – pomyślała i rzekła do siebie: „Nie, ja się chyba mylę, on chyba jest tak samo wesoły jak i ja”.

– No, Sonia – rzekła i wyszła na środek salonu, gdzie jej zdaniem rezonans był najlepszy. Uniósłszy głowę, opuściwszy ręce bezwładnie, jak to czynią tancerki, Natasza, krocząc energicznie z obcasika na nosek, przeszła na środek pokoju i zatrzymała się.

„Oto jaka jestem!” – zdawała się mówić w odpowiedzi na zachwycone spojrzenie obserwującego ją Denisowa.

„I z czego się ona cieszy! – pomyślał Mikołaj spoglądając na siostrę. – Że też jej to nie nudzi i nie żenuje!” Natasza wzięła pierwszy ton, gardło jej rozszerzyło się, pierś wyprostowała, oczy nabrały wyrazu powagi. W tej chwili nie myślała o niczym i o nikim, a z warg ułożonych w uśmiech popłynęły dźwięki, te dźwięki, które w tych samych odstępach czasu, w tych samych interwałach może wydawać każdy, ale które po tysiąc razy pozostawiają was chłodnymi, a po raz tysięczny pierwszy zmuszają do drżenia i łez.

Natasza dopiero tej zimy zaczęła śpiewać na serio, w szczególności dlatego, iż Denisow zachwycał się jej śpiewem. Teraz już śpiewała nie dziecinnie, jej śpiew już nie miał tej komicznej dziecięcej staranności, którą miał przedtem; ale śpiewała jeszcze niezbyt dobrze, jak mówili wszyscy znawcy-krytycy, którzy jej słuchali. „Niewyszkolony, lecz piękny głos należy szkolić” – mówili wszyscy. Lecz mówili to zwykle już długo potem, gdy głos jej zamilkł. Kiedy zaś dźwięczał ten niewyszkolony głos z nieprawidłowymi wydechami, forsując przejścia, nawet znawcy-krytycy nie mówili nic, tylko rozkoszowali się tym niewyszkolonym głosem i tylko pragnęli usłyszeć go raz jeszcze. W głosie jej była ta nietknięta, świeża dziewczęcość, nieświadomość własnych sił i nie wypracowane jeszcze aksamitne brzmienia, które tak łączyły się z brakami sztuki śpiewaczej, iż zda się nie sposób było coś zmienić w głosie, by go nie zepsuć.

„Cóż to jest? – pomyślał Mikołaj usłyszawszy jej głos i otwierając szeroko oczy. – Co się z niej zrobiło? Jak ona teraz śpiewa?” – pomyślał. I nagle cały świat skupił się dlań w oczekiwaniu następnego tonu, następnej frazy i wszystko w świecie zostało podzielone na trzy tempa:

„*Och, mio crudele affetto...*”,<sup>365</sup> Raz, dwa, trzy... raz, dwa... trzy... „*Och, mio crudele affetto...*” Raz, dwa, trzy... raz... „E, głupie to nasze życie! – myślał Mikołaj. Wszystko tamto, i nieszczęście, i pieniądze, i Dołochow, i złość, i honor – wszystko to bzdury... jedynie to jest prawdziwe... No, Natasza! No, kochanie, no, złotko!... Jak ona weźmie to s i? Wzięła! Chwała Bogu!” – i sam nie zauważając, że śpiewa, aby wzmocnić owo s i, zawtórował jej w tercji wysokiego tonu. „Mój Boże, jak pięknie! Czyżbym to ja wziął? Co za szczęście!” – pomyślał.

O, jakże drgała owa tercja, jakże poruszyło się owo coś, co było lepszą częścią duszy Rostowa. I owo coś było niezależne od wszystkiego w świecie i wyższe ponad wszystko w świecie. Co tam przegrana, Dołochowowie i słowa honoru!... Wszystko bzdura! Można zarżnąć, można ukraść i mimo wszystko – być szczęśliwym...

---

<sup>365</sup> Ach, moja okrutna miłość...

## XVI

Dawno już Rostow nie czuł, że muzyka sprawia mu taką rozkosz, jak owego dnia. Lecz gdy tylko Natasza skończyła barkarolę, rzeczywistość przypomniała mu się znowu. Nic nie mówiąc wyszedł i poszedł na dół do swego pokoju. Po kwadransie stary hrabia, wesoły i zadowolony, przybył z klubu. Mikołaj, usłyszawszy, że przyjechał, poszedł do niego.

– No, cóż, zabawieś się? – rzekł Ilia Andreicz uśmiechając się na widok syna radośnie i dumnie. Mikołaj chciał powiedzieć, iż „tak”, ale nie mógł; omal nie załkał. Hrabia zapalał fajkę i nie zauważył stanu syna.

„Ach, to nieuniknione!” – pomyślał Mikołaj po raz pierwszy i ostatni. I nagle tonem najbardziej niedbałym, takim, że sam wydał się sobie ohydny, rzekł ojcu, jakby prosił o powóz, by pojechać na miasto:

– Papo, ja przyszedłem za interesem. Byłbym zapomniał. Potrzebuję pieniędzy.

– Więc tak – rzekł ojciec, który znajdował się w nastroju szczególnie wesołym. – Mówiłem, że ci zabraknie. Czy dużo?

– Bardzo dużo – rzekł Mikołaj czerwieniąc się, ale z głupim, niedbałym uśmiechem, którego długo później nie mógł sobie darować. – Przegrałem trochę w karty, to znaczy dużo, nawet bardzo dużo: czterdzieści trzy tysiące,

– Co? Do kogo?... Żartujesz! – wykrzyknął hrabia od razu czerwieniejąc apoplektycznie na szyi i karku, jak czerwienieją starzy ludzie.

– Obiecałem zapłacić jutro – rzekł Mikołaj.

– No!... – powiedział stary hrabia rozłożywszy ręce i osuwając się bezsilnie na kanapę.

– Cóż począć! Komuż to się nie zdarza – rzekł syn śmiałym, nonszalanckim tonem, podczas gdy w duszy uważał się za łotra, nikczemnika, który całym życiem nie może okupić swej zbrodni. Chciał całować ręce ojca, prosić na kolanach o przebaczenie, a mówił tonem niedbałym, a nawet ordynarnym, że każdemu się może to zdarzyć. Hrabia Ilia Andreicz spuścił oczy usłyszawszy te słowa syna i zakrzętnął się szukając czegoś.

– Tak, tak – rzekł – trudno, boję się, że trudno będzie dostać... Tak! Komuż to się nie zdarza... – Hrabia przelotnie spojrzawszy synowi w oczy i wyszedł szybko z pokoju. Mikołaj przygotowany był na opór, ale tego wcale nie oczekiwał.

– Tatusiu! Ta...tusi! – łkając zawołał za ojcem – przebacz mi! – i porwawszy dłoń ojca przywarł do niej wargami i rozplakał się.

W tym czasie, gdy toczyła się rozmowa ojca z synem, matka z córką omawiały nie mniej ważne sprawy. Natasza przybiegła wzruszona do matki.

– Mamo!... Mamo!... On... on...

– Co się stało?

– On mi się oświadczył! Mamo! Mamo! – wołała Natasza.

Hrabina nie wierzyła własnym uszom. Denisow oświadczył się? Komu? Tej małej dziewczynce, Nataszy, która jeszcze niedawno bawiła się lalkami, a i teraz jeszcze pobiera lekcje.

– Dosyć, Natasza, co za głupstwa! – rzekła mając jeszcze nadzieję, że to żart.

– Jakże tam głupstwa! Mówię poważnie – rzekła gniewnie Natasza. – Przyszłam spytać się, co robić, a mama mi powiada: „Głupstwa...” Hrabina wzruszyła ramionami.

– Jeśli to prawda, iż monsieur Denisow oświadczył ci się, to powiedz mu, że jest głupcem. To wszystko.

– Nie, on nie jest głupcem – rzekła Natasza z urazą i powagą.

– No więc czego chcesz? Teraz wszyscy jesteście zakochani. Jesteś zakochana, to wyjdź za niego – rzekła hrabina śmiejąc się gniewnie. – Z Bogiem!

– Nie, mamu, nie jestem w nim zakochana... nie jestem chyba w nim zakochana.

– No więc tak mu powiedz.

– Mamu, gniewasz się? Nie gniewaj się, kochanie. No, cóż ja temu jestem winna?

– Ależ nie, co też ty mówisz, moja droga? Jeśli chcesz, pójdę i powiem mu – rzekła hrabina z uśmiechem.

– Nie, ja sama, tylko proszę mnie nauczyć. Mamie wszystko wydaje się łatwe – dodała odpowiadając na jej uśmiech. – A gdyby mama wiedziała, jak on mi to powiedział! Wiem przecie, że nie chciał tego powiedzieć, tylko tak powiedział nieumyślnie.

– No, ale mimo wszystko trzeba odmówić.

– Nie, nie trzeba. Mnie jego tak żal! On jest taki miły!

– No, więc przyjmij oświadczyń. Czas ci już za męża – rzekła matka gniewnie i drwiąco.

– Nie, mamu, mnie go tak żal. Nie wiem, jak mu to powiedzieć.

– A po co masz mówić, sama powiem – rzekła hrabina, oburzona, iż ośmielono się na tę małą Nataszę patrzeć jak na dorosłą.

– Nie, za nic, ja sama, niech mama słucha przy drzwiach – i Natasza pobiegła przez bawialnię do salonu, gdzie przy klawikordzie, wciąż na tym samym krześle, siedział Denisow ukrywając twarz w dłoniach. Zerwał się na odgłos jej lekkich kroków.

– Natalie – rzekł podchodząc do niej szybkim krokiem – rozstrzygnij mój los, znajduje się w pani rękach!

– Wasilij Dmitricz, tak mi pana żal!... Nie, pan jest taki miły... ale tego... nie trzeba... i tak zawsze będę pana lubiła.

Denisow pochylił się nad jej ręką i Natasza usłyszała dziwne, niepojęte dla niej dźwięki. Pocałowała go w czarną, zmierzwioną, kędzierzawą głowę. W tej chwili rozległ się spieszny szum spódnicy hrabiny. Podeszła ku nim.

– Wasilij Dmitricz, jestem panu wdzięczna za zaszczyt – rzekła hrabina zmieszonym głosem, który jednak wydał się Denisowowi surowy – ale moja córka jest taka młoda... i myślałam, iż pan, jako przyjaciel mego syna, zwróci się przede wszystkim do mnie. W tym wypadku nie byłabym zmuszona odmówić panu.

– Pani hrabino! – rzekł Denisow ze spuszczonej oczyma i miną winowajcy. Chciał jeszcze coś rzec, lecz utknął.

Natasza nie mogła spokojnie patrzeć na jego żalony wygląd. Zaczęła głośno płakać.

– Pani hrabino, zawiniłem wobec pani – ciągnął Denisow urywanym głosem – ale wierzę mi, iż tak ubóstwiam córkę pani i całą pani rodzinę, iż dwa życia bym oddał... – popatrzył na hrabinę, a zauważywszy jej surową twarz... – No, żegnam panią hrabinę – rzekł, pocałował ją w rękę i nie spojrzawszy na Nataszę wyszedł szybkim, stanowczym krokiem.

Nazajutrz Rostow odprowadził Denisowa, który nie chciał już ani jednego dnia pozostać w Moskwie. Denisowa żegnali u Cyganów wszyscy jego moskiewscy przyjaciele. Nie pamiętał nawet, jak go ułożono w saniach i wieziono przez pierwsze trzy stacje.

Po odjeździe Denisowa Rostow czekając na pieniądze, których stary hrabia nie mógł zebrać od razu, spędził jeszcze dwa tygodnie w Moskwie, nie opuszczając domu i siedząc poważnie w pokoju panien.

Sonia była dla niego tkliwsza i bardziej oddana niż dawniej. Jak gdyby chciała mu okazać, iż jego przegrana była czynem, za który kocha go jeszcze mocniej, lecz Mikołaj uważał się teraz za niegodnego jej.

Zapisał albumy dziewcząt wierszami i nutami i nie żegnając się z nikim ze znajomych, odesławszy wreszcie całe czterdzieści trzy tysiące i otrzymawszy pokwitowanie Dołochowa, w końcu listopada wyjechał, aby dopędzić pułk, który znajdował się już w Polsce.

## CZEŚĆ DRUGA

## I

Po scenie z żoną Pierre pojechał do Petersburga. Na stacji w Torżku nie było koni, a może poczmistrz nie chciał ich dać. Pierre musiał czekać. Nie rozbierając się legł na skórzaną kanapę przed okrągłym stołem, położył na tym stole swoje wielkie nogi w filcowych butach i zamyslił się.

– Rozkaże pan wnieść kufry? Posłać pościel, podać herbatę? – pytał kamerdyner.

Pierre nie odpowiedział, ponieważ nic nie słyszał i nie widział. Zamyśliwszy się jeszcze na poprzedniej stacji, wciąż myślał o tym samym – tak ważnym, iż nie zwracał wcale uwagi na to, co odbywało się wokół niego. Nie tylko nie interesowało go to, czy wcześniej lub później przybędzie do Petersburga, czy otrzyma lub nie otrzyma miejsca do wypoczynku na tej stacji, lecz wobec myśli, które go zaprzętały teraz, było mu wszystko jedno – czy na tej stacji spędzi kilka godzin, czy też całe życie.

Poczmistrz, jego żona, kamerdyner, kobieta z torżkowskimi haftami wchodzili do izby proponując usługi. Pierre nie zmieniając ułożenia zadartych do góry nóg patrzył na nich przez okulary i nie rozumiał, czego oni mogą potrzebować i w jaki sposób wszyscy mogli żyć nie rozstrzygnawszy tych zagadnień, które go zaprzętały. Jego zaś zaprzętały wciąż jedne i te same zagadnienia od tego właśnie dnia, gdy wrócił z Sokolnik z pojedynku i spędził pierwszą pełną udreki, bezsenną noc; dopiero teraz w samotności podróżnej opanowały go one ze szczególną siłą. O czymkolwiek zaczynał myśleć, powracał do tych samych pytań, których rozstrzygnąć nie mógł i nie mógł przestać ich sobie zadawać. Jak gdyby mu w głowie przekreśliła się ta główna śruba, na której się trzymało całe jego życie, śruba nie wchodziła głębiej, nie wypadała, ale obracała się, nic nie chwytając, ciągle na tym samym nacięciu, i nie było sposobu przerwania jej obrotu.

Wszedł poczmistrz i jał uniżenie prosić jaśnie pana, żeby zaczekał tylko dwie godzinki, po których da jaśnie panu (niech się dzieje, co chce) konie kurierskie. Poczmistrz najwidoczniej łągał, żeby wyłudzić od przejezdnego dodatkowy grosz. „Czy to było źle, czy dobrze? – zadawał sobie pytanie Pierre. – Dla mnie dobrze, dla innego przejezdnego źle, a dla niego konieczne, dlatego że on nie ma co jeść, powiada, że oficer pobił go za to. A oficer pobił go dlatego, że musiał jechać jak najprędzej. Ja zaś strzelałem do Dołochowa dlatego, że uważałem, iż jestem znieważony. Ludwika XVI stracono dlatego, że uważano go za przestępcę, a po upływie roku zabito tych, którzy jego skazali, również za coś tam. Co jest złem? Co dobrem? Co trzeba kochać, czego nienawidzić? Po co się żyje i czym jest to ja? Co to jest życie, co to jest śmierć? Jaka siła wszystkim rządzi?” – zadawał sobie pytania. I nie było odpowiedzi na żadne z tych pytań, wyjąwszy jedną, bynajmniej nie logiczną i bynajmniej nie na to pytanie. Odpowiedź zaś była taka: „Umrzesz – wszystko się skończy. Umrzesz – i wszystkiego się dowiesz albo przestanieś zadawać pytania”. Lecz i umierać było strasznie.

Torżkowska przekupka piskliwym głosem proponowała swój towar, a osobliwie kozłowe pantofle. „Mam setki rubli, z którymi nie wiem, co robić, a ona stoi w podartej szubie i patrzy na mnie bojaźliwie – myślał Pierre. – I na co potrzebne te pieniądze? Czy choć o włos dodadzą jej te pieniądze szczęścia, spokoju duszy? Czy cokolwiek na świecie może ją i mnie uczynić mniej podległymi złu i śmierci? Śmierci, która wszystko zakończy i która musi



przyjść dziś czy jutro – wszystko jedno kiedy, bo to tylko mgnienie w porównaniu z wiecznością”. I znowu przyciskał śrubę, która nic nie chwytała i obracała się ciągle w jednym i tym samym miejscu.

Służący podał mu książkę rozciętą do połowy – romans w listach m-me Souza<sup>366</sup>. Zabrał się do czytania o cierpieniach i cnotliwej walce jakiejś Amelie de Mansfeld. „I czemu ona walczyła ze swoim uwodzicielem, skoro go kochała? – myślał. – Przecie Bóg nie mógł włożyć w jej serce skłonności wbrew swej woli. Moja była żona nie walczyła i może miała rację. Nicem nie znalazł – znowu powtórzył Pierre – nicem nie wymyślił. Tylko to możemy wiedzieć, że nic nie wiemy. To jest najwyższy stopień ludzkiej mądrości”.

Wszystko w nim i wokół niego wydało mu się zagmatwane, bezmyślne, odrażające. Jednak w tej odrazie do wszystkiego, co go otaczało, Pierre znajdował swego rodzaju drażniącą rozkosz.

– Ośmielę się prosić, by jasnie pan zechciał udzielić żdziebko miejsca temu panu – rzekł poczmistrz wchodząc do izby i prowadząc ze sobą podróżnego, który również musiał się zatrzymać z braku koni. Podróżny był to starzec przysadzisty, szerokiej kości, żółty i pomarszczony, z siwymi brwiami, nawisłymi nad błyszczącymi oczami nieokreślonej, szarawej barwy.

Pierre zdjął nogi ze stołu, wstał i położył się na łóżku, które mu przygotowano, z rzadka spoglądał na przybysza, który z miną posepną i zmęczoną, nie patrząc na Pierre'a rozebrał się z trudem przy pomocy służącego. Pozostawszy w zniszczonym futerku, krytym nankinem, i w filcowych butach na chudych, kościstych nogach, usiadł na kanapie i odrzuciwszy na oparcie wielką głowę, bardzo szeroką w skroniach, krótko ostrzyżoną, spojrział na Bezuchowa. Pierre'a uderzył wyraz tego surowego, rozumnego i przenikliwego spojrzenia. Zapragnął pomówić z przybyłym, ale kiedy zdecydował się zadać mu pytanie o drogę, przybyły już zamknął oczy i złożywszy pomarszczone starcze ręce – na palcu jednej z nich miał duży pierścień żelazny z wizerunkiem głowy Adama – siedział nieruchomo i jak się Pierre'owi zdawało, odpoczywał czy też o czymś głęboko i spokojnie rozmyślał. Służący przybyłego, również żółty staruszek, bez wąsów i brody, które, jak widać, nie były zgolone, ale nigdy mu nie rosły, był cały pomarszczony. Zwinny staruszek-służący otwierał puzdro podróżne, nakrywał do herbaty, przyniósł kipiący samowar. Kiedy wszystko było gotowe, przybyły otworzył oczy, przysunął się do stołu, nalał sobie szklanek herbaty, nalał też i drugą, którą podał gołobrodemu staruszkowi. Pierre zaczynał odczuwać niepokój, konieczność, a nawet i nieuniknioną wszczęcia rozmowy z owym przybyszem.

Sługa przyniósł swą pustą szklanekę, odwróconą dnem do góry, z nie dojeżdżonym kawałkiem cukru, i zapytał, czy czego nie trzeba.

– Nie. Podaj książkę – rzekł przybysz. Sługa podał książkę, która Pierre'owi wydała się książką treści religijnej, i przybyły zagłębił się w czytaniu. Pierre patrzył na niego. Przybysz odłożył nagle książkę, założył stronę i znowu przymknął oczy i oparłszy łokcie na poręcz, usiadł w poprzedniej pozycji. Pierre patrzył na niego i nie zdążył się odwrócić, gdy starzec otworzył oczy i skierował swe twarde i surowe spojrzenie prosto na Pierre'a.

Pierre czuł się zmieszany i chciał uchylić się od tego spojrzenia, lecz błyszczące oczy starca przyciągały go nieodparcie.

---

<sup>366</sup> Adela Maria Emilia de Souza Botelho (1761–1836) pisała powieści obyczajowe z życia arystokracji francuskiej XVIII w.

## II

– Mam przyjemność mówić z hrabią Bezuchowem, jeśli się nie mylę – rzekł przybysz bez pośpiechu i głośno. Pierre w milczeniu patrzył pytająco przez okulary na swego rozmówcę.

– Słyszałem o panu – ciągnął przejezdny – i o pańskim, łaskawco, nieszczęściu. – Jak gdyby podkreślił ostatni wyraz, jak gdyby rzekł: „Tak, nieszczęście; jakkolwiek pan to nazwie, wiem, że to, co się panu zdarzyło w Moskwie, było nieszczęściem”. – Bardzo nad tym boleję, dobrodzieju.

Pierre zaczerwienił się, spiesznie spuścił nogi z łóżka i pochylił się do starca uśmiechając się nienaturalnie i bojaźliwie.

– Wspomniałem panu o tym nie z ciekawości, dobrodzieju, ale z ważniejszych powodów. – Zamilkł, lecz nie spuszczał z Pierre'a swego spojrzenia i posunął się na kanapie zapraszając go tym gestem, by usiadł obok niego. Pierre'owi nie było przyjemnie wdawać się w rozmowę z tym starcem, jednak posłuszny mimo woli – podszedł i usiadł obok niego.

– Jesteś pan nieszczęśliwy, dobrodzieju – ciągnął dalej . – Młodyś, a ja stary. Pragnąłbym pomóc panu w miarę swych sił.

– Ach, tak – rzekł Pierre z nienaturalnym uśmiechem. – Bardzom panu wdzięczny... Skąd łaskawy pan jedzie? – Twarz przejezdnego była nieuprzejma, nawet zimna i surowa, lecz mimo to i słowa, i twarz nowego znajomego działały na Pierre'a w sposób nieodparcie pociągający.

– Jeśli z jakichkolwiek przyczyn rozmowa ze mną będzie panu niemiła – rzekł starzec – proszę to powiedzieć dobrodzieju. – I uśmiechnął się nagle niespodziewanym, ojcowskim, tkliwym uśmiechem.

– Ależ nie, przeciwnie, bardzom rad z poznania – odrzekł Pierre i jeszcze raz spojrzawszy na ręce nowego znajomego, dokładniej przyjrzał się pierścieniowi. Dojrzał w nim głowę Adama, oznakę masońską.

– Pozwoli pan, że zapytam – powiedział. – Jesteś masonem?

– Tak, należę do bractwa wolnych mularzy – odpowiedział przejezdny patrząc Pierre'owi w oczy coraz głębiej.

– W ich imieniu, a i w swoim własnym wyciągam do pana bratnią dłoń.

– Lękam się – powiedział Pierre z uśmiechem, wahając się między ufnością, jaką w nim budziła osoba masona, i nawykiem drwiny z wierzeń masonów – lękam się, że jestem daleki, by tak rzec, od zrozumienia, lękam się, że mój sposób myślenia o sprawach wszechświata jest tak różny od pańskiego, że się nie zrozumiemy.

– Znam pański sposób myślenia – oświadczył mason – a ten pański sposób myślenia, o którym mówisz i który się panu wydaje tworem pracy pańskiej myśli, jest sposobem myślenia większości ludzi, jest niezmiennym produktem pychy, lenistwa i ignorancji. Wybacz mi, dobrodzieju, ale gdybym był o tym nie wiedział, nie wszcząłbym z panem rozmowy. Pański sposób myślenia jest pożałowania godną omyłką.

– Podobnie jak ja mogę przypuszczać, że i pan pozostajesz w błędzie – rzekł Pierre uśmiechając się słabo.

– Nigdy nie ośmielę się powiedzieć, że znam prawdę – oświadczył mason, coraz bardziej zdumiewając Pierre'a swymi stanowczymi i twardymi słowy. – Nikt sam nie może osiągnąć prawdy, jeno kamień po kamieniu przy udziale powszechności, przez miliony pokoleń od praojca Adama aż do naszych czasów wznosi się ową świątynię, która winna być siedzibą godną wielkiego Boga – rzekł mason i przymknął oczy.

– Muszę panu powiedzieć, że nie wierzę, nie... wierzę w Boga – rzekł Pierre z ubolewaniem i wysiłkiem, czując konieczność wyznania całej prawdy.

Mason uważnie popatrzył na Pierre'a i uśmiechnął się, jak uśmiechnąłby się mający w rękach miliony bogacz – do biedaka, gdyby ten mu powiedział, że on, biedak, nie ma pięciu rubli, które by mogły dać mu szczęście.

– Tak, nie znasz Go – rzekł mason. – Nie możesz Go znać. Nie znasz i dlatego jesteś nieszczęśliwy.

– Tak, tak, jestem nieszczęśliwy – przytaknął Pierre – ale cóż mam robić?

– Nie znasz Go, dobrodziejku, i dlatego jesteś bardzo nieszczęśliwy. Nie znasz Go, a On jest tutaj, jest we mnie, w mej mowie, jest w tobie, a nawet i w tych bluźnierczych słowach, któreś dopiero co wygłosił – rzekł mason surowym, drżącym głosem.

Umilkł i westchnął, widocznie starając się uspokoić.

– Gdyby Go nie było – powiedział spokojnie – to byśmy o Nim nie mówili, dobrodziejku. O czym, i o kimeśmy mówili? Komuś istnienia zaprzeczył? – rzekł nagle z ekstatyczną i władczą surowością w głosie. – Kto Go wymyślił, skoro Go nie ma? Czemu powstało w tobie przypuszczenie, że istnieje taka niepojęta istność? Czemu ty i cały świat przypuszczaliście istnienie takiej – niepojętej istoty, istoty wszechmogącej, wiecznej i nieskończonej we wszystkich swych właściwościach?... – Zatrzymał się i długo milczał. Pierre nie mógł i nie chciał przerywać tego milczenia. – On jest, lecz pojąć Go trudno – zaczął znowu mason nie patrząc na Pierre'a, lecz gdzieś przed siebie i starczymi rękoma, które z wewnętrznego wzburzenia nie mogły pozostawać w spokoju, przerzucał kartki książki. – Gdyby to był człowiek, o którego istnieniu byś wątpił, przyprowadziłbym do ciebie tego człowieka, wziąłbym go za rękę i pokazał ci. Ale jakże ja, marny śmiertelnik, ukazę całą wszechmoc, całą wieczność, całe Jego miłosierdzie temu, kto jest ślepy, albo temu, kto zamyka oczy, aby nie widzieć Go i nie pojąć, aby nie zobaczyć i nie pojąć całej swej nikczemności i sprośności? – Zamilkł. – Ktoś ty? Czym jesteś? Roisz o sobie, żeś mędrzec, albowiem mogłeś wyrzec te bluźniercze słowa – rzekł z uśmieszkiem posepnym i wzgardliwym – a tymczasem jesteś głupszy, bardziej nierozumny niż małe dziecko, które by bawiąc się częściami misternie zrobionego zegara, ośmieliło się mówić, że – ponieważ nie rozumie przeznaczenia tego zegara – nie wierzy w mistrza, który go zbudował. Trudno Go poznać. My przez wieki całe, od praojca Adama aż do naszych dni, pracujemy dla tej wiedzy i nieskończenie jesteśmy dalecy od osiągnięcia celu, lecz w tym, że Go nie pojmujemy, widzimy jeno swą słabość i Jego wielkość...

Z zamierającym sercem, z błyszczącymi oczami Pierre patrzył w twarz masona, słuchał go, nie przerywał mu, nie zapytywał, lecz całą duszą wierzył w to, co mówił mu ten obcy człowiek. Czy wierzył tym rozumowym argumentom, jakie zawierały słowa masona, czy też wierzył, jak wierzą dzieci, intonacji, przeświadczeniu i serdeczności, zawartym w słowach masona, drzeniu głosu, które nieraz sprawiało, że mason milkł, czy też błyszczącym starczym oczom, postarzałym w owym przeświadczeniu, czy też temu spokojowi, stanowczości i znajomości swojej misji, które tchnęły z całej istoty masona i które osobliwie silnie uderzyły go w porównaniu z jego osamotnieniem i beznadziejnością – ale z całej duszy pragnął wierzyć, i wierzył, i doznawał radosnego uczucia uspokojenia, odrodzenia i powrotu do życia.

– Jego nie pojmuję się rozumem, lecz pojmuję się życiem – rzekł mason.

– Ja nie pojmuję – wyrzekł Pierre czując z przerażeniem wzbierające w nim zwątpienie. Lękał się niejasnych i słabych dowodów swego rozmówcy, bał się nie wierzyć mu. – Nie

pojmuję – wyrzekł – w jaki sposób rozum ludzki nie może dojść do tego poznania, o którym pan mówi.

Mason uśmiechnął się swym łagodnym, ojcowskim uśmiechem.

– Najwyższa mądrość i prawda to jakby najczystszy źródło, który chcemy wchłonąć w siebie – powiedział. – Czy mogę wprowadzić ten czysty źródło w nieczyste naczynie i sądzić o jego czystości? Jeno przez wewnętrzne oczyszczenie mogę doprowadzić do odpowiedniej czystości źródła, który wchłaniam.

– Tak, tak! – ucieszył się Pierre.

– Najwyższa mądrość nie gruntuje się na samym tylko rozumie, na tych świeckich naukach: fizyce, historii, chemii itd., na które się rozpada poznanie rozumowe. Najwyższa mądrość jest jedna. Najwyższa mądrość ma tylko jedną naukę – naukę wszystkiego, naukę wyjaśniającą całą budowę wszechświata i miejsce, jakie w nim człowiek zajmuje. Aby wchłonąć w siebie tę naukę, trzeba oczyścić się i odrodzić swego wewnętrznego człowieka i dlatego zanim się dojdzie do poznania, trzeba wierzyć i doskonalić się. Dla osiągnięcia tych celów włożono nam w duszę światło boskie zwane sumieniem.

– Tak, tak jest – przytakiwał Pierre.

– Spójrz oczyma duszy na swego wewnętrznego człowieka i zapytaj sam siebie, czyś z siebie zadowolony. Coś osiągnął kierując się jeno rozumem? Czymże jesteś? Jesteś pan młody, bogaty, rozumny, wykształcony. Cóżeś uczynił, dobrodzieju, z tymi wszystkimi dobrami, którymi cię obdarowano? Czyś zadowolony z siebie i ze swego życia?

– Nie, ja nienawidzę swego życia – rzekł Pierre chmurząc się.

– Nienawidzisz? Przeto je odmień, oczyść się, a w miarę oczyszczania będziesz poznawał mądrość. Przyjrzyj się swemu życiu, dobrodzieju. Jak je spędzałeś. W szalonych orgiach i rozpuście, ciągle biorąc od społeczności i nic jej nie oddając. Dostałeś bogactwa. Jakżeś je użył? Cóżeś pan zrobił dla bliźniego swego? Czyś pomyślał o dziesiątkach tysięcy twoich niewolników, czy pomogłeś im fizycznie i moralnie? Nie. Korzystałeś z ich pracy, żeby prowadzić rozwiązłe życie. Oto coś czynił. Czyś wybrał miejsce, gdzie byś mógł z pożytkiem służyć bliźniemu swemu? Nie. Spędzałeś życie na próżniactwie. Potem się ożeniłeś, dobrodzieju, wziąłeś na siebie odpowiedzialność za pokierowanie młodą kobietą i cóżeś zrobił? Nie pomogłeś jej znaleźć drogi do prawdy, lecz wtrąciłeś ją, dobrodzieju, w odmęt fałszu i nieszczęścia. Człowiek zniewazył pana, więc go zabił, i powiadasz, że nie znasz Boga, że nienawidzisz swego życia. Nie ma w tym nic dziwnego, dobrodzieju!

Po tych słowach mason znowu się oparł łokciami o poręcz kanapy i zamknął oczy, jak gdyby zmęczony długim mówieniem. Pierre patrzył na tę twarz surową, nieruchomą, starczą i niemal martwą i bezdźwięcznie poruszał wargami. Chciał rzec: „Tak, obrzydliwe, próżniacze, rozwiązłe życie” – ale nie śmiał przerywać milczenia.

Mason zakaszał ochryple, starczo i zawołał służącego.

– Jak tam konie? – zapytał nie patrząc na Pierre'a.

– Przyprawdzili zmianę – odpowiedział sługa. – Nie odpocznie pan?

– Nie, każ zaprzęgać.

„Czyżby miał pojechać i zostawić mnie samego nie dopowiedziawszy wszystkiego i nie obiecawszy mi pomocy? – myślał Pierre wstając; jał chodzić po izbie z głową spuszczoną, od czasu do czasu spoglądając na masona. – Tak, nie myślałem o tym, że prowadziłem życie nikczemne, rozwiązłe, ale nie lubiłem go i nie chciałem tego – myślał Pierre. – A ten człowiek zna prawdę i gdyby zechciał, mógłby ją przede mną odkryć”. Pierre chciał to powiedzieć masonowi, ale nie śmiał. Przejezdny ułożył swe rzeczy starczymi wprawnyimi rękoma i zapinał futerko. Gdy skończył, zwrócił się do Bezuchowa i rzekł tonem obojętnym i grzecznym:

– Dokąd się pan teraz udaje, dobrodzieju?

– Ja?... Do Petersburga – odpowiedział Pierre głosem dziecinnym, niezdecydowanym. – Dziękuję panu. Zgadzam się z panem we wszystkim. Jednak proszę nie myśleć, że jestem aż tak zły. Z całej duszy pragnąłbym być taki, jak by pan chciał, żebym był; ale nigdy od nikogo nie miałem pomocy... Zresztą przede wszystkim ja sam jestem wszystkiemu winien. Proszę mi pomóc, nauczyć mnie, a być może będę... – Pierre nie mógł mówić dalej; zasapał przez nos i odwrócił się.

Mason milczał długo, widocznie nad czymś się zastanawiając.

– Pomoc przychodzi jeno od Boga – oświadczył – lecz tyle pomocy, ile zakon nasz może okazać, okaże ją panu, dobrodzieju. Jedziesz do Petersburga, tedy oddaj to hrabiemu Willarskiemu (wyjął pugilares i na złożonej we czworo kartce papieru napisał kilka słów). Pozwolisz pan, że dam ci jedną radę. Przybywszy do stolicy, poświęć pierwsze chwile samotności zastanowieniu się nad sobą i nie wchodź na dawną drogę życia. Tymczasem życzę panu szczęśliwej drogi, panie hrabio – rzekł spostrzegłszy, że służący jego wszedł do pokoju – i powodzenia...

Przejezdnym był Osip Aleksiejewicz Bazdiejew. Pierre dowiedział się o tym z księgi poczmistrza. Bazdiejew należał do najbardziej znanych masonów i martynistów jeszcze z czasów Nowikowa. Po jego odjeździe Pierre długo nie kładł się spać i nie żądał koni. Chodząc po pokoju stacyjnym zastanawiał się nad swą haniebną przeszłością i w zachwycie odrodzenia wyobrażał sobie swą błogą, nienaganną i cnotliwą przyszłość, która wydawała mu się tak łatwa. Zdawało mu się, że był zepsuty tylko dlatego, że jakoś przypadkiem zapomniał, jak dobrze jest być cnotliwym. W jego duszy nie pozostało ani śladu dawnych wątpliwości. Mocno wierzył w możliwość braterstwa między ludźmi, którzy połączyli się w celu wzajemnego wspierania się na drodze cnoty, i tak właśnie wyobrażał sobie masonerię.

### III

Przybywszy do Petersburga Pierre nikogo nie zawiadomił o swym przyjeździe, nigdzie nie bywał i całe dnie spędzał na czytaniu Tomasza a Kempis, książki, którą dostarczył mu nie wiadomo kto. Pierre czytając tę książkę pojmował jedno i to samo: pojął jeszcze przez siebie nie znaną rozkosz wiary w możliwość osiągnięcia doskonałości i w możliwość braterskiej i czynnej miłości między ludźmi, którą przed nim odsłonił Osip Aleksiejewicz. W tydzień po przyjeździe wszedł wieczorem do jego pokoju młody Polak, hrabia Willarski, którego Pierre znał powierzchownie bywając w petersburskim towarzystwie. Wszedł z tym wyrazem oficjalnym i uroczystym, z jakim wchodził doń sekundant Dołochowa, a zamknąwszy za sobą drzwi i przekonawszy się, że w pokoju prócz Pierre'a nie ma nikogo, zwrócił się do niego.

– Panie hrabio, przybyłem z poleceniem i propozycją – oświadczył nie siadając. – Osobistość bardzo wysoko postawiona w naszym bractwie zabiegała o to, żeby pan został przyjęty do stowarzyszenia przed terminem i zaproponowała mi, żebym został pańskim poręczycielem. Uważam za swój święty obowiązek spełnić wolę tej osoby. Czy życzysz sobie, panie hrabio, wstąpić za moją poręką do społeczności wolnych mularzy?

Zimny i surowy ton człowieka, którego prawie zawsze widywał na balach uprzejmie uśmiechniętego, w towarzystwie najświetniejszych kobiet, zaskoczył Pierre'a.

– Tak, życzę sobie – rzekł Pierre. Willarski pochylił głowę.

– Jeszcze jedno pytanie, panie hrabio – powiedział – na które, proszę, byś mi nie jako przysły mason, ale jako uczciwy człowiek (*galant homme*) odpowiedział z całą szczerością: czyś się wyrzekł swych dawnych przekonań, czy wierzysz w Boga? Pierre zastanowił się.

– Tak... tak, wierzę w Boga – oświadczył.

– W takim razie... – zaczął Willarski, lecz Pierre przerwał mu:

– Tak, wierzę w Boga – oświadczył jeszcze raz.

– W takim razie możemy jechać – oznajmił Willarski.

– Moja karetka jest do pańskich usług.

Przez całą drogę Willarski milczał. Na pytanie Pierre'a, co ma robić i jak odpowiadać, Willarski odrzekł tylko, że bracia godniejsi niż on doświadczą go, a Pierre'owi pozostaje tylko mówić prawdę.

Wjechali w bramę dużego domu, w którym mieściła się loża, a przeszedłszy ciemnymi schodami, weszli do niewielkiego, oświetlonego przedpokoju, gdzie bez pomocy służby zdjęli futra. Stąd weszli do innego pokoju. Przy drzwiach ukazał się jakiś człowiek w dziwnym stroju. Willarski podszedł do niego, powiedział coś cicho po francusku i zbliżył się do niedużej szafy, w której Pierre zauważył ubrania, jakich jeszcze nie widział. Willarski wyjął z szafy chusteczkę, zasłonił nią Pierre'owi oczy i zawiązał z tyłu na węzeł, przy czym boleśnie zagarnął w węzeł jego włosy. Po czym nachylił go ku sobie, ucałował i wzięwszy za rękę gdzieś poprowadził. Włosy zaciągnięte supłem sprawiały Pierre'owi ból, krzywił się więc i uśmiechał, jakby czymś zawstydzony. Niepewnymi, bojaźliwymi krokami posuwała się za Willarskim jego ogromna postać ze spuszczoneymi rękami, z twarzą skrzywioną i uśmiechającą się. Przeprowadziwszy go z dziesięć kroków Willarski zatrzymał się.

– Cokolwiek by się z panem stało – oznajmił – powinieneś wszystko znieść mężnie, jeśliś postanowił wstąpić do naszej społeczności. (Pierre odpowiadał twierdząco pochyleniem głowy.) Kiedy usłyszysz pan stukanie do drzwi, rozwiążesz sobie oczy – dodał Willarski. – Życzę panu męstwa i powodzenia. – Uściskawszy Pierre'owi rękę Willarski wyszedł.

Pozostawszy sam, Pierre wciąż jeszcze się uśmiechał. Ze dwa razy wzruszył ramionami, podnosił rękę do chusteczki, jak gdyby pragnął ją zdjąć, i znowu rękę opuszczał. Pięć minut, które przebył z zawiązanymi oczyma, wydały mu się godziną. Ręce mu zdrętwiały, nogi się ugiwały, wydawało mu się, że jest zmęczony. Doznawał nader złożonych i różnorodnych uczuć. Czuł strach wobec tego, co ma się z nim stać a jeszcze bardziej, żeby nie zdradzić lęku. Ciekaw był dowiedzieć się, co się z nim stanie, co się przed nim odsłoni, przede wszystkim jednak cieszył się, że nadeszła chwila wejścia na drogę odrodzenia i życia czynnego, cnotliwego, o jakim marzył od czasu spotkania się z Osipem Aleksiejewiczem. Rozległo się mocne stukanie do drzwi. Zdjął przepaskę i rozejrzał się wokół. W pokoju było czarno i ciemno: tylko w jednym miejscu płonęła lampa w czymś białym. Podeszedł bliżej i zobaczył, że lampa stała na czarnym stole, na którym leżała otwarta księga. Była to Ewangelia; to białe, w czym płonęła lampa, było ludzką czaszką z jej otworami i zębami. Przeczytawszy pierwsze słowa Ewangelii: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga”, Pierre obszedł stół i zobaczył dużą i otwartą skrzynię, czymś wypełnioną. Była to trumna z kośćmi. Bynajmniej nie zdziwiło go to, co ujrzał. Mając nadzieję rozpocząć całkiem nowe życie, całkiem różne od poprzedniego, spodziewał się, że wszystko będzie niezwykle, jeszcze bardziej niezwykle niż to, co widział. Czaszka, trumna, Ewangelia – wydawało mu się, że tego wszystkiego się spodziewał, a nawet spodziewał się jeszcze więcej. Rozglądając się dokoła starał się obudzić w sobie uczucie rozrzewnienia. „Bóg, śmierć, miłość, braterstwo ludzi” – mówił sobie wiążąc z tymi słowami mętne, lecz radosne wyobrażenie czegoś. Drzwi się otworzyły i ktoś wszedł. W słabym świetle, do którego Pierre jednakże zdołał już przywyknąć, ukazał się niewysoki człowiek. Człowiek ów, który widocznie ze światła wszedł w ciemność, zatrzymał się; potem ostrożnymi krokami zbliżył się do stołu i położył na nim nieduże ręce w skórkowych rękawiczkach.

Ów niewysoki człowiek miał na sobie biały skórzany fartuch, zasłaniający mu piersi i część nóg, na szyi coś w rodzaju naszyjnika, a spoza naszyjnika wystawał wysoki, biały żabot, otaczający jego podłużną twarz, oświetloną z dołu.

– Po coś tu przyszedł? – zapytał przybysz, kiedy na szmer uczyniony przez Pierre'a zwrócił się w jego stronę. – Dlaczegoś tu przyszedł nie wierząc w prawdę światła i nie widząc światła, czego od nas żądasz? Najwyższej mądrości, cnoty, oświecenia?

W tej chwili kiedy się drzwi otworzyły i wszedł nieznajomy człowiek, Pierre doznał podobnego uczucia lęku i czci, jakiego doznawał w dzieciństwie podczas spowiedzi: poczuł, że jest oko w oko z człowiekiem całkowicie obcym pod względem warunków życiowych, a jednocześnie bliskim ze względu na braterstwo ogólnoludzkie. Z biciem serca, zapierającym oddech, Pierre zbliżył się do retora (w masonerii tak nazywano brata, który przygotowywał petenta do wstąpienia do społeczności). Kiedy Pierre podeszedł bliżej, poznał w retorze znajomego, Smolaninowa, ale przykra była dlań myśl, że ten, który wszedł, był człowiekiem znajomym: przybyły był tylko bratem i cnotliwym nauczycielem. Pierre długo nie mógł wyrzec słowa, toteż retor był zmuszony powtórzyć swe pytanie.

– Tak, ja... ja... pragnę się odrodzić – wypowiedział z trudem Pierre.

– Dobrze – oświadczył Smolaninow i natychmiast ciągnął dalej: – Czy wyobrażasz sobie, jakimi sposobami nasz święty związek pomoże ci osiągnąć ten cel?... – rzekł retor spokojnie i szybko.

– Ja... spodziewam się... kierunku... pomocy... w odrodzeniu się – rzekł Pierre głosem drżącym i z trudem znajdując słowa. Wynikało to i ze wzruszenia, i z braku przyzwyczajenia do mówienia po rosyjsku o rzeczach abstrakcyjnych.

– Jakie masz pojęcie o wolnomularstwie?  
– Domyślałem się, że wolnomularstwo to *fraternité*<sup>367</sup> i równość między ludźmi mającymi cnotliwe cele – rzekł Pierre wstydząc się, w miarę gdy mówił, że jego słowa nie odpowiadają uroczystości chwili. – Domyślałem się...  
– Dobrze – oświadczył retor spiesznie, widać całkiem zadowolony z tej odpowiedzi. – Czyś szukał kiedy w religii środków do osiągnięcia swego celu?  
– Nie, uważałem ją za niesprawiedliwą i nie postępowałem według niej – odpowiedział Pierre tak cicho, że retor nie usłyszał i zapytał go, co mówi. – Byłem ateistą – odpowiedział Pierre.

– Szukasz prawdy, aby w życiu kierować się jej prawami, a zatem szukasz najwyższej mądrości i cnoty, czy tak? – zapytał retor po chwili milczenia.

– Tak, tak – przytaknął Pierre.

Retor zakaszał, złożył na piersi dłonie w rękawiczkach i jął mówić:

– Teraz muszę odsłonić ci główny cel naszego zakonu – oświadczył – a jeśli ów cel będzie zgodny z twoim, to z pożytkiem wstąpisz do naszego bractwa. Pierwszym najważniejszym celem i zarazem fundamentem naszego zakonu, na którym jest zbudowany i którego żadna ludzka siła nie jest w stanie zburzyć, to zachowanie i przekazanie potomnym pewnej ważnej tajemnicy... która doszła do nas od najdawniejszych wieków, nawet od pierwszego człowieka, od której to tajemnicy zależy, być może, los rodu ludzkiego. Ponieważ owa tajemnica jest tego rodzaju, że nikt nie może jej znać i z niej korzystać, jeśli się nie przygotowuje do tego przez długotrwałe i przykładowe oczyszczanie samego siebie, przeto nie każdy może mieć nadzieję, by rychło ją posiadać. Dlatego mamy drugi cel, który polega na tym, żeby przygotować naszych członków, wedle możliwości poprawiać ich serca, oczyszczać i oświecać ich rozum za pomocą środków przekazanych nam przez mężów, którzy się trudzili nad poszukiwaniem owej tajemnicy, i przysposabiać ich do przyjęcia jej. Oczyszczając zaś i poprawiając naszych członków, staramy się, po trzecie, poprawiać i cały ród człowieczy dając mu w osobach naszych członków przykład bogobojności i cnoty, przez co staramy się ze wszystkich sił zwalczyć zło panujące na świecie. Zastanów się nad tym, a ja znowu przyjdę do ciebie – rzekł i wyszedł z pokoju.

– Zwalczyć zło panujące na świecie... – powtórzył Pierre i wyobraził sobie swą przyszłą działalność na tej niwie. Wyobrażał sobie ludzi podobnych do niego sprzed dwóch tygodni i w myśli zwracał się do nich z pouczającymi słowami nauczyciela. Wyobrażał sobie ludzi zepsutych i nieszczęśliwych, którym pomaga słowem i czynem, wyobrażał sobie ciemnościeli, od których ocala ich ofiary. Z trzech wymienionych przez retora celów ostatni – poprawa rodu ludzkiego – szczególnie był Pierre'owi bliski. Owa ważna tajemnica, o której wspomniał retor, choć podniecała jego ciekawość, jednak nie wydawała mu się istotna, drugi zaś cel, oczyszczanie i poprawianie samego siebie, mało go zajmował, albowiem w tej chwili czuł z rozkoszą, że już się całkowicie poprawił z dawnych błędów i gotów jest czynić tylko dobro.

Po upływie pół godziny retor wrócił, by przekazać poszukującemu owe siedem cnót, które odpowiadają siedmiu stopniom świątyni Salomona i które powinien w sobie kształtować każdy mason. Cnoty te były: 1) skromność, zachowanie tajemnicy zakonu, 2) posłuszeństwo piastującemu wyższe urzędy w zakonie, 3) obyczajność, 4) miłość ludzkości, 5) męstwo, 6) hojność i 7) miłość śmierci.

– Co do siódmej – to staraj się – oświadczył retor – częstym myśleniem o śmierci dojść do tego, żeby śmierć nie wydawała ci się już strasznym wrogiem, lecz przyjacielem... który duszę udręczoną w trudach cnoty uwalnia od niedoli życia doczesnego, aby ją zaprowadzić na miejsce nagrody i spokoju.

„Tak, tak właśnie być powinno – myślał Pierre, kiedy po tych słowach retor znowu go opuścił i pozostawił samotnym rozmyślaniami. – Tak być powinno, lecz jeszcze jestem tak

---

<sup>367</sup> Braterstwo.



słaby, że kocham swe życie, którego sens dopiero teraz po trochu przede mną się odsłania”. Lecz pozostałe pięć cnót, które przypominając sobie Pierre wyliczał na palcach, czuł w swej duszy: i męstwo, i hojność, i obyczajność, i miłość ludzkości, a szczególnie posłuszeństwo, które nawet nie wydawało mu się cnotą, lecz szczęściem. (Z radością teraz wyzbędzie się własnej samowoli i podporządkuje swą wolę temu i tym, którzy znali niewątpliwą prawdę.) Jaka była siódma cnota, Pierre zapomniał i w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć.

Za trzecim razem retor wrócił prędzej i zapytał Pierre'a, czy ciągle jeszcze trwa mocno przy swym zamiarze i czy jest zdecydowany poddać się wszystkiemu, czego od niego zażąda.

– Jestem gotów na wszystko – oświadczył Pierre.

– Muszę ci jeszcze oznajmić – rzekł retor – że nasz zakon wykłada swą naukę nie słowami jedynie, ale i za pomocą innych sposobów, które na prawdziwego poszukiwacza mądrości i cnoty działają być może nawet silniej aniżeli tylko słowne wyjaśnienia. Przybytek ów swym urządzeniem, które widzisz, ma wyjaśnić twemu sercu, jeśli jest ono szczerze, więcej aniżeli słowa: być może i przy dalszej ceremonii przyjęcia zobaczysz podobny sposób objaśniania. Nasz zakon naśladuje starożytne stowarzyszenia, które swą naukę przedstawiały w hieroglifach. Hieroglif – mówił retor – to nazwa jakiejś rzeczy nie podlegającej zmysłom, a zawierającej właściwości podobne do właściwości rzeczy, którą hieroglif wyobraża.

Pierre bardzo dobrze wiedział, co to jest hieroglif, ale nie śmiał mówić. W milczeniu słuchoał retora i domyślał się ze wszystkiego, że zaraz zaczną się próby.

– Jeśliś zdecydowany, to winienem przystąpić do wtajemniczenia cię – rzekł retor i bliżej podszedł do Pierre'a. – Na dowód hojności proszę mi oddać wszystko, co masz cennego.

– Ależ ja nic ze sobą nie mam – rzekł Pierre, sądząc, że żąda się od niego oddania wszystkiego, co posiada.

– To, co masz przy sobie: zegarek, pieniądze, pierścienie...

Pierre pośpiesznie wydobyl sakiewkę, zegarek i długo nie mógł zdjąć obrączki z tłustego palca. Kiedy to zostało uczynione, mason rzekł:

– Na dowód posłuszeństwa proszę się rozebrać.

– Pierre zdjął frak, kamizelkę i lewy but – jak kazał mu retor. Mason odślonił koszulę na jego lewej piersi i pochyliwszy się uniósł nogawicę na jego lewej nodze aż po kolano. Pierre chciał pośpiesznie zdjąć i prawy but i zakasać pantalon, żeby uwolnić od tej fatygi nieznanego sobie człowieka, ale mason oświadczył, że to niepotrzebne – i podał mu pantofel na lewą nogę. Pierre z uśmiechem dziecinnego zawstydzenia, zdziwienia i drwiny z siebie samego, mimo woli występującym na jego twarzy, z opuszczonymi rękami i rozstawionymi nogami stał przed bratem retorem i czekał na nowe rozkazy.

– I wreszcie na dowód szczerości proszę, byś mi zdradził swą największą namiętność – rzekł retor.

– Moja namiętność! Miałem ich tak wiele – powiedział Pierre.

– Tę namiętność, która bardziej niż inne nie pozwala ci kroczyć drogą cnoty – powiedział mason.

Pierre milczał szukając.

„Wino? Obżarstwo? Bezczytność? Lenistwo? Porywczczość? Złość? Kobiety?” – wyliczał w myśli swe ułomności, oceniał je i nie wiedział, której oddać pierwszeństwo.

– Kobiety – rzekł Pierre głosem cichym, ledwie dosłyszalnym. Mason nie poruszał się i długo nic nie mówił po tej odpowiedzi. Zbliżył się wreszcie do Pierre'a, wziął chusteczkę leżącą na stole i znowu zawiązał mu oczy.

– Powiadam ci po raz ostatni: zwróć całe swe baczenie na siebie samego, nałóż łańcuch na swe zmysły i szukaj szczęśliwości nie w namiętnościach, ale w swym sercu. Źródło szczęśliwości jest nie na zewnątrz, lecz wewnątrz nas...

Pierre już czuł w sobie owo odświeżające źródło szczęśliwości, które teraz przepelniło jego duszę radością i wzruszeniem.

## IV

Wkrótce potem do ciemnej kaplicy przyszedł po Pierre'a już nie poprzedni retor, lecz poręczyciel Willarski, którego poznał po głosie. Na nowe zapytania o stałość jego postanowień Pierre odpowiadał:

– Tak, tak, zgadzam się – i z jasnym dziecięcym uśmiechem, z odsłoniętą tłustą pierśią, krocząc nierówno i bojaźliwie jedną nogą rozzutą i jedną obutą, poszedł naprzód, z przystawioną do piersi przez Willarskiego obnażoną szpadą. Z komnaty poprowadzono go korytarzami, skręcając tam i z powrotem, i wreszcie przyprowadzono do drzwi łoży. Willarski zakaszłał, odpowiedziano mu po masońsku uderzeniami młotków i drzwi otworzyły się przed nim. Czyjś basowy głos (Pierre ciągle miał oczy zawiązane) zadał mu pytanie, kim jest, gdzie, kiedy się urodził itd. Potem jeszcze raz gdzieś go zaprowadzono nie odwiązując mu oczu i podczas drogi mówiono mu alegorie o trudach jego podróży, o świętej przyjaźni, o przedwiecznym Budowniczym świata, o męstwie, z jakim powinien znosić trudy i niebezpieczeństwa. Podczas tej drogi Pierre zauważył, że nazywano go *t o p o s z u k u j ą c y m, t o c i e r p i ą c y m, t o p r a g n ą c y m* i przy tym różnie stukano młotkami i szpadami. W tym czasie gdy go prowadzono do jakiegoś przedmiotu, zauważył, że między jego przewodnikami powstał niepokój i zamieszanie. Słyszał, że otaczający go ludzie wszczęli między sobą spór i że jeden nalegał, by go poprowadzono po jakimś dywanie. Potem ujęto go za prawą rękę, położono ją na czymś, a lewą kazano mu przyłożyć cyrkiel do lewej piersi i zmuszono go, aby powtarzając słowa, które wygłaszał ktoś inny, złożył przysięgę na wierność prawom zakonu. Potem zgaszono świecę, zapalono spirytus, co Pierre rozpoznał po zapachu, i oznajmiono, że ujrzy Małe Światło. Zdjęto mu przewiązkę i w słabym świetle spirytusowego ognia Pierre jak we śnie ujrzał kilku ludzi w takich samych fartuchach jak retor, którzy stali naprzeciw niego ze szpadami skierowanymi w jego pierś. Wśród nich stał człowiek w białej zakrwawionej koszuli. Zobaczywszy to, Pierre podał się pierśią naprzód na szpady, pragnąc, żeby wbiły się weń. Lecz szpady odsunęły się od niego i natychmiast zawiązano mu znowu oczy.

– Teraz widziałeś Małe Światło – rzekł do niego czyjś głos. Potem znowu zapalono świecę, oznajmiono, że musi ujrzeć Wielkie Światło, i znowu zdjęto przepaskę, i więcej niż dziesiątek głosów odezwał się nagle: „*Sic transit gloria mundi*”.<sup>368</sup>

Pierre jał po trochu przychodzić do siebie i przyglądać się pokojowi, w którym przebywał, i znajdującym się w nim ludziom. Wokół długiego stołu nakrytego czarnym obrusem siedziało dwunastu ludzi, wszyscy w takich samych strojach jak te, które widział przedtem. Niektórych Pierre znał z petersburskiego towarzystwa. Na miejscu przewodniczącego siedział nieznajomy młody człowiek z osobliwym krzyżem na szyi. Po prawej ręce siedział Włoch-*abbé*, którego dwa lata temu Pierre widział u Anny Pawłowny. Był tu jeszcze pewien nader ważny dygnitarz i Szwajcar-guwner, który uczył przedtem u Kuraginów. Wszyscy milczeli uroczyście, słuchając słów przewodniczącego, który trzymał w ręku młotek. W ścianę była wprawiona gorejąca gwiazda, z jednej strony stołu znajdował się niewielki dywan z różnymi figurami, z drugiej coś w rodzaju ołtarza z Ewangelią i czaszką. Wokół stołu stało siedem

---

<sup>368</sup> Tak przemija sława świata.

dużych świeczników jak gdyby cerkiewnych. Dwaj bracia podprowadzili Pierre'a do ołtarza, rozstawili mu nogi pod kątem prostym i kazali się położyć, mówiąc, że pada u wrót świątyni.

– Powinien otrzymać przedtem kielnię – rzekł szeptem jeden z braci.

– Ach! dość, jeśli łaska – rzekł inny.

Pierre, nie usłuchawszy, roztargnionymi krótkowzrocznymi oczami rozejrzał się wokół i nagle opadły go wątpliwości: „Gdzie jestem? Co robię? Czy się ze mnie nie naigrywają? Czy nie będę się wstydził wspomnieć o tym?” Lecz jego wątpliwości trwały tylko mgnienie. Pierre spojrzął na poważne twarze otaczających go ludzi, przypomniał sobie wszystko, co już był przeszedł, i zrozumiał, że nie można się zatrzymać w połowie drogi. Przeraziło go własne zwątpienie i usiłując wywołać w sobie poprzednie uczucie rzewności padł u wrót świątyni. Istotnie, spłynęło nań uczucie jeszcze silniejszego rozrzewnienia niż przedtem. Kiedy przeleżał pewien czas, kazano mu wstać i włożono na niego taki sam biały skórzany fartuch, jaki mieli na sobie inni, dano mu w rękę kielnię i trzy pary rękawiczek i wówczas zwrócił się do niego wielki mistrz. Powiedział, żeby się starał niczym nie zbrukać bieli tego fartucha, który wyobraża moc i nieskazitelność, potem o nie objaśnionej kielni powiedział, żeby starał się nią oczyszczać swe serce z grzechów, a serce bliźniego pobłażliwie nią wygładzać. Następnie o pierwszej parze męskich rękawiczek powiedział, że Pierre nie może poznać ich znaczenia, ale że powinien ich strzec, o drugiej parze męskich rękawiczek powiedział, że powinien je wkładać na zebraniach, i wreszcie o trzeciej parze rękawiczek, damskich, powiedział:

– Ukochany bracie, dano ci i te niewieście rękawiczki. Oddaj je kobiecie, którą będziesz czcił więcej od innych. Tym podarkiem przekonasz o nieskazitelności swego serca tę, którą wybierzesz sobie na godną wolnomularkę. – Milczał przez czas pewien, a potem dodał: – Jednak strzeż, Ukochany bracie, by te rękawiczki nie zdoły rąk nieczystych. – Pierre'owi się wydało, że kiedy wielki mistrz wypowiedział te ostatnie słowa, przewodniczący zmieszał się. Pierre zmieszał się jeszcze bardziej, poczerwieniał aż do łez, jak czerwienią się dzieci, zaczął się oglądać niespokojnie; zapadło kłopotliwe milczenie.

Milczenie owo przerwał jeden z braci, który podprowadził Pierre'a do dywanu i jał czytać z zeszytu objaśnienia wszystkich figur wyobrażonych na nim: słońca, księżycy, młotki, pionu, kielni, kamienia zwykłego i ociosanego, graniastosłupa, trzech okien itd. Następnie wyznaczono Pierre'owi miejsce, pokazano znaki łoży, wymieniono hasło i wreszcie pozwolono mu usiąść. Wielki mistrz zaczął czytać statut. Statut był bardzo długi. Pierre z radości, wzruszenia i wstydu nie był w stanie pojąć tego, co czytano. Przysłuchiwał się tylko ostatnim słowom statutu i zapamiętał je.

– „W przybytkach naszych nieznane są inne stopnie – czytał wielki mistrz – prócz tych, które się znajdują między cnotą i występkiem. Strzeż się robić jakieś wyróżnienie, które by mogło naruszyć równość. Biegnij na pomoc bratu, kimkolwiek on byłby, poucz błądzącego, podtrzymaj upadającego i nie żyw nigdy gniewu ani złości przeciwko bratu. Bądź zyczliwy i uprzejmy. We wszystkich sercach wzniecaj ogień cnoty. Podzielaj szczęście bliźniego swego, niech zawiść nigdy nie zamąci tej czystej rozkoszy.

Przebacz wrogowi swemu, nie mścij się, chyba jeno czyniąc mu dobro. Wypełniwszy w ten sposób najwyższe prawo, odnajdziesz ślady dawnego majestatu, któryś był utracił” – skończył i wstawszy objął Pierre'a i pocałował go.

Ze łzami w oczach Pierre rozglądał się dookoła siebie, nie wiedział, co odpowiadać na gratulacje i odnawianie znajomości z tymi, którzy go otaczali. Nie uznawał tu żadnych znajomości; w tych wszystkich ludziach widział tylko braci i płonął niecierpliwością, by wraz z nimi zabrać się do dzieła.

Wielki mistrz uderzył młotkiem, wszyscy siedli na swych miejscach, a jeden z nich wygłosił naukę o konieczności pokory.

Wielki mistrz zaproponował wypełnienie ostatniego obowiązku i poważny dygnitarz, który nosił nazwę jałmużnika, jał obchodzić braci. Pierre pragnął wpisać na listę jałmużnika

wszystkie pieniądze, jakie miał, ale obawiał się, by tym nie okazać pychy, zapisał więc tyle, ile zapisywali inni.

Zebranie skończyło się, a gdy Pierre wrócił do domu, zdawało mu się, że przyjechał z jakiejś dalekiej podróży, w której spędził dziesiątki lat, zmienił się całkowicie i odstąpił od dawnego trybu życia i od dawnych nawyków.

## V

Nazajutrz po przyjęciu do łóży Pierre siedział w domu czytając książkę i starając się wniknąć w znaczenie kwadratu, którego jeden bok wyobrażał Boga, drugi – pierwiastek moralny, trzeci – fizyczny, a czwarty – pierwiastki połączone. Od czasu do czasu odrywał się od książki i kwadratu i w myślach układał sobie nowy plan życia. Wczoraj w łóży powiedziano mu, że do monarchy doszła wiadomość o pojedynku i że byłoby roztropniej, gdyby Pierre usunął się z Petersburga. Pierre zamierzał wyjechać do swych dóbr na południu i zająć się tam chłopami. Z radością obmyślał nowe życie, gdy niespodziewanie do pokoju wszedł książę Wasilij.

– Przyjacielu, cóżeś ty narobił w Moskwie? O coś się pokłócił z Lolą, *mon cher*?<sup>369</sup> Jesteś w błędzie – rzekł książę Wasilij wchodząc do pokoju. – Wszystkiego się dowiedziałem i mogę ci powiedzieć na pewno, że Hélène tak jest niewinna wobec ciebie jak Chrystus wobec Żydów.

Pierre chciał odpowiedzieć, ale tamten przerwał mu.

– Czemużeś nie zwrócił się do mnie szczerze i po prostu, jak do przyjaciela? Ja wszystko wiem, wszystko rozumiem – powiedział. – Zachowałeś się, jak przystało na człowieka, któremu drogi jest honor; może ze zbytnim pośpiechem, ale nad tym nie będziemy się zastanawiać. Jedno musisz pamiętać; w jakiej sytuacji stawiasz ją i mnie w oczach całego towarzystwa i nawet dworu? – dodał zniżywszy głos. – Ona przebywa w Moskwie, ty tutaj. Pamiętaj, mój drogi – pociągnął go w dół za rękę – to tylko nieporozumienie, sądzę, że sam to czujesz. Napisz zaraz przy mnie do niej, a ona przyjedzie tu, wszystko się wyjaśni, bo muszę ci powiedzieć, że bardzo łatwo mógłbyś ucierpieć, mój drogi.

Książę Wasilij wymownie spojrział na Pierre'a.

– Wiadomo mi z dobrych źródeł, że cesarzowa-wdowa żywo się tą sprawą zainteresowała. Wiesz, że jest bardzo łaskawa dla Hélène.

Kilka razy Pierre chciał odpowiedzieć, lecz – z jednej strony – książę Wasilij nie dopuszczał go do głosu, z drugiej zaś – Pierre sam obawiał się zacząć mówić tonem zdecydowanej odmowy i sprzeciwu, jakim postanowił rozmawiać z teściem. Poza tym przypominały mu się słowa statutu masonów: „Bądź życzliwy i uprzejmy”. Krzywił się, czerwienił, wstawał i siadał zmagając się z sobą w najtrudniejszej dla siebie w życiu sprawie – powiedzieć człowiekowi w oczy coś nieprzyjemnego, powiedzieć nie to, czego ów człowiek, kimkolwiek byłby, oczekiwał. Tak przywykł być posłuszny temu tonowi niedbałej pewności siebie księcia Wasilia, że i obecnie czuł, że nie będzie miał siły przeciwstawić się; jednak uczył i to, że od tego, co teraz powie, będzie zależał całkowicie jego dalszy los: czy pójdzie dawną drogą, czy też nową, którą tak ponętnie przedstawili mu masoni, na której – mocno w to wierzył – znajdzie odrodzenie się do nowego życia.

– No, mój drogi – rzekł żartobliwie książę Wasilij – powiedz mi „tak”, a napiszę od siebie do niej i zabijemy tłustego cielca. – Lecz książę Wasilij nie zdążył dopowiedzieć swego żartu, gdy Pierre z wściekłością, która przypominała jego ojca, nie patrząc w oczy swemu rozmówcy, rzekł szeptem:

---

<sup>369</sup> Mój drogi.

– Książę, nie wzywałem pana, proszę wyjść, proszę wyjść z łaski swojej! – Zerwał się i otworzył drzwi. – Proszę wyjść! – powtórzył nie wierząc sam sobie i ciesząc się z wyrazu lęku i zmieszania na twarzy księcia Wasilia.

– Co ci jest? Tyś chory?

– Proszę wyjść! – jeszcze raz powtórzył drżący głos i książę Wasilij musiał odjechać nie otrzymawszy żadnego wyjaśnienia.

Po tygodniu Pierre, pożegnawszy się z nowymi przyjaciółmi masonami i pozostawiwszy im duże sumy na jałmużny, wyjechał do swych włości. Jego nowi bracia dali mu listy do Kijowa i Odessy, do tamtejszych masonów, obiecali pisywać do niego i kierować nim w jego nowej działalności.

## VI

Sprawa Pierre'a z Dołochowem została zatuszowana i mimo ówczesnej surowości monarchy w stosunku do pojedynków ani obaj przeciwnicy, ani ich sekundanci nic nie ucierpieli. Jednak historia pojedynku, potwierdzona zerwaniem Pierre'a z żoną, stała się w towarzystwie głośna. Pierre, na którego patrzono pobłażliwie i protekcyjnie, kiedy był naturalnym synem, którego rozpieszczano, kiedy był najlepszą partią w rosyjskim imperium, po ożenieniu się, kiedy panny na wydaniu i matki już nie miały czego się po nim spodziewać, mocno stracił w opinii towarzystwa, tym bardziej że nie umiał i nie chciał się ubiegać o jego względy. Obecnie tylko jego obwiniano o to, co się zdarzyło, mówiono, że jest niedorzecznym zazdrośnikiem, że ulega takim samym napadom krwiożerczej furii, jak i jego ojciec. I gdy po wyjeździe Pierre'a Hélène wróciła do Petersburga, wszyscy jej znajomi przyjęli ją nie tylko życzliwie, ale z odcieniem szacunku z powodu jej nieszczęścia. Kiedy rozmowa zwracała się na jej męża, Hélène przybierała godny wyraz, który – choć nie pojmowała jego znaczenia – przyswoiła sobie dzięki właściwemu jej taktowi. Wyraz ten mówił, że Hélène postanowiła znosić swe nieszczęście bez skargi, że jej mąż – to krzyż, który Bóg na nią zesłał. Księżę Wasilij wypowiadał swe zdanie bardziej otwarcie. Wzruszał ramionami, kiedy rozmowa zwracała się na Pierre'a, i pokazując na czoło powiadał:

– *Un cerveau fêlé– je le disais toujours.*<sup>370</sup>

– Od razu mówiłam – powiedziała Anna Pawłowna o Bezuchowie – jeszcze wtedy powiedziałam, najpierwsza ze wszystkich (obstawała przy swym pierwszeństwie), że to szalony młody człowiek, zepsuty rozwiązłymi ideami wieku. Już wtedy to powiedziałam, kiedy wszyscy się nim zachwycali, kiedy dopiero co przyjechał z zagranicy i, pamiętacie państwo, jak tu u mnie pewnego wieczora kroił na jakiegoś Marata. Czym to się skończyło? Już wtedy nie życzyłam sobie tego ożenku i przepowiedziałam wszystko, co się stało.

Jak dawniej, Anna Pawłowna w wolne dni dawała u siebie takie same jak niegdyś wieczory, jakie tylko ona miała dar urządzać, wieczory, na których się zbierała, po pierwsze, *la crème de la véritable bonne société, la fine fleur de l'essence intellectuelle de la société de Pétersbourg*,<sup>371</sup> jak mawiała sama Anna Pawłowna. Poza tym subtelnie dobranym towarzystwem wieczory Anny Pawłowny wyróżniały się jeszcze tym, że za każdym razem na swym wieczorze Anna Pawłowna częstowała swoich gości jakąś nową, interesującą osobistością, że nigdzie jak na tych wieczorach termometr polityczny nie wskazywał tak wyraźnie i stanowczo stopnia nastroju dworskiego, legitymistycznego towarzystwa petersburskiego.

W końcu roku 1806, kiedy już otrzymano wszystkie smutne szczegóły o rozbiciu przez Napoleona armii pruskiej pod Jeną i pod Auerstädt i o poddaniu się większej części pruskich fortec, kiedy nasze wojska już weszły do Prus i zaczęła się nasza druga wojna z Napoleonem, Anna Pawłowna wydała u siebie wieczór. *La crème de la véritable bonne société* składała się z czarującej, a nieszczęśliwej, porzuconej przez męża Hélène, Mortemarta, czarującego księcia Hipolita, który dopiero co przyjechał z Wiednia, dwóch dyplomatów, ciotuni, pewnego

<sup>370</sup> Fiksat – zawszem to mówił.

<sup>371</sup> Śmietanka prawdziwie dobranego towarzystwa, kwiat intelektualny petersburskiego towarzystwa.

młodego człowieka, który w salonie cieszył się po prostu mianem *d'un homme de beaucoup de mérite*<sup>372</sup>, pewnej nowo mianowanej frejliny z matką i jeszcze kilku osób, mniej znamienitych.

Osobistością, którą tego wieczora jako nowalijką raczyła Anna Pawłowna swych gości, był Borys Drubecki, który dopiero co przyjechał jako kurier z armii pruskiej i był adiutantem bardzo ważnej osobistości.

Owego wieczora termometr polityczny wskazywał towarzystwu następujący stan rzeczy: „Jakkolwiek by wszyscy europejscy monarchowie i wodzowie starali się pobłażać Bonapartemu, aby mnie i w ogóle nam przyczynić nowych nieprzyjemności i goryczy, nasza opinia o Bonapartem nie może się zmienić. Nie przestaniemy okazywać swego wyzbytego obłudy poglądu w tej materii i możemy powiedzieć królowi pruskiemu i innym: «Tym gorzej dla was. *Tu l'as voulu Georges Dandin*<sup>373</sup> – oto wszystko, co możemy wam powiedzieć.»” To właśnie wskazywał termometr polityczny na wieczorze u Anny Pawłowny. Kiedy Borys, którym miano częstować gości, wszedł do salonu, prawie całe towarzystwo było w komplecie. Rozmowa, kierowana przez Annę Pawłownę, toczyła się wokół naszych stosunków dyplomatycznych z Austrią i nadziei na sojusz z nią.

Borys, w eleganckim mundurze adiutanta, zmężniały, świeży i rumiany, wszedł swobodnie do salonu i – jak wypadało – został zaprowadzony do cioteczki, żeby się z nią przywitał, i znowu przyłączony do ogólnego kółka.

Anna Pawłowna dała mu do pocałowania swoją rękę, poznała go z kilkoma osobistościami, których jeszcze nie znał, i każdego określała szeptem:

– *Le prince Hippolyte Kouraguine – charmant jeune homme. M-r Kroug, chargé d'affaires de Copenhague – un esprit profond* – i po prostu: *M-r Shittoff – un homme de beaucoup de mérite*<sup>374</sup> – o tym, który nosił to nazwisko.

Dzięki staraniom Anny Michajłowny, osobistym gustom i właściwościom swego opanowanego charakteru – Borys zdołał już przez czas swej służby osiągnąć arcykorzystną pozycję. Był adiutantem nader wpływowej osobistości, miał nader ważne polecenie do Prus i dopiero co wrócił stamtąd jako kurier. Przyswoił sobie całkowicie tę nie pisaną subordynację, która tak mu się była podobała w Ołomuńcu, a wedle której chorąży mógł stać bez porównania wyżej niż generał i wedle której, aby osiągnąć powodzenie w służbie, nie trzeba było ani wysiłków, ani pracy, ani męstwa, ani wytrwałości, lecz tylko umiejętności postępowania z tymi, którzy wynagradzają za służbę. Borys często sam dziwił się swym szybkim sukcesom i temu, że inni tego nie rozumieli. Na skutek tego odkrycia wszystko uległo całkowitej zmianie – i tryb jego życia, i jego stosunki z dawnymi znajomymi, i wszystkie jego plany na przyszłość. Był niebogaty, ale ostatnie pieniądze zużywał na to, żeby być ubranym lepiej niż inni, pozbawiłby się raczej wielu przyjemności, niżby miał sobie pozwolić na jazdę brzydkim powozem lub pokazać się na ulicach Petersburga w znoszonym mundurze. Zbliżał się i szukał znajomości tylko z ludźmi, którzy stali wyżej od niego i dlatego mogli mu być użyteczni. Lubił Petersburg i gardził Moskwą.<sup>375</sup> Wspomnienie o domu Rostowów i o jego dziecinnej miłości do Nataszy było mu niemiłe, toteż od wyjazdu do armii ani razu nie był u Rostowów. W salonie Anny Pawłowny, w którym bywanie uważał za poważny awans służbowy, natychmiast zro-

<sup>372</sup> Człowieka o wielkich zaletach.

<sup>373</sup> Sam chciałeś tego, Grzegorz Dandin. Molière, *Grzegorz Dyndała (Georges Dandin)*, I, 9.

<sup>374</sup> Książę Hipolit Kuragin, czarujący młody człowiek. Pan Krug, chargé d'affaires, głęboki umysł... pan Shittoff, człowiek o wielkich zaletach.

<sup>375</sup> Aluzja do istotnych różnic, jakie charakteryzowały w owym okresie, a także i później, obie stolice imperium. Moskwa była siedzibą patriarchalnej szlachty, niechętniej nowinkom i tworzącej się ówczesnie, a złożonej w dużej liczbie z cudzoziemców, nowoczesnej biurokracji zbliżonej do dworu. Petersburg był główną rezydencją carską, ośrodkiem administracji państwowej, gdzie kształtowały się nowoczesne poglądy na sprawy państwa i ustroju społecznego Rosji, jak też i szerzyło się modne, powierzchowne nowinkarstwo. W okresie późniejszym Moskwa staje się ośrodkiem ruchu słowianofilskiego, Petersburg zaś siedzibą tzw. zapadników.



zumiał swą rolę i pozwolił Annie Pawłowni wykorzystywać to, co sam przedstawiał interesująco; obserwował uważnie każdą osobistość i oceniał korzyści i możliwości zbliżenia się z każdą z nich. Siadł na wskazanym miejscu obok pięknej Hélène i przysłuchiwał się ogólnej rozmowie.

– „*Vienne trouve les bases du traité proposé tellement hors d'atteinte qu'on ne saurait y parvenir même par une continuité de succès les plus brillants, et elle met en doute les moy-ens qui pourraient nous les procurer*”. *C'est la phrase authentique du cabinet de Vienne*<sup>376</sup> – mówił duński chargé d'affaires.

– *C'est le doute qui est flatteur!* – oświadczył z subtelnym uśmiechem *l'homme à l'esprit profond*.<sup>377</sup>

– *Il faut distinguer entre le cabinet de Vienne et l'empereur d'Autriche* – rzekł Mortemart. – *L'empereur d'Autriche n'a jamais pu penser à une chose pareille, ce n'est que le cabinet qui le dit*.<sup>378</sup>

– *Eh, mon cher vicomte* – wtrąciła Anna Pawłowna – *l'Urope* (z jakiegoś powodu wymawiała *l'Urope* jako szczególną subtelność języka francuskiego, na którą mogła sobie pozwolić mówiąc z Francuzem), *l'Urope ne sera jamais notre alliée sincère*.<sup>379</sup>

Następnie Anna Pawłowna skierowała rozmowę na męstwo i stanowczość króla pruskiego – z myślą, żeby wprowadzić do akcji Borysa.

Borys uważnie słuchał mówiących i czekał na swoją kolej, ale jednocześnie zdołał spojrzeć kilka razy na swą sąsiadkę, piękną Hélène, która z uśmiechem spotkała się kilkakrotnie wzrokiem z pięknym młodym adiutantem.

Mówiąc o sytuacji Prus, Anna Pawłowna całkiem naturalnie poprosiła Borysa, żeby opowiedział o swojej podróży do Głogowa i o sytuacji, w jakiej zastał wojsko pruskie. Nie spiesząc się, Borys opowiedział – czystą i poprawną francuszczyzną – wiele ciekawych szczegółów o wojskach, o dworze, w ciągu opowiadania starannie unikając wypowiedzenia swego zdania o faktach, które przytaczał. Na pewien czas zajął uwagę wszystkich i Anna Pawłowna czuła, że jej nowalijkę wszyscy goście przyjęli z zadowoleniem. Hélène okazała opowiadaniu Borysa najwięcej uwagi. Kilka razy zapytywała o szczegóły jego podróży i zdawało się, była nader zainteresowana sytuacją armii pruskiej. Gdy tylko skończył, zwróciła się do niego ze swym zwykłym uśmiechem:

– *Il faut absolument que vous veniez me voir* – powiedziała takim tonem, jakby z pewnych względów, o których nie mógł wiedzieć, było to bezwarunkowo konieczne.

– *Mardi entre les 8 et 9 heures. Vous me ferez grand plaisir*.<sup>380</sup>

Borys obiecał spełnić jej życzenie i chciał wszcząć z nią rozmowę, lecz Anna Pawłowna odwołała go pod pozorem, że cioteczka pragnie go usłyszeć.

– Przecie znasz jej męża? – przymknąwszy oczy rzekła Anna Pawłowna i smutnym głosem wskazała na Hélène.

– Ach, jaka to nieszczęśliwa i urocza kobieta! Nie mów pan przy niej o nim, bardzo o to proszę. To dla niej zbyt ciężkie!

---

<sup>376</sup> „Wiedeń uważa zasady proponowanego traktatu za niemożliwe do takiego stopnia, że osiągnąć je będzie można tylko przez szereg świetnych sukcesów; i wątpi, czy mamy możność je osiągnąć”. Jest to autentyczne zdanie gabinetu wiedeńskiego.

<sup>377</sup> Pochlebna wątpliwość!... człowiek o głębokim umyśle.

<sup>378</sup> Trzeba odróżnić gabinet wiedeński od cesarza austriackiego... Cesarz austriacki nigdy nie mógł tego pomyśleć, to mówi tylko gabinet.

<sup>379</sup> Ach, drogi wicehrabio... Europa... nigdy nie będzie naszą szczerą sojuszniczką.

<sup>380</sup> Koniecznie musi mnie pan odwiedzić... We wtorek między godziną 8 a 9. Zrobi mi pan wielką przyjemność.

## VII

Kiedy Borys i Anna Pawłowna wrócili do ogólnego kółka, rozmowę opanował książę Hipolit. Wychyliwszy się z fotela oświadczył:

– *Le roi de Prusse!*<sup>381</sup> – rzekłszy to zaśmiał się. Wszyscy zwrócili się w jego stronę.

– *Le roi de Prusse?* – zapytał Hipolit, znowu się zaśmiał i znowu spokojnie i poważnie rozsiadł się w głębi swego fotela. Anna Pawłowna wyczekała trochę, ale ponieważ Hipolit stanowczo, jak się zdawało, nie chciał nic więcej powiedzieć, jęła opowiadać, jak ten bezbożnik Bonaparte zrabował w Poczdamie szpadę Fryderyka Wielkiego.

– *C'est l'épée de Frédéric le Grand que je...*<sup>382</sup> – zaczęła, ale Hipolit przerwał jej słowami:

– *Le roi de Prusse...* – i znowu, gdy tylko się ku niemu zwrócono, przeprosił i zamilkł. Anna Pawłowna skrzywiła się. Mortemart, przyjaciel Hipolita, zwrócił się do niego stanowczo:

– *Voyons, à qui en avez vous avec votre roi de Prusse?*<sup>383</sup>

Hipolit roześmiał się, jak gdyby się wstydził swego śmiechu.

– *Non, ce n'est rien, je voulais dire seulement...* (Miał zamiar powtórzyć żart, który słyszał w Wiedniu i który przez cały wieczór zbierał się ulokować). *Je voulais dire seulement, que nous avons tort de faire la guerre pour le roi de Prusse.*<sup>384</sup>

Borys uśmiechnął się ostrożnie – tak iż jego uśmiech mógł być związany z kpina lub z aprobatą żartu, zależnie od tego, jak zostanie przyjęty. Wszyscy się roześmieli.

– *Il est très mauvais, votre jeu de mot, très spirituel, mais injuste* – rzekła Anna Pawłowna grożąc zmarszczonym paluszkami. – *Nous ne faisons pas la guerre pour le roi de Prusse, mais pour les bons principes. Ah, le méchant, ce prince Hippolyte!*<sup>385</sup> – powiedziała.

Rozmowa nie milkła przez cały wieczór, obracała się zaś przeważnie wokół nowin politycznych. W końcu wieczora szczególnie się ożywiła, kiedy zaczęto mówić o nagrodach przyznanych przez monarchę.

– Przecie N. N. dostał w zeszłym roku tabakierkę z portretem – mówił *l'homme à l'esprit profond*<sup>386</sup> – to dlaczego S. S. nie może dostać takiej samej nagrody?

– *Je vous demande pardon, une tabatière avec le portrait de l'Empereur est une récompense, mais point une distinction* – oświadczył dyplomata – *un cadeau plutôt.*<sup>387</sup>

– *Il y eut plutôt des antécédents, je vous citerai Schwarzenberg.*<sup>388</sup>

---

<sup>381</sup> Król pruski!

<sup>382</sup> To szpada Fryderyka Wielkiego, którą ja...

<sup>383</sup> No i cóż ten król pruski?

<sup>384</sup> Nic, chciałem tylko powiedzieć... Chciałem tylko powiedzieć, że niepotrzebnie wojujemy dla króla pruskiego. Aluzja do popularnego powiedzenia francuskiego *travailler pour le roi de Prusse* (pracować dla króla pruskiego). Oznacza to – pracować za darmo, bez własnej korzyści, a bierze się najpewniej z marnego wynagrodzenia najemnych żołnierzy Fryderyka Wielkiego lub zatrudnianych ówczesnie robotników francuskich. Niektórzy przypisują to powiedzenie Wolterowi, inni uważają, iż jest to porzekadło ludowe. (L. Martel, *Petit recueil des proverbes français*, s. 83).

<sup>385</sup> Pańska gra słów jest nieudana, bardzo dowcipna, lecz niesprawiedliwa... Prowadzimy wojnę o słuszne zasady, a nie dla króla pruskiego. Ach, jaki ten książę Hipolit złośliwy!

<sup>386</sup> Człowiek głębokiego umysłu.

<sup>387</sup> Przepraszam, tabakierka z portretem cesarza to nagroda, a nie odznaczenie – to raczej podarunek.

– *C'est impossible!*<sup>389</sup> – zaproponował ktoś inny.

– Idę o zakład. *Le grand cordon, c'est différent...*<sup>390</sup> Kiedy wszyscy wstali, by się rozjechać, Héléne, która przez cały wieczór bardzo mało mówiła, znów zwróciła się do Borysa z prośbą i uprzejmym, wiele znaczącym rozkazem, żeby we wtorek był u niej.

– Bardzo mi na tym zależy – rzekła z uśmiechem, oglądając się na Annę Pawłownę. Anna Pawłowna zaś z tym samym smętnym uśmiechem, który towarzyszył jej słowom, gdy mówiła o swojej wysokiej protektorce, przytaknęła życzeniu Héléne. Wydawało się, że owego wieczoru z pewnych słów, wypowiedzianych przez Borysa o wojsku pruskim, wyłoniła się dla Héléne konieczność widzenia się z nim. Jak gdyby mu obiecywała, że gdy zjawi się we wtorek, sama wyjaśni mu tę konieczność.

Zjawiwszy się we wtorek wieczorem we wspaniałym salonie Héléne, Borys nie otrzymał jasnego wyjaśnienia, dlaczego koniecznie miał tu być. Byli inni goście, hrabina mało z nim rozmawiała; dopiero przy pożegnaniu, kiedy całował jej rękę, powiedziała mu nagle szeptem – przy dziwnym braku uśmiechu:

– *Venez demain dîner... le soir. Il faut que vous veniez... Venez.*<sup>391</sup>

W czasie tego pobytu w Petersburgu Borys stał się człowiekiem zaufanym w domu hrabiny Bezuchow.

---

<sup>388</sup> Były przykłady, wymienię Schwarzenberga.

<sup>389</sup> To niemożliwe!

<sup>390</sup> Wstęga – to co innego...

<sup>391</sup> Proszę przyjść jutro na obiad... wieczorem. Musi pan przyjść... Proszę przyjść.

## VIII

Wojna rozpalala się, jej teatrum zbliżalo się do granic Rosji. Wszędzie słyszało się przekleństwa rzucane na Bonapartego, wroga rodzaju ludzkiego, po wsiach zbierano pospolite ruszenie, ogłaszano pobór rekruta, z teatrum wojny przychodziły sprzeczne wieści, jak zawsze kłamliwe i dlatego różnie komentowane.

Od roku 1805 życie starego księcia Bołkońskiego, księcia Andrzeja i księżniczki Marii zmieniło się pod wieloma względami.

W roku 1806 stary książe został wyznaczony na jednego z ośmiu dowódców pospolitego ruszenia, powołanych wówczas na całą Rosję. Stary książe mimo swego starczego osłabienia, które się stało widoczne szczególnie w tym okresie, gdy uważał swego syna za poległego, nie czuł się w prawie, by wymówić się od godności, na którą go powołał sam monarcha, ta nowa zaś działalność, jaka się przed nim otwierała, pobudziła go i dodała mu sił. Ciągłe był w rozjazdach po trzech guberniach, które mu powierzono, obowiązki swe pełnił z pedantyczną dokładnością, z podwładnymi był surowy aż do okrucieństwa, osobiście wnikał w najdrobniejsze szczegóły sprawy. Księżniczka Maria już przestała brać lekcje matematyki u ojca i tylko rano, kiedy był w domu, wchodziła do jego gabinetu w towarzystwie mamki z malutkim księciem Mikołajem (tak nazywał go dziadek). Niemowlę, książe Mikołaj, mieszkał wraz z mamką i nianią Sawiszną w pokojach zmarłej księżny; księżniczka Maria większą część dnia spędzała w pokoju dzieciennym, zastępując, jak umiała, matkę malutkiemu bratankowi. M-lle Bourienne również, jak się zdawało, gorąco kochała chłopczyka, więc księżniczka Maria często poświęcała się i odstępowała przyjaciółce rozkosz niańczenia malutkiego anioła (tak nazywała swego bratanka) i zabawy z nim.

Obok ołtarza cerkwi Łysogórskiej była kapliczka nad grobowcem malutkiej księżny. W kapliczce ustawiono marmurowy pomnik, przywieziony z Włoch, przedstawiający anioła z rozpostartymi skrzydłami, gotowego wzbic się w niebo. Anioł miał górną wargę nieco uniesioną, jak gdyby zamierzał się uśmiechnąć. Pewnego razu książe Andrzej i księżniczka Maria wychodząc z kapliczki wyznali sobie wzajemnie, że – dziwna rzecz – twarz tego anioła przypominała im twarz zmarłej. Lecz jeszcze dziwniejsze, czego książe Andrzej nie powiedział siostrze, było to, że w wyrazie, jaki artysta nadał przypadkiem twarzy anioła, książe Andrzej odczytywał te same słowa łagodnej wymówki, które wyczytał niegdyś z twarzy zmarłej żony: „Ach czemużecie to ze mną uczynili?...”

Wkrótce po powrocie księcia Andrzeja stary książe wydzielił synowi Boguczarowo, duży majątek znajdujący się o czterdzieści wiorst od Łysych Gór. Częściowo ze względu na przykre wspomnienia, częściowo i dlatego, że książe Andrzej nie zawsze czuł się na siłach, by znieść charakter ojca, częściowo i dlatego, że potrzebował samotności – skorzystał z Boguczarowa, budował się tam i spędzał większą część czasu.

Po bitwie pod Austerlitz książe Andrzej stanowczo postanowił nigdy już nie służyć w wojsku, kiedy zaś rozpoczęła się wojna i wszyscy musieli służyć, książe – żeby uniknąć czynnej służby – objął pod dowództwem ojca stanowisko przy zbieraniu pospolitego ruszenia. Po kampanii 1805 roku stary książe i jego syn jak gdyby zamienili się rolami. Stary książe, podniecony działalnością, spodziewał się po bieżącej kampanii wszystkiego najlepszego, książe

Andrzej przeciwnie, nie biorąc udziału w wojnie i w głębi duszy żałując tego, widział w niej wszystko najgorsze.

26 lutego 1807 roku stary książę wyjechał w podróż po okręgu. Książę Andrzej, jak zwykle podczas nieobecności ojca, przebywał w Łysych Górach. Mały Nikołuszka już czwarty dzień był niezdrów. Stangreci, którzy odwozili starego księcia, wrócili z miasta i przywieźli księciu Andrzejowi papiery i listy.

Nie zastawszy młodego księcia w gabinecie, kamerdyner udał się z listami do pokoiów księżniczki Marii, ale i tam go nie było. Powiedziano kamerdynerowi, że książę udał się do pokoju dziecinnego.

– Dopraszam się łaski jaśnie pana, Pietrusza przyszedł z papierami – oznajmiła jedna z dziewcząt, pomocnica niani, zwracając się do księcia Andrzeja, który siedział na małym dzieciennym krzeselku i drżącymi rękoma, nachmurzony, odmierzał krople lekarstwa z flaszeczki do kieliszka, napełnionego do połowy wodą.

– Co takiego? – rzekł gniewnie, ręka drgnęła mu niebacznie i przelał z flaszeczki do kieliszka nadmierną ilość kropeł. Wylał lekarstwo z kieliszka na podłogę i znowu zażądał wody. Dziewczyna podała mu.

W pokoju stało dziecinnie łóżeczko, dwa kufry, dwa fotele, stół, stolik dziecienny i krzeselko, to, na którym siedział książę Andrzej. Okna były zasłonięte, na stole paliła się tylko jedna świeca przesłonięta oprawnym zeszytem nutowym, żeby światło nie padało na łóżeczko.

– Mój drogi – rzekła zwracając się do brata księżniczka Maria, która stała przy łóżeczku – lepiej poczekać... potem...

– Ach, bardzo cię proszę, mówisz wciąż głupstwa, wciąż czekałaś, no i doczekałaś się – powiedział książę gniewnym szeptem, widocznie pragnąc dotknąć siostrę.

– Naprawdę, mój drogi, lepiej go nie budzić, usnął – mówiła księżniczka błagalnym głosem.

Książę Andrzej wstał i z kieliszkiem podszedł na palcach do łóżeczka.

– A może naprawdę nie budzić? – zapytał niezdecydowanie.

– Jak chcesz... doprawdy... ja myślę... ale jak chcesz – mówiła nieśmiało księżniczka Maria, widocznie wstydząc się, że jej zdanie zatriumfowało. Wskazała bratu dziewczynę, która przyzywała go szeptem.

Już drugą noc oboje nie spali doglądając chłopca rozpalonego gorączką. Przez całe dwie doby, nie dowierając domowemu lekarzowi i czekając na tego, po którego posłano do miasta, stosowali to takie, to inne środki. Zmęczeni bezsennością i niepokojem, wzajemnie zwalali na siebie swe zmartwienie, robili sobie wyrzuty, kłócili się.

– Pietrusza z papierami od ojczulka – wyszeptwała dziewczyna. Książę Andrzej wyszedł.

– No, co tam! – rzekł gniewnie, a wysłuchawszy ustnych poleceń ojcowskich, wziął podane mu koperty i list od ojca i wrócił do dzieciennego pokoju.

– No i co? – zapytał książę Andrzej.

– Ciągłe tak samo, poczekaj na miłość boską. Karol Iwanycz zawsze mówi, że sen jest najcenniejszy – wyszeptwała księżniczka Maria i westchnęła. Książę Andrzej zbliżył się do dziecka, dotknął go. Było rozpalone.

– Wyoście się z tym waszym Karolem Iwanyczem. – Wziął kieliszek z kroplami i znowu się zbliżył.

– Andre, nie trzeba! – powiedziała księżniczka Maria. Lecz on zasepił się na to gniewnie i męczeńsko zarazem i zbliżył się z kieliszkiem do dziecka.

– A ja właśnie tak chcę – oświadczył. – No proszę cię, daj mu.

Księżniczka Maria wzruszyła ramionami, ale potulnie wzięła kieliszek i przywoławszy niańkę zaczęła dawać lekarstwo. Dziecko krzyknęło i zachrypiało. Książę Andrzej porwał się za głowę, wyszedł z pokoju z twarzą wykrzywioną i usiadł w sąsiednim na kanapie.

Listy wciąż trzymał w ręku. Otworzył je machinalnie i jął czytać. Na niebieskim papierze, przy użyciu gdzieniegdzie starocerkiewnych tytli, swymi dużymi wydłużonymi literami stary książę pisał, co następuje:

*W tym momencie dostałem przez kuriera wieści radosne, jeśli tylko nie zełgano. Ben-nigsen odniósł pod Iławą jakoby stanowczą wiktoryę nad Buonapartem. W Petersburgu wszyscy triumfują, do armii wysłano nagród bez liku. Choć to i Niemiec, ale gratuluję. Nie mogę pojąć, co robi naczelnik z Korczewy, niejaki Chandrikow: do tej pory nie dostarczono dodatkowych ludzi i prowiantu. Pędź tam natychmiast i powiedz, że kark mu skręcę, jeśli do tygodnia nie będzie wszystkiego. O bitwie prusko-iławskiej dostałem jeszcze list od Pietieńki, on tam był – wszystko prawda. Kiedy się nie wtrącają ci, co nie powinni się wtrącać, to nawet Niemiec pobił Buonaparta. Powiadają, że ucieka w wielkim nieładzie. Uważaj, bez zwłoki pędź do Karczewy i wykonaj rozkaz!*

Książę Andrzej westchnął i rozpieczętował drugą kopertę. Był to list od Bilibina – dwie zapisane drobno karteczki. Złożył je nie czytając i jeszcze raz przeczytał list ojca kończący się słowami: „Pędź do Korczewy i wykonaj rozkaz!”

„Nie, proszę wybaczyć, teraz nie pojedę, póki dziecku nie będzie lepiej” – pomyślał i zbliżywszy się do drzwi zajrzał do dziecinnego pokoju. Księżniczka Maria ciągle stała przy łóżeczku i łagodnie kołysała dziecko.

„Tak, cóż on jeszcze nieprzyjemnego pisze? – książę Andrzej przypomniał sobie treść ojcowskiego listu. – Tak. Nasi odnieśli zwycięstwo nad Bonapartem wtedy właśnie, kiedy ja nie służę! Tak, tak, wszystko drwi sobie ze mnie... a niech tam, na zdrowie...” – i jął czytać francuski list Bilibina. Czytał i połowy nawet nie rozumiał, czytał tylko dlatego, żeby choć przez chwilę przestać myśleć o tym, o czym myślał długo, wyłącznie i z męką.

## IX

Obecnie Bilibin przebywał w charakterze dyplomatycznego urzędnika w głównej kwaterze armii, mimo iż w języku francuskim, z francuskimi żarcikami i zwrotami, ale z wyjątkową rosyjską nieustraszoną w potępianiu i ośmieszaniu siebie opisywał całą kampanię. Bilibin pisał, że zmęczyła go jego dyplomatyczna *discrétion*,<sup>392</sup> że jest szczęśliwy mając w księciu Andrzeju zaufanego korespondenta, przed którym mógł wylać wszystką żółć, jaka się w nim nagromadziła na widok tego, co dzieje się w armii. List był dawny, jeszcze sprzed bitwy pod Iławą Pruską.

*Depuis nos grands succès d'Austerlitz vous savez, mon cher Prince*<sup>393</sup> – pisał Bilibin – *que je ne quitte plus les quartiers généraux. Décidément j'ai pris le goût de la guerre, et bien m'en a pris. Ce que j'ai vu ces trois mois, c'est incroyable.*

*Je commence ab ovo. L'ennemi du genre humain, comme vous savez, s'attaque aux Prussiens. Les Prussiens sont nos fidèles alliés, qui ne nous ont trompés que trois fois depuis trois ans. Nous prenons fait et cause pour eux. Mais il se trouve que l'ennemi du genre humain ne fait nulle attention à ces beaux discours et avec sa manière impolie et sauvage se jette sur les Prussiens sans leur donner le temps de finir la parade commencée, en deux tours de main les rosse à plate couture et va s'installer au palais de Potsdam.*

---

<sup>392</sup> Powściągliwość.

<sup>393</sup> Drogi książę, wiesz już, że od czasów naszych świetnych sukcesów pod Austerlitz nie opuszczam głównej kwatery. Stanowczo zagustowałem w wojnie i jestem z tego bardzo zadowolony; to, co widziałem W ciągu tych trzech miesięcy, jest nie do wiary.

Zaczynam *ab ovo*. Nieprzyjaciel rodu ludzkiego atakuje, jak Panu wiadomo, Prusaków, Prusacy – to nasi wierni sprzymierzeńcy, oszukali nas tylko trzy razy w ciągu trzech lat. Stajemy w ich obronie. Okazuje się jednak, że nieprzyjaciel rodu ludzkiego nie zwraca żadnej uwagi na te wspaniałe słowa i w właściwy sobie nieuprzejmy i dziki sposób rzuca się na Prusaków, nie pozwala im dokończyć zaczętej parady, jednym ciosem rozbija ich w perzynę i osiedla się w pałacu poczdamskim.

„Bardzo pragnę – pisze król pruski do Buonapartego – żeby wasza cesarska mość został przyjęty i goszczony w moim pałacu w sposób dla waszej cesarskiej mości przyjemny, ze szczególną więc troską wydałem po temu wszelkie zarządzenia, na jakie pozwalały mi okoliczności. Obym zdołał osiągnąć mój cel!” Generałowie pruscy sadzą się na uprzejmość w stosunku do Francuzów i poddają się na pierwsze żądanie.

Dowódca garnizonu w Głogowie, mający dziesięć tysięcy żołnierza, zapytuje króla pruskiego, co ma robić, jeśli zostanie wezwany do poddania się. Wszystko to jest zgodne z prawdą.

Słowem, sądziliśmy, że napędzimy mu strachu samą swą wojenną postawą, a kończy się tym, że jesteście wciągnięci na dobre w wojnę, i co więcej, na własnej granicy na rzecz króla pruskiego i razem z nim. Wszystko mamy w nadmiarze, nie dostaje nam tylko drobiazgu – naczelnego wodza. Ponieważ się okazało, że sukcesy pod Austerlitz mogłyby być decydujące, gdyby nie tak młody wódz naczelny, robi się tedy przegląd osiemdziesięcioletnich generałów i mając do wyboru między Prozorowskim i Kamińskim wybiera się Kamińskiego. Generał przyjeżdża do nas w kibitce, po suworowsku, przyjmuje się go radosnymi okrzykami i wielce uroczyście.

Czwartego przyjeżdża z Petersburga pierwszy kurier. Przynoszą kufty do gabinetu feldmarszałka, który wszystko lubi robić sam. Wzywają mnie, żebym pomógł rozdzielić listy i zabrał te, które są przeznaczone dla nas. Feldmarszałek patrzy na naszą pracę i czeka na przesyłki adresowane do niego. Szukamy, ale takich nie ma. Feldmarszałek niepokoi się, sam zabiera się do roboty i znajduje listy od monarchy do hrabiego T., do księcia W. i do innych. Ogarnia go coraz silniejszy gniew, piorunuje na cały świat, bierze pisma, rozpieczętowuje i czyta listy adresowane do kogo innego... I pisze sławetny rozkaz dzienny do hrabiego Bennigsen.

*„J'ai le plus vif désir, écrit le roi de Prusse à Bounaparte, que V. M, soit accueillie et traitée dans mon palais d'une manière, qui lui soit agréable et c'est avec empressement, que j'ai pris à cet effet toutes les mesures que les circonstances me permettaient. Puissé-je avoir réussi!” Les généraux Prussiens se piquent de politesse envers les Français et mettent bas les armes aux premières sommations.*

*Le chef de la garnison de Glogau avec dix mille hommes demande au roi de Prusse, ce qu'il doit faire s'il est sommé de se rendre?... Tout cela est positif.*

*Bref, espérant en imposer seulement par notre attitude militaire, il se trouve que nous voilà en guerre pour tout de bon et ce qui plus est, en guerre sur nos frontières a v e c e t p o u r l e r o i d e P r u s s e. Tout est au grand complet, il ne nous manque qu'une petite chose, c'est le général en chef. Comme il s'est trouvé que les succès d'Austerlitz auraient pu être plus décisifs, si le général en chef eut été moins jeune, on fait la revue des octogénaires et entre Prosorofsky et Kamensky on donne la préférence au dernier. Le général nous arrive en kibik, à la manière Souvoroff, et est accueilli avec des acciamations de joie et de thriomphe.*

*Le 4 arrive le premier courrier de Pétersbourg. On apporte les malles dans le cabinet du maréchal, qui aime à faire tout par lui-même. On m'appelle pour aider à faire le triage des lettres et prendre celles qui nous sont destinées. Le maréchal nous regarde fair et attend les paquets, qui lui sont adressés. Nous cherchons – il n'y en a point. Le maréchal devient impatient, se met lui-même à la besogne et trouve des lettres de l'Empereur pour le comte T., pour le prince V. et autres. Alors le voilà, qui se met dans une de les de l'Empereur adressées à d'autres. A więc tak się ze mną postępuje. Nie ma się do mnie zaufania! A, kazano mnie ślezić, dobrze, idźmy precz! Et il écrit le fameux ordre du jour au général Bennigsen.*

*„Jestem ranny, nie mogę jeździć konno, a co za tym idzie, i dowodzić armią. Swój corps d'armée przyprowadził pan do Pułtуска rozbity: pozostaje tu odsłonięty bez opał i bez furazu, czemu należy zaradzić, a jako wczoraj sam się, generale, zwróciłeś do hrabiego Boukshevdena, należy myśleć o rejteradzie do naszej granicy i wykonać to już dzisiaj”*

*„Od wszystkich mych rozjazdów, écrit-il à l'Empereur, nabawiłem się odparzenia od siodła, które całkiem przeszkadza mi jeździć wierzchem i dowodzić tak rozległą armią i dlatego dowodzenie oną przekazałem najstarszemu po mnie generałowi, hrabiemu Boukshevdenowi, odesławszy do niego wszystkich moich dyżurnych i co do nich przynależy i poradziwszy im, jeśli chleba nie będzie, rejterować w głąb Prus, jako że chleba pozostało tylko na jeden dzień, a w niektórych pułkach nie ma nic, jak o tym zawiadomili dowódcy dywizji Osterman i Siedmorecki, a u chłopów wszystko zjedzone, sam zaś, póki się nie wyleczę, pozostanę w szpitalu w Ostrołęce. W dniu, w którym wiernopoddańczo podaję tę wiadomość, donoszę, że gdy armia spędzi na tym biwaku jeszcze piętnaście dni, na wiosnę nie zostanie ani jednego zdrowego.*

*Proszę o zwolnienie mnie starego, na wieś, i tak okryłem się niesławą, iżem nie mógł spełnić wielkiego i zaszczytnego przeznaczenia, do jakiego mnie powołano. Najmiłościwszego pozwolenia na to będę oczekiwać tutaj, w szpitalu, aby w wojsku nie odgrywać roli pisarskiej, a nie dowodzącej. Odsunięcie mnie od armii nie wywoła żadnego rozgłosu, jako że oślepy odjechałem z armii. Takich jak ja – w Rosji są tysiące”*

*– Le maréchal <sup>394</sup>se fâche contre l'Empereur et nous punit tous; n'est-ce pas que c'est logique!*

<sup>394</sup> Feldmarszałek gniewa się na monarchę i wszystkich nas karze: jest to nader logiczne!

Oto pierwszy akt. Rozumie się, że przy następnych wzrasta i zainteresowanie, i pocieszność. Po odjeździe feldmarszałka okazuje się, że jesteśmy w obliczu nieprzyjaciela i że koniecznie trzeba wydać bitwę. Boukshevden – to wódz naczelny ze względu na starszeństwo, przeciw generał Bennigsen jest całkiem innego zdania, tym bardziej że ze swoim korpusem znajduje się w obliczu nieprzyjaciela i chce skorzystać z okazji do bitwy. Przeto ją wydaje. To bitwa pod Pułtuskim, którą się uważa za wielkie zwycięstwo, choć moim zdaniem bynajmniej nim nie jest. My, cywile, mamy brzydki zwyczaj, jak Panu wiadomo, orzekać „na własną rękę”, jak mówią Niemcy,



*Voilà le premier acte. Aux suivants l'intérêt et le ridicule montent comme de raison. Après le départ du maréchal il se trouve que nous sommes en vue de l'ennemi, et qu'il faut livrer bataille. Boukshevden est général en chef par droit d'ancienneté, mais le général Bennigsen n'est pas de cet avis; d'autant plus qu'il est lui, avec son corps, en vue de l'ennemi et qu'il veut profiter de l'occasion d'une bataille „aus eigener Hand”, comme disent les Allemands. Il la donne. C'est la bataille de Poultousk, qui est censée être une grande victoire, mais qui à mon avis ne l'est pas du tout. Nous autres pékins avons, comme vous savez une très vilaine habitude de décider du gain ou de la perte d'une bataille. Celui qui s'est retiré après la bataille, l'a perdu, voilà ce que nous disons et a titre nous avons perdu la bataille de Poultousk. Bref, nous nous retirons après la bataille, mais nous envoyons un courrier à Pétersbourg, qui porte les nouvelles d'une victoire, et le général ne cède pas le commandement en chef à Boukshevden, espérant recevoir de Pétersbourg en reconnaissance de sa victoire le titre de général en chef. Pendant cet interrègne, nous commençons un plan de manoeuvres excessivement intéressant et original. Notre but ne consiste pas, comme il devrait l'être, à éviter ou à attaquer l'ennemi; mais uniquement à éviter le général Boukshevden, qui par droit d'ancienneté serait notre chef. Nous poursuivons ce but avec tant d'énergie, que même en passant une rivière, qui n'est pas guéable, nous brûlons les ponts pour nous séparer de notre ennemi, qui pour le moment n'est pas Bonaparte, mais Boukshevden. Le général Boukshevden a manqué d'être attaqué et pris par des forces ennemies supérieures à cause d'une de nos belles manoeuvres qui nous sauvait de lui Boukshevden nous poursuit-nous filons. A peine passe-t-il de notre côté de la rivière, que nous repassons de l'autre. A la fin notre ennemi Boukshevden nous attrappe et s'attaque à nous. Les deux généraux se fâchent... Il y a même une provocation en duel de la part de Boukshevden et une attaque d'épilepsie de la part de Bennigsen. Mais au moment critique le courrier, qui porte la nouvelle de notre victoire de Poultousk, nous apporte de Pétersbourg notre nomination de général en chef, et le premier ennemi Boukshevden est enfoncé: nous pouvons penser au second, à Bonaparte. Mais, ne voilà-t-il pas qu'à ce moment ce lève devant nous un troisième ennemi. C'est le p r a w o s ł a w n e , qui demande à grands cris du pain, de la viande, des „souchary”, du foin-que sais-je! Les magasins sont vides, les chemins imprati-*

---

czy bitwa została wygrana, czy przegrana. Ten, kto po bitwie się cofnął, powiadamy, ten bitwę przegrał, takie jest nasze zdanie, więc sądząc po tym – bitwę pod Pułtuskim przegraliśmy. Słowem, po bitwie cofamy się, lecz wysyłamy do Petersburga kuriera z wiadomością o zwycięstwie. Generał Bennigsen nie ustępuje dowództwa nad armią generałowi Boukshevdenowi, mając nadzieję otrzymania z Petersburga – w dowód wdzięczności za zwycięstwo – rangi naczelnego wodza. Podczas owego bezkrólewia zaczynamy wprowadzać niebywale oryginalny i interesujący plan ruchów wojsk. Nasz cel polega raczej nie na tym, na czym powinien by polegać, tj. na unikaniu albo atakowaniu nieprzyjaciela, lecz na tym, żeby unikać generała Boukshevdena, który na mocy prawa starszeństwa powinien być naszym wodzem. Dążymy do tego celu z taką energią, że nawet przechodząc przez rzekę, na której nie ma brodu, palimy most, byleby oddalić się od naszego wroga, którym obecnie jest nie Bonaparte, lecz Boukshevden. Na skutek jednego z takich manewrów, które nas ratowały przed generałem Boukshevdenem, generał Boukshevden omal nie został zaatakowany i wzięty do niewoli przez przeważające siły nieprzyjacielskie. Boukshevden ściga nas – my uciekamy. Jak tylko przejdzie na naszą stronę rzeki, my przechodzimy na przeciwną. Wreszcie wróg nasz – Boukshevden – przyłapał nas i atakuje. Generałowie gniewają się... Mamy nawet prowokację do pojedynku ze strony Boukshevdena i atak epileptyczny ze strony Bennigsen. Ale w najkrytyczniejszej chwili wraca kurier, który woził wiadomość o zwycięstwie pod Pułtuskim, wraca i przywozi nam z Petersburga nominację na naczelnego wodza, pierwszy wróg Boukshevden – został pogrążony. Możemy obecnie myśleć o drugim wrogu – Bonapartem. Okazuje się jednak, że w tej samej chwili wyrasta przed nami trzeci wróg – rycerstwo prawosławne, które wielkim głosem domaga się chleba, mięsa, sucharów, siana i Bóg wie czego jeszcze. Magazyny puste, drogi nie do przebycia. Rycerstwo prawosławne zaczyna grabić i grabież dochodzi do takiego stopnia, że ostatnia kampania nie mogła dać Panu najmniejszego o tym pojęcia. Połowa pułków tworzy luźne gromady, które przebiegają okolicę i niszczą wszystko ogniem i mieczem. Mieszkańcy są całkowicie zrujnowani, szpitale zawalone chorymi, wszędzie głód. Maruderzy już dwa razy napadali na kwaterę główną i naczelnego wódz był zmuszony zawezwać batalion żołnierzy, żeby ich przepędzić. Podczas jednego z tych napadów porwali mi pusty kufer i szlafrok. Monarcha chce wszystkim dowódcom dywizji dać prawo rozstrzelania maruderów, ale bardzo się obawiam, żeby w ten sposób jedna połowa wojska nie musiała rozstrzeliwać drugiej.

*cables. Le p r a w o s ł a w n e se met la maraude, et d'une manière dont la dernière campagne ne peut vous donner la moindre idée. La moitié des régiments forme des troupes libres, qui parcourent la contrée en mettant tout à feu et à sang. Les habitants sont ruinés de fond en comble, les hôpitaux regorgent de malades, et la disette est partout. Deux fois le quartier général a été attaqué par des troupes des maraudeurs et le général en chef a été obligé lui-même de demander un bataillon pour les chasser. Dans une de ces attaques on m'a emporté ma malle vide et ma robe de chambre. L'Empereur veut donner le droit à tous les chefs de divisions de fusiller les maraudeurs, mais je crains fort que cela n'oblige une moitié de l'armée de fusiller l'autre.*

Książę Andrzej z początku czytał tylko oczami, ale potem mimo woli to, co czytał (mimo iż wiedział, do jakiego stopnia można wierzyć Bilibinowi), zaczynało go coraz bardziej interesować. Doczytawszy do tego miejsca, zmiął list i rzucił go. Gniewało go nie to, co przeczytał w liście, ale to, że tamtejsze, obce dlań życie mogło go wzruszyć. Zamknął oczy, potarł ręką czoło, jak gdyby odpędzając wszelki udział w tym, o czym czytał, i nasłuchiwał, co się dzieje w pokoju dziecinnym. Wydało mu się nagle, że za drzwiami rozległ się jakiś dziwny dźwięk... Opadło go przerażenie, bał się czy przez ten czas, kiedy czytał list, nie stało się z dzieckiem coś złego. Na palcach zbliżył się do drzwi dzieciennego pokoju i otworzył je.

W chwili kiedy wchodził, dostrzegł, że przestraszona niańka chowa coś przed nim i że księżniczki Marii już nie było przy łóżeczku.

– Mój drogi – usłyszał z tyłu rozpaczliwy, jak mu się wydawało, szept księżniczki Marii. Jak to się często zdarza po długiej bezsenności i długim niepokoju, ogarnął go bez wszelkiego powodu jakiś lęk: przyszło mu do głowy, że dziecko umarło. Wszystko, co widział i słyszał, wydawało mu się potwierdzeniem jego lęku.

„Wszystko skończone” – pomyślał i zimny pot wystąpił mu na czoło. W pomieszczeniu zbliżył się do łóżeczka, przekonany, że zastanie je puste, że niańka schowała martwe dziecko. Rozsunął firanki i jego wystraszone, rozbiegane oczy długo nie mogły odnaleźć dziecka. Wreszcie zobaczył je: rumiany chłopczyk leżał z rozłożonymi ramionami w poprzek łóżeczka; głowa zsunęła mu się z poduszki, cmokał przez sen, poruszał usteczkami i równo oddychał.

Zobaczywszy chłopczyka, książę Andrzej uradował się, bo go już jakby utracił. Nachylił się i – jak uczyła go siostra – wargami sprawdził, czy dziecko ma gorączkę. Delikatne czoło było wilgotne, dotknął ręką głowy – nawet włosy były mokre: tak mocno dziecko się spociło. Nie tylko nie umarło, ale teraz było widoczne, że kryzys minął i że wyzdrowiało. Książę Andrzej miał ochotę porwać je, przygarnąć, przycisnąć do piersi tę malutką, bezbronną istotę; ale nie śmiał tego uczynić. Stał nad dzieckiem, przyglądał się jego głowie, rączkom i nóżkom rysującym się pod kołdrą. Usłyszał obok siebie szmer i jakiś cień ukazał się pod kotarą łóżeczka. Nie obejrzał się i, patrząc w twarz dziecka, wciąż przysłuchiwał się jego równemu oddechowi. Ciemnym cieniem była księżniczka Maria, która niedosłyszalnymi krokami podeszła do łóżeczka, podniosła kotarę i opuściła ją za sobą. Książę Andrzej poznał ją nie oglądając się i wyciągnął do niej rękę. Uścisnęła jego dłoń.

– Spocił się – powiedział książę Andrzej.

– Szłam do ciebie, żeby ci to powiedzieć. Dziecko poruszyło się lekko przez sen, uśmiechnęło się i potarło czołem o poduszkę.

Książę Andrzej popatrzył na siostrę. W matowym półświecie kotary promienne oczy księżniczki Marii błyszczały jeszcze bardziej niż zwykle – od łez szczęścia, jakie się w nich kręciły. Księżniczka Maria przytuliła się do brata i pocałowała go, zaczepiając przy tym o kotarę łóżeczka. Pogrozili sobie wzajemnie i postali jeszcze w matowym świetle kotary, jak gdyby nie chcąc się rozstać z tym pokojem, w którym we troje byli oddzieleni od całego świata. Książę Andrzej, któremu włosy plątały się z frędzelkami kotary, pierwszy odszedł od łóżeczka „Tak, to jedno, co teraz mi pozostało” – rzekł z westchnieniem.

## X

Wkrótce po przyjęciu do bractwa masonów Pierre wzięwszy opracowany przez siebie całkowity spis wytycznych tego, co powinien uczynić w swych dobrach, wyjechał do guberni kijowskiej, gdzie się znajdowała większa część jego chłopów.

Przybywszy do Kijowa Pierre wezwał do głównego biura wszystkich zarządzających i wyjaśnił im swe zamiary i pragnienia. Oznajmił im, że wkrótce zostaną podjęte kroki w celu całkowitego uwolnienia chłopów z poddaństwa, że do tego czasu nie należy ich przeciążać robotą, że kobiet z dziećmi nie należy wysyłać na robotę, że chłopom trzeba przychodzić z pomocą, że trzeba upominać, a nie stosować kary cielesne, że w każdym majątku mają być pozakładane szpitale, przytułki i szkoły. Niektórzy rządcy (zdarzali się i półpiśmienni ekonomowie) słuchali z przestachem, sądzili bowiem, że sens przemówienia mieści się w tym, że młody hrabia jest niezadowolony z ich rządów i utajenia pieniędzy; inni zaś, ochłonawszy z pierwszego strachu, znajdowali zabawnym seplenienie Pierre'a i jego niezwykle poglądy; jeszcze innym sprawiało zadowolenie słuchanie, jak pan mówi; jeszcze inni, najmądrzejsi, a wśród nich znajdował się główny administrator, wywnioskowali ze słów pana, jak trzeba z nim postępować, aby osiągnąć własne cele.

Główny administrator wyraził ogromne zrozumienie dla zamierzeń Pierre'a, lecz zauważył, że niezależnie od tych reform wypadałoby w ogóle zająć się interesami, które były w złym stanie.

Pomimo wielkie bogactwa hrabiego Bezuchowa Pierre, kiedy je otrzymał i kiedy miał, jak mówiono, pięćset tysięcy rocznego dochodu, czuł się o wiele mniej bogaty, niż kiedy dostawał od zmarłego hrabiego swe dziesięć tysięcy. W ogólnych zarysach mętnie rozpoznawał następujący budżet. Do rady<sup>395</sup> płacono około 80 tysięcy ze wszystkich dóbr; około 30 tysięcy kosztowało utrzymanie posiadłości podmoskiewskiej, domu w Moskwie i utrzymanie księżniczek; około 15 tysięcy szło na pensje i tyleż na zakłady dobroczynne; hrabinie posyłano na utrzymanie 150 tysięcy; płacono około 70 tysięcy procentów za długi; rozpoczęta budowa cerkwi kosztowała w ciągu tych dwu lat około 10 tysięcy; pozostałe 100 tysięcy rozchodziło się – sam nie wiedział jak – i prawie rokrocznie zmuszony był się zapożyczać. Poza tym rokrocznie główny administrator pisał to o pożarach, to o nieurodzajach, to o konieczności przebudowy fabryk i zakładów. Tak więc pierwszą sprawą, która stanęła przed Pierre'em, było to, do czego miał najmniej zdolności i chęci – zajęcie się interesami.

Pierre codziennie pracował z głównym administratorem. Jednak czuł, że jego praca ani o krok nie posuwa sprawy. Czuł, że odbywa się w oderwaniu od sprawy, że się o nią nie zahaça i nie posuwa jej naprzód. Z jednej strony główny administrator przedstawiał interesy w najgorszym świetle, wykazywał Pierre'owi konieczność płacenia długów i podejmowania nowych robót siłami poddanych, na co Pierre się nie zgadzał; z drugiej zaś strony, Pierre żądał przystąpienia do uwolnienia chłopów, czemu główny administrator przeciwstawiał ko-

---

<sup>395</sup> Rada Opiekuńcza (*Opiekunskij sowiet*) do spraw wdów, sierot, niepełnoletnich, sprawująca pieczę nad majątkami w braku testamentu lub na zasadzie woli testatora itp.

nieczność spłacenia długu Radzie Opiekuńczej, a zatem – niemożliwość szybkiego wykonania.

Administrator nie mówił, że to całkiem niemożliwe; dla osiągnięcia tego celu proponował sprzedaż lasów w guberni kostromskiej, sprzedaż ziem nizinnych i dóbr na Krymie. Lecz tak jak to przedstawiał administrator, te wszystkie sprawy były związane z tak skomplikowanymi procesami, z odwołaniem zakazów sekwestrów, decyzji itd., że Pierre gubił się w tym wszystkim i tylko powtarzał: „Tak, tak, proszę to zrobić”.

Pierre nie miał tej praktyczności, która by mu dała możliwość bezpośredniego zabrania się do interesów, i dlatego nie lubił ich i tylko starał się udawać wobec administratora, że jest interesami zajęty. Administrator zaś udawał przed hrabią, że uważa te zajęcia za bardzo pożyteczne dla pryncypała i za krępujące dla siebie.

W dużym mieście znaleźli się znajomi; nieznajomi kwapili się zawrzeć znajomość i serdecznie witali bogacza, największego właściciela dóbr w guberni, który tu znowu zawitał. Pokusy dotyczące głównej słabostki Pierre'a, do której się był przyznał podczas przyjmowania go do łoży, również były tak silne, że Pierre nie mógł się im oprzeć. Znowu całe dni, tygodnie, miesiące życia spędzał równie niefrasobliwie i niespokojnie, jak i w Petersburgu i nie miał czasu się opamiętać wśród przyjęć, obiadów, śniadań, balów. Zamiast uporządkowanego życia, które spodziewał się sobie stworzyć, Pierre żył ciągle dawnym życiem, tylko w innym otoczeniu.

Pierre zdawał sobie sprawę, że spośród trzech wskazań masonerii nie stosuje się do tego, które każdemu masonowi każe być wzorem moralności, spośród siedmiu zaś cnót nie miał w sobie dwóch: czystości i miłości śmierci. Pocieszał się, że za to stosuje się do drugiego prawidła, tj. do naprawiania rodu ludzkiego i posiada inne cnoty – jak miłość bliźniego, a szczególnie hojność.

Wiosną 1807 roku Pierre zdecydował się powrócić do Petersburga. Zamierzał w drodze powrotnej objechać wszystkie swe dobra i osobiście się przekonać, co zostało zrobione z tego, co był polecił, i w jakim położeniu znajduje się teraz ów lud, który mu Bóg powierzył, a który on zamierzał obsypać dobrodziejstwami.

Główny administrator, uważając wszystkie zamysły młodego hrabiego niemal za szaleństwo, za krzywdę dla siebie, dla niego i dla chłopów, poczynił ustępstwa. Nadal przedstawiając sprawę uwolnienia chłopów za rzecz niemożliwą, kazał we wszystkich dobrach pobudować duże budynki szkolne, szpitale i przytułki, na przyjazd pana wszędzie przygotował powitania, nie wspaniałe i uroczyste, które – wiedział to – nie podobają się Pierre'owi, ale właśnie religijno-dziękczynne, z obrazami, chlebem i solą, takie właśnie, które – o ile rozumiał pana – powinny na hrabim zrobić wrażenie i oszukać go.

Południowa wiosna, spokojna, szybka podróż w wiedeńskiej karecie i samotność radowały Pierre'a. Dobra, do których dotychczas nie zaglądał, były jedno bardziej malownicze od drugiego, ludzie wszędzie wydawali się szczęśliwi i wzruszająco wdzięczni za uczynione im dobrodziejstwa. Wszędzie były powitania, które choć przyprawiały Pierre'a o zmieszanie, jednak w głębi duszy budziły radosne uczucia. W jednym miejscu chłopci powitali go chlebem i solą, i obrazem Piotra i Pawła. Prosilili, żeby ku czci swoich patronów, Piotra i Pawła, pozwolił im na znak miłości i podziękności za uczynione dla nich dobrodziejstwa pobudować na własny koszt nową kaplicę w cerkwi. W drugim miejscu powitały go kobiety z niemowlętami dziękując mu za uwolnienie od ciężkiej pracy. W trzecim majątku powitał go duchowny z krzyżem, otoczony dziećmi, które dzięki łaskawości hrabiego uczył czytania, pisanie i religii. We wszystkich majątkach Pierre widział na własne oczy już wzniesione lub wznoszone – wedle jednego i tego samego planu – murowane budynki szkolne, szpitale i przytułki, które powinny być w krótkim czasie otwarte. Wszędzie Pierre widział sprawozdania rządców o robotach pańszczyźnianych znacznie mniejszych niż przedtem, wysłuchiwał też wzruszających podziękowań deputacji chłopskich w granatowych kaftanach.

Pierre tylko nie wiedział, że tam, gdzie go witano chlebem i solą i budowano kaplicę Piotra i Pawła, była to osada targowa, w której na Piotra i Pawła odbywał się jarmark, że tamtejsi bogaci chłopci, ci właśnie, którzy się przed nim stawili, budowali kaplicę już od dawna, że dziewięć dziesiątych chłopów w tej osadzie było całkowicie zrujnowanych. Nie wiedział, że na skutek jego rozkazu nie wysyłano wprawdzie na pańskie kobiety z dziećmi przy piersi, ale za to te kobiety jeszcze ciężiej pracowały na swoim. Nie wiedział, że duchowny, który go powitał krzyżem, obciążał chłopów dziesięciną, że uczniowie zgromadzeni wokół niego byli mu oddawani ze łzami w oczach i wykupywani od niego przez rodziców za duże pieniądze. Nie wiedział, że budynki, murowane wedle planu, były budowane przez własnych robotników, a przez to pańszczyzna, zmniejszona na papierze, jeszcze się zwiększyła. Nie wiedział, że tam, gdzie rządca pokazywał mu w księdze, iż zgodnie z jego wolą czynsz był zmniejszony o jedną trzecią, tam pańszczyzna została zwiększona o połowę. I dlatego Pierre był zachwycony swą podróżą po dobrach i znowu całkowicie powrócił do tego filantropijnego nastroju, w jakim wyjeżdżał z Petersburga, i pisał entuzjastyczne listy do swego brata-nauczyciela, jak nazywał wielkiego mistrza.

„Jak łatwo można zrobić tyle dobrego, jak niewiele na to trzeba wysiłku – myślał Pierre – i jak mało się o to troszczymy!”

Uszczęśliwiała go okazywana mu wdzięczność, lecz wstydził się przyjmując ją. Ta wdzięczność przypominała mu, o ile więcej mógłby jeszcze zrobić dla tych prostych dobrych ludzi.

Główny administrator, człowiek dość głupi a przebiegły, doskonale rozumiał mądrego i naiwnego hrabiego, toteż igrał nim niby zabawką i dostrzegłszy, jakie wrażenie wywarły na hrabim przygotowane powitania, w sposób bardziej stanowczy przedstawił mu dowody niemożliwości i przede wszystkim zbędności uwolnienia chłopów, którzy i bez tego byli absolutnie szczęśliwi.

W głębi duszy Pierre zgadzał się z administratorem, że trudno sobie wyobrazić ludzi szczęśliwszych i że Bóg wie, co ich czeka na wolności, jednak, choć niechętnie, ale obstawał przy tym, co uważał za sprawiedliwe. Administrator obiecał dołożyć starań, aby wypełnić wolę hrabiego, doskonale bowiem wiedział, że hrabia nigdy nie będzie w stanie sprawdzić nie tylko tego, czy przedsięwzięto wszelkie kroki prowadzące do sprzedaży lasów i dóbr, aby spłacić Radę, ale na pewno nigdy nie zapyta i nie dowie się, że wzniesione budynki stoją pustką, że chłopci nadal dają tyle samo w robociźnie i pieniądzach, ile dają u innych, tj. wszystko, co dać mogą.

## XI

Pierre, wracając ze swej podróży na południe w szczęśliwym stanie ducha, spełnił dawny zamiar odwiedzenia swego przyjaciela Bołkońskiego, którego nie widział dwa lata.

Boguczarowo znajdowało się w nieładnej, płaskiej okolicy, pokrytej niwami i wyciętymi oraz nie wyciętymi lasami świerkowymi i brzozowymi. Dwór pański stał na końcu ciągnącej się wzdłuż gościńca wsi, ze świeżo wykopanym i napełnionym po brzegi stawem, którego brzegi jeszcze nie porosły trawą, w środku młodego lasu, gdzie rosło trochę dużych sosen.

Dwór składał się z gumna, zabudowań podwórzowych, stajen, łaźni, oficyny i dużego murywanego domu z półkolistym frontonem, jeszcze w budowie. Wokół domu był posadzony młody sad. Ogrodzenia i brama były solidne, nowe, pod szopą stały dwie sikawki strażackie i beczka pomalowana zieloną farbą: drogi były proste, mosty mocne, z poręczami. Wszystko świadczyło o akuratności i gospodarności. Spotkani ludzie dworscy na zapytanie, gdzie mieszka książę, wskazywali niedużą nową oficynkę, stojącą nad samym brzegiem stawu. Anton, stary piastun księcia Andrzeja, pomógł Pierre'owi wysiąść z kolaski, oznajmił, że książę w domu, i wprowadził Pierre'a do czystego, małego przedpokoju.

Po tym przepychu, w jakim ostatni raz widział swego przyjaciela w Petersburgu, Pierre był zaskoczony skromnością małego, choć czyściutkiego domku. Wszedł pośpiesznie do małego saloniku, pachnącego jeszcze sosną i nie otynkowanego, i chciał iść dalej, lecz Anton na palcach pobiegł naprzód i zastukał do drzwi.

– A co tam? – odezwał się ostry, nieprzyjemny głos.

– Gość – odpowiedział Anton.

– Proś, aby zaczekał – i rozległ się hałas odsuwanej krzesła. Pierre szybkim krokiem podszedł do drzwi i zetknął się oko w oko z wychodzącym do niego zachmurzonym i postarzałym księciem Andrzejem. Pierre objął go i podniósłszy okulary pocałował go w policzki i przyjrzał mu się z bliska.

– Alem się nie spodziewał, bardzo rad – powiedział książę Andrzej. Pierre nic nie mówił, patrzył na swego przyjaciela ze zdziwieniem, nie spuszczać oczu. Uderzyła go zmiana, jaka zaszła w księciu Andrzej. Słowa były uprzejme, na ustach i na twarzy książę Andrzej miał uśmiech, lecz jego spojrzenie było zgaszone, martwe i – mimo widoczne pragnienie – książę nie mógł mu nadać wesołości i blasku. Nie to zdumiewało Pierre'a, że jego przyjaciel schudł, pobrał i zmęźniał, lecz owo spojrzenie i zmarszczka na czole, świadczące o długim zaprzęgnięciu jedną myślą, oddalały go od księcia, póki do nich nie przywykł.

Jak to zazwyczaj bywa, przy spotkaniu po długiej rozłące rozmowa długo się nie kleiła; pytali i odpowiadali krótko, mówiąc o takich sprawach, o których wiedzieli, że trzeba by mówić o nich długo. Wreszcie rozmowa jęła po trosze zatrzymywać się na tym, co przedtem zostało powiedziane urywkowo, na pytaniach o przeszłość, o plany na przyszłość, o podróż Pierre'a, o jego pracę, o wojnę itd. To skupienie i zgnębienie, które Pierre zauważył w spojrzeniu księcia Andrzeja, obecnie jeszcze mocniej wyrażały się w uśmiechu, z jakim słuchał Pierre'a, osobliwie zaś wtedy, gdy Pierre z radosnym podnieceniem mówił o przeszłości albo o przyszłości. Książę Andrzej jak gdyby pragnął, lecz nie mógł brać udziału w tym, co on mówił. Pierre zaczynał odczuwać, że wobec księcia Andrzeja jest nieprzyzwoitością entuzja-

zmować się, marzyć o szczęściu i o dobru. Wstydził się wypowiadać swe nowe masońskie myśli, szczególnie odnowione i podniecone jego ostatnią podróżą. Hamował się, w lęku, by nie okazać się naiwnym; a jednocześnie gorąco pragnął czym prędzej okazać swemu przyjacielowi, że jest teraz zupełnie innym Pierre'em, lepszym niż ten, którym był w Petersburgu.

– Nie potrafię księciu wypowiedzieć, jak wiele przeżyłem przez ten czas. Nie poznaję sam siebie.

– Tak, bardzo, bardzośmy się zmienili od tego czasu – oświadczył książę Andrzej.

– No, a książę? – dopytywał się Pierre. – Jakie są plany księcia?

– Plany! – powtórzył ironicznie książę Andrzej.

– Moje plany? – powtórzył jakby się dziwiąc znaczeniu tego słowa. – Buduję się, jak widzisz, chcę w przyszłym roku ze wszystkim się przeprowadzić...

Pierre w milczeniu, badawczo wpatrywał się w postarzałą twarz księcia Andrzeja.

– Nie, ja pytam... – rzekł Pierre, ale książę Andrzej przerwał mu:

– Cóż mówić o mnie... ty opowiadaj, opowiedz o swej podróży, o wszystkim, coś tam porobił w swoich dobrach.

Pierre jął opowiadać, co robił w swych dobrach, i starał się jak najbardziej ukryć swój udział w ulepszeniach, jakie wprowadził. Kilkakrotnie książę Andrzej z góry podpowiadał Pierre'owi to, o czym on mówił, jak gdyby to wszystko, co Pierre uczynił, było historią dawno znaną, słuchał nie tylko bez zainteresowania, ale jak gdyby wstydząc się tego, co Pierre opowiadał.

Pierre poczuł się nieswojo, zaciążyło mu towarzystwo przyjaciela. Zamilkł.

– Widzisz, mój drogi – oświadczył książę Andrzej, któremu widocznie również było ciężko z gościem i nieporęcznie – ja tu biwakuję, przyjechałem tylko popatrzeć. Dziś znowu jadę do siostry. Poznam cię z nimi. Ale zdaje się, że już się znacie – rzekł starając się zająć gościa, z którym obecnie nie miał nic wspólnego. – Pojedziemy po obiedzie. A może chciałbyś teraz obejrzeć moją sadybę? – Wyszli i przechadzali się aż do obiadu, rozmawiając o nowinach politycznych i wspólnych znajomych – jak ludzie niezbyt sobie bliscy. Książę Andrzej mówił z pewnym ożywieniem i zainteresowaniem tylko o swej nowej siedzibie, którą urządził, i o budowie, lecz wtem wśród rozmowy, już na rusztowaniu, opisując Pierre'owi przyszły rozkład domu książę Andrzej zatrzymał się nagle. – Zresztą, nie ma w tym nic interesującego, chodźmy na obiad i pojedziemy. – Przy obiedzie rozmowa zesłała na małżeństwo Pierre'a.

– Bardzo się zdziwiłem, kiedym o tym usłyszał – rzeki książę Andrzej.

Pierre zaczerwienił się jak zawsze przy tej okazji i rzekł pośpiesznie:

– Opowiem kiedy księciu, jak się to wszystko stało. Ale wiesz, to wszystko się skończyło, i na zawsze.

– Na zawsze? – powiedział książę Andrzej. Nic nie bywa na zawsze.

– Ale czy książę wie, jak się to wszystko skończyło? Słyszałeś o pojedynku?

– Tak; i przez to przeszedłeś?

– Dziękuję Bogu tylko za to, że nie zabił tego człowieka – mówił Pierre.

– Dlaczego? – rzekł książę Andrzej. – To nawet bardzo dobrze zabić złego psa.

– Nie, zabić człowieka to niedobrze, niesprawiedliwie...

– Dlaczego niesprawiedliwie? – powtórzył książę Andrzej. – Nie dane jest człowiekowi sądzić, co sprawiedliwe, a co niesprawiedliwe. Ludzie wiecznie się myślą i będą się mylić – i to właśnie w tym, co uważają za sprawiedliwe albo za niesprawiedliwe.

– Niesprawiedliwe jest to, co jest złe dla drugiego człowieka – mówił Pierre czując z zadowoleniem, że po raz pierwszy od jego przyjazdu książę Andrzej ożywił się, zaczynał mówić i chciał wypowiedzieć to wszystko, co go uczyniło takim, jakim był obecnie.

– A kto ci powiedział, co jest złe dla drugiego człowieka? – zapytał.

– Złe? Złe? – powiedział Pierre. – Wszyscy wiemy, co jest złe dla nas samych.

– Tak, wiemy, ale tego, co jest złe dla mnie, nie mogę uczynić drugiemu człowiekowi – mówił książę Andrzej coraz bardziej się ożywiając. Widocznie pragnął wyłożyć Pierre'owi swój nowy pogląd na rzeczy. Rozmawiali po francusku. – *Je ne connais dans la vie que deux maux bien réels; c'est le remord et la maladie. Il n'est de bien que l'absence de ces maux.*<sup>396</sup> Życ dla siebie i unikać tych dwóch rodzajów zła jest obecnie całą moją mądrością.

– A miłość bliźniego, a poświęcenie? – zaczął Pierre. – Nie, nie mogę zgodzić się z księciem! Życ tylko tak, żeby nie czynić zła i nie mieć wyrzutów sumienia – to nie wystarcza. Ja tak żyłem, żyłem dla siebie i zmarnowałem życie. Dopiero teraz, kiedy żyję, a przynajmniej staram się (przez skromność Pierre poprawił się) żyć dla innych, dopiero teraz zrozumiałem, na czym polega szczęście w życiu. Nie zgodzę się z księciem, zresztą wcale tego nie myślisz, co mówisz. – Książę Andrzej w milczeniu patrzył na Pierre'a i uśmiechał się drwiąco.

– Zobaczysz moją siostrę, księżniczkę Marię. Zrozumiecie się z nią – oznajmił. – Możliwe, że masz słuszość – ciągnął po chwili milczenia. – Ale każdy żyje po swojemu, żyłeś tylko dla siebie i powiadasz, że przez to omal nie zmarnowałeś własnego życia, żeś poznał szczęście, dopiero kiedy zacząłeś żyć dla innych. Ja zaś doznałem czegoś wręcz przeciwnego. Żyłem dla sławy. (A cóż to jest sława? Przecie to samo: miłość dla innych, pragnienie zrobienia czegoś dla nich, pragnienie ich pochwały.) Tak, żyłem dla innych i nie prawie, ale ze wszystkim zmarnowałem swe życie. A odkąd żyję tylko dla siebie, stałem się spokojniejszy.

– Jak można żyć tylko dla siebie? – zapytał Pierre zapalając się. – A syn, a siostra, a ojciec?

– Przecie oni wszyscy to ja sam, a nie kto inny – rzekł książę Andrzej – a inni, bliźni, *le prochain*, jak ty i księżniczka Maria ich nazywacie, to główne źródło błędów i zła. *Le prochain* – to ci twoi chłopci kijowscy, którym chcesz wyświadczyć dobro.

I spojrzął na Pierre'a wzrokiem wyzywająco -drwiącym. Najwidoczniej go wyzywał.

– Książę żartuje – mówił Pierre coraz bardziej się ożywiając. – Jaki to może być błąd i jakie zło, żem pragnął (zrobiłem bardzo mało i źle), żem pragnął zrobić coś dobrego i żem coś niecoś zrobił? Co w tym może być złego, że ci nieszczęśnicy, nasi chłopci, tacy sami ludzie jak i my, wyrastający i umierający bez żadnego innego pojęcia o Bogu i prawdzie oprócz obrzędów i bezmyślnej modlitwy, będą się utwierdzać w pocieszającej wierze w życie przyszłe, w karę, nagrodę, ukojenie? Cóż jest złego i jaki błąd w tym, że ludziom, którzy umierają z chorób, bez pomocy, a którym jest tak łatwo pomóc materialnie, dam lekarza i szpital, i przytułek dla starców? I czy to nie jest rzeczywisty i niewątpliwie dobry uczynek, skoro chłopcu i kobiecie z dzieckiem, którzy nie mają spokoju ani w dzień, ani w nocy, dam odpoczynek i wczas?... – mówił Pierre śpiesząc się i sepleniąc. – I ja to zrobiłem, choć źle, choć w niewielkiej mierze, ale jednak coś niecoś zrobił. I nie tylko nie odbierzesz mi, książę, przekonania, że to, com zrobił, jest dobre, ale i tego przekonania, że sam nie myślisz inaczej. Najważniejsze zaś to – ciągnął Pierre – że wiem, że wierzę, iż jedynym szczęściem w życiu jest radość czynienia dobrze.

– Tak, skoro się tak stawia kwestię, to całkiem inna sprawa – oświadczył książę Andrzej. – Ja buduję dom, zakładam sad, a ty szpitala. I jedno i drugie może służyć dla zabicia czasu. Co się zaś tyczy tego, co sprawiedliwe, a co niesprawiedliwe, to pozostaw sąd o tym Temu, kto wszystko wie, nie zaś nam. Ale chcesz dyskutować – dodał – no to proszę bardzo. – Wyszli zza stołu i usiedli na ganku, który zastępował balkon.

– No to diskutujmy – rzekł książę Andrzej. – Powiadasz: szkoły – ciągnął zaginając palec – nauczanie i tak dalej, to znaczy, że chcesz go – rzekł wskazując na chłopca, który przechodził obok nich zdjąwszy czapkę – że chcesz go wyprowadzić z jego stanu zwierzęcego i dać mu potrzeby duchowe, a mnie się wydaje, że jedynym możliwym szczęściem jest szczęście zwierzęce; a ty chcesz pozbawić go tego. Ja mu zazdroszczę, a ty chcesz z niego zrobić mnie,

---

<sup>396</sup> Znam w życiu tylko dwa prawdziwe nieszczęścia: wyrzuty sumienia i chorobę. Szczęście to tylko nieobecność tych dwóch nieszczęść.



ale nie dając mu moich środków. Po wtóre, powiadasz: ulżyć mu w robocie. Wedle mnie zaś praca fizyczna jest dla niego tak samo konieczna, jest takim samym warunkiem jego istnienia jak dla mnie i dla ciebie praca umysłowa. Ty nie możesz nie myśleć. Ja kładę się spać o trzeciej, przychodzą mi do głowy różne myśli i nie mogę zasnąć, przewracam się z boku na bok, nie śpię do samego rana, dlatego że myślę, że nie mogę nie myśleć, podobnie jak on nie może nie orać, nie kosić, inaczej – pójdzie do karczmy albo wpadnie w chorobę. Jak ja nie wytrzymam jego strasznej pracy fizycznej i umrę w ciągu tygodnia, podobnie on nie wytrzyma mej fizycznej bezczynności, roztyje się i umrze. Po trzecie – coś ty jeszcze takiego powiedział?

Książę Andrzej zagiął trzeci palec.

– Ach, tak, szpitala, lekarstwa. Ma udar, umiera, a tyś puścił mu krew, wyleczyłeś go. Pożyje jako kaleka z dziesięć lat i będzie ciężarem dla wszystkich. O wiele lepiej dla niego i prościej, by umarł. Inni się urodzą – i tak ich jest dużo. Gdybyś żałował, że tracisz jednego robotnika – ja tak właśnie na niego patrzę – ale ty z miłości dla niego chcesz go leczyć. A to mu jest niepotrzebne. I poza tym, skąd takie mniemanie, że medycyna kogokolwiek kiedykolwiek wyleczyła! Zabijać – tak! – rzekł zasepiony gniewnie i odwrócił się od Pierre'a.

Książę Andrzej wygłaszał swe myśli w sposób tak jasny i tak dobitnie, że widać było, iż myślał o tym nieraz, mówił chętnie i szybko, jak człowiek, który długo milczał. Jego spojrzenie stawało się tym żywsze, im bardziej beznadziejne wygłaszał sądy.

– Ach, to straszne, to straszne! – oświadczył Pierre. – Nie rozumiem tylko, jak można żyć z takimi myślami. I na mnie przychodziły takie chwile, nie tak dawno, w Moskwie i w podróży, ale wtedy opuszczam się do tego stopnia, że przestaję żyć, wszystko jest mi wstrętne... a przede wszystkim sam sobie staję się wstrętny. Wtedy nie jem, nie myję się... no, a jak książę?...

– Czemu się nie myć, to brak schludności – powiedział książę Andrzej. – Przeciwnie, należy starać się, żeby swe życie uczynić możliwie najprzyjemniejszym. Nie jestem temu winien, że żyję, a zatem należy jak najlepiej, nikomu nie przeszkadzając, dożyć do śmierci.

– Ale co księcia pobudza do życia, jeśli masz takie myśli? Siedzieć z założonymi rękami, nic nie przedsiębrać...

– Życie i tak nie daje spokoju. Rad bym nic nie robić, a tymczasem tutejsza szlachta zaszczyliła mnie wyborem na marszałka; z trudem się wymówiłem. Nie mogli pojąć, że brak mi tego, co potrzeba: nie mam w sobie tej pewnej dobrodusznej i niefrasobliwej wulgarności, która jest do tego niezbędna. Poza tym ten oto dom, który trzeba było zbudować, żeby mieć własny kąpiel, gdzie by można być spokojnym. Teraz pospolite ruszenie.

– Dlaczego książę nie służy w armii?

– Po Austerlitz! – rzekł ponuro książę Andrzej. – Nie, dziękuję uniżenie, dałem słowo, że nie będę służył w czynnej armii rosyjskiej. I nie będę, nawet gdyby Bonaparte stał tu, pod Smoleńskiem, gdyby zagrażał Łysym Górom, to nawet i wówczas nie służyłbym w armii rosyjskiej. A więc, jakem ci mówił – ciągnął książę Andrzej uspokajając się – teraz pospolite ruszenie, ojciec jest dowódcą trzeciego okręgu, a zatem dla mnie jedyny sposób uwolnienia się od służby – to być przy nim.

– A więc dlaczego służysz?

– Służę. – Milczał chwilę.

– A więc dlaczego służysz?

– Oto dlaczego. Mój ojciec jest jednym ze znamienitszych ludzi swego wieku. Lecz ojciec się starzeje i nie to, żeby był okrutny, ale charakter ma nazbyt czynny. Bywa straszny przez swe przyzwyczajenie do nieograniczonej władzy, a teraz przez tę władzę, którą dał mu monarcha jako dowódcę pospolitym ruszeniem. Gdybym dwa tygodnie temu spóźnił się był o dwie godziny, to by powiesił w Juchnowie protokolanta – rzekł z uśmiechem książę Andrzej. – A więc dlatego służę, że poza mną nikt nie ma wpływu na ojca, że nieraz zapobiegę postępkowi, z powodu którego by się potem dręczył.

– Ano widzi książę!

– Tak, *mais ce n'est pas comme vous l'enterdez*<sup>397</sup> – ciągnął dalej książę Andrzej. – Temu łajdakowi protokoliście, który ukradł pospolitakom jakieś tam buty, nigdy dobrze nie życzyłem i nie życzę, bardzo bym był zadowolony, gdyby go powieszono, ale mi ojca żal, a więc znowu siebie.

Książę Andrzej coraz bardziej się ożywiał. Kiedy się starał udowodnić Pierre'owi, że w swym postępowaniu nie kierował się życzliwością dla bliźnich, oczy błyszczały mu gorączkowo.

– Ty chcesz uwolnić chłopów – ciągnął. – To bardzo dobrze, ale nie dla ciebie (jak sądzę, nikogo nie zaćwiczyłeś na śmierć i nikogo nie wysłałeś na Syberię), a jeszcze mniej dla chłopów. Jeśli ich biją, chłostają, zsyłają na Syberię – to im wcale przez to nie jest gorzej. Na Syberii prowadzi również swe zwierzęce życie, a gdy rany na ciele zabliznią się, jest wtedy tak samo szczęśliwy, jak był przedtem. Potrzebne to jest dla tych ludzi, którzy giną moralnie, odczuwają wyrzuty sumienia, dławią je w sobie i brutalnieją, ponieważ mają możliwość karać legalnie i nielegalnie. Ich właśnie jest mi żal i dla nich bym pragnął oswobodzenia chłopów. Możeś ty nie widział, ale ja widziałem, jak ludzie dobrzy, wychowani w tradycjach nieograniczonej władzy, z latami, kiedy stając się coraz bardziej nerwowi, stają się okrutni, grubiańscy, wiedzą o tym, ale nie mogą pohamować się i stają się coraz bardziej nieszczęśliwi.

Książę Andrzej mówił o tym z taką pasją, że Pierre pomyślał mimo woli, że takie myśli nasunął mu ojciec. Nic mu nie odpowiadał.

– Oto czego mi żal – godności człowieczej, spokoju sumienia, czystości, a nie ich grzbietów i głów, które – żeby nie wiem jak sieczone i golone – pozostaną zawsze tymi samymi grzbietami i głowami.

– Nie, nie, po tysiąc razy nie! Nigdy się z księciem nie zgodzę – oświadczył Pierre.

---

<sup>397</sup> Ale nie tak, jak myślisz.

## XII

Wieczorem książę Andrzej i Pierre siedli do powozu i pojechali do Łysych Gór. Książę Andrzej, spoglądając na Pierre'a, od czasu do czasu przerywał milczenie słowami, które świadczyły, że jest w dobrym usposobieniu.

Wskazując na pola mówił Pierre'owi o ulepszeniach w swym gospodarstwie.

Pierre milczał ponuro, odpowiadał monosylabami i zdawał się pogrążony w myślach.

Pierre myślał o tym, że książę Andrzej jest nieszczęśliwy, że błądzi i nie zna prawdziwego światła, i że on, Pierre, powinien mu przyjść z pomocą, oświecić go i podźwignąć. Ale jak tylko Pierre zaczynał obmyślać, jak i co będzie mówił, przeczuwał, że książę Andrzej jednym słowem, jednym argumentem obali całą jego naukę, więc lękał się zacząć, lękał się wystawiać swą ukochaną świętość na możliwość ośmieszenia

– Nie, dlaczegoż książę tak myśli? – zaczął Pierre zniechęca, opuszczając głowę i przybierając wygląd bodącego byka. – Dlaczegoż książę tak myśli? Nie powinienes tak myśleć.

– A o czymże to myśleć? – zapytał zdziwiony książę Andrzej.

– O życiu, o przeznaczeniu człowieka. Tak być nie może. Ja myślałem tak samo i wie książę, co mnie uratowało? Masoneria. Proszę się nie uśmiechać. Masoneria to nie jest jakaś obrzędowa sekta religijna, jakem i ja myślał – masoneria jest najlepszym, jedynym wyrazem najlepszych, odwiecznych cech ludzkości. – I jał wyklądać księciu masonerie, tak jak ją pojmował.

Powiadał, że masoneria jest to nauka chrześcijańska, która się wyzwoliła z okowów państwa i religii; jest to nauka równości, braterstwa i miłości.

– Tylko nasze święte bractwo ma istotny sens w życiu, wszystko inne to tylko sen – mówił Pierre. – Drogi książę, proszę zrozumieć, że wyjąwszy nasz związek wszystko jest pełne fałszu i kłamstwa, i zgadzam się z księciem, że człowiekowi rozumnemu i dobremu nie pozostaje nic innego, jak tylko to, co książę robi – czekać śmierci, starając się nikomu nie przeszkadzać. Spróbuj przyswoić sobie nasze główne zasady, wstąp do naszej społeczności, daj nam siebie, pozwól sobą kierować, a od razu się poczujesz, jakem i ja się poczuł, częścią tego ogromnego niewidzialnego łańcucha, którego początek kryje się w niebie – mówił Pierre.

Książę Andrzej słuchał słów Pierre'a w milczeniu i patrzył przed siebie. Kilkakrotnie zapytywał Pierre'a o słowa, których nie dosłyszał z powodu turkotu powozu. Szczególny błysk, jaki się rozpałał w oczach księcia Andrzeja, i jego milczenie wskazywały Pierre'owi, że jego słowa nie są daremne, że książę Andrzej nie przerwie mu i nie będzie wyśmiewał jego słów.

Dojechali do rzeki, która wylała i którą musieli przebyć na promie. Podczas gdy ustawiano powóz i konie, weszli na prom.

Książę Andrzej wsparł się łokciami o poręcz i patrzył w dół na rozlewisko błyszczące w zachodzącym słońcu,

– Co książę o tym myślisz? – zapytał Pierre. – Czemu milczysz?

– Co myśleć? Słucham ciebie. Wszystko to prawda – odpowiedział książę Andrzej. – Ale ty powiadasz: wstąp do naszego bractwa, a my ci ukażemy cel w życiu i przeznaczenie człowieka, i prawa rządzące światem. A kim wy jesteście? – Ludźmi. Skąd wy to wszystko wiecie?

Dlaczego ja jeden tylko nie widzę tego, co wy widzicie? Wy widzicie na ziemi królestwo dobra i prawdy, a ja go nie widzę.

Pierre przerwał mu.

– Czemu książe wierzy w życie przyszłe? – zapytał.

– W życie przyszłe? – powtórzył książe Andrzej, ale Pierre nie dał mu czasu na odpowiedź i to powtórzenie wziął za negację, tym bardziej że znał dawniejsze, ateistyczne poglądy księcia Andrzeja.

– Książe powiadasz, że nie widzisz na ziemi królestwa dobra i prawdy. I ja go nie widziałem, bo widzieć go nie można, jeśli się patrzy na nasze życie jako na kres wszystkiego. Na ziemi, właśnie na tej ziemi (Pierre wskazał na pole) nie ma prawdy – wszystko jest fałszem i złem, ale na świecie, we wszechświecie jest królestwo prawdy, a my jesteśmy obecnie dziećmi, a wiekuiście dziećmi wszechświata. Czyż nie czuję w duszy, że stanowią część tej ogromnej harmonijnej całości? Czyż nie czuję, że w tej olbrzymiej, niezliczonej ilości istnień, poprzez które przejawia się boskość – najwyższa siła, jeśli chcesz – stanowią jedno ogniwo, jeden stopień od istot niższych do wyższych? Jeśli widzę, wyraźnie widzę tę drabinę, która prowadzi od rośliny do człowieka, to dlaczego miałbym przypuszczać, że owa drabina urywa się na mnie, a nie prowadzi coraz dalej? Czuję, że nie tylko nie mogę zniknąć, gdyż nic w świecie nie ginie, ale że zawsze będę i zawsze byłem. Czuję, że oprócz mnie żyją nade mną duchy i że na tym świecie jest prawda.

– Tak, to nauka Herdera<sup>398</sup> – powiedział książe Andrzej. – Ale nie to, mój drogi, przekonywa mnie, lecz życie i śmierć – oto co przekonywa. Przekonywa to, że widzisz drogą istotę, związaną z tobą, wobec której zawiniłeś i miałeś nadzieję się usprawiedliwić (głos księcia Andrzeja zdrzął, książe odwrócił się), i oto ta istota cierpi, męczy się i przestaje istnieć... Dlaczego? Niemożliwe, żeby nie było na to odpowiedzi! I ja wierzę, że odpowiedź jest... Oto co przekonywa, co mnie przekonało – rzekł książe Andrzej.

– No tak, no tak – mówił Pierre – czyż ja nie to samo powiadam!

– Nie. Ja tylko mówię, że nie dowody przekonywają o konieczności przyszłego życia, lecz to, kiedy idziesz ręką w rękę z człowiekiem i nagle człowiek ten znika, tam w nieznanym, ty zaś sam pozostajesz nad przepaścią i zaglądasz w nią. I ja zajrzałem...

– No więc cóż! Książe wiesz, że istnieje tam i że jest ktoś. Tam – oto życie przyszłe. Ktoś – to Bóg.

Książe Andrzej nie odpowiadał. Powóz i konie już dawno zostały wprowadzone na drugi brzeg i zaprzężone, słońce już zaszło do połowy, zamróz wieczorny pokrywał gwiazdkami kałuże przy przeprawie, a Pierre i Andrzej ku zdziwieniu lokajów, stangretów i przewoźników wciąż jeszcze stali na promie i rozmawiali.

– Jeśli istnieje Bóg i istnieje życie przyszłe, to istnieje prawda i cnota; najwyższe szczęście człowieka polega na tym, żeby dążyć do ich osiągnięcia. Trzeba żyć, trzeba kochać, trzeba wierzyć – mówił Pierre – że nie tylko teraz żyjemy na tym skrawku ziemi, aleśmy żyli i będziemy żyć wiecznie tam, we wszystkim – (wskazał na niebo). Książe Andrzej stał oparty łokciami o poręcz promu i, słuchając Pierre'a, bez przerwy patrzył na czerwony odbłask słońca w granatowiejącym rozlewisku. Pierre umilkł. Było zupełnie cicho. Prom dawno już przybił, tylko fale uderzając o jego dno wydawały słaby odgłos. Księżciu Andrzejowi zdawało się, że pluskanie fal przytakiwało słowom Pierre'a: „Prawda, wierz temu”.

---

<sup>398</sup> Mowa o Johannie Gottfriedzie Herderze (1744–1803), filozofie niemieckim. Herder twierdzi!, że zarówno w historii, jak i w przyrodzie wszystko rozwija się według określonych praw. Prawo postępu w historii opiera się o prawo postępu w przyrodzie. Historia oznacza rozwój ku pełnemu ideałowi humanistycznemu. Rzeczy rozwijają się nie z siebie nawzajem, lecz z Boga, który jest nieskończoną i wieczną przyczyną wszechrzeczy, prawo zaś i porządek świata są wyrazem boskiej mocy i rozumu.

Książę Andrzej westchnął, spojrzał świetlistym, dziecięcym, tkliwym wejrzeniem na poczerwieniałą, rozentuzjasmowaną, lecz ciągle onieśmiałoną, wobec przewagi przyjaciela, twarz Pierre'a.

– Tak, gdyby to było tak! – rzekł. – Siadajmy jednak – dodał książę Andrzej i schodząc z promu spojrzał na niebo, na które mu wskazał Pierre, i po raz pierwszy od Austerlitz zobaczył wysokie, wieczne niebo, które widział leżąc na austerlitzkim polu, i w jego duszy zniecała ocknęło się radośnie i młodo coś, co było w nim najlepszego, a co już dawno zasnęło. Uczucie to znikło, gdy tylko książę Andrzej znowu wszedł w zwykłą kolej życia, ale wiedział, że owo uczucie, którego nie potrafił rozwinąć, żyło w nim. Spotkanie z Pierre'em stanowiło dla księcia Andrzeja epokę, od której się zaczęło, mimo iż na zewnątrz takie samo, lecz w jego świecie wewnętrznym nowe życie.

### XIII

Już zmierzchało się, kiedy książe Andrzej i Pierre znaleźli się u głównego podjazdu łysogórskiego domu. Kiedy podjeżdżali, książe Andrzej uśmiechnął się i zwrócił uwagę Pierre'a na zamieszanie, jakie powstało przy ganku kuchennym. Przygarbiona staruszka z sakwą na plecach i niewysoki mężczyzna, długowłosa, w czarnym odzieniu, zobaczywszy wjeżdżający powóz, z powrotem rzucili się do bramy. Za nimi wybiegły dwie kobiety i wszyscy czworo z przerażeniem wbiegli na ganek kuchenny, oglądając się na powóz.

– To Maszy „boży ludzie” – oznajmił książe Andrzej.

– Myśleli, że to ojciec jedzie. To jedyna rzecz, w której siostra okazuje mu nieposłuszeństwo: on każe pędzić tych pielgrzymów, a ona ich przyjmuje.

– A co to takiego „boży ludzie”? – zapytał Pierre.

Książe Andrzej nie zdążył mu odpowiedzieć. Śludzy wyszli na spotkanie, więc spytał ich, gdzie jest stary książe i czy prędko się go spodziewają.

Stary książe był jeszcze w mieście, ale spodziewano się go w każdej chwili.

Książe Andrzej zaprowadził Pierre'a do swoich pokojów, które w domu ojca zawsze czekały na niego przygotowane, sam zaś poszedł do dzieciennego pokoju.

– Chodźmy do siostry – rzekł książe Andrzej wróciwszy do Pierre'a. – Jeszczem się z nią nie widział, kryje się teraz i przesiaduje ze swymi „bożymi ludźmi”. Dobrze jej tak, niech się zawstydzi, a ty zobaczysz „bożych ludzi”. *C'est curieux, ma parole.*<sup>399</sup>

– *Qu'est-ce que c'est que*<sup>400</sup> „boży ludzie”? – zapytał Pierre.

– Zobaczysz.

Istotnie, księżniczka Maria zawstydziała się i poczerwieniała, kiedy do niej weszli. W jej przytulnym pokoju z lampkami u obrazów siedział obok niej na kanapie, przy samowarze, młody chłopiec z długim nosem i długimi włosami, w mniszym habicie.

Na fotelu obok siedziała pomarszczona, chuda staruszka z łagodnym wyrazem na dziecięcej twarzy.

– *André, pourquoi ne pas m'avoir prévenu?*<sup>401</sup> – rzekła z łagodną wymówką księżniczka Maria stojąc przed swymi pielgrzymami niby kwoka przed piskletami.

– *Charmée de vous voir. Je suis très contente de vous voir*<sup>402</sup> – rzekła do Pierre'a, kiedy całował jej rękę. Znała go jako dziecko, a obecnie jego przyjaźń z Andrzejem, nieszczęście z żoną, a przede wszystkim jego pocziwa, prosta twarz życzliwie ją do niego usposobiły. Patrzyła na niego swymi pięknymi, promiennymi oczami i jak gdyby mówiła:

„Bardzo pana lubię, ale bardzo proszę nie śmiać się z moich”. Zamieniwszy pierwsze frazesy powitalne usiedli.

– O, Iwanuszka też tutaj – rzekł książe Andrzej wskazując z uśmiechem na młodego pątnika.

– André – odezwała się błagalnie księżniczka Maria.

<sup>399</sup> To ciekawe, słowo daje.

<sup>400</sup> Co to takiego?

<sup>401</sup> Andrzej, czemużeś mnie nie uprzedził?

<sup>402</sup> Bardzom rada widzieć pana, bardzom rada.

– *Il faut que vous sachiez que c'est une femme*<sup>403</sup> – oznajmił Andrzej Pierre'owi.

– *André, au nom de Dieu!*<sup>404</sup> – powtórzyła księżniczka Maria.

Widać było, że drwiący stosunek księcia Andrzeja do pątników i bezcelowe wstawianictwo za nimi księżniczki Marii należało do codziennych zwyczajów, jakie między nimi panowały.

– *Mais, ma bonne amie* – oświadczył książę Andrzej – *vous devriez au contraire m'être reconnaissante de ce que j'ai expliqué à Pierre votre intimité avec ce jeune homme.*<sup>405</sup>

– *Vraiment?*<sup>406</sup> – zapytał Pierre ciekawie i poważnie (za co szczególnie była mu wdzięczna księżniczka Maria), wpatrując się poprzez okulary w twarz Iwanuszki, który zmiarkowawszy, że o nim mowa, spoglądał na wszystkich przebiegłymi oczyma.

Księżniczka Maria zupełnie niepotrzebnie zmieszana się z powodu „swoich”. Oni bynajmniej nie byli onieśmieleni. Staruszka spuściła oczy, ale z ukosa spoglądała na przybyłych. Postawiwszy filiżankę do góry dnem na spodeczku, położyła obok obgryziony kawałek cukru. Siedziała w fotelu spokojnie i nieruchomo, czekając, żeby jeszcze poczęstowano ją herbatą. Iwanuszka popijał herbatę ze spodka i filuternymi niewieściami oczyma patrzył ukradkiem na młodych ludzi.

– Gdzie byłaś, w Kijowie? – zapytał staruszkę książę Andrzej.

– Byłam, dobrodziej – odpowiedziała stara ochotnie.

– W same Gody u świątobliwych braci dostałam świętych sakramentów. A teraz, ojczy, wielka łaska Boża objawiła się w Kolazinie...

– A co się z tobą działo, Iwanuszka?

– Ja sam oddzielnie chodzę, dobrodziej – odrzekł Iwanuszka starając się mówić basem. – Dopiero w Juchnowie spotkałem się z Pelagiejuszką...

Pelagiejuszka przerwała swemu towarzyszeni; widocznie miała ochotę opowiedzieć, co widziała.

– W Kolazinie, ojczy, wielka łaska została objawiona.

– Cóż takiego, nowe relikwie? – zapytał książę Andrzej.

– Dość, Andrzej – odezwała się księżniczka Maria.

– Nie opowiadaj, Pelagiejuszka.

– Co też ty mówisz, mój kochany, czemu by zaś nie opowiadać? Ja go kocham. On jest dobry. To upodobany przez Boga mój dobrodziej, pamiętam, jak mi dał dziesięć rubli. Jakem była w Kijowie, powiada do mnie Kiriusza, nawiedzony – naprawdę człek boży, zimą i latem boso chodzi: „Co ty chodzisz, powiada, nie tu, gdzie potra; do Kolazina idź, tam objawił się obraz cudowny Matki Przenajświętszej”. Tom się pożegnała ze świętymi mężami i poszła...

Wszyscy milczeli, tylko pątniczka prawiała miarowym głosem, wciągając w siebie powie-trze:

– Przybyłam, ojczy kochany, a naród mi powiada: „Wielka łaska się ukazała, z liczka Przenajświętszej Bogarodzicy mirra kapie...”

– No dobrze, dobrze, później opowiesz – rzekła księżniczka Maria czerwieniejąc.

– Za pozwoleniem, muszę ją zapytać – powiedział Pierre. – Czyś sama widziała? – zapytał.

– A jakże, ojczy, samam łaski doznała. Jasność taka na obliczu niby światłość niebieska, a z policzka Matuchny kapie i kapie...

– Przecie to oszustwo – oświadczył Pierre naiwnie, przysłuchując się z uwagą opowiadaniu pątniczki.

<sup>403</sup> Trzeba ci wiedzieć, że to kobieta.

<sup>404</sup> Andrzej, na miłość boską!

<sup>405</sup> Ależ, moja droga... powinnaś być mi wdzięczna, że wyjaśniam Pierre'owi twą zażyłość z tym młodym człowiekiem.

<sup>406</sup> Naprawdę?

– A, ojciec, co ty powiadasz! – zawołała z przerażeniem Pelagiejuszka szukając ratunku u księżniczki Marii.

– Oszukują lud – powtórzył Pierre.

– Chryste Panie – rzekła pątniczka przeżegnawszy się. – Och, nie mów tak, ojciec. Ginierał jeden też tak samo nie wierzył, powiedział: „Mnichy oszukują”, a jak to powiedział, tak i oślepl. I przysniło mu się, że przychodzi do niego Matka Boska Pieczerska i powiada: „Uwierz we mnie, a ja cię uzdrowię”. No i zaczął prosić: „Zawieźcie mnie do Niej, zawieźcie”. Szczerą prawdę ci powiadam, samam widziała. Przywieźli ślepego prosto do Niej; poszedł, upadł na kolana, mówi: „Uzdrow! Oddam Ci, co car mi podarował”. Samam, ojciec, widziała: gwiazda w Nią jest wprawiona. No i przejrzał na oczy! To grzech tak mówić. Bóg cię skarże – pouczająco zwróciła się do Pierre'a.

– Jakim to sposobem gwiazda znalazła się w obrazie? – zapytał Pierre.

– I Matkę Boską mianowano generałem? – odezwał się uśmiechając księżę Andrzej.

Pelagiejuszka zbladła nagle i plasnęła w ręce.

– Ojciec, ojciec, nie grzesz, przecie masz syna! – zaczęła a jej bladość ustąpiła nagle jak skrawej czerwieni.

– Ojciec, niech ci Bóg przebaczy to, coś powiedział.

– Przeżegnała się. – Panie Boże, daruj mu. Mateczko, cóż to znaczy?... – zwróciła się do księżniczki Marii. Wstała i niemal z płaczem zaczęła wiązać swój tłumoczek. Widać było, że się bała i wstydziła, iż korzystała z dobrodziejstwa domu, gdzie mogli tak mówić, i żałowała, że teraz wypadało wyrzec się dobrodziejstw tego domu.

– Że też wam się tego chce – rzekła księżniczka Maria. – Czemuście do mnie przyszli?...

– Nie, Pelagiejuszka, przecie ja żartuję – odezwał się Pierre. – *Princesse, ma parole, je n'ai pas voulu l'offenser*,<sup>407</sup> ja tylko tak... Ty nie myśl sobie, ja żartowałem – mówił uśmiechając się nieśmiało i pragnąc okupić swą winę.

Pelagiejuszka przystanąła nieufnie, ale w twarzy Pierre'a było tyle szczerzej skruchy, a księżę Andrzej tak dobrotliwie patrzył to na Pierre'a, to na Pelagiejuszkę, że powoli się uspokoiła.

---

<sup>407</sup> Słowo daję, księżniczko, zem nie chciał jej obrazić.



## XIV

Pątniczka uspokoiła się i naprowadzona znowu na rozmowę długo jeszcze opowiadała o ojcu Amfilochu, który pędził tak świątobliwy żywot, że od jego rączki pachniało kadzidłem, i o tym, że podczas jej ostatniej pielgrzymki do Kijowa znajomi mnisi dali jej klucze od pieczar, a ona, wzięwszy ze sobą suchary, spędziła w pieczarach dwie doby ze świętymi mężami. „Pomodłę się do jednego, uczczę, pójdę do drugiego. Usnę sobie, znowu pójdę, ucałuję; i taka, mateczko, cichość, taka błogość, że nawet nie chce się wychodzić na świat boży”.

Pierre przysłuchiwał się jej poważnie i z uwagą. Książę Andrzej wyszedł z pokoju. Zaraz potem księżniczka Maria, pozostawiwszy „bożych ludzi” przy dopijaniu herbaty, zaprowadziła Pierre'a do salonu.

– Jesteś bardzo dobry, hrabio – powiedziała do niego.

– Ach, ja naprawdę nie zamierzałem jej obrazić, ja tak rozumiem i wysoko cenię te uczucia.

Księżniczka Maria popatrzyła na niego w milczeniu i uśmiechnęła się tkliwie.

– Znam pana już dawno i kocham jak brata – oświadczyła. – Jak pan znalazł Andrzeja? – zapytała z pośpiechem nie dając mu czasu, by odpowiedział na jej uprzejme słowa. – On mnie bardzo niepokoi. W zimie jest zdrowszy, ale minionej wiosny rana się otworzyła i doktor powiedział, że powinien jechać na kurację. I pod względem moralnym bardzo się boję o niego. Nie ma on takiego charakteru, jak my, kobiety, żeby wycierpieć i wypłakać swe nieszczęścia. Nosi je w sobie. Dziś jest wesół i ożywiony, ale to pański przyjazd tak na niego podziałał: rzadko bywa taki. Gdyby się panu udało namówić go do wyjazdu za granicę! Potrzeba mu działalności, to spokojne, monotonne życie gubi go. Inni tego nie widzą, ale ja widzę.

O dziesiątej oficjalsi rzucili się na ganek, usłyszawszy dzwonki nadjeżdżającego powozu starego księcia. Książę Andrzej i Pierre również wyszli na ganek.

– A to kto? – zapytał stary książę, gdy wygramoliwszy się z karety zobaczył Pierre'a.

– A! Bardzom rad! Całuj – rzekł dowiedziawszy się, kim jest ów nieznajomy młody człowiek.

Stary książę był w dobrym usposobieniu i łaskawie przyjął Pierre'a.

Kiedy przed kolacją książę Andrzej wrócił do gabinetu ojca, zastał starego księcia w gorącym sporze z Pierre'em. Pierre dowodził, że przyjdzie czas, kiedy nie będzie już wojen. Stary książę zbijał go wśród kpinek, ale bez gniewu.

– Wytocz krew z żył i nalej wody, wtedy nie będzie wojny. Babskie gadanie, babskie gadanie – mówił, ale jednak poklepał Pierre'a po ramieniu przyjaźnie i podszedł do stołu, przy którym książę Andrzej, najwidoczniej nie mając chęci brać udziału w rozmowie, przeglądał papiery, które ojciec przywiózł z miasta. Stary książę podszedł do niego i jął mówić o urzędowych sprawach.

– Marszałek, hrabia Rostow, nawet połowy ludzi nie dostarczył. Przyjechał do miasta, zachciało mu się na obiad mnie prosić – już ja mu obiad wyprawilem... A to zobacz... No, bratku – książę Mikołaj Andreicz zwrócił się do syna klepiąc Pierre'a po ramieniu. – Twój przyjaciel chwyt, pokochałem go. Rozgrzewa mnie. Inny nawet dorzecznie mówi, a nie chce się go słuchać, a ten bajdurzy, ale rozpała mnie, starego. No, idźcie, idźcie – powiedział – może

jeszcze przyjdę posiedzieć przy waszej kolacji. Znów podyskutuję. Masz kochać moją niezdarzoną księżniczkę Marię – krzyknął do Pierre'a ode drzwi.

Dopiero po przybyciu do Łysych Gór Pierre ocenił należycie siłę i urok swej przyjaźni z księciem Andrzejem. Ów urok znajdował wyraz nie tylko w stosunkach z nim, ile w stosunkach z całą rodziną i domownikami. Pierre od razu poczuł się przyjacielem i starego, surowego księcia, i łagodnej, nieśmiałej księżniczki Marii, choć prawie ich nie znał. Wszyscy już go pokochali. Nie tylko księżniczka Maria, ujęta jego dobrocią wobec pańniczek, patrzyła na niego najpromienniejszymi oczyma; nawet malutki, roczny książę Mikołaj, jak go nazywał dziadek, uśmiechnął się do Pierre'a i poszedł do niego na ręce. Michał Iwanycz, m-lle Bo-urienne z radosnymi uśmiechami patrzyli na niego, kiedy rozmawiał ze starym księciem.

Stary książę przyszedł na kolację, było widać, że dla Pierre'a. Przez całe dwa dni jego pobytu w Łysych Górach był dlań nadzwyczaj uprzejmy i kazał mu się odwiedzać.

Kiedy Pierre wyjechał i wszyscy członkowie rodziny zeszli się razem, jęli wyrażać o nim swe sądy, jak to zawsze bywa po wyjeździe nowego człowieka, i co rzadko się zdarza, wszyscy wyrażali się o nim dobrze.

## XV

Tym razem, wróciwszy z urlopu, Rostow po raz pierwszy uczuł i zrozumiał, jak silna łączyła go więź z Denisowem i całym pułkiem.

Kiedy Rostow zbliżał się do pułku, doznał podobnego uczucia, jakiego doznawał zbliżając się do domu na ulicy Powarskiej. Kiedy zobaczył pierwszego huzara w rozpiętym mundurze swego pułku, kiedy poznał rudego Dementiewa, zobaczył kasztanowate konie przy konowiązie, kiedy Ławruszka krzyknął z radością do swego pana: „Hrabia przyjechał!”, a kosmaty Denisow, który spał na posłaniu, wybiegł z ziemianki, uścisnął go i oficerowie zeszli się do przybyłego – Rostow doznawał takiego uczucia jak wśród uścisków matki, ojca i siostr. Łzy radości dławiły go w gardle i nie pozwalały mówić. Pułk też był domem, i to domem niezmiernie miłym i drogim, tak samo jak dom rodzicielski.

Stawił się u dowódcy pułku, został odkomenderowany do tego samego, co przedtem szwadronu, odbył dyżur, wyjeżdżał po furaz, w ogóle wszedł w najdrobniejsze sprawy pułku. I wtedy Rostow, poczuwszy się pozbawiony swobody i zakuty w jedną wąską, niezmienną ramę, zaznał tego samego uczucia spokoju, tego samego oparcia i tej samej świadomości, że jest tutaj w domu, na właściwym miejscu, jakich doznawał pod rodzicielskim dachem. Nie było tu owego zamętu wolnego świata, w którym nie znajdował dla siebie miejsca i błądził w wyborze, nie było Soni, z którą trzeba było czy nie trzeba rozmówić się. Nie było możliwości jechać gdzieś czy nie jechać, nie było tych dwudziestu czterech godzin na dobę, które w różny sposób można było spożytkować, nie było tego niezliczonego mnóstwa ludzi, spośród których nikt nie był ani bliższy, ani dalszy, nie było tych nie wyjaśnionych i nie określonych stosunków pieniężnych z ojcem; nie było przypominania o strasznej przegranej do Dołochowa! Tutaj, w pułku, wszystko było zrozumiałe i proste. Cały świat dzielił się na dwie nierówne części: jedna – nasz Pawłogradzki pułk, a druga – wszystko pozostałe. I z tym pozostałym nie miało się nic wspólnego. W pułku wszystko było wiadome: kto był porucznikiem, kto rotmistrzem, kto był człowiekiem dobrym, kto złym, a najważniejsze – kamratem. Markietan daje na kredyt, żołd dostaje się trzy razy do roku: nie ma się nad czym zastanawiać i czego wybierać, nie trzeba tylko robić tego, co uważają za złe w Pawłogradzkim pułku; trzeba zaś robić to, co jest zrozumiałe, wyraźne, określone i nakazane – i wszystko będzie w porządku.

Wszedłszy znowu w określone warunki pułkowego życia, Rostow doznał radości i uspokojenia, podobnie jak znużony człowiek, gdy się udaje na spoczynek. Podczas obecnej kampanii życie pułkowe było dla Rostowa tym miłsze, że po przegranej do Dołochowa (nie mógł sobie darować tego postępu, mimo że rodzina go pocieszała) postanowił służyć nie jak przedtem, ale tak, ażeby zgładzić swą winę, służyć dobrze i być wzorowym kolegą i oficerem, to jest wspaniałym człowiekiem, co w świecie wydawało się tak trudne, a w pułku – tak możliwe.

Po przegranej Rostow postanowił, że w ciągu pięciu lat spłaci rodzicom ów dług. Posyłali mu po dziesięć tysięcy rocznie, teraz zaś postanowił brać tylko dwa tysiące, a resztę zostawić rodzicom na spłatę długu.

Po kilkakrotnym odwołaniu, atakowaniu i bitwach pod Pułtuskim i pod Hławą Pruską nasza armia koncentrowała się pod Bartensteinem. Spodziewano się przybycia monarchy do armii i rozpoczęcia nowej kampanii.

Pawłogradzki pułk znajdujący się w tej części armii, która uczestniczyła w kampanii 1805 roku, kompletował się w Rosji i dlatego późno wziął udział w pierwszych działaniach kampanii. Nie był ani pod Pułtuskim, ani pod Hławą; dopiero w drugiej połowie kampanii przyłączył się do armii czynnej i został wcielony do oddziału Płatowa.

Oddział Płatowa działał niezależnie od armii. Pawłogradcy kilkakrotnie brali grupami udział w potyczkach z nieprzyjacielem, brali jeńców, a pewnego razu zagarnęli nawet pojazdy marszałka Oudinot. W kwietniu pawłogradcy kilka tygodni kwaterowali w pobliżu doszczętnie zniszczonej i opustoszałej wsi niemieckiej. Nie ruszali się z miejsca.

Panowały roztopy, błoto, zimno, lody na rzekach puściły, drogi stały się nie do przebycia: po kilka dni nie wydawano prowiantu ani dla koni, ani dla ludzi. Ponieważ dowóz był niemożliwy, ludzie rozsypali się po porzuconych, opustoszałych wsiach – w poszukiwaniu kartofli, ale już i kartofli znajdowali niewiele.

Wszystko zostało zjedzone, mieszkańcy się rozbiegli, ci zaś, którzy pozostali, byli biedniejsi niż żebracy i już nie było im co zabierać, a nawet niezbyt litościwi żołnierze za miast od nich coś skorzystać, często dzielili się z nimi ostatkiem.

Pawłogradzki pułk stracił w bitwach tylko dwóch rannych, ale głód i choroby zabrały niemal połowę ludzi. W lazaretach śmierć była tak pewna, że żołnierze chorzy na febrę i puchlinę spowodowaną złą strawą woleli pełnić służbę, z wysiłkiem powłócząc nogami, ale do szpitala iść nie chcieli. Z nastaniem wiosny żołnierze zaczęli znajdować wychylającą się z ziemi roślinę podobną do szparagu, którą nie wiadomo czemu nazywali „słodkim korzeniem Maszki”; rozsypywali się po łąkach i polach w poszukiwaniu owego „słodkiego korzenia Maszki” (który był nader gorzki), wykopywali go szablami i jedli mimo zakazu spożywania tej szkodliwej rośliny. Wiosną wśród żołnierzy zapanowała nowa choroba: obrzęk nóg, rąk i twarzy; przyczynę tej choroby medycy upatrywali w używaniu tego korzenia. Jednak mimo zakazu żołnierze pawłogradzcy ze szwadronu Denisowa jedli przede wszystkim „słodki korzeń Maszki”, bowiem już drugi tydzień wyciągano resztę sucharów, wydawano tylko po pół funta na człowieka, kartofle zaś ostatnim razem przywieziono zmarnięte i przerośnięte.

Konie również już drugi tydzień żywiły się słomianymi strzechami domów, były szpetnie chude i w dodatku pokryte kłakami zimowej zmierzwionej sierści. Wszelako mimo taką niedolę żołnierze i oficerowie żyli jak zawsze; choć twarze mieli blade i obrzękłe, stawali w szeregach na apele, chodzili do obrządku, czyścili konie i rzędy, zamiast paszy dźwigali słomę ze strzech i chodzili do kotłów na obiad, od którego wstawali głodni, pokpiwając z paskudnej strawy i ze swego głodu. Żołnierze, jak zawsze w czasie wolnym od służby, palili ogniska i nadzy grzali się przy ogniu, palili tytoń, przebierali i piekli przerośnięte, zgniłe kartofle i opowiadali albo słuchali opowiadań o pochodach Potiomkina i Suworowa albo bajek o przecherze Aloszy czy o popim parobku Mikołce.

Oficerowie, jak zazwyczaj, mieszkali po dwóch, po trzech w otwartych, na pół zrujnowanych domach. Starsi troszczyli się o zdobycie słomy i kartofli, w ogóle o środki żywności dla ludzi, młodszy – jak zawsze – zabawiali się kartami (choć prowiantu nie było, pieniędzy było dużo) albo niewinnymi grammi w kiczkę. O ogólnym przebiegu wojny mówili niewiele, po części dlatego, że nie wiedzieli nic pewnego, po części zaś, że czuli niejasno, iż na ogół wojna szła źle.

Rostow mieszkał z Denisowem, jak dawniej. Od czasu urlopu ich przyjaźń stała się jeszcze bardziej zażyła. Denisow nigdy nie rozmawiał o rodzinie Rostowa, lecz z tkliwej przyjaźni, jaką dowódca okazywał swemu podwładnemu, Rostow czuł, że nieszczęsna miłość starego huzara do Nataszy miała swój udział we wzmacnieniu tej przyjaźni. Było widoczne, że Denisow starał się możliwie najrzadziej wystawiać Rostowa na niebezpieczeństwo, strzegł go, a

po sprawie, widząc go całym i zdrowym, witał ze szczególną radością. Podczas jednego ze swych wyjazdów służbowych Rostow spotkał w pewnej opuszczonej i zrujnowanej wsi, dokąd przyjechał w poszukiwaniu prowiantu, staruszka Polaka i jego córkę z dzieckiem przy piersi. Byli nadzy, głodni i nie mogli uciekać, bo nie mieli po temu żadnych środków. Rostow przywiózł ich na swą kwaterę, umieścił u siebie i utrzymywał przez kilka tygodni, nim stary przyszedł do siebie. Kamrat Rostowa, kiedy mowa zesłała na kobiety, jął pokpiwać sobie z Rostowa, powiadając, że jest z nich wszystkich najsprytniejszy i nie zgrzeszyłby, gdyby poznał kolegów z ładniutką Polką, którą ocalił. Rostow wziął żart za obrazę, wybuchnął i nagał oficerowi tyle nieprzyjemności, że Denisow ledwie ich wstrzymał od pojedynku. Kiedy oficer wyszedł, Denisow, który sam nie wiedział, jaki jest stosunek Rostowa do Polki, jął go łajac za porywczosć. Rostow oświadczył mu:

– Jakże chcesz... Uważam ją za siostrę, więc nie potrafię ci opisać, jak mi było przykro... dlatego że... no dlatego...

Denisow poklepał go po ramieniu i jął szybko chodzić po izbie nie patrząc na Rostowa. Robił to tylko w chwilach duchowego wzburzenia.

– Ech, Rostowowie, zwariowana raso – rzekł i Rostow zauważył łzy w oczach Denisowa.

## XVI

W kwietniu wojska ożywiły się wieścią o przybyciu monarchy do armii. Rostowowi nie udało się być na przeglądzie, który monarcha odbył w Bartenstein: pawłogradcy znajdowali się w forpocztach, daleko przed Bartenstein.

Stali na biwakach. Denisow i Rostow mieszkali w ziemiance, którą wykopali dla nich żołnierze. Ziemianka, przykryta chrustem i darnią, zbudowana była w następujący sposób, który wówczas wszedł w modę: wykopywało się rów na dwa łokcie szeroki, na dwa i pół głęboki, a na cztery i pół długi. Na jednym końcu robiło się schodki i to było wyjście, ganek; sam rów był pokojem, w którym szczęśliwcy, jak dowódca szwadronu, mieli w drugim końcu rowu, przeciwległym do schodków, deskę ustawioną na kołkach – to był stół. Po obydwóch stronach wzdłuż rowu ziemia była wybrana na łokieć – i to były dwa łóżka, kanapy.

Dach urządzało się tak, że na środku pokoju można było stać, a na łóżku można było nawet siedzieć, jeśli się przysunęło bliżej stołu. W ziemiance Denisowa, który mieszkał wspaniale, ponieważ żołnierze jego szwadronu lubili go, we fronton dachu była wprawiona deska, a w tę deskę szyba, wprawdzie rozbita, ale sklejoną. Kiedy było bardzo zimno, to na schodki (do przedpokoju, jak Denisow nazywał tę część ziemianki) przynoszono na zgiętej blasze żar z ogniska żołnierzy, robiło się wówczas tak ciepło, że oficerowie, których u Denisowa i Rostowa zawsze bywało wielu, siedzieli w samych koszulach.

W kwietniu Rostow miał dyżur. O ósmej rano, wróciwszy do domu po bezsennej nocy, kazał przynieść żaru, zmienił bieliznę mokrą od deszczu, pomodlił się, napił herbaty, rozgrzał, doprowadził do porządku rzeczy w swym kąciку i na stole. Z twarzą rozpaloną i ściętą przez wiatr, w samej tylko koszuli położył się na wznak, ręce podłożył pod głowę. Z przyjemnością myślał o awansie, jaki miał dostać za ostatni rekonesans, i czekał na Denisowa, który dokądś wyszedł. Miał ochotę pomówić z nim.

Za szaląsem przewalał się grzmiący krzyk Denisowa. Denisow był widocznie wzburzony. Rostow przysunął się do okna, żeby zobaczyć, z kim Denisow ma do czynienia, i zobaczył wachmistrza Topczejenkę.

– Przecie dałem ci rozkaz, żebyś ich nie puszczał na żarcie owego korzenia jakiejś tam Maszki! – krzyczał Denisow. – Samem widział, jak Łazarczuk niósł z pola.

– Zakazywałem, wasza wielmożność, nie słuchają – odpowiadał wachmistrz.

Rostow znowu się położył na swym łóżku i pomyślał z ukontentowaniem: „Niech on się teraz martwi, kłopoty, ja swoje odwalilem i leżę – rozkosz!” Słyszał przez ścianę, że oprócz wachmistrza mówił jeszcze Ławruszka, ów sprytny hultaj, sługa Denisowa. Ławruszka kłamał coś o jakichś podwodach, sucharach i wołach, które widział jadąc po prowiant.

Za ziemianką znowu słyhać było oddalający się krzyk Denisowa i słowa: „Drugi pluton! Siodłać!” „Dokąd to się wybrali?” – pomyślał Rostow. Po upływie pięciu minut Denisow wszedł do ziemianki, wlażł na łóżko z brudnymi nogami, ze złością wypalił fajkę, porozrzucił wszystkie swoje rzeczy, przepasał nahajkę i szablę i zbierał się do wyjścia. Na pytanie Rostowa, dokąd? – odpowiedział z gniewem i w sposób nieokreślony, że ma coś do załatwienia.

– Niech mnie osądzi Bóg i wielki monarcha! – rzekł Denisow wychodząc, a Rostow usłyszał, jak za ziemianką człapie po błocie kilkanaście koni. Nie pomyślał nawet, żeby się do-

wiedzieć, dokąd Denisow pojechał. Rozgrzawszy się w swym kącie, usnął i dopiero przed wieczorem wyszedł z ziemianki. Denisow jeszcze nie wrócił. Zapadł wieczór, obok sąsiedniej ziemianki dwaj oficerowie i junkier grali w kiczkę, śmiejąc się wtykali rzodkwie w pulchną błotnistą ziemię. Rostow dołączył się do nich. W środku gry oficerowie spostrzegli zbliżające się wozy: jechało za nimi z piętnastu huzarów na chudych koniach. Wozy konwojowane przez huzarów podjechały do konowiażu; otoczył je tłum huzarów.

– No, Denisow wciąż się trapił – oświadczył Rostow – a tymczasem przybył prowiant.

– Właśnie – odrzekli oficerowie. – Ale żołnierze kontenci!

– Nieco w tyle za huzarami jechał Denisow w towarzystwie dwóch oficerów piechoty i o czymś z nimi rozmawiał. Rostow wyszedł mu na spotkanie.

– Ja pana uprzedzam, rotmistrzu – mówił jeden z oficerów, chudy, małego wzrostu, widocznie rozdrażniony.

– Powiedziałem przecie, że nie oddam – odpowiedział Denisow.

– Rotmistrzu, będziesz pan odpowiadał. To szaleństwo swoim odbijać transporty! Nasi nie jedli od dwóch dni.

A moi nie jedli dwa tygodnie - odpowiedział Denisow .

– To rozbój, mój panie, odpowiesz za to! – podniesionym głosem powtórzył oficer piechoty.

– Czemu mnie się pan czepiasz? co!? – krzyknął Denisow z nagłą się rozpalając. – Odpowiadać będę ja, nie pan, więc przestań brzęczeć, pókiś cały. Marsz! – krzyknął na oficerów.

– Dobrze! – krzyknął mały oficer nie okazując lęku i nie odjeżdżając. – Rozbijać, ja tu panu...

– Do diabła, biegiem marsz, pókiś cały! – Denisow natarł koniem na oficera.

– Dobrze, dobrze – odgrażał się oficer. Zawrócił konia i odjechał kłusem, trzęsąc się w siodle.

– Pies na płocie, naprawdę pies na płocie – wygłosił za nim Denisow największą kpinę kawalerzysty z piechura na koniu. Podjechał do Rostowa i roześmiał się.

– Siłą odbiłem transport piechocie! – oznajmił. – Cóż to, ludzie mają zdychać z głodu?

Wozy, które podjechały do huzarów, były przeznaczone dla pułku piechoty. Denisow jednak, wywiadziawszy się przez Ławruszkę, że transport idzie bez osłony, siłą odbił go z huzarami. Obficie rozdzielono suchary między żołnierzy, podzielono się nawet z innymi szwadronami.

Nazajutrz dowódca pułku wezwał do siebie Denisowa, a zasłoniwszy oczy rozsuniętymi palcami, rzekł do niego: „Ja tak na to patrzę, ja o niczym nie wiem i sprawy nie będę wszczywał; radzę jednak udać się do sztabu i tam w prowianturze załagodzić sprawę, o ile się da, pokwitować otrzymanie takiej to a takiej ilości prowiantu; w przeciwnym razie prowiant zostanie zapisany na pułk piechoty: zrobi się sprawa i może się źle skończyć”.

Prosto od dowódcy pułku Denisow pojechał do sztabu, mając szczerę pragnienie zastosowania się do jego rady. Wieczorem wrócił do ziemianki w takim stanie, w jakim Rostow jeszcze nigdy swego przyjaciela nie widział. Denisow nie mógł mówić, dusił się. Kiedy Rostow dopytywał się, co mu jest, kłął tylko ochryłym i słabym głosem i groził komuś.

Rostow, przerażony stanem Denisowa, proponował mu, żeby się rozebrał i napił wody, a sam posłał po chirurga.

– Mnie sądzić za rozbój, och! Daj jeszcze wody!... Niech sądzą, ale będę, zawsze będę bił łajdaków i monarsze powiem. Dajcie lodu – mówił.

Przyszedł chirurg pułkowy i powiedział, że trzeba puścić krew. Z kosmatej ręki Denisowa wypłynął głęboki talerz czarnej krwi i dopiero wtedy rotmistrz był w stanie opowiedzieć, co się stało.

– Przyjeżdżam – opowiadał Denisow. – „Gdzie tam wasz naczelnik?” Pokazali. „Czy nie łaska poczekać?” „Jestem na służbie, jechałem trzydzieści wiorst, nie mam czasu na czekanie,

melduj”. Dobrze, wychodzi ten oberżłodziej i zachciało mu się pouczyć mnie: „To rozbój!” „Rozboju dopuszcza się nie ten – powiadam – kto bierze prowiant, żeby nakarmić swych żołnierzy, ale ten, kto go bierze, żeby go włożyć do swej kieszeni!” Dobrze. „Proszę pokwitować – mówi – u komisanta, pańska sprawa pójdzie drogą służbową”. Idę do komisanta. Wchodzę – siedzi przy stole... Któż to taki? Ależ pomyśl sobie!... Któż to nas morzy głodem?! – wykrzyknął Denisow uderzając w stół pięścią chorej ręki tak mocno, że stół o mało się nie przewrócił, a szklanki aż podskoczyły.

– Tielanin! „Jak to, to ty nas głodem morzysz?!” I w pysk go, tak to jakoś poręcznie szło... „A! ty taki owaki...” – i w obroty go! Alem sobie ulżył, ani słowa – krzyczał Denisow, spod czarnych wąsów szczerząc wesoło i zarazem groźnie swe białe zęby. – Zabiłbym go, gdyby mi go nie wyrwano.

– Nie krzycz tak, uspokój się – mówił Rostow. – No, właśnie, krew znowu leci. Poczekaj, trzeba zmienić bandaż.

Denisowa przebandażowano i położono spać. Nazajutrz obudził się wesoły i spokojny.

Lecz w południe do wspólnej ziemianki Denisowa i Rostowa przyszedł adiutant pułkowy. Z twarzą poważną i smutną pokazał z ubolewaniem urzędowy papier od dowódcy pułku do majora Denisowa z zapytaniem o wczorajsze zajście. Adiutant oznajmił, że sprawa może wziąć bardzo zły obrót, że wyznaczono połowę komisję sądową, że przy obecnym zaostreniu postępowania w sprawach maruderstwa i samowoli – w najlepszym wypadku sprawa może się skończyć zdegradowaniem.

Poszkodowani tak przedstawiali sprawę: po odbiciu transportu major Denisow zjawił się – bez wezwania, pijany – u oberprowiantmistrza, nazwał go złodziejem, odgrażał się, że go pobije, a kiedy go wyprowadzono, wdarł się do kancelarii, pobił dwóch urzędników i jednemu wykręcił rękę.

Kiedy Rostow znowu się zaczął dopytywać, Denisow śmiejąc się powiedział, że widać jeszcze jakiś drugi się nawinał, że to wszystko bzdura, głupstwa, że on ani myśli się bać jakichś sądów, że jeśli te łajdaki ośmielą się z nim zadrzeć, to odpowie im tak, że popamiętają.

O całej tej sprawie Denisow mówił lekceważąco, ale Rostow znał go zbyt dobrze, by nie zauważyć, że w duchu (ukrywając to przed innymi) Denisow bał się sądu i dręczył się tą sprawą, która najwidoczniej miała pociągnąć za sobą przykre skutki. Codziennie zaczęły przychodzić pisma o wyjaśnienie, wezwania do sądu; pierwszego maja kazano Denisowowi zdać szwadron oficerowi najstarszemu stopniem i stawić się w sztabie dywizji w celu złożenia wyjaśnień w sprawie awantury w komisji prowiantowej. W przeddzień Płatow wysłał rekonesans z dwóch pułków kozackich i dwóch szwadronów huzarów. Denisow jak zawsze wysunął się przed linię popisując się odwagą. Jedna z kul francuskich strzelców przebiła mu mięsień lędźwi. Może kiedy indziej Denisow nie opuściłby pułku mając tak lekką ranę, ale teraz skorzystał z okazji, wymówił się od stawiennictwa w sztabie dywizji i udał się do szpitala.



## XVII

W czerwcu odbyła się bitwa pod Friedlandem, w której pawłogradcy nie brali udziału, a wkrótce potem ogłoszono rozejm. Rostow, który ciężko odczuwał nieobecność przyjaciela, nie mając od czasu jego odjazdu żadnych wiadomości, był niespokojny o bieg jego sprawy i o ranę; toteż skorzystał z rozejmu i uzyskał zezwolenie na odwiedzenie Denisowa przebywającego w szpitalu. Szpital znajdował się w małym pruskim miasteczku, dwukrotnie zrujnowanym przez wojska rosyjskie i francuskie. Właśnie dlatego, że było lato, a w polu było tak pięknie, miasteczko – z powyrywanych dachami, powyłamowanymi ogrodzeniami, zanieczyszczonymi ulicami, obdartymi mieszkańcami i włączającymi się żołnierzami, pijanymi lub chorymi – przedstawiało szczególnie ponury widok.

Szpital mieścił się w murowanym domu, w podwórzu z resztkami rozebranego ogrodzenia, z oknami częściowo wybitymi. Na podwórzu chodziło lub siedziało na słoneczku kilku żołnierzy, obandażowanych, bladych i obrzękłych.

Gdy Rostow wszedł w bramę domu, od razu owionął go zaduch szpitala i gnijącego ciała. Na schodach spotkał rosyjskiego lekarza wojskowego z cygarem w ustach. Za doktorem szedł rosyjski felczer.

– Przecie się nie rozedrę – mówił doktor. – Przyjdź wieczorkiem do Makara Aleksiejewicza, ja tam będę. – Felczer jeszcze o coś go spytał.

– Ech, rób, jak umiesz! Czy to nie wszystko jedno? – Doktor dostrzegł Rostowa idącego po schodach.

– Wasza wielmożność po co tutaj? – rzekł doktor. – Po co? Kule się pana nie imaly, więc zachciało się tyfusu? Dobrodzieju, to dom trędowatych.

– Dlaczego? – zapytał Rostow.

– Tyfus, dobrodzieju. Ktokolwiek wejdzie – śmierć. Tylko my dwaj, ja i Makiejew (wskazał felczera), jeszcze się kołaczemy. Z naszego doktorskiego bractwa już pięciu tu umarło. Jak tylko przybędzie nowicjusz, po tygodniu gotów – z wyraźnym zadowoleniem oświadczył doktor. – Wzywaliśmy pruskich doktorów, ale nasi sojusznicy jakoś tego nie lubią.

Rostow wytłumaczył mu, że pragnie odwiedzić leżącego tu majora huzarów, Denisowa.

– Nie znam, dobrodzieju, nic nie wiem. Proszę pomyśleć: sam jeden, mam trzy szpitale, przeszło czterystu chorych! Dobrze i to, że pruskie dobroczynne damy przysyłają nam kawę i szarpie, po dwa funty na miesiąc, bo inaczej byśmy przepadli. – Roześmiał się. – Czterystu, dobrodzieju; a wciąż jeszcze przysyłają mi nowych. Jest czterystu? Tak? – zwrócił się do felczera.

Felczer wyglądał na zmęczonego. Widać było, że czeka ze złością, kiedy wreszcie rozgadzany doktor pójdzie sobie.

– Major Denisow – powtórzył Rostow. – Został ranny pod Molliten.

– Chyba umarł. Prawda, Makiejew? – obojętnie zapytał doktor felczera.

Jednak felczer nie potwierdził słów doktora.

– Jaki on, taki długi, rudawy? – zapytał doktor. Rostow opisał powierzchowność Denisowa.

– Tak, tak, był taki – rzekł doktor jakby z radością. – Ale ten chyba powinien być umrzeć; zresztą sprawdzę, miałem wykazy. Czy je masz, Makiejew?

– Wykazy ma Makar Aleksieicz – odpowiedział felczer. – Niech wasza wielmożność pozwoli do pawilonów oficerskich, to sam zobaczy – dodał zwracając się do Rostowa.

– Ech, dobrodzieju, lepiej by nie chodzić! – mówił doktor. – Żebyś pan tutaj nie został! – Ale Rostow pożegnał doktora i poprosił felczera, żeby go zaprowadził.

– Tylko żeby nie było do mnie pretensji – krzyknął doktor z dołu.

Rostow i felczer weszli na korytarz. W ciemnym korytarzu odór szpitalny był tak silny, że Rostow złapał się za nos i musiał się zatrzymać, aby zebrać siły i iść dalej. Z prawej strony otworzyły się drzwi i wysunął się z nich chudy, żółty człowiek o kulach, boso i w białym. Wsparty o framugę, patrzył na przechodzących błyszczącymi, zawistnymi oczyma. Rostow, zajrawszy przez drzwi, zobaczył chorych i rannych, leżących na podłodze na słomie i płaszczach.

– Czy można wejść zobaczyć? – zapytał Rostow. – A na co tu patrzeć? – odpowiedział felczer. Ale właśnie dlatego, że felczer nie życzył sobie wpuścić go tutaj, Rostow wszedł do pawilonu żołnierskiego. Zapach, do którego już zdążył się być przyzwyczajony w korytarzu, tutaj był jeszcze silniejszy. Zapach ten był tu nieco inny; jeszcze ostrzejszy i wyraźniej się czuło, że właśnie stąd pochodził.

W długiej sali, jaskrawo oświetlonej słońcem przez duże okna, dwoma rzędami, głowami przy ściankach, leżeli chorzy i ranni zostawiając w środku przejście. Większa ich część leżała bez przytomności i ci nie zwrócili uwagi na wchodzących. Inni zaś, którzy zachowali przytomność, podźwignęli się wszyscy albo też unieśli chude, żółte twarze, nie spuszczać oczu z Rostowa wszyscy patrzyli na niego z tym samym wyrazem nadziei na pomoc, wyrzutu i zawisłości z powodu cudzego zdrowia. Rostow wyszedł na środek sali, przez otwarte drzwi zajrzał do sąsiednich pokoi i z obydwu stron zobaczył to samo. Przystanął rozglądając się w milczeniu dokoła. Wcale się nie spodziewał tego zobaczyć. Tuż przed nim, niemal w poprzek środkowego przejścia, na gołej podłodze leżał chory, prawdopodobnie Kozak, albowiem włosy miał przycięte w podkowę. Ów Kozak leżał na wznak, rozrzucając ogromne ręce i nogi. Twarz miał purpurowoczerwoną, oczy zupełnie wywrócone, widać było tylko same białka, a na bosych nogach i rękach, jeszcze czerwonych, żyły nabrzmiały jak postronki. Uderzył potylicą o podłogę, wyrzekł coś chrapliwie i jął powtarzać to słowo. Rostow wsłuchawszy się w to, co on mówił, rozróżnił powtarzane wciąż słowo: „Pić, pić, pić!” Rostow obejrzał się, szukając kogoś, kto mógłby ułożyć na miejscu chorego i dać mu wody.

– Kto tutaj dogląda chorych? – zapytał felczera. W tej chwili wyszedł z sąsiedniego pokoju żołnierz taborowy, posługacz szpitalny, i stuknąwszy obcasami, wyprężył się przed Rostowem.

– Życzę zdrowia waszej wielmożności! – krzyknął ów żołnierz wytrzeszczając oczy na Rostowa i biorąc go prawdopodobnie za zwierzchność szpitalną.

– Zabierz go i daj mu wody – powiedział Rostow pokazując na Kozaka.

– Wedle rozkazu, wasza wielmożność – z zadowoleniem rzekł żołnierz; z jeszcze większą gorliwością wytrzeszczając oczy prężył się, ale nie ruszał się z miejsca.

„Tu się nic nie poradzi” – pomyślał Rostow. Spuścił oczy i już chciał wychodzić, ale z prawej strony poczuł skierowane na siebie znaczące spojrzenie i obejrzał się. Prawie w samym kącie siedział na płaszczu stary żołnierz z żółtą jak szkielet twarzą, chudą, surową i nieogoloną siwą brodą i uporczywie patrzył na Rostowa. Sąsiad starego żołnierza szeptał mu coś i pokazywał na Rostowa. Rostow zrozumiał, że stary chce go o coś prosić. Zbliżył się i zobaczył, że stary ma zgiętą tylko jedną nogę, a drugiej powyżej kolana wcale nie ma. Drugi sąsiad starego leżał dosyć daleko od niego nieruchomo, z głową w tył odrzuconą, był to młody żołnierz z woskowo bladą twarzą, pokrytą jeszcze piegami, z zadartym nosem, z oczyma wy-

wróconymi pod powieki. Rostow popatrzył na żołnierza z zadartym nosem i mróz przeszedł mu po kościach.

– Ten zdaje się... – zwrócił się do felczera.

– Takeśmy prosili, wasza wielmożność – rzekł stary żołnierz, a dolna szczęka mu drżała. – Rano jeszcze skończył. Przecieśmy ludzie, a nie psy...

– Zaraz przyślę, sprzętną, sprzętną – rzekł pośpiesznie felczer. – Wasza wielmożność pozwoli.

– Chodźmy, chodźmy – powiedział spiesznie Rostow; spuszczać oczy, kuląc się usiłował przejść niepostrzeżenie przed szeregiem tych pełnych wyrzutu i zawiści oczu, które były nań skierowane. Wyszedł z sali.

## XVIII

Minąwszy korytarz felczer wprowadził Rostowa do pawilonu oficerskiego, który się składał z trzech sal z otwartymi drzwiami. W tych salach były łóżka; ranni i chorzy oficerowie leżeli lub siedzieli na nich. Niektórzy w szpitalnych szlafrokach chodzili po salach. Pierwszą osobą, którą Rostow spotkał w pawilonie oficerskim, był mały, chudy człowiek bez ręki, który – w szlafmicy i szlafroku szpitalnym, z przygryzioną fajeczką, spacerował po pierwszej sali. Rostow spojrzawszy na niego, usiłował sobie przypomnieć, gdzie go widział.

– Oto, gdzie Bóg dał nam się spotkać – rzekł mały człowieczek. – Tuszyn, przypominasz pan sobie, jestem Tuszyn, podwiozłem pana pod Schöngraben? A mnie odcięli kawałeczek, o... – powiedział uśmiechając się i pokazując pusty rękaw szlafroka. – Szukasz pan Wasilia Dimitriewicza Denisowa? Współlokator! – oświadczył dowiedziawszy się, kogo Rostow szuka. – Tutaj, tutaj – i Tuszyn zaprowadził go do drugiej sali, z której dobiegało kilka roześmianych głosów.

„Jak oni mogą tutaj nie tylko śmiać się, ale żyć?” – myślał Rostow wciąż jeszcze czując zapach trupi, którego tyle wchłonał w szpitalu żołnierskim, i wciąż jeszcze widząc wokół siebie owe zawistne spojrzenia, które go przeprowadziły z obu stron, i twarz młodego żołnierza z wywróconymi oczami.

Denisow, nakrywszy się kołdrą na głowę, spał na łóżku, pomimo że była dwunasta w południe.

– A, Rostow? Dobra, dobra! – zawołał tym samym głosem co w pułku, ale Rostow zauważył ze smutkiem, że na twarzy i w intonacji słów Denisowa – przy właściwej mu nonszalancji i ożywieniu – przebijało jakieś nowe, niedobre, przytajone uczucie.

Rana jego, mimo że błaha, wciąż się jeszcze nie goiła, choć minęło już sześć tygodni od czasu, gdy został ranny. W twarzy miał tę samą bladość i obrzmiałość co wszyscy w szpitalu. Ale nie to zaskoczyło Rostowa; zaskoczyło go, że Denisow był jakby nierad mu i uśmiechał się do niego nienaturalnie. Denisow nie pytał go ani o pułk, ani o ogólny przebieg wydarzeń. Kiedy Rostow mówił o tym, Denisow nie słuchał.

Rostow nawet zauważył, że Denisowowi było nieprzyjemnie, kiedy wspomniano mu o pułku i w ogóle o tym innym wolnym życiu, które się toczyło na zewnątrz szpitala. Jak gdyby usiłował zapomnieć o tym dawnym życiu, a interesował się tylko swą sprawą z urzędnikami prowiantowymi. Na zapytanie Rostowa, jak stoi sprawa, natychmiast wyjął spod poduszki pismo, które otrzymał z komisji, i brulion własnej odpowiedzi. Ożywił się, jął czytać swoje pismo, szczególnie uwydatniając Rostowowi docinki, jakie w tym piśmie robił swym wrogom. Szpitalni kamraci Denisowa, którzy otoczyli byli Rostowa – człowieka świeżo przybyłego z wolnego świata – jęli się po trosze rozchodzić, gdy tylko Denisow zaczął czytać swe pismo. Rostow pojął z ich twarzy, że ci wszyscy panowie już nieraz słyszeli całą tę historię, która już zdążyła im zbrzydnąć. Tylko gruby ułan z sąsiedniego łóżka siedział na swym posłaniu i posepnie nachmurzony palił fajkę. Mały Tuszyn bez ręki słuchał i dezaprobująco kręcił głową. Gruby ułan przerwał Denisowowi czytanie.

– A moim zdaniem – rzekł zwracając się do Rostowa – trzeba po prostu prosić cesarza o łaskę. Powiadają, że teraz będą duże nagrody i przebaczą z pewnością...

– Ja mam prosić cesarza! – oświadczył Denisow głosem, któremu chciał nadać dawną energię i popędliwość, który jednak zadźwięczał niepotrzebnym rozdrażnieniem.

– O co? Gdybym był zbrojcem, tobym prosił o łaskę, ale mnie sądzą za to, że rozbój wyprawdzam na jaw. Niech sądzą, ja nikogo się nie boję; uczciwie służyłem cesarzowi, ojczyźnie i nie kradłem! Zdegradować mnie i... Słuchaj, ja piszę im wprost, tak piszę: „Gdybym okradał skarb państwa...”

– Zgrabnie napisane, nie ma co mówić – oświadczył Tuszyn. – Ale nie o to chodzi, Wasiliiu Dmitriczu. – Tuszyn również zwrócił się do Rostowa: – Trzeba się ukorzyć, a tymczasem Wasilij Dmitricz nie chce. Przecie audytor mówił, że pańska sprawa kiepsko stoi.

– A niech będzie kiepsko – rzekł Denisow.

– Audytor napisał majorowi prośbę – ciągnął Tuszyn – należy ją podpisać i wysłać przez pana (wskazał na Rostowa). Ma na pewno w sztabie plecy. Trudno o lepszą okazję.

– Przecieżem już mówił, że się nie upodłę – przerwał Denisow i znów ciągnął dalej czytanie swego pisma.

Rostow nie śmiał perswadować Denisowowi, choć czuł instynktownie, że droga, jaką proponował Tuszyn oraz inni oficerowie, była najpewniejsza, choć uważałby się za szczęśliwego, jeśliby mógł pomóc Denisowowi: znał nieugiętą wolę Denisowa i jego prawdomówną porywczosć. Kiedy czytanie zjadliwych pism Denisowa skończyło się, a trwało przeszło godzinę, Rostow nie rzekł nic, w bardzo smutnym nastroju spędził resztę dnia w towarzystwie szpitalnych towarzyszy Denisowa, którzy znowu się zgromadzili wokół niego, opowiadając, co mu było wiadome, i słuchając opowiadań innych. Przez cały wieczór Denisow milczał ponuro.

Późnym wieczorem Rostow zabierał się do odjazdu i zapytał Denisowa, czy nie ma jakichś poleceń.

– Aha, poczekaj – odpowiedział Denisow, obejrzał się na oficerów, wyjął spod poduszki swe papiery, podszedł do okna, na którym stał atrament, i zasiadł do pisania.

– Widocznie głową muru nie przebiję – rzekł odchodząc od okna i podał Rostowowi dużą kopertę. Była to prośba na imię monarchy, ułożona przez audytora, w której Denisow – nie wspominając zupełnie o winach urzędu prowiantowego, prosił tylko o łaskę.

– Przekaż, widać... – nie dokończył i uśmiechnął się boleśnie sztucznym uśmiechem.

## XIX

Rostow, wróciwszy do pułku i przedstawivszy dowódcy, jak wygląda sprawa Denisowa, pojechał do Tylży z pismem do cesarza.

13 czerwca obaj cesarze, francuski i rosyjski, zjechali się w Tylży. Borys Drubecki prosił ważną osobistość, przy której pełnił służbę, ażeby go zaliczono do świty mającej asystować w Tylży.

– *Je voudrais voir le grand homme*<sup>408</sup> – oświadczył mówiąc o Napoleonie, którego dotychczas zawsze, jak wszyscy, nazywał Bonapartem.

– *Vous parlez de Buonaparte?*<sup>409</sup> – zapytał go generał uśmiechając się.

Borys spojrział pytająco na swego generała i od razu zrozumiał, że to była żartobliwa próba.

– *Mon prince, je parle de l'empereur Napoléon*<sup>410</sup> – odpowiedział. Generał poklepał go z uśmiechem po ramieniu.

– Wysoko zajdziesz – oświadczył i wziął go z sobą. Borys znalazł się na Niemnie wśród nielicznych świadków w dniu spotkania się cesarzy; widział tratwy z inicjałami, przejazd Napoleona przed frontem gwardii francuskiej na przeciwległym brzegu, widział zamysłone oblicze cesarza Aleksandra, kiedy siedział w karczmie nad brzegiem Niemna, czekając na przybycie Napoleona, widział, jak obaj cesarze wsiadali do łodzi i jak Napoleon, który wcześniej przybił do tratwy, szybkimi krokami ruszył naprzód, witając Aleksandra, podał mu rękę, i jak obaj zniknęli w pawilonie. Borys, od czasu gdy pozyskał wstęp do wyższych sfer, wdroył się do uważnego przyglądania wszystkiemu, co się wokół niego działo, i do zapisywania wszystkiego. Podczas spotkania w Tylży rozpytywał o nazwiska osobistości przybyłych z Napoleonem, o mundury, jakie mieli na sobie, i uważnie przysłuchiwał się słowom wypowiedzanym przez ważne osobistości. W tym czasie, kiedy cesarze weszli do namiotu, spojrział na zegarek i nie zapomniał znowu spojrzeć, kiedy Aleksander wyszedł z namiotu. Spotkanie trwało godzinę i pięćdziesiąt trzy minuty: to właśnie zapisał owego wieczora wraz z innymi faktami, które, jak mniemał miały znaczenie historyczne. Ponieważ świta cesarza była bardzo nieliczna, dla człowieka ceniącego powodzenie w służbie fakt znalezienia się w Tylży podczas spotkania cesarzy był sprawą bardzo ważną; toteż Borys, dostawszy się do Tylży, odczuł, że od tego czasu jego pozycja została całkowicie ugruntowana. Nie tylko znano go, ale mu się przyjrzano i przyzwyczajono się do niego. Dwukrotnie miał polecenie do samego cesarza, cesarz więc znał go już osobiście, a jego zaufani nie tylko że nie stronili od Borysa, jak przedtem, kiedy go uważali za nowego człowieka, ale dziwiliby się, gdyby go zabrakło.

Borys mieszkał z innym adiutantem, polskim hrabią Żylińskim: Żyliński, Polak wychowany w Paryżu, był bogaty, lubił zapamiętałe Francuzów, toteż niemal codziennie podczas pobytu w Tylży do Żylińskiego i Borysa przychodzili na obiady i śniadania francuscy oficerowie gwardii i francuskiego sztabu generalnego.

<sup>408</sup> Chcę zobaczyć wielkiego człowieka.

<sup>409</sup> Mówisz pan o Buonapartem?

<sup>410</sup> Mości księżę, mówię o cesarzu Napoleonie.

Wieczorem 24 czerwca hrabia Żyliński, współmieszkaniec Borysa, wydał kolację dla swych znajomych Francuzów. Na tej kolacji był znamienity gość, jeden z adiutantów Napoleona, kilku oficerów gwardii francuskiej i młody chłopiec ze starego arystokratycznego rodu, paż Napoleona. Tego samego dnia Rostow, korzystając z ciemności, żeby nie być poznany, przyjechał w cywilnym ubraniu do Tylży i wszedł do kwatery Żylińskiego i Borysa.

W Rostowie, podobnie jak i w całej armii, z której przybył, jeszcze się nie dokonał w stosunku do Napoleona i Francuzów, którzy z wrogów stali się przyjaciółmi, ów przełom, jaki się już dokonał w głównej kwaterze i w Borysie.

Armia doznawała jeszcze dawnego uczucia wrogości pomieszanego z pogardą i strachem wobec Bonapartego i Francuzów. Jeszcze niedawno Rostow, rozmawiając z oficerem Kozaków Płatowa, dyskutował o tym, że gdyby Napoleona wzięto do niewoli, toby go traktowano nie jako cesarza, lecz jak przestępcę. Jeszcze nie tak dawno, spotkawszy się na drodze z rannym pułkownikiem francuskim, Rostow dowodził mu z ogniem, że między prawowitym cesarzem a przestępcą Bonapartem pokoju być nie może. Toteż Rostowa dziwnie zaskoczył w kwaterze Borysa widok francuskich oficerów w tych samych mundurach, na które zupełnie inaczej przyzwyczał się patrzeć ze strzeleckiej tyraliery. Gdy tylko ujrzał wysuwającego się zza drzwi oficera francuskiego, od razu opanowało go owo uczucie wojny, wrogości, jakiego zawsze doznawał na widok nieprzyjaciela. Zatrzymał się na progu i zapytał po rosyjsku, czy tu mieszka Drubecki. Borys, usłyszawszy w przedpokoju obcy głos, wyszedł do niego. Gdy poznał Rostowa, w pierwszej chwili twarz jego wyraziła irytację.

– Ach, to ty, bardzo się cieszę, bardzo się cieszę, że cię widzę – powiedział jednak, uśmiechnął się i zbliżył do niego. Ale Rostow dostrzegł jego pierwszy odruch.

– Zdaje się, że przybył nie w porę – powiedział. – Nie przyjeżdżałbym, ale mam sprawę – oświadczył zimno.

– Ależ ja się tylko dziwię, jak się z pułku wydostał!

„*Dans un moment je suis à vous*”<sup>411</sup> – odpowiedział na głos, który go wzywał.

– Widzę, że nie w porę – powtórzył Rostow. Wyraz irytacji znikł już z twarzy Borysa; widocznie rozważywszy sprawę zdecydował właśnie, jak ma postąpić: ze szczególnym spokojem ujął Rostowa za obie ręce i poprowadził do sąsiedniego pokoju. Oczy Borysa, patrzące na Rostowa spokojnie i twardo, były jak gdyby czymś zasnute, jak gdyby nasunięto na nie jakąś zasłonę – niebieskie okulary towarzyskości. Tak się Rostowowi wydało.

– Ach, dajże spokój, proszę, czy ty możesz przybyć nie w porę – rzekł Borys. Wprowadził go do pokoju, gdzie zastawiono kolację, poznał z gośćmi, wymienił jego nazwisko i wyjaśnił, że to nie cywil, ale oficer huzarów, jego dawny przyjaciel. – Hrabia Żyliński, *le comte N. N.*, *le capitaine S. S.* – wymieniał gości. Rostow posepnie patrzył na Francuzów, kłaniał się niechętnie i milczał.

Widać było, że Żyliński niezbyt radośnie przyjął do swego kółka tę nową osobistość rosyjską i nie odezwał się do Rostowa. Borys jak gdyby nie dostrzegł skrępowania z powodu nowo przybyłego i z tym samym miłym spokojem i przesłoną w oczach, z jakimi witał Rostowa, próbował ożywić rozmowę. Ze zwykłą francuską uprzejmością jeden z Francuzów zwrócił się do milczącego Rostowa i powiedział, że przybył do Tylży prawdopodobnie dlatego, by zobaczyć cesarza.

– Nie, mam interes – odpowiedział krótko Rostow. Rostow stracił humor, jak tylko spostrzegł niezadowolenie na twarzy Borysa, i jak to zawsze bywa z ludźmi, którzy są nie w humorze, wydawało mu się, że wszyscy patrzą na niego nieprzyjaźnie i że on wszystkim przeszkadza. Istotnie, przeszkadzał wszystkim i sam jeden pozostawał poza ogólną rozmową, jaka się znów nawiązała. „I po co on tu siedzi?” – mówiły spojrzenia rzucone na niego przez gości. Wstał i zbliżył się do Borysa.

---

<sup>411</sup> Zaraz panom służę.

- Jednakże ja cię krepuję – rzekł do niego cicho.
- Chodźmy, porozmawiajmy o sprawie i pójdę.
- Ależ nie, bynajmniej – odrzekł Borys. – Lecz jeżeliś zmęczony, chodźmy do mojego pokoju, połóżysz się.
- Istotnie...

Weszli do małego pokoiku, gdzie sypiał Borys. Rostow, nie siadając, od razu, rozdrażniony – jak gdyby Borys czymś wobec niego zawinił – jął mu opowiadać o sprawie Denisowa, zapytując, czy Borys chce i czy może wstawić się za Denisowem do cesarza za pośrednictwem swego generała i za jego pośrednictwem wręczyć pismo. Kiedy pozostali sam na sam, Borys po raz pierwszy przekonał się, że jakoś mu nieporęcznie patrzeć w oczy Rostowowi. Borys, założywszy nogę na nogę, gładząc lewą dłonią cienkie palce prawej dłoni, słuchał Rostowa, jak słucha generał meldunku swego podwładnego: bądź spoglądając w bok, to znów z tą samą przesłoną w spojrzeniu patrzył Rostowowi prosto w oczy. Rostowowi za każdym razem robiło się niezręcznie i spuszczał oczy.

– Słyszałem o sprawach tego rodzaju i wiem, że monarcha jest bardzo surowy w takich wypadkach. Myślę, że lepiej by nie komunikować tego jego cesarskiej mości. Moim zdaniem, lepiej zwrócić się bezpośrednio z prośbą do dowódcy korpusu... W ogóle myślę...

– Więc nie chcesz nic zrobić, powiedz od razu! – niemal krzyknął Rostow nie patrząc Borysowi w oczy. Borys uśmiechnął się.

– Przeciwnie, zrobię, co mogę, tylko myślałem...

W tej chwili w drzwiach rozległ się głos Żylińskiego przyzywający Borysa.

– No to idź, idź, idź... – powiedział Rostow, a wymówiwszy się od kolacji i pozostawszy sam w małym pokoiku, długo spacerował po nim tam i z powrotem i słuchał wesołej rozmowy francuskiej z sąsiedniego pokoju.



## XX

Rostow przyjechał do Tylży w dniu najmniej odpowiednim do zabiegów w sprawie Denisowa. Sam nie mógł pójść do dyżurnego generała, ponieważ był we fraku i przyjechał do Tylży bez pozwolenia zwierzchności, Borys zaś, jeśli by nawet i chciał, nie mógł tego zrobić nazajutrz po przyjeździe Rostowa. Owego dnia 27 czerwca, podpisano wstępne warunki pokoju. Cesarze wymienili ordery: Aleksander Otrzymał Legię Honorową, Napoleon zaś – Andrzeja I stopnia, tego samego dnia batalion preobrażeński zaproszono na obiad wydany dlań przez batalion gwardii francuskiej. Monarchowie mieli być obecni na tym bankiecie.

Rostowowi było tak nieswojo i nieprzyjemnie z Borysem, że kiedy po kolacji Borys zajrzał do niego, udał, że śpi, a nazajutrz rankiem, starając się go nie widzieć, wyszedł z domu. Mikołaj, we fraku i cylindrze, wałęsał się po mieście, przyglądał się Francuzom i ich mundurom, przyglądał się ulicom i domom, w których mieszkali cesarze rosyjski i francuski. Widział na placu rozstawione stoły i przygotowania do obiadu, widział ulice udekorowane draperiami i sztandarami o barwach rosyjskich i francuskich i olbrzymie monogramy A. i N. W oknach domów również były sztandary i monogramy.

„Borys nie chce mi pomóc, ale i ja nie chcę się do niego zwracać. To sprawa postanowiona – rozmyślał Mikołaj.

– Wszystko między nami skończone, ale ja stąd nie wyjadę nie zrobiwszy dla Denisowa wszystkiego, co jest w mojej mocy, a najważniejsze – nie wręczywszy monarsze pisma. Monarsze?! Przecie on jest tutaj!” – rozmyślał Rostow i mimo woli znowu podszedł do domu zajmowanego przez Aleksandra.

Przed domem stały wierzchowce, zjeżdżała się świta, widocznie przygotowywano się do wyjazdu monarchy.

„Mogę go ujrzyć w każdej chwili – myślał Rostow.

– Gdybym tylko mógł bezpośrednio wręczyć mu pismo i wszystko mu powiedzieć... Czyżby mnie aresztowano za frak? Niemożliwe! On by zrozumiał, po czyjej stronie słuszność. On wszystko rozumie, wszystko wie. Któż może być od niego sprawiedliwszy, wspaniałomyślniejszy? A gdyby mnie nawet i aresztowano za to, żem tutaj, cóż za nieszczęście? – rozmyślał patrząc na oficera wchodzącego do domu, w którym mieszkał monarcha. – Przecie ten wchodzi. Ech! wszystko głupstwo. Pójdę i sam oddam pismo monarsze: tym gorzej dla Drubeckiego, który mnie do tego doprowadził”. I z nagłą stanowczością, jakiej się sam po sobie nie spodziewał, Rostow, pomacawszy pismo w kieszeni, ruszył prosto do domu zajmowanego przez cesarza.

„Na pewno teraz nie pomnę okazji, jak to było po Austerlitz – myślał, każdej chwili spodziewając się ujrzeć monarchę i na samą tę myśl czując przypływ krwi do serca. – Padnę mu do nóg i będę go prosić. Podniesie mnie, wysłucha i jeszcze podziękuje: «Jestem szczęśliwy, kiedy mogę zrobić coś dobrego, ale naprawienie niesprawiedliwości jest największym szczęściem.»” Rostow wyobrażał sobie słowa, jakie mu powie monarcha. I mijając patrzących na niego z ciekawością wszedł na ganek domu zajmowanego przez monarchę.

Z ganku szerokie schody prowadziły wprost na górę, na prawo widać było zamknięte drzwi. Na dole pod schodami były drzwi prowadzące na parter.

- Pan do kogo? – zapytał go ktoś.
- Wręczyć pismo, prośbę jego cesarskiej mości – odrzekł Mikołaj drżącym głosem.
- Prośba – do dyżurnego, proszę tędy (wskazano mu drzwi na dole). Tylko że nie przyjmą.

Usłyszawszy ten obojętny głos Rostow przestraszył się tego, co robi, myśl, że w każdej chwili może spotkać monarchę, była dlań tak kusząca i zarazem straszna, że gotów był uciekać, ale kamerdyner, który go spotkał, otworzył przed nim drzwi do pokoju dyżurnego. Rostow wszedł.

W pokoju tym stał niezbyt wysoki, tęgi mężczyzna lat trzydziestu, w białych pantalonach, botfortach i w samej tylko batystowej koszuli, widocznie dopiero co włożonej, kamerdyner dopinał mu z tyłu haftowane jedwabiem wspaniałe nowe szelki, które Rostow zauważył nie wiadomo czemu. Ów człowiek rozmawiał z kimś, kto się znajdował w drugim pokoju.

– *Bien faite et la beauté du diable*<sup>412</sup> – mówił ów człowiek, a gdy spostrzegł Rostowa, przestał mówić i zasepił się.

– Co pan sobie życzy? Prośba?...

– *Qu'est-ce que c'est?*<sup>413</sup> – zapytał ktoś z drugiego pokoju.

– *Encore un petitionnaire*<sup>414</sup> – odpowiedział człowiek w szelkach.

– Powiedz mu, że później. Zaraz wyjdzie, trzeba jechać.

– Później, później, jutro. Już późno... Rostow odwrócił się i chciał wyjść, ale człowiek w szelkach zatrzymał go.

– Od kogo? Kto pan jest?

– Od majora Denisowa – odpowiedział Rostow.

– Pan kto? Oficer?

– Porucznik, hrabia Rostow.

– Co za zuchwalstwo! Proszę przekazać drogą służbową. A teraz proszę iść, iść... – I zaczął wdziewać mundur podany przez kamerdynera.

Rostow znowu znalazł się na korytarzu i zauważył, że na ganku już było dużo oficerów i generałów w pełnej gali. Musiał przejść koło nich.

Przeklinając swe zuchwalstwo, zamierając na samą myśl, że w każdej chwili może spotkać monarchę i w jego obecności zostać zhańbiony i wzięty pod straż, doskonale zdając sobie sprawę z całej niestosowności swego postępu, żałując go, Rostow spuścił oczy i wymykał się z domu otoczonego świetnym tłumem świty, gdy nagle zawołał nań czyjś znajomy głos i czyjaś ręka go zatrzymała.

– Co tu, dobrodzieju, robisz we fraku? – zapytał go basowy głos..

Był to generał kawalerii, który podczas tej kampanii zasłużył sobie na szczególną łaskę monarchy, były dowódca dywizji, w której służył Rostow.

Rostow jął się usprawiedliwiać z przerażeniem, ale kiedy ujrzał dobrodusznie zartobliwą twarz generała, odszedł z nim na bok i wzruszonym głosem opowiedział mu całą sprawę, prosząc, aby generał wstawił się za znanym mu Denisowem. Generał wysłuchał Rostowa i poważnie pokiwał głową:

– Szkoda, szkoda chwata, daj pismo.

Ledwie Rostow zdołał oddać pismo i opowiedzieć całą sprawę Denisowa, a już po schodach zadźwięczały szybkie kroki i ostrogi. Generał odszedł od niego i przysunął się do ganku. Panowie ze świty monarchy zbiegli ze schodów i poszli do koni. Berajter Ainé, ten sam, co był pod Austerlitz, podprowadził konia monarchy, a na schodach rozległo się lekkie skrzypienie kroków, które Rostow poznał natychmiast. Rostow zapomniał o niebezpieczeństwie, które mu groziło, gdyby został poznany, i wraz z kilkoma ciekawymi mieszkańcami przysunął się

<sup>412</sup> Świetnie zbudowana i pikantna.

<sup>413</sup> Co tam?

<sup>414</sup> Jeszcze jeden petent.

do samego ganku. I znów, po dwóch latach, zobaczył te same uwielbiane rysy, to samo oblicze, to samo spojrzenie, ten sam chód, to samo zespolenie majestatu z łagodnością... W duszy Rostowa odżyło z dawną siłą uczucie zachwyty i miłości dla monarchy. Monarcha, w mundurze pułku Preobrażeńskiego, w białych łosiowych spodniach i wysokich botfortach, z gwiazdą, której Rostow nie znał (była do Legia Honorowa), wyszedł na ganek trzymając pod pachą kapelusz i wkładając rękawiczkę. Zatrzymał się, rozejrzał rozjaśniając wszystko swym spojrzeniem. Do tego i owego generała wyrzekł kilka słów. Poznał również byłego dowódcę dywizji Rostowa, uśmiechnął się do niego i przywołał do siebie.

Świta odstąpiła, Rostow widział, że ów generał mówi coś monarsze dość długo.

Monarcha powiedział doń kilka słów i zrobił krok, aby podejść do konia. Tłum świty i tłum uliczny, w którym znajdował się Rostow, znów zbliżył się do monarchy. Stanąwszy przy koniu i ująwszy ręką za siodło, monarcha zwrócił się do generała kawalerii i rzekł głośno, widocznie pragnąc, żeby go wszyscy słyszeli:

– Nie mogę, generale, a nie mogę dlatego, że prawo jest silniejsze ode mnie – oświadczył cesarz i postawił nogę na strzemieniu. Generał z szacunkiem skłonił głowę, monarcha siadł i galopem pojechał ulicą. Rostow, nieprzytomny z entuzjazmu, pobiegł za nim wraz z tłumem.

## XXI

Na placu, na który udał się monarcha, stały frontem do siebie z prawej strony batalion preobrażeńców, z lewej – batalion gwardii francuskiej w bermycach.

Gdy monarcha podjeżdżał do jednego skrzydła batalionów, które sprezentowały broń, do przeciwległego skrzydła zbliżała się druga grupa jeźdźców, a na ich czele Rostow poznał Napoleona. To nie mógł być nikt inny. Jechał galopem, w małym kapeluszu, ze wstęgą Św. Andrzeja przez ramię, w granatowym mundurze rozpiętym na białej kamizeli, na niepospolicie rasowym siwym koniu arabskim, okrytym malinowym czaprakiem, haftowanym złotem. Zbliżywszy się do Aleksandra uchylił kapelusza, a przy tym ruchu kawaleryjskie oko Rostowa nie mogło nie zauważyć, że Napoleon siedzi w siodle brzydko i niepewnie. Bataliony krzyknęły: „Hura!” i „Vive l'Empereur”<sup>415</sup>. Napoleon powiedział coś do Aleksandra. Obaj cesarze zsiadli z koni i ujęli się wzajem za ręce. Napoleon miał na twarzy nieprzyjemnie sztuczny uśmiech. Aleksander mówił coś do niego uprzejmie.

Nie bacząc, że francuscy żandarmi nacierają końmi na tłum, żeby go osadzić, Rostow nie spuszczał oczu z cesarza; Aleksandra i Bonapartego, śledząc każdy ich ruch. Uderzyło go jako niespodzianka to, że Aleksander traktował Bonapartego jako równego sobie i że Bonaparte z zupełną swobodą, jakby ta poufałość była całkiem naturalna, zwykła dla niego, zwracał się do rosyjskiego cesarza jak równy do równego.

Aleksander i Napoleon, z długim ogonem świty, podeszli do prawego skrzydła batalionu preobrażeńckiego, prosto na tłum, który stał. Znienacka tłum znalazł się tak blisko cesarzy, że Rostow stojący w jego pierwszych szeregach zląkł się, iż może zostać poznany.

– *Sire, je vous demande la permission de donner la Légion d'honneur au plus brave de vos soldats*<sup>416</sup> – rzekł ostry, wyraźny głos wymawiający dokładnie każdą literę.

Mówił to małego wzrostu Bonaparte patrząc z dołu prosto w oczy Aleksandrowi. Aleksander uważnie słuchał, co do niego mówiono, i skłoniwszy głowę uśmiechnął się przyjaźnie.

– *A celui qui s'est le plus vaillamment conduit dans cette dernière guerre*<sup>417</sup> – dodał Napoleon wybijając każdą sylabę, z oburzającym Rostowa spokojem i pewnością siebie spoglądając na szeregi rosyjskich żołnierzy, przejących się przed nim na „prezentuj broń” i nieruchomo wpatrzonych w twarz swego cesarza.

– *Votre Majesté me permettra-t-elle de demander l'avis du colonel?*<sup>418</sup> – rzekł Aleksander i zrobił kilka szybkich kroków w stronę księcia Kozłowskiego, dowódcy batalionu. Tymczasem Napoleon jął zdejmować z małej, białej ręki rękawiczkę, a rozdarłszy ją odrzucił. Stojący z tyłu adiutant rzucił się naprzód i podniósł ją.

– Komu dać? – zapytał Aleksander Kozłowskiego niezbyt głośno, po rosyjsku.

– Komu wasza cesarska mość rozkaże. Monarcha skrzywił się z niezadowoleniem, obejrzał się i rzekł:

---

<sup>415</sup> Niech żyje cesarz!

<sup>416</sup> Sire, proszę o pozwolenie odznaczenia Orderem Legii Honorowej najzdolniejszego z żołnierzy waszej cesarskiej mości.

<sup>417</sup> Tego, który był najmężniejszy podczas ostatniej wojny.

<sup>418</sup> Wasza cesarska mość pozwoli, że zapytam o zdanie pułkownika?

– A przecież trzeba mu odpowiedzieć. Kozłowski obejrzał się z wyrazem stanowczości na szeregi i tym spojrzeniem zagarnął również Rostowa. „Czyżby mnie?” – pomyślał Rostow.

– Łazariew! – zakomenderował nachmurzony pułkownik, i pierwszy wedle wzrostu żołnierz Łazariew wystąpił dziarsko.

– A ty gdzie? Stój tutaj! – przyzwały szepczące głosy Łazariewa nie wiedzącego, gdzie ma iść. Łazariew zatrzymał się, z ukosa i lękliwie spojrzał na pułkownika, a twarz mu drgnęła, jak to bywa z żołnierzem, kiedy go wzywają przed front.

Napoleon z lekka zwrócił głowę do tyłu i wysunął w tył swą małą pulchną rączkę, jak gdyby chciał coś wziąć. Osoby jego świty, od razu domyśliwszy się, o co chodzi, zakrzętały się, zaszeptały, przekazując coś jeden drugiemu, paż, ten sam, którego wczoraj Rostow widział u Borysa, wybiegł naprzód i z uszanowaniem nachyliwszy się nad wyciągniętą ręką – nie pozwalając jej czekać ani sekundy – włożył w nią order na czerwonej wstążce. Napoleon nie patrząc ścisnął dwa palce. Order znalazł się między nimi. Podeszedłszy do Łazariewa, który wybałuszonymi oczyma nadal wpatrywał się tylko w swego monarchę, Napoleon obejrzał się na cesarza Aleksandra, dając w ten sposób do poznania, że to, co robi w tej chwili, robi dla swego sprzymierzeńca. Małutka biała rączka z orderem dotknęła guzika żołnierza Łazariewa. Napoleon jak gdyby wiedział, że po to by ten żołnierz na zawsze był szczęśliwy, wynagrodzony i wyróżniony spośród wszystkich na całym świecie, było konieczne jeszcze to, ażeby jego, Napoleona, ręka zaszczyciła dotknięciem pierś żołnierza. Napoleon przyłożył tylko krzyż do piersi Łazariewa i opuściwszy rękę zwrócił się do Aleksandra, jak gdyby wiedział, że krzyż winien przylgnąć do piersi Łazariewa. Krzyż istotnie przylgnął.

Usłużne ręce, francuskie i rosyjskie, w oka mgnieniu podchwyciły krzyż i przyczepiły go do munduru. Łazariew spojrzał posepnie na małego człowieka z białymi rękami, który coś z nim uczynił, i nadal nieruchomo stał na „prezentuj broń”, i znowu patrzył prosto w oczy Aleksandrowi, jak gdyby zapytywał Aleksandra, czy ciągle jeszcze ma stać, czy też może każą mu teraz przejść się albo może zrobić coś innego? Ale już mu nic nie rozkazano i dość długo pozostawał w tej nieruchomej pozycji.

Monarchowie dosiedli koni i odjechali. Preobrażeńcy złamali szeregi, przemierzali się z francuskimi gwardzistami i zasiedli do stołów, które zostały dla nich przygotowane.

Łazariew siedział na honorowym miejscu, oficerowie rosyjscy i francuscy obejmowali go, gratulowali, ściskali mu rękę. Schodziły się całe tłumy oficerów i ludu, żeby choć popatrzeć na Łazariewa. Na placu wokół stołów panował zgiełk rozmów rosyjsko-francuskich i śmiechy. Obok Rostowa przeszli dwaj oficerowie, z czerwonymi twarzami, weseli i szczęśliwi.

– Patrz, bracie, jaki poczęstunek! Wszystko na srebrze! – rzekł jeden. – Łazariewa widziałeś?

– Widziałem.

– Powiadają, że jutro preobrażeńcy będą ich gościć.

– Ależ ten Łazariew szczęściarz! 1200 franków dożywotniej pensji

– To mi czapka, chłopcy! – krzyczał preobrażeniec wkładając bermycę Francuza.

– Nadzwyczajne, nad podziw.

– Słyszałeś hasło? – rzekł oficer gwardii do towarzysza. – Onegdaj było: „*Napoléon, France, bravoure*”; wczoraj „*Alexandre, Russie, grandeur*”<sup>419</sup> jednego dnia monarcha daje hasło, drugiego dnia – Napoleon. Jutro miłościwy pan pośle Jerzego<sup>420</sup> najdzielniejszemu z francuskich gwardzistów. Inaczej przecie nie można! Musi odwzajemnić się w ten sam sposób.

Borys i jego towarzysz Żyliński również przyszli popatrzeć na bankiet preobrażeńców. Kiedy wracali, Borys zauważył Rostowa stojącego za węglem domu.

<sup>419</sup> Napoleon, Francja, męstwo... Aleksander, Rosja, wielkość.

<sup>420</sup> Mowa o orderze Św. Jerzego ustanowionym przez Katarzynę II w 1769 r. za zasługi bojowe.

– Witaj, Rostow! Przecieśmy się nawet nie widzieli – rzekł Borys i nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapytać, co mu się stało: Rostow miał twarz dziwnie ponurą i wzburzoną.

– Nic się nie stało – odpowiedział Rostow.

– Wstąpisz?

– Wstąpię.

Rostow długo stał u węgła spoglądając z daleka na uczujących. W jego mózgu dokonywała się męcząca praca, której w żaden sposób nie mógł doprowadzić do końca. W duszy powstały straszne wątpliwości. To przypominał sobie Denisowa, zmienionego, z wyrazem pokory, to znów cały szpital, z tymi urwanymi rękami i nogami, z całym jego brudem i chorobami. Tak żywo mu się wydało, że i obecnie czuje ten szpitalny trupi odór, iż się rozglądał dookoła, by zrozumieć, skąd pochodzi ów odór. To przypominał mu się ów zadowolony z siebie Bonaparte ze swą białą rączką, który był teraz cesarzem i którego kocha i poważa cesarz Aleksander. Więc po cóż urwane ręce, nogi, po cóż zabici ludzie? To znów przypominał sobie nagrodzonego Łazariewa i Denisowa ukaranego i nie ułaskawionego. Łapał się na tak dziwnych myślach, że aż się ich lękał.

Z tego stanu wyrwał go zapach jądła preobrażeńców i głód... Trzeba było coś zjeść przed odjazdem. Poszedł do gospody, którą widział rano. W gospodzie zastał mnóstwo cywilów i oficerów, którzy podobnie jak on przyjechali w cywilnych ubraniach, toteż z trudem zdobył obiad. Przyłączyli się do niego dwaj oficerowie z jego dywizji. Rozmowa całkiem naturalnie zeszała na pokój. Oficerowie, towarzysze Rostowa, podobnie jak i większa część armii, byli niezadowoleni z zawarcia pokoju po Friedlandzie. Powiadali, że gdyby jeszcze czas jakiś przetrzymać, Napoleon szczelby, bo jego wojska nie miały już ani sucharów, ani amunicji. Mikołaj w milczeniu jadł, a przede wszystkim pił. Wypił sam dwie butelki wina. Wewnętrzna praca, wszczynająca się w nim, dręczyła go nie znajdując rozstrzygnięcia. Bał się oddawać swym myślom, a nie mógł się od nich oderwać. Kiedy jeden z oficerów powiedział, że przykro patrzeć na Francuzów, Rostow jął krzyżeć z niczym nie usprawiedliwioną porywcznością, która właśnie dlatego bardzo zdziwiła oficerów:

– Jak możecie panowie sądzić, co by było lepsze! – zawołał nagle z twarzą, która nabiegła krwią. – Jak możecie sądzić postęпки miłościwego pana, jakie mamy prawo do rezonowania?! My nie możemy zrozumieć ani celu, ani postępków monarchy!

– Ależ ja ani słowa nie mówiłem o monarsze – usprawiedliwiał się oficer, który inaczej nie mógł wyjaśnić tej zapalczywości jak tym, że Rostow był pijany.

Ale Rostow nie słuchał go.

– Nie jesteśmy urzędnikami dyplomatycznymi, lecz żołnierzami i niczym więcej – ciągnął. – Rozkazują nam umierać – no to umrzemy. A kiedy nas karzą, to znaczy, żeśmy winni; nie nam o tym sądzić. Jeśli miłościwemu panu podobało się uznać Bonapartego za cesarza i zawrzeć z nim przymierze – to znaczy, że tak trzeba. A gdybyśmy zaczęli o wszystkim sądzić i rezonować, to nie pozostanie nic świętego. W ten sposób możemy powiedzieć, że Boga nie ma, że nic nie ma! – uderzając pięścią w stół krzyczał Mikołaj – zupełnie bez związku wedle rozumienia swych rozmówców, ale całkiem konsekwentnie wedle biegu swoich myśli.

– Naszą rzeczą jest spełniać obowiązek, rąbać i nie myśleć, to wszystko – zakonkludował.

– I pić – rzekł jeden z oficerów nie chcąc wszczynać sporu.

– Tak, i pić – podchwycił Mikołaj. – Hej tam! Jeszcze butelkę! – krzyknął.

## CZEŚĆ TRZECIA

## I

W roku 1808 cesarz Aleksander jeździł do Erfurtu na nowe spotkanie z cesarzem Napoleonem. W wyższym towarzystwie petersburskim dużo mówiono o wspaniałości tego uroczystego spotkania.

W roku 1809 zażyłość dwóch władców świata, jak nazywano Napoleona i Aleksandra, doszła do tego, że gdy w tym roku Napoleon wypowiedział wojnę Austrii, korpus rosyjski przekroczył granicę, by współdziałać ze swym dawnym wrogiem, Bonapartem, przeciw dawnemu sprzymierzeńcowi, cesarzowi austriackiemu; doszło też do tego, że w wyższych sferach mówiono o możliwości małżeństwa między Napoleonem a jedną z sióstr cesarza Aleksandra. Lecz, niezależnie od zewnętrznych kombinacji politycznych, uwaga społeczeństwa rosyjskiego była w owym czasie szczególnie żywo zaprzątnięta wewnętrznymi zmianami, jakie podówczas przeprowadzano we wszystkich działach administracji państwowej.

Tymczasem życie, prawdziwe życie ludzi, z ich istotnymi zainteresowaniami – zdrowiem, chorobami, pracą, odpoczynkiem, z ich zainteresowaniami umysłowymi w dziedzinie nauki, poezji, muzyki, miłości, przyjaźni, nienawiści, namiętności, toczyło się – jak zawsze – niezależnie i poza politycznym zbliżeniem czy też wrogością wobec Napoleona Bonaparte i poza wszystkimi możliwymi przemianami.

Książę Andrzej spędził na wsi dwa lata nigdzie nie wyjeżdżając. Wszystko to, co Pierre przedsięwziął w swych dobrach, a czego nie doprowadził do jakiegoś wyniku wciąż przerzucając się od jednej sprawy do drugiej, wszystkie te zamysły bez wyjawiania ich komukolwiek i bez widocznego wysiłku książę Andrzej dokonał u siebie.

Posiadał w wysokim stopniu ową praktyczność, jakiej nie dostawało Pierre'owi, a dzięki której bez szczególnej ostentacji i wysiłku ze strony księcia sprawy jego posuwały się naprzód.

Trzysta dusz chłopskich w jednym z jego majątków przeniesiono do stanu wolnych rolników (był to jeden z pierwszych przykładów w Rosji), w innych majątkach pańszczyznę zamieniono na czynsz. Do Boguczarowa sprowadzono na jego koszt uczoną babkę, która udzielała pomocy położnicom, duchowny zaś dostawał pensję za nauczanie dzieci chłopów i czeladzi dworskiej.

Książę Andrzej połowę czasu spędzał w Łysych Górach z ojcem i z synem, którym jeszcze zajmowały się niańki; drugą połowę czasu – w buguczarowskiej pustelni, jak ojciec nazywał jego wieś. Mimo oświadczonej wobec Pierre'a absolutnej obojętności dla wszystkich zdarzeń zewnętrznego świata, gorliwie śledził je, otrzymywał wiele książek, a kiedy do niego albo do jego ojca przyjeżdżali różni ludzie prosto z Petersburga, z samego wiru życia, to sam się temu dziwiąc zauważył, że nie opuszczając wsi, pozostawił ich daleko za sobą w znajomości tego, co się dzieje w polityce zewnętrznej i wewnętrznej.

Poza sprawami swych dóbr, poza pracą związaną z czytaniem najróżniejszych książek książę Andrzej pracował w tym czasie nad rozbiorem krytycznym naszych dwóch ostatnich niepomysłnych kampanii i nad projektem zmiany naszych regulaminów wojskowych i ustaw.

Wiosną 1809 roku książę Andrzej udał się do rizańskich dóbr swego syna, których był opiekunem.



Siedział w powozie ogrzewany wiosennym słońcem – spoglądając na pierwszą trawę, pierwsze liście brzozy i pierwsze kłęby białych wiosennych obłoków, przebiegających po olśniewającym błękitnie nieba. O niczym nie myślał, wesoło i bezmyślnie rozglądał się naokoło.

Minęli przeprawę, na której rok temu rozmawiał z Pierre'em. Minęli brudną wieś, gumna, wschodzące oziminy, zbocze z resztkami śniegu koło mostu, podjazd po rozmytej glinie, pasy ścierniska i zieleniejące gdzieniegdzie zarośla i wjechali w brzozowy las ciągnący się z obu stron drogi. W lesie było prawie gorąco, wiatru się nie czuło. Brzezina, cała usiana lepкими liśćmi, nie poruszała się, a spod zeszłorocznych liści, podnosząc je, wysuwała się pierwsza zielona trawa i fioletowe kwiaty. Rozsypane po brzeźniaku tu i ówdzie drobne świerki swą prostacką wieczną zielonością nieprzyjemnie przypominały o zimie. Konie wjechawszy w las parsknęły i jeszcze bardziej się spociły.

Lokaj Piotr powiedział coś do stangreta, a stangret odpowiedział twierdząco. Jednak Piotrowi nie dość było porozumienia uczuciowego ze stangretem: odwrócił się z kozła do pana.

– Jak lekko, jaśnie panie – rzekł uśmiechając się z uszanowaniem.

– Co?

– Lekko, jaśnie panie.

„Co on mówi? – pomyślał książę Andrzej. – Ach, tak, na pewno o wiosnie – pomyślał rozglądając się naokoło. – I wszędzie zielono... tak wcześnie! I brzoza, i czeremcha, i olcha już zaczyna... A dębów jakoś nie widać. O, jest i dąb.”

Na skraju drogi stał dąb. Prawdopodobnie dziesięć razy starszy od brzóz, które stanowiły las, był od każdej z nich dziesięć razy grubszy i dwa razy wyższy. Był to dąb olbrzymi, który ledwo mogłoby dwóch ludzi objąć, z dawno już widać połamanymi konarami i z odartą korą, pokrytą starymi guzami. Ze swymi ogromnymi, niezgrabnymi, niesymetrycznie rozcapierzonymi, powykręcanyimi rękoma i palcami stał wśród uśmiechniętych brzóz, niby stary, gniewny i wzgardliwy potwór. Tylko on jeden nie chciał ulec czarowi wiosny i nie chciał widzieć ani wiosny, ani słońca.

„Wiosna, miłość i szczęście! – zdawał się mówić ów dąb. – Jak się wam nie uprzykszy ciągle jedno i to samo głupie i bezmyślne złudzenie. Wciąż to samo, zawsze to samo oszustwo! Nie ma ani wiosny, ani słońca, ani szczęścia. Ot, patrzcie, siedzą zduszone martwe świerki, zawsze takie same, a oto ja rozcapierzyłem swe połamane, obdarte palce wszędzie, gdzie mi one wyrosły: i na grzbiecie, i z boków; jak wyrosły, tak i stoję – i nie wierzę w wasze nadzieje i kłamstwa.”

Książę Andrzej przejeżdżając przez las obejrzał się kilkakrotnie na ów dąb, jakby się czegoś po nim spodziewał, kwiaty i trawa znajdowały się również i pod dębem, ale on stał wśród nich nieruchomy, potworny i uparty, wiecznie zachmurzony.

„Tak, ten dąb ma rację, po stokroć ma rację – rozmyślał książę Andrzej. – Niechaj inni, młodzi, dadzą się zwodzić temu kłamstwu, my już znamy życie – nasze życie już skończone!” W duszy księcia Andrzeja powstało w związku z tym dębem wiele myśli, myśli beznadziejnych, ale przyjemnie smutnych. Podczas tej podróży jak gdyby na nowo przemyślał całe swe życie i doszedł do dawnej, uspokajającej a beznadziejnej konkluzji, że nic już nie potrzebuje zaczynać, że powinien przeżyć życie nie czyniąc zła, nie niepokojąc się i niczego nie pragnąc.

## II

W związku z opiekuństwem nad dobrami riazańskimi książę Andrzej musiał się zobaczyć z marszałkiem powiatu. Marszałkiem był hrabia Ilia Andreicz Rostow, więc książę Andrzej pojechał do niego w połowie maja.

Był już upalny okres wiosny. Już cały las przyodział się listowiem, był kurz i tak gorąco, że przejeżdżając koło wody, miało się ochotę na kąpiel.

Książę Andrzej niewesoły i zaaferowany myślami o tym, co i jak wywieźć się u marszałka, zbliżył się aleją ogrodową do domu Rostowów w Otradnem. Z prawej strony usłyszał spoza drzew wesole okrzyki kobiece i zobaczył gromadkę dziewcząt przebiegających drogę przed jego powozem. Wyprzedzając inne biegła w kierunku powozu czarnowłosa, bardzo szczuplutka, zadziwiająco szczuplutka czarnooka panienka, w żółtej perkalowej sukni, z głową owiazaną białą chusteczką, spod której wymykały się pasma niesfornych włosów. Dziewczyna coś krzyczała, ale zobaczywszy obcego, nawet nań nie patrząc, zawróciła ze śmiechem.

Książę Andrzej poczuł znienacka ból. Dzień był tak piękny, słońce tak jasne, wszystko wokół tak wesole, a ta szczuplutka, ładniutka panienka nie wiedziała i nie chciała wiedzieć o jego istnieniu, była zadowolona i szczęśliwa ze swojego osobliwego – pewno głupiego – a przecie wesolego i szczęśliwego życia. „Czego się tak cieszy? O czym myśli? Chyba nie o regulaminie wojskowym i nie o zaprowadzeniu czynszu w dobrach riazańskich. O czym ona myśli? Co ją uszczęśliwia?” – zadawał sobie pytanie książę Andrzej z mimowolną ciekawością.

W roku 1809 hrabia Ilia Andreicz pędził życie w Otradnem tak samo jak dawniej, to jest goszcząc całą bez mała gubernię, urządzając polowania, przedstawienia, obiady, koncerty. Rad był księciu Andrzejowi, podobnie jak każdemu nowemu gościowi, i niemal gwałtem zatrzymał go na nocleg.

W ciągu nudnego dnia zabawiali księcia Andrzeja starsi gospodarstwo i co znamienitsi goście, których w domu starego hrabiego było pełno z okazji zbliżających się imienin. Bołkoński kilkakrotnie spoglądał na Nataszę, która wśród młodej połowy towarzystwa śmiała się z czegoś i bawiła, i zadawał sobie pytanie: „O czym ona myśli? Z czego tak się cieszy?”

Wieczorem pozostawszy sam, długo nie mógł zasnąć w nowym miejscu. Czytał, potem zgasił świecę i znowu zapalił. W pokoju z okiennicami zamkniętymi z zewnątrz było gorąco. Zżymał się na tego głupiego starucha (tak nazywał Rostowa), który go zatrzymał upewniając, że jeszcze nie dostarczono niezbędnych papierów, znajdujących się w mieście, zżymał się na siebie za to, że pozostał.

Książę Andrzej wstał i podszedł do okna, żeby je otworzyć.

Jak tylko otworzył okiennice, do pokoju wdarło się światło księżycy, które jak gdyby czatowało u okna i na to tylko czekało. Otworzył okno. Noc była chłodna, cicha, jasna. Przed samym oknem stał rząd przyszczyżonych drzew, czarnych z jednej strony i srebrzysto oświetlonych z drugiej. Pod drzewami była jakaś soczysta, mokra, kędzierzawa roślinność o srebrzystych tu i ówdzie liściach i łodygach. Dalej za czarnymi drzewami był jakiś lśniący od rosy dach, bardziej na prawo duże kędzierzawe drzewo z jaskrawobiałymi konarami i pnem,

a nad nim księżyc niemal w pełni na jasnym, bezgwiezdny wiosennym niebie. Książę Andrzej wsparł łokcie o parapet i patrzył nieruchomo na niebo.

Pokój księcia Andrzeja znajdował się na środkowym piętrze, w pokojach nad nim również ktoś mieszkał i nie spał. Usłyszał z góry głosy kobiece.

– Tylko raz jeszcze – powiedział na górze kobiecy głos, który książę Andrzej poznał od razu.

– Ale kiedy będziesz spać? – odpowiedział drugi głos.

– Nie będę spać, nie mogę, cóż na to poradzę! No, ostatni raz...

Dwa głosy niewieście zaśpiewały jakąś frazę muzyczną, która była zakończeniem czegoś.

– Ach, jakie to cudne! A teraz spać, i basta.

– Śpij, ale ja nie mogę – odpowiedział pierwszy głos zbliżywszy się do okna. Widocznie wychyliła się z okna, gdyż było słychać szelest jej sukni i nawet oddech. Wszystko przycichło i skamieniało, podobnie jak księżyc, jak jego blask i cienie. Książę Andrzej również bał się poruszyć, żeby nie zdradzić swej mimowolnej obecności.

– Sonia! Sonia – znów się rozległ pierwszy głos – jak można spać! Popatrz, jak cudnie! Ach, jak cudnie! Soniu, zbudźże się – rzekła niemal ze łzami w głosie. – Przecież jeszcze nigdy nie było tak cudnej nocy, nigdy.

Sonia odpowiedziała coś niechętnie.

– Ale popatrz, jaki księżyc!... Ach, jak cudnie! Chodź tu. Moja droga, moja kochana, chodź tutaj. No, widzisz?

A ja bym kucnęła, o tak, objęłabym się pod kolana – mocno, jak najmocniej trzeba się wyteńczyć i – poleciałabym. O tak!

– Dostyc tego, spadniesz.

Rozległo się szamotanie i niezadowolony głos Soni:

– Przecież już druga.

– Ach, tylko psujesz mi wszystko. No idź, idź. Wszystko umilkło, ale książę Andrzej wiedział, że ona jeszcze ciągle tutaj siedzi, czasami słyszał cichy szmer, czasami westchnienie. – Kiedy spać, to spać – i zatrasnęła okno.

„Cóż ją obchodzi, że ja istnieję! – pomyślał książę Andrzej przysłuchując się jej słowom, gdyż spodziewał się i zarazem lękał, że powie coś o nim. – I znowu ona! Jakby naumyślnie!” – pomyślał. Znienacka w jego duszy powstał tak niespodziewany zamęt młodych myśli i nadziei zupełnie sprzecznych z jego całym życiem, że nie czując się na siłach, by zdać sobie sprawę ze swego stanu, natychmiast usnął.

### III

Nazajutrz ksiązę Andrzej, nie doczekawszy się, aż panie zejda, pożegnał się tylko z hrabiną i pojechał do domu.

Już był początek czerwca, kiedy ksiązę, wracając do domu, znowu wjechał w ów brzozy zagajnik, w którym stary, sękaty dąb tak bardzo go zdumiał i wrył się w pamięć. Dzwonki uprząży jeszcze bardziej głucho dźwięczały w lesie niż półtora miesiąca temu, wszystko było bujne, cieniste i gęste, i młode świerki, rozsypane po lesie, nie naruszały ogólnego piękna i naśladując ogólny charakter otoczenia zieleniły się delikatnie puszystymi, młodymi pędami.

Cały dzień panował upał, gdzieś zbierało się na burzę, ale kurz drogi i soczyste liście opryskała tylko nieduża chmurka. Lewa strona lasu była ciemna, cienista; prawa – mokra, lśniąca, błyszczała w słońcu zaledwie poruszając się od wiatru. Wszystko kwitło, słowiki kłaskały, trelując to bliżej, to dalej.

„Aha, tu w tym lesie, był dąb, z którym się zgadzałem – pomyślał ksiązę Andrzej. – Ale gdzie on?” – pomyślał znowu patrząc na lewą stronę drogi, a sam tego nie wiedząc i nie poznając dębu, którego szukał, lubował się nim. Stary dąb, zupełnie odmieniony, rozpostarł soczystą, ciemną zieleń niby namiot, omdlewał lekko rozkołysany w promieniach przedwieczornego słońca. Nic nie było widać – ani koślawych palców, ani zrakowaceń, ani dawnego niedowierzania i smutku. Przez twardą stuletnią korę przebijały się gładkie, soczyste młode listki, bez gałązek, aż trudno było uwierzyć, że wydał je ten staruszek. „Przecie to ten sam dąb” – pomyślał ksiązę Andrzej i niespodziewanie ogarnęło go bez wszelkiego powodu wiosenne uczucie radości i odrodzenia. I w tej samej chwili przypomniały mu się nagle najlepsze chwile jego życia. I Austerlitz z wysokim niebem, i martwe oblicze żony z wymówką, i Pierre na promie, i dziewczyna wzruszona pięknem nocy, i księżyc – wszystko to przypomniało mu się znienna.

„Nie, w trzydziestym pierwszym roku życia się nie kończy – stanowczo, nieodwołalnie rozstrzygnął ksiązę Andrzej, – Nie dość tego, że wiem o wszystkim, co jest we mnie, ale trzeba, żeby wszyscy o tym wiedzieli: i Pierre, i ta panienka, która chciała wzlecieć do nieba, trzeba, żeby wszyscy mnie znali, ażebym żył nie tylko dla siebie, żeby wszyscy nie żyli tak niezależnie od mego życia, żeby się ono odbijało na nich i żeby oni żyli wraz ze mną!”

Wróciwszy z podróży, ksiązę Andrzej postanowił pojechać jesienią do Petersburga i obmyślił różne powody takiego postanowienia. Co chwila miał na swe usługi szereg rozumnych, logicznych dowodów na to, że musi się udać do Petersburga i nawet wstąpić na służbę. Teraz nawet już nie pojmował, jak mógł kiedyś wąpić o konieczności wzięcia czynnego udziału w życiu, zupełnie tak jak miesiąc temu nie rozumiał, by mógł powziąć myśl wyjazdu ze wsi. Widział jasno, że całe jego doświadczenie życiowe przepadłoby, że byłoby absurdem, gdyby go nie zastosował praktycznie i znowu nie wziął czynnego udziału w życiu. Nawet nie pojmował, jak na podstawie tak wątych dowodów rozumu było przedtem oczywiste, że poniżyłby się, gdyby teraz, po takich nauczках, jakie mu dało życie, znowu uwierzył, że może stać się pożytecznym, że może znaleźć szczęście i miłość. Obecnie rozum podpowiadał zupełnie coś innego. Po owej podróży ksiązę Andrzej jał nudzić się na wsi, dawne zajęcia nie interesowały go; często, siedząc samotnie w gabinecie, wstawał, podchodził do lustra i długo przy-

glądał się swej twarzy. Potem odwracał się i patrzył na portret nieboszczki Lizy, która z lokami nastroszonymi *à la grecque*<sup>421</sup> spoglądała na niego ze złotych ram tkliwie i wesoło. Już nie mówiła mężowi dawnych okropnych słów, patrzyła nań z prostotą, z wesołym zaciekawieniem. I książę Andrzej, założywszy ręce do tyłu, długo chodził po pokoju wertując owe nierozsądne, nie wyrażone w słowach, ukryte niby przestępstwo myśli, związane z Pierre'em, ze sławą, z panienką w oknie, z dębem, z niewieścią urodą i miłością, które odmieniły całe jego życie, i to chmurzył się, to znów uśmiechał. A gdy w takich chwilach ktoś wchodził do pokoju, bywał szczególnie oschły, surowy, stanowczy i osobliwie nieprzyjemnie logiczny.

– *Mon cher* – mówiła na przykład księżniczka Maria wchodząc w takiej chwili – dziś Nikołuszka nie może iść na spacer: jest bardzo zimno.

– Gdyby było ciepło – odpowiadał siostrze w takiej chwili książę Andrzej szczególnie oschle – to poszedłby w samej koszulce, a ponieważ jest zimno, trzeba mu włożyć ciepłe ubranie, które w tym celu zostało wymyślone. To właśnie wynika z tego, że jest zimno, a nie to, żeby siedzieć w domu, kiedy dziecku potrzeba powietrza – mówił ze szczególną logiką, jak gdyby karząc kogoś za tę tajemną, nielogiczną, wewnętrzną pracę, jaka się w nim dokonywała. W takim wypadku księżniczka Maria myślała, jak to praca umysłowa wysusza mężczyzn.

---

<sup>421</sup> Na sposób grecki.

## IV

Książę Andrzej przyjechał do Petersburga w sierpniu 1809 roku. Był to okres apogeum sławy Sperańskiego i pełni przewrotów, jakich dokonywał. W tym samym sierpniu powóz, którym jechał monarcha, wywrócił się, cesarz nadwreżył sobie nogę i przez trzy tygodnie pozostał w Peterhofie, widując się codziennie i wyłącznie ze Sperańskim. W owym czasie przygotowywano nie tylko dwa słynne ukazy – o zniesieniu rang dworskich i o egzaminach na stopień asesorów kolegialnych i radców – które zaniepokoiły towarzystwo, lecz i całą konstytucję państwa, która miała zmienić istniejący w Rosji system sądowy, administracyjny i finansowy – od rady stanu aż po zarządy gminne. Obecnie urzeczywistniały się i wcielały w życie te nieokreślone liberalne rojenia, z którymi Aleksander wstępował na tron i które zamierzał urzeczywistnić przy pomocy swych pomocników: Czartoryskiego, Nowosilcowa, Koczubeja i Strogonowa, których sam nazywał żartem *commité du salut publique*<sup>422</sup>.

Obecnie ich wszystkich zastąpił Sperański w sprawach cywilnych i Arakczejew w wojskowych. Wkrótce po swym przyjeździe książę Andrzej, jako szambelan, zjawił się na dworze i był przy ukazaniu się monarchy. Monarcha widział go dwa razy i nie zaszczycił ani jednym słowem. Księciu Andrzejowi jeszcze przedtem wciąż się zdawało, że jest monarsze antypatyczny, że jego twarz i cała jego istota są mu niemiłe. Po oschłym, odpychającym spojrzeniu, jakim go monarcha obrzucił, książę Andrzej jeszcze bardziej niż przedtem utwierdził się w swym przypuszczeniu. Dworacy wytłumaczyli księciu Andrzejowi ów brak łaskawości monarchy tym, że jego cesarska mość jest niezadowolony, iż Bołkoński nie służył od roku 1805.

„Sam wiem, jak nie mamy władzy nad swymi sympatiami i antypatiami – myślał książę Andrzej – i dlatego nie ma nawet co myśleć, żeby osobiście przedstawić monarsze mój memoriał o regulaminie wojskowym, ale rzecz będzie mówiła sama za siebie.” Powiadomił o swoim memoriale starego feldmarszałka, przyjaciela ojca. Feldmarszałek przyjął go uprzejmie o wyznaczonej godzinie i obiecał zameldować monarsze. Po kilku dniach zawiadomiono księcia Andrzeja, że ma się stawić u ministra wojny, hrabiego Arakczejewa.

W wyznaczonym dniu o dziewiątej rano książę Andrzej zjawił się w poczekalni hrabiego Arakczejewa.

Książę Andrzej nie znał Arakczejewa osobiście i nigdy go nie widział, ale wszystko, co o nim wiedział, nie wzbudzało w nim szacunku dla tego człowieka.

„Jest ministrem wojny, mężem zaufania jego cesarskiej mości, nikogo nie powinny obchodzić jego osobiste cechy, ma polecenie zbadać mój memoriał, a zatem tylko on może nadać sprawie tok” – myślał książę Andrzej siedząc w poczekalni hrabiego Arakczejewa wraz z innymi ważnymi lub mało ważnymi osobistościami.

W okresie swej służby przeważnie adiutanckiej książę Andrzej widział dużo poczekalni ważnych osobistości i odmienne charaktery tych poczekalni były dlań zrozumiałe. Poczekalnia hrabiego Arakczejewa miała charakter całkiem osobliwy. W poczekalni hrabiego Arak-

---

<sup>422</sup> Komitet ocalenia publicznego. Aluzja do Komitetu Ocalenia Publicznego z czasów rewolucji francuskiej, a jednocześnie – do liberalnych zasad, którym w początku panowania hołdowała grupa wymienionych tu działaczy, najbliższych wówczas doradców Aleksandra I.

czejewa osoby mniej znaczne, czekające na audiencję, miały wypisane na twarzach zawstyżenie i pokorę; dygnitarские wyrażały ogólne poczucie zakłopotania, ukrywanego pod maską nonszalancji i drwiny z siebie, ze swej sytuacji i z osobistości, na którą czekają. Niektórzy w zamyśleniu chodzili tam i z powrotem, inni szeptali i śmiali się; książe Andrzej usłyszał *sobriquet*<sup>423</sup>

„Siła Andreicz”, i słowa: „Wujcio nam pokaże”, odnoszące się do hrabiego Arakczejewa. Pewien generał (ważna osobistość) widać dotknięty tym, że musi tak długo czekać, siedział przekładając raz po raz nogi i wzdorliwie uśmiechając się do siebie.

Ale gdy tylko drzwi się otwierały, twarze wszystkich wyrażały tylko jedno – strach. Książe Andrzej poprosił dyżurnego, żeby jeszcze raz go zameldował, ale spojrzano na niego kpiąco i powiedziano, że w swoim czasie przyjdzie kolej na niego. Po kilku osobach, wprowadzonych i wyprowadzonych przez adiutanta, w straszne drzwi gabinetu ministra wpuszczono oficera, który zadziwił księcia Andrzeja swym unizonym i przestraszonym wyrazem twarzy. Audiencja oficera trwała długo. Nagle spoza drzwi rozległy się gromy nieprzyjemnego głosu; wyszedł stamtąd oficer – blady, – blady, z drżącymi wargami – i chwyciwszy się za głowę szedł przez poczekalnię.

Zaraz potem księcia Andrzeja poprowadzono do drzwi. Dyżurny rzekł szeptem: „Na prawo, przy oknie.”

Książe Andrzej wszedł do skromnego, schludnego gabinetu. Ujrzał przy biurku czterdziestoletniego człowieka o długiej talii, z podłużną, ostrzyżoną krótko głową i głębokimi zmarszczkami, z brwiami nasepionymi nad piwnozielonymi, tępymi oczyma i obwisłym, czerwonym nosem. Arakczejew nie patrząc na niego zwrócił głowę w jego stronę.

– O co pan prosisz?

– Ja o nic nie... proszę, ekscelencjo – rzekł spokojnie książe Andrzej. Oczy Arakczejewa zwróciły się na niego.

– Siadajże, książe Bołkoński – rzekł Arakczejew.

– Ja o nic nie proszę, lecz jego cesarska mość raczył przesłać waszej ekscelencji przedłożony przeze mnie memoriał...

– Kochany książe, zechciej przyjąć do wiadomości, że pański memoriał przeczytałem – przerwał mu Arakczejew, ale tylko pierwsze słowa wyrzekł uprzejmie, potem nie patrząc mu w oczy i wpadając w ton coraz bardziej pogardliwie gderliwy mówił: – Proponujesz, książe, nową ustawę wojskową? Ustaw mamy dużo, tylko że i starych nie ma komu przestrzegać. Dziś wszyscy układają prawa; układać lżej niż wypełniać.

– Przybyłem zgodnie z wolą jego cesarskiej mości, by się dowiedzieć, jaki bieg zamierza ekscelencja nadać przedłożonemu memoriałowi – rzekł uprzejmie książe Andrzej.

– Na pańskim memoriale wypisałem rezolucję i posłałem do komitetu. Ja nie apróbuję – rzekł Arakczejew wstając i wyjmując z biurka papier. – Proszę – podał księciu Andrzejowi.

W poprzek papieru było napisane ołówkiem, nieortograficznie, bez dużych liter, bez znaków przestankowych: „wykoncypowane bez gruntowności ile że jako naśladowanie francuskiej ustawy wojskowej spisanej i odwojennego regulaminu bezpotrzeby odstępującego.”

– Jakiemu komitetowi został przekazany memoriał? – zapytał książe Andrzej.

– Do komitetu ustawy wojskowej, a ja zleciłem zaliczenie waszej mości jako członka. Tylko bez pensji. Książe Andrzej uśmiechnął się.

– Nie pragnę bynajmniej.

– Jako członek bez pensji – powtórzył Arakczejew.

– Mam honor... Hej! wołaj! Kto jeszcze? – wykrzyknął kłaniając się księciu Andrzejowi.

---

<sup>423</sup> Przewisko.

## V

Czekając na zawiadomienie o zaliczeniu go w poczet członków komitetu, książę Andrzej odnowił stare znajomości, szczególnie z tymi osobistościami, o których wiedział, że mają znaczenie i mogą mu się przydać. Obecnie w Petersburgu doznawał podobnego uczucia jak w przeddzień bitwy, kiedy go dręczyła niespokojna ciekawość i coś niepohamowanie ciągnęło do wyższych sfer, tam gdzie przygotowywano przyszłość, od której zależał los milionów. Z rozjątrzenia starych, z zaciekawienia nie wtajemniczonych, ze skwapliwości i zafrasowania wszystkich, z niezliczonej ilości komitetów, komisji, o których istnieniu dowiadywał się codziennie na nowo, wyczuwał, że obecnie, w roku 1809, tutaj, w Petersburgu, zanosilo się na ogromną bitwę cywilną, której wodzem naczelnym była nieznana, tajemnicza, zdająca mu się genialną, osobistość – Sperański. I sama sprawa przemian, które znał bardzo mętnie, i Sperański – główny działacz, zaczęli go interesować tak namiętnie, że sprawa regulaminu wojskowego bardzo szybko zaczęła schodzić w jego świadomości na drugi plan.

Książę Andrzej znajdował się w nader korzystnej sytuacji, aby być dobrze przyjętym w najróżniejszych i najwyższych sferach ówczesnego towarzystwa petersburskiego. Partia reformatorów przyjmowała go serdecznie i wabiła do siebie, po pierwsze dlatego, że miał reputację człowieka rozumnego i bardzo czytanego, po wtóre zaś, że uwolniwszy chłopów, zyskał sobie opinię liberała. Partia starych, niezadowolonych, zwracała się do niego po prostu jako do syna swego ojca, szukając u niego współczucia, potępiając zmiany. Towarzystwo kobiece, świat, przyjmowało go również z wylaniem, ponieważ był partią, człowiekiem bogatym i świetnym, a przy tym był osobistością niemal nową – z aureolą romantycznej historii o mniemanej swojej śmierci i tragicznym zgonie żony. Poza tym opinia o nim wszystkich, którzy go znali przedtem, głosiła, że w ciągu tych pięciu lat bardzo zmienił się na lepsze, złagodniał i zmężniał, że już w nim nie ma dawnej pozy, dumy i drwiny, lecz ów spokój, który przychodzi z latami. Zaczęto o nim mówić, interesować się nim, wszyscy pragnęli go widzieć.

Nazajutrz po wizycie u hrabiego Arakczajewa książę Andrzej był wieczorem u hrabiego Koczubeja. Opowiedział hrabiemu o swym spotkaniu z Siłą Andreiczem (Koczubej tak nazywał Arakczajewa – z tą samą nieokreśloną drwiną z czegoś, jaką książę zauważył w poczekalni ministra wojny).

– *Mon cher*, nawet i w tej sprawie nie unikniecie Michała Michajłowicza. *C'est le grand faiseur*.<sup>424</sup> Powiem mu. Obiecał być wieczorem.

– Ale co ma Sperański do regulaminów wojskowych? – zapytał książę Andrzej.

Koczubej, uśmiechnąwszy się, pokiwał głową, jak gdyby się dziwił naiwności Bołkońskiego.

– Niedawno rozmawiałem z nim o księciu – ciągnął Koczubej – o pańskich wolnych o r a c z a c h...

– Ach, to książę uwolnił swych chłopów? – rzekł starzec z epoki Katarzyny, wzgardliwie zwracając się do Bołkońskiego.

---

<sup>424</sup> To jest wielki działacz.



– Mały majątek nie dawał wcale dochodu – odpowiedział Bołkoński, żeby niepotrzebnie nie drażnić staruszka i próbując osłabić przed nim znaczenie swego postępuku.

– *Vous craignez d'être en retard*<sup>425</sup> – oświadczył staruszek patrząc na Koczubeja.

– Nie rozumiem jednego – ciągnął dalej starzec – kto będzie ziemię orał, jeśli się ich uwolni? Łatwo jest prawa układać, ale rządzić trudno. A choćby teraz: pytam ciebie, hrabio, kto będzie naczelnikiem urzędów, skoro wszyscy mają zdawać egzaminy?

– Sądzę, że ci, co zdadzą egzaminy – odpowiedział Koczubej zakładając nogę na nogę i rozglądając się.

– Choćby u mnie – służy Prianicznikow, wspaniały człowiek, złoty człowiek, ma sześćdziesiąt lat, czy i on pójdzie na egzamin?

– Tak, to bardzo kłopotliwe, ile że oświecenie jest mało upowszechnione, ale... – Hrabia Koczubej nie dokończył, wstał, ujął księcia Andrzeja pod ramię i wyszedł na spotkanie wchodzącego – wysokiego łysego blondyna w wieku lat czterdziestu, z dużym odsłoniętym czołem i niezwykłą, dziwną białością podłużnej twarzy. Przybyły miał na sobie granatowy frak, krzyż na szyi i gwiazdę na lewej stronie piersi. Był to Sperański. Księżę Andrzej od razu go poznał i w duszy jego coś drgnęło, jak zazwyczaj bywa w ważnych momentach życia. Czy to był szacunek, zawiesz czy oczekiwanie – nie wiedział. Cała postać Sperańskiego miała osobliwy typ, po którym od razu go było można poznać. Księżę Andrzej u nikogo w tym towarzystwie, w którym przebywał, nie widział takiego spokoju i pewności siebie, tak niezręcznych i tępych ruchów, u nikogo nie widział tak stanowczego, a zarazem miękkiego wejrzenia na pół przymkniętych i nieco wilgotnych oczu, nie widział takiej stanowczości, nic nie mówiącego uśmiechu, tak delikatnego, równego, cichego głosu i, co najważniejsze – takiej białości twarzy, a zwłaszcza rąk nieco za szerokich, ale niezwykle pulchnych, delikatnych. Taką białosc i delikatność cery księżę Andrzej widział tylko u żołnierzy, którzy przebywali długo w szpitalu. To był Sperański, sekretarz stanu, osobisty sprawozdawca monarchy i jego współtowarzysz podróży do Erfurtu, gdzie nieraz widział się i rozmawiał z Napoleonem.

Sperański nie przebiegał oczyma z jednej osoby na drugą, jak to robimy mimo woli, znalazłszy się w dużym towarzystwie, i nie spieszył się z rozpoczynaniem rozmowy. Mówił spokojnie, pewny, że wszyscy będą słuchać, patrzył zaś tylko na tego z kim rozmawiał.

Księżę Andrzej ze szczególną uwagą śledził każde słowo i każdy ruch Sperańskiego. Jak to bywa z ludźmi, szczególnie z tymi, co surowo sądzą swych bliźnich, księżę Andrzej spotykając się z nową osobistością, zwłaszcza taką jak Sperański, którego znał z opinii, zawsze oczekiwał, że znajdzie w niej pełnię doskonałości zalet ludzkich.

Sperański oznajmił Koczubejowi, iż przykro mu, że nie mógł przybyć wcześniej, albowiem zatrzymano go w pałacu. Nie powiedział, że to monarcha go zatrzymał. Księżę Andrzej zauważył również tę afektację skromności. Kiedy Koczubej wymienił mu nazwisko księcia Andrzeja, Sperański powoli, z tym samym uśmiechem, zwrócił oczy na Bołkońskiego i w milczeniu jął na niego patrzeć. Bardzom rad poznać księcia, słyszałem o panu, jak i wszyscy – rzekł.

Koczubej opowiedział w kilku słowach, jak Arakcejew przyjął Bołkońskiego. Sperański uśmiechnął się jeszcze bardziej.

– Dyrektorem komisji ustaw wojskowych jest mój dobry przyjaciel, pan Magnicki – oświadczył, wyraźnie wymawiając każdą sylabę i każde słowo. – I jeśli księżę sobie życzy, mogę pana z nim poznać. (Umilkł na kropce.) Ufam, że znajdzie pan w nim zrozumienie i chęć współdziałania we wszystkim co rozumne.

Przy Sperańskim natychmiast utworzyło się kółko; a ów starzec, który mówił o swym urzędniku Prianicznikowie, również zwrócił się do Sperańskiego z zapytaniem.

Księżę Andrzej, nie wtrącając się do rozmowy, obserwował wszystkie ruchy Sperańskiego, owego człowieka, który – niedawno biedny seminarzysta – obecnie trzymał w swych rękach,

---

<sup>425</sup> Boisz się spóźnić.

białych, pulchnych rękach, losy Rosji, jak myślał Bołkoński. Księcia Andrzeja uderzył niezwykły, wzdurliwy spokój, z jakim Sperański odpowiedział staruszkowi. Zdawało się, iż swe pobłażliwe słowa zwraca do niego z niezmierną wysokością. Kiedy starzec jął mówić zbyt głośno, Sperański uśmiechnął się i oświadczył, że nie może sądzić, czy to, co się podoba monarsze, jest korzystne czy niekorzystne.

Porozmawiawszy pewien czas w ogólnym kółku Sperański wstał, zbliżył się do księcia Andrzeja i zabrał go w drugi koniec pokoju. Widać było, że uważał za niezbędne zająć się Bołkońskim.

– Nie miałem możliwości porozmawiać z księciem wśród tej ożywionej rozmowy, do której mnie wciągnął ów szanowny starzec – rzekł i uśmiechnął się z łagodną wzdurą, jak gdyby stwierdzając tym uśmiechem, że wraz z księciem Andrzejem rozumie nicość ludzi, z którymi dopiero co rozmawiał. Obejście takie pochlebiło księciu Andrzejowi. – Znam księcia dawno, po pierwsze z tego, co pan uczynił dla swych chłopów, to pierwszy u nas przykład i należałoby sobie życzyć, by znalazł więcej naśladowców, a po drugie, jesteś księżem jednym z tych szambelanów, co nie uważali się za dotkniętych nowym dekretem o rangach dworskich, który wywołał tyle pogłosek i plotek.

– Tak – odrzekł księżę Andrzej – ojciec nie chciał, bym korzystał z tego prawa; zacząłem służbę od najniższych stopni.

– Ojczulek księcia, człowiek starej daty, najwidoczniej stoi wyżej od naszych współczesnych, którzy tak potępiają to zarządzenie przywracające jedynie naturalną sprawiedliwość.

– Sądzę jednak, że ta krytyka ma pewne uzasadnienie – rzekł księżę Andrzej starając się walczyć z wpływem Sperańskiego, który już zaczynał odczuwać. Było mu nieprzyjemnie we wszystkim się z nim zgadzać: chciał oponować. Księżę Andrzej, mówiący zazwyczaj gładko i dobrze, obecnie, rozmawiając ze Sperańskim, czuł pewną trudność w wysławianiu się. Zbyt go pochłaniało obserwowanie znamienitej osoby.

– Uzasadnienie w osobistych ambicjach – wtrącił spokojnie swoje słowo Sperański.

– Częściowo i dla państwa – oświadczył księżę Andrzej.

– Jak to księżę rozumiesz?... – zapytał Sperański spokojnie, spuściwszy oczy.

– Jestem wielbicielem Montesquieu – odrzekł księżę Andrzej – I jego myśl, że *le principe des monarchies est l'honneur, me paraît incontestable. Certains droits et privilèges de la noblesse me paraissent être des moyens de soutenir ce sentiment.*<sup>426</sup>

Uśmiech znikł z białej twarzy Sperańskiego i jego fizjonomia wiele na tym zyskała. Prawdopodobnie myśl księcia Andrzeja wydała mu się ciekawa.

– *Si vous envisagez la question sous ce point de vue*<sup>427</sup> – zaczął. Widać było, że wymowa francuska sprawia mu trudność, i mówił jeszcze wolniej niż po rosyjsku, ale z całkowitym spokojem. Powiedział, że honor, *l'honneur*, nie może być podtrzymywany przywilejami, szkodliwymi dla toku służby, że honor, *l'honneur*, jest to bądź negatywne pojęcie nieczynienia czegokolwiek godnego potępienia, bądź pewnego rodzaju współzawodnictwo w celu zyskania aprobaty zwierzchności i nagród, które ją wyrażają. Jego wywody były zwięzłe, proste i jasne.

– Instytucja podtrzymująca ów honor, źródło współzawodnictwa, to instytucja podobna do *légion d'honneur*<sup>428</sup> wielkiego cesarza Napoleona, która nie szkodzi interesowi służby, ale sprzyja mu, lecz nie poprzez przywilej stanowy czy dworski.

– Nie oponuję, jednak nie można zaprzeczyć, że przywilej dworski osiągnął ten sam cel – oświadczył księżę Andrzej – każdy dworak uważa za swoją powinność godnie pełnić obowiązki wynikające z jego położenia.

<sup>426</sup> Podstawą monarchii jest honor, wydaje mi się niewątpliwe. Pewne prawa i przywileje szlachty wydają mi się środkami, które mogą podtrzymać to uczucie.

<sup>427</sup> Jeśli pan traktuje sprawę z tego punktu widzenia...

<sup>428</sup> Legii honorowej.

– Jednak książę nie chciałeś z niego korzystać – rzekł Sperański okazując uśmiechem, że spór żenujący dla rozmówcy pragnie zakończyć uprzejmością. – Jeśli zrobi mi książę zaszczyt odwiedzając mnie w środę – dodał – to, pomówiwszy uprzednio z Magnickim, zapoznam księcia z tym, co może go zainteresować, a poza tym będę miał przyjemność porozmawiać z księciem obszerniej. – Przymknął oczy, skłonił się i *à la française*<sup>429</sup>, nie żegnając się, wyszedł z salonu, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

---

<sup>429</sup> Na sposób francuski.

## VI

W pierwszym okresie swego pobytu w Petersburgu księżę Andrzej czuł, że cały jego system myślenia, wypracowany w samotności, jest całkowicie przyćmiony drobnymi kłopotami, jakie go tu ogarnęły.

Wieczorem, wróciwszy do domu, zapisywał w notatniku cztery lub pięć niezbędnych wizyt czy *rendez vous* w oznaczonych godzinach. Mechanizm życia, dyspozycja dnia, taka, żeby wszędzie zdążyć w porę, zabierały większą część energii życiowej. Nic nie robił, o niczym nawet nie myślał i nie nadązał myśleć, tylko mówił, i z powodzeniem mówił o tym, co przedtem zdołał przemyśleć na wsi.

Czasami zauważał z niezadowoleniem, że zdarzało mu się jednego i tego samego dnia powtarzać w różnym towarzystwie jedno i to samo. Lecz tak był zajęty całymi dniami, że ani zdążył pomyśleć o tym, że nic nie myślał. Sperański, zarówno przy pierwszym spotkaniu z nim u Koczubeja, jak i później, w środę, u siebie w domu, gdzie przyjął Bołkońskiego w cztery oczy i rozmawiał z nim długo i poufnie, wywarł na księciu Andrzeju silne wrażenie.

Księżę Andrzej tak ogromną ilość ludzi uważał za istoty godne pogardy i nikczemne, tak pragnął znaleźć w kimś żywy ideał doskonałości, do której dążył, że nader łatwo uwierzył, iż w Sperańskim znalazł ów ideał człowieka w pełni rozumnego i cnotliwego. Gdyby Sperański należał do tego towarzystwa, do którego należał księżę Andrzej, gdyby miał to samo wychowanie i te same nawyki moralne, to Bołkoński prędko by znalazł jego słabą, ludzką, bynajmniej nie bohaterską stronę, ale obecnie ów dziwny dla niego, logiczny układ umysłu, tym większy wzbudzał w nim szacunek, że niezupełnie go rozumiał. Poza tym Sperański – czy to, że cenił zdolności księcia Andrzeja, czy że uważał za potrzebne pozyskać go sobie – kokietował księcia Andrzeja swym beznamytnym, spokojnym intelektem i pochlebiał mu owym subtelnym pochlebstwem, skojarzonym z zadufaniem, które polegało na milczącym uznawaniu swego rozmówcy – wraz z sobą samym – za jedyne go człowieka, będącego w stanie pojąć całą głupotę wszystkich pozostałych oraz rozum i głębię swoich myśli.

Podczas ich długiej rozmowy w środę wieczorem Sperański nieraz powiadał: „U nas patrzy się na wszystko, co wykracza poza ogólny poziom zakorzenionego nawyku...”, albo z uśmiechem: „Ale my chcemy, żeby i wilki były syte, i owce całe...”, albo: „Oni tego nie mogą zrozumieć...”, a wszystko z takim wyrazem, jakby mówił: „My – pan i ja, my rozumiemy, kto to są oni, kto my.”

Owa pierwsza długa rozmowa ze Sperańskim umocniła w księciu Andrzeju to uczucie, z którym ujrzał go po raz pierwszy. Widział w nim rozumnego, ściśle myślącego człowieka ogromnego umysłu, który dzięki energii i uporowi doszedł do władzy i używał jej wyłącznie dla dobra Rosji.

W oczach księcia Andrzeja Sperański był właśnie tym człowiekiem, który w sposób rozumny tłumaczy wszystkie zjawiska życiowe, uważa za rzeczywiste tylko to, co rozumne, i potrafi do wszystkiego przykładać miernik rozumowy – człowiekiem, jakim sam chciał być. W wywodach Sperańskiego wszystko przedstawiało się tak jasno i prosto, że księżę Andrzej mimo woli we wszystkim z nim się zgadzał. Jeśli oponował i spierał się, to tylko dlatego, że umyślnie chciał zachować samodzielność i nie ze wszystkim ulegać poglądom Sperańskiego.

Wszystko to było tak dobre, wszystko to było doskonałe, ale jedna rzecz raziła księcia Andrzeja: było to spojrzenie Sperańskiego – zimne, zwierciadlane, nie pozwalające wniknąć w duszę, i jego biała, delikatna ręka, na którą książę Andrzej mimo woli patrzył tak, jak się patrzy na ręce tych, co dzierżą władzę. Zwierciadlane spojrzenie i owa delikatna ręka drażniły z jakiegoś powodu księcia Andrzeja. Nieprzyjemnie uderzała księcia Andrzeja zbyt wielka pogarda dla ludzi, jaką dostrzegał w Sperańskim, różnorodność sposobów i dowodów, jakie przytaczał na potwierdzenie swych poglądów. Posługiwał się wszelkimi możliwymi narzędziami myśli, wyjąwszy porównania, i zbyt śmiało, jak się księciu Andrzejowi wydawało, przechodził od jednej materii do drugiej. To zajmował stanowisko działacza praktycznego i krytykował marzycieli, to znów przechodził na pozycję satyryka i pokpiwał sobie ironicznie z przeciwników, to znów stawał się rygorystycznie logiczny, to nagle wznosił się w dziedzinę metafizyki. (Tego narzędzia dowodzeń używał szczególnie często.) Przerzucał kwestię na wyżyny metafizyczne, uciekał się do definicji przestrzeni, czasu, myśli i wynosząc stamtąd unicestwiającą argumentację, znów schodził na grunt sporu.

W ogóle główną cechą umysłu Sperańskiego, uderzającą księcia Andrzeja, była niewątpliwa niezachwiana wiara w siłę i uprawnienia rozumu. Widać było, że Sperańskiemu nigdy nie mogła przyjść do głowy ta zwykła u księcia Andrzeja myśl, że jednak niepodobna wyrazić wszystkiego, co się myśli, i nigdy nie nachodziło go zwątpienie, czy wszystko, co myślę, i wszystko, w co wierzę, nie jest bzdurą? I właśnie ten szczególny układ umysłu Sperańskiego najbardziej pociągał księcia Andrzeja.

W pierwszym okresie znajomości ze Sperańskim książę Andrzej doznawał uczucia namiętnego zachwytu, przypominającego to, co niegdyś żywił dla Bonapartego. Ta okoliczność, że Sperański był synem duchownego, że ludzie głupi mogli byli nim gardzić – i wielu tak czyniło – jako popowiczem – zmuszała księcia Andrzeja do szczególnie pieczołowitego traktowania swego uczucia dla Sperańskiego i nieświadomego potęgowania go w sobie.

Tego pierwszego wieczora, który Bołkoński spędził u niego, Sperański, rozgadawszy się o komisji prawodawczej, opowiedział z ironią księciu Andrzejowi, że komisja ustaw istnieje pięćdziesiąt lat, kosztuje miliony i nic jeszcze nie zdziałała, że Rosenkampff ponaklejał etykiety na wszystkie paragrafy ustawodawstwa porównawczego.

– I oto wszystko, za co państwo zapłaciło miliony! – oświadczył. – My chcemy dać senatowi nową władzę sądowniczą, ale nie mamy ustaw. Dlatego grzech, ażeby tacy ludzie jak książę nie służyli obecnie.

Książę Andrzej odpowiedział, że do tego potrzebne jest wykształcenie prawnicze, którego on nie ma.

– A kto je ma, cóż więc książę chcesz? To *circulus vitiosus*<sup>430</sup>, i żeby z niego wyjść, trzeba zrobić wysiłek.

Po upływie tygodnia książę Andrzej był członkiem komisji statutów wojskowych i, czego się wcale nie spodziewał – naczelnikiem wydziału komisji ustawodawczej. Na prośbę Sperańskiego wziął się do pierwszej części opracowywanego kodeksu cywilnego i przy pomocy *Code Napoléon* i Kodeksu Justyniana pracował nad działem prawa osobowego.

---

<sup>430</sup> Błędne koło.

## VII

Kiedy dwa lata temu, w roku 1808, Pierre wrócił do Petersburga z podróży do swych dóbr, mimo woli znalazł się na czele petersburskiej masonerii. Organizował loże gościnne i grzebalne, werbował nowych członków, zabiegał o zjednoczenie różnych łóż i zebranie autentycznych akt. Dawał pieniądze na urządzenie zborów i, o ile tylko mógł, uzupełniał składki jałmużnicze, w których płaceniu większość członków wykazywała skąpstwo i nieakuratność. Prawie sam jeden własnym sumptem utrzymywał dom dla ubogich, założony przez lożę petersburską.

Tymczasem życie upływało mu jak dawniej, wśród takich samych uciech i rozpusty. Lubił dobrze zjeść i wypić, a choć uważał to za niemoralne i poniżające, nie mógł się jednak powstrzymać od uciech w towarzystwach kawalerskich, do których należał.

W gorączce tych zajęć i rozrywk Pierre po upływie roku zaczął jednak odczuwać, że grunt masonerii, na którym stał, tym bardziej usuwał mu się spod nóg, im pewniej usiłował na nim stanąć. A czuł zarazem, że im głębiej usuwał mu się spod nóg grunt, na którym stał, tym bardziej – wbrew swej woli – pozostawał z nim związany. Kiedy przystępował do wolnomularstwa, doznawał uczucia człowieka, który z ufnością stawia nogę na równej powierzchni bagniska. Postawiwszy nogę, zapadł się. Ażeby całkowicie przekonać się o twardości gruntu, na którym stał, postawił drugą nogę i zapadł się jeszcze głębiej, ugrzązł i już – chcąc nie chcąc – chodził w bagnie po kolana.

Józefa Aleksiejewicza nie było w Petersburgu. (W ostatnich czasach odsunął się od spraw łóż petersburskich i zasiedział się w Moskwie.) Wszystkich braci, członków łóż, Pierre znał w życiu prywatnym, toteż trudno mu było widzieć w nich tylko braci-wolnomularzy, a nie księcia B. czy Iwana Wasiliewicza D., których znał w życiu przeważnie jako ludzi słabych i marnych. Pod masońskimi godłami i fartuchami widział na nich mundury i krzyże, o które ubiegali się w życiu. Często zbierając jałmużnę, doliczywszy się 20–30 rubli przychodu, i to w dodatku zapisanego na dług, od dziesięciu członków, z których połowa była równie bogata jak on, Pierre przypominał sobie masońską przysięgę, zobowiązującą każdego brata do oddania bliźniemu całego swego majątku; w duszy jego powstawały wątpliwości, nad którymi starał się nie zastanawiać.

Wszystkich braci, których znał, podzielił na cztery kategorie. Do pierwszej zaliczył braci nie biorących czynnego udziału ani w sprawach łóż, ani w sprawach tego świata, lecz zajętych wyłącznie tajemnicami doktryny zakonu, zajętych kwestiami dotyczącymi potrójnej nazwy Boga albo trzech pierwiastków wszechrzeczy: siarki, rtęci i soli, albo znaczenia kwadratu i wszystkich figur świątyni Salomona. Pierre považował braci-masonów tej kategorii, do której należeli przeważnie bracia starsi, a wedle mniemania Pierre'a i sam Józef Aleksiejewicz, ale nie podzielał ich zainteresowań... Mistyczna strona masonerii nie przypadała mu do serca.

Do drugiej kategorii Pierre zaliczał siebie oraz innych braci, którzy, podobnie jak on, szukali, wahali się i w masonerii jeszcze nie znaleźli dla siebie prostej i zrozumiałej drogi, ale spodziewali się ją znaleźć.

Do trzeciej kategorii zaliczał braci (a tych było najwięcej), którzy w masonerii nie widzieli nic innego prócz zewnętrznych form i obrzędowości, którzy przywiązywali wagę do bez-

względne wypełnienia tej formy, nie troszcząc się o jej treść i znaczenie. Taki był Willarski, a nawet wielki mistrz głównej loży.

Wreszcie do czwartej kategorii zaliczał również dużą ilość braci, szczególnie tych, którzy wstąpili do bractwa w ostatnich czasach. Wedle obserwacji Pierre'a, byli to ludzie bez żadnych pragnień, w nic nie wierzący, a wstąpili do wolnomularstwa tylko w celu zbliżenia się z braćmi młodymi, bogatymi, mocno ustosunkowanymi i świetnymi, a takich było w loży sporo.

Pierre zaczął odczuwać brak zaspokojenia swą działalnością. Wolnomularstwo, przynajmniej to wolnomularstwo, które znał tutaj, wydawało mu się czasami oparte jedynie na pozorach. Nawet mu do głowy nie przychodziło wątpić o swym wolnomularstwie, ale podejrzewał, że rosyjskie wolnomularstwo wstąpiło na fałszywą drogę i odeszło od własnych źródeł. I dlatego w końcu roku Pierre wyjechał za granicę, aby osiąść wyższe wtajemniczenia zakonu.

Pierre jeszcze latem 1809 roku powrócił do Petersburga. Z korespondencji naszych masońców z masonami zagranicznymi wiadomo było, że za granicą Bezuchow zdołał pozyskać zaufanie wielu wysoko postawionych osobistości, posiadał wiele tajemnic, został wyniesiony na wyższy stopień i przywozi z sobą wiele tego, co niezbędne dla pomyślności wolnomularstwa rosyjskiego. Wszyscy masoni petersburscy przybyli do niego, zabiegali o jego względy i wszystkim się wydawało, że on coś ukrywa i coś przygotowuje.

Wyznaczono uroczyste posiedzenie loży drugiego stopnia, której Pierre obiecał, że przekaże braciom petersburskim zlecenia najwyższych przewodników zakonu. Stawili się wszyscy. Po zwykłych obrzędach Pierre wstał i rozpoczął swe przemówienie.

– Drodzy bracia – zaczął czerwieniąc się, jękając i trzymając napisaną mowę w ręce. – Nie wystarcza w ciszy loży przestrzegać naszych wtajemniczeń, trzeba działać... działać. Znajdujemy się w stanie uśpienia, a powinniśmy działać. – Pierre wziął swój zeszyt i zaczął czytać.

*W celu rozpowszechnienia czystej prawdy i doprowadzenia do tego, by cnota triumfowała – czytał – musimy oczyścić ludzi z przesądów, upowszechnić zasady zgodne z duchem czasu, wziąć na siebie wychowanie młodzieży, połączyć się nierozzerwalnym węzłem z najrozumniejszymi ludźmi, śmiało, a zarazem i z rozwagą przewycięzać zabobon, niewiarę i głupotę, i skupiać ludzi oddanych nam, związanych ze sobą jednością celu i mających władzę i siłę.*

*Aby osiągnąć ten cel, należy dać cnotcie przewagę nad występkiem, należy się starać, żeby uczciwy człowiek osiągał za swe cnoty wieczną nagrodę już na tym świecie. Lecz w tych wielkich zamiarach znajdujemy wiele przeszkód – są nimi obecne instytucje polityczne. Co należy czynić w takiej sytuacji? Czy sprzyjać rewolucjom, wszystko obalić, siłę usunąć siłą?... Nie, jesteśmy nader dalecy od tego. Wszelka reforma narzucona przemocą godna jest potępienia, albowiem nie naprawi zła, póki ludzie pozostają takimi, jakimi są, gdyż mądrość nie musi się uciekać do gwałtu.*

*Cały plan zakonu powinien opierać się na tym, aby kształcić ludzi nieugiętych, cnotliwych i związanych jednym przekonaniem, przekonaniem polegającym na tym, żeby wszędzie i ze wszystkich sił tępić występki i głupotę, opiekować się talentami i cnotą: wydobywać z nicości ludzi godnych i włączać ich do naszego bractwa. Dopiero wówczas nasz zakon będzie miał moc – w sposób nie dający się odczuć – wiązania rąk protektorom nieporządku i kierowania nimi tak, by tego sami nie dostrzegali. Słowem, należy stworzyć ogólnie panujący wzór rządzenia, który rozprzestrzeniłby się na cały świat, nie naruszając więzów obywatelskich i przy którym wszystkie inne rządy mogłyby nadal działać zwykłym porządkiem i robić wszystko – wyjąwszy to, co stoi na zawadzie wielkiemu celowi naszego zakonu, czyli odniesieniu przez cnotę triumfu nad występkiem. Cel ów zakładało chrześcijaństwo. Uczyło ono ludzi mądrości i dobroci, i naśladowania – dla własnej korzyści – przykładu i nauk najlepszych i najmądrzejszych z ludzi.*

*Kiedy wszystko jeszcze było pogrążone w mroku, wystarczało, oczywista, samo nauczanie: nowość prawdy nadawała jej szczególną siłę, lecz obecnie potrzebne są nam o wiele silniejsze środki. Obecnie trzeba, żeby człowiek, powodowany swymi uczuciami, znajdował w cnocie powaby uczucia. Nie sposób wykorzenić namiętności: należy tylko starać się kierować je ku zacnemu celowi i dlatego jest konieczne, żeby każdy mógł zadośćuczynić swym namiętnościom w granicach cnoty i żeby nasz zakon dostarczył mu po temu sposobów.*

*Jako że wkrótce będziemy mieli pewną ilość godnych ludzi w każdym państwie, niechże każdy z nich ukształtuje jeszcze dwóch, a wszyscy ściśle się zjednoczą – wtedy wszystko będzie możliwe dla zakonu, który w ukryciu zdołał już wiele uczynić dla dobra ludzkości.*

Ta mowa wywołała w loży nie tylko wielkie wrażenie, ale i wzburzenie. Większa część braci, widząc w tej mowie niebezpieczne zamysły iluminatorów<sup>431</sup>, przyjęła ją chłodno, co Pierre'a zdziwiło. Wielki mistrz jął Pierre'owi oponować. Pierre z coraz większym zapalem zaczął rozwijać swe myśli. Dawno nie było tak burzliwego posiedzenia. Utworzyły się dwie partie: jedni oskarżali Pierre'a i potępiali za iluminatyzm; drudzy popierali go. Po raz pierwszy na tym zebraniu zaskoczyła Pierre'a nieskończona różnorodność umysłów ludzkich, która sprawia, że żadna prawda nie przedstawia się tak samo dwóm ludziom. Nawet i ci członkowie, którzy, jak się zdawało, byli po jego stronie, rozumieli go po swojemu z ograniczeniami i zmianami, na które nie mógł się zgodzić, albowiem główne dążenie Pierre'a polegało właśnie na tym, żeby przekazać komuś drugiemu swą myśl ściśle tak, jak sam ją rozumiał.

Po zakończeniu posiedzenia wielki mistrz niezycliwie i ironicznie wytknął Bezuchowowi jego porywczosć i to, że nie tylko sama miłość cnoty, lecz i namiętność walki powodowała nim w sporze. Pierre nie odpowiedział mu, tylko zapytał krótko, czy jego propozycja będzie przyjęta. Odpowiedziano mu, że nie, Pierre więc nie czekając na zwykłe formalności opuścił lożę i pojechał do domu.

---

<sup>431</sup> Mowa tu o bractwach istniejących w w. XVIII, z których jedno zwłaszcza, założone w Ingolstadt przez Adama Weisshaupta, głosiło liberalne poglądy religijne i polityczne.



## VIII

Pierre'a znowu napadła owa melancholia, której tak się bał. Po wygłoszeniu swej mowy w łoży leżał trzy dni w domu na kanapie, nikogo nie przyjmując i nigdzie nie bywając.

W tym czasie dostał list od żony, która błagała go o spotkanie, pisała, że tęskni do niego i że pragnie poświęcić mu całe swoje życie.

W zakończeniu listu zawiadamiała go, że w tych dniach przyjedzie do Petersburga z zagranicy.

Śladem listu do samotni Pierre'a wdarł się jeden z braci-masonów, jeden z tych, którego Pierre považał mniej niż innych. Ów brat sprowadził rozmowę na małżeńskie sprawy Pierre'a i w postaci braterskiej rady wypowiedział myśl, że jego surowość dla żony jest niesprawiedliwa i że Pierre, nie przebacząc temu, kto okazuje skrucę, odstępuje od elementarnych zasad masona.

Jednocześnie jego teściowa, żona księcia Wasilia, przysyłała po niego, błagając, żeby choć na kilka minut ją odwiedził, aby porozumieć się w bardzo ważnej sprawie. Pierre widział, że jest spisek przeciwko niemu, że chciano połączyć go z żoną, i w tym stanie, w jakim się znajdował, nie było mu to nawet nieprzyjemne. Było mu wszystko jedno. Pierre niczego w życiu nie uważał za rzecz wielkiej wagi, a pod wpływem melancholii, jaka nim teraz owładnęła, nie cenił ani swej wolności, ani swego uporu w karaniu żony.

„Nikt nie ma racji, nikt nie jest winny, a więc i ona nie jest winna” – myślał. Jeśli Pierre nie wyraził natychmiast zgody na połączenie się z żoną, to tylko dlatego, że w tym stanie melancholii, w jakim się znajdował, nie miał siły, by coś przedsięwziąć. Gdyby żona była do niego przyjechała, toby jej teraz nie wypędził. Czy w porównaniu z tym, co Pierre'a zajmowało, nie było wszystko jedno, czy żyć, czy też nie żyć z żoną?

Nie odpowiedział nic ani żonie, ani teściowej. Pewnego późnego wieczora zebrał się w drogę i pojechał do Moskwy, żeby się zobaczyć z Józefem Aleksiejewiczem. Oto co pisał Pierre w swym dzienniku:

*Moskwa, 17listopada*

*Dopiero co wróciłem od mego dobroczyńcy i śpieszę zapisać wszystko, czegom doznał. Józef Aleksiejewicz żyje ubogo i już trzeci rok cierpi na bolesną chorobę pęcherza. Nikt nigdy nie słyszał jego jęku ani skargi. Od rana do późnej nocy, wyjąwszy godziny kiedy spożywa najprostszą strawę, poświęca się studiom. Przyjął mnie łaskawie i posadził na łożku, na którym leżał: uczyniłem znak rycerzy Wschodu i Jerozolimy, odpowiedział mi w ten sam sposób i z łagodnym uśmiechem zapytał mnie, czegom się dowiedział i com osiągnął w łożach pruskich i szkockich. Opowiedziałem mu wszystko, jak potrafiłem, przedstawiając te zasady, jakie zaproponowałem w naszej łoży petersburskiej, powiadomiłem, jak źle mnie przyjęto, i o rozłamie, jaki nastąpił między mną a braćmi. Józef Aleksiejewicz po dłuższej chwili milczenia i zastanowienia się przedstawił mi swój pogląd na to wszystko, który natychmiast rozjaśnił mi to, co minęło, i całą przyszłą drogę, jaką mam przed sobą. Zadziwił mnie pytaniem, czy pamiętam, na czym polega potrójny cel zakonu: 1) na zachowaniu i poznaniu tajemnicy, 2) na oczyszczeniu i poprawie siebie samego gwoli jej przyjęcia i 3) na*

poprawie rodu ludzkiego poprzez dążenie do owego oczyszczenia. Jaki jest najgłówniejszy i najpierwszy z tych trzech celów? Oczywiście, własna poprawa i oczyszczenie. Tylko do tego celu zawsze możemy dążyć niezależnie od wszelkich okoliczności. Ale jednocześnie ten właśnie cel wymaga od nas najwięcej wysiłku, i dlatego błędząc przez pychę tracimy z oczu ten cel, sięgamy albo po tajemnicę, której niegodniśmy przyjąć ze względu na swą nieczystość, albo zabieramy się do poprawiania rodu ludzkiego, choć sami dajemy przykład niczemności i wyuzdania. Iluminatyzm nie jest nauką czystą dlatego właśnie, że pochłonęła go działalność społeczna, jest pełen pychy. Na tej podstawie Józef Aleksiejewicz potępił moje przemówienie i całą moją działalność. Zgodziłem się z nim w głębi duszy. A propos naszej rozmowy o moich sprawach rodzinnych powiedział mi: «Główny obowiązek masona, jakem już panu mówił, polega na doskonaleniu samego siebie. Ale często myślimy, że odsunawszy od siebie wszystkie trudności naszego życia, prędzej osiągniemy ów cel, tymczasem, dobrodziej, jest przeciwnie, oświadczył mi, tylko wśród burz światowych możemy osiągnąć trzy główne cele: 1) poznanie samego siebie, albowiem człowiek może poznać siebie tylko przez porównanie, 2) doskonalenie się, które zdobywa się tylko w walce, i 3) osiągnięcie najważniejszej cnoty – umiłowania śmierci. Tylko zmienne koleje życia mogą nam ukazać całą jego marność i mogą współdziałać z naszym wrodzonym umiłowaniem śmierci albo odrodzeniem do nowego życia.» Słowa te tym bardziej godne są uwagi, że Józefowi Aleksiejewiczowi pomimo jego ciężkich cierpień fizycznych nigdy życie nie ciąży, lecz kocha śmierć, do której, pomimo całej swej wewnętrznej czystości i wzniosłości, jeszcze nie czuje się dostatecznie przygotowany. Potem dobroczyńca mój wytłumaczył mi dokładnie znaczenie wielkiego kwadratu wszechświata i wskazał, że liczba „trzy”; i liczba „siedem” są podstawą wszystkiego. Poradził mi, żebym się nie usuwał od stosunków z braćmi petersburskimi, a zajmując w loży stanowisko drugiego stopnia, starał się odwracać braci od pokus pychy, kierować ich na prawdziwą drogę poznania siebie i doskonalenia się. Poza tym mnie osobiście radził, bym przede wszystkim obserwował siebie samego, w tym celu dał mi zeszyt, ten właśnie, w którym piszę i będę nadal zapisywał wszystkie swoje postęпки.

Petersburg, 23 listopada

Znowu mieszkam z żoną. Teściowa moja przyjechała do mnie we łzach i powiedziała, że Hélène jest tutaj i błaga mnie, żebym ją wysłuchał, że jest niewinna, że jest nieszczęśliwa z tego powodu, że ją opuścił, i wiele innych rzeczy. Wiedziałem, że jeśli tylko zgodzę się ją zobaczyć, nie będę w stanie odmówić jej pragnieniu. W swych wątpliwościach nie wiedziałem, do kogo udać się o pomoc i radę. Gdyby mój dobroczyńca był tutaj, toby mi powiedział. Poszedłem do siebie, przeczytałem list Józefa Aleksiejewicza, przypomniałem sobie rozmowy z nim i z tego wszystkiego wyciągnąłem konkluzję, że nie powinienem odmawiać prosiącemu, że moim obowiązkiem jest podać pomocną rękę każdemu, tym bardziej zaś człowiekowi tak ze mną związanemu, i że winienem nieść swój krzyż. Jeśli zaś przebaczyłem jej tylko przez wzgląd na cnotę, to niechże moje połączenie z nią ma jedynie cel duchowy. Tak postanowiłem i tak napisałem do Józefa Aleksiejewicza. Powiedziałem żonie, że proszę, by zapomniała o dawnych sprawach, proszę, by mi wszystko przebaczyła, czym mogłem wobec niej zawinąć, a ja nie mam jej czego wybaczać. Mówiłem jej to wszystko z radością. Niech nie wie, jak było mi ciężko znowu ją zobaczyć. Urządziłem się w dużym domu w pokojach na górze i doznaję szczęśliwego uczucia odnowy.

## IX

Jak zawsze tak i wtedy wyższe towarzystwo, zbierając się wspólnie na dworze i na wielkich balach, dzieliło się na kilka kółek, z których każde miało swoisty odcień. Najliczniejsze było kółko francuskie związku napoleońskiego – hrabiego Rumiancewa i Caulaincourta. W tym kółku jedno z najpocześniejszych miejsc zajęła Hélène, gdy tylko zamieszkała z mężem w Petersburgu. Bywali u niej panowie z francuskiego poselstwa i wielka ilość ludzi znanych z rozumu i dobrych manier, a należących do tego kierunku.

Hélène była w Erfurcie podczas słynnego spotkania dwóch cesarzy i stamtąd przywiozła owe koneksje ze wszystkimi napoleońskimi znakomitościami Europy. W Erfurcie odniosła wielki sukces. Sam Napoleon, zauważywszy ją w teatrze, spytał, kim jest, i ocenił jej urodę. Jej powodzenie jako kobiety pięknej i eleganckiej nie dziwiło Pierre'a, gdyż z latami stała się jeszcze piękniejsza niż dawniej. Ale zadziwiało go, że w ciągu owych dwóch lat jego żona zdołała pozyskać sobie reputację „*d'une femme charmante, aussi spirituelle que belle*”<sup>432</sup>. Słynny *prince de Ligne* pisywał do niej listy ośmiostronicowe. Bilibin chronił swe *mots*<sup>433</sup>, aby je po raz pierwszy powiedzieć przy hrabinie Bezuchow. Być przyjmowanym w salonie hrabiny Bezuchow uważano za patent na inteligencję: przed wieczorem u Hélène młodzi ludzie czytali książki, żeby w jej salonie mieć o czym mówić, zaś sekretarze poselstw, a nawet sami posłowie zwierali jej tajemnice dyplomatyczne, toteż Hélène była pewnego rodzaju potęgą. Pierre, który wiedział, że żona jest bardzo głupia, niekiedy z dziwnym uczuciem zdumienia i obawy uczestniczył w jej wieczorach i obiadach, podczas których mówiło się o polityce, poezji i filozofii. Na tych wieczorach doznawał uczucia podobnego do uczucia, jakiego doznaje kuglarz, spodziewający się za każdym razem, że jego oszustwo się wyda. Lecz czy dlatego, że do prowadzenia takiego salonu potrzebna była właśnie głupota, czy też dlatego, że oszukiwani znajdowali satysfakcję w tym oszustwie, oszustwo nie wydawało się, a reputacja *d'une femme charmante et spirituelle* tak mocno przyłgnęło do Heleny Wasiliewny Bezuchow, że mogła mówić największe banalności i głupstwa, bo i tak wszyscy zachwycali się każdym jej słowem i odnajdywali w nim głęboki sens, jakiego ona sama nawet nie podejrzewała.

Pierre był właśnie takim mężem, jaki był potrzebny tej olśniewającej światowej kobiecie. Był tym roztargnionym dziwakiem – *grand seigneur* – który nikomu nie przeszkadza i nie tylko nie psuje ogólnego nastroju salonu w wielkim stylu, lecz jako krańcowe przeciwieństwo wytworności i taktu żony stanowi zarazem korzystne dla niej tło. W ciągu tych dwóch lat Pierre, na skutek ciągłego skupienia myśli na sprawach niematerialnych i szczerzej pogardy dla wszystkich spraw pozostałych, przyswoił sobie w nieinteresującym go towarzystwie żony ów ton obojętności, niedbałości i łaskawości dla wszystkich, jakiego nie można nabyć sztucznie, i dlatego ton ów wzbudza mimowolny szacunek. Wchodził do salonu swej żony jak do teatru, wszystkich znał, wszystkim jednakowo był rad, i w stosunku do wszystkich był jednakowo obojętny. Czasami wtrącał się do interesującej go rozmowy i wówczas – nie myśląc o tym,

---

<sup>432</sup> Kobiety czarującej, równie rozumnej, jak pięknej.

<sup>433</sup> Słówka.

czy są obecni *les messieurs de l'ambassade*, czy też ich nie ma – wykladał mrukliwie swoje poglądy, kolidujące niekiedy z tonem bieżącej chwili. Ale mniemanie o dziwaku-mężu *de la femme la plus distinguée de -Pétersbourg* już tak się utrwaliło, że nikt nie brał *au sérieux*<sup>434</sup> jego wyskoków.

W liczbie młodych ludzi, bywających codziennie w domu Héléne, był Borys Drubecki, który już poczynił wielkie postępy w służbie; po powrocie Héléne z Erfurtu Borys stał się zaufanym gościem w domu Bezuchowa. Héléne nazywała go *mon page*<sup>435</sup> i traktowała jak dziecko. Miała dla niego uśmiech taki jak dla wszystkich, ale czasami Pierre'owi było przykro widzieć ten uśmiech. Borys traktował Pierre'a z osobliwym, poważnym i smutnym szacunkiem. Ten odcień szacunku też niepokoił Pierre'a. Trzy lata temu Pierre tak bardzo cierpiał z powodu zniewagi, zadanej mu przez żonę, że obecnie bronił się przed możliwością podobnej zniewagi, po pierwsze tym, że nie był mężem swej żony, po drugie tym, że nie pozwalał sobie na podejrzenia.

„Tak, obecnie, kiedy stała się *bas bleu*<sup>436</sup>, wyrzekła się na zawsze dawnych porywów – powiadał sobie. – Nie było wypadku, żeby *bas bleu* miała sercowe namiętności” – powtarzał sobie nie wiadomo skąd zaczerpniętą regułę, w którą niechybnie wierzył. Wszelako, dziwna rzecz, obecność Borysa w salonie żony (a był tam prawie stale) działała nań fizycznie: obezwładniała wszystkie jego członki, niweczyła nieświadomą swobodę ruchów.

„Jakże dziwna antypatia – myślał Pierre – a kiedyś nawet bardzo mi się podobał.”

W oczach świata Pierre był to wielki pan, nieco zaślepiony i śmieszny mąż olśniewającej kobiety, rozumny dziwak, który nic nie robi, ale nikomu nie szkodzi, zacy, poczciwy chłop. A tymczasem w duszy Pierre'a dokonywał się skomplikowany i trudny proces wewnętrznego rozwoju, który wiele przed nim odsłonił i doprowadził ku wielu duchowym wątpliwościom i radościom.

---

<sup>434</sup> Panowie z ambasady... najbardziej dystygowanej kobiety w Petersburgu... poważnie.

<sup>435</sup> Mój paż.

<sup>436</sup> Sawantką.

## X

Prowadził dalej swój dziennik. Oto co w nim pisał w owym czasie:

24 listopada

*Wstałem o ósmej, czytałem Pismo święte, potem udałem się do urzędu (stosownie do rady dobroczyńcy Pierre wstąpił do jednego z komitetów), wróciłem na obiad, jadłem sam (u hrabiny dużo gości, osób mi niemiłych), jadłem i piłem umiarkowanie, po obiedzie przerysowywałem emblematy dla braci. Wieczorem zszedłem do hrabiny i opowiedziałem śmieszłą historijkę o B. i dopiero wtedy, kiedy wszyscy głośno się już śmieli, pomyślałem, że nie należało tego robić.*

*Kładę się spać szczęśliwy i spokojnej myśli. Boże wielki, pomóż mi chodzić ścieżkami Twymi: 1) przewycięzać gniew – łagodnością i powolnością, 2) chuć – wstrzeźliwością i odrazą, 3) unikać próżności świata, ale nie usuwać się od: a) służby dla państwa, b) trosk rodzinnych, c) związków przyjaźni i d) zajęć gospodarskich.*

27 listopada

*Wstałem późno, po przebudzeniu się długo leżałem w łóżku oddając się próżniactwu. Boże mój! Pomóż mi i umocnij mnie, iżbym mógł chadzać drogami Twymi. Czytałem Pismo święte, ale bez należytego uczucia. Przyszedł brat Urusow, rozmawialiśmy o marnościach świata. Opowiedział o nowych zamiarach monarchy. Zacząłem już przyganiać, ałem sobie przypomniał swe zasady i słowa dobroczyńcy naszego, że prawdziwy mason powinien być gorliwym działaczem w państwie, kiedy potrzebny jest jego udział, i spokojnym widzem tego, do czego nie został powołany. Język mój jest moim wrogiem. Odwiedzili mnie bracia G. W. i O. Mieliśmy rozmowę przygotowawczą w związku z przyjęciem nowego członka. Wkładają na mnie obowiązek retora. Czuję się słaby i niegodny. Potem rozmowa zesłała na objaśnienie siedmiu kolumn i stopni świątyni. 7 nauk, 7 cnót, 7 grzechów, 7 darów Ducha Świętego... Brat O. był bardzo wymowny. Wieczorem odbyło się wprowadzenie. Nowe urządzenie pomieszczenia wielce się przyczyniło do wspaniałości ceremonii. Przyjęty został Borys Drubecki. Ja go polecałem i ja byłem retorem. Przez cały czas przebywania z nim w ciemnicy zboru dręczyło mnie dziwne uczucie. Odkryłem w sobie uczucie nienawiści do niego, które na próżno usiłuję w sobie zwalczyć. A dlatego też szczerze bym pragnął ustrzec go od złego i wprowadzić na drogę prawdy, ale złe myśli o nim nie opuszczały mnie. Ciągłe myślałem, że jedynym celem jego wstąpienia do bractwa było pozyskanie względów ludzi, którzy znajdują się w naszej loży. Poza tym, że kilka razy dopytywał się, czy do naszej loży nie należy N. i S. (na co nie mogłem mu odpowiedzieć), poza tym, że wedle moich spostrzeżeń nie jest on zdolny czuć szacunku dla naszego świętego związku, a zbyt zajęty i zadowolony pozorem człowieczeństwa, by pragnąć poprawy duchowej, poza tym wszystkim nie miałem podstaw, by o nim wątpić; wszelako wydawał mi się nieszczerzy i przez cały czas, kiedy się z nim znajdowałem na osobności w ciemnej sali, wydawało mi się, że na moje słowa uśmiecha się wzgardliwie i naprawdę miałem chęć dźgnąć go szpadą, którą trzymałem przy jego obnażonej piersi. Nie mogłem być wymowny i nie mogłem szczerze wyłożyć braciom i wielkiemu*

mistrzowi swych wątpliwości. Wielki Architekcie natury, pomóż mi znaleźć prawą drogę, wyprowadzając z labiryntu fałszu.

Potem w dzienniku były opuszczone trzy strony, po czym było napisane, co następuje:

Miałem pouczającą i długą rozmowę na osobności z bratem W., który mi radził trzymać się brata A. Chocim niegodny, wiele jednak zostało mi wyjawione. Adonai to imię stworzyciela świata. Elohim to imię tego, który wszystkim rządzi. Trzecie imię, imię nie wypowiedziane, ma znaczenie Powszechności. Rozmowy z bratem W. krzepią mnie, odświeżają i umacniają na drodze cnoty. W jego obecności nie ma miejsca na zwątpienia. Rozumiem różnicę między ubóstwem nauk ogólnych a naszą świętą nauką, która ogarnia wszystko. Nauki ludzkie wszystko dzielą – aby zrozumieć, wszystko zabijają – aby zbadać. W świętej nauce zakonu wszystko stanowi jedność, wszystko się poznaje w całokształcie i życiu. Trójca – trzy podstawy rzeczy – siarka, rtęć i sól. Siarka ma właściwości oliwy i ognia, w połączeniu z solą wzbudza w niej swą ognistością pragnienie, za pomocą którego przyciąga rtęć, porywa ją, zatrzymuje i w połączeniu z nią tworzy różne ciała. Rtęć to płynna i lotna istota duchowa – Chrystus, Duch Święty, On.

3 grudnia

Obudziłem się późno, czytałem Pismo święte, ale bez uczucia. Potem wyszedłem i chodziłem po salonie. Chciałem rozmyślać, ale zamiast tego wyobraźnia przedstawiała mi pewne zdarzenie, które miało miejsce przed czterema laty. Pan Dołochow, spotkawszy mnie w Moskwie po moim pojedynku, powiedział mi, że ma nadzieję, iż teraz zażywam całkowitego spokoju duchowego nie bacząc na nieobecność mej małżonki. Nic wtedy nie odpowiedziałem. Teraz przypomniałem sobie wszystkie szczegóły tego spotkania i w duchu mówiłem Dołochowowi słowa jak najbardziej gniewne i dawałem jak najbardziej kłujące odpowiedzi. Opa miętałem się i porzuciłem tę myśl dopiero wówczas, gdy ujrzałem siebie rozpalonego gniewem; ale nie dość żałować tego. Potem przyszedł Borys Drubecki i jał opowiadać różne zdarzenia; ja zaś z jego przybyciem wpadłem w niezadowolenie z powodu jego wizyty i odpowiedziałem mu na przekór. Zaoponował. Wybuchnąłem, nagadałem mu nieprzyjemności, a nawet grubiaństw. Zamilkł, a ja się spostrzegłem, kiedy już było za późno. Mój Boże, ja wcale nie potrafię się wobec niego zachować. Przyczyną tego jest moja miłość własna. Stawiam siebie wyżej od niego i dlatego staję się gorszy niż on, albowiem on pobłaża moim grubiaństwom, a ja, przeciwnie, żywię dlań wzdargę. Mój Boże, pozwól mi widzieć w jego obecności moją nikczemność i postępować tak, żeby i dla niego było to z pożytkiem. Po obiedzie zasnąłem, a kiedym zasypiał, wyraźnie usłyszałem głos mówiący mi do lewego ucha. „Twój dzień”. Widziałem we śnie, że idę w ciemności i nagle zostaję otoczony przez psy, ale idę bez lęku: nagle jeden, nieduży, schwycił mnie za lewe biodro zębami i nie puszcza. Jąłem dusić go rękoma. I zaledwem go oderwał, a już drugi, większy, zaczął mnie gryźć. Zacząłem go podnosić. Im wyżej go podnosiłem, tym stawał się większy i cięższy. Wtem nadszedł brat A. Wziąwszy mnie pod rękę, poprowadził ze sobą i przywiódł do budynku, do którego, aby się dostać, należało przejść przez wąską deskę. Stałem na desce, usunęła się i upadła, a ja zacząłem wlaźć na parkan, do którego ledwom sięgał rękami. Po wielkich wysiłkach, uniosłem swe ciało tak, że nogi wisiały z jednej strony, a tułów z drugiej. Obejrzałem się i zobaczyłem, że brat A. stoi na parkanie i ukazuje mi dużą aleję i ogród, a w ogrodzie duży, piękny budynek. Obudziłem się. Boże, wielki Architekcie natury! Pomóż mi oderwać od siebie psy, namiętności moje, i ostatnią z nich łączącą w sobie siły wszystkich poprzednich, i pomóż mi się dostać do owej świątyni cnoty, której widoku dostąpiłem we śnie.

7 grudnia

Śniło mi się, że Józef Aleksiejewicz siedzi u mnie w domu, a ja jestem mu rad i zapragnąłem ugościć go. Że paplałem niestrudzenie z innymi i nagle sobie przypomniałem, że to nie może mu się podobać, więc zapragnąłem się doń zbliżyć i uścisnąć go. Tylkom się zbliżyłem, a widzę, że jego twarz zupełnie się zmieniła, odmłodziła, a on mi mówi coś po cichu z nauk zakonu, tak cicho, że nic nie mogę usłyszeć. Potem wyszliśmy z pokoju i wtedy stało się coś dziwnego. Siedzieliśmy czy też leżeli na podłodze. On mi coś mówił. Ja zaś chciałem okazać mu swe uczucie i nie wsłuchując się w to, co mówił, zacząłem sobie wyobrażać swego człowieka wewnętrznego i łaskę bożą, jaka na mnie spłynęła. W oczach stanęły mi łzy i byłem zadowolony, że je zauważył. Ale spojrzał na mnie z gniewem i zerwał się udawszy rozmowę. Wyląknętem się i zapytałem, czy to, co mówił, nie odnosiło się do mnie; jednak nic nie odpowiedział, okazując mi wyraz łaskawości, a potem znaleźliśmy się znienacka w mojej sypialni, gdzie stoi podwójne łóżko. Położył się na brzegu, a ja pałałem jakby pragnieniem pieśczości i położenia się obok niego. A on mnie zapytał: „Powiedz prawdę, jaka jest twoja największa słabość? Czyś ją już poznał? Myślę, że już ją poznał”. Zmieszało mnie owo pytanie i odpowiedziałem, że moją główną słabością jest próżniactwo. Z niedowierzaniem pokręcił głową. A ja jeszcze bardziej się zmieszałem i odpowiedziałem, że choć mieszkam z żoną, jak mi radził, ale nie jako mąż swej żony. Zaoponował, oświadczając, że nie wolno odmawiać żonie pieśczości, i dał mi odczuć, że to jest moim obowiązkiem. Ale ja odpowiedziałem, że się tego wstydzę, i nagle wszystko zniknęło. Ocknąłem się i znalazłem w myśli tekst Pisma świętego: „A żywot był światłością ludzi. A światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły”. Józef Aleksiejewicz miał twarz odmłodzoną i jasną. Owego dnia dostałem list od dobroczyńcy, w którym mi pisał o obowiązkach małżeńskich.

9 grudnia

Miałem sen, z którego się przebudziłem z bijącym sercem. Śniłem, że jestem w Moskwie, w moim domu, w dużej bawialni, a z salonu wychodzi Józef Aleksiejewicz. Od razu poznałem, że już w nim dokonał się proces odrodzenia i podbiegłem, aby go powitać. Całowałem go i jego ręce, a on mówi: „Czyś zauważył, że mam inne oblicze?” Popatrzyłem na niego trzymając go nadal w objęciach i widziałem, że twarz ma młodą, ale włosów na głowie nie ma, a rysy całkiem inne. I rzekłem do niego: „Poznałbym pana, nawet gdybym go spotkał przypadkiem”, a tymczasem myślałem: „Czym prawdę powiedział?” I nagle widzę, że on leży martwy niby trup; potem przyszedł po trochu do siebie i weszliśmy razem do dużego gabinetu trzymając wielką księgę pisaną ręcznie, in folio. I rzekłem: „To ja napisałem”. On zaś odpowiedział mi pochYLENIEM głowy. Otworzyłem książkę, a w tej książce na wszystkich stronicach są piękne rysunki. Wiedziałem, że te obrazki przedstawiają przygody miłosne duszy z jej oblubieńcem. I na stronicach widziałem cudny wizerunek dziewczycy w przezroczystej szacie, o przezroczystym ciele, wzbijającej się w obłoki. I widziałem, że ta właśnie dziewczycy jest niczym innym jak wyobrażeniem Pieśni nad pieśniami. I patrząc na te rysunki czułem, że robię źle, ale nie mogłem się od nich oderwać. Boże, wesprzyj mnie! Boże mój, jeśli mnie opuszczasz przez wyższe zrządzenie, dziej się wola Twoja; ale jeśli sam jestem przyczyną tego, oświeć mnie, co mam czynić. Zgubi mnie moja rozwiązłość, jeśli mnie całkiem opuścisz.

## XI

W ciągu dwóch lat, które Rostowowie spędzili na wsi, ich interesy pieniężne nie poprawiły się.

Mimo że Mikołaj Rostow twardo obstawał przy swoim zamiarze i nadal skromnie służył w dalekim garnizonie, wydając niewiele pieniędzy, tryb życia w Otradnem był taki, a w szczególności Mitińka tak prowadził interesy, że z każdym rokiem długi wzrastały niepowstrzymanie. Stary hrabia widział jedyny ratunek w służbie rządowej, toteż przyjechał do Petersburga szukać stanowiska: szukać stanowiska a jednocześnie ostatni raz, jak powiadał, dać trochę rozrywki dziewczętom.

Wkrótce po przybyciu Rostowów do Petersburga Berg oświadczył się Wierze i jego oświadczenia zostały przyjęte.

Mimo że w Moskwie Rostowowie należeli do wyższego towarzystwa, sami o tym nie wiedząc i nie myśląc o tym, do jakiego towarzystwa należą, w Petersburgu ich towarzystwo było nieco mieszane i niezbyt określone. W Petersburgu byli prowincjonalistami i nie zniżali się do nich ci sami ludzie, których Rostowowie przyjmowali w Moskwie nie pytając, do jakiego należą towarzystwa.

W Petersburgu Rostowowie prowadzili dom równie gościnnie jak w Moskwie i na kolacjach bywali u nich najróżniejsi ludzie: sąsiedzi mieszkający w pobliżu Otradnego, starzy niebogaci ziemianie z córkami i frejlina Perońska, Pierre Bezuchow i syn powiatowego naczelnika poczty służący w Petersburgu. Spośród mężczyzn stałymi bywalcami w domu Rostowów w Petersburgu stali się w krótkim czasie Borys i Pierre, którego stary hrabia spotkał na ulicy i zaciągnął do siebie, oraz Berg, który całe dni spędzał u Rostowów i starszej hrabiance, Wierze, okazywał takie względy, jakie może okazywać młody człowiek mający zamiar się oświadczyć.

Berg nie na próżno pokazywał wszystkim prawą rękę zranioną w bitwie pod Austerlitz, i zupełnie niepotrzebną szpadę trzymał w lewej. Tak uporczywie i tak znacząco opowiadał wszystkim to zdarzenie, że wszyscy uwierzyli w celowość i godność tego postępu – i Berg otrzymał dwa odznaczenia za Austerlitz.

W wojnie fińskiej również udało mu się odznaczyć. Podniósł odłamek granatu, którym został zabity adiutant tuż obok naczelnego wodza, i podał ten odłamek dowódcy. Podobnie jak po Austerlitz, tak długo i uporczywie opowiadał wszystkim to zdarzenie, że wszyscy uwierzyli, iż należało to uczynić, przeto i za wojnę fińską Berg dostał dwa odznaczenia. W roku 1809 był kapitanem gwardii, kawalerem orderów i zajmował w Petersburgu jakieś bardzo korzystne stanowiska.

Choć poniekąd libertyni uśmiechali się nawet, kiedy im mówiono o zaletach Berga, jednak nie sposób było nie zgodzić się, że Berg był sprawnym, dzielnym oficerem, dobrze widzianym przez zwierzchników, i obyczajnym młodym człowiekiem, mającym przed sobą świetną karierę, a nawet mocną pozycję w świecie.



Cztery lata temu Berg, spotkawszy w krzesłach moskiewskiego teatru kolegę Niemca, pokazał mu Wierę Rostow i rzekł po niemiecku: „*Das soll mein Weib werden*”<sup>437</sup> i w tej chwili postanowił się z nią ożenić. Obecnie, w Petersburgu, rozważywszy sytuację Rostowów i swoją, zdecydował, że nadszedł stosowny czas, i oświadczył się.

Z początku oświadczyzny Berga przyjęto z niepoehlebnym dla niego zdziwieniem. Wydawało się dziwne z początku, że syn niewyraźnego szlachcica inflanckiego oświadcza się hrabiance Rostow, lecz główną cechą charakteru Berga był tak naiwny i dobroduszny egoizm, iż Rostowowie mimo woli pomyśleli, że tak będzie dobrze, skoro i on sam ma niezachwiane przekonanie, że tak będzie dobrze, a nawet bardzo dobrze. Przy tym interesy Rostowów były mocno zachwiane, o czym narzeczony nie mógł nie wiedzieć, a najważniejsze, iż Wiera miała dwadzieścia cztery lata, bywała wszędzie, a mimo że niewątpliwie była ładna i rozsądna, dotychczas jeszcze nikt nigdy się jej nie oświadczył. Wyrażono zgodę.

– Więc widzisz – mówił Berg do kolegi, którego nazywał przyjacielem tylko dlatego, że wiedział, iż wszyscy ludzie miewają przyjaciół – więc widzisz, ja to wszystko rozważyłem i nie żeniłbym się, gdybym wszystkiego był nie przemyślał i gdyby to z jakichś przyczyn było niekorzystne. A teraz wprost przeciwnie, mój tatuś i mamusia są już zabezpieczeni, urządziłem ich na tej dzierzawie w Ostlandii, a ja mogę wyżyć w Petersburgu z mojej pensji, przy jej majątku i mojej skrupulatności. Mogę żyć dobrze. Nie żenię się dla pieniędzy, uważam to za nieszlachetne, ale trzeba, żeby żona wniosła swoje i mąż swoje. Ja mam stanowisko służbowe, ona zaś stosunki i niewielki fundusz. A to w naszych czasach coś znaczy, prawda? A najważniejsze, że jest piękną, zacną panienką i kocha mnie...

Berg zarumienił się i uśmiechnął.

– I ja ją kocham, bo ma charakter rozsądny – bardzo dobry. Ot, choćby jej młodsza siostra – z tej samej przecie rodziny, a całkiem co innego, i charakter nieprzyjemny, i rozumu tego nie ma, i coś takiego, wiesz?... Nieprzyjemne... A moja narzeczona... Zresztą, będziesz u nas bywał... – ciągnął Berg, chciał powiedzieć: „na obiadach”, ale się rozmyślił i powiedział: „na herbacie”, i wypuścił, przebiwszy szybko językiem, okrągłe, małe kółeczko dymu tytoniowego, które całkowicie uosabiało jego marzenia o szczęściu.

Po pierwszym uczuciu zdumienia, jakie wzbudziły w rodzicach oświadczyzny Berga, w rodzinie zapanowała zwykła w takich wypadkach, odświętna radość, lecz radość ta nie była szczerą, tylko zewnętrzną. Co się tyczy ślubu, to w rodzinie widać było zmieszanie i zawstydzenie. Jak gdyby obecnie wstydzili się, że za mało Wierę kochali i tak chętnie się jej teraz pozbywają. Najbardziej skonfundowany był stary hrabia. Prawdopodobnie nie potrafiłby nazwać tego, co było przyczyną jego konfuzji, ale przyczyną tą były interesy pieniężne. Hrabia absolutnie nie wiedział, co posiada, ile ma długów i co będzie mógł dać Wierze w posagu. Kiedy córki przychodziły na świat, każdej przeznaczono w posagu trzysta dusz; ale jedna z tych wsi była już sprzedana, drugą zaś tak zastawiono i tak przeterminowano zastaw, że należało ją sprzedać, toteż danie wsi było niemożliwe. Pieniądzy również nie było.

Berg już przeszło miesiąc był narzeczonym i do wesela pozostawało tylko dwa tygodnie, a hrabia jeszcze nie rozstrzygnął sprawy wiana i nie mówił o tym z żoną. Hrabia chciał dać Wierze dobra rizańskie, to znów chciał sprzedać las, to znów pożyczyć pieniędzy na weksel. Na kilka dni przed ślubem Berg wszedł rano do gabinetu hrabiego przyjemnie uśmiechnięty, z uszanowaniem poprosił przyszłego teścia o wyjaśnienie, jaki posag otrzyma hrabianka Wiera. Hrabia tak się zmieszał przy tym pytaniu, które dawno był przeczuwał, że bez namysłu powiedział pierwsze, co mu przyszło do głowy:

– Podoba mi się, żeś się zatroszczył, podoba mi się, będziesz zadowolony...

I poklepawszy Berga po ramieniu wstał, pragnąc przerwać rozmowę. Ale Berg, przyjemnie uśmiechnięty, wyjaśnił, że jeśli nie będzie wiedział na pewno, co dostanie za Wierę, i nie otrzyma z góry choć części tego, co jej wyznaczono, będzie musiał się cofnąć.

---

<sup>437</sup> To będzie moja żona.

– Bo sam osądź, hrabio, jeśli bym teraz pozwolił sobie na ożenek, nie mając określonych środków na utrzymanie żony, postąpiłbym podle...

Rozmowa skończyła się na tym, że hrabia, pragnąc okazać się wspaniałomyślnym i nie narażać się na nowe prośby, powiedział, że daje weksel na osiemdziesiąt tysięcy. Berg uśmiechnął się łagodnie, pocałował hrabiego w ramię i oświadczył, że jest bardzo wdzięczny, ale żadną miarą nie może teraz urządzić się w nowym życiu nie otrzymawszy trzydziestu tysięcy gotowizną.

– Niechby choć dwadzieścia tysięcy, hrabio – dodał – a wtedy weksel tylko na sześćdziesiąt tysięcy.

– Tak, tak, dobrze – rzekł prędko hrabia – tylko już wybacz, kochasiu, i dwadzieścia tysięcy dam, a poza tym i weksel na osiemdziesiąt tysięcy. Tak, tak, ucałuj mnie.

## XII

Natasza miała szesnaście lat i był rok 1809, ten właśnie, do którego przed czterema laty, po tym jak się całowała z Borysem, liczyła na palcach. Od tego czasu ani razu nie widziała Borysa. Wobec Soni, a i z matką, kiedy rozmowa schodziła na Borysa, mówiła całkiem swobodnie jako o sprawie przesądzonej, że wszystko, co było przedtem, to dziecinada, o której nie warto mówić i która już dawno została zapomniana. Ale w głębi duszy dręczyło ją pytanie, czy jej zobowiązanie wobec Borysa było żartem, czy też czymś poważnym, czego należało dotrzymać.

Od swojego wyjazdu w roku 1805 z Moskwy do armii Borys nie widział się z Rostowami. Kilka razy był w Moskwie, przejeżdżał niedaleko Otradnego, ale ani razu nie był u Rostowów.

Czasami Nataszy przychodziło do głowy, że nie chciał się z nią widzieć, a jej domysły potwierdzał ów smętny ton, jakim starsi mówili o nim.

– W obecnych czasach nie pamięta się o przyjaciółach – mawiała hrabina, jak tylko wspomniano o Borysie.

Ostatnio Anna Michajłowna, bywając u Rostowów rzadziej, zachowywała się z jakąś osobliwą godnością i za każdym razem z zachwytem i z wdzięcznością mówiła o zaletach swego syna i o świetnej karierze, jaka się przed nim otwiera. Kiedy Rostowowie przybyli do Petersburga, Borys przyjechał do nich z wizytą.

Jechał do nich nie bez wzruszenia. Wspomnienie Nataszy było najbardziej poetycznym wspomnieniem Borysa. Jednocześnie jechał zamierzając wyraźnie dać do zrozumienia i jej, i jej rodzinie, że ich wzajemne dziecinne stosunki nie mogą zobowiązywać ani jej, ani jego. Miał świetną pozycję w towarzystwie – dzięki zażyłości z hrabiną Bezuchow, świetną sytuację w służbie – dzięki poparciu pewnej ważnej osobistości, której zaufanie posiadał całkowicie, zaczynał się w nim rodzić plan małżeństwa z jedną z najbogatszych panien petersburskich, który to plan łatwo mógł się urzeczywistnić. Kiedy Borys wszedł do salonu Rostowów, Natasza była w swoim pokoju. Dowiedziawszy się o jego przybyciu, zarumieniona, wbiegła niemal do salonu, jaśniejąc uśmiechem więcej niż życzliwym.

Borys pamiętał tamtą Nataszę w króciutkiej sukience, z czarnymi oczyma, błyskającymi spod loków, i dziecinnym, zuchwałym śmiechem, jaką znał cztery lata temu, i dlatego, kiedy weszła zupełnie inna Natasza, zmieszał się, a jego twarz wyraziła zdziwienie i zachwyt. Ten wyraz jego twarzy ucieszył Nataszę.

– Cóż, poznajesz swą małą przyjaciółkę-psotnicę? – zapytała hrabina. Borys pocałował Nataszę w rękę i oświadczył, że jest zdumiony zmianą, jaka w niej zaszła.

– Jak pani wypiękniała.

„Pewnie!” – odpowiedziały śmiejące się oczy Nataszy.

– Czy papa postarzał się? – zapytała. Natasza usiadła i nie wtrącając się do rozmowy Borysa z hrabiną mogła do woli przyglądać się swemu narzeczonemu z dzieciństwa. Borys czuł na sobie ciężar tego uporczywego, życzliwego spojrzenia i od czasu do czasu spoglądał na nią.

Mundur, ostrogi, halsztuk, uczesanie Borysa – wszystko to było jak najmodniejsze i *comme il faut*<sup>438</sup>. Natasza zauważyła to od razu. Siedział w fotelu nieco bokiem koło hrabiny, prawą ręką poprawiał na lewej czyściutką, obciągniętą rękawiczkę, opowiadał z osobliwie wyrafinowanym grymasem warg o rozrywkach wyższego świata petersburskiego i z łagodną drwiną wspominał dawne czasy moskiewskie i moskiewskich znajomych. Natasza czuła, że mówiąc o wyższej arystokracji, rozmyślnie wspominał o balu u posła, na którym był, i o zaproszeniach do NN i SS.

Natasza siedziała przez cały czas w milczeniu, patrząc nań spod oka. Spojrzenie to coraz bardziej niepokoiło i konfundowało Borysa. Częściej spoglądał na Nataszę i przerywał opowiadanie. Posiedział nie dłużej niż dziesięć minut, wstał, by się pożegnać. Te ciekawe, wyzywające i nieco drwiące oczy wciąż patrzyły na niego. Po pierwszej wizycie Borys powiedział sobie, że Natasza jest dla niego równie powabna jak dawniej, ale że nie powinien poddawać się temu uczuciu, albowiem małżeństwo z nią – panną prawie bez majątku – byłoby zgubne dla jego kariery, odnowienie zaś dawniejszej zażyłości bez zamiaru ożenku byłoby postępkami nieszlachetnym. Borys postanowił unikać spotkań z Nataszą, ale mimo to postanowienie po kilku dniach przyjechał znowu, zaczął bywać często i całe dni spędzał u Rostowów.

Wydawało mu się, że koniecznie musi rozmówić się z Nataszą, powiedzieć jej, że wszystko, co było dawniej, winno pójść w niepamięć, że mimo wszystko... ona nie może zostać jego żoną, że on nie ma majątku i że nigdy jej nie wydadzą za niego. Ale jakoś mu się nie udawało, jakoś mu było nieporęcznie zacząć z nią tę rozmowę. Z każdym dniem wikłał się coraz bardziej. Wedle spostrzeżeń matki i Soni Natasza wydawała się zakochana w nim po dawnemu. Śpiewała mu jego ulubione pieśni, pokazywała swój sztambuch, kazała się tam wpisywać, nie pozwalała wspominać o przeszłości, dając do zrozumienia, jak piękna jest ta nowa znajomość, i Borys codziennie odjeżdżał oszołomiony, nie powiedziawszy tego, co zamierzał był powiedzieć, sam nie wiedząc, co robi, po co przyjeżdża i czym to się skończy. Borys przestał bywać u Héléne, co dzień otrzymywał od niej bileciki z wymówkami, a jednak całe dni spędzał u Rostowów.

---

<sup>438</sup> Jak należy.

### XIII

Pewnego wieczoru, kiedy stara hrabina, wzdychając i stękając, w nocnym czepku i kaftaniku, bez sztucznych loków i z jednym tylko ubogim kosmykiem włosów wysuwającym się spod białego płóciennego czepeczka, biła na dywaniku pokłony przy wieczornym pacierzu, drzwi skrzypnęły i w pantoflach na bosych nogach, również w kaftaniku i w papilotach, wbiegła Natasza. Hrabina obejrzała się i zachmurzyła. Kończyła swą ostatnią modlitwę: „Czyż łoże to trumną mi będzie?” Jej nastrój modlitewny został zniweczony. Natasza, rumiana, ożywiona, ujrawszy, że matka się modli, zatrzymała się nagle, przykucnęła i mimo woli wysunęła język, grożąc sama sobie. Kiedy zauważyła, że matka dalej odmawia pacierz, na palcach podbiegła do łóżka, dotykając jedną malutką nóżką drugiej szybko zrzuciła pantofle i skoczyła na to łoże, co do którego hrabina żywiła obawę, by nie stało się jej trumną. Owo łoże było wysokie, piernatowe, z pięciu coraz mniejszymi poduszkami. Natasza skoczyła, utonęła w piernacie, przetoczyła się do ściany i zaczęła wiercić się pod kołdrą, układając się, przesuając kolana do podbródka, wierzgając nogami i śmiejąc się ledwie dosłyszalnie, to nakrywała się z głową, to spoglądała na matkę. Hrabina skończyła pacierz i z surowym wyrazem twarzy zbliżyła się do łóżka: ale zobaczywszy, że Natasza przykryła się z głową, uśmiechnęła się swym pocziwym słabym uśmiechem.

– No, no, no – rzekła matka.

– Mamo, czy można porozmawiać? – zapytała Natasza. – No, w szyjkę raz i jeszcze raz, i dosyć. – Objęła matkę za szyję i pocałowała w podbródek. W stosunku do matki Natasza okazywała pozorną szorstkość, ale tak była delikatna i zwinna, że w jakikolwiek sposób objęła matkę rękami, zawsze umiała to zrobić tak, żeby matkę nie bolało, żeby nie sprawić jej przykrości.

– O czymże to dzisiaj? – zapytała matka. Ułożyła się na poduszkach i czekała, póki Natasza, przeturlawszy się dwa razy, nie położyła się obok niej pod jedną kołdrą, prostując ręce i przybierając wyraz powagi.

Te nocne wizyty Nataszy, odbywające się przed powrotem hrabiego z klubu, stanowiły jedną z najulubieńszych przyjemności matki i córki.

– O czymże dzisiaj? A ja muszę ci powiedzieć...

Natasza zasłoniła matce usta ręką.

– O Borysie... Wiem – rzekła poważnie – po to przyszłam. Proszę nie mówić, ja sama wiem. Nie, mamo, mów! – odjęła rękę. – Prawda, mamo, że on jest miły.

– Nataszo, masz szesnaście lat, ja w twoim wieku byłam zameżna. Powiadasz, że Boria jest miły. Jest bardzo miły i kocham go jak syna, ale czego ty chcesz?... Co ty sobie myślisz? Całkiem zawróciłaś mu głowę, jak widzę...

Mówiąc to hrabina spojrzała na córkę. Natasza leżała, prosto i nieruchomo patrząc przed siebie na jednego z mahoniowych sfinksów, wyrzeźbionych w rogach łóżka, toteż hrabina widziała twarz córki tylko z profilu. Twarz ta zadziwiała hrabinę jakąś osobliwą powagą i skupieniem. Natasza słuchała i zastanawiała się.

– No więc co? – rzekła.

– Zawróciłaś mu głowę, po co? Czego chcesz od niego? Przecie wiesz, że nie możesz za niego wyjść za męża.

– Dlaczego? – zapytała Natasza nie zmieniając pozycji.

– Dlatego że jest młody, dlatego że biedny, dlatego że bliski krewny... dlatego że ty sama go nie kochasz?

– A skąd mama wie?

– Wiem. To niedobrze, mój skarbie.

– A jeśli ja chcę... – powiedziała Natasza.

– Przestań mówić głupstwa – rzekła hrabina.

– A jeśli ja chcę...

– Nataszo, mówię poważnie...

Natasza nie pozwoliła jej skończyć, przyciągnęła do siebie dużą rękę hrabiny i pocałowała ją z wierzchu, potem w dłoń, potem znowu odwróciła i jęła całować ją w kostkę górnego stawu palca, potem we wgłębienie, potem znowu w kostkę, szepcząc przy tym: „Styczeń, luty, marzec, kwiecień, maj.”

– Niechże mama mówi. Czemu mama milczy? Proszę mówić – rzekła spoglądając na matkę, która tkliwym spojrzeniem patrzyła na córkę i w tej kontemplacji zapomniała jak gdyby wszystko, co chciała powiedzieć.

– Tak się nie godzi, moja droga. Nie wszyscy rozumieją waszą dziecięcą przyjaźń, a gdy widzą, że jesteście z nim tak blisko, może ci to zaszkodzić w oczach innych młodych ludzi, którzy u nas bywają, a co najważniejsze – niepotrzebnie go dręczysz. Może już znalazł partię odpowiednią dla siebie, bogatą; a teraz traci rozum.

– Traci? – powtórzyła Natasza.

– Opowiem ci o sobie. Miałam pewnego *cousin*...

– Wiem, Kirila Matwieicza. Przecie on stary!

– Nie zawsze był stary. Wiesz co, Nataszo, ja porozmawiam z Borią. Nie powinien być u nas tak często...

– Dlaczego nie powinien, skoro ma ochotę?

– Dlatego, że wiem, iż to się skończy na niczym.

– Skąd mama wie? Nie, mam, proszę mu tego nie mówić. Cóż to za głupstwa! – mówiła Natasza tonem człowieka, któremu chcą odebrać jego własność. – No, nie wyjdę za męża, ale niech przychodzi, skoro jemu wesoło i mnie wesoło. – Natasza uśmiechnęła się i spojrzała na matkę.

– Nie za męża, ale tak – powtórzyła.

– Więc jak, moja droga?

– A tak. Wielkie rzeczy, że za męża nie wyjdę, ale... tak.

– Tak, tak – powtórzyła hrabina i cała się zatrzęsła od pocziwego, niespodziewanego starczego śmiechu.

– Dostyc już tego śmiechu, niech mama przestanie – zawołała Natasza – całe łóżko się trzęsie. Strasznie mama do mnie podobna, taka sama śmieszka... Zaraz...

– Chwyliła obie ręce hrabiny, pocałowała jedno zgięcie palca – czerwiec – i dalej całowała: lipiec, sierpień – na drugiej ręce. – Mam, czy on jest bardzo zakochany? Jak się mamie zdaje? Czy w mamie był kto tak zakochany? A jest bardzo miły, bardzo, bardzo miły! Tylko nie całkiem w moim guście – taki wąski jak zegar w stołowym pokoju... Mama nie rozumie?... Wąski, wie mama, szary, jasny...

– Co ty pleciesz! – odezwała się hrabina.

Natasza ciągnęła:

– Naprawdę mama nie rozumie? Nikoleńka by zrozumiała... Bezuchow – ten, to granatowy, ciemnogramatowy z czerwonym, a przy tym czworokątny.

– To ty i jego kokietujesz? – rzekła hrabina śmiejąc się.

– Nie, to jest farmazon, dowiedziałam się. On jest wspaniały, ciemnogrnatowy z czerwonym, jak by tu mamie wytłumaczyć...

– Hrabino – rozległ się za drzwiami głos hrabiego. – Nie śpisz? – Natasza wyskoczyła i bosy, chwyciwszy w ręce pantofle, uciekła do swego pokoju.

Długo nie mogła zasnąć. Ciągle myślała o tym, że w żaden sposób nikt nie może pojąć tego wszystkiego, co ona pojmuje i co w niej jest.

„Sonia? – pomyślała i spojrzała na śpiącą, zwiniętą w kłębek kotkę, na jej ogromny warkocz. – Gdzie tam jej do tego! Cnotliwa. Zakochała się w Nikoleńce i o niczym więcej nie chce wiedzieć. Nawet mama nie rozumie. To zadziwiające, jaka ja jestem mądra i jaka... ona miła – ciągnęła mając na myśli siebie samą i wyobrażając sobie, że to mówi o niej jakiś bardzo mądry, najmądrzejszy i najlepszy mężczyzna... «wszystko, wszystko w niej jest – ciągnął dalej ów mężczyzna, niezwykle ładna, zgrabna – pływa, wspaniale jeździ konno, a co za głos! Można rzec – zdumiewający!» Zaśpiewała swą ulubioną frazę muzyczną z opery Cherubiniego, rzuciła się na łóżko, roześmiała się na radosną myśl, że zaraz zaśnie, przywołała Duniaszę, aby zgasila świecę, i Duniasza jeszcze nie zdążyła wyjść z pokoju, gdy ona już znalazła się w innym, jeszcze bardziej szczęśliwym świecie widzeń sennych, gdzie wszystko było równie lekkie i piękne jak w rzeczywistości, tylko że jeszcze lepsze, bo inne.

Nazajutrz hrabina poprosiła do siebie Borysa, porozmawiała z nim, i od tego dnia Borys przestał bywać u Rostowów.

## XIV

31 grudnia, w wigilię Nowego Roku 1810, *le réveillon*<sup>439</sup>, był bal u dygnitarzy z czasów Katarzyny. Na balu miał być korpus dyplomatyczny i monarcha.

Na bulwarze Angielskim jaśniał niezliczonymi światłami iluminacji znany dom magnata. Przy oświetlonym podjeździe, wysłanym czerwonym sukniem, stała policja – i nie tylko żandarmi, ale i policmajster na podjeździe, i dziesiątki oficerów policji. Powozy odjeżdżały i wciąż przyjeżdżały inne – z lokajami w czerwieni lub z lokajami w kapeluszach z piórami. Z karet wysiadali mężczyźni w mundurach, z gwiazdami orderowymi i wstęgami, damy w atłasach i gronostajach ostrożnie schodziły po hałaśliwie opuszczanych stopniach i szybko, bezszelestnie wchodziły po suknie podjazdu.

Prawie za każdym razem, kiedy zbliżał się powóz, w tłumie przebiegał szept i zdejmowano czapki.

– Monarcha?... Nie, minister... książe, poseł... Nie widzisz piór?... – mówiono w tłumie. Pewien człowiek w ciżbie, lepiej ubrany niż inni, zdawał się znać wszystkich, wymieniał nazwiska najświetniejszych dostojników owego czasu.

Już trzecia część gości przybyła na bal, a u Rostowów, którzy również mieli być na balu, jeszcze pośpiesznie się ubierano.

W rodzinie Rostowów wiele było rozważań i przygotowań do tego balu, wiele obaw, że nie dostaną zaproszenia, że suknie nie będą gotowe na czas, że nie wszystko wyjdzie tak, jak trzeba.

Razem z Rostowami jechała na bal Maria Ignatiewna Perońska, przyjaciółka i krewniaczka hrabiny, chuda i żółta frejlina dawnego dworu, która w wyższym świecie petersburskim była przewodniczką prowincjonalistów – Rostowów.

O godzinie dziesiątej Rostowowie mieli wstąpić do Ogrodu Taurydzkiego<sup>440</sup> po frejlinę: a tymczasem za pięć dziesiąta panny jeszcze nie były ubrane.

Natasza wybierała się na pierwszy wielki bal w życiu. Owego dnia wstała o ósmej rano i cały dzień spędziła krzątając się w gorączkowym niepokoju. Od samego rana wszystkie siły skierowała na to, żeby wszystkie: ona, mama i Sonia, były ubrane, że nie można lepiej. Sonia i hrabina powierzyły się jej całkowicie. Hrabina miała być w sukni z amarantowego aksamitu, a one obie – w sukniach z białej gazy na różowych jedwabnych podbiciach, przy stanikach miały być różne. Włosy miały być uczesane *à la grecque*.

Wszystko zasadnicze było już zrobione: nogi, ręce, szyja i uszy były już osobliwie starannie, po balowemu wymyte, naperfumowane i napudrowane, już włożono jedwabne ażurowe pończochy i białe atłasowe trzewiki z kokardami; fryzury były prawie gotowe. Sonia kończyła się ubierać, hrabina również, ale Natasza, która troszczyła się o wszystkie, spóźniła się. Jeszcze siedziała przed lustrem w peniuarze narzuconym na szczuplutkie ramiona. Sonia, już

---

<sup>439</sup> W wieczór sylwestrowy.

<sup>440</sup> Tak w oryginale. Mowa o ogrodzie (czy raczej parku) sąsiadującym z pałacem Taurydzkim. Frejlina Perońska mieszkała zapewne w pałacu Taurydzkim albo też w którymś z domów sąsiadujących z ogrodem (parkiem) Taurydzkim.



ubrana, stała na środku pokoju i aż do bólu przyciskając malutkim palcem przypinała ostatnią wstążkę, chrzęszczącą pod szpilką.

– Nie tak, Soniu, nie tak! – zawołała Natasza odwracając głowę przy czesaniu i chwytając rękami za włosy, których pokojowa nie zdążyła puścić. – Kokarda inaczej, chodź no tutaj. – Sonia przykucnęła. Natasza upięła wstążkę inaczej.

– Proszę panienki, tak nie można – mówiła pokojówka trzymając włosy Nataszy.

– Ach, mój Boże, później! Tak, Soniu, o!

– Kiedy będziecie gotowe? – rozległ się głos hrabiny – Już dziesiąta.

– Zaraz, zaraz. A czy mama gotowa?

– Tylko jeszcze toczek przyszpilić.

– Proszę nie robić tego beze mnie – krzyknęła Natasza. – Mama nie potrafi!

– Kiedy już dziesiąta.

Na balu należało być o wpół do jedenastej, a tymczasem Natasza jeszcze nie była ubrana i należało wstąpić do Ogrodu Taurydzkiego.

Skończywszy się czesać Natasza, w króciutkiej halce, spod której było widać balowe trzewiczki, w matczynym kaftaniku, podbiegła do Soni, obejrzała ją, a potem pobiegła do matki. Obracając jej głowę, przyszpiliła toczek i ledwie zdążywszy ucałować jej siwe włosy, znowu podbiegła do dziewcząt, obrębiających jej spódnicę.

Sprawa polegała na zbyt długiej spódnicy Nataszy, skracały ją dwie dziewczyny, pośpiesznie odgryzając nitki. Trzecia, ze szpilkami w wargach i zębach, biegała od hrabiny do Soni, czwarta trzymała w wysoko podniesionych rękach całą suknię z gazy.

– Mawruszka, prędzej, kochasiu!

– Niech panienka da stamtąd napałek.

– Kiedy wreszcie? – zapytał hrabia wychodząc zza drzwi. – Macie perfumy. Perońska nie może się doczekać.

– Gotowe, panienko – mówiła pokojówka podnosząc dwoma palcami skróconą suknię gazową, coś zdmuchiwała i strząsała, jakby tym gestem wyrażając świadomość zwiewności i czystości tego, co trzyma w rękach.

Natasza jęła wkładać suknię.

– Zaraz, zaraz, papo, nie wchodź – jeszcze spod gazy spódnicy, zakrywającej całą jej twarz, wołała do ojca, który otworzył drzwi. Sonia zatrzasnęła drzwi. Po chwili wpuszczono hrabiego. Był w granatowym fraku, pończochach i trzewikach, naperfumowany i wypomadowany.

– Ach, papo, jesteś piękny, cudowny! – orzekła Natasza stojąc na środku pokoju i rozprostowując fałdki gazy.

– Zaraz, panienko, zaraz – mówiła klęcząca dziewczyna, która obciągała suknię, przesuważając szpilki językiem z jednej strony ust na drugą.

– Jak uważasz! – wykrzyknęła Sonia z rozpaczą w głosie, obejrzawszy suknię Nataszy – jak uważasz, ale jeszcze za długa!

Natasza odeszła dalej, żeby przejrzeć się w tremie. Suknia była długa.

– Jak Boga kocham, panienko, wcale nie długa – rzekła Mawrusza pełzając po podłodze za panienką.

– Jeśli za długa, to podwiniemy, migiem podwiniemy – rzekła stanowczo Duniasza wyjmując z chusteczki na piersiach igielkę i znów na podłodze zabierając się do roboty.

W tej chwili nieśmiało, cichymi krokami weszła hrabina w swym toczku i aksamitnej sukni.

– Ach! moje śliczności! – krzyknął hrabia. – Piękniejsza od was wszystkich!... – Chciał ją uścisnąć, ale odsunęła się zarumieniona, żeby nie pognieść sukni.

– Mamo, toczek więcej na bok – mówiła Natasza. – Ja przepnę – i rzuciła się naprzód, a dziewczęta, które skracały suknię, nie zdążyły za nią i naderwały kawałeczek gazy.

- Mój Boże! Co to będzie? To naprawdę nie moja wina...
- Nic nie szkodzi, podwinę, nie będzie widać – mówiła Duniasza.
- Ślicznotka, moja królewna! – rzekła wchodząca niania. – A Soniuszka, ach, jakie one śliczne!...

Wreszcie za kwadrans jedenasta siedli do karet i pojechali. Ale jeszcze trzeba było wstąpić do Ogrodu Taurydzkiego.

Perońska już była gotowa. Pomimo że była stara i nieładna, działo się u niej to samo co u Rostowów, choć nie z takim pośpiechem (dla niej było to rzeczą zwykłą), jej stare nieładne ciało było tak samo naperfumowane, wymyte, napudrowane, tak samo starannie myte je za uszami, a nawet, tak samo jak u Rostowów, stara pokojówka zachwycała się strojem swej pani, kiedy w żółtej sukni z cyfrą weszła do salonu. Perońska pochwaliła toalety Rostowów.

Rostowowie pochwalili jej gust i toaletę. O jedenastej, bacząc na fryzury i suknie, usadowili się w karetkach i pojechali.

## XV

Owego dnia Natasza od samego rana nie miała ani jednej wolnej chwili, żeby pomyśleć o tym, co ją czeka.

W wilgotnym, chłodnym powietrzu, w ciasnocie i mroku kołyszącej się karety po raz pierwszy wyobraziła sobie żywo wszystko, co ją oczekuje tam, na balu, w oświetlonych salach – muzyka, kwiaty, tańce, monarcha, wszystka świetna młodzież petersburska. Wszystko, co ją czekało, było tak piękne, aż nie wierzyła w to, że tak będzie: tak to było niewspółmierne z wrażeniem zimna, ciasnoty i mroku karety. Dopiero wtedy pojęła to wszystko, co ją czeka, kiedy przeszedłszy po czerwonym suknie podjazdu wkroczyła do przedśionka, zdjęła futro i wraz z Sonią wyprzedzając matkę, szła wśród kwiatów po oświetlonych schodach. Dopiero wtedy uprzytomniła sobie, jak ma się zachować na balu, i starała się przybrać ową majestatyczną minę, jaką uważała za niezbędną dla panny na balu. Ale, na szczęście, poczuła, że oczy jej się rozbiegły: nic nie widziała wyraźnie, puls zaczął uderzać sto razy na minutę, a krew ją stukać w okolicy serca. Nie mogła przybrać owej miny, która by ją ośmieszyła, szła zamierając ze wzruszenia i ze wszystkich sił starając się je ukryć. I to właśnie był sposób bycia, z jakim najbardziej było jej do twarzy. Przed nimi i za nimi szli goście, którzy podobnie cicho rozmawiali ze sobą i tak samo byli w balowych strojach. Zwierciadła na schodach odbijały damy w sukniach białych, błękitnych, różowych, z brylantami i perłami na obnażonych rękach i szyjach.

Natasza patrzyła w zwierciadła i w odbiciu nie mogła odróżnić siebie od innych. Wszystko się mieszało w jeden świetny orszak. Przy wejściu do pierwszej sali miarowy zgłębł głosów, kroków, powitań – ogłuszył Nataszę; światło i blask jeszcze bardziej ją oślepiły. Gospodarz i gospodyni, którzy już od pół godziny stali w drzwiach wejściowych i do wchodzących zwracali się z jednymi i tymi samymi słowami: „*Charmé de vous voir*”<sup>441</sup>, tak samo powitali Rostowów i Perońską.

Dwie panienki w białych sukniach, z jednakowymi różami w czarnych włosach, dygnęły jednakowo, ale gospodyni mimo woli zatrzymała wzrok dłużej na szczupłutkiej Nataszy. Popatrzyła na nią i tylko do niej jednej uśmiechnęła się osobliwie, na dodatek do swego uśmiechu pani domu. Może patrząc na nią przypomniała sobie swoje złote, niepowrotne panieństwo i swój pierwszy bal. Gospodarz również powiódł oczyma za Natasza i zapytał hrabiego, która jest jego córką.

– *Charmante!*<sup>442</sup> – powiedział całując końce palców.

W sali stali goście, tłocząc się przy drzwiach wejściowych w oczekiwaniu monarchy. Hrabina ulokowała się w pierwszych szeregach tej cizby. Natasza słyszała i czuła, że kilka głosów pytało o nią, że na nią patrzano. Zrozumiała, że podobała się tym, którzy zwrócili na nią uwagę, i to spostrzeżenie uspokoiło ją nieco.

„Są takie same jak my, są też i brzydsze od nas” – pomyślała.

Perońska wymieniała hrabinie najważniejsze osobistości, będące na balu.

<sup>441</sup> Bardzośmy radzi widzieć państwa.

<sup>442</sup> Urocza!

– Oto poseł holenderski, widzisz, ten siwy – mówiła Perońska wskazując staruszką z siwą, kędzierzawych obfitych włosów, otoczonego damami, które czymś pobudzały do śmiechu.

– A oto królowa Petersburga, hrabina Bezuchow – mówiła wskazując wchodzącą Héléne.

– Jaka piękna! Nie ustępuje Marii Antonownie, patrz, jak jej nadskakują i młodzi, i starzy. I piękna, i rozumna... Powiadają, że księżę... dla niej stracił głowę... A oto te dwie, choć nieładne, ale jeszcze bardziej otoczone.

Wskazała przechodzącą przez salę damę z bardzo nieładną córką.

– Milionowa partia – rzekła Perońska. – A to konkurenci.

– To brat hrabiny Bezuchow, Anatol Kuragin – rzekła wskazując pięknego kawalergarda, który przeszedł obok nich i podniósłszy głowę patrzył gdzieś ponad damami z wysokości uniesionej głowy. – Piękny, prawda? Mówią, że swatają go z tą bogaczką. A ten wasz *cousin* Drubecki też koło niej się kręci. Mówią, że miliony... A jakże, przecie to francuski poseł we własnej osobie – odpowiedziała na zapytanie hrabiny o Caulaincourta.

– Spójrz, wzięcie niby jakiegoś króla. A jednak Francuzi są mili, bardzo mili! W towarzystwie nie ma miłszych. A oto i ona! A przecie nasza Maria Antonowna jest najpiękniejsza ze wszystkich! I z jaką prostotą ubrana. Urocza!

– A ten tłuszcioch w okularach to farmazon wszechświatowy – oznajmiła Perońska pokazując Bezuchowa.

– Postawić go obok żony: przecie to straszdyło.

Pierre szedł, kołysząc swym otyłym ciałem, rozsuwał cizbę, kiwał głową na prawo i na lewo tak niedbale i dobroduszenie, jakby przechodził przez tłum na bazarze. Przeciskał się przez tłum i najwidoczniej kogoś szukał.

Natasza patrzyła z radością na znajomą twarz Pierre'a, tego „straszydła”, jak go nazwała Perońska, i widziała, że Pierre szuka w tłumie ich, a właściwie jej. Pierre obiecał jej być na balu i przedstawić jej kawalerów.

Ale Bezuchow, nie doszedłszy do nich, zatrzymał się przy niewysokim, bardzo pięknym brunecie w białym mundurze; stał przy oknie i rozmawiał z jakimś wysokim mężczyzną z gwiazdami i szarfą. Natasza od razu poznała tego niewysokiego młodego człowieka w białym mundurze: był to Bołkoński; wydał się jej znacznie młodszy, weselszy i piękniejszy.

– Jeszcze jeden znajomy, Bołkoński, widzi mama – rzekła Natasza wskazując księcia Andrzeja. – Pamięta mama, nocował u nas w Otradnem.

– Ach, to wy go znacie? – powiedziała Perońska.

– Nie cierpię go. *Il fait à présent la pluie et le beau temps.*<sup>443</sup> Jego duma nie ma granic. Wdał się w tatusia. Spiknął się ze Sperańskim, układając jakieś projekty. Patrz, jak się zachowuje wobec dam! Ona z nim rozmawia, a ten się odwrócił!

– rzekła wskazując na niego. – Już ja bym mu dała nauczkę, gdyby ze mną tak postąpił jak z tymi paniami.

---

<sup>443</sup> Rządzi teraz wszystkim.

## XVI

Nagle wszystko się poruszyło, tłum zaszemrał, poruszył się, znów się rozstał i między dwoma powstałymi szeregami wszedł monarcha przy dźwiękach muzyki. Za nim szli gospodarz i gospodyni. Monarcha szedł szybko, kłaniał się na prawo i na lewo, jakby chciał czym prędzej pozbyć się tej pierwszej chwili powitania. Muzykanci grali poloneza, znanego wówczas ze słów na jego cześć. Zaczynał się od słów „Aleksandrze i Elżbieto, jakże ubóstwiamy was.” Monarcha przeszedł do salonu, tłum spłynął ku drzwiom; kilka osób, zmienionych na twarzy, spieszenie przeszło tam i z powrotem. Tłum znowu odpłynął od drzwi salonu, w których ukazał się monarcha rozmawiając z gospodynią. Jakiś młody człowiek, bardzo zaaferowany, napierał na panie i prosił, by się odsunęły. Niektóre panie – z twarzami wyrażającymi całkowite zapomnienie wszystkich konwenansów światowych – parły ku przodowi niszcząc sobie toalety. Mężczyźni jęli podchodzić do dam i ustawiać się w pary do poloneza. Wszyscy się rozstąpili, a monarcha uśmiechnięty, nie w takt prowadząc za rękę panią domu, wyszedł z drzwi salonu. Za nim szedł gospodarz z Marią Aleksandrowną Naryszkin, następnie posłowie, ministrowie, różni generałowie, których wymieniała Perońska nie zamykając ust. Większość pań miała już kawalerów i ruszały lub były gotowe ruszyć do poloneza. Natasza czuła, że wraz z matką i Sonią pozostaje w mniejszej liczbie pań, odsuniętych do ściany i nie zaproszonych do poloneza. Stała opuściwszy swe szczuplutkie ręce, ledwie zarysowana pierś unosiła się miarowo: wstrzymywała oddech i patrzyła przed siebie błyszczącymi, przestraszonymi oczami, z wyrazem gotowości na największą radość lub na największe zmartwienie. Nie zajmował jej ani monarcha, ani interesowały ważne osobistości, które wskazywała Perońska. Miała tylko jedną myśl: „Czy naprawdę nikt nie podejdzie do mnie, czy naprawdę nie będę tańczyła wśród pierwszych, czy naprawdę nie zauważą mnie ci wszyscy mężczyźni, którzy obecnie zdają się mnie nie widzieć, a jeśli nawet patrzą na mnie, to patrzą z taką miną, jak gdyby mówili: «Ach, to nie ona, więc nie ma co patrzeć.» Nie, to niemożliwe! – myślała. – Przecie powinni wiedzieć, jaką mam ochotę tańczyć, jak wspaniale tańczę, jak im będzie wesoło tańczyć ze mną.”

Dźwięki poloneza, rozbrzmiewające już dość długo, zaczynały brzmieć smutno – jak wspomnienie – w uszach Nataszy. Zbierało jej się na płacz. Perońska odeszła od nich. Hrabia był na drugim końcu sali, Sonia i ona stały osamotnione w tym obcym tłumie niby w lesie, nikogo nie obchodzące, nikomu niepotrzebne. Przeszedł obok nich książę Andrzej z jakąś damą i najwidoczniej ich nie poznał. Piękny Anatol mówił coś z uśmiechem do damy, którą prowadził, i spojrzał na twarz Nataszy takim wzrokiem, jakim się patrzy na ścianę. Borys dwukrotnie przechodził obok nich i za każdym razem się odwracał. Zbliżył się do nich Berg z żoną – oni też nie tańczyli.

To zbliżenie się rodziny wydawało się Nataszy tu na balu obraźliwe, jakby nie było innego miejsca na rozmowy rodzinne, tylko na balu. Nie słuchała Wiery i nie patrzyła na nią, kiedy jej coś mówiła o swej zielonej sukni.

Monarcha zatrzymał się wreszcie przy swojej ostatniej damie (tańczył z trzema), kapela umilkła: zaaferowany adiutant wpadł na panie Rostow i prosił, żeby się jeszcze dalej usunęły, choć już stały przy ścianie. Z galerii rozległy się wyraziste, ostrożne i porywająco rytmiczne dźwięki walca. Uśmiechnięty monarcha spojrzał na salę. Minęła chwila – nikt jeszcze nie

zaczynał. Adiutant-wodzirej podszedł do hrabiny Bezuchow i poprosił ją do tańca. Uśmiechnęła się, podniosła rękę i nie patrząc na adiutanta położyła ją na jego ramieniu. Adiutant-wodzirej, mistrz w swym rzemiośle, pewny siebie, bez pośpiechu i miarowo, mocno objął swą damę i puścił się z nią z początku glissadą, zataczając krąg, w rogu sali ujął jej lewą rękę, obrócił; poprzez coraz szybsze dźwięki muzyki słyhać było tylko miarowe dzwonienie ostróg u szybkich i zwinnych nóg adiutanta i co trzy takty, na zakręcie, rozplomieniała się rozwiana aksamitna suknia jego damy. Natasza patrzyła na nich i gotowa była płakać, że to nie ona tańczy pierwszą turę walca.

Książę Andrzej, w swym pułkownikowskim, białym (kawaleryjskim) mundurze, w półczochach i pantoflach, ożywiony i wesoły, stał w pierwszych rzędach kręgu, niedaleko pań Rostow. Baron Virhof rozmawiał z nim o mającym się odbyć nazajutrz pierwszym posiedzeniu Rady Państwa. Książę Andrzej, jako człowiek bliski Sperańskiemu i uczestnik prac komisji ustawodawczej, mógł udzielić pewnych wiadomości o jutrzejszym posiedzeniu, o którym krążyły różne wieści. Książę nie słuchał, co do niego mówił Virhof, i patrzył to na monarchę, to na kawalerów, którzy zamierzali tańczyć, a nie mogli zdecydować się na wejście w kolisko.

Książę Andrzej przyglądał się tym kawalerom tak onieśmielonym obecnością monarchy i paniom, które omdlewały z pragnienia, żeby je proszono do tańca.

Pierre podszedł do księcia Andrzeja i chwycił go za rękę.

– Książę zawsze tańczy. Tutaj jest moja *protégée*, hrabianka Rostow, młodsza, \ zaprosz ją – powiedział.

– Gdzie? – zapytał Bołkoński. – Przepraszam – rzekł zwracając się do barona – tę rozmowę gdzie indziej doprowadzimy do końca, a na balu trzeba tańczyć.

– Ruszył naprzód w kierunku, który mu wskazał Pierre. Księżciu Andrzejowi rzuciła się w oczy zrozpaczona, omdlewająca twarz Nataszy. Poznał ją, odgadł jej uczucie, zrozumiał, że była debutantką, przypomniał sobie jej rozmowę przy oknie i z wesołym wyrazem twarzy zbliżył się do hrabiny Rostow.

– Pozwolisz książę, że poznam go z moją córką – rzekła hrabina rumieniąc się.

– Już mam przyjemność znać, jeśli hrabianka mnie pamięta – powiedział książę Andrzej z pełnym szacunku niskim ukłonem, całkowicie zaprzeczającym uwagom Perońskiej o jego opryskliwości, podszedł do Nataszy i podniósł rękę, żeby objąć jej talię, nim dokończył zaproszenia do tańca. Zaproponował jej turę walca. Omdlewający wyraz twarzy Nataszy, gotowej do rozpacz i do uniesienia, rozjaśnił się nagle szczęśliwym, wdzięcznym, dziecinnym uśmiechem.

„Dawno na ciebie czekałam” – zdawała się mówić ta zalękniona i szczęśliwa dziewczynka swym uśmiechem spoza powstrzymywanych łez i położyła rękę na ramieniu księcia Andrzeja. Byli drugą parą, która weszła w krąg taneczny. Książę Andrzej należał do najlepszych tancerzy swego czasu. Natasza tańczyła wspaniale. Jej nóżki w atlasowych, balowych trzewiczkach szybko i lekko, jakby niezależnie od niej, czyniły, co trzeba, a jej twarz jaśniała zachwytem szczęścia. Jej obnażone ręce i szyja były w porównaniu z Héléne chude, pierś nie ukształtowana, ręce cienkie, tylko że tysiące spojrzeń, jakie się ześliznęły po ciele Héléne, pokryły je jak gdyby lakierem, gdy Natasza wyglądała jak dziewczynka, którą po raz pierwszy obnażono i która bardzo by się tego wstydziała, gdyby jej nie zapewniono, że tak koniecznie trzeba.

Książę Andrzej lubił tańczyć, poza tym pragnął uwolnić się jak najprędzej od politycznych i mądrych rozmów, z jakimi wszyscy zwracali się do niego, pragnął czym prędzej rozerwać ów gniewający go krąg skrępowania, spowodowanego obecnością monarchy, ruszył więc do tańca i wybrał Nataszę, bo wskazał mu ją Pierre, bo ona pierwsza spośród ładnych kobiet wpadła mu w oko, ale gdy tylko objął jej szczupłą, ruchliwą kibić, a ona poruszyła się tak blisko i tak z bliska uśmiechnęła się do niego, wino jej powabów uderzyło mu do głowy: poczuł, że ożył i odmłodził, kiedy łapiąc oddech i odprowadziwszy ją przystanął, by patrzeć na tańczących.

## XVII

Po księciu Andrzeju do Nataszy podszedł Borys i poprosił ją do tańca, podszedł i ów adiutant-wodzirej, który rozpoczął bal, i jeszcze inni młodzi ludzie podchodzili, a Natasza, odstępując Soni zbywających kawalerów, szczęśliwa i zarumieniona, tańczyła przez cały wieczór. Nie zauważyła i nie widziała nic z tego, co na tym balu zajmowało wszystkich. Nie tylko nie zauważyła, że monarcha rozmawiał długo z posłem francuskim, że z osobliwą łaskawością rozmawiał z pewną damą, że taki to a taki książe raczył powiedzieć to a to, że Hélène miała wielkie powodzenie i została zaszczycona szczególną uwagą takiego to a takiego, nie widziała nawet monarchy i tylko dlatego zauważyła, że odjechał, iż po jego odjeździe bal jeszcze bardziej się ożywił. Jeden z wesołych kotylionów przed kolacją książe Andrzej również przetańczył z Nataszą. Przypomniawszy jej o pierwszym spotkaniu w ogrodowej alei w Otradnem i o tym, jak nie mogła zasnąć w księżycową noc i jak mimo woli ją słyszał. Natasza zarumieniła się na to wspomnienie i starała się usprawiedliwić, jak gdyby w tym nastroju, na którym książe Andrzej przyłapał ją mimo woli, było coś wstydlivego.

Książe Andrzej, jak wszyscy ludzie wyrosli w świecie, lubił spotykać to, co nie miało na sobie powszedniego światowego piętna. Taka była Natasza – ze swą naiwnością, radością i onieśmieleniem, a nawet błędami we francuszczyźnie.

Obchodził się z nią i rozmawiał ze szczególną delikatnością i ostrożnością. Siedząc obok niej, rozmawiając z nią o najpospolitszych i nieważnych rzeczach, książe Andrzej napawał się radosnym błyskiem jej oczu i uśmiechem, odnoszącego się nie do rzeczy, które mówiono, ale do jej wewnętrznego szczęścia. Gdy Nataszę proszono, a ona wstawiała z uśmiechem i tańczyła po sali, książe Andrzej napawał się zwłaszcza jej lekliwą gracją. W połowie kotyliona Natasza skończywszy figurę, jeszcze oddychając spiesznie, zbliżała się do swego miejsca. Nowy kawaler znowu ją zaprosił. Była zmęczona i zadyszana i najwidoczniej zamierzała odmówić, ale natychmiast wesoło położyła rękę na ramieniu kawalera i uśmiechnęła się do księcia Andrzeja.

„Rada bym odpocząć i posiedzieć z panem, zmęczyłam się, ale pan widzi, że mnie wybierają i ja się z tego cieszę, i jestem szczęśliwa, i wszystkich kocham, a ja i pan wszystko to rozumiemy” – i jeszcze niejedno mówił ten uśmiech. Kiedy kawaler ją opuścił, Natasza pobięła przez salę, aby wybrać do figur dwie damy.

„Jeśli podejdzie najpierw do swej kuzynki, a potem do drugiej damy, to będzie moją żoną” – całkiem niespodziewanie powiedział do siebie książe Andrzej patrząc na nią. Podeszła najpierw do kuzynki. „Co za bzdury przychodzą czasem do głowy! – pomyślał książe Andrzej. – Ale pewne jest to tylko, że ta panienka, tak miła, tak niezwykła, nie przetańczy tutaj nawet miesiąca i wyjdzie za mąż... tutaj to rzadkość – myślał, kiedy Natasza, poprawiając wysuwającą się zza gorsu różę, sadowiła się obok niego.

Kiedy kotylion się skończył, do tańczących zbliżył się stary hrabia w swym granatowym fraku. Zaprosił księcia Andrzeja, by ich odwiedził i zapytał córkę, czy jej wesoło. Natasza nie odpowiedziała, tylko się uśmiechnęła takim uśmiechem, który mówił z wyrzutem: „Jak można o to pytać?”

– Tak wesoło jak nigdy w życiu! – powiedziała. Książę Andrzej zauważył, że jej szczupłe ręce już się podniosły szybko, aby uściskać ojca, i natychmiast opadły. Natasza była szczęśliwa jak jeszcze nigdy w życiu. Znajdowała się na tym najwyższym stopniu szczęścia, kiedy człowiek staje się w pełni dobry i nie wierzy w możliwość zła, nieszczęścia i smutku.

Na tym balu Pierre po raz pierwszy poczuł się urażony pozycją, którą zajmowała jego żona w wyższych sferach. Był ponury i roztargniony. W poprzek czoła legła mu szeroka zmarszczka: stał przy oknie, patrzył przez okulary nie widząc nikogo.

Natasza udając się na kolację przeszła obok niego.

– Prawda, hrabio, jak wesoło – powiedziała.

Pierre uśmiechnął się z roztargnieniem, najwidoczniej nie rozumiejąc, co do niego mówiono.

– Tak, bardzo zadowolony – odrzekł. „Jak oni mogą być z czegoś niezadowoleni – myślała Natasza. – Szczególnie tak dobry człowiek jak ten Bezuchow.”

W oczach Nataszy wszyscy obecni na balu byli jednakowo dobrzy, mili, wspaniali, kochający się wzajemnie: nikt nikogo nie mógł ukrzywdzić i dlatego wszyscy powinni byli być szczęśliwi.



## XVIII

Nazajutrz książę Andrzej przypomniał sobie wczorajszy bal, ale nie na długo zatrzymał na nim myśl. „Tak, bal był nader świetny. I jeszcze... tak. Natasza Rostow jest bardzo miła. Jest w niej coś świeżego, osobliwego, niepetersburskiego, co ją wyróżnia.” Tyle właśnie myślał o wczorajszym balu, a wypiwszy herbatę, zasiadł do pracy.

Jednak czy to ze zmęczenia, czy też z niewyspania dzień nie sprzyjał pracy. Książę Andrzej nic nie mógł robić, wciąż krytykował własną pracę, jak często mu się to zdarzało, i bardzo był rad, gdy usłyszał, że ktoś przyjechał.

Przybywał właśnie Bicki, członek najróżniejszych komisji, bywalec wszystkich towarzystw petersburskich, namiętny wielbiciel nowych idei i Sperańskiego, wiecznie zaaferowany nowinkarz Petersburga, jeden z tych ludzi, którzy wybierają kierunki jak suknie – wedle mody, ale którzy dlatego wydają się gorącymi zwolennikami kierunków. Ledwo zdążył zdjąć kapelusz i zaaferowany wbiegł do księcia Andrzeja, natychmiast zaczął mówić. Dopiero co dowiedział się szczegółów dzisiejszego rannego posiedzenia Rady Państwa, które otworzył monarcha, i z zachwytem o tym opowiadał. Przemówienie monarchy było niezwykle. Było to jedno z przemówień, jakie wygłaszają tylko monarchowie konstytucyjni. „Cesarz powiedział wprost, że Rada i Senat to stany państwa, powiedział, że rząd powinien opierać się nie na samowoli, ale na ustalonych zasadach. Monarcha powiedział, że finanse powinny być zreformowane, a sprawozdania – publiczne” – opowiadał Bicki akcentując pewne słowa i znacząco otwierając oczy.

– Tak, wydarzenie dzisiejsze stanowi erę, wielką erę w naszej historii – zakonkludował.

Książę Andrzej słuchał opowiadania o otwarciu Rady Państwa, na które czekał z taką niecierpliwością i do którego przywiązywał tak wielką wagę, i dziwił się, że to zdarzenie obecnie, gdy się już dokonało, nie tylko go nie porusza, ale wydaje mu się nawet całkowicie pozbawione znaczenia. Opowiadania Bickiego słuchał ze spokojną drwiną. Przychodziła mu do głowy nader prosta myśl: „Co nam, mnie i Bickiemu, co nam razem do tego, co monarsze podobało się powiedzieć w Radzie? Czy to wszystko może mnie uczynić szczęśliwszym i lepszym?”

I to proste rozważanie unicestwiło całe poprzednie zainteresowanie księcia Andrzeja dokonującymi się przemianami. Owego dnia książę Andrzej miał być u Sperańskiego na obiedzie „*en petit comité*”<sup>444</sup>, jak mu powiedział gospodarz, zapraszając go. Obiad w gronie rodziny i przyjaciół człowieka, którego tak adorował, przedtem bardzo interesowałby księcia Andrzeja, tym bardziej że dotychczas nie widział Sperańskiego w życiu domowym, ale teraz nie miał chęci jechać.

Wszelako w oznaczonej godzinie obiadu książę Andrzej już wchodził do niedużego domu przy Ogrodzie Taurydzkim, stanowiącego własność Sperańskiego. W eleganckiej jadalni niewielkiego domku, odznaczającego się niezwykle czystością (przypominającą czystość klasztorną), książę Andrzej, który się nieco spóźnił, o godzinie piątej znalazł już w komplecie ów *petit comité* intymnych znajomych Sperańskiego. Pań nie było wcale wyjąwszy małą córecz-

---

<sup>444</sup> W gronie przyjaciół.

kę Sperańskiego (z długą twarzą, podobną do ojca) i jej guwernantkę. Przybyli: Gervais, Magnicki i Stołypin. Już w przedpokoju książe Andrzej słyszał donośne głosy i dźwięczny, wyraźny śmiech, przypominający ton, jakim się śmieją na scenie. Ktoś głosem podobnym do głosu Sperańskiego wybijał wyraźnie: „Cha... cha... cha...” Książe Andrzej nigdy nie słyszał śmiechu Sperańskiego i ten donośny, cienki śmiech męża stanu dziwnie go zaskoczył.

Książe Andrzej wszedł do jadalni. Całe towarzystwo stało między dwoma oknami przy niedużym stole z zakąskami. Sperański stał przy stole wesół, w szarym fraku z gwiazdą, w tej samej białej kamizelce i wysokim białym halsztuku, które miał na sobie, będąc na słynnym posiedzeniu Rady Państwa. Otaczali go zaproszeni goście. Magnicki, zwracając się do Michała Michajłowicza, opowiadał anegdotę. Sperański słuchał, z góry śmiejąc się z tego, co powie Magnicki. Gdy książe Andrzej wchodził do pokoju, słowa Magnickiego znów zagłuszył śmiech. Stołypin mówił donośnym basem, żując kawałek chleba z serem, Gervais syczał cichym śmiechem, a Sperański śmiał się cienko i wyraziście.

Sperański, ciągle jeszcze się śmiejąc, podał księciu Andrzejowi swą białą, delikatną rękę.

– Bardzo się cieszę z przybycia księcia – powiedział. – Chwileczkę... – zwrócił się do Magnickiego przerywając mu opowiadanie. – Między nami dziś umowa: obiad ukon tentowania i ani słowa o sprawach stanu. – I znów zwrócił się do opowiadającego, i znów się roześmiał.

Ze zdziwieniem i smutkiem rozczarowania książe Andrzej słuchał tego śmiechu i patrzył na śmiejącego się Sperańskiego. Księciu Andrzejowi wydawało się, że to nie Sperański, ale jakiś inny człowiek. Wszystko, co przedtem w Sperańskim wydawało mu się tajemnicze i pociągające, z nagłą stało się jasne i niepociągające.

Przy stole rozmowa ani na chwilę nie milkła i składała się jak gdyby ze zbioru śmiesznych anegdot. Jeszcze Magnicki nie zdążył dokończyć swego opowiadania, a już ktoś inny wyraził gotowość opowiedzenia czegoś, co było jeszcze śmieszniejsze. Anegdoty dotyczyły przeważnie, jeśli już nie świata urzędniczego, to osób urzędowych. Jak gdyby w tym towarzystwie tak stanowczo przesądzono o nicości tych ludzi, że jedynie można się było do nich ustosunkować w sposób dobrodusznie komiczny. Sperański opowiedział, że kiedy na dzisiejszym rannym posiedzeniu zapytano pewnego głuchego dygnitarza, jakiego jest zdania, ów dygnitarz odpowiedział, że jest tego samego zdania. Gervais opowiedział całą historię o pewnej kontroli, godną uwagi ze względu na bezmyślność wszystkich działających osób. Stołypin, jękając się, wmieszał się do rozmowy i jął opowiadać z zapałem o nadużyciach za dawnego porządku rzeczy, powstała groźba, że rozmowa przybierze charakter poważny; Magnicki zaczął sobie pokpiwać z zapału Stołypina, Gervais wtrącił żart i rozmowa znów skierowała się na poprzednie wesołe tory.

Najwidoczniej Sperański lubił po pracy odpocząć i zabawić się w kółku przyjaciół, toteż jego wszyscy goście, rozumiejąc jego pragnienie, starali się go rozweselić i sami się weselili. Wszelako księciu Andrzejowi ta wesołość wydała się ciężka i niewesoła. Cienkie brzmienie głosu Sperańskiego raziło go, a nie milknący śmiech drażnił uczucia księcia Andrzeja swą fałszywą nutą. Książe Andrzej nie śmiał się i obawiał się, że będzie ciążył temu towarzystwu. Ale nikt nie dostrzegwał, że on nie dostraja się do ogólnego tonu. Wydawało się, że wszystkim jest bardzo wesoło.

Próbował kilkakrotnie wmieszać się do rozmowy, ale za każdym razem jego słowo wyskakiwało niby korek z wody; więc nie mógł żartować razem z nimi.

W tym co mówili, nie było nic niemądrego albo niestosownego, wszystko było dowcipne i mogłoby być śmieszne, ale właśnie tego czegoś, co stanowi sól radości, nie było, a oni nawet nie wiedzieli, że to istnieje.

Po obiedzie córka Sperańskiego i jej guwernantka wstały od stołu. Sperański pogłaskał córkę swą białą dłonią i pocałował. I ten gest wydał się księciu Andrzejowi nienaturalny.

Mężczyźni angielskim obyczajem zostali przy stole przy portwejni. Rozmowa zesłała na działania Napoleona w Hiszpanii,<sup>445</sup> a wszyscy byli jednomyślni w pochwalaniu ich, tylko książę Andrzej jął oponować. Sperański uśmiechnął się i pragnąc widocznie odmienić rozmowę, opowiedział anegdotę, która nie miała nic wspólnego z tematem rozmowy. Na kilka chwil wszyscy umilkli.

Posiedziawszy przy stole Sperański zakorkował butelkę z winem, oświadczył, że „obecnie dobre winko chadza w atlasie”, oddał butelkę służce i wstał. Wszyscy powstali również i tak samo głośno rozmawiając przeszli do salonu. Sperańskiemu podano dwie koperty przywieszone przez kuriera. Wziął je i udał się do gabinetu. Skoro tylko wyszedł, ogólna wesołość pierzchła i goście jęli ze sobą rozmawiać rozważnie i cicho.

– No, a teraz deklamacja! – rzekł Sperański wychodząc z gabinetu. – Zdumiewający talent! – zwrócił się do księcia Andrzeja. Magnicki natychmiast przybrał pozę i jął wygłaszać żartobliwe wiersze francuskie, które sam był ułożył na niektóre znane osobistości petersburskie, kilkakrotnie przerywano mu oklaskami. Kiedy deklamacja była skończona, książę Andrzej zbliżył się do Sperańskiego, żeby się pożegnać.

– Dokądże tak wcześnie, książę? – zapytał Sperański.

– Obiecałem się na wieczór...

Zamilkli. Książę Andrzej patrzył z bliska w te lustrzane nie dopuszczające w głąb siebie oczy i już bawiło go to, że spodziewał się czegoś po Sperańskim i po swej działalności z nim związanej i że mógł przypisywać znaczenie temu, co robi Sperański. Kiedy już książę Andrzej wyszedł od Sperańskiego, jego akuratny, niewesoły śmiech długo nie przestawał dzwieć mu w uszach.

Książę Andrzej, wróciwszy do domu, jął wspominać swe życie petersburskie w ciągu tych czterech miesięcy – jakby coś nowego. Przypomnił sobie swe troski, starania, historię swego projektu regulaminu wojskowego, który został przyjęty do wiadomości i który starano się przemilczeć jedynie dlatego, że inna praca, bardzo niedobra, została już zrobiona i przedstawiona monarsze, przypomnił sobie posiedzenie komitetu, którego członkiem był Berg, przypomnił sobie, jak na posiedzeniach tych komitetów starannie i długo roztrząsano wszystko, co dotyczy formy i procedury posiedzeń komitetu, i jak starannie i krótko załatwiano wszystko, co dotyczyło istoty sprawy. Przypomnił sobie swą pracę ustawodawczą i to, z jaką pieczołowitością przekładał na język rosyjski artykuły prawa rzymskiego i kodeksu francuskiego, i zrobiło mu się wstyd za siebie. Potem żywo sobie wyobraził Boguczarowo, swoje zajęcia na wsi, swą podróż do Riazania, przypomnił sobie chłopów, starostę Drona i przyrównawszy do nich prawa jednostki, które rozbijał na paragrafy, zdziwił się, że mógł tak długo zajmować się tą czczą robotą.

---

<sup>445</sup> Mowa o wojnie prowadzonej przez wojska napoleońskie przeciw powstańcom hiszpańskim od r. 1808.

## XIX

Nazajutrz księżę Andrzej pojechał z wizytami do pewnych domów, w których jeszcze nie był, a zatem i do Rostowów, z którymi odnowił znajomość na ostatnim balu. Niezależnie od przepisów grzeczności, wedle których powinien był odwiedzić Rostowów, księżę Andrzej chciał zobaczyć w domu tę niezwykłą pełną życia panienkę, która mu pozostawiła tak przyjemne wspomnienie.

Natasza powitała go jedna z pierwszych. Była w domowej niebieskiej sukni i wydała się w niej księciu Andrzejowi jeszcze ładniejsza niż w balowej. Ona i cała rodzina Rostowów przyjęli księcia Andrzeja jak starego przyjaciela, po prostu i serdecznie. Cała rodzina, którą przedtem księżę Andrzej osądził surowo, wydała mu się obecnie złożona ze wspaniałych, prostych i dobrych ludzi. Gościnność i dobroduszość starego hrabiego, osobliwie przyjemnie zaskakujące w Petersburgu, były takie, że księżę Andrzej nie mógł się wymówić od obiadu. „Tak, to dobrzy, zacni ludzie – myślał Bołkoński – oczywiście nie rozumiejący ani na jotę tego skarbu, jaki mają w Nataszy; ale ci dobrzy ludzie tworzą najdoskonalsze tło dla tej osobliwie poetycznej, pełnej życia, czarującej panny!”

Księżę Andrzej czuł w Nataszy obecność absolutnie obcego dlań, osobliwego świata, pełnego nie znanych mu radości, tego obcego świata, który wówczas w ogrodowej alei w Otradnem i w oknie podczas księżycowej nocy tak go rozdrażnił. Obecnie ów świat już go nie drażnił, już nie był dla niego obcy: wszedłszy w ten świat, znajdował w nim nową dla siebie rozkosz.

Po obiedzie Natasza, na prośbę księcia Andrzeja, podeszła do klawikordu i zaczęła śpiewać. Księżę Andrzej stał przy oknie rozmawiając z paniami i słuchał. W połowie frazy zamilkł i poczuł zniechęca, że do gardła podchodzą mu łzy, czego nie uważałby u siebie za możliwe. Spojrzał na śpiewającą Nataszę i w jego duszy zaszło coś nowego i szczęśliwego. Był szczęśliwy, ale zarazem był smutny. Stanowczo nie miał czego płakać, jednak gotów był płakać. Z jakiego powodu? Z powodu poprzedniej miłości? Z powodu malutkiej księżnej? Z powodu swych rozczarowań?... Z powodu swych nadziei na przyszłość?... I tak, i nie. Chciało mu się płakać z powodu tego najważniejszego, z nagłą żywo sobie uświadomionego strasznego przeciwieństwa między tym, co w nim było nieskończenie wielkiego i nieokreślonego, a tym czymś ograniczonym i cielesnym, czym był on sam, a nawet i ona. To przeciwieństwo dręczyło go i radowało podczas jej śpiewu.

Natasza skończywszy śpiewać podeszła do niego i zapytała, jak mu się podoba jej głos. Zapytała i natychmiast się zmieszała po tym zapytaniu, bowiem zrozumiała, że nie należało pytać. Uśmiechnął się patrząc na nią i powiedział, że jej śpiew podoba mu się jak i wszystko, co ona robi.

Księżę Andrzej wyjechał od Rostowów późnym wieczorem. Położył się spać z przyzwyczajenia, ale wkrótce stwierdził, że nie może zasnąć. Zapalił świecę, siadł na łóżku, wstawał, to znów się kładł, ale bezsenność bynajmniej mu nie ciążyła, było mu na duszy wesoło i jakoś po nowemu, jak gdyby z dusznego pokoju wyszedł na świat boży. Nawet mu nie przychodziło do głowy, że jest zakochany w Nataszy Rostow; nie myślał o niej; wyobrażał ją sobie tylko i wskutek tego całe życie przedstawiało mu się w innym świetle. „Czemu ja się miotam, o co ja

się troszczę w tej wąskiej, zamkniętej ramce, kiedy życie, całe życie, ze wszystkimi radościami stoi przede mną otworem?” – mówił sobie. I po raz pierwszy od długiego czasu jał snuć szczęśliwe plany na przyszłość. Postanowił sobie, że musi się zająć wychowaniem syna, znaleźć dla niego wychowawcę i powierzyć go jemu; potem winien podać się do dymisji i wyjechać za granicę, zobaczyć Anglię, Szwajcarię, Włochy. „Powinienem skorzystać z mej swobody, póki czuję w sobie tak dużo sił i młodości – mówił sobie. – Pierre miał rację mówiąc, że trzeba wierzyć w możliwość szczęścia, aby być szczęśliwym, i ja teraz wierzę w nie. Niech umarli grzebią swoich umarłych, a dopóki żyję, trzeba żyć i być szczęśliwym” – myślał.

## XX

Pewnego ranka pułkownik Adolf Berg, którego Pierre znał, tak jak znał wszystkich w Moskwie i Petersburgu, w czyściutkim jak z igły mundurze, z wypomadowanymi z przodu na skroniach faworytkami, jakie nosił cesarz Aleksander Pawłowicz, przybył do niego.

– Dopiero co byłem u hrabiny, pańskiej małżonki, i o tyle niefortunnie, że moja prośba nie mogła być spełniona: mam nadzieję, hrabio, że u pana będę miał więcej szczęścia – rzekł uśmiechając się.

– Czego pan sobie życzy, pułkowniku? Jestem do pańskich usług.

– Ja, hrabio, już się całkowicie urządziłem na nowym mieszkaniu – oznajmił Berg, najwidoczniej świadom, że wieść ta nie mogła nie być przyjemna – i dlatego chciałem wydać ma-lutki wieczorek dla moich i mej małżonki znajomych. (Uśmiechnął się jeszcze przyjemniej.) Chciałem prosić hrabinę i pana o wyświadczenie mi zaszczytu przybycia do nas na filiżankę herbaty i... na kolację.

Jedynie hrabina Helena Wasiliewna, traktując towarzystwo jakichś tam Bergów za poniżające dla siebie, mogła być tak okrutna, by nie przyjąć takiego zaproszenia. Berg tak jasno wytłumaczył, dlaczego pragnie zebrać u siebie nieduże i dobrane towarzystwo, dlaczego będzie to dlań przyjemne i dlaczego na karty i na coś niestosownego żałuje pieniędzy, ale dla dobranego towarzystwa gotów jest nawet ponieść wydatki, że Pierre nie mógł się wymówić i obiecał być.

– Tylko nie za późno, hrabio, o ile śmiem prosić, to za dziesięć ósma, ośmielam się prosić. Zbierzemy partyjkę, będzie nasz generał. On jest mi przychylny. Zjemy kolację, hrabio. Więc bardzo proszę.

Wbrew swemu przyzwyczajeniu do spóźniania się Pierre tego dnia zamiast za dziesięć ósma przybył do Bergów za kwadrans ósma.

Bergowie, zaopatrzeni we wszystko, co trzeba na wieczorek, byli już gotowi na przyjęcie gości.

Berg siedział z żoną w gabinecie – nowym, czystym, jasnym, ozdobionym statuetkami i obrazkami, z nowymi meblami. Berg, w nowiutkim, opiętym mundurze, siedział obok żony; tłumaczył jej, iż zawsze można i trzeba mieć znajomości wśród ludzi wyżej stojących, gdyż tylko z takich znajomości można mieć satysfakcję.

– Coś się od nich przyswoi, można o coś poprosić. Patrz no, jakem ja żył od niższych rang (Berg obliczał swe życie, nie wedle lat, ale wedle nagród cesarskich). Moi koledzy są jeszcze niczym, a ja jestem na stanowisku dowódcy pułku, mam szczęście być pani mężem (wstał i pocałował Wierę w rękę, ale po drodze do niej odwinął róg dywanu, który się był zagiął). I dzięki czemu to wszystko zyskałem? Przede wszystkim dzięki umiejętnemu dobieraniu znajomości. Rozumie się samo przez się, że trzeba być porządnym i akuratnym.

Berg uśmiechnął się świadom swej wyższości nad słabą kobietą i umilkł pomyślawszy, że ta jego miła żona jest mimo wszystko słabą kobietą, która nie może pojąć tego wszystkiego, co stanowi o wartości mężczyzny – *ein Mann zu sein*<sup>446</sup>. Wiera zaś również się uśmiechnęła z

---

<sup>446</sup> Być mężczyzną.

poczuciem swej wyższości nad porządnym, dobrym mężem, który jednak błędnie, jak wszyscy mężczyźni, wedle mniemania Wiera, pojmował życie. Berg, sądząc po swej żonie, wszystkie kobiety uważał za słabe i głupie. Wiera, sądząc tylko po swoim mężu i uogólniając to spostrzeżenie, mniemała, że mężczyźni tylko sobie przypisują rozum, a właściwie nic nie rozumieją i są zarozumiałymi egoistami.

Berg wstał i objąwszy żonę ostrożnie, aby nie pognieść koronkowej pelerynki, za którą drogo zapłacił, pocałował żonę w sam środek ust.

– Bylebyśmy tylko nie mieli zbyt prędko dzieci – rzekł wskutek nieświadomej dla siebie filiacji myśli.

– Tak – odpowiedziała Wiera – całkiem tego nie pragnę. Trzeba żyć dla świata.

– Akurat taką samą miała na sobie księżna Jusupowa – rzekł Berg ze szczęśliwym i dobrym uśmiechem wskazując na mantylkę.

W tej chwili zameldowano przybycie hrabiego Bezuchowa.

Małżonkowie spojrzeli po sobie z uśmiechem zadowolenia, każde z nich bowiem sobie przypisywało zaszczyt tej wizyty.

„Oto co znaczy umiejętność zawierania znajomości – pomyślał Berg – oto co znaczy umieć się zachować!”

– Tylko bardzo cię proszę, nie przerywaj mi, gdy bawię gości – rzekła Wiera. – Sama wiem, czym każdego zająć i co w jakim towarzystwie należy mówić.

Berg również się uśmiechnął.

– Niemożliwe, czasem między mężczyznami musi być rozmowa na męskie tematy – oświadczył.

Pierre został przyjęty w nowiutkim salonie, gdzie nigdzie nie można było usiąść nie naruszywszy symetrii, czystości i porządku, było jednak całkiem zrozumiałe i bynajmniej nie dziwne, że dla drogiego gościa Berg gotów był wspaniałomyślnie zniweczyć symetrię fotela lub kanapy i że pod tym względem znajdował się w stanie bolesnego niezdecydowania, toteż rozstrzygnięcie tej kwestii pozostawił wyborowi gościa. Pierre zepsuł symetrię przysunąwszy sobie krzesło, a Berg i Wiera natychmiast zaczęły wieczór, przerywając sobie wzajemnie i bawiąc gościa. Wiera, zdecydowawszy w myśli, że Pierre'a należy bawić rozmową o poselstwie francuskim, natychmiast wszczęła rozmowę o tym. Berg, uważając, że i męska rozmowa jest potrzebna, przerwał żonie poruszywszy kwestię wojny z Austrią i mimo woli od ogólnej rozmowy przeskokował do osobistych rozważań nad propozycjami, jakie mu czyniono, aby wziął udział w kampanii austriackiej, i nad przyczynami, dla których propozycji nie przyjął. Mimo że rozmowa była nader nieskładna i że Wierę gniewało wtrącanie przez męża pierwiastka męskiego, jednak oboje małżonkowie czuli z satysfakcją, że choć był dopiero jeden gość, wieczór zaczął się bardzo dobrze i był jak dwie krople wody podobny do każdego innego wieczoru z rozmowami, herbatką i zapalonymi świecami.

Wkrótce zjawił się Borys, dawny kamrat Berga. Borys traktował Berga i Wierę z pewnym odcieniem wyższości i nieco protekcyjnie. Po Borysie przybyła jakaś dama z pułkownikiem, potem sam generał, potem Rostowowie, toteż wieczór bez żadnych wątpliwości był całkiem podobny do wszystkich wieczorów. Berg i Wiera nie mogli powstrzymać uśmiechu radości na widok tego ruchu w salonie, na dźwięk bezładnej rozmowy, szelestu sukien i ukłonnów.

Wszystko było jak u innych, szczególnie podobny do innych był generał, który pochwalił mieszkanie, poklepał Berga po ramieniu i z ojcowską samowolą zarządził ustawienie stolika do bostona. Generał przysiadł się do hrabiego Ilii Andreicza, jako do gościa po sobie najznajmniejszego. Staruszkowie ze staruszkami, młodzi z młodymi, gospodyni przy stole z herbatą, na którym znajdowały się akurat takie same ciasteczka w srebrnym koszyczku, jakie były na wieczorze u Papinów – wszystko było dokładnie takie samo jak u innych.

## XXI

Pierre, jako jeden ze znamienitszych gości, musiał zasiąść do bostona z Ilią Andreiczem, generałem i pułkownikiem. Przy stole karcianym Pierre'owi wypadło siedzieć naprzeciwko Nataszy i zdumiała go dziwna zmiana, jaka w niej zaszła od dnia balu. Natasza była milcząca i nie tylko że nie była tak ładna jak na balu, ale byłaby nawet brzydka, gdyby nie miała wyrazu tak łagodnego i na wszystko obojętnego.

„Co jej jest?” – pomyślał Pierre spojrzawszy na nią. Siedziała obok siostry przy stole z herbatą i, nie patrząc nań, odpowiadała coś Borysowi, który się do niej przysiadł. Pierre zgrał cały kolor biorąc ku zadowoleniu swego partnera pięć lew, gdy usłyszał powitania i odgłosy kroków kogoś wchodzącego do pokoju, kiedy zbierał lewy, znów spojrzął na nią.

„Co się z nią stało?” – rzekł do siebie z jeszcze większym zdziwieniem.

Książę Andrzej z wyrazem tkliwej ostrożności stał przed nią i coś do niej mówił. Ona, podniósłszy głowę, zarumieniła się i patrzyła na niego usiłując powstrzymać przyśpieszony oddech. I znów płonęło w niej jasne światło jakiegoś wewnętrznego ognia, który przedtem był zgasł. Przeobraziła się cała. Z brzydkiej znów stała się taka, jaką była na balu. Książę Andrzej podszedł do Pierre'a i Pierre zauważył na twarzy swego przyjaciela nowy, młodzieńczy wyraz. Podczas gry Pierre kilkakrotnie przesiadał się to plecami, to twarzą do Nataszy i przez wszystkie sześć robrów obserwował ją i swego przyjaciela.

„Między nimi dzieje się coś bardzo ważnego” – myślał Pierre i jakieś uczucie radosne, a zarazem gorzkie przyprawiało go o wzruszenie i kazało zapominać o grze.

Po sześciu robrach generał wstał mówiąc, że w ten sposób grać nie można, przeto Pierre odzyskał wolność. W jednym końcu salonu Natasza rozmawiała z Sonią i Borysem. Wiera z subtelnym uśmiechem rozmawiała o czymś z księciem Andrzejem. Pierre podszedł do przyjaciela i zapytawszy, czy nie jest tajemnicą, o czym rozmawiają, usiadł obok nich. Wiera, zauważywszy, iż książę Andrzej jest zajęty Nataszą, sądziła, że na wieczorze, na prawdziwym wieczorze, konieczne są delikatne aluzje do uczuć, więc skorzystała z chwili, kiedy książę Andrzej był sam, i zaczęła z nim rozmowę o uczuciach w ogóle i o swej siostrze. Musiała wobec takiego rozumnego gościa (za takiego uważała księcia Andrzeja) wypróbować swe dyplomatyczne umiejętności.

Kiedy Pierre zbliżył się do nich, zauważył, że upojona rozmową Wiera jest pełna zadowolenia, zaś książę Andrzej (co mu się rzadko zdarzało) wydawał się stropiony.

– Jak książę sądzi? – mówiła Wiera z subtelnym uśmiechem. – Przecie książę jest tak przenikliwy i tak od razu poznaje charakter ludzi. Co książę sądzi o Natalie: czy może być stała w swym przywiązaniu, czy może – jak inne kobiety (Wiera miała siebie na myśli) – pokochać kogoś raz i na zawsze pozostać mu wierną? Uważam to za prawdziwą miłość. Jak książę myśli?

– Za mało znam pani siostrę – odpowiedział książę Andrzej z drwiącym uśmieszkiem, pod którym chciał ukryć zmieszanie – żeby rozstrzygać tak delikatną kwestię, a poza tam zauważyłem, że kobieta im mniej się podoba, tym bywa stalsza w uczuciach – dodał i spojrzął na Pierre'a, który akurat zbliżył się do nich.



– Tak, to prawda, książę; w naszych czasach – ciągnęła Wiera (wspomniała o naszych czasach, jak w ogóle lubią wspominać ludzie ograniczeni, którzy sądzą, że dostrzegli i ocenili osobliwości naszych czasów i że właściwości ludzi zmieniają się z biegiem lat) – w naszych czasach panna ma tyle swobody, że *le plaisir d'être courtisée* często zagłusza w niej prawdziwe uczucie. *Et Natalie, il faut l'avouer, y est très sensible.*<sup>447</sup> – Nawrót do Natalie znów wywołał u księcia Andrzeja nieprzyjemny grymas; chciał wstać, ale Wiera ciągnęła z uśmiechem jeszcze subtelniejszym:

– Sądzę, że nikt tak nie był *courtisée* jak ona – mówiła Wiera – ale nigdy aż do ostatniego czasu nikt poważnie się jej nie podobał. O, pan to wie, hrabio – zwróciła się do Pierre'a – nawet nasz miły *cousin* Borys, który, *entre nous*, był bardzo, ale to bardzo *dans le pays du tendre*...<sup>448</sup> mówiła czyniąc aluzję do modnej podówczas mapy miłości<sup>449</sup>.

Książę Andrzej milczał zachmurzony.

– Przecie książę przyjaźnisz się z Borysem? – zapytała go Wiera.

– Tak, znam go...

– Z pewnością panu mówił o swej dziecinnej miłości do Nataszy?

– A, była miłość dziecinna? – zapytał książę Andrzej zarumieniwszy się zniecka.

– Tak. *Vous savez, entre cousin et cousine cette intimit mène quelquefois à l'amour: le cousinage est un dangereux voisinage. N'est-ce pas?*<sup>450</sup>

– O, bez wątpienia – odrzekł książę Andrzej i z nagłą nienaturalnie ożywiony, jał żartować z Pierre'em, że powinien być ostrożny w obejściu ze swymi pięćdziesięcioletnimi kuzynkami moskiewskimi, wśród żartobliwej rozmowy wstał, wziął Pierre'a pod rękę i odprowadził na bok.

– No cóż? – rzekł Pierre patrząc ze zdumieniem na dziwnie ożywionego przyjaciela, zauważywszy spojrzenie, jakie ten wstając rzucił na Nataszę.

– Koniecznie, koniecznie muszę z tobą porozmawiać – rzekł książę Andrzej. – Wiesz, nasze kobiece rękawiczki (mówił o tych masońskich rękawiczkach, które dawano nowo przyjętemu bratu, aby je wręczył ukochanej kobiecie). Ja... Chociaż nie, później z tobą pomówię... – I z dziwnym blaskiem w oczach i niespokojnymi ruchami książę Andrzej podszedł do Nataszy i usiadł obok niej. Pierre widział, że książę Andrzej o coś ją zapytał, a ona zarumieniła się odpowiadając mu.

Lecz tymczasem Berg zbliżył się do Pierre'a prosząc go natarczywie, by wziął udział w sporze między generałem a pułkownikiem o sprawach hiszpańskich.

Berg był zadowolony i szczęśliwy. Uśmiech radości nie schodził z jego twarzy. Wieczór był bardzo udany i zupełnie taki sam jak inne wieczory, które widział. Wszystko było podobne. I subtelne rozmowy pań, i karty, i generał podnoszący głos przy kartach, i samowar, i ciasteczka; ale jednego jeszcze brakowało, tego, co zawsze widział na wieczorach, które chciał naśladować: brakowało głośnej rozmowy mężczyzn i dyskusji o czymś ważnym i mądrym. Generał wszczął taką rozmowę i Berg wciągnął do niej Pierre'a.

<sup>447</sup> Przyjemność płynąca z powodzenia... A Natalia, trzeba przyznać, jest bardzo na to czuła.

<sup>448</sup> Przedmiotem względów... mówiąc między nami... w krainie czułości...

<sup>449</sup> Tak w oryginale. Mowa tu o tzw. *Carte du Tendre*. Była to modna już w w. XVII mapa fikcyjnego kraju, w którym wszystkie nazwy odnosiły się do uczuć, np. jezioro Obojętności, morze Nieprzyjaźni etc. Taka „mapa kraju tkliwości” była zamieszczona i opisana w romansie panny de Scudery, *Clelie*, t. II.

<sup>450</sup> Wie pan, ta zażyłość między kuzynem a kuzynką prowadzi czasem do miłości: pokrewieństwo – to niebezpieczeństwo. Prawda?

## XXII

Nazajutrz księżę Andrzej przyjechał do Rostowów na obiad, ponieważ hrabia Ilia Andreicz zaprosił go, i spędził u nich cały dzień.

Wszyscy w domu wyczuwali, dla kogo przyjeżdżał księżę Andrzej, a on, bynajmniej tego nie ukrywając, cały dzień starał się przebywać z Nataszą. Nie tylko Natasza, wystraszona, lecz szczęśliwa i zachwycona, ale cały dom odczuwał lęk przed czymś ważnym, co ma się dokonać. Hrabina smutnym i poważnym wzrokiem patrzyła na księcia Andrzeja, kiedy rozmawiał z Nataszą, a gdy tylko obejrzał się na nią, lękliwie i nienaturalnie wszczyniała jakąś blahą rozmowę. Sonia bała się odejść od Nataszy, a przebywając z nimi bała się, że zawadza. Natasza bladła z bojaźni wyczekiwania, jak tylko znalazła się z nim sam na sam. Księżę Andrzej zdumiewał ją swą nieśmiałością. Czuła, że ma jej coś do powiedzenia, ale nie mógł się na to zdecydować.

Kiedy wieczorem księżę Andrzej odjechał, hrabina podeszła do Nataszy i zapytała szeptem:

– No co?

– Na miłość boską, niech mnie mama teraz o nic nie pyta. O tym nie można mówić – odrzekła Natasza.

Ale mimo to owego wieczora Natasza, to wzburzona, to przestraszona, ze znieruchomiałymi oczyma długo leżała na posłaniu matki. To opowiadała jej, jak ją chwalił, to znów, jak mówił, że wyjedzie za granicę, to, że pytał, gdzie w tym roku będą spędzać lato, to, że wypytował ją o Borysa.

– Ale czegoś takiego, takiego... nigdy ze mną nie było – mówiła. – Tylko że przy nim jest mi straszno, zawsze mi przy nim tak straszno, co to znaczy? Czy to znaczy, że to prawdziwe? Czy mama śpi?

– Nie, kochanie, ja sama się boję – odpowiedziała matka. – Idź już.

– Wszystko jedno i tak nie będę spać. Głupie to spanie! Mamo, mam, nigdy nic podobnego mi się nie zdarzyło! – mówiła zdziwiona i przerażona tym uczuciem, z którego zdawała sobie sprawę. – Czy mogliśmy się tego spodziewać!...

Nataszy zdawało się, że zakochała się w księciu Andrzeju już wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczyła go w Otradnem.

Jak gdyby przerażało ją to dziwne, nieoczekiwane szczęście, że tego, którego wybrała już wówczas (święcie była o tym przekonana), teraz spotkała znowu i że, jak się zdaje, nie jest wobec niej obojętny. „I właśnie akurat teraz, kiedy my tu jesteśmy, musiał jakby umyślnie przyjechać do Petersburga. I musieliśmy się spotkać na tym balu... Wszystko to przeznaczenie. Jasne, że to przeznaczenie, że wszystko do tego prowadziło. Już wtedy, jakem go tylko zobaczyła, poczułam coś osobliwego.”

– Co ci jeszcze mówił? Jakie wiersze? Przeczytaj... – rzekła matka w zamyśleniu pytając o wiersze, które księżę Andrzej wpisał Nataszy do albumu.

– Mamo, czy to nie wstyd, że on wdowiec?

– Dosyć, Nataszo. Mów pacierz. *Les mariages se font dans les cieux*.<sup>451</sup>

– Moja złota mamó, ja tak mamę kocham, tak mi dobrze! – krzyknęła Natasza płacząc łzami szczęścia i wzruszenia i całując matkę.

Akurat w tym samym czasie książę Andrzej siedział u Pierre'a i mówił mu o swej miłości do Nataszy i o stanowczym postanowieniu wzięcia jej za żonę.

Owego dnia u hrabiny Heleny Wasiliewny był raut, na którym był poseł francuski, był książę, który od niedawna stał się częstym gościem w domu hrabiny, i wiele świetnych pań i panów. Pierre był na dole, przespacerował się po salach i zdumiał wszystkich gości swym wyglądem posępnego skupienia i roztargnienia.

Od czasu balu Pierre czuł zbliżanie się napadów hipochondrii i z rozpaczliwym wysiłkiem starał się je zwalczyć. W czasie gdy książę wszedł w zażyłość z jego żoną, Pierre otrzymał szambelaństwo i od tej pory jał odczuwać ciężar i wstyd w towarzystwie i coraz częściej natchodziły go dawne myśli o marności wszystkich spraw ludzkich. Jednocześnie zauważone przezeń uczucie między jego pupilką Nataszą a księciem Andrzejem przez przeciwstawność jego położenia z położeniem przyjaciela jeszcze potęgowało ten ponury nastrój. Jednakże starał się unikać myśli o swej żonie, jak i myśli o Nataszy i księciu Andrzej. Znow wszystko wydawało mu się marne w porównaniu z wiecznością, znow jawiło się pytanie: „Po co to?” Więc dniami i nocami zmuszał się do prac masońskich, mając nadzieję, że odpędzi nadchodzącego złego ducha. O dwunastej w nocy Pierre, opuściwszy pokoje hrabiny, siedział w poplamionym szlafroku u siebie na górze, przy biurku, w zadymionym, niskim pokoju i przepisywał oryginalne akta szkockie, kiedy ktoś wszedł. Był to książę Andrzej.

– Ach, to książę – odezwał się Pierre z miną roztargnioną i niezadowoloną. – A ja właśnie pracuję – powiedział wskazując zeszyt, a miał przy tym minę, z jaką ludzie nieszczęśliwi patrzą na swą pracę, szukając w niej ucieczki przed dolegliwościami życia. Książę Andrzej z jaśniejszą twarzą, pełną uniesienia i odrodzoną, stanął przed Pierre'em i nie dostrzegając jego żalosego oblicza uśmiechnął się do niego z egoizmem szczęścia.

– No, mój kochany – zaczął – już wczoraj chciałem ci to powiedzieć, a dziś specjalnie przyjechałem z tym do ciebie. Nigdy nie doznawałem czegoś podobnego. Jestem zakochany, mój drogi.

Pierre znieacka westchnął głęboko i zwałił się swym ciężkim ciałem na kanapę obok księcia Andrzeja.

– W Nataszy Rostow, tak? – rzekł.

– Tak, tak, a w kimże by? Nigdy bym w to nie uwierzył, ale to uczucie jest silniejsze ode mnie. Wczoraj się dręczyłem, cierpiałem, ale tej udreki nie oddam za nic w świecie. Nie żyłem dotychczas. Dopiero teraz żyję, ale nie mogę żyć bez niej... Ale czy ona może mnie pokochać?... Jestem dla niej za stary... Cóż ty nic nie mówisz...

– Ja? Ja? A co księciu mówiłem? – rzekł nagle Pierre i jał chodzić po pokoju. – Zawsze tak myślałem... Ta dziewczyna to taki skarb, taki... To niepospolita dziewczyna... Drogi przyjacielu, proszę nie mędrkować, nie wątpić, ale się żenić, żenić, żenić... Jestem przekonany, że książę będziesz najszczęśliwszym z ludzi.

– Ale ona?

– Ona księcia kocha.

– Nie mów głupstw... – rzekł książę Andrzej uśmiechając się i patrząc Pierre'owi w oczy.

– Kocha, ja wiem! – krzyknął Pierre gniewnie.

– No, posłuchaj – rzekł książę Andrzej przytrzymując go za rękę. – Wiesz, w jakiej jestem sytuacji? Muszę komuś wszystko wypowiedzieć.

– Więc niech książę mówi, jestem bardzo rad – mówił Pierre, a jego twarz istotnie się zmieniła, zmarszczka się wygładziła i słuchał księcia Andrzeja z radością. Książę Andrzej wydawał się zupełnie innym, nowym człowiekiem. Gdzie był jego smutek, jego pogarda ży-

<sup>451</sup> Małżeństwa kojarzą się w niebie.

cia, jego rozczarowanie? Pierre był jedynym człowiekiem, przed którym zdecydował się wypowiedzieć; ale za to też wypowiadał wszystko, co mu leżało na sercu. To lekko i śmiało robił plany na odległą przyszłość, mówił, że ze swego szczęścia nie może robić ofiary dla kaprysu ojca, że zmusi ojca do zgody na to małżeństwo i do pokochania jej albo obejdzie się bez jego zgody, to znów dziwił się temu uczuciu, które nim owładnęło, jak czemuś niezwykle, obcemu, co od niego nie zależy.

– Nie uwierzyłbym, gdyby mi ktoś powiedział, że potrafię tak kochać – mówił książę Andrzej. – To zupełnie inne uczucie niż to, którego doświadczyłem poprzednio. Dla mnie cały świat dzieli się na dwie połowy: jedna – ona i tam całe szczęście, nadzieja, jasność, druga połowa – wszystko, gdzie jej nie ma, przygnębienie i ciemność...

– Ciemność i mrok – powtórzył Pierre – tak, tak, ja to rozumiem.

– Nie mogę nie kochać jasności, jam temu nie winien. I jestem bardzo szczęśliwy. Rozumiesz mnie? Wiem, że cieszysz się ze mną.

– Tak, tak – potakiwał Pierre patrząc na przyjaciela oczami rozrzewnionymi i smutnymi. Im jaśniejszy wydawał mu się los księcia Andrzeja, tym bardziej posępnie wyobrażał sobie swój własny.

## XXIII

Na małżeństwo potrzebna była zgoda ojca i dlatego ksiązę Andrzej nazajutrz pojechał do niego.

Ojciec przyjął oświadczenie syna z zewnętrznym spokojem, lecz z wewnętrzną złością. Nie mógł tego pojąć, aby ktoś chciał odmienić życie, wnieść w nie cokolwiek nowego, kiedy dla niego życie się już skończyło. „Niechby mi pozwolili dokończyć życia, jak ja chcę, a potem niechby robili, co im się podoba” – mówił sobie stary. Wszelako w stosunku do syna użył dyplomacji, jakiej używał w ważnych wypadkach. Przyjąwszy spokojny ton, rozważył całą sprawę.

Po pierwsze – ożenek nie był świetny ani pod względem koligacji, ani bogactwa i rodu. Po drugie, ksiązę Andrzej był nie pierwszej młodości i wątłego zdrowia (starzec kładł na to szczególnie nacisk), a ona była bardzo młoda. Po trzecie, był syn, którego szkoda było oddać dziewczynie.

„Po czwarte wreszcie – powiedział ojciec patrząc na syna drwiąco – proszę cię, odłóż rzecz na rok, jedź za granicę, podleczyć się, poszukaj, jak zamierzasz, Niemca dla księcia Mikołaja, a potem skoro już miłość, namiętność, upór, czy co tam chcesz, są tak wielkie, wtedy siężeń. I to jest moje ostatnie słowo, wiedz o tym, ostatnie...” – zakończył ksiązę tonem, który wskazywał, że nic go nie zmusi do zmiany postanowienia.

Ksiązę Andrzej widział jasno, że stary miał nadzieję, iż uczucie jego albo jego przyszłej narzeczonej nie wytrzyma rocznej próby albo że on sam, stary ksiązę, umrze do tego czasu; postanowił więc spełnić wolę ojca: oświadczyć się, a ślub odłożyć na rok.

W trzy tygodnie po swej ostatniej wizycie u Rostowów ksiązę Andrzej wrócił do Petersburga.

Nazajutrz po rozmowie z matką Natasza cały dzień czekała na Bołkońskiego, ale on nie przyjechał. Na drugi dzień, na trzeci było to samo. Pierre również nie przychodził, więc Natasza nie wiedząc, że ksiązę Andrzej pojechał do ojca, nie mogła sobie wytłumaczyć jego nieobecności.

Tak minęły trzy tygodnie. Natasza nigdzie nie chciała bywać i snuła się po pokojach jak cień – beczynna i markotna, wieczorami w tajemnicy przed wszystkimi płakała i nie zjawiała się u matki. Nieustannie czerwieniła się i wpadała w rozdrażnienie. Wydawało się jej, że wszyscy wiedzą o jej rozczarowaniu, śmieją się z niej i litują nad nią. Przy całej sile wewnętrznego zmartwienia goręcze próżności potęgowały jej nieszczęście.

Pewnego razu przyszła do hrabiny, chciała coś jej powiedzieć i rozplakała się nagle. Jej łzy były łzami skrzywdzonego dziecka, które samo nie wie, za co zostało ukarane.

Hrabina ją uspokajać Nataszę. Natasza słuchała z początku słów matki, lecz potem przewała jej z nagłą:

– Niech mama przestanie, nawet nie myślę o tym i nie chcę myśleć! Tak sobie bywał i przestał bywać, przestał...

Głos jej zadrzał, omal się nie rozplakała, ale opanowała się i ciągnęła spokojnie:

– A ja wcale nie chcę wyjść za mąż. A jego się boję, teraz jestem zupełnie, ale to zupełnie spokojna...

Nazajutrz po tej rozmowie Natasza włożyła tę starą sukienkę, którą знаła z tego, że raniem dostarcza jej radości, i od samego rana wróciła do dawnego trybu życia, jaki zarzuciła po balu. Napiwszy się herbaty, udała się do sali, którą szczególnie lubiła za silny rezonans, i zaczęła śpiewać swe solfeggia (ćwiczenia w śpiewie). Skończywszy pierwszą lekcję stanęła na środku sali i powtórzyła pewną muzyczną frazę, która się jej osobliwie podobała. Przysłuchiwała się z radością tej (jak gdyby dla siebie nieoczekiwanej) rozkoszy, z jaką owe dźwięki, przelewając się, wypełniły całą pustkę sali i powoli zamarły; zrobiło się jej nagle wesoło. „Nie ma co o tym myśleć, kiedy i tak jest dobrze” – powiedziała sobie i jęła tam i z powrotem chodzić po sali, stąpając po akustycznej podłodze nie zwykłymi krokami, ale przenosząc stopę z obcasika na czubek przy każdym kroku (była w nowych, ulubionych trzewikach) i z taką samą radością jak dźwiękom swego głosu przysłuchiwała się miarowemu tupotaniu obcasika i skrzypieniu noska. Przechodząc obok lustra spojrzała w nie. „Oto jaka jestem! – jak gdyby mówił wyraz jej twarzy na widok siebie. – No i dobrze. I nikogo nie potrzebuję.”

Lokaj chciał wejść, żeby sprzątnąć coś w sali, ale go nie puściła, i zamknąwszy za nim drzwi, kontynuowała swą przechadzkę. Owego ranka znowu wróciła do swego ulubionego stanu zakochania w sobie i zachwytu nad sobą. „Jaka ta Natasza jest urocza! – znów powiedziała o sobie słowami jakiegoś zbiorowego mężczyzny. – Ładna, ma piękny głos, młoda, nikomu nie zawadza, zostawcie ją tylko w spokoju.” Wszelako nie mogła już być spokojna, choć pozostawiano ją w spokoju, i od razu to poczuła.

W przedpokoju otworzyły się drzwi od ganku, ktoś zapytał: „Czy jest w domu?”, i rozległy się czyjeś kroki. Natasza przeglądała się w lustrze, ale się nie widziała. Słuchała odgłosów w przedpokoju. Kiedy się ujrzała, twarz miała bladą. To był on. Wiedziała to na pewno, chociaż ledwie słyszała dźwięk jego głosu spoza zamkniętych drzwi.

Natasza blada i wystraszona, wpadła do salonu.

– Mamo, Bołkoński przyjechał! – powiedziała. – Mamo, to straszne, to nieznośne! Ja nie chcę... męczyć się! Cóż mam zrobić?...

Hrabina jeszcze nie zdążyła jej odpowiedzieć, a już księżę Andrzej, z twarzą niespokojną i poważną, wszedł do salonu. Jak tylko zobaczył Nataszę, twarz mu się rozjaśniła. Pocałował w rękę hrabinę i Nataszę i usiadł obok kanapy...

– Już dawno nie mieliśmy przyjemności... – zaczęła hrabina, ale księżę Andrzej przerwał jej odpowiadając na jej pytanie i widocznie chcąc jak najszybciej wypowiedzieć to, co musiał.

– Nie byłem u państwa przez cały ten czas, bo byłem u ojca: musiałem z nim porozumieć się w pewnej ważnej sprawie. Wróciłem dopiero wczoraj w nocy – oświadczył spojrzawszy na Nataszę. – Muszę z panią pomówić, pani hrabino – dodał po chwili milczenia.

Hrabina westchnęła ciężko i spuściła oczy.

– Jestem do pańskich usług – rzekła.

Natasza wiedziała, że powinna wyjść, ale nie mogła tego uczynić: coś ścisnęło ją za gardło; niegrzecznie, wprost, szeroko otwartymi oczami patrzyła na księcia Andrzeja.

„Teraz? W tej chwili!... Nie, to niemożliwe!” – myślała.

Znów spojrzął na nią i to spojrzenie przekonało ją, że się nie omyliła. Tak, teraz w tej chwili rozstrzygał się jej los.

– Wyjdź, Nataszo, zawołam cię – rzekła hrabina szeptem.

Natasza spojrzała na księcia Andrzeja i na matkę przerażonymi, błagającymi oczyma i wyszła.

– Pani hrabino, przybyłem, by prosić o rękę jej córki – rzekł księżę Andrzej.

Twarz hrabiny spłonęła, lecz nie odpowiedziała nic.

– Pańskie oświadczyzny... – zaczęła hrabina statecznie. Milczał patrząc jej w oczy. – Pańskie oświadczyzny... (zawstydzila się) przyjemnie nam i... przyjmuję pańskie oświadczyzny, cieszę się. I mój mąż, spodziewam się... ale od niej samej będzie zależało...

– Powiem jej wtedy, kiedy będę miał zgodę pani... Czy mi pani ją dajesz? – zapytał książe Andrzej.

– Tak – odrzekła hrabina i wyciągnęła do niego rękę, a gdy pochylił się nad jej ręką, z uczuciem obcości pomieszanym z tkliwością przycisnęła usta do jego czoła. Pragnęła kochać go jak syna, czuła wszelako, że był to dla niej człowiek obcy i straszny.

– Jestem przekonana, że mój mąż zgodzi się – oświadczyła hrabina – ale ojczulek księcia...

– Mój ojciec, któremu zwierzyłem swoje plany, zgadza się, ale pod bezwzględnym warunkiem, żeby ślub odbył się nie wcześniej niż za rok. I to właśnie chciałem hrabinie oznajmić – oświadczył książe Andrzej.

– Prawda, że Natasza jeszcze bardzo młoda, ale – tak długo!

– Nie można było inaczej – rzekł z westchnieniem książe Andrzej.

– Przyślę ją panu – rzekła hrabina i wyszła z pokoju.

– Boże, zmiłuj się nad nami – powtarzała szukając córki. Sonia powiedziała, że Natasza jest w sypialni. Natasza siedziała na swym łóżku, blada, z suchymi oczami, patrzyła na ikony i szybko się żegnała szepcząc coś. Gdy zobaczyła matkę, zerwała się i podbiegła do niej.

– No co, mammo... Co?

– Idź do niego, idź. Prosi o twoją rękę – rzekła hrabina zimno, jak się Nataszy wydało... – idź, idź – powtórzyła matka ze smutkiem i wyrzutem i westchnęła ciężko, kiedy córka wybiegła.

Natasza nie pamiętała, jak weszła do salonu. Wszedłszy w drzwi i zobaczywszy go, zatrzymała się. „Czyżby ten obcy człowiek stał się teraz dla mnie wszystkim?” – zadała sobie pytanie i natychmiast odpowiedziała: „Tak, wszystkim, on jeden teraz jest dla mnie droższy niż wszystko na świecie.” Książe Andrzej zbliżył się do niej i spuścił oczy.

– Pokochałem panią od pierwszej chwili, kiedym ją ujrzał. Czy mogę mieć nadzieję?

Spojrzał na nią: zaskoczył go wyraz poważnej namiętności na jej twarzy. Jej twarz mówiła: „Po co pytać? Po co wątpić w to, czego nie można nie wiedzieć. Po co mówić, skoro słowami nie można wyrazić tego, co się czuje.”

Zbliżyła się do niego i zatrzymała się. Ujął jej rękę i pocałował.

– Czy pani mnie kocha?

– Tak, tak – rzekła Natasza jak gdyby z rozdrażnieniem, westchnęła ciężko raz i drugi, coraz szybciej, i rozszlochała się.

– Czemu? Co pani jest?

Ach, jestem taka szczęśliwa – odpowiedziała, uśmiechnęła się przez łzy, pochyliła się bliżej ku niemu, zastanowiła się chwilę, jakby sama siebie pytając, czy tak można, i pocałowała go.

Książe Andrzej trzymał jej rękę, patrzył jej w oczy i nie znajdował w sobie poprzedniej miłości do niej. W jego duszy coś się nagle odwróciło: nie było już dawnego poetycznego i tajemniczego powabu pragnienia, lecz była litość dla jej kobiecej i dziecięcej słabości, lęk przed jej oddaniem i ufnością, i przykra lecz zarazem radosna świadomość obowiązku, jaki związał go z nią na wieki. Obecne uczucie, choć nie tak świetlane i poetyczne jak poprzednie, było jednak poważniejsze i silniejsze.

– Czy mamam powiedziała pani, że to nie może być wcześniej niż za rok? – zapytał książe Andrzej nie przestając patrzeć jej w oczy.

„Czyżbym to była ja, ta dziewczynka-dziecko (jak wszyscy o mnie mówili) – myślała Natasza – czyżbym teraz od tej chwili była żoną, równą temu obcemu, miłemu, rozumnemu człowiekowi, którego szanuje nawet mój ojciec! Czyżby to była prawda? Czyżby to była prawda, że teraz już nie wolno żartować z życia, że teraz jestem już dorosła, że teraz spoczywa na mnie odpowiedzialność za wszystko, za każde słowo, każdy postępek? Tak, ale o co on mnie pytał?”

– Nie – odpowiedziała Natasza, ale nie rozumiała, o co ją pytał.

– Proszę mi wybaczyć – rzekł książę Andrzej – ale pani jest tak młoda, a ja już tak wiele w życiu doznałem. Lękam się o panią. Pani siebie nie zna.

Natasza słuchała ze skupioną uwagą, usiłując pojąć sens jego słów, ale nie pojmowała.

– Choć ten rok, który odracza moje szczęście, będzie dla mnie nader ciężki – ciągnął książę Andrzej – jednak w ciągu tego czasu pani będzie mogła wypróbować się. Proszę, by za rok pani dała mi szczęście; ale pozostajesz wolna, zarękowiny nasze pozostaną tajemnicą i jeśli się przekonasz, że mnie nie kochasz albo pokochałabyś... – oświadczył książę Andrzej z nie-naturalnym uśmiechem.

– Czemu pan to mówi? – przerwała mu Natasza. – Przecie pan wie, iż pokochałam go w dniu jego przybycia do Otradnego – oznajmiła niezwłocznie, przekonana, że mówi prawdę.

– W ciągu roku poznasz siebie...

– Cały rok! – rzekła nagle Natasza, dopiero teraz zrozumiałwszy, że ślub odkłada się na rok. – Ale dlaczego rok?

Dlaczego rok?... – Książę Andrzej ją tłumaczył jej przyczyny tego odroczenia. Natasza nie słuchała go.

– I nie można inaczej? – zapytała. Książę Andrzej nic nie odpowiedział, ale w jego twarzy wyraziła się niemożliwość odmienienia tej decyzji.

– To straszne! Tak, to straszne! – odezwała się nagle Natasza i znów zaszlochała. – Umrę, zanim doczekam tego roku; to niemożliwe, to straszne. – Spojrzała w twarz swego narzeczonego i zobaczyła w niej wyraz ubolewania i zdziwienia.

– Nie, nie, zrobię wszystko – rzekła i nagle przestała płakać – jestem taka szczęśliwa!

Ojciec i matka weszli do pokoju i pobłogosławili narzeczonego i narzeczoną.

Od tego dnia książę Andrzej zaczął bywać u Rostowów jako narzeczonego.



## XXIV

Zaręczyn nie było i nikogo nie powiadomiono o narzeczeństwie Bołkońskiego z Nataszą; nalegał na to książę Andrzej. Powiadał, że ponieważ on jest przyczyną odroczenia, więc powinien ponosić jego ciężar. Powiadał, że związał się słowem na wieki, ale nie chce wiązać Nataszy i pozostawia jej całkowitą swobodę. Jeśli po upływie pół roku poczuje, że go nie kocha, będzie miała prawo mu odmówić. Rozumie się samo przez się, że ani rodzice, ani Natasza nie chcieli o tym słyszeć, ale książę Andrzej obstawał przy swoim. Książę Andrzej codziennie bywał u Rostowów, ale Nataszę traktował nie jak narzeczoną: mówił do niej pani i całował ją tylko w rękę. Po dniu oświadczyn między księciem Andrzejem i Nataszą wywiązał się całkiem inny stosunek niż dawniej – bliski i niewymuszony. Jak gdyby dotychczas nie znali jedno drugiego. I on, i ona lubili wspominać, jak na siebie patrzyli, kiedy jeszcze byli dla siebie niczym, teraz oboje czuli się zupełnie innymi istotami: wówczas pozowali, a teraz byli ludźmi prostymi i szczerymi. Z początku rodzina odczuwała skrępowanie w przestawianiu z księciem Andrzejem, wydawał się człowiekiem z obcego świata i Natasza długo oswajała z nim domowników i z dumą zapewniała wszystkich, że on tylko się wydaje taki osobliwy, ale jest taki sam jak inni, że ona go się wcale nie boi i że nikt nie powinien się go bać. Po kilku dniach domownicy do niego przywykli i bez skrępowania prowadzili dawny tryb życia, w którym i on brał udział. Umiał rozmawiać z hrabią o gospodarstwie, a o strojach z hrabiną i Nataszą, i o albumach i kanwie z Sonią. Niekiedy domownicy między sobą, a nieraz i przy księciu Andrzejem, dziwili się, jak to wszystko się stało i jak widoczne były znaki: i przybycie księcia Andrzeja do Otradnego, i ich przyjazd do Petersburga, i podobieństwo między Nataszą a księciem Andrzejem, jakie zauważyła niania, kiedy książę Andrzej przyjechał po raz pierwszy, i starcie w roku 1805 Andrzeja z Mikołajem, i wiele jeszcze innych znaków odpowiednich tego, co się zdarzyło, zauważyli domownicy.

W domu panowała owa poetyczna nuda i milczenie, jakie zawsze towarzyszą obecności, narzeczonego i narzeczonej. Często, siedząc razem, wszyscy milczeli. Czasami wstawali i wychodzili, a narzeczeni zostawali sami i wciąż milczeli. Rzadko rozmawiali o swym przyszłym życiu. Książę Andrzej lękał się i wstydził mówić o tym. Natasza podzielała to uczucie, jak i wszystkie jego uczucia, które ciągle odgadywała. Pewnego razu Natasza jęła go wypytwać o syna. Książę Andrzej zarumienił się, co mu się teraz często zdarzało, a co Natasza szczególnie lubiła, i oświadczył, że jego syn nie będzie mieszkał z nimi.

– Dlaczego? – zapytała Natasza ze strachem.

– Nie mogę odebrać go dziadkowi, a poza tym...

– Jak ja bym go kochała! – rzekła Natasza, natychmiast odgadując jego myśli. – Ale wiem: pan chce, żeby nie było pretekstów do obwiniania mnie i pana.

Stary hrabia czasami podchodził do księcia Andrzeja, całował go, pytał o radę co do wychowania Pieti albo kariery wojskowej Mikołaja. Stara hrabina wzdychała patrząc na nich. Sonia wciąż w obawie, żeby nie być natrętna, starała się wynajdować preteksty, by ich zostawić samych, choć wcale tego nie potrzebowali. Kiedy książę Andrzej mówił (opowiadał bardzo dobrze), Natasza słuchała go z dumą; kiedy sama mówiła, to z lękiem i radością spostrzegła, że on patrzy na nią uważnie i badawczo. Niepewnie zadawała sobie pytanie: „Czego on

we mnie szuka? O co się ubiega swoim spojrzeniem? A co będzie, jeżeli nie ma we mnie tego, czego on szuka tym spojrzeniem?” Czasami wpadała we właściwy jej szaleńczo wesoły nastrój i wtedy szczególnie lubiła słuchać i patrzeć, jak księżę Andrzej śmieje się. Rzadko się śmiał, ale za to kiedy się śmiał, to cały się oddawał swemu śmiechowi, i za każdym razem po tym śmiechu czuła mu się bliższa. Natasza byłaby zupełnie szczęśliwa, gdyby jej nie straszyla myśl o mającym nastąpić i zbliżającym się rozstaniu.

W wigilię wyjazdu z Petersburga księżę Andrzej przyprowadził z sobą Pierre'a, który nie był u Rostowów od czasu balu. Pierre wydawał się roztargniony i zmieszany. Rozmawiał z matką, Natasza usiadła z Sonią przy stole szachowym, przywołując w ten sposób do siebie księcia Andrzeja. Podeszedł do nich.

– Pani dawno zna Bezuchowa, prawda? – zapytał.

– Lubi go pani?

– Tak, jest cudowny, ale bardzo śmieszny. I jak zawsze, kiedy mówiła o Bezuchowie, jąła opowiadać anegdoty o jego roztargnieniu, anegdoty, które nawet o nim zmyślano.

– Wie pani, powierzyłem mu naszą tajemnicę – oświadczył księżę Andrzej. – Znam go od dziecka. To złote serce. Proszę panią, Natalie – rzekł nagle poważnie – wyjadę. Bóg raczy wiedzieć, co się może stać. Pani może przestanie ko... Wiem, wiem nie powinienem o tym mówić. Jednak cokolwiek by się z panią stało, kiedy mnie nie będzie...

– Cóż może się stać?...

– Jakiegokolwiek byś miała zmartwienie – ciągnął księżę Andrzej – m-lle Sophie, proszę panią, cokolwiek by się stało, tylko do niego jednego proszę się zwrócić o radę i pomoc. To człowiek bardzo roztargniony i arcyśmieszny, ale serce ma złote.

Ani ojciec i matka, ani Sonia, ani sam księżę Andrzej nie byli w stanie przewidzieć, jak podzielała na Nataszę rozstanie z narzeczoną. Owego dnia, zaczerwieniona i wzruszona, z suchymi oczyma chodziła po domu i zajmowała się najbliższymi sprawami, jak gdyby nie rozumiejąc tego, co ją czeka. Nie płakała nawet i wtedy, kiedy żegnając się, po raz ostatni całował ją w rękę.

– Proszę nie wyjeżdżać! – rzekła tylko takim głosem, który kazał mu się zastanowić, czy rzeczywiście nie powinien by zostać, i który długo potem pamiętał. Kiedy wyjechał, również nie płakała; ale przez kilka dni siedziała bez łez w swym pokoju, niczym się nie interesowała, tylko od czasu do czasu powtarzała: „Ach, czemuż on wyjechał!”

Lecz w dwa tygodnie po jego odjeździe, również niespodzianie dla otoczenia, ocknęła się ze swej choroby duchowej, stała się taka sama jak przedtem, jednak ze zmienioną fizjonomią moralną – podobnie jak dzieci wstają z łóżka po długotrwałej chorobie z zupełnie odmienioną twarzą.

## XXV

Owego ostatniego roku po wyjeździe syna zdrowie i charakter księcia Mikołaja Andrejewicza Bołkońskiego bardzo osłabły. Stał się jeszcze bardziej rozdrażniony niż przedtem, wszystkie zaś wybuchy jego bezprzyczynowego gniewu skupiały się przede wszystkim na księżniczce Marii. Jak gdyby wyszukiwał starannie wszystkie jej czułe miejsca, aby jak najokrutniej dręczyć ją moralnie. Księżniczka Maria miała dwie namiętności, a zarazem i dwie radości: bratanka Mikołaja i religię, i obydwie były ulubionym tematem napaści oraz szyderstw księcia. O czymkolwiek była mowa, sprowadzał rozmowę na przesady starych panien albo na rozpieszczanie i psucie dzieci. „Chcesz z niego (z Nikoleńki) zrobić taką samą starą pannę, jaką ty jesteś; to zbyteczne: książe Andrzej potrzebuje syna, a nie pannicy” – powiedział. Albo zwracając się do mademoiselle Bourienne pytał ją przy księżniczce Marii, jak się jej podobają nasi popi i ikony, i żartował...

Nieustannie obrażał boleśnie księżniczkę Marię, ale córka nawet nie musiała wysilać się, by mu przebaczać. Czyż mógł być wobec niej winien i czyż ojciec jej, który, przecie dobrze to wiedziała, kochał ją, mógł być dla niej niesprawiedliwy? A i cóż to takiego sprawiedliwość? Księżniczka nigdy nie myślała o tym dumnym słowie „sprawiedliwość”. Wszystkie skomplikowane prawa ludzkości skupiały się dla niej w jednym prostym i jasnym prawie – w prawie miłości i poświęcenia, danym nam przez Tego, który z miłością cierpiał za ludzkość, sam będąc Bogiem. Cóż ją obchodziła sprawiedliwość czy niesprawiedliwość innych ludzi? Sama powinna cierpieć i kochać – i to właśnie czyniła.

Zimą książe Andrzej przyjechał do Łysych Gór, był wesół, łagodny i tkliwy, jakim go już dawno księżniczka Maria nie widziała. Przeczowała, że coś się z nim stało, ale on nic jej nie powiedział o swej miłości. Przed wyjazdem książe Andrzej długo o czymś rozmawiał z ojcem i księżniczka Maria zauważyła, że przed wyjazdem wzajemnie byli z siebie niezadowoleni.

Wkrótce po wyjeździe księcia Andrzeja księżniczka Maria pisała z Łysych Gór do Petersburga do swej przyjaciółki Julie Karagin, którą w marzeniach, jak to zawsze marzą panny, chciała wydać za swego brata. W owym czasie Julie była w żałobie z powodu śmierci swojego brata, który został zabity w Turcji.

*Smutek, jak widać, jest udziałem nas wszystkich, moja droga i tkliwa przyjaciółko Julie.*

*Twoja strata jest tak straszna, że nie mogę jej sobie wytłumaczyć inaczej niż osobliwą łaską Boga, który – kochając Was – chce Was doświadczyć. Ciebie i Twą najlepszą matkę. Ach, moja droga, religia, i tylko religia może nas, nie mówię już, pocieszyć, ale uratować przed rozpaczą, tylko religia może nam wytłumaczyć to, czego bez jej pomocy człowiek nie jest w stanie pojąć: czemuż to istoty dobre, wzniosłe, umiejące znaleźć szczęście w życiu, które nie tylko że nikomu nie szkodzą, ale i są niezbędne dla szczęścia innych. Bóg wzywa do siebie, a pozostają przy życiu ludzie źli, niepożyteczni, szkodliwi albo tacy, którzy są ciężarem dla siebie i dla innych. Pierwsza śmierć, którą widziałam i której nigdy nie zapomnę – śmierć mej drogiej bratowej – zrobiła na mnie takie wrażenie. Tak samo jak Ty zapytujesz losu, dlaczego Twój szlachetny brat musiał umrzeć, ja zapytywałam, dlaczego musiała umrzeć anielska Liza, która nie tylko nikomu nie zrobiła nic złego, ale nigdy nie miała w duszy nic prócz dobrych myśli. I cóż, moja droga! Oto minęło od tego czasu pięć lat i swym mizernym rozumem zaczynam wyraźnie pojmować, dlaczego ona musiała umrzeć i w jaki sposób jej śmierć była wyrazem nieskończonej dobroci Stwórcy, którego wszystkie działania,*

acz przeważnie ich nie pojmujemy, są objawem Jego nieskończonej miłości dla swego stworzenia. Często myślę, że była zbyt anielsko niewinna, by miała siłę znieść wszystkie obowiązki matki. Jako młoda żona była bez zarzutu; może nie mogłaby być takąż matką. Obecnie, nie dość tego, że pozostawiła nam, a szczególnie księciu Andrzejowi, najczystszy żal i wspomnienie, ale pewno zajmie tam miejsce, na jakie ja nie śmię robić sobie nadziei. Ale, nie mówiąc już o niej, ta przedwczesna i straszna śmierć pomimo żalu wywarła na mnie i na mego brata nader dobroczynny wpływ. Wówczas, w chwili straty, takie myśli nie mogły mnie nawiedzić, wówczas odpędziłabym je z przerażeniem, ale obecnie jest to tak jasne i niewątpliwe. Piszę Ci to wszystko, moja droga, aby Cię utwierdzić w ewangelicznej prawdzie, która dla mnie stała się zasadą życiową: bez Jego woli włos z głowy nie spadnie. A jego wola kieruje się bezgraniczną miłością dla nas i dlatego wszystko, cokolwiek się z nami stanie, jest dla naszego dobra. Pytasz, czy przyszłą zimę spędzimy w Moskwie? Pomimo że bardzo pragnę Cię widzieć, nie myślę o tym i nie chcę tego. A zdziwisz się, że przyczyną tego jest Buonaparte. A oto dlaczego: zdrowie mego ojca wyraźnie się pogarsza; ojciec nie może znieść sprzeciwu i staje się rozdrażniony. Jak wiesz to rozdrażnienie dotyczy przeważnie spraw politycznych. Ojciec nie może ścierpieć myśli, że Buonaparte ze wszystkimi monarchami Europy, a osobliwie z naszym, wnukiem wielkiej Katarzyny, traktuje jak z równymi! Jak wiesz, jestem zupełnie obojętna na wszystkie sprawy polityczne, ale ze słów mego ojca i jego rozmów z Michałem Iwanowiczem wiem wszystko, co się dzieje na świecie, a szczególnie wiem o wszystkich honorach świadczonych Buonapartemu, którego, jak się zdaje, jedynie jeszcze w Łysych Górach, jedynym miejscu na kuli ziemskiej, nie uznaje się ani za wielkiego człowieka, ani tym bardziej za cesarza francuskiego. I mój ojciec nie może tego znieść. Wydaje mi się, że przede wszystkim ze względu na swe zapatrywania polityczne i w przewidywaniu starć, jakie będzie miał wskutek zwyczaju wypowiedzania swych poglądów bez liczenia się z kimkolwiek, że dlatego właśnie ojciec niechętnie mówi o wyjeździe do Moskwy. Wszystko, co zyska lecząc się, straci wskutek sporów o Buonapartego, które są nieuniknione. W każdym razie rozstrzygnie się to bardzo prędko. Nasze życie rodzinne płynie po staremu, wyjąwszy nieobecność brata Andrzeja. Jakem Ci już pisała, bardzo się zmienił w ostatnich czasach. Po swym nieszczęściu dopiero w tym roku w zupełności odżył moralnie. Zrobił się taki, jakim go znałam w dzieciństwie: dobry, tkliwy, z tym złotym sercem, jakie nie ma sobie równego. Pojął, jak mi się zdaje, że życie nie skończyło się dlań. Ale zmieniwszy się moralnie, jednocześnie fizycznie bardzo osłabł. Jest jeszcze chudszy i bardziej nerwowy niż przedtem. Lękam się o niego i cieszę się, że przedsięwziął podróż za granicę, którą to podróż lekarze zalecali mu już dawno. Spodziewam się, że to mu dobrze zrobi. Piszesz mi, że w Petersburgu mówią o nim jako o jednym z najczynnějších, najbardziej wykształconych i rozumnych młodych ludzi. Wybacz mi zarozumiałość rodzinną – ja nigdy o tym nie wątpiłam. Nie sposób zliczyć, ile tu zrobił dobrego wszystkim, począwszy od swych chłopów, a skończywszy na szlachcie. Przybywszy do Petersburga zdobył to tylko, co mu się należało. Dziwię się, jakim w ogóle sposobem dochodzą wieści z Petersburga do Moskwy, a szczególnie tak nieprawdziwe jak ta, o której mi piszesz – wieść o mniemanym ożenku mego brata z małą Natalie Rostow. Nie myślę, by Andrzej ożenił się kiedykolwiek i z kimkolwiek, a osobliwie z nią. A oto dlaczego: po pierwsze, wiem, że choć rzadko mówi o nieboszczce żonie, przecie żal z powodu jej straty zbyt głęboko zakorzenił się w jego sercu, żeby kiedykolwiek zdecydował się dać jej zastępczynię i macochę naszemu małemu aniołkowi. Po drugie dlatego, że o ile wiem, ta panienska nie należy do tego rodzaju kobiet, które mogą się podobać księciu Andrzejowi. Nie sądzę, by książę Andrzej wybrał ją sobie za żonę, a nawet powiem otwarcie: nie pragnę tego. Alem się rozgadała, kończę już drugą kartkę. Żegnaj, droga przyjaciółko, niechże Cię Bóg zachowa w swej świętej i wszechmocnej opiece. Moja droga powiernica, made-moiselle Bourienne, całuje Cię.

Marie

## XXVI

W połowie lata księżniczka Maria dostała ze Szwajcarii nieoczekiwanie list od księcia Andrzeja, który jej oznajmił dziwną i niespodziewaną nowinę. Książę Andrzej donosił jej o swych zrękowinach z Natalie Rostow. Cały list tchnął miłosnym zachwytem dla narzeczonej i tkliwą przyjaźnią i zaufaniem do siostry. Pisał, że nigdy nie kochał tak, jak teraz kocha, i że dopiero teraz pojął i poznał życie; prosił siostrę o przebaczenie za to, że podczas swej bytności w Łysych Górach nic nie powiedział o tej decyzji, choć mówił o tym z ojcem. Nie powiedział jej dlatego, że księżniczka Maria jęłaby prosić ojca o wyrażenie zgody, celu by nie osiągnęła, a rozdrażniłaby ojca i cały ciężar niezadowolenia spadłby na nią. Zresztą, pisał, wówczas sprawa jeszcze nie była tak ostatecznie postanowiona jak teraz.

Wówczas ojciec wyznaczył mi termin: rok, a oto już minęło sześć miesięcy, czyli połowa wyznaczonego terminu, a ja bardziej niż kiedykolwiek stoję przy swym postanowieniu. Gdyby lekarze nie zatrzymywali mnie tu u wód, już bym był w Rosji, ale obecnie muszę odłożyć powrót jeszcze na trzy miesiące. Znasz mnie i moje stosunki z ojcem. Nic od niego nie potrzebuję, zawsze byłem i będę niezależny, ale postąpić wbrew jego woli, zasłużyć na jego gniew, kiedy już może niedługo będzie z nami, znaczyłoby zburzyć w połowie moje szczęście. Piszę właśnie o tym do niego, a jednocześnie proszę Cię, byś wybrawszy odpowiednią chwilę oddała mu mój list i zawiadomiła mnie, jak on się na to wszystko zapatruje i czy jest nadzieja, by zgodził się skrócić termin o trzy miesiące.

Po długim wahaniu się, wątpliwościach i modlitwach księżniczka Maria oddała list ojcu. Nazajutrz stary książę rzekł do niej spokojnie:

– Napisz bratu, żeby poczekał, aż umrę... Niedługo uwolnię go... Księżniczka chciała zaproponować, ale ojciec nie dopuścił do tego i jął coraz bardziej podnosić głos.

– Żeń się, żeń, kochasiu... Doskonała parantela!... Ludzie rozumni, he? Bogaci, he? Tak. Nikołuszka będzie miał doskonałą macochę. Napisz mu, niech się żeni choćby jutro. Macochą Nikołuszki będzie – ona, a ja ożenię się z Burienką!

Cha, cha, cha, żeby i on miał macochę! Ale ja nie potrzebuję w swym domu więcej bab: niech się żeni i mieszka oddzielnie. A może i ty się do niego przeprowadzisz? – zwrócił się do księżniczki Marii. – Z Bogiem, droga gładka, droga gładka!...

Po tym wybuchu książę już ani razu nie mówił o tej sprawie. Wszelako powstrzymywany gniew z powodu małoduszności syna wyrażał się w stosunku ojca do córki. Do dawnych pretekstów naigrwania się przybył nowy – rozmowa o macosze oraz fawory dla m-lle Bourienne.

– Dlaczego bym miał się z nią nie ożenić – mówił do córki. – Będzie wspaniałą księżną! – i ku swemu niedowierzaniu i zdumieniu księżniczka Maria zauważyła ostatnimi czasy, że ojciec naprawdę jął coraz bardziej przybliżać do siebie Francuzeczkę. Księżniczka Maria napisała księciu Andrzejowi, jak ojciec przyjął jego list; jednakże pocieszała brata robiąc mu nadzieję na pogodzenie ojca z tą myślą.

Nikołuszka i jego wychowanie, Andre i religia – oto pociecha i radość księżniczki Marii; ale poza tym, ponieważ każdemu człowiekowi niezbędne są własne osobiste nadzieje, księżniczka Maria kryła w najdalszej głębi duszy tajemne marzenie i nadzieję stanowiącą główną

paciechę w jej życiu. To pocieszające marzenie, tę nadzieję dali jej „boży ludzie” – pątnicy i nawiedzeni, którzy bywali u niej w sekrecie przed księciem. Im dłużej księżniczka Maria żyła, im bardziej doświadczała życia i obserwowała je, tym mocniej dziwiła ją krótkowzroczność ludzi, którzy tu na ziemi szukają rozkoszy i szczęścia, trując się, cierpiąc, walcząc i jedni drugim wyrządzając zło, aby osiągnąć to niemożliwe, złudne i występne szczęście. „Książę Andrzej kochał żonę, zmarła, ale mu nie dość tego, chce związać swe szczęście z drugą kobietą. Ojciec nie chce tego, gdyż pragnie dla Andrzeja ożenku świetniejszego i bogatszego. I wszyscy oni walczą i cierpią, i męczą się, marnują swą duszę, swą nieśmiertelną duszę, aby osiągnąć pomyślność, która trwa jedno mgnienie. Nie dość tego, że sami o tym wiemy, ale przecie Chrystus, Syn Boży, zstąpił na ziemię i powiedział nam, że to życie jest życiem chwilowym, próbą, a my ciągle się go trzymamy i myślimy, że znajdziemy w nim szczęście. Że też nikt tego nie pojął? – myślała księżniczka Maria. – Nikt prócz tych wzgardzonych bożych ludzi, którzy z sakwami na plecach przychodzą do mnie kuchennym wejściem, gdyż boją się, żeby ich nie zobaczył książę, ale nie dlatego, że mogliby odeń ucierpieć, lecz dlatego, żeby go nie przywieść do grzechu. Opuścić rodzinę, kraj, porzucić wszelką troskę o dobra światowe, aby – nie przywiązując się do niczego, w zgrzebnej odzieży, pod cudzym imieniem chodzić z miejsca na miejsce, nie szkodząc ludziom, lecz modląc się za nich, modląc się i za tych, którzy wypędzają, i za tych, którzy wspomagają: nie ma wyższej prawdy i wyższego życia ponad tę prawdę i to życie!”

Była pewna pątniczka, Fiedosjuszka, pięćdziesięcioletnia, mała, cichutka, dziobata kobiecina, która już przeszło trzydzieści lat wędrowała boso i w łańcuchach. Księżniczka Maria szczególnie ją lubiła. Pewnego razu, kiedy w ciemnym pokoju, przy świetle jedynej lampki Fiedosjuszka opowiadała o swym życiu, księżniczkę Marię tak mocno uderzyła myśl, że tylko Fiedosjuszka znalazła prawdziwą drogę życia, iż sama postanowiła również pielgrzymować. Kiedy Fiedosjuszka poszła spać, księżniczka Maria długo nad tym rozmyślała i wreszcie postanowiła, aczkolwiek było to dziwaczne, że musi wyruszyć na pielgrzymkę. Ze swego zamiaru zwierzyła się tylko spowiednikowi, mnichowi, ojcu Akinfuszowi, a spowiednik pochwalił jej zamiar. Pod pretekstem daru dla pątniczek księżniczka Maria zaopatrzyła się w całkowity przydziewek pątniczki: koszulę, łapcie, kaftan i czarną chusteczkę. Księżniczka Maria często zbliżała się do sekretnej szuflady w komodzie, stając niezdecydowana, czy już nastąpił czas wykonania swego zamysłu.

Często, słuchając opowiadań pątniczek, podniecała się ich prostymi, mechanicznie wypowiedzianymi, dla niej zaś pełnymi głębokiego znaczenia słowami i już nieraz była gotowa rzucić wszystko i uciec z domu. Już widziała się w wyobraźni kroczącą obok Fiedosjuszki – w grubej odzieży, z kosturem i węzełkiem na plecach, zakurzoną drogą wiodąc swą wędrowkę bez zawiści, bez miłości ludzkiej, bez pragnień, od jednych błogosławionych do drugich, aż w końcu dochodząc tam, gdzie nie ma ani smutku, ani narzekania, a tylko wieczna radość i szczęśliwość.

„Przyjdę do jednego miejsca, pomodłę się: nim zdążę przywyknąć, pokochać – idę dalej. I będę szła dopóty, dopóki nogi nie ugną się pode mną: legnę i umrę gdziekolwiek bądź, i dopłynę wreszcie do wieczystej, cichej przystani, gdzie nie ma ani smutku, ani narzekania!...” – myślała księżniczka Maria.

Ale potem, kiedy zobaczyła ojca, a szczególnie malutkiego Koko, słabła w swym zamiarze, płakała cichutko i czuła, że jest grzesznicą: ojca i bratanka kochała więcej niż Boga.

## CZEŚĆ CZWARTA

## I

Podanie biblijne głosi, że nieistnienie pracy – próżniactwo, było warunkiem szczęśliwości pierwszego człowieka przed jego upadkiem. Umiłowanie próżniactwa pozostało to samo również po upadku człowieka, ale przekleństwo wciąż ciąży nad człowiekiem, i to nie tylko dlatego, że musimy w pocie czoła zdobywać chleb, ale i dlatego, że ze względu na swe cechy moralne nie możemy być beczynni i spokojni. Tajemny głos powiada nam, że musimy ponieść winę za próżnowanie. Gdyby człowiek mógł odkryć taki stan rzeczy, w którym, pozostając w próżniactwie, czułby jednak, że jest pożyteczny i że spełnia swój obowiązek, to już odkryłby jedną stronę pierwotnej szczęśliwości. Z takiej sytuacji obowiązkowego a nienaganego próżnowania korzysta cały stan – stan wojskowy. Na tym właśnie obowiązkowym a nienaganym próżnowaniu polega i będzie polegać główny urok służby w wojsku. Mikołaj Rostow w pełni doznawał tej szczęśliwości, kiedy po roku 1807 dalej służył w Pawłogradzkim pułku i dowodził już szwadronem, który objął po Denisowie.

Rostow stał się rubasznym pocziwcem, którego moskiewscy znajomi uznaliby za nieco *mauvais genre*<sup>452</sup>, ale którego kamraci, podwładni i zwierzchnicy lubili i szanowali. Rostow był zadowolony z życia. W ostatnich czasach, w 1809 roku, coraz częściej w listach z domu znajdował utyskiwanie matki na to, że interesy coraz bardziej się psują, że pora, by już wrócił do domu uradować i uspokoić starych rodziców.

Czytając te listy Mikołaj doznawał strachu, że oto chcą go wyciągnąć z tego środowiska, w którym żył sobie cicho i spokojnie – odgradziwszy się od wszelkiego życiowego galimatiasu. Czuł, że wcześniej czy później będzie zmuszony znów wstąpić w ten odmet życia z ruiną i poprawianiem się interesów, z rachunkami zarządzających, kłótniami, intrygami, koneksjami, towarzysztwem, miłością Soni i zobowiązaniem wobec niej. Wszystko to było ogromnie trudne, zagmatwane, odpowiadał tedy na listy matki klasycznie oziębłymi listami, które się zaczynały: „*Ma chère maman*”, kończyły zaś „*Votre obéissant fils*”<sup>453</sup>, i pomijał milczeniem, kiedy zamierza przyjechać. W roku 1810 dostał listy od rodziny, w których oznajmiano mu o zrękowinach Nataszy z Bołkońskim i o tym, że wesele odbędzie się za rok, bo stary książę się nie zgadza. Ten list zasmucił i dotknął Mikołaja. Po pierwsze, żal mu było pozbywać się z domu Nataszy, którą z całej rodziny kochał najbardziej, po drugie, ze swego huzarskiego punktu widzenia żałował, że go przy tym nie było, bo pokazałby temu Bołkońskiemu, że powinowactwo z nim to nie tak znów wielki honor, że skoro kocha Nataszę, może obejść się bez pozwolenia narwanego ojca. Wahał się przez chwilę, czy nie prosić o urlop, by zobaczyć Nataszę jako narzeczoną, ale właśnie nadeszły manewry, nasunęły się myśli o Soni, o pogmatwaniach i Mikołaj znów odłożył wyjazd. Wszelako wiosną tego roku otrzymał list od matki, która pisała w tajemnicy przed hrabią, i ten list skłonił go do wyjazdu. Matka pisała, że jeśli Mikołaj nie przyjedzie i nie weźmie się do interesów, to cała majątność zostanie zlicytowana, a oni wszyscy pójdą z torbami. Hrabia jest taki słaby, tak dowierza Mitińce i jest taki dobry, i wszyscy go tak oszukują, że sprawy mają się coraz gorzej. „Na miłość boską, błagam cię,

---

<sup>452</sup> W złym tonie.

<sup>453</sup> Moja droga mammo... twój posłuszny syn.



przyjeżdżaj natychmiast, jeśli nie chcesz unieszczęśliwić mnie i całej rodziny” – pisała hrabina.

Ten list podziałał na Mikołaja. Miał on ten zdrowy rozsądek ludzi przeciętnych, podpowiadający, co należy zrobić.

Obecnie należało prosić, jeśli nie o dymisję, to przynajmniej o urlop. Dlaczego trzeba było jechać, nie wiedział; ale wyspawszy się po obiedzie, kazał osiodłać siwka Marsa, strasznie złego ogiera, na którym już dawno nie jeździł, a wróciwszy do domu na zmydlonym ogierze oświadczył Ławruszce (lokaj Denisowa został u Rostowa) i kolegom, którzy przyszli wieczorem, że składa podanie o urlop i jedzie do domu. Aczkolwiek trudno i dziwno mu było myśleć, że pojedzie i nie dowie się w sztabie (a to osobliwie go interesowało), czy zostanie mianowany rotmistrzem, czy też dostanie Annę<sup>454</sup> za ostatnie manewry; aczkolwiek dziwno mu było myśleć, że jednak pojedzie nie sprzedawszy hrabiemu Gołuchowskiemu trójki gniadoszów, które polski hrabia chciał kupić, a Rostow założył się, że je sprzeda za dwa tysiące, aczkolwiek wydawało się nie do pojęcia, że bez niego odbędzie się ów bal, który huzarzy mieli wydać dla panny Przeździeckiej – na przekór ułanom, którzy wydali bal dla swojej panny Borżozowskiej – wiedział, że z tego jasnego, dobrego świata musi wyjechać dokądś, gdzie wszystko było niedorzeczne i zagmatwane. Po upływie tygodnia przyszło zezwolenie na urlop. Koledzy-huzarzy, nie tylko z pułku, ale i z brygady, wydali obiad dla Rostowa, na który zebrano po piętnaście rubli od głowy; grały dwie kapele, śpiewały dwa chóry, Rostow tańczył trepaka z majorem Basowem, pijani oficerowie podrzucali, ściskali Rostowa i upuścili go, żołnierze z trzeciego szwadronu znów go podrzucali i krzyczeli: „Hura!” Potem ułożono go w saniach i odprowadzono do pierwszego postoju.

Jak to zawsze bywa, do połowy drogi, od Kremieńczuga do Kijowa, Rostow wszystkimi myślami pozostawał jeszcze w przeszłości – w szwadronie; ale od połowy już zaczął zapominać o trójce gniadych, o swym wachmistrzu Dożojwejce i niespokojnie jął zadawać sobie pytanie, co zastanie w Otradnem. Im był bliżej, tym silniej, znacznie silniej (jak gdyby stany moralne podlegały temu samemu prawu przyciągania z siłą odwrotnie proporcjonalną do kwadratu odległości) myślał o domu; na ostatniej stacji przed Otradnem dał pocztylionowi trzy ruble na wódkę i, jak mały chłopiec, wbiegł bez tchu na ganek domu.

Po zachwycie powitań i po tym dziwnym uczuciu niezadowolenia w porównaniu z tym, czego się oczekiwało – to ma być wszystko, do czego się tak śpieszył! – Mikołaj jął zzywać się ze swym starym światem domowym. Ojciec i matka byli tacy sami, tylko się trochę postarzel. Nowy był w nich jakiś niepokój i czasami niezgoda, jakiej dawniej nie bywało, a która, jak wkrótce Mikołaj się dowiedział, była wynikiem złego stanu interesów. Sonia miała już dwudziesty rok. Przestała ładnieć, nie zapowiadała nic więcej prócz tego, co już w niej było; ale i tego było pod dostatkiem. Od czasu jak Mikołaj przyjechał, cała tchnęła szczęściem i miłością, a wierna, niewzruszona miłość tej panny oddziaływała nań radośnie. Pietia i Natasza najbardziej zadziwiali Mikołaja. Pietia był dużym, trzynastoletnim, ładnym, wesołym i roztropnym urwisem, któremu już łamał się głos. Nataszę Mikołaj długo podziwiał i śmiał się patrząc na nią.

– Całkiem nie ta sama – powiadał.

– Cóż to, zbrzydłam?

– Przeciwnie, ale jaka ważna. Księżna! – szepnął.

– Tak, tak, tak – mówiła Natasza z radością. Natasza opowiadała mu o swym romansie z księciem Andrzejem, o jego przyjeździe do Otradnego, pokazała mu jego ostatni list.

– Cóż, cieszysz się? – pytała Natasza. – Jestem teraz tak spokojna, szczęśliwa.

– Bardzo się cieszę – odpowiedział Mikołaj. – To wspaniały człowiek. Cóż, bardzo jesteś zakochana?

– Jak by ci tu powiedzieć – odpowiedziała Natasza.

<sup>454</sup> Tzn. order Anny ustanowiony w r. 1736 na cześć carycy Anny.

– Byłam zakochana w Borysie, w nauczycielu, w Denisowie, ale to zupełnie co innego. Teraz jestem spokojna, zdecydowana. Wiem, że nie ma człowieka lepszego od niego, i tak mi teraz dobrze, spokojnie. Zupełnie inaczej niż przedtem.

Mikołaj wyznał Nataszy, że jest niezadowolony z powodu odłożenia wesela na rok; ale Natasza ostro wpadła na brata, dowodziła mu, że nie można było inaczej, że źle by było wejść w rodzinę wbrew woli ojca, że ona sama tego chciała.

– Ty zupełnie, zupełnie tego nie rozumiesz – mówiła. Mikołaj zamilkł i zgodził się z nią.

Brat często dziwił się patrząc na nią. Wcale nie wyglądała na zakochaną rozłączoną ze swym narzeczonym. Była zrównoważona, spokojna, wesoła – całkiem jak dawniej. Mikołaja dziwiło to, a nawet skłaniało do patrzenia z niedowierzaniem na konkury Bołkońskiego. Nie wierzył w to, że jej los już jest rozstrzygnięty, tym bardziej że nie widział z nią księcia Andrzeja. Ciągle mu się zdawało, że czegoś nie dostaje w tym zamierzonym małżeństwie.

„Dlaczego ta zwłoka? Dlaczego się nie zaręczyli?” – myślał. Kiedy pewnego razu rozgadał się z matką o siostrze, ku swemu zdziwieniu, a częściowo nawet i zadowoleniu, stwierdził, że matka tak samo w głębi duszy z niedowierzaniem nieraz patrzyła na to małżeństwo.

– Piszę oto – mówiła pokazując mu list od księcia Andrzeja z tym skrywanym uczuciem nieżyczliwości, jakie matka zawsze żywi do przyszłego szczęścia małżeńskiego swej córki – pisze, że nie przyjedzie wcześniej niż w grudniu. Co go tam może zatrzymywać? Na pewno choroba! Bardzo słabe ma zdrowie. Nie mów nic Nataszy. Nie zważaj na to, że jest wesoła: to już ostatnie jej tygodnie panieńskie, a wiem, co się z nią dzieje za każdym razem, kiedy dostaje list od niego. A zresztą Bóg da, że wszystko będzie dobrze – kończyła za każdym razem. – To wspaniały człowiek.

## II

W pierwszych dniach po przyjeździe Mikołaj był poważny, a nawet smutny. Dręczyła go stojąca przed nim konieczność wdania się w te głupie gospodarskie sprawy, z powodu których matka go wezwała. Aby czym prędzej zrzucić z ramion to brzemie, na trzeci dzień po przyjeździe gniewnie, nie odpowiadając na pytanie, dokąd idzie, ze ściągniętymi brwiami udał się do oficyny do Mitińki i zażądał zdania rachunku ze wszystkiego. Co to był ten rachunek ze wszystkiego, Mikołaj jeszcze mniej wiedział niż wpędzony w postrach i zdumienie Mitińka. Rozmowa i rozrachunek z Mitińką trwały niedługo. Sołtys, jego pomocnik i pisarz, którzy czekali w przedpokoju oficyny, ze strachem i zadowoleniem słuchali, jak z początku zahuczał i załaskotał wznoszący się coraz wyżej głos młodego hrabiego, przysłuchiwali się wyzwiskom i strasznym klątwom, które się sypały jedne po drugich:

– Zbój! Bydlę niewdzięczne!... Zarąbię jak psa... to nie z papą... okradłeś... – itd.

Potem ci ludzie z nie mniejszym strachem i zadowoleniem widzieli, jak młody hrabia, czerwony, z oczami nabiegłymi krwią, wyciągnął Mitińkę za kołnierz i w odpowiedniej chwili, wciąż wymyślając, nader sprawnie podparłszy nogą, trącił go kolanem w zadek i krzyknął: „Precz! Żeby tu śladu po tobie nie było, łajdaku!”

Mitińka zleciał na łeb z sześciu stopni i uciekł w klomb. (Ów klomb był znany jako miejsce schronienia przestępców w Otradnem. Sam Mitińka, kiedy z miasta przyjeżdżał pijany, chował się w tym klombie, a wielu mieszkańców Otradnego, którzy chowali się przed Mitińką, znało zbawczą siłę tego klombu.)

Żona Mitińki i szwagierki z przestraszonymi twarzami wysunęły się z za drzwi pokoju, gdzie kipiał wyczyszczony samowar i wznosiło się wysokie łoże rządu, przykryte pikowaną kołdrą, zszytą z małych skrawków.

Młody hrabia, zasapany, nie zwracając na nie uwagi, przeszedł obok nich i energicznym krokiem ruszył do domu.

Hrabina, która zaraz się dowiedziała od dziewcząt o tym, co zaszło w oficynie, z jednej strony poczuła się uspokojona pod tym względem, że ich sytuacja powinna się teraz poprawić, z drugiej zaś – zafrasowana, jak syn to zniesie. Kilka razy zbliżała się na palcach do jego drzwi i słyszała, że pali fajkę za fajką.

Nazajutrz stary hrabia wziął syna na stronę i z nieśmiałym uśmiechem rzekł do niego:

– Widzisz, serdeńko, niepotrzebnie się unosiłeś! Mitińka wszystko mi wytłumaczył.

„Wiedziałem – pomyślał Mikołaj – że nigdy nic tu nie zrozumiem w tym idiotycznym świecie”.

– Rozgniewałeś się, że nie wpisał tych siedmuset rubli. A on miał je zapisane „z przeniesienia”, a tyś nie spojrział na drugą stronę.

– Papo, to łajdak, ja wiem. A com zrobił, tom zrobił. A jeśli papa nie chce, to nic nie będę mu mówił.

– Nie, kochasiu. (Hrabia również był zmieszany. Czuł, że był złym zarządcą majątku żony, czuł się winien wobec dzieci, ale nie wiedział, jak to naprawić.) Nie, proszę, byś się zajął interesami, ja jestem stary, ja...

– Nie, papo, proszę mi wybaczyć, jeśli wyrządził ci przykrość, ja mniej umiem niż papa.

„Pal diabli tych chłopów i pieniądze, i przeniesienie na drugą stronę – myślał. – Jeszcze kwadrę do roku kiedyś rozumiałem, ale tych przeniesień na drugą stronę – nie rozumiem” – powiedział sobie w duchu i od tego czasu nie wtrącał się do interesów. Pewnego razu hrabina wezwała do siebie syna, oznajmiła mu, że ma weksel Anny Michajłowny na dwa tysiące, i zapytała Mikołaja, jak myśli z tym postąpić.

– No więc tak – odpowiedział Mikołaj. – Mama powiedziała, że to ode mnie zależy; ja nie lubię Anny Michajłowny i nie lubię Borysa, ale przyjaźnili się z nami i są biedni. Więc tak! – i podarł weksel, przyprawiając tym postępkiem hrabinę o łzy radości. Po tym zdarzeniu młody Rostow już nie wdawał się w żadne interesy, lecz z ogromną namiętnością zajął się nową dla niego rzeczą – polowaniem z chartami, które stary hrabia postawił u siebie na wysokiej stopie.

### III

Szło ku zimie, ranne przymrozki skuwały ziemię zlaną jesiennymi deszczami, zbita zieleń jaskrawo odcinała się od pasów rudego, stratowanego przez bydło ozimego ścierniska i od jarego, jasnożółtego, z czerwonymi pasmami gryki. Wzgórza i lasy, które jeszcze w końcu sierpnia były zielonymi wyspami wśród czarnych pól ozimin i rżysk, zmieniły się w złociste, jaskrawoczerwone wyspy wśród jasnozielonych ozimin. Szarak już się na pół zatarł (wyliśniał), lisięta zaczynały się rozchodzić, a młode wilki były już większe od psów. Była doskonała pora na polowanie. Psy zapalonego młodego myśliwego Rostowa nie tylko weszły w tryb myśliwski, ale już tak się podbiły, że na ogólnej naradzie myśliwych postanowiono dać psom trzy dni odpoczynku, a 16 września wyruszyć na obławę, poczynając od Dubrawy, gdzie był miot wilczy jeszcze nietknięty.

Tak się przedstawiały sprawy 14 września. Przez cały ten dzień myśliwi pozostali w domu; mroziak szczypał, ale z wieczora jęło się chmurzyć i pociępląło. Kiedy 15 września rano młody Rostow w szlafroku wyjrzał przez okno, ujrzał ranek taki, że trudno o lepszy do polowania: niebo jak gdyby tajało i bezwietrznie opadało na ziemię. Jedyne ruch, jaki panował w powietrzu, był to ruch opadających mikroskopijnych kropelek mżawki czy mgły. W sadzie na obnażonych gałęziach wisiały przezroczyste krople i kapąły na dopiero co opadłe liście. Ziemia w warzywniku niby mak połyskiwała lśniąca czernią i w niewielkiej odległości zlewała się z matowym, wilgotnym całunem mgły. Mikołaj wyszedł na mokry, zanieiony błotem ganek; pachniało wędzącym lasem i psami. Suka Milka, w czarne łaty, z szerokim zadem, z dużymi, czarnymi, wyłupiastymi oczami, na widok gospodarza wstała, przeciągnęła się do tyłu i ułożyła się niby zając, a potem skoczyła znienacka i liznęła Rostowa prosto w nos i wąsy. Drugi chart, z alei dojrzawszy pana, wygiął grzbiet, popędził raptownie na ganek i podniósłszy ogon jął się ocierać o nogi Mikołaja.

– Ohoj! – rozległ się akurat ów nie do naśladowania pokrzyk myśliwski, który łączy w sobie i najgłębszy bas, i najcieńszy tenor; spoza węgła wyszedł dojeżdżacz i łowczy Daniło, z ukraińska ostrzyżony w podkówkę, siwy, pomarszczony myśliwiec, ze zgiętym harapem w rękę; szedł z wyrazem, jaki miewają tylko myśliwi: niezależności oraz pogardy dla całego świata. Zdjął przed panem swą czerkieską czapkę i spojrzał nań wzgardliwie. Ta wzgarda nie była panu przykra: Mikołaj wiedział, że ów Daniło, który wszystko ma w pogardzie i stoi ponad wszystkim – to przecie jego człowiek i myśliwy.

– Daniła! – rzekł Mikołaj czując nieśmiało, że na widok tej pogody, psów i strzelca już nim owładnęło to nieprzezwykłe uczucie myśliwca, w którym człowiek zapomina o wszystkich poprzednich zamiarach, jak człowiek zakochany w obecności swej kochanki.

– Co jaśnie pan rozkaże? – zapytał protodiakoński bas, zachrypły od szczucia, a dwoje czarnych, błyszczących oczu spojrzało spode łba na pana, który zamilkł. „Nie wytrzymasz, co?” – jak gdyby powiedziało tych dwoje oczu.

– Ładny dzionek, co? I na gony, i na polowanie, co? – rzekł Mikołaj drapiąc Milkę za uszami. Daniło nie odpowiedział i zamrugał oczyma,

– O świcie posyłałem na zwiady Uwarkę – rzekł basem po chwili milczenia. – Powiadał, że przeprowadziła do rewiru Otradnego, tam wyły. (Przeprowadziła, to znaczyło, że wilczyca, o

której obaj wiedzieli, przeszła z młodymi do lasu w Otradnem, który znajdował się o dwie wiorsty od domu i zajmował niewielką wydzieloną przestrzeń.)

- To pewno trzeba jechać? – rzekł Mikołaj.
- Przyjdź no do mnie z Uwarką.
- Jak pan rozkaże!
- No to poczekaj z karmieniem.
- Słucham.

Po pięciu minutach Daniło i Uwarka stali w dużym gabinecie Mikołaja. Pomimo że Daniło nie był wysokiego wzrostu, widząc go w pokoju miało się takie wrażenie, jak gdyby się zobaczyło konia albo niedźwiedzia na podłodze między meblami, w warunkach ludzkiego życia. Daniło sam to czuł, toteż jak zwykle stał przy samych drzwiach, starał się mówić jak najciszej, nie ruszać się, żeby nie uszkodzić pańskich pokojów, jak najprędzej wszystko wyłożyć i wyjść na powietrze, spod sufitu pod niebo.

Wypytał Daniłę o wszystko i wybadawszy, że jego zdaniem psy są niczego sobie (Daniło sam miał ochotę jechać), Mikołaj kazał siodłać. Lecz gdy Daniło chciał wychodzić, do pokoju szybkim krokiem weszła Natasza, jeszcze nie uczesana i nie ubrana, w dużej chustce niani. Pietia wbiegł razem z nią.

– Jedziesz? – rzekła Natasza. – Wiedziała! Sonia mówiła, że nie jedziecie. A ja wiedziałam, że dziś taki dzień, że nie można nie pojechać.

– Jedziemy – odrzekł niechętnie Mikołaj, który zamierzając dzisiaj polowanie serio, nie miał ochoty zabierać Nataszy i Pieti. – Jedziemy, ale tylko na wilki: będziesz się nudziła.

– Wiesz, że to moja największa przyjemność – oświadczyła Natasza. – To nieładnie – sam jedzie, kazał siodłać, a nam nic nie powiedział.

– Nie wie Ruś, co to przeszkody, jedziemy! – wykrzyknął Pietia.

– A przecież tobie nie wolno: mama mówiła, że tobie nie wolno – rzekł Mikołaj zwracając się do Nataszy.

– Nie, jadę, stanowczo jadę – oświadczyła Natasza zdecydowanie. – Daniła, każ siodłać i niech Michajło wyjeżdża z moją sforą – zwróciła się do łowczego.

Już samo przebywanie w pokoju wydawało się Danile niestosowne i trudne do zniesienia, ale mieć do czynienia z panienką – to już przechodziło jego możliwości. Spuścił oczy i spieszenie wyszedł, jakby to go nie tyczyło, starał się przy tym, by przypadkiem nie uszkodzić panienki.

## IV

Stary hrabia, który zawsze trzymał polowanie na wielką skalę, a teraz zdał je całkowicie na syna, owego dnia, 15 września, rozochocony, sam również się wybrał na wilki.

W ciągu godziny całe polowanie zgromadziło się przy ganku. Mikołaj z surową i poważną miną, która świadczyła, że teraz nie ma czasu na zajmowanie się głupstwami, przeszedł obok Nataszy i Pieti, którzy mu coś opowiadali. Zlustrował wszystkie działy polowania, wysłał przodem sforę psów i myśliwych w nagonkę, dosiadł kasztanowatego dońca i pogwizdując na swoje psy ruszył przez gumno w pole, prowadząc do otradnieńskiego rewiru. Strzeмиenny starego hrabiego prowadził jego konia, cisawego mierzynka zwanego Wiflanką; hrabia miał udać się bryczuszką na zarezerwowane dlań stanowisko.

Wyprowadzono pięćdziesiąt cztery psy gończe, którymi kierowało sześciu dojeżdźaczy. Z chartami było, oprócz panów, ośmiu psiarczyków, za którymi tropiło przeszło czterdzieści chartów; razem ze sforami pańskimi wyszło w pole przeszło sto trzydzieści psów i dwudziestu konnych myśliwych.

Każdy pies znał swego pana i swe imię. Każdy myśliwy wiedział, co do niego należy, znał swe miejsce w polowaniu. Jak tylko wyszli za ogrodzenie, wszyscy bez hałasu i rozmów równomiernie i spokojnie rozciągnęli się na drodze i w polu, które prowadziły do lasu w Otradnem.

Konie szły polem jak po puszystym dywanie, przechodząc przez drogę z rzadka klaskały kopytami w kałuże. Zamglone niebo wciąż osuwało się na ziemię niedostrzegalnie i miarowo, w powietrzu było cicho, ciepło, bezdźwięcznie. Z rzadka rozlegało się to poświstywanie myśliwego, to chrapanie konia, to znowu uderzenie harapem czy skowyt psa, który nie szedł na swym miejscu.

Kiedy ujechali z wiorstę, naprzeciwko ekipy Rostowów wyłoniło się z mgły jeszcze pięciu jeźdźców z psami. Na czele jechał piękny, czerstwy starzec z dużymi siwymi wąsami.

– Witam wujaszka – rzekł Mikołaj, kiedy starzec podjechał do niego.

– Sprawa pewna, marsz!... Wiedziałem – zaczął wujaszek (był to daleki krewny, niezamowny sąsiad Rostowów) – wiedziałem, że nie wytrzymasz, no to dobrze, że jedziesz. Sprawa pewna, marsz! (Było to ulubione porzekadło wujaszka.) Zaraz zajmuj rewir, bo mój Girczyk doniósł, że Iłaginowie stoją z obławą w Kornikach; jeszcze ci – sprawa pewna, marsz! – sprzątną miot sprzed nosa.

– Właśnie tam idę. No co, spędzimy sforę? – spytał Mikołaj. – Spędzimy...

Psy spędzono w jedną sforę, a wujaszek i Mikołaj pojechali obok siebie. Natasza, opatulona chustkami, spod których widać było jej ożywioną twarz i błyszczące oczy, przycwałowała do nich w towarzystwie Pieti, który jej nie odstępował, i Michajła, strzelca i berajtera, który miał jej pilnować. Pietia śmiał się z czegoś, bił i ściągał uzdę swego konia. Natasza zgrabnie i pewnie siedziała na swym wronym arabczyku i osadziła go pewną ręką, bez wysiłku.

Wujaszek z dezaprobatą spojrział na Pietię i Nataszę. Nie lubił łączyć swawoli z poważną sprawą polowania.

– Dzień dobry, wujaszku, my też jedziemy – krzyknął Pietia.

– Jak się macie, jak się macie, tylko psów nie potratujcie – rzekł wujaszek surowo.

– Nikoleńka, jaki to wspaniały pies ten Truniła! Poznał mnie – powiedziała Natasza o swym ulubionym psie gończym.

„Przed wszystkim Truniła to nie pies, ale wyżeł” – pomyślał Mikołaj i surowo spojrzął na siostrę, starając się dać jej odczuć dystans, jaki powinien ich dzielić w tej chwili. Natasza pojęła to.

– Niech wujaszek nie myśli, że my komuś przeszkodzimy – oświadczyła Natasza. – Staniemy na swym stanowisku i ani się ruszymy.

– To bardzo dobrze, hrabianeczko – odpowiedział wujaszek. – Tylko nie spadnij z konia – dodał – bo to – sprawa pewna, marsz! – nie ma się na czym trzymać.

Kępa otradnieńskiego rewiru widniała o sto sążni i dojeżdżacze już się do niej zbliżali. Rostow wraz z wujaszkiem ostatecznie zdecydował, skąd puszczać ogary, wyznaczył miejsce Nataszy, gdzie w żadnym razie nic nie mogło wyjść na nią, i ruszył na objazd parowu.

– No, krewniaczkę, na starą wilczycę czatujesz – rzekł wujaszek – uważaj, żebyś nie przepiął.

– Jak wypadnie – odpowiedział Rostow. – Karaj, fiuu – krzyknął odpowiadając tym wezwaniem na słowa wujaszka. Karaj było to stare, szpetne psisko, mieszaniec, znany z tego, że w pojedynkę brał basiora. Wszyscy zajęli stanowiska.

Stary hrabia, znając gorączkę myśliwską syna, śpieszył, żeby się nie spóźnić, toteż dojeżdżacze jeszcze nie zdążyli zajechać na miejsce, gdy Ilia Andreicz, wesoly, rumiany, z trzęsącymi się policzkami, przytoczył się po oziminach swymi wronymi na dukt, który mu wyznaczono, a poprawiwszy futerko, wdział rynsztunek myśliwski i wgramolił się na swą Wiflanę, gładką, wypasioną, spokojną i dobrą, tak samo posiwiałą, jak on. Konie z bryczką odesłano. Hrabia Ilia Andreicz, choć nie myśliwy z instynktu, dobrze znał prawa myśliwskie, toteż wjechał w krzaki na skraju lasu, gdzie stał, zebrał cugle, poprawił się w siodle i czując się gotów, rozejrzał się z uśmiechem.

W pobliżu niego stał jego kamerdyner, dawniej doświadczony, ale dziś już ociężały jeździec, Siemion Czekmar. Czekmar trzymał na smyczy trzy wilczury złe, ale tak samo zapasione jak gospodarz i koń. Dwa psy, mądre, stare, legły bez smyczy. O sto kroków dalej stał drugi strzeżony hrabiego, Mit'ka, chwacki jeździec i zawołany myśliwy. Wedle starego przyzwyczajenia hrabia wypił przed polowaniem srebrną czarę myśliwskiej przepalanki, przekąsił i popił pół butelką ulubionego bordeaux.

Ilia Andreicz nieco poczerwieniał od wina i jazdy, jego oczy, powleczone wilgocią, błyszczały osobliwie; otulony w futerko, siedząc na koniu, miał wygląd dziecka, które zabrano na spacer.

Chudy, z zapadniętymi policzkami Czekmar już załatwił swe sprawy i spoglądał na pana, z którym trzydzieści lat był za pan brat; rozumiał jego przyjemny nastrój, spodziewał się zatem przyjemnej rozmowy. Spoza lasu nadjechał ostrożnie jeszcze ktoś trzeci (widać do tego przyuczony) i zatrzymał się za hrabią. Był to staruszek z siwą brodą, w damskiej salopie i wysokim kołpaku. Był to trefniś – Anastazja Iwanowna.

– No, Anastazjo Iwanowno – rzekł hrabia szeptem, mrugając na niego – spłosz tylko zwierza, to już ci Daniło pokaże.

– Ja sam... nosa mam – rzekł Anastazja Iwanowna.

– Tss! – syknął hrabia i zwrócił się do Siemiona.

– Widziałeś Natalię Iliniczną? – zapytał Siemiona.

– Gdzie jest?

– Z Piotrem Iliczem panienka stali przy żarowskich burzanach – odpowiedział Siemion uśmiechając się.

– Choć i dama, a też mają wielką chęć.

– Nie podziwiasz, Siemion, jak ona jeździ... co? – rzekł hrabia. – Nie ustępuje mężczyźnie!

– Jak nie podziwiać? Śmiało, sprawnie!



- A gdzie Nikoleńka? Na ladowskim wzgórzu czy jak?
- dopytywał się hrabia szeptem.
- Tak jest. Już młody pan wiedzą, gdzie stanąć. Tak akuratnie znają jazdę, że my z Daniłą aż nadziwić się nie możemy – mówił Siemion wiedząc, czym zrobić panu przyjemność.
- Dobrze jeździ, co? A jak wygląda na koniu, co?
- Jak malowanie! Kiedy parę dni temu panicz ruszył lisa z zawarzińskich burzanów, jak poszedł galopa od uroczyska – aż strach. Koń tysiąc rubli wart, ale na jeźdźca ceny nie ma. Tak, daleko by szukać takiego chwata!
- Daleko szukać... – powtórzył hrabia widocznie żałując, że Siemion tak prędko skończył.
- Daleko szukać – rzekł rozsuwając poły futerka i dobywając tabakierki.
- Kiedyśmy niedawno wychodzili z nabożeństwa w całej gali, wtedy Michał Sidorycz... – Siemion nie dokończył, albowiem w spokojnym powietrzu wyraźnie usłyszał nagonkę i skomlenie – nie więcej niż dwóch, trzech ogarów. Pochylił głowę, słuchał uważnie i w milczeniu pogroził panu palcem. – Natrafiły na miot... – szepnął – poprowadził prosto na ladowskie...

Hrabia zapomniawszy zetrzeć uśmiech z twarzy patrzył przed siebie w dal, na przesiekę, i nie zażywając tabaki trzymał w ręku tabakierkę. Po szczekaniu psów rozległ się gon na wilka, podany basowym rogiem Daniły, cała sfora przyłączyła się do pierwszych trzech psów, słychać było, jak zaniósł się ujadaniem głosu ogarów, z tym osobliwym skowytym, oznajmającym nagonkę wilków. Dojeżdżacze już nie szczuli, ale wołali: „Ululu-ululu”, a spośród wszystkich głosów wybijał się głos Daniły – to basowy, to przejmująco cienki. Jak gdyby głos Daniły napelniał cały las, wychodził z lasu i rozlegał się daleko w polu.

Hrabia i jego masztalerz, przysłuchując się w milczeniu przez kilka sekund, doszli do przekonania, że ogary rozdzieliły się na dwie sfory: jedna duża, ujadająca szczególnie gorąco, jęła się oddalać, druga część sfory pomknęła wzdłuż lasu, obok hrabiego, i przy tej sforze było słychać „ululu” Daniły. Oba gony zlewały się, przelewały, ale i oba z wolna cichły w oddali. Siemion westchnął i pochylił się, żeby poprawić smycz, w którą się zaplątał młody pies, hrabia również westchnął, a zauważywszy w swej dłoni tabakierkę, otworzył ją i dobył szczyptę.

– Do nogi! – krzyknął Siemion na psa, który się wysunął z krzaków. Hrabia drgnął i upuścił tabakierkę. Anastazja Iwanowna zlązł z konia i począł ją podnosić.

Hrabia i Siemion popatrzyli na niego. Znienacka, jak to często bywa, odgłos gonu błyskawicznie zbliżył się, jak gdyby tuż przed sobą mieli ujadające pyski psów i „ululu” Daniły.

Hrabia obejrzał się i z prawej strony zobaczył Mit'kę, który spoglądał na niego wybałuszonymi oczami i zdjawszy czapkę wskazywał przed siebie, na drugą stronę.

– Uważaj! – krzyknął takim głosem, iż było widać, że już dawno męczyła go konieczność wypowiedzenia tego słowa. I wypuściwszy psy, pognał w kierunku hrabiego.

Hrabia i Siemion wyskoczyli z zagajnika i na lewo od siebie zobaczyli wilka, który miękko się kołyszac, sadził po ich lewej stronie ku tej właśnie kępie drzew, przy której stali. Rozjuszony psy zaskowyczały i popędziły za wilkiem przemknąwszy tuż obok końskich nóg.

Wilki zwolniły biegu, niezręcznie, jakby go bolała gardziel, zwrócił swój krępy łeb w stronę psów i tak samo miękko się kołyszac, skoczył raz i drugi, majtnął polanem (ogonem) i znikł w zagajniku. W tej samej chwili z przeciwległego zagajnika, z ujadaniem podobnym do płaczu, wyskoczyły zbite z tropu ogary – jeden, drugi, trzeci, i cała sfora pognęła przez pola tą samą drogą, którą przemknął wilk. Tuż za ogarami rozstąpiły się krzaki leszczyny i ukazał się bury, poczerwiał od potu kość Daniły. Na długim grzbiecie konia, zwinięty w kłębek, siedział Daniło, pochylony ku przodowi, bez czapki, jego siwe włosy mierzwiły się nad czerwoną, spoconą twarzą.

– Ulululu, ululu!... – krzyczał. Kiedy zobaczył hrabiego, oczy zabłyśły mu gniewem.

– D...a! – krzyknął grożąc hrabiemu podniesionym harapem.

– Prze...li wilka!... Myśliwcy! – I jak gdyby skonfundowany i przestraszony hrabia niegodzien był dalszej rozmowy, z całą zajadłością na hrabiego zdzielił po zapadniętych, mokrych bokach burego mierzyna i pognał za ogarami. Hrabia stał jak skarcony chłopiec i z uśmiechem rozglądał się za Siemionem, pragnąc wzbudzić w nim współczucie dla swej sytuacji. Ale Siemiona już nie było: objeżdżał krzaki, aby zawrócić wilka od przesieki. Z dwóch stron dojeżdżacze z chartami również odcinali drogę zwierzowi. Ale wilk przeszedł krzakami i żaden myśliwy go nie przyłapał.

## V

Tymczasem Mikołaj Rostow stał na swym stanowisku czekając na zwierza. Ze zbliżania się i oddalania nagonki, ze szczekania znanych mu psów, ze zbliżania się i oddalania głosów dojeżdżaczy domyślał się, co się działo na kępie. Wiedział, że na kępie był młody przyplódek i stare; wiedział, że ogary rozbiły się na dwie sfory, że gdzieś tam szły tropem i że gdzieś stało się coś niepomyślnego. Oczekiwał zwierza na swej stronie w każdej chwili. Snuł tysiące rozlicznych przypuszczeń co do tego, z której strony nadbiegnie zwierz i jak będzie go szczuł. Nadzieja przeplatała się z rozpaczą. Kilkakrotnie zwracał się do Boga z błagalną modlitwą, aby wilk wyszedł na niego; modlił się z tym namiętym i wstydliwym uczuciem, z jakim modlą się ludzie w chwili silnego wzruszenia, zależnego od błahej przyczyny. „Co to dla Ciebie znaczy zrobić to dla mnie! – przemawiał do Boga. – Wiem, żeś wielki i że grzech prosić Cię o to, ale zlituj się, na miłość boską, spraw, żeby na mnie wyszedł basior i żeby Karaj w oczach wujaszka, który stąd spogląda, wpił mu się w gardziel śmiertelnym chwytem”. W ciągu tej pół godziny po tysiąc razy uporczywym, wyteżonym i niespokojnym spojrzeniem obrzucał Rostow zagajnik z dwoma słabo rozgałęzionymi dębami, z podszyciem z osiki i parów z podmytym brzegiem, i czapkę wujaszka, którą ledwie było widać spoza krzaków z prawej strony.

„Nie, nie będę miał tego szczęścia – myślał Rostow – a co by to komu szkodziło! Nie będę! Zawsze mam pecha – i w kartach, i na wojnie”. Wyraźnie, ale szybko mignęło w jego wyobraźni Austerlitz i Dołochow. „Niechby tylko raz w życiu udało się zaszczyć basiora, więcej nie pragnę!” – myślał wyteżając słuch i wzrok, oglądając się na lewo i znów na prawo i przysłuchując się najdrobniejszym odcieniom w odgłosie gonu. Znów spojrzał na prawo i zobaczył, że po opustoszałym polu coś biegło naprzeciwko niego. „Nie, to niemożliwe!” – pomyślał Rostow i ciężko westchnął, jak człowiek, któremu spełnia się to, czego długo oczekiwał. Dokonało się najwyższe szczęście – i tak po prostu, bez hałasu, bez blasku, bez zapowiedzi. Rostow nie wierzył własnym oczom i ta niepewność trwała więcej niż sekundę. Wilk biegł naprzód i ciężko przeskoczył przez rozpadlinę, jaką napotkał na swej drodze. Był to stary zwierz z siwym grzbietem i dobrze spasionym rudawym brzuchem. Biegł niespiesznie, najwidoczniej przekonany, że nikt go nie widzi. Wstrzymując oddech Rostow obejrzał się na psy. Leżały, stały – nie widząc wilka i nic nie rozumiejąc. Stary Karaj przegiął łeb, wyszczerzył żółte zęby i ze złością szukał pchły szczękając zębami po zadnich łapach.

– Ululu – powiedział szeptem, wydymając wargi Rostow. Psy brzęknęły obrożami, zerwały się, nastawiły uszu. Karaj podrapał się w łapę, wstał nastawiwszy uszy i z lekka poruszył ogonem, na którym wisały kłaki sierści.

„Szczuć? nie szczuć?” – rozmyślał Rostow, kiedy wilk zbliżał się do niego i oddalał od lasu. Nagle cały wygląd wilka uległ zmianie: drgnął ujrzawszy oczy człowieka, których prawdopodobnie jeszcze nigdy nie widział, a które były skierowane na niego, z lekka zwrócił łeb w stronę myśliwego, zatrzymał się. „W tył czy naprzód? E, wszystko jedno, naprzód!... chyba” – jak gdyby sam sobie wyjaśnił i puścił się naprzód miękko, posuwistym, wolnym, ale stanowczym chodem, już się nie oglądając.

– Ululu!... – krzyknął Mikołaj nieswoim głosem, a jego dzielny koń nie czekając pocwałował na oślep z góry skacząc przez rozpadliny wypłukane wodą i przecinając drogę wilkowi; a psy gnały jeszcze szybciej, prześcignawszy konia. Mikołaj nie słyszał własnego krzyku, nie czuł, że cwałuje, nie widział ani psów, ani miejsca, przez które gna; widział tylko wilka, który przyśpieszywszy biegu i nie zmieniając kierunku sadził wzdłuż parowu. Pierwsza znalazła się przy wilku czarnołaciata, szerokokozada Miłka i jęła się zbliżać do zwierza. Bliżej, coraz bliżej... już go dopadła. Ale wilk ledwie spojrział na nią zezem i Miłka zamiast podać się w przód, jak to zawsze czyniła, podniósłszy nagle ogon zaczęła się wpierać przednimi łapami w ziemię.

– Ululululu! – krzyczał Mikołaj.

Czerwony Lubim wyskoczył spoza Miłki, gwałtownie rzucił się na wilka i chwycił go za tylne łapy, ale w tejże chwili przerażony przeskoczył na drugą stronę. Wilk przysiadł, kłapnął zębami, zerwał się i znów pognął naprzód; w odległości łokcia towarzyszyły mu wszystkie psy, nie zbliżając się do niego.

„Ujdzie! Nie, to niemożliwe” – myślał Mikołaj i ciągle krzyczał zachrypniętym głosem.

– Karaj! Ululu!... – krzyczał szukając oczyma starego psa, jedyną swą nadzieję. Karaj wyciągnął się, jak tylko mógł, i ze wszystkich swych starczych sił, patrząc na wilka, pędził ciężko chcąc przeciąć drogę zwierzowi. Ale po szybkości biegu wilka i powolności biegu psa było widać, że rachuba Karaja była mylna. Mikołaj już niedaleko przed sobą widział ów las, do którego, gdy zwierz dobiegnie, ujdzie z całą pewnością. Jeszcze była nadzieja. Z przodu ukazały się psy i strzelec cwałujący niemal naprzeciwko. Młody, długi, podpalany pies z obcej sfory, nie znany Mikołajowi, szybko zabiegł wilkowi drogę i bez mała go obalił. Wilk prędko, jak nie można się było tego po nim spodziewać, podniósł się i wpadł na podpalanego psa, kłapnął zębami, a pies – okrwawiony, z rozprutym bokiem – zaskowyczawszy przenikliwie, utknął łbem w ziemię.

– Karajeczku! Ojcze!... – płakał Mikołaj. Stare psisko, któremu na zadnich łapach fajtały się klaki, dzięki tej zwłoce przeciął wilkowi drogę i znalazł się już o pięć kroków od niego. Wilk, jak gdyby widząc niebezpieczeństwo, zerknął z ukosa na Karaja, jeszcze dalej wsunął polano (ogon) między nogi i sadził szybciej. Wtedy – Mikołaj zobaczył tylko tyle, że coś się stało z Karajem – w mgnieniu oka pies znalazł się na wilku i cały kłęb zwałił się w rozpadlinę z wodą, która znajdowała się przed nimi.

Chwila, kiedy Mikołaj ujrzał w rozpadlinie skłębione psy, spod których widniała siwa sierść wilka, jego wyciągnięta zadnia noga i przestraszony, ze stulonymi uszami, dławiący się pysk (Karaj trzymał go za gardziel), ta chwila, kiedy to Mikołaj ujrzał, była najszcześniejszą chwilą jego życia. Już ujął łęk siodła, by zsiąść i dźgnąć wilka, gdy z nagłą z tego kłębowa psów wysunęła się głowa zwierza, potem przednie łapy stanęły na krawędzi rozpadliny. Wilk kłapnął zębami (Karaj już nie trzymał go za gardziel), wyskoczył zadnimi łapami z rozpadliny, podwinął ogon i znów ruszył naprzód, odczepiwszy się od psów. Karaj z nastroszoną sierścią, prawdopodobnie poturbowany albo ranny, z trudem wylazł z rozpadliny.

– Mój Boże! Dlaczego?... – z rozpaczą krzyknął Mikołaj.

Z drugiej strony, chcąc przeciąć drogę wilkowi, pędził strzelec wujaszka i jego psy znów zatrzymały zwierza. Znów go osaczyły.

Mikołaj, jego masztalierz, wujaszek i jego strzelec kręcili się nad zwierzem krzyżąc „ululu”, nawołując, w każdej chwili gotowi zsiadać, kiedy wilk przypadał na zadzie, i za każdym razem rzucali się naprzód, kiedy wilk otrząsał się i kierował ku ostępowi, który miał go ocalić.

Na samym początku gonu Daniło, kiedy usłyszał „ululu”, pocwałował na skraj lasu. Widział, jak Karaj wziął wilka, więc zatrzymał konia sądząc, że sprawa skończona. Ale kiedy myśliwi nie zsiadali z koni, a wilk otrząsał się i znów jął umykać, Daniło puścił swego miezryna – i nie na wilka, ale wprost na ostęp, tak samo jak Karaj – aby zabiec drogę zwierzowi.

Dzięki temu wyborowi kierunku dopędzał wilka właśnie wtedy, kiedy po raz drugi zatrzymały go psy wujaszka.

Daniło gnał w milczeniu, w lewej ręce trzymał wydobyty kordelas, a harapem jak cepem młócił swego mierzyna po zapadniętych bokach.

Mikołaj nie widział i nie słyszał Daniły dopóty, dopóki jego mierzyn nie zasapał ciężko tuż obok niego, dopóki nie usłyszał odgłosu padającego ciała i nie zobaczył, że Daniło już leży wśród psów na zadzie wilka, usiłując złapać go za uszy. Już teraz i dla psów, i dla myśliwych, i dla wilka stało się jasne, że wszystko skończone. Zwierz, z przerażeniem tuląc uszy, usiłował się podnieść, ale psy go obsiadły. Daniło, podniósłszy się, całym ciężarem, jak gdyby się układał na spoczynek, zwałił się na wilka, łapiąc go za uszy. Mikołaj chciał dźgnąć, ale Daniło szepnął: „Nie trzeba, zwiążemy go” – i zmieniając pozycję nastąpił nogą na gardziel wilka. Wetknęli wilkowi w pysk kij, związali smyczą jak gdyby kielznając, skrepowali mu nogi i Daniło dwa razy obrócił wilka z boku na bok.

Ze szczęśliwymi, zmęczonymi twarzami zwalili żywego basiora na rzucającego się i parskającego konia i odprowadzani przez skomlaące psy, pojechali na miejsce, gdzie wszyscy mieli się zebrać. Dwa wilczki zostały wzięte przez ogary i trzy – przez charty. Myśliwi zjeżdżali ze swymi trofeami i opowiadaniem, a wszyscy podchodzili, by zobaczyć basiora, który zwiesiwszy swój szeroki łeb, z kijem w pysku, dużymi szklanymi oczami patrzył na otaczający go tłum psów i ludzi. Kiedy go dotykano, spoglądał na wszystkich dziko i nieruchomo, wierząc, że związanymi łapami. Hrabia Ilia Andreicz również się zbliżył i dotknął wilka.

– O, basiorzysko – rzekł. – Basior, co! – zwrócił się do Daniły, który stał obok niego.

– Basior, jaśnie panie – odpowiedział Daniło zdejmując spiesznie czapkę.

Hrabia przypomniał sobie przegapionego wilka i swoje starcie z Daniłą.

– Ale, bracie, złośnik z ciebie – rzekł hrabia. Daniło nic nie odpowiedział, tylko wstydliwie uśmiechnął się dziecinnie łagodnym i miłym uśmiechem.

## VI

Stary hrabia pojechał do domu. Natasza i Pietia obiecali, że zaraz wrócą. Ponieważ było jeszcze wcześniej, polowanie trwało dalej. W południe puszczono ogary w jar, porośnięty młodym, gęstym lasem. Mikołaj stojąc na rzysku widział wszystkich swoich myśliwych.

Naprzeciw Mikołaja były oziminy; jego strzelec stał tam samotnie w dole za wystającym krzakiem leszczyny. Właśnie puszczono ogary, Mikołaj usłyszał donośne ujadanie psa, którego znał – Wołtorna; inne psy przyłączyły się do niego, to milkły, to znów zaczynały gonić. Po chwili z ostępu dano znak, że zaczął się gon na lisa, więc cała sfera skupiwszy się pognąła przez parów w kierunku ozimin, z dala od Mikołaja.

Widział czerwone czapki psiarków gnających brzegiem zarosłego jaru, widział nawet psy i w każdej chwili spodziewał się, że po przeciwnej stronie, na oziminach, ukaze się lis.

Strzelec, stojący w dole, ruszył, puścił psy i Mikołaj ujrzał rudego, niskiego, dziwaczego lisa, który rozpuściwszy kitę szybko sadził przez oziminę. Psy zaczęły go doganiać. Już zbliżyły się, już lis zataczając kręgi jał się między nimi prześlizgiwać, coraz częściej kołował zamiatając ślady puszystą kitą, i oto nadbiegł czyjś biały pies, zaraz za nim czarny i wszystko się zmieszało: psy, wystawiwszy zady w różne strony, utworzyły lekko falującą gwiazdę. Do psów przycwałowali dwaj strzelcy: jeden w czerwonej czapce, drugi, obcy, w zielonym kaftanie.

„Cóż to ma znaczyć? – pomyślał Mikołaj. – Skąd się wziął ten strzelec? To nie strzelec wujaszka”.

Strzelcy odbili psom lisa, ale długo stali spieszeni i żaden go nie przytraczał. Wokoło stały posiadłane konie, leżały psy. Strzelcy wywijali rękami i coś robili z lisem. Rozległ się też stamtąd głos rogu – umowny znak sporu.

– To strzelec Iłagina kłóci się z naszym Iwanem – oświadczył masztalerz Mikołaja.

Mikołaj posłał masztalerza, żeby sprowadził do niego siostrę i Pietię, a sam pojechał stępa na to miejsce, gdzie dojeżdżacze zbierali psy. Kilku strzelców pocwałowało na miejsce kłótni.

Mikołaj zsiadł z konia i wraz z Nataszą i Pietią, którzy nadjechali, czekał na wiadomość, jak skończyła się sprawa. Z zagajnika wyjechał uczestnik kłótni – lisa miał przytroczonego – i zbliżał się do młodego pana. Z daleka zdjął czapkę i usiłował mówić z uszanowaniem, ale był blady, jękał się, twarz miał gniewną, jedno oko miał podbite, ale prawdopodobnie nie wiedział o tym.

– Cóż tam było między wami? – zapytał Mikołaj.

– Jak to, będzie szczał spod naszych psów! Zresztą moja myszata suka go złapała. Idź, sądz się! Lisa będzie porywał! No to ja go lisem w łeb. Jest w trokach. A tym chcesz? – mówił strzelec pokazując kordelas, myśląc prawdopodobnie, że wciąż jeszcze rozmawia ze swym przeciwnikiem.

Mikołaj, nie wdając się w rozmowę ze strzelcem, prosił, żeby siostra i Pietia poczekali na niego, a sam udał się na to miejsce, gdzie znajdowało się nieprzyjacielskie polowanie Iłagina.

Strzelec-zwycięzca wjechał w tłum myśliwych i otoczony ciekawymi i współczującymi opowiadał o swym czynie.

Sprawa polegała na tym, że Iłagin, z którym Rostowowie procesowali się, polował w okolicach tradycyjnie należących do Rostowów, a teraz, jakby naumyślnie, kazał podjechać do ostępu, gdzie polował Rostow, i pozwolił swojemu strzelcowi szcuć spod nosa cudzym psom.

Mikołaj nigdy nie widział Iłagina, lecz jak zawsze nie znając miary w swych sądach i uczuciach, a tylko słysząc o awanturnictwie i samowoli tego dziedzica, nienawidził go z całej duszy i uważał za swego największego wroga. Jechał teraz do niego wściekły i wzburzony, mocno ściskając w ręku harap, w pełnej gotowości do jak najbardziej stanowczych i groźnych kroków względem swego wroga.

Zaledwie wyjechał za klin lasu, gdy ujrzał zbliżającego się naprzeciw otyłego pana w bobrowej czapce, na pięknym wronym koniu. Towarzyszyli mu dwaj masztalerze.

Zamiast wroga Mikołaj znalazł w Iłaginie okazałego, uprzejmego pana, który bardzo pragnął zawrzeć znajomość z młodym hrabią. Zbliżywszy się do Rostowa Iłagin uchylił bobrowej czapki i oświadczył, że bardzo mu przykro z powodu tego, co się stało, że każe ukarać strzelca, który sobie pozwolił szcuć sprzed cudzych psów, wyraził chęć zawarcia bliższej znajomości z hrabią i zaoferował mu swoje rewiry do polowania.

Natasza, bojąc się, by brat nie zrobił czegoś strasznego, zaniepokojona jechała za nim w niewielkiej odległości. Kiedy zobaczyła, że wrogowie wymieniają przyjazne ukłony, zbliżyła się do nich. Przed Nataszą Iłagin jeszcze wyżej uniósł swą bobrową czapkę, uśmiechnął się przyjemnie i oświadczył, że hrabianka przypomina Dianę zarówno namiętnością do łowów, jak i urodą, o której wiele słyszał.

Aby okupić winę swego strzelca, Iłagin usilnie prosił Rostowa, żeby przyszedł na jego ugór znajdujący się o wiorstę, który rezerwował dla siebie, a gdzie, jak powiadał, roilo się od zajęcy. Mikołaj zgodził się, więc w dwójnasób zwiększone polowanie ruszyło dalej.

Do Iłagińskiego ugoru dochodziło się polami. Strzelcy rozsypali się. Panowie pojechali razem. Wujaszek, Rostow, Iłagin ukradkiem spoglądali na cudze psy i z niepokojem szukali wśród nich rywali własnych psów.

W sforze Iłagina osobliwie zadziwiła Rostowa swą pięknnością nieduża, rasowa suczka w czerwone łaty, wąziutka, ale o stalowych mięśniach, z cieniutkim pyskiem i wypukłymi, czarnymi oczyma. Rostow słyszał o rącości psów Iłagina, a w tej ślicznej suczce widział rywalkę swej Miłki.

Wśród poważnej rozmowy o tegorocznych urodzajach, którą wszczął Iłagin, Mikołaj wskazał suczkę w czerwone łaty.

– Ładna jest ta pańska suczka! – rzekł niedbałym tonem. – Rącza?

– Ta? Tak, to dobry pies, chwytna – obojętnym głosem powiedział Iłagin o swej łaciatej Jerzie, za którą rok temu dał sąsiadowi trzy rodziny służby dworskiej.

– A więc i u pana, panie hrabio, nietęgic omłoty? – ciągnął rozpoczętą rozmowę. A uważając za obowiązek grzeczności odplacić młodemu hrabiemu tym samym, przyjrzał się jego psom i wybrał Miłkę, która rzuciła mu się w oczy szerokością swej budowy.

– Dobrą masz hrabia sukę, tę w czarne łaty, zgrabna! – oświadczył.

– Niczego sobie, goni – odpowiedział Mikołaj. „Żeby tylko wyskoczył tęgi szarak, to ja bym ci pokazał, co to za pies!” – pomyślał i zwróciwszy się do masztalerza oświadczył, że daje rubla temu, kto wypatrzy, czyli wykryje, leżącego zająca.

– Nie pojmuję – ciągnął Iłagin – jak to inni myśliwi mogą być zazdrośni o zwierzynę i psy. Powiem o sobie. Wiesz hrabio, lubię się rozerwać. Człowiek się przejedzie, można spotkać taką kompanię... iż nie może być lepszej (znów zdjął przed Nataszą bobrową czapkę), ale żeby liczyć, ile skór się przywiozło – to dla mnie obojętne!

– No, tak.

– Albo żeby mi było przykro, że czyjś pies upoluje, a nie mój. Ja tylko lubię popatrzeć na ogon, czyż nie mam racji, hrabio? Dlatego sędzę...

– Bierz go! – rozległ się w tej chwili przeciągły okrzyk jednego z dojeżdżaczy, którzy się zatrzymali. Dojeżdżacz stał na wzgórku, podniósł harap i jeszcze raz przeciągle powtórzył: – A tu, a tu! (Ten okrzyk i podniesiony harap oznaczały, że dojeżdżacz widzi przed sobą leżącego zająca.)

– Zdaje się, że wypatrył – rzekł Iłagin niedbale.

– No cóż, hrabio, poszczujemy!

– Tak, trzeba by podjechać... czy razem? – odparł Mikołaj wpatrując się w Jerzę i rudawego Rugaja wujaszka, dwoje swych rywali, z którymi jeszcze ani razu nie miał okazji zmierzyć swych psów. „A co, jeśli natrą uszu mej Miłce?” – pomyślał zbliżając się do zająca razem z wujaszkiem i Iłaginem.

– Stary? – dopytywał się Iłagin podjeżdżając do strzelca, który wypatrył zająca; nie bez podniecenia oglądał się na Jerzę i pogwizdywał na nią.

– A pan, Michale Nikanoryczu? – zwrócił się Iłagin do wujaszka. Wujaszek jechał zaspionym.

– Co się będę pchał! Wasze psy – sprawa pewna, marsz! – każdy kosztował wieś, tysiące. Niech się wasze spróbują, a ja popatrzę.

– Rugaj! Na tu, na! – krzyknął. – Rugajeczku! – dodał i tym zdrobnieniem mimo woli wyraził tkliwość i nadzieję, jaką pokładał w tym rzywym psie. Natasza widziała i czuła podniecenie, jakie ukrywali ci dwaj starzy panowie i jej brat, i sama była podniecona.

Dojeżdżacz z podniesionym harapem stał na wzgórku, panowie podjeżdżali do niego stępą; charty, idące na linii widnokregu, z daleka wymijały zająca, myśliwi, nie należący do grona panów, również odjeżdżali. Wszyscy poruszali się powoli i statecznie.

– W którą stronę leży głowa? – zapytał Mikołaj zbliżywszy się na sto kroków do dojeżdżacza, który wypatrył zająca. Lecz ten nie zdążył jeszcze odpowiedzieć, gdy szarak czując, co się święci, nie wytrzymał i zerwał się. Sfora ogarów na smyczach z ujadaniem pognąła z góry za zającem; ze wszystkich stron charty, które nie były na smyczach, rzuciły się za ogarami – i do zająca! Wszyscy ci dojeżdżacze i strzelcy, którzy dotychczas posuwali się wolno, krzykiem „Stój” hamując psy, podczas gdy myśliwi z chartami krzycząc „A tu!” skierowali psy – pognali przez pole. Spokojny Iłagin, Mikołaj, Natasza i wujaszek cwałowali sami nie wiedząc jak i dokąd, widzieli tylko psy i zająca i teraz bali się choć na chwilę stracić z oczu przebieg pogoni. Trafił się zając doświadczony i rączy. Zerwawszy się, nie od razu popędził, lecz poruszył uszami, przysłuchiwał się krzykowi i tętentowi, które z nagła rozległy się ze wszystkich stron. Dał z dziesięć susów niezbyt szybko, dopuścił do siebie psy i wreszcie, wybrawszy kierunek i pojawiwszy niebezpieczeństwo, położył po sobie słuchy i pognął ile sił w nogach. Leżał na ściernisku, ale przed sobą miał oziminę, gdzie było grząsko. Dwa psy strzelca, który wypatrył zająca, ponieważ były najbliżej, pierwsze go dostrzegły i puściły się za nim, ale jeszcze nie bardzo się do niego zbliżyły, gdy spoza nich wyskoczyła Jerza Iłagina, czerwono podpalana, zbliżyła się na długość psa, doskoczyła ze straszną szybkością, wycelowawszy w ogon zająca, a sądząc, że zań chwyciła, fiknęła kozła na łeb. Zając wygiął grzbiet i jeszcze szybciej pomknął. Spoza Jerzy wysunęła się Miłka o szerokim zadzie, w czarne łaty, i szybko jęła doganiać zająca.

– Miłuszka! kochanie! – rozległ się triumfujący okrzyk Mikołaja. Wydawało się, że tylko patrzeć, jak Miłka uderzy i porwie zająca, ale ona doganiając przeskoczyła szaraka, a ten odśądził się. Znow natarła piękna Jerza, zawisła nad samym ogonem szaraka, jakby mierząc, aby teraz nie chybić i porwać za zadni skok.

– Jerzynko! złotko! – rozległ się płaczący, jakby obcy głos Iłagina. Jerza nie wysłuchała jego prośby. W tym momencie, kiedy należało się spodziewać, że porwie szaraka, ten zrobił kominek i znalazł się na granicy między ozimimą i rżyskiem. Znow Jerza i Miłka, niby para dyszlowych koni, zrównały się i jęły doganiać zająca; na skraju ozimin zającowi było lżej i psy nie tak szybko zbliżały się do niego.



– Rugaj! Rugajeczku! Sprawa pewna, marsz! – odezwał się wtedy jeszcze jeden głos i Rugaj, ryży, garbaty pies wujaszka, wyciągnął się i wyginając grzbiet zrównał się z dwiema sukami, wysunął się przed nie, ze straszliwym samozaparciem przyśpieszył biegu już obok zająca, zepchnął go z miedzy na oziminę, z jeszcze większą zajadłością jeszcze raz przyśpieszył biegu po błotnistej niwie, grzęznąć po kolana; ujrzeni tylko, jak unurzawszy grzbiet w błocie przekoziółkował na łeb, na szyję wraz z zającem. Psy otoczyły go. Po chwili wszyscy stali przy stłoczonych psach. Tylko uszczęśliwiony wujaszek zsiadł i przeniósł zająca. Potrzęsając zającem, żeby ściekła krew, rozglądał się bojaźliwie, oczy mu biegały, ręce i nogi nie mogły znaleźć miejsca; mówił nie wiedząc co i do kogo. „No to sprawa, marsz... ot mi pies... przegonił wszystkie, i te po tysiąc, i te po rublu – sprawa pewna, marsz!” – mówił jękając się i rozglądając ze złością, jak gdyby komuś wymyślał, jak gdyby wszyscy tu byli jego wrogami, wszyscy go krzywdzili, i jak gdyby wreszcie dopiero teraz udało mu się zrehabilitować. „Macie swoje tysiącrublowe – sprawa pewna, marsz!”

– Rugaj, naści skok! – mówił rzucając odciętą łapkę oblepioną ziemią – zasłużyłeś, sprawa pewna, marsz!

– Była zmachana, trzy razy chodziła w gon – mówił Mikołaj, również nie słuchając nikogo i nie troszcząc się o to, czy ktoś go słyszy czy nie.

– Też mi... zabiec drogę! – mówił masztalerz Iłagina.

– Spudłowała, a zgonionego każdy kundel złapie – mówił tymczasem Iłagin, czerwony, z trudem łapiąc oddech z powodu pędu i wzburzenia. W tym samym czasie Natasza, również jednym tchem, w radości i zachwycie piszcziała tak przenikliwie, aż w uszach dzwoniło. Tym piskiem wyrażała to wszystko, co wyrażali inni myślivi swym jednoczesnym mówieniem. I pisk ten był tak dziwny, że sama powinna się była zawstydzic tego dzikiego pisku, który kiedy indziej wszystkich na pewno by zdziwił. Wujaszek sam przytroczył szaraka, zręcznie i chwacko przerzucił go przez zad koński, jak gdyby tym przerzucaniem wszystkim coś wytykał, i z miną, że nie ma tu z kim gadać, dosiadł swego kasztanka i odjechał. Wszyscy, wyjąwszy wujaszka, rozjechali się smutni, obrażeni, a dopiero dużo później mogli wrócić do poprzedniego stanu udanej obojętności. Długo jeszcze spoglądali na ryżego Rugaję który z wygiętym grzbietem, utyłany w błocie, pobrzękując obrozą, ze spokojnym wyrazem zwycięzcy szedł przy nogach wujaszkowego konia.

„Cóż, póki nie dojdzie do gonu, jestem taki sam jak inne psy. No, ale wtedy, uwaga!” – Mikołajowi wydawało się, że to właśnie mówi pies swą miną.

Kiedy później wujaszek podjechał do Mikołaja i przemówił do niego, Mikołaj poczuł się bardzo pochlebiony, że po wszystkim, co zaszło, wujaszek raczy się do niego odezwać.

## VII

Kiedy pod wieczór Iłagin pożegnał się z Mikołajem, okazało się, że Mikołaj znajduje się tak daleko od domu, iż przyjął propozycję wujaszka, żeby jego strzelcy i psy przenocowali u niego, u wujka, w jego wsi Michajłowce.

– Gdybyście do mnie zajechali – sprawa pewna, marsz! – rzekł wujaszek – byłoby jeszcze lepiej; widzicie, jak mokro – mówił. – Odpoczęlibyście, hrabianeczkę odwieźlibyśmy bryczką. – Zaprosiny wujaszka przyjęto, do Otradnego posłano strzelca po bryczkę, a Mikołaj z Nataszą i Pietią pojechali do wujaszka.

Na frontowy ganek wybiegło pięciu czeladzi dworskiej, dorosłych oraz chłopców, witać pana. Z ganku kuchennego wyjrzały dziesiątki kobiet – starych, dorosłych i małych – żeby zobaczyć powracających myśliwych. Obecność Nataszy – kobiety, pani siedzącej na koniu – do tego stopnia podnieciła ciekawość dwórek wujkowych, że nie kępując się obecnością Nataszy wiele z nich zbliżało się do niej: zaglądały jej w oczy i tuż przy niej robiły o niej uwagi niby o jakimś dziwie na pokaz, które nie będąc człowiekiem nie może usłyszeć ani zrozumieć tego, co się o nim mówi.

– Arinka, spójrz no, siedzi boczkciem! Sama siedzi, a podołek się fajta... Widzita – rożek!

– Święci Pańscy i nożyk...

– Widzicie ją – Tatarka!

– Jakaś to się nie przekoziołkowała? – mówiła najśmielsza, zwracając się wprost do Nataszy.

Wujaszek zsiadł z konia przed swym drewnianym domkiem, który stał w zarośniętym ogrodzie, spojrzał na swych domowników, krzyknął rozkazująco, żeby się rozeszli i żeby przygotowali wszystko jak należy na przyjęcie gości i myśliwych.

Wszyscy się rozbiegli. Wujaszek zdjął Nataszę z konia i za rękę poprowadził po chwiejnych drewnianych stopniach ganku. W domu, nie otynkowanym, z belkowymi ścianami, nie bardzo było czysto, nie widać było, żeby ludzie tu mieszkający mieli na celu, by nie było plam, ale też nie widać było zaniedbania. W sieni pachniało świeżymi jabłkami i wisiaty wilcze i lisie skóry.

Wujaszek zaprowadził swych gości przez sień do małej bawialni z rozsuwanym stołem i mahoniowymi krzesłami, potem do salonu z brzoźowym okrągłym stołem i kanapą, potem do gabinetu z obszarpaną kanapą, zniszczonym dywanem i portretami Suworowa tudzież ojca i matki gospodarza oraz jego samego w wojskowym mundurze. W gabinecie mocno pachniało tytoniem i psami.

W gabinecie wujaszek poprosił gości, by usiedli i czuli się jak w domu, a sam wyszedł. Rugaj, z zabłoconym grzbietem, wszedł do gabinetu i położył się na kanapie czyszcząc się językiem i zębami. Z gabinetu prowadził korytarz, w którym widać było parawany z podartymi zasłonami. Spoza parawanów dochodził śmiech kobiecy i szepty. Natasza, Mikołaj i Pietia zdjęli okrycia i usiedli na kanapie. Pietia wsparł się na rękę i natychmiast zasnął; Natasza i Mikołaj siedzieli w milczeniu. Twarze im płonęły, byli bardzo głodni i bardzo weseli. Popatrzyli na siebie (w domu, po polowaniu, Mikołaj już nie uważał za konieczne okazywać

siostrze swej męskiej przewagi); Natasza mrugała na brata, oboje jeszcze trochę wytrzymali i zaśmiali się dźwięcznie, nie zdążywszy jeszcze wymyślić pretekstu dla swego śmiechu.

Wkrótce potem wszedł wujaszek w kazakinie, granatowych spodniach i niskich butach. I Natasza pojęła, że ten sam strój, na który, kiedy wujaszek był w nim w Otradnem, patrzyła ze zdumieniem i drwiną, był prawdziwym ubiorem, wcale nie gorszym od surdutów i fraków. Wujaszek również był wesół; nie tylko że się nie obraził z powodu śmiechu brata i siostry (nawet mu do głowy nie mogło przyjść, by mogli wyśmiewać jego sposób życia), ale i sam przyłączył się do ich śmiechu.

– Więc tak, moja hrabianeczko – sprawa pewna, marsz! – drugiej takiej nie widziałem! – oświadczył podając Rostowowi fajkę z długim cybuchem, a drugą, z cybuchem przyciętym krótko, zwykłym ruchem wkładając między trzy palce.

– Dzień spędziła konno niczym mężczyzna, i jakby nigdy nie!

Wkrótce po wejściu wujaszka otworzyła drzwi dziewczyna, jak można było sądzić po odgłosie stóp – bosa, i do pokoju weszła trzymając w rękach zastawioną tacę otyła, rumiana, ładna kobieta lat czterdziestu, z podwójnym podbródkiem i pełnymi czerwonymi wargami. Z gościnną dostojnością i uprzejmością w oczach i każdym ruchu przyjrzała się gościom i mile się uśmiechając ukłoniła się im z szacunkiem. Pomimo tuszy okazalszej niż zwykła, co zmuszało ją do wystawiania naprzód piersi i brzucha i do odchylenia głowy w tył, kobieta (gospodyni wujaszka) stapała nadzwyczaj lekko. Podeszła do stołu, postawiła tacę i białymi, pulchnymi rękoma sprawnie zdjęła i ustawiła na stole butelki, zakąski i smakołyki. Skończywszy to odeszła i z uśmiechem na twarzy stanęła przy drzwiach. „To właśnie jestem ja! Teraz rozumiesz wujaszka?” – powiedziało Rostowowi jej wejście. Jak tu nie rozumieć: nie tylko Rostow, ale i Natasza rozumiała wujaszka, znaczenie jego nasepionych brwi i szczęśliwego uśmiechu zadowolenia, który lekko ściągnął jego usta, kiedy wchodziła Anisja Fiodorowna. Na tacy była żubrówka, nalewki, grzybki, placuszki z czarnej mąki na serwatce, miód w plasterkach, miód warzony i musujący, jabłka, orzechy surowe i palone oraz orzechy w miodzie. Potem Anisja Fiodorowna przyniosła konfitury na miodzie i cukrze, wędliny i świeżo upieczoną kurę.

Wszystko to było domowe, zebrane i przyrządzone przez Anisję Fiodorownę. Wszystko to pachniało Anisją Fiodorowną, tchnęło nią i miało jej smak. Wszystko to miało w sobie jędrność, czystość, białość i miły uśmiech.

– Niechże panna hrabianeczka podje – mówiła podając Nataszy to jeden przysmak, to drugi. Natasza jadła wszystko i wydawało się jej, że takich placuszków na serwatce, z takim bukiem konfitur, takich orzechów w miodzie i takiej kury jeszcze nigdy nie widziała i nie jadła. Anisja Fiodorowna wyszła. Rostow z wujaszkiem, zapijając kolację wiśniową nalewką, rozmawiali o minionym i o przyszłym polowaniu, o Rugaju i o psach Iłagina. Natasza, przysłuchując się z błyszczącymi oczyma, siedziała wyprostowana na kanapie. Kilka razy próbowała obudzić Pietię, żeby mu dać coś do zjedzenia, ale odpowiadał jakoś niezrozumiale, najwidoczniej przez sen. Nataszy było tak wesoło na duszy, tak dobrze w tym nowym dla niej otoczeniu, że bała się, by za wcześnie nie przysłano po nią bryczki. Po chwili milczenia, które zapadło przypadkowo, jak to się prawie zawsze zdarza u ludzi po raz pierwszy przyjmujących w swym domu znajomych, wujaszek oświadczył odpowiadając na myśl, jaka nasunęła się jego gościom:

– Tak więc kończę mój żywot... Umrze człowiek – sprawa pewna, marsz! – nic nie pozostanie. Nie ma w tym grzechu.

Twarz wujaszka była bardzo wyrazista, a nawet piękna, kiedy to mówił. Rostow mimo woli przypomniał tu sobie wszystko, co słyszał dobrego o wujaszku od ojca i od sąsiadów. W całej guberni wujaszek miał reputację najzacniejszego i najbardziej bezinteresownego dziwaka. Powoływano go na rozjemcę w sprawach rodzinnych, wyznaczano na wykonawcę testamentów, zwierzano mu sekrety, wybierano na sędziego i na inne stanowiska, ale wujaszek

stanowczo się wymawiał od służby publicznej; jesień i wiosnę spędzał na polach na swym kasztanowatym mierzynku, w zimie siedział w domu, latem polegiwał w swym zarośniętym sadzie.

– Czemuż wujaszek nie pełni żadnego urzędu?

– Pełniłem, alem to rzucił. Nie nadaję się, nic nie mogę pojąć – sprawa pewna, marsz! To wasza rzecz, ja nie mam do tego głowy. Co się tyczy polowania, to co innego, to – sprawa pewna, marsz! Otwórzcie no drzwi! – krzyknął. – Czemuście zamknęli! – Drzwi w końcu korytarza (który wujaszek nazywał kolitarzem) prowadziły do kawalerskiego pomieszczenia strzelców. Bose nogi pośpiesznie zaczęły i niewidoczna ręka otworzyła drzwi do pokoju myśliwskiego. Z korytarza wyraźnie dobiegały dźwięki bałałajki, na której grał prawdopodobnie jakiś mistrz tego instrumentu. Natasza już dawno się przysłuchiwała tym dźwiękom, a teraz wyszła na korytarz, żeby lepiej słyszeć.

– To mój stangret, Mit'ka... Kupiłem mu dobrą bałałajkę, lubię to – oświadczył wujaszek. U wujaszka panował zwyczaj, że kiedy wracał z polowania, to w izbie myśliwskiej Mit'ka grał na bałałajce. Wujaszek lubił słuchać tej muzyki.

– Jak ładnie! Naprawdę wybornie – rzekł Mikołaj z pewnym mimowolnym lekceważeniem, jak gdyby mu było wstyd przyznać się, że te dźwięki były dlań bardzo przyjemne.

– Jak to: wybornie? – odezwała się Natasza z wymówką, wyczuwając ton, jakim to brat powiedział. – Nie wybornie, ale po prostu prześlicznie! – Podobnie jak grzybki, miód i nalewki u wujaszka wydały się jej najlepsze w świecie, tak i ta pieśń wydała się jej w tej chwili szczytem muzycznej piękności.

– Jeszcze, bardzo proszę, jeszcze – rzekła Natasza w stronę drzwi, gdy tylko bałałajka uciła. Mit'ka nastroił i znowu zabręczała *Jaśnie pani*<sup>455</sup> z trelami i pasażami. Wujaszek siedział skłoniwszy głowę lekko na bok i przysłuchiwał się z ledwie dostrzegalnym uśmiechem. Motyw *Jaśnie pani* powtórzył się ze sto razy. Kilka razy strojono bałałajkę i znów brzęczały te same dźwięki, a słuchaczom ta gra się nie przykrzyła, wciąż chcieli jej słuchać. Weszła Anisja Fiodorowna i wsparła swe pulchne ciało o framugę.

– Panienska raczy się przysłuchiwać? – rzekła do Nataszy z uśmiechem nadzwyczaj przypominającym uśmiech wujaszka. – Pięknie gra – powiedziała.

– Ten pasaż gra nie tak jak trzeba – odezwał się z nagłą wujaszek czyniąc energiczny gest. – Tu trzeba rozsypać – sprawa pewna, marsz! – rozsypać.

– Czy wujaszek potrafi? – zapytała Natasza. Wujaszek uśmiechnął się i nie odpowiedział.

– Anisjuszka, zobacz, czy w gitarze struny całe. Jużem dawno nie brał do ręki – sprawa pewna, marsz! – zarzuciłem.

Anisja Fiodorowna chętnie poszła swym lekkim krokiem spełnić polecenie pana i przyniosła gitarę. Wujaszek, nie patrząc na nikogo, zdmuchnął kurz, kościstymi palcami stuknął w wieczko gitary, nastroił ją i poprawił się w fotelu. Ujął (nieco teatralnym gestem, odstawiając łokieć lewej ręki) gitarę powyżej szyjki i mrugnawszy na Anisję zaczął nie *Jaśnie panią*, lecz wziął jeden dźwięczny, czysty akord i miarowo spokojnie, ale pewnie ją w spokojnym tempie grać znaną pieśń: *Przez ulicę bruu-kowaną*. We wtór, do taktu z ową stateczną radością (tą samą, jaką tchnęła cała istota Anisji Fiodorowny), w duszy Mikołaja i Nataszy rozbrzmiał motyw pieśni. Anisja Fiodorowna zarumieniła się, zasłoniła chusteczką twarz i ze śmiechem wyszła z pokoju. Wujaszek grał dalej czysto, starannie, energicznie i pewnie; wykonując pieśń, zmienionymi, natchnionymi oczyma patrzył na to miejsce, skąd odeszła Anisja Fiodorowna. Coś tam śmiało się w jego twarzy leciutko-leciutko, osobliwie śmiało się wtedy, z jednej strony pod siwym wąsem, gdy pieśń płynęła szerzej, takt stawał się szybszy, a w pasażu coś jakby się zrywało.

---

<sup>455</sup> Popularna pieśń („Ech, ty, barynia, gosudarynia...”).

– Cudnie, wujaszku, cudnie! Jeszcze, jeszcze! – zawołała Natasza, jak tylko skończył. Zerwała się, objęła wujaszka i ucałowała. – Nikoleńka, Nikoleńka! – mówiła oglądając się na brata, jakby go zapytywała: jakże to tak?

Mikołajowi również bardzo się podobało granie wujaszka. Wujaszek po raz drugi zagrał pieśń. Uśmiechnięta twarz Anisji Fiodorowny znów ukazała się we drzwiach, a za nią jeszcze inne twarze... „Chłodny płynie źródł, dziewczę woła: «Stój!»” – grał wujaszek; jeszcze raz wykonał zręczny pasaż, urwał i poruszył ramionami.

– Ależ, wujciu kochany – jęknęła Natasza takim tonem, jakby jej życie zależało od tego. Wujaszek wstał i zdawało się – było w nim dwóch ludzi: jeden z nich poważnie się uśmiechnął z wesołka, wesołek zaś uczynił naiwny a staranny wstęp do tańca.

– No, krewniaczk! – krzyknął wujaszek i skinął ku Nataszy ręką, która urwała akord.

Natasza zrzuciła z ramion chusteczkę, zabiegła drogę wujaszkowski, ujęła się pod boki, poruszyła ramionami i przystanęła.

Gdzie, jak i kiedy ta hrabianeczka wychowana przez Francuzkę-emigrantkę wchłonęła w siebie z owego rosyjskiego powietrza, którym oddychała, tyle tego ducha, skąd wzięła te gesty taneczne, które *pas de châte* dawno powinny były wyprzeć? Lecz duch i gesty były te same, nie do naśladowania, niemożliwe do wyuczenia się, rosyjskie, jakich właśnie wujaszek się po niej spodziewał. Gdy tylko stanęła, uśmiechnęła się triumfalnie, dumnie, filuternie i wesoło, a strach, który z początku ogarnął Mikołaja i wszystkich obecnych, strach, że Natasza zrobi nie to, co należy, minął i już patrzyli z zachwytem.

Czyniła właśnie to, co należało, i tak dokładnie, absolutnie dokładnie, że Anisja Fiodorowna, która natychmiast podała jej chusteczkę niezbędną dla płasów, rozrzewniła się wśród uśmiechu, patrząc na tę szczuplutek, pełną gracji, taką dla niej obcą hrabiankę w jedwabiach i aksamitach, która jednak potrafiła pojąć wszystko to, co było i w Anisji, i w ojcu Anisji, i w ciotce, i w matce, i w każdym Rosjaninie.

– No, hrabianeczko – sprawa pewna, marsz! – rzekł wujaszek śmiejąc się wesoło, gdy skończyli taniec. – No, no, krewniaczk! Trzeba ci tylko wybrać mężulka chwata – sprawa pewna, marsz!

– Już wybrany – oświadczył Mikołaj uśmiechając się.

– O? – rzekł wujaszek ze zdziwieniem i pytająco spojrzął na Nataszę.

– Jeszcze jaki! – odrzekła. Ale gdy tylko to powiedziała, powstał w niej zupełnie nowy układ myśli i uczuć. „Co znaczył uśmiech Mikołaja, kiedy powiedział: «Już wybrany». Cieszy się z tego czy nie cieszy? Myśli, zdaje się, że mój Bołkoński nie pochwaliłby, nie pojąłby tej naszej radości. Nie, on by wszystko pojął. Gdzież on teraz?” – pomyślała Natasza, a twarz jej nagle spoważniała. Lecz trwało to tylko sekundę. „Nie myśleć, nie ważyć się o tym myśleć” – powiedziała sobie i znów z uśmiechem usiadła obok wujaszka prosząc, by jeszcze coś zagrał.

Wujaszek zagrał jeszcze pieśń i walca; potem milczał chwilę, odchrząknął i zaśpiewał swą ulubioną pieśń myśliwską:

Śnieg prószy z wieczora,  
Oto i myśliwym pora...

Wujaszek śpiewał, jak śpiewał lud, z całkowitym i naiwnym przeświadczeniem, że w pieśni znaczenie polega tylko na słowach, że melodia przychodzi sama z siebie i że osobnej melodii nie ma, że melodia jest tylko po to, by szło składnie. Stąd pochodzi ta nieświadoma melodyjność, jak melodyjność śpiewu ptaków, i u wujaszka wypadło to niezwykle ładnie. Natasza była zachwycona jego śpiewem. Postanowiła już nie uczyć się grać na harfie, grać będzie tylko na gitarze. Poprosiła wujaszka o gitarę i natychmiast dobrała akordy do pieśni.

O dziesiątej po Nataszę i Pietię przyjechały linijka i bryczka oraz trzech konnych, których posłano, by ich szukali. Hrabia i hrabina nie wiedzieli, gdzie są młodzi państwo, i jak mówił posłaniec, bardzo się niepokoił.

Pietię wyniesiono i położono na linijce jak nieżywego, Natasza i Mikołaj siedli do bryczki. Wujaszek otulał Nataszę i żegnał się z nią z całkiem nową tkliwością. Pieszko odprowadził ich aż do mostu, który należało objechać w bród, i przykazał strzelcom jechać przodem z latarniami.

– Żegnaj, droga krewniaczko! – krzyknął z ciemności jego głos, ale nie ten, który Natasza знаła przedtem, ale ten, który śpiewał: „Śnieg prószy z wieczora”.

We wsi, przez którą przejeżdżali, płonęły czerwone światełka i wesoło pachniało dymem.

– Cudowny jest ten wujaszek – oświadczyła Natasza, kiedy wyjechali na szosę.

– Tak – odrzekł Mikołaj. – Nie zimno ci?

– Nie, jest mi doskonale, doskonale. Tak mi dobrze – rzekła Natasza z pewnym nawet zdumieniem. Długo milczeli.

Noc była ciemna i wilgotna. Koni nie było widać; tylko słychać było, jak człapią po niewidocznym błocie.

Co się działo w tej dziecięcej, chłonnej duszy, tak chciwie chwytającej i przyswajającej sobie wszystkie najróżniejsze wrażenia życiowe? Jak się to wszystko w niej układało? Była jednak bardzo szczęśliwa. Kiedy już zbliżali się do domu, zaśpiewała znienacka motyw pieśni: „Śnieg prószy z wieczora”, motyw, który chwytiała przez całą drogę i wreszcie złapała.

– Złapałaś? – rzekł Mikołaj.

– O czymżeś teraz myślał, Nikoleńka? – zapytała Natasza. Lubili pytać się o to wzajemnie.

– Ja? – rzekł Mikołaj przypominając sobie. – Widzisz, z początku myślałem, że Rugaj, ten ryży pies, jest podobny do wujaszka i że gdyby był człowiekiem, to zawsze by trzymał wujaszka u siebie, jeśli nie dla gonu, to dla ładu, ale zawsze by trzymał. Jaki ten wujaszek składny! Prawda? A ty o czym?

– Ja? Zaraz, zaraz. Z początku myślałam, że jedziemy i myślimy, że jedziemy do domu, a my jedziemy Bóg wie dokąd, a w tej ciemności nagle przyjedziemy nie do Otradnego, ale do zaczarowanego królestwa. A potem jeszcze myślałam... Nie, już o niczym nie myślałam.

– Wiem, pewno o nim myślałaś – rzekł Mikołaj uśmiechając się, jak poznała Natasza po dźwięku jego głosu.

– Nie – odpowiedziała Natasza, choć rzeczywiście myślała zarazem i o księciu Andrzeju, i o tym, czy wujaszek by mu się podobał. – A jeszcze ciągle, powtarzam, przez całą drogę powtarzam: jak Anisjuszka dobrze się zachowała, jak dobrze... – rzekła Natasza. I Mikołaj usłyszał jej dźwięczny, szczęśliwy śmiech bez powodu.

– A wiesz – rzekła znienacka – ja wiem, że już nigdy nie będę tak szczęśliwa i spokojna, jak teraz.

– Bzdura, głupstwo, nieprawda – zaoponował Mikołaj i pomyślał: „Cudowna jest ta moja Natasza! Drugiego takiego przyjaciela nie mam i nie będę miał. Po co ma wychodzić za mąż? Razem byśmy tak sobie jeździli!”

„Jaki wspaniały jest ten mój Mikołaj!” – myślała Natasza.

– O! Jeszcze światło w salonie – rzekła Natasza wskazując na okna domu, pięknie błyszczące w mokrej, aksamitnej ciemności nocy.

## VIII

Hrabia Ilija Andreicz ustąpił z marszałkostwa, albowiem ten urząd był związany ze zbyt dużymi wydatkami. Jednak interesy jego wciąż się nie poprawiały. Natasza i Mikołaj często dostrzegali sekretne, niespokojne narady rodziców i słyszeli pogłoski o sprzedaży pięknego rodzowego pałacu Rostowów i posiadłości podmoskiewskiej. Gdy skończyło się marszałkowanie, nie trzeba było żyć tak wystawnie, toteż życie w Otradnem płynęło spokojniej niż w ubiegłych latach; lecz ogromny dom i oficyny zawsze były pełne, do stołu stałe siadało ponad dwadzieścia osób. Wszystko to byli ludzie bliscy, którzy się zżyli z domem, niemal członkowie rodziny albo też tacy, którzy – jak się zdawało – powinni byli mieszkać koniecznie w domu hrabiego. A więc muzyk Dimmler z żoną, nauczyciel tańca Vogel z rodziną, panna Bielow, staruszka, i jeszcze wiele innych osób: nauczyciele Pieti, dawna guwernantka pańien i po prostu ludzie, którzy woleli albo którym było dogodniej mieszkać u hrabiego niż u siebie. Nie było już takich zjazdów jak dawniej, ale jednak tryb życia pozostał ten sam, bo hrabia i hrabina nie wyobrażali sobie bez niego życia. Było to samo, jeszcze powiększone przez Mikołaja, polowanie, te same pięćdziesiąt koni i piętnastu stangretów w stajni, tak samo drogie podarunki na imieniny i uroczyste, sławne na cały powiat obiady, te same wisty i bostony hrabiego, podczas których hrabia każdemu pozwalał zaglądać sobie w karty i każdego dnia na setki rubli dawał się ogrywać sąsiadom, którzy prawo do gry z hrabią Ilią Andreiczem uważali za nader intratny serwitut.

Hrabia obracał się w swych interesach niby w olbrzymich sieciach, usiłował nie wierzyć w to, że się zaplątał i że z każdym krokiem płącze się coraz bardziej, nie czuł się na siłach, ani by rozerwać sieci, które go omotały, ani by je ostrożnie, cierpliwie rozplątać. Hrabina kochającym sercem czuła, że jej dzieci popadają w ruinę, że hrabia nie jest temu winien, iż nie może być inny, niż jest, że sam cierpi (choć to ukrywa) zdając sobie sprawę z ruiny własnej i dzieci, i szukała sposobów, by mu pomóc. Z jej kobiecego punktu widzenia wynikał tylko jeden sposób – bogaty ożenek Mikołaja. Czuła, że to jest ostatnia nadzieja i że jeśli Mikołaj odrzuci partię, jaką mu znalazła, trzeba będzie na zawsze się pożegnać z możliwością poprawienia interesów. Tą partią była Julie Karagin, córka godnych, cnotliwych rodziców, znana Rostowom od dzieciństwa, obecnie, po śmierci ostatniego z jej braci, bogata panna na wydaniu.

Hrabina napisała szczerze do pani Karagin do Moskwy i zaproponowała jej małżeństwo swego syna z jej córką. Otrzymała przychylną odpowiedź. Pani Karagin odpowiedziała, że się zgadza, ale że wszystko będzie zależało od skłonności jej córki. Pani Karagin zapraszała Mikołaja do Moskwy.

Hrabina kilkakrotnie ze łzami w oczach mówiła synowi, że obecnie, kiedy już los jej obydwu córek jest ustalony, jedynym jej pragnieniem jest widzieć go żonatym. Powiadała, że spokojnie zamknęłaby oczy, gdyby tak było. Potem mówiła, że ma na uwadze wspaniałą pannę, i badała go, co myśli o małżeństwie.

W innych rozmowach wychwalała Julie i radziła Mikołajowi pojechać na święta do Moskwy i zabawić się. Mikołaj domyślał się, do czego matka zmierza, i podczas jednej z takich

rozmów wyciągnął ją na szczerą wypowiedź. Matka wyznała mu, że cała nadzieja poprawienia ich interesów polega obecnie na jego ożenku z Julie Karagin.

– A gdybym kochał pannę bez majątku, czy *maman* zażądałaby ode mnie poświęcenia uczucia i honoru dla majątku? – zapytał matkę nie pojmując okrucieństwa swego zapytania i pragnąc tylko okazać swą szlachetność.

– Nie, nie zrozumiałeś mnie – odrzekła matka nie wiedząc, jak się usprawiedliwić. – Nie zrozumiałeś mnie, Nikoleńka. Ja pragnę twego szczęścia – dodała i poczuła, że mówi nieprawdę, że się zaplątała. Rozpląkała się.

– Niech mama nie płacze, lecz powie mi, że tego ode mnie żąda. Mama wie przecież, że wszystko oddam, całe moje życie, byleby mama była spokojna – oświadczył Mikołaj. – Wszystko poświęcę, nawet moje uczucie.

Hrabina jednak nie tak chciała postawić kwestię: nie chciała poświęcenia od swego syna, sama by chciała się poświęcić dla niego.

– Nie, nie zrozumiałeś mnie, nie mówmy już o tym – powiedziała ocierając łzy.

„A może ja naprawdę kocham biedną dziewczynę? – mówił sobie Mikołaj. – I cóż, mam poświęcić uczucie i honor dla majątku? Dziwię się, że mama mogła mi to powiedzieć. Czy dlatego, że Sonia jest biedna to nie mogę jej kochać – myślał – nie mogę odwzajemnić jej wiernej, oddanej miłości? A z nią na pewno będę szczęśliwszy niż z jakąś tam lalką Julie. Nie mogę rozkazywać swemu uczuciu – mówił sobie. – Skoro kocham Sonię, to moje uczucie jest dla mnie silniejsze i wyższe ponad wszystko”.

Mikołaj nie pojechał do Moskwy, hrabina nie wznowiła z nim rozmowy o żeniactwie i ze smutkiem, a czasem nawet z zawziętą urazą patrzyła na oznaki coraz większego zbliżenia między synem a nieposażną Sonią. Wyrzucała to sobie, ale nie mogła nie zrzędzić, nie czepląc się Soni, nie osądzać jej często bez powodu, nie mówić do niej „pani” i „moja kochana”. Zaczynała hrabina najwięcej o to złościła się na Sonię, że ta biedna czarnooka krewniaczka była taka potulna, tak dobra, tak bezgranicznie wdzięczna swym dobrodziejom i tak wiernie, stale, z poświęceniem zakochana w Mikołaju, że nie dawała powodu do wyrzutów.

Mikołaj spędzał u rodziny już resztki urlopu. Od narzeczonego, księcia Andrzeja, przyszedł czwarty list, z Rzymu. Książę donosił, że już dawno byłby w drodze do Rosji, gdyby w ciepłym klimacie nie otworzyła mu się była niespodziewanie rana, co go zmusza do odłożenia wyjazdu na początek przyszłego roku. Natasza wciąż była równie zakochana w narzeczonem, równie uspokojona tą miłością i równie chłodna na wszystkie radości życia, jednak w końcu czwartego miesiąca rozłąki jeły ją nachodzić chwile smutku, którego nie mogła zwalczyć. Żal jej było siebie, żal, że tak niepotrzebnie się marnuje przez ten czas, gdy czuła się tak bardzo zdolna kochać i być kochaną.

W domu Rostowów było niewesoło.



## IX

Przyszły święta Bożego Narodzenia, a oprócz solennego nabożeństwa, oprócz uroczystych i nudnych życzeń sąsiadów i czeladzi dworskiej, oprócz tego, że włożyli na siebie nowe ubrania, nie było nic szczególnego, co by znamionowało Boże Narodzenie, toteż przy bezwietrznym dwudziestostopniowym mrozie, jaskrawym, oślepiającym w ciągu dnia słońcu i wygwieżdżonym zimnym świetle nocy czuło się potrzebę jakiegoś upamiętnienia tego czasu.

W trzeci dzień świąt po obiedzie wszyscy domownicy rozeszli się po swych pokojach. Była najnudniejsza pora dnia. Mikołaj, który rano jeździł do sąsiadów, usnął w bawialni.

Stary hrabia odpoczywał w swym gabinecie. Sonia siedziała w salonie przy okrągłym stole, przerysowując jakiś wzór. Hrabina kładła pasjansa. Trefniś Anastazja Iwanowna siedział markotny przy oknie wraz z dwiema staruszkami.

Natasza weszła do pokoju, podeszła do Soni, popatrzyła, co robi, zbliżyła się do matki i przystanąła milcząc.

– Czemu chodzisz jak bezdomna? – zapytała ją matka.

– Czego ci trzeba?

– Trzeba mi jego... zaraz, w tej chwili, jego mi trzeba – rzekła Natasza błyskając oczami i bez uśmiechu. Hrabina podniosła głowę i badawczo popatrzyła na córkę.

– Nie patrz tak na mnie, mamó, nie patrz, bo zaraz się rozplaczę.

– Siądź, posiedź ze mną – rzekła hrabina.

– Mamó, ja jego potrzebuję. Dlaczego ja tak się marnuję, mamó?... – Głos jej załamał się, z oczu trysnęły łzy. Aby je ukryć, Natasza szybko się odwróciła i wyszła z pokoju.

Weszła do bawialni, postąła, pomyślała i poszła do izby dziewcząt służebnych. Tam stara pokojówka gderała na młodą dziewczynę, która z mrozu przybiegła zdyszana do oficyn.

– Dość tej zabawy – mówiła stara. – Na wszystko jest stosowny czas.

– Puść ją, Kondratiewna – odezwała się Natasza.

– Idź, Mawrusza, idź.

Zwolniejszy Mawruszę Natasza poszła przez salon do pokoju przyjąć. Stary lokaj i dwaj młodzi grali w karty. Na widok wchodzącej panienki przerwali grę i wstali. „Co by tu z nimi zrobić?” – pomyślała Natasza.

– Tak, Nikita, idź, proszę cię... – „dokąd by tu go posłać?” – tak, idź na folwark i przynieś mi koguta, tak, a ty, Misza, przynieś owsa.

– Trochę owsa panienka każe? – zapytał Misza chętnie i wesoło.

– Idź, idź prędko – przyświadczył stary.

– A ty, Fiodor, postaraj mi się o kredę. Przechodząc obok kredensu kazała podać samowar, choć jeszcze było za wcześnie.

Kredencierz Foka był największym złoślikiem ze wszystkich domowników. Natasza lubiła próbować na nim swej mocy. Nie uwierzył jej i poszedł zapytać, czy to prawda.

– Ech, ta panienka! – rzekł Foka udając, że się chmurzy na Nataszę.

Nikt w całym domu tak nie rozsyłał służby i nie dawał jej tyle roboty co Natasza. Nie mogła obojętnie patrzeć na służbę, aby jej gdziekolwiek nie posłać. Jakby próbowała, czy ktoś się nie rozgniewa, czy ktoś się na nią nie odmie, ale służba niczyich rozkazów nie spełniała

tak chętnie jak rozkazów Nataszy. „Co by tu zrobić? Dokąd by pójść?” – myślała Natasza idąc wolno korytarzem.

– Anastazjo Iwanowno, co się ze mnie urodzi? – zapytała trefnisia, który szedł naprzeciw niej w swej kacawejce.

– Z ciebie – pchły, świerszcze, koniki polne – odpowiedział trefniś.

„Mój Boże, mój Boże, ciągle jedno i to samo. Gdzie mam się podziąć? Co ze sobą pocaść?” I szybko tupiąc nogami pobiegła po schodach do Vogla, który wraz z żoną mieszkał na górze. U Vogla siedziały dwie guwernantki, na stole stały talerze z rodzynkami, z orzechami greckimi i migdałami. Guwernantki rozmawiały o tym, gdzie życie jest tańsze: w Moskwie czy w Odessie. Natasza usiadła, z twarzą poważną i zamyśloną posłuchała ich rozmowy i wstała.

– Wyspa Madagaskar – wyrzekła – Ma-da-gas-kar – powtórzyła wyraźnie każdą sylabę i nie odpowiadając na pytania m-me Schoss, o czym mówi, wyszła z pokoju.

Pietia, jej brat, również był na górze: ze swym piastunem przygotowywał ognie sztuczne, które zamierzał zapalić w nocy.

– Pietia! Piet'ka! – krzyknęła do niego – weź mnie na dół! – Pietia podbiegł do niej i nadstawił grzbiet. Wskoczyła na niego i objęła rękoma za szyję, a on pobiegł z nią podskakując. – Nie, nie trzeba... wyspa Madagaskar – powiedziała, zeskoczyła i zeszła na dół.

Obszedłszy jak gdyby swe królestwo, wypróbowała swą władzę i przekonała się, że wszyscy są powolni, ale przecie jest nudno. Natasza weszła do salonu, wzięła gitarę, usiadła w ciasnym kąciku za szafką i jęła na basie przebierać struny i wygrywać frazę zapamiętaną z pewnej opery, jaką słyszała w Petersburgu wraz z księciem Andrzejem. Dla postronnych słuchaczy z tego jej grania na gitarze wynikało coś bez żadnego sensu, ale w jej wyobraźni z tych dźwięków powstawał szereg wspomnień. Z oczami utkwionymi w pasie światła padającego z kredensu, siedziała za szafką, wsłuchiwała się w siebie i wspominała. Znajdowała się w świecie wspomnień.

Sonia z kieliszkiem w ręku przeszła przez salon do kredensu. Natasza spojrzała na nią, na szczelinę w drzwiach kredensu i wydało się jej, że tylko przypomina sobie, że przez szczelinę w drzwiach kredensu pada światło i że Sonia przeszła z kieliszkiem. „Przecie to wszystko było jota w jotę tak samo” – pomyślała Natasza.

– Soniu, co to jest? – zawołała Natasza przebierając palcami po grubej strunie.

– Ach, jesteś tu! – rzekła Sonia wzdygając się. Zbliżyła się i słuchała. – Nie wiem. *Burza?* – rzekła nieśmiało, bojąc się omylić.

„Zupełnie tak samo drgnęła, zupełnie tak samo podeszła i nieśmiało się uśmiechnęła wtedy, kiedy to już było – pomyślała Natasza – i dokładnie tak samo... pomyślałam, że czegoś w niej brak”.

– Nie, to chór z *Nosiwody*, słyszysz? – I Natasza dośpiewała motyw chóru, żeby Sonia mogła to pojąć.

– Dokąd szłaś? – zapytała Natasza.

– Zmienić w kieliszku wodę. Zaraz dokończę rysować wzór.

– Zawsze jesteś zajęta, a ja nie potrafię - rzekła Natasza.

– A gdzie Nikoleńka?

– Zdaje się, że śpi.

– Soniu, idź, obudź go – powiedziała Natasza. – Powiedz, że go wołam do śpiewania. – Posiedziała, zastanowiła się nad tym, co to znaczy, że wszystko już było, a nie rozstrzygnąwszy tej kwestii i bynajmniej tego nie żałując, znów przeniosła się wyobraźnią do tego okresu, kiedy była razem z nim, a on patrzył na nią rozkochanymi oczami.

„Ach, gdyby jak najprędzej przyjechał. Tak się boję, że to się nie stanie! A co najważniejsze: starzeję się, otóż to! Już nie będzie tego, co teraz jest we mnie. A może on teraz przyjedzie, przyjedzie zaraz? A może przyjechał i siedzi w salonie? Może już wczoraj przyjechał, a

ja zapomniałam?” Wstała, położyła gitarę i poszła do salonu. Wszyscy domownicy, nauczyciele, guwernantki i goście już siedzieli przy herbacie. Służba stała dokoła stołu – a księcia Andrzeja nie było, i było całe dawniejsze życie.

– Oto i ona – odezwał się Ilia Andreicz ujrawszy wchodzącą Nataszę. – No, siadaj koło mnie. – Natasza jednak zatrzymała się przy matce, rozglądając się dokoła, jak gdyby czegoś szukała.

– Mamo! – powiedziała. – Daj mi go, mamó, daj prędko, prędko – i znów z trudem powstrzymywała szloch.

Usiadła przy stole, posłuchała rozmów starszych i Mikołaja, który również przyszedł do stołu. „Mój Boże, mój Boże, te same twarze, te same rozmowy, papa tak samo trzyma filiżankę i zupełnie tak samo dmucha!” – myślała Natasza czując z przerażeniem wstręt, jaki się w niej budził do wszystkich domowników za to, że byli wciąż tacy sami.

Po herbacie Mikołaj, Sonia i Natasza poszli do bawialni, gdzie mieli swój ulubiony kącik, w którym zawsze się zaczynały ich najintymniejsze rozmowy.

## X

Czy tobie się zdarza – zapytała Natasza brata, kiedy usiedli w bawialni – czy tobie się zdarza, że wydaje ci się, iż nic się nie stanie – nic; że wszystko, co dobre, już było? I nie żeby ci było nudno, ale smutno?

– I jak jeszcze! – odrzekł. – Zdarzało się, że wszystko było dobrze, wszyscy weseli, a mnie przychodzi do głowy, że to wszystko już mi zbrzydło i że wszyscy muszą umrzeć. Pewnego razu w pułku nie poszedłem na zabawę, a tam grała muzyka... i nagle zrobiło mi się tak smutno...

– Ach, ja to znam! Znam, znam – podchwyciła Natasza. – Jeszcze byłem mała, kiedy to mi się zdarzyło. Pamiętasz, pewnego razu ukarano mnie za śliwki, wy wszyscy tańczyliście, a ja siedziałam w pokoju do nauki i szlochałam; nigdy tego nie zapomnę; było mi i smutno, i żal was wszystkich, i siebie, i wszystkich, wszystkich żal. A najważniejsze, że nie byłem winna – rzekła Natasza. – Pamiętasz?

– Pamiętam – odpowiedział Mikołaj. – Pamiętam, że potem przyszedłem do ciebie, chciałem cię pocieszyć, ale wiesz, wstydzilem się. Strasznie byliśmy śmieszni. Miałem wtedy zabawkę, bałwanka, chciałem ci ją dać. Pamiętasz?

– A czy pamiętasz – zapytała Natasza z uśmiechem zamyślenia – kiedy to dawno, bardzo dawno, byliśmy jeszcze bardzo mali, wujaszek zawołał nas do gabinetu, jeszcze w starym domu, a było ciemno, my przychodzimy, a tam niespodzianie stoi...

– Murzyn – dokończył Mikołaj z uśmiechem radości. – Pewnie, że pamiętam. I teraz nie wiem, czy to był Murzyn, czy nam się tylko śniło, czy może nam opowiadano.

– Był szary, pamiętasz, zęby miał białe – stoi i patrzy na nas...

– Soniu, pani pamięta? – zapytał Mikołaj.

– Tak, tak, ja też coś pamiętam – odpowiedziała Sonia nieśmiało.

– Przecie pytałam o tego Murzyna papę i mamę – powiedziała Natasza. – Oni mówią, że żadnego Murzyna nie było. A ty pamiętasz!

– A jakże, jak dziś pamiętam jego zęby.

– Jakie to dziwne, całkiem jakby we śnie. Ja to lubię.

– A czy pamiętasz, jakeśmy w salonie taczali jajka, a tu nagle – dwie staruszki zaczęły się wiercić na dywanie. Było to czy nie? Pamiętasz, jak dobrze było?

– Tak. A czy pamiętasz, jak papa stał na ganku w granatowej szubie i strzelił z fuzji? – Uśmiechnięci, z rozkoszą przetrząsali wspomnienia, nie smutne wspomnienia starcze, ale poetyczne, młodzieńcze, owe wrażenia z najbardziej oddalonej przeszłości, w której sen zlewa się z rzeczywistością, a śmiali się cicho i z czegoś radowali.

Sonia jak zawsze odstrychnęła się od nich, choć wspomnienia mieli wspólne. Sonia nie pamiętała wiele z tego, co oni wspominali, a jeśli nawet i pamiętała, to nie doznawała tego poetycznego uczucia co oni. Rozkoszowała się jedynie ich radością, próbując dostosować się do niej.

Sonia wzięła udział tylko w tym wspomnieniu, które dotyczyło jej pierwszego przybycia. Sonia opowiadała, jak bardzo się bała Mikołaja, dlatego że na kurteczce miał szamerunek, a niania powiedziała, że i ją zaszamerują.

– A ja pamiętam: powiedziano mi, żeś się urodziła pod kapustą – rzekła Natasza – i pamiętam, że wtedy nie śmiałam nie wierzyć, ale wiedziałam, że to nieprawda, i było mi tak nieswojo.

Podczas tej rozmowy z przeciwnych drzwi bawialni wysunęła się głowa pokojówki.

– Panienko, przynieśli koguta – rzekła dziewczyna szeptem.

– Nie trzeba. Polu, każ odnieść – odpowiedziała Natasza.

Do bawialni, wśród tych rozmów, wszedł Dimmler i zbliżył się do harfy stojącej w kącie. Zdjął pokrowiec i harfa wydała fałszywy dźwięk.

– Edwardzie Karłyczu, proszę, zagraj mój ulubiony *Nocturne* monsieur Fielda – doleciał z salonu głos starej hrabiny.

Dimmler wziął akord i zwracając się do Nataszy, Mikołaja i Soni rzekł:

– Cóż młodzież siedzi tak spokojnie?

– A bo my filozofujemy – odrzekła Natasza, rozglądała się przez chwilę i podjęła rozmowę. Rozmawiali teraz o snach.

Dimmler zaczął grać. Natasza cichutko, na palcach, podeszła do stołu, wzięła świecę, wyniosła ją i, wróciwszy, cicho siadła na swoim miejscu. W pokoju, zwłaszcza zaś na kanapie, na której siedzieli, było ciemno, ale przez duże okna padało na podłogę srebrzyste światło księżycy w pełni.

– Wiesz, myślę – rzekła Natasza szeptem, przysuwając się do Mikołaja i Soni, kiedy już Dimmler skończył i wciąż siedział, lekko przebierając palcami po strunach, widać niezdecydowany, czy przestać, czy zacząć grać co innego – że kiedy tak się wspomina i wspomina, to można się dowspominać do tego, że się pamięta i to nawet, co było przedtem, zanim byłam na świecie...

– To metempsychoza – rzekła Sonia, która zawsze się dobrze uczyła i wszystko pamiętała. – Egipcjanie wierzyli, że nasze dusze były w zwierzętach i znów wejdą w zwierzęta.

– Wiesz, ja nie wierzę w to, że byliśmy w zwierzętach – mówiła Natasza ciągle szeptem, choć muzyka już się skończyła. – A wiem na pewno, że gdzieś tam byliśmy aniołami i tu bywaliliśmy, i dlatego wszystko pamiętamy...

– Można się do was przyłączyć? – rzekł cicho Dimmler, który się był zbliżył, i przysiadł się do nich.

– Jeśli byliśmy aniołami, to za cóż spadliśmy niżej? – rzekł Mikołaj. – Nie, to niemożliwe!

– Nie niżej, kto ci powiedział, że niżej?... Skąd wiem, czym byłam przedtem? – z przekonaniem zaoponowała Natasza. – Przecie dusza jest nieśmiertelna... to znaczy, że jeśli będę żyć zawsze, to i przedtem żyłam, żyłam całą wieczność.

– Tak, ale trudno nam wyobrazić sobie wieczność – oświadczył Dimmler, który zbliżył się do młodych ludzi z uśmiechem dobrotliwie wzgardliwym, a teraz mówił równie cicho i poważnie, jak oni.

– Czemu trudno wyobrazić sobie wieczność? – zaczęła Natasza. – Dziś będzie, jutro będzie, zawsze będzie i wczoraj było, i onegdaj było...

– Natasza! teraz na ciebie kolej. Zaśpiewaj mi coś – dobiegł głos hrabiny. – Cóżecie to usiedli niby spiskowcy?

– Tak mi się nie chce, mamó! – odpowiedziała Natasza, ale jednocześnie wstała.

– Nikomu, nawet i niemłodemu Dimmlerowi, nie chciało się przerywać rozmowy i opuszczać kącika w bawialni, jednak Natasza wstała i Mikołaj usiadł do klawikordu. Natasza, jak zwykle stanąwszy na środku sali, wybrała najbardziej odpowiednie miejsce do rezonansu i zaczęła śpiewać ulubiony utwór matki.

Powiedziała, że nie chce się jej śpiewać, wszakże dawno przedtem i długo potem nie śpiewała tak, jak śpiewała owego wieczoru. Hrabia Ilia Andreicz z gabinetu, gdzie rozmawiał z Mitińką, przysłuchiwał się jej śpiewaniu; jak uczeń śpieszący się do zabawy kończy lekcję, tak hrabia plątał się w słowach dając polecenia rządcy i wreszcie umilkł; Mitińka również

śluchał i milcząc stał przed hrabią z uśmiechem. Mikołaj nie spuszczał oczu z siostry i razem z nią brał oddech. Sonia słuchając myślała, jaka ogromna jest różnica między nią a jej przyjaciółką i że niemożliwe, by w jakimkolwiek stopniu mogła być tak czarująca jak jej kuzynka. Stara hrabina siedziała ze szczęśliwym, ale smutnym uśmiechem, ze łzami w oczach, od czasu do czasu kiwając głową. Myślała i o Nataszy, i o swej młodości, i o tym, że w przyszłym małżeństwie Nataszy z księciem Andrzejem jest coś nienaturalnego i straszego.

Dimmler usiadł obok hrabiny i słuchał przymknąwszy oczy.

– Tak, pani hrabino – rzekł wreszcie – to talent na miarę europejską. Nie ma się po co uczyć tej miękkości, delikatności, siły...

– Ach, jak ja się o nią boję, jak się boję! – rzekła hrabina nie pamiętając, z kim mówi. Jej instynkt macierzyński powiadał jej, że Natasza ma w sobie czegoś za dużo i przez to nie będzie szczęśliwa. Natasza jeszcze nie skończyła śpiewać, kiedy do pokoju wpadł zachwycony czternastoletni Pietia i oznajmił, że przyszli przebierańcy.

Natasza nagle urwała.

– Głupcze! – wykrzyknęła na brata, podbiegła do krzesła, upadła na nie i rozszlochała się tak, że długo nie mogła się uspokoić.

– To nic, mamó, naprawdę nic, tylko Pietia mnie przestraszył – mówiła próbując się uśmiechnąć, ale łzy płynęły wciąż i szlochanie dławilo w gardle.

Poprzebierana czeladź dworska – niedźwiedzie, Turcy, karczarze, damy, wszyscy straszni a śmieszni, przynieśli ze sobą zamróz i radość, z początku nieśmiało cisnęli się w pokoju przyjąć, potem, chowając się jedni za drugich, wtoczyli się do salonu; z początku wstydliwie, a później coraz weselej i zgodniej zaczęły się pieśni, tańce, korowody i zabawy bożenarodzeniowe. Hrabina, kiedy rozpoznała przebierańców i pośmiała się z nich, poszła do bawialni. Hrabia Ilia Andreicz rozpromieniony siedział w salonie i zachęcał przebierańców. Młodzież gdzieś zniknęła.

Po upływie pół godziny w salonie wśród innych przebierańców zjawiała się jeszcze stara dama w krynolinie – był to Mikołaj. Turczynką był Pietia, pajacem – Dimmler, huzarem – Natasza i Czerkiesem – Sonia, z narysowanymi korkiem wąsami i brwiami.

Z pobłażliwego zdziwienia, niepoznawania i pochwał osób nie przebranych młodzi ludzie doszli do wniosku, że ich kostiumy są tak ładne, iż trzeba by było jeszcze komuś je pokazać.

Mikołaj, który miał ochotę przewieźć wszystkich swą trójką po wspaniałej drodze sannej, zaproponował, by wziąć ze sobą dziesięć osób spośród przebranej czeladzi i pojechać do wujaszka.

– O nie, narobicie staruszkowi zamętu! – orzekła hrabina. – Zresztą, u niego nie ma gdzie się obrócić. Jeśli już jechać, to do Mieluków.

Była to wdowa z dziećmi w różnym wieku, również z guwernantkami i guwernerami; mieszkała o cztery wiorsty od Rostowów.

– To mądrze, *ma chére* – podchwycił rozochocony stary hrabia. – Zaraz i ja się przebiorę i pojedę z wami. Już ja rozruszam Paszetkę.

Wszelako hrabina nie zgodziła się puścić hrabiego: w ostatnich dniach bolała go noga. Zdecydowano, że Ilia Andreicz jechać nie może, ale jeśli Luiza Iwanowna (m-me Schoss) pojedzie, to i panienki będą mogły pojechać do Mieluków. Sonia, zawsze nieśmiała i wstydliva, natarczywiej niż inni jęła prosić Luizę Iwanownę, żeby im nie odmawiała.

Przebranie Soni było najlepsze. Z wąsami i brwiami było jej niezwykle do twarzy. Wszyscy mówili, że jest bardzo ładna, ona zaś znajdowała się w stanie niezwykłej jak na nią energii i ożywienia. Jakiś głos wewnętrzny mówił jej, że los jej rozstrzygnie się dziś albo nigdy, a w swoim męskim odzieniu Sonia zdawała się zupełnie innym człowiekiem. Luiza Iwanowna zgodziła się, toteż po upływie pół godziny cztery trójki, z dzwoneczkami i brzękadełkami skrzypiąc i świszcząc płozami po zmarzniętym śniegu, zajęchały przed ganek.

Natasza pierwsza nadała ton zapustnej wesołości, a ta wesołość odbijając się od jednego do drugiego potęgowała się coraz bardziej i osiągnęła punkt szczytowy, kiedy wszyscy wyszli na mróz i wśród rozmów i nawoływań, ze śmiechem i krzykiem rozsiedli się w saniach.

Dwie trójki były cugowe, trzecia trójka starego hrabiego z orłowskim kłusakiem w dyszlu; czwarta – własna trójka Mikołaja z niziutkim, wronym, kosmatym dyszlowym. Mikołaj zebrawszy lejce stał na środku sań w swym stroju starej damy, na który nałożył płaszcz huzarski z pasem.

Było tak jasno, że widział połyskujące w świetle księżyca rzędy i oczy koni, które ze strachem oglądały się na orszak hałasujący pod ciemnym daszkiem podjazdu.

Do sań Mikołaja wsiadły Natasza, Sonia, m-me Schoss i dwie dziewczyny. Do sań starego hrabiego wsiadli Dimmler z żoną i Pietia; w pozostałych rozsiadła się przebrana czeladź dworska.

– Jedź przodem, Zachar! – krzyknął Mikołaj do stangreta ojca, żeby mieć okazję do przegonienia go na drodze.

Trójka starego hrabiego, do której wsiadł Dimmler oraz inni przebrani, skrzypiąc płozami, jak gdyby przymarzała do śniegu, ruszyła naprzód z mocnym pobrzękiwaniem dzwonka. Przyprężne napierały na hołoble, grzęzły i wyrzucały śnieg, twardy i błyszczący jak cukier.

Mikołaj ruszył za pierwszą trójką, z tyłu z hałasem i zgrzytem poszła reszta. Z początku, na wąskiej drodze, jechali drobnym kłusem. Kiedy przejeżdżali obok sadu, cienie obnażonych drzew często kładły się w poprzek drogi i zasłaniały jasne światło księżyca, ale gdy tylko wyjechali za ogrodzenie, rozwarła się ze wszystkich stron równina śnieżna, z diamentowym o modrawym odcieniu pobłyskiem, cała oblana blaskiem księżycowym, nieruchoma. Pierwsze sanie potknęły się na wyboju; zupełnie tak samo podrzuciło następne i jeszcze następne; sanie, naruszając zuchwale mroźną ciszę, wyciągnęły się sznurem jedne za drugimi.

– Ślad zajęczy, dużo śladów! – rozległ się w skutym mrozem powietrzu głos Mikołaja.

– Nicolas, jak widno! – powiedział głos Soni. Mikołaj obejrzał się na Sonię i pochylił się, żeby z bliska przyjrzeć się jej twarzy. W księżycowym świetle wyglądała z soboli – bliska i daleka – jakaś zupełnie inna, miła twarz z czarnymi brwiami i wąsami.

„Przedtem to była Sonia” – pomyślał Mikołaj. Przyjrzał się z bliska i uśmiechnął się.

– Nicolas, co to?

– Nic – odpowiedział i znów odwrócił się do koni. Kiedy wyjechali na przetarty trakt, wyglansowany płozami i cały pocięty śladami haceli, widocznymi w świetle księżyca, konie same z siebie jeły naciągać szleje i przyśpieszać biegu. Lewy przyprężny pochylił głowę i w podskokach szarpał szory. Dyszlowy kołysał się, strzygł uszami, jak gdyby zapytywał: „Zaczynać czy jeszcze za wcześniej?” Czarna trójka Zachara, której dzwonki z wolna cichły w oddali, widniała wyraźnie na białym śniegu. Z tych sań dolatywały pokrzykiwania, śmiech i głosy przebierańców.

– No, najmilsze! – krzyknął Mikołaj podrywając lejce z jednej strony i unosząc rękę z batem. I tylko po wzmagającym się, dmącym jak gdyby naprzeciw wietrze i po szarpaniu wciąż szybciej biegnących przyprężnych było widać, jak bystro poleciała trójka. Mikołaj obejrzał się za siebie. Inne trójki z krzykiem i piskiem, wywijając batem i zmuszając dyszlowe do pędu, podążały za nimi. Dyszlowy wytrwale kołysał się pod hołoblą, ani myślał folgować, ba, nawet obiecywał jeszcze przyśpieszyć, gdy zajdzie potrzeba.

Mikołaj dogonił pierwszą trójkę. Zjechali z jakiejś górki, wjechali na szeroko wyjeżdżoną drogę na łące koło rzeki.

„Którędy my jedziemy? – pomyślał Mikołaj. – Chyba po Kosej Łące. Ależ to jest coś nowego, czego nigdy nie widział. To nie Kosa Łąka i nie góra Diemkina, Bóg raczy wiedzieć, co to takiego! To coś nowego, jakieś czary. No, było nie było!” I krzyknawszy na konie jął przeganiać pierwszą trójkę.

Zachar ściągnął konie i odwrócił twarz już osędziałą aż do brwi.

Mikołaj puścił konie galopem; Zachar wyciągnął ręce przed siebie, cmoknął i pognął swoje.

– Ano, trzymaj się, paniczu – rzekł. Trójki poleciały obok siebie jeszcze prędzej i jeszcze prędzej, migały nogi cwałujących koni. Mikołaj jął wysuwać się naprzód. Zachar, nie zmieniając pozycji wyciągniętych rąk, uniósł jedną rękę z lejcami.

– Przechwalasz się, paniczu – krzyknął do Mikołaja. Mikołaj puścił w cwał wszystkie konie i przegonił Zachara. Konie zasypały twarz jadących drobnym, suchym śniegiem, obok dźwięczały rzędy końskie i dzwoneczki i mieszały się w pędzie nogi końskie i cienie prześciganey trójki. Z różnych stron słychać było zgrzyt płóz po śniegu i kobiece piski.

Mikołaj, znów wstrzymawszy konie, rozejrzał się dokoła: była wciąż ta sama zaczarowana równina, przesycona na wskroś księżycowym światłem i te same rozsypane po niej gwiazdy.

„Zachar woła, żebym wziął w lewo, a czemu na lewo? – myślał Mikołaj. – Czy to my do Mielukowów jedziemy, czy to Mielukowka? Bóg wie, dokąd jedziemy, i Bóg wie, co się z nami dzieje – ale to bardzo dziwne i piękne, co się z nami dzieje”. Obejrzał się na sanie.

– Patrz, i wąsy, i rzęsy, wszystko ma białe – rzekł jeden z dziwacznych, ładnych, obcych ludzi z cienkimi wąsami i brwiami.

„To, zdaje się, Natasza – pomyślał Mikołaj – a to m-me Schoss; a może i nie?... ten Czerkies z wąsami – nie wiem, co za jeden, ale ją kocham”.

– Czy wam nie zimno? – zapytał. Nie odpowiedziały i roześmiały się. Dimmler wołał z tylnych sań prawdopodobnie coś śmiesznego, ale nie można było dosłyszeć co.

– Tak, tak – odpowiadały roześmiane głosy. Ale oto jakiś zaczarowany las z przelewającymi się czarnymi cieniami i brylantowymi pajetkami, i z jakąś amfiladą marmurowych stopni, i z jakimiś srebrzystymi dachami zaczarowanych budowli, i z przeszywającym skowytym jakichś zwierząt. „A jeśli to naprawdę Mielukowka, to tym bardziej jest dziwne, że jechaliśmy Bóg wie dokąd, a przyjechaliśmy do Mielukowki” – myślał Mikołaj.

Istotnie, była to Mielukowka i na podjazd wybiegły z rozradowanymi twarzami dziewczki i lokaje ze świecami.

– Co to za jedni? – zapytywano z podjazdu.

– Hrabskie maskary, po koniach poznaję – odpowiadały głosy.



## XI

Pelagia Daniłowna Mielukow, rozłożysta, energiczna kobieta, w okularach i rozpiętym szlafroku, siedziała w bawialni otoczona córkami, które starała się uchronić od nudy. Spokojnie lały wosk i patrzyły na cienie układających się figur, kiedy w sieni rozległy się kroki i głosy przybyłych.

Huzarzy, damy, więdźmy, pajace, niedźwiedzie pokasłując w sieni, ocierali osędziące od mrozu twarze i wchodzili do salonu, gdzie pędźpiesznie zapalano świecę. Pajac-Dimmler z damą-Mikołajem rozpoczęli tańce. Przebierańcy, otoczeni krzyczącymi dziećmi, zasłaniając twarze i zmieniając głosy, kłaniali się pani domu i ustawiali w pokoju.

– Ach, nie do poznania! A to Natasza! Patrzcie no, do kogo ona jest podobna! Rzeczywiście, przypomina kogoś. Edward Karlycz jest doskonały! Nie poznałam. A jak tańczy. Ach, święci Pańscy, jakiś Czerkies! Sonieczce jest bardzo do twarzy. A to kto? A toście mnie rozweselili! Nikita, Wania, nakrywajcie do stołu. A myśmy sobie tak siedziały.

– Cha! cha! cha!... Huzar, to huzar! Jak chłopak, a nogi!... Nie widzę... – rozległy się głosy.

Natasza, ulubienica młodych Mielukowien, razem z nimi zniknęła w dalszych pokojach, dokąd zażądano korka i różnych szlafroków oraz strojów męskich, które przez otwarte drzwi odbierały od lokaja obnażone ręce panien. Po dziesięciu minutach wszystka młodzież rodziny Mielukowów przyłączyła się do przebierańców.

Pelagia Daniłowna, poleciwszy przygotować pokoje dla gości oraz poczęstunek dla państwa i czeladzi, powstrzymując uśmiech chodziła wśród przebranych w okularach, z bliska zaglądała im w twarze, nikogo nie poznając. Nie poznawała nie tylko Rostowów i Dimmlera, ale i w żaden sposób nie mogła poznać swych córek ani męzowskich szlafroków i mundurów, które miały na sobie.

– A ta czyja będzie? – mówiła zwracając się do guwernantki i patrząc w twarz swej córki, przebranej za kazańskiego Tatara. – Zdaje się, że to chyba ktoś z Rostowów. No, a pan, panie huzarze, w jakim pułku służysz? – dopytywała się Nataszy. – Turczynce, Turczynce podaj galaretkę – mówiła do obnoszącego kredencera – ich religia tego nie zabrania.

Niekiedy patrząc na dziwne, ale śmieszne *pas* wykonywane przez tańczących, którzy zdecydowali raz na zawsze, że są przebrani, że nikt ich nie poznaje i dlatego nie muszą się krępować, Pelagia Daniłowna zasłaniała się chusteczką, a jej otyłe ciało trzęsło się od niepowstrzymanego pocziwego starczego śmiechu.

– Moja Saszynetka! To Saszynetka! – mówiła. Po rosyjskich tańcach i korowodach Pelagia Daniłowna zebrała wszystką czeladź i państwo razem, w krąg, przyniesiono obrączkę, sznurek i rubelka i zaczęła się ogólna zabawa.

Po godzinie wszystkie kostiumy były zmięte i rozwichrzzone. Namalowane korkiem wąsy i brwi rozmazały się na zgrzanych, rozpalonych i wesołych twarzach. Pelagia Daniłowna zaczęła rozpoznawać przebranych, zachwycać się, że kostiumy były tak dobrze zrobione, że zwłaszcza pannom tak było w nich do twarzy, i dziękowała wszystkim, że ją tak rozweselili. Gości, zaproszono na kolację do bawialni, a w salonie przygotowano poczęstunek dla czeladzi.

– No, w łaźni wróżyć to dopiero strach! – mówiła podczas kolacji stara panna, rezydująca u Mielukowów.

– Dlaczego? – zapytała najstarsza córka Mielukowej.

– Ale panienska nie pójdzie, na to trzeba odwagi...

– A ja pójdę – oświadczyła Sonia.

– Proszę powiedzieć, co się zdarzyło jednej pannie – rzekła średnia Mielukowa.

– Ano, poszła jedna panna, wzięła koguta, dwa nakrycia, jak trzeba – mówiła stara panna.

– Posiedziała, a tu nagle słyszy, że jedzie... z dzwoneczkami, z brzękadełkami zajechały sannie. Wchodzi całkiem w postaci ludzkiej, niby jako oficer, przyszedł i usiadł obok niej przed nakryciem.

– A! A!... – wykrzyknęła Natasza wybałuszywszy oczy z przerażeniem.

– A jakże to on mówił?

– Ale, zupełnie jak człowiek, wszystko jak należy, i zaczął ją namawiać, że ona powinna go była zająć rozmową aż do pierwszych kurów, ale się załękła, załękła i zakryła twarz rękami. Wtedy ją porwał. Dobrze, iż akurat przybiegły dziewczki...

– Po co je straszyć! – odezwała się Pelagia Daniłowna.

– Mamo, przecie i mama wróżyła... – rzekła córka.

– A jak się wróży w spichrzu? – zapytała Sonia.

– Ano, choćby jak teraz, idą do spichrza i słuchają. Niby co się usłyszeli: przybija, stuka – to niedobrze, a jeśli przesypuje ziarno – to dobrze, a zdarza się...

– Mamo, proszę opowiedzieć, co się mamie zdarzyło w spichrzu!

Pelagia Daniłowna uśmiechnęła się.

– Jużem zapomniała... – odpowiedziała. – Przecie żadna z was nie pójdzie?

– Nie, ja pójdę, Pelagio Daniłowno, proszę mi pozwolić, ja pójdę – rzekła Sonia.

– No cóż, skoro się nie boisz, to idź.

– Luizo Iwanowno, czy mogę iść? – zapytała Sonia. Czy to podczas gry w obrączkę, sznurerek, rubelka, czy podczas rozmowy, jak teraz, Mikołaj nie odstępował Soni i patrzył na nią zupełnie innymi oczyma. Wydawało mu się, że dopiero dziś po raz pierwszy całkowicie ją poznał, dzięki tym korkowym wąsom. Istotnie, tego wieczora Sonia była wesoła, ożywiona i ładna, takiej Mikołaj jeszcze nie widział.

„A więc ona jest taka, a ze mnie głupiec!” – myślał patrząc na jej błyszczące oczy i na szczęśliwy, pełen zachwytu uśmiech spod wąsów, od którego powstawały dołki w policzkach, uśmiech, którego przedtem nie widział.

– Ja niczego się nie boję – powiedziała Sonia. – Czy można zaraz? – wstała. Powiedziano jej, gdzie spichlerz, że ma stać w milczeniu i słuchać, podano jej futerko. Zarzuciła je sobie na głowę i spojrzała na Mikołaja.

„Jaka to zachwycająca dziewczyna! – pomyślał. – O czym ja dotąd myślałem!”

Sonia wyszła do sieni, żeby iść do spichrza. Mikołaj pobiegł spiesznie na frontowy ganek, powiadając, że mu gorąco. Istotnie, w domu było duszno od natłoku ludzi.

Na dworze było tak samo cicho i mroźno, ten sam księżyc, tylko było jeszcze widniej. Światło było tak silne, a na śniegu tyle gwiazd, że w niebo nie chciało się patrzeć, zresztą nie można było dostrzec prawdziwych gwiazd. Na niebie było czarno i smutno, a na ziemi było wesoło.

„Głupiec ze mnie, głupiec! Na com czekał do tej pory?” – pomyślał Mikołaj i zbiegłszy z ganku skręcił za węgiel na ścieżkę prowadzącą do ganku kuchennego. Wiedział, że Sonia przejdzie tędy. W połowie drogi stały ułożone sęgi drzewa, leżał na nich śnieg i padał stąd cień; między nimi i z boku padały na śnieg i dróżkę krzyżujące się cienie starych, bezlistnych lip. Dróżka prowadziła do spichrza. Belkowa ściana spichrza i dach pokryty śniegiem lśniły w księżycowym świetle niby wyrzeźbione z jakiegoś drogocennego kamienia. W sadzie trza-

snęło drzewo i znów wszystko przycichło. Zdawało się, że pierś nie oddycha powietrzem, lecz jakąś wiecznie młodą siłą i radością.

Po stopniach kuchennego ganku zastukały nogi, na ostatnim, zaśnieżonym, skrzypnęły dźwięcznie, a głos starej panny mówił:

– Prosto, prosto tą dróżką, panienko. Tylko się nie oglądać!

– Ja się nie boję – odpowiedział głos Soni i po dróżce w kierunku Mikołaja zaskrzypiały, zapiszczały nóżki Soni w cieniutkich trzewiczkach.

Sonia szła opatulona szubką. Była już o dwa kroki, kiedy go ujrzała; zobaczyła go również nie takim, jakim go знаła i jakiego zawsze trochę się bała. Był w damskiej sukni, włosy miał zmierzwione, a uśmiech szczęśliwy i dla Soni nowy. Sonia prędko podbiegła do niego.

„Zupełnie inna, a przecie ta sama” – myślał Mikołaj patrząc na jej twarz oświetloną blaskiem księżyca. Wsunął ręce pod futerko, okrywające jej głowę, objął, przycisnął do siebie i pocałował w usta, nad którymi były wąsy i które pachniały przypalonym korkiem. Sonia pocałowała go w sam środek ust i, wyciągnąwszy małe rączki, z obu stron ujęła go za policzki.

„Sonia!...” „Nicolas!...” – powiedzieli tylko. Podbiegli do spichrza i wrócili każde przez inny ganek.

## XII

Kiedy wszyscy wracali od Pelagii Daniłowny, Natasza, która zawsze wszystko spostrzeżała i widziała, pokierowała tak, że Luiza Iwanowna i ona wsiadły do sań z Dimmlerem, a Sonia razem z Mikołajem i dziewczętami.

Mikołaj już się nie ścigał, jechał w drodze powrotnej miarowo i w tym dziwnym blasku księżycowym wpatrując się wciąż w Sonię, odnajdywał w tym zmiennym świetle, pod brwiami i wąsami tę dawniejszą i obecną Sonię, z którą postanowił nigdy się nie rozłączać. Wpatrywał się, a gdy poznał tę i tamtą i przypomniał sobie ów zapach korka, zmieszany z wrażeniem pocałunku, pełną piersią wciągał mroźne powietrze i, patrząc na umykającą ziemię i lśniące niebo, znów czuł się w zaczarowanym królestwie.

– Soniu, dobrze ci? – pytał od czasu do czasu.

– Tak – odpowiadała Sonia. – A tobie?

W połowie drogi Mikołaj powierzył konie stangretowi, pobiegł do sań Nataszy i przez chwilę stał na płozie.

– Natasza – rzekł do niej szeptem po francusku – wiesz, zdecydowałem się co do Soni.

– Powiedziałeś jej? – zapytała Natasza rozjaśniona nagle radością.

– Ach, Natasza, jakaś ty dziwna z tymi wąsami i brwiami. Cieszysz się?

– Tak się cieszę, tak się cieszę! Już byłam na ciebie zła. Nie mówiłam ci tego, aleś brzydko z nią postępował. A to takie serce! Nicolas, strasznie się cieszę! Bywam czasem podła, ale wstydziałam się być szczęśliwa sama, bez Soni – ciągnęła Natasza. – Teraz takam rada, biegnij do niej.

– Zaraz, poczekaj, ach jakaś ty śmieszna! – rzekł Mikołaj ciągle się w nią wpatrując; znajdował w siostrze również coś nowego, niezwykłego i coś czarująco delikatnego, czego przedtem w niej nie widział. – Natasza, to chyba jakieś czary?

– Tak – odpowiedziała. – Postąpiłeś ładnie. „Gdybym przedtem ją widział taką, jaka jest teraz – myślał Mikołaj – już bym dawno spytał, co zrobić, a zrobiłbym wszystko, cokolwiek by mi kazała, i wszystko byłoby dobrze”.

– Więc jesteś rada, a ja dobrze zrobiłem?

– Ach, jak dobrze! Niedawno pokłóciłam się o to z mamą. Mama powiedziała, że ona na ciebie poluje. Jak można coś podobnego mówić! O mało się z mamą nie pokłóciłyśmy. Nigdy nikomu nie pozwolę powiedzieć i pomyśleć o niej nic złego, bo to jest sama dobroć.

– Więc dobrze? – powiedział Mikołaj, jeszcze raz popatrzył na siostrę, żeby wiedzieć, czy to prawda, skrzypiąc butami zeskoczył z płozy i pobiegł do swych sań. Siedział tam wciąż ów szczęśliwy, uśmiechnięty Czerkies, spoglądający spod sobolowego kaptura błyszczącymi oczami, a tym Czerkiesem była Sonia i ta Sonia była z całą pewnością jego przyszłą szczęśliwą i kochającą żoną.

Przyjechawszy do domu i opowiedziawszy matce, jak spędzono wieczór u Mielukowów, panny poszły do siebie. Rozebrały się, ale nie ścierając korkowych wąsów długo siedziały i rozmawiały o swym szczęściu. Mówiły o tym, jak będą mężatkami, jak ich mężowie będą się przyjaźnić i jakie one będą szczęśliwe. Na stole Nataszy stały lustra, z wieczora już przygotowane przez Duniaszę.

– Ale kiedy to wszystko będzie? Boję się, że nigdy... To byłoby zbyt piękne! – rzekła Natasza wstając i podchodząc do luster.

– Siadaj, Nataszo, może go zobaczysz – rzekła Sonia. Natasza zapaliła świece i usiadła.

– Widzę jakiegoś z wąsami – rzekła Natasza widząc swą twarz.

– Nie trzeba się śmiać, panienko – powiedziała Duniasza.

Przy pomocy Soni i pokojówki Natasza odpowiednio ustawiła lustro; twarz jej przyobkleła powaga; milczała. Długo siedziała patrząc na rząd umykających świec w lustrach, to sądząc (zgodnie z zasłyszczanymi opowieściami), że ujrzy tam trumnę, to że w ostatnim stapiającym się mętym kwadracie zobaczy jego, księcia Andrzeja. Ale choć była gotowa najmniejszą płamkę wziąć za wizerunek człowieka albo trumny, nic nie widziała. Jęła szybko mrugać oczyma i odeszła od lustra.

– Czemu inne widzą, a ja nic nie widzę? – rzekła.

– No, Soniu, teraz ty siadaj; dziś musisz koniecznie – oświadczyła. – Ale ty za mnie. Tak mi dziś straszno!

Sonia usiadła przed lustrem, nastawiła je i zaczęła patrzeć.

– Sofia Aleksandrowna na pewno zobaczy – rzekła szeptem Duniasza – bo panienka to wciąż się śmieje.

Sonia słyszała te słowa i słyszała, jak Natasza odpowiedziała szeptem:

– I ja wiem, że zobaczy: ona i w zeszłym roku widziała. Ze trzy minuty milczały. „Na pewno!” – wyszeptła

Natasza i nie dokończyła... Sonia odsunęła nagle lustro, które trzymała, i zasłoniła oczy ręką.

– Ach, Nataszo! – powiedziała.

– Widziałaś! Widziałaś! Coś widziała? – wykrzyknęła Natasza podtrzymując lustro.

Sonia nic nie widziała, chciała właśnie zamrugać oczami i wstać, kiedy usłyszała głos Nataszy mówiącej „na pewno”... Nie chciała oszukać ani Duniaszy, ani Nataszy, więc przykro jej było siedzieć. Sama nie wiedziała, jak i dlaczego wyrwał się jej okrzyk, kiedy zasłoniła oczy.

– Widziałaś go? – zapytała Natasza chwytając ją za rękę.

– Tak. Poczekaj... ja... go widziałam – rzekła Sonia mimo woli, nie wiedząc jeszcze, kogo Natasza miała na myśli: jego – Mikołaja, czy jego – Andrzeja?

„Czemu by jednak nie powiedzieć, że widziała? Przecie inne widzą! I któż mi może udowodnić, czym widziała, czym nie widziała?” – przemknęło Soni przez głowę.

– Tak, widziałam go – oświadczyła.

– Jak? Jak? Stoi czy leży?

– Nie widziałam... Nic nie było, a tu nagle widzę, że leży.

– Andrzej leży? Chory? – dopytywała się Natasza przyjaciółki patrząc w nią oczyma zniechęconymi ze strachu.

– Nie, przeciwnie, przeciwnie, twarz wesoła, zwrócił się do mnie – w tej chwili, gdy to mówiła, zdawało się jej, że widziała to, o czym mówi.

– A potem co? Soniu?

– Nie mogłam dostrzec, coś granatowego i czerwonego...

– Soniu! kiedy on wróci? Kiedy go zobaczę! Mój Boże, tak się lękam o niego i o siebie i tak mi straszno... – powiedziała Natasza i nie odpowiadając ani słowem na pocieszające słowa Soni, położyła się do łóżka i długo po zgaszeniu świcy leżała nieruchomo z otwartymi oczami i patrzyła przez zamarznęte okna na mroźne światło księżyca.

### XIII

Wkrótce po świętach Mikołaj oznajmił matce o swej miłości do Soni i o stanowczym zamiarze ożenienia się z nią. Hrabina, która już dawno zauważyła, co się działo między Sonią a Mikołajem, i spodziewała się tej rozmowy, wysłuchiwała słów syna w milczeniu i powiedziała mu, że może się żenić, z kim mu się podoba; ale ani ona, ani ojciec nie dadzą mu błogosławieństwa. Po raz pierwszy Mikołaj poczuł, że matka jest z niego niezadowolona, że nie ustąpi mu mimo całej miłości do niego. Nie patrząc na syna, posłała po męża; a gdy przyszedł, chciała krótko, oziębłe, w obecności Mikołaja oznajmić mu, o co chodzi, ale nie wytrzymała; rozplakała się łzami gniewu i wyszła z pokoju. Stary hrabia jął niepewnie przemawiać synowi do sumienia i prosić go, by zaniechał swego zamiaru. Mikołaj odpowiedział, że nie może nie dotrzymać słowa, ojciec zaś westchnął i najwyraźniej zmieszany, nader szybko urwał swe przemówienie i poszedł do hrabiny. Przy każdej kolizji z synem nie opuszczało hrabiego poczucie winy za zły stan interesów i dlatego nie mógł się na niego gniewać o to, że odmawia ożenku z bogatą panną i wybiera nieposażną Sonię; żywiej tylko w tym wypadku odczuł, że gdyby interesy nie były w tak złym stanie, nie można by pragnąć dla Mikołaja lepszej żony niż Sonia; że winę za zły stan majątku ponosi tylko on razem ze swoim Mitińką i swymi niepoahamowanymi przyzwyczajeniami.

Ojciec i matka już nie rozmawiali z synem o tej sprawie, wszakże w kilka dni potem hrabina wezwała do siebie Sonię i z okrucieństwem, jakiego się nie spodziewała ani jedna, ani druga, wyrzucała krewniaczkę kokieterię wobec Mikołaja i niewdzięczność. Sonia w milczeniu, ze spuszczonej oczyma, słuchała ostrych słów hrabiny i nie rozumiała, czego od niej chcą. Wszystko gotowa była poświęcić dla swych dobroczyńców. Myśl, by się poświęcić, była jej ulubioną myślą; przecie w tym wypadku nie mogła pojąć, komu i z czego ma zrobić ofiarę. Nie mogła nie kochać hrabiny i całej rodziny Rostowów, ale też nie mogła nie kochać Mikołaja i nie wiedzieć, że jego szczęście zależy od tej miłości. Była milcząca, smutna i nie odpowiadała. Mikołaj nie mógł, jak mu się zdawało, znieść dłużej takiej sytuacji i poszedł porozumieć się z matką. To błagał matkę, by przebaczyła jemu i Soni i zgodziła się na ich małżeństwo, to znów groził, że jeśli będą Sonię prześladować, wówczas natychmiast ożeni się z nią potajemnie.

Hrabina z oziębłością, jakiej syn nigdy jeszcze nie widział, odpowiedziała mu, że jest pełnoletni, że książe Andrzej żeni się bez zgody ojca, więc i on może zrobić to samo, ale ona nigdy nie uzna tej intrygantki za swą córkę.

Mikołaj, wzburzony słowem intrygantka, podniesionym głosem powiedział matce, że nigdy nie sądził, że będzie go zmuszała do kupczenia własnym uczuciem, a skoro tak, to on po raz ostatni mówi... Nie zdążył przecie wypowiedzieć tego decydującego słowa, którego, sądząc z wyrazu jego twarzy, matka oczekiwała z przerażeniem, a które może by pozostało na zawsze między nimi jako okrutne wspomnienie. Nie zdążył wypowiedzieć, ponieważ Natasza z twarzą bladą, poważną otworzyła drzwi, pod którymi podsluchiwała, i weszła do pokoju.

– Nikoleńka, mówisz głupstwa, milcz, milcz! Powiadam ci, milcz! – krzyczała niemal, żeby zagłuszyć jego głos.

– Mamo kochana, to wcale nie dlatego... biedactwo moje – zwracała się do matki, która czując, że stoi na progu zerwania, patrzyła na syna z przestachem, ale przez upór i pasję wal-ki nie chciała i nie mogła się poddać.

– Nikoleńka, ja ci wytłumaczę, idź. Mamo, serce, posłuchaj – mówiła do matki.

Słowa jej były bezmyślne, ale osiągnęły cel, do którego dążyła.

Hrabina z głośnym szlochem ukryła twarz na piersiach córki, a Mikołaj wstał, chwycił się za głowę i wyszedł z pokoju.

Natasza zabrała się do sprawy pojednania i doprowadziła do tego, że Mikołaj otrzymał przyrzeczenie matki, iż nikt nie będzie Soni gnębić, on zaś przyrzekł, że nie podejmie żadnej decyzji w tajemnicy przed rodzicami.

Postanowiwszy solennie, że po załatwieniu swych spraw w pułku poda się do dymisji, wróci i ożeni się z Sonią, Mikołaj smutny i poważny, skłócony z rodziną, ale, jak mu się zda-owało, namiętnie zakochany, na początku stycznia wyjechał do pułku.

Po wyjeździe Mikołaja w domu Rostowów zrobiło się jeszcze smutniej niż kiedykolwiek. Hrabina rozchorowała się ze zgryzoty.

Sonia była smutna i z powodu rozłąki z Mikołajem, i zwłaszcza z powodu owego nieprzy-jemnego tonu, jakim hrabina nie mogła się do niej nie zwracać. Hrabia bardziej niż kiedykol-wiek był zafrasowany złym stanem interesów, wymagającym jakichś stanowczych decyzji. Koniecznie należało sprzedać dom w Moskwie i posiadłość podmoskiewską, ale by sprzedać dom, trzeba było jechać do Moskwy. Tymczasem zdrowie hrabiny zmuszało do odkładania wyjazdu z dnia na dzień.

Natasza, która w pierwszym okresie łatwo, a nawet wesoło znosiła rozłąkę z narzeczoną, teraz z każdym dniem była coraz bardziej wzburzona i niecierpliwa. Myśl, że tak daremnie, dla nikogo marnuje się jej najlepszy wiek, który by mogła zużyć na okazanie mu swojej mił-ości, nękała ją nieodstępnie. Jego listy przeważnie ją gniewały. Z urazą myślała, że gdy ona żyje tylko myślą o nim, on żyje prawdziwym życiem, ogląda nowe miejscowości, nowych ludzi, którzy go interesują. Im bardziej zajmujące były jego listy, tym bardziej ją gniewały. Jej listy do niego nie tylko nie były dla niej pociechą, ale wydawały się jej nudnym i fałszy-wym obowiązkiem. Nie umiała pisać, ponieważ nie mogła osiągnąć umiejętności wyrażenia w piśmie choć tysięcznej części tego, co zwykła wyrażać głosem, uśmiechem i spojrzeniem. Pisała do niego klasycznie monotonne, oschłe listy, do których nie przywiązywała żadnego znaczenia, w brulionach tych listów hrabina poprawiała jej błędy ortograficzne.

Zdrowie hrabiny ciągle się nie poprawiało; lecz już nie można było dłużej zwlekać z wy-jazdem do Moskwy. Trzeba było przygotować wyprawę dla Nataszy, trzeba było sprzedać dom, a w dodatku spodziewano się, że książę Andrzej przyjedzie najpierw do Moskwy, gdzie obecnie spędzał zimę książę Mikołaj Andreicz.

Natasza była przeświadczona, że książę Andrzej już przyjechał.

Hrabina została na wsi, hrabia zaś, wzięwszy ze sobą Sonię i Nataszę, pojechał w końcu stycznia do Moskwy.

## CZEŚĆ PIĄTA



## I

Po zaręczynach księcia Andrzeja z Nataszą Pierre poczuł nagle bez żadnej widocznej przyczyny, że nie może prowadzić dawnego życia. Chociaż był absolutnie przeświadczony co do prawd objawionych mu przez jego dobroczyńcę, chociaż ów pierwszy okres, gdy go pochłaniała praca nad doskonaleniem się wewnętrznym, której się poświęcił z takim żarem, był dlań radosny, jednak po zrękowinach księcia Andrzeja z Nataszą i po śmierci Józefa Aleksiejewicza, o której otrzymał wiadomość niemal w tym samym czasie – cały powab dawnego życia nagle zniknął dla niego. Pozostał jedyny trzon życia: dom ze świetną żoną, cieszącą się obecnie względami pewnej ważnej osobistości, znajomość z całym Petersburgiem i urząd z nudnymi formalnościami. I z nagłą owo poprzednie życie stanęło przed Pierre'em w całej nieoczekiwanej ohydzie. Przestał prowadzić dziennik, unikał towarzystwa braci, znów zaczął bywać w klubie, znów zaczął dużo pić, znów zbliżył się do kompanii kawalerskich i jął prowadzić taki tryb życia, że hrabina Helena Wasiliewna uznała za konieczne surowo go upomnieć. Pierre czuł, że ona ma rację, toteż aby nie kompromitować żony, wyjechał do Moskwy.

W Moskwie – gdy tylko zajechał do swego olbrzymiego domu ze zwiędłymi i wędzącymi księżniczkami, z mnóstwem służby, gdy tylko ujrzał przejeżdżając przez miasto ową Iwerską kaplicę z niezliczonymi światłami świec przed złożonymi obrazami, ten plac kremlowski z nie rozjeżdżonym śniegiem, tych dorożkarzy i lepianki na Siwcowym Wrażku, gdy ujrzał staruszków moskiewskich, którzy – niczego nie pragnąc i nigdzie się nie spiesząc – kończą swój żywot, gdy ujrzał staruszki, moskiewskie damy, moskiewskie bale i moskiewski Klub Angielski – poczuł, że jest u siebie w domu, w cichej przystani. Było mu w Moskwie spokojnie, ciepło, swojsko i niechlujnie, jak w starym szlafroku.

Całe towarzystwo moskiewskie, począwszy od staruszek, a skończywszy na dzieciach, przyjęło Pierre'a jak dawno oczekiwanego gościa, na którego zawsze czekało miejsce przez nikogo nie zajęte. Dla świata moskiewskiego Pierre był najmilszym, najlepszym, najmądrzejszym, najweselszym, najbardziej wspaniałomyślnym dziwakiem, roztargnionym a serdecznym wielmożą rosyjskim starej daty. Sakiewka jego zawsze była pusta, gdyż dla wszystkich była otwarta.

Benefisy, szpetne obrazy, posągi, towarzystwa dobroczynne, Cyganie, szkoły, składkowe obiady, hulanki, masoni, cerkwie, książki – nic i nikt nie spotykał się z odmową, toteż gdyby nie dwaj przyjaciele, którzy pożyczyci od niego mnóstwo pieniędzy i wzięli go pod swoją opiekę, wszystko by rozdał. Żaden obiad w klubie ani wieczór nie obeszły się bez niego. Jak tylko zwał się na swoje miejsce, na kanapę, po dwóch butelkach margaux, od razu otaczali go ludzie, wywiązywały się dyskusje, spory, żarty. Gdy powstawała sprzeczka, godził swym pocziwym uśmiechem i jednym celnie powiedzianym żartem. Masońskie loże bankietowe były nudne i ospałe, gdy jego brakło.

Kiedy po kolacji w kawalerskim gronie Pierre, z pocziwym i słodkim uśmiechem, ulegając prośbom wesolej kompanii, wstawał, by jechać z nimi, wśród młodzieży rozlegały się wesole, triumfalne okrzyki. Na balach tańczył, jeśli brakło kawalerów. Młode damy i panny

lubiły go za to, że do żadnej się nie zalecał, ale dla wszystkich był jednakowo uprzejmy, szczególnie po kolacji. „*Il est charmant, il n'a pas de sexe*”<sup>456</sup> – mówiono o nim.

Pierre był tym emerytowanym, pogodnie dokonywającym swego żywota w Moskwie szambelanem, jakich były setki.

Jakżeby się przeraził, gdyby siedem lat temu, wtedy kiedy wrócił z zagranicy, ktoś mu powiedział, że nie musi niczego szukać ani wynajdywać, bo jego droga już dawno została udeptana, określona przed wiekiem, że jakkolwiek będzie się wykręcał, pozostanie tym, czym byli wszyscy w jego sytuacji. Nie mógłby w to uwierzyć! Czyż nie pragnął z całej duszy to wprowadzić w Rosji republiki, to samemu stać się Napoleonem, to znów być filozofem, to taktykiem, zwycięzcą Napoleona? Czyż nie widział możliwości i nie pragnął namiętnie odrodzić skażonego rodu ludzkiego i doprowadzić siebie do wyższego stopnia doskonałości? Czyż nie zakładał szkół i szpitali, nie obdarzał chłopów wolnością?

A zamiast tego wszystkiego jest bogatym mężem niewiernej żony, dymisjonowanym szambelanem, który lubi dobrze zjeść, wypić, a rozpiąwszy kamizelkę po obiedzie połajac z lekka rząd, jest członkiem moskiewskiego Klubu Angielskiego i lubianym przez wszystkich członkiem moskiewskiego towarzystwa. Długo nie mógł się pogodzić z myślą, że jest właśnie tym dymisjonowanym moskiewskim szambelanem, typem, którym tak głęboko pogardzał przed siedmiu laty.

Czasami pocieszał się myślą, że tylko na razie prowadzi taki tryb życia; ale potem przerażała go inna myśl, że już tyle ludzi podobnie jak on wchodziło na tymczasem w to życie i do tego klubu, mając wszystkie włosy i zęby, a wychodziło stamtąd bez jednego zęba i z łysiną.

W chwilach pychy, kiedy myślał o swej sytuacji, wydawało mu się, że jest inny, całkiem różny od tych dymisjonowanych szambelanów, którymi gardził przedtem, że byli oni nikczemni i głupi, spokojni i zadowoleni ze swego położenia, „a ja i teraz jestem wciąż niezadowolony, wciąż pragnę zrobić coś dla ludzkości – mawiał sobie w chwilach pychy. – A może wszyscy ci moi kompanowie tak samo jak ja walczyli, szukali jakiejś nowej, własnej drogi życia i tak samo jak ja – siłą okoliczności, społeczeństwa, rodu, tą żywiołową siłą, przeciwko której człowiek nic nie może – zostali doprowadzeni tu gdzie i ja?” – mówił sobie w chwilach skromności; gdy już spędził w Moskwie jakiś czas, już nie gardził swymi towarzyszami losu, ale zaczynał ich lubić, poważać i współczuć im, podobnie jak sobie.

Pierre'a już nie nachodziły jak dawniej chwile rozpacz, przygnębienia i wstrętu do życia; ale ta sama choroba, która przedtem objawiała się ostrymi atakami, obecnie wniknęła do jego wnętrza i ani na chwilę go nie opuszczała. „Na co? Dlaczego? Co to się dzieje na świecie?” – te pytania ze zdumieniem zadawał sobie kilka razy dziennie i mimo woli zaczynał się zastanawiać nad sensem zjawisk życiowych; jednakowoż wiedząc z doświadczenia, że na te pytania odpowiedzi nie ma, pośpiesznie starał się od nich odwrócić, zabierał się do książek albo śpieszył do klubu, albo do Apollona Nikołajewicza, by pogwarzyć o miejskich plotkach.

„Helena Wasiliewna, która nigdy nic nie kochała prócz swego ciała, jedna z najgłupszych kobiet na świecie – myślał Pierre – wydaje się ludziom szczytem rozumu i wytworności, więc chyłą przed nią głowy. Napoleonem Bonaparte gardzili wszyscy dopóty, dopóki był wielkim, a odkąd stał się pożałowania godnym komediantem, cesarz Franciszek ubiega się o to, by mu dać swą córkę za nieprawą małżonkę.”<sup>457</sup> Za pośrednictwem duchowieństwa katolickiego Hiszpanie ślą modły dziękczynne do Boga za to, że 14 czerwca pokonali Francuzów, Francuzi zaś za pośrednictwem tego samego duchowieństwa katolickiego ślą modły dziękczynne do Boga za to, że 14 czerwca pokonali Hiszpanów. Moi bracia-masoni zaklinają się na własną krew, że wszystko są gotowi poświęcić dla bliźniego, a nie płacą rublowej składki na bied-

<sup>456</sup> Jest czarujący, bezpłciowy.

<sup>457</sup> Mowa o małżeństwie Napoleona z Marią Luizą, córką cesarza austriackiego Franciszka I. „Nieprawą małżonkę” dlatego, że Napoleon rozwiódł się z pierwszą żoną, Józefiną de Beauharnais, a Kościół w zasadzie rozwodu nie uznaje.

nych, judzą Astreę przeciwko Poszukującym Manny i zabiegają o autentyczny dywan szkocki i o akt, którego sensu nie rozumie nawet ten, kto go pisał, i który to akt nikomu nie jest potrzebny. Wszyscy wyznajemy chrześcijański nakaz przebaczenia uraz i przykazanie miłości bliźniego, wskutek którego wznieśliśmy w Moskwie czterdziestokroć czterdzieści cerkwi, a wczoraj zasięknęliśmy biczem zbiega, sługa zaś tego przykazania miłości i przebaczenia, duchowny, przed kaźnią dawał żołnierzowi do ucałowania krzyż”. Tak rozmyślał Pierre i to ogólnie przez wszystkich uznawane zakłamanie, chociaż doń przywykł, ciągle go zdumiewało, jak gdyby było czymś nowym. „Rozumiem to kłamstwo i gmatwaninę – rozmyślał – ale jak mam im opowiedzieć to, co rozumiem? Próbowałem i zawszem znajdował, że w głębi duszy oni rozumieją to samo co i ja, tylko że starają się nie widzieć tego. To znaczy, że tak trzeba! Więc gdzie ja mam się podziać?” – myślał Pierre. Miał tę nieszczęsną zdolność wielu ludzi, zwłaszcza zaś Rosjan, zdolność widzenia i wiary w możliwości dobra i prawdy, zdolność aż nadto jasnego widzenia zła i kłamstwa w życiu, aby móc brać w tym życiu poważny udział. Każda dziedzina pracy łączyła się w jego oczach ze złem i szalbierstwem. Czymkolwiek próbował być, do czegokolwiek się zabierał – zło i kłamstwo odpychały go i zagradzały mu wszelkie drogi działalności. A przecież trzeba było żyć, trzeba było czymś się zajmować. Zbyt straszne było życie pod jarzmem tych nie rozstrzygniętych pytań, oddawał się więc pierwszemu porywowi, byle tylko o nich zapomnieć. Bywał wszędzie, dużo pił, kupował obrazy i budował, a przede wszystkim czytał.

Czytał i czytał wszystko, co mu wpadło pod rękę, a czytał tak, że gdy wracał do domu i lokaje go rozbierali, już brał książkę i czytał – od czytania przechodził do spania, a od spania do paplaniny w salonach i w klubie, od paplaniny do hulanki i kobiet, od hulanki znów do paplaniny, czytania i wina. Picie wina stawało się dla niego coraz bardziej potrzebą fizyczną i zarazem duchową. Pił wiele nie bacząc na to, że lekarze mówili mu, że przy jego tuszy wino jest dla niego niebezpieczne. Było mu całkiem dobrze tylko wtedy, kiedy, sam tego nie spostrzegając, wlał w swe duże usta kilka szklanek wina; wtedy? doznawał przyjemnego ciepła w ciele, był tkliwy dla wszystkich bliźnich, a umysł miał gotowy do powierzchownego przyjęcia każdej myśli, bez zagłębienia się w jej istotę. Dopiero po wypiciu jednej czy dwóch butelek wina uświadamiał sobie niejasno, że ów spleciony straszny węzeł życia, który przedtem go przerażał, nie jest znów tak straszny, jak mu się zdawało. Z szumem w głowie, paplając, słuchając rozmów lub czytając po obiedzie i kolacji, bez przerwy widział ów węzeł z jakiejś jego strony. Ale tylko pod wpływem wina powiadał sobie: „No nic, ja to rozwikłałam, mam już gotowe wytłumaczenie. Tylko że teraz nie mam czasu – potem wszystko to przemyśle!” Ale to potem nigdy nie przychodziło.

Rankiem, na czczo, wszystkie dawne pytania przedstawiały się tak samo nie rozstrzygnięte i straszne, Pierre śpiesznie sięgał po książkę i cieszył się, kiedy ktoś do niego przyszedł.

Czasami Pierre przypominał sobie opowiadanie o tym, że gdy na wojnie żołnierze w okopach znajdują się pod ostrzałem, a nie mogą być w akcji, wtedy umyślnie wyszukują sobie zajęcia, aby łatwiej znosić niebezpieczeństwo. Pierre'owi wszyscy ludzie wydawali się takimi żołnierzami szukającymi ratunku przed życiem: ten w ambicji, tamten w kartach, ów w układaniu praw, inny w kobietach, w zabawach, w koniach, w polityce, w polowaniu, w winie, w sprawach państwowych. „Nie ma nic błędnego ani ważnego, wszystko jest takie samo: byleby się tylko przed nim uratować! – myślał Pierre. – Byleby tylko jego nie widzieć, tego straszego życia”.

## II

Na początku zimy książę Mikołaj Andreicz Bołkoński przyjechał wraz z córką do Moskwy. Ze względu na swą przeszłość, na swój rozum i oryginalność, szczególnie zaś, iż w tym okresie osłabł zachwyt nad panowaniem cesarza Aleksandra i że w owym czasie panował w Moskwie kierunek antyfrancuski i patriotyczny, książę Mikołaj Andreicz stał się natychmiast dla moskwiaków przedmiotem osobliwego poważania i ośrodkiem moskiewskiej opozycji wobec rządu.

Książę bardzo się postarzał w ciągu tego roku. Pojawiły się w nim jaskrawe oznaki starości, nagle zasypianie, zapominanie zdarzeń najbliższych w czasie, a pamięć dawniejszych, oraz dziecinna próżność, z jaką przyjmował rolę głowy moskiewskiej opozycji. Mimo to gdy starzec, zwłaszcza wieczorami, kiedy był czymś poruszony, zaczynał przy herbacie, do której wychodził w swej szubce i w pudrowanej peruce, swe urywane perory na temat przeszłości albo jeszcze bardziej urywane i ostre sądy o czasach obecnych, wzbudzał we wszystkich swych gościach jednakie uczucie czci i poszanowania. Ów staroświecki dom z olbrzymimi zwierciadłami, meblami z epoki przedrewolucyjnej, napudrowanymi lokajami i sam staroświecki gospodarz z minionego stulecia, surowy a rozumny, jego potulna córka i ładniutka Francuzeczka, które go otaczały czcياً – wszystko to stanowiło dla odwiedzających majestatyczny i przyjemny widok. Ale goście nie myśleli o tym, że poza tymi dwoma, trzema godzinami, podczas których oglądali gospodarzy, były jeszcze dwadzieścia dwie godziny doby, kiedy dom żył swym ukrytym, wewnętrznym życiem.

W Moskwie w ostatnich czasach to wewnętrzne życie domu stało się dla księżniczki Marii bardzo ciężkie. W Moskwie była pozbawiona swych największych radości – rozmów z „bożymi ludźmi” i samotności – co tak ją orzeźwiało w Łysych Górach, nie miała także żadnych korzyści ani uciech życia stołecznego. W świecie nie bywała: wszyscy wiedzieli, że ojciec nie puszcza jej bez siebie, a że sam ze względu na swe wątłe zdrowie nie mógł bywać, więc i jej już nie zapraszano na obiady i wieczory. Nadzieję na zamążpójście księżniczka Maria całkiem porzuciła. Widziała oziębłość i zawziętość, z jakimi książę Mikołaj Andreicz przyjmował i odprawiał młodych ludzi, którzy czasami zjawiali się w ich domu i mogliby uchodzić za konkurentów. Przyjaciół księżniczka Maria nie miała; podczas tej bytności w Moskwie rozczarowała się do dwóch najbliższych sobie osób: m-lle Bourienne, z którą już przedtem nie mogła być całkiem szczerą, teraz stała się jej niemiła i z pewnych względów jęła się od niej odsuwać, Julie, która mieszkała w Moskwie i z którą księżniczka Maria korespondowała przez pięć lat z rządu, kiedy znów zetknęła się z nią osobiście, okazała się zupełnie obca. Julie po śmierci brata stała się jedną z najbogatszych partii w Moskwie, a obecnie pogrążała się w wir światowych uciech. Była otoczona młodymi ludźmi, którzy, jak sądziła, ocenili nagle jej przymioty. Julie znajdowała się w tym okresie starzejącej się panny z wielkiego świata, która czuje, że nadeszła ostatnia szansa wydania się za męża i że teraz albo nigdy powinien się rozstrzygnąć jej los. Co czwartek księżniczka Maria wspominała ze smutnym uśmiechem, że teraz nie ma do kogo pisywać, albowiem Julie – której obecność nie sprawiała jej żadnej radości – jest tutaj i widuje się z nią co tydzień. Podobnie jak stary emigrant wyrzeka się małżeństwa z damą, u której od kilku lat spędza wieczory, księżniczka Maria żałowała, że Julie

jest tutaj, więc nie ma do kogo pisywać. W Moskwie księżniczka Maria nie miała z kim porozmawiać, nie miała komu zwierzyć się ze swych zgryzot, a tych zgryzot wiele przez ten czas przybyło. Termin powrotu księcia Andrzeja i jego ożenku zbliżał się, a jego polecenie, ażeby ojca do tego przygotować, nie tylko nie zostało spełnione, lecz, przeciwnie, sprawa wydawała się całkiem przegrana; wszelka wzmianka o hrabiance Rostow wytrącała z równowagi starego księcia, przeważnie i tak będącego nie w humorze. W ostatnich czasach księżniczce Marii przybyła nowa zgryzota, a powodem jej były lekcje dawane przez nią sześciolletniemu bratankowi. Z przerażeniem odnalazła w swym stosunku do Nikołuszki skłonność do irytacji, właściwą ojcu. Ileż razy mówiła sobie, że ucząc bratanka nie wolno pozwalać sobie na irytację, a jednak niemal za każdym razem, kiedy z linijką w ręku siadał do francuskiego elementarza, pragnęła jak najprędzej, jak najłatwiej przekazać swe wiadomości dziecku, które już się lękało, że tylko patrzeć, jak ciocia się rozgniewa, a ona przy najmniejszej nieuwadze chłopca wzdrygała się, śpieszyła, gorączkowała, podnosiła głos, czasami szarpała go za rękę i stawiała do kąta. Postawiwszy zaś do kąta, sama zaczynała płakać nad swą złośliwą, brzydką naturą, a Nikołuszka, wtórując jej szlochom, bez pozwolenia wychodził z kąta, zbliżał się do niej, odrywał jej od twarzy mokre ręce i pocieszał ją. Ale największą, największą ze wszystkich zgryzot sprawiało jej drażliwe usposobienie ojca, zawsze skierowane przeciw córce; w ostatnich czasach to rozdrażnienie doszło do granic okrucieństwa. Gdyby jej kazał przez całą noc bić pokłony do ziemi, gdyby ją bił, gdyby jej kazał dźwigać drwa – nawet by jej do głowy nie przyszło, że jej sytuacja jest ciężka, wszelako ów kochający dręczyciel, tym właśnie okrutniejszy, że kochał i za to dręczył siebie i ją – potrafił rozmyślnie nie tylko znieważyć ją, upokorzyć, ale udowodnić, że zawsze wszystkim była winna. W ostatnich czasach zjawiał się w nim nowy rys, najbardziej męczący dla księżniczki Marii – była to jego wielka poufalskość z m-lle Bourienne. W pierwszej chwili po otrzymaniu od syna wiadomości o jego zamiarach staremu księciu przyszła do głowy żartobliwa myśl, że jeśli księżę Andrzej się ożeni, to i on się ożeni z Bourienne; widocznie ta myśl podobała mu się i w ostatnich czasach z uporem (jak się księżniczce Marii zdawało) i tylko dlatego, żeby ją znieważyć, okazywał szczególne względy m-lle Bourienne, a okazywaniem miłości dla Bourienne chciał okazać córce swoje z niej niezadowolenie.

Pewnego razu w Moskwie w obecności księżniczki Marii (wydawało się jej, że ojciec rozmyślnie zrobił to przy niej) stary księżę pocałował m-lle Bourienne w rękę i przyciągnąwszy ją do siebie, objął pieścizotliwie. Księżniczka Maria zaczerwieniła się i wybiegła z pokoju. Po kilku minutach m-lle Bourienne weszła do księżniczki Marii i uśmiechając się zaczęła wesoło opowiadać coś swym miłym głosem. Księżniczka Maria spiesznie otarła łzy i stanowczym krokiem podeszła do Bourienne, a prawdopodobnie sama sobie z tego nie zdając sprawy, z gniewnym pośpiechem, łamiącym się głosem jęła krzyczeć na Francuzeczkę:

– To obrzydliwie nisko, nieludzko korzystać ze słabości... – nie domówiła. – Proszę wyjść z mojego pokoju! – wykrzyknęła i rozszlochała się.

Nazajutrz księżę nie powiedział do córki ani słowa; ale zauważyła, że podczas obiadu kazał obnoszenie dań zaczynać od m-lle Bourienne. Pod koniec obiadu, kiedy kredencierz wedle dawnego przyzwyczajenia podał kawę najpierw księżniczce, księżę wpadł nagle w furję, cisnął laską w Filipa i natychmiast kazał go oddać do wojska.

– Nie słyszą... dwa razy mówiłem!... nie słyszą! Ona jest pierwszą osobą w tym domu; ona – to mój najlepszy przyjaciel! – krzyczał księżę. – I jeśli ty się ośmielisz – krzyknął w gniewie, po raz pierwszy zwracając się do córki – jeszcze raz się ośmielisz, jakeś wczoraj się ośmieliła... zapomnieć się wobec niej, to ja ci pokażę, kto jest panem domu. Precz! żebym cię nie widział! Proś ją o przebaczenie!

Księżniczka Maria poprosiła Amelię Jewgieniewnę o przebaczenie, przeproszała ojca w swoim imieniu i w imieniu Filipa, który prosił o wstawiennictwo.

W takich chwilach w duszy księżniczki Marii wzbierało uczucie podobne do dumy ofiarniczej. I z nagłą w takich chwilach, w jej obecności, ów ojciec, którego potępiała, albo szukał okularów macając koło nich, a nie widząc, albo zapominał, co dopiero było, albo słabnącymi nogami czynił niepewny krok i spozierał, czy przypadkiem ktoś nie widział jego niemocy, czy też, i to było najgorsze ze wszystkiego – przy obiedzie, kiedy nie było gości, którzy go ożywiali, usypiał nagle, upuszczał serwetkę i pochylał nad talerzem trzęsącą się głowę. „Jest stary i słaby, a ja się ośmielam go potępiać!” – myślała w takich chwilach czując do siebie odrazę.

### III

W roku 1811 mieszkał w Moskwie francuski lekarz Métivier, który szybko wszedł w modę: olbrzymiego wzrostu, piękny, grzeczny jak wszyscy Francuzi i – jak mówiono w całej Moskwie – mistrz sztuki lekarskiej. Przyjmowano go w wyższych sferach nie jak lekarza, ale jak równego.

Książę Mikołaj Andreicz, pokpiwający sobie z medycyny, w ostatnich czasach, za radą m-lle Bourienne, dopuścił do siebie tego doktora i przywykł do niego. Métivier bywał u księcia dwa razy w tygodniu.

W dniu Mikołaja Cudotwórcy, w imieniny księcia, cała Moskwa znalazła się u podjazdu przed jego domem, ale książę nikogo nie kazał przyjmować, tylko niewiele osób, których spis dał księżniczce Marii, polecił zaprosić na obiad.

Métivier, który przyjechał rano z życzeniami, jako lekarz uważał za stosowne *de forcer la consigne*<sup>458</sup>, jak się wyraził do księżniczki Marii, i wszedł do księcia. Zdarzyło się, że w ten imieninowy ranek stary książę był w wyjątkowo złym humorze. Przez cały ranek chodził po domu, wszystkim się czepiał i udawał, że nie rozumie, co się do niego mówi, i że nikt jego nie rozumie. Księżniczka Maria dobrze знаła ten jego nastrój cichej i zafrasowanej gderliwości, która zazwyczaj kończyła się wybuchem wściekłego gniewu, toteż przez cały ranek chodziła jak przed nabitą fuzją z odwiedzionymi kurkami, oczekując nieuniknionego wystrzału. Do przybycia doktora ranek minął pomyślnie. Wpuściwszy doktora księżniczka Maria usiadła z książką w salonie przy drzwiach, przez które mogła słyszeć wszystko, co się działo w gabinecie.

Z początku słyszała tylko głos Métiviera, potem głos ojca, potem obydwa głosy odezwały się razem, drzwi się rozwarły i na progu ukazała się wystraszona postać pięknego Métiviera z czubem ciemnych włosów i postać księcia w szlafmocy i szlafroku, ze zniekształconą wściekłością twarzą i osuniętymi źrenicami oczu.

– Nie rozumiesz? – krzyczał książę. – A ja rozumiem! Szpieg francuski, sługus Bonapartego! Szpieg, precz z mojego domu, precz, powiadam! – I zatrzęsął drzwiami.

Métivier wzruszając ramionami podszedł do m-lle Bourienne, która na krzyk przybiegła z sąsiedniego pokoju.

– Książę niezupełnie jest zdrów – *la bile et le transport au cerveau. Tranquillisez-vous, je repasserai demain*<sup>459</sup> – oświadczył Métivier i przyłożywszy palec do warg pośpiesznie wyszedł.

Za drzwiami słychać było kroki w pantoflach i krzyki: „Szpiegdy, zdrajcy, wszędzie zdrajcy! We własnym domu nie ma chwili spokoju!”

Po odejściu doktora stary książę wezwał do siebie córkę i cała siła jego gniewu zwała się na nią. To ona była winna, że wpuszczono do niego szpiega. Przecie powiedział, powiedział jej, żeby sporządziła listę i żeby tych, których na liście nie ma, do niego nie wpuszczano.

---

<sup>458</sup> Siłą złamać zakaz.

<sup>459</sup> Żółć i uderzenie krwi do mózgu. Proszę się nie niepokoić, przyjdę jutro.

Czemu więc wpuszczono tego łajdaka! To ona była przyczyną wszystkiego. „Nie daje mu ani chwili spokoju, przy niej nie może spokojnie umrzeć” – powiadał.

– Nie, kochaneczko, musimy się rozstać, rozstać, wiedz o tym, wiedz! Już dłużej nie mogę – oświadczył i wyszedł z pokoju. I jak gdyby się obawiając, by w jakiś sposób nie pocieszyła się, wrócił i usiłując nadać sobie spokojny wygląd dodał: – Nie myśl, że to powiedział w chwili uniesienia, jestem spokojny i wszystko obmyśliłem; i tak ma być, rozstajemy się, poszukaj sobie innego miejsca!...

– Wszelako nie wytrzymał i z rozjątrzeniem, jakie może się zdarzyć tylko człowiekowi kochającemu, sam widać cierpiąc, potrząsnął pięściami i wrzasnął:

– I żeby choć jaki cymbał chciał się z nią ożenić! – Trzasnął drzwiami, wezwał do siebie m-lle Bourienne i przycichł w gabinecie.

O drugiej przybyło sześć wybranych osobistości na obiad. Goście – hrabia Rastopczyn, książe Łopuchin ze swym bratankiem, generał Czartow, stary towarzysz broni księcia, a z młodzieży – Pierre i Borys Drubecki – czekali na niego w salonie.

Borys przybywszy w ostatnich dniach do Moskwy na urlop pragnął zostać przedstawionym księciu Mikołajowi Andreiczowi; i potrafił do tego stopnia pozyskać jego przychyłność, że książe, który nie przyjmował nieżonatych młodych ludzi, zrobił dla niego wyjątek.

Dom księcia nie stanowił tego, co się nazywa „wielkim światem”; było to małe kółko, a choć nie słyszało się o nim w mieście, wszakże być tu przyjętym nader pochlebiali ambicji. Borys zrozumiał to przed tygodniem, kiedy w jego obecności hrabia Rastopczyn oświadczył generał-gubematorowi zapraszającemu go na obiad w dniu Mikołaja Cudotwórcy, że nie może przybyć.

– Tego dnia zawsze przybywam z pielgrzymką do relikwii księcia Mikołaja Andreicza.

– Ach, prawda, prawda – odpowiedział generał-gubemator. – Jak on się miewa?...

Nieliczne towarzystwo, które przed obiadem zgromadziło się w staroświeckim, wysokim salonie, pełnym starych mebli, przypominało zebrany uroczystą sesję sądową. Wszyscy milczeli, a jeśli się ktoś odezwał, to po cichu. Książe Mikołaj Andreicz wszedł poważny i milczący. Księżniczka Maria wydawała się jeszcze bardziej cicha i załębiona niż zwykle. Goście niechętnie zwracali się do niej, albowiem wiedzieli, że nie jest usposobiona do rozmowy. Jedynie hrabia Rastopczyn podtrzymywał wątek rozmowy opowiadając o nowinach z miasta lub o wydarzeniach politycznych.

Łopuchin i stary generał z rzadka wtrącali się do rozmowy. Książe Mikołaj Andreicz słuchoł, niby przewodniczący sądu najwyższego, który słucha sprawozdania, tylko milczeniem lub krótkim odezwaniem dając do zrozumienia, że przyjmuje do wiadomości to, co mu się referuje. Ton rozmowy był tego rodzaju, że można było wnioskować, iż nikt tu nie pochwała tego, co się dzieje w świecie politycznym. Opowiadano o zdarzeniach najwidoczniej potwierdzających, że wszystko szło ku gorszemu, ale w każdej perorze, w każdym sądzie uderzało, że rozmówca zatrzymywał się albo był zatrzymywany zawsze na tej granicy, gdzie krytyka mogła dotyczyć osoby panującego cesarza.

Przy obiedzie rozmowa zesłała na ostatnią nowinę polityczną: na zagarnięcie przez Napoleona dziedzictwa księcia Oldenburskiego i na wrogą Napoleonowi notę rosyjską, rozesłaną do wszystkich dworów europejskich.

– Bonaparte poczyna sobie z Europą niby pirat na zdobytym okręcie – odrzekł hrabia Rastopczyn powtarzając zdanie, które już był wygłaszał kilkakrotnie. – Należy tylko podziwiać cierpliwość czy raczej zaślepienie monarchów. Teraz rzecz doszła do papieża i Bonaparte nie kryje się z tym, że chce strącić z tronu głowę Kościoła katolickiego, a wszyscy milczą! Jedynie nasz monarcha zaprotestował przeciwko zagarnięciu posiadłości księcia Oldenburskiego. A i to... – Hrabia zamilkł, czując, że stanął na granicy, gdzie już nie wolno krytykować.



– Zaproponowano inne posiadłości zamiast Księstwa Oldenburskiego – rzekł książę Mikołaj Andreicz. – Jakbym ja przesiedlał swych chłopów z Łysych Gór do Boguczarowa i do dóbr rizańskich, tak on przesiedla dziedzicznych książąt.

– *Le duc d'Oldenbourg supporte son malheur avec une force de caractère et une résignation admirable*<sup>460</sup> – oświadczył Borys, z szacunkiem wtrącając się do rozmowy. Powiedział to dlatego, że w przejeździe z Petersburga miał zaszczyt być przedstawiony księciu panującemu. Książę Mikołaj Andreicz tak popatrzył na niego, jak gdyby chciał mu coś powiedzieć, ale się rozmyślił, uważając, że Borys jest na to za młody.

– Czytałem nasz protest w sprawie Oldenburga i zdumiewam się, jak kiepsko zredagowano tę notę – oświadczył hrabia Rastopczyn niedbałym tonem człowieka sądzącego o rzeczy dobrze mu znanej.

Pierre spojrział na Rastopczyna z naiwnym zdziwieniem, albowiem nie rozumiał, czemu go niepokoi kiepska redakcja noty.

– Hrabio, czy to nie wszystko jedno, jak nota jest napisana – rzekł – skoro jej treść jest mocna?

– *Mon cher, avec nos 500 milles hommes de troupes il serait facile d'avoir un beau style*<sup>461</sup> – odrzekł hrabia Rastopczyn.

Pierre zrozumiał, dlaczego redakcja noty tak poruszyła hrabiego Rastopczyna.

– Zdaje się, że pismaków namnożyło się bez liku – odezwał się stary książę. – Tam w Petersburgu wszyscy piszą, nie tylko noty, ale i nowe ustawy piszą. Mój Andrzejek napisał tam dla Rosji cały wolumen ustaw. Obecnie wszyscy piszą! – I zaśmiał się nienaturalnie.

Rozmowa na chwilę umilkła, stary generał zwrócił na siebie uwagę pokaszliwaniem.

– Czy książę raczył słyszeć, co się ostatnio zdarzyło na przeglądzie wojsk w Petersburgu? A to się spisali nowi posłowie francuscy!

– Co? Tak, słyszałem to i owo; podobno powiedział coś niestosownego przy jego cesarskiej mości.

– Jego cesarska mość zwrócił uwagę posła na dywizję grenadierów i na marsz paradny – ciągnął generał – a poseł jakoby nie zwrócił na to uwagi i jakoby pozwolił sobie powiedzieć, że „u nas, we Francji, nie zwraca się uwagi na takie bagatele”. Monarcha nie raczył na to odpowiedzieć. Powiadają, że na następnym przeglądzie monarcha ani razu nie raczył zwrócić się do niego.

Wszyscy zamilkli: o takim fakcie, który bezpośrednio odnosił się do monarchy, nie należało wypowiadać swego zdania.

– Zuchwalcy! – rzekł książę. – Panowie, znacie Métiviera? Dziś wypędziłem go od siebie. Był tu, wpuszczono go do mnie, choć prosiłem, żeby nikogo nie puszczać – rzekł książę, gniewnie spojrzawszy na córkę. I opowiedział całą rozmowę z francuskim doktorem i o tym, co go przekonało, że Métivier jest szpiegiem. Choć powody były nader niedostateczne i niewyraźne, nikt nie oponował.

Po pieczystym podano szampana. Goście wstali i składali życzenia staremu księciu. Księżniczka Maria również podeszła do niego.

Spojrzał na nią chłodnym, złym wzrokiem i nadstawił jej pomarszczony, wygolony policzek. Wyraz jego twarzy mówił jej, że poranna rozmowa nie została zapomniana, że jego decyzja nadal jest w mocy i tylko ze względu na obecność gości nie mówi jej tego teraz.

Kiedy towarzystwo przeszło do salonu na kawę, starzy usiedli razem.

Książę Mikołaj Andreicz bardziej się ożywił i wypowiedział swój pogląd co do przyszłej wojny.

Oświadczył, że nasze wojny z Bonapartem dopóty będą niefortunne, dopóki będziemy szukać sojuszków z Niemcami i pchać się do spraw europejskich, w które nas wciągnął pokój

<sup>460</sup> Książę Oldenburski znosi swe nieszczęście z zadziwiającą siłą charakteru i rezygnacją.

<sup>461</sup> Mój drogi, z naszymi 500 tysiącami żołnierza łatwo można by mieć piękny styl

tylżycy. Nie powinniśmy byli wojować ani za Austrię, ani przeciwko Austrii. Cała nasza polityka to Wschód, w stosunku zaś do Bonapartego pozostaje nam jedno – zbroić się na granicy i zachować stanowczość w polityce, a wówczas on nigdy się nie odważy przekroczyć granicy rosyjskiej, podobnie jak w siódmym roku.

– Książę, gdzie nam wojować z Francuzami! – odezwał się hrabia Rastopczyn. – Czyż możemy się zbroić przeciwko swym nauczycielom i bogom? Spójrz, książę, na naszą młodzież, spójrz na nasze panie. Nasi bogowie to Francuzi, nasze królestwo niebieskie – Paryż.

Jał mówić głośniejszym głosem, widocznie dlatego, aby go wszyscy słyszeli.

– Stroje francuskie, myśli francuskie, uczucia francuskie! Przepędziłeś, książę, na zbity łeb Métiviera, bo to Francuz i łajdak, a nasze panie czołgają się przed nim na kolanach. Byłem wczoraj na wieczorze, a trzy spośród pięciu obecnych dam to katoliczki, które za pozwoleniem papieża w niedzielę wyszywają na kanwie, a siedzą bez mała gołe, jak nie przymierzając szyldy łaźni publicznej. Ech, książę, jak popatrzeć na naszą młodzież, to wzięłoby się z kunsztkamery starego dębca Piotra Wielkiego i tak po rosyjsku wygarbowało skórę, że od razu by jej głupstwa wywietrzały z głowy!

Wszyscy umilkli. Stary książę z uśmiechem patrzył na Rastopczyna i aprobowano pokiwał głową.

– No, żegnam waszą książęcą mość, proszę nie chorować – powiedział Rastopczyn wstając z właściwymi sobie szybkimi ruchami i wyciągając do księcia rękę.

– Żegnaj, kochasiu!... Słuchając go, jakbym słuchał muzyki! – rzekł stary książę przytrzymując go za rękę i nadstawiając policzek do pocałowania. Za Rastopczynem wstali również inni.

## IV

Siedząc w salonie, słuchając tych rozważań i sarkania starych ludzi, księżniczka Maria nie rozumiała z tego, co słyszała; myślała tylko o tym, czy goście nie dostrzegają wrogiego stosunku ojca do niej. Nawet nie zauważyła osobliwej uwagi i grzeczności, jakie przez cały czas obiadu świadczył jej Drubecki, który już trzeci raz był u nich.

Księżniczka Maria z wyrazem roztargnionym i pytającym spojrzała na Pierre'a, który – ostatni z gości – z kapeluszem w ręku, z uśmiechem na twarzy zbliżył się do niej po wyjściu księcia; zostali sami w salonie.

– Mogę jeszcze trochę posiedzieć? – zapytał opadając swym tłustym ciałem na fotel obok księżniczki Marii.

– O, tak – powiedziała. „Czy pan nic nie zauważył?” – zapytało jej spojrzenie.

Pierre był w przyjemnym poobiednim nastroju. Patrzył przed siebie i łagodnie się uśmiechał.

– Księżniczko, czy dawno pani zna tego młodego człowieka? – zapytał.

– Którego?

– Drubeckiego.

– Nie, niedawno...

– Cóż, podoba się pani?

– Tak, to przyjemny młody człowiek... Czemu, hrabio, o to mnie pytasz? – rzekła księżniczka Maria nie przestając myśleć o swej porannej rozmowie z ojcem.

– Dlatego, że zrobił spostrzeżenie: młody człowiek zazwyczaj przyjeżdża z Petersburga do Moskwy na urlop z jedynym celem: znalezienia bogatej partii.

– Zrobił pan takie spostrzeżenie? – zapytała księżniczka Maria.

– Tak – ciągnął z uśmiechem Pierre – i ów młody człowiek trzyma się teraz tego, aby być tam, gdzie są bogate panny. Czytam w nim jak w otwartej księdze. Teraz jest niezdecydowany, kogo ma zaatakować: panią czy mademoiselle Julie Karagin. *Il est très assidu auprès d'elle.*<sup>462</sup>

– Bywa u nich?

– Tak, bardzo często. Czy pani wie, jaka jest nowa moda zalecania się? – rzekł z wesołym uśmiechem Pierre, widocznie znajdując się w tym wesołym usposobieniu dobrodusznej drwiny, którą tak często wytykał sobie w dzienniku.

– Nie – oświadczyła księżniczka Maria.

– Obecnie, żeby się podobać moskiewskim pannom *il faut être mélancolique. Et il est très mélancolique auprès de m-lle Karagin*<sup>463</sup> – powiedział Pierre.

– *Vraiment?*<sup>464</sup> – rzekła księżniczka Maria patrząc w poczciwą twarz Pierre'a i nie przestając myśleć o swym nieszczęściu. „Byłoby mi lżej – myślała – gdybym się zdecydowała zwierzyć komuś ze wszystkiego, co czuję. Pragnęłabym właśnie Pierre'owi powiedzieć wszystko. Jest tak dobry i szlachetny. Ulżyłoby mi. On by mi coś poradził!”

---

<sup>462</sup> Bardzo jej asystuje.

<sup>463</sup> Trzeba być melancholijnym. I on jest bardzo melancholijny przy m-lle Karagin.

<sup>464</sup> Naprawdę?

- Wyszłaby księżniczka za niego za męża? – zapytał Pierre.
- Ach, mój Boże! Są, hrabio, takie chwile, że wyszłabym za każdego – z nagłą, niespodziewanie dla siebie powiedziała księżniczka Maria ze łzami w głosie. – Ach, jak to ciężko, kiedy się kocha człowieka bliskiego i czuje się, że... (ciągnęła drżącym głosem) nie można mu zrobić nic prócz przykrości, kiedy się wie, że nie można tego odmienić. Jedno tylko – odejść, a dokąd mam odejść?
- Co pani jest, księżniczko?
- Lecz księżniczka rozplakała się nie domawiając do końca.
- Nie wiem, co się dziś ze mną dzieje. Proszę mnie nie słuchać, proszę zapomnieć, com panu powiedziała.
- Cała wesołość Pierre'a znikła. Zafrasowany, rozpytywał księżniczkę, prosił, żeby mu wszystko powiedziała, żeby mu się zwierzyła ze swego cierpienia, ale powtórzyła tylko, że prosi, by zapomniał, co mu powiedziała, że sama nie pamięta, co mówiła, żadnego zaś zmartwienia nie ma prócz tego, o którym on wie – zmartwienia, iż ożenek księcia Andrzeja grozi skłóceniem ojca z synem.
- Czy hrabia słyszał o Rostowach? – zapytała, żeby zmienić temat rozmowy. – Mówiono mi, że wkrótce tu przybędą. Przybycia André również się spodziewam lada dzień. Pragnęłabym, żeby się spotkali tutaj.
- A jak on teraz zapatruje się na tę sprawę? – zapytał Pierre, przez słowo on rozumiejąc starego księcia. Księżniczka Maria pokiwała głową.
- Ale cóż robić? Do roku pozostaje tylko kilka miesięcy. I to nie może się stać. Pragnęłabym tylko oszczędzić bratu pierwszych chwil. Pragnęłabym, żeby oni jak najprędzej przyjechali. Mam nadzieję, że zaprzyjaźnię się z nią... Hrabia zna ich dawno – rzekła księżniczka Maria – proszę powiedzieć mi z ręką na sercu całą prawdę: co to za panna i jak ją pan znajdujesz. Ale całą prawdę, gdyż pojmujesz, hrabio, Andrzej tak wiele ryzykuje czyniąc to wbrew woli ojca, że pragnęłabym wiedzieć...
- Niejasny instykt podpowiedział Pierre'owi, że w tych omówieniach i powtarzanych prośbach, by powiedzieć całą prawdę, kryje się niezyczliwość księżniczki Marii dla przyszłej bratowej, że chciałaby, aby Pierre nie pochwalił wyboru Andrzeja; wszelako Pierre powiedział to, co raczej czuł, niż myślał.
- Nie wiem, jak odpowiedzieć na pytanie księżniczki – odrzekł i zarumienił się, sam nie wiedząc dlaczego.
- Stanowczo nie wiem, co to za panna, w żaden sposób nie mogę jej zanalizować. Jest czarująca. A dlaczego – nie wiem, to wszystko, co można o niej powiedzieć. – Księżniczka Maria westchnęła, wyraz jej twarzy mówił: „Tak, spodziewałam się tego i obawiałam”.
- Czy rozumna? – spytała księżniczka Maria. Pierre zamyślił się.
- Sądzę, że nie – odpowiedział – a zresztą, tak. Nie raczy być rozumna... Tak, jest czarująca, i to wszystko. Księżniczka Maria z dezaprobatą pokiwała głową.
- Ach, a ja tak pragnę ją kochać! Proszę jej to powiedzieć, jeśli ją pan zobaczy wcześniej niż ja.
- Słyszałem, że w tych dniach mają przyjechać – rzekł Pierre.
- Księżniczka Maria podzieliła się z Pierre'em swym planem zbliżenia się z przyszłą bratową, gdy tylko Rostowowie przyjadą, i tym, że postara się przekonać do niej starego księcia.

## V

Ożenek z bogatą panną nie udał się Borysowi w Petersburgu, przyjechał więc w tym celu do Moskwy. W Moskwie Borys nie mógł się zdecydować na wybór jednej z dwóch najbogatszych panien – Julie albo księżniczki Marii. Księżniczka Maria mimo braku urody zdawała mu się bardziej pociągająca niż Julie, ale było mu, nie wiadomo dlaczego, niezręcznie zalecać się do Bołkońskiej. Gdy się widział z nią ostatni raz, na imieninach księcia, na wszelkie jego próby nawiązania rozmowy o uczuciach odpowiadała od rzeczy i widać było, że go nie słucha.

Julie, przeciwnie, mimo iż w osobliwy i jej tylko właściwy sposób, przyjmowała chętnie jego zalecanki.

Julie miała dwadzieścia siedem lat. Po śmierci braci stała się bardzo bogata. Teraz była całkiem nieładna; wszelako mniemała, że jest nie tylko równie ładna, ale i o wiele bardziej pociągająca niż przedtem. W tym błędzie utwierdzało ją jeszcze i to, że po pierwsze, stała się bardzo bogatą partią, a po drugie – im robiła się starsza, tym mniej była niebezpieczna dla mężczyzn, tym swobodniej mogli się mężczyźni z nią obchodzić i nie biorąc na siebie żadnych zobowiązań korzystali z jej kolacji, wieczorów i towarzystwa, które się u nich zbierało. Mężczyzna, który dziesięć lat temu nie odważyłby się bywać codziennie w domu, gdzie była siedemnastoletnia panna, aby jej nie kompromitować i siebie nie wiązać, obecnie śmiało bywał u niej codziennie i traktował ją nie jak pannę na wydaniu, ale jak osobę znajomą, pozbanioną płci.

W Moskwie dom Karaginów był tej zimy najprzyjemniejszym i najgościnniejszym domem. Poza proszonymi wieczorami i obiadami u Karaginów codziennie zbierało się duże towarzystwo, szczególnie mężczyźni; kolację podawano o dwunastej, a panowie zasiadywali się do trzeciej w nocy. Julie nie opuszczała ani jednego balu, spaceru, teatru. Toalety zawsze miała jak najmodniejsze. Mimo to Julie zdawała się wszystkim rozczarowana, mówiła każdemu, że nie wierzy w przyjaźń ani w miłość, ani w żadne powaby życia, że spodziewa się ukojenia jedynie tam. Przybrała ton panny, która przeżyła wielkie rozczarowanie, panny, która straciła ukochanego człowieka albo została przezeń okrutnie zawiedziona. Choć nic podobnego się jej nie zdarzyło, uważano ją za taką, a nawet i ona wierzyła, że utraciła w życiu wiele. Owa melancholia, nie przeszkadzająca jej bawić się, nie przeszkadzała młodym ludziom przyjemnie spędzać u niej czas. Każdy przybywający gość, uczyniwszy zadość melancholijnemu nastrojowi gospodyni, zajmował się następnie światowymi rozmowami, tańcami, grami towarzyskimi, turniejami *bouts rimés*<sup>465</sup>, które u Karaginów były w modzie.

Tylko niektórzy młodzi ludzie, a wśród nich znajdował się Borys, bardziej wgłębiali się w melancholijny nastrój Julie; i z owymi młodymi ludźmi prowadziła intymne dłuższe rozmowy o marności tego świata i pokazywała im swe sztambuchy ze smutnymi rysunkami, aforyzmatami i wierszami.

Julie była szczególnie łaskawa dla Borysa: współczuła mu, że tak wcześnie rozczarował się do życia, zalecała mu te pociechy przyjaźni, jakie mogła zaofiarować ona, również tyle

---

<sup>465</sup> Dobierania rymów.

ucierpiawszy w życiu, i pokazała mu swój sztambuch. Borys narysował jej w sztambuchu dwa drzewa i napisał:

*Arbres rustiques vos sombres rameaux secouent sur moi les ténèbres et la mélancolie.*<sup>466</sup>

Na innej karcie narysował grobowiec i napisał:

*La mort est secourable et la mort est tranquille.  
Ah! contre les douleurs il n'y a pas d'autre asile.*<sup>467</sup>

Julie powiedziała, że to prześliczne.

– *Il y a quelque chose de si ravissant dans le sourire de la mélancolie*<sup>468</sup> – powtórzyła Borysowi słowo w słowo, co wyczytała w książce.

– *C'est un rayon de lumière dans l'ombre, une nuance en-tre la douleur et le désespoir, qui montre la consolation possible.*<sup>469</sup>

Na to Borys napisał jej wiersz:

*Aliment de poison d'une âme trop sensible,  
Toi, sans qui le bonheur me serait impossible,  
Tendre mélancolie, ah, viens me consoler,  
Viens calmer les tourments de ma sombre retraite  
Et mêle une douceur secrète  
A ces pleurs, que je sens couler.*<sup>470</sup>

Julie grała Borysowi na harfie najsmutniejsze nokturny.

Borys czytał jej na głos *Biedną Lizę*<sup>471</sup> i nieraz przerywał czytanie, albowiem wzruszenie tamowało mu oddech. Julie i Borys spotykając się w liczniejszym towarzystwie patrzyli na siebie jak na ludzi jedynych w świecie, jednej duszy, rozumiejących się wzajemnie.

Anna Michajłowna, często bywająca u Karaginów, dotrzymywała towarzystwa matce, a jednocześnie skrupulatnie się wywiadywała, co Julie dostanie w posagu (dostawała oba majątki w penzeńskiej guberni i lasy niżegorodzkie). Ze wzruszeniem i poddaniem się woli Opatrzności Anna Michajłowna patrzyła na wyrafinowany smutek, który wiązał jej syna z bogatą Julie.

– *Toujours charmante et mélancolique, cette chère Julie*<sup>472</sup> – mówiła do córki. – Borys powiada, że w domu państwa odpoczywa duchowo. Tak wiele doznał rozczarowań i jest taki uczuciowy – mówiła do matki.

– Ach, kochanie, jakże przywiązałam się do Julie w ostatnich czasach – mówiła do syna – nawet nie potrafię ci opowiedzieć! Ba, któż by jej mógł nie kochać. To taka niezemska istota! Ach, Borysie, Borysie! – Milkła na chwilę. – I tak bardzo mi żal jej mamam – ciągnęła – dziś

<sup>466</sup> Drzewa wiejskie, wasze ciemne konary strząsają na mnie mrok i melancholie.

<sup>467</sup> Śmierć daje ocalenie i daje ukojenie. O! przed cierpieniem nie masz innego schronienia.

<sup>468</sup> Jest coś nieskończenie czarującego w uśmiechu melancholii.

<sup>469</sup> To promień światła w ciemności, odcień między bólem i rozpaczą, który wskazuje na możliwość pociechy.

<sup>470</sup> Trujący pokarmie zbyt tkliwej duszy,

Ty, bez której szczęście byłoby dla mnie niemożliwe,

Pieściwa melancholio, o, przyjdź mi pocieszyć,

Przyjdź, ukój mękę mej ponurej samotności

I dolej tajemnej słodyczy

Toczącym się łzom.

<sup>471</sup> Opowieść Mikołaja Karamzina (1766–1826).

<sup>472</sup> Nasza droga Julie zawsze czarująca i melancholijna.

pokazywała mi listy i sprawozdania z Penzy (mają ogromny majątek), a ona biedaczka, wciąż jest sama; tak ją oszukują!

Borys słuchając matki uśmiechał się ledwo dostrzegalnie. Drwił sobie łagodnie z jej dobroduszej przebiegłości, ale słuchał i czasami rozpytywał ją uważnie o dobra penzeńskie i niżegorodzkie.

Julia już dawno czekała na oświadczyzny swego melancholijnego adoratora i gotowa była je przyjąć: ale jakieś tajemne uczucie odrazy do niej, do jej namiętnego pragnienia wyjścia za mąż i do jej braku naturalności, uczucie strachu przed wyrzeczeniem się prawdziwej miłości powstrzymywało jeszcze Borysa. Urlop jego dobiegał końca. Cały czas, każdy boży dzień spędzał u Karaginów, co dzień bijąc się z myślami obiecywał sobie, że nazajutrz się oświadczy. Ale w obecności Julie, patrząc na jej czerwoną twarz i podbródek prawie zawsze obsypany pudrem, na jej wilgotne oczy i na wyraz jej twarzy zwiastujący ustawiczną gotowość natychmiastowego przejścia od melancholii do nienaturalnego entuzjazmowania się szczęściem małżeńskim, Borys nie mógł wyrzec decydującego słowa, mimo że w myślach już dawno się uważał za posiadacza penzeńskich i niżegorodzkich dóbr i rozporządzał dochodami z nich. Julie widziała niezdecydowanie Borysa i czasami przychodziło jej na myśl, że jest mu wstrętna; jednak kobieca próżność natychmiast podsuwała jej pociechę i Julie powiadała sobie, że jego skrępowanie wynika tylko z wstydlivej miłości. Jednak jej melancholia jęła przechodzić w rozdrażnienie; na krótko przed odjazdem Borysa Julie powzięła stanowczy plan. Akurat wtedy, kiedy się zakończył Borysowi urlop, w Moskwie i – rozumie się samo przez się – w salonie Karaginów zjawił się Anatol Kuragin. A Julie, porzuciwszy nagle melancholię, stała się nader wesoła i zajęta Kuraginem.

– *Mm cher* – rzekła Anna Michajłowna do syna – *je sais de bonne source que le prince Basile envoie son fils à Moscou pour lui faire épouser Julie.*<sup>473</sup> Ja tak Julie kocham, że byłoby mi jej żal. Jak sądzisz, kochanie? – zapytała Anna Michajłowna.

Myśl, że może zostać wystrychnięty na dudka, że na próżno stracił cały miesiąc ciężkiej, melancholijnej służby przy Julie, że zobaczy, jak wszystkie zaplanowane w jego wyobraźni i użyte należycie dochody z dóbr penzeńskich znajdują się w rękach innego – zwłaszcza zaś w rękach głupiego Anatola – myśl ta była dla Borysa zniewagą. Udał się do Karaginów ze stanowczym postanowieniem oświadczyzn. Julie powitała go z miną wesołą i niefrasobliwą, nie dbała opowiedziała, jak jej było wesoło na wczorajszym balu i pytała, kiedy wyjeżdża. Mimo że przybył z zamiarem mówienia o miłości i dlatego zamierzał być tkliwy, Borys z rozdrażnieniem jął mówić o niestałości kobiet: o tym, jak łatwo kobiety potrafią przechodzić od smutku do wesołości i że ich nastrój duchowy zależy od tego, kto się do nich zaleca. Julie obraziła się i oświadczyła, że to prawda, iż kobiecie potrzebna jest różnorodność, że wciąż jedno i to samo sprzykrzy się każdemu.

– Toteż ja bym pani radził... – już zaczął Borys pragnąc ją ukłuć; ale w tej chwili przyszła mu do głowy upokarzająca myśl, że może wyjechać z Moskwy nie osiągnąwszy celu i zmarnować swe wysiłki (co mu się nigdy nie zdarzało). Przerwał w pół zdania, spuścił oczy, żeby nie widzieć jej nieprzyjemnie rozdrażnionej i niepewnej twarzy i rzekł:

– Przybyłem tu bynajmniej nie po to, aby się z panią sprzeczać. Przeciwnie... – Spojrzał na nią, żeby się przekonać, czy można mówić dalej. Jej rozdrażnienie znikło nagle, a niespokojne, proszące oczy były skierowane na niego z chciwym oczekiwaniem. „Zawsze mogę się tak urządzić, żeby widywać ją rzadko – pomyślał Borys. – A rzecz została rozpoczęta i musi być dokończona!”. – Zarumienił się, spojrzął na nią i oświadczył: – Pani zna moje uczucia dla niej! – Więcej nie trzeba było mówić: twarz Julie promieniała triumfem i zadowoleniem z siebie; zmusiła jednak Borysa, by powiedział jej wszystko, co się w takich wypadkach mówi, by powiedział, że ją kocha i że nigdy żadnej tak nie kochał jak jej. Wiedziała, że za penzeńskie dobra i niżegorodzkie lasy ma prawo tego żądać – i otrzymała to, czego żądała.

<sup>473</sup> Mój drogi... wiem z dobrego źródła, że księżę Wasilij wysłał syna do Moskwy, aby go ożenić z Julie.

Narzeczeni, już nie wspominając o drzewach obsypujących ich mrokiem i melancholią, układali plany urządzenia w przyszłości wspaniałego domu w Petersburgu, składali wizyty i przygotowywali wszystko do świetnego wesela.



## VI

W końcu stycznia hrabia Ilia Andreicz przyjechał do Moskwy wraz z Nataszą i Sonią. Hrabina wciąż jeszcze była niezdrowa i nie mogła jechać, a nie sposób było czekać na jej wyzdrowienie: księcia Andrzeja spodziewano się w Moskwie z dnia na dzień; poza tym należało kupić wyprawę, należało sprzedać rezydencję podmoskiewską i trzeba było skorzystać z obecności w Moskwie starego księcia, ażeby mu przedstawić przyszłą synową. Dom Rostowów w Moskwie nie był opalany; poza tym przybyli na krótko, hrabiny z nimi nie było, toteż Ilia Andreicz postanowił zatrzymać się w Moskwie u Marii Dmitriewny Achrosimow, która już dawno ofiarowywała hrabiemu gościnę.

Późnym wieczorem cztery bryki Rostowów wjechały w podwórze domu Marii Dmitriewny na Starej Koniuszennej. Maria Dmitriewna mieszkała sama. Córkę wydała za mąż. Synowie pełnili służbę rządową.

Trzymała się ciągle tak samo prosto, również prosto, głośno i stanowczo wypowiadała wobec wszystkich swoje zdanie i całą swą istotą jak gdyby ganiła wszystkich pozostałych ludzi za wszelkie słabostki, namiętności i pasje, których nie uznawała. Od samego rana, w kaczce, zajmowała się gospodarstwem domowym, potem, gdy dzień był świąteczny, udawała się na nabożeństwo, a po nabożeństwie do aresztów i więzień, gdzie miała różne sprawy, o których nikomu nie mówiła; w dni powszednie, kiedy się już ubrała, przyjmowała petentów z różnych sfer, którzy przybywali do niej codziennie, potem zasiadała do obiadu; na obiedzie, zawsze obfitym i smacznym, było troje, czworo gości; po obiedzie rozgrywano partię bostona; przed snem kazała sobie czytać gazety i nowości książkowe, a sama robiła na drutach. Rzadko i wyjątkowo tylko wyjeżdżała z wizytami, a skoro wyjeżdżała, to jedynie do najważniejszych osobistości w mieście.

Jeszcze się nie położyła, kiedy przyjechali Rostowowie, a w sieniach zgrzytnęły drzwi wpuszczając z mrozu Rostowów i ich służbę. Maria Dmitriewna, w okularach spuszczonej na nos, z odrzuconą do tyłu głową, stała w drzwiach salonu i z miną surową i gniewną patrzyła na wchodzących. Można by pomyśleć, że jest rozgniewana na przyjezdnych i że zaraz ich wypędzi, gdyby zarazem nie wydawała służbie fraszliwych zarządzeń, gdzie umieścić gości i ich rzeczy.

– Hrabiego? Tutaj nieś – mówiła wskazując kufry i z nikim się nie witając. – Panny tu, na lewo. A wy czego się guzdrzecie! – krzyknęła na dziewczki. – Samowar nastawić! Przytyłaś, wyładniałaś – mówiła przyciągając do siebie za kapturek zarumienioną z zimna Nataszę. – Uf, jaka zimna! Rozbieraj się prędzej – krzyknęła na hrabiego, który chciał ucałować jej rękę. – Na pewnoś zmarzł. Podać rum do herbaty! *Bonjour*, Soniuszka – rzekła do Soni, tym francuskim powitaniem uwydatniając swój z lekka wzgardliwy, choć czuły stosunek do Soni.

Dopiero kiedy wszyscy, rozebrawszy się i doprowadziwszy toaletę do porządku po podróży, udali się na herbatę, wtedy Maria Dmitriewna wszystkich po kolei wyczuła.

– Z całego serca rada, żeście przyjechali i że się u mnie zatrzymacie – mówiła. – Już dawno pora... – powiedziała spojrzawszy znacząco na Nataszę – stary już tutaj, syna spodziewają się lada dzień. Musisz, koniecznie musisz go poznać. Ale o tym porozmawiamy później – dodała obrzuciwszy Sonię spojrzeniem, które mówiło, że przy niej nie chce o tym wspomni-

nać. – Teraz słuchaj – zwróciła się do hrabiego – co masz robić jutro? Po kogo pošlesz? Po Szynszyna? – zagięła jeden palec. – Płakę Annę Michajłownę – dwa. Jest tu z synem. Synek żeni się! Potem chyba Bezuchowa, co? Jest tu z żoną. Uciekł od niej, ale za nim przygalopowała.

W środę był u mnie na obiedzie. A te – wskazała na panny – zawiozę jutro do Matki Boskiej Iwerskiej, a potem do Ober-Szelmy zajedziemy. Chyba będziemy sprawiać wszystko nowe? Na mnie się nie zapatrujcie, dziś modne o, takie rękawy! Niedawno była u mnie młoda księżna Irena Wasiliewna; aż strach patrzeć – jakby dwa antałki wdziała na ręce. Dziś co dzień inna moda. A co u ciebie, jak twoje sprawy? – zwróciła się do hrabiego surowo.

– Wszystko zebrało się naraz – odpowiedział hrabia.

– Kupowanie fatalaszków, a w dodatku szukanie nabywcy na posiadłość podmoskiewską i na dom. Już jeśli łaska, to wybiorę odpowiedni dzionek i na ten jeden dzionek pojedę do Marjinska, a pani podrzucę dziewczęta.

– Dobrze, dobrze, u mnie nic im nie grozi. U mnie – jak w Radzie Opiekuńczej. I zawiozę je, gdzie należy, i skrzyczę, i popieszczę – rzekła Maria Dmitriewna dotykając swą dużą ręką policzka Nataszy, swej ulubienicy i chrześniaczki.

Nazajutrz rano Maria Dmitriewna zawiozła panny do cerkwi Iwerskiej i m-me Aubert Chalmé, która tak się bała Marii Dmitriewny, że zwykle odstępowała jej stroje ze stratą, byleby jak najprędzej się jej pozbyć. Maria Dmitriewna obstałowała prawie całą wyprawę. Kiedy wróciły, wypędziła wszystkich prócz Nataszy z pokoju i przywołała swą ulubienicę do swego fotela.

– A teraz porozmawiajmy. Winszuję ci narzeczonego. Złowiłaś chwata! Cieszę się z ciebie; a jego znam od takiego (pokazała na łokieć od ziemi). – Natasza poczerwieniała z uciechy. – I jego lubię, i całą jego rodzinę. Teraz słuchaj. Wiesz przecie, że stary książę Mikołaj bardzo nie chciał, żeby jego syn się żenił. Narowisty staruch! Wiadomo, książę Andrzej nie dziecko i bez niego się obejdzie, ale to niedobrze wchodzić w rodzinę wbrew woli ojca. Należy postępować spokojnie, z miłością. Tyś mądrała, potrafisz postąpić, jak należy. Postępuj dobrotliwie i z rozumem, a wszystko będzie w porządku.

Natasza milczała; jak Maria Dmitriewna sądziła – przez wstydlivość, ale w gruncie rzeczy Nataszy było nieprzyjemnie, że mieszano się do sprawy miłości jej z księciem Andrzejem, która to sprawa wydawała się jej całkiem inna od wszystkich ludzkich spraw, wydawała się jej taka, że nikt wedle jej pojęcia nie mógł jej zrozumieć. Kochała i znała jednego tylko księcia Andrzeja, on ją kochał, powinien lada dzień przyjechać i wziąć ją. Nic więcej nie było jej trzeba.

– Widzisz, znam go dawno i Maszeńkę, twoją szwagierkę, kocham. Szwagierka – megierka, ale ta muchy nawet nie skrzywdzi. Prosiła mnie, żebym ją z tobą spiknęła. Jutro pojedziesz do niej z ojcem, a przymil się dobrze; jesteś młodsza od niej. Skoro twój przyjedzie, już będziesz się znała z siostrą i z ojcem, już cię będą kochali. Tak czy nie? Tak będzie lepiej, prawda?

– Lepiej – niechętnie odpowiedziała Natasza.

## VII

Za radą Marii Dmitriewny nazajutrz hrabia Ilia Andreicz pojechał z Nataszą do księcia Mikołaja Andreicza. Hrabia w niewesołym usposobieniu wybierał się na tę wizytę: w duszy czuł strach. Hrabiemu Ilii Andreiczowi pamiętne było ostatnie spotkanie z księciem podczas pospolitego ruszenia, kiedy w odpowiedzi na zaproszenie na obiad otrzymał od księcia ostrą reprimendę za niedostarczanie ludzi. Natasza – wprost przeciwnie – ubrana w swą najlepszą suknię, była w jak najweselszym nastroju. „Nie może być, żeby mnie nie pokochali – myślała – mnie zawsze wszyscy kochali. A ja jestem gotowa zrobić dla nich wszystko, cokolwiek zapragną, gotowa jestem pokochać go za to, że jest jego ojcem, a ją za to, że jest jego siostrą, a oni nie mają powodu, żeby mnie nie kochać!”

Zajechali przed stary, ponury dom na Wozdwiżence i weszli do sieni.

– No, Boże, miej nas w swojej opiece – rzekł hrabia na pół żartem, na pół serio; wszelako Natasza zauważyła, że ojciec zbyt spiesznie wszedł do sieni i zapytał nieśmiało i cicho, czy książę i księżniczka są w domu. Kiedy zameldowano o ich przybyciu, wśród służby księcia powstał popłoch. Lokaja, który pobiegł ich zameldować, zatrzymał w salonie inny lokaj i obaj coś ze sobą szeptali. Do salonu wbiegła pokojówka i też mówiła coś z pośpiechem wspominając o księżniczce. Wreszcie wyszedł jakiś lokaj z gniewną twarzą i oznajmił Rostowom, że książę przyjąć nie może, a księżniczka prosi do siebie. Pierwsza na powitanie gości wyszła m-lle Bourienne. Z osobliwą uprzejmością powitała ojca i córkę i zaprowadziła ich do księżniczki. Księżniczka, ze wzburzoną i przerażoną twarzą, pokrytą wypiekami, ciężkim krokiem wyszła do gości i na próżno usiłowała wydać się swobodną i serdeczną. Natasza od pierwszego wejrzenia nie spodobała się księżniczce Marii. Wydała się jej zbyt strojna, lekkomyślnie wesoła i próżna. Księżniczka Maria nie wiedziała, że już przedtem, nim ujrzała swą przyszłą bratową, była źle do niej usposobiona przez mimowolną zawiść o jej urodę, młodość i szczęście oraz z zazdrości o miłość swego brata. Poza tym nieprzewyciężonym uczuciem antypatii do niej księżniczka Maria była wzburzona jeszcze tym, że książę, gdy mu oznajmiono przybycie Rostowów, zawołał, że ich nie potrzebuje, że niech księżniczka Maria ich przyjmie, skoro chce, a do niego żeby ich nie wpuszczano. Księżniczka Maria postanowiła przyjąć Rostowów, ale bała się, że książę w każdej chwili może zrobić jakiś wybryk, ponieważ był bardzo wzburzony ich przybyciem.

– Droga księżniczko, przywiozłem pani moją śpiewaczkę – rzekł hrabia szurając nogą i oglądając się niespokojnie, jakby w obawie, czy nie wejdzie stary książę. – Jakżem rad, żeście się poznały... Szkoda, wielka szkoda, że książę ciągle niezdrów. – I powiedziawszy jeszcze kilka ogólnych frazesów wstał. – Jeśli księżniczka pozwoli, to na kwadransik podrzucę jej Nataszę, a sam udam się niedaleko, na Sobaczą Płuszczadkę, do Anny Siemionowny i wrócę po nią.

Ilia Andreicz obmyślił ten dyplomatyczny wybieg, aby przyszłej szwagierce dać możliwość swobodnego porozumienia się z bratową (tak potem córce powiedział), a poza tym jeszcze i dlatego, by uniknąć spotkania ze starym księciem, którego się bał. Tego córce nie powiedział, ale Natasza zrozumiała ów strach i niepokój ojca i poczuła się dotknięta. Zaczerwieniła się, jeszcze bardziej się zgniewała, że się zaczerwieniła, i spojrzała na księżniczkę śmiałym, wy-

zywającym spojrzeniem, mówiąc jak gdyby, że nikogo się nie boi. Księżniczka powiedziała hrabiemu, że bardzo się cieszy i prosi tylko, by jak najdłużej zabawił u Anny Siemionowny. Ilija Andreicz wyszedł.

M-lle Bourienne, mimo niespokojne spojrzenia rzucone jej przez księżniczkę Marię, która chciała pomówić z Nataszą w cztery oczy – nie wychodziła z pokoju i nieugięcie prowadziła rozmowę o moskiewskich rozrywkach i teatrach. Natasza była obrażona z powodu zamętu w sieniach, niepewności swego ojca i nienaturalnego tonu księżniczki, która – jak jej się zdawało – robiła łaskę przyjmując ją. I dlatego wszystko było jej niemiłe. Księżniczka Maria nie podobała się jej. Wydawała się jej bardzo brzydka, obłudna i oschła. Natasza nagle zjeżyła się moralnie i mimo woli przybrała niedbały ton, który jeszcze bardziej odpychał od niej księżniczkę Marię. Po pięciu minutach ciężkiej, nienaturalnej rozmowy dobiegły ją szybkie kroki w pantoflach. Na twarzy księżniczki Marii odbiło się przerażenie, drzwi do pokoju otworzyły się i wszedł książę w białej szlafmocy i w szlafroku.

– Ach, łaskawa pani – zaczął – łaskawa pani, hrabianka... hrabianka Rostow, jeśli się nie mylę... proszę wybaczyć, wybaczyć... nie wiedziałem, łaskawa pani. Bóg widzi, że nie wiedział, iż pani zaszczyliła nas odwiedzinami, zaszedłem do córki w takim stroju. Proszę wybaczyć... Bóg widzi, że nie wiedział – powtórzył tak nienaturalnie akcentując słowo „Bóg” i tak nieprzyjemnie, że księżniczka Maria stała ze spuszczonej oczami nie śmiąc spojrzeć ani na ojca, ani na Nataszę. Natasza wstała, dygnęła i również nie wiedziała co ma robić. Tylko m-lle Bourienne uśmiechała się przyjemnie.

– Proszę darować, proszę darować! Bóg widzi, że nie wiedział – burknął stary i obejrzawszy Nataszę od stóp do głów wyszedł. M-lle Bourienne pierwsza odzyskała kontenans po tym zjawieniu się księcia i wszczęła rozmowę o jego niedyspozycji. Natasza i księżniczka Maria w milczeniu patrzyły na siebie, a im dłużej patrzyły milcząc i nie wypowiadając tego, co powinny były wypowiedzieć, tym nieżyczliwiej myślały o sobie wzajemnie.

Kiedy hrabia powrócił, Natasza niegrzecznie ucieszyła się z jego powrotu i czym prędzej zebrała się do wyjścia: w tej chwili nienawidziła niemal tej starej, oschłej księżniczki, która mogła postawić ją w tak krępującej sytuacji i spędzić z nią pół godziny nie powiedziawszy ani słowa o księciu Andrzeju. „Przecie nie mogłam pierwsza zacząć o nim mówić przy tej Francuzeczce” – myślała Natasza. Tymczasem księżniczkę Marię dręczyło to samo. Wiedziała, co powinna była powiedzieć Nataszy, ale nie mogła tego zrobić i dlatego, że przeszkadzała jej m-lle Bourienne, i dlatego, że sama nie wiedziała, czemu jej tak ciężko mówić o tym małżeństwie. Kiedy hrabia wychodził już z pokoju, księżniczka Maria szybkim krokiem podeszła do Nataszy, wzięła ją za rękę i westchnąwszy ciężko rzekła: „Proszę zaczekać, muszę...” Natasza patrzyła na księżniczkę Marię drwiąco, sama nie wiedząc czemu.

– Droga Natalie – rzekła księżniczka Maria – chcę by pani wiedziała, iż cieszę się, że brat znalazł szczęście...

– Urwała czując, że mówi nieprawdę. Natasza spostrzegła tę pauzę i zrozumiała jej przyczynę.

– Uważam, księżniczko, że teraz nie wypada mówić o tym – odrzekła Natasza z pozorną godnością i chłodem, ale i ze łzami, które czuła w gardle.

„Com ja powiedziała, com ja narobiła!” – pomyślała, jak tylko wyszła z pokoju.

Tego dnia długo czekano, zanim Natasza zeszła na obiad. Siedziała w swym pokoju i płakała jak dziecko, siąkając nosem i pochlipując. Sonia stała nad nią i całowała ją we włosy.

– Natasza, czemu płaczesz? – mówiła. – Co oni ciebie obchodzą? Wszystko minie, Natasza.

– Nie, gdybyś ty wiedziała, jakie to obraźliwe... jak gdybym ja...

– Nie mów, Natasza, przecie nie jesteś winna, więc co cię to obchodzi? Pocałuj mnie – powiedziała.

Natasza podniosła głowę, pocałowała w usta przyjaciółkę i przytuliła do niej moką twarz.

– Nie wiem doprawdy, nie wiem. Nikt nie winien – mówiła Natasza – ja jestem winna. Ale to wszystko jest strasznie bolesne. Ach, czemuż on nie przyjeżdża!...

Z zaczerwienionymi oczami przyszła na obiad. Maria Dmitriewna, wiedząc, jak ksiązę przyjął Rostowów, udała, że nie dostrzega wzburzenia na twarzy Nataszy, głośno i pewnym tonem żartowała przy stole z hrabią i innymi gośćmi.

## VIII

Owego wieczora Rostowowie pojechali do opery, na którą Maria Dmitriewna dostała bilety.

Natasza nie miała chęci jechać, wszelako nie można się było wymówić od uprzejmości Marii Dmitriewny, uprzejmości, przeznaczonej wyłącznie dla niej. Kiedy Natasza, już ubrana, weszła do salonu i czekając na ojca przejrzała się w dużym lustrze, zobaczyła, że jest ładna, bardzo ładna, i zrobiło się jej jeszcze smutniej; ale był to smutek słodki i czuły.

„Mój Boże, gdyby on był tutaj, to już nie tak jak przedtem, z jakąś głupią bojaźnią przed czymś, ale inaczej, po prostu objęłabym go, przytuliła się do niego, zmusiłabym go, aby patrzył na mnie tymi badawczymi, ciekawymi oczyma, jakimi często patrzył na mnie, a potem zmusiłabym go, aby się śmiał, jak śmiał się wówczas, i jego oczy... jak ja widzę te oczy! – rozmyślała Natasza. – A co mi do jego ojca i siostry, Kocham jego jednego, jego, jego, tę jego twarz i oczy, jego uśmiech męski, a zarazem dziecinny... Nie, lepiej o tym nie myśleć, nie myśleć, zapomnieć, zupełnie teraz zapomnieć. Nie zniosę tego oczekiwania, zaraz się rozplaczę – i odeszła od lustra usiłując zapanować nad sobą i nie rozplakać się. – Jak Sonia może tak równo, spokojnie kochać Nikoleńkę i czekać na niego tak długo i cierpliwie! – pomyślała patrząc na wchodzącą Sonię, też już ubraną, z wachlarzem w ręku. – Och, ona jest zupełnie inna. Ja nie mogę!”

Natasza czuła w sobie w tej chwili takie rozmarzenie i tkliwość, że nie wystarczyło jej kochać i wiedzieć, że jest kochana: pragnęła zaraz, natychmiast uścisnąć ukochanego człowieka i mówić, i słyszeć od niego słowa miłości, których jej serce było pełne. Kiedy siedziała w karecie obok ojca i w zamyśleniu spoglądała na migocące w zamarznętym oknie światła latarni, czuła się jeszcze bardziej zakochana i smutna i zapomniała, z kim i dokąd jedzie. Karetą Rostowów znalazła się w sznurze innych pojazdów i powoli skrzypiąc kołami po śniegu, zajeżdżała przed teatr. Natasza i Sonia wyskoczyły spiesznie, unosząc suknie, hrabia wysiadł podtrzymywany przez lokajów i wśród wchodzących pań i panów oraz wśród sprzedawców programów wszyscy troje weszli do korytarza łoży. Spoza uchylonych drzwi już słyszeć było dźwięki muzyki.

– *Natalie, vos cheveux*<sup>474</sup> – szepnęła Sonia. Odźwierny grzecznie i szybko prześliznął się przed paniami i otworzył drzwi do łoży. Muzyka stała się wyraźniejsza, błysnęły oświetlone rzędy łoż, obnażone ramiona i ręce pań i gwarny parter lśniący od mundurów. Dama wchodząca do sąsiedniej łoży obrzuciła Nataszę niewieścim, zawistnym spojrzeniem. Kurtyny jeszcze nie podnoszono, grano uwerturę.

Natasza poprawiając suknię weszła razem z Sonią i usiadła przyglądając się oświetlonym rzędom przeciwległych łoż. Ogarnęło ją z nagłą dawno już nie doznawane uczucie, zarazem przyjemne i nieprzyjemne, że setki oczu patrzą na jej obnażone ręce i szyję, i wywołało cały rój wspomnień, pragnień i wzruszeń.

Dwie nadzwyczaj urodziwe panny, Natasza i Sonia, w towarzystwie hrabiego Ilii Andreicza, którego dawno nie widziano w Moskwie, zwróciły na siebie ogólną uwagę. Poza tym

---

<sup>474</sup> Natalio, twoje włosy.

wszyscy coś niecoś wiedzieli o zaręczynach Nataszy z księciem Andrzejem, wiedzieli, że od tego czasu Rostowowie mieszkali na wsi, i z ciekawością patrzyli na narzeczoną jednego z najświetniejszych w Rosji konkurentów.

Natasza wyładniała na wsi, wszyscy jej to mówili, a owego wieczora dzięki swemu podnieceniu była szczególnie ładna. Zdumiewała pełnią życia i urody w połączeniu z obojętnością na wszystko, co ją otaczało. Jej czarne oczy patrzyły na tłum, nikogo nie szukając, a szczupła, obnażona powyżej łokcia ręka, wsparta o aksamitną poręcz, widać nieświadomie zamykała się i rozwierała w takt uwertury i miała program.

– Patrz, to panna Alenin – mówiła Sonia – zdaje się, że z matką!

– Święci Pańscy! Michał Kiryłycz jeszcze utył! – mówił stary hrabia.

– Patrzcie! Nasza Anna Michajłowna w jakim toczku!

– Karaginowie. Julie i Borys z nimi. Od razu widać, że to narzeczeni.

– Drubecki oświadczył się! Dziś się o tym dowiedziałem – rzekł Szynszyn wchodząc do łoży Rostowów.

Natasza spojrzała w tym kierunku, w którym patrzył ojciec, i zobaczyła, że Julie z perłami na tłustej czerwonej szyi (Natasza wiedziała, że obsypanej pudrem) siedzi z wyrazem szczęścia obok matki.

Za nimi widać było ładną, gładko uczesaną głowę Borysa, który z uśmiechem nachylał ucho do ust Julie. Patrzył spod oka na Rostowów i uśmiechając się mówił coś do swej narzeczonej.

„Mówią o nas, o mnie i o nim! – pomyślała Natasza. – A on pewnie uspokaja narzeczoną, która jest o mnie zazdrosna. Niepotrzebnie się martwi! Gdyby wiedzieli, jak mnie nic nie obchodzi”.

Z tyłu siedziała Anna Michajłowna w zielonym toczku, z twarzą szczęśliwą, odświętną, z wyrazem poddania się woli boskiej. W ich łoży panowała owa atmosfera narzeczeństwa, którą Natasza tak dobrze знаła i lubiła. Odwróciła się i wszystko, co w jej porannej wizycie było poniżającego, przypomniało się jej zniecka.

„Jakie on ma prawo, że nie chce mnie przyjąć do swej rodziny? Ach, lepiej o tym nie myśleć aż do jego przybycia!” – powiedziała sobie i zaczęła się przyglądać osobom znajomym i nieznanym, znajdującym się na parterze. Na przedzie, w samym środku, wsparty łokciami i plecami o rampę stał w perskim stroju Dołochow, z ogromną, do góry zaczesaną kopą kędzierzawych włosów. Stał na widoku wiedząc, że zwraca na siebie uwagę całej sali, ale równie swobodny, jak u siebie w pokoju. Wokół niego tłoczyła się świetna młodzież moskiewska, a on najwidoczniej wodził rej wśród nich.

Hrabia Ilia Andreicz uśmiechnął się i szturchnął zarumienioną Sonię pokazując jej dawnego wielbiela.

– Poznałaś? – zapytał. – Skąd on się wziął? – zwrócił się hrabia do Szynszyna. – Przecież gdzieś się zapodział?

– Zapodział – odparł Szynszyn. – Był na Kaukazie, stamtąd uciekł i, jak powiadają, był w Persji ministrem jakiegoś udzielnego księcia, zabił tam brata szacha; no, wszystkie panny moskiewskie tracą dla niego głowy! *Dolochoff le Persan*,<sup>475</sup> i basta. U nas obecnie nic się nie dzieje bez Dołochowa, przysięgają na niego, zapraszają na niego jak na sterleta – mówił Szynszyn. – Dołochow i Anatol Kuragin doprowadzają do wariacji wszystkie panny.

Do sąsiedniej łoży weszła wysoka, piękna pani z olbrzymim warkoczem i bardzo obnażonymi białymi, pełnymi ramionami i szyją, na której miała podwójny sznur dużych pereł; pani długo się sadowiła szeleszcząc suknią z grubego jedwabiu.

Natasza mimo woli przyglądając się tej szyi, ramionom, perłom, uczesaniu, zachwycała się pięknnością ramion i pereł. Kiedy już po raz drugi spojrzała na nią, pani obejrzała się, a kiedy jej oczy spotkały się z oczami hrabiego Ilia Andreicza, skinęła mu głową i uśmiechnęła się.

---

<sup>475</sup> Pers.

Była to hrabina Bezuchow, żona Pierre'a. Ilia Andreicz, który znał wszystkich w świecie, przechylił się i wszczął z nią rozmowę.

– Hrabina dawno raczyła przyjechać? – zaczął.

– Przyjdę, przyjdę ucałować rączki. A ja przybyłem za interesami i przywiozłem ze sobą moje dziewczęta. Powiadają, że Siemionowa<sup>476</sup> gra zdumiewająco – mówił Ilia Andreicz.

– Hrabia Piotr Kiriłowicz nigdy o nas nie zapominał. Czy jest tutaj?

– Tak, miał wstąpić – rzekła Héléne i uważnie popatrzyła na Nataszę.

Hrabia Ilia Andreicz znów usiadł na swym miejscu.

– Prawda, że ładna? – rzekł szeptem do Nataszy.

– Cudowna! – odrzekła Natasza – można się w niej zakochać! – W tym czasie rozbrzmiały ostatnie akordy uwertury i kapelmistrz zastukał pałeczką. Na parterze zajęli miejsca spóźniający się mężczyźni i kurtyna poszła w górę.

Jak tylko kurtyna się podniosła, w lożach i na parterze wszyscy umilkli, wszyscy mężczyźni, starzy i młodzi, w mundurach i frakach, wszystkie kobiety w drogocennych kamieniach na obnażonym ciele, z chciwym zaciekawieniem zwrócili całą swą uwagę na scenę. Natasza również zaczęła patrzeć.

---

<sup>476</sup> Katarzyna Siemionowa (1786–1847)-wybitna aktorka, debiutowała w r. 1803.



## IX

Na środku sceny były równe deski, z obydwóch stron stały malowane tektury wyobrażające drzewa, z tyłu było płótno rozciągnięte na deskach. W środku sceny siedziały panny w czerwonych stanikach i białych spódnicach. Jedna, bardzo tęga, w białej jedwabnej sukni, siedziała osobno na niskiej ławeczce, za którą był przyklejony zielony karton. Wszystkie coś śpiewały. Kiedy skończyły, panna w bieli zbliżyła się do budki suflera, a do panny podszedł mężczyzna w jedwabnych spodniach, opiętych na grubych nogach, z piórkiem i sztyletem i zaczął śpiewać i rozkładać ręce.

Mężczyzna w obcisłych spodniach zaśpiewał sam, potem śpiewała ona. Potem oboje zamilkli, zagrała muzyka, mężczyzna jął przebierać palcami po ręce panny w białej sukni, widocznie czekał na takt, żeby zacząć swą partię razem z nią. Zaśpiewali oboje, wszyscy w teatrze jęli klaskać i krzyżeć, a mężczyzna i kobieta na scenie, którzy przedstawiali zakochanych, jęli kłaniać się wśród uśmiechów i rozkładania rąk.

Po przyjeździe ze wsi i w tym poważnym nastroju, w jakim się Natasza znajdowała, wszystko to było dla niej niezwykle i zadziwiające. Nie mogła śledzić przebiegu opery, nie mogła nawet słuchać muzyki: widziała tylko malowane tektury, dziwnie wystrojonych mężczyzn i kobiety, poruszających się dziwnie w jaskrawym świetle, rozmawiających i śpiewających: wiedziała, co to wszystko miało wyobrażać, ale było to tak wymizdrzone, fałszywe i nienaturalne, że ogarniał ją wstyd za aktorów i chciało jej się śmiać. Rozglądała się szukając na twarzach widzów tego samego uczucia drwiny i zdziwienia, jakie było w niej; wszelako wszystkie twarze pilnie uważały na to, co się dzieje na scenie, i jak się Nataszy wydawało, wyrażały udany zachwyt. „Widocznie tak należy!” – myślała Natasza. Patrzyła na przemian to na rzędy wypomadowanych głów na parterze, to na obnażone kobiety w łóżach, a szczególnie na swą sąsiadkę Hélène, która, całkowicie rozebrana, uśmiechała się spokojnie i nie spuszczała oczu ze sceny, czując jaskrawe światło rozlane po całej sali i ciepłe powietrze nagrzane przez tłum. Po trosze Natasza zaczęła wpadać w stan oszołomienia, w jakim już dawno się nie znajdowała. Nie pamiętała, gdzie jest, co się z nią dzieje. Patrzyła i rozmyślała, w głowie przesuwaly się najdziwniejsze myśli, niespodziewane, bez związku. To przychodziło jej do głowy, by wskoczyć na rampę i zaśpiewać tę arię, którą śpiewała aktorka, to znów zaczepić wachlarzem staruszka siedzącego niedaleko niej, to znów przechylić się i połaskotać Hélène.

W pewnej chwili, kiedy wszystko na scenie ucichło w oczekiwaniu początku arii, skrzypnięty drzwi wejściowe na parterze z tej strony, gdzie była łoża Rostowów, i rozległy się kroki spóźnionego mężczyzny. „Otóż i Kuragin!” – szepnął Szynszyn. Hrabina Bezuchow, uśmiechnięta, odwróciła się do wchodzącego. Natasza spojrzała w kierunku wzroku hrabiny Bezuchow i ujrzała niezwykle urodziwego adiutanta, który z pewnym siebie, a zarazem uprzejmym wyrazem twarzy zbliżał się do ich łoży. Był to Anatol Kuragin, którego już dawniej zauważyła na balu w Petersburgu. Był teraz w mundurze adiutanta – z jednym naramieniem i akselbantem. Szedł krokiem dyskretnie chwackim, co byłoby śmieszne, gdyby Anatol nie był tak przystojny i gdyby piękna twarz nie miała wyrazu tak dobrodusznego zadowolenia i radości. Pomimo że już na scenie grano, szedł elastycznym krokiem po dywanie przeje-

ścia, bez pośpiechu, pobrzękując lekko ostrogami i szablą, unosząc wysoko a polotnie piękną, nieperfumowaną głowę. Spojrzawszy na Nataszę, zbliżył się do siostry, położył rękę obciążoną w rękawiczkę na brzegu jej łoża, potrząsnął głową, pochylił się i zapytał o coś wskazując Nataszę.

– *Mais charmante!*<sup>477</sup> – powiedział widocznie o Nataszy, która nie tyle usłyszała to, ile zrozumiała po ruchu jego warg. Potem przeszedł do pierwszego rzędu i usiadł obok Dołochowa, po przyjacielsku i niedbale szturchnąwszy łokciem owego Dołochowa, o którego względy inni tak zabiegali. Mrugnął wesoło, uśmiechnął się do niego i wsparł nogę na rampie.

– Jakie podobieństwo między bratem a siostrą! – rzekł hrabia. – Jacy oboje ładni.

Szynszyn ją półgłosem opowiadać hrabiemu historię jakiejś awanturki Kuragina w Moskwie, Natasza zaś przysłuchiwała się tylko dlatego, że powiedział o niej *charmante*.

Pierwszy akt skończył się, na parterze widzowie wstali, przemieszali się, zaczęli chodzić i wychodzić.

Borys przyszedł do łoża Rostowów, bardzo naturalnie przyjął gratulacje i uniósłszy brwi, z roztargnionym uśmiechem przekazał Nataszy i Soni prośbę narzeczonej, żeby były na jej weselu, i wyszedł. Natasza z wesołym i zalotnym uśmiechem rozmawiała z nim i gratulowała małżeństwa temu Borysowi, w którym kiedyś była zakochana. W tym stanie upojenia, w jakim się znajdowała, wszystko się wydawało proste i naturalne.

Obnażona Hélène siedziała obok niej i uśmiechała się do wszystkich jednakowo; i Natasza tak samo uśmiechnęła się do Borysa.

Łoża Hélène wypełniła się i została otoczona od strony parteru przez najbardziej znanych i rozumnych mężczyzn, którzy, jak się zdawało, na wyścigi chcieli pokazać wszystkim, że się z nią znają.

Przez cały ten antrakt Kuragin stał z Dołochowem przed rampą i patrzył na łożę Rostowów. Natasza wiedziała, że rozmawia o niej, i sprawiało jej to przyjemność. Odwróciła się nawet w ten sposób, żeby widział jej profil w najkorzystniejszej, wedle niej, pozycji. Przed rozpoczęciem drugiego aktu na parterze ukazała się postać Pierre'a, którego Rostowowie jeszcze nie widzieli od przyjazdu. Twarz miał smutną i utył od czasu, kiedy go Natasza widziała po raz ostatni. Nikogo nie dostrzegając Pierre szedł od pierwszych rzędów. Anatol zbliżył się do niego i jął coś mówić wskazując łożę Rostowów. Pierre zobaczywszy Nataszę ożywił się i spieszenie między rzędami krzesel skierował się do ich łoża. Kiedy już się zbliżył, wsparł się łokciami i uśmiechnięty, długo rozmawiał z Nataszą. Podczas swej rozmowy z Pierre'em Natasza usłyszała w łożu hrabiny Bezuchow męski głos i poznała jakoś, że to był Kuragin. Obejrzała się i spotkała jego wzrok. Omal że uśmiechnięty patrzył jej prosto w oczy tak zachwyconym, pieszczotliwym wzrokiem, iż zdawało się dziwne być tak blisko niego, tak na niego patrzeć, mieć pewność, że się mu podoba, a nie znać go.

W drugim akcie były obrazy przedstawiające pomniki i była dziura w płótnie wyobrażająca księżyc, abażury na rampie podniesiono, trąby oraz kontrabasy zagrały w basie, a z prawej strony i lewej wyszło dużo ludzi w czarnych oponczach. Ludzie zaczęli wywijać rękami, a w dłoniach mieli coś w rodzaju sztyletów; potem przybiegli jeszcze jacyś ludzie i zaczęli wlec ową pannę, która przedtem była w sukni białej, a teraz w błękitnej. Nie zabrali jej od razu, ale najpierw z nią śpiewali, a dopiero potem ją wywlekli, za kulisami trzy razy uderzono w coś metalowego, wszyscy uklękli i zaśpiewali modlitwę. Kilkakrotnie wszystko to było przerywane okrzykami zachwyconych widzów.

Kiedy podczas tego aktu Natasza spoglądała na parter, za każdym razem widziała Anatola Kuragina, który przerwawszy rękę przez oparcie fotela patrzył na nią. Przyjemnie jej było widzieć, że został przez nią tak ujarzmiony, i nie przychodziło jej nawet do głowy, by w tym było coś złego.

---

<sup>477</sup> Ależ czarująca!

Kiedy drugi akt się skończył, hrabina Bezuchow wstała, obróciła się do łoży Rostowów (piers miała całkowicie obnażoną) i paluszkami w rękawiczce przywołała do siebie starego hrabiego. Nie zwracając uwagi na osoby, które weszły do jej łoży, uprzejmie uśmiechnięta wszczęła z nim rozmowę.

– Ależ proszę mnie poznać ze swymi czarującymi córkami – powiedziała. – Przecie całe miasto o nich mówi, a ja ich nie znam.

Natasza wstała i dygnęła przed wspaniałą hrabiną. Pochwała tej świetnej piękności tak była przyjemna Nataszy, że zarumieniła się z ukontentowania.

– Teraz i ja pragnę stać się moskwiczanką – mówiła Héléne. – Jak panu nie wstyd, takie perły zagrzebać na wsi!

Hrabina Bezuchow usprawiedliwiała swą reputację kobiety czarującej. Mogła mówić, czego nie myślała, a szczególnie schlebiać całkiem po prostu i naturalnie.

– Nie, drogi hrabio, pozwól mi zająć się pańskimi córkami. Chociaż obecnie jestem tu nie na długo. Państwo również. Postaram się rozerwać panienki. Jeszcze w Petersburgu dużo słyszałam o pani i pragnęłam ją poznać – oznajmiła Nataszy ze swym jednostajnie ładnym uśmiechem. – Słyszałam o pani i od mego pazia, Drubeckiego – wie pani, że on się żeni? – i od przyjaciela mego męża, Bołkońskiego, księcia Andrzeja Bołkońskiego – rzekła ze szczególną intonacją, robiąc w ten sposób aluzję, że zna jego uczucia dla Nataszy. Poprosiła, by w celu lepszego poznania się jedna z panien posiedziała w jej łoży przez resztę spektaklu, i Natasza przeszła do niej.

W trzecim akcie scena przedstawiała pałac, w którym płonęło mnóstwo świec i były rozwieszane obrazy wyobrażające rycerzy z bródkami. W środku stali zapewne król i królowa. Król pomachał prawą ręką i najwidoczniej stremowany zaśpiewał coś kiepsko i usiadł na malinowym tronie. Panna, która była z początku w białej sukni, potem w błękitnej, teraz była tylko w koszuli i z włosami rozpuszczonymi stała przy tronie. Śpiewała o czymś smutno, zwracając się do królowej; ale król machnął srogo ręką, z obu stron wyszli mężczyźni z gołymi nogami i wszyscy razem zaczęli tańczyć. Potem skrzypce zagrały bardzo cienko i wesoło, jedna z panien z gołymi grubymi nogami i chudymi rękoma wyszła za kulisy, poprawiła stanik, wyszła na środek i jęła podskakiwać i szybko uderzać jedną nogą o drugą. Wszyscy na parterze zaklaskali w ręce i krzyknęli brawo. Potem jeden z mężczyzn stanął w kącie. W orkiestrze głośniej odezwały się trąby i cymbały, a ten mężczyzna z gołymi nogami jął podskakiwać bardzo wysoko i przebierać nogami. (Tym mężczyzną był Duport, który za tę umiejętność pobierał sześćdziesiąt tysięcy rocznie.) Wszyscy na parterze, w łóżach i na galerii jęli klaskać i krzyczeć z całych sił, a mężczyzna stanął, jął się uśmiechać i kłaniać na wszystkie strony. Potem jeszcze inni tańczyli, mężczyźni z gołymi nogami i kobiety, potem znów ktoś z pary królewskiej krzyknął coś w takt muzyki i wszyscy zaczęli śpiewać. Ale z nagłą zrobiła się burza, w orkiestrze rozległy się chromatyczne gamy i akordy zmniejszonej septymy, wszyscy podbiegli i znów jednego z obecnych wywleczono za kulisy i kurtyna opadła. Znów wśród widzów powstała straszna wrzawa i szum i wszyscy jęli krzyczeć z zachwyconymi twarzami:

– Duport! Duport! Duport!

Natasza już nie uważała tego za dziwaczne. Rozglądała się wokół z zadowoleniem, uśmiechnięta radośnie.

– *N'est-ce pas qu'il est admirable, Duport?*<sup>478</sup> – rzekła Héléne zwracając się do niej.

– *Oh, oui*<sup>479</sup> – powiedziała Natasza.

<sup>478</sup> Duport jest zachwycający, prawda?

<sup>479</sup> O, tak.

## X

W antrakcie w łoży Hélène powiało chłodem, drzwi się otworzyły i pochylając się, starając się o nikogo nie zawadzić, wszedł Anatol.

– Pozwól, hrabianko, że przedstawię jej swego brata – rzekła Hélène, przebiegając niespokojnie wzrokiem z Nataszy na Anatola. Przez obnażone ramię Natasza zwróciła swą ładniutką główkę do pięknisia i uśmiechnęła się. Anatol, z bliska równie ładny jak i z daleka, usiadł obok niej i oświadczył, że już dawno pragnął mieć przyjemność być jej przedstawiony, jeszcze od czasu balu u Naryszkinów, na którym miał przyjemność, o czym nie zapomniał, widzieć ją. Z kobietami Kuragin był o wiele mądrzejszy i prostszy niż w towarzystwie mężczyzn. Mówił śmiało i prosto, a Nataszę dziwnie i przyjemnie zaskoczyło to, że w tym czło-wieku, o którym tak dużo opowiadano, nie było nic straszego, przeciwnie, miał jak najbardziej naiwny, wesoły i dobroduszny uśmiech.

Kuragin zapytał ją o wrażenia ze spektaklu i opowiedział jej, że na poprzednim przedsta-wieniu Siemionowa upadła podczas gry.

– Hrabianko, wie pani – rzekł zwracając się do niej znienacka jak do starej znajomej – urządzamy wentę kostiumową, powinna pani w tym wziąć udział: będzie bardzo wesoło. Wszyscy zbierają się u Archarowów. Zechce pani przyjechać, prawda? – powiedział.

Mówiąc to nie spuszczał uśmiechniętych oczu z twarzy, z szyi, z obnażonych rąk Nataszy. Natasza wiedziała z całą pewnością, że jest nią zachwycony. Było jej przyjemnie, jednakże w jego obecności czuła jakieś przygnębienie i skrępowanie. Kiedy na niego patrzyła, wiedziała, że patrzy na jej ramiona, i mimo woli przechwytywała jego spojrzenia, chcąc, by raczej pa-trzył jej w oczy. Ale patrząc mu w oczy czuła z przerażeniem, że między nim a nią zupełnie nie istnieje ta przegroda wstydlivości, jaką zawsze czuła między sobą a innymi mężczyznami. Po upływie pięciu minut, sama nie wiedząc jak, poczuła się przerażająco bliska temu człowiekowi. Kiedy się odwracała, ogarniał ją lęk, by z tyłu nie ujął jej za obnażoną rękę i nie pocałował w szyję. Rozmawiali o rzeczach najzwyczajniejszych, a jednak czuła, że są sobie tak bliscy, jak nigdy nie była z mężczyzną. Natasza oglądała się na Hélène i na ojca, jak gdyby ich zapytywała, co to może znaczyć, lecz Hélène była zajęta rozmową z jakimś generałem i nie odpowiedziała na jej spojrzenie, wzrok zaś ojca nic jej nie powiedział prócz tego, co zawsze mówił: „Jest ci wesoło, no to się cieszę”.

W jednej z chwil niezręcznego milczenia, podczas którego Anatol spokojnie i uporczywie patrzył na nią swymi wypukłymi oczami, Natasza, by przerwać milczenie, zapytała go, jak mu się podoba Moskwa. Zapytała i zarumieniła się. Ciągłe się jej zdawało, że rozmawiając z nim robi coś nieprzyzwoitego. Anatol uśmiechnął się, jak gdyby dodając jej otuchy.

– Z początku nie bardzo mi się podobała, bo cóż czyni miasto przyjemnym? *Ce sont les jolies femmes*, nieprawdaż? A teraz bardzo mi się podoba – rzekł patrząc na nią znacząco. – Hrabianko, przyjedzie pani na wentę? Proszę przyjechać – rzekł i wyciągając rękę do jej bu-kietu, powiedział zniżonym głosem: – *Vous serez la plus jolie. Venez, chère comtesse, et comme gage donnez moi cette fleur.*<sup>480</sup>

<sup>480</sup> Ładne kobiety... Będzie pani najpiękniejsza. Proszę przyjechać, droga hrabianko, a jako rękojmię proszę mi

Natasza nie zrozumiała tego, co powiedział, podobnie jak on sam również, poczuła jednak, że w jego niezrozumiałych słowach była nieprzyzwoita intencja. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, odwróciła się, jak gdyby nie słysząc tego, co powiedział. Ale zaledwie się odwróciła, pomyślała, że on jest tuż za nią, tak blisko niej.

„No i co? Zawstydzony? Rozgniewany? Czy trzeba to naprawić?” – zadawała sobie pytania. Nie mogła się powstrzymać, żeby się nie obejrzeć. Spojrzała mu prosto w oczy, a jego bliskość i pewność siebie, i dobroduszna tkliwość uśmiechu pokonały ją. Uśmiechnęła się zupełnie tak samo jak on i patrząc mu prosto w oczy. I znów poczuła ze strachem, że między nim a nią nie ma żadnej przegrody.

Kurtyna znów się podniosła. Anatol wyszedł z łoży spokojny i wesoły. Natasza wróciła do łoża ojca, całkowicie już pod władzą tego świata, w którym się znajdowała. Wszystko, co się przed nią działo, wydawało się jej zupełnie naturalne; natomiast wszystkie jej poprzednie myśli o narzeczonym, o księżniczce Marii, o życiu na wsi ani razu nie przyszły jej do głowy, jakby to wszystko stanowiło dawną, dawną przeszłość.

W czwartym akcie był jakiś diabeł, który dopóty śpiewał i wymachiwał ręką, dopóki nie wyciągnięto spod niego deski i dopóki tam się nie zapadł. Natasza tylko tyle widziała z czwartego aktu; coś ją wzruszało i dręczyło, a przyczyną tego wzruszenia był Kuragin, którego mimo woli śledziła oczami. Kiedy wychodzili z teatru. Anatol zbliżył się do nich, przywołał ich karete i pomagał im wsiąść. Pomagając wsiąść Nataszy, uściśnął jej rękę powyżej łokcia. Natasza obejrzała się wzburzona i zaczerwieniona. On zaś patrzył na nią błyszczącymi oczami i uśmiechnął się czule.

Dopiero kiedy wrócili do domu, Natasza mogła jasno przemyśleć, co się z nią działo, i z nagłą przypomniawszy sobie księcia Andrzeja przestraszyła się i wobec wszystkich przy herbach, do której zasiedli po teatrze, krzyknęła głośno i zaczerwieniona wybiegła z pokoju. „Mój Boże! Przepadłam! – rzekła do siebie. – Jak mogłam do tego dopuścić” – myślała. Długo siedziała i myślała, kryjąc w dłoniach zaczerwienioną twarz i próbując zdać sobie jasno sprawę z tego, co się z nią działo, ale nie mogła pojąć ani tego, co się z nią działo, ani tego, co czuła. Wszystko zdawało się jej ciemne, niewyraźne i straszne. Tam, w tej olbrzymiej oświetlonej sali, gdzie na mokrych deskach skakał w takt muzyki Dupont z gołymi nogami, w kurtce z cekinami, a panny, starcy i obnażona, uśmiechająca się spokojnie i dumnie Hélène z zachwytem krzyczeli brawo, tam, w cieniu owej Hélène, wszystko było jasne i proste; ale obecnie, kiedy była sam na sam ze sobą, było to nie do pojęcia. „Cóż to takiego? Co znaczy ten strach, jakiego doznawałam wobec niego? Co znaczą wyrzuty sumienia, jakich doznaję teraz?” – myślała.

Jedynie starej hrabinie Natasza byłaby w stanie opowiedzieć w nocy w łóżku wszystko, o czym myślała. Wiedziała, że Sonia, z jej surowymi, uporządkowanymi poglądami, nic by nie zrozumiała albo też przestraszyłaby się jej wyznaniem. Natasza sama usiłowała rozstrzygnąć to, co ją dręczyło.

„Czy jestem stracona dla miłości księcia Andrzeja, czy też nie? – pytała i odpowiadała z uspokajającym uśmiechem: – Cóż za głuptas ze mnie, że o to pytam! Cóż się ze mną stało? Nic. Nicem nie zrobiła, niczym tego nie spowodowałam. Nikt się o tym nie dowie, a i ja już nigdy go nie zobaczę – mówiła sobie. – Tak więc nic się nie zdarzyło, nie ma powodu żałować, że księżę Andrzej może mnie kochać i taką. Ale jaką taką? Ach, mój Boże, mój Boże! Czemu go tutaj nie ma!” Natasza uspokajała się na chwilę, ale potem jakiś instynkt znów jej mówił, że choć wszystko to prawda i choć nic się nie stało – instynkt mówił jej, że cała dawna czystość jej uczucia do księcia Andrzeja przepadła. I w wyobraźni znowu powtarzała całą rozmowę z Kuraginem i przypominała sobie twarz, gesty i tkliwy uśmiech tego pięknego i śmiałego człowieka, w chwili kiedy uściśnął jej rękę.

## XI

Anatol Kuragin mieszkał w Moskwie, gdyż ojciec wysłał go z Petersburga, gdzie wydawał rocznie przeszło dwadzieścia tysięcy gotówką, a na drugie tyle się zadłużał, o co wierzyciele upominali się u ojca.

Ojciec oznajmił synowi, że po raz ostatni płaci połowę jego długów, z tym jednak, iż pojedzie do Moskwy objąć stanowisko adiutanta u generał-gubematora, o które mu się postarał, i że wreszcie zrobi dobrą partię. Wspomnił mu o księżniczce Marii i o Julie Karagin.

Anatol zgodził się i przyjechał do Moskwy, gdzie zatrzymał się u Pierre'a. Z początku Pierre przyjął Anatola niechętnie, ale potem przywykł do niego, czasami jeździł z nim na jego hulanki, a nawet dawał mu pieniądze pod pozorem pożyczki.

Szynszyn prawdę mówił, że Anatol, od czasu jak się zjawił w Moskwie, zawrócił głowy wszystkim pannom, a dlatego zwłaszcza, że lekceważył je i najwidoczniej przekładał nad nie towarzystwo Cyganek i aktorek francuskich, z których primadonną – mademoiselle George<sup>481</sup> – był, jak powiadano, w intymnych stosunkach. Nie przepuszczał ani jednej hulanki u Daniłowa i u innych birbantów moskiewskich, pił całymi nocami, przetrzymywał w picciu innych i bywał na wszystkich wieczorach i balach wielkiego świata. Opowiadano o kilku jego awanturkach z moskiewskimi paniami, a na balach też umizgał się do niektórych. Ale od panien, zwłaszcza bogatych panien na wydaniu, które przeważnie były brzydkie, trzymał się z daleka, tym bardziej że, o czym nikt nie wiedział, wyjąwszy najbliższych przyjaciół, ożenił się już przed dwoma laty, kiedy jego pułk stacjonował w Polsce: pewien niezamożny polski ziemianin zmusił Anatola do ożenienia się z jego córką.

Anatol w krótkim czasie rzucił żonę, a za pieniądze jakie przyobiecał posyłać teściowi, wymówił sobie prawo uchodzenia za człowieka nieżonatego.

Anatol zawsze był zadowolony ze swej sytuacji, z siebie i z innych. Instynktownie był całą swą istotą przekonany, że nie mógł żyć inaczej, niż żył, i że nigdy w życiu nie zrobił nic złego. Nie był w stanie ani przemyśleć tego, jak jego postęпки mogą się odbić na innych ludziach, ani tego, co może wyniknąć z takiego czy innego jego postęпку. Był przeświadczony, że – podobnie jak kaczką jest tak stworzona, iż zawsze musi przebywać w wodzie – tak i jego Bóg stworzył po to, by musiał przejadać trzydzieści tysięcy dochodu rocznie i zawsze zajmować dobrą pozycję w świecie. Wierzył w to tak mocno, że inni patrząc na niego również byli o tym przekonani i nie odmawiali mu ani wysokiego stanowiska w świecie, ani pieniędzy, które ani myśląc o oddawaniu – pożyczał, od kogo się dało.

Nie był graczem, przynajmniej nigdy nie pragnął wygranej. Nie był próżny. Było mu absolutnie wszystko jedno, co kto o nim pomyśli. Jeszcze mniej można go było pomawiać o ambicję. Kilkakrotnie rozdrażnił ojca psując sobie karierę i kpił z wszelkich zaszczytów. Nie był skąpy i nie odmawiał nikomu, kto go prosił. Jedno, co lubił – to zabawę i kobiety; a ponieważ wedle jego pojęcia w tych jego gustach nie było nic nieszlachetnego, a nie był w stanie przemyśleć tego, co z zadowolenia jego gustów dla innych wynikało, uważał się w duchu

---

<sup>481</sup> Mademoiselle George (pseudonim Małgorzaty Józefiny Weimer, 1787–1867) – jedna z najznakomitszych aktorek francuskich, przybyła do Rosji wraz z tancerzem Duportem w r. 1808.

za człowieka nieskazitelnego, szczerze gardził ludźmi podłymi i złymi i ze spokojnym sumieniem wysoko nosił głowę.

Birbanci, te Magdalenki męskie, podobnie jak i kobiety – Magdalenki, mają ukrytą świadomość niewinności, opartą na tej samej nadziei przebaczenia. „Wszystko będzie jej przebaczone, albowiem wiele kochała, jemu zaś będzie wszystko przebaczone, albowiem wiele się bawił”.

Dołochow, który w tym roku znów zjawił się w Moskwie po swym wygnaniu i przygodach w Persji i wiódł wygodne życie wśród hazardu i zabaw, zbliżył się z dawnym druhem petersburskim, Kuraginem, i wyzyskiwał go do swych celów.

Anatol szczerze lubił Dołochowa za jego rozum i odwagę, Dołochow, któremu były potrzebne nazwisko, świetność i stosunki Anatola Kuragina, aby wciągać do swej karcianej kompanii bogatych młodych ludzi, posługiwał się i zabawiał nim nie dając mu tego poznać. Oprócz wyrachowania, z którego wynikało, że Kuragin był mu potrzebny, sam proces kierowania czyjaś wolą był dla Dołochowa rozkoszą, przyzwyczajeniem i potrzebą.

Natasza wywarła na Kuraginie wielkie wrażenie. Po teatrze, podczas kolacji, stylem znawcy oceniał wobec Dołochowa zalety jej rąk, ramion, nóg i włosów i oznajmił, że się do niej zacznie zalecać. Co mogło wynikać z tego zalecania się – Anatol nie mógł pomyśleć i wiedzieć, jak nigdy nie wiedział, co wyniknie z każdego jego postępu.

- Ładna, bracie, ale nie dla nas – rzekł mu Dołochow.
- Powiem siostrze, żeby ją zaprosiła na obiad – powiedział Anatol. – No?
- Lepiej poczekaj, aż wyjdzie za mąż...
- Wiesz – oświadczył Anatol – *j'adore les petites filles*:<sup>482</sup> od razu tracę głowę.
- Jużś raz wpadł na *petite fille* – rzekł Dołochow, który wiedział o małżeństwie Anatola.
- Pilnuj się!
- No, chyba dwa razy nie można! Co? – rzekł Anatol śmiejąc się dobrodusznie.

---

<sup>482</sup> Uwielbiam młode dziewczęta.

## XII

Nazajutrz po teatrze Rostowowie nigdzie nie byli i nikt u nich nie był. W tajemnicy przed Nataszą Maria Dmitriewna omawiała coś z jej ojcem. Natasza domyślała się, że rozmawiali o starym księciu i coś obmyślali, i to ją niepokoiło i obrażało. W każdej chwili oczekiwała księcia Andrzeja i tego dnia dwa razy posyłała stróża na Wozdwiżenkę, żeby się dowiedzieć, czy nie przyjechał. Nie przyjeżdżał. Teraz było jej ciężej niż w pierwszych dniach po przybyciu. Do niecierpliwości i smutku z powodu księcia przyłączyło się niemile wspomnienie o spotkaniu z księżniczką Marią i ze starym księciem oraz obawa i niepokój, których przyczyny nie znała. Ciągle się jej wydawało, że albo on wcale nie przyjedzie, albo zanim przyjedzie, z nią się coś stanie. Nie mogła, jak przedtem, spokojnie i długo rozmyślać o nim w samotności. Jak tylko zaczynała o nim myśleć, zaraz do tych wspomnień przyłączało się wspomnienie o starym księciu, o księżniczce Marii, i ostatnim przedstawieniu w operze, i o Kuraginie. Znowu stawało przed nią zagadnienie, czy nie zawiniła, czy nie naruszyła swej wierności dla księcia Andrzeja; i znowu przymuszała się do wspomniania aż do najdrobniejszych szczegółów każdego słowa, każdego gestu, każdego odcienia na twarzy tego człowieka, który potrafił w niej obudzić niepojęte dla niej i straszne uczucie. Domownikom wydawało się, że Natasza jest bardziej ożywiona niż zwykle, ale ona wcale nie była tak spokojna i szczęśliwa jak przedtem.

W niedzielę rano Maria Dmitriewna zaprosiła swych gości na nabożeństwo poranne do swej parafii Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Mogilcach.

– Nie lubię tych modnych cerkwi – mówiła, najwidoczniej szczycąc się swą wolnomyślnością. – Wszędzie ten sam Bóg. Mamy wspaniałego popa, celebryje godnie, a i szlachetnie, diakon także. Cóż to, czy przybywa świętości, gdy na chórze dają koncert? Nie lubię tych wymysłów!

Maria Dmitriewna lubiła niedziele i umiała je świętować. Cały dom był w sobotę wyszorowany i posprzątnany, służba i ona sama nie pracowali, wszyscy byli odświętnie ubrani i wszyscy chodzili na nabożeństwo poranne. Do obiadu dodawano kilka dań, a służba dostawała wódkę i pieczoną gęś lub prosię. Wszelako w całym domu na niczym nie było tak dobrze widać święta, jak na szerokim, surowym obliczu Marii Dmitriewny, które owego dnia niezmiennie przybierało wyraz uroczysty.

Kiedy po nabożeństwie wypito kawę w salonie, w którym zdjęte zostały pokrowce, Marii Dmitriewnie oznajmiono, że karetą gotowa. Z miną surową, ubrana w paradny szal, w którym składała wizyty, wstała i oświadczyła, że jedzie do księcia Mikołaja Andreicza Bołkońskiego, aby rozmówić się z nim co do Nataszy.

Po wyjeździe Marii Dmitriewny przybyła do Rostowów krawcowa od madame Chalmé; Natasza bardzo zadowolona z rozrywki, zamknęła drzwi pokoju sąsiadującego z salonem i zajęła się przymierzaniem sukien. Kiedy włożyła sfastrygowany, jeszcze bez rękawów stanik i przeginając głowę patrzyła w lustro jak leżą plecy, usłyszała w salonie ożywione głosy: głos ojca i głos inny, kobiecy, który przyprawił ją o rumieńce. Był to głos Héléne. Natasza nie zdążyła jeszcze zdjąć stanika, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła hrabina Bezuchow, jaśniejąca życzliwym, uprzejmym uśmiechem, w sukni ciemnofioletowej, aksamitnej, z wysokim kołnierzem.



– *Ah, ma délicieuse!* – rzekła do zarumienionej Nataszy. – *Charmante!*<sup>483</sup> Mój drogi hrabio, to do niczego niepodobne – zwróciła się do Ilii Andreicza, który wszedł za nią. – Mieszkać w Moskwie i nigdzie nie bywać? Nie, ja się od was nie odcepię. Dziś wieczorem deklamuje u mnie m-lle George i zbierze się kilka osób; jeśli hrabia nie przywiezie swych ślicznotek, które są znacznie ładniejsze niż m-lle George, to nie chcę pana znać. Męża nie ma, wyjechał do Tweru, bobym przysłała go po was. Bądźcie u mnie koniecznie, koniecznie, o dziewiątej. – Skinęła głową znanej sobie krawcowej, która dygnęła z szacunkiem, i usiadła w fotelu w pobliżu lustra, malowniczo rozrzucając fałdy swej aksamitnej sukni. Nie przestawała paplać wesoło i dobrodusznie i bez przerwy zachwycała się urodą Nataszy. Obejrzała jej suknie, pochwaliła się również swą nową suknią *en gaze métallique*,<sup>484</sup> którą otrzymała z Paryża, i radziła Nataszy, by sobie sprawiła taką samą.

– Zresztą, we wszystkim jest ci do twarzy, moje śliczności – mówiła.

Z twarzy Nataszy nie schodził uśmiech zadowolenia. Czuła się szczęśliwa i rozkwitała od pochwał tej miłej hrabiny Bezuchow, która przedtem wydawała się jej nieprzystępna i ważną damą, a teraz była dla niej taka dobra. Nataszy zrobiło się wesoło i czuła, że jest niemal zakonchana w tej pięknej i tak dobrej kobiecie. Hélène ze swej strony szczerze się zachwycała Nataszą i pragnęła ją rozerwać. Anatol prosił, by go zetknęła z Nataszą, dlatego więc przyjechała do Rostowów. Bawiła ją myśl zbliżenia brata z Nataszą.

Nie bacząc, iż przedtem czuła urazę do Nataszy za to, że w Petersburgu odbiła jej Borysa, teraz już o tym nie myślała i z całej duszy, po swojemu, dobrze jej życzyła. Na wychodnym odwołała na bok swą *protégée*.

– Wczoraj brat był u mnie na obiedzie – umieraliśmy ze śmiechu: nie je i wzdycha do pani, moje śliczności. *Il est fou, mais fou amoureux de vous, ma chère.*<sup>485</sup>

Słyszając to Natasza oblała się purpurowym rumieńcem.

– Jak się rumieni, jak się to rumieni, *ma délicieuse!* Koniecznie proszę przyjechać. *Si vous aimez quelqu'un, ma délicieuse, ce n'est pas une raison pour se cloîtrer. Si même vous êtes promise, je suis sûre que votre promis aurait désiré que vous alliez dans le monde en son absence plutôt que de dépérir d'ennui.*<sup>486</sup>

„To znaczy, że wie, iż jestem zaręczona, to znaczy, że razem z mężem, z Pierre'em, z tym uczciwym Pierre'em, rozmawiali o tym i śmieli się – myślała Natasza. – A więc to nic takiego”. I znów pod wpływem Hélène to, co przedtem wydawało się jej straszne, teraz okazało się zwykłe i naturalne. „I ona, taka *grande dame*,<sup>487</sup> taka miła, a widać, że mnie lubi z całej duszy” – myślała Natasza. „I czemu się nie zabawić?” – myślała Natasza patrząc na Hélène zdziwionymi, szeroko otwartymi oczami.

Przed obiadem wróciła Maria Dmitriewna, milcząca, poważna, najwidoczniej poniósłszy klęskę u starego księcia. Była jeszcze zbyt wzburzona minionym starciem, by móc spokojnie przedstawić sprawę. Na zapytanie hrabiego odpowiedziała, że wszystko dobrze i że jutro opowie. Dowiedziawszy się o wizycie hrabiny Bezuchow i zaproszeniu na wieczór oświadczyła:

– Nie lubię zadawać się z hrabiną Bezuchow i nie radzę nikomu, ale kiedyś już obiecała, to jedź, rozerwiesz się – dodała zwracając się do Nataszy.

<sup>483</sup> Ach, moja czarująca!... Zachwycająca!

<sup>484</sup> Z gazy o metalicznym połysku.

<sup>485</sup> Do szaleństwa, naprawdę do szaleństwa jest w pani zakochany.

<sup>486</sup> Moja czarująca... Jeśli pani nawet kogoś kocha, to jeszcze nie powód, żeby się zamykać. Nawet jeśli pani jest zaręczona, jestem przekonana, że pani narzeczony wołałby raczej, żeby pani była pod jego nieobecność w świecie, niż umierała z nudów.

<sup>487</sup> Wielka pani.

## XIII

Hrabia Ilia Andreicz zawiózł swe panny do hrabiny Bezuchow.

Na wieczorze było dość dużo osób. Niemal wszyscy w tym towarzystwie byli dla Nataszy nieznajomi. Hrabia Ilia Andreicz zauważył z niezadowoleniem, że całe towarzystwo składało się przeważnie z mężczyzn i pań znanych ze swobodnych obyczajów. M-lle George, otoczona młodzieżą, stała w kącie bawialni. Było kilku Francuzów, a wśród nich Métivier, który od czasu przybycia Hélène zadomowił się u niej. Hrabia Ilia Andreicz postanowił nie siadać do kart, nie odstępować córek i wyjść, gdy tylko skończy się występ m-lle George.

Anatol najwidoczniej czekał przy drzwiach na Rostowów.

Przywitawszy się z hrabią, natychmiast zbliżył się do Nataszy i poszedł za nią. Gdy tylko Natasza go zobaczyła, od razu, tak samo jak w teatrze, oładnęło ją uczucie zadowolenia, że mu się podoba, i strachu z powodu braku moralnych przegród między nią a nim.

Hélène powitała Nataszę z radością i głośno zachwyciła się jej urodą i toaletą. Wkrótce po ich przybyciu m-lle George wyszła, żeby się przebrać. W bawialni zaczęto rozstawiać krzesła i sadowić się. Anatol przysunął Nataszy krzesło i chciał usiąść obok, ale hrabia, który nie spuszczał oczu z Nataszy, siadł obok niej. Anatol usiadł za nimi.

Weszła m-lle George, z obnażonymi grubymi rękoma z dołeczkami, w czerwonym szalu narzuconym na jedno ramię; weszła w pozostawioną dla niej pustą przestrzeń między fotelami i stanęła w nienaturalnej pozie. Rozległ się szept zachwytu.

M-lle George spojrzała na obecnych surowo i pośpiesznie i jęła mówić po francusku jakieś wiersze, w których była mowa o jej występnej miłości do własnego syna. To chwilami podnosiła głos, to szeptała podnosząc uroczyście głowę, to zatrzymywała się i chrypiała wybałuszając oczy.

– *Adorable, divin, délicieux!*<sup>488</sup> – rozlegało się ze wszystkich stron. Natasza patrzyła na grubą George, ale nic nie słyszała, nie widziała, nie rozumiała z tego wszystkiego, co się przed nią działo; tylko znowu czuła się w pełni, bezpowrotnie pogrążona w owym dziwnym, szalonym świecie, tak dalekim od poprzedniego, w tym świecie, gdzie nie sposób było wiedzieć, co jest dobre, a co złe, co rozumne, a co szalone. Za nią siedział Anatol, a ona, czując jego bliskość, czekała na coś z lękiem.

Po pierwszym monologu całe towarzystwo wstało, otoczyło m-lle George i wyrażało jej swój zachwyt.

– Jaka ona ładna! – rzekła Natasza do ojca, który wstał wraz z innymi i poprzez ciżbę przeciskał się do aktorki.

– Nie znajduję tego patrząc na panią – oświadczył Anatol idąc za Nataszą. Powiedział to w takiej chwili, gdy tylko ona jedna mogła go usłyszeć. – Jesteś pani czarująca... Od chwili kiedy cię ujrzałem, nie przestawałem...

– Chodźmy, chodźmy, Nataszo – rzekł hrabia wracając po córkę. – Doskonała!

Natasza nic nie mówiąc podeszła do ojca i patrzyła na niego pytająco i ze zdziwieniem.

---

<sup>488</sup> Wspaniale, bosko, cudownie!

Po kilku deklamacjach m-lle George odjechała, a hrabina Bezuchow poprosiła towarzystwo do salonu.

Hrabia chciał jechać, lecz Hélène błagała go, by nie psuł jej zaimprovizowanego balu. Rostowowie zostali. Anatol zaprosił Nataszę do walca, a podczas walca ściskając jej rękę i talie powiedział jej, że jest *ravissante*<sup>489</sup> i że ją kocha. Podczas *écossaise*, którą również tańczyła z Kuraginem, kiedy zostali sami, nic nie mówił, tylko na nią patrzył. Natasza była w niepewności, czy jej się śniło to, co jej powiedział podczas walca. W końcu pierwszej figury znów uściśnął jej rękę. Natasza podniosła na niego przestraszone oczy, ale w jego czułym spojrzeniu i uśmiechu był wyraz takiej tkliwości i pewności siebie, że patrząc nań nie mogła mu powiedzieć tego, co miała powiedzieć. Spuściła oczy.

– Proszę mi takich rzeczy nie mówić, jestem zaręczona i kocham innego – rzekła szybko. Spojrzała na niego. Anatol nie zmieszał się i nie stropił tym, co powiedziała.

– Proszę mi tego nie mówić. Cóż mi do tego? – oświadczył. – Mówię, że zakochany w pani, zakochany do szaleństwa. Czyż to moja wina, że pani jest zachwycająca?... Kolej na nas.

Natasza, ożywiona i wylekła, rozglądała się wokół szeroko otwartymi, przestraszonymi oczyma i wydawała się weselsza niż zwykle. Prawie nic nie pamiętała z tego, co się stało owego wieczoru. Tańczono *écossaise* i *gross-vatera*, ojciec nawoływał ją, żeby jechać do domu, a ona prosiła, żeby zostać. Gdziekolwiek była, z kimkolwiek rozmawiała, czuła na sobie jego spojrzenie. Potem przypomniała sobie, że prosiła ojca, by jej pozwolił pójść do garderoby poprawić suknię, i że Hélène wyszła za nią i ze śmiechem mówiła jej o miłości swego brata, i że w małej bawialni znów spotkała Anatola, że Hélène gdzieś zniknęła, a oni zostali sami i Anatol ująwszy ją za rękę rzekł tklwym głosem:

– Nie mogę u państwa bywać, ale czyżbym nigdy już pani miał nie zobaczyć? Kocham panią do szaleństwa. Czyż nie?... – i zagradzając jej drogę zbliżał swą twarz do jej twarzy.

Błyszczące, duże męskie oczy były tak blisko jej oczu, że nie widziała nic prócz tych oczu.

– Natalie?! – szepnął prosząco jego głos i ktoś do bólu ścisnął jej rękę. – Natalie?!

„Nic nie rozumiem, nie mam nic do powiedzenia” – odpowiedziało jej spojrzenie.

Gorące wargi przycisnęły się do jej ust i w tej chwili znowu poczuła się wolna, a w pokoju słychać było szelest kroków i sukni Hélène. Natasza spojrzała na Hélène, potem zarumieniona i drżąca spojrzała na niego z przestraszeniem a pytająco, i poszła do drzwi.

– *Un mot, un seul, au nom de Dieu*<sup>490</sup> – mówił Anatol. Zatrzymała się. Tak potrzebowała, żeby powiedział to słowo, które by jej wyjaśniło to, co się stało, i na które by mu odpowiedziała.

– *Natalie, un mot, un seul*<sup>491</sup> – powtarzał wciąż, widać nie wiedząc, co powiedzieć, i powtarzał dopóty, aż podeszła do nich Hélène.

Hélène z Nataszą razem wyszły do salonu. Rostowowie odjechali nie zostając na kolacji.

Po powrocie do domu Natasza całą noc nie spała, dręczyło ją nie rozstrzygnięte pytanie: kogo kochała – Anatola czy księcia Andrzeja? Księcia Andrzeja kochała – pamiętała dobrze, jak mocno go kochała. Lecz Anatola również kochała, to było niewątpliwe. „Czyż inaczej mogłoby się to wszystko zdarzyć? – myślała. – Jeśli mogłam, żegnając się z nim potem, odpowiedzieć uśmiechem na jego uśmiech, jeśli mogłam do tego dopuścić, to znaczy, że pokochałam go od pierwszej chwili. To znaczy, że on jest dobry, szlachetny i wspaniały, zatem niepodobna go było nie pokochać. Co mam począć, jeśli kocham jego i kocham innego?” – mówiła i nie znajdowała odpowiedzi na te straszne pytania.

---

<sup>489</sup> Urocza.

<sup>490</sup> Jedno słowo, tylko jedno, na miłość boską.

<sup>491</sup> Natalio, jedno słowo, tylko jedno.

## XIV

Nastało rano, a z nim codzienne kłopoty i krzątania. Wszyscy wstali, ruszali się, gadali, znów przyszyły krawcowe, znów weszła Maria Dmitriewna i wezwała na herbatę. Natasza, jakby chciała przychwycić każde spojrzenie skierowane na siebie, szeroko otwartymi oczami, niespokojnie patrzyła na wszystkich i usiłowała wydać się taką, jaką była zawsze.

Po śniadaniu Maria Dmitriewna (to była jej najlepsza godzina) usiadła w fotelu i zawołała do siebie Nataszę i starego hrabiego.

– No, moi drodzy, teraz wszystko przemyślałam i oto moja rada – zaczęła. – Wczoraj, jak wam wiadomo, byłam u księcia Mikołaja, no, pogadałam z nim... Zebrało mu się na krzyk. Ale mnie nie przekrzyczy! Wszystko mu wygarnęłam!

– A on co na to? – zapytał hrabia.

– Co on na to? Narwaniec słyszeć nie chce, nie ma co mówić, i takeśmy już wymęczyli biedną dziewczynę – rzekła Maria Dmitriewna. – Oto moja rada: skończyć z interesami i wracać do domu do Otradnego... i tam czekać...

– Ach, nie – wykrzyknęła Natasza.

– Trzeba jechać – rzekła Maria Dmitriewna – i tam czekać. Jeśli narzeczony teraz przyjedzie tu, bez sprzeczki się nie obejdzie, a on sam to w cztery oczy ze starym obgada i potem do was przyjedzie.

Ilija Andreicz pochwalił tę radę, zrozumiałwszy od razu całą jej sensowność. Jeśli się stary udobrucha, łatwiej będzie potem przyjechać do niego do Moskwy albo do Łysych Gór, jeśli zaś nie – to wbrew jego woli będzie można brać ślub tylko w Otradnem.

– Święta prawda – powiedział. – Żałuję teraz, że nie jeździł do niego i ją tam woził – rzekł stary hrabia.

– Ba, czego żałować? Będąc już tu, nie można było nie okazać estymy. A skoro nie chce, to jego rzecz – powiedziała Maria Dmitriewna szukając czegoś w *ridicule'u*.

– Wyprawa jest gotowa, na co macie czekać, a co nie gotowe, ja wam przyślę. Żal mi co prawda, ale lepiej jedźcie z Bogiem. – Znalazła to, czego szukała w *ridicule'u*, i podała Nataszy. Był to list od księżniczki Marii. – Pisz do ciebie. Jak ona się męczy, biedactwo! Boi się, żebyś nie pomyślała, że cię nie lubi.

– Bo i naprawdę nie lubi mnie – oświadczyła Natasza.

– Głupstwa! Nie mów tego! – krzyknęła Maria Dmitriewna.

– Nikomu nie uwierzę, wiem, że mnie nie lubi – rzekła śmiało Natasza biorąc list, na jej twarzy odbiła się tak oschła i gniewna stanowczość, że Maria Dmitriewna uważniej na nią popatrzyła i zasepiła się.

– Ty, serdeńko, tak nie odpowiadaj – powiedziała.

– Co ja mówię, to prawda. Napisz odpowiedź.

Natasza nie odpowiedziała i poszła do swego pokoju, aby przeczytać list księżniczki Marii.

Księżniczka Maria pisała, że była w rozpaczce z powodu nieporozumienia, jakie między nimi zaszło. Jakikolwiek były uczucia ojca, pisała księżniczka, prosi Nataszę, by zechciała wierzyć, iż ona nie może jej nie kochać jako wybrankę swojego brata, dla którego szczęścia jest gotowa wszystko poświęcić.

Zresztą – pisała – *proszę nie myśleć, by mój ojciec był źle do pani usposobiony. To człowiek stary i chory, któremu trzeba wybaczyć; ale on jest dobry, wspaniałomyślny i będzie kochał tę, która da szczęście jego synowi.*

Księżniczka Maria prosiła następnie, żeby Natasza wyznaczyła czas, kiedy znów mogłyby się zobaczyć.

Przeczytawszy list Natasza usiadła przy biurku, żeby napisać odpowiedź: „*Chère princesse*” – napisała szybko, mechanicznie i zatrzymała się. Cóż dalej mogła napisać po tym, co się zdarzyło wczoraj? „Tak, tak, wszystko to się zdarzyło, a teraz już wszystko jest zupełnie inaczej – myślała siedząc nad zaczęty listem. – Trzeba z nim zerwać? Czy naprawdę trzeba? To okropne!...” I żeby uniknąć tych strasznych myśli, poszła do Soni i razem z nią zaczęły dobierać desenie.

Po obiedzie Natasza poszła do swego pokoju i znów wzięła list księżniczki Marii. „Czyżby wszystko było skończone? – myślała. – Czyżby to wszystko stało się tak prędko i przekreśliło wszystko, co było dawniej?” Przypominała sobie z dawną siłą swą miłość do księcia Andrzeja, a jednocześnie czuła, że kocha Kuragina. Wyobrażała sobie żywo siebie jako żonę księcia Andrzeja, przedstawiała sobie już tyle razy powtarzany w jej wyobraźni obraz szczęścia z nim, a jednocześnie płonąć ze wzruszenia przypominała sobie wszystkie szczegóły wczorajszego spotkania z Anatolem.

„Czemuż by to nie mogło być razem? – myślała chwilami w całkowitym zamroczeniu. – Tylko wtedy byłabym zupełnie szczęśliwa, a teraz muszę wybrać, a bez żadnego z nich obu nie mogę być szczęśliwa. Jednak – myślała – zarówno nie mogę powiedzieć księciu Andrzejowi o tym, co było, jak i tego ukryć. A z tamtym nic jeszcze nie zostało zepsute. Więc rozstać się na zawsze z owym szczęściem miłości księcia Andrzeja, szczęściem, którym żyłam tak długo?”

– Panienko – rzekła szeptem pokojówka z tajemniczą miną wchodząc do pokoju. – Jakiś człowiek kazał mi to oddać. – Dziewczyna podała list. – Jeno na miłość boską... – mówiła jeszcze dziewczyna, kiedy Natasza, nie zastanawiając się, machinalnym ruchem złamała pieczęć i czytała list miłosny Anatola, z którego nie rozumiała ani słowa, rozumiała tylko jedno, że to był list od niego, od tego człowieka, którego kocha. „Tak, kocham, bo czyż inaczej mogłoby się to zdarzyć, co się zdarzyło? Czyż mogłabym mieć w rękach list miłosny od niego?”

Trzymała w trzęsących się rękach ten namiętny, miłosny list, wykoncypowany dla Anatola przez Dołochowa, a czytając znajdowała w liście echa tego wszystkiego, co – jak się jej zdawało – sama czuła.

„Wczoraj wieczorem rozstrzygnął się mój los: być przez Panią kochanym albo umrzeć. Nie mam innego wyjścia” – zaczynał się list. Potem Anatol pisał, iż wie, że jej rodzina nie odda jej jemu. Anatolowi, że są po temu tajemne przyczyny, które tylko jej samej może wyjawiać. Jeśli jednak ona go kocha, wystarczy, by powiedziała jedno słowo: tak, a żadna siła ludzka nie będzie w stanie przeszkodzić ich szczęściu. Miłość wszystko pokona. Porwie ją i zawiedzie na koniec świata.

„Tak, tak, kocham go!” – myślała Natasza po raz chyba dwudziesty odczytując ten list i odnajdując w każdym jego słowie jakiś osobliwy głęboki sens.

Owego wieczora Maria Dmitriewna jechała do Archarowów i zaproponowała pannom, żeby z nią pojechały. Pod pretekstem, że boli ją głowa, Natasza pozostała w domu.

## XV

Kiedy Sonia wróciwszy późnym wieczorem weszła do pokoju Nataszy, ku swemu zdziwieniu zastała ją nie rozebraną, śpiącą na kanapie. Na stole obok niej leżał otwarty list Anatola. Sonia wzięła list i zaczęła czytać.

Czytała i spoglądała na śpiącą Nataszę, na jej twarzy szukając wyjaśnienia tego, co czytała, ale nie znajdowała. Twarz była spokojna, łagodna, szczęśliwa. Sonia, przyciskając ręce do piersi, bo brakło jej tchu, blada, drżąca ze strachu i wzruszenia, usiadła w fotelu i zalała się łzami.

„Jak mogłam tego nie spostrzec? Jak to mogło zajść tak daleko? Czyżby przestała kochać księcia Andrzeja? Jak mogła pozwolić na to Kuraginowi? Przecież to oszust i niegodziwiec – to jasne. Co się stanie z Nicolas, z miłym, szlachetnym Nicolas, kiedy się o tym dowie? Oto więc co znaczył jej wzburzony, stanowczy i nienaturalny wyraz twarzy onegdaj i wczoraj, i dzisiaj – myślała Sonia. – Ależ to niemożliwe, aby ona go kochała! Odpieczętowała ten list, pewno nie wiedząc, od kogo to. Jest prawdopodobnie obrażona. Ona nie może tego zrobić!”

Sonia otarła łzy, podeszła do Nataszy wpatrując się w jej twarz.

– Natasza! – powiedziała ledwo dosłyszalnie. Natasza obudziła się i zobaczyła Sonię.

– A, wróciłaś?

I objęła przyjaciółkę mocno a tklawie, jak to bywa w chwilach przebudzenia. A gdy spostrzegła na twarzy Soni zmieszanie, twarz jej również wyraziła zmieszanie i podejrzliwość.

– Soniu, przeczytałaś list?

– Tak – odrzekła Sonia cicho. Natasza uśmiechnęła się w zachwyceniu.

– Tak, Soniu, już dłużej nie mogę! – oświadczyła.

– Nie mogę dłużej ukrywać przed tobą. Wiedz, Kochamy się wzajemnie!... Soniu, najdroższa, on pisze... Soniu...

Sonia, jakby nie wierząc swym uszom, patrzyła na Nataszę zdumionymi oczyma.

– A Bołkoński? – rzekła.

– Ach, Soniu, gdybyś ty mogła wiedzieć, jaka ja jestem szczęśliwa! – rzekła Natasza. – Ty nie wiesz, co to miłość...

– Ależ, Nataszo, czyżby wszystko tamto było skończone? Natasza patrzyła na Sonię wielkimi, szeroko otwartymi oczyma, jakby nie rozumiejąc jej pytania.

– Więc jakże, zrywasz z księciem Andrzejem? – powiedziała Sonia.

– Ach, ty nic nie rozumiesz, nie mów głupstw, słuchaj! – rzekła Natasza z nagłym gniewem.

– Nie, nie mogę w to uwierzyć – powtórzyła Sonia. – Nie rozumiem. Jakżeż – cały rok kochałaś tego człowieka, a tu nagle... Widziałas go przecie tylko trzy razy. Nataszo, ja ci nie wierzę, ty żartujesz. Przez trzy dni o wszystkim zapomnieć i tak...

– Trzy dni – powiedziała Natasza. – Mnie się zdaje, że Kocham go już sto lat. Mnie się zdaje, że przed nim nigdy nikogo nie kochałam. Ty nie możesz tego zrozumieć, Soniu, poczekaj, usiądź tu. – Natasza objęła ją i pocałowała. – Mówiono mi, że to się zdarza, i ty pewno też słyszałaś, ale ja dopiero teraz doświadczyłam takiej miłości. To nie to samo, co przedtem. Jak tylko go ujrzałam, poczułam, że to mój władca, a ja jego niewolnica! Co on mi roz-

każe, to zrobię. Ty tego nie rozumiesz. Cóż mam począć. Cóż mam począć, Soniu – mówiła Natasza z twarzą szczęśliwą i przestraszoną.

– Ale zastanów się, co robisz – rzekła Sonia. – Nie mogę tak tego pozostawić. Te listy sekretne... Jak mogłaś mu na to pozwolić? – mówiła ze strachem i wstrętem, który z trudem ukrywała.

– Przecież ci mówiła – odpowiedziała Natasza – że ja nie mam swojej woli; że też ty tego nie rozumiesz: ja go kocham!

– A więc ja do tego nie dopuszczę, opowiem o tym – wykrzyknęła Sonia wśród wybuchu łez.

– Co, na miłość boską... Jeśli powiesz, będziesz moim wrogiem – zawołała Natasza. – Chcesz mojego nieszczęścia, chcesz, żeby nas rozłączono...

Sonia ujrzawszy przerażenie Nataszy rozpląkała się z żalu i wstydu za swą przyjaciółkę.

– Ale co było między wami? – zapytała. – Co on ci mówił? Czemu nie bywa u nas?

Natasza nie odpowiedziała na jej pytanie.

– Soniu, na miłość boską, nie mów nikomu, nie dręcz mnie – błagała Natasza. – Pamiętaj, że do takich spraw nie można się wtrącać. Ja ci się zwierzyłam...

– Ale czemu te sekrety? Dlaczego on u nas nie bywa? – dopytywała się Sonia. – Dlaczego po prostu nie stara się o ciebie? Przecie ksiądz Andrzej dał ci całkowitą swobodę, skoro tak się rzeczy mają, ale ja w to nie wierzę. Nataszo, czyś pomyślała, jakie to mogą być owe tajemne przyczyny?

Natasza patrzyła na Sonię zdumionymi oczami. Widocznie ta kwestia po raz pierwszy przed nią stanęła i nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

– Nie wiem, jakie przyczyny. Ale widocznie są przyczyny!

Sonia westchnęła i niedowierzająco pokiwała głową.

– Gdyby były przyczyny... – zaczęła. Ale Natasza odgadując jej wątpliwości, przerwała jej z lękiem.

– Soniu, nie wolno o nim wątpić, nie wolno, nie wolno, czy ty rozumiesz? – wykrzyknęła.

– Czy on cię kocha?

– Czy kocha? – powtórzyła Natasza z uśmiechem politowania nad niepojętnością przyjaciółki. – Przecież czytała list, widziałaś go?

– Ale jeśli to człowiek nieszlachetny?

– On!... człowiek nieszlachetny? Gdybyś ty wiedziała! – mówiła Natasza.

– Jeśli jest człowiekiem szlachetnym, to albo powinien wyjawic swe zamiary, albo przestać się z tobą widywać; a skoro ty nie chcesz tego zrobić, to ja to zrobię: napiszę do niego, powiem papie – rzekła Sonia stanowczo.

– Ależ ja nie mogę bez niego żyć! – krzyknęła Natasza.

– Nataszo, ja ciebie nie rozumiem. I co ty mówisz! Zapominasz o ojcu, o Nicolas.

– Nikogo nie potrzebuję, nikogo prócz niego nie kocham. Jak śmiesz mówić, że on jest nieszlachetny? Czy nie wiesz, że go kocham?! – krzyczała Natasza. – Soniu, wyjdź, nie chcę się z tobą kłócić, wyjdź, na miłość boską, wyjdź: widzisz, jak się męczę! – krzyczała Natasza ze złością, z hamowaną rozpaczą i rozdrażnieniem w głosie. Sonia rozpląkała się i wybiegła z pokoju.

Natasza podeszła do biurka i nie namyślając się ani chwili napisała do księżniczki Marii ową odpowiedź, której nie mogła napisać przez całe rano. W liście tym oznajmiła krótko księżniczce Marii, że wszystkie nieporozumienia między nimi skończyły się, albowiem korzystając ze wspaniałomyślności księcia Andrzeja, który na odjeźdnym dał jej swobodę, prosi, by o wszystkim zapomniała i wybaczyła, gdyby coś przed nią zawiniła, ale że nie może być żoną księcia. W tej chwili wszystko to wydawało się łatwe, proste i jasne.

W piątek Rostowowie mieli jechać na wieś, a w środę hrabia wraz z nabywcą udał się do swej posiadłości podmoskiewskiej.

W dniu wyjazdu hrabiego Sonia i Natasza były zaproszone na wielki obiad do Kuraginów, i Maria Dmitriewna odwiozła je. Na tym obiedzie Natasza znowu spotkała się z Anatolem i Sonia zauważyła, że Natasza o czymś z nim rozmawia i nie chce, by ktoś to słyszał. Podczas obiadu była jeszcze bardziej wzburzona niż przedtem. Kiedy wróciły do domu, Natasza pierwsza zaczęła z Sonią te wyjaśnienia, na które przyjaciółka czekała.

– A więc, Soniu, mówiłaś o nim rozmaite głupstwa – zaczęła Natasza przymilnym głosem, jakim mówią dzieci, kiedy chcą, żeby je pochwalono. – Dziś rozmówiliśmy się.

– No i co, co? Cóż powiedział? Natasza, jak się cieszę, że się na mnie nie gniewasz. Mów mi wszystko, całą prawdę. Co on powiedział?

Natasza zamyśliła się.

– Ach, Soniu, gdybyś go znała tak jak ja! Powiedział... Pytał mnie, co przyrzekłam Bołkońskiemu. Ucieszył się, że ode mnie zależy zerwanie.

Sonia smutno westchnęła.

– Ale przecie nie zerwałaś z Bołkońskim? – zapytała.

– A może i zerwałam! Może już z Bołkońskim wszystko skończone? Dlaczego myślisz o mnie tak źle?

– Nic nie myślę, tylko tego nie rozumiem...

– Poczekaj, Soniu, wszystko zrozumiesz. Zobaczysz, jaki to człowiek. Nie myśl źle ani o mnie, ani o nim.

– O nikim źle nie myślę: wszystkich kocham i wszystkich mi żal. Ale cóż mam począć?

Sonia nie poddawała się tkliwemu tonowi, z jakim Natasza zwracała się do niej. Im bardziej tkliwy i zabiegający był wyraz twarzy Nataszy, tym poważniejsza i surowsza była twarz Soni.

– Nataszo – odezwała się. – Prosiłaś mnie, żebym z tobą nie rozmawiała, więc nie rozmawiam, ale teraz zaczęłaś sama. Nataszo, ja mu nie wierzę. Po co ta cała tajemnica?

– Znowu, znowu! – przerwała Natasza.

– Nataszo, boję się o ciebie.

– Czego się boisz?

– Boję się, że sama siebie zgubisz – rzekła Sonia stanowczo i sama przestraszyła się tego, co powiedziała. Twarz Nataszy znowu wyraziła zawziętość.

– I zgubię, zgubię siebie, jak najprędzej siebie zgubię. To nie wasza sprawa. Nie wam będzie źle, ale mnie. Zostaw mnie, zostaw. Nienawidzę cię.

– Nataszo! – z przest్రachem wołała Sonia.

– Nienawidzę, nienawidzę! Jesteś moim wrogiem na zawsze!

Natasza wybiegła z pokoju.

Natasza już więcej z Sonią nie rozmawiała i unikała jej. Chodziła po pokojach z tym samym wyrazem wzburzonego zdziwienia i występności, wciąż brała się do czegoś i natychmiast porzucała to zajęcie.

Jakkolwiek ciężkie to było dla Soni, ale nie spuszczała oczu z przyjaciółki – obserwowała ją.

W przeddzień mającego nastąpić powrotu hrabiego Sonia zauważyła, że przez całe rano siedziała wciąż w bawialni przy oknie, jakby na kogoś czekała, i że dała jakiś znak przejeżdżającemu wojskowemu, którego Sonia wzięła za Anatola.

Sonia jeszcze baczniej zaczęła obserwować przyjaciółkę i zauważyła, że podczas obiadu i przez cały wieczór Natasza znajdowała się w dziwnym i nienaturalnym stanie (odpowiadała bez sensu na zadawane jej pytania, zaczynała coś mówić i nie kończyła, ze wszystkiego się śmiała).

Po herbacie Sonia zobaczyła wylęknioną pokojówkę, czatującą przy drzwiach Nataszy. Poczekala, aż pokojówka weszła, i podsłuchując przy drzwiach dowiedziała się, że znów został przekazany list.



I nagle Sonia zrozumiała, iż na ten wieczór Natasza powzięła jakiś straszny zamiar. Sonia zastukała do niej. Natasza jej nie wpuściła.

„Ucieknie z nim – myślała Sonia. – Ona jest do wszystkiego zdolna. Dziś miała w twarzy coś szczególnie żalosego i stanowczego. Rozpłakała się przy pożegnaniu z wujaszkiem – przypomniała sobie Sonia. Tak, na pewno ucieknie z nim, ale co ja mam robić? – myślała Sonia przypominając sobie wszystkie oznaki, które wskazywały jasno, że Natasza ma jakiś straszny zamiar. – Hrabiego nie ma. Co ja mam robić? Napisać do Kuragina i zażądać od niego wyjaśnień? Ale kto mu każe odpisać? Napisać do Pierre'a, jak prosił księżę Andrzej, w razie gdyby się stało coś złego?... Ale może naprawdę ona już zerwała z Bołkońskim (wczoraj wieczorem wysłała list do księżniczki Marii). A wujaszka nie ma.”

Powiedzieć Marii Dmitriewnie, która tak wierzyła w Nataszę, wydało się Soni okropne.

„Tak czy inaczej – myślała Sonia stojąc w ciemnym korytarzu – teraz albo nigdy jest czas, bym dała dowód, że pamiętam o dobrodziejstwach całej rodziny i kocham Nicolas.

Tak, choćbym trzy noce miała nie spać, nie wyjdę z tego korytarza i siłą ją zatrzymam, nie pozwolę, aby hańba spadła na całą rodzinę” – myślała.

## XVI

Ostatnimi czasy Anatol przeniósł się do Dołochowa. Już kilka dni temu Dołochow obmyślił i przygotował plan porwania Nataszy, a owego dnia, kiedy Sonia podsłuchując pod drzwiami, postanowiła jej pilnować, ów plan miał zostać wykonany. Natasza obiecała Kuraginowi, że o dziesiątej wieczór wyjdzie do niego na ganek kuchenny. Kuragin miał ją wsadzić do przygotowanej trójki i zawieźć do Kamienki, wsi oddalanej od Moskwy o sześćdziesiąt wiorst, gdzie już czekał pozbawiony świeceń pop, który miał dać im ślub. W Kamieńce były już przygotowane rozstawne konie, które miały ich wywieźć na trakt warszawski, skąd pocztą mieli ruszyć za granicę.

Anatol miał już paszport, dokument podróży i dziesięć tysięcy od siostry oraz dziesięć tysięcy pożyczone za pośrednictwem Dołochowa.

Dwaj świadkowie – Chwostikow, były urzędnik, którym Dołochow posługiwał się przy kartach, i Makarin, dymisjonowany huzar, człek słaby i dobroduszny, który żywił do Kuragina bezgraniczną miłość – siedzieli przy herbacie w pierwszym pokoju.

W dużym gabinecie Dołochowa, zawieszonym od podłogi aż po sufit perskimi dywanami, niedźwiedzimi skórami i bronią, w podróżnym bezsmecie i butach siedział Dołochow przy otwartym biurku, na którym leżały rachunki oraz paczki banknotów. Anatol w rozpiętym mundurze szedł przez gabinet z tego pokoju, gdzie siedzieli świadkowie, do pokoju od tyłu, gdzie jego lokaj Francuz i słudzy pakowali ostatnie rzeczy. Dołochow liczył pieniądze i zapisywał.

– No – rzekł – Chwostikowowi trzeba dać dwa tysiące.

– No więc daj – powiedział Anatol.

– Makarka (tak nazywali Makarina) pójdzie za tobą w ogień i wodę bezinteresownie. No, to rachunki skończone – oświadczył Dołochow pokazując mu notatkę. – Tak?

– Tak, oczywiście, że tak – odrzekł Anatol, jak widać nie słuchając Dołochowa, i patrzył przed siebie z uśmiechem, który mu nie schodził z twarzy.

Dołochow zatrzasnął biurko i z drwiącym uśmiechem zwrócił się do Anatola.

– Wiesz co, rzuć to wszystko, póki jeszcze czas! – powiedział.

– Dureń! – odrzekł Anatol. – Przestań gadać głupstwa. Gdybyś wiedział... Diabli wiedzą, co to takiego!

– Naprawdę rzuć – rzekł Dołochow. – Mówię serio. To coś sobie zamyślił, to nie przelewki.

– No, znów mnie drażnisz? Idź do diabła. No? – rzeki Anatol skrzywiwszy się. – Nie mam głowy do twoich głupich żartów. – I wyszedł z pokoju.

Kiedy Anatol wyszedł, Dołochow uśmiechnął się z pogardą, pobłażliwie.

– Poczekaj no – zawołał za Anatolem. – Nie żartuję, mówię poważnie, chodź no, chodź tutaj.

Anatol znów wszedł do pokoju i starając się skupić patrzył na Dołochowa, widocznie ulegając mu mimo woli.

– Słuchaj mnie, mówię ci po raz ostatni. Po cóż bym miał z tobą żartować? Czym zrobił co wbrew tobie? Kto wszystko ci urządził, kto znalazł popa, kto wyrobił paszport, kto postarał się o pieniądze?

– No, to dzięki ci. Myślisz, że nie jestem ci wdzięczny? – Anatol westchnął i uściśnął Dołochowa.

– Pomagałem ci, ale muszę rzec prawdę: sprawa jest niebezpieczna i, jeśli się zastanowić – głupia. Dajmy na to, wywieziesz ją, dobrze. Czy na tym koniec? Wyjdzie na jaw, żeś żonaty. Dojdzie do sprawy kryminalnej...

– Ach! Głupstwa, głupstwa! – zaczął Anatol i znów się skrzywił. – Przecież ci tłumaczył. No? – i z tą osobliwą predylekcją (jaką miewają ludzie tępi w konkluzjach, do których doszli własnym rozumem) Anatol powtórzył to rozumowanie, które już ze sto razy powtarzał Dołochowowi.

– Przecież ci tłumaczył, co postanowiłem: skoro to małżeństwo będzie nieważne – rzekł zaginając palec – to znaczy, że nie odpowiadam; a jeśli ważne, to wszystko jedno: za granicą nikt tego nie będzie wiedział; wszak prawda? I nie gadaj, nie gadaj, nie gadaj!

– Doprawdy, rzuć to! Tylko życie sobie zawiążesz...

– Idź do diabła – rzekł Anatol i złapawszy się za głowę wyszedł do drugiego pokoju, ale natychmiast wrócił i usiadł z nogami w fotelu blisko Dołochowa. – Sam diabeł wie, co to jest! No? Zobacz, jak bije! – Wziął rękę Dołochowa i położył sobie na sercu. – *Ah, quel pied, mon cher, quel regard! Une dèesse!*<sup>492</sup>No?

Dołochow uśmiechnął się zimno i patrzył na niego błyskając swymi pięknymi, bezczelnymi oczyma; widać pragnął jeszcze zabawić się jego kosztem.

– No, a jak wyjdą pieniądze, co wtedy?

– Co wtedy? No? – powtórzył Anatol, szczerze zdumiony wobec myśli o przyszłości. – Co wtedy? To już nie wiem co... Ale po co to gadać głupstwa! – Spojrzał na zegarek. – Czas już! Anatol poszedł do drugiego pokoju.

– No, prędko będziecie gotowi? Grzebiecie się! – krzyknął na służących.

Dołochow schował pieniądze, zawołał służącego, żeby kazać podać coś do zjedzenia i wypicia przed drogą, i wszedł do tego pokoju, gdzie siedzieli Chwostikow i Makarin.

Anatol leżał w gabinecie na kanapie; wsparty na ręce, uśmiechał się w zamyśleniu i tklawie szeptał coś do siebie.

– Chodź, zjedz trochę. No, napij się! – krzyczał do niego Dołochow z drugiego pokoju.

– Nie chcę! – odpowiedział Anatol ciągle się uśmiechając.

– Chodź, Bałaga przyjechał.

Anatol wstał i wszedł do jadalni. Bałaga był to słynny woźnica, który już od sześciu lat znał Dołochowa i Anatola i służył im swymi trójkami. Kiedy pułk Anatola stał w Twerze, nieraz wieczorem zabierał Kuragina z Tweru, o świcie przywoził do Moskwy i następnej nocy odwoził. Nieraz ratował Dołochowa przed pogonią, nieraz woził ich po mieście z Cyganami i damulkami – jak się wyrażał Bałaga. W ich służbie nieraz tratował w Moskwie przechodniów i woźniców, ale jego panowie, jak ich nazywał, zawsze go ratowali z opresji. Niejednego konia zajeździł z nimi. Nieraz go bijali, nieraz poili szampanem i maderą, którą lubił, i o każdym z nich wiedział niejedną historię, za którą zwykły człowiek zasłużyłby na Syberię. Do swych hulank nieraz wołali Bałagę, kazali mu pić i tańczyć u Cyganów, niejednym tysiąc z ich pieniędzy przeszedł przez jego ręce. Służąc im, dwadzieścia razy do roku ryzykował życiem i skórą, więcej zamęczył koni, niż zarobił od nich pieniędzy. Jednak lubił ich, lubił tę szaleńczą jazdę po osiemnaście wiorst na godzinę, lubił wywrócić doróżkarza i rozjechać przechodnia i gnać co koń wyskoczy po ulicach Moskwy. Lubiał słyszeć za sobą ów dziki krzyk pijanych głosów: „Jazda! Jazda!”, kiedy już i tak nie sposób było jechać szybciej; lubiał

---

<sup>492</sup> Jaka nóżka, mój drogi, jakie spojrzenie! Bogini!

boleśnie ściągnąć batem chłopca po karku, który i tak z duszą na ramieniu uciekał przed nim. „Prawdziwi panowie!” – myślał.

Anatol i Dołochow również lubili Bałagę za jego mistrzowską jazdę, za to, że lubił to samo co oni. Z innymi Bałaga targował się, brał po dwadzieścia pięć rubli za dwie godziny jazdy, z innymi rzadko kiedy jeździł sam, raczej wysyłał swych woźniców. Ale ze swoimi panami, jak ich nazywał, zawsze jeździł sam i nic nie żądał za swe usługi. Tylko kiedy od kamerdynerów zwiedziało się, że są pieniądze, raz na kilka miesięcy przychodził rano trzeźwy i kłaniając się nisko, prosił żeby go poratowali. Panowie zawsze kazali mu siadać.

– Poratujcie mnie, dobrodzieju Fiodorze Iwanyczu albo jaśnie oświecony książę – mówił. Całkiem się wyniszczyłem z koni, trza by na jarmark jechać, użyczcie więc, ile możecie.

I Anatol, i Dołochow, kiedy byli przy pieniądzach, dawali mu po tysiąc rubli albo i po dwa.

Bałaga był to dwudziestosiedmioletni chłopiec, rudawy, z czerwoną twarzą i ze szczególnie czerwonym, grubym karkiem, krępy, z zadartym nosem, z małutkimi błyszczącymi oczyma i małutką bródką. Ubrany był w cienki granatowy kaftan na jedwabnej podszeźwie, wdziany na półkożuszek.

Przeżegnał się w stronę rogu pokoju i podszedł do Dołochowa, wyciągając do niego niedużą, czarną dłoń.

– Fiodorze Iwanowiczu! – rzekł kłaniając się.

– Jak się masz, bracie. Otóż i on.

– Witaj, jaśnie panie – rzekł do wchodzącego Anatola i również wyciągnął rękę.

– Powiadam ci, Bałaga – rzekł Anatol kładąc mu ręce na ramiona – kochasz ty mnie czy nie? Co? Teraz musisz mi usłużyć... Jakimi końmi przyjechałeś? Co?

– Jak posłaniec nakazał: waszymi bestiami przyjechałem – odpowiedział Bałaga.

– No słuchaj, Bałaga! Zamęcz trójkę, bylebyś w trzy godziny dojechał. No?

– Jeśli zamęczone, to czym pojedziemy? – rzekł Bałaga mrugając.

– No, zbiję ci pysk za takie żarty! – krzyknął nagle Anatol wytrzeszczając oczy.

– Czego żartować? – odrzekł woźnica śmiejąc się.

– Czy to ja dla moich panów pożałuję czego? Pojedziemy co koń wyskoczy.

– A! – powiedział Anatol. – No, siadaj.

– Cóż, siadaj! – rzekł Dołochow.

– Postoję, Fiodorze Iwanowiczu.

– Siadaj, głupstwa gadasz, pij – mówił Anatol i nalał mu dużą szklanekę madery. Oczy woźnicy zaświeciły się do wina. Wymawiając się dla przyzwoitości, wypił i otarł usta czerwoną chusteczką jedwabną, która leżała w jego czapce.

– Kiedy jedziemy, jaśnie panie?

– A więc... (Anatol popatrzył na zegarek) możemy jechać zaraz. Uważaj, Bałaga. Zdązysz?

– Zależy – jak wyjazd będzie pomyślny, to co miałbym nie zdążyć? – rzekł Bałaga. – Do Tweru jechałem w siedem godzin – i zdążyłem. Na pewno jaśnie pan pamięta.

– Wiesz, raz jechałem do Tweru na Boże Narodzenie – rzekł Anatol i uśmiechnął się na to wspomnienie, zwracając się do Makarina, który z roztkliwieniem wpijał się oczyma w księżca. – Dasz wiarę, Makarka, że dech zapierało, takeśmy lecieli. Wjechaliśmy w tabor, przeskoczyliśmy przez dwa wozy. Co?

– To były konie! – ciągnął dalej Bałaga. – Ja wtedy dwa młode przyprzągłem do kasztanka – zwrócił się do Dołochowa. – Czy dasz wiarę, Fiodorze Iwanyczu, leciały bestie sześćdziesiąt wiorst, ani lejców utrzymać, ręce zdrętwiały, był mróz. Rzuciłem lejce: „Trzymaj – powiadam – jaśnie panie!” – a samem zwał się w saniach. Nie to, żeby poganiać, ale nie sposób utrzymać aż do samego końca. W trzy godziny dojechały, diabły! Jeny lewy zdechł.

## XVII

Anatol wyszedł z pokoju i po kilku minutach wrócił w futerku przepasanym srebrnym rzemykiem i w sobolowej czapce włożonej chwacko na bakier, w której mu było bardzo do twarzy. Przejrzawszy się w lustrze, w tej samej pozie, jaką przybrał przed lustrem, stanął przed Dołochowem i wziął do ręki szklankę wina.

– No, Fiedia, żegnaj, dzięki za wszystko, żegnaj mi – rzekł Anatol. – No, towarzysze, przyjaciele – zamyślił się – młodości... mej, żegnajcie – zwrócił się do Makarina i pozostałych.

Nie bacząc na to, że wszyscy z nim jechali. Anatol chciał najwidoczniej zrobić z tej apostrofy do kompanów coś wzruszającego i uroczystego. Mówił wolno, donośnym głosem i wypiąwszy pierś kołysał jedną nogą.

– Weźcie wszyscy szklanki, i ty, Bałaga. No, towarzysze, przyjaciele mej młodości, pohulaliśmy, pożyliśmy sobie, pohulali. No? A teraz, kiedyż się znów spotkamy? Jadę za granicę! Pożyliśmy sobie, a teraz żegnajcie chłopcy. Zdrowie! Hura!... – powiedział, wypił swą szklankę i trzasnął nią o podłogę.

– Bądź zdrow! – rzekł Bałaga; on również wypił swą szklankę i ocierał się chusteczką. Makarin ze łzami w oczach ścisnął Anatola.

– Ech, książę, jak smutno mi rozstawać się z tobą – wyrzekł.

– Jedziemy, jedziemy! – zawołał Anatol. Bałaga już był wyszedł z pokoju.

– Nie, stój – powiedział Anatol. – Zamknij drzwi, trzeba usiąść. O tak! – Zamknięto drzwi i wszyscy usiedli.

– A teraz, chłopcy, marsz! – rzekł Anatol wstając. Lokaj Joseph podał Anatolowi torbę i szablę i wszyscy wyszli do przedpokoju.

– A gdzie futro? – zapytał Dołochow. – Hej, Ignatka!

Idź do Matriony Matwiejewny i poproś o futro, o salopę sobolową. Słyszałem, jak to się wykrada – rzekł Dołochow i mrugnął. – Wskoczysz przecie na pół żywa, jak stała w mieszkaniu, trochę tylko zmarudzisz, a tu zaraz łzy i papa, i mama, i zziębnie od razu, i żeby z powrotem – a ty owiń od razu w szubę i nieś do sań.

Lokaj przyniósł damską salopę na lisach.

– Dureń, mówiłem ci, że sobole. Hej, Matrioszka, sobole! – krzyknął tak, aż jego głos rozległ się po wszystkich pokojach.

Ładna, chuda i blada Cyganka z błyszczącymi czarnymi oczyma i z kędzierzawymi czarnymi włosami o granatowym odcieniu, okryta czerwonym szalem wbiegła z sobolową salopą na ręce.

– Cóż, wcale mi nie żal, bierz – powiedziała: widać było, że boi się swego pana, a żal jej salopy.

Dołochow, nic nie odpowiadając, wziął salopę, narzucił ją na Matrioszkę i otulił ją.

– O, tak – mówił Dołochow. – A potem tak – powiedział i podniósł kołnierz wokół jej głowy i tylko przy twarzy pozostawił niewielki otwór. – Potem tak, widzisz? – i przysunął głowę Anatola do otworu pozostawionego przez kołnierz, z którego widniał świetlisty uśmiech Matrioszy.

– No, żegnaj, Matriosza – powiedział Anatol całując ją. – Ech, skończyło się tu moje hula-  
nie! Kłaniaj się Stiopce.

No, żegnaj! Żegnaj, Matriosza, i życz mi szczęścia.

– No, daj Boże księciu wielkie szczęście – powiedziała Matriosza swym cygańskim ak-  
centem.

Przed gankiem stały dwie trójki, trzymali je dwaj zuchowaci woźnice. Bałaga siadł do  
pierwszej trójki i wysoko podnosząc łokcie, bez pośpiechu zebrał lejce. Anatol i Dołochow  
siedli z nim. Makarin zaś, Chwostikow i lokaj siedli do drugiej trójki.

– Gotowiście, co? – zapytał Bałaga.

– Jazda! – krzyknął omotując lejce dokoła rąk, trójka zatętniła kopytami po Nikitskim  
bulwarze.

– Prr! Hej, droga!... Prr! – rozległ się tylko krzyk Bałagi i chwata siedzącego na koźle. Na  
placu Arbatskim trójka zawadziła o karete, coś zatrzeszczało, rozległy się krzyki i trójka pole-  
ciała Arbatem.

Bałaga, przeleciawszy Podnowińskim Prospektem, jął wstrzymywać konie i zawracając  
zatrzymał je na rogu Starej Koniuszennej.

Pomocnik zeskokczył, aby potrzymać konie za uzdy. Anatol i Dołochow poszli chodnikiem.  
Zbliżywszy się do bramy Dołochow gwizdnął. Odpowiedziało mu gwizdnięcie, a zaraz potem  
wybiegła pokojówka.

– Wejdźcie w podwórze, chyba zaraz wyjdzie – oznajmiła.

Dołochow został przy bramie. Anatol poszedł za pokojówką w podwórze, skręcił za węgiel  
i wbiegł na ganek.

Tu spotkał Anatola Gawriło, olbrzymi lokaj, z którym Maria Dmitriewna wyjeżdżała na  
miasto.

– Proszę do pani – rzekł lokaj basem i zastąpił drogę od drzwi.

– Do jakiej pani? A tyś co za jeden? – spytał Anatol zdyszonym szeptem.

– Proszę, kazano mi przyprowadzić.

– Kuragin! Wracaj! – krzyczał Dołochow. – Zdrada! Wracaj!

Dołochow przy furtce, gdzie się zatrzymał, walczył ze stróżem, który usiłował zamknąć ją  
zatrzymując Anatola. Dołochow ostatnim wysiłkiem odepchnął stróża i chwyciwszy za rękę  
nadbiegającego Anatola wyszarpnął go za furtkę i pobiegł z nim z powrotem do sań.

## XVIII

Maria Dmitriewna, spotkawszy na korytarzu zapłakaną Sonię, zmusiła ją, by się do wszystkiego przyznała. Maria Dmitriewna przejęła bilecik Nataszy i przeczytawszy go, z bilecikiem w ręce weszła do pokoju Nataszy.

– Łajdaczko, bezwstydnico – powiedziała jej. – O niczym nie chcę słyszeć! – Odepchnawszy Nataszę, patrząc na nią zdumionymi, ale suchymi oczyma, zamknęła ją na klucz i rozkazała stróżowi wpuścić tych ludzi, którzy przyjdą dziś wieczorem, ale ich nie wypuszczać, lokajowi zaś poleciła, żeby ich do niej przyprowadził. Usiadła więc w salonie i czekała.

Kiedy Gawriło przyszedł zameldować, że przybysze uciekli, Maria Dmitriewna spochmurnała. Wstała, założyła ręce do tyłu i długo chodziła po pokojach obmyślając, co ma robić. O północy, namacawszy w kieszeni klucz, poszła do pokoju Nataszy. Sonia łkając siedziała w korytarzu.

– Mario Dmitriewno, na miłość boską, proszę mnie do niej wpuścić! – odezwała się. Maria Dmitriewna, nie odpowiadając jej, otworzyła drzwi i weszła. „Szkardnie, obrzydliwie... w moim domu... hultaj dziewczucha... tylko mi ojca żal! – myślała Maria Dmitriewna starając się opanować gniew. – Choć to będzie trudne, ale każę wszystkim milczeć i ukryję to przed hrabią”. Maria Dmitriewna stanowczym krokiem weszła do pokoju. Natasza leżała na kanapie kryjąc głowę w dłoniach i nie ruszała się. Leżała w tej samej pozycji, w jakiej zostawiła ją Maria Dmitriewna.

– Dobraś ty, dobra! – zaczęła Maria Dmitriewna. – W moim domu naznacza się schadzki kochankom! Nie ma co udawać. Słuchaj, kiedy do ciebie mówię. – Maria Dmitriewna dotknęła jej ręki. – Słuchaj, kiedy ja mówię. Zhańbiłaś się jak dziewczka ostatnia. Ja bym ci pokazała, ale mi ojca żal. Ukryję to. – Natasza nie zmieniła pozycji, tylko całym jej ciałem jęły wstrząsać bezdźwięczne, spazmatyczne łkania, które ją dusiły. Maria Dmitriewna obejrzała się na Sonię i przysiadła na kanapie obok Nataszy.

– Jego szczęście, że mi uszedł, ale ja go znajdę – rzekła swym grubym głosem. – Słyszysz, co ja mówię? – Swą dużą dłoń położyła pod głowę Nataszy i obróciła ją ku sobie. I Maria Dmitriewna, i Sonia zdumiały się ujrzawszy twarz Nataszy. Oczy Nataszy były błyszczące i suche, wargi zaciśnięte, policzki zapadłe.

– Zostaw... cie.. mnie... co mi... ja... umrę... – powiedziała zawzięcie, z wysiłkiem wyrwała się Marii Dmitriewnie i znowu ukryła twarz w dłoniach.

– Natalio!... – rzekła Maria Dmitriewna. – Pragnę twego dobra. A leż, no leż, jak ci się podoba, ja cię nie tknę, ale słuchaj... Nie będę ci mówić, jakieś zawiniła. Sama wiesz. Ale teraz ojciec przyjeżdża jutro: co ja mu powiem? No?

Ciało Nataszy znów zadrżało od łkań.

– No, dowie się on, dowie twój brat, narzeczony!

– Nie mam narzeczonego, zerwałam! – krzyknęła Natasza.

– Wszystko jedno – ciągnęła Maria Dmitriewna.

– A jak oni się dowiedzą, to czy to tak zostawią? Przecież on, twój ojciec – ja go znam – wyzwie go na pojedynek, czy to będzie dobrze? No?

– Ach, zostawcie mnie, czemu pani wszystkiemu przeszkodziła! Czemu? Czemu? Kto pani o to prosił? – krzyknęła Natasza. Uniosła się na kanapie i gniewnie patrzyła na Marię Dmitriewnę.

– A cóżeś ty chciała – wykrzyknęła Maria Dmitriewna znowu w pasji. – Czy to ciebie zamykano, czy co? Kto mu przeszkadzał bywać w domu? Czemu cię miał porywać niby jaką Cyganke?... No, dajmy na to, że wywiózłby, to myślisz, że nie znaleźliby go? Twój ojciec, brat, narzeczony? To łajdak, hultaj, ot co!

– Lepszy jest od was wszystkich! – krzyknęła Natasza unosząc się na kanapie. – Gdyby pani nie przeszkodziła... Ach, mój Boże, dlaczego! Soniu, dlaczego? Wyjdźcie...

– I załkała z taką rozpaczą, z jaką oplakują swe nieszczęście tylko tacy ludzie, którzy czują, że sami są jego przyczyną. Maria Dmitriewna znów zaczęła mówić, lecz Natasza krzyknęła: – Wyjdźcie, wyjdźcie, wy wszyscy mnie nienawidzicie, gardzicie mną! – I znów rzuciła się na kanapę.

Jeszcze przez pewien czas Maria Dmitriewna przemawiała Nataszy do sumienia i przekonywała ją, że wszystko trzeba ukryć przed hrabią, że nikt się o niczym nie dowie, jeśli tylko Natasza zobowiąże się zapomnieć o wszystkim i nie da po sobie poznać, że coś się zdarzyło. Natasza nie odpowiedziała. Już nawet nie łkała, ale dostała dreszczy i gorączki. Maria Dmitriewna podłożyła jej poduszkę, przykryła dwiema kołdrami i sama przyniosła jej lipowego kwiatu, ale Natasza nie odezwała się do niej.

– Ano, niechże śpi – powiedziała Maria Dmitriewna wychodząc z pokoju i myśląc, że Natasza śpi. Ale ona nie spała: rozwartymi, znieruchomiałymi oczyma, blada, patrzyła prosto przed siebie. Całą tę noc Natasza nie spała i nie płakała, ale nie odezwała się słowem do Soni, która kilka razy wstawiała i podchodziła do niej.

Nazajutrz przed śniadaniem hrabia Ilia Andreicz, jak był obiecał, przyjechał ze swej posiadłości podmoskiewskiej.

Był bardzo wesół: interes z nabywcą układał się, więc już teraz nic go nie zatrzymywało w Moskwie, z dala od hrabiny, za którą już się stęsknił. Maria Dmitriewna powitała go i oznajmiła, że Natasza wczoraj bardzo zaniemogła, że posyłano po lekarza, ale że teraz już jej lepiej. Tego rana Natasza nie wyszła ze swego pokoju. Z zaciśniętymi, splekanymi wargami, z suchymi, nieruchomymi oczyma siedziała przy oknie wpatrując się niespokojnie w przejeżdżających ulicą i spieszenie oglądała się na wchodzących do pokoju. Najwidoczniej czekała na wiadomość o nim, czekała, że sam przybędzie albo do niej napisze.

Kiedy hrabia wszedł do niej, na odgłos męskich kroków obejrzała się niespokojnie, i jej twarz z powrotem przybrała dawny wyraz chłodu, a nawet zawziętości. Nie wstała, by się przywitać.

– Co ci, mój aniele, chora jesteś? – zapytał hrabia. Natasza chwilę milczała.

– Tak, chora – odpowiedziała.

Na niespokojne pytania hrabiego, czemu jest taka przygnębiona i czy nie wydarzyło się coś złego z narzeczonym, zapewniała go, że nic, i prosiła, żeby się nie martwił. Maria Dmitriewna powtórzyła hrabiemu zapewnienia Nataszy, że się nic nie zdarzyło. Hrabia z rzekomej choroby Nataszy, jej zdenerwowania i skonfundowanych min Soni i Marii Dmitriewny rozumiał, że podczas jego nieobecności coś musiało się stać; ale myślał, że coś hańbiącego mogło spotkać jego ukochaną córkę, była dlań tak straszna, a on tak lubił swój wesoły spokój, że unikał pytań i starał się utwierdzić w przekonaniu, że nic szczególnego nie zaszło, i tylko tym się trapił, że ze względu na niedyspozycję Nataszy trzeba odłożyć powrót na wieś.



## XIX

Od dnia przybycia żony do Moskwy Pierre zamierzał wyjechać gdziekolwiek, byle tylko nie być z nią razem. Wkrótce po przyjeździe Rostowów do Moskwy wrażenie, jakie wywierała na nim Natasza, skłoniło go do pośpiechu w wykonaniu tego zamierzenia. Udał się do Tweru, do wdowy po Józefie Aleksiejewiczu, która już dawno obiecała mu przekazać wszystkie papiery po zmarłym.

Kiedy Pierre wrócił do Moskwy, doręczono mu list od Marii Dmitriewny, która wzywała go do siebie w nader ważnej sprawie, dotyczącej Andrzeja Bołkońskiego i jego narzeczonej. Pierre unikał Nataszy. Wydawało mu się, że ma dla niej uczucie mocniejsze, niż powinien je mieć człowiek żonaty względem narzeczonej swego przyjaciela. I jakiś los ciągle ich ze sobą wiązał.

„Cóż się mogło stać? Jaki mogą mieć do mnie interes? – myślał ubierając się, by udać się do Marii Dmitriewny.

– Niechby księżę Andrzej jak najprędzej przyjechał i ożenił się z nią!” – myślał Pierre w drodze do Marii Dmitriewny. Na bulwarze Twerskim ktoś na niego zawołał.

– Pierre? Dawno przyjechał? – wykrzyknął do niego znajomy głos. Pierre podniósł głowę. W saniach zaprzężonych w parę kłusaków, zarzucających śniegiem przodek sań, mignął Anatol ze swym nieodstępnym towarzyszem Makarinem.

Anatol siedział wyprostowany, w klasycznej pozie wojskowych elegantów, dół twarzy miał otulony bobrowym kołnierzem, głowę z lekka pochyloną. Twarz jego była rumiana i świeża, kapelusz z białym pióropuszem, włożony na bakier, odsłaniał ufryzowane włosy, wypomadowane i obsypane drobnym śniegiem.

„Zaiste oto prawdziwy mędrzec! – pomyślał Pierre.

– Nie widzi nic poza obecną chwilą przyjemności, nic go nie niepokoi i dlatego jest zawsze wesół, zadowolony i spokojny. Cóż bym dał za to, bym mógł być taki jak on!” – pomyślał Pierre z zazdrością.

W przedpokoju u Marii Dmitriewny lokaj zdejmując z Pierre'a futro rzekł, iż pani prosi do siebie do sypialni.

Kiedy Pierre otworzył drzwi do salonu, zobaczył Nataszę siedzącą przy oknie, z twarzą wychudłą, bladą i gniewną. Obejrzała się na niego, zasepiła i z wyrazem ozięblej godności wyszła z pokoju.

– Co się stało? – zapytał Pierre wchodząc do Marii Dmitriewny.

– Ładne rzeczy – odpowiedziała Maria Dmitriewna.

– Pięćdziesiąt osiem lat przeżyłam na świecie, ale takiej hańby nie widziałam. – Zobowiązawszy Pierre'a słowem honoru, że będzie milczał o wszystkim, czego się dowie, Maria Dmitriewna oznajmiła mu, że Natasza bez wiedzy rodziców zerwała z narzeczoną, a przyczyną tego zerwania okazał się Anatol Kuragin, z którym spiknęła ją żona Pierrea. Podczas nieobecności ojca Natasza chciała uciec z Anatolem, żeby po kryjomu wziąć z nim ślub.

Z podniesionymi ramionami i otwartymi ustami Pierre słuchał, co mówiła Maria Dmitriewna, i nie wierzył swoim uszom. Aby narzeczone księcia Andrzeja, tak bardzo kochana, taka miła ongi Natasza Rostow, mogła zamienić Bołkońskiego na głupca Anatola, już żonate-

go (Pierre znał tajemnicę jego ożenku), i tak się w nim zakochać, żeby zgodzić się na ucieczkę z nim! – tego Pierre nie mógł pojąć i nie mógł sobie wyobrazić.

Miły obraz Nataszy, którą znał od dzieciństwa, nie mógł w jego duszy połączyć się z nowym wyobrażeniem o jej podłości, głupocie i okrucieństwie. Przypomniawszy sobie swą żonę, „Wszystkie one jednakie” – rzekł do siebie, myśląc, że nie tylko jemu jednemu przypadł smutny udział związku z nikczemną kobietą. Ale było mu aż do łez żal księcia Andrzeja, żal jego dumy, a im bardziej żałował przyjaciela, z tym większą pogardą, a nawet ze wstrętem myślał o tej Nataszy, która z tak oziębłą godnością niedawno przeszła obok niego przez salon. Nie wiedział, że dusza Nataszy była przepelniona rozpaczą, wstydem, poniżeniem i że nie ona była winna temu, iż twarz jej bezwiednie wyrażała wyniosły spokój i surowość.

– Jak to – wziąć ślub? – rzekł Pierre na słowa Marii Dmitriewny. – Nie mógł wziąć ślubu: on jest żonaty.

– Coraz lepiej – rzekła Maria Dmitriewna. – Przyjemny chłoptys! Taki łajdak! A ona czeka, drugi dzień czeka. Trzeba jej powiedzieć, przynajmniej przestanie czekać.

Maria Dmitriewna dowiedziawszy się od Pierre'a szczegółów żeniaczki Anatola, wylała na niego swój gniew w obelżywych słowach, a następnie oznajmiła Pierre'owi po co go wezwiała. Maria Dmitriewna obawiała się, żeby hrabia albo Bołkoński, który mógł lada chwila się zjawić, dowiedziawszy się o sprawie, którą miała zamiar przed nim ukryć, nie wyzwali Kuragina na pojedynek, i dlatego prosiła, żeby Pierre w jej imieniu nakazał szwagrowi wyjechać z Moskwy i powiedział, żeby nie śmiał pokazywać się jej na oczy. Pierre obiecał spełnić to życzenie, dopiero teraz zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo zagrażało i staremu hrabiemu, i Mikołajowi, i księciu Andrzejowi. Maria Dmitriewna, krótko i rzeczowo wyłożywszy Pierre'owi swe żądania, wpuściła go do salonu.

– Uważaj no, hrabia nie wie o niczym. Zachowuj się, jakbyś nic nie wiedział – rzekła. – A ja pójdę jej powiedzieć, że nie ma co czekać! Zostań na obiedzie, jeśli chcesz – krzyknęła do Pierre'a.

Pierre spotkał się ze starym hrabią. Hrabia był zmieszany i zdenerwowany. Tego bowiem ranka Natasza oznajmiła mu, że zerwała z Bołkońskim.

– Bieda, *mon cher* – mówił do Pierre'a – bieda, kiedy dziewczęta są bez matki; tak żałuję, że zerwałam z narzeczonym, nikogo się nie radząc. Dajmy na to, że nigdy nie cieszyłem się z tego małżeństwa, dajmy na to, że on jest porządnym człowiekiem, ale cóż? Wbrew woli ojca nie byłoby szczęścia. Nataszy nie zabraknie konkurentów. Ale trwało to tak długo, no i jak można, taki krok – bez ojca, bez matki! A teraz chora, Bóg wie, co to takiego. Źle, hrabio, bardzo źle z córkami, gdy nie ma matki... – Pierre widział, że hrabia był bardzo zdenerwowany, starał się więc sprowadzić rozmowę na inny temat, ale hrabia wciąż wracał do swego zmartwienia.

Sonia z wylęknioną twarzą weszła do salonu.

– Natasza źle się czuje, jest w swoim pokoju i chciałaby się z panem widzieć. Maria Dmitriewna jest z nią i prosi również.

– Tak, przecie pan się bardzo z Bołkońskim przyjaźnisz; widocznie chce mu coś przekazać – rzekł hrabia.

– Ach, mój Boże, mój Boże! A wszystko było tak dobrze!

– I chwyciwszy się za rzadkie, siwe włosy na skroniach, hrabia wyszedł z pokoju.

Maria Dmitriewna oznajmiła Nataszy, że Anatol jest żonaty. Natasza nie chciała jej wierzyć i żądała, by Pierre sam to potwierdził. Sonia powiedziała to wszystko Pierre'owi, gdy prowadziła go przez korytarz do pokoju Nataszy.

Natasza, blada, surowa, siedziała obok Marii Dmitriewny; już od drzwi powitała Pierre'a spojrzeniem błyszczącym gorączkowo, pytającym. Nie uśmiechnęła się, nie skinęła mu głową, tylko uparcie patrzyła na niego, a jej spojrzenie pytało tylko o to: czy – jeśli chodzi o

Anatola – jest on przyjacielem, czy też wrogiem, jak wszyscy pozostali? Sam Pierre, widać, nie istniał dla niej.

– On wie wszystko – oświadczyła Maria Dmitriewna zwracając się do Nataszy i wskazując Pierre'a. – Niech ci powie, czym prawdę mówiła.

Jak postrzelony, zaszczuty zwierz patrzy na zbliżające się psy i myśliwych, tak Natasza patrzyła to na Marię Dmitriewnę, to na Pierre'a.

– Natalio Iliniczno – zaczął Pierre spuszczać oczy, czując litość dla niej i wstręt do tej operacji, którą miał wykonać. – Czy to prawda, czy nieprawda, to powinno być pani wszystko jedno, dlatego, że...

– Więc to nieprawda, że on żonaty?

– Nie, to prawda.

– Żonaty, a dawno? – zapytała. – Słowo honoru? Pierre dał jej słowo honoru.

– Czy on jeszcze jest tutaj? – zapytała żywo.

– Tak, dopiero co go spotkałem. Najwidoczniej nie miała siły mówić i dawała rękoma znaki, żeby ją zostawiono.

## XX

Pierre nie został na obiedzie, lecz zaraz wyszedł z pokoju. Pojechał szukać na mieście Anatola Kuragina, a na myśl o nim krew biła mu w skroniach i utrudniała oddech. Nie było go ani na Górkach, u Cyganów, ani u Comoneno. Pierre pojechał do klubu. W klubie wszystko szło zwykłym trybem: goście, którzy przyjechali na obiad, siedzieli grupami, witali się z Pierre'em i rozmawiali o nowinkach miejskich. Lokaj, powitawszy go, zameldował – znając jego znajomych i przyzwyczajenia – że zarezerwowano dla niego miejsce w małej jadalni, że książe Michał Zacharycz jest w bibliotece, a Paweł Timofiejcz jeszcze nie przyjechał. Jeden ze znajomych Pierre'a zapytał go wśród rozmowy o pogodzie, czy słyszał, że Kuragin porwał hrabiankę Rostow, mówi o tym całe miasto. Czy to prawda? Pierre roześmiewszy się odpowiedział, że to bzdura, że właśnie wraca od Rostowów. Dopytywał się wszystkich o Anatola, ktoś mu powiedział, że jeszcze nie był, ktoś inny, że dziś będzie jadł w klubie obiad. Pierre'owi dziwnie było patrzeć na ten tłum spokojnych i obojętnych ludzi, nie wiedzących, co się dzieje w jego duszy. Przeszedł po sali, poczekał, aż wszyscy się zjadą, a nie doczekawszy się Anatola, nie został na obiedzie i udał się do domu.

Owego dnia Anatol, którego tak szukał, był na obiedzie u Dołochowa i naradzał się z nim, jak poprawić zepsutą sprawę. Uważał, że koniecznie trzeba się zobaczyć z Nataszą.

Wieczorem pojechał do siostry, aby porozmawiać z nią o sposobach urządzenia tego spotkania. Kiedy Pierre, na próżno objechawszy całą Moskwę, wrócił do domu, kamerdyner zameldował mu, że książe Anatol Wasiliewicz jest u hrabiny. Salon hrabiny był pełen gości.

Pierre nie witając się z żoną, której po przyjeździe jeszcze nie widział (w tej chwili była mu nienawistna bardziej niż kiedykolwiek), wszedł do salonu, a dostrzegłszy Anatola zbliżył się do niego.

– Ach, Pierre – odezwała się hrabina podchodząc do męża. – Nie wiesz, w jakiej sytuacji jest nasz Anatol... – Zamilkła dostrzegłszy w pochylonej nisko głowie męża, w jego błyszczących oczach, w jego zdecydowanym kroku ten straszny wyraz szaleństwa i siły, jaki znała i jakiego doświadczyła po pojedynku z Dołochowem.

– Gdzie pani jesteś – tam rozpusta i zło – rzekł Pierre do żony. – Anatolu, chodź ze mną, muszę z panem pomówić – powiedział po francusku.

Anatol obejrzał się na siostrę i wstał posłusznie, gotów iść za Pierre'em.

– *Si vous permettez dans mon salon...*<sup>493</sup> – rzekła Héléne szeptem; lecz Pierre nie odpowiedział i wyszedł z pokoju.

Anatol szedł za nim zwykłym, chwałackim krokiem. Ale na jego twarzy widać było niepokój.

Wszedłszy do gabinetu Pierre zamknął drzwi i zwrócił się do Anatola nie patrząc na niego:

– Obiecałeś pan hrabiance Rostow ożenić się z nią? Chciałeś ją wywieźć?

– Mój drogi – odpowiedział Anatol po francusku (całą rozmowę prowadzili po francusku) – uważam, iż nie jestem obowiązany odpowiadać na badania prowadzone w tym tonie.

---

<sup>493</sup> Jeśli sobie pozwolisz w moim salonie...

Twarz Pierre'a, już przedtem bladą, wykrzywiła wściekłość. Swą dużą ręką porwał Anatola za kołnierz munduru i jał trząść nim w jedną i drugą stronę, póki twarz Anatola nie przybrała dostatecznego wyrazu strachu.

– Kiedy ja powiadam, że muszę z panem pomówić... – powtórzył Pierre.

– No cóż, głupstwo. Ha? – rzekł Anatol obmacując guzik wyrwany razem z sukнем.

– Jesteś pan nikczemnikiem i łajdakiem, nie wiem, co mnie wstrzymuje od satysfakcji roztrzaskania ci głowy tym oto – mówił Pierre wyrażając się tak nienaturalnie tylko dlatego, że mówił po francusku. Wziął w rękę ciężki przycisk, podniósł groźnie do góry i zaraz spiesźnie położył na miejscu.

– Obiecałeś pan ożenić się z nią?

– Ja, Ja, ja, nie wiem, myślałem, zresztą nigdy nie obiecywałem, dlatego że... Pierre prze-rwał mu.

– Masz pan listy od niej? Masz listy? – powtórzył Pierre zbliżając się do Anatola.

Anatol spojrział na niego i natychmiast włożywszy rękę do kieszeni wydobył portfel.

Pierre wziął list podany mu przez Anatola, odtrącił stojące na drodze krzesło i opadł ciężko na kanapę.

– *Je ne serai pas violent, ne craignez rien*<sup>494</sup> – rzekł Pierre odpowiadając Anatolowi na jego gest przerażenia. Listy to raz – powiedział Pierre, jak gdyby powtarzając sobie lekcję. – Po drugie – ciągnął po chwili milczenia, znów wstając i zaczynając chodzić – jutro musi pan opuścić Moskwę.

– Lecz jakże ja mogę...

– Po trzecie – ciągnął Pierre nie słuchając go – nie wolno panu nikomu mówić ani słowa o tym, co było między tobą a hrabianką. Wiem, nie mogę panu tego zabronić, ale jeśli masz choć cień sumienia... – Pierre zamilkł i kilka razy przeszedł się po pokoju. Anatol siedział przy stole nachmurzony i przygryzał wargi.

– Przecie w końcu musisz pan zrozumieć, że prócz twego własnego zadowolenia jest szczęście i spokój innych ludzi, że burzysz cudze życie jedynie dlatego, że masz ochotę zabawić się. Zabawiaj się z kobietami pokroju mojej małżonki, do nich masz prawo, one wiedzą, czego pan od nich chcesz. Uzbrojone są przeciwko tobie takim samym doświadczeniem rozwiązałości, ale obiecać dziewczynie, że ją poślubisz... oszukać... wykradać... Jakże możesz pan nie rozumieć, że to jest równie nikczemne, jak pobicie starca lub dziecka!...

Pierre zamilkł i spojrział na Anatola wzrokiem już nie gniewnym, ale pytająco.

– Tego nie wiem? Ale? – rzekł Anatol nabierając otuchy w miarę tego, jak Pierre przezwyciężał swój gniew. – Nie wiem o tym i nie chcę wiedzieć – powiedział, nie patrząc na Pierre'a, z lekkim drżeniem dolnej szczęki. – Aleś pan mi powiedział słowa takie: nikczemność i tak dalej, a ja *comme un homme d'honneur*<sup>495</sup> nikomu na to nie pozwolę.

Pierre patrzył na niego ze zdumieniem, nie będąc w stanie pojąć, o co mu chodzi.

– Choć to było w cztery oczy – ciągnął dalej Anatol – jednak nie mogę...

– Żądasz pan satysfakcji? – rzekł Pierre szyderczo.

– Przynajmniej możesz pan cofnąć swe słowa. No? Jeśli chcesz, abym spełnił pańskie życzenie. No?

– Ależ cofam, cofam – oświadczył Pierre – i proszę pana o wybaczenie. – Pierre mimo woli spojrział na urwany guzik. – I jeśli panu potrzeba, dam pieniędzy na drogę. – Anatol uśmiechnął się.

Ten rodzaj uśmiechu bojaźliwego a nikczemnego, znany mu u żony, wzburzył Pierre'a.

– Och, podły rodzie bez serca! – rzekł i wyszedł z pokoju.

Nazajutrz Anatol wyjechał do Petersburga.

<sup>494</sup> Nic ci nie zrobię, niech się pan nie boi.

<sup>495</sup> Jako człowiek honoru.

## XXI

Pierre pojechał do Marii Dmitriewny, aby oznajmić, że spełnił jej życzenie – wypędził Kuragina z Moskwy. W domu panował strach i wzburzenie. Natasza była bardzo chora. Maria Dmitriewna powiedziała Pierre'owi pod sekretem, że Natasza tej nocy, gdy jej oznajmiono, że Anatol jest żonaty, truła się arsenikiem, o który się postarała ukradkiem. Przełknąwszy niewiele tak się przerażała, że obudziła Sonię i oznajmiła jej, co zrobiła. W porę zastosowano środki przeciwko truciznie i teraz Nataszy nie zagraża niebezpieczeństwo, ale jest tak słaba, że niepodobna myśleć o tym, by odwiedzić ją na wieś, toteż posłano po hrabinę. Pierre widział się z zafrasowanym hrabią i z zapłakaną Sonią, ale nie mógł się widzieć z Nataszą.

Tego dnia Pierre jadł obiad w klubie, gdzie na wszystkie strony mówiono o próbie wykradzenia Nataszy, a on z uporem obalał te pogłoski, zapewniając wszystkich, że nic podobnego nie było, że tylko jego szwagier oświadczył się hrabiance Rostow i dostał kosza. Wydawało się Pierre'owi, że jego obowiązkiem jest ukrywać całą prawdę i naprawiać reputację Nataszy.

Oczekiwał ze strachem powrotu księcia Andrzeja i co dzień jeździł do starego księcia po wiadomości.

Książę Mikołaj Andreicz poprzez m-lle Bourienne znał wszystkie wieści obiegające miasto; czytał też bilet do księżniczki Marii, którym Natasza zrywała z narzeczonym. Wydawał się weselszy niż zazwyczaj i z wielką niecierpliwością oczekiwał syna.

W kilka dni po wyjeździe Anatola Pierre otrzymał bilet od księcia Andrzeja, który go zawiadamiał o swym przybyciu i prosił, by do niego zajechał.

Książę Andrzej, przybywszy do Moskwy, od razu otrzymał od ojca kartkę Nataszy do księżniczki Marii (kartkę tę wykradła księżniczce Marii i oddała księciu m-lle Bourienne) i z różnymi dodatkami usłyszał od ojca wieści o porwaniu Nataszy.

Książę Andrzej przyjechał wieczorem, a Pierre odwiedził go nazajutrz rano. Pierre spodziewał się, że znajdzie księcia Andrzeja niemal w takim stanie, w jakim się znajdowała Natasza, toteż zdziwił się, kiedy wchodząc do salonu usłyszał w gabinecie donośny głos księcia Andrzeja mówiącego z ożywieniem o jakiejś intrydze petersburskiej. Stary książę i jeszcze czyjś głos przerywali mu z rzadka. Na powitanie Pierre'a wyszła księżniczka Maria. Westchnęła wskazując oczami drzwi, za którymi był książę Andrzej, widać w ten sposób pragnąc wyrazić współczucie dla jego nieszczęścia, ale Pierre widział z twarzy księżniczki Marii, że ona również jest zadowolona z tego, co się zdarzyło, i z tego, jak brat przyjął wiadomość o niewierności narzeczonej.

– Powiedział, że się tego spodziewał – oświadczyła. – Wiem, że duma nie pozwoli mu wyrazić jego uczucia, ale zniósł to lepiej, znacznie lepiej, niżem się spodziewała. Widocznie tak być musiało...

– Czyżby więc absolutnie wszystko było skończone? – zapytał Pierre.

Księżniczka Maria spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nie rozumiała nawet, że można było o to pytać. Pierre wszedł do gabinetu. Książę Andrzej, zmieniony, wyraźnie zdrowszy, lecz z nową, poprzeczną zmarszczką między brwiami, stał w cywilnym ubraniu naprzeciw ojca i księcia Mieszczerskiego i gorąco dysputował gestykulując z energią.

Była mowa o Sperańskim.<sup>496</sup> Wieść o jego minionej zdradzie i niespodziewanym zesłaniu dopiero co dotarła do Moskwy.

– Obecnie potępiają i obwiniają go (Sperańskiego) ci wszyscy, którzy miesiąc temu entuzjasmowali się nim – mówił książę Andrzej – i ci, którzy nie byli w stanie pojąć jego celów. Bardzo łatwo jest sądzić człowieka w nielasce i zwać nań błędy innych, a ja powiem, że jeśli zrobiono coś dobrego w czasie obecnego panowania, to wszystko dobre zostało zrobione przez niego, jedynie przez niego... – Zamilkł ujrawszy Pierre'a. Twarz mu drgnęła i natychmiast przybrała złośliwy wyraz. – A potomni oddadzą mu sprawiedliwość – dokończył i zaraz zwrócił się do Pierre'a. – No, jak się masz? Wciąż tyjesz – mówił z ożywieniem, lecz nowa fałda jeszcze głębiej zarysowała jego czoło. – Tak, jestem zdrów – odpowiedział na pytanie Pierre'a i uśmiechnął się. Dla Pierre'a jasne było, że jego uśmiech mówił: „Jestem zdrów, ale moje zdrowie nikomu nie jest potrzebne”. Wymieniwszy z Pierre'em kilka słów o okropnej drodze od granic Polski, o tym, że w Szwajcarii spotkał znajomych Pierre'a, i o panu Dessales, którego przywiózł z zagranicy na wychowawcę swego syna, książę Andrzej znów zapalczywie wmieszał się do rozmowy o Sperańskim, którą prowadzili starzy.

– Gdyby to była zdrada i były dowody jego potajemnych stosunków z Napoleonem, toby je przedstawiono wszystkim – mówił zapalczywie i prędko. – Osobiście nie lubiłem i nie lubię Sperańskiego, ale kocham sprawiedliwość. – Pierre poznawał teraz w przyjacielu ową dobrze mu znaną potrzebę wzruszania się i spierania o sprawę zupełnie obcą, jedynie dlatego, aby zagłuszyć zbyt ciężkie serdeczne myśli.

Kiedy książę Mieszczerski wyszedł, książę Andrzej ująwszy Pierre'a pod rękę poprosił go do pokoju, który dla niego przygotowano. W pokoju widać było rozstawione łóżko, otwarte kufry i walizy. Książę Andrzej podszedł do jednej z nich i wyjął szkatułkę. Ze szkatułki wydobyl pakiet, zawinięty w papier. Wszystko to robił w milczeniu i bardzo szybko. Wyprostował się i zakasłał. Twarz miał chmurną i usta zaciśnięte.

– Wybacz, że cię trudzę... – Pierre zrozumiał, że książę Andrzej chciał mówić o Nataszy, jego szeroka twarz wyraziła współczucie i żal. Ten wyraz twarzy Pierre'a rozgniewał księcia Andrzeja; ciągnął dalej stanowczo, głosem dźwięcznym, nieprzyjemnym: – Dostałem rekuzę od hrabianki Rostow, doszły też mnie wieści, że twój szwagier ubiega się o jej rękę czy coś w tym rodzaju. Czy to prawda?

– I prawda, i nieprawda – zaczął Pierre, ale książę Andrzej przerwał mu:

– Oto jej listy i miniatura – oświadczył. Wziął ze stołu pakiet i podał Pierre'owi.

– Oddaj to hrabiance... jeśli się z nią zobaczysz.

– Jest bardzo chora – powiedział Pierre.

– To jeszcze jest tutaj? – zapytał książę Andrzej.

– A książę Kuragin? – zapytał prędko.

– Dawno już wyjechał. Była prawie umierająca...

– Bardzo ubolewam z powodu jej choroby – rzekł książę Andrzej. Uśmiechnął się chłodno, złośliwie, nieprzyjemnie, jak uśmiechał się jego ojciec.

– Ale pan Kuragin nie zaszczycił swą ręką hrabianki Rostow? – rzekł książę Andrzej. Prychnął nosem kilkakrotnie.

– Nie mógł się ożenić, bo już jest żonaty – oznajmił Pierre.

---

<sup>496</sup> Hrabia Michał Sperański (1772–1839) – jeden z najwybitniejszych mężów stanu w epoce panowania Aleksandra I. Zamiarem Sperańskiego było wzmocnienie państwowości rosyjskiej przez jej unowocześnienie i oparcie o stałe zasady, jak np. podział władzy na prawodawczą, administracyjną i sądową, a także i podział organów władzy na miejscowe i centralne. Działalność Sperańskiego odpowiadała początkowo dążeniom Aleksandra I. Przeciwno Sperańskiemu, który między r. 1800 i 1812 osiągnął pełnię władzy i przeprowadzał zamierzone reformy, występował zwolennicy zachowania dawnego porządku, którzy ok. r. 1811 uzyskali silny wpływ na Aleksandra I. W wyniku licznych donosów, oskarżających go o zdradę Sperański w r. 1812 został aresztowany i zesłany do Niżnego Nowgorodu, a następnie do Permu. Uwolniony w r. 1816 Sperański pozostawał w służbie państwowej za panowania Aleksandra I i Mikołaja I.

Książę Andrzej zaśmiał się nieprzyjemnie, znowu przypominając tym swego ojca.

– A gdzie pański szwagier znajduje się obecnie, jeśli wolno wiedzieć? – zapytał.

– Wyjechał do Peters... nie wiem zresztą – odrzekł Pierre.

– To właściwie wszystko jedno – rzekł książę Andrzej. – Powiedz ode mnie hrabiance Rostow, że była i jest absolutnie wolna i że życzę jej wszystkiego najlepszego.

Pierre wziął plik listów. Książę Andrzej patrzył na niego nieruchomo, jak gdyby przypominając sobie, czy ma jeszcze coś do powiedzenia, i jak gdyby w oczekiwaniu, czy Pierre czegoś nie powie.

– Proszę posłuchać, książę: czy pamiętasz nasz spór w Petersburgu – rzekł Pierre – spór o...?

– Pamiętam – odrzekł spieszenie książę Andrzej.

– Mówiłem, że kobiecie upadłej należy przebaczyć, ale nie mówiłem, że ja mogę przebaczyć. Ja nie mogę.

– Czyż można to porównywać?... – rzekł Pierre. Książę Andrzej przerwał mu. Zawołał ostro:

– Tak, znów prosić o jej rękę, być wspaniałomyślnym i temu podobne?... Tak, to jest bardzo szlachetne, ale ja nie umiem kroczyć *sur les brisées de ce monsieur*<sup>497</sup>. Jeśli chcesz być moim przyjacielem, nie mów ze mną nigdy o tej... o tym wszystkim. No żegnaj. Więc odasz?...

Pierre wyszedł i udał się do starego księcia i do księżniczki Marii.

Stary wydawał się bardziej ożywiony niż zwykle. Księżniczka Maria była taka sama jak zawsze, ale Pierre widział w niej, poza współczuciem dla brata, radość z tego powodu, że małżeństwo jej brata rozbiło się. Patrząc na nich Pierre zrozumiał, jaką pogardę i zawziętość czuli oni wszyscy względem Rostowów, zrozumiał, że w ich obecności nie wolno nawet wspominać imienia tej, która mogła zamienić księcia Andrzeja na kogokolwiek innego.

Podczas obiadu rozmowa zesłała na wojnę, której zbliżanie stawało się już widoczne. Książę Andrzej mówił bez przerwy, spierał się to z ojcem, to z panem Dessales, Szwajcarem, wychowawcą syna, i wydawał się bardziej ożywiony niż zazwyczaj, a przyczynę tego ożywienia Pierre znał dobrze.

---

<sup>497</sup> Śladami tego pana.



## XXII

Tego samego wieczora Pierre pojechał do Rostowów, aby wykonać, co mu polecono. Natasza leżała w łóżku, hrabia był w klubie, więc Pierre oddawszy listy Soni poszedł do Marii Dmitriewny, która chciała wiedzieć, jak ksiązę Andrzej przyjął wiadomość. Po dziesięciu minutach do Marii Dmitriewny weszła Sonia.

– Natasza koniecznie chce widzieć hrabiego Piotra Kiryłowicza – oświadczyła.

– Jakże to, do niej go zaprowadzić? Przecie tam u was nie posprzątane – rzekła Maria Dmitriewna.

– Nie, ubrała się i poszła do salonu – oznajmiła Sonia. Maria Dmitriewna wzruszyła tylko ramionami.

– Udręczyła mnie do ostateczności. Kiedyż ta hrabina przyjedzie? Uważaj, wszystkiego jej nie mów – zwróciła się do Pierre'a. – A nie mam serca krzyczyć na nią, taka nieszczęśliwa, taka nieszczęśliwa!

Natasza, wychudła, z twarzą bladą i surową (bynajmniej nie zawstydzona, jak się tego Pierre spodziewał), stała na środku salonu. Kiedy Pierre ukazał się w drzwiach, poruszyła się – widać niezdecydowana, czy podejść do niego, czy na niego poczekać.

Pierre zbliżył się do niej spieszenie. Myślał, że poda mu rękę, jak zawsze, ale Natasza, podszedłszy doń blisko, zatrzymała się ciężko oddychając, z rękoma zwisającymi bezsilnie, zupełnie w takiej pozie, w jakiej wychodziła na środek sali, aby śpiewać, ale już z zupełnie innym wyrazem.

– Piotrze Kiryłyczu – jęła mówić szybko – ksiązę Bołkoński był pańskim przyjacielem – jest nim i obecnie – poprawiła się (wydawało się jej, że wszystko tylko było, a teraz jest zupełnie inaczej). – Mówił mi wówczas, żeby się zwrócić do pana.

Pierre patrzył na nią w milczeniu, sapiąc przez nos. Dotąd potępiał ją w duchu i usiłował nią gardzić, ale teraz zrobiło mu się jej tak żal, że już nie było miejsca na wyrzuty.

– On jest obecnie tutaj, proszę mu powiedzieć... żeby mi przebaczył... przebaczył. – Zamilkła i jęła oddychać jeszcze szybciej, ale nie płakała.

– Tak... powiem mu – mówił Pierre – ale... – Nie wiedział, co powiedzieć.

Widocznie Nataszę przeraziła ta myśl, która mogła nasunąć się Pierre'owi.

– Nie, wiem, że wszystko skończone – rzekła pośpieszenie. – Nie, to się nigdy stać nie może. Dręczy mnie tylko krzywda, którą mu wyrządziłam. Powiedz mu pan jedynie, że proszę, żeby mi przebaczył, przebaczył, przebaczył mi wszystko... – Zatrzęsła się i siadła na krześle.

Jeszcze nigdy nie doznawane uczucie litości przepelniło serce Pierre'a.

– Powiem mu, jeszcze raz wszystko mu powiem – rzekł Pierre – ale... chciałbym wiedzieć...

„Co wiedzieć?” – zapytało spojrzenie Nataszy.

– Chciałbym wiedzieć, czy pani kochała... – Pierre nie wiedział, jak nazwać Anatola, i poczerwieniał na myśl o nim – czy pani kochała tego złego człowieka.

– Proszę nie nazywać go złym – rzekła Natasza.

– Ale ja nic, nic nie wiem... – Rozpłakała się znowu.

I Pierre'a ogarnęło jeszcze większe uczucie litości, tklivości i miłości. Czuł, jak pod okularami płynęły mu łzy, ale miał nadzieję, że nie zostaną zauważone.

– Już nie mówmy o tym, droga przyjaciółko – rzekł Pierre.

Tak dziwny wydał się Nataszy ów tklivy, łagodny, serdeczny głos.

– Nie mówmy już o tym, droga przyjaciółko, powiem mu wszystko; proszę tylko o jedno – proszę mnie uważać za przyjaciela, a jeśli ci trzeba pomocy i rady, czy po prostu będziesz pragnęła otworzyć przed kimś serce – nie teraz, ale kiedy w duszy się pani rozjaśni – proszę o mnie wspomnieć. – Ujął jej rękę i pocałował. – Będę szczęśliwy, jeśli będę mógł... – Pierre zmieszał się.

– Proszę tak ze mną nie mówić: nie jestem tego warta!– wykrzyknęła Natasza i chciała wyjść z pokoju, ale Pierre zatrzymał ją za rękę. Wiedział, że trzeba jeszcze coś powiedzieć. Ale kiedy to powiedział, sam zdziwił się własnym słowom.

– Niech pani przestanie, niech pani przestanie, całe życie jeszcze przed panią – powiedział jej.

– Przede mną? Nie! Dla mnie wszystko przepadło!– powiedziała ze wstydem i samoponiżeniem.

– Wszystko przepadło? – powtórzył. – Gdybym nie był tym, kim jestem, ale najpiękniejszym, najrozumniejszym i najlepszym człowiekiem na świecie i gdybym był wolny, to w tej chwili na kolanach prosiłbym o pani rękę i miłość.

Po wielu dniach Natasza po raz pierwszy rozplakała się łzami wdzięczności i rozrzewnienia i spojrzawszy na Pierre'a wyszła z pokoju.

Pierre zaraz po niej wybiegł do przedpokoju, powstrzymując łzy rozrzewnienia i szczęścia, które ścisnęły mu gardło, wdział futro nie trafiając w rękawy i siadł do sań.

– Dokąd teraz jaśnie pan każe? – zapytał stangret. „Dokąd? – zadał sobie pytanie Pierre. – Dokąd teraz można jechać? Czyżby do klubu albo z wizytą?” Wszyscy ludzie wydawali mu się tak żałosi, tak biedni w porównaniu z tym uczuciem rozrzewnienia i miłości, jakiego doznawał, w porównaniu z tym roztkliwionym, wdzięcznym spojrzeniem, jakim ostatni raz spozjrzała na niego przez łzy.

– Do domu – odpowiedział Pierre i pomimo dziesięciostopniowego mrozu rozpiął niedźwiedzie futro na swej szerokiej, oddychającej radośnie piersi.

Było mroźno i jasno. Nad brudnymi, na pół ciemnymi ulicami, nad czarnymi dachami widniało ciemne, wygwieżdżone niebo. Tylko wtedy Pierre nie czuł bolesnej poziomości wszystkich spraw ziemskich w porównaniu z wyżynami, na których znajdowała się jego dusza, kiedy patrzył w niebo. Przy wyjeździe na plac Arbatski jego oczom odsłoniła się olbrzymia przestrzeń ciemnego wygwieżdżonego nieba. Niemal w samym środku tego nieba, nad bulwarem Preczystieńskim, otoczona ze wszystkich stron i obsypana gwiazdami, lecz różna od nich przybliżeniem do ziemi, białością światła i długim, uniesionym do góry ogonem stała ogromna, jaskrawa kometa 1812 roku; ta sama kometa, która zwiastowała, jak powiadano, wszelkie okropności i koniec świata. Ale ta gwiazda z długim, świetlistym ogonem nie wzbudzała w nim żadnego strasznego uczucia. Przeciwnie, Pierre radośnie, oczyma mokrymi od łez patrzył na tę jasną gwiazdę, która – jakby przeleciawszy z niewypowiedzianą szybkością po linii parabolicznej niezmiernie obszary – nagle, niczym strzała wbita w ziemię utkwiała w jednym wybranym przez siebie miejscu na czarnym niebie i zatrzymała się, stanowczo uniósłszy ogon do góry, świecąc i grając swym białym światłem wśród innych niezliczonych migoczących gwiazd. Pierre'owi wydało się, że ta gwiazda całkiem odpowiada temu, co się działo w jego duszy, rozkwitłej do nowego życia, pełnej tklivości i otuchy.

KONIEC TOMU DRUGIEGO